TOM I.



Encyklopedyja Hu…

z

NAJCELNIE…

utwory

HUMORU LUDZKIEGO.

Redakcyja i Nakład M. Wołowskiego

[illegible]

[illegible] Madras 11 [illegible] June, [illegible]

[illegible] A. PAŃSKIEGO, ulica Niecała Nr. [illegible] w Warszawie.

ENCYKLOPEDYJA HUMORU.

Tom I-szy.

A — I

I

Jakie jest pochodzenie wyrazu humor?

W języku łacińskim oznacza on wilgoć; w nowożytnych językach romańskich otrzymał szerokie znaczenie jako *humeur*, *umore*, *humor*.

Humor jest osobnym darem natury i objawia się w chwilach usposobienia; podstawę jego stanowi wesołość.

Od najdawniejszych czasów zastanawiali się myśliciele nad istotą humoru. W dziedzinie filozofji najwyżej stanęli niemcy a w wielkim labiryncie ich systemów, określenie humoru należało zawsze do pierwszorzędnych zagadek.

Dlatego też od dawnej szkoły spekulatywnej, którą zbudował Emanuel Kant potężnym rozumem swoim, aż do nowożytnego zastępu pesymistów, wychowanych według przykazań genjalnego Artura Schopenhauera, silono się na ułożenie definicyi humoru.

Estetyka stała się samodzielną umiejętnością dopiero od wystąpienia Baumgartena. Później każdy z filozofów uprawiał ją z szczególnem zamiłowaniem a zasady Hegla w ostatnich czasach spopularyzowali na katedrach niemieckich Fryderyk Vischer i Maurycy Carrière.

Odrazu też poznano, jak szeroką jest sfera humoru, i o ile różni się on od dowcipu.

I postawiono taką formułkę: „Gdzie się spotykają wyobraźnia i siła sądzenia, powstaje dowcip; gdzie zaś rozsądek łączy się z samowolą, wynika humor, a ta samowola stanowi właśnie znamienity żywioł humoru.“

Później zaczęto głębiej zastanawiać się nad istotą humoru i rozszerzono jego sferę także na satyrę i na ironiję.

Humor idzie tysiącznemi drogami, ironja stąpa jednym szlakiem, podobnie jak powaga. Humor w porównaniu z ironiją ma wyższe stanowisko, rozszerza pojęcia i idealizuje zdarzenia. Humor powstaje z usposobienia fizycznego a zarazem z pełni serca. Grecy i rzymianie właściwie go nie znali, stanowi on przymiot narodów północnych, zawisł od meteorologii i jest, jak powietrze, raz dobry, a raz zły, przyjemny albo nieznośny.

Jean Paul, który sam był znakomitym humorystą, takie daje określenie humoru: „Jest on wywróceniem podniosłości, poniża to, co wielkie, i wywyższa to, co małe, aby jedno obok drugiego postawić i razem zniweczyć, bo wobec nieskończoności wszystko jest równem i jest niczem. Tylko to, co ogólne, co jest całością — porusza humor, a duch świata stoi na skale tarpejskiej i strąca ludzkość. Z tej całości, która jest naczelnym pierwiastkiem humoru, wynika humorystyczne pobłażanie dla jednostek, które się gubią w masie, i to odróżnia humorystę od szydercy. Drugim pierwiastkiem jest niszcząca czyli nieskończona idea: jazda piekielna toruje humorowi drogę do nieba, jak ptakowi Meropsowi, który wzleciał pod obłoki z ogonem do nieba odwróconym, i patrzy ze świata nadobłocznego na ziemię z tym uśmiechem, w którym się zespalają boleść i wielkość. Trzecim żywiołem

jest dobroduszna podmiotowość, a czwartym zmysłowa wyrazistość czyli indywidualizacyja."

Jakie są właściwości humoru?

Przedewszystkiem oryginalność.

Humor odbiega od utartej formy, od zwykłego myślenia, czucia i działania, uznaje jako bardzo ważne rzeczy te które na to nie zasługują, i na odwrót, dąży do tego, aby przez powagę śmiech wywołać. Humor ma zawsze własny swój horyzont, coś oryginalnego w rozwoju swych myśli.

Drugim jego przymiotem jest naiwność. Humorysta pokazuje się zawsze w prawdziwej swej postaci, humor jego jest mu tak drogi, że go nie chce ukrywać, albo tak potężny, że go ukryć nie może. Nie wybiera w wyrazach, mówi tak, jak mu serce każe, i nie troszczy się o to, co ludzie pomyślą lub powiedzą.

Trzecią cechę humoru, stanowi duch wolny i filozofujący. On podnosi się do tej wyżyny, z której się widzi marności świata, i według rzymskiego przykazania: *Sapere aude*, ma odwagę wypowiadania prawd wielkich w formie lekkiej. Łączy się w nim według znakomitego określenia Champforta: „gryzący żart wesołości z pobłażaniem pogardy."

Rozmaite są objawy humoru, jak rozmaite są barwy tęczy. Humor bywa poważny a arcywzorem tego typu jest nieśmiertelny Hamlet szekspirowski. Humor bywa także pogodny. Wyż wspomniany Champfort powiada: „Trzeba ludzi uważać jako trzewik a społeczeństwo jako podłogę, na której ten trzewik tańczy. Wtedy wszystko wyda się zabawnem a człowiek zachowa swoje zdrowie."

Lecz czy humor jest szekspirowski czy bulwarowy, zawsze musi wywierać wrażenie, efekt. To znaczy, że potęga humoru pobudza nas do śmiechu, a czem serdeczniejszy ten śmiech, tem większy tryumf humoru.

Weber, autor „Demokritosa" powiada: „Świątynia Komusa spoczywa na pięciu słupach: na miłości własnej, na kontraście, na cielesnej skłonności do śmiechu, na upodobaniu w sztuce i wreszcie na nagłem podnieceniu umysłu przez niedorzeczność lub sprzeczność."

Zastanawiali się też nad śmiechem dwaj wielcy prawodawcy filozofii: Arystoteles i Kant. Pierwszy więcej usprawiedliwiał, aniżeli wyjaśniał genezę śmiechu ludzkiego; drugi stanął na gruncie fizyjologii.

Tymczasem śmiech wybucha zawsze jako środek, odświeżający człowieka, wybucha mimowolnie, bezwiednie, i należy całkowicie do ekonomji natury.

Wszystko, co nas bawi, co nie godzi wyraźnie w to, co Platon nazywał „pięknem i dobrem", Cicero „pięknem i zacnem" a Hutcheson „uczuciem moralnem", wszystko to może stać się powodem śmiechu.

Śmiejemy się przecież w najpowszedniejszych wypadkach życia i zależy głównie od tego, jak się życie pojmuje. Demokrit śmiał się a Heraklit płakał, dla jednego życie jest *partie de plaisir*, dla drugiego tragedyją.

Jedną z pobudek humoru jest miłość własna. Hannibal zapytał raz Scypiona, kto zdaniem jego jest największym wodzem. „Najprzód Aleksander, potem Pyrrhus, a wreszcie ja", odpowiedział Scypion. „A gdyby nie ja ciebie, ale tyś mnie był pobił?" odparł Hannibal. „Wtedy postawiłbym na pierwszem miejscu siebie", odrzekł zagadnięty i Hannibal uśmiał się bardzo. Podobnie raz zeszli się w Karslruhe generał Laudon i poeta Gellert. Pierwszy powiada: „Patrząc na pana, nie pojmuję, jak mogłeś tyle wesołych napisać

rzeczy". A Gellert na to: „Gdy na generała patrzę, nie zdołam sobie wyobrazić, jak mogłeś wygrać bitwę pod Collinem i wziąść szturmem Schweidnitz." I roześmieli się obaj: przedtem nigdy nie śmieli się w życiu.

Znakomitym, może najznakomitszym czynnikiem w tej dziedzinie jest kontrast, przeciwieństwo.

Oto jak przedstawia Jean Paul jego znaczenie:

„Kontrast sprawia, że *fortissimo* po *pianissimo* mocniej rozbrzmiewa tak, jak w ciszy północnej kropla z wysokiego sklepienia spadająca, rozlega się niby odgłos grzmotu — i że jedno przestępstwo człowieka dotąd nieposzlakowanego robi więcej wrażenia, aniżeli wszystkie czyny łotra skończonego. Na białem tle widzi się łatwiej pchłę aniżeli na czarnem; mistrzowsko rozumie się piękna płeć na kontraście barw a jeszcze lepiej matka-natura. Nadała ona trawie barwę zieloną, aby odbijała od ziemi, a wszystkie zwierzęta wypasowe mają za to barwę ziemistą."

Niezmierzona jest przestrzeń kontrastów ludzkich. Mizantrop musi się zakochać w kokietce, aby wywołać efekt kontrastu. Na jarmarkach olbrzym występuje obok karła. Piramidy egipskie, postawione w Alpach, nie wywarłyby wrażenia a w puszczach Libii człowiek wygląda jak wieża.

Jest kontrast poważny i kontrast komiczny. W starych miastach nikłe budynki w ciemnych uliczkach odbijają od nowych pałaców i placów, a my nie śmiejemy się z tego.

Nie śmiejemy się także ze wszystkich kontrastów w charakterach ludzkich. Np. Cezar i Katon. Cezar zyskał sławę przez łagodność i wspaniałomyślność, Katon przez surowość i oszczędność; Cezar zachwycał się kobietami, Katon nienawidził galanteryi; Cezar pragnął najwyższych dostojeństw, Katon wymawiał się od nich; Cezar chciał cały świat opanować, Katon chciał go zbawić; Cezar został zabity jako tyran, Katon zabił się sam jako republikanin. Ten kontrast nie jest śmieszny.

Nie jest też koniecznem przeciwieństwo takich kreatur przypadku, jak Cromwell i Robespierre. Cromwell wyniósł się charakterem, Robespierre zapamiętałością; Cromwell był genijuszem, Robespierre wyzyskiwał i mordował genjusze.

Komika nizka poluje na grube efekty. Jest to przyjemność więcej fizyczna, aniżeli duchowa. Prędka sensacyja dla oka lub ucha rozśmiesza. Ktoś np. chce wyjść i we drzwiach natrafia na wchodzącego; obaj uderzają o siebie i padają. Do tej kategoryi należą: lokaje, krzyczący pod razami swoich panów, psy i koty, które się wywracają, rozjuszone niewiasty i t. d. I podobnie jak pani Sevigné lubiła romanse rycerskie i „wspaniałe pchnięcia szpad", w Homerze tak samo ludzie o ograniczonych umysłach przepadają za tem, co płaskie i nizkie jest pod względem kontrastów.

Dla tego też bogatą, jak natura ludzka, jest synonimika śmieszności. Najwyżej pod względem humoru stojący naród, anglicy, ma do charakterystyki śmiechu aż siedm przymiotników, mianowicje: *scoff, sneer, grin, simper, arch, fine i waggisch,* co w przybliżeniu po polsku znaczy: szyderczy, urągający, zgrzytający, głupi, chytry, delikatny i żartobliwy.

Surowi, zimni estetycy uznają komikę tylko jako modyfikacyję dowcipu, a czem wiek wykształceńszy, tem więcej ostrości wymaga komika, która traci na wartości, jeżeli się nad nią nie zlitują wielkie talenta. Dla tego też większa jest *vis comica* u Plauta aniżeli u Terencyjusza, u Moliéra aniżeli u Picarda!

Z niższej komiki wytwarza się farsa. W wielkim kartonie Michała Anioła, przedstawiającym ucieczkę żołnierzy z rzeki przy zbliżaniu się nieprzyjaciela, figura, nie mogąca ubrać mokrych nóg w spodnie, należy do tego rodzaju. Taki sam koloryt ma Sancho w Don Kiszocie, błazny szekspirowskie natomiast stoją nieskończenie wyżej.

W dziedzinie śmiechu królem jest dowcip. Ten się rodzi tylko w usposobieniu bez troski i milknie zawsze wobec ludzkiego nieszczęścia. Towarzyszką, nauczycielką jego jest wyobraźnia; ona go więcej prowadzi, aniżeli rozsądek. Dowcip jest ostrym mieczem w ręku młodzieńca; dopiero gdy człowiek dojrzeje, chowa miecz w pochwę roztropności i składa do skrzyni dobrego serca.

Bywały dziwne przykłady humoru w chwilach poważnych albo tragicznych. Sokrates, gdy mu Ksantypa, wykrzyczawszy się naprzód, na głowę wylała zawartość naczynia, zawołał: „Czyż nie wiedziałem, że po burzy nastąpi deszcz?“ Cicero sam do mordercy przemówił: „A spraw się dobrze!“ a Tomasz Morus, gdy już głowa jego leżała pod toporem, zawołał do kata: „Zaczekaj, niech ogolę brodę, bo ona nie popełniła zbrodni stanu!“

Dowcip jest jak dziecko, które nie wytrzymuje zbyt surowego wychowania. Jeżeli ojciec rozum zanadto jest ostry, dziecko wyłamuje się z pod rygoru i biegnie do matki fantazyi. Dlatego też więcej dowcipu znajdujemy u kobiet, aniżeli u mężczyzn, więcej u wesołych światowców, aniżeli u samotnych myślicieli. Francuzi i kobiety są urodzonymi światowcami i dla tego w ich gronie króluje *esprit*. Raz pewien mężczyzna groził przyjaciółce ogłoszeniem jej listów. Ta odpowiedziała: „Moich listów nie potrzebuję się wstydzić, ale ich adresu.“ Dowcipna pani du Deffant, gdy jej przedstawiono nadzwyczaj niezgrabnego fabrykanta automatów Vaucansona, powiedziała: „Zdaje mi się, że on sam siebie zrobił.“

W dowcipie rozstrzyga elektryzujące jego wrażenie. Koniecznem jest, aby się przedstawiał ciągle w nowej formie a Helwecyjusz powiada: „Dowcip (*esprit*) jest zbiorem nowych myśli“. Dowcip powinien wybuchać jak rakieta. Henryk IV-ty pewnemu mówcy, który utknął, rzekł: „Skończ pan w trzech słowach.“ I mówca zawołał: *Vive le roi!* Pewna dama spowiednikowi, który ją o nazwisko pytał, odpowiedziała: „Moje nazwisko nie jest grzechem.“

Prawdziwy humor nigdy nie podnosi się do obrażającej dumy i nigdy nie używa ostrza swego przeciw bezbronnym. Prawdziwy humor siedział na piórze Cerwantesa w więzieniu, opromienił mu ciemnicę blaskiem słonecznym, do dzbana z wodą wlał nektar, płaszczem okrył skaleczoną rękę poety i we wszystkie gorycze jego życia sączył balsam nadziei.

Wielkim błędem ludzkiej natury jest to, że składa się z małych błędów. Te małe mankamenta stanowią właśnie tło dla humorystyki powszechnej a znakomitem jest powiedzenie w angielskiem dziele „Tristramo Shandy”, które w polskim przekładzie tak opiewa: „Nieznośnym jesteś albo uprzejmym, przyjemnym albo gorzkim; nie mogę żyć z tobą i nie mogę żyć bez ciebie.“

Tak tedy niezmierzoną jest sfera humoru ludzkiego i rozmaitemi są jego objawy. W tej dziedzinie spotykają się najwyższa ironija, która bije do serca całej ludzkości z małą mizeryją powszedniego bytu, potężna satyra obnaża społeczeństwa i jego bohaterów a wyostrzony kalambur drwi z wypadków codziennego życia.

Humorystyka wspaniałe wydała kwiaty w pieśniach ludowych i stała się bronią wielkich genijuszów we wszystkich piśmiennictwach.

Przechodzimy teraz do historyi humoru.

Czy starożytni klasycy znali humor? Na to pytanie nie da się odpowiedzieć wyczerpująco.

Artabazes w Kyropedyi Ksenofonta okazuje humor, nawet Kyros i jego wodzowie, a Kwintylyjan, gdy mówi o heleńskiej gracyi słowa, zdaje się mieć na myśli Homera. Terencyjusz posiadał wielką dozę dowcipu; natomiast Lucyjan był pospolitym szydercą. Niektórzy filologowie twierdzą, że właściwe pisma humorystyczne rzymian i greków zaginęły; zostały tylko w pamiętnikach piśmiennych przygodne powiedzenia wielkich mężów klasycyzmu.

W średnich wiekach znajdujemy humor osobnego rodzaju, wyrazisty, jowialny, każdą rzecz nazywający po imieniu; przechowały się z tych czasów poematy łacińskie i staro-niemieckie.

W epoce odrodzenia napotykamy w pismach hiszpańskich i włoskich tu i owdzie zacięcie humorystyczne, wcześniej aniżeli w angielskiej i niemieckiej literaturze. We Włoszech istniała nawet akademija *dei umoristi*, która, o ile nam wiadomo, nic humorystycznego nie wydała, a francuzi mieli Rabelais'ego i Lafontaine'a.

Najwyżej w humorystyce stoją anglicy i rzecz zastanowienia godna, że tak na tem polu wyprzedzili wesołych do nieskończoności i lekkomyślnych bez granic francuzów. „Francuzi" powiedział pewien humorysta „rzucają między tłum *sou*, anglicy są oszczędniejsi, ale dają za to gwineje i dukaty."

Na horyzoncie humorystyki angielskiej błyszczą: Sterne, Fielding, Smollet, Swift, Goldsmith i Boz-Dickens.

Sława Sterna rozpoczęła się Tristramem, w którym widoczny jest wpływ Rabelais'ego. Wyszydził śmieszność filozofii szkolnej, był na przemiany komiczny i wzruszający. Jeszcze wyżej stanął w „Podróży uczuciowej". Wieland nazwał ją księgą ksiąg, Goethe gorąco zalecał a Chodowiecki uwiecznił humorystycznemi rysunkami. Jeden z bohaterów Sterna, Yorik, stał się nieśmiertelną figurą w Anglii.

Jeżeli u Sternego za wiele było sentymentalności, za to nadzwyczaj pogodny i spokojny jest horyzont Dickensa. Jego „Klub Pikwika" stał się rzeczywiście księgą ksiąg w dziedzinie humorystyki. Dzieło to jest dumą narodową Anglii. Postacie z kipiącem życiem wycięte ze społeczeństwa, łączą się z tą filozofiją miłości i pobłażania, która jest najwyższą zaletą humorystyki. U Dickensa ludzie śmieją się ze łzami w oczach, jego typy przeszły do wszystkich literatur, jego całego naśladowała i naśladuje dotąd cała nowelistyka europejska.

Naród myślicieli ma także pokaźny poczet humorystów, chociaż innego ducha i innej miary.

Szereg otwiera Hippel, przyjaciel Kanta, a po nim występuje najdowcipniejszy może niemiec wszystkich czasów, Lichtenberg. Jego wyjaśnienia do rysunków Hogarta są wspaniałe a w pamiętnikach z XVIII-go stulecia przeszły do potomności słowa Lichtenberga, pełne nadzwyczajnego humoru.

Jean Paul (Fryderyk Rychter) miał niezawodnie bogaty nerw humorystyczny, ale go zabił patos, jakim wszystkie jego pisma są nacechowane. Mimo to w powieściach jego znajdują się prawdziwe brylanty humoru.

W XIX-em stuleciu Niemcy wydały dwóch wielkich humorystów: Börnego i Heinego. Pierwszy głębszy, drugi świetniejszy, a obaj niezadowoleni, doprowadzili satyrę do najwyższej nuty. Börne został prawie już zapomniany; Heine z gorącą swoją liryką miłośną i z szyderczym poglądem na świat i człowieka stał się prorokiem całego pokolenia pesymistów a spadkiem jego ·podzielili się powołani wieszcze przeczenia oraz wieszczkowie urojonych bólów i kłamanych desperacyi.

Obok Saphira, który słynął z karkołomnych sztuk, jakie kalamburowo wyprawiał z językiem niemieckim, zasługują na uwagę Juljusz Stettenheim w Berlinie i Dawid Spitzer w Wiedniu, po których jednak nic trwałego nie zostanie, bo cały ich humor pochłania fejletonowa praca dziennikarska.

W Słowiańszczyznie najwyżej rozwinął się i najbardziej oryginalnym i typowym jest humor russki.

Od najdawniejszych zabytków literatury do najnowszej beletrystyki snuje się pojęcie świata i życia tak humorystyczne, że pod tym względem naród russki współzawodniczyć może z flegmatycznymi synami Albionu.

W „Eugenijuszu Onieginie“ Puszkina odzywa się często ironija, wyostrzona jak stal damasceńska, ale prawdziwymi przedstawicielami humoru russkiego w szerokim jego rozwoju są Gribojedow, Gogol i Szczedrin-Sałtykow.

Gogol w „Martwych duszach“ i w „Rewizorze“ rysuje Pikwików z pod innej strefy; humor jego także śmieje się przez łzy a sposób, w jaki przedstawia postacie małe, złamane, nikłe, złe, przewrotne, cała ich gwara i cała ich psychologija, jest arcydziełem obserwacyi i kunsztu literackiego.

Spowinowacony pod względm ducha z Gogolem a jednak odmienny od niego pod względem formy Szczedrin-Sałtykow wzbogacił literaturę ruską całym cyklem powieści i szkiców, które są zarazem traktatami społecznemi.

Z humorystyki russkiej Gogol dawno już przeszedł do literatury europejskiej; Szczedrina trudno jej przyswoić, z powodu prowincyjonalizmów, na których zwykle ostrze polega a które nie dadzą się przetłumaczyć na język obcy.

Pobieżny ten pogląd na istotę humoru i przegląd jego objawów w literaturach europejskich zakończyć należy zarysem humorystyki polskiej.

Humor polski daremnie czeka dotąd na monografiję, która musi objąć cały olbrzymi obszar literatury naszego narodu.

Był on przez długi czas jej pasierbem, ale krew tęż samą w żyłach swoich nosił, walczył często lepiej i skuteczniej od tych dzieci własnych, które orlim lotem wzbijały się pod niebiosa.

Przypadła mu rola szermierza dziwnego — straży pierwszej, której obowiązkiem było torować ścieżki, otwierać okna dusznego mieszkania i wprowadzać doń świeże powietrze; przypadła mu rola walki z obskurantyzmem, faryzeuszostwem, obłudą, jednem słowem z wszystkiemi wadami praojców naszych.

Służył zawsze myśli jasnej a prostej, hasłem jego był krok zdwojony naprzód, a że nie zawsze iść tak mógł szybko, jak chciał, i że nie zawsze z walki wychodził zwycięzcą, to już nie wina jego natury, jego środków; nie wina broni, której używał, ale dziejowych okoliczności, ukształtowania się stosunków kastowych i tego niewytłomaczonego

uporu, który nakazywał praojcom naszym patrzeć w siebie, jako w słońce niezmierzonego światła i doskonałości.

Jednym z pierwszych wyrazów książkowej u nas literatury szczególnym zbiegiem okoliczności jest humorystyka.

„Rozmowa Salomona mądrego z Marchołtem grubym a sprośnym“ etc., jakkolwiek jest wziętą z niemieckiego pierwowzoru, niemniej przemawia po polsku i jest ulubioną lekturą ludzi, zamieszkujących rzeczpospolitę w wieku XV-ym. Praszczur polskiej poezyi, ów wesoły i jowialny pan Mikołaj z Nagłowic, najskuteczniej, najsilniej walczy swym humorem za nowinki, które wieją od zachodu, a rozśmieszając swoją współczesność, toruje drogę postępowi.

A ów książe polskiego Parnasu, wspaniały, skończony w mowie, Jan z Czarnolesia, wprawdzie w swoich fraszkach i figlikach puszcza się na trefne żarty, która to trefność zresztą nikogo nie gorszy — przecież także śmiałą ręką ściąga płaszcz fałszu i obłudy, karci faryzeizm i wszystko, co nieuczciwe i nieszlachetne.

Humorystyka złotego wieku literatury posiada dla nas, ludzi dzisiejszych, do pewnego stopnia formę nie dosyć wykwintną, nie dosyć ma w sobie tego, co dzisiejsi nazywają dobrem wychowaniem; gruby realizm jest jej cechą główną, ale trudno zaiste miarą naszą sądzić rzeczy dawniejsze.

Trefność ówczesna, to nie dzisiejsza tłustość, nie razi ona nikogo, bo jest odbiciem życia takiego, jakiem ono było, choć nieokrzesanego, ale więcej uczciwego niż późniejsze.

„Wizerunek własny żywota człowieka poczciwego“ — cóż to za przepyszny materyjał do studyjów czasów ówczesnych, ówczesnej hypokryzyi i cywilnej odwagi poety, pierwszy raz do swoich własnym przemawiającego językiem!

Niema w literaturze naszej pisarza, któryby temu rodzajowi literatury pióra swego nie poświęcał; kształci się ona równocześnie prawie z językiem, staje się coraz żywszą, pełniejszą, energiczniejszą i szlachetniejszą. Klonowicz, Kochanowski, Kochowski, Wacław Potocki, Opaliński, Jan Chryzostom Pasek, Morsztyn — oto nazwiska, które dzielnie reprezentują humorystykę polską starą.

Im złe więcej szerzy się w narodzie, tem ich więcej przybywa, gdy dochodzi kulminacyjnego swego punktu w wieku XVIII-ym, nazwisko humorystów—jest legijon. Satyry Krasickiego i Naruszewicza walczą o lepsze z najdoskonalszymi obcymi utworami tego rodzaju; ulotne, cięte wierszyki Węgierskiego, nie te jednak, które pornografii poświęcał, ale te, któremi smagał podłych a nizkich, lecząc w ten sposób, niby rozpalonem żelazem, rany społeczne, stawiają mu pomnik, którego nie obali nawet zasłużone a zdolne pióro jakiegoś literackiego purysty.

Tak prawdziwemi arcydziełami humorystyki może się poszczycić cały koniec XVIII-ym wieku? Sławna „Kuźnica“ kołłątajowska kuje humorystyczne gromy, torując drogę reformom sejmu czteroletniego; pomaga jej w tem każdy, kto żyw nieledwie, tak gorąco biją serca i tak każdy rozumie ważność tej broni, która wprawdzie często zyskuje paszkwilistyczną barwę, ale czyni to z przeświadczeniem, że spełnia czyn heroiczny.

Zmiana stosunków w narodzie wpływa i na zmianę humorystyki naszej; niemniej przeto nosi ona zawsze w sobie ten główny wybitny rys, któryby nazwać należało rysem obywatelskim.

Każda chwila ważniejsza znajduje w niej swoje odbicie.

W walce klasyków z romantykami i jedni i drudzy używają humorystycznej broni, jako środka. „Cicho wszędzie, głupio wszędzie — nic nie było, nic nie będzie“, woła Osiński. „Krzyknęli: niepozwalam! uciekli na Pragę!“ za Niemcewiczem odpowiada wieszcz nad wieszcze.

Moralne zepsucie społeczeństwa w pewnym czasie wywołuje szermierkę humorystyczną ze strony Śniadeckiego w „Wiadomościach brukowych“.

„Wolne żarty“ wychodzące w roku 1858-ym, były zapowiedzią rozwoju całego późniejszego dziennikarstwa, a „Komunały“ w r. 1861-ym, redagowane przez Miniszewskiego, usiłowały być główną podporą polityki margrabiego Wielopolskiego.

Osobnego rodzaju humor odtworzył w ramotkach i powieściach August Wilkoński, niezrównany „chirurg filozofii.“

„Teka Stańczyka“, która urodziła później stronnictwo stańczykowskie w Krakowie, sądzona różnie, niesympatyczna, przecież trudno jest nie przyznać, aby w swoim czasie była bez dobrej wiary pisaną.

Ostatnie hasło młota i kielni znalazło dla siebie echo w znakomitych utworach Lama, Prusa i w początkowych Sienkiewicza, a każdy z tych pisarzy genjalnym humorystą nazwany być może.

Rozpisywać się szerzej nad humorystyką polską nie widzimy dostatecznej racyi; aby ją dokładnie określić, potrzeba na to olbrzymiej księgi.

Czytelnik „Encyklopedyi“ znajdzie szczegóły dotyczące tego działu literatury w biograficznych przypiskach, jakie pomieścimy w samem dziele.

M. Wołowski.

Warszawa, d. 15-go września 1889-go r.



A!

* Okrzyk zadziwienia, jaki wydaje wierzyciel, gdy mu dłużnik odniesie pieniądze na jeden dzień przed terminem.

Maurycy Bogumił Saphir — niemiec, wiedeńczyk, ur. 1795 † 1858. Jeden z najsprytniejszych humorystów niemieckich; celował w kalamburach. Dzieła jego obejmują tomów 10; najlepszem z nich było: „*Conversations Lexicon für Geist, Witz und Humor.*"

* Jest to jedyny wykrzyknik, który uzyskał prawo obywatelstwa we wszystkich językach i narzeczach na całej kuli ziemskiej. Gdyby można było nastąpić jednocześnie na odciski polakowi i chińczykowi, prowadzącym się pod rękę, usłyszelibyśmy jednocześnie z ust ich wykrzyknik: *A!*

Abderyci.

* Unieśmiertelnił ich Homer w Iljadzie. Od tej chwili minęło wieków sporo, zniknęła nazwa starożytnego grodu, a pozostało w tradycyi to, co stanowiło wybitną cechę jego mieszkańców — niebotyczna głupota, głupota tego rodzaju, którąby genijalną nazwać można. Abdera dla abderytów była uosobieniem doskonałości, oni sami dla siebie — ideałem wiedzy i sprytu, dla innych — ideałem kretynizmu i zarozumiałości. Budowali studnię, nie troszcząc się o to, czy w niej woda będzie; pięciostopową Wenus Praksytelesa stawiali na osiemdziesięciostopowym obelisku, hodowali żaby Latony i taką je czcią otaczali, że w końcu przed ich skrzeczeniem, tak jak mieszkańcy wysp Balearskich przed królikami lub bermudzcy wyspiarze przed szczurami, z własnych siedzib uciekać byli zmuszeni. Kwestyja o to, czyją własnością jest cień osła, tego, co go wynajął, czy tego, który go posiadał, roznamiętniała ich tak bardzo, że w całej Abderze o niczem innem nie mówiono. Abderyci podobnymi byli w swoich obradach wobec nieprzyjaciela do owych mysz legendowych, odbywających długie konferencyje nad tem, jakby najlepiej zabrać się do nienawistnego im kota. Najmędrszym wydał się im pomysł przywiązania dzwonka do ogona nieprzyjacielskiego.

— „Ale kto mu ten dzwonek uwiąże?...“ — zapytała w końcu narad jedna ze starych dygnitarek mysiego rodu. Głębokie przerażenie odebrało im mowę wobec tego logicznego pytania i dopiero ogłoszone południe, przypominające konieczność poruszenia szczękami dla naładowania żołądka, przywróciło im świadomość życia. Swojego współrodaka, filozofa Demokrytosa, uznali za chorego waryjata, bo umysłem ograniczonym ku niemu wznieść się nie byli zdolni, a gdy przywołany Hipokrates uznał w Demokrytosie najmędrszego człowieka w kraju całym, przerażenie uważających się za doskonałość abderytów nie miało granic. Nie mogło im się to w głowie pomieścić, aby Demokryt, którego znali małym chłopcem, był rozumniejszym od starszych, wszak wszystko czynił inaczej jak oni, ergo: był głupim. „Nie, to szaleniec!“ wołają do Hipokratesa, „chodź, daj mu ciemiężycy, lub jakiego innego leczniczego ziela“. Wiadomości o mieszkańcach Abdery nie mogą się nam wydać nawet przesadzonemi, albowiem nie tylko Grecyja posiadała swoich abderytów, posiada ich i Europa cała do dziś, a faktycznie odziedziczyli oni po klasycznych głupcach, ich głupstwo klasyczne. Wielki żartowniś greckiego świata może zresztą i obmówił nieco abderytów. Prawdą jest, że ci ostatni uważali swego filozofa za chorego waryjata, ale któreż z miast dzisiejszych nie uczyniłoby tego samego i nie nazwało tem imieniem człowieka, żyjącego tylko wśród grobów, marzącego na nich, bawiącego się książkami i naturą, nieznającego winta i bilardu, nieodwiedzającego kościołów i uśmiechającego się do wszystkich. Tak, wyrok brzmiałby identycznie, tylko w nieco przyzwoitszej formie: głupotę taką nazwanoby może idyjosynkrazyą, ale o przywołaniu Hipokratesa niktby nie pomyślał, co dowodzi, że Abdera nawet w głupocie swojej miała serce, którego dobie obecnej braknie. Rzym miał także swoich abderytów. Kaligula kazał budować most na morzu i z wojskiem maszerował do Brytanii, aby mu na wybrzeżach nazbierało muszli; polecił nazywać siebie bogiem i chciał być wszystkiem, tylko nie cezarem i nie człowiekiem. Nietylko Rzym, ale i każdy naród posiadał i posiada abderytów, starych i nowych, umarłych i żyjących. Francyja lokuje ich w Normandyi i Gaskonii, lub w burgundzkiem mieście Beaumé. Piron w swoich „Anes de Beaumé“ (Osły z Beaumé) setki żartów poświęcił tym abderytom Francyi. Oto z nich parę. Burmistrz tamtejszy dla bezpieczeństwa całego pułku, mającego przechodzić przez las, dał do pilnowania go czterech mieszczan, a gdy żonie jego uciekł kanarek, polecił zamknąć wszystkie bramy miasta. Ten sam Piron, usłyszawszy w teatrze wołanie: „uciszcie się, bo nic nie słychać!“ zawołał: „to już pewnie nie z winy waszych długich uszów,“ co tak oburzyło widzów teatru Beaumé, iż śmiały szyderca musiał przed ich kijami uciekać, uciekając zaś, ścinał swoją laską pokrzywy, krzycząc: „pozbawiam żywności nieprzyjaciela“. Gdy przy jednym z gaskończyków twierdzono, iż żaden z bohaterów nie żyje długo, z oburzeniem odparł: „czyż to moja wina, że nie umarłem dotąd?“ Inny przy śmierci swej żony, załamując ręce wołał: „Och! czemuż nie mogę zabalsamować mej boleści!“ Mówiono o pomniku wystawionym na polu bitwy Hochstadt. — „Eh! ozwał się inny gaskończyk — gdyby u nas za takie zwycięztwa chciano stawiać pomniki, to cała Francyja wyglądałaby jak jedna wielka kręgielnia.“ Anglicy za swoich abderytów uważają szkotów, irlandczyków i mieszkańców Walii. Wedle ich opowiadań, pewien walijczyk pracował nad algebraicznem obliczeniem ilości uderzeń dzwonów a za pomocą sylogizmów dowodził, iż człowiek jest człowiekiem a nie koniem; dalej miał być tak logicznie naiwnym, iż posługiwał się zawsze tylko jedną ostrogą, rozumując, iż skoro ukłuta jedna strona konia ruszy, to i druga pójdzie za nią. Krawiec Swifta bierze miarę kwadratem, laputańczycy tworzą książki maszynami, z dyni usiłują wywołać promienie słoneczne, a marmur zmiękczyć na wygodny materyjał do poduszek.

Włosi lokują swych abderytów w Bergamo. szwajcarzy w Lallenburgu, szwedzi w Göder-telje i Trosa, duńczycy w Jutlandyi, austryjacy w Eipeldau. Abderyci niemieccy wedle opinji swych rodaków mieszkają przeważnie w Schyldzie. O municypalności tego grodu chodzi wieść, iż dla poprawienia urodzajów wysiać kazała kilkaset centnarów soli. Dla zabezpieczenia się od głodu, rozkazała ona wybudować olbrzymi młyn, rozumując w ten sposób: iż gdzie jest młyn, tam musi być i mąka, a gdzie jest mąka, tam musi być i chleb. Młyńskie kamienie do tej budowy obrabiano na wysokiej górze i ztamtąd je staczano. Jeden z rajców chcąc dowieść swej pilności i dbałości o dobro współobywateli, włożył w środkowy otwór żarna głowę i kazał go wraz z sobą stoczyć, aby się przekonać, gdzie kamień ginie. Żarna jednak i rajcy po tym eksperymencie odszukać było niepodobna. Wtedy municypalność Schyldy rozesłała listy gończe, oznajmiając, iż uciekł jeden senator, ubrany na szyi w kamień młyński zamiast kołnierzyka. Innym razem taż rada poleciła wykopać studnię głęboką na 30 ludzi. Panowie rajcy postanowili wypełnienie wydanego rozkazu sprawdzić osobiście: więc jego ekscelencyja burmistrz zawiesił się pierwszy na belce ocembrowania. U jego nóg uczynił toż samo starszy rajca, dalej drugi i t. d. Wtem pan burmistrz uczuł zimno w rękach; dla ogrzania ich i pokrzepienia sił uznał za właściwe w dłoń chuchnąć i dzięki tej drobnostce cała rada połamała sobie kości. Innym znów razem Schylda miała powitać swojego króla fajerwerkami; przezorność jej uznała za stosowne i konieczne spróbować dobroci sztucznych ogni i uczyniła to na chwilę przed przybyciem dostojnego gościa; ponieważ zaś fajerwerki drugi raz palić się nie mogły, przeto król musiał obejść się bez fajerwerków. Brak tych ostatnich zniewolił municypalność na prędce do uchwalenia innej oznaki czołobitności dla gościa, a więc zadecydowano kanonadę z dział. Cóż kiedy dział nie było; od czegóż jednak mądre głowy rajców miasteczka? Zgromadzono przeto ludzi, mających najtęższe głosy basowe, powsadzano ich na mury i stamtąd mieli naśladować kanonadę. Szyldwach, mający obserwować przybycie monarchy, znaglony potrzebą niecierpiącą najmniejszej zwłoki, zeszedł ze stanowiska i we właściwym czasie sygnału nie dał, tak, iż dostojny gość spostrzeżony został dopiero w chwili, gdy w bramę miasta wkraczał. Szyldwach nie traci rezonu, zdejmuje najuprzejmiej kapelusz i woła: „ścielę się do stópek! najniższy sługa pana dobrodzieja“. Deputacyja mająca przyjmować króla, uznała za właściwe tymczasem udać się do kąpieli. Uwiadomiona o przybyciu królewskiem, z bohaterską odwagą, w strojach adamowych, szykuje się w szereg przed królem, zakrywając wstydliwie rękami mniej estetyczne części swego ciałoskładu. Nagle komar gryzie pana burmistrza w odwrotną stronę jego oryginału, wskutek czego dostojnik miejski uderzeniem dłoni karze natychmiast śmiercią złośliwca na miejscu jego przestępstwa. Panowie rajcy, mając na pamięci polecenie, aby we wszystkiem naśladowali burmistrza, w tejże chwili na swoich oryginałach wykonali ruch, podobny do ruchu swojego zwierzchnika. Ztąd powstała kanonada, którą monarcha więcej się ubawił, aniżeli fajerwerkami i powitaniem szyldwacha. W dalszym ciągu uroczystości jeden z obywateli miał odgrywać rolę Dyjogenesa, siedząc w beczce. Gdy król dla uzupełnienia żartu zbliżył się doń i zapytał, jak Aleksander, czegoby żądał, poprosił o cwancygera. Na wieży ratuszowej Schyldy wyrosła bujna trawa; municypalność uradziła aby nią wypaść konia i w tym celu rajcy ciągnęli biedną szkapę po stromych schodach za sznurek, uwiązany u jej szyi, a gdy w połowie drogi wywiesiła język, obywatel Schulc zawołał: „Oto jak czuje trawę!“ Czuła istotnie biedna szkapa, ale co? Zbliżającą się śmierć z uduszenia. Powyższe anegdoty doskonale malują to, co Homer i co my za nim abderytyzmem nazywamy. Cały zbiór tych dowcipnych a złośliwych anegdot o abderytach złożyć by mógł spore

dzieło. Ograniczamy się na powyższych, dodając, iż i my posiadamy swoich abderytów. Galicyja poszczycić się może swoim Kulikowem i Mościskami, słynnemi z przysłowiowych fujar, my w Królestwie Rypinem, Ryczywołem, Pacanowem, gdzie kozy kują i owym historycznym Osiekiem, w którym powieszono niewinnego kowala za winnego ślusarza dlatego, iż w mieście było dwóch kowali a jeden ślusarz.

Karol Julijusz Weber — niemiec, ur. r. 1777 † 1832. Najgłośniejsze jego dzieło nosi tytuł: „*Demokritos oder hinterlassene Papiere eines lachenden Philosophen.*“ Jest to zbiór satyrycznych felijetonów, pisanych z werwą i zacięciem bystrego obserwatora; liczy ono 14 wyczerpanych stereotypowych wydań.

Abdykacyja.

* Sukienkę miała w paseczki
Perkalikową.
We włosach polne kwiateczki,
Twarzyczkę zawsze różową —
Nie było piękniejszej dzieweczki,
Daję wam słowo.

Była doprawdy królewną
Cudownych krajów,
I miała orkiestrę śpiewną
W królestwie zielonych gajów,
I armię kwiatów powiewną
Brzegiem ruczajów.

Dziś... tylko wielką jest damą,
Strojną bez miary,
Ma pałac z herbem nad bramą,
Kaprysy spełnia mąż stary,
Ale już nie jest tą samą,
Znikły, ach, czary!

I choć króluje na balu
W każdym salonie —
Znać na niej jakiś cień żalu
I marzy wspierając skronie
O swej sukience z perkalu
I polnych kwiatów koronie.

Adam Asnyk—najznakomitszy współczesny poeta, ur. 1838; w 1857 i 61 student medycyny w Warszawie, 1861 student filozofii w Heidelbergu i doktór filozofii. Poezyje jego odznaczają się wykończoną formą, zawsze artystycznym i wykwintnym pomysłem, niekłamanem uczuciem i wytworną ironiją. Rodzaj liryczny jest ulubionem polem jego natchnienia. Pisze też dla sceny: „Gałązka helijotropu“, „Walka stronnictw“, „Kiejstut“, „Żyd“, „Bracia Lerche“, „Konkurs dramatyczny“.

Abecadło.

* Lat temu będzie niepamiętam ile,
Lecz błogie były to chwile.
Byłem dzieckiem... francuzka, bona przy mnie [siadła
I dawała mi pierwszą lekcyję abecadła.
W przeciągu pół godziny poznałem pięć głosek,
Byłem zdolny — prosty wniosek.
To bogactwo wiedzy nowe
Tak mi obciążyło głowę,
Żem niedługo utrudzony
Usnął na kolanach bony.
Usnąłem... a moje świeże
Alfabetyczne znajome,
Wydały mi się niby żywe i ruchome
I błąkały się w eterze.
A... mające kształt drabinki,
E... od boku odemknięte,
I... rodzaj wysmukłej trzcinki,
M... dziwacznie w czworo zgięte
R... z dwóch różnych połów spięte.
Póty się ustawiały, mijały, tańczyły,
Aż słowo *Aimer* złożyły.
Błyszczały mi tak chwilę w złotym transparencie
Po chwili... jak na zaklęcie,
W innym staneły szeregu:
Te co były na środku, znalazły się z brzegu,
I jakby przez jakieś czary
Utworzyła się z nich; *Marie.*

* * *

Biegły lata... dorosłem... wiele różnych wrażeń
Doznałem i wspomnienie o nich zatraciłem;
Zapomniałem i o tem, co naówczas śniłem,
Choć to był elementarz mych dziecinnych marzeń.
Powiedz mi, pani, czemu, odkąd cię poznałem,
Sen dziecinny w pamięci stanął mi jak żywy?
Czemu sądzę, że w owem marzeniu czytałem
Wróżbę przyszłości szczęśliwej?

Dlaczego mnie niekiedy śmiech porywa szczery,
Gdy kto mówi, że liter jest dwadzieścia cztery,
I gotówbym oddać szyję,
Że ich więcej jak pięć niema: M. A. R. I. E.
Dlaczego pozbyć się nie mogę wiary,
Że aby być szczęśliwym bez granic i miary,
Dosyć jest pięć owych literek,
Dwakroć w odmienny poustawiać szereg,
A. I. M. E. R... M. A. R. I. E.
Powój (pseudonim).

Abnegacyja.

* *Kawaler.* Panno Zofijo! czyliż mam mówić o mojej abnegacyi?

Mama. Tylko bardzo proszę pana, nie odzywać się do porządnej panienki z takiemi ordynaryjnemi wyrazami.

„Kurjer Świąteczny“.

Pismo humorystyczne, wychodzące od r. 1861; redagował je pierwotnie Arkadyjusz Kleczewski, potem przeszło na własność Adama Łaszczyńskiego, obecnie Włodzimierz Pląskowski znakomicie Świątecznego prowadzi.

Abraham w niebezpieczeństwie.

* Pewnemu cierpliwemu mężowi umarła bardzo zła żona; przyjaciel pocieszyć go zaczął w te słowa: „Uspokój się, nie rozpaczaj: twoja małżonka siedzi teraz na łonie Abrahama.“ „O nieszczęśliwy, biedny Abraham, żal mi go doprawdy, przy pierwszej lepszej okazyi wydrapie mu oczy niezawodnie!“ odpowiada strapiony małżonek.

M. B. Saphir. (Patrz str. 1).

Absurda.

* Absurdem jest: przegrywać w karty i gniewać się o to. — Pytać wydawcę nowego pisma o liczbę prenumeratorów. — Oczekiwać na odpowiedź redakcyi odwrotną pocztą. — Przypuszczać, że recenzenci czytają coś więcej. niż okładki książek, które chwalą lub ganią.— Mieć kogoś za pobożnego dlatego, że chodzi co święto do kościoła. — Rozpaplać swoje sekreta i spodziewać się, że drudzy je zachowają. — Oddać komu przysługę i liczyć na wdzięczność. — Wytykać komuś błędy w oczy w nadziei, że się z nich poprawi. — Przed swoją ukochaną wychwalać piękność jej przyjaciołki. — Wypuścić z więzienia złodzieja bez sposobu do życia i zalecać mu żeby żył uczciwie. — Wierzyć, mając lat 50, że te i tym podobne absurda spełnić się mogą.

M. B. Saphir. (p. str. 1).

Abuzei i Tair.

— Winszuj ojcze — rzekł Tair — w dobrym [jestem stanie,
Jutrom szwagier sułtana i na polowanie
Z nim wyjeżdżam. Rzekł ojciec. — Wszystko [to odmienne,
Łaska pańska, gust kobiet, pogody jesienne. —
Jakoż zgadł. Piękny projekt wcale się nie [nadał;
Sułtan siostrę odmówił, cały dzień deszcz padał.

Ignacy Krasicki — ur. 1735 † 1801 r., ukończył szkoły w Rzymie. Po powrocie do kraju zyskał bardzo szybko wiele duchownych godności, a dowcip i ogłada towarzyska uczyniły go najpożądańszym gościem wszystkich salonów w Warszawie. Jeszcze za czasów saskich zaznajomił się ze Stanisławem Augustem, który, wstąpiwszy na tron, obdarował go biskupstwem warmińskiem. Pierwsze swe utwory drukował Krasicki w *Monitorze* oraz *Zabawach przyjemnych i pożytecznych* wychodzących pod redakcyą Albertrandego i Naruszewicza. Były to bajki i satyry, pisane z dowcipem i lekkością niepospolitą, a ośmieszające wady ówczesnego społeczeństwa. W r. 1772, gdy Warmija przeszła pod panowanie pruskie, pozostawał w zażyłych stosunkach z Fryderykiem II-im i za jego to natchnieniem podobno ośmieszył ciemnotę kleru zakonnego w „*Monachomachii*“. W poemacie satyrycznym „*Myszeis*“ wyszydzał znów współczesne sejmy i sejmiki. Prócz tego napisał: „*Przypadki Doświadczyńskiego*“, „*Pan Podstoli*“, „*Antimonochomachija*“, „*Wojna Chocimska*“, *Listy i pisma różne*“, „*Kalendarz Obywatelski*“, „*Powieść o losach narożnej kamienicy w mieście Kukurowcach*“; tłumaczył Plutarcha, „*Rozmowy zmarłych*“ Lucyjana i pisał dzieło o „*Rymotwórstwie i rymotwórcach*“. W roku 1775 mianowany arcybiskupem gnieźnieńskim. Satyry jego odznaczają się właściwą mu ironiją, więcej dokuczają kłując, aniżeli chłoszczą.

Adam.

* Gdy Ewa kądziel przędła, Adam ziemię kopał,
Kto tam był szlachcic wtenczas i kto komu
[chłopał?
Tak Adam gdy nam ojcem, Ewa gdy nam macią,
Wszyscyśmy sobie równą z tych rodziców bracią.

Andrzej Morsztyn — poeta, ur. około r. 1620, wielki podskarbi koronny za czasów Jana Kazimierza, w 1684 za zbytnie popieranie kandydata francuzkiego okrzyknięty zdrajcą, złożył urząd i wyniósł się do Francyi. Wzorował się na Owidyjuszu, Horacym, Petrarce; jak wszyscy poeci XVII wieku tym wpływom ulegał. Poezyje jego wyszły dopiero po śmierci, za życia zaś ukazały się: przekład „*Cyda*“ Kornela, „*Psyche*“, „*Lutnia*“, zbiór rymów. W ostatniem wydaniu arcydzieł literatury europejskiej S. Lewentala, Piotr Chmielowski podaje obszerny życiorys tego pisarza; studyja inne twierdzą o nim, iż należał do ludzi mało zajmujących się sprawami wewnętrznemi kraju.

* Gdy Adam przyszedł do samopoznania natychmiast postarał się o fartuszek, dlatego też młodzi ludzie zaledwie dojdą do jakiego takiego poznania, biegną za każdym ujrzanym fartuszkiem.

* Do znanego kompozytora tego nazwiska, przyszedł młody poeta z prośbą, aby dorobił operę do napisanego przezeń libretta, któremu dał tytuł „Ewa“. Adam przystał na odczytanie utworu, ale zaraz po pierwszych kartkach osądził że libretto było nader liche i niepodobne do przyjęcia. „Źle się pan zaadresowałeś“ rzecze, przerywając poecie czytanie, maestro. „Jakto?“ — „Czy pan wiesz jak ja się nazywam?“ — „O naturalnie, Adam!“ „Więc jakże pan możesz sądzić, żeby się ta opera udała. Musiałbym zgrzeszyć z tą Ewą, a publiczność zamieniłaby się w syczącego węża.“

M. B. Saphir. (p. str. 1).

* *Co Adam napisał po śmierci Ewy.*

„Z ciężko zasmuconem sercem uwiadamiam moich przyjaciół, znajomych i dobrodziejów, że po długich cierpieniach moja wierna małżonka opuściła ten świat. Zmarła skutkiem spożycia zbyt gorącego pieczonego jabłka, bez pomocy doktora, we wczesnym wieku lat ośmdziesięciu. Mogę z wszelką pewnością twierdzić, że żaden mąż na świecie nieposiadał tak doskonałej żony. Była wierną, co mogą poświadczyć wszyscy moi współbracia, była uległą, na czem się przecież poznał wąż jadowity, jednem słowem była ona wzorem wszystkich kobiet, które po niej rodzaj ludzki uczyły, w jaki sposób kwaśne jabłko ukąsić można. Cóż więcej wam powiem nad to... żem z nią razem mój raj utracił! A jakie ona usługi oddała światu kobiecemu, niech zaświadczą same kobiety, ona bowiem pierwsza wynalazła sztukę ubierania się. Redaktorowie nie wiedzą jakim ona była znakomitym redaktorem, toż ona z pierwszego listka już coś pożytecznego zrobić umiała... A jakaż to była małżonka... ja sam mogę powiedzieć. Nigdy nie roześmiała się do innego mężczyzny, nigdy nie dała ani powodu zazdrości, nigdy nie odeszła od mego boku, raz tylko jeden chyba, kiedy powstała z mego żebra, jako kość z kości mojej! Ach jakaż to była żona! rzadko znajdzie się taka, która wraz z mężem dług jego i błąd zapłaci. A ileż posiadała cnót, które wyróżniały ją między współczesnymi! Nie szukała towarzystwa, nie tańczyła walca ani kadryla, nie czytała francuzkich romansów, nie obmawiała bliźnich, i żadnego z bliźnich nie kochała tak jak swego małżonka, któremu się oddała, uważając go za jedynego swego powiernika... Ach, nikt nie umie ocenić mej straty. chyba ten co w podobnem położeniu mógł być na świecie. Przeżyłem z nią lat 60-siąt! Teraz kiedy już umarła, poznaję cały ogrom szczęścia, jaki mi stworzyła. Płaczcie ze mną wszyscy, którzy macie żony, lecz wyznajcie, czy znajdzie się jeden choćby odczuwający moje cierpienie? Pokój jej popiołom! Jakżebym je chętnie rozsypał na moje ciało, gdyby mi również pokój przyniosły! Wstrzymuję się od głośnej boleści, ale ciągłą mam i głęboką troskę, że z nikim już nie mogę podzielać mych uczuć! Ach, wam czuła i piękna połowo rodzaju ludzkiego, polecam

się stroskany wdowiec. Zwłoki będą pochowane jutro pod tem samem drzewem, gdzie Pan dał mi poznać wiadomość złego i dobrego! a kiedyś, kiedyś w przyszłości i ja tam pójdę po upragniony spokój!“

Adresy.

* Wiktor Hugo otrzymał list z takim adresem: „Największemu z poetów współczesnych“. Autor „*Listków jesiennych*“, nie otwierając go wcale dopisał na kopercie: „Ulica Uniwersytecka, Panu de Lamartine“, ale Lamartine przesłał znów to pismo na Place Royale — i ostatecznie nie wiadomo, który z dwóch sławnych ludzi zdecydował się pierwszy list rozpieczętować?

Adwokaci.

* Synowie Temidy nie mają szczęścia do humorystyki; są oni korpusem wojowników w czasie pokoju, a płatne regularne wojsko sprawiedliwości z góry na nich patrzy. Gdzie wiele spraw—tam jest ich raj; jak w Neapolu i Meklemburgu, który dzięki temu otrzymał nazwę krainy zatargów. Adwokacki figiel, adwokacki wykręt, adwokackie sumienie — są to wyrażenia przysłowiowe narodów, powstałe dzięki ich bystrej obserwacyi. Pewien adwokat, chcąc zaambarasować Swifta, zapytał go: „Gdyby duchowieństwo miało proces z dyjabłami, ktoby też wygrał?“ — „Naturalnie że dyjabeł“ — odpowiedział Swift bez wahania—„bo on ma wszystkich adwokatów za sobą.“ Odmęt praw pozwala adwokatom na podstępy wojenne i zwłoki, jakie nigdy nie mogą mieć miejsca między walczącymi synami Marsa. — „Kto z miecza żyje, nie może się skarżyć, jeżeli od miecza ginie,“ mówił śmiejąc się z żołnierza pewien adwokat. „Oby tylko wszyscy, którzy z prawa żyją, od prawa umierali“ — odparł żołnierz. Dwóch chłopów sprzeczało się o znalezioną ostrygę i poszli z nią po rozsądzenie do adwokata. „Przynieście jeszcze soli i pieprzu“ —rzekł im tenże, a gdy jego żądaniu zadość uczyniono, zjadł ostrygę i oddając każdemu z nich po skorupce, dodał: „Teraz możecie odejść, jesteście już równo podzieleni.“ Jest do doskonała charakterystyka korzyści z procesów, którą znakomicie określił nasz Krasicki w dwuwierszowej bajce:

Umarł Piotr, umarł Paweł, powróciwszy z grodu,
Ten, co przegrał — z rozpaczy, ten co wygrał — [z głodu.

Pewien podróżny, pierwszy raz znalazłszy się na morzu, gdy ujrzał haję, zapytał majtka, jak się to zwierzę nazywa? „Niewiem, jak go zowią na lądzie“,—odrzekł zapytany—„my go nazywamy adwokatem morskim.“ Szczęśliwymi jesteście, o dzieci Neptuna! w waszym żywiole tylko haje są adwokatami. Ileż to złota, pracy ludzkiej i dowcipu pochłonęły procesy! Największym procesem, jaki znał świat, był tak zwany proces Hastingsa, dotyczący spraw Indyi. Już w r. 1788 wypotrzebowano nań 18 beczek atramentu; koszta kopijowania wynosiły 138 milijonów talarów, a do przewiezienia akt potrzeba było 50 wozów. Rodzi się pytanie, ile czasu i dowcipu na to musiał zużyć prowadzący sprawę adwokat? Podobna sprawa w minijaturze przez lat 8 ciągnęła się u nas między dwoma chłopami o trzy kaczki. Jedna ze stron obwiniała drugą o skradzenie ich po latach kilku, a adwokat jej likwidował sobie straconych korzyści kilkanaście tysięcy rubli, obliczając, iż kaczka w ciągu roku znosi jaj tyle a tyle, z tych jaj zniesionych powstają znów kaczki, które znów znoszą jaja i t. d. bez końca. Proces przeszedł dwie instancyje z różnemi wyrokami: w ostatniej dopiero, gdy obaj klijenci dobrze już napełnili kieszenie adwokatów, znalazł się argument w krótkiem pytaniu, które rzecznik jednej ze stron, zadał stronie drugiej: „Dobrze, gotowi jesteśmy zapłacić poszkodowanemu sumę żądaną, domagamy się tylko, aby nam dowódł, że wylęgnięte jaja dały światu kaczki, a nie kaczorów“. Adwokat podobnie jak doktór, gra troistą rolę: anioła przy przyjęciu procesu, człowieka przy prowadzeniu i dyjabła przy likwidacyi

kosztów, dlatego też jak doktorowi, nie można mu brać za złe, że się trzyma reguły Gelerta, która brzmi: „Gdy chory drży o swoje życie, a proces stoi na niepewnej drodze, wtedy należy domagać się zapłaty, bo skoro choroba się przesili, a proces już nie jest groźnym, wtedy nikt płacić nie chce“. Gelert, ów, spekulant procesowy, odstępując synowi swemu, wracającemu świeżo z uniwersytetu, proces o chlew świński, gdy ten skończył go w dniach kilku, zgorszony woła: „Ośle, jabym z tego mógł żyć dwa lata!“ Sprawiedliwem jest też wyrażenie się Turka, który z jakimś procesem przyjechał do Wiednia: „Przybyłem tutaj z procesem, spisanym na jednym arkuszu i z długą rolką pistolów, teraz mam już więcej jak dwa sążnie papieru, a moja rolka złota zaledwie jeden cal długości.“ Charakterystycznym też jest rachunek adwokacki, podany jednemu z procesujących się, w którym figuruje pozycyja 10 guldenów za obudzenie się dwa razy w nocy w celu myślenia o interesie. Ponieważ drogo się płaci za słowa, przeto adwokaci nie żałują ich nigdy. Jeden z mówców przy procesie o mur graniczny, wpadł na Troję, a dalej zaczął mówić o Salamandrze, aż mu przeciwnik przerwał mówiąc: „Mój klijent nazywa się Hans Mitel, a nie Salamandra“. W procesie o koguta pewnego Matiasa, w którym obrońca mówił wiele o *gallus Mathai*, pomyliwszy się rzekł raz: *galli Mathias*, zkąd poszło dotąd używane wyrażenie *galimatias*, oznaczające paplaninę bez sensu. Zaiste wobec tych wszystkich faktów trudno zrozumieć nałóg procesowania się, jaki często spotkać można. Czyni to zupełnie wrażenie owego osobnika, który założył się z pewnym słynnym strzelcem, że nie trafi w talara, którego on trzymać będzie w ręku, a kiedy strzelec zamiast talara przestrzelił mu rękę, krzyknął: „Aj! aj! wygrałem!“ Pewien adwokat utrzymywał, że nic tak nie męczy człowieka, jak jawne cierpienie niesprawiedliwości. „Ale czy pański przeciwnik nie może pana podobnym zarzutem zawstydzić?“ zapytano go. — „Zawstydzić? nigdy; przeciwnie, powtarzam wtedy jeszcze śmielej moje zdanie, przedstawiam je jako rzecz, nie ulegającą najmniejszej wątpliwości, a na argumenta przeciwne milczę, ruszając ramionami, mój przeciwnik też milczy i dostaje ataku febry.“ Jakże mało adwokatów zasługuje na taki nagrobek:

Pod tym grobowcem adwokat spoczywa,
Który nikomu nie wyrządził szkody,
Nawet, jak to rzadko bywa,
Namawiał wszystkich do zgody.
Zostawił wszystkich w żalu,
Umarł bowiem w szpitalu.

Adwokat powinien tem być dla sędziego, czem aptekarz dla lekarza, tylko że aptekarz zna dobrze skrupuły, a adwokat ich nie zna wcale. Pewien niemiecki rzecznik zadawał zawsze swoim klijentom trzy pytania: 1) Czy mają pieniądze? 2) Czy umieją zapierać się i przysięgać? i 3) Czy potrafią wytrzymać tortury? a gdy na wszystko otrzymał potakującą odpowiedź, mówił: „W takim razie biorę wszystko na siebie.“ Jeden ze staroniemieckich autorów opowiada, że pewnego razu do podróżującego adwokata przyłączył się dyjabeł i towarzyszył mu. W drodze spotykają chłopaka, popędzającego świnię, która iść nie chciała: „Idź że do dyjabła!“ krzyczy rozgniewany chłopiec. „Bierz że ją“ mówi do towarzysza adwokat, ale ten odpowiada: „Eh! on to powiedział nie na seryjo.“ Dalej spotykają męża, kłócącego się z żoną. „Bodaj cię dyjabeł porwał!“ woła mąż. „A łap że ją!“ radzi znów adwokat. „Nie mogę, bo i to nie na seryjo,“ odpowiada dyjabeł. Aż wreszcie wchodzą do miejsca zamieszkania adwokata. Tu, gdy ujrzano wracającego, poczęto wołać na wszystkie strony: „Aby cię dyjabeł porwał łotrze!“ „Otóż to życzenie, idące prosto z serca,“ zawołał dyjabeł i ująwszy za łeb adwokata, zabrał go jak swego do piekła. Możnaby ułożyć całą encyklopedyę adwokackich figlów i leksykon sztuczek, a na pierwszej stronnicy umieścić życiorys tego adwokata, który wyzwany jako rywal o kochankę przez oficera, przyniósł dwa pistole-

ty, mówiąc: „Szpady nigdy nie próbowałem, ale oto są nabite pistolety, zostawiam panu pierwszy strzał.“ Oficer, nie namyślając się długo, porwał za pistolet i strzelił do adwokata, który upadł jak długi. Oficer, uważając się za mordercę, natychmiast wziął pocztę i czmychnął zagranicę, adwokat zaś wstał zdrów i ożenił się z dziewczyną, bo pistolety były nabite prochem.

Wszystko to mówi Weber o adwokatach niemieckich, i u nas jednak nie brakowało prawdziwie dowcipnych adwokatów. „Tu mi włosy na dłoni wyrosną, jak kolega wygrasz tę sprawę,“ mówi jeden z adwokatów do przeciwnika przed kratkami. „Eh! szanowny kolego, gdyby się sprawdzały te twoje słowa, które przy stu procesach przez was przegranych słyszałem, moglibyście już z włosów wyrosłych na dłoni pleść warkocze“. „Prawdą nazywa się to wszystko“ — mówi jeden adwokat, wprowadzając sprawę — „co dowodzenia nie potrzebuje, co słusznością swoją bije w oczy.“ „Prawdą nazywa się to wszystko“ — mówi przeciwnik — „czego właśnie szanowny mój kolega nie mówi.“

Nie idzie zupełnie zatem, aby adwokaci nie zasługiwali na szacunek zwłaszcza ci, którzy, rozumiejąc swoje stanowisko, bronią tylko spraw uczciwych a czystych i dla których zdanie: „niema złych spraw, tylko są źli adwokaci“ jest absurdem. Kato radził, aby wszystkie procesy olbrzymie opodatkować, a *forum romanum* na którem takowe sądzono wybrukować spiczastemi kamieniami. Jest jednakże lepszy środek anti-procesowy: znieść adwokatów. Łatwiej to jednak powiedzieć, aniżeli wykonać, tymczasem więc *mutatis mutandis* zostać tak dalej musi aż do ostatniego sądu, na którym nie będzie już ani terminów, ani rekursów, ani apelacyj, ani protestów, a nadewszystko żadnych a żadnych adwokatów.

„*Demokritos*“ *Weber*. (p. str. 4)

* Lord *Eldon* umierając w Londynie w roku 1876 zapisał cały swój majątek na szpital waryjatów mówiąc:

— Oddaję waryjatom com od nich zarobił.

Lord był bowiem adwokatem i wszystkich swych klijentów uważał za szalonych.

* Pewien adwokat w New-Yorku, zwykł był przed sądem wprawiać w zakłopotanie pytaniami swemi, świadków przeciwnej strony. Razu jednego zapytał któregoś z nich, gdzie się znajdował podczas zaszłego wypadku.

— W towarzystwie dwóch moich przyjaciół — była odpowiedź.

— Przyjaciół? — zawołał adwokat — powiedz raczej podobnych tobie dwóch ptaszków!

— Być może — odrzekł świadek — gdyż obaj byli adwokatami.

Adwokat zamilkł przygryzając usta.

* Przez ulice miasta szedł wieśniak z synem swoim i pędził stado indyków. Nagle na skręcie ulicy wjeżdża na niego kareta w całym pędzie. Stado indyków rozpierzchło się ale jeden z ptaków dostał się pod końskie kopyta i został na placu zgnieciony. Wieśniak strapiony porywa indyka i pędzi za karetą, która niebawem staje przed wspaniałą kamienicą. Lokaj otwiera drzwiczki, z karety wychodzi wystrojona dama i zdąża na schody. Wieśniak za nią, dama z lokajem wchodzą na pierwsze piętro i drzwi przed nosem wieśniaka zatrzaskują. Wieśniak umiał czytać i zobaczył na drzwiach napisane nazwisko X. X.

Na drugich drzwiach naprzeciwko tychże, ujrzał napis „Adwokat“.

— Aha! — myśli sobie — oto czego mi potrzeba. Bierze za klamkę, drzwi się otwierają, wchodzi z zabitym indykiem pod pachą, do kancelaryi jednego z pierwszych adwokatów w mieście.

Prowadzą go do samego pryncypała, wysokiego mężczyzny ze złotemi okularami na nosie.

— Cóż to powiecie dobry człowieku?

Wieśniak opowiada długą historyję o swoich indorach i pokazuje zabitego domagając się sprawiedliwości i 5 guldenów za stratę.

— Otrzymacie je niezawodnie. Pani ta musi zabrać przejechanego indora a wam za niego zapłacić, sąd wam to przyzna. Panie dependencie, proszę napisać skargę. Ale, ale, jakże się ta pani nazywa i gdzie mieszka?

— Tuż obok, proszę wielmożnego adwokata i nazywa się X. X.

— Jakto! — woła zdumiony mecenas—ależ to moja żona!

Wieśniak nie mniej zdziwioną ma minę.

Przy bliższem zbadaniu sprawy, dowiadują się wszyscy iż tak jest rzeczywiście.

— A zatem, mój przyjacielu—rzecze adwokat - żona moja winna ci 5 guldenów. Mnie zaś za spisanie skargi i poradę należy się podług taksy całych 6 guldenów. Potrąciwszy więc te 5, które ci moja żona winna, dopłacisz mi guldena i zostawisz indyka, który tem samem do nas należy.

Chłop żadną miarą nie mógł tych kombinacyi pojąć ale mu wytłomaczono że jest skończonym idyjotą i musiał się z długu uiścić.

Odszedł bez indora i z jednym guldenem mniej w kieszeni.

(*Anekdoten-Bibliothek, Hartleben*).

* Adwokat konsystorski, który jest feniksem w swoim rodzaju, za pięćdziesiąt czerwonych złotych matce dziesięciorga dzieci dowiedzie, że jest bezpłodną.

Henryk Rzewuski—powieściopisarz i publicysta, ur. 1791, przez Mickiewicza zachęcony, rozpoczął zawód od: „*Pamiętników Imć pana Seweryna Soplicy, cześnika parnawskiego*". Pisarz przekonań szlachecko-katolickich. Jego „*Mieszaniny obyczajowe*", wydane pod pseud. Jarosza Bejły, należały do kategoryi utworów literackich, któremi większość współczesna gardziła. Powieści jego posiadają różną wartość; „*Listopad*" jest arcydziełem, „*Pamiętniki Michałowskiego*" — lichotą, w której odbijają się też same tendencyje, co w „*Mieszaninach*". Pióro ma barwne i cięte, humor brylantowy. Prócz powyższych napisał: „*Zamek krakowski*", „*Adam Śmigielski*", „*Łaska i przeznaczenie*", „*Rycerz Lizdejko*", „*Zaporożec*", „*Paź złotowłosy*", „*Teofrast polski*", „*Nie bajki*", „*Wędrówki umysłowe*". Redagował i wydawał za czasów księcia Paszkiewicza *Dziennik Warszawski* i był w biurze tego namiestnika urzędnikiem do szczególnych poruczeń. Z dowcipu słynął nie tylko w utworach literackich, ale i w życiu towarzyskiem.

* Adwokat, jest to mądry człowiek żyjący z głupoty drugich i mający sobie za obowiązek sumienia przeciągać wszystko, nawet twarze swoich klijentów gdy mu płacić muszą.

* Dwóch adwokatów kłóciło się zawzięcie przed kratkami, broniąc sprawy swoich klijentów; ustępując zaś z sali sądowej podali sobie ręce i wyszli razem w najlepszej komitywie. Gdy jednemu z nich klijent wyraził zdziwienie, swoje z tego powodu, odpowiedział: „Widzisz pan, my jesteśmy jak nożyczki: patrząc na nie można by myśleć że same się ścinają, tymczasem szkodzą one tylko temu, kto się między nie dostanie."

* Pewien adwokat bronił sprawy małego chłopca, któremu zaprzeczano prawa do spadku. Po przeczytaniu obrony, dla wzbudzenia większej litości w sędziach i obecnych wziął dziecko na ręce i podnosząc je w górę zawołał „Oto jest biedny sierota, którego chcą obedrzeć!" Malec krzyczał żałośnie, a wszyscy zebrani, nie wyłączając sędziów płakali z rozrzewnienia. Wtem adwokat strony przeciwnej wziąwszy nagle dziecko za rękę zapytał ostro: „Czego tak krzyczysz?" „Ach! bo pan adwokat tak mnie szczypie!" odparł chłopiec, a cała sala zabrzmiała śmiechem obecnych.

M. B. Saphir. (p. str. 1.)

* — Czy myślisz że ta zawikłana sprawa mogłaby się załatwić przez ugodę?

— Zapewne, gdyby strony nas nie przyzwały.

* *Adwokat.* Pozywasz pan o zapłacenie przypadającej mu należności, ale czyś pan w swoim czasie podawał dłużnikowi formalny rachunek?

Klijent. Kilkakrotnie nawet podawałem.

Adwokat. I cóż on na to?

Klijent. Kazał mi za każdą razą iść do dyjabła!

Adwokat. I cóżeś pan zrobił potem?

Klijent. A cóż? oto przyszedłem do pana adwokata. *Kolce.*

Pismo humorystyczne, wychodzące od r. 1871 pod redakcyją M. Dzikowskiego, pierwotnie jako pojedyńcze nie stanowiące całości zeszyty. Następnie zamienione zostało na pismo tygodniowe. Redagował je Edmund Wężyk. Poczem przeszło na własność dotychczasowego właściciela Aleksandra Pajewskiego. Kierunek literacki spoczywał kolejno w rękach: Jana Maurycego Kamińskiego, Władysława Noskowskiego, Wiktora Gomulickiego i Józefa Kotarbińskiego.

* *Sędzia.* Jesteś pan tu urodzony, katolik, lat 40, adwokat?

Świadek. Tak jest, panie sędzio.

Sędzia. Ponieważ zostałeś pan powołany na świadka, upraszam więc przedewszystkiem, abyś tutaj zapomniał o swojem powołaniu i mówił nam tylko szczerą prawdę.

* Pytał się ktoś patrona:
„Która lepsza strona,
Powód czy pozwany?“
— „Niby — do wygranej?
Rzecze patron — dla prawnika
Jedna korzyść ztąd wynika:
Co do racyi — pal ją kaci!
Przegram — wygram — klijent płaci!“

* Otwórz! — A kto tam? — Ja. — Niesiesz co? — [Bardzo wiele
Kapłony, kaczki, gęsi, barana i ciele.
Otwórz. — A niosą tam z drugiej strony czego?
Oto wiodą dwa wieprze i woła karmnego.
Powiedz pierwszym, żem wdzięczen za pamięć [łaskawą,
Otwórz drugim, bo pewnie idą z lepszą sprawą.

Stanisław Duńczewski, ur. 1701 † 1766. Doktór obojga praw i filozofii, profesor astronomii w Akademii Zamoyskich, zyskał rozgłos przez kalendarze, wydawane od 1725—1775 p. t. „Kalendarz polski i ruski“. Oprócz tego ogłosił drukiem: „*Trydent herbowej kopii*“, „*Dwie gwiazdy sarmackie*“, *Ciekawość o komecie*“, „*Herbarz*“, „*Traktat o starostwach*“, „*Nowa sława Kollegjum Wars. S. J.*“

Afekt.

* *Młody neofita* (patrząc na piękną izraelitkę). Gdybym był żydem, ożeniłbym się z nią natychmiast.

Przyjaciel. Szkoda, trzeba, ci było przy chrzcie wziąść kontramarkę.

Aforyzmy.

* Warstwy towarzyskie są podobne do potrawy, zwanej naleśnikiem.

Bez konfitur pracy i dobrych czynów pozostałyby zwykłem jałowem i pozbawionem smaku ciastem.

—o—

* Pierwszym na kuli ziemskiej dziennikarzem był Kain, on to bowiem pierwszy wszczął polemikę ze swoim przeciwnikiem w przekonaniach... Ablem.

—o—

* Kobiety tak długo będą pędziły niewolniczy żywot, dopóki z powierzchni kuli ziemskiej nie znikną moda i fortepijany.

—o—

* Niemoralna powieść ma wiele wspólnego z tiurniurą: oboje rzucają jaskrawe światło na rzeczy, których zadaniem jest spoczywanie za kulisami przyzwoitości.

—o—

* Każda z kobiet jest znakomitym matematykiem, nadewszystko bowiem przenosi *dodawanie* wdzięków, *odejmowanie* lat, *mnożenie* adoratorów i *dzielenie* tajemnic pomiędzy gadatliwe przyjaciołki.

—o—

* Gdyby nasze panie były czystej rasy murzynkami, nieomylnie obsypywały by twarze węglem, dla przesadzenia natury.

Kto nie wierzy, niechaj spojrzy na wypudrowane oblicza białych kobiet.

—o—

* Kobiety wychodzące za mąż dla poprawy opinii zapominają, iż nawet najlepszy parasol nie zapobiegnie przemoknięciu człowieka, który już przedtem przemókł do nitki.

—o—

* Najbardziej magnetyczny wzrok kobiety nie poruszy z miejsca cienkiej igiełki, lecz natomiast pociągnie cały zastęp mężczyzn.

—o—

* Człowiek zarozumiały podobny jest do nadętego pęcherza — dlatego też pływa wspaniale po sadzawce głupoty.

—o—

* Miłość jest to według pewnego myśliciela abstrakcyjny samowar, dlatego że z początku kipi, a potem prędko stygnie.

—o—

* Znany specyjalista twierdzi, że miłość jest to przedsięwzięcie, nie gwarantujące nigdy zwrotu wyłożonego kapitału.

—o—

* Pewien głęboki uczony dowodzi, że miłość w wieku podeszłym jest to depesza własna redakcyjna, t. j. spóźniona cokolwiek.

Świąteczny.

—o—

* *Jeden z naszych poetów powiedział:*

Kochać się w starej babie, jest to ciężko [zgrzeszyć,
Bo i Boga obrazić—i dyjabła rozśmieszyć.

A drugi rzekł:

Kochać się w starej babie, jest to duszę [zbawić,
W samym bowiem uczynku—pokutę odprawić!

„Noworocznik wolnych żartów“.

Wolne żarty czyli *Szpargały bocianów polskich* — wychodzące od roku 1858 — 1859 w Warszawie. Redaktorami pisma tego byli: Lewestam i Gregorowicz, a współpracownikami prawie wszyscy współcześni literaci polscy. *Wolne żarty* były niejako zapowiedzią późniejszego rozkwitu czasopiśmiennictwa warszawskiego.

—o—

* Natura jest najdoskonalszą symfoniją, każdy człowiek jest w niej pojedynczą nutą, a ten nawet który tego nie uznaje, pomimo swej woli, bierze udział w harmonii całości odgrywając rolę pauzy.

Muzyk.

—o—

* Pewien bogacz zapytał się Woltera, jakim sposobem wielcy panowie dostają się do nieba.

— Wtenczas tylko—odpowiedział Wolter — kiedy umierają w kolebce.

Śmieszek, pismo humorystyczne, wychodzące od r. 1828—1829 pod redakcyją Alojzego Żółkowskiego.

—o—

* Cyrce Ulisesowe towarzystwo w świnie
Obróciła, dawszy im w czarze czarów w winie.
A Hansa choć żadne nie przewierzgną czary,
Zaraz gotów być świnią, jak dopadnie czary.

Andrzej Morsztyn. (p. str. 6).

—o—

* Lepsze jedno dziś, niż dwoje jutro; a co ja mam to ja mam, a po mojej śmierci niech chceli i niebo upadnie a skowronki potłucze.

Mikołaj Rej z Nagłowic — ur. 1505 † 1568 roku, poeta. Pisał wierszem polskim. Samouczek rozwijał się pod wpływem ciągłego obcowania z przyrodą; król Zygmunt i Bona dali mu wieś i jurgelt; protegowali: Tęczyński, wojewoda sandomierski, Sieniawski, wojewoda bełzki, Gamrat, arcybiskup. Ulegając nowinkom z zachodu, stał się rzecznikiem wolnej myśli; pierwszą jego pracą był przekład psalmów Dawidowych, pierwszą wydaną książką, a raczej dyjalogiem satyryczno - obyczajowym: *„Krótka rozprawa między trzema osobami: panem, wójtem i plebanem“.* Następnie wydaje: *„Żywot Józefa, rozdzielony w rozmowach person“* próba dramatu świeckiego opartego na treści biblijnej. W interesie reformacyi napisał: *„Świętych słów spraw Pańskich które tu sprawował Pan Zbawiciel nasz na tym świecie, to jest kronika albo postylla polska i językiem polskim a prostym przykładem też dla prostaków uczyniona“.* W kierunku moralno - obyczajowym wydał: *„Wizerunek własny człowieka poczciwego“*; *„Zwierzyniec, w którym rozmaitych stanów ludzi, zwierząt, kształty, przypadki i obyczaje są opisane“*; *„Zwierciadło albo kształt w którym każdy stan może się snadnie swym sprawom przypatrzeć“* (arcydzieło literatury ówczesnej); *„Figliki“*; *„Powieści przypadłe“*; *„Apoftegmata“.*

—o—

* Serce kobiety podobne jest do hypoteki nie dlatego, że jest realną własnością, ale dlatego, że nabywca znajduje tam zawsze pewne zastrzeżenia.

* Kto uprawia sztukę dla sztuki, odnosi takie zyski jako i ten, kto sieje pszenicę na piasku.

* Gry tak zwane komercyjne podobne są do młocki ręcznej. Młóć cały dzień, a namłócisz kilka rubli. Gry hazardowne podobne są do młocarni parowej; za godzinę mogą kilkaset rubli wymłócić z kieszeni.

* Kiedym wziął od Icka pieniądze za wełnę i pszenicę, zdawało mi się, że jestem superarbitrem sądu polubownego, w sprawie zawikłanych działów zadawnionego kontrowersu. Ztąd też miałem wiele kłopotu, komu przysądzić posiadane summy: czy towarzystwu kredytowemu? czy Szmulowi? Wybawiła mię z kłopotu żona, zabrawszy pieniądze do kąpieli—w Ostendzie.

Agronom.

—o—

* Czemuż te głupie krowy zamiast siana nie chcą przyjąć wekslu z terminem na jesień.

Świąteczny.

—o—

* Uważaj to aby się gęba z mieszkiem (workiem) zgadzała a nie daj jej naprzód wyskakować. Boć jako przodek weźmie, już potem mieszka, ledwie kijem do kresu dopędzisz.

M. Rej. (p. str. 12).

—o—

* Trudno baby oszukać, wysłać byle troje,
Wronami dyjabeł karmił pokolenie swoje...

Potocki Wacław — ur. około 1622 † 1696, podczaszy krakowski. Z wielu jego utworów najgodniejszym uwagi jest poemat „*Wojna Chocimska*“ — rzecz wspaniała, owiana obywatelsko-religijną tendencyją w połączeniu z animuszem rycerskim. W „*Jovialitates*“ charakteryzuje dosadnie życie współczesne. Ascetyzm w który wpadł pod koniec życia, skrzywił polot tego pełnego idei ducha.

—o—

* A cóż babom po bajkach? Same baby bajką.
Próżno zmarszczki trefioną zasłaniać kitajką.

Żeglicki Arnulf — pedagog i teolog. Ur. 1696 † 1766. Wychowaniec pijarów, następnie członek zgromadzenia tychże. Był profesorem w Rzeszowie, Międzyrzecu, Warszawie, następnie zarządzał kolegijami w Chełmie i na Podolu. Wydał „*Inwentarz praw i konstytucyi koronnych do 1736 r. doprowadzony*“, „*Adagia polonica salectoribus tam patria quam latina eruditione insignium authorum septentici illustrata*“, „*Biblioteca sacramentalis*“ i w. innych.

—o—

* Pewien bankier wypowiedział następujące aforyzmy, które, zdaje się, przejdą do potomności:

* Gdyby niebyło literatury, toby człowiek na *inne* głupstwa wydawał pieniądze.

* Powiadają: „milczeniem daleko zajedziesz“. Wierutne bajki. Lokomotywa jedzie daleko, a przecież hałasuje...

* Redaktor jest świecą swego organu — prenumeratorzy jednak knotem. Gdyby nie było tych ostatnich i najtęższy umysł redaktorski nie wydawałby światła.

* Kiedy Aleksander Wielki się narodził, to także był malutki...

* Nowa ziemia na wieczną pamiątkę swego odkrywcy Krzysztofa Kolumba nazwana jest Ameryką...

* Czem starszy jest człowiek, tem wolniej chodzi, a jednakże tem rychlej bieży do grobu...

* Daty najlepiej pamięta wierzyciel i gospodarz domu.

* Niezawsze pieniądze przynoszą szczęście. Tym, którzy ich niemają, pieniądze nigdy szczęścia nie przyniosą...

* Żonatego człowieka nazywają *mężem* dlatego, że trzeba wiele *męztwa*, aby nieść jarzmo małżeńskie...

—o—

* Salomon mądry, który wszystko wiedział,
O białogłowie tak niegdyś powiedział:
Że sekretowi (z doświadczenia wiele)
Wino z niewiastą są nieprzyjaciele.

Jabłonowski Józef Aleksander—wojewoda nowogrodzki ur. 1712 † 1773. Był członkiem akademii francuzkiej. W Lipsku założył towarzystwo naukowe „*Societas jablonowiana*". Wydał „*Ustawy i zdania o zepsuciu serca ludzkiego*", „*L'empire des Sarmates*", „*Herałdyka*" (dzieło cenne, wartością przewyższające Niesieckiego, Wielądka), i w. innych.

—o—

* Białogłówki, kiedy się gdzie zejdą, już tam każdy musi być obramowan (obmówion, osławion) i oszacowan.

Wujek Jakub — słynny teolog i kaznodzieja ur. 1540 † 1597. Jezuita, profesor, wykładał filozofiję, teologiję i język grecki. Nauczyciel synowca Batorego—Zygmunta, słynny ze sporów uczonych z najzaciętszymi ówczesnymi przeciwnikami katolicyzmu Socynem, Stankarem i Niemojewskim. Nazywany polskim Hieronimem za przekład Biblii językiem zdrowym i prostym, który oczyścił i ogładził, czyniąc go szykowniejszym w toku i harmonijnym. Znaczniejsze jego dzieła są: „*Postylla katolicka t. j. kazania na cały rok*", „*Postylla katolicka mniejsza*"; „*Apologija, t. j. obrona Postylli katolickiej*"; „*O Kościele*"; „*O Transsubstanzyi*"; „*O bóstwie Syna Bożego i Ducha Świętego*"; „*Psalterz Dawidów*" i t p.

—o—

* Żeś białogłowy z kości stworzył, Panie,
Nie jednemu też kością w gardle stanie.

Bratkowski Stanisław — pisał utwory dramatyczne: „*Ja i on*", „*Pan Władysław*", rozprawy polityczne, historyczne oraz innej treści — które ogłaszał pomiędzy 1820 a 30 rokiem.

—o—

* Czemu mędrsi mężczyźni, niźli białogłowy?
Bo te początek mają swoy z żebra, a nie [z głowy.

Z dawnych żartów.

—o—

* Małoć ciało o tem myśli, kiedy się naje, jeśli na srebrze, jeśli na glinianianej misie jadło, kiloby się najadło. Mało też o tem myśli, jeśli na pstrej kołdrze albo na prostym wezgłówku spało, kilo, iż smaczno spało, albo iż się naspało. Albo także, jeśli z malowanej albo z prostej myśliwskiej sklenice piło, bo mu dosyć na tem, iż się napiło. *Rej.* (p. str. 12).

—o—

* Rzadkaż to w białej głowie cnota sekret [trzymać!
Zawiąż jej gębę — ona się będzie odymać,
Aż się bokiem, a zwłaszcza w gniewie wydrze [drugi...
Szkoda się przeć: ledwieście nie wszystkie [papugi.

Wacław Potocki. (p. str. 13).

—o—

* Białogłowy, które się bawią, nazywają się kawalerkami: iż jeżdżą na głowie amantów, jak na ośle; bo to z włoskiego *caballo* — koń, z łacińskiego *caballus*; jak tedy rycerz koniem, tak te panie kochankami swymi rządzą.

Starowolski Szymon — ur. 1588 † 1656 Najuczeńszy i najzasłużeńszy z pisarzów i erudytów polskich XVII w. Spuścizna po nim nador obfita, z ważniejszych prac wyliczamy: „*Życiorysy sławnych polaków*", „*De regibus Sigismundi*", „*Polonia*", „*Reformacyja obyczajów polskich*" „*Monumenta Sarmatorum*".

—o—

* Kiedy co komu rzecze białogłowa,
Pisz jej na rzece i na wodzie słowa.

Kochanowski Jan—zwany najsłuszniej księciem poetów polskich, ur. w Sycynie 1530 † 1580. W młodym wieku zwiedził Niemcy, Włochy, Francyję. Podczas pobytu w tej ostatniej zabrał znajomość z Ronsardem, którego wpływ skłonił go do uprawiania poezyi narodowej. W r. 1573 osiadł w Czarnolesiu, gdzie tworzy cały szereg arcydzieł. „*Psalterz Dawidow*", „*Satyr*", „*Zgoda*", „*Sonety*", *Proporzec*", „*Odprawa posłów greckich*", „*Treny*"—oto tytuły klejnotów, które mi literaturę obdarzył. Niegardził też formą ulotną—czego dowodem są jowialne „*Fraszki*", stanowiące probierz szlacheckiego humoru a zarazem wybornie ilustrujące życie domowe ówczesnych.

—o—

* Nadzieja jest jak kwiat we włosach — chwieje się za każdym wiatru powiewem... Mi-

łość jest to kwiat u piersi — wieczorem opada... Wiara — to kwiat, który kryje się w głębinach serca i tam kwitnie do końca życia... Kiedy człowiek nadzieję i miłość utraci na ziemi — zostaje mu wiara i, jak wierny przewodnik wiedzie go do bram nieskończoności...

—o—

* Cukiernik tem się różni od drzewa, że wydaje pączki w zimie, wbrew wszelkim prawom natury.

Świąteczny.

—o—

* Kredyt to bańka — troszkę utnie, ale uzdrawia. Zachwiany kredyt to pijawka — krew trudniej zatamować. Lichwiarz — to puszczadło, które zamiast żyły przecięło arterję.

I pan Kosiński na to nie poradzi, zwłaszcza jeżeli nie zdąży przybyć na czas i ligaturę założyć.

Nasze wygórowane potrzeby — to tylko mydło, które się pieni... Niemcy — to brzytwy: cudownie nas golą...

Dać głupiemu majątek, a wyrwać zdrowemu wszystkie zęby — to jedno.

Pan doktór każe mi krajać trupa i powiada dlaczego umarł — historyk również odbywa sekcyję na zwłokach narodu.

Nie zdarzyło mi się jednak widzieć, aby pokrajany i zaszyty przezemnie nieboszczyk ożył.

Ot, wszystko głupstwo! Ruch w razurze — to grunt...

Aforyzmy starego felczera.

—o—

* Gość częsty i długi rychło się sprzykrzy; gość i ryba trzeciego dnia cuchnie.

Knapski Grzegorz — znakomity leksykograf polski jezuita, ur. 1564 † 1638. Oprócz prac ściśle naukowych, stanowiących epokę w leksykografii, wydał zbiór sentencyj naukowych i przysłów polskich, „*Idiotismi polonici*“ (w innych wydaniach „*Synonima*“) - które uczyniły go niezwykle popularnym.

—o—

* Kobieta do dwudziestu pięciu lat bywa bożyszczem, do trzydziestu pięciu może być aniołem, po czterdziestu staje się opatrznością.

—o—

* Gdyby kawalerowie zostawali kawalerami, zabrakło by... kawalerów.

Ileż to razy kobiety posądzają kawalera o brak serca w piersi, a nie podejrzywają braku pieczeni w jego żołądku!

Adam za czasów kawalerskich prowadził się porządnie, nie robił długów i... nie wyszedł lepiej od dzisiejszego śmiertelnika.

Kobiety zwykły narzekać na dzisiejsze zepsucie obyczajów kawalerskich, a nie chcą zrozumieć, iż jedynym tego powodem są... kobiety.

Najlepszym kawalerem względem kobiet jest ten, kóry może... nie zostać kawalerem na zawsze.

Porządny kawaler jest nieszczęśliwą ofiarą, stan jego bowiem musi się zawsze zakończyć katastrofą... małżeńską.

Kawaler..

—o—

* Dopókiś młody, czytelniku, wierz kobiotom, a będziesz zawsze szczęśliwy.

Gdy się zestarzejesz, niedowierzaj im stale, a nie będziesz nigdy nieszczęśliwy.

—o—

* Serce u kobiety — to księga cenna,
Oprawna w srebro i złoto;
Rzadko kto z mężczyzn czyta ją pilnie,
Każdy przerzuci z ochotą.

—o—

* Jeżeli małżeństwo zawiera się z miłości, nowozaślubieni są *mężem i żoną*, jeżeli z nudów — *panem i panią* domu, jeżeli z wyrachowania — *małżonkiem i małżonką*. *Żony* nas kochają, *panie* domu cenią, *małżonki* znoszą. *Żonę* się ma dla siebie, *panią* domu dla gości, *małżonkę* dla świata. Chorego męża *żona* pielęgnuje, *pani* domu odwiedza, *małżonka* dowiaduje się o zdrowie. *Żona* dzieli się naszemi troskami; *pani* domu dochodami, *małżonka* długami. Po śmierci opłakuje nas *żona*, żałuje *pani* domu, nosi żałobę *małżonka*.

—o—

* Kobiety są z natury konserwatywne; nie lubią postępu... lat.

—o—

* Kobieta jest najbliższą prawdy, gdy pisze do przyjaciółki: „Najdroższa! dotąd nie mogę się przyzwyczaić do twojej *lubej* nieobecności...“

—o—

* Urzędnicy żonaci bywają zwykle najpunktualniejsi w czynnościach biurowych. Pytanie: kochają oni swój zawód, czy też uciekają chętnie z domu?

—o—

* Niemieckie kosmetyki, francuzkie bielidła
Sprawiły, że połowa polskich kobiet zbrzydła.
Świąteczny.

—o—

* Cnota kobiet bywa częstą miłością spokoju i opinii.

Rochefoucauld Franciszek — ur. 1613 † 1680 uwiekopomnił się ogłaszając „*Maximes et réflexions morales*“ — dzieło stanowiące w dziedzinie etyki praktycznej prawdziwy klejnot. Syntezą myśli jego—jest egoizm, stanowiący pobudkę wszelkich naszych czynów. On to sprowadził etykę na drogę właściwą. Wydał też „*Mémoires de la regence d'Anne Autriche*“—dzieło niemniej znakomite, jako historyja swego czasu.

—o—

* Aby w domu mieć i utrzymać spokój, powinien być mąż głuchy a żona ślepa.

* Czemuż z żebra adamowego opatrzność nie stworzyła lepiej—rączki do parasola!

* W starożytności nie znano obuwia, rzeczą jest jednak pewną, iż istnieli mężowie — pantofle.

* Dziwna rzecz dlaczego mężczyźni mający częstokroć do czynienia z brzytwą, w razie niebezpieczeństwa chwytają za—małżeństwo!

—o—

* Pierwej sto godzin wyciecze, nim się niewiasta oblecze.

Rysiński Salomon—pierwszy zbieracz przysłów polskich † 1625 r. Jego „*Przypowieści polskie, centuryj ośmnaście*“ zawierają najdawniejsze pomniki wspomnień narodowych i stanowią nader cenny zabytek literacki.

—o—

* Zła żona jest bębnem który ustawicznie bije pobudkę.

—o—

* O! święty Sokratesie! tak cię Erazm mienił,
Nie byłbyś nigdy świętym, gdybyś się nie żenił:
Zyskałeś uwielbienie, zyskał świątobliwość;
Któż cię świętym uczynił? małżeńska cierpliwość.
Krasicki. (p. str. 5).

—o—

* Świat jest orkiestrą, a los batutą, szkoda tylko że instrumenty dęte są zbyt licznie reprezentowane...

Zupełnie jak u Wagnera.

* Mąż nieszczęśliwy w pożyciu nie różni się niczem od nut, pod któremi źle podpisano libretto.

Z kobietą postępuj jak gdybyś komponował aryję: przedewszystkiem pomyśl o kluczu jej serca lub słabości...

Kobiety płoche są to niedbale napisane nuty, którym brakuje *taktu* i *tonu*.

Iluż to tenorów biorących *cis* zostało wziętych przez kobiety na *fis!*...

Muzyk.

Agronom.

— Ile jest systemów gospodarstwa?

— Trzy.

— To racz je pan wymienić?

— I owszem: pierwszy z pożyczką Towarzystwa kredytowego.

— Drugi?

— Drugi z bankami i wierzytelnościami na 10%, trzeci z żydkami na 120%; ten ostatni system jest najbardziej popularny.

Świąteczny

* Bijografja znakomitego agronoma, uprawiającego bruk warszawski od lat dwudziestu:

Orał — piórem po lichwiarskich rewersach.

Siał — ruble po Warszawie i innych miastach o każdej porze.

Włóczył — nie brony, ale sam siebie po cudzych krajach.

Zbierał—karty z szaloną wprawą i szczególnem zajęciem.

Młócił — kuropatwy i bażanty na półmisku aż miło.

trygował -- gardło własne i swych towarzyszów wszelkiemi trunkami krajowemi i zagranicznemi.

Hodował — żywe kwiaty o rozmaitych odcieniach i barwach i byłby to czynił aż po dzień dzisiejszy, gdyby nie to, że fatalny wypadek pozbawił go pola działalności. Zlicytowano go nieboraka!

Świąteczny.

Akademija.

* Jakiś nieznajomy zjawia się w Ferney i każe się anonsować u Voltaira, jako literat.

— Mam zaszczyt przedstawić się — rzecze — należę do członków akademii w Châlons; jest ona, jak panu wiadomo, córką akademii francuzkiej.

— Oh! tak panie — odpowiada Voltaire — córka to nawet bardzo zacna, która nie dała nigdy powodów do mówienia o sobie.

Journal gén. 1784.

* Kiedy zachęcano Mably'ego, aby się podał do akademii, odpowiedział:

— Gdybym wszedł do niej, możeby się dziwił niejeden, zaco się tam dostałem; więc, wolę, niech się pytają, dlaczego tam nie jestem?

* Fontenelle, zostawszy członkiem akademii francuzkiej, zawołał:

— A więc obecnie na świecie jest tylko trzydziestu dziewięciu ludzi mądrzejszych odemnie!..

Galerie de l'ancienne cour.

* Piron twierdził, że należałoby zredukować mowy wstępne nowych członków akademii do trzech wyrazów: „Panowie nieskończone dzięki.“ — Na co dyrektor powinien odpowiedzieć: „Nie ma za co.“

Był by to jedyny sposób zmiejszenia wielkiej liczby nudnych popisów.

Grimm, Correspondence.

Akta.

* Pewnego razu przyszedł chłop do adwokata zapytać, co się dzieje z jego procesem.

— Mój przyjacielu — rzekł mu adwokat — przegraliście, niema na to rady.

-- No, no! niech-no mi pan adwokat pokaże te papiery, gdzie to ten proces stoi napisany

— Czemu nie, i owszem, oto są akta.

— Ale dlaczego to tak szeroko pisane i tyle zostało białego papieru?

— Tego nie rozumiecie, mój człowieku, to się nazywa „akta pisane“.

— No, no! akta pisane, akta pisane — powtarza chłop, kręcąc głową — cóż ta już robić, trzeba przyjąć, jak jest! Ale, panie adwokacie, ja jestem biedny, pieniędzy niemam, zapłacić też panu nie mogę, ale odrobić — to odrobię.

— Niech i tak będzie; żebyście wiedzieli, że nie jestem zły dla was, przyjmę i robotę; przyjdziecie mi omłócić żyto.

Stanęła ugoda; chłop przyszedł na czas naznaczony, ale przekładał snopki tak rzadko i młócił tak lekko, że połowa zboża pozostała w kłosach. Przyszedł adwokat i, obejrzawszy robotę, zaczął chłopu wyrzucać, że tak niesumiennie młóci.

— Oj, pan tego nie rozumie, panie adwokacie — ofuknął chłop — to się nazywa „akta młócone“...

Saphir. (p. str. 1).

Akt pokuty.

* Izba, którą nam dano na nocleg, była bardzo porządną i zaopatrzoną we wszystko, co do przyzwoitej wygody potrzebne, ale miała jednę tak cienką ścianę, że na drugi dzień rano jakiś krzyk mnie i szelest z po za niej się dobywający obudził. Zerwałem się zaraz na łóżku, przyłożyłem ucho do ściany i owóż, co słyszę:

-- Pater noster, qui es in coelis... a potem trzask, trzask dyscypliną.

— Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum... i znowu kilkanaście dyscyplin na nagie plecy.

Starosta tam odprawiał swoje biczowanie i był zamknięty z bernardynem. Bicie to i pacierz powtarzały się jeszcze jaką chwilę, poczem bernardyn:

— Módl się, j. w. panie, jeszcze nie koniec.

— A wieleż jeszcze?

— Jeszcze niemasz ani połowy.

— Oszalał ksiądz, czy co! Jużeś mi sypnął ze dwieście i jeszcze nie dosyć?! Cóż to, myślisz mnie zabić dzisiaj na śmierć?!

— Grzechy są wielkie tego tygodnia, j. w. panie, to i castigatio musi być wielka. Pan Bóg za lada kilkoma dyscyplinkami wielkich grzechów nie odpuszcza.

— Pater noster, qui es in coelis, sanctificetur nomen tuum... i znów leciały dyscypliny.

— Ave Maria, gratia plena... i znów dyscypliny.

— No, już, księżuniu.

— Nie jeszcze, j. w. panie.

— Jakto nie, kiedy ja już sześćdziesiąt pacierzy odmówiłem.

— J. w. pan liczy swoje, a ja swoje.

— Ty bo mnie oszukujesz!

— Bogdajby mi tak rzetelnie mierzono zboże w śpichrzu, jak ja liczę tu te dyscypliny.

— Tak mówisz? No, to bijże dalej... Pater noster, qui es in coelis... ksiądz sypał dyscypliny...

— Ave Maria, gratia plena... i znów dyscypliny...

Poczem zawołał starosta:

— Zaczekaj.

Ksiądz ustał.

— Jabym ciebie o coś prosił, księżuniu.

— Co j. w. pan każe?

— Pozwól mi się napić kieliszek gorzałki, bo dalibóg nie wytrzymam.

— Niemam do tego mocy, j. w. panie, ale szklankę wody na orzeźwienie niech się j. w. pan napije.

— Zjadłbyś sto dyjabłow z twoją wodą! — zawołał starosta — Ja do niego gadam, jak do człowieka, a on mnie wodą poi. Otóż, przypuść że tu chama do konfidencyi! No, bijże, bij, ale to ci powiadam, że, jak na mnie przyjdzie kolej, to ci tak skórę zbiję, że wyleżysz miesiąc, nim się wygoisz!

— Pater noster, qui es in coelis... ksiądz zaczął znów sypać dyscypliny, ale starosta zaraz krzyknął:

— Stój!

Ksiądz przestał.

— Teraz ty się rozbieraj, księże — rzecze starosta — ja ciebie będę z grzechów oczyszczał, a potem ty dobijesz resztę.

— Dobrze, j. w. panie — odpowiada ksiądz — ale, kiedy j. w. pan nieda sobie doliczyć reszty, to to, com dotychczas wyliczył, za nic nie będzie stało przed Panem Bogiem.

— No, no, już ty się o to nie frasuj! Rozbieraj się.

Ksiądz się rozebrał i, ukląknąwszy, począł prędko mówić pacierze, a starosta sypał mu dyscypliny na nagie plecy, ale po chwili ksiądz krzyknie:

— Dość!

— A widzisz, że to nie chleb z masłem jeść ani wino pić te dyscypliny. No, módl się, księże...

— Dosyć — odrzekł ksiądz — więcej mi się na dziś nie należy.

— Jakto ci się nie należy? A to co? Święty jesteś?!

— Święty nie jestem, ale grzechów niemam tak wiele.

— O! o! niemasz! Myślisz, że ja to nie wiem... Przecie piłeś i w karty grałeś wczoraj tak samo, jak ja.

— To z rozkazu j. w. pana.

— No, dobrze... ale i prócz kart jeszczeby się co może wynalazło?

— Nic więcej, j. w. panie.

— A! a! Którędy to się bawiłeś, kiedy my tańcowali?

— Spałem.

— Bodaj ty tak z nosem chodził! Myślisz, że ja nic niewiem?

— Już, czy j. w. pan wie, czy nie wie, to j. w. pan za mnie nie będzie odpowiadał na

wielkim sądzie, tylko ja sam; a zresztą, gdyby i co było, to tylko przez jeden dzień, j. w. pan zaś cały tydzień.

— Prawdę mówisz... Ale gdzie ciebie takiego rozumu nauczono?

— W kolegium, j. w. panie. No, klękaj j. w. pan, bo szkoda czasu.

— Pilno ci, księże?

— Pater noster, qui es in coelis... ksiądz sypał dyscypliny, ale już był rozgniewany, tedy jak sypnie kilkanaście! Starosta się zerwał i krzyknie:

— Jak ty bijesz?! Słuchaj... jak mnie raz jeszcze tak uderzysz, to zawołam kozaków i takich ci sto bizunów wlepię, że z pod nich nie wstaniesz...

— To potem, to potem... Klękaj j. w. pan, już niewiele... Ave Maria, gratia plena... ksiądz dobił reszty.

— Już?

— Już, j. w. panie.

— Aleś mnie zerznął, księże, jak kota w worze!

— Ale to i wiele grzechów z temi dyscyplinami odeszło.

— Wiele, mówisz? No, daj ci, Boże, zdrowie. Dostaniesz zato połeć słoniny.

— Dziękuję j. w. panu, ale i dwaby nie zawadziło... do adwentu jeszcze daleko, a, jakem sługa boży, wielki głód u nas w klasztorze...

Kaczkowski Zygmunt—pisarz współczesny, doskonały malarz szlacheckiego dawnego świata, urodz. 1826; pisywał także wiersze liryczne, ucinkowe i humorystyczne. Akta liskie w zakładzie Ossolińskich dostarczyły mu znakomitego materyjału do historyi szlachty sanockiej. Napisał powieści historyczne: „*Bitwa o chorążankę*", „*Powieści ostatniego z Nieczujów*", „*Murdelio*", „*Gniazdo Nieczujów*" „*Pierwsza wyprawa pana Marcina*", „*Bracia ślubni*", „*Starosta Hołobucki*", „*Grób Nieczui*", „*Sodalis Marianus*", „*Anunciata*", powieści obyczajowe: „*Stach z Kępy*", „*Bajronista*", „*Rozbitek*". Od niejakiego czasu stale zamieszkał zagranicą, gdzie zajmuje się operacyjami finansowemi; pomimo to, nie zaniedbuje prac literackich. Tam napisał powieści: „*Graf Rak*", i „*Abraham Kitaj*". Pisarz w całem słowa tego znaczeniu dowcipny, obserwator bystry, talent pierwszorzędny.

Akt pojednania.

* ...Spór zażarty
Rejenta z Assesorem o sławne ich charty.
Krótko trwał, lecz zrobili wiele w jedną chwilę,
Bo razem wyrzucili słów i obelg tyle,
Że wyrzucili sporu zwyczajne trzy części:
Przycinki, gniew, wyzwanie i szło już do [pięści...
Szmer zmieszany ze śmiechem wśród ciżby się [szerzył;
Nastąpił rozejm kłótni — kwestarz ją uśmierzył:
Człowiek stary, lecz krępy i bardzo pleczysty,
Właśnie, kiedy Assesor pobiegł do jurysty,
Gdy już sobie gestami grozili szermierze,
On raptem obu z tyłu porwał za kołnierze,
I dwakroć uderzywszy głowy obie mocne
Jednę o drugą, jako jaja wielkanocne,
Rozkrzyżował ramiona nakształt drogoskazu
I we dwa kąty izby rzucił ich odrazu.
Chwilę z rozciągiętemi stał w miejscu rękami
I — pax, pax, pax vobiscum! — krzyczał — po- [kój z wami!..

„*Pan Tadeusz*".

Mickiewicz Adam, wieszcz nad wieszcze, urodził się w Zaosiu, pod Nowogródkiem, na Litwie r. 1798 z ojca Mikołaja i Barbary z Orzeszków. Nauki początkowe pobierał w Nowogródku, w szkole dominikańskiej, którą w 1815 ukończył. Przeszedł następnie na uniwersytet wileński, obrawszy pierwotnie za specyjalność nauki matematyczne, ale te rychło porzucił, poświęcając się filologii. Po ukończeniu nauk, jako stypendysta rządowy, przyjął miejsce nauczyciela literatury polskiej i łacińskiej w Kownie. Przykrości służbowe nie pozwoliły mu długo tam zostawać — przeniósł się do Wilna, następnie, kolejno zamieszkiwał w Odessie, Moskwie i Petersburgu. W r. 1829 wyjechał za granicę — zwiedził Niemcy, Szwajcaryję, Włochy, osiadł wreszcie w Paryżu, gdzie też wstąpił w związki małżeńskie z Celiną Szymanowską (r. 1835). W r. 1839 obejmuje katedrę literatury łacińskiej w Lozannie, w r. zaś 1844 katedrę literatur słowiań-

skich w Collège de France. W r. 1855 został wysłany przez rząd francuzki w misyi politycznej do Konstantynopola, gdzie zmarł dnia 28 listopada tegoż roku. Stworzył cały szereg arcydzieł, uznanych przez krytykę wszechświatową, że tylko wymienimy: „*Pana Tadeusza*", „*Dziady*", „*Sonety krymskie*", „*Walenroda*", „*Grażynę*" - pchnął na nowe tory poezyją, nadawszy jej odmienny od klasycznego kierunek.

Aktorzy.

* Konduktorem w tramwaju został ex-dyrektor teatru prowincjonalnego, który nigdy nie wypłacał swoim aktorom pensyi.

Pewnego razu tramwajem jedzie aktor, którego ex-dyrektor nie poznał.

— Proszę o bilet — woła aktor.

Konduktor podał bilet i wyciąga rękę po pieniądze.

— Zapisz pan siedem kopiejek na zaległą gażę — rzecze najspokojniej aktor, chowając bilet do kieszeni.

* Matka młodziutkiej debiutantki, mówiła do wpływowego dziennikarza:

— Panie łaskawy... z ręką na sercu — powiedz mi, czy widzisz talent w mojej córce?...

— Ale tak... bezwątpienia!

— Bo widzisz pan,—gdyby nie miała go wiele, ale to bardzo wiele... to niechby tam już raczej została uczciwą dziewczyną.

Figaro.

* W pewnym angielskim teatrze, za opłatą szyllinga od osoby, wynajęto ludzi mających udawać morze wzburzone, ale następnie zredukowano tę płacę do sześciu pensów.

Obrażone morskie bałwany, postanowiły na meetingu, że na przyszłem przedstawieniu zapanuje cisza na morzu, więc chociaż niebo grzmiało a błyskawice rozdzierały powietrze, ocean zachował się tak spokojnie, jak rozpostarty dywan

Do wściekłości doprowadzony sufler, uchyla zasłonę i woła z oburzeniem: „A ruszcie że się bałwany". -- „Za szyllinga, czy za sześć pensów?" — zapiszczał młody głosik z otchłani. „Za szyllinga" — odpowiada sufler nie mający innego wyjścia... i morze poruszone tym magicznym wyrazem, zaczęło się burzyć i przewracać jak podczas prawdziwej burzy.

A. Esquiros, Rev. des deux Mondes.

* Miało to miejsce w starym Cyrku Olimpijskim, za czasów Goberta, który świetnie przedstawiał Napoleona i ilekroć ukazał się na scenie w szaraczkowej kapocie, sala grzmiała od oklasków.

Pewnego wieczoru w pewnej sztuce, cesarz miał otrzymać list, który powinien był odczytać zgromadzonym oficerom.

Grający rolę adjutanta aktor Gautier, znany z figlów i psot przeróżnych, a znający słabą pamięć swego kolegi, zamiast zapisanej kartki podaje cesarzowi czystą ćwiartkę papieru.

Gobert otwiera list, ale przytomny i rzutki, domyśliwszy się odrazu podstępu, oddaje go natychmiast adjutantowi mówiąc:

— Przeczytaj to sam generale.

Gautier osłupiał, nie znał on wcale treści pisma, a na razie żaden koncept nie przychodził mu do głowy — i skończyło się na tem, że został haniebnie wygwizdany.

Ad. Dupenty, Figaro.

* Zapewne ta sama anegdota jest opowiadana w odmienny nieco sposób.

W jakimś dramacie średniowiecznej treści, Luguet przynieść miał królowi list który powinien być odczytany.

Król listu tego na pamięć się nie uczył, wiedząc o tem, że ma go przeczytać, jakież więc było przerażenie kiedy stpostrzegł pustą ćwiartkę papieru; ale iż był to aktor przytomny i nie łatwo dający się zbić z tropu, więc zwróciwszy się do Luguet'a oddaje mu papier rozkazując: — „czytaj!" Luguet waha się, odzyskawszy wszakże po chwili pewność siebie, odzywa się z ukłonem w te słowa: „Wybacz mi najjaśniejszy panie, urodzony z zacnej, ale ubogiej rodziny, nie zdołałem nauczyć się czytać".

Biedny król załapany tak podstępnym sposobem stracił głowę i wygwizdany, ośmieszony wyjść musiał za kulisy.

A. Segendre, Figaro.

* Jakiś poczciwiec spotkawszy na ulicy Garricka wita go czule i nazywa swoim kochanym kolegą.

— Mój dobry panie, ja nie mam wcale przyjemności znać pana — rzecze zdziwiony artysta.

— Eh! jednakże grywaliśmy niejednokrotnie razem.

— Nie przypominam sobie; jakąż rolę pan miałeś?

— Przecież to ja pieję za koguta w „Hamlecie".

M-me de Girardin.

* Przed laty kobiety w Londynie nie występowały na scenie, tylko mężczyźni przebrani po kobiecemu przedstawiali ich role. Dyrektor, chcąc razu pewnego uspokoić Karola II, zniecierpliwionego zbyt długim antraktem, przybliża się do króla i szepcze mu na ucho: „Królowa jeszcze nie ogolona Najjaśniejszy Panie".

* Panna Laguerre z Opery, lubiła niekiedy szukać natchnienia w winie, co nawet czasem bywało na scenie widocznem. Gdy raz śpiewała w „Ifigenii z Taurydy", jakiś spektator rzekł do swego sąsiada:

— Zdaje mi się, że to raczej być musi „Ifigenja z Szampanii".

*Podczas straszliwie szalejącej burzy, grano raz w jakimś małym teatrzyku „Dwóch strzelców". Rola niedźwiedzia dostała się przypadkiem bardzo pobożnemu aktorowi, który w chwili uderzenia piorunu, staje przed budką suflera na tylnych łapach i robi znak krzyża świętego.

Brazier, Chronique des petits théâtres

Alarm.

* Przybyłem do Roches koło godziny szóstej wieczorem i zdumiałem się na pierwszy rzut oka... Mieszkanie Oskara był to mały zamek z czasów Ludwika XV schowany wśród drzew, budowany nieregularnie, dziwacznie, ale z zachwycającym gustem.

Pierwszą osobą, którą ujrzałem był Oskar, od stóp do głów biało ubrany, w słomianym kapeluszu na głowie; siedział na ogromnej ławce kamiennej. Zdawał się być bardzo zajęty i obracał w rękach ogromny melon, który mu pokazywał ogrodnik. Gdy mię spostrzegł, przybiegł i uściskał z takim wyrazem dobrego humoru, szczerości i przywiązania na twarzy, że sam do siebie rzekłem: „Doprawdy, on nie skłamał, on jest szczęśliwy". Wydał mi się takim, jakim go znałem w dzieciństwie, wesołym, trochę głupim, ale dobrym i uprzejmym.

— Piotrze, gdzie pani — zapytał, a gdy mu zaraz nie odpowiadano zawołał: — Maryjo, Maryjo! mamy Grzegorza, mamy przyjaciela.

W wązkiem okienku, na pierwszem piętrze, najbardziej ocienionem kwiatami, ukazała się młoda kobieta z włosem jasnym jak zboże.

To zjawisko do reszty mię oczarowało. Zdało mi się, że mnie nagle przeniesiono do krainy najrozkoszniejszej wyobraźni. Byłem w środku pięknego obrazu Morina i zdumiony, zachwycony stałem, mając oczy utkwione w okno, gdzie się ukazało to piękne dziecię.

— Nazywam ją królową — rzekł Oskar, biorąc mię pod rękę; — to moja żona. Chodź tędy, spotkamy po drodze kuzyna, który łapie ryby na wędkę i dwie inne osoby tam przechadzające się, poczciwi przyjaciele, tylko nie pojmują wsi jak ja; oni mają różowe pończochy i trzewiki balowe; ale to cię mało obchodzi nieprawdaż?... Czy chcesz pantofli mój drogi? czy chcesz słomianego kapelusza? Spodziewam się, że masz ubranie płócienne? Nie częstuję cię maderą, zaraz będzie obiad. W dobry czas przybywasz, sprobujemy dziś wieczór pierwszego melona w tym roku.

— Na nieszczęście nie jadam nigdy, ale lubię patrzeć jak go jedzą.

— No, to pocieszę cię butelką mego starego pomaru. Powiem ci na ucho, że nie daję go pić byle komu; jest to wyborne wino, które mi zalecił ojciec umierając. Tak rzeczywiście było — ciągnął dalej Oskar, biorąc mię pod ramię. — Rano tego samego dnia kiedy nas opuścił, ledwie dyszał... Biedny ojciec, oczy miał zamknięte, głowę pogrążoną w poduszkach... Siedziałem przy jego

łóżku, trzymając go za rękę, gdym uczuł lekkie ściśnienie. Oczy mu się otworzyły i ujrzałem, że się uśmiecha. Wtedy rzekł do mnie tym głosem słabym, powolnym i zakłopotanym gasnącego starca:

— Pomar z kąta... na lewo... wiesz mój kochany?... dla przyjaciół... tylko... Ścisnął mię za rękę i jak gdyby strudzony zamknął oczy; alem widział z poruszeń nieznacznych warg, że się jeszcze jakby do siebie uśmiecha. Chodź ze mną do sklepu — mówił dalej Oskar, po chwili milczenia — w kącie, nalewo. potrzymasz latarnię...

Gdyśmy wrócili, dzwonek rozlegał się głośno i chmury przestraszonych ptaków uciekały z kasztanów.

Dzwoniono na obiad.

Wszyscy biesiadnicy zebrali się w ogrodzie. Oskar przedstawił mnie bez ceremonii, jak to ma w zwyczaju, a ja podałem rękę gospodyni domu i przeszliśmy do pokoju jadalnego, gdzie parujący rosół czekał już na nas. Przypatrując się żonie przyjaciela poznałem, że mnie pierwsze wrażenie nie zawiodło; był to w całem znaczeniu tego wyrazu anioł i co ważniejsza jeszcze, anioł stworzony kobietą. Była drobna i wysmukła jak mała dziewczyna; głosik jej dźwięczny i drżący, jak śpiew zięby, miał jakiś nieokreślony akcent nie należący do żadnego dyjalektu, ale nadający nadzwyczajny powab każdemu wyrazowi. Miała prócz tego właściwy sposób mówienia, wyrażała się jak dziecko, jak kokietka zmieniając głos na końcu każdego frazesu i zwracając oczy gdzie się znajdował mąż, jak gdyby się pytała czy on się zgadza. Co chwila się czerwieniła, ale zarazem uśmiech jej był tak ujmujący, zęby tak białe, iż zdawało się, że żartuje sama z siebie i potrosze z sąsiadów. Szczególna kobietka! Dodajcie do tego strój oryginalny, dobry smak i trochę zanadto może śmiałości, która jednak była bardzo do twarzy tej małej królowej, tak oryginalnej już samej przez się... Jej śliczne jasne włosy w nieładzie rozrzucone, przynajmniej napozór, które utrzymywał dość wysoko na głowie stalowy grzebień, troszeczkę pochylony ku lewej stronie i suknia z białego muślinu, obszyta szerokiem, płaskiem garnirowaniem, wycięta kwadratowo ze spódniczką krótką, podpinaną ze wszystkich stron, miały w sobie coś rozkosznego z XVIII wieku. Anioł był trochę zalotny ale w pyszny, właściwy sobie sposób.

Gdyśmy usiedli do stołu, Oskar rzucił na swoję kochaną królowę spojrzenie tak pełne szczęścia... i miłości, — dlaczegóżbym nie miał tego powiedzieć — że mi to sprawiało pewien rodzaj dreszczu, dreszczu zazdrości, podziwu, nieledwie uwielbienia. Wyjął z kosza kwiatowego stojącego na stole, różę rozkwitającą i podając z uśmiechem swej żonie, wyrzekł:

— Do włosów.

Jasne dziecię mocno się zaczerwieniło, wzięło kwiat, i śpiesznie, bardzo śpiesznie, z nadzwyczajną zręcznością, włożyło we włosy, wysoko na lewo, w bardzo dobrem miejscu i zachwycone, obracając się twarzą do każdego z nas powtarzało kilka razy z serdecznym i głośnym śmiechem:

— Czy tak dobrze?

Potem przesłała końcami swoich paluszków kawalerski pocałunek swemu mężowi, jak jaka pietnastoletnia dziewczynka i zanurzyła wesoło łyżkę w rosole unosząc mały paluszek.

Inni współbiesiadnicy nie przedstawiali nic bardzo godnego uwagi. śmieli się ze wszystkich tych dzieciństw z dobrodusznością, ale wydawali mi się być niezaklimatyzowanymi pośród tej rzadkiej swobody. Szczególniej nie podobał mi się ten kuzyn, co to łapał ryby na wędkę, opięty w białem ubraniu, niebieskim krawacie, z brodą jak wachlarz, z oczkami jak migdały. Wymawiał *r* i *s* jak prowincyjonalny aktor. Łamał chleb na drobniutkie kawałki i zjadał wszystkie te okruchy, rozmawiając. Zdało mi się, że przyjemność, jaką mu sprawiało pokazywanie wielkiego pierścienia, który nosił na palcu, miała także swe znaczenie w tej manipulacyi z chlebem. Raz czy dwa dostrzegłem, że kuzyn zwracał wzrok melancholicznie ku pani domu, ale z początku nie przywiązywałem żadnej wagi do tego

i zresztą zajmowała mnie prawdziwa wesołość Oskara.

Jednakże zdało mi się po niejakim czasie że młody człowiek starał się tysiącznymi sposobami zwrócić na siebie uwagę małej królowej.

Ta zaś odpowiadała mu zawsze najnaturalniej w świecie bez żadnego przymusu i zakłopotania. Myliłem się pewnie.

Czyście zauważyli, że gdy się ujrzycie w nieznajomej wam miejscowości, niektóre drobne szczegóły dla wszystkich obojętne, dla was nabierają znaczenia? Pierwsze wrażenie opiera się na tysiącu nic nie znaczących drobnostek, które wam rzucają się w oczy. Lada plama na suficie, lada gwóźdź w ścianie, lub szczegół w fizyjognomii sąsiada, rysuje się w waszym umyśle, osiada, nabiera znaczenia i wszystkie spostrzeżenia, zrobione później grupują się naokoło tej plamy, tego gwoździa, tego grymasu. Czy jest choć jedna dziewczyna, któraby nie była ofiarą tego pierwszego wrażenia i nie odmówiła raz albo dwa swej ręki, z powodu zbyt szerokiej kamizelki, źle zawiązanego krawata, niewczesnego kichnięcia, głupiego uśmiechu, albo zanadto spiczastych butów?

Sami przed sobą nie chcemy się przyznać, że podobne drobnostki mogą służyć za podstawę opinii, jaką mamy o kimś...

Pośród tego szczęścia małżeńskiego tak rozkosznie urządzonego, wobec mego dzielnego Oskara, tak dobrego, tak ufnego, tak zakochanego w tym cherubinie w stroju z czasów Ludwika XV, będącego uosobieniem wdzięku i naiwności, uderzyła mnie głowa zanadto wyczesana i biała kamizelka.

Ta głowa zwróciła na siebie moją uwagę jak plama na suficie, o której tylko co mówiłem, pomimowoli nie spuszczałem oka z rybaka, krającego niestrawnego melona który lubię widzieć na talerzach innych, ale którego nie znoszę na swoim.

Po obiedzie, trwającym nieskończenie długo, przeszliśmy do ogrodu, gdzie była przygotowana kawa i porozkładaliśmy się bogobojnie z cygarami w ustach. Wszystko naokoło nas było w spokoju i ciszy, owady umilkły, na zielonawem, przezroczystem, tle nieba, obłoczki fioletowe podłużne i nieruchome wygodnie drzemały.

Oskar pokazał mi z prawdziwą przyjemnością sławny młyn, ustronną dolinę i niżej nieco swój miły strumyk, w którego trzcinie słońce przed zniknięciem się zanurzało. Przez ten czas mała królowa, zręczna, na wysokich koreczkach, ustawiała filiżanki, jak dziecko bawiące się w obiad i z całą ostrożnością zabawną i zachwycającą nalewała wrzącą kawę. Zapach mokki mieszał się rozkosznie z zapachem kwiatów, siana i drzew.

Gdy skończyła, przyszła i usiadła blizko swego męża, tak blizko, że spódnicą zakryła połowę mego przyjaciela i biorąc bez ceremonii cygaro z jego ust i oddalając go od siebie, z minką, która miała znaczyć „o zgrozo!“ wyciągniętym paluszkiem, zrzuciła biały popiół na piasek, później się roześmiała i włożyła cygaro znów w usta mężowi.

To było zachwycające. Oskar był bezwątpienia przyzwyczajony do takiego postępowania, gdyż go to nie zdziwiło; położył rękę na ramieniu żony, jak się to kładzie na ramieniu dziecka i rzekł do niej:

— Dziękuję ci—a potem pocałował w czoło.

— Dobrze, ale ty mi dasz kaczkę, — dodała młoda kobietka po cichu, opierając swoją główkę o ramię męża.

Nie mogłem się powstrzymać od uśmiechu, tyle było pieszczotliwej swawoli, wdzięku i dziecińsiwa w tym frazesie wymówionym po cichu. Nie bardzo wiem, dlaczegom się obrócił w tę stronę, gdzie był kuzyn palący cygaro milczkiem, na uboczu. Wydał mi się trochę bladym; zaciągnął się trzy razy, raz po raz, wstał spiesznie, widocznie ulegając moralnemu osłabieniu i oddalił się pomiędzy drzewa.

— Co się stało kuzynowi — rzekł Oskar z przejęciem — co za mucha go ukąsiła?

-- Nie wiem -- odpowiedziała najnaturalniej w świecie mała królowa — musiało mu przyjść na myśl coś odnoszącego się do jego ulubionego rybołówstwa.

I rozmowa dalej się potoczyła.

Noc zaczęła zapadać, długośmy siedzieli — jak to powiedziałem — u stołu. Już było koło dziewiątej. Kuzyn powrócił i zajął miejsce przez się poprzednio zajmowane, ale zdało mi się, że od owej chwili, wcisnął się między nas jakiś szczególny przymus, zapanowała szczególniejsza oziębłość. Rozmowa z początku tak ożywiona, ustawała jakoś co chwila i pomimo wszelkich usiłowań z mej strony, żeby ją ożywić, ledwie się wlokła. Ja sam czułem, że mi brak swobody umysłu, najgłupsze w świecie myśli prześladowały mnie; zdawało mi się, że dostrzegam w nagłem oddaleniu kuzyna z jego bladością, nieśmiałemi gestami i objawami gwałtownego uczucia, którego ukryć nie był w stanie. Ale jakim sposobem ta śliczna kobieta ze spojrzeniem tak przenikliwem, tak rozumnem, nie pojmowała tego wszystkiego, kiedy nawet ja pojmowałem? Oskar, przy największej ufności, czyż nie zauważył, że kuzyn odszedł w tej samej chwili, kiedy on pocałował żonę? Czy oboje małżonkowie są ślepi, czy udają, że nic nie widzą, czy też to ja jestem igraszką obrzydliwego przywidzenia? Tymczasem rozmowa ustała; pani domu — szczególniejszy objaw, była milczącą, poważną, a Oskar kręcił się w fotelu, jak gdyby go niepokój opanował.

Co się działo w duszy tych wszystkich ludzi?

Wkrótce usłyszeliśmy, że na zegarze w salonie bije dziesiąta i Oskar podnosząc się nagle:

— Moi kochani przyjaciele — rzekł — wiecie, że na wsi panuje zupełna swoboda, chcę więc was prosić o pozwolenie, żebym mógł odejść... Jestem dzisiaj trochę zmęczony. Jerzy — rzekł do mnie, pokażę ci zaraz twój pokój, na dole; spodziewam się, że ci tam będzie dobrze.

Wszyscy w milczeniu powstali i po wzajemnych życzeniach dobrej nocy, wypowiedzianych z pewną wymuszonością, każdy wszedł do swego mieszkania.

Wydało mi się, przyznaję to, że zawcześnie chodzą spać w domu mego przyjaciela. Jeszcze mi się wcale spać nie chciało, przyglądałem się więc swemu pokojowi. Był śliczny. Łóżko ukryte poza kotarą z tkaniny Jony, było trochę odsłonięte i wydawało z siebie ten zapach, który tak skłania do wyciągnięcia się na niem. Na stoliczku, prawdziwym klejnociku z początków panowania Ludwika XVI, leżało cztery czy pięć książek, wybranych widocznie przez Oskara i przeznaczonych dla mnie... Te drobne dowody pamięci wzruszają nas, i naturalnie myślałem o tym dzielnym chłopcu, o dziwnej scenie, jaka miała miejsce wieczór, o smutkach, o męczarniach, które może okrywało to szczęście pozorne. Byłem głupi tego wieczora. Jużem żałował biednego przyjaciela... Śniłem że jestem wzruszony i pełen smutku; oparłem się o balustradę okna otwartego na oścież. Księżyc właśnie wschodził, niebo było najzupełniej pogodne, najrozkoszniejszy zapach rozlewa się wszędzie... Spostrzegałem w ciemnych miejscach osłonionych drzewami świecące robaczki iskrzące w trawie. I pośród gromad zieloności, które tajemniczo oświecał księżyc, widziałem szczególne kształty fantastycznych strachów i widm błądzących w ciszy. Szczególniej zwracał na siebie moją uwagę, będący o pięćdziesiąt kroków od mego okna a ukazujący się z pośród drzew spiczasty daszek z chorągiewką na wierzchu. Nie można było rozpoznać w cieniu, ani drzwi, ani okien w tej szczególniejszej wieżycy. Czy to był stary gołębnik, grobowiec, kiosk opuszczony? Nie wiem, ale miał wdzięk i niezwykłą elegancyję... Czyż to wypadkiem artysta owinął tę wieżyczkę pnącymi się roślinami i kwiatami, otoczył zielenią z taką zalotnością?.. Czy mnie tylko zdawało się, że chce ją ukryć dla tego, żeby zwrócić na nią uwagę? Rozmyślałem nad tem wszystkiem, gdym usłyszał lekki szelest w gaiku. Spojrzałem w stronę zkąd pochodził i ujrzałem — naprawdę niespokojność na chwilę mnie ogarnęła — ujrzałem widmo ubrane w białą suknię, postępujące krokiem pospiesznym, niespokojnym, tajemniczym...

Na zakręcie księżyc oświecił to widmo. Nie było żadnej wątpliwości, miałem przed oczami żonę mego przyjaciela. Jej chód nie miał już tej zalotnej swobody, którą zauważyłem przy obiedzie, ale wyraźnie zdradzał pomieszanie, spowodowane żywem wzruszeniem... Chciałem usunąć od siebie straszne podejrzenie, które się nagle zrodziło w moim umyśle. — Nie—mówiłem sam do siebie, tyle szczęścia i piękności nie może zawodzić, z pewnością musiała zapomnieć wachlarza albo robótki na ławce. — Ale zamiast udać się ku ławkom, które widniały na prawo, młoda kobieta zwróciła się na lewo i znikła w cieniu lasku, gdzie się ukrywała tajemnicza wieżyczka.

Serce mi się ścisnęło... Dokąd ona idzie nieszczęśliwa? — krzyknąłem pomimo woli. Niechże się przynajmniej nie domyśla, że ją kto obserwuje! I spiesznie zgasiłem świecę. Chciałem zamknąć okno, nic nie widzieć; ale nieprzezwyciężona ciekawość popychała mnie ku niemu.

Minęło kilka minut, gdym rozpoznał najwyraźniej stąpanie po piasku, stąpanie nieregularne, bojaźliwe... Z początku nie widziałem nikogo, ale nie można było wątpić, że to były kroki mężczyzny. Wkrótce przekonałem się, żem się nie mylił i podłużna sylwetka kuzyna zarysowała się jasno na tle ciemności lasku. Chciałem go zatrzymać, tego nędznika, zamiar jego bowiem stał się dla mnie jasny: dążył do gaiku, gdzie zniknęła mała królowa. Chciałem mu powiedzieć: „Jesteś niegodziwcem, nie pójdziesz dalej...“ Ale któż mnie upoważnił do podobnego kroku? Milczałem, tylko zakaszlawszy dosyć mocno, żeby mnie usłyszał.

I oto powstrzymał nagle swój krok niespokojny obejrzał się na wszystkie strony z widoczną obawą później opanowany przez jakiś szał rzucił się ku namiotowi. Siły mnie opuściły. Co tu robić? Uprzedzić przyjaciela, towarzysza lat dziecinnych? Tak, bezwątpienia, ale zadrżałem przed tą myślą; pójść, rzucić rozpacz w duszę tego poczciwego człowieka i wywołać straszny skandal!!?... Gdyby mógł nie wiedzieć o niczem — rzekłem do siebie — zresztą może ja się mylę; któż to może wiedzieć? Bez wątpienia że się mylę; to spotkanie ma najnaturalniejszy w świecie powód... — Starałem się wmówić w siebie, że złudzenie zasłania przed memi oczami to, co było widocznem, gdy nagle drzwi domu otworzyły się z łoskotem i Oskar, Oskar w swojej osobie, z włosami rozczochranemi, w szlafroku rozwianym, przeszedł pod mojem oknem. Biegł raczej aniżeli szedł, ale z niezwykłych ruchów można było poznać niepokój jego serca. Wiedział wszystko... Czułem, że katastrofa była nieuniknioną... „Takie to było szczęście owo! To piękne naczynie zawierało w sobie — gorzką truciznę“. Wszystkie te myśli przeleciały mi przez głowę jak strzała. Przedewszystkiem trzeba było opóźnić wybuch, choćby tylko o jedną chwilę, o jedną sekundę. Pomimowoli więc nie zostawiając sobie czasu tyle, abym mógł pomyśleć co mu powiem, krzyknąłem głosem rozkazującym i krótkim:

— Oskarze, mój przyjacielu, chodź porozumieć się ze mną, ja tego chcę.

Zatrzymał się jak skamieniały. Był strasznie blady i uśmiechał się piekielnie.

— Nie mam czasu, później—rzekł do mnie.

— Oskarze, musisz, zaklinam cię! ty musisz być w błędzie.

Na te słowa wybuchnął okropnym śmiechem.

— Mylisz się mój przyjacielu!

— Ja się mylę, człowieku ja się mylę!...

I rzucił się ku namiotowi.

Ale, chwytając go za koniec sukni, zatrzymałem swoją żelazną ręką.

— Nie idź tam, mój przyjacielu, błagam cię o to na kolanach.

Za całą odpowiedź uderzył mnie w ramię pięścią i krzyknął:

— Czy cię dyjabeł opętał, czy co?

— Powiadam ci, że ty nie możesz tam iść, Oskarze—odezwałem się do niego głosem, który nie znosił odpowiedzi.

— A to mi tak mów, że tam ktoś jest, utrapieńcze!... Ach! przeklęty melon!... Przeklęty

melon!... Będę czekał... I poprawiając swój szlafrok drżącą ręką, zaczął chodzić po alei wielkiemi krokami.

Droz Gustaw—francuz, malarz i powieściopisarz, niezrównany humorysta. Typy do swoich wesołych pism zbierał przeważnie z życia arystokracyi.

Album.

* Moda wszechwładnie rządzi wszędzie
Poeto! ulubieńcze tłumu!
Nawet cię żona męczyć będzie,
Abyś jej wpisał wiersz do albumu.

Heine Henryk — poeta niemiecki, ur. 1799 r. 12-go grudnia, sam jednak twierdził z ironiją, że jest pierwszym człowiekiem XIX stulecia, gdyż się urodził 1-go stycznia 1800 r. Zmarł 1856. Żyd, przyjął chrześcijaństwo. Prześladowany przez rząd pruski wyemigrował do Paryża, gdzie aż do roku 1848 pobierał pensyję od rządu w ilości 4000 franków. Pierwszy zbiór jego poezyj nosi tytuł „*Gedichte*"; później wydał: „*Lirisches Intermezzo*", oraz dramaty „*Almanzor*" i „*Radcliff*". Dwa pierwsze tomy „*Reisebilder*" zjednały mu sławę. Heine jest pesymistą: szyderstwo i ironija — oto główne cechy jego pióra. Cięty, złośliwy w „*Reisebilder*" wyszydza zaściankowość niemiecką, sentymentalizm w literaturze i w ogóle wszystko, co zwróciło na siebie jego uwagę. Niemiał przyjaciół, bo sam niczyim nie był przyjacielem. Nazywany powszechnie poetą *Weltschmerzu*. Pisał też po francuzku i zyskał po Wolterze sławę najdowcipniejszego pisarza; był zarówno genijalnym w poezyi jak i w prozie; umiał grać na najczulszych strunach serca ludzkiego i jednocześnie ranić je niemiłosiernie ironiją lub dowcipem. Dla nas był szczególnie nielitościwym i wyszydził polaków w utworach „*Ueber Börne*" i w balladzie „*Zwei Ritter*". Zupełny zbiór jego utworów w przekładzie polskim przygotowuje obecnie Spółka wydawnicza warszawska.

Alimenta.

* *Młoda naiwność.* Proszę pana, co to są alimenta, o których teraz tak często piszą po kuryjerkach?

Kawaler (zakłopotany). Alimenta?.. to proszę pani (spuszczając skromnie oczy na kolana) ja Bogu dzięki nie wiem jeszcze, ale papa pani najlepiej może o tem wiedzieć.

* Dwunastoletnia Mania H. czyta ciekawie prenumerowane przez rodziców warszawskie pisma. Cóż więc dziwnego, że Mania H. przybiegła raz do papy z następującą skargą:

— Proszę papy, Jaś się nie chce ze mną bawić w alimenta. *Świąteczny.*

Aluzyja.

* Żebrzący jakiś poeta, ofiarował ministrowi bardzo lichy swój utwór.

Ktoś z obecnych zrobił uwagę, że te wiersze pachną szkołą.

— Nie, one raczej pachną pensyją — podchwycił ktoś inny.

* Henryk IV chcąc zmiażdżyć dumę hiszpańskiego ambasadora, który wychwalał potęgę swego władcy, odezwał się z żywością:

— Gdyby mi przyszła ochota, mógłbym dosiadłszy konia i stanąwszy na czele moich hufców, iść na śniadanie do Medyjolanu, wysłuchać w Rzymie Mszy Ś-tej, a obiadować w Neapolu.

Ambasador odrzekł mu na to:

— Podróżując w ten sposób, Wasza Królewska Mość mógłbyś nawet jeszcze zdążyć na *nieszpory* do Sycylii...

Alpy.

* Tytanów ręką spiętrzone wały
Granitu, lodów—Alp wzniosły szczycie!..
O czem tak dumasz w niebios błękicie,
Że się twe śniegi jak krwią oblały,
Gdy cię wędrowiec korny—zdumiały,
Dosięgnął wreszcie o rannym świcie?!
Czy walk to z Zeusem krwawo odbicie?
Czy wstydem płoniesz, że ci za mały
Krąg dolin w głębi, co w blaskach słońca
Tak się uroczo wiją bez końca,
Że czar ich odczuć ten tylko może
Kto—jak ja niegdyś... o takiej porze,
W podobnych blasków stojąc purpurze,..
Jadł—ser szwajcarski na Łysej górze!

Niegdy miczman na korwecie „Momus" — kawaler orderu białego słonia i innych indyjskich zwierząt — wreszcie po pełnem przejść życiu, naturalizowany w pobliżu Zapiecka—

lord Pembroke.

Amatorzy.

* — Chodź na wystawę sztuk pięknych do salonu Krywulta.

— Ece, wolę pójść do Ungra.

— Dlaczego?

— A bo widzisz w salonie Ungra, bardzo ładna kasyjerka sprzedaje bilety.

Kolce.

Ambasador.

* Henryk VIII, król angielski, poróżniwszy się z Franciszkiem I, posyłał do niego w poselstwie biskupa Bonnera z poleceniem, aby nieszczędził królowi Francyi słów obelżywych — na co biskup zrobił uwagę, że w takim razie głowa jego jest w niebezpieczeństwie.

— Nie lękaj się — powiada Henryk VIII — jeśli zginiesz z ręki Franciszka I, mam tu dosyć głów francuzkich, które mi odpowiedzą za twoją.

— Wierzę temu, Najjaśniejszy Panie — odparł biskup — ale z tych wszystkich głów ani jedna nie da się tak dobrze dopasować do mojego korpusu jak ta, którą noszę na karku od urodzenia.

Ambicyja.

* Kiedy Napoleon zwierzał się przedemną ze swoich zamiarów przywrócenia królestwa, a ja mu zrobiłem uwagę, że będzie miał wiele trudności, zanimby go uznać chciały stare panujące rody europejskie, odpowiedział:

— Bagatela... zdetronizuję wszystkich panujących i uczynię się starszym od nich.

Bourrienne, Mémoires.

* Ludwik XIV zapytał raz jednego z dworzan: czy umie po hiszpańsku? Sądząc że go król chce mianować posłem w Madrycie, wyuczył się na gwałt tego języka.

— Więc mówisz tak dobrze po hiszpańsku, że mógłbyś rozmówić się z hiszpanami?

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie.

— Winszuję ci, będziesz mógł przeczytać „Don Quichotte'a“ w oryginale.

Bouricnne.

Ameryka.

* *Wyjazd.*

Człowiek, który wyjeżdża do Ameryki, jest jeszcze u nas rzadkością. Wyobrażam sobie nawet, że po powrocie, w powiecie łukowskim, z którym łączą mnie liczne stosunki, przynajmniej przez miesiąc będą mnie uważać za rodzaj powiatowego Ferdynanda Korteza. Mój dziad nieboszczyk, Panie świeć nad jego duszą, raz jeden tylko był w Puławach, a raz w Królewcu i miał o czem opowiadać przez całe życie. Dziś minęły te piękne dni Aranjuezu... Ale Ameryka ma jeszcze swój urok, dlatego po biurach patrzono na mnie, jak na jakiś osobliwszy okaz zoologiczny; miejscami zaś zadawano mi nawet pytania, świadczące, że geografija należy u nas do nauk najbardziej rozpowszechnionych.

— To, panie, przez morze się jedzie do Ameryki?

— Zdaje mi się: wiem, że kolej jeszcze nieskończona.

Dzięki Ameryce i dzięki szczególniejszemu interesowi, jaki ta część świata budzi w naszych władzach municypalnych, uzyskałem paszport dość prędko. Pozostawało go tylko zawizować u konsula.

— Nie potrzeba! — mówił mi jeden z moich przyjaciół.

Ale ja nie zaniechałem zamiaru. Jakto, jażbym miał pozbawiać konsulat przyjemności zawizowania może pierwszego i ostatniego paszportu; miałbym mu stawać na przeszkodzie w wypełnianiu jedynej może czynności urzędowej? Wiedziałem wprawdzie, że za wizę trzeba płacić, ale wiedziałem również, że gdybym się bardzo uparł, to jeszcze konsulat byłby mi dopłacił, za rzadką sposobność, jakiej mu dostarczyłem.

Udałem się tedy do konsula, którego szczęśliwie zastałem w biurze.

— Mego sekretarza niema — rzekł mi — zechciej pan potrudzić się o trzeciej.

Schowałem paszport do kieszeni.

— Nie mogę — odpowiedziałem. Wyjeżdżam o drugiej, muszę się tedy obejść bez wizy.

Mój interlokutor zbladł!

Pierwsza wiza dla konsula, to tak jak pierwsza długa suknia dla podlotka, jak pierwszy meszek nad ustami dla młodzieńca, jak pierwszy drukowany artykuł dla literackiego embriona, jak pierwsze szlify dla podoficera, jak pierwszy pocałunek i pierwsze „kocham ciebie" dla pensyjonarki...

A tu sposobność owej pierwszej wizy była i mogła przeminąć, może na zawsze.

— Panie — rzekł mi więc konsul — nie będę czekał na sekretarza, niech go tam dyjabli wezmą: dawaj pan paszport, zawizuję sam, byle prędzej.

Dałem więc paszport.

Interlokutor mój wyciągnął z biurka ogromną szufladę i wydobył z niej takie mnóstwo pieczęci, puszek z farbą, opłatków, laków, że wystarczyłoby tego do zawizowania wszystkich paszportów z całych Stanów Zjednoczonych.

Ale każdy debiut ma swoje strony rozkoszne, ma jednak i przykre. Nieraz, gdy dwóch chłopców bawi się w woźnicę i w konia, woźnica nie umie powozić, koń musi go uczyć. Po niejakiej chwili, konsul począł się namyślać i drapać w głowę.

— Panu o prostą wizę chodzi? — spytał.

— Tak, byle w dobrym gatunku.

— Hm!... dyjabli nadali tyle tych pieczęci.

— Palnij pan pierwszą lepszą.

— Ale to trzeba na końcu paszportu?

— Najlepiej trzymać się środka. W Stanach Zjednoczonych są tylko dwie partyje: demokratyczna i republikańska, a niema trzeciej, dlatego jest źle.

— A tak! tak!

— A pan do jakiej partyi należy? — spytałem znienacka.

— Ja?... tego... Jakże się nazywa?... Mam przecie gdzieś zapisane, ale na pamięć...

— A cóż, wiza skończona?

— Zaraz, zaraz. Dyjab... nadali te pieczęcie. E! wie pan co? kropniemy największą, zawsze to nie zawadzi.

— Kropnijmy największą.

Konsul wydobył z szuflady coś nakształt tarana do zabijania palów w Wiśle.

— A toż to prześcieradło możnaby tem zawizować — rzekłem.

— To nic! Poradzimy... O, dla Boga! a to istotnie ciężkie!

— Może panu dopomódz? Raz, dwa, trzy... Hoop! siup!

Rozległ się głuchy łoskot stołu, na który padła pieczęć. Zdawało się, że mój paszport krzyknął: „O Jezu!" Schowałem go do kieszeni i wyszedłem.

Była godzina dwunasta w południe. O wpół do trzeciej miałem wyruszyć, ale przedtem musiałem iść na pożegnalny obiad, który za grosz wdowi wyprawiała dla mnie brać literacka. Wyznaję, że co do tego obiadu miałem pewne obawy. Chodziło mi o to, czy dobre serca koleżeńskie nie będą mnie kanonizować na wielkiego człowieka, i czy nie będzie czasem takich mówek, jak ta, którą raz słyszałem na cześć pewnego literata, przybyłego z Poznania, której początek podaję:

„Panowie! Nie myślcie, żebym w gronie kolegów chciał mówić o Platonie lub Heraklicie. Nie wspomnę także o Nabuchodonozorze, ale... Co to ja chciałem mówić? (brawo!) ale od czasu jak te wieki okryte pleśnią wieków. (Głos z prawej strony: „było już o wiekach"). Mówca: ja panu nie przeszkadzam kiedy pan mówisz! O czem to mówiłem? Aha! o pleśni wieków! — Kiedy więc Plato powiedział... że tego... panie... właśnie! nic więc dziwnego, że wniosę toast za zdrowie Platona... nie! Chciałem powiedzieć: kolegi naszego Teodora, który... panowie! który panowie! który... panowie!... To właśnie co chciałem wyrazić"... (brawo! brawo!)

Oczywista rzecz, że gdybym ja był panem Teodorem, przestraszony własną wielkością rozum mój nie zdobyłby się na równie wymowną odpowiedź i dowiódłbym swoim kolegom, że gorszym jeszcze jestem mówcą, niż literatem. Na szczęście jednak, na owym obiedzie, o któ-

rym wspomniałem, więcej było wina niż mów; skutkiem czego, kiedym jechał po obiedzie na dworzec kolejowy, świat wydał mi się bardzo pięknem zjawiskiem, Warszawa najczystszem i najporządniejszem miastem na świecie, kobiety szalenie ładne, bruki nadzwyczajnie wygodne, i gdyby nie przykre zajście, jakie miałem z własną torbą podróżną, wiszącą mi przez plecy, chwile owe policzyłbym do najpiękniejszych w mojem życiu.

Ale zajście to z własną torbą popsuło mi trochę humor. Wiedziałem, że torba wisi na mnie i żem jej nie zgubił, trzeba jednak było, że gdym chciał wydobyć z niej pieniądze i przechyliłem się na lewą stronę, moja torba uciekła mi na prawą — gdy ja na prawą, moja torba na lewą. Gonić kogoś na własnych plecach jest fizycznem niepodobieństwem, dlatego opuściłem ręce i myślałem sobie: stało się! nie pojadę do Ameryki. Szczęściem dobre dusze pomogły mi i w tym kłopocie.

Wsiadłem wreszcie do wagonu, lokomotywa świsnęła i wkrótce przez mgłę i dym tylko widziałem kochane twarze, goniące mnie spojrzenia i ręce powiewające chustkami...

„*Listy z Ameryki*“.

Sienkiewicz Henryk — współczesny powieściopisarz i nowelista. Wychowaniec byłej szkoły głównej, swój zawód literacki rozpoczął studyjami literackiemi w *Tygodniku Ilustrowanym* „O Kasprze Miaskowskim i Sępie Szarzyńskim“. Był jednym z redaktorów zapalczywej *Niwy*, a powiastka „*Humoreski z teki Worszyły*“, drukowana w *Przeglądzie Tygodniowym*, odrazu zwróciła na niego oczy krytyki i czytającego ogółu. Pod pseudonimem Litwosa ogłosił powieści: „*Stary sługa*“, „*Hania*“, „*Selim*“. Wyjechał następnie do Ameryki, zkąd pisał ciekawo „Listy z podróży“ do *Gazety Polskiej*. Po wędrówce do Ameryki wzbogacił literaturę prawdziwemi perłami nowelistycznemi, jak: „*Janko Muzykant*“ i wiele innych, przełożonych jednocześnie prawie na wszystkie europejskie języki. W drobnych tych obrazkach doszedł, można powiedzieć, skończonej doskonałości. Po powrocie, w twórczości Sienkiewicza nastąpił zwrot: zmienił temat obserwacyi, uniosła go malownicza, artystyczna strona przeszłości i po „*Bartku zwycięzcy*“, który zdaje się był jego nowelistycznym łabędzim śpiewem, rozpoczął pisanie całego szeregu wielkich historycznych powieści. Ukazały się więc: „*Ogniem i Mieczem*“, rzecz osnuta na tle dziejów Władysława IV-go, „*Potop*“ z czasów Jana Kazimierza i „*Pan Wołodyjowski*“. Jest to trylogija powieściowa, pisana z talentem olbrzymim, z artystycznem odczuciem epoki i jej malowniczości, nieskończenie pięknym a czystym polskim językiem. Sienkiewicz pisywał i dla sceny, z mniejszem jednak powodzeniem.

Amerykańska oberża.

* W pewnem amerykańskiem miasteczku, gniewał się podróżny na posługacza:

— Cóż ty robisz u licha, czarna szelmo! Już dwa razy mnie budzisz, oznajmiając, że śniadanie gotowe! Ja udaję, że nie słyszę, bo chce mi się spać jeszcze, a ten prześcieradło z podemnie wyciąga.

— Niemogę inaczej postąpić, kochany panie — odpowiedział murzyn — ono musi służyć teraz jako obrus do śniadania!

Amor.

* Pewna dama, bardzo piękna, chociaż niewidoma na jedno oko, znajdowała się w towarzystwie z ślicznym swoim synkiem, także niewidomym na jedno oko.

— Piękne dziecię—odezwał się ktoś z obecnych — oddaj twoje oko matce: ona będzie Wenerą a ty amorkiem.

Humorysta — pismo humorystyczne, wychodzące w Warszawie od 1839—1840 pod redakcyją Wojciecha Szymanowskiego. Wydawca Wojciech Lasocki zmienił później tytuł pisma na *Statek parowy*.

* *Amor na emeryturze.*

Bóg Amor właśnie drzemać jął!
Rozkoszne śnił obrazy —
Gdy nagle, do drzwi bożka, ktoś
Zapukał aż trzy razy.

— Herrein! zbudzony krzyknie bóg,
I szlafrok wdziewa na się,
— Cóż za fujara budzi mnie,
W godzinki miłej czasie?

— Ach! panie bożku daruj mi,
Iż, gnan rozpaczy szałem,
Spłoszyłem z powiek twoich sen,
I silnie tak pukałem...

Z Arkadyi pasterz dąży tu,
Do ciebie specyjalisty,
Spraw miły bożku, aby tkwił
W mem sercu grot ognisty.

Uwierzyć trudno, jako mi
Zachwytów obce dreszcze,
Honoru słowu, dalibóg!
Bonne-fortune nie znam jeszcze.

Choć rosą codzień myję twarz,
W zamiarze bym był gładszy,
Z dziew żadna nie chce kochać mnie,
I żadna się nie patrzy...

Więc spraw bym marzył, cierpiał, czuł,
Tęsknoty śpiewał żale,
Bo jak mi rady nie dasz, to...
To... sobie w łeb wypalę!

— Zabawny z pana facet jest!
Ty bredzisz miły bracie.
Czyż nie wiesz, jako miłość cna
Nie w moim referacie?

Jam dawno odpiął skrzydła swe,
Harmonii dusz nie wtórzę
I resztę świetnych pędzę chwil
Już na emeryturze...

To co odemnie żądasz dziś
Nie mogę dać, niestety!
Bo moim fachem trudnią się
Kuryjery i Gazety.

Tam na frasunek znajdziesz swój,
Poradę delikatną,
W „korespodencyję“ bratku patrz,
Nazwano ją: „prywatną“.

Tadeusz Czapelski.

Amfitryjon zawiedziony.

* Bogaty fermer zaprosił na obiad La Fontaine'a w nadziei, że człowiek, którego bajkami cały świat się zachwyca, potrafi świetnie zabawić gości.

La Fontaine jadł, pił, milczał i wcześnie pożegnał towarzystwo, tłómacząc się tem, że musi się udać do akademii.

— Ależ to jeszcze zawcześnie, nalegał zachmurzony gospodarz.

— Wiem, wiem — odpowiedział bajkopisarz — to też wybiorę najdłuższą drogę.

Ananas i żołądź.

* Rzecz się działa współcześnie, co ciekawszem [dla nas:
Pewien soczysty ananas,
Rozsiadłszy się w swych liściach, jak basza [w fotelu,
Dziwił się, w jakim żołądź stworzona jest celu.
— Ja, rzecz inna, przedemną salony otwarte,
Szlachetne podniebienia wysoko mnie cenią,
Usta królem fruktów mienią,
Więc takie posłannictwo żywota coś warte!
Szczepię artyzm w apetycie,
Rozkoszniejszem czynię życie,
Natomiast wyniszczyłbym do ostatka wszędzie,
Wszystkie marne owoce, a głównie żołędzie.
Bo ni to smaku, ni pożytku przecie,
I licho wie dla czego trzyma się na świecie.
Trzodę tuczy?... To głupstwo, przyznaję otwarcie,
Dałbym wszystką na pożarcie,
Niechby w głębiach głodnego utonęła brzucha!
Żołądź milcząc z boku słucha.
Aż gdy ananas skończył, spokojnie powiada:
— Ładny waszmość plan układa!
Szydzisz ze mnie, jak z chłopa panek z mitrą [złotą,
Że leżąc obok siebie tu na stole oto
Równie jak ty dni swoich oczekuję końca.
Lecz daj mi ziemi i słońca
To gdy twa egzystencyja doby nie wytrzyma,
Ja wyrosnę wśród dębów innych na olbrzyma.

Waśniewski Józef — młody, uzdolniony iście humorysta, piszący pod pseudonimem Dudusia. Szczególniej głębszą myślą i ładną formą odznaczają się jego bajki. Wydał również tomik no-

welli p t. „*Zygzaki*", w których na szczególniejszą uwagę zasługuje powiastka p. t. „Będzie", pomyślana dobrze i artystycznie wykończona.

Anegdota.

* — Słuchaj — mówi jeden anegdociarz do drugiego — opowiem ci paradną anegdotę.

— Poczekaj — przerywa drugi z pośpiechem -- ja ci opowiem lepszą!

Anglija.

* Anglików -- powiedział pewien humorysta — stworzył Pan Bóg na to, aby ludzkość wiedziała, czem są francuzi. Tak, anglicy z francuzami są starymi współzawodnikami i ubiegają się do obecnej chwili ustawicznie o lepsze. Anglicy wynaleźli prawo ciężkości, francuzi zaś prawo lekkości powietrza; w Anglii mówi się o sensie i nonsensie, we Francyi tylko o sprycie; „pani Angot" ma się do „John Bulla" w takim stosunku, jak francuzki funt (dzisiejszy frank) do angielskiego szterlinga; anglicy są koszulą, francuzi kryzą i mankietami; w Londynie przyjmują cudzoziemca, jakby mu tem wyrządzano grzeczność, w Paryżu, jak gdyby on przybyciem swojem przyjemność sprawiał; anglicy wolą milczeć, francuzi paplać bezustannie, nawet samo „nic" ma u nich jakieś znaczenie; francuzi twierdzą, iż anglicy trzymają się zasady, że mówienie jest psuciem konwersacyi.

— Ależ pan się musi nudzić — mówi francuz do anglika milczącego.

— Nie nudzę się nigdy — odpowiada tenże zimno — tylko inni mnie nudzą.

Anglik tam działa, gdzie francuz sypie pięknemi słówkami tylko; angielka rumieni się i ucieka tam, gdzie francuzka się śmieje; francuzi są *une nation bouquetiere* (sprzedającymi kwiaty), anglicy zaś — *une nation boutiquiere* (handlującymi sklepikarzami). Anglicy lubią przedewszystkiem to, co dobre, francuzi to, co nowe. Pomimo tego anglicy chętnie naśladują francuzów i odwrotnie. Ostatni lubują się w angielskich wyrobach i modach, pierwsi zaś całe życie jeżdżą do Paryża i powierzają swe dzieci wychowaniu takich „pań Angot". Storch dowiódł, że francuz jednem słowem „monsieur" może podtrzymać całą rozmowę; Beaumarchais znów wykazał, że tę samą rolę w angielskim języku odegrać może ich „goddam". Anglija jest krajem mgły i pary węglanej i nie jest to zupełnie prostym dowcipem, co powiedział poseł portugalski, opuszczając Londyn, gdy żegnał swojego przyjaciela:

— Zechciej odemnie pozdrowić słońce, jeżeli się raczy ukazać..

Rozpusta anglików, połączona z żądzą wolności, czyni ich źle wychowanemi dziećmi szczęścia, które z powodu najmniejszej przeciwności, jaką inni znoszą cierpliwie, gotowe są ze skóry wyskoczyć, stracić rozum i zmysły, w końcu zabić się z flegmą. Jakiś czas modnem narzędziem śmierci była brzytwa; zarzucono ją jednak od chwili, gdy pewien francuz, chcący naśladować anglika, wziął się też do brzytwy, lecz za pierwszem zacięciem posłał po doktora, żeby mu ranę opatrzył, co stało się pośmiewiskiem całego Londynu.

Pewien anglik, bawiący we Włoszech, kazał jednego wieczoru przyjść do siebie całej orkiestrze, aby mu wykonała w jego pokoju mszę żałobną, a gdy ostatnie takty „Requiem", przebrzmiały zawołał: „bravo!" i w łeb sobie palnął. Inny robotnik poderżnął sobie gardło, zostawiwszy kartkę z następującemi słowami: „Co to jest życie? Jeść i spać, pracować i wypoczywać. Już mi się to znudziło". Śmiech zostawia tak mało śladu na twarzy anglika, jak błyskawica na niebie.

Rozum anglika — powiedział jeden z dowcipnisiów — znajduje się zawsze albo w piwnicy, albo w spichrzu. Czy też osobnikowi jakiego narodu przyszłoby na myśl urządzić bal w beczce, albo przyjąć zakład ujechania 15 mil na godzinę konno, twarzą do ogona, albo też uczestniczyć w takich wyścigach osłów, w których wygrywa przybywający do mety na ostatku? Gdzie i kiedy wydałby admirał swoim oficerom ucztę, na której poncz napełniałby cały marmurowy ba-

sen, a ładny chłopiec, przebrany za Hebe w łódce mahoniowej pływał wkoło brzegu i siedzącym nad basenem gościom, nalewał napój srebrnym czerpakiem? Tylko angielskim żeglarzom mogło przyjść do głowy zapijanie ulubionego grogu w Aleksandryi na kolumnie Pompejusza; a gdzież to indziej może być zawartem legalnie małżeństwo bez zezwolenia rodziców i bez wszelkich prawnych formalności, byleby państwo młodzi przejechali się do Szkocyi? Anglik tylko mógł z miłości dla pewnej damy, która odmawiała mu uparcie swej ręki dlatego, że miał prawą nogę drewnianą, kazać sobie uciąć i lewą! I tylko anglik mógł się zdobyć na pomysł przesłania swoim znajomym karty następującej treści: „Jutro będę powieszony, proszę więc zaszczycić egzekucyję swoją obecnością". W r. 1818 Spencer ogłosił zabawne ostrzeżenie względem siebie samego, aby nikt nie kredytował mu więcej nad jednego szylinga, gdyż ma silne postanowienie nikomu nigdy więcej nie płacić. W r. 1795 pewien dżentlemen opublikował, że za jednego szylinga można oglądać kartofel wartujący sześć szylingów i wszyscy spieszyli oglądać to dziwo. Był to tymczasem zwyczajny kartofel, w który wetknięto sześć szylingów. Inny obywatel Albijonu ogłosił znów, że można oglądać za opłatą konia, który ma głowę tam gdzie ogon, a współrodacy jego tłumami chodzili do stajni i podziwiali konia, zwróconego ogonem do żłobu, Pewna dama, stanąwszy powozem w bocznej ulicy przed sklepem, kazała sobie przynosić towary, nie bacząc na to, iż zatarasowała przejście. „Za pozwoleniem pani" — zawołał jeden z przechodniów – i wszedł do powozu jednemi drzwiczkami a wyskoczył drugiemi. Za przykładem pierwszego poszli inni i powóz owej damy zamienionoby na ulicę przechodnią, gdyby lady nie uznała za właściwe szybko ruszyć z miejsca. Pasażerowie pewnego dyliżansu, zmuszeni byli przez cały czas swej podróży znosić jakieś indywiduum, które otulone grubym płaszczem siedziało w kącie powozu z kapeluszem, wciśniętym na oczy, z rękoma skrzyżowanemi na brzuchu i tak było niegrzeczne, że nie odpowiadało nawet na najuprzejmiejsze pytania. Okazało się w końcu, że był to wisielec, którego w ten tani sposób ekspedyjował konduktor dyliżansu swojemu przyjacielowi chirurgowi w Londynie. John Bull nie troszczy się bynajmniej o to, co o nim ludzie powiedzą; pasyjonuje się do zakładów i wyścigów, a pasyja ta jest tak powszechną, że inwalidzi i chorzy w szpitalach, nie mogący stawiać koni i osłów, tresują pchły do wyścigów. Oryginalnych powodów do zakładów nigdy tu nie zbraknie. Ktoś naprzykład założył się, że w pewnym przeciągu czasu obiegnie Hyde-Park na czworakach z żoną na plecach, i zakład wygrał. Koguty, przeznaczone do walki, hodowane bywają tam o wiele staranniej niż młodzi lordowie, a walki tych ptaków, odbywające się przez ośm dni w Newmarket, zatruwają niektórym goryczą całe życie. Zakłady o bieganie, jeżdżenie konno, boksowanie, picie i jedzenie, są też do obecnej chwili na porządku dziennym. Ktoś np. zakłada się, że w pół godziny zje szaflik bulw do spółki z kimś drugim i zaprasza do towarzystwa świnię... Caracciollego pewnego razu poniósł jego własny koń. „Skręci kark"! — woła jeden anglik. „Nie, trzymam 50 franków" — odpowiada drugi. „Trzymam". Chciano biedz na ratunek zagrożonemu skręceniem karku, ale zakładający się nie pozwolili na to, krzycząc, że idzie tu o zakład. Chciano spuścić rogatkę. „Nie można! tu idzie o zakład!", wołali znów obaj zapaśnicy. Anglik nie pyta nigdy o to, co jest słuszne, a co niesłuszne, tylko, co jest angielskie. Anglik francuza nazywa kucharzem żab, „waserzupek", mówiąc o niemcu przypomina kiełbasę i smażoną kwaśną kapustę. Włoch jest dla anglika *montskey* (małpą); holender — holenderskim wołem; niemiec — niemiecką trzodą. Od 300 lat Europa czci jednego bożka — złoto, i jeśli jest jego świątynią, to Anglija jest jego ołtarzem. Jeżeli cudzoziemiec w Londynie zażąda butelki szampańskiego i sześć szklanek, to w tej chwili anglik zawoła o sześć butelek szampana i jedną szklankę. Anglija jest

gęsią, która w francuzkiej wojnie np. zniosła złote jaja mniejszym i większym mocarstwom Europy. Większość cudzoziemców podróżuje, aby zrobić pieniądze; anglicy po to, aby je wydać. Są oni prawdziwymi arystokratami w europejskiej rzeczypospolitej i gdyby mogli tylko zburzyć wszystkie porty handlowe w Europie, dosięgnęliby niezawodnie szczytu swoich marzeń. W ustach anglika słyszy się najczęściej słowo „spekulacyja“, a ten duch kramarszczyzny i chciwości, ta żądza nienasycona bogactw, są daleko okrutniejsze, aniżeli duch fanatyzmu i wojny. Oto ich cnoty: zawsze są tem, czem są, a nigdy nie pozują; mają zwyczaj tak w parlamencie, jak i w knajpie powtarzać jeden frazes: „chcę się przekonać“, a gdy im ktoś czegoś dowiedzie, wołają: „jestem przekonany!“ Pogardzają tem, co się tylko świeci, nie nawidzą chwalców i paplaczy, a przedewszystkiem — kłamców. Próżność nigdy ich nie uwodzi; lord ubiera się tak samo jak każdy śmiertelnik. W rozmowie nawet ze złodziejami są logiczni i chłodni. „Czy to wolno człowieka wieszać za konia?“—pytał złodziej sędziego pokoju Burneta. — „Mój przyjacielu — odpowiedział tenże — będziesz wisiał nie za ukradzenie jednego konia, ale dla tego, byś więcej nie kradł“... Zapalczywy wielce Montesquieu z Chesterfildem sprzeczali się o wyższość swoich narodów; pierwszy wysławiał wesołość francuzów, drugi wyższość anglików. Niebawem do Montesquieu'go przychodzi jakiś nieznajomy i ostrzega go, aby był ostrożny ze swojemi papierami. Przerażony francuz rzuca je natychmiast w ogień i zmieszany biegnie do Chesterfilda, który go uspokaja, śmiejąc się i objaśniając, że on to właśnie posłał mu tego nieznajomego, aby rozstrzygnąć spór, jaki mieli przed chwilą. Lepiej jeszcze znalazł się pewien kapitan okrętu, któremu gdy kilku wybladłych ze strachu ludzi doniosło, iż pokazał się ogień na statku, spokojnie rzekł: „No, to trzeba go ugasić!“ i z zimną krwią wydał potrzebne rozkazy. Cnotą anglików jest również ich solidarność. Kiedy pewien restaurator w Kanterbury kazał sobie zapłacić 40 ludwików za bulijon. podany do powozu francuzkiemu posłowi, księciu Nivernua, a dzienniki o tem światu doniosły, żaden z anglików do pomienionej restauracyi więcej nie zajrzał. Cała Europa podziwiała Ludwika XIV-go, anglicy nazywali go *le grand fou* (wielki szaleniec) a ich Wilhelm kazał wybudować Bedlam (dom warjatów) na wzór Luwru. Anglicy jedni tylko nie przyznawali Bonapartemu tytułu cesarza, gdy zaś cała Europa drżała przed Francyją, mała wolna wyspa mówiła o *statu quo*. Uważano to za śmieszną dumę, a tymczasem rok 1814 przekonał, że miała słuszność. Godną podziwu także w anglikach jest pogarda śmierci: umierają tak samo w bitwie jak w łóżku i pod szubienicą. Często anglik zakłada sobie własną ręką stryczek na szyję, lub woła o mydło do posmarowania zbyt nowego i ostrego sznurka. Pewien anglik z urwanym powrozem upadł z szubienicy na ziemię i pierwszy głośno zawołał o nowy stryczek. Pitt umarł ze słowami: „O moja ojczyzno! moja biedna ojczyzno!“

Weber. (p. str. 4).

* *Obywatel z Hyde-Parku.*

W Hyde-Parku stoi oparty o baryjerę jeden z wolnych obywateli Zjednoczonych królestw. Przypatrzmy mu się... Obywatel ten ma lat szesnaście, dziury na łokciach, czoło idyjoty, spróchniałe zęby i wystrzępione majtki. Ma także jakiś surdut jakiegoś koloru, ale niema za to koszuli.

— Gdzie twój ojciec? — pyta nasz przewodnik.

— W Botany Bay.

— A matka?

— Matka robi pudełka.

— A siostry?

— Ma ich trzy, robią także pudełka; ma także dwóch braci po lat ośm, którzy robią pudełka, i jednego lat trzech który pomaga je kleić.

W Anglii całe setki i tysiące ludzi żyją z tej pracy, a raczej głód mrą z tej pracy.

Otóż i nasz potępiony! Matka jego chora, bo wszyscy, którzy dłużej robią pudełka, chorują; ojciec jego był zamiataczem ulicy, ale raz aresztowali go i wywieźli. Chłopak nie umie czytać i pisać, klnie za to nadzwyczaj wprawnie. Widać także, że trochę i pije, bo jak zimno, to dżin rozgrzewa.

— Czy umie też pacierz?

— Co?—pyta zdziwiony otworzywszy usta. On tego nie umie, on umie robić pudełka, a to nie jego rzemiosło.

— A jeść ma ochotę?

— Ma, ale nie ma pieniędzy, a ukraść się boi.

— Ale choćbyś się nie bał, to nie zrobiłbyś tego, bo to jest źle?

— Juści źle, bo jak policyja złapie, to trzeba do więzienia. To dla niego przyczyna inaczejby kradł.

— A sumienie, chłopcze?

— Co to jest? czy to się je, czy to się pije? Czego od niego chcą? On przecie tu stoi spokojnie i nikomu nie zawadza.

Oto mały obrazek. Ach! ten wolny obywatel Zjednoczonych królestw nie umie czytać, pisać, nie umie pacierza, nie wie co jest Bóg; myśli, że sumienie się jada albo pije; słyszał o cnocie, nie ma co jeść, pić i gdzie mieszkać, umie zaś robić pudełka. Tymczasem nędza mówi do niego: zabij, głód: ukradnij, chłód: upij się. Oto jego nauczyciele, innych niema. Czy ich posłucha? Tak, jak tylko przestanie bać się policyi.

Ale co też ja mówię! Ten wolny obywatel Zjednoczonych królestw ma przecież rozmaite prawa, z których może korzystać: *habeas corpus*; ma prawo głosowania; pełnomocnik jego będzie w swoim czasie przemawiał w izbie gmin... Co też ja mówię! Ten wolny obywatel jest nawet bogaty. A oto i ten Hyde-Park, to przecież własność publiczna, zatem własność i jego; a British Museum? a pałac kryształowy; a place, ogrody, gmachy publiczne? To wszystko jego. A przytem on jest anglikiem; do niego należą: Indyje, Australija, Kanada; on ma wojsko, flotę... To potentat prawdziwy. Ale czegóż tak drżysz na całem ciele, potentacie? Aha! on jest naczczo od onegdaj. Masz oto szylinga, biedaku, kup sobie co jeść.

Chłopak wytrzeszcza oczy. Szylinga? ależ on nigdy nie miał razem tyle pieniędzy! Szylinga? Potentat ogląda go z niedowierzaniem na wszystkie strony, następnie wydaje rodzaj radosnego wycia: chowa pieniądz do kieszeni, z której mu go żaden złodziej nie ukradnie, bo tą kieszenią są jego usta, i ucieka niepodziękowawszy nawet za datek.

A jednak ma Indyje, Kanadę, Australiją, pałace, ogrody!

Straszne społeczne zagadnienie.

H. Sienkiewicz. (p. str. 29).

* W pewnej paryzkiej kawiarni siedział lord B. paląc cygaro, popiół zaś z cygara spadał co chwila na jedwabny jego krawat. Znajomy lorda, pan D., włożywszy paltot, zabierał się do wyjścia, przystanął jednak przed palącym się na kominku ogniem, i obróciwszy się doń plecami, rozmawiał z lordem B., zwracając mu co chwila uwagę na popiół i iskry spadające z cygara. „Ah“, — zawołał wreszcie zniecierpliwiony lord — „co pana to obchodzi? Pański paltot tli się od półgodziny a ja panu nic o tem nie mówię...“

* Natura dobrotliwa nie wydziedzicza nigdy swoich tworów zupełnie. Odmówiła ona wprawdzie anglikom wszystkiego co piękne i przyjemne, nie dała im ani głosu do śpiewu, ani zmysłu sztuki, a może nawet zamiast dusz ludzkich obdarzyła ich skórzanemi sakwami porteru. Udzieliła im za to jednak sporo wolności obywatelskiej, talent wygodnego urządzania mieszkań i Wiliama Szekspira.

Heine (p. str. 26).

* Dwóch anglików spotkało się w Boulogne. Obaj powracali z Włoch do ojczyzny swojej i chociaż ich nikt nie przedstawiał zapoznali się

z sobą w porcie, gdzie mieli na ten sam okręt wsiadać.

— Powracam z Włoch — rzekł pierwszy — a pan?

— O, yes — odparł drugi — i ja też.

— Zwiedziłeś pan w Rzymie kościół świętego Piotra.

— O yes, 29-go czerwca, o godzinie 1-ej minut 57. Mam to zanotowane.

— Stanąłeś pan na tem osobliwem miejscu?

— Na jakiem miejscu?

— Jest jeden punkt w kościele św. Piotra na którym stojąc widzi się tylko jedną kolumnę zamiast całego rzędu kolumn. Nadzwyczaj oryginalny widok.

Drugi dżentlemen zarumienił się po same uszy, jak gdyby był zbrodnię popełnił. Jakiś czas chodził tu i tam zamyślony; naraz powziąwszy decyzyję zerwał się i zawołał na służącego:

— James, idź zamów konie pocztowe. Wracamy do Rzymu. Muszę zobaczyć w kościele św. Piotra to osobliwe miejsce, z którego nic nie widać.

* Lord Hamilton, wielce oryginalna osobistość, upiwszy się w hotelu, zabił chłopca do posług nie wiedząc nic o tem.

— Mylordzie, cożeś uczynił, — woła przerażony właściciel hotelu — zabiłeś mi garsona!

— No to wpisz go do rachunku — odpowiada bełkocząc.

Chamfort Sebastyjan Roch Mikołaj — francuz, jeden z najdowcipniejszych ludzi wielkiej rewolucyi, przyjaciel Mirabeau, ur. 1746 † 1794. Oskarżony przez komitet bezpieczeństwa sam sobie życie odebrał. Napisał kilka komedyi, a sławne jego dowcipy wydano w Paryżu 1800 r. pod tytułem „*Chamfortiana*“.

* Pewien anglik odbywający podróż poślubną z młodą żoną francuzką, która siedziała w głębi dyliżansu, wówczas kiedy jemu dostało się miejsce na przedniej ławeczce, na pierwszym przystanku zapytuje swej towarzyszki:

— Ach! czy ci tam dobrze?

— Bardzo dobrze mój przyjacielu.

— Czy siedzenie jest miękkie?

— Oh! tak mój drogi.

— Nie czujesz żadnego wstrząśnienia?

— Wcale nie.

— A przeciągów tam nie ma?

— Najmniejszych.

— O! to dobrze, bardzo dobrze... więc proszę cię, odstąp mi swoje miejsce, bo ja się tu wcale nie czuję tak wygodnie.

* Pewien anglik miał zwyczaj kończyć swój pacierz temi słowy:

— Wielki i miłosierny Boże! dopomagaj mi w interesach moich! będzie ztąd chwała dla ciebie a pożytek dla mnie!..

* Lord Hertword wynajął sobie pałacyk przy ulicy Laffite. Pewnego poranku służący budzi go, mówiąc że jacyś panowie chcą obejrzeć mieszkanie.

— Jakto, mieszkanie, które ja wynająłem?

— Tak jest, ponieważ właściciel chce sprzedać swój dom i to są właśnie kupcy.

— Pójdź powiedz właścicielowi, że ja dom jego kupuję, niech mi tylko snu nie przerywa.

* Dwaj anglicy sami powożąc, spotkali się w Londynie na wąziutkiej uliczce, żaden jednak nie chciał drugiemu ustąpić. Nakoniec jeden z nich położył lejce na kolanach, wyjął gazetę z kieszeni i zaczął czytać, drugi zaś uprzejmie się odezwał: „Po przeczytaniu, jeśli pan pozwoli, zamawiam gazetę dla siebie.“

* Lord B. słynny ze swoich dziwactw, wstąpił do pewnego paryzkiego fabrykanta oświadczając iż życzy sobie zamówić tabakierkę, na której byłby wymalowany jego pałac. „To bardzo łatwo,“ odrzekł rękodzielnik, „tylko prosiłbym lorda o pozostawienie mi fotografii zamku.“ „Dobrze, ale chciałbym jeszcze żeby na podwórzu stała buda a przed nią mój ulubiony pies.“ „I to być może.“ „Dobrze! chciałbym też aby to było tak urządzone: kiedy kto zechce spojrzeć na psa, żeby ten chował się do budy, a jak nikt nie patrzy ażeby z niej wychodził...“ Fabrykant popatrzył na oryginała chcąc zbadać

czy to nie żarty, widząc jednak powagę na jego twarzy, pomyślał, iż będzie można z tej fantazyi dobry zysk dla siebie wyciągnąć i rzekł: „To co milordzie teraz sobie życzysz, wcale łatwem nie jest – to będzie drogo kosztować...“ „Ileż?“ „Tysiąc talarów.“ „Niech będzie tysiąc talarów!“. „Za cztery tygodnie będę miał zaszczyt odnieść jego ekscelencyi tabakierkę.“ „Dobrze, płacę za nią!“ Po czterech tygodniach przychodzi fabrykant do lorda B. „Mylordzie, oto jest tabakierka.“ Lord popatrzył na nią... „Tak, jest tu mój zamek z wieżami, podwórze, buda, ale gdzie pies, gdzież pies jest mój panie?“ „Czy jego ekscelencyja nie życzyła sobie żeby pies chował się do budy, jeśli ktoś pragnie go zobaczyć?...“ „No tak...“ „I ażeby z niej wychodził gdy go nikt nie widzi?“ „To prawda.“ „Więc kiedy mylord chciał nań spojrzeć, pies ukrył się coprędzej; proszę włożyć tabakierkę do kieszeni, a pies natychmiast się ukaże...“ Lord B. zastanowił się chwilę a później zawołał: „Masz pan słuszność“ i włożył tabakierkę do kieszeni zupełnie zadowolniony.

* Pewien anglik ucztował raz w licznem towarzystwie. Nagle nadeszła burza i piorun wpadł do pokoju, rzucił na ziemię służącego anglika, stojącego za krzesłem swojego pana, doprowadzając całe zgromadzenie do najwyższego przestrachu. Sam tylko gospodarz domu siedział spokojnie, a zwróciwszy się z obojętnością do innego służącego rzekł: „Przypomnij mi, żebym kazał jutro zaopatrzyć dom w piorunochrony.“

* Pewien francuz spotkał w Londynie angielskiego żołnierza, ozdobionego pamiątkowym medalem bitwy pod Waterloo. „Oj! oj!“ rzekł żartobliwie, „masz też poco nosić taką blaszkę, która zaledwie dwa franki kosztuje.“ „Tak, to prawda“ odparł żołnierz „nas istotnie kosztuje to dwa franki, ale was francuzów kosztuje to całego Napoleona.“

* Johnson jadł raz obiad u słynnej aktorki, miss Macaulay. Rozmowa przeszła na temat równouprawnienia, a gospodyni mówiła o tem z zapałem prawdziwej republikanki. Johnson zbywał ją krótkiemi odpowiedziami, sądząc że pogawędka przejdzie wreszcie na inny temat. Kiedy jednak gospodyni wciąż podtrzymywała tę kwestyję, Johnson, skończywszy prędko jeść, powstał a na swoje miejsce posadził gwałtem służącego. „Co to ma znaczyć“ zawołała aktorka. „Nic, nic pani, chciałem tylko system równości wprowadzić w praktykę!“

* Opowiadają o słynnym lordzie Pamfiel że w oryginalny sposób zawarł małżeństwo z pewną bogatą dziedziczką. Przy pierwszem spotkaniu zapytał ją: „Czy lubi pani chleb z masłem?“ „Tak.“ „Na dwie strony posmarowany?“ „Tak.“ „Czy sądzisz pani, że dobrze byłoby, gdybyśmy się połączyli?“ „Tak...“ Czwarte „tak“ wymówione zostało przed ołtarzem.

* *Anglik w muzeum.*

Dozorca muzeum. Panie, tutaj palić nie wolno, zapłacisz pan 10 marek kary.

Anglik. Oto masz 20 marek.

Dozorca. Nie mogę wydać reszty.

Anglik (do swego służącego). John, masz tutaj cygaro pal i ty także.

* *Angielska podróżomania.*

Dwaj anglicy wynaleźli w górach Czarnego Lasu, w odludnej okolicy, gospodę a w niej gospodarza, który zaimponował im nadzwyczajnem grubijaństwem. Roznieśli więc sławę jego w ojczyznie, i wkrótce gospodę potrzeba było powiększyć, gospodarz zaś nieumiał znaleść przyczyny, której zawdzięczał ten potop anglików. Że jednak interesa szły świetnie i że miało się ciągle do czynienia z mnóstwem ludzi, gospodarz stopniowo wygrzeczniał, a z tem ustał napływ synów Albijonu. Wtedy dopiero spostrzegł oberżysta o co chodzi jego gościom i pospieszył ogłosić następującą odezwę: „Panom anglikom podaję niniejszem do wiadomości, iż gospoda moja nadal będzie przezemnie utrzymywana, i jak w dawniejszych latach będę grubijański, bardzo grubijański, bardziej niż zawsze grubijański. Upraszam więc o częste odwiedziny!“

* *Posiedzenie towarzystwa wstrzemięźliwości w Anglii.*

Sam zapytał, w jakiej to sprawie szanowny rodzic jego zdania zasięgnąć żąda.

— Jestto punkt, dotyczący polityki domowej, Sammy— odpowiedział Weller. Znasz Stigginsa?

— Czerwononosego?

— Tego samego. Czerwononosy ten odwiedza twoją macochę z dobrocią i łaskawością, jakich nigdy nie widziałem. Tak kocha naszą rodzinę, iż gdy odchodzi, nie może przemódz na sobie, by nie zabrać jakiej pamiątki.

— Gdybym był na twojem miejscu—powiedział Sam—dałbym mu coś, coby dziesięć lat popamiętał.

— Zaraz, zaraz; otóż, jak mówiłem, teraz przynosi zawsze z sobą płaską butelkę, obejmującą około półtorej kwarty, a gdy odchodzi, napełnia ją starannie naszym arakiem.

— I zapewne odnosi ją próżną?

— Zostaje tylko korek i zapach. Co do tego, to możesz być zupełnie spokojny. Owóż, mój chłopcze, dziś te próżniaki odbywać będą miesięczne posiedzenie sekcyi Brich-Lane, oddziału Ebenezer wielkiego towarzystwa wstrzemięźliwości... Miała tam pójść i twoja macocha, ale dostała reumatyzmu i nie może, a ja pochwyciłem dwa bilety, które jej przysłano.

Udzieliwszy synowi tej tajemnicy z nadzwyczajnem zadowoleniem, Weller tak szybko zamrugał okiem, iż sam począł przypuszczać, że dostał nerwowej drżączki w prawej powiece.

— No i cóż z tego?—zapytał.

— A oto co—mówił dalej ojciec, oglądając się na wszystkie strony—pójdziemy tam Sammy; substytut pasterza nie przybędzie! substytut nie przybędzie!

Tu Weller dostał takiego napadu śmiechu, iż omal nie udusił się. Przestraszony Sam począł mu rozcierać grzbiet, mówiąc:

— Doprawdy, nigdy w życiu, nie widziałem podobnego upiora. Czegoż tak chichoczesz, korpulencyjo?

— Cicho, Sammy – odrzekł Weller, oglądając się dokoła z wielką ostrożnością i mówiąc stłumionym głosem. Dwaj moi przyjaciele, jeżdżący oksfordzkim traktem i sławni do wszystkich fars, wzięli substytuta na holownik, i gdy przyjdzie na posiedzenie Ebenezer (co stanie się niezawodnie, gdyż doprowadzą go do samych drzwi i wepchną tam w razie potrzeby) to zgromadzeni przekonają się, iż jest nalany arakiem, jak nigdy nie był pod „Markizem Granby,“ a to już nie mało!

Tu Weller począł znowu śmiać się nieumiarkowanie, z narażeniem na uduszenie się.

Nic nie mogło tak przypadać do gustu Samowi, jak zdemaskowanie czerwononosego. A ponieważ nadchodziła już godzina rozpoczęcia posiedzenia, więc ojciec z synem bezwłocznie poszli do Brich-Lane. Po drodze Sam oddał list na pocztę.

Miesięczne posiedzenia filii Brich-Lane, oddziału Ebenezer odbywały się w obszernej sali. Prezydentem był właśnie pan Antoni Humm, nawrócony pompier, obecnie nauczyciel, a chwilowo wędrowny kaznodzieja. Sekretarzem zaś pan Jonas Mudge, subjekt blacharski, naczynie entuzyjazmu i bezinteresowności, sprzedający herbatę członkom stowarzyszenia. Przed rozpoczęciem posiedzenia, damy, siedząc na taboretach, popijały herbatę, jak mogły najdłużej; wielka drewniana skarbonka stała na zielonem suknie, na biurku, przy którem siedział sekretarz, wdzięcznie uśmiechający się przy każdym nowym datku.

Damy zaczęły od wypicia przerażającej prawie ilości herbaty, ku wielkiemu oburzeniu pana Wellera, który, nie zwracając uwagi na znaki Sama, wodził dokoła oczami, pełnemi zdziwienia i pogardy.

— Sammy—szepnął do syna—jeżeli niektórym z tych ludzi nie trzeba będzie jutro robić operacyi, jak dotkniętym wodną puchliną, to ja nie jestem twoim ojcem! Widzisz tę starą babę naprzeciwko mnie? Ona utopi się w herbacie!

— Czy nie możesz być cicho—szepnął Sam.

— Sammy — rzekł znowu Weller po chwili, z wyrazem głębokiego wzruszenia — uważaj, co ci powiem, mój chłopcze; jeżeli ten sekretarz będzie jeszcze przez pięć minut tak żarł grzanki i zapijał gorącą wodą, to niezawodnie pęknie!

— Cóż ci to szkodzi, jeżeli mu się tak podoba? To do nas nie należy.

— Jeżeli tak dłużej potrwa — zaczął znowu Weller cichym głosem — czuję, iż mój obowiązek, jako człowieka i chrześcijanina, nakaże mi powstać i powiedzieć parę słów prezydentowi. Tam, na trzecim taborecie, siedzi młoda kobieta, która już wypiła pół dziesiątej filiżanki; w oczach rozdyma się!

Niemasz żadnej wątpliwości, że Weller spełniłby swe życzliwe zamiary, gdyby wielki szmer stukających filiżanek nie oznajmił, że herbata skończona. Po wyniesieniu przyborów i ustawieniu stołu z zielonem suknem na środku sali, posiedzenie zagajone zostało przez małego łysego człowieczka w aksamitnych spodniach, który szybko przeszedł po stopniach estrady, z narażeniem swych cienkich nóżek.

— Panie i panowie!—rzekł mały łysy człowieczek—proponuję na prezydującego naszego zacnego brata, pana Antoniego Humma.

Na tę propozycyję damy zamachały całą kolekcyją pięknych chustek, a gwałtowny mały człowieczek literalnie poniósł do fotelu pana Humma, ująwszy go za barki i popychając z tyłu. Agitacyja z chustkami powtórzyła się i pan Humm, który miał twarz bladą i wiecznie spotniałą, powitawszy uprzejmie towarzystwo, z powagą zajął swe miejsce. Następnie mały człowieczek wezwał wszystkich do milczenia; pan Humm zaś powiedział, że za przyzwoleniem braci i sióstr sekcyi Brich-Lane, w tej chwili obecnych, sekretarz odczyta sprawozdanie. Propozycyję tę przyjęto jednogłośnie.

Gdy sekretarz kichnął w sposób wielce znaczący, a towarzystwo odchrząknęło, jak to zawsze bywa, gdy ma nastąpić coś zajmującego, rozpoczęto czytanie następującego dokumentu:

„Sprawozdanie komitetu sekcyi Brich-Lane, oddziału Ebenezer, wielkiego towarzystwa wstrzemięźliwości.

„Komitet prowadził dalej swoje przyjemne prace w ciągu ubiegłego miesiąca i ku wielkiej swej pociesze podaje nam następujące nowe wypadki nawrócenia się do wstrzemięźliwości.

„H. Walker, krawiec, żonaty, mający dwoje dzieci. Gdy był w zamożniejszym stanie, przyznaje, iż pijał porter i piwo. Powiada, iż nie może zaręczyć, by przez dwadzieścia lat nie używał przynajmniej dwa razy na tydzień „psiego nosa.“ Komitet wasz, zarządziwszy odpowiednie poszukiwania, wykrył, iż napój powyższy składa się z gorącego porteru, gwoździków, jałowcówki i muszkatołowej gałki. (W tem miejscu jedna z dam wzdycha i mówi: „Tak! tak!“). Obecnie jest bez roboty i bez pieniędzy; sądzi, iż winą tego jest porter (oklaski) albo też okoliczność, iż pozbawiony jest użycia prawej ręki: nie wie z pewnością, czy jedno, czy drugie, ale przypuszcza, iż gdyby przez całe życie pił tylko wodę, kolega jego nie ukłół by go zardzewiałą igłą, co spowodowało obezwładnienie ręki (ogromne oklaski). Teraz niema nic do picia, oprócz wody i nigdy nie czuje się być podchmielonym (wielkie oklaski).

„Betzy Martin, wdowa, ma tylko jedno dziecię i jedno oko, wynajmuje się dziennie, jako praczka; drugiego oka nigdy nie miała, ale wie, że matka jej była nałogową i nie dziwi ją, że z tego powodu jest jednooką (ogromne oklaski). Sądzi, iż prawdopodobnie miałaby dwoje oczu, gdyby sama wstrzymywała się od napojów spirytusowych (gwałtowne oklaski). Zwykle pobierała dziennie jeden szyling i sześć pensów, kwartę porteru i szklankę wódki; ale od czasu, jak należy do sekcyi Brich-Lane żąda zawsze trzy szylingi i sześć pensów (interesujący ten fakt przyjęto z największem uznaniem).

„Henryk Beller, przez wiele lat urządzał obiady, dawane przez korporacyję. W owym czasie pijał wiele win obcych. Być może, iż na-

wet zanosił do domu jedną, drugą butelkę. Nie może też tego powiedzieć z pewnością, ale sądzi, że jeżeli zaniósł, to niezawodnie i wypił to, co się w butelkach znajdowało. Obecnie czuje się podupadłym na duchu i melancholijnym, noce miewa niespokojne i doznaje ciągłego pragnienia. Przyczyną tego jest wino, które miał zwyczaj pijać (oklaski). Teraz jest bez pracy i nigdy nie dotyka obcych win (ogromne oklaski).“

Po odczytaniu tego sprawozdania Antoni Humm wezwał, by zaśpiewać cokolwiek. Zaproponował pieśń: „O wesołym wioślarzu“ na nutę siódmego psalmu dla moralnej i racyjonalnej przyjemności towarzystwa (wielkie oklaski).

— Jest to śpiew wstrzemięźliwości — mówił pan Humm (grzmot oklasków). Czysty ubiór zajmującego młodzieńca, jego zręczność, jako wioślarza, spokojne usposobienie umysłu, które według słów poety, pozwalało mu wiosłować cały dzień, nie myśląc o niczem, — wszystko to przekonywa, że młodzieniec ten pijał tylko wodę (oklaski). Młode dziewczęta tłoczyły się do jego łódki (wielkie oklaski). Jakże to wymowny przykład! Dziewczęta tłoczą się do łódki młodego wioślarza, towarzysząc mu na drodze obowiązku i wstrzemięźliwości... Ale czyż tylko dziewczęta! Był ulubionym wioślarzem najpiękniejszych dam (ogromne oklaski). Łagodna płeć zgromadzała się jak jeden człowiek, przepraszam jak jedna kobieta... dokoła młodego wioślarza i odwracała się ze wstrętem od pijących napoje spirytusowe (oklaski). Bracia sekcyi Brich-Lane! Ta sala — to łódka, to zgromadzenie przedstawia płeć łagodną a mówca, chociaż niegodny, jest wioślarzem, (nieskończone oklaski).

— Sammy, co to jest płeć łagodna?—zapytał cicho Weller.

— Kobiety — odrzekł Sam tym samym tonem.

— Co do tego ma słuszność; musi być szczególnie łagodną, gdy pozwala wodzić się za nos takiemu cymbałowi.

Sarkastyczne spostrzeżenia starego Wellera przerwało rozpoczęcie śpiewu, który pan Humm przepowiadał po dwa wiersze dla ułatwienia śpiewania nieznającym słów. Tymczasem mały łysy człowieczek znikł; ale jak tylko śpiew skończono, powrócił i począł coś szeptać panu Hummowi z wielce poważną miną.

— Moi przyjaciele — rzekł następnie pan Humm—podnosząc w górę rękę i znakiem tym wzywając do milczenia te damy, które spóźniwszy się o parę wierszy, jeszcze je dośpiewywały—moi przyjaciele, delegowany od sekcyi Dorking brat Stiggins czeka na dole.

Chustki wionęły w powietrzu z wielkim zapałem, gdyż pan Stiggins był bardzo popularny między damami sekcyi Brich-Lane.

— Sądzę, że może wejść —rzekł pan Humm, spoglądając dokoła. — Bracie Tadger, pan Stiggins może wejść i spełnić swe posłannictwo.

Mały człowieczek zbiegł po schodach bardzo skwapliwie, a wkrótce usłyszano, jak powracał z wielebnym panem Stiggins.

— Idzie, Sammy —szepnął pan Weller, którego twarz nabrała purpurowej barwy, tak mu się chciało śmiać.

— Bądźmy cicho! —odrzekł Sam. Ja sam mogę ledwo powstrzymać się; słyszę jak się zatacza.

Podczas gdy Sam to mówił, drzwi się otworzyły i ukazał się brat Tadger, a zaraz za nim czcigodny Stiggins. Wejście tego ostatniego przyjęto oklaskami i silnem machaniem chustek. Ale na wszystkie te oznaki życzliwości Stiggins nie wyrzekł ani jednego słowa, poprzestając na przypatrywaniu się z ogłupiałym uśmiechem świecy, gorejącej na stole i jednocześnie kołysząc się całem ciałem w sposób nieregularny i alarmujący.

— Czy ci niedobrze bracie Stiggins? — zapytał po cichu pan Humm.

— Bardzo mi dobrze, mój panie!—odrzekł pan Stiggins głosem tak dzikim, na jaki tylko mógł zdobyć się jego z trudnością obracający się język. — Doskonale mi jest, mój panie!

— Tem lepiej, tem lepiej — odpowiedział pan Humm, cofając się o kilka kroków.

— Spodziewam się, iż nikt z obecnych nie pozwoli sobie powiedzieć, by mi źle było?!

— O! nie! naturalnie.

— I nie radzę tego mówić, mój panie, nikomu nie radzę!

Podczas tej rozmowy, zgromadzenie zachowywało najzupełniejsze milczenie, z pewnym niepokojem czekając na rozpoczęcie przerwanego posiedzenia.

— Bracie! — rzekł pan Humm z uprzejmym uśmiechem—czy chcesz przemówić do zgromadzenia?

— Nie chcę! odparł pan Stiggins.

Zgromadzenie podniosło oczy ku niemu i szmer zdziwienia przeleciał po sali.

— Mój panie!—zaczął pan Stiggins rozpinając surdut i mówiąc bardzo głośno—jestem zdania, iż zgromadzenie to spiło się haniebnie. Bracie Tadger! — mówił dalej ze wzrastającą gwałtownością i nagle, zwracając się ku łysemu człowieczkowi—jesteś pijany, jak noc!

To mówiąc, pan Stiggins w chwalebnym zamiarze zachęcenia zgromadzenia do wstrzemięźliwości i wyłączenia z niego wszelkiej niegodnej osoby, uderzył pięścią w sam nos brata Tadgera tak trafnie, iż mały sekretarz znikł w mgnieniu oka, głową naprzód zlatując ze schodów, wiodących na estradę.

Oratorska ta scena wywołała rozdzierający krzyk kobiet, które tłumnie rzuciły się ku swemu faworytowi i otoczyły go dla zasłonięcia przed niebezpieczeństwem. Dowód ten czułego przywiązania omal nie stał się fatalnym dla pana Humma, który bardzo był popularnym; niewiele bowiem brakowało, by nie został zaduszonym przez straż niewieścią. Większa część świec zgasła i słychać było tylko straszny hałas.

— Teraz, Sammy — rzekł Weller, uważnie zdejmując surdut — pójdź i sprowadź nocnego stróża.

— A cóż ty będziesz robić tymczasem?

— O mnie nie troszcz się, Sammy, zajmę się załatwieniem małego rachunku z tym Stigginsem...

To powiedziawszy i nim Sam miał czas powstrzymać go, bohaterski starzec dotarł do miejsca, gdzie stał Stiggins i zaatakował go z wielką zręcznością.

— Chodźmy stary—rzekł Sam.

— Występujcie!— wołał Weller, nieuważając na słowa syna i bez dalszej przedmowy zaaplikował Stigginsowi potężne uderzenie w głowę; potem zaczął uwijać się koło niego z lekkością godną podziwu w gentelmanie takich lat!...

Widząc, że przedstawienia jego są bezskuteczne, Sam mocno nasunął sobie kapelusz, na ramię zarzucił surdut ojca i schwyciwszy stangreta potężnie za pas, z siłą ściągnął go na ulicę. Uszedłszy zaledwie kilkadziesiąt kroków, usłyszeli hałas, spowodowany rozproszeniem się wszystkich członków sekcyi Brich-Lane, oddziału Ebenezer, wielkiego towarzystwa wstrzemięźliwości, a wkrótce potem ujrzeli wielebnego Stigginsa, wśród naigrawań pospólstwa prowadzącego go do lokalu, udzielanego bezpłatnie przez radę miejską.

Dickens Karol — najznakomitszy nowoczesny powieściopisarz angielski, ur. 1812 † 1870. Dzieciństwo spędził u handlarza szuwaksu, w 12 roku poszedł do szkoły, następnie pracował u adwokata jako dependent i zarabiał na siebie, gdy ojciec siedział w więzieniu za długi. Literacki swój zawód rozpoczął jako reporter w gazecie *Morning Chronicle*, w której pomieszczał szkice, z wielkim dowcipem i prawdą kreślone. Dziełem, które mu zjednało sławę najznakomitszego powieściopisarza angielskiego, jest „*Klub Pickwicka*,“ poczem nastąpił cały szereg innych powieści („*Dawid Copperfildd*,“ „*Olivier Twist*,“ „*Nickolas Nickleby*,“ „*Bleak House*“ i wiele, innych), w których z nieporównanym talentem, bez gadulstwa, w świetle prawdy, z humorem niepospolitym, z kąsającą satyrą, a jednocześnie z rzewną boleścią i współczuciem, maluje fakta i ludzi, na których patrzył i których nawskroś przeglądać umiał. Z przekonań był liberalnym i stał się założycielem politycznego dziennika z Dilkem p. t. *Daily News*. Utwory jego tłomaczone są na wszystkie języki europejskie, a więc i na polski.

* *Wybory w Anglii.*

Ruch i gwar dzisiejszego poranku wystarczyłyby najzupełniej do usunięcia z najbardziej poetycznej wyobraźni wszystkich innych myśli, z wyjątkiem wyborów. Huk bębnów, głosy trąb i rogów, krzyki pospólstwa, tentent koni, rozlegały się na ulicach od świtu. Od czasu do czasu utarczka między maroderami obu stronnictw rozweselała i urozmaicała przygotowania do ceremonii.

Sam ukazał się we drzwiach sypialnego pokoju pana Pickwick właśnie, gdy ten kończył ubierać się.

— No, cóż, Samie! - rzekł filozof—wszyscy dziś w ruchu?

— O! nikt nie próżnuje, panie. Nasi partykularzyści, którzy zgromadzili się pod „Miejskim herbem“ tyle już tam nakrzyczeli, że wszyscy pochrypli.

— A bardzo są przywiązani do swego stronnictwa?

— Nigdy nie widziałem podobnego przywiązania.

— Energiczni, co?

— Ja myślę. Nigdy nie widziałem, by kto pił i żarł z taką energiją. Sądzę, że niejeden z nich pęknie.

— To wynika ze źle zrozumianej wspaniałomyślności obywateli tutejszych.

— Bardzo być może — odrzekł Sam krótko.

— A! — zawołał pan Pickwick, spoglądając przez okno — piękni chłopcy, silni, świezi.

— Bardzo świezi, to pewna. Dwóch garsonów z pod „Srebrnego pawia“ i ja wypompowaliśmy ogromną ilość wody na wszystkich tych, którzy wczoraj byli na wieczerzy.

— Pompowaliście wodę na niezależnych wyborców?

— Tak, panie. Chrapali całą noc, tam gdzie wczoraj popadali, popiwszy się śmiertelnie. Dziś rano jednego po drugim insynuowaliśmy pod pompę — i patrz pan! wszyscy teraz doskonale wyglądają. Komitet dał nam po szylingu za głowę.

— Czy podobna by robiono takie rzeczy?— zawołał pan Pickwick pełen zdumienia.

— Ba! panie, to jeszcze nic.

— Nic?

— Nic, a nic, panie. W nocy, przed ostatniemi wyborami, przeciwna partja przekupiła służącą z pod „Miejskiego herbu“, by ta *zaprawiła* grog czternastu wyborcom, pozostałym w domu, którzy jeszcze nie wotowali.

— Co rozumiesz pod *zaprawieniem* grogu?

— Dodanie opium z blekotem. Niech mnie Bóg zabierze, jeżeli im to nie kręciło kiszek przynajmniej ze dwadzieścia godzin po wyborach. Jednego ponieśli zupełnie śpiącego, na próbę, ale dyjabła tam, burmistrz nie chciał przyjąć jego głosu; więc odnieśli nazad i położyli zkąd wzięli.

— Co za szczególny sposób — mruknął pan Pickwick, w połowie do siebie a w połowie do służącego.

— Nie taka jeszcze krotochwila wydarzyła się memu ojcu, podczas wyborów w tem tu miejscu, panie.

— Opowiedz mi, Samie.

— Tak, panie, było. Onego czasu jeździł on tu dyliżansem z Londynu. Nadchodzą wybory i jedno stronnictwo zamawia go do transportowania wyborców ze stolicy. W wiliję dnia, gdy miał wyruszyć w drogę, komitet drugiego stronnictwa najspokojniej posyła po niego. Idzie tedy z komisyjonerem, który go wprowadza do ogromnego pokoju. Kupa gentlemenów, góry papierów, piór itd. „Ach, panie Weller“ — mówi prezydent — „cieszę się, że pana widzę. Jak się pan ma“ powiada. — „Bardzo dobrze, dziękuję panu“ — powiada mój ojciec „Spodziewam się, że i pan nie chudnie“ — powiada. „Dziękuję, nieźle idzie“ — powiada gentlemen i oba wytrzeszczają na siebie ślepie. „Pan mnie nie poznaje?“ —pyta tamten. „Nie mogę powiedzieć, bym pana kiedy widział“ — odpowiada ojciec. „O! ja pana znam“ — mówi tamten -- „znałem pana małym jeszcze chłopcem“. „To wszystko jedno“ — mówi mój ojciec —„wcale sobie pana

nie przypominam". „To dziwne"—mówi tamten. „Bardzo dziwne" — mówi mój ojciec. „Pan musisz mieć słabą pamięć, panie Weller"—mówi tamten. — „Nie świetną, to prawda" — mówi mój ojciec. „Tak się domyślam"—mówi tamten. Ot tym sposobem nalewa mu szklankę wina i łechce go w przedmiocie sposobu, w jaki powozi i wprowadza go w doskonale obrobiony dobry humor, a w końcu pokazuje mu banknot na dwadzieścia funtów szterlingów. „Kiepska droga ztąd do Londynu" — powiada. „Gdzieniegdzie trafiają się liche miejsca" — mówi mój ojciec. „A zwłaszcza koło kanału, jak mi się zdaje" — mówi gentleman. „Co do kiepskiej drogi, to tam kiepska"—mówi mój ojciec. „No, panie Weller"—mówi tamten—„pan jesteś doskonały stangret, i co zechcesz, możesz zrobić ze swemi końmi, to wiadomo. My wszyscy jesteśmy dla pana bardzo życzliwi, panie Weller. Otóż w razie, gdyby panu *przypadkiem* co się wydarzyło, jak będziesz wiózł wyborców, w razie, gdybyś wywrócił się w kanał, nie robiąc im zresztą nic złego, przeznaczamy to dla pana— powiada. „Panie, jesteś pan nadzwyczaj łaskaw" mówi mój ojciec — „wypiję na zdrowie pana jeszcze jedną szklankę" — powiada. — Cóż pan powie na to — mówił dalej Sam, patrząc na swego pana, z trudnym do opisania wyrazem bezczelności — czy da pan wiarę, że akurat w dniu, w którym ojciec wiózł wyborców, dyliżans wywrócił mu się w tem samem miejscu i wszyscy podróżni wlecieli do kanału?

— Ale ich zaraz wydobyto? —zapytał z żywością pan Pickwick.

— Co do tego — odparł Sam bardzo powoli — mówiono, że brakowało jednego gentlemena. Wiem dobrze, że wyłowiono jego kapelusz, ale czy była w tym kapeluszu głowa, tego z pewnością nie mogę powiedzieć. Co mię zadziwia, to mianowicie ta okoliczność, że dyliżans wywrócił się właśnie w tym samym dniu, jak gentleman ojcu powiedział!

— Jest to wypadek szczególny, bez wątpienia — odparł pan Pickwick — ale wyczyść no mi kapelusz, Samie, gdyż słyszę, iż pan Wink woła mnie na śniadanie.

Pan Pickwick wszedł do jadalnego pokoju, gdzie znalazł śniadanie i wszystkich zgromadzonych. Jadło znikło bardzo szybko; kapelusze gentlemenów zostały przyozdobione ogromnemi błękitnemi kokardami, wyrobem pięknych rąk samej pani Pott; pan Winkle podjął się towarzyszenia tej damie na dach domu, znajdującego się koło *hustings* [1]); pan Pickwick zaś z panem Pott udał się pod „Miejski herb". Jakiś członek komitetu pana Slumkey przemawiał z okna tego hotelu do sześciu uliczników i jednej dziewczyny, których co chwila nazywał pompatycznie mężami Eatanswillu; w odpowiedź na to, sześciu uliczników klaskało zawzięcie.

Dziedziniec hotelowy przedstawiał mniej dwuznaczne symptomata sławy i potęgi eatanswilskich błękitnych. Był tam cały las chorągwi i sztandarów z dewizami zastosowanemi do okoliczności, wypisanemi złotemi literami, wysokiemi na cztery stopy, przy odpowiedniej szerokości. Była banda trębaczy i doboszów, po czterech w szereg ustawionych i sumiennie zarabiających swą płacę; dobosze zwłaszcza byli bardzo muskularni. Był oddział konstablów z niebieskiemi laskami i cały tłum wyborców z niebieskiemi kokardami. Byli wyborcy konni i wyborcy piesi. Był odkryty czterokonny powóz dla szanownego Samuela Slumkey. Chorągwie powiewały, muzykanci wygrywali, konstable klęli członkowie komitetu perorowali, tłum wrzeszczał konie rżały i tupały, pocztylijoni pocili się, a wszystkie te rzeczy, wszystkie indywidua, zebrane w tem miejscu, znajdowały się tu dla korzyści, honoru, sławy i specyjalnego użytku szanownego Samuela Slumkey ze Slumkey — Hall, jednego z kandydatów do reprezentacyi miasta Eatanswille w izbie gmin parlamentu zjednoczonych królestw.

Długie hałaśliwe były okrzyki; jedna z błękitnych chorągwi, z napisem „Wolność Prasy",

---

[1]) Szopa, w której odbywają się wybory.

zakołysała się konwulsyjnie, gdy tłum w jednem z okien ujrzał rudą głowę pana Pott. Ale entuzyjazm stał się przerażającym, gdy szanowny Samuel Slumkey we własnej osobie, w butach z cholewami i błękitnej chustce na szyi, wystąpiwszy, ujął za rękę szanownego Pott'a i wyraził melodramatycznemi ruchami swą wieczną wdzięczność za usługi, oddane mu przez „Gazetę eatanswillską“.

— Czy Tom gotów? — zapytał następnie szanowny Samuel Slumkey pana Perker'a.

— Gotów, kochany panie — odparł mały człowieczek.

— Spodziewam się, że nic nie zapomniano?

— Nie, kochany panie, najmniejszej rzeczy. Jest dwudziestu ludzi, należycie wymytych, którym pan uściśniesz rękę we drzwiach; jest sześcioro dzieci na rękach matek, które pan pogłaszczesz po głowie i o które spytasz się pan, ile mają lat. Zwłaszcza nie zaniedbuj pan dzieci, kochany panie. Takiego rodzaju postępowanie zawsze dobry efekt sprawia...

— Pomyślę o tem — rzekł szanowny Samuel Slumkey.

— A może też, kochany panie — dodał przewidujący mały człowieczek — może będzie pan mógł... nie mówię, by to było koniecznem... ale gdybyś pan mógł zdecydować się ucałować jednego z dzieciaków, toby wywarło ogromne wrażenie.

— Czy nie byłby ten sam skutek, gdybyś pan podjął się tego?—zapytał Samuel Slumkey.

— Obawiam się, że nie, kochany panie; ale gdybyś pan sam to zrobił, sądzę, że uczyniłoby to pana bardzo popularnym.

— Bardzo dobrze — odrzekł szanowny Samuel Slumkey z rezygnacyją — i to przebędziemy, jeżeli potrzeba.

— Pochód! pochód! — wołało dwudziestu członków komitetu.

Wśród okrzyków tłumu, muzykantów, konstablów, członków komitetu pieszych i jeźdźców, powozy zajęły swe miejsca. Każdy powóz dwukonny zawierał tylu gentlemenów usadowionych i stojących, ile tylko zmieścić się mogło. W przeznaczonem dla pana Perker'a miejscu usiadł pan Pickwick, Tupman, Snodgrass i pół tuzina członków komitetu.

Nastąpiła chwila uroczystego milczenia w oczekiwaniu, by szanowny Samuel Slumkey wsiadł także do swego kocza.

Nagle tłum wydał okrzyk.

— Wsiadł! — zawołał mały Perker, tem mocniej wzruszony, że położenie, w którem się znajdował, nie pozwalało mu widzieć, co się dzieje na przodzie.

Inny okrzyk jeszcze głośniejszy.

— Podaje rękę wyborcom! — rzekł mały ajent.

Znowu okrzyk nierównie głośniejszy.

— Pogłaskał dzieci po głowach — mówił dalej pan Perker, drżąc ze wzruszenia.

Grzmot oklasków rozdarł powietrze.

— Pocałował jedno! — zawołał zachwycony mały człowiek.

Drugi grzmot.

— Pocałował drugie!

Trzeci grzmot, ogłuszający.

— Wszystkie całuje! — wrzasnął roznamiętniony mały gentleman, i w tejże chwili pochód wyruszył, witany okrzykami tłumu.

Z jakiego powodu dwa pochody zetknęły się i jak ukończyło się wynikłe ztąd zamięszanie, tego nie podejmujemy się opisywać, gdyż w samym początku starcia, panu Pickwickowi wtłoczono kapelusz na oczy, nos i usta, zaaplikowawszy go potężnie w łeb żółtą chorągwią. Według tego, co znakomity filozof mógł wywnioskować, przy skąpej ilości promieni własnych oczu, przeciskających się pomiędzy jego policzkami a kapeluszem, zdawało mu się, że był otoczony ze wszystkich stron gniewnemi i drapieżnemi fizyjognomijami, gęstym obłokiem kurzawy i ściśniętym tłumem walczących. Opowiadał, że był wyrwany z powozu przez jakąś niewidzialną siłę i sam osobiście przyjął udział w ćwiczeniach

pięściowych; ale z kim, jak i co — tego żadnym sposobem nie może określić. Nakoniec popchnięty został na drewniane stopnie przez osoby z tyłu stojące i zdjąwszy kapelusz, znalazł się pośród przyjaciół, w pierwszym rzędzie na lewo od *hustings*. Prawa strona przeznaczona była dla stronnictwa żółtego, środek dla burmistrza i jego asystentów. Jeden z nich wstrząsał ogromnym dzwonem — bardzo dowcipny środek do nakazywania spokoju. Tymczasem pan Horacyjusz Fizkin i szanowny Samuel Slumkey, z prawemi rękami na sercach, zajęci byli kłanianiem się z największą słodyczą wzburzonemu morzu głów, zalewającemu plac, a z którego wylatywała burza stękań, krzyków, gwizdań, ryku, mogących zrobić zaszczyt trzęsieniu ziemi.

— Oto jest Winkle — rzekł pan Tupman do swego uczonego przyjaciela, ciągnąc go za rękaw.

— Gdzie? — zapytał pan Pickwick, wsadzając okulary, które na szczęście miał dotąd w kieszeni.

— Tam — odrzekł pan Tupman — na dachu tego domu.

I rzeczywiście, w szerokim dymniku pan Winkle i pani Pott siedzieli wygodnie na krzesłach, poruszając chustkami, by dać się poznać. Pan Pickwick odpowiedział na ten komplement, posławszy całusa ręką damie.

Wybory jeszcze się nie zaczęły, a ponieważ tłum bezczynny bywa wogóle usposobiony do wesołości, ten czyn filozofa wystarczał, aby się posypały tysiące żartów.

— Hej! stary lisie! Czy to pięknie umizgać się do kobiet?...

— O! wielebny grzesznik!

— Nosi okulary, by lornetować kobiety zamężne!

— Łotr! mizdrzy się przez szkła!

— Pilnuj swojej żony, Pott!

A za każdym takim dowcipem następował wielki wybuch śmiechu.

Ponieważ konceptom tym towarzyszyły szkaradne porównania pana Pickwicka do starego kozła i inne tym podobne, i ponieważ oprócz tego zmierzały one do pokrzywdzenia honoru niewinnej damy, oburzenie naszego bohatera było nadzwyczajne; ale gdy w tejże chwili wezwano do uciszenia się, poprzestał on na rzuceniu na tłum wzroku pogardy i litości, co wywołało jeszcze większy śmiech.

— Cicho! — ryknęli asystenci burmistrza.

— Whiffin, wezwij, by się uciszono! — zawołał burmistrz z pompatyczną miną, odpowiednią jego wzniesionemu stanowisku. Wezwany, powolny temu rozkazowi, wykonał drugi koncert na dzwonie, poczem jeden gentlemen z tłumu krzyknął na całe gardło: „Fifine!“ co spowodowało nowy wybuch śmiechu.

— Gentlemeni! — rzekł burmistrz, nadając możebną donośność swojemu głosowi — gentlemeni! bracia! obywatele miasta Eatanswille! zebraliśmy się tu dziś dla wyboru innego reprezentanta, na miejsce ostatniego naszego...

Tu burmistrzowi przerwał głos z tłumu:

— Wszelkiej pomyślności panu burmistrzowi! niech zawsze przebywa pomiędzy gwoździami i rądlami, na których zrobił majątek.

Ta aluzyja do handlowych przedsiębiorstw mówcy, spowodowała huragan wesołości, który, przy akompanijowaniu dzwonu, nie pozwolił słyszeć ani słowa z przemówienia burmistrza, wyjąwszy wszakże ostatniego frazesu, którym dziękował słuchaczom za uprzejmą uwagę, z jaką go wysłuchano. To wyrażenie wdzięczności przyjęte zostało nowym wybuchem wesołości, trwającym około kwadransa.

Słuszny, wychudzony gentlemen w białej, sztywnej chustce, okrutnie krępującej mu szyję, wystąpił wtedy na arenę, wśród przerywań tłumu radzącego mu, by posłał kogokolwiek do domu po głos, który zapewne zapomniał pod poduszką. Gentlemen ten prosił o pozwolenie przedstawienia właściwej i odpowiedniej osoby, do reprezentowania w parlamencie wyborców

eatanswillskich; a gdy oświadczył, że osobą tą był Horacyjusz Fizkin z Fizkin-Loge, pod Eatanswillem, fizkiści poczęli klaskać, a slumkeyiści szemrać tak długo i hałaśliwie, że polecający kandydata, zamiast przemawiać, mógł śpiewać jakąkolwiek pijacką piosnkę i niktby się tego nie domyślał.

Gdy już przyjaciele Horacyjusza Fizkina zrobili użytek ze swego prawa pierwszeństwa, wystąpił mały choleryczny człowieczek, o twarzy czerwonej jak gwoździk, także by wymienić inną właściwą osobę do reprezentowania w parlamencie wyborców eatanswillskich; ale natura tego człowieka była zanadto żywą, by mu pozwolić przewędrować spokojnie między falami głosów tłumu. Po kilku okresach wymowy figurycznej, choleryczny gentlemen począł piorunować przeciw przerywającym mu, a potem rozpoczął kłótnię z gentlemenami, znajdującymi się w *hustings*. Natenczas ze wszech stron powstał hałas, co zniewoliło go do wyrażenia swych uczuć, za pomocą pantominy; wreszcie ustąpił miejsca innemu mówcy, który miał sobie poleconem popieranie jego wniosku. Ten w ciągu pół godziny wygłaszał mowę pisaną, której żadna już wrzawa nie zdołała zaszkodzić, bo zawczasu przesłał ją w odpisie do „Gazety eatanswillskiej“, gdzie ją przedrukowano co do słowa.

Nakoniec ukazał się p. Fizkin Fizkin-Loge pod Eatanswillem, w celu przemówienia do wyborców, ale natychmiast muzykanci, wynajęci przez szanownego Samuela Slumkey, zaczęli wykonywać ze szczególną siłą fanfarę. Wywzajemniając się za tę atencyję, tłum żółty począł walić po plecach tłum błękitny; tłumowi błękitnemu zachciało się uwolnić od niedogodnego sąsiedztwa tłumu żółtego i wskutek tego wywiązała się bójka, którą naprózno usiłowalibyśmy opisać. Sam burmistrz nie zdołał położyć jej końca; nic także nie pomogło wydanie rozkazu dwunastu konstablom pochwycenia głównych wichrzycieli, których było najmniej 250; zamieszanie nie ustawało. Wśród tego barmidru Horacyjusz Fizkin z Fizkin-Loge i przyjaciele jego nabierali coraz więcej złości; Horacyjusz Fizkin tonem wyzywającym, zapytał swego przeciwnika, Samuela Slumkey ze Slumkey-Hall, czy muzykanci ci grają z jego rozkazu. A gdy szanowny Samuel Slumkey ze Slumkey-Hall odmówił odpowiedzi na to pytanie, Horacyjusz Fizkin, z Fizkin-Loge pokazał pięść Samuelowi Slumkey ze Slumkey-Hall; wskutek tego krew szanownego Samuela Slumkey zawrzała i wyzwał na śmiertelny bój Horacyjusza Fizkin z Fizkin-Loge. Burmistrz, usłyszawszy to pogwałcenie wszystkich obowiązujących us taw i wszystkich precedencyj, zarządził nową fantazyję na dzwonie i oświadczył, że obowiązek nakazuje mu zawezwać przed siebie Horacyjusza Fizkin z Fizkin-Loge i szanownego Samuela Slumkey ze Slumkey-Hall dla złożenia przysięgi, iż nie naruszą czci Jej królewskiej Mości. Wskutek tej strasznej groźby wdali się przyjaciele dwóch kandydatów i gdy oba stronnictwa wykłóciły się należycie, po upływie trzech kwadransów, Horacyjusz Fizkin przyłożył rękę do kapelusza, spoglądając na szanownego Samuela Slumkey; szanowny Samuel Slumkey przyłożył rękę do kapelusza, spoglądając na Horacyjusza Fizkin. Muzykanci przestali grać, tłum uspokoił się po części, i Horacyjusz Fizkin mógł dalej mówić.

Mowy obu kandydatów, chociaż różniące się co do wszystkich innych punktów, zgadzały się w tem, że oddawały należny i rozrzewniający hołd zasługom i szlachetności wyborców eatanswillskich. Każdy z kandydatów wynurzył głębokie swe przekonanie, iż nigdy nie istniało w świecie zgromadzenie ludzi niezależniejszych, oświeceńszych, patryjotyczniejszych, cnotliwszych, bezinteresowniejszych nad tych, którzy przyrzekli głosować *za nim*; każdy dał niejasno do zrozumienia, iż podejrzewa wyborców przeciwnego stronnictwa o pozostawanie pod wpływem brudnych motywów i oddawanie się poniżającemu nałogowi pijaństwa, co czyni ich zupełnie niegodnymi do wykonywania funkcyj, powie-

rzonych ich honorowi dla dobra wielkiej ojczyzny. Fizkin objawił gotowość spełnienia wszystkiego, co mu będzie zaproponowanem; Slumkey oświadczył, iż nie uczyni nic z tego, co będzie żądanem. Jeden i drugi podnieśli to, że rolnictwo, przemysł, handel i pomyślność Eatanswillu zawsze droższe będzie ich sercu nadewszystko w świecie. Każdy nakoniec był szczęśliwym, iż mógł oświadczyć, że dzięki zaufaniu, jakie pokłada w rozsądku wyborców, jest pewny swego wyboru.

Po tych przemowach rozpoczęto głosowanie przez podniesienie rąk; burmistrz zawyrokował na korzyść szanownego Samuela Slumkey ze Slumkey-Hall; Horacyjusz Fizkin z Fizkin-Loge zażądał głosowania imiennego; wskutek tego zarządzone zostało głosowanie imienne. Następnie zawotowano podziękowanie burmistrzowi za takt okazany w przewodniczeniu, a burmistrz podziękował zgromadzonym, życząc z całego serca, ażeby krzesło przewodniczącego nie było czczym wyrazem, ponieważ stał przez cały czas trwania czynności. Pochody znowu się uporządkowały i powozy zwolna potoczyły się pomiędzy tłumem, który to klaskał, to gwizdał, według tego, jak mu nakazywało jego usposobienie lub kaprys.

Przez cały czas głosowania miasto było w jakimś gorączkowym entuzyjazmie. Wszystko odbyło się w sposób najliberalniejszy. Napoje spirytusowe były szczególnie tanie we wszystkich szynkach. Po mieście roznoszono tragi dla dogodności wyborców, którzyby doznali chwilowego zawrotu głowy, ponieważ przez cały czas trwania walki wyborczej ten rodzaj przypadków chorobliwych rozwijał się między głosującymi z zadziwiającą i przerażającą szybkością; często widywano ich na bruku, leżących w stanie zupełnej bezwładności. W ostatnim dniu mała tylko liczba wyborców jeszcze nie głosowała. Byli to ludzie oględni, kalkulujący, jeszcze należycie nie przekonani dowodami stronnictw, chociaż odbywali liczne konferencyje z jednem i drugiem. Na godzinę przed zamknięciem głosowania, pan Perker upraszał o zaszczyt prywatnego porozumienia się z tymi szlachetnymi i inteligentnymi patryjotami. Argumenta, jakich użył, były krótkie ale skuteczne. Ci, którzy się spóźnili, poszli głosować wszyscy razem, a gdy tego dokonali, szanowny Samuel Slumkey ze Slumkey-Hall wyszedł z urny wyborczej.

K. Dickens, „Klub Pickwicka“. (p. str. 40).

* *Angielski plasterek.*

Pewna zalotna wdówka przyrzekła serce swoje Arturowi S., młodzieńcowi wielkich przymiotów, pomimo jednak namawiań i próśb rozkochanego w jej wdziękach chłopca, nie chciała żadną miarą dnia ślubu oznaczyć, oglądając się za lepszą partyą. Swoją drogą nie była na tyle bezlitośną, aby odmawiać narzeczonemu w skrytości i sam na sam drobnych oznak miłości, czułych spojrzeń, uściśnień dłoni a nawet kradzionych całusów. Młodzieniec pomimo tego rozpaczał i jak cień chodził za nią. Razu pewnego, znajdowali się oboje w dość licznem kółku przyjacielskiem na wsi. Zauważono że dnia tego, Artur miał na górnej wardze przylepiony plasterek angielski, a pytany o powód oznajmił, że się zadrasnął przy goleniu. Bawiono się przewybornie dzień cały a ponieważ pogoda była prześliczna, całe towarzystwo udało się do ogrodu. Gdy zapalono światło w pokojach i zaproszono gości na wieczerzę, pan Artur wszedł do oświetlonej sali z małą istotnie ranką na górnej wardze ale bez plasterka. Sądzono że go zgubił na przechadzce, ale w tejże samej chwili ukazała się wdówka z czarnym plasterkiem na lewym policzku.

Całe towarzystwo wybuchło jednogłośnym śmiechem, co widząc pan Artur skorzystał z chwili.

— Mam zaszczyt — rzekł wskazując na wdówkę — przedstawić szanownemu państwu moją narzeczonę.

— Jakto, mój panie? — zawołała oburzona cofając się.

— Wszakżeś mi pani przed chwilą raczyła dać słowo i pozwoliłaś nawet narzeczonemu na pocałunek, którego dowod na twoim policzku się znajduje.

Z temi słowy poprowadził ją do lustra a złapanej w ten sposób wdówce nie pozostało nic innego, jak przyłączyć się do chóralnego śmiechu i przyjąć składane powinszowania.

Złośliwi jednak utrzymują, iż młodzieniec dobrowolnie skaleczył sobie wargę, aby módz użyć angielskiego plasterka jako środek do przyspieszenia ślubu.

* *Przy lekcyi języka angielskiego.*

Papa. No i cóż, jakże idzie?

Nauczyciel. O!

Synek. Tylko taka ortografija trudna; pisze się naprzykład „Fanschave", a czyta się „Fencz".

Papa. To tak jak u nas — pisze się Syrokomla a czyta się Konratowicz.

* O początku języka angielskiego tak mówi jeden Francuz: „W napadzie dobrego humoru dyjabelskiego wrzucił Lucyper wszystkie stare i nowe języki w jeden kocioł a kiedy się dobrze zagotowały, zebrał starannie pianę i z niej utworzył nowy język... angielski!"

Anioły.

* Żartowniś pewien nazywał zawsze jedną starą a próżną kobietę „mój aniele". — „Ach", rzekła w końcu ta pani, „chyba ta nazwa już mi nie przystoi..." — „I owszem" brzmiała odpowiedź, „przecież aniołowie byli najstarszemi stworzeniami Boga!"

* Kto z nieba na ziemię patrzy, dla tego ziemia niema nieba: kto między ludźmi szuka anioła, ten zaledwie znajdzie człowieka, ale kto między ludźmi tylko szuka człowieka; ten napewno znajdzie anioła.

Saphir. (p. str. 1).

* Kiedy razu pewnego ktoś do mnie powiedział:
Jaki między kobietą a aniołem przedział,
Bardzo blizkie ich—rzekłem—stosunki związują:
Kobieta się maluje, anioła malują.

Anna.

* Po sukni znam żałobę, znam i po podwice,
Anno, to nie żałoba, ubielone lice.

Jan Kochanowski. (p. str. 14).

Anniwersarz.

* Przyrzekła jedna żona pijaczka mężowi,
Że gorzałki nie będzie pijać. Gdy odnowi
W rok podczas swych imienin, do gorzałki znowu,
Upiła się, i wiary raz danemu słowu
Niedotrzymała, więc gdy mąż kijem ją karze,
Rzecze: że zachowuje swe Anniwersarze;
Dziś rok jakom ci słowem to przyrzekła była,
Że pić nie będę, jakoż całym rok nie piła.
Mąż zatem: pomnę i ja, rok dziś, gdym cię młócił,
Obchodzę dzień, który się na karanie wrócił.

Wacław Potocki. (p. str. 13).

Antenaci.

* Cech demagogów wściekle szczeka,
A motłoch głowę traci;
Dziś praca — krzyczą — stwarza człeka,
Nie herby, antenaci!
I was chcą zaprządz w jarzmo czynów
Szlachetnie urodzeni?
I tłum dziś was, hetmańskich synów
Pasożytami mieni?

Na waszem miejscu jabym spytał
Zawistną czerń wyrodków,
Czy wie też, jaki wy kapitał
W zasługach macie przodków?
Że z antenackich sum procenta
Aż do tej płyną chwili?
Że na to praca ich podjęta,
By wy nic nie robili?

O tak, olśnieni sławy blaskiem,
Co ojców złoci skronie,
Nie trwóżcie się motłochu wrzaskiem,
Spokojnie złóżcie dłonie.
Teorja demagogów cała
Nic zgoła nie dowodzi—
Charakter fraszka, kiep kto działa,
A grunt — kto kogo rodzi!

I cóż, że Gucia zowią tchórzem
Zajadłe demagogi?
Ród jego, kraju był przedmurzem,
Pięć wieków rąbał wrogi!
Gdy kraj krew lał, mógł Gucio śmiało
Szampana lać za stołem —
Stu przodków jego krew swą lało,
— O, czołem przed nim, czołem!

Miał śliczną córkę dyjurnista,
Jan wniósł mu w dom jad smutków;
Lecz Jana dziad, lat temu trzysta,
Założył dom podrzutków!
Jan zacną myśl pradziadów iści,
Pracując z nimi społem...
Więc cóż tam jacyś dyjurniści?
— O, czołem przed nim, czołem!

Ostatnie ojców trzy folwarki
Sprzedała dla Paryża,
Dla starych wdzięków swych frymarki,
Lecz to jej nie ubliża!
Jej pra-prababka fundowała
Klasztory dwa z kościołem —
Więc brud jej wieków zmywa chwała,
— O, czołem, przed nią, czołem!

Barony, grafy i książęta,
Szlachetnie urodzeni!
Komuż cześć wasza, jak mnie święta
I któż was bardziej ceni?
O, jabym także biegł z zachwytem
W mych przodków czasy lepsze —
Lecz cóż? — dziad dumał nad kopytem
A papa — rzezał wieprze...

Franciszek Konarski—współczesny humorysta i pedagog galicyjski, ur. 1856.

Antysemici.

* Strzeżcie się żydów, albowiem są

Żydzi ze świata kopalnego: Silberstein. Goldstein, Dyament, Brylant.

Żydzi z historyi naturalnej: Wolf, Katz, Ochs, Adler, Przepiórka.

Żydzi z botaniki: Rosenstrauch, Birnbaum, Apfelbaum.

Żydzi z astronomii: Morgenstern, Abendstern, Lichterstern i Sonenschein.

Żydzi arystokratyczni: Baron, Graf, Fürst, Herzog, König.

Żydzi miniaturowi: Jejteles, Pereles, Bineles i Kakeles.

Żydzi niebezpieczni: Pistolet, Siekierka.

Żydzi romantyczni: Jungfermilch.

Żydzi bohaterscy: Rinaldo.

Żydzi sentymentalni: Freund, Geduld, Erlich, Aufrichtig.

Żydzi w gotówce: Frank, Sterling, Schilling.

Słowem jakich chcesz żydów, znajdzie się pod dostatkiem, co do lichwiarzy zaś, nie pomieścilibyśmy ich w całem dziele.

Appelles i osiołek.

* W kim miłość własna
Do zbytku jasna,
Ten częstokroć tem się cieszy,
Czem drugich tylko uśmieszy;
I o tem zwykle rad gada
Czego się wstydzić wypada.
Apelles chodząc osiołka zobaczył
I prosi aby odwiedzić go raczył;
Osiołek wierzgnął! radość go unosi!
Osiołek lasom chlubę swoją głosi.
„Słuchajcie!"—woła na wszystkie zwierzęta:
„Ja w Apellesie znalazłem natręta;
Unikam jego, lecz on za mną biega,
Zawsze zaprasza, gdzie tylko postrzega.
Sądzę, że musi sobie projektować
Z figury mojej Pegaza malować."
„Nie" rzekł Apelles wychodzący z lasa
„Mam chęć malować sławny sąd Midasa,
I dla króla jegomości
Skopiować uszy waszmości.
Kiedy przyjść zechcesz w tej mojej potrzebie,
Będę rad tobie, grzecznie przyjmę ciebie.
Choć wiele uszu widzieć zręczność miałem
Ale tak pięknych, paradnych,
Nietylko u ośląt żadnych,
Nawet u starych osłów nie widziałem."

Kryłow Jan—rosyjanin, bajkopisarz, ur. 1768 † 1844. Pierwszą jego pracą była tragedyja

„*Filomena*“, rzecz nieudolna. Puścił się potem na pole dziennikarskiej pracy i wydawał: *Pocztę duchów, Obserwatora, Merkurego petersburskiego.* Jako sekretarz księcia Galicyna podróżował wiele. Pierwsze jego bajki, w którym to rodzaju doczekał się znakomitego rozgłosu, są przekładami z La Fontaine'a. Zachęcony przez Dmitrjewa poświęcił się specyjalnie temu rodzajowi i napisał około 300 bajek, z których 50 są naśladowanemi z innych autorów. Posiadał rozum praktyczny a jasny, dar spostrzegawczy wielki, znajomość życia subtelną, ironiję spokojną i wytworną.

Apetyt.

* Chcesz wiedzieć, co najlepiej smak do jadła [rodzi?
Post, lub głód, gdyż najsmaczniej je kto się przegłodzi.

Kochowski Wespazyan — poeta i historyk z XVII wieku; ur. 1630 † 1699. Jan III mianował go uprzywilejowanym historyjografem; religijny republikanin, naśladuje starożytnych klassyków, w formie dość słaby, jako historyk umiał zachować koloryt współczesny. Zostawił po sobie sporą liczbę utworów polskich i łacińskich. „*Niepróżnujące próżnowanie*“, „*Fraszki*“ „*Psalmodyja polska*“, „*Ogród panieński*“, „*Chrystus cierpiący*“ należą do pierwszych; „*Annalium Poloniae climacter I*“ i „*Commentarius belli adversum Turcos*“ do drugich.

* „Jak też te przysłowia kłamią!“ mówił pewien jegomość przy stole. — „Jedno z nich twierdzi np. że: apetyt przychodzi przy jedzeniu, a ja, oto, jem już półtrzeciej godziny, a jeszcze mi apetyt nie przyszedł.“

* Henryk IV spytał raz marszałka de Roguelaure: czem się to dzieje, że kiedy był królem Nawarry i nie miał prawie co jeść, cieszył się świetnym apetytem, a teraz jako król Francyi, nic sobie do gustu dobrać nie może?

— Dlatego najjaśniejszy panie, — odpowiada marszałek, - że wówczas byłeś wyklętym, a każdy wyklęty może zjeść tyle co sam dyjabeł.

Apostołowie i dyjabeł.

* Była, mosanie, przyjaźń trzech sąsiadów
O granicę siedzieli i tak się kochali, [szczera,
Że jak cały rok boży ze sobą pijali:
Z kolei szły te uczty — i przedział niewielki
Był pomiędzy ucztami — bo skoro w butelki
Którykolwiek u siebie ściągnął beczkę wina,
To zaraz do przyjaciół szła o tem nowina,
I zjeżdżali się znowu — a z sąsiednich dworów
Przyjeżdżało pod wieczór dwóch dyspozytorów
I każdy, jak u siebie, z ganku dysponował —
A gdy i podstarościch pan już uczęstował,
Ci i owi wracali znowu do roboty
I nic w świecie nad przyjaźń i domowe cnoty!
Jednemu z nich Piotr było — i gdy podpił [kochał,
Drugiemu było Paweł — a gdy w sercach pol- [skich
Wino miłość wzbudziło — i ten, i ów szlochał,
Bo rozpamiętywali w dziejach apostolskich
Ową chwilę najświętszą, gdy w miłości bratniej
Apostoł apostoła ścisnął raz ostatni...
A gdy się rozczulili — stał trzeci na stronie:
— A jażc to ostatni? a jaż nie najszczerszy?
A czy nie był mój patron męczennik napierwszy?
To mnie tylko bez serca żyć na ziemi polskiej?
To mnie tylko miłości nie znać apostolskiej?
I wówczas jakiś robak w Szczepanie się budził
I wychodził na ganek i tak sobą nudził,
Aż go gwałtem musiano napowrót sprowadzić
I w kole apostolskiem nanowo posadzić.
Tu, brał zwykle gospodarz stary puhar w dłonie,
Piotr z Pawłem był po jednej, a po drugiej [stronie
Wizerunek męczeństwa, świętego Szczepana;
I tu jeden przed drugim padał na kolana,
I przepraszał, i wypił, i ściskał, i szlochał,
I już każdy tak samo, jak Piotr Pawła kochał;
A zawsze taki skutek — że się wiązał z tego
Teologiczny traktat, „O początku złego“.
Bo któż wszystkiemu winien?
— Jużcić dyjabeł panie!
Bo takie i po świecie i w kościele zdanie:

Gdyby dyjabeł najpierwszy niebył dumą
[zgrzeszył
I piekła by nie było, i człek by się cieszył,
Lecz dyjabeł — to najstarszy jest arystokrata
I kiedy w dumę urosł — zgubił resztę świata!
Oj! i nasza ztąd bieda poszła po kolei,
I gdyby człowiek niemiał na czyściec nadziei,
Toby zwątpił z kretesem!
Tak zwykle mawiali.
Lecz Szczepan raz im poddał:
— Czyż dyjabeł ze stali?
Ja, szlachcic i katolik, dyjabła się nie boję,
A weźmy się do niego... Już ja mu dostoję!
Czegoż szlachta nie zrobi, kiedy już uradzi
I tak na upartego koniecznie usadzi?

Był zameczek za dworem — więc dalej w zwa-
[liska!
I kiedy się pan Szczepan rzucił w stare bziska
Chwycił dyjabła na pasek świętego Franciszka...
Ale dyjabeł zuchwały i jeszcze mu bluźni,
Więc gospodarz powiada:
— Dalej z nim do kuźni!
Kuźnia była w dziedzińcu, więc wracają z chwałą
I tak dyjabła, mosanie, trzech szlachty przy-
[siadło,
Że dwóch biło młotami co ino sił stało
A trzeci go nakładał ciągle na kowadło...
— Ej, mości dobrodzieje! — woła w końcu
[z paska,
— Pofolgujcie mi trochę, jeźli wasza łaska!
Lecz Szczepan — A znaj dyjable jak to szlachta
[smaga!
Bijcie waszmość bez folgi... niech Bóg dopomaga!
I bili aż się iskry sypały dokoła...
W tem dyjabeł konającym głosem już zawoła:
— Ej, wina choćby kroplę, bo kurcz bardzo
[srogi,
Wszak przecie i ja w herbie mam tam jakieś
[rogi?
— Co, w herbie? — krzyknął Paweł i spojrzy
[po młocie
— A dajcie waszmość pokój wreszcie tej ro-
[bocie!
— Co, wina? — zadziwiony gospodarz zapyta.
— Oj, wina mi potrzeba, żebyś o tem wiedział,
Wina za basarunek... ot będzie i kwita!
A nie w zamku, lecz w starej psiarni będę sie-
[dział.
Na to stanął gospodarz hardo zagadnięty:
— Cóż się waszmościom zdaje, czyż to nie wy-
[kręty?
— Choćby nawet wykręty — pan Piotr odpo-
[wiada —
To jużci kroplę wina podać mu wypada!
A zresztą, kiedy prosi, to gościnność domu
Nie pozwala odmówić kieliszka nikomu.
Na to znowu gospodarz — A słuszna uwaga!
Niech i dyjabeł wie o tem: złego ręka smaga,
Ale gościnność domu *habet sua jura*...
Nie puszczajcie mi waszmość go tylko ze sznura.
I kazał podać wina. W kielich bierze, leje,
Lecz dyjabeł przy kieliszku ma także swą butę,
Więc powiada z urazą — A cóż to się dzieje!
Nie wypiłeś a dajesz? Czy wino zatrute?
Czy ja z listem tu przyszedł do pańskiego
[dworu?
Więc pan Szczepan, by dłużej nie było już
[sporu,
Wypił wreszcie do dyjabła i pot otarł z czoła
I niechcący obeszła tak kolej do koła...
(Sam król Jan to powiadał i wierzyć mu można,
Że szlachta, chociaż była zacna i nabożna,
A przecież z dyjabłem piła z jednego kielicha!)
Więc gdy kolej obeszła, rzecze dyjabeł z cicha:
— Cóż to mości Szczepanie, czy już z reszty
[kwita?
A gdzieś to podział wino? A bis repetita?
— A i owszem! — zawołał gospodarz wesoło
Takich mi gości trzeba! — I znowu w około
Poszło z rączki do rączki. A dyjabeł powiada:
— *Omne trinum perfectum* i pij do sąsiada!
Kielichy były spore, dobre było wino,
Więc pokrzepił się dyjabeł i już z tęgą miną
Powiada braciom szlachcie — No niema co mó-
Sprytnie się wam udało i dyjabła ułowić! [wić,
Lecz czyż tego potrzeba? Wszakże jak rok długi
Jam zawsze moim panom gotów na usługi

A wy tak mnie skrzywdzili i we własnym domu!
Pan Szczepan sobie zakrył aż oczy od sromu...
Lecz nie tak zły dyjabeł jak się ludziom widzi
I tylko potwarz ludzka tak go już ohydzi...
Otóż, gdy na to facty przytaczał dowodne
Stanęły w końcu pacta z dyjabłem przedugodne.
Pan Szczepan puścił z paska i wezwał do domu,
A on przyrzekł o zajściu nie mówić nikomu,
Przyszło do eksplikacyi.
— Co my winni tobie?!
Nie dość że karczmy, młyny na posesyje bie-
[rzesz,
Że gdzie tylko zameczek zaraz siądziesz sobie,
Że przepalasz pieniądze, starych skarbów strze-
[żesz —
Lecz na domiar, jak tylko człek ruszy z za-
[ścianku
A wypije lampeczkę... nie wróci bez szwanku!
Ileż to dyszlów nocą pan Paweł nałamał?
Ileś to razy zrzucił pana Piotra z mostu?
Albo mnie, ileś razy mój dyjable okłamał?
I nie wodził po płotach — tak że dziś po prostu
Nikt z nas do domu swego dostać się nie może!
Za co ty nam dokuczasz dyjable na Bóg żywy?!
Na to rzecze im dyjabeł:
— Chcecie wiedzieć za co?
Nie za wasze uczynki — za pysk niegodziwy,
Co więcej złego robi... Za ten pysk ladaco!
Wincenty Pol.

Apoteoza.

* Pytano się konającego Wespazyjana jakiego doznaje uczucia?

— Czuję, że się staję Bogiem, odpowiedział.
Swetonjusz.

Apteka.

* — Co słychać u kochanego konsyljarza?

— Psi czas, żeby nie poczciwy tyfusik, tobyśmy obaj nie mieli co w gębę włożyć.

* *Uczeń.* Proszę pana, ten co kupił lekarstwo, dał zamiast dwuzłotówki pobielanego trojaka.

Pryncypał. A oszust, zarobiliśmy na nim ledwie półtrzecia grosza!
Świąteczny.

Aptekarz.

* Człowiek żyjący z recept, który się tem lepiej ma, im gorzej drugim idzie. Prochu nie wymyśli, ale robi doskonale... proszki. Aptekarze są ludzie bardzo sumienni, mają bowiem swoje skrupuły, które wprawdzie nie dotyczą ich lekarstw, tylko ich wag.

* *Aptekarz i chory.*

„Czemu się krzywisz i narzekasz?“
Pytał chorego pan aptekarz,
Ten odpowiada z kwaśną miną:
„Bo każą żywić się chininą“.
„Mój drogi“, odparł pan aptekarz,
Niesłusznie stękasz i narzekasz,
Bo gorycz ta z chinowych liści,
Mnie daje znaczne dziś korzyści.
„To co innego“, odparł chory
I już nie stękał od tej pory,
Z przyjemną miną gorycz łykał,
Bo był filantrop i radykał.

Reinstein Franciszek, piszący pod pseudonimami ur. w r. 1857 w Warszawie, współpracownik pism humorystycznych, autor mnóstwa drobiazgów prozą i wierszem, pisanych z werwą i naturalnym dowcipem.

Archeolog.

* Odkrycia i wykopaliska znalezione w miejscowości, w której wedle podań miało stać nasze miasto Warszawa, przedstawiają nam ciekawy okaz barbarzyństwa ludzi XIX wieku. Przy poszukiwaniach nad starem korytem Wisły, znaleziono maszynę na kołach, którą, gdyby nie koła, możnaby wziąść za jakiś budynek podejrzanego użytku. Badania kilku uczonych wykryły, że był to przyrząd używany do zamordowywania przestępców skazanych na śmierć. Nieszczęsne ofiary owoczesnej surowości prawa, zamykano w tej ciasnej budzie, którą wleczono po drodze usypanej kamieniami, aż dotąd, dopóki łaskawa ręka śmierci nie przerwała im tortur. Można sobie wyobrazić cierpienia skazańców, którzy dusili się w zaduchu i ciasnocie, tłukli się głowami nawzajem i konali

w męczarniach najwyższych, gdyż wnętrzności wypadały z nich, skutkiem okropnych wstrząśnień.

Do takich wniosków przyjść musi archeolog XXVII wieku, skoro zastanowi się nad przypuszczalnem przeznaczeniem przyrządu, który my dziś nazywamy omnibusem kursującym:

„Od Nałyfki do Widenskie ko Leje za 5 kopiejki i na wiwrot za dżeszątkę“.

Świąteczny.

Arcybiskup.

* Wspierający literaturę i sztuki arcybiskup, serdecznie ukochał humorystę, który u niego mieszkał i razem się stołował. Razu pewnego poeta zaniemógł troszkę i nie mógł przybyć na obiad. Arcypasterz posłał przecie przez lokaja półmisek ryb, z żądaniem, aby mu za to wierszem podziękował. Lokaj Ignacy przyniósł odpowiedź następującą:

„Za przysłane mi ryby smaczne na półmisku,
Składam najuniżeńszy hołd dla *Arcybisku*
Pa zaś wtenczas dopiszę, jak sługa Ignacy,
Przyniesie mi *post pisces*, węgrzyna na tacy“.

Argument sofistyczny.

* Doniesiono dwom urzędnikom, dobre posady zajmującym, że ich zwierzchnik, p. Passy, powiedział o jednym z nich, że jest waryjat, a o drugim, że złodziej.

— Nie ujdzie mu to płazem - woła pan M.

— A jakże temu zaradzisz?

— Wyzwę go i będę się z nim bił!

— Odmówi ci zadosyćuczynienia, ponieważ jesteś jego podwładnym.

— W takim razie podam się do dymisyi.

— Jesteś waryjat!

— Co mówisz?

— Mówię, że jesteś waryjat.

— Bardzo dobrze, w takim razie nie mam już pretensyi do p. Passy.

— Dlaczego?

— Pan Passy powiedział, że jeden z nas jest waryjat a drugi złodziej — jeśli ty mówisz o mnie, żem waryjat, to znaczy, że dla ciebie pozostaje ten drugi epitet, zatem teraz ty się na niego obrażaj. jeśli chcesz...

Karr Alfons — ur. 1808, francuz, powieściopisarz. W utworach jego ironija i dowcip łączą się z głębokiem uczuciem i fantazyją. Jeden z głośnych redaktorów *Figara* i satyrycznego miesięcznika *Guêpes*, zyskał sobie sławę niepospolitego humorysty. Z arystofanesowską prostotą smagał obyczaje i śmieszności, z którego to powodu ściągnął na siebie niełaskę krytyki, a nawet zamach na życie z ręki niewieściej.

Ariosto.

* Pewien gaduła zeszedł się z Ariostem i gdy po dosyć długiem gadaniu nie odbierał żadnej odpowiedzi, zapytał wreszcie:

— Może ja was nudzę i przeszkadzam w innych zajęciach?

— O nie — odpowiedział Ariosto — możecie sobie mówić, ja nic nie słucham.

Armat za mało.

* Że dosyć będzie wreszcie rynsztunku,
To się już wszystkim zdawać musiało;
Dziś jednak wieści niosą, że Bismark
Mimo to krzyczy: „Jeszcze za mało!“

Czegoż za mało? Armat! Mój Boże!
Drobnostką ledwie, co w tym zakresie
Zdołano stworzyć! „Armat nam dajcie!“
Burzliwe echo po świecie niesie.

Temi, na które zdobył się Niemiec,
Jeszcze całego nie sprzątnąć świata;
Trzeba ich tyle, by całe Niemcy
Były, jak jedna wielka armata.

I tak urządzić, by tę armatę
Olbrzymią kulą, ręką olbrzyma
Nabić, wystrzelić — i w jednej chwili
Świata (prócz Niemiec) — ludzi już nie ma!

Tak marzy Bismark, krzycząc: „Za mało!“
A odzew jego brzmi dookoła...
Słuchają wszyscy z całą uwagą
I brwi ściągają i marszczą czoła.

Słuchają wszyscy z pilną uwagą,
Co się nad Sprei brzegiem ozwało —
I myślą w duchu: „Gdy mało jemu,
To i nam przecie także za mało!"

Witaj przyszłości — nietajemnicza!
Wiemy co w łonie twem się ukrywa;
Nowych kredytów na nowe zbroje
Zażądasz od nas, o nieszczęśliwa!

Nie będzie twoim żądaniom końca,
Póki nie Niemcy, lecz świat, jak duży,
Kształt gigantycznej weźmie armaty,
Co swym wystrzałem sama się zburzy!

Rossowski Stanisław, poeta i nowelista galicyjski, ur. 1858. Umieszcza sporo prac w pismach humorystycznych, pełnych werwy satyrycznej i ostrego humoru.

Arminijusz Herman (monolog jego posągu).

* Na górze stoję jak osioł.
Okropnym gniewem rozżarty,
Bo myślę, że sobie ze mnie
Stroi hałastra ta żarty.

Czy jestem bajką czy prawdą,
Czym zwał się Armin czy Herman,
Był niemcem czy też słowianem,
Żaden dziś nie wie to german ..

Ot, *Schwindel* panie, i basta!
Chwilowy pachniał im trunek,
Więc mnie z Tacyta wywlekli,
By spić się na mój rachunek.

Hola panowie! nie liczcie
Mnie do narodu Bismarków;
Bo, jeślim bił się szczęśliwie,
Tom nie rabował zegarków!

Szczutek. Pismo humorystyczne, założone przed laty dwudziestu i redagowane przez liberała Zajączkowskiego, zażywające wielkiego wpływu, co zawdzięcza śmiałości, wykwintnej formie i nie opuszczającemu go nigdy dowcipowi. Głównymi współpracownikami byli: Włodzimierz Zagórski, Włodzimierz Stebelski, Michał hr. Dzieduszycki, Roman Starkiel, Tadeusz Czapelski, Stanisław Rossowski.

Arogancyja.

* — Po pani oczach poznaję, co pani o mnie myśli — mówi pewien arogancki kawaler do damy.

— W takim razie jestem przekonana, że pan nie powiesz tego nikomu — odpowiedziała dama.

Arsenał kobiecy.

* Cesarzowa Eugenija przyjmowała w Compiegne małe grono przyjaciół.

Rozmowa wpadła na szaspoty (rodzaj strzelby) których zalety pewien obecny jenerał zachwalał zebranym damom.

— Tak — rzekła cesarzowa — my kobiety potrzebujemy również szaspotów dla umocnienia naszej władzy i wpływów; ale naszemi szaspotami są: w 20tym roku życia piękność i wdzięk, w 30-tym rozum, a w 40-tym dobroć.

— A pani — rzekł z galanteryją cesarz Napoleon III, który ostatnie słowa swej małżonki posłyszał — nie czekałaś na przejście lat tylu i wszechwładną dłonią zagarnęłaś odrazu cały arsenał dla siebie.

Astrolog.

* Astrolog gwiazdy liczy, jako która błyśnie,
A tu go pod kolana kozieł rogiem tryśnie.
Jakoż on koziorożca widzieć miał na niebie,
Kiedy prostego kozła ślepy podle siebie?

Wespazyjan Kochowski. (p. str. 49).

Artykuł wstępny.

* Znany dziennikarz amerykański William North, został zaproszony przez wydawcę pewnego pisma do napisania artykułu wstępnego przeciw objawom wstrzemięźliwości, jakie od pewnego czasu cały Nowy-York zaniepokoiły.

— Jeżeli mi pan dobrze napiszesz — rzekł wydawca — dostaniesz 20 dolarów.

— Jak długim ma być ten artykuł? — zapytał North.

— O ile możności najkrótszym.

North siada i pisze następujące słowa:

„Wolelibyśmy widzieć świat cały pijanym z jego własnej woli, aniżeli jednego człowieka pod przymusem“.

Zdanie to wydrukowane zostało jako artykuł wstępny, a North otrzymał 20 dolarów.

* *Artykuł.*

— Przeczytaj jutrzejszego *Kurjera*, będzie świetny artykuł.

— No, zkąd wiesz o tem?

— Widziałem dziś literata X. niosącego do domu aż trzy tomy „Encyklopedyi powszechnej“.

Artyści.

* Artyzm jest właściwością ludzi i wywyższa je nad zwierzęta. Arcydzieła mistrzów wielkich wprowadzają w zachwyt adeptów sztuki, jakby ubóstwiana kochanka, a wśród nieśmiertelnych antyków wędrują oni przy blasku pochodni, niby w Olimpie i w tym idealnym świecie żyją rosą niebieską, jak ów legendowy, zawsze wesoły świerszczyk polny. Zatopieni w sztuce—zapominają o reszcie, istnieje dla nich tylko sztuka i... sztuka. Dlatego też pewien wirtuoz podróżujący, na pytanie, uczynione mu przez pewnego księcia, czy jest literatem, odpowiedział: „Nie, jestem czechem, do usług‘. Sztuki najlepiej rozwijają się tam, gdzie albo nie trzeba myśleć, albo myśleć nie wolno. „Genijusz! genijusz!“ oto czarowne słowo, które nawet początkujący artyści mają na ustach; bez genijuszu trudno sobie wyobrazić prawdziwego artystę. Cóż z tego, kiedy on tak rzadko nawiedza artystyczne mózgi! Kiedy siła genijuszu Verneta w obrazie „Burza“ rzuca majtków na kolana i wyrywa im z piersi okrzyk: „Boże! jakież to piękne!“ to równocześnie pierwszemu lepszemu grajkowi lub tenorowi, zdaje się że równy Orfeuszowi poruszy skały i kamienie!.. Zawiedziony, bo zawiedzionym być musi, szemrze na ludzkość, która go nie rozumie, jak ów pijany malarz francuzki, który na zapytanie, czy mu się podoba Vernet: „o tak,“ odpowiedział, pokazując na swoją wypróżnioną szklankę (*ver net*). Tylko też tacy artyści, jak ten ostatni, mogą powiedzieć, że „sztuka żebrać musi, gdy rzemiosło chodzi w złocie“. Bez sztuki ludzie żyć mogą doskonale, bez chleba — nigdy.

Wszyscy artyści i genijusze lubią peryjodyczne próżniactwo, dlatego nie można liczyć na nich tam, gdzie wymaga się pracy seryjo, porządku i pośpiechu. Prosty, naturalny rozum wyrabia dobrego, moralnego człowieka, ale przy artystycznym rozumie można zostać bardzo niemoralnym, próżnym, jednem słowem wstrętnym człowiekiem.

Ślepy flecista Dulon pocieszał się temi słowy: „Wszystko się zmienia podług kaprysów fortuny, więc gdy brak wielki trapi cię, nieboże, odwagi, bracie, zmienić się to może!“ Sztuka należy do zmysłów i tak też w ogóle rozumie ją artysta—większość ich, to mechaniczni rzemieślnicy, małe Pigmaljony, rozmiłowane w dziele rąk swoich. Artyści tonów są lekcy, jak świstki ich nut, ale są względnie najprzyzwoitsi. Biada państwu, opanowanemu przez artystów! Największe skargi na najśmieszniejszą dumę i arogancyję genijuszu i sztuki ściągają bohaterowie i bohaterki teatru. Rządzić teatrem milijon razy trudniej, aniżeli państwem lub wojskiem! Co na scenie państwa nazywa się ambicyją, to na scenie teatralnej jest uganianiem się za rolą.

Już w starożytności prześladowali się wzajem fleciści i cytrzyści. Tamerys wyzwał do współzawodnictwa wszystkie dziewięć muz, a w nagrodę zwycięztwa zażądał kwiatu panieńskiego wszystkich dziewięciu, za co ślepotą ukarany został. Apelles rzekł do Aleksandra Wielkiego, gdy ten niezbyt grzecznie wyraził się o sztuce: „Milcz lepiej, żeby cię nie wyśmieli moi rozcieracze farb“... Budowniczy Apollodorus odezwał się w podobny sposób do cesarza Adryja-

ni: „Idź i maluj swoje dynie.“ Czyż to nie było śmieszną zarozumiałością, ze strony Apellesa, gdy za prostą krytykę szewca ofuknął go gniewnie, mówiąc: „Pilnuj szewcze, swojego kopyta.“

Rameau, znany muzyk, uważał swoją sztukę za nie ulegającą krytyce prasy. „Dajcie mi“ — mówił — „holenderską gazetę a ułożę ją w muzykę“. Jakże pięknie natomiast wygląda skromność rzeźbiarza Lannera, który stojąc obok wykonanej mistrzowsko przez siebie statui Józefa II, słuchał spokojnie paplaniny wiedeńczyków, krytykujących jego dzieło. Jeden utrzymywał, że cesarz nie dosyć prosto siedzi; innemu się zdawało, że za stary; trzeciego irytowało, że cesarz siedzi na koniu z głową odkrytą; kowal zganił, że koń niema podków, a rymarz i masztalerz zauważył brak strzemion i ostróg; przekupka znów utrzymywała, iż mało sto razy widziała cesarza na koniu, ale żaden z rumaków nie miał tak długiego ogona! Lanner śmiał się tylko dobrotliwie z tych wszystkich sądów.

Słynny baletnik Destris mawiał, że zna tylko trzech ludzi: Fryderyka, Woltera i swoją małość. Śpiewak Gabryeli żądał od Katarzyny 7000 rubli, bezpłatnego mieszkania i ekwipażu. „Ale żaden z moich wodzów niema tyle“ — rzekła monarchini. „To niech W. C. Mość każe śpiewać jednemu z nich...“ Innemu podobnemu śpiewakowi, nazwiskiem Caffarelli, posłał był w darze Ludwik XIV złotą tabakierkę, ale Caffarelli darował ją posłańcowi, mówiąc: „Niema na niej nawet królewskiego portretu?“ „Tak, bo z portretem dostają tylko posłowie“. „Ba, posłowie, to niechże u was posłowie śpiewają“. Słusznie jednakże ukarany został za swoje zuchwalstwo... Pewnego razu kardynał Albani w Rzymie zaprosił go na zebranie, a śpiewak przyjścia odmówił. Kardynał posłał swego *magior domo* z czterema pachołkami, uzbrojonymi w kije, którzy porwali Caffarellego w szlafroku i pantoflach i w tym kostyjumie zmusili go do śpiewania przed całem zgromadzeniem. Tancmistrz Marsel, dowiedziawszy się, że Harley został mianowany podskarbim, zawołał: „Czyż to podobna? Dwa lata go uczyłem jednego piruetu napróżno“. Noverre, baletnik wiedeński, gdy ktoś za naukę tańca z nim się targował: odpowiedział: „Czy mnie pani bierzesz za nauczyciela filozofii?“ Tintoretto, gdy nie mógł dogodzić pewnemu hrabiemu niemieckiemu, malując jego portret, rzucił pędzel o ziemię, mówiąc: „Udaj się pan do Bassana“ (był to znany malarz zwierząt). Historyczny malarz Brendi odmówił ręki swej córki słynnemu Roosowi, dlatego, że ten ostatni był tylko malarzem zwierząt, a pejzażyście, któryry mu wspominał o wybieleniu pokoju przed wymalowaniem go, rzekł: „Nie, wprzód wymaluj, a potem obiel, to będzie lepiej“. Artysta jest najdrażliwszą istotą na ziemi. Dwóch malarzy pobiło się na śmierć o to, iż jeden drugiemu zarzucał, że niewłaściwie wymalował Adama i Ewę z pępkami, kiedy oni byli stworzeni a nie urodzeni!

Taką samą sprzeczkę wywołał brak brody u pierwszego ojca, gdyż golibrodów w raju nie było. Giordano Fapresto malował dlatego zwykle Adama w pancerzu z obawy przed napaścią zazdrosnych. Godną czasami jednak pochwały jest i duma artystyczna. Taka przemówiła np. ustami Casanovy. Gdy u Kainitza przy stole mówiono o Rubensie, który był także dyplomatą, książe zawołał: „Rubens tedy był dyplomatą, który się bawił w malarstwo“. Casanova odpowiedział pięknie i prawdziwie: „Wasza wysokość się myli, Rubens był malarzem, który się bawił w dyplomacyję“. Dawid i Salomon byli wielkimi wirtuozami, Neron i Heliogabal — również, ale muzyka ich była manija.

Zarozumiałość i kokieteryja artystek jeszcze większych dochodzi szczytów. Słynna Guimard, primadonna opery paryzkiej, miała dom, zbudowany w kształcie świątyni, który obudził ciekawość cesarza Józefa. Guimard przyjęła monarchę przy swojej toalecie w pudermantlu, a wi-

dząc jego zdziwienie, rzekła: „Oceniam należycie honor, jaki mię spotyka, ale mi powiedziano, że najlepiej podobam się w negliżu...“ Clayron namówiła raz cały personel teatralny do strejku, a gdy ją za to wpakowano do kozy, wydała w więzieniu bankiet, na którym się wszyscy znaleźli. „Król może mi wszystko zabrać, prócz mego honoru“ wyrzekła. „Naturalnie“ — odparł dozorca—„gdzie niema nic do wzięcia, tam i król traci swoje prawa.“ „Czy wiesz, że gram Natana w Mądrym Natanie“? — chwalił się dyrektor jakiejś małej trupy. „A któż gra mądrego?“ zapytano go w odpowiedzi. „Jest tylko jeden Bóg i jeden Vestris“ — mawiał baletnik wiedeński; słuszniej jednak byłby się wyraził pan Vestris, gdyby powiedział: „Jest tylko jeden Bóg i jeden taki głupiec jak ja.“ Wszystkie te zuchwałe artystyczne chimery, o których pełno anegdot krąży w inteligentnym świecie, wykurowanoby w Pekinie bardzo szybko bastonadą. Leonardo da Vinci skonał na rękach Franciszka I, ale był to jedyny da Vinci. Karol V podniósł z ziemi pędzel Tycyjanowi, ale był to pędzel jedynego Tycyjana. Od tego czasu iluż to wielkich podnosiło pędzle, które nawet o Tycyjanie nie wiedziały? Teraz nawet kuglarze przybierają miano artystów, a gdy pokazują rozmaite sztuki, to już są profesorami magii lub ekwilibrystyki. Najużyteczniejsi są jeszcze profesorowie pływania i jazdy konnej. Niedługo nie będzie wcale rzemieślników, tylko sami artyści: artyści do zdejmowania ostrem narzędziem nieforemności cudzej brody, artyści do czyszczenia butów i t. d. Szewcy nazywają się fabrykantami obuwia, albo członkami stowarzyszenia wyrobów skórzanych, krawcy są właścicielami magazynów ubrań, a wszystko to są... artyści!

„*Demokritos*“ *Weber*. (p. str. 4)

* Proboszcz z wioski Nogent udzielając ostatnich sakramentów malarzowi Watteau, według przyjętego ceremonijału przyłożył do ust umierającego krucyfiks, którego podejrzanej wartości robota, tak podrażniła zmysł estetyczny artysty, że zbierając ostatek sił zawołał:

— Zabierzcie mi z przed oczu ten krzyż! Któż mógł w tak ohydny sposób oddać rysy Boga!..“

Pankoucke.

* Artysta jest owem dzieckiem, o którem baśń ludowa opiewa, że łzy jego są perłami. Niestety! Zła macocha—świat, tem nielitościwiej smaga biedne dziecko, chcąc aby jak najwięcej pereł wypłakało.

* Wielkim błędem jest, iż krytyk stawia pytanie: co artysta powinien? Właściwszem byłoby pytanie: co artysta chce? albo raczej: co artysta może?

* Wielki artysta może czasem, zarówno jak i mierny, stworzyć coś złego, ale nigdy nie stworzy on nic zbytecznego.

Heine. (p. str. 26).

* W młodości na fujarce grywał pasąc bydło,
I leżał przez dnie całe aż mu już obrzydło;
Dorosłszy, artyzm w duszy zawsze cenił wielce
I trąbił... trąbił ciągle, ale na butelce;
Na starość kręci korbą katarynki starej...
I powiększa zbyt liczne artyzmu ofiary.

* — Podobno córeczka pani kształci się na artystkę, zapewne ma talent?

— Nie droga pani, tylko dostała po prababce tak cudaczną garderobę, że ją najlepiej będzie na scenie zużytkować.

Arystokracyja.

— Wiesz co, rodzina moja sięga pierwszych czasów chrześcijańtwa, jeden z moich przodków został świętym.

— Wielka rzecz! Ja w mojej rodzinie liczę kilkuset świętych tureckich i nie przechwalam się z tego.

Świąteczny.

Arystoteles.

* Gdy zapytano pewnego razu Arystotelesa, dlaczego tak lubi piękne kobiety, odpowiedział:

— Trzeba być ślepym, żeby się o to pytać.

Arytmetyk.

* Podzielić 42 ruble 57 ½ kop. pensyi miesięcznej tak, żeby wystarczyło na komorne, opał, żywność, ubranie, obuwie, doktora, aptekę i edukacyję czworga dzieci i żeby z pozostałej reszty, za pomocą procentu składanego, uformować kapitał na wyprawę i posag dla dwóch córek, oraz na zapewnienie sobie kawałka chleba i niucha tabaki na starość.

Arytmetyka.

* *Dwa* walce dają czuły bilecik.

Trzy czułe bileciki dają miękki uścisk atłasowej rączki.

Cztery miękkie uściski atłasowej rączki dają pocałunek.

Pięć pocałunków tworzą małżeństwo.

Sześć małżeństw dają *sześć* ofiar, prześladowanych przez teściowe i *czterech* zawiedzionych mężów.

Astronomija.

* Stało sobie małe bube
Przed wystawą banku —
— Wus ys dues, tate lube?
— Dus ys gield kichanku.
— Ziugze tate, pitam tobie?
Fa wues ys gield?
— Nu, ty glupi, na tem sobie
Stoi gance Welt...
— A mnie mawiał belfer w sztube,
Że świat w kółkiem lata.
— To wun głupi, Szmulku lube
I wun nie zna świata...
Świat sam stoi, czarny, brzydki,
Sześć tysięcy lat,
Tylko z gieldem nasze żydki
Robią ruch na świat.

Klemens Junosza (Szaniawski) — humorysta, powieściopisarz i poeta. Ulubionym światem jego obserwacyi jest wioska, chłop i żyd. Znakomity znawca żargonu, z którego kilka utworów przełożył na język polski. Pisał także dla sceny. Utwory jego cieszą się popularnością, pod względem artystycznym, jak i treści zasługując na to najzupełniej

* Gdyby stu astronomów patrzało w kieszenie,
Grosz grosza nie zobaczy, takie tam zaćmienie!

* Piotr, który niegdyś gwiazdy liczył na [milijony,
Dziś trzech zliczyć nie umie wobec własnej [żony.

Horain Juljan — obywatel ziemski na Litwie, gdzie sprzedawszy majątek w r. 1871 przeniósł się do Hobocken w Ameryce północnej i ztąd do pism warszawskich nadsyłał oryginalne, pełne humoru korespondencyje, doskonale malujące stosunki tamtejsze. Ogłosił drukiem „*Chwile stracone*", „*Powiastki*" i przekład komedyi Feuilleta p. t. „*Domowa zagroda*". W r. 1873 miał odczyt w New-Yorku o „*Bajkach i bajkopisarzach polskich.*"

Ateusz.

* — Więc ty nie wierzysz w Boga?
— Nie, jak Boga kocham, nie wierzę.

Atłas i kitajka.

* Atłas w sklepie z kitaju żartował do woli;
Kupił atłas pan sędzia, kitaj pan podstoli.
A że trzeba pieniędzy dać było kupcowi,
Kłaniał się bardzo nizko atłas kitajowi.
Gdy przyszło dług zapłacić a dłużnik się wzbra- [niał,
Co rok się potem kitaj atłasowi kłaniał.

Krasicki. (p. str. 5)

Atom.

* Świat widzialny jest atom... Prawda, astro- [nomie;
Za cóż ty chcesz żyć cały tylko w tym atomie?

Mickiewicz „Zdania i uwagi". (p. str. 19).

Atrament.

* — Dlaczego plama z atramentu nazywa się *żydem?*

— Bo jak się raz do papieru przyczepi, trudno się już od niej odczepić.

Noworocznik „Wolnych żartów".

Auber.

* Pewnego wieczoru Auber wychodził z opery, w towarzystwie jakiegoś starowiny, swego przyjaciela.

— Źle... źle z nami... starzejemy się!

— Cóż robić — odpowiada z uśmiechem maestro — musimy się poddać tej smutnej konieczności, skoro tylko w ten sposób możemy żyć długo.

Temps.

Audyjencyja.

* Kiedy zapytano raz księcia Meklemburskiego, siedzącego w głębokiej zadumie, nad czem tak rozmyśla, odpowiedział:

— Daję audyjencyję moim myślom...

August II.

* Wiadomo, że król August II był arcymistrzem w szermierce kielichowej. Kiedy się już doczekał podeszłego wieku, pewien wojewoda, w dniu jego imienin, dał mu na wiązanie puhar srebrny, misternej roboty, w którym się mieścił garniec wina. Król próbował jednym tchem go wypróżnić, ale tego nie mógł dokonać, jak i inni zawołani pijacy jego dworu, chociaż w młodości z łatwością im to przychodziło. Król po kilkakrotnie dał się z tem słyszeć, że gdyby mu takiego znaleziono, coby jednym tchem zdołał ten kielich wypróżnić, obdarzyłby go po królewsku. To słysząc, kardynał Lipski odezwał się:

— Najjaśniejszy panie, mam na dworze bernardyna, który, zdaje mi się, zadość woli Waszej Królewskiej Mości uczyni. Jeżeli nie, to widać, że to rzecz niepodobna, bo nie pojmuję, żeby w rodzie ludzkim znalazł się taki, któryby go mógł zwyciężyć w popisach kielichowych.

— A kiedy tak, przyprowadź z sobą do mnie jutro na obiad swego bernardyna, poprobujemy jego siły.

Kardynał Lipski, za powrotem do siebie, wszystko to opowiedział bernardynowi i oświadczył, że nazajutrz będzie miał zaszczyt siedzieć za królewskim stołem. Gdy już nadchodziła pora obiadowa w zamku, kardynał zabrał do swojej kolasy mnicha i z nim razem udał się na pokoje królewskie. Przechodząc przez salę jadalną, gdzie już stół był nakryty, spostrzegł ów kielich na stole kredensowym i pokazał go swojemu towarzyszowi, zapytując go, czy gotów na niego się porwać. Bernardyn zdał się wątpić o sobie, bo zaczął kiwać głową w sposob odmowny. Kardynał się nieco zasępił, mnicha zostawił w sali, a sam poszedł na pokoje.

Wkrótce dano znać, że obiad gotowy. Król z dostojnymi gośćmi zasiadł za stołem, gdzie wkrótce bernardyn na szarym końcu siedzący, zwrócił jego uwagę na siebie. Król przypomniał sobie wczorajszą rozmowę z kardynałem i głośno zapytał go:

— A co, księżuniu, czy wypróżnisz ten kielich, nie odejmując go od ust?

— Nie inaczej, Najjaśniejszy Panie, i proszę o niego...

Król kazał podać kielich i napełnić go starym węgrzynem. Było to po sztuce mięsa.

Bernardyn w obie ręce wziął kielich, skłonił się przed majestatem królewskim, wypalił krótką oracyję za zdrowie Jego Królewskiej Mości, podniósł kielich, zbliżył go do ust, i w samej rzeczy co do kropli go wypróżnił, wszystkich zdumiawszy dowodem tak świetnej junakieryi pijackiej.

Nim obiad się skończył, już kardynał zauważył, że bernardyn dobrze był napity, porwał go więc za rękę, wyprowadził z zamku i kazał się wraz z nim odwieźć do własnego pałacu. Jednak w drodze zapytał go, co to miało znaczyć, że kiedy mu w przejściu pokazał ten kielich, on dał znak, jakoby nie chciał się podjąć jego wypróżnienia, a przy obiedzie tak gracko z nim się popisał?

Na to bernardyn:

— Eminentissime Pater! Z koronowaną głową nie można żartować. Trzeba dobrze się doświadczyć, żeby zadość uczynić jego fantazyjom. Kiedy mi Wasza Eminencyja ów kielich raczyłeś pokazać, ja, że nigdy się nie zdarzyło podobnej objętości naczynia jednym tchem wypróżnić, zwątpiłem o sobie, ale kiedy Wasza Eminencyja opuściłeś salę, ja, dla doświadczenia

sił moich, zaszedłem do kredensu, tam uprosiłem piwniczego, iż kazał napełnić ten kielich winem, spróbowałem na nim co mogę, a co nie, a przekonawszy się, że potrafię go wypróżnić jednym tchem co do kropli, już gotowy, bo doświadczony, stanąłem na rozkaz królewski!...

* August II-gi gościł raz u magnata M. w B. Gospodarz przyjmował sercem otwartem i piwnicą, lało się wino przez trzy dni bez ustanku, nareszcie, nadeszła chwila odjazdu. Najjaśniejszy Pan siadał już do karety, gdy go M. zaatakował jeszcze jednym kielichem.

— Królu! — zawołał rozczulony do łez — mam jeszcze dwie butelki wina, którychbym nikomu nie dał, ale dla Waszej Królewskiej Mości je dobędę...

Król rozgniewany, że mu je tak późno ofiarowano, odparł z pasyją:

— Schowajże je sobie waćpan dla kogo lepszego...

Jan Duklan Ochocki — szambelan Stanisława Augusta; napisał pamiętniki i doprowadził je do r. 1837, które wydał Kraszewski p. t. „*Pamiętniki Jana Duklana Ochockiego, z pozostałych po nim rękopisów przepisane i wydane*“.

Austryjacki język.

* Ładny materyjał przedstawiały dla kronikarza rozprawy językowe w radzie państwa.

Ładna to była walka, w której wszyscy polegli. Poległ Wurmbrand ze swoim wnioskiem, upadł ze swoim pan Grocholski, „klapnął“ Coronini, przepadła lewica, przepadła prawica, wszyscy zwyciężeni, a niema zwycięzcy. W życiu codziennem trafia się to bardzo często: Maciek wybije Walkowi dwa zęby, a Walek ugryzie mu kawałek nosa. Obie strony godzą się i nie mają do siebie nienawiści.

Żałuję mocno, że nie jestem członkiem rady państwa (nawiasem mówiąc: co się przewlecze, to nie uciecze), bo gdybym nim był, umiałbym obie strony pogodzić. Żądacie, panowie z lewicy, rzekłbym, języka państwowego? — zgoda! Państwem jest Austryja — językiem więc państwowym może być tylko język austryjacki. Niema go, a zatem go stworzymy. Wybierzmy komitet pod przewodnictwem Miklosicza, a ten stosowny projekt przygotuje, my go zaś przeprowadzimy. Jako próbę, wskazówkę dla przyszłych autorów austryjackiego języka, podaję kilka zdań z przyszłego Ollendorfa:

„Czy mutter i fratello können böhmisch pisaty? Nein, aber koubasa mit palenka stojut auf dem tisch. — Gerem baraton a hasa, bo mam jenom jednou zlatku. Ty masz jednou zlatku, aber mio padre oberwał kosmatku na sadku. — Ist der doktor Jordan liberał oder konserwatysta? Domine milujeszty! Czto ty howorysz: doktor Jordan ist nur a feiner purec. — Ha e'lla ancora vino? Non ho piu vino, aber urspruenglich mawjem try aduty. — Ist ihr fratello heiratslustig? On ne ma manželki, bo w jego rodyni nikto sia ne żenyw. — Procz pak robiat mit dem Weigel so viel mordspektakel? Bo bardzo wielu jest takich, kotori chotiat distaty sechs tausend ranesz jaerlicher pension. A soj viel mues?! Każdy von unsere leut dałby sobie zrobicz prezydentem“.

Jak widzimy na przykładzie, nie jest tak trudną rzeczą wynaleźć język austryjacki. Wszelkich pretensyj, jakie mógłbym rościć z tego powodu, zrzekam się z góry, nie chcąc obciążać skarbu państwowego. Co najwyżej, prosiłbym o zwrot kapitału wyłożonego na kostyjum, w jakim się ukażę na balu maskowym koła literacko-artystycznego. Kostyjum ten dużo mnie kosztował, przebieram się bowiem za „Rozum polityczny“. Modelu szukałem napróżno w całej Galicyi, mówiono mi, że wyjechał do Wiednia i miał zamiar zamieszkać czasowo w kole polskiem... Ale i tam go znaleźć nie mogłem, mimo starannych poszukiwań. Nareszcie deputowany Hausner dał mi jego bliższy adres, jako jeden z nielicznych jego znajomych. Adresu tego jednak zabroniono mi wyjawiać w Krakowie.

Bartoszewicz Kazimierz—dziennikarz i literat w Krakowie; pióro jego niezwykle cięte, odznacza się wielką werwą. Rozgłos w Galicyi zjednały mu kroniki, w których dowcipnie, złośliwie, a często trzeźwo omawia tamtejsze stosunki. Po-

równać można jego „*40 kronik*“ z „*Listami paryzkimi*“ Ludwika Boernego; porównanie to bynajmniej na niekorzyść Bartoszewicza nie wypadnie. Z osobno wydanych prac jego wymieniamy: „*Ogniem i mieczem*“, poemacik humorystyczny i nowelę „*Kandydat na radcę*“. Od 1887 r. Bartoszewicz redagował *Kuryjera krakowskiego.*

Autobiografija Marka Twaina.

* Ponieważ dwie czy trzy osoby, w różnych czasach, oświadczyły mi, iż gdybym napisał autobiografiję, one w chwilach wolnych możeby ją przeczytały, ulegam więc gorącemu żądaniu ogółu i przedstawiam poniżej treściwie spisany mój żywot.

Jestem potomkiem bardzo starożytnego i szlacheckiego rodu. Sięga on przedhistorycznych czasów. Najdawniejszy z przodków moich, o którym zaledwie dowiedzieć się mogłem, liczył się do przyjaciół rodziny Higgino.

Było to w XI w. — gdy przodkowie moi zamieszkiwali w Aberdeen w hrabstwie Cork, w Anglii. Dlaczego główna linija rodu od tego czasu nosiła nazwisko matki (z wyjątkiem kilku dziwaków, którzy pragnąc uniknąć śmieszności, przybierali nazwiska inne) jest to tajemnicą, której niemieliśmy nigdy chęci dochodzić. Podobno tkwi tam jakiś zawiły, lecz nader efektowny romans, który atoli i ja pozostawiam w spokoju. Wszystkie zresztą arystokratyczne rody czynią podobnież.

Artur Twain cieszył się rozgłośną sławą i zaszczytami, piastował godność poborcy kopytkowego za czasów Wilijama Rufusa. W trzydziestym roku życia, palony żądzą rozgłosu, udał się do jednego z lasów, które podróżni z trwogą mijali, zkąd więcej nie powrócił. Prawdopodobnie zmarł tam nagle.

Około r. 1160 staje się głośnym August Twain. Był to człowiek niezmiernie wesoły. Miał zwyczaj zaczajać się z wyostrzoną szpadą w miejscowościach ciemnych a dostrzegłszy ludzi, próbował na nich ostrza swego żelaza, aby zmusić ich tym sposobem do ćwiczeń ekwilibrystycznych, które lubił szalenie. Prócz tego był żartownisiem nie lada, co też stało się powodem nieprzyjemnej katastrofy — władze bowiem doczesne, spotkawszy go przy pożyczaniu szat i trzosów od bliźnich, pozbawiły najwyższej części ciała, resztę zaś korpusu ulokowały na Temple-Bar, uroczym pagórku, zkąd mógł się do syta poić malowniczym krajobrazem i dla tego też aż po dziś dzień tam pozostał.

Kroniki następnych dwóch wieków notują liczny szereg rycerskich moich przodków, ludzi niezwykle mężnych. Szli oni do boju ochoczo ze śpiewem na ustach, zawsze tuż po za armiją, wrazie zaś odwrotu z dzikim okrzykiem zgrozy przodowali wszystkim.

Stary Troisart, znany ze złośliwości i umysłu płytkiego, robi uwagę, że nasze drzewo rodowe posiadało jedną tylko gałązkę — i że ta z prawej jedynie rozwijała się strony, atoli należy to zaliczyć na karb nieuzasadnionej ironii.

Na początku XV w. żył Bean Twain, obdarzony przydomkiem „uczony“. Posiadał niezwykły talent kaligraficzny i umiał przewybornie naśladować charaktery innych. Korzystając z tej zdolności płatał rozmaite figle, co go zmusiło zobowiązać się do tłuczenia kamieni przydrożnych [1]). Mozolnej tej pracy poświęcał się przez lat 42, z małemi przerwami, przy niej też umarł nieborak. Jednakże i w tym kierunku okazał zadziwiające zdolności, do tego stopnia, że rząd musiał coraz to odnawiać z nim kontrakt, gdy choć przez tydzień czynności zaniechał.

Bean należał do ulubieńców policyi. Cieszył się też żywą przyjaźnią towarzyszy cechu, do którego należał i był jednym z najpoważniejszych przedstawicieli tajnego klubu „kajdaniarzy.“ Włosy nosił zawsze krótko i miał pasyję do bluz kratkowanych. Stratę jego rząd odczuł boleśnie, bowiem był niezmiernie czynnym i ruchliwym obywatelem.

W kilka lat później wystąpił na arenę publicznego życia John Morgan Twain. Ten przybył do Ameryki w r. 1492, wraz z Kolumbem, ja-

[1]) Kara na fałszerzy w Ameryce.

ko pasażer. Jak się zdaje, miał usposobienie niezbyt pociągające, był zgryźliwym i szorstkim. W czasie podróży skarżył się nieustannie na jedzenie i groził iż wysiądzie na ląd, jeżeli go lepiej karmić nie będą. Codziennie chciał mieć na stole świeże ryby rzeczne... codzień też przechadzał się po pokładzie okrętu, drwiąc z Kolumba i twierdząc, że niewie sam dokąd jedzie. Pamiętny okrzyk: „Ziemia! ziemia!“ nie wzruszył go wcale. Stał chwilę, patrząc przez okopcone szkło na czarną linię, rysującą się na krańcu horyzontu, wreszcie zawołał: „Do dyjabła z ziemią! To czółno, najwyraźniej!“

Bagaż jego, gdy przybył na okręt, stanowiły: chustka do nosa ze znakiem B. G., pończochy wełniane z cyframi L. W. C., koc wełniany oznaczony literami D. F., i koszula nocna z cyframi O. M. R., — wszystko owinięte starą gazetą i to nazywał swoim ,,kufrem“. Dbał o niego bardzo. Gdy okręt się przechylił, natychmiast przenosił ,,kufer“ na przeciwną stronę — gdy się zanurzał, domagał się iżby Kolumb powyrzucał bagaże załogi. W czasie burzy musiano mu usta kneblować, bo tak wrzeszczał, że głuszył rozkazy wydawane majtkom.

John Morgan nigdy nie był oskarżonym publicznie o jakikolwiek czyn niegodny. Natomiast w księdze okrętowej umieszczono o nim parę szczególnych uwag. Zanotowano mianowicie, że aczkolwiek na okręt wszystkie swoje pakunki przyniósł sam, pod pachą, owinięte w gazetę (jak powiedziałem wyżej), z okrętu wyniósł cztery kufry, jedną torbę podróżną i kilka koszów szampana. Tego niedosyć—skarżył się bowiem, że mu brakuje wielu przedmiotów i chciał rewidować walizy towarzyszy podróży. Nie pozwolono na to i strącono go do morza, gdy się nazbyt upierał. Po dokonaniu tego barbarzyńskiego czynu, mordercy patrzyli na fale, ciekawi, jak John Morgan poradzi sobie— lecz ten przez dość długo niepokazywał się wcale. Naraz okręt chwiać się zaczął a lina od kotwicy, niewidzialną ręką odcięta, płynie po morzu... Okazało się, że sir John Morgan był tego sprawcą. Linę odciął i sprzedał dzikim krajowcom, upewniając ich, że ją znalazł...

Oto co zapisano do ksiąg okrętowych.

A jednak ten dziwak miał szlachetne popędy! On to był pierwszym europejczykiem, który się zajął krzewieniem cywilizacyi u czerwonoskórych. Zbudował im wygodne więzienia, objaśnił o użyteczności szubienicy — czego nieznali wcale—i z dumą powtarzał, iż wpływ jego na dzikich był o wiele znaczniejszym, aniżeli wpływ reformatorów dzisiejszych.

Kronika o schyłku jego życia mówi niejasno... Wnioskować można, że zasłużony marynarz poniósł śmierć niespodziewanie. Chcąc sprawdzić, jakie wrażenie sprawia na białych stryczek, poddał się pewnej niemiłej operacyi, po której ducha wyzionął.

Prawnuk naszego ,,reformatora“ żył w XIV w., znany pod przydomkiem ,,starego admirała“ acz niektóre kroniki nazywają go inaczej. Przez czas długi dowodził flotą zwinnych i wybornie uzbrojonych pancerników, polując na okręty kupieckie, które dojrzawszy go umykały co sił. Gdy taki statek płynął niedość szybko ,,admirał“ wpadał w szalony gniew, zatrzymywał go, uwalniał od balastu, który starannie ukrywał na lądzie, mniemając że będzie go mógł zwrócić właścicielom, w czem się mylił zawsze, bo oczekiwani nie zgłaszali się nigdy. Nie zapominał też o okrętach. I te zabierał do swojej ojczyzny a gdy się doczekać nie mógł prawych właścicieli. palił je, aby się suma ubezpieczenia nie marnowała.

Dzielnego tego męża spotkała też nieprzyjemność. Ucięto mu głowę. Nieutulona w żalu wdowa twierdziła stanowczo, że gdyby tego dokonano nieco wcześniej, byłby żył z pewnością. Tego jednak niemożna było sprawdzić.

Karol Henryk Twain żył w drugiej połowie XVII w. i zasłynął jako gorliwy misyjonarz. Nawrócił 16,000 mieszkańców wysp południowych, przekonywając ich gorąco, że krawat z psich zębów i szkieł nie jest dostatecznym

środkiem do zbawienia. Nawracane owieczki kochały niezmiernie swego duchowego pasterza. To też wyprawiły mu wspaniały pogrzeb, po ukończeniu którego (pogrzeb miał miejsce w jadłodajni pobożnych owieczek) powstali wszyscy i powtarzali ze smutkiem: „Był wcale niczego ten biały, szkoda tylko, że niebyło go więcej...“

Pa-Go-To-Wah-Wah Pukkolokiwis Twain, (myśliwiec z okiem odyńca) ozdoba XVIII w., prawa ręka generała Bradock, któremu pomagał, w walce przeciwko tyranowi Waszyngtonowi — słusznie wielkiem cieszył się uznaniem. On to, z po za drzewa, siedmnaście razy strzelał do obrzydliwego Waszyngtona, jak świadczy historyja. Tu zwrócimy uwagę, że historyja mija się z prawdą twierdząc, że Pukkolokiwis, spudłowawszy siedmnaście razy, dał za wygranę i oświadczył: „Prezydent musi być przeznaczonym do wielkich celów przez Wielkiego Ducha, skoro go trafić nie mogłem.“ Jest to doprawdy historyczny fałsz. Przodek mój odezwał się: „Ten człowiek musi być pijanym i chwiać się, skoro go trafić nie mogę. Środki materyjalne niepozwalają mi szafować więcej nabojami“ i to jest prawdziwą przyczyną, dla której nie strzelił po raz ośmnasty.

Tu maleńka uwaga.

Podania historyczne lubiłem zawsze a mając nos do rozwiazywania najzawilszych kwestyi, przeczuwałem, że każdy czerwonoskóry, strzelając dwukrotnie do którego z żołnierzy przezydenta (w biegu stulecia cyfry się mnożą, nic więc dziwnego że z dwóch robi się często... siedmaście!) a nietrafiwszy go, nabierał przekonania, że żołnierz ów przeznaczony jest przez Wielkiego Ducha do... wielkich celów. Że proroctwo to się sprawdziło i doszło do naszej wiadomości, przypisuję jedynie trafowi... Niespełnionemi bowiem proroctwami które wygłaszali bądź indyjanie, bądź inne nieupoważnione do tego osobniki, można zapełnić biblioteki — proroctwa zaś spełnione, dadzą się bez wysiłku schować w małej kieszeni paltota.

Wracając do historyi mego rodu, dodam — że niektórzy z moich przodków znanymi byli pod przydomkami, jasno określającemi ich działalność — o tych więc rozwodzić się nie widzę potrzeby. Do liczby ich należą: Brinshy Twain, inaczej Guy Fawket; John Wentworth Twain alias Jan szesnastostryczkowy; Wiliam Bougrarth Twain alias Jack Sheppard; Ananias Twain alias kapitan Kydd — wreszcie: George Francis Twain. Tom Popper, Nabuchodonozor i Osioł Balaama.

Wszyscy wymienieni należą do bocznej gałęzi Twainów, która tem się różniła od potomków pnia głównego że członkowie jej byli nadzwyczaj skromni i zamykali się w więzieniach, aby uniknąć rozgłosu, któryby ich nie ominął, gdyby pędzili życie, na wolności jak wszyscy.

Jest rzeczą arcyniewygodną dla autobijografa, wymieniać blizkich swoich przodków lub krewnych. O tych należy się odzywać niewyraźnie a najlepiej wprost od dziada przeskoczyć do siebie, co też i ja czynię.

Pod względem urodzenia osobę moją przewyższył Ryszard III — ja bowiem przyszedłem na świat bezzębnym, lecz za to nieposiadałem garbu, co znowu mnie wyżej od niego stawia. Rodzice moi nie byli ani nazbyt ubodzy, ani nazbyt rzetelni...

Lecz przychodzi mi na myśl, że własna moja historyja, obok świetnych czynów przodków, byłaby niezmiernie skromną a nawet niezasługującą na uwagę. Wolę więc zaczekać aż mi się uda odznaczyć czemś godnem rozgłosu — gdy, naprzykład — pozyskam wysokie a swobodne stanowisko... w powietrzu. Mniemam też, że wieleby skorzystali czytelnicy, gdyby i inni bijografowie, tak samo jak ja, poprzestawali na życiorysach swych przodków —-sami zaś wstrzymywali się z ogłaszaniem historyi swego życia, oczekując szczęśliwego trafu odznaczenia się czemś świetnem...

Cóż wy na to?

Autografy.

* — Żebyś pan widział mój zbiór autografów!—rzekł zapalony miłośnik tego rodzaju starożytności, do drugiego. — Niedawno powiększyłem liczbę moich okazów, nabywszy list własnoręczny Ludwika XII i pismo reformatora Flaciusa. Posiadam również pismo Gryphiusa poety i ojca dramatu niemieckiego, dalej list Marcina Lutra.

— Ba! — przerwał mu słuchający — to wszystko nic! Mój zbiór wart o wiele więcej. Mam list pisany przez Adama z marką pocztową „Raj“.

Autorowie.

* Autor, co jałowcu garścią w rym natłoczy,
Gdy nim mniej baczniej swego bohatera kadzi
Często trybularzem o nos mu zawadzi.

Gorczyczewski Jan—zmarły w 1823, opat sulejowski, członek warszawskiego Towarzystwa przyjaciół nauk, profesor i rektor szkół publicznych. Prace jego, ogłoszone drukiem są: „*List De Lilla o zbytku*“, „*Odpowiedź na wiersz księdza Chrzanowskiego*“ „*Poezyje przekładane i własne*“ i „*Skotopaski Publijuszek Wirgilijusza Marona*“.

* Doszedł autor wielkiej chwały,
Brał on z książek dniem i nocą—
Lecz gdy mu książki zgorzały
Chciał brać z głowy—nie było co.

Anonim.

* Szukanie nakładcy stanowi początek męczeństwa autorskiego. Po wydrwieniu przez księgarzy i pluciu w twarz, następuje salonowe biczowanie, cierniowa korona głupio-przemądrzałych pochwał, literackie ukrzyżowanie między dwoma krytykowanymi łotrami. Nie można by wytrzymać, gdyby nie myśl o wniebowstąpieniu!

* Biednemu Lafontaine'owi postawiono w Chateau-Tierry, jego mieście rodzinnem, kolumnę marmurową, kosztem 40,000 franków. Wesoły ten biedak domagał się za życia kawałka chleba, a po śmierci dają mu za 40,000 franków marmuru! Janowi Jakóbowi Rousseau, i wielu podobnym, którzy za życia zaledwie zdobyli poddasze, dedykują obecnie całe ulice!

* Nonum prematur in annum... Gdy Horacyjusz udzielił autorowi sławnej rady, aby przez dziesięć lat trzymał w biurku dzieło swoje, powinien był jednocześnie udzielić mu recepty, jakim sposobem nie jadać przez lat dziesięć. Gdy Horacyjusz wymyślił tę regułę, siedział może przy stole mecenasa i jadł kuropatwy z truflami, pasztet z bażanta z sosem ze zwierzyny, żebra skowronka z teltowską kapustą, języki pawie, indyjskie gniazdo ptasie i kto wie co jeszcze, a wszystko darmo... Ale my, my biedni, urodzeni zapóźno, żyjemy w innych czasach. Nasi mecenasi mają inne zasady: sądzą, że autorowie dojrzewają najlepiej, jeżeli przez pewien czas leżą na słomie; sądzą oni, że psy stają się całkowicie niezdatne do polowania jeżeli za dobrze są karmione. Niestety, jeżeli karmią kiedy psa, to takiego co najmniej zasługuje na te okruchy, np. mopsa liżącego rękę, albo zgrabnego bolończyka, umiejącego się przytulić do wonnego łona pani domu, albo cierpliwego pudla, co się nauczył zarabiać na chleb i umie aportować, tańczyć i bębnić.

* Kobiety-autorki, pisząc, mają jedno oko zwrócone na papier, a drugie na mężczyznę. Tyczy się to wszystkich kobiet, z wyjątkiem hrabiny Hahn-Hahn, mającej tylko jedno oko. My, autorowie mężcy, mamy równie z góry powzięte sympatyje i piszemy za lub przeciw pewnemu stronnictwu. Kobiety piszą za lub przeciw jednemu mężczyźnie, albo raczej z powodu jednego mężczyzny.

Heine. (p. str. 26).

* Diderot wszedł raz do gabinetu wydawcy swego Koucke'a, gdy tenże kończył swoją toaletę, a że był to człowiek wiekowy, więc z całą uprzejmością chciał mu dopomódz włożyć tużurek. Gdy zaś księgarz zaprotestował przeciwko tej grzeczności, filozof zrobił następującą dowcipną uwagę: „Ach panie! albożto raz autor ubiera wydawcę!“

* — Cóż to twój Micio tak zawzięcie pisze? Przecież teraz wakacyje, a za to, że dostał do drugiej klassy promocyję, mógłby sobie odpocząć... Zbyteczne ślęczenie nad łaciną może mu zaszkodzić.

— Jesteś w błędzie; on wcale nad łaciną nie ślęczy.

— A cóż robi?

— Rznie huncwot pięcio-aktową farsę do ogródka. Przyrzekli mu że jak będzie pieprzna to ją zagrają!

Awantura.

* — Co to za hałas było słychać u pana w kantorze?

— A to ten łotr Józio! Ja mu mówię, że bydlę, a on porwał papiery i cisnął mi na głowę!

— No, a pan co na to?

— Ja nic, wyszedłem i pomyślałem sobie, że papier jest cierpliwy.

* — Mój panie! wyzywam pana, spojrzałeś na mnie tak krzywo!...

— Ależ na miłość bozką panie! — tłumacz się zaczepiony, — przepraszam, ja już od uro dzenia tak patrzę.

— No, to w takim razie wyzywam pańskie go ojca!

Axamit.

* *Nil valet axamitus.*

Panie, chodzisz po rynku w rysiach, w axamicie
Bez sług, radzę z jednego pachołka przyjmijcie
Osieł idzie do młyna, sługa go prowadzi,
Mało ważny axamit, kiedy bez czeladzi.

Wespazyjan Kochowski. (p. str. 49).



5.

Cześnik do Dyndalskiego.

Siadaj waść tu — zmaczaj pióro,
Będziesz pisał po mem słowie.

Dyndalski.

Stawiam tytle niezbyt skoro.

Cześnik.

Właśnie babskiej trzeba ręki...
Życie w zakład, gaszka złowię!
Dobrze będzie.

Dyndalski

(*usiadłszy bokiem do widzów naprzeciwko Cześnika i wkładając okulary*)

Bogu dzięki!

Cześnik.

Teraz trzeba pisać właśnie
Jakby Klara do Wacława.

Dyndalski.

O! o!

Cześnik.

No cóż: o, — o?

Dyndalski (*podnosząc się*).

Jaśnie
Wszak to despekt dla niej...

Cześnik.

Co się waszeć o to pyta
Maczaj pióro — pisz i kwita.

(*Dyndalski siada wyprostowany na brzeżku krzesła. Papkin w ciągu tej sceny pisze, czasem wstaje, przechodzi się w głębi, macza pióro przy stoliku, przy którym Cześnik siedzi, ciągle płacząc wszakże bez przesady*).

Tylko, że to, mocium panie,
Aby udać, trzeba sztuki,
Owe brednie, banialuki,
To miłosne świegotanie — (*myśli*)
Jak tu zacząć mocium panie.

Dyndalski (*podnosząc się*).

Cnym afektem ulubiony...

Cześnik.

O... o... o... o!... Jak od żony!
A tu trzeba pół, ćwierć słowa
Ni tak, ni siak, niby owa

„I chciałabym i boję się"
O! — już wiesz—no! — na tem sztuka...
Lecz nie waści w tem nauka,
Pisz waść (*nuci*) zaraz (*nuci*)
(*dyktując*) Bardzo proszę
(*pokazując palcem na pismo*)
Co to jest?

Dyndalski

(*podnosząc się, jak to za każdym razem czyni, kiedy mówi do cześnika*).
B.

Cześnik.

To?

Dyndalski.

B duże.
A capite, jaśnie panie.

Cześnik (*przez stół patrząc*).

B? — to, kreska — gdzie dwa brzuszki?!

Dyndalski.

Jeden w spodzie, drugi w górze.

Cześnik (*dostając okularów*).

Cóż u czarta? (*bierze papier*)
Tać jest — duże —
(*Tu Papkin nachyla się przez Cześnika, chcąc zmaczać pióro, ten go odtrąca mówiąc co niżej, potem prowadzi oczyma aż na miejsce*).
Czy go!...
(*Papkin odtrącony odchodzi, przystępując z tyłu do stolika, następuje na nogę Dyndalskiemu*).

Dyndalski.

Ta, bo!...

Cześnik (*przypatrując się pismu*).

B, B, duże
Kto pomyśli może zgadnie
No, no — pisz waść — a dokładnie.
(*Dyktuje*). Bardzo proszę... mocium panie...
Mocium panie... me wezwanie...
Mocium panie... wziąść w sposobie...
Mocium panie... wziąść w sposobie...
Jako ufność ku osobie...
Mocium panie, waszmość pana...
Która lubo mało znana,
Która lubo mało znana...
(*pokazując palcem*) Cóż to jest?

Dyndalski (*podnosząc się*).

Żyd Jaśnie Panie,
Lecz w literę go przerobię.

Cześnik.

Jak mi jeszcze kropla skapie
To cię trzepnę tak po łapie
Aż proformę wspomnisz sobie!
Czytaj waść —
(*Dyndalski obciera pot aż po karku*).
No! Jak tam było?

Dyndalski (*czyta*).

Bardzo proszę, mocium panie,
Mocium panie, me wezwanie,
Mocium panie...

Cześnik (*wyrywa papier i drze*).

Niech cię czarci chwycą
Z taką pustą mózgownicą!
„Mocium panie" — cymbał pisze!

Dyndalski.

Jaśnie pana własne słowa.

Cześnik.

Milcz waść — przepisz to de novo!
„Mocium panie" opuść wszędzie.

Dyndalski (*chcąc zbierać kawałki*).

Z tych kawałków trudno będzie...

Cześnik.

Pisz de novo — pisz powiadam —
Mózgu we łbie za trzy grosze!
Siadaj! siadaj — mówię!

Dyndalski.

Siadam.

Cześnik.

I powtarzaj (*dyktuje*). Bardzo proszę,
Moć... (*zatyka sobie usta*).

Dyndalski (*powtarzając napisane*)

Moć...

Cześnik (*zrywając się*).

Co, moć? cóż moć znaczy?
Z tym hebesem nie pomoże
Trzeba zrobić to inaczej,
Nawet lepiej będzie może
Gdy wyprawię doń pacholę
Z ustną prośbą...

„*Zemsta.*"

Fredro Aleksander — ur. 1793 w Suchorowie pod Jarosławiem † 1876 we Lwowie. Przeznakomity komedyjopisarz, „ojcem komedyi polskiej" nazywany. Pozostawił liczny szereg utworów, które dzięki jędrnemu, porywającemu humorowi i dosadnej, a bynajmniej niezłośliwej charakterystyce postaci do dziś są grywane i nie straciły na zajęciu. Pisarz to nie tendencyjny — co mu w swoim czasie poczytał jako grzech Goszczyński — malarz bezpretensyjonalny, nie uganiający się za wyszukanemi efektami. Humor jego szczery, nienaciągnięty, podbijający dobrodusznością, prawdziwie staropolski. Najcelniejszemi jego utworami są: „*Zemsta za mur graniczny*", „*Pan Jowialski*", „*Dożywocie*", „*Śluby panieńskie*", „*Odludki i poeta*", „*Wielki człowiek do małych interesów*", „*Przyjaciele*", „*Pan Geldhab*", „*Damy i Huzary*".

Ba i bardzo.

* Wyrażenie pod względem formy wymagające wielkiej ostrożności w kaligrafii przy pisaniu i uwagi zecerskiej przy drukowaniu, gdyż inaczej wyjść mogą wyrazy *baje bardzo*, mające wprost przeciwne znaczenie. Określenie istoty owego wyrażenia możliwem jest tylko w formie przykładu. I tak: „czy sprawozdawca, którego z naszych *Kuryjerów*, ma racyję, wytykając Gladstonowi błędy w polityce? *Ba i bardzo*"! (Kolega zecer zechce uważnie składać ostatnie wyrażenie).

Baba.

* Wyraz najbardziej przydatny przy grze w „ekiwoki", posiada bowiem kilka znaczeń. Odnośnie do płci pięknej wyobraża to, co poeta niemiecki nazywa: *das ewig Weibliche*. Wyraz ten uosabia cały cykl przymiotów kobiecych, na wspomnienie których mężczyzna tęskni do stanu papy Adama, gdy miał jeszcze w całości żebra. Najcharakterystyczniejszym w cyklu tym przymiotem jest niezrównana łatwość płaczu. Jest to *ultima ratio* rozumowania kobiet. Kobiety szybciej wylewają łzy, aniżeli najlepsza fontanna wodne strugi. Prawodawca rzymski dzieli łzy kobiece na *lacrimae petitoriae* i *contraditoriae*. Pierwsze więcej kosztują, drugie bardziej drażnią. Produkcyjność w tej mierze pewnych kobiet dochodzi do tego, że przeobrażają się zupełnie w amfibije. Drugim przymiotem w tym cyklu jest wielomówność, którą płeć piękna przyrządza jak sałatę, z octem i oliwą. W biblijnym potopie nowsi historycy dopatrują się ręki Ewy: niewiadomo tylko, czy to był potop łez, czy też potop wymowy. W znaczeniu przenośnem babą nazywają pieczywo i przyrząd do zatykania dziury w kominie; są też i baby mężczyzni, ale tylko w znaczeniu pierwotnem. Stacyja drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej Baby nazwę swą otrzymała ztąd, iż mężowie odprowadzający swe połowice do Ciechocinka, od tej stacyi wracają do Warszawy, a wtedy pozostają same... panie.

* Ciężkie to teraz czasy, serce człeka boli
Kiedy ludzie żyć dobrze umieliby, goli!
Źle w Polszcze, zewsząd bieda, minery olkuskie
Zalane, żupy wpadły w kordony rakuskie,
Zboże tanie, cło drogie, ojciec mój znów sknera,
Stary jak kruk, nie daje nic i nie umiera.
Przecie się niezła człeku upiekłaby grzanka
Mógłbym jeszcze rok szumieć i grać rolę panka.
Potem bym się ożenił z jaką ciepłą babą,
Notandum z babą starą, z babą dobrze słabą.
Ale cóż? bab do dyjabła! ładuj niemi bryki,
Są i bogate? cóż ztąd? zdrowe gdyby byki.
Jeszczeby mię trup który mógł przeżyć do licha
Nie jeden szczep zielony w starym pniu usycha.

Zabłocki.

* Pytała baba mnicha uprzykrzona srodze:
Na zbawiennej-li ona, czy zgubionej drodze?
Mnich rzecze: „Rozdziaw gębę"; że zębów nie [miała,
„Nie będziesz — prawi — w piekle, czemżebyś [zgrzytała".

* *O babie, co za pana złego Boga prosiła.*

Pan jeden był bardzo zły na poddane swoje, tak że żadnego nie było, któryby Boga nie prosił, żeby co najrychlej zdechł, oprócz baby, która zań zawsze Pana Boga prosiła Ten tyran dowiedział się tego, posłał po onę babę, pytając zkądby jej to przyszło zań się Panu Bogu modlić, ponieważ wszyscy śmierci mu życzą. Rzecze baba: „Panuchniczku, ja już to czwartego pana pamiętam: pierwszy był zły i prosili Pana Boga aby zdechł i tak się stało. Nastał po tym drugi gorszy i za tego Boga prosili, aby zdechł. Po tym nastał trzeci jeszcze nazbyt gorszy i zań Pana Boga prosili, aby zdechł, abo go zabito, i tak się stało. Ty po tych trzech wstąpiłeś na państwo, daleko jeszcze gorszy niżli tamci trzej byli. A też ja Pana Boga proszę za cię". Onego tyrana, co bojaźń ukrócić nie mogła, baba jedna pohamowała, że tak zły nie był. Nie darmo mówią:

Bies tam nie dowiedzie,
Gdzie baba dojedzie.

Facecyje polskie XVIII wieku.
„Perły humoru".

* *Przepis na wyborne baby.*

Weź cztery garnce egzaltacyi, 2 funty zarozumiałości, funt kokieteryi, funt złośliwości, 3 funty plotkarstwa, 2 funty grymasów, pół funta spazmów oraz 4 łuty czułości i mięszaninę tę długo wygniataj, aby się dobrze połączyła. Gdy już dobrze podrośnie, należy kłaść w formę szyku i elegancyi, a niezawodnie będzie wyborna i prawdziwa baba.

* *Nie miała baba kłopotu...*

Pani Kordula, zamaszysta wdówka, w rok po pogrzebie męża safanduły, dała się złapać na wymowne słówka, na ciche szepty i wzrok nadto czuły — i, jak się często między ludźmi zdarza, z młodziutkim smykiem poszła do ołtarza... i wszystko było z nadzwyczajnym szykiem, na tem weselu... basetli ze smykiem.

Ale niedługo przyszły dni złowieszcze, bo szczęście zwykle zbyt szybko się zetli, więc smyk nie trącał dźwięcznych strun basetli, lecz szukał skrzypców nie ogranych jeszcze.

Nie pomny przysiąg i miodowych słówek, chociaż Kordulkę serce mocno boli, szukał zgrabniejszych i smukłych altówek, albo wieczory przepędzał u violi, a biedna jejmość tęga jak kontrabas, z samotnem sercem uczyniła szabas.

I codzień płacząc chodzi koło płotu, zwierzając smutki rannym mgłom i rosie... jak owa baba, co w braku kłopotu, kupiła sobie na jarmarku prosię!

Babel wieża.

* *Wieża Babel w Psiej Wólce.*

Pan hrabia z masztalerzem mówi po angielsku.

Pani hrabina z metrem śpiewu konwersuje po włosku.

Dzieci do mademoiselle de Chifon, odzywają się po francuzku.

Ogrodnik z kucharzem gawędzą po niemiecku.

Psiarczyk rozmawia z psami w połowie po francuzku, akcentem, który tylko psy zrozumieć mogą.

Jedna tylko służba leśna i folwarczna, posługuje się tak zwanym polskim dyjalektem.

Świąteczny.

Baccalauréat.

* Przy egzaminie, pan Lefébure de Fourey zadaje młodemu kandydatowi na bakałarza jakieś tak elementarne pytanie z fizyki, że młodzieniec z osłupienia zapomina języka w gębie. Pan Lefébure, wziąwszy to zmięszanie się studenta za niepojętność, odwraca się zniecierpliwiony do szwajcara znajdującego się na sali i rzecze mu:

— Proszę cię, przynieś temu panu na śniadanie wiązkę siana.

Młody człowiek, który przez tę krótką chwilę odzyskał już równowagę umysłową, dotknięty tą publiczną zniewagą, wyrządzoną mu całkiem niesłusznie, zwraca się również do szwajcara z następującą dyspozycyją:

— Proszę cię, przynieś dwie wiązki, albowiem spożyjemy śniadanie oba wraz z panem profesorem. *„Encyclopediana“.*

Bach,

* Friedeman Bach, słynny muzyk i organista w Hall, był niepospolicie roztargniony. Pomiędzy uczniami swoimi miał jednego, odznaczającego się niezwykłemi zdolnościami i pilnością. Uczniowi temu oddał pewnego razu Bach list, mówiąc:

— Oto nagroda za twoje trudy. Wystarałem się dla ciebie o miejsce kapelmistrza w Rudolfstadt.

Młodzieniec wzruszony podziękował mistrzowi i po chwili zajrzał do nominacyi.

— Ależ ona wydana przed rokiem — zawołał.

— Rzeczywiście, mój drogi, od roku noszę ją w kieszeni i zawsze zapominam ci ją doręczyć.

Bacon.

* Mikołaj Bacon, ojciec słynnego pisarza Franciszka Bacona, był podkanclerzem królowej Elżbiety.

Pewnego razu królowa złożyła mu wizytę w Herfortshire, majątku jego własnym. Zwiedziwszy wszystko, co było tam godnego uwagi, zapytała:

— Dlaczegoś kazał zrobić tak mały domek?

— Nie moja to wina — odpowiedział Bacon, W. Kr. Mość raczyłaś mnie zrobić za dużym do mojego domu.

Bagatela.

* Świat jej zarzuca, iż jest zbyt płocha,
Że czterech, pięciu, odrazu kocha
Że pieszczotami wszystkich obdziela
— Ech! bagatela.

— Powiada także, iż jako żona,
Nie dość że była nędza wcielona
Dnia żyć nie mogła bez... przyjaciela
— Ech! bagatela.

— Wreszcie, pomimo iż ma dostatki,
Własnej się jednak wyparła matki,
Dla tego tylko że... parantela...
— Ech! bagatela.

— Wiesz nie rozumiem czem cię ta lwica
Tak sobie jedna i tak zachwyca,
Co ją w twych oczach tak... wyaniela?
— Co? bagatela.

Bają...

* „— Pamiętaj młody mój sokole“
Zazwyczaj bają tak dziecięciu,
„Że pierwsze miejsce mają zawsze
Liczby od jeden do dziesięciu!“

I w świat wychodzi chłopię młode,
Gdzie życie oczy nam otwiera,
I w kark go walą aż nauczą.
Że światem rządzą same... zera!
Anonim.

Bajdy żołnierskie.

* Każda warstwa społeczna ma swoich jowialistów, żartownisiów, swoich z powagą łgarzy, mistyfikatorów nawet, i dziwny sobie właściwy, trudny do naśladowania dar w opowiadaniu. Tak im to do twarzy, iż boję się sztucznem podrzeźnianiem skoszlawić tę *in crudo* fantazyją i sfałszować postacie żołnierskie.

Szczególniej starzy bywalcy, tak zwani między sobą „wyjadacze“, lubią, jak to mówią, „pociągnąć na lisa“ świeżych żołnierzy i uchodzić między nimi za mądralów. Bo zawsze i wszędzie człowiek rad być podziwianym. Nowicyjusze słuchają ich z rozdziawioną gębą, i niejeden wyporze ostatnią złotówkę w domu zaszytą, aby uczęstować opowiadacza, i prosi:

— A jesce co, panie starsy, a jesce co?

Oto w obozie zeszło się dwóch młodych wiarusów. Poznasz ich po dyjalekcie, że to jeszcze rekruty i z okolic Częstochowy.

— Z którego ty pułku?

— Z piersego, a ty z którego?

— Ja z sesnastego.

— Z se-snas-tego! (rachując) piersy, drugi, tseci... kaj to ta jest?

— A kaj ty idzies?

— Ot tam przy ognisku jest kupa wiarusów, tam pewnikiem starzy opowiadają sobie wselakie wselakości, jakie wędrując po świecie widzieli. To powiadam tobie człekby słuchał i słuchał tych ciekawościów. Jeno chodź ze mną obacys!

Jakoż trafili, kiedy dobrze podszarzany Troczek, pleczysty i dorodny grenadyjer, ozdobiony kresą przez nos i prawy policzek, opowiadał swoje przygody z niewoli angielskiej.

— Otóż, powiadam wam, że ja w Yorku widział taki wielki kocioł do porteru, że dwanaście rybaków po nim czółnami pływało i szumowało.

— Nie gadaj! (W mowie ludowej rozumie się: czy to prawda? czy nie kłamiesz?

— Toć mówię, żem na swoje oczy widział. Co wy sobie myślicie? Toć oni na cały świat robią porter a gdzieby nastarczyli w takich jak nasze? Albo to dziwota; na szerokim świecie bywają różne różności! A coby wy na to powiedzieli, że jakiś tam wędrowiec po morzu, na desce dopłynął do jakiejś tam wyspy, bo się okręt rozbił, i tam zastał tak małych człowieczczków, co ich cały pluton w kieszeń zapakował; a na drugi raz nadybał takich wielkoludów, że sam u jednego na paznogciu jak chrabąszczyk siedział. A to wszystko jest prawda, bo stoi w drukowanej książce, jak nam bywało czytał w koszarach kadet drążkowy, co teraz jeno się z oficerami zadaje.

— A prawda, z oficerami. Łepskie to człeczysko. Jeno patrzeć jak zostanie oficerem. On i tak niejednego porucznika w kozi róg by zapędził; tęgo w głowie!

— Tylko mu w plecach poprawić, bo maszeruje jak stara krowa. Toć mu tyle razy pokazywałem, jak to trza wyciągać się na biodrach, jak wydać piersi naprzód galante. (Tu stary Troczek powstał i pokazał co umie, a młodzi podziwiali jego żołnierską postawę).

— Toć i ja nie małe dziwy widział — ozwał się Rataj, sążnisty grenadyjer, któremu także pod Borysowem kula karabinowa dała w twarz wojenny pocałunek. — Kazali nam wojować persanów, kirgizów, czerkiesów, i inne narody, to tam taka zrodziła kapusta, że bywało jak deszcz, to cały pluton robi musztrę pod jednym liściem tej kapusty.

— Oh! Matko Boska Częstochowska, w cemże oni tę kapustę gotują?

— A jużci w tym kotle, co go Troczek w Anglii widział...

Naśmiali się starzy z odparowanego konceptu, a młodzi i jednemu i drugiemu dobrodusznie wierzyli. Zabrał potem głos kanonier:

— Już to wszyscy kamraci wiecie, że pies jakoś żołnierza się czepia. Otóż, jak my byli w oblężeniu Gdańska, przyczepił się do naszej kompanii, nie wiedzieć zkąd i czyj pies. Byle na żart pałką uderzyć w bęben: ehe! już on jest! Czy do apelu, czy na musztrę, czy do marszu, nasz pies przy doboszach i przed nimi maszeruje; poczciwe psisko! My, bywało, idziemy strzelać do poligonu, i pies z nami, zawsze przy doboszu i patrzy na działa. Jak które wypali, on goni za świstem kuli lub granatu, aż gdzie rekoszują, i drze w tem miejscu pazurami. Nasz kapitan płacił za niego w magazynie racyje żołnierskiej żywności i furyjer regularnie dla niego fasował chleb, mięso i kaszę. W oblężeniu działa dla wszelakiej gotowości były ponabijane. Nikt nie dał zważania, że pies, co zawsze był z nami, wlazł w sześćdziesięcio-funtowy moździerz, zwinął się w kółko i układł na bombie. Aż tu w ściśniętych kolumnach postępują prusy. „Pal! pal“ komenderuje porucznik; przykładam lont do panewki, buchnął moździerz, a ja, w te pędy, wskakuję na parapet, patrzeć gdzie bomba padnie. Aż tu widzę jak nasz pies leci naprzód, a bomba za nim. Co bomba dogania go, to pies odwróci głowę, warknie *wrrrr!* bomba się zatrzyma i znowu dalej. Potem pies i bomba wpadli w kolumnę nieprzyjacielską. Tyle my go już widzieli...

— Brawo, Płachecki! — zawoła porucznik. Bomby i psy posyłasz na nieprzyjaciela; to warto krzyża. — A ja: pal go sześć nieprzyjaciela, a psa co szkoda, to szkoda!

— Ja tam, chociaż po świecie tak daleko nie wędrował, jak wy, stare wiarusy — ozwał się chwacki i filuterny woltyżer — a taki opowiem wam ucieszne moje wydarzenie. Ongi my maszerowali z Zamościa do Warszawy. Sztab stanął w Lewartowie, kompanije rozkwaterowano po wsiach. Nasza woltyżerska pomaszerowała na trakt do Czemiernik, do jakiejś wioski w lesie. Kiedy my do niej dochodzili, wlatuje kogut na płot, załopotał skrzydłami, i wyraźnie, jak oto wam mówię, zawołał: *żoł-nie-rze-ja-dą-ą-ą!* A jendyk na to: *po-co te gałgany! po-co te gałgany!* A to bestyja uczcił nas, myślę sobie. A tu znowu kaczka drepce a woła: *Agata sprzątajta! Agata sprzątajta!* Kokoszka zaś sobie jak niezamolestuje: *bidaż mnie, bida, bida, bida! bidaż mnie, bida, bida, bida!* Nie bój się, moja kwoczko, łba ci nie urwę, kiedy jest jaj z parę mędli na jajecznicę. Dalej słyszę odzywa się ciele na postronku za piecem: *naj-go-rzej mnie! naj-go-rzej mnie!*

Śmieli się drudzy z takiego udawania głosów, czego pismem wydać niepodobna.

— Bogiem a prawdą — przyświadczył jeden, trafiało się chlasnąć po tybinkach kaczkę, gęś, kurę, jak się nic nie dostawało w chałupie.

— Na wsi to pół biedy, odezwał się drugi, czem mogą i jak mogą nakarmią wojaka. Zawsze tam nieboszczyk prosiak się znajdzie, to człek nie źle sobie podżyruje. Ano, gorzej w miasteczkach z tymi łykami. Nastraszyć którego, zaraz bestyja leci do burmistrza, ot i skarga na piśmie. Tu trzeba inaczej sobie radzić, trzeba z nimi mędrować. Raz dali mi kwaterę u żyda. Ja wołam jeść! a on: „jak wason mi przyniesie z magazynu, to kobieta zgotuje“. To tak! poczekajno ty łapserdaku! Zagram ja ci inaczej! „Gdzie będę spał?“ Żyd pokazuje mi kąt. Ja do kredy, odznaczam kresę od ściany do ściany na podłodze i zapowiadam żydowi, że to moja kwatera, żeby się nikt nie ważył mi jej nachodzić i spaniu przeszkadzać, bo będę bił! A tu po izbie chodzą kury, kręcą się żydziaki. Strach na żyda; zmiękł. Kiedy ja roztasowywam się w mojej kwaterze i zawieszam moje manatki, on przychodzi z wódką i traktuje. Znalazły się potem i jaja, i sér, i piwo i łokszyny — i zgoda!

— Dobrześ sobie kamracie z tym barabaszem począł!

Potem, to ten, to ów, chwalił się ze swojemi sposobami do wyłudzenia czego w niegościnnej kwaterze. Jak się już o tem do syta nagadali, powstało dwóch figlarzy i zawiązali między sobą dyjalog, podrzeźniający starego wieśniaka, wielkiego tabaczarza, który wychodził umyślnie na dziedziniec, zaczepiał przejezdnych i zawiązywał pogadankę, aby się nazażywać cudzej tabaki.

— A zkądzeście wy!

— A z Dziewy (nazwisko wsi).

— Bodajeście wy! (to się ma rozumieć: nie poznałem).

— I gdzie jedzieta?

— Do Warsawy.

— Bozez mój łaskawy! I cóz wiezieta?

— Racki (raki).

— Dajtaz tabacki! Tośta z Dziewy?

— Z Dziewy.

— Bodajeście wy! I idzieta do Warsawy?

— Do Warsawy.

— Bozez mój łaskawy!

— I wiezieta racki?

— Racki.

— No dajtaz jesce raz tabacki! Jakaz tez to ta tabacka?

— Lewandowa! (kichnął silnie).

— Niecemu taka zdrowa! Tośta z Dziewy?

I od początku dyjalog rozpoczyna się, a dochodząc na „racki“, żąda „tabacki“, potem dodaje:

— Co tez ta tabacka kostuje?

— Ceski (sześć groszy).

— Ojcez mój niebieski! (znaczy: jak to tanio).

I znowu powtórzenie. Żeby zaś gadkę przedłużyć i jeszcze tabaki zażyć, pyta:

— Gdziezeście tę tabackę fajn kupili?

— U Jacka.

— Ślicna tabacka! Tośta z Dziewy i t. d. Gdzie tez tam mieszkata?

— Na rogu.

— Chwała Panu Bogu! Teraz jedźta sobie, bo już tylko krztę tabaki mata!

J. Paszkowski.

Bajki.

* Utwór literacki przeznaczony dla małych i wielkich dzieci. Najlepsze bajki bywają na tle politycznem, a najzdolniejszymi ich twórcami są korespondenci angielscy. Bajki opowiadane o nas w prasie cudzoziemskiej, tem się różnią od zwykłych bajek że gdy ostatnie zawierać muszą sens moralny, pierwsze posiadają zwykle sens niemoralny.

* Był młody, który życie wstrzemęźliwie pędził;
Był stary, który nigdy nie łajał, nie zrzędził;
Był bogacz, który zbiorów potrzebnym udzielał;
Był autor, co się z cudzej sławy rozweselał;
Był celnik, który nie kradł; szewc, który nie [pijał;
Żołnierz, który nie chwalił; łotr, co nie rozbijał;
Był minister rzetelny, o sobie nie myślał;
Był nakoniec poeta, co nigdy nie zmyślał.
A cóżto jest za bajka? Wszystko to być może,
Prawda; jednakże ja to między bajki włożę.

Krasicki. (p. str. 5).

* Papuga swoją córkę raz uczyła gadać
Głupie piskle nie mogło zaraz odpowiadać,
Więc stara ją wciąż dziobem zakrzywionym tłu- [cze
I woła: głupie bydlę! kiedyż cię nauczę?
Widząc to stara wrona rzecze: ej wasani!
Taką głupią metodę i sam dudek zgani...
Daj pokój!... A papuga: — nie rób awantury
Słyszysz jak moja pani uczy swoje córy?
Kiedy więc ludzkie dziecko jak papuga paple,
Niechże mówią po ludzku papugi i czaple!

* Twierdzą że iskra po żelaznym drucie
Przebiega krocie mil w jednej minucie;
Bajka! do papy mego przed kwartałem
O nędzną setkę telegrafowałem,
I patrz! jak gnuśnie iskra prośbę wodzi:
— Odpowiedź ciągle jeszcze nie przychodzi!

Roman Teodorowicz.

* Pytał Bartek Wojciecha, na co rozum zda się.
Ten milczał, a gdy Bartek wciąż mu naprzy- [krza się
Rzekł Wojciech na to: „Gapiu według zdania mego
Żeby własną swą winę, zwalić na innego“.

* Bank pewien w ustawicznej pozostawał [trwodze,
Kasyjer z swym pomocnikiem kłócili się srodze.
I o to rozjątrzenie lat dwadzieścia trwało
Że pierwszy kradł za dużo, a drugi za mało.

* Nie żałując sił własnych, ani czasu straty
Dwaj autorzy swe nowe czytali dramaty,
Lecz za nim do połowy aktu dopłynęli,
Słuchacze dali nura, sędziowie zasnęli.

Adam Kieł.

* Rzecz zwykła iż w niegodnych tworach duma [gości,
Przedzierał się wieprz z osłem co do swej war- [tości.
Ryczał osieł: „Jam iście istota najlepsza“,
Kwiczał tamten: „Świat cały nie wart szynki [wieprza!“
Położył długiej waśni człowiek koniec wreszcie:
— „Nie kłóćcie się — rzekł — obaj... bydlęta [jesteście.“

Rossowski. (p. str. 53).

* Kucharz pytał kurczątek, czy chcą być [smażone,
Czy w sosie gotowane, czy w ogniu pieczone?
Wiedźcie o tem, że los wasz mocno mnie ob- [chodzi,
Rozporządzać się wami bez was nie uchodzi.
Żyć chcemy! Jednogłośnie kurczęta zapiały...
Ja was o to nie pytam! Źleście zrozumiały.
Więc mówcie co wolicie, znowu upominał...
Niesłuchacie! Szast, gardła wszystkie popod- rzynał.

* — Gdzie ruszysz, wszędzie bajki, baje dziś [świat cały,
Mówił mi pan Jacenty, puszczając dym z fajki.
Racyja panie — odrzekłem — bajką ideały,
Bo dziś prawdziwy człowiek, jest człowiekiem [z bajki.

Duduś. (p. str 30).

Bak (także bakar).

* Gra najszlachetniejsza w świecie, uczy bowiem pogardy dla marnego kruszcu. Nieszczęśliwi gracze muszą później świecić baki możnym tego świata, lub gdy umieją czytać, zostać bakałarzami.

Bal u hrabstwa.

* W oczach człowieka przyzwyczajonego do wydawania bezwzględnych sądów o rzeczach i ludziach, godność auskultanta sądowego nie jest prawie żadną godnością. Nie przeczę i ja bynajmniej, że pierwszy ten szczebel w hierarchii sądowej nie jest zbyt wysokim, a że nie jest intratnym, tego najlepiej dowodzi fakt, iż będąc obecnie już od ośmiu lat adjunktem i żyjąc nader oszczędnie, jeszcze zawsze mam do spłacania długi pochodzące z auskultanckich moich czasów. Bądź co bądź wszakże znam ja nie mało takich, którym pozycyja auskultanta wydaje się godną zazdrości, wspomnę tu tylko o praktykantach pocztowych i telegraficznych, jako też o młodzieńcach, moralnie dosługujących się rangi respicyjenta w. c. k. straży skarbowej. O dijurnistach zaś i innych literatach nie wspominam wcale, jako o ludziach, nie mających przed sobą żadnego awansu. Przyjaciel mój np. Fijołkiewicz, którego recenzyje dramatyczne wywołują powszechnie tak spazmatyczną wesołość, będzie za trzydzieści lat akuratnie tem samem, czem jest dzisiaj t. j. skończonym osłem, podczas gdy askultant w tym samym przeciągu czasu może zostać radcą, albo prokuratorem państwa, w którym to drugim zwłaszcza wypadku nikt nie ośmieli się wydać o jego zdolnościach tak apodyktycznego sądu, jak ja o zdolnościach Fijołkiewicza. Nie o tę wszakże, każdemu zresztą w oczy wpadającą różnicę między stanowiskiem Fijołkiewicza a prokuratora chodzi mi tutaj, ale o to, że auskultant, jeżeli się zastanowimy bezstronnie nad jego znaczeniem, w tym swoim urzędowym charakterze niezasługuje bynajmniej na lekceważenie. Ma on przed sobę karyjerę nie szybką wprawdzie, ale pewną i szanowaną. Jako człowiek zaś zasługuje on mojem zdaniem na szacunek już z tego jednego powodu, iż skończywszy naukę prawa, nie wszedł w służbę skarbową ani polityczną. Widocznie bowiem, nie liczył na nadzwyczajną protekcyję, albo też na jakie stosunki familijne; nie rozpoczął karyjery w nadziei zostania gubernatorem lub ministrem. Niechciał, ażeby skromna jego płaca figurowała w budżecie między rozchodami, które zaliczyć wypada do „kosztów produkcyi“ organizmu państwowego — bo czemże innem jest wymierzanie i ściąganie podatków? — ale wybrał sobie zawód, którego obowiązki sumiennie pełnione są jednem z zadań i jednym z celów dla których istnieje wszelka organizacyja państwowa i społeczna.

Dlatego też, wyznaję, że byłem dumny z mojej pozycyi, jako auskultant, a kolega mój Łąkiewicz, który wraz ze mną, otrzymał dekret, i z którym od pierwszego roku nauk prawniczych mieszkaliśmy w jednym pokoju, był dumnym także. Powiem nawet więcej: oto pielęgnowaliśmy w sobie tę dumę i utwierdzaliśmy się w niej nawzajem, a to tembardziej, im mocniej ją obrażał trzeci nasz kolega, Tyndakowski. I on, uczęszczając na prawo, mieszkał razem z nami, i on podzielał z nami wszystkie owe małe i wielkie kłopoty i niedogodności, wynikające z braku równowagi w budżecie studenckim. Ale zaledwie skończył studyja, kazał sobie wydrukować bilety jako: *Le chevalier Ladislas de Slepowron Tyndakowski*, i najął osobne pomieszkanie, złożone z pokoju i przedpokoju, gdzie usługiwał mu „dochodzący“ lokaj, podczas gdy my kontentowaliśmy się dawną, skromną izdebką i usługą stróżychy; biletów

też tak szumnych nie drukowaliśmy, najpierw z oszczędności, a powtóre dla tego, że Łąkiewicze nigdy nie byli szlachtą, moja zaś familija jest tak dawnej daty, że dokumenta nasze szlacheckie zginęły jeszcze w czasie wędrówki narodów, i trudnoby nam było wylegitymować się w obec dzisiejszych formalności biurokratycznych. Pod względem majątkowym staliśmy wszyscy trzej na równi, t. j. ja i Łąkiewicz nie mieliśmy nic, a Tyndakowski miał tylko stryja, który miał wieś, a na tej wsi dług bankowy i pięcioro własnych dzieci — jako też ciotkę. Ciotka ta była wdową w podeszłym wieku, i należała do tego — gasnącego już niestety rodzaju — ciotek bezdzietnych, które nie siedzą na dożywociu, ale na funduszach znacznych i zawisłych wyłącznie od ich dyspozycyi. Otoż gdy Władysław ukończył szkoły, ciotka ta znalazła się przypadkiem we Lwowie i zapytała siostrzeńca, co teraz robić zamierza?

— Jużci, że wstąpię do służby politycznej — odparł młodzieniec, prostując się — a muszę tu nadmienić, że mierzył całe dwa metry wzrostu i metr szerokości w barkach. — Mam piękne nazwisko, dodał, a dla takich teraz karyjera, otwarta. Chciałbym wiedzieć, dlaczegoby Tyndakowski nie dokazał tego, co Gołuchowski?

Potrzeba wiedzieć, że ciocia należała do tej znacznej dość liczby ludzi, którzy tem bardziej nienawidzili ś. p. namiestnika hr. Gołuchowskiego, im mniej do tego mieli powodu. Znałem takich, których namiestnik swojego czasu prześladował, zamykał, i t. p. i którzy mu to przebaczyli — ale z tych którym nigdy nic złego nie zrobił, nikt mu nie przebaczył! Dosyć, że zaiskrzyły się oczy szanownej cioci na wzmiankę, że dynastyja Tyndakowskich może kiedyś nastąpić po Gołuchowskich w prezydyjum namiestnictwa, i spojrzała na Władysława okiem pełnej macierzyńskiej miłości... Wszak i ona była Tyndakowską herbu Ślepowron! Dodajmy do tego, że Władysław popieścił czule ulubionego jej Azorka, i że odchodząc, ukłonił się bardzo, bardzo czule pani Miauczyńskiej, odwiecznej klucznicy ciocinej, a pojmiemy że wpadł w jak największą łaskę. Ciocia po jego odejściu zrobiła uwagę, że „Władzio“ jest bardzo przystojnym chłopcem, a Miauczyńska odpowiedziała na to, że „oko w oko“ podobnym jest do ciotki. Nastąpiło jeszcze parę wizyt, jeszcze parę grzeczności, wyświadczonych pani Miauczyńskiej, a ciocia uchwaliła, „że chłopak, kiedy teraz ma zająć samoistne stanowisko w świecie, potrzebuje się przecież urządzić i oporządzić.“ W skutek tej uchwały, miał Władzio dostać tysiąc złr. Ale zdarzyło się, że ciocia kazała mu przyjść na herbatę pewnego wieczora, kiedy, go oczekiwano właśnie w innem, także kobiecem, lecz nierównie młodszem towarzystwie. C. k. praktykant konceptowy złożył się tedy, jak scyzoryk i przeprosił ciocię mówiąc, że zrobił sobie votum, pójść jutro koniecznie do spowiedzi u oo. jezuitów, i że radby przeto wieczór dzisiejszy przepędzić na samotnem rozmyślaniu, — chybaby ciocia kazała mu przyjść koniecznie. Ciocia pocałowała go w czoło ze łzami w oczach i niekazała mu przychodzić aż jutro po spowiedzi na kawę. Przyszedł oczywiście i miał oczy czerwone, bo był nie wyspany...

Ma się rozumieć, że na zapytanie cioci, złożył ten fenomen fizyjologiczny na karb niesłychanego wzruszenia, jakiem go zawsze przejmuje wzniosły akt religijny. Dosyć, że zamiast tysiąca złr., piękny i pobożny Władzio otrzymał przy odjeździe cioci dwa tysiące gotówką i natychmiast jak już wyżej powiedziałem, wyprowadził się od nas, i najął sobie osobne pomieszkanie.

Odtąd widywaliśmy się bardzo rzadko, a ile razy widywaliśmy się, p. Tyndakowski zawracał nam głowy swojemi arystokratycznemi koneksyjami. Nakoniec ciocia przez koneksyje swoje wyrobiła mu zaproszenie na recepcyje u namiestnika. Notabene niepamiętną jest rzeczą, ażeby jaki auskultant proszony był na taką recepcyję, chyba może pewien hrabia, który wszakże wkrótce porzucił sądownictwo. Praktykantom konceptowym zdarza się to tylko wten-

czas, gdy z urodzenia należą do arystokracyi. Słusznie więc może p. Władysław Tyndakowski wyobraził sobie, że wskutek zaproszenia, został, co najmniej, baronem i że jego Ślepowron wszedł w kuzynostwo z Kawką, która figuruje na pałacu namiestnikowskim. Rzecz naturalna, że przestał się z nami witać i poznawać nas na ulicy.

. . . .

Ale przyszła koza do woza. I ja miałem moje arystokratyczne koneksyje. Od trzech lat, uczyłem historyi powszechnej, polskiej jako też literatury w domu hrabstwa N. Elewką moją była hrabianka Maryja, istny cud piękności. Lekcyje skończyły się, skoro panienkę wprowadzono w świat, i byłoby też to barbarzyństwem męczyć nauką tak prześliczną główkę i bez tego już wewnątrz wcale dobrze umeblowaną. Całe miasto szalało za nią, a ponieważ i posag miała piękny, więc na wieść o nowem cudownem zjawisku, zaczęli do Lwowa jak do Częstochowy zjeżdżać się panicze z odległego Krakowa, z odległej Warszawy, z najdalszych krańców wołyńskich!

Dodać tu muszę, że ani hrabia N. ani hrabina, ani hrabianka ani nikt w ich domu nie miał w sobie nic z tego wszystkiego co — według przyjętego ogólnie, a nie ze wszystkiem słusznego mniemania cechować ma „hrabiów galicyjskich". Dzięki może tej okoliczności, gdy przestałem być nauczycielem domowym, nie przestałem być znajomym, a nawet mógłbym powiedzieć przyjacielem domu. Niekorzystałem wprawdzie z nieograniczonego zaproszenia, często bardzo uprzejmie i usilnie powtarzanego, ażebym przychodził na herbatę, ile razy mi się podoba, ale korzystałem bardzo chętnie z powtarzających się często specyjalnych zaprosin, a jeżeli mi się kiedy zdarzyło spotkać panie w ogrodzie lub na Wałach i mieć z niemi krótką rozmowę, jeśli mnie kto znajomy widział przy takiej sposobności, to bywałem prawie tak nadętym przez trzy dni następne, jak Tyndakowski po onej recepcyi.

Był więc karnawał, a w karnawale bal prawników, na który wszystko się zbiegło, skoro gruchnęła wiadomość że hrabina N. pełnić będzie obowiązki gospodyni, a więc oczywiście przybędzie z córką.

Byłem i ja i tańczyłem polkę i walca z panną Maryją i niepotrzebuję tu wcale nadmieniać, ilu auskultantów, praktykantów konceptowych i podporuczników od rezerwy pękało z zazdrości na ten widok. Nagle, przy bufecie, ktoś klepie mię bardzo przyjaźnie po ramieniu i woła: jak się masz, Guciu?

Obracam się, i poznaję p. Tyndakowskiego, w całej jego sześciostopowej dylągowatości, z szkiełkiem w oku i trzema morgami tłustej fizyjognomii, okolonej żywopłotem z czarnych faworytów, jak gdyby z obawy, aby się do niej z czaszki co mądrego nie dostało. Niewiem, czy obawa już z gruntu samego była płonną, czyli też żywopłot pełnił swoją funkcyję tak doskonale — dosyć, że niewidziałem nigdy fizyjognomii mniej rozumnej.

Rozmawialiśmy z sobą jakiś czas tak serdecznie, jak gdyby między nami nigdy niebyło nastąpiło najmniejsze oziębienie stosunków. Naraz, p. Władysław zaproponował mi, ażebym go przedstawił hrabiance Maryi — którą wprawdzie widział na recepcyi, ale której nie miał czasu prezentować się tam, bo hulał na zabój z hrabiną X. i z księżniczką Y. Przyznam się, że nie wiedziałem, czy mi wypada uczynić zadość tej prośbie — obiecałem więc tylko Tyndakowskiemu, że nie omieszkam go zaprezentować skoro się znajdzie stosowna sposobność, i wymknąłem się, ażeby się zwierzyć pani hrabinie z mego kłopotu. Rzecz naturalna, że gdyby hrabianka Maryja była tylko jaką zwykłą panną, nie byłbym miał żadnych kłopotów — ale cóż robić, respekt przed arystokracyją jest wrodzoną cnotą każdego demokraty. Hrabina nabrała mnie z góry, i zapytała mię, jak śmiem przypuszczać, że ktoś przezemnie przedstawiony, nie będzie już z tego samego powodu mile widzianym i t. d. i t. d. Urosłem tedy ogromnie

w opinii własnej, i przedstawiłem paniom nie tylko Ślepowrona Tyndakowskiego, ale nadto i Łąkiewicza. Jeden tańczył walca z hrabianką, a drugi polkę, i obydwaj byli niezmiernie szczęśliwi.

Tyndakowski zrobił oczywiście w parę dni po balu wizytę *en forme* w domu państwa N., a później dowiedziawszy się, że mają dawać bal u siebie, molestował mię ogromnie, ażebym mu wyrobił zaproszenie. Byłbym może dokazał tej sztuki, ale niewiedziałem, jak się brać do rzeczy, i nie miałem ochoty narzucać się w ten sposób domowi, który i tak już wyszedł po za granice konwencyi lwowskiej, tolerując jednego auskultanta na swoich zabawach! W istocie, gdybym się nie był zatrzymał na tej pochyłości, byłbym w końcu musiał zapełnić dom państwa N. całym batalijonem moich kolegów — bardzo wprawdzie miłych młodych ludzi, ale niestety zbyt gromadnie występujących w każdem mieście, które jest siedzibą wyższych władz sądowych. Odmówiłem więc Tyndakowskiemu, i nagle — przestał się znów witać ze mną i z Łąkiewiczem, przestał nas poznawać.

Z początku, oddawaliśmy mu piękne za nadobne, i śmialiśmy się z jego fanaberyi, w krótce atoli zaszły dwie okoliczności, wskutek których — jak powiada Heine — „u kamizelki cierpliwości naszej pękł ostatni guzik...“

Tyndakowski wyjechał był na parę dni za urlopem do Wiednia. Co tam zresztą porabiał, tego nie wiem, to tylko wiem, że... starał się o order! Zapewne podobać mu się to musiało na recepcyi, że niektórzy starsi panowie mieli łańcuszki z wiszącemi u nich minijaturowemi „Koronami żelaznemi“, „Leopoldami“ i t. p. Ponieważ znaki te, cokolwiek o nich kto mówić może, nie bywają przecież nigdy dawane pierwszemu lepszemu, więc Tyndakowski upatrzył sobie jakiegoś obskurnego potentata, gdzieś na szarym końcu Europy czy Ameryki, który za pewną opłatą nadaje ordery każdemu, co się jako tako wylegitymuje szlachectwem... Udał się do ajenta, zapłacił, poczynił resztę potrzebnych kroków i w parę tygodni po jego powrocie wyczytaliśmy w gazecie urzędowej, że „Ladislaus Ritter von Ślepowron Tyndakowski“ otrzymał upoważnienie zdobienia się kawalerskim krzyżem orderu „Św. Porcyjunkuli i Akkomodaty“. Skąd inąd dowiedzieliśmy się, że ciocia jego wraz z wycinkiem gazety, otrzymała od pięknego i pobożnego siostrzeńca swojego list, w którym stało, że wyekspensował się mocno, bo c. k. namiestnik wysyłał go do Wiednia w specyjalnej misyi, a mianowicie na żądanie bawiącego w Wiedniu króla Nicaraguy i Panamy, objaśniał jego ministrowi przedziwnie misterną organizacyę t. zw. „urzędów pomocniczych“ w Austryi — co uskuteczniwszy ku ogromnemu zadowoleniu obcego monarchy, otrzymał najwyższy order panamski i t. d. Ciocia tym razem nietylko sięgnęła zaraz do szkatuły, ale nadto sporządziła natychmiast testament, w którym siostrzeńca swego Władysława, kawalera św. Porcyjunkuli i Akkomodaty, mianowała uniwersalnym i jedynym swoim spadkobiercą, z pominięciem wszystkich innych krewnych!

Było się z czego śmiać i było się czego gniewać, ale w gruncie rzeczy nic nas to nie obchodziło.

Tymczasem nadszedł Wielki Tydzień — ów tydzień, w którym każdy z nas około południa, czuje niewymowny pociąg do odwiedzenia jakiego sklepu korzennego. Zdarzyło się tedy że ja i Łąkiewicz zaszliśmy raz do takiego sklepu i skromnie, w kąciku posilaliśmy się śledziem i buteleczką porteru. Wtem drzwi pokoju otwarły się z wielkim trzaskiem i kupiec kłaniając się grzecznie wprowadził towarzystwo — ach, święci opiekunowie zasad demokratycznych, módlcie się za mną!... towarzystwo złożone z jednego młodego prawie-hrabiego, z jednego młodego po-wujence hrabiego, z dwóch młodych prawie-pół-podhrabiów i z naszego p. Władysława!

Każdy z przybyłych spojrzał pogardliwie w stronę, w której my siedzieliśmy, pełni pokory i każdy niechętnie ruszył ramionami; poczem wszyscy równie niechętnie spojrzeli po sobie.

Słyszeliśmy, jak kupiec szeptał nowoprzybyłym wskazując nas nieznacznie, że „ci panowie zaraz pójdą.“ Słyszeliśmy, jak Tyndakowski wyrzucał mu głośno, dlaczego nie zaprowadzi „*des cabinets séparés*“, jak zagranicą, ażeby człowiek, mógł przyjść na śniadanie w przyzwoitem towarzystwie. Tu znowu dostało się nam parę pogardliwych spojrzeń, poczem ziewając i wyciągając się po krzesłach, jaśnie wielmożni nowo przybyli poczęli zamawiać rozmaite wiktuały i wina, wcale kosztowne, ale których szczegółową enumeracyję opuszczam, bo ją czytelnik znajdzie w każdym cenniku kupieckim. Widziałem jak się Łąkiewicz czerwienił podczas całej tej sceny, jak gotów był odezwać się z czemś niepotrzebnem, ale udało mi się wstrzymać go giestem i wzrokiem. Dopiero gdy się jaśni państwo rozgościli, tylko już od czasu do czasu spoglądali z wysoka, czyśmy sobie nie poszli, przystąpiłem do prologu zemsty, która wrzała w mojem łonie. Zadzwoniłem i zamówiłem jeszcze pół butelki porteru, dając tem samem do zrozumienia, że nie myślimy ,,pójść zaraz“... Kupiec nie mógł powiedzieć że nie ma porteru ale próbował podobno zniecierpliwić i zniewolić nas tym sposobem do uwolnienia od naszej obecności tych panów, którzy dawali więcej utargować a pragnęli być sami. Złość nasza była wszakże większą, czekaliśmy cierpliwie blizko pół godziny, a po jej upływie zadzwoniliśmy znowu i zapytaliśmy, czy może w ogóle brakło już porteru w handlu? To skutkowało, porter pojawił się nakoniec, i dogustowaliśmy go powoli i z wielkiem namaszczeniem, chociaż był szkaradny. Przez cały ten czas, przy stole lordów toczyła się rozmowa — zresztą bardzo nie ciekawa — ale przeplatana mniej lub więcej wyraźnemi i zręcznemi alluzyjami do niehrabskiej kondycyi mojej i Łąkiewicza. Spamiętałem dotychczas tylko dwa szczegóły. Najpierw, po-wujence hrabia zrobił spostrzeżenie, iż ponieważ Wielkanoc tego roku przypada tak wcześnie i zapusty były nader krótkie, więc w „towarzystwie“ odbędzie się jeszcze parę zabaw zaraz po świętach. Na to zauważył prawie-hrabia, że między innemi hrabstwo N. mają zamiar dać bal *en forme*, w ciągu przewodniego tygodnia, że już nawet otrzymał zaproszenie i że go sobie panna Maryja zamówiła do pierwszego kadryla. Wiedziałem że to nieprawda, ale Tyndakowski nie wiedział, owszem, odparł z najzimniejszą krwią, że jest także zaproszonym, ale nie wie czy będzie bo jedzie właśnie dziś wieczór na święta do ciotki i wróci dopiero we wtorek rano. To wiedziałem, było prawdą. W jednej chwili, szatańska myśl przyszła mi do głowy... Dopiłem do dna moją szklankę, dałem znak Łąkiewiczowi, i wyszliśmy.

— Słuchaj, Jakóbie — rzekłem mu — w tej chwili hrabina N. z córką jest zapewne na przechadzce. Musimy koniecznie uwinąć się tak, ażebyśmy ją spotkali. Pamiętaj gdyby nas pytała o Tyndakowskiego, ażebyś potwierdził to co ja powiem.

Zła gwiazda pana Władysława zaprowadziła nas w dwie minuty później przed oblicze pani hrabiny i panny Maryi.

— Dzień dobry panu — odpowiedziała hrabina na mój uniżony ukłon — dlaczego pana znowu nie widać? Czy nie ożeniłeś się pan w sekrecie przed nami, ubiegłych zapust?

— Ach, pani hrabino gdzie tam nam biednym auskultantom do żeniaczki! — Tu zwracając się w stronę Jakóba, dodałem: — Ośmielę się przypomnieć mój kolega...

— A, przypominam sobie! Pan!... Tyndakowski, nieprawdaż? Miałyśmy przyjemność, na balu prawników...

— Ależ nie, mamo — odezwała się żywo panna Maryja — to jest pan Łąkiewicz. Pan Tyndakowski c'est l'autre, qui est si grand si gros, et si...

— Marie! — zawołała hrabina i spojrzała na córkę, ale pomimo tego macierzyńskiego napomnienia, po własnej jej twarzy, równie jak po twarzy córki, przeleciał jeden z tych złośliwych uśmiechów, bez których i aniołowie ponoś obejść się nie mogą, a jeżeli się obchodzą, to

nie są aniołami. Hrabina N. i hrabianka Maryja wydały mi się przynajmniej w tej chwili podwójnie anielskiemi ideałami, właśnie z powodu, że się tak uśmiechały na wzmiankę o Tyndakowskim.

— Ach, biedny ten Tyndakowski — westchnąłem w mściwej złośliwości mojej.

— Dlaczego, co mu się stało?

— Chory jest, bardzo chory!

— O, jakże go żałuję... Brzydki to czas, panują zapalenia płuc, grypy...

— Niestety, pani hrabino, choroba mojego przyjaciela jest gorszego jeszcze rodzaju. Cierpi on od niejakiego czasu na zadumę, i lekarze obawiają się, aby nie dostał zupełnego pomięszania zmysłów...

Ponieważ w tej chwili znaleźliśmy się przed bramą pomieszkania hrabiny, więc pożegnaliśmy ją wśród wyrazów ubolewania z jej strony nad losem naszego przyjaciela.

— A teraz—zawołałem na Jakóba—chodźmy czemprędzej do apteki!

Łąkiewicz wypatrzył się na mnie, jak gdyby przypuszczał, że jestem dotknięty chorobą którą imputowałem Tyndakowskiemu, ale dał się prowadzić machinalnie. W aptece kupiłem nieco preparatu chlorowego, od którego niknie na papierze wszelki ślad zwykłego atramentu. . .

. . . .

Gdy pan Władysław Ślepowron Tyndakowski wrócił do domu z śniadania, przy którem go widzieliśmy a które nawiasem mówiąc, skończyło się o czwartej popołudniu, służący zajęty właśnie pakowaniem jego rzeczy do tłumoka, wręczył mu dużą kopertę, zaadresowaną do niego tak starannie, że nie był opuszczonym żaden z jego tytułów. Wewnątrz znajdował się duży bilet, sztychowanyn a grubym kartonie tej treści:

„Hrabia N. i hrabina z N. N. mają zaszczyt prosić J. W. pana

Władysława Ślepowron Tyndakowskiego

kawalera orderów etc.

na wieczór dnia 1 Kwietnia 18.. o godzinie 9½."

U s. o. o.

Kawaler św. Porcyjunkuli i Akkomodaty podskoczył z radości!

Wielkanoc przypadała owego roku na ostatnie dni marca, a data zaproszenia właśnie na ów wtorek, którego miał być z powrotem od ciotki. Włożył bilet w kopertę potem w pugilares, bo jušci musiał pochwalić się przed ciotką tak zaszczytnem zaproszeniem! Za godzinę wyjechał koleją żelazną, marząc błogo o walcu z hrabianką Maryją.

W niedzielę wielkanocną byłem u hrabstwa N. na święconem. Trafiłem jakoś tak, że prawie nie było gości, i rozmowa toczyła się *en famille*. Oprócz hrabiego, hrabiny i panny Maryi było jeszcze dwoje mniejszych dzieci, i sędziwa pani Mouton, guwernantka francuska, która wychowywała najpierw hrabinę, a następnie całe jej potomstwo. Ponieważ biedaczka dopiero dwadzieścia pięć lat bawiła w Polsce, więc oczywiście nierozumiała ani słowa popolsku, natomiast, pochodząc z Lotaryngii, umiała nieco po niemiecku. Za pomocą tego drugiego języka porozumiewała się z pokojówką która także oprócz ojczystej polszczyzny, posiadała język niemiecki — tak, że co do fizyjologii obiedwie te osoby pomimo różnicy stanowiska swojego, nic sobie nie ustępowały. Zresztą była pani Mouton najzacniejszą pod słońcem osobą, i miała tylko tę jedną wadę że była nadzwyczaj trwożliwą. To też, gdy panna Maryja wspomniała, że jeden z moich kolegów, pan Tyndakowski, zasłabł na pomięszanie zmysłów, i gdy pani Mouton, przypomniała sobie, że ten p. Tyndakowski był raz z wizytą u hrabstwa, zapytała mię z trwogą, jakim sposobem objawia się jego szaleństwo?

— Niewiem dokładnie, odparłem, ale mówiono mi, że od pewnego czasu wyobraża sobie, że jest zaproszonym na bal do jakiegoś dystyngowanego domu, i pojawia się tamże o porach dnia jak najmniej właściwych. Jeżeli ci, którzy mi donieśli o jego chorobie nie przesadzają, to między innemi miał on onegdaj o północy, szturmować do jeneralnej komendy, a gdy na-

deszła warta, utrzymywał że jest proszony na bal do hr. Neipperga. Proszę sobie wyobrazić: bal w Wielki Piątek! Ale przypuszczam, że to nie prawda, jeżeli zaś prawda, to mam nadzieję, że po takiej awanturze oddano go pod nadzór lekarzy...

— Ach mój Boże! gdyby tu przyszedł, umarłabym z trwogi! — zawołała pani Mouton.

— Niema powodu obawiać się takich obłąkanych, rzekłem. Potrzeba tylko udać, że się wchodzi w ich myśl, prosić ich np. siadać, a potem z nienacka, wylać na nich jak najwięcej zimnej wody. Natychmiast przychodzą do siebie i poznają że byli obłąkani...

— I powiadasz pan, że to środek niezawodny?

— Kilku najznakomitszych psychiatrów zaręczało mi, że niezawodzi on nigdy w takich wypadkach obłąkania, które polegają na wizytomanii.

— Muszę to sobie zachować w pamięci... Jednakowoż, nie wiem czy nie straciłabym głowy w danym razie. Jestem tak trwożliwą. Wyobraź pan sobie np. że we wtorek będę sama jedna w domu cały wieczór — całą noc prawie! Wszyscy jadą na wieczór do państwa X. Nie będzie nikogo w całem pomieszkaniu, prócz mnie z dziećmi, pokojówki i jednej dziewki w kuchni. Ah, s'il allait venir!

— Jeżeli pani obawia się tak mocno, to radziłbym, dać z góry instrukcyje pokojówce. Ona sobie poradzi z dwoma waryjatami nie tylko z jednym!

— Pan masz słuszność, muszę jeszcze dzisiaj pomówić z Kasią.

Szanowny czytelnik przyzna, że jeżeli plan mojej zemsty był piekielny, to i zły los p. Tyndakowskiego uwziął się formalnie, aby mi dopomódz.

We wtorek wieczór znajdowałem się z Łąkiewiczem w cukierni. Był tam także ów prawie-hrabia z korzennego sklepu i drugi jakiś Gogo, ubrany na bal a po chwili pojawił się w całym majestacie białej krawaty, nasz bohater.

Nie raczył nawet spojrzeć na nas, ale podał tylko końce swoich paluszków obydwu pseudo-lordom, i zawiązała się taka rozmowa:

— Jakto, nie idziesz dzisiaj nigdzie? — zapytał Tyndakowski prawie-hrabiego.

— Nie, jestem znudzony i zmęczony świętami—była odpowiedź.

— A ty, czy także do państwa X.? — wtrącił Gogo.

— Nie, ja idę do hrabstwa N. Mówiłem wam przecież że jestem proszony...

— Ależ—zawołał Gogo—u nich dzisiaj nic nie ma! Wiem z pewnością, że będą u Xów!

— Ty mi będziesz mówił! —odparł z dumą Tyndakowski.

— No, o zakład! pięć butelek szampana!

— Dziesięć!

— Stoi!

— Ażebyś się zaś nie męczył długo — zawołał p. Władysław — przekonam cię natychmiast. To mówiąc, rozpiął zarzutkę, i błysnął na całą cukiernię kawalerskim krzyżem św. Porcyjunkuli i Akkomodaty, zawieszonym na żółtej i zielonej wstążce, z dewizą: „Per angusta ad augusta“. Z pod tego krzyża wydobył pugilares, a z pugilaresu, bilet zapraszający... Nie było wątpliwości, Gogo uznał się pobitym!

. . . .

O pół do dziesiątej, hrabstwo N. z córką wyjechali na wieczór do państwa X., a pani Mouton, ułożywszy dzieci do snu, wydała jak najdokładniejsze dyspozycyje, w razie napadu, i usiadła z robótką w swoim pokoju. Pięć minut przed dziesiątą, rozległ się brzęk dwonka w przedpokoju. Kasia wybiegła i otworzyła drzwi — dlaczego niewiem, dosyć że otworzyła, chociaż najprostszą rzeczą w świecie było, nie otwierać wcale. Pan Tyndakowski wkroczył, rzucił tryumfujący wzrok w koło i zachmurzył się nieco, widząc, że żaden lokaj, nie pojawił się, ażeby zdjąć z niego zarzutkę, a nadto i Kasia wybiegła z przedpokoju. Nie było co robić — trzeba było rozebrać się bez pomocy. Nim to uskutecznił, Kasia wbiegła napowrót.

— Proszę pana do salonu, pani zaraz przyjdzie.

Spojrzał w zwierciadło, poprawił krzyż na piersi i ruszył...

W salonie w jednym rogu, świeciła się samotnie lampa. Żadnych przygotowań na przyjęcie gości nie było widać, owszem, wyraźne wskazówki, że nie oczekiwano nikogo. Dziwne myśli poczęły krążyć po głowie panu Tyndakowskiemu. Miałżeby jego zegarek iść źle i miałżeby on, niechcąc, stać się winnym takiego uchybienia przeciw dobremu tonowi, iż przybył o dwie godziny może wcześniej, niż był proszony? Okropna ta obawa sprawiła, że uderzył się w czoło i ruszył sążnistym krokiem przez salon, jak człowiek, którego trapi jakaś myśl złowroga. Nim doszedł do drugiego końca pani Mouton pojawiła się we drzwiach... Kawaler stanął z miną zaambarasowaną tylko, ale francuzce, która widziała poprzednie jego ruchy tak gwałtowne, mina ta wydawała się krwiożerczą. Spojrzała na jego oczy. Władysław miał zawsze oczy przypominające zarżniętego barana—w tej chwili wydały się one okropnemi, dzikiemi, pełnemi szału...

Jak wszystkie osoby bardzo trwożliwe, pani Mouton w chwili niebezpieczeństwa zdobyła się na heroizm. Przyskoczyła obces do Tyndakowskiego i chwyciła go za ręce.

— Calmez-vous, monsieur, au nom du ciel, calmez-vous! On va venir vous recevoir tout de suite, tout de suite. Veuillez donc vous asseoir!

Ts mówiąc zaciągnęła go na kanapę, koło lampy i usadowiła go w karle, gładząc go po ramionach jak małe dziecko.

— Vous avez éte souffrant, je le sais, mais ce n'est rien, ce n'est rien!

Pan Władysław nie wiele rozumiał po francuzku, ale gdyby był rozumiał, nie mógłby był straszniej wytrzeszczyć oczu, jak to uczynił. Wtem odchyliły się drzwi boczne, do których siedział plecami i weszły: Basia wraz z kucharką niosąc szaflik z wodą.

— Madame — wybełkotał kawaler łamiąc sobie głowę nad tem, co ma powiedzieć—madame, comment vous portez-vous?

— Dieu de la misericorde! Voilà qu'il me prend pour une folle — zawołała francuzka, zrywając się z miejsca... I dobrze zrobiła że się zerwała, w tej chwili bowiem Basia i kucharka spełniły co im przykazano. Szaflik przez chwilę unosił się złowrogo nad głową kawalera, a potem nagle, cały kawaler wraz z św. Porcyjunkulą i Akkomodatą akkomodowany został najmniej spodziewaną kąpielą, jakiej kto kiedy doznał w życiu! Spełniwszy ten czyn i krzyknąwszy parę razy z przerażeniem: waryjat! waryjat! obie służące salwowały się ucieczką, zamykając na klucz drzwi za sobą. To samo uczyniła przed niemi pani Mouton. Otworem stały tylko drzwi do przedpokoju, i tamtędy też nakrzyczawszy się najpierw trochę i naszturmowawszy po salonie, a potem podumawszy nieco nad swoim losem, cofnął się nasz bohater...

Mamże dodawać, że kiedy wychodził na ulicę, z różnych jej rogów i zakątków rozległ się śmiech, imitujący Mefistofela—śpiew w Fauście i wołanie „Prima Aprilis"?!

Mamże dodawać, że Gogo nie darował panu Tyndakowskiemu dziesięciu butelek szampana? Mamże dodawać, że ten ostatni podał się natychmiast o przeniesienie na prowincyją, i że przez cały czas, póki to nie nastąpiło, zachowywał się nader skromnie i potulnie i nie pokazywał się prawie nigdzie?...

Jan Lam—humorysta, powieściopisarz i dziennikarz znakomitego talentu. Ur. 1843 zmarł przedwcześnie 1885 r., we Lwowie. Twory jego cechuje sarkazm gryzący, nieprzebaczający nikomu, acz często nie dość zasadnie kierowany. Posiadał genialny dar obserwacyi a całość tworów przeprowadzał na podstawie syntetycznych kombinacyi. Wielkiem uznaniem cieszyły się jego felijetony, pomieszczane w dziennikach galicyjskich. Z powieści godne zaznaczenia są: „*Wielki świat Capowic*", „*Koroniarz w Galicyi*", „*Głowa do pozłoty*", „*Idealni*".

* *Bal europejski.*

Jedynym aranżerem balów europejskich jest jeszcze ciągle największy i najstarszy z politycznych Fikalskich, znany p. B. J. S. Mark. Umie on nietylko tańczyć, lecz także koziołki wywracać, a w danym razie nawet grać do tańca. Zaangażował on do kontredansa pannę Potencyję Naddunajską i rozesłał właśnie program tańców innym danserom i danserkom.

* *Na balu pedagogów.*

Dama. Pan nie tańczy?

Pedagog. Non, pulchra puella!

Dama. Ale wino pan pije?

Pedagog. In vino veritas!

Dama. A wygląda pan na lwa salonowego...

Pedagog. Leo est generosus.

Dama. Zajada pan z prawdziwie wilczym apetytem...

Pedagog. Lupus est rapax, crudelis et insatiabilis...

Dama. A to źle, że pan nie tańczy... Patrz pan, jak profesor X. hasa, zda się, że ziemia się pod nim zapadnie...

Pedagog. Terra est rotunda et globosa...

Dama. Ależ z łaciną daj pan już pokój...

Pedagog. Requiescat in pace!...

* Wynalazki coraz bardziej się doskonalą. Przed laty wynaleziono zupę dla ubogich, a teraz bale z tą jednak różnicą, że przy zupie ubogi jest członkiem czynnym, a na balu bawi się przez plenipotentów.

* *Bal na ubogich.*

Spieszył na bal ubogich jakiś panicz modny,
Zastąpił mu żebraczek i nagi i głodny.
— Nie przykrz się — rzecze panicz — widzę żeś [w potrzebie,
I dlatego też idę... tańcować dla ciebie.

* *Z balu.*

Była uroczą jak rusałka
Rozwódką!
Kibić ująłem jej jak powój
Cieniutką,
I przy orkiestrze, co przejmuje
Do szpiku,
Tonąłem w wirze, jak szalony,
W walczyku...
Patrzyłem w oczy jej habrowe
Co płoną,
I już widziałem ją u siebie
Mą żoną...
I nie zważałem nic na ludzi —
Na roje...
Widziałem tylko nas na świecie,
Nas dwoje.
Gdy wtem mi rzekła: „Tam do sali
Mnie zawiedź...
Tutaj gorąco, parno, duszno
I gawiedź“...
Widziałem wtedy już ją tylko
I siebie,
I było mi tak dobrze, dobrze,
Jak w niebie...
Walc mnie rozbujał do zenitu
Gorący,
I jakoś wpadłem jej... na ogon
Niechcący.
Skończył się walczyk ten czarowny
Na dwa *pas*...
Bo rzekła do mnie oburzona:
— Ach... gapa!...

Prawie-heine.

* *Przy kolacyi na balu.*

— Panie Zygmuncie, co pan robisz?... Bierzesz pan kotlety z mojego talerza.. Cóż to znowu za żarty?...

— Ach, przepraszam panią najmocniej — myślałem, że to półmisek z kotletami przed panią stoi... przepraszam...

* Bal, to meetyng zwoływany dla równouprawnienia nóg z głowami. Na meetyngach takich prezydują kobiety za pomocą podwójnych dzwonków. W ostatnich czasach dewizą takich meetyngów jest *res sacra miser.* Dewiza wybrana bardzo niefortunnie, bo: 1) niema *rzeczy* (res) tańczyć, gdy bliźni jest głodny, 2) żadna *święta*

(sacra) na bal nie chodzi, 3) *biednego* (miser) na bal nie wpuszczają, gdyż nie ma fraka i białych rękawiczek. Pomimo tego, bale mnożą się z każdym rokiem, przenikając do sfer obywatelskich wszelkiego stanu i wieku. W przyszłym też roku będziemy mieli bal nowonarodzonych w toaletach galowych.

Ballada.

* Kędy ciemny bór
Stał wspaniały dwór
Zamieszkały przez szlachcica,
Jaśnie pana, dóbr dziedzica
Co miał kark — by tur.

Był on jasny pan,
W okolicy znan —
Bo dukaty mierzył korcem
I ludziom się stawiał sztorcem
A zwał się — graf Jan.

Ludzkich świadom spraw
Wiedział świat, że graf
Jedynaczkę córkę chowa;
Zresztą, rzecz ta nie jest nowa,
Bywa taki traf.

Dziewczę istny kwiat,
Ośmnastu lat,
Oczy miała szmaragdowe
I warkocze jasnopłowe,
Dziwi krasą świat.

Rój młodzieży się
W dom tak miły rwie;
Że posagiem pół milijona
Dziewka będzie obdarzona,
Każdy o tem wie.

Graf swój kręci wąs,
Lecz ma w twarzy dąs —
Choć o córkę wciąż go proszą,
Jemu groźnie brwi się stroszą,
Głową na to trząsł.

Jeden zasię był
Co pierś garścią bił.
— Daj mi, ojcze, twą dziewczynę,
Bo bez niej dalipan zginę!
Tak wołał co sił.

Lecz graf, jeżąc brwi,
Rzeknie: śmiałku ty,
Nie ją kochasz, lecz talary,
Bo, mosanie, jam szpak stary!
Poczem wskazał — drzwi.

Młodzian słysząc to
Pobladł niby szkło;
Wrzaśnie: — Za grosz ci dziękuję!
Szczery afekt w sercu czuję!
Słowa prawdą są...

Graf zamyśli się,
Rzeknie: — Słuchaj mnie,
Bierz dziewuchę lecz bez wiana,
Skoroć tak umiłowana,
Zgadzasz się, czy nie?

Młodzian odrzekł „tak“,
Bo był także szpak,
— Wypróbować chce mnie stary!
Lecz ja chapnę te talary,
Prędzej, później wszak?

I w niedziele trzy,
Weselisko brzmi,
Młodzian pojął uwielbioną,
A chociaż mu zazdroszczono,
On ze wszystkich drwi...

Czeka, by teść graf
Jako człowiek praw,
Wiano raz mu oddał przecie.
Lecz na naszym miłym świecie
Różnie zrządza traf...

I oto w lat dwa
Wieść go rani ta:
Że graf żonkę pojął wtórą,
Ta go rychle darzy córą,
Zięć zawołał: — Ha!!!

Graf dożył lat stu,
Zdrowie służy mu;
Cór dwunastu się dochował,
Tym fortunę rozdarował,
Zięć aż jęczał: — Hu!!!

Chudł i coraz bladł
Aż w żółtaczkę wpadł;
Dziś jest żółty jak cytryna,
Grafa teścia wciąż przeklina,
Że mu posag skradł.

Sens ballady tej
Na pamięci miej:
Choć cię nęci dziewki lice,
Nie łap się na obietnice
Lecz... posagu chciej. *Kassym.*

„Balladyna“ (tragedyja Julijusza Słowackiego).

AKT I. — SCENA II.

(*Wchodzi na scenę Grabiec, rumiany, głupowaty wieśniak*).

Grabiec.

A cóż to za panna?
Ma twarz, nogi, żołądek — lecz coś niby szklanna.
Co za dziwne stworzenie z mgły i galarety!
Są ludzie, co smak czuję do takiej kobiety;
Ja widzę coś rybiego w tej dziwnej osobie.

Goplana.

Jak się nazywasz, piękny młodzieńcze?

Grabiec.

Nic sobie.

Goplana.

Miły! nic sobie!

Grabiec.

Jakżeś głupia, mościa pani;
Nic sobie, to się znaczy, że nic nie przygani
Mojej piękności, to jest, żem piękny. A zwę się Grabiec.

Goplana.

Cóż cię za anioł obłąkał w tym lesie?

Grabiec.

Proszę, co za ciekawość w tym wywiędłym [schabku!

Goplana.

Proszę cię, panie Grabiec!

Grabiec.

Wolno mówić: Grabku!
Panie Grabku!

Goplana.

Któż jesteś?

Grabiec.

Aśćki panny sługa.
A pytasz, kto ja jestem? To historyja długa.
W naszym kościołku stały ogromne organy,
Mój tata grał na dudach; pięknie grywał pijany.
Ale kiedy na trzeźwo, okropnie rzępolił;
Do tego był balwierzem i wieś całą golił;
Golił i grał na dudach, bo golił w sobotę,
Na dudach grał w niedzielę; a miał taką cnotę,
Że nie pił kiedy golił, a pił kiedy grywał.
I wszystko szło jak z płatka. Wtem kogut za- [śpiewał
I mój ojciec małżeństwem z żoną los zespolił.
Panna młoda wąs miała, ojciec wąs ogolił,
I wszystko szło jak z płatka. Lecz tu nowe cuda!
Żona grała na dudach, a tatuś był duda;
Grała więc po tatusiu, i dopóty grała,
Aż go na cmentarzyku wiejskim pogrzebała.
Ja zaś pośmiertne dzieło pana organisty,
Jestem, jak mówią, ojca wizerunek czysty,
Bo lubię stary miodek i kocham gorzonnę,
I uciekam od matki.

Goplana.

Słowa jego wonne
Przynosi wiatr wiosenny do mojego ucha.
O luby! ja cię kocham...

Grabiec.

Cóż to za dziewucha?
Obcesowo zaczyna. Wprawdzie to nie dziwy.
Ilekroć przez wieś idę, to serca jak śliwy
Lecą pod moje nogi — Wołają dziewczęta:
Panie Grabku! Grabiątko, niech Grabiec pamięta,

Że jutro grabim siano – pomóż Grabku grabić...
O, to znaczy, że za mnie dałyby się zabić,
I to, że się na sianie dadzą pocałować.

Goplana.

Czy mię kochasz, mój miły?

Grabiec.

Ha? trzeba skosztować...
Naprzykład... daj całusa...

Goplana.

Stój! Pocałowanie
To ślub dla czystych dziewic. Na dziewiczem [wianie
Za każdym pocałunkiem jeden listek spada.
Nieraz dziewica czysta i smutkami blada
Dla tego, że spadł jeden liść u serca kwiatu,
Nie śmie kochać i daje pożegnanie światu,
I do mogiły idzie nigdy nie kochana.

Grabiec.

Coś waćpanna jak mniszka.

Goplana.

Raz pocałowana
Będę twoją na wieki — i ty mój na wieki!

Grabiec.

Ha, pocałunek bliski, a ten mój daleki (*całuje*).

AKT III. — SCENA IV.

(*Grabiec i Goplana wchodzą na scenę*).

Grabiec.

Moja najmilsza wiedźmo, deszczowa panienko,
Tobie jezioro łożem, a chmura sukienką;
Gdy po lesie przechodzisz, każdy kwiat i drzewo
Wołać by cię powinien: chodź, panno ulewo!
Oraczowi by ciebie mieć nad suchą niwą.
A gdybym ja był kwiatkiem, gorczycą, pokrzywą,
Albo rumiankiem, wtenczas wieczną tobie miłość
Przysiągłbym i w małżeńską wstąpiłbym zażyłość.
Ale ja, na nieszczęście, nie kwiat, ani ziele;
Człowiek mięsny, panienko; a moje piszczele
Skórę wychudłą podrą jak ostre nożyce,
Jeśli je mgłą napoję, gwiazdami nasycę.
Więc kłaniam uniżenie.

Goplana.

O! biada mi, biada!
Dziś moja róża na pieńku opada,
Dziś jakiś rybak otruł złotą stynkę,
Pieszczotę moją: dziś miłą ptaszynkę,
Co mi śpiewała nocą nad jeziorem,
Na srebrnej brzozie chłop zabił toporem
I drzewo zrąbał...

Grabiec.

Dzisiaj mnie sowito
Wierzbami pod zamczyskiem Kirkora obito!
To prawdziwe nieszczęście, plecy świerzbią. — [Ale,
Skoro w tym zamku biją, a karmią wspaniale,
Gdy z odkręconych dzióbków u rynien w rynsztoki
Płynie jasna gorzałka; więc każą wyroki,
Abym przystał na służbę do kuchni Kirkora.

Goplana.

Co? zawsze do niej! do niej! . . . .
. . . .
. . . . Czy pragniesz wyglądać
Jako ów rycerz zjawiony na chmurze
Szykom lechitów? w złocie i lazurze
Od stóp do głowy?

Grabiec.

Więc od stóp do głowy
Miłoby mi wyglądać jako król dzwonkowy;
W koronie, z jabłkiem w lewej, z berłem na [prawicy.
(*na stronie*)
Jak się teraz wywikła wiedźma z obietnicy?
(*głośno*)
Niech mam berło, koronę, płaszcz, złote trzewiki
Od stopy aż do głowy, jak pan król...

(*Skierka i Chochlik niosą szaty i koronę*).

Skierka.

Wszystko gotowe

Grabiec (*poziewa*).

A! a! spać chcę...

Goplana.

Pochyl głowę.
Zaśnij — obudzisz się skoro

We śnie cię duchy ubiorą
Na marę twego marzenia.

Grabiec (*kładąc się*).

Cudy... Dobranoc panie Grabku... do widzenia
Na tronie... dobrej nocy, synu organisty,
Polecam się pamięci i afekt strzelisty
Łączę...
(*poziewa*).
A! a! a! cudy...
(*zasypia*).

Goplana.

Czuwajcie nad sennym,
Ja czary piekieł zamówię...
(*Grabiec wstaje z ziemi jak król dzwonkowy*).

Grabiec (*poziewając*).

A - a—a—a dobry dzień... a—piękna pogoda..
Co to? włosy na brodzie? Dyjabłać siwa broda!
Co to znaczy? w co znowu przedzierzgnęły biesy?
Jaki płaszcz? jakie dziwne na piersiach floresy?
Śniło mi się... Dalibóg nie wiem co się śniło...
Karczma podobno, piwo z beczek się toczyło,
I był potop, w potopie pływałem jak ryba,
Sztuczka djabła zrobiła ze mnie wieloryba,
Lewiatana w złocistym płaszczu z brodą siwą.
Ha! chodź tu moja wiedźmo, moje szklane dziwo,
Powiedz, kto mnie tak złotem i brodą ozdobił,
Powiedz, co się zrobiło ze mnie?

Goplana.

Król się zrobił.

Grabiec (*sięga do głowy, znajduje koronę*).

Więc niech się nie odrabia to, co już zrobione.
Sięgnęła ręka głowy, znalazła koronę
Cudy...

Goplana.

Nosisz prawdziwą koronę Popielów...

Grabiec.

Widzę, że służy ludziom do tych samych celów,
Co czapka, kryje uszy. A to?
(*pokazuje berło drewniane*).

Goplana.

Berło twoje.

Grabiec.

Jak chcesz, miły węgorzu, ja sobie uroję,
Że to berło; niech oko rozumowi sprzyja
I powie, że to berło. Skąd wy tego kija
Wzięli, dyjabliki moje?

Chochlik.

Gdy cię Grabkiem zwano...

Grabiec (*ze wzgardą*).

Nie mów mi o tym Grabku.

Chochlik.

Gdyś był wczoraj rano
Obywatelem lasu, wierzbą, z królo-drzewa
Filon ułamał gałąź!

Grabiec.

I ta ręka lewa
Nosi tę samę korę, którąm ja porastał,
I ta kora jest berłem... Ha! to będę szastał
Tym berłem po grzbiecinach. — Ach! wielka mi [szkoda,
Że się do nieba dostał ojciec golibroda,
Wrazby oszastał długie kędziory na brodzie.
Moja wiedźmo, co chodzisz jak święta po wodzie,
Nie możesz ty mnie złaski swojej brody zbawić?
Nie?... Basta... Jaki balwierz potrafi się wsławić
Na tej królewskiej brodzie. Ha! a jeszcze warto
Dać mi jabłko do ręki, a z dzwonkową kartą
Będę chodził po świecie jako ze zwierciadłem.

Skierka.

Na jabłko królewskie skradłem
Chłopakom z bliskiego sioła
Bańkę z mydła; a dokoła
Tak piekło słońce, że z głową
I z nogami w kryształową
Siadłem kulkę. — Lecę, lecę...
Wtem banieczka moja złota
Na błękitnej siadła rzece;
I konik polny, niecnota!
Kiedy pod tęczowem szkiełkiem
Usnąłem spokojnie w łódce,
Zbił ją gazowem skrzydełkiem
I uciekł... a ja rozespan
Na niebieskiej niezabudce.
Ocknąłem się...

Grabiec.

Dyjabliku, to znaczy, że jespan
Głupi jak but; bo jabłko, choć jabłko królewskie,
To jabłko, nie zaś żadne migdały niebieskie.
(*Chochlik daje mu jabłko*).
Dzięki składam waszeci — dobre... a czy winne?
(*kosztuje*).
Więc mam wszystko, co król ma. Ach, ach! A [gdzie gminne
Szołdry? poddani moi, którym ja panuję?

Goplana.

Wszystko, co na tej ziemi moją władzę czuje,
Ptaszyny, drzewa, rosy, tęcze, każdy kwiatek
Jest twojem!

Grabiec.

Trzeba zaraz nałożyć podatek·
Słuchajcie mnie... a kodeks niech będzie wy- [kuty
W spróchniałej jakiej wierzbie. Odtąd brać
I żubry i zające, i dziki i łosie. [w rekruty
Kwiaty, jeżeli zechcą kąpać listki w rosie,
Niech płacą. Rosę puszczam w odkupy żydowi;
Niechaj mi wódka płaci. Każdemu szpakowi
Kazać nie myśleć wtenczas, kiedy będzie gadał.
Zabronić, aby sejmik jaskółczy usiadał
Na trzcinach i o sprawie politycznej sądził.
Wróblów sejmy rozpędzić; ja sam będę rządził
I wieszał i nagradzał. Jaskółkom na drogę
Dawać paszporta, w takich opisywać nogę,
Dziób, ogonek i skrzydła i rodzinne znaki.
Odtąd nie będą dzieci swych posyłać ptaki,
Do niemieckich zakładów, gdzie uczą papugi;
Wyjęte sroki, które oddają usługi
Ważne mowie ojczystej. Z cudzych stron [osoby,
Jak to: kanarki... śledzić. Na obce wyroby
Nakładam cło... od łokcia tęczy wyrobionej
W kraju słońca, księżyca, białej lub czerwonej,
Albo fioletowej, byleby jedwabnej,
Płacić po trzy złotniki... a od sztuki szwabnej
Płótna z białych pajęczyn...

Goplana.

O czem gadasz, drogi?

Grabiec.

Co? króluję... króluję — skarb łatam ubogi.
Róża płaci od pączka, od kalin kalina,
Od każdego orzecha zapłaci leszczyna,
Czy to pusty, czy pełny; mak od ziarnek maku,
Nie od makówek. Głowa na mnie nie dla znaku...

Goplana.

Zostawiam ci Chochlika, Skierkę, niechaj służą
Niechaj zrywają kwiaty, a trzęsioną różą
Osypią, kiedy zaśniesz. Bądź zdrów do wieczora.
Będę ciebie czekała nad brzegiem jeziora,
I płacząc, piosnką płaczu wabiła słowika.
(*Odchodzi Goplana*).

Grabiec.

Aż mi lżej, że ta rybia galareta znika.
Hej poddani!
(*do Chochlika*).
Ty jesteś królewskim ministrem,
(*do Skierki*).
A ty, drugi dyjable, z oczkiem bystrem,
Błaznem. Śmiesz mię, łajdaku, aż z radości
Ministrze, gdzie mój powóz? [pęknę.

Chochlik.

Cztery konie piękne,
Czarne, księżycowemi wierzgają podkowy;
I wóz na ciebie czeka mefistofelowy,
Ale nie mów Goplanie.

Grabiec.

Dla czego?

Chochlik.

Bo ona
Nie chce pożyczać z piekła.

Grabiec.

Szalona! szalona!
Jeśli dyjabeł pożycza, bierz, bo takie wozy
Oszczędzają ci butów....
(*do Skierki*).
Ty będziesz wiózł z kozy.
Minister za forysia... teraz jechać pora!

Skierka.

Gdzie król jedzie?

Grabiec.

Na ucztę ślubną do Kirkora.

Słowacki Julijusz, jeden z trzech genijuszów poezyi romantycznej, ur. 1809 r. † 1849 r. w Paryżu. Władał niezrównanie prześlicznym językiem w prozie i wierszu. Utwory jego cechuje ironija gryząca i siła fantazyi. Zwą go Byronem polskim, bowiem wpływ autora „*Giaura*" wyraźne na nim wycisnął ślady. Znać też w jego utworach wpływ Szekspira.

Balaama osieł.

* Pewien bakałarz wykładał w szkole ustęp o ośle Balaama i szukał w myśli dowodów na potwierdzenie, iż ten przemówił. Jeden z malców zaczyna się śmiać... Rozgniewany nauczyciel uderza go liniją w plecy.

— Pan ma dowieść — woła zaperzony uczeń — że osieł Balaama mówił, a nie bił!...

Balet.

* Pewien surowych obyczajów radca policyjny, będąc na balecie gorszył się tańcem jednej z koryfejek.

— Ależ kochany panie radco—odpowiedział sąsiad, chcąc go uspokoić — cóż pan chcesz? Tancerka z czternastu spódniczek, które nosi, ma prawo trzynaście podnieść.

— Nic nie mam przeciw temu — odpowiedział radca — ale jeżeli tancerka, która czternaście spódnic nosi, podnosi piętnastą, to tego już doprawdy za wiele!

Balsamowanie.

* Urządzanie samemu sobie balu, na którym człowiek wolny jest od wszystkich kłopotów. Toaleta na taki bal kosztuje bardzo drogo, ale ma tę dobrą stronę, że ubierający się ani ręką przytem nie potrzebuje poruszyć. Królowe balu nazywają się *mumiami*. Do najlepiej zakonserwowanych mumii należą faraoni egipscy i repertuar opery naszego teatru.

Bankierzy.

* Do mieszkania utrzymującego kantor wekslu i bankierskich interesów przy ulicy S., pana H. przyszedł rano stróż z wiadomością, że w nocy skradziono wszystkie pieniądze z kantoru.

— No, zkąd się tam mogły wziąć pieniądze? wykrzyknął w pierwszej chwili pan H. wcale nie przestraszony taką olbrzymią kradzieżą.

* Na wystawie obrazów znajdował się portret, z podpisem u dołu następujących słów: „Pinxit, Anno 1854".

— Anno, Anno — rzecze gruby bankier — tego malarza nie posiadam jeszcze w swojej galeryi obrazów, muszę go nabyć.

* Jeden z naszych podrzędnych „operatorów" finansowych zabawił pewnego razu całe towarzystwo.

Będąc w pracowni znanego malarza, przeczytał na drzwiach wyraz *Atélier* i bardzo mu się to podobało, aczkolwiek nie wiedział co to znaczy.

W kilka dni później odbywało się u finansisty zebranie i ktoś zauważył, że bankier kazał sobie na jednych drzwiach przybić tabliczkę z wyrazem *Atélier*.

— Mój panie — pyta go ktoś—co tu znaczy przybita tabliczka *Atélier?*

— To tak sobie, ja bardzo lubię to słowo...

— No, dobrze, ale co jest w tym pokoju?...

— To jest nasza sypialnia...

* Na weselu hrabicza z bogatą bankierówną, finansista X. odzywa się do jednego z gości:

— Wiesz pan, ten hrabia Alfons i ta panna Rachela, to istna Ameryka...

— Jakto? dlaczego?

— No, bo hrabia i żydówka to są „Stany zjednoczone"...

* Bankier Y. znajdując się na wsi, przyglądał się z ciekawością co tylko wykopanej z ziemi wielkiej popielnicy.

— No — rzekł nasz Y. po głębokim namyśle — jacy to jednak wielcy musieli być ci dawni ludzie i jakie oni musieli wielkie cygara palić, kiedy takich wielkich popielniczek używali!

* — Proszę cię — rzekł znany bankier .˙. do swego przyjaciela — podobno twoja żona myśli sama karmić swoją córeczkę. Wiesz ty co? niech ona tego nie robi!

— A to dla czego?

— Ależ chyba nie czytałeś tego co stoi w gazetach, że teraz wszędzie w całej Warszawie fałszowany nabiał.

* — Powiedz mi pan, co to znaczy, że zamiast pana, żonę pańską prowadza ciągle artysta N? — zapytał się ktoś znanego bankiera.

— Widzi pan, ja już jestem *hors de concours* — odpowiedział poczciwy bankier nie domyślając się wcale jakiego strzelił bąka.

* — Chciałbym sukienki dla sześciomiesięcznego dziecka.

— A jakiej pan dobrodziej sobie życzy?

— Prosiłbym o taką zwykłą, treflową — informuje kupca pan bankier.

— Takiej nie mamy, ale może pan sobie życzy pikową?

— Aha, tak właśnie, o takiej nawet mówiła mi i moja żona, ale ja myślałem, że treflowa będzie mocniejsza, bo co starszy kolor, to starszy...

* Spotkano znanego finansistę na ulicy z rozpromienionem obliczem.

Na zapytanie z czego taki zadowolony, odrzekł:

— Widzi pan, byłem wczoraj w teatrze na nowej sztuce, którą powiadam panu, jestem zachwycony.

— A cóż to za sztuka?

— „Druciarz kremowy".

— Chyba „Lutniarz z Cremony", chcesz pan powiedzieć.

— Czy drutuje, czy lutuje, to wszystko jedno, dosyć, że sztuka pyszna.

* — Jak się pan ma, panie bankierze?

— Bardzo źle... mam ciągle kaczkę żołądka.

— Chciałeś pan powiedzieć — kurcze...

— To wszystko jedno — to i to się zje...

* Figlarz jakiś, siedząc przy stole w oberży, gdy nadaremnie kilka razy żądał wina, zawołał nareszcie, kiedy mu podano ryby:

— Garson! ryby chcą pływać.

Ten zrozumiał i natychmiast przyniósł butelkę węgrzyna.

Dowcipne to wyrażenie, tak się podobało obok siedzącemu bankierowi, że gdy mu się zachciało pić po sztuce mięsa, zawołał:

— Garson! wół chce pić!

Śmieszek.

* — Nie bój się pan, panie bankierze, tego pieska, on szczeka, ale nie ukąsi... A pójdziesz!..

— Ja jego się nie potrzebuję bać! Tylko on szczeka *fałszywie*, a ja jestem strasznie *muzykalny*...

* — Jakże się ma pańska żona, panie bankierze?

— Dziękuję, zdrowa jak karmelicka bania.

— A córeczka?

— Fiu! fiu! żeby pan wiedział, co to za dziecko, to panie! *nec Hercules contra plures!*

* Nasz znany finansista .˙. poznał w tych dniach młodą panienkę.

— Wyobraź sobie, mówił do jednego ze znajomych — to bardzo miła osoba... taka wspólna dzieweczka...

— Wspólna? — co też ty mówisz?!

— Hoża!... chciałem powiedzieć, hoża... Ta Wspólna i Hoża [1]) zawsze mi się mylą.

* — Znasz pan hrabiego Q?

— Dla czego nie mam znać? To klijent mojego kantoru, pan całą gębą, prawdziwy bordeau.

— Zkąd znowu bordo? — chyba karmazyn.

— To wszystko jedno — zawsze czerwony!

* Bankierowi .˙. pokazywał ktoś osobliwą papugę.

— Patrz pan... papuga ta liczy z górą dwieście pięćdziesiąt lat...

— I jeszcze zielona! — wykrzyknął zdziwiony finansista.

---

[1]) Nazwy ulic w Warszawie.

* — Ten gałgan, mój buchalter, on ma mosiężne czoło.

— Mówi się miedziane, kochany bankierze.

— To wszystko jedno, mosiądz nawet jest droższy!

* — Jakże żona pańska, panie bankierze?

— Ciągle *al pari.*

— Nie rozumiem pana.

— Jakto nie? Ja mówię przecie, że w jej zdrowiu nie ma żadnej różnicy kursu.

Bankrut.

* Niezwykłych zdolności kupiec, licytujący procenta *in minus.* Bankrut postępowy, przed wystąpieniem w tej roli, zwykle najprzód się żeni. Wtedy może sobie powiedzieć: wszystko zabrali, ale miłość pozostała. Na giełdzie świeci jak księżyc zapożyczonem światłem. Cieniami są rachunki. Każdy też rozumny kupiec stara się być Piotrem Szlehmilem, to jest człowiekiem bez cienia. Najcudowniejszym ku temu środkiem jest formuła: „nie płacę!“

Bardzo słusznie!

* W dzień czy w noc, sam, czy pośród ludzi,
On zawsze dumny pozostanie;
Ma bowiem przodków prawie kopę,
No — i jest głupi niesłychanie!

Nic więcej? Ba, łaskawi państwo,
Czyż nie dość? Chciejcie mieć na względzie,
Że, po najdłuższem swojem życiu,
On kiedyś także przodkiem będzie!

Bemol.

Bartek.

* Postać mitologiczna, która wyobrażać miała paryjasa mówiącego po słowiańsku.

Barwa.

* Ilekolwiek razy wspomni mi ktoś o „naszych bardzo młodych uczonych“, natychmiast zielona barwa staje mi przed oczyma; wąchając politykę stańczykowską, robi mi się czarno-żółto; słysząc dźwięk kija spadającego komuś na plecy, mam wrażenie silnej popręgi; również w sinym kolorze widzę podbicie oka majstra szewskiego, za pomocą dłoni pani majstrowej; panowie Mika i Hawełka łączą się w mojej wyobraźni z kolorem koniaku; lokaje krakowscy przedstawiają mi się biali jak wełna barania; każdy żyd z wekslem w ręku wydaje mi się czarnym; Länderbank jednoczy się z wrażeniem barwy brudnej; imię Józef, wreszcie jest dla mnie w d. 19 marca żółtawo-zielone, wpadające w kolor starego węgrzyna. Co więcej, czasami postać łączy się u mnie nietylko z wyobrażeniem barwy, ale i z dźwiękiem; np: minister skarbu wydaje mi się złoty, o dźwięku podobnym do szelestu liczonych tysiączków; hrabina X. znowu przypomina mi kolor lilji, woń róży i smak lodów ananasowych; każdy prenumerator „Przeglądu“ przywdziewa w mej wyobraźni kolor anielskiej białości i wydaje dźwięk półtora guldena raz na kwartał. Czasami barwy się zmieniają: ci co przedstawiali się czerwono, przed laty dwudziestu, dziś jednoczą się u mnie z wyobrażeniem barwy czarno-żółtej, lub granatowo-liberyjnej.

K. Bartoszewicz. (p. str. 59).

Basia i Jontek.

* Jontek gąski pasie
A Basia cielątka —
Jontek kocha Basię,
Basia kocha Jontka.

On w kwiatki, gałązki,
Stroi ją w zachwycie,
A tu w prosie gąski,
A cielątka w życie.

Aż wtem wypadł z chaty —
Gospodarz niecnota!
Oj! wziął Jontek baty
I Basia sierota!

Lecz nazajutrz rankiem,
Znów się niebożątka
Zeszli — Basia z Jontkiem,
Z gąskami cielątka!

I znów nad ruczajem
Jontek pieścił Basię,
Basia Jontka wzajem —
Niebem gaj im zda się!

Cielątka zaś doszły,
Że je w życie zbito —
Więc w proso dziś poszły
Gąski poszły w żyto.

Wtem znów gdzieś z zakątka
Wypadł tyran srogi —
Ujrzał Basię, Jontka,
I — stanął w pół drogi.

I patrzy z ukosa,
Już kija nie chwyta —
Lecz sam gąski z prosa,
Bydło pędzi z żyta!

I poszedł — a z czoła
Myśli czytasz wątek:
Nikt wstrzymać nie zdoła
Od żyta cielątek!

Jak gąska do prosa,
Choć bita, się łasi —
Tak Jontka, młokosa,
Któż wstrzyma od Basi?!

F. Konarski. (p. str. 43).

Belle Comtesse!

* *Belle Comtesse*! Ty u mnie z kwestą,
Dla twych biednych żebrzesz chleba!

Belle Comtesse! Ty za mój gulden,
Pragniesz wkupić się do nieba!

Belle Comtesse! Ty będziesz w niebie,
Boś litośną jest osobą!

Belle Comtesse! Ja dam guldena,
Bylem w niebie mógł być... z tobą!

Student.

Berens.

* Około 1830 r., imćpan Szczęsny Rościszewski, mając jakiś proces pieniężny w izbie cywilnej kijowskiej, powierzył go Mikołajowi Berensowi, ten zaś wiódł go powoli, wydatkował niemało a sprawę zaniedbał i przegrał. Rościszewski zemścił się na nim makaronem długo powtarzanym o adwokatach kosztownych i niepilnych, a brzmiącym: „*Semper Berens, nunquam dajens*“.

Bethowen.

* Było to w r. 1796, gdy francuzi pod Bonapartem zwycięzko przeszli Włochy.

W Wiedniu, na rynku, gdzie stał namiot werbunkowy, przechadzał się człowiek może trzydziestoletni, o silnej budowie ciała, szerokich atletycznych ramionach, który z zazdrośną miną na zaciągniętych ochotników spoglądał.

Była to jedna ze znanych ludowych postaci, tak zwany Hupfauf, który przez dziwny kaprys przyrody, przy olbrzymiej budowie górnej części korpusu miał cienkie i krzywe nogi, z trudnością się poruszał i potykał co chwila. Hupfauf był zagorzałym patryjotą i wytężał swój umysł, jakby się dostać do ochotników. Zwiedził już wszystkie namioty werbunkowe, ale wszędzie, choć z żalem, go odrzucano. Tu, na rynku była jego ostatnia nadzieja — nie powiedzie mu się tu jeszcze, będzie musiał wyrzec się zaszczytu służenia ojczyźnie.

Ściemniało się, muzyka ustała, a kapelmistrz wziąwszy pod rękę jednego z oficerów, skierował się na przedmieście ku domowi. Przechodząc, na jednej z ulic, zauważyli człowieka pięknego wzrostu, który, pomimo, że nie miał pióra na kapeluszu, na ochotnika wyglądał. Musiał wypić zanadto, bo chwiał się na wszystkie strony i co chwila utykał.

— To byłby dopiero nabytek dla naszego korpusu ochotników — powiedział kapelmistrz, pokazując olbrzyma oficerowi. — Idźmy za nim probować szczęścia, może nam się uda ptaszka złowić.

Śledzony wszedł do szynku, usiadł za stołem, schował zręcznie nogi swe pod ławę i czekał na szklankę wina.

Zaledwie się usadowił, wszedł kapelmistrz z oficerem i zaraz zbliżyli się do niego.

— Dobry wieczór — przemówił oficer. — Pewien jestem, żeście tu na mnie czekali, aby się zaciągnąć w szeregi ochotników przeciw Bonapartemu!

— O nie, nie — rzekł Hupfauf — gdybym i mógł, zbrakło by mi chęci, gdyż przyroda strasznie mnie upośledziła A przedewszystkiem odwagi mi braknie, jeżeli mam już prawdę powiedzieć.

— I nie wstydzisz się przyznać do tego — zawołał oburzony kapelmistrz. — Patrzcie na mnie, jestem niemcem, nie austryjakiem i dobrowolnie w szeregi się zaciągnąłem. Moja muzyka będzie walczących do boju zagrzewać i żadna kula mnie z taktu nie zbije. Chodź z nami, podnieś szklankę do góry i wołaj: „Niech żyje cesarz, niech żyje waleczne wojsko".

— Oj miły, zacny, panie muzykancie, chętnie wypiję zdrowie cesarza i jego dzielnych żołnierzy, ale iść z wami? Tego nie uczynię. Nie mam doprawdy odwagi.

— Odwaga się znajdzie, skoro się znajdziesz w zgiełku bitwy — odrzekł oficer.

— Może tak i będzie, ależ moja budowa przeszkadza mi do służby wojskowej. Mam nogi tak słabe, że wciąż utykam.

— Co pan mówisz o utykaniu! Gdy pójdziesz do szturmu, gdy trąby zagrają i powąchasz prochu, przestaniesz utykać.

— Mówisz pan o szturmie. Gdzież ja z memi biednemi nogami mogę iść do szturmu?

— O to się nie troszcz... W zwartych szeregach, uniosą cię obok idący żołnierze.

— To będę się kiwał jak kaczka.

— Wyborny przymiot, gdy wypadnie rzekę przepływać.

— A jednak to całkiem niemożliwe.

Im więcej Hupfauf wykazywał swoją niezdatność, tem mniej w nią wierzyli werbujący, tem więcej usiłowali go przynęcić.

Kazali podać wina i póty dolewali, aż im się wydał podchmielony i stopniowo niby nabierał odwagi. Dał się nakoniec namówić i oficer z radością wyliczył mu werbunkowe pieniądze.

— Więc teraz jestem nieodwołalnie wiedeńskim ochotnikiem — rzekł rekrut chowając pieniądze do kieszeni.

— Spodziewam się — odrzekł kapelmistrz. Dałeś słowo i wziąłeś pieniądze, a teraz musisz się wpisać. Chodź ze mną, namiot werbunkowy musi być jeszcze otwarty.

— Wszystko mi jedno, im prędzej, tem lepiej — odrzekł nowozaciężny, podniósł się i wyszedł z za stołu.

— Do dyjabła! — zawołał oficer, gdy zobaczył całą postać rekruta — te krzywe nogi gdzieś już widziałem?...

— Być może, ale niestety nie mam innych!

— A, do krośset, toć to jest Hupfauf, którego dziś na rynku zbrakowaliśmy.

— Tak, ja jestem Hupfauf krzywy.

— Komuż i na co zdać się możesz? Chwiejesz się jak kaczka.

— Szacowny przymiot, gdy wypadnie rzekę przepływać.

— Ależ utykasz co chwila.

— Co pan mówi o utykaniu? Gdy pójdę do szturmu, gdy bębny zagrzmią, gdy poczuję zapach prochu, przestanę utykać.

— Co ty mówisz o szturmie, jak możesz z tak niedołężnemi nogami marzyć o pójściu do szturmu?

— Nie potrzebuję marzyć o tem, zwarte kolumny towarzyszy uniosą mnie...

— Do krośset! pobija mnie memi własnemi słowami. Słuchaj przyjacielu, miej rozum, cofnij się dobrowolnie. Za ten nabytek mogę dostać naganę. Daruję ci werbunkowe pieniądze, tylko zostaw nas w spokoju.

— Dodaję ci dziesięć guldenów, jeśli się zrzekniesz — dodał kapelmistrz.

— Moi panowie, szkoda słów; co się stało, to się stało, jestem ochotnikiem i idę z wami do wpisu.

Z kwaśnemi minami poszli za nim obaj. Naśmiano się z ustrzelonego bąka, ale Hupfaufa nie przyjęto.

Wkrótce cały Wiedeń wiedział o zabawnej przygodzie i na ten temat powstała nawet piosenka.

Gdy potem, przed wymarszem, poświęcano na szańcu chorągiew i kapela korpusu po prawej stała stronie, dotknął ktoś z lekka ramienia kapelmistrza... Był to krzywy Hupfauf.

— Wszystko na nic się nie zdało, panie kapelmistrzu — wyrzekł — ale powiedz, czy doprawdy nie zdolny jestem wam towarzyszyć?

— Tak mniemam, ale zapewniam cię, że twój patryjotyzm wielce cenię i że pragnąłbym, aby wszyscy zdolni do służby byli do ciebie podobni. Zachowam to w pamięci, i wiedeńskim ochotnikom przekażę!

— Zrób to pan, panie kapelmistrzu. Ja również nie zapomnę o was... Jak nazwisko pańskie?

— Nazywam się Ludwik Bethowen.

— Panie Bethowen, gdy pan cały wrócisz, zechciej mnie odwiedzić, a moje najgorętsze życzenia będą wam towarzyszyć...

Wiwaty przerwały rozmowę. Komenda zagrzmiała, zagrano marsza, cesarz zbliżył się do sztandaru. Korpus wiedeńskich ochotników, pomaszerował wśrod okrzyków tłumu.

Bethowen towarzyszył sztabowi w r. 1796 i 1797 r. Był pod Anghiori, Rivoli, Bevilaqua, San Giorgio, i jak powiedział — kula go z taktu nie zbiła... Skomponował kilka marszów, które zaginęły. Przechował się tylko jego austryjacki marsz wojenny. Portret jego z tych czasów, był w posiadaniu malarza Atanasiusa, żywo przypominając „wojskowego muzykanta“, jak go nazwał Hupfauf...

Bestyja wśród bestyj.

* *Tymon.* Cobyś zrobił ze światem, Apemantus, gdyby w twojej był mocy?

Apemantus. Dałbym go bestyjom na pastwę, ażeby pozbyć się ludzi.

Tymon. Czy chciałbyś i sam zginąć w zagładzie ludzi i zostać bestyją wśród bestyj?

Apemantus. Bez wątpienia, Tymonie.

Tymon. Bestyjalska ambicyja i, daj Boże, żeby się spełniła. Gdybyś był lwem, lis by cię oszwabił; gdybyś był jagnięciem, lis by cię zdławił; gdybyś był lisem, lew by cię podejrzewał na lada osła oskarżenie; gdybyś był osłem, własne głupstwo byłoby ci męczarnią i żyłbyś tylko jak śniadanie dla wilka; gdybyś był wilkiem, dręczyłoby cię twoje obżarstwo i nieraz ryzykowałbyś życie dla obiadu; gdybyś był jednorożcem, duma i wściekłość byłaby twoją zgubą i gniew twój własny wydałby cię na pastwę; gdybyś był niedźwiedziem, końby cię zabił kopytem: gdybyś był koniem, lampart by cię schwytał; gdybyś był lampartem, byłbyś lwa krewnym, a familijne cętki zapłaciłbyś życiem; jedynym dla ciebie ratunkiem byłaby ucieczka, jedyną obroną nieobecność! Jakąż mógłbyś zostać bestyją, żebyś zaraz nie stał się łupem innej bestyi? Jaka już i teraz z ciebie bestyja, że nie widzisz swojej zguby w tej przemianie?!

Apemantus. Gdyby rozmowa z tobą mogła mi smakować, to byłaby teraz rzeczpospolita ateńska stała się puszczą bestyj.

Szekspir Wiliam — jeden z największych geniuszów poetyckich, jakich świat posiada. Ur. 1564 r. w Statford, um. 1616 r. tamże. Przeznaczony do stanu kupieckiego, wykształcenia nie odebrał żadnego, wszystko winien pracy własnej. Nie mogąc się zgodzić z fachem narzuconym przez ojca, opuścił dom, udał się do Londynu, gdzie wcielił się do trupy aktorów lorda Laicester. Organizuje następnie teatr Globus, który zjednał sobie wielką sympatyję. Tworzył nieprawdopodobnie wiele, przeważnie rzeczy dramatyczne. Oprócz „*Króla Jana*“, „*Ryszarda III*“, uscenizował historyję Henryków angielskich (od IV do VIII), w szeregu pysznych obrazów. Z liczby dzieł jego wymieniamy takie tylko jak: „*Hamlet*“, „*Romeo i Julija*“, „*Makbet*“, „*Otello*“, „*Julijusz Cezar*“, „*Koriolan*“, „*Burza*“, „*Sen nocy letniej*“, „*Wesołe kobietki z Windsor*“, „*Król Lir*“.

Beugnot.

* Jakób Klaudyjusz hrabia Beugnot, ur. 1761, był prefektem za Napoleona i z wielką gorliwością jak i jego koledzy, oddawał się statystyce, ponieważ było to najlepszym sposobem

przypodobania się cesarzowi. Beugnot uchodził za prawdziwego mistrza w tej umiejętności. Jednego razu przejeżdżał cesarz przez departament Beugnota.

— O, najjaśniejszy panie — odezwał się ktoś do Napoleona — tego prefekta nie uda ci się wprowadzić w kłopot.

— Zobaczymy — odpowiedział Napoleon i ironicznie nieco uśmiechnięty zwrócił się do niego z następującem pytaniem — panie prefekcie, ile miałeś w tym roku wędrownych ptaków w swoim departamencie?

— Jednego orła, Srre! — odpowiedział Beugnot.

Będziesz u nas?...

* Nie prawdaż mój ty drogi, kochany do-
[ktorku,
Że się u nas pojawisz jutro na wieczorku?
Mozart, Bethowen, Szubert, ach, rozkosz pra-
[wdziwa!
O siódmej nam coś Misia ładnego zaśpiewa...
Przyjdź więc wcześnie! Zobaczysz że nie poża-
[łujesz!
O ósmej Tycia zagra, ty zadeklamujesz,
O dziewiątej kolacyja wreszcie jaka taka...
Cóż przyjdziesz?...
— O dziewiątej przyjdę na pewniaka!...

Biblijotekarz.

* Księżna de Ch. wychwalała bardzo gorąco barona de Zurlauben, wobec pana de Besenval, który nie miał o nim tak dobrego wyobrażenia.

— W każdym razie, przyznać pan chyba musisz, że jest to człowiek wielkiej nauki?

— Oh! tak, mości księżno, jest to ogromna biblijoteka, mająca biblijotekarza... głupca.

* Ambasador francuzki przy dworze hiszpańskim, widział słynną biblijotekę w Eskuryjalu, przyczem spotkał biblijotekarza tak ograniczonego, że nieznał nawet tytułu książek mu powierzonych. W kilka dni potem, król zapytał ambasadora, jak mu się podobała biblijoteka.

— Jest bardzo piękna — odpowiedział tenże — ale co do biblijotekarza, to mogłaby Wasza Królewska Mość zrobić go administratorem swoich dochodów.

— Dlaczegóż to? — spytał król.

— Bo, zdaje się, że nawet nie dotyka powierzonych mu rzeczy...

Bicz na adwokatów.

* Gdy emancypacyi drzewo
Należycie się rozrośnie,
To najbardziej adwokaci
Patrzeć będą w świat żałośnie.

Jestto zawód utworzony
Dla kobiety niewątpliwie,
Laury ona zbierze bujne
Kiedyś na prawniczej niwie.

Bo czyż braknie jej warunków?
Ładny buziak znaczy wiele;
Ładny buziak musi sobie
Ładną zdobyć klijentelę.

Cóż dopiero, gdy ten buziak
I języczkiem cuda czyni!
A wiadomo, że w tej kwestyi
Każda z kobiet — to mistrzyni.

Wreszcie — choć mężczyzna także
Do uznania prawo rości,
Lecz gdzież jest kobieta w świecie
Co nie miałaby słuszności?

Choćby nawet i przeciwnik
Zgromić wywód chciał dziewiczy,
To adwokat żeński wygra,
Bo z pewnością go — przekrzyczy.

Stanisław Rossowski (p. str. 53).

Bieda.

* — Jestem w rozpaczy! — zawołał pewnego razu redaktor jednego z pism lwowskich. — Jestem w rozpaczy! — powtórzył. — Najlepszy mój współpracownik zachorował śmiertelnie!

W tejże chwili zaniósł woźny redakcyjny do szlifirza nożyczki, któremi czcigodny redaktor wykrawuje całe szpalty z pism warszawskich. *Anonim.*

Biesiada i hulatyka.

* Bo jeśli to rozkoszą, kto ma przezwać właśnie,
Gdy brzmi bęben za uchem, a kozi róg wrzaśnie,
Pomorty a puzany, co wszystko zagłuszą,
Albo skakać od kąta do kąta z Maruszą.
Już który kąt zastąpisz, już siedź jako drewno,
Bo jako się podniesiesz, odepchną cię pewno.
Już jako głuch na drugie musisz palcem kiwać,
Bo już tam trudno słusznej rozmowy używać.
Albowiem już tam każdy chociaż ledwie ziewa,
Wrzeszczy, sapi, markocze, a mnima iż śpiewa.
A drugi, za nim stojąc, jako ciele ryczy,
A zda mu się iż wesół, a iż pięknie krzyczy.
Sklenice w kąt latają, na stole by w łaźni,
Tak więc Bachus on rycerz swe kochanki błaźni.
Iż kiedy rano wstawszy wieczór wspominają,
Albociem był oszalał sami sobie łają.
Ano się we łbie kręci, pan siedząc szczka, spluwa,
Pierza ma we łbie pełno, opak się obuwa,
Oblicza się z kaletą, nie chce respondować,
Musi jej dać na kwity, gdy niemasz co schować.
Suknia śmierdzi drożdżami, czapka gdzieś na [ławie.
Patrzajże krotochwile w takiej miłej sprawie.
Aby jeszcze na miejscu, gdzie począł, dosiedział,
Ale chce, iż pan szalon aby każdy wiedział.
Będzie go jeszcze pełno po ulicach wszędzie,
Włóczy się jako z wilkiem chodząc po kolędzie.
Więc wszędy we drzwi tłucze, wszędy mu nałają
A czasem czem pachnącem i z góry spluskają.
Zaż to dobra biesiada, zaż to krotochwila,
Niechaj będzie najmędrszy, alić z niego wila.
Ledwie się to i chłopu słusznie zejdzie we wsi,
A choć go nikt nie sławi, szczekają za nim psi.

M. Rej. (p. str. 12).

„*Wizerunek żywota człowieka poczciwego*".

Bifsztyk.

* Znakomity rzymianin Lucyjusz Plaucus, został za jakieś wykroczenie, przez cesarza Trajana, skazany na służbę przy ofiarach w świątyni Jowisza. Opierał się wyrokowi póki mógł, ale go przemocą do ołtarza zaciągniono. Leżały tam stosy mięsa przeznaczone na ofiarę i nieszczęśliwy senator był zmuszony piec je na ogniu. Podczas tej operacyi spadł okrawek mięsa na rozżarzone węgle; Plaucus zdjął go i tak oparzył palce, że mimowoli przytknął je do ust... W tejże chwili zrobił odkrycie, że smak mięsa usmażonego na żarze przewyższa o wiele mięso w jakikolwiek inny sposób przyrządzone. Od tej pory postanowił, zadość czyniąc woli cezara, spełniać posłusznie usługi nakazane prawem przy ofiarach, a tymczasem osładzał swój los wyprawianiem uczty przy każdej ceremonii. Zjadał kawałek po kawałku, oszukiwał Trajana, wystrychnął na dudka Jowisza i — wynalazł bifsztyk!

Tak wielki wynalazek nie mógł pozostać długo w ukryciu, ofiary znikały tak prędko, a policzki usługujących tak się wypełniały, że to nie mogło nie zwrócić uwagi. Kapłani Jowisza korzystali z odkrycia, a ich pan musiałby umrzeć z głodu lub przyzwać w pomoc pioruny, gdyby on jeden na ceremonije składania ofiar zwracał uwagę.

Zjawisko to ściągnęło baczność Trajana, człowieka surowej cnoty, i arcykapłan Jowisza, wraz z podwładnymi, został na śmierć przez uduszenie skazany.

Czcigodny ten starzec miał najdłuższą brodę w całym Rzymie. Bolała cezara strata kapłana, tak hojnie obdarowanego przez naturę, ale wyrok nie mógł już być odwołanym. Chciał wszakże uczynić swemu słudze zaszczyt, obecnością swoją przy egzekucyi.

Cały Rzym był w ruchu. Od zgonu ubóstwianego Tytusa nie miała stolica świata równie smutnego a zarazem ciekawego widowiska. Najznakomitsze rzymskie damy ubiegały się o miejsca w Kolosseum. Cały tydzień wrzały rozprawy o tem, jak wielki kapłan będzie ubrany; czy będzie powieszony, czy ścięty? Najznaczniejsi obywatele robili o to zakłady. Dzień przed smutną ceremoniją latano z miejsca na miejsce, z ulicy na ulicę, naglono krawców o pośpiech w przygotowaniu tualet na widowisko

i ubolewano nad właścicielem najpiękniejszej brody w Rzymie.

Nadszedł nakoniec dzień upragniony. Kolosseum było natłoczone młodymi i starcami; wszędzie jaśniały wspaniałe stroje i drogocenne klejnoty. Rozpoczęła się ceremonija, w ciągu której sędziwy kapłan miał być powieszony. Matrony i dziewice w kwiecie wieku, wspinały się na palce, by nie stracić żadnego szczegółu z ceremonii, która naprawdę była wspaniałą.

Wielki kapłan zwrócił się do Trajana prosząc, iżby mu pozwolił zakończyć drogę żywota tem czem ją zaczął t. j. złożeniem ofiary Jowiszowi. Ostatnia prośba tak wysokiego dostojnika nie mogła być odrzuconą. Rozpalono więc ogień, rozćwiertowano wołu i uroczystość szła zwykłym trybem.

Ukończywszy ją, podał wielki kapłan cezarowi kawał mięsa i prosił pokornie o spróbowanie, na znak, że żadnej osobistej niema do niego urazy.

Trajan przyjął, skosztował i zraz mięsa ku ogólnemu zdziwieniu znikł wkrótce, a po nim drugi, trzeci i t. d. Wykonawcy sprawiedliwości czekać musieli... Tymczasem publiczność zaczęła się niecierpliwić i wkrótce ten ogromny tłum powstał, pytając wśród zmieszanych okrzyków, jak długo jeszcze na uroczystość egzekucyi czekać będzie. Wtem cezar opuścił ołtarz, groźnem spojrzeniem obrzuciwszy lud, zasiadł na tronie, kapłana stawiając po prawicy i zawołał: „Rzymianie! buntownicy przeciw władzy świata! schylcie w proch głowy wasze i milczcie. Poznajcie pobudki, wprzód nim postępek osądzicie. Arcykapłan uległ nieprzezwyciężonej pokusie. Nazywacie go, w waszej nieświadomości, przestępcą praw państwa; gdyby był inaczej postąpił, byłby przestępcą praw natury. Zapraszam go dziś do siebie, nazajutrz zaś daję publiczną ucztę, na której każdy mieszkaniec Rzymu spróbuje tego, com ja dziś skosztował. Dnia trzeciego będziecie stawiać posągi wielkiemu wynalazcy!“

Stało się jak rzekł i od tego czasu... bifsztyk uzyskał nieśmiertelność.

* *Bifsztyk i pałka.*

Prawdę mówił król Salomon:
„Nihil novi est sub sole!“
Człowiek, ludzkość, wszechświat cały
W kieratowem drepczą kole;
Jak w wertepie jasełkowem
Przesuwają się przez Ghetto
Dzieje ludzie i ideje,
I... świat cały jest tandetą!

To, co w wiekach wre wulkanem,
Co dziejowych kół zwiem ruchem,
Jest jedynie wieczną wojną
Głodnych brzuchów z sytym brzuchem.
Jeden zowie to ideją,
Drugi — misyją to okrzyka,
A tu chodzi o krup garniec
I o większy kęs bifsztyka.

Byli głodni—są dziś głodni,
Byli syci — są dziś syci;
Syty chce w spokoju trawić,
Głodny patrzy, gdzie coś schwyci.
A że każdy program stawia,
Po naradzie z swym żołądkiem,
Zatem głodny — „chce postępu“,
Syty brzuch — „jest za porządkiem!..“

Wielka dziejów tandeciarka
Łata stary grat historyi,
Dobierając „mężów chwili“
Dla obydwóch tych teoryi,
Lecz nie jeden, co dziś w świecie
„Mężem opatrzności“ zwie się,
Zwał się niegdyś — „Schinderhannes“
I—rozbijał ludzi w lesie.

Przechodzonych Tamerlanów
Handełeska dziejów łata,
I sobotnim zszywa sztychem
Na niedzielny jarmark świata:
Jeśli w Kruppy się uzbroi,
Zbój się staje „Bożym biczem“,
Jeśli w pałkę — to Atylla
Zwie się — Neczyperowiczem [1]).

---

[1]) Głośny swego czasu w Galicyi brygant.

Sprowadziwszy zatem kwestyję
Do takiego mianownika,
Krążą wiecznie świata dzieje
Koło pałki i bifsztyka;
Wiecznie jedno i to samo,
Choć pozornie rzecz się zmienia,
I w tem słowie: „Małe porcyje!"
Streścisz—wieków zagadnienia!

Szczutek.

Bigos litewski.

* W kociołkach bigos grzano... W słowach [wydać trudno
Bigosu smak przedziwny, kolor i woń cudną;
Słów tylko brzęk usłyszy i rymów porządek,
Ale treści ich miejski nie pojmie żołądek.
Aby cenić litewskie pieśni i potrawy [wy;
Trzeba mieć zdrowie, na wsi żyć, wracać z obła-
Przecież i bez tych przypraw potrawą nie lada
Jest bigos, bo się z jarzyn dobrych sztucznie [składa.
Bierze się doń siekana, kwaszona kapusta,
Która, wedle przysłowia, sama idzie w usta;
Zamknięta w kotle, łonem wilgotnem okrywa
Wyszukanego cząstki najlepsze mięsiwa;
I praży się, aż ogień wszystkie z niej wyciśnie
Soki żywne, aż z brzegów naczynia war pryśnie,
I powietrze dokoła zionie aromatem...

Mickiewicz „Pan Tadeusz". (p. str. 19).

* Ciekawyś powodzenia mego w Nieborowie?
Dość dobrze mi tu służy powietrze i zdrowie:
Gdy spełnię mą powinność, myślę o zabawie,
Idę czasem muz słodkiej przysłuchać się wrzawie.
Myśl mi raz przyszła, nie wiem głupia, czy ro- [zumna,
Lecz czy taka, czy jaka, zawsze pewnie dumna:
Chciałem zostać poetą, siadłem na Pegazu,
Siodłam przypiąć nie umiał, upadłem do razu,
Stękałem pod Parnasem, a przecież w godzinie
Przyszły do mnie tej góry z Horacym boginie.
Prosiłem ich o służbę, chętnie mnie przyjęły,
— Do czego jesteś zdatny?— pytać się poczęły.
Horacy rzeknie: „Zwolna niechaj się sposobi
Oddać go do kucharzy, niech bigosy robi".
Zaraz mi też podano różnego mięsiwa,
Przypraw różnych, korzeni oraz i warzywa,
Jam to zsiekał, pomieszał, potrawę zrobiłem,
Nazwano to bigosem, prawdą przyprawiłem.
Zważałem, przyjacielu, to po tobie zawdy,
Że najwięcej lubiłeś przyprawy od prawdy:
Posyłam ci mojego cośkolwiek bigosu,
Że mizerny, wiem o tem, nie wart pochwał [głosu
Ale prawdy w nim wiele. ,,To cud'', rzeczesz, [,,kiedy
Prawda już naostatek przyszła do tej biedy".
Wszakże cnota i teraz po żebraniu chodzi,
Nędza jej asystując, od drzwi do drzwi wodzi.
Zewsząd nieboga została wypchnięta,
Prosiła panien, by była przyjęta,
Te jej groziły, że połamią nogi
Jeśliby śmiała wstąpić na ich progi.
Poszła więc dalej, biedna, na wędrówkę,
W drodze spotkawszy mężatkę czy wdówkę
O wsparcie onej gdy prosić zaczęła,
Takąż jałmużnę jak od panien wzięła.
Wstapi po drodze w klasztorny zaciszek,
Myśląc, że weźmie jałmużnę od mniszek;
Te, nieustanne wiodąc z sobą swary,
Precz ją wygnały, mówiąc, że to czary.
Gdy jej głód bardziej dokucza i cięży
Udać się jeszcze zamyśla do księży;
Ci być się zdali łagodni z pozoru,
Wnet na modlitwę wzięli ją do chóru,
A potem rzekli: „Czcimy cię jak bóstwo
Lecz my przysięgli takoż na ubóstwo";
Wtem ją pobożnie za furtę wypchnęli
I kapitułę natychmiast zaczęli.
Ztamtąd w rozpaczy do biskupa idzie,
I jemu o swej opowiada biedzie.
Ten jej odpowie: „Mam siostry, mam krewne,
Muszę im dawać wsparcie zawsze pewne".
Odtąd już wszystko wspak idzie na świecie:
Nikt niechce orać, świnia perły gniecie,
Możny słabszego uciska bez miary,
Na uczty idą pobożnych ofiary,
Chłop, zamiast pługa, z szablą idzie w pole,
Szlachcic cepami len młóci w stodole,

Baba z ożogiem praw krajowych broni,
Żołnierz za piecem nieprzyjaciół goni,
Kot za szafarza, kozioł ogrodnikiem,
Złodziej podskarbim, podskarbi dłużnikiem.
Na wiatr, nie widząc złodzieja, pies szczeka,
Sędzia pieniądze sądzi, a nie człeka,
Ślepy sam bieży, widomych prowadzą,
Szelmów podnoszą a poczciwych zsadzą.
To nic jeszcze, lecz to cuda,
Gdy pieszczony syn się uda,
Gdy w przyjaźni nie jest wada,
Gdy bez płacy patron gada.
Raz tu sławny szedł jurysta,
Na przechadzkę, kroków z trzysta,
Znalazł w drodze — co? sumienie!
To sprawiło podziwienie;
Lecz rozumiał, że to chusta,
Patrzcie, jaka głowa pusta.
Ktoś mu rzecze, z za ramienia,
Że jur każdy bez sumienia —
On wnet sumienie ukazał,
A że tamten sławę zmazał,
Patrzcie: dekret stanął dziwny,
Musiał za to płacić grzywny.
Równe wszak zawsze z równem przestaje.
Równe przy równem lepiej się wydaje,
To w gatunkach widzim wszelkich
Małe z małych, wielkie z wielkich:
Wielkie świdry — wielkie dziury,
Wielkie chłopy — wielkie rury,
Wielkie źródło — wielkie strugi,
Wielkie pany — wielkie długi.
Równe z równem, to jest ładnie,
Lecz przeciwnie — często padnie:
Sława wielka — rozum mały,
Mężczyzna, a zniewieściały.
Piękne suknie -- brzydkie ciało,
Wiele kobiet, a żon mało.
Jedno niebo — wiele bogów,
Mało mężów — wiele rogów.
Wiele słów, a mało wiary,
Wiele zbrodni — mało kary,
Mały przychód — wielkie długi,
Wielkie pany — małe sługi.
Mały parkan — wielkie wrota,
Piękna panna — brzydka cnota.
Mało niewiast — wielka wrzawa.
Tłusty sędzia — chuda sprawa.
Kotka łowi a kruk kradnie,
Co w tem myślę, niech kto zgadnie?
Choć poczciwie młynarz miele,
Ale worków kradnie wiele.
Owczarz owce strzeże wiernie,
Lecz, kraść myśląc, pędzi w ciernie.
Burmistrz, nim wszedł do rady, jadał groch z kapustą,
Teraz daje biesiady z sztuką mięsa tłustą.
A to zkąd?
Tak to bywa, tak się dzieje,
Różnie wiatr na świecie wieje.
Kto chce zgryzot, niech się żeni,
Żona zaraz myśl odmieni:
Kto chce rogów — niech ma ładną,
Kto chce kłopot — niech ma zdradną.
Kto chce biedy — weź ubogą;
Jakąkolwiek pójdziesz drogą,
Zawsze dla cię będzie z stratą:
Chcesz wymówek — weź bogatą.
Trzy na świecie klęski wielkie:
Głód, powietrze, wojny wszelkie.
Zła kobieta i zażarta
Ta jest, wierz mi, klęska czwarta!
Człowiek, któren rozumu dla swej głowy szuka,
Znajdzie, niechajno tylko do drzwi mądrych puka.
Gdy kto głupi,
Któż go kupi?
Jednak głupcy chleb też jedzą,
Często i w urzędach siedzą.
W świecie taka mięszanina,
Jak z kapustą groch, słonina,
Gorzej niż w moim bigosie.
Wszystko jest w odmiennym stanie
Jako w chłopie, tak i w panie:
Jaka sprawa — taka sława,
Jaka woda — taka nawa.
Jaka dziura — taka łata,
Jaka praca — taka płata.
Jaki ptaszek — taki dziobek.
Podług handlu i zarobek.

Jakie miasto — takie mury,
Jaka wioska — takie gbury.
Jaki pasterz — taka trzoda,
Jaki kupiec — taka moda.
Jakie skrzypce — taki smyczek,
Jaki złodziej — taki stryczek.
Jakie drzewo — taka kora,
Jaka matka -- taka córa.
Jaki klocek — taki klin,
Jaki ojciec — taki syn.
Jaki korzec — taka ćwierć,
Jakie życie — taka śmierć.
Qualis vita — finis ita.
Minus de genus, si es constructio bonus.

Z rękopisu XVIII wieku.
„Perły humoru polskiego“.

Bitwa o chorążankę.

— Popróbujcie się, popróbujcie, to nie zaszkodzi — zawołał chorąży i odszedł do innych pokoi.

A Niezabitowski tymczasem koło panny jak przybił; wąs pokręca, czuprynę gładzi, w tył wyloty zarzuca a ustami coś szepcze, że aż się panna rozpływa. My zaś gotujemy się do batalii. Aż już i wieczór zapadł i noc nadeszła.

Więc zasiedliśmy koło stołu i rozmawiając to o tem, to o owem, jak to zwyczajnie sąsiedzi, krzykamy po trochu i zapijamy nasze frasunki, a Niezabitowski, jako to światowy kawaler, którego by ani batogiem nie odsmagał od ładnej podwiki, jeszcze wciąż siedzi na tamtej stronie i, szyjąc buty Żurowskiemu, wiercipiętuje.

Nareszcie wchodzi: mina gęsta, wąs wymuskany, oczy mu błyszczą jak kotowi z północy; widać kontent ze swoich około panny sukcesów, a Żurowskiego aż dyjabli biorą z zazdrości, więc szepnie Deręgowskiemu:

— Podobno, panie bracie, nie ma się z nim co brać na mokrą broń, możeby lepiej iść zaraz na suchą?

Wtem Niezabitowski:

— A to panowie już przy szklenicy, mnie nie przywoławszy? Może już nawet, jako *sero venienti*, ledwie się ogryzki dostaną?

— Nie bój się waszmość — rzeknie Żurowski — nie dają w sanockiem gościom ogryzków! Czekając na waszmości, samiśmy od ogryzków zaczęli.

Więc po szklenicy ten do tego, tamten do owego, przytem gawęda i huczek potroszku, jak to zwyczajnie przy winie.

— He, he, tu widzę w sanockiem wino rośnie, jakby na Węgrzech.

— Nie rośnie — odpowie Żurowski — jeno go nam węgrzy przysyłają na wychowanie, aleśmy jeszcze ani jednej flaszy nie wychowali. U was to, przemyślaków, muszą być wina węgierskie stare, bo je chowacie, a kiedy do was kto przyjedzie, to go poicie niemieckiemi albo francuzkiemi kwasami, że fermentuje potem w brzuchu, jakby w kadzi browarnej i to jeszcze durszlakami pijecie.

— Proszę bardzo — na to Niezabitowski — mamy wina stare, bośmy gospodarni z pradziada, ale jeszcześmy ani starego ani młodego nikomu nie pożałowali. A kto z nas pije durszlakiem, to się dziś przekonamy.

— Owóż o co nam idzie.

— Służymy waszmości.

— Więc dalej!

Po dobrej chwili i wysuszeniu kielichów Deręgowski rzecze:

— Panie bracie, nie damy mu rady; ja go wezmę na sztuczki — a do chorążego: — panie gospodarzu, każno jegomość podać obrączkowego.

Obrączkowy, był to kielich, na którym były dwa równo od siebie odległe, także szklane, ale złotem nacyfrowane obręcze, tąk, że niemi był na równe trzy części podzielony. Pierwszym haustem trzeba było nadpić ni mniej ni więcej, jeno po pierwszą obrączkę, drugim po drugą, trzecim do dna; kto przy pierwszym albo przy drugim hauście się omylił, temu dolewano znowu do wierzchu i musiał zaczynać na nowo.

— Asańtwo sobie pijcie za stołem — rzecze Dęrgowski — a my z panem starościcem popróbujemy się obrączkowym.

— Dobrze mości stolniku, dobrze — odpowiada przemyślak — jak mi zagracie, tak wam będę tańcował.

— Ale rozbierzmy się, żeby nam nic nie ciężyło.

— Dobrze, rozbierzmy się!

I pozrzucali ze siebie zwierzchnie szaty, że jeno zostali w koszulach i w hajdawerach, i tak stanęli przy beczce; jeden po jednej stronie czopa, drugi po drugiej, że wyglądali jakoby dwaj Bachusowie z greckiej mitologii; jeno Niezabitowski był o dwie głowy mniejszy od Deręgowskiego. Więc my pękamy od śmiechu a oni piją. I tak: co Deręgowski łyknie raz, dwa, trzy, to zawsze powtarza: „Panie Boże, odpuść mi grzechy moje!“ i nalewa Niezabitowskiemu. A starościc co pociągnie, to zawsze albo niżej, albo wyżej obrączki, i klnie od samych najjaśniejszych piorunów, a chociaż ledwie co piąty kielich do dna wypróżnić udaje mu się, jednak mówi: „Nic to, nic to, panie stolniku, chocieś wielki i gębę masz wielką, jednak mojej małej nie zakasujesz; za to ci ręczę“.

— Obaczymy — odpowiada Deręgowski — nie mów hoc, aż przeskoczysz. Albo ty wiesz, co czynisz? Może już dawno śpisz jak bez duszy na ziemi, a jeno sen masz taki, że ze mną pijesz?

— Hola! hola! — zawoła Niezabitowski — dajmy temu pokój. Ale wiesz co, na co nam się szkłem bawić? Tak sobie nie damy rady. Ale zróbmy tak: niechaj każdy się położy pod beczkę i koniec czopa weźmie w gębę, drugi mu kurka nakręci. Położymy zegarek na stole, a dwóch świadków będzie rachować minuty. Kto dłużej będzie pił bez ustanku, ten wygrał.

Mróz poszedł po Deręgowskim, bo już tęgo był pijany, ale rzecze:

— Zgoda! przystaję.

— Przystajesz! — odpowiedział Niezabitowski, siadając na ławie i opierając się obydwiema rękami na stole. — Ale o co się założymy?... Ja stawię...—i resztę już niezrozumiałą mową, kiwając się, mruczał sobie pod nosem. Widać miał już zadosyć... Co widząc Deręgowski, jeszcze jako tako nogami dzierżąc się ziemi, przybliżył się do Żurowskiego, także tęgo pijanego, bo myśmy tu także niepomału ciągnęli za stołem, i rzecze:

— Wiesz co, panie bracie, aby się na wieki pozbyć tego adonisa, jak zaśnie, weźmy go po cichutku na ręce i zanieśmy na tamtę stronę do kobiet. Tam drzwi niezamknięte, w drugiej izbie śpi chorążanka, położymy jej kawalera przy łóżku na ziemi. Jutro, jak się przebudzą, będą myślały, że sam tam zalazł i przepadnie na wieki!

— Cha, cha, cha — zaśmiał się Żurowski — a to mi koncept i daj ci Boże zdrowie za niego

Aż tu patrzymy, a chorąży, sam własnoręcznie, niesie kosz nowych butelek. Widok nielada, szyjki oblepione smółką, a całe butelki tak mchem porosłe, jak owe skały po lasach, których nie mało w sanockiem.

— To do poduszki, panowie bracia — rzekł chorąży. — Niech sobie przemyślanie mówią co chcą, a to wino kupował mój ojciec, kiedy z Krakowa, z pogrzebu króla Jana III powrócił.

— Wiwat! niech żyje gospodarz! — zawołali wszyscy; a tymczasem Żurowski do Deręgowskiego:

— Trzebaby mu jeszcze wlać kielich tego, aby mu się dobrze spało.

— A wlać mu!

Tymczasem przypatrujemy się butelkom: jedna była inna jak tamte i szyjkę miała w blachę zakutą.

— A co to? — pytamy.

— Petercyment prawdziwy — odpowiada chorąży — jeszcze po moim dziadziu; ktoby lubiał, to proszę, ale nie radzę.

— Nie radzi? — rzecze Żurowski — dać go Niezabitowskiemu.

— Pal mu petercymentu!

— Petercymentu — rzecze Żurowski — bo to szlachcic z pszenicznej ziemi, to możeby mu nie smakowało węgierskie.

Budzą Niezabitowskiego.

— Będziesz pić petercyment?

— Dawajcie! niechaj i smoła będzie, kiedy piję to piję!

I wlali mu w gardło blizko pół flaszy tego starego pieprznego i korzennego wina, że takie gęste było, jakby patoka...

My ciągniemy dalej i czekamy tylko, rychło się Niezabitowski wywróci pod stół, ale patrzymy, patrzymy i nic mu, aż nareszcie zerwie się raptem i stanie tak wyprężony jak struna... Popatrzywszy mu w oczy, zadziwiliśmy się wszyscy, a Deręgowski nawet rzekł:

— Masz ci petercyment! Zamiast go z nóg zwalić to go jeszcze na nie postawił.

— Kroć dyjabłów! — zawoła Żurowski — charakternik od kufla? czy co?

Petercyment, który był tak mocny, jak najtęższy spirytus, zrazu go tak na nogi postawił, ale ani jedno *Ave Maria* nie minęło, kiedy padł na ziemię jak drzewo...

— *Requiem aeternam!* — huknęliśmy całym chórem i na trupie przemyślaka wypiliśmy po kieliszku. Dopieroż Załęski i Brześciański, ci, którzy do konspiracyi na Niezabitowskiego należeli, wzięli chorążego na stronę, prosząc, aby sobie wczas zrobił i nie nużył się dłużej, a w rzeczy uczynili to dlatego, aby nie widział, jak będą adonisa nieść naprzeciwko, na co by był nigdy nie mógł pozwolić. I tak się stało. Chorążego odprowadzono do łoża, a my co młodzi, bierz adonisa na ręce i cichutko, na palcach idąc, wnieśliśmy go na drugą strone, gdzie na kilkunastu łóżkach, w kilku pokojach, spoczywały kobiety. Gdzie go tu położyć? gdzie? gdzie? bo ciemno było, jak zwyczajnie w nocach jesiennych. Więc w drugim pokoju położyliśmy go koło pierwszego lepszego łóżka i byłby tam najspokojniej był spał aż do rana, gdyby nie następujący wypadek...

Kiedyśmy nieśli Niezabitowskiego, przyczepił się do nas niejaki Hubczyc, młody i hudobny szlachetka, aż z za Małgoszczy. Ten przed rokiem starał się był o pannę Osuchowską i dostał harbuza; dawno przemyśliwał o zemście, lecz nic nie zrobił, aż teraz mu się dobra wydawała okazyja, bo panna Osuchowska także tam była w gościnie i spała w owych pokojach. Nic więc nie mówiąc nikomu, a jak to pijani zawsze dziwne koncepta miewają, znalazłszy żabę żywą na dziedzińcu, wziął ją z sobą i, podczas kiedy myśmy zajęci byli układaniem Niezabitowskiego, włożył ją pannie Osuchowskiej śpiącej pod kołdrę. Wyszliśmy, Hubczyc z nami jakby nic nigdy nie było, i poczęliśmy się w sali, żartując i śmiejąc się, na rozścielonem sianie układać.

Ale jeszcześmy ani pacierzów nie odmówili, kiedy nagle robi się wielki krzyk naprzeciwko. Słyszymy to, ale żeśmy byli tęgo pijani, śmiejemy się; ale jak wpadła do chorążego jedna, a do nas druga garderobiana, ze światłem i z krzykiem: „Dla Boga! ratujcie waszmość panowie! więc jaki taki nazad żupan na siebie, i wpadamy na tamtą stronę.

Sąd Boży! Kobiety powyskakiwały z pościeli, i ze świecami w ręku kupią się po przyścianach, krzycząc i lamentując, żaba skacze po środku izby... a Niezabitowski, w koszuli i w hajdawerach karmazynowych, zatacza się po izbie i woła: „Ho, ho, ho! nie ze mną to na kieliszki! siedmiu takich przepiję! dziesięciu pognębię! całą ziemię przekąszę!“...

O tej żabie, zkąd się wzięła, bylibyśmy nic nie wiedzieli i byłaby poszła na rachunek tego, że nizkie okna, albo że drzwi nie były zamknięte, ale Hubczyc, przestraszony tym gwałtem i wytrzeźwiony odrazu, poskoczył i pochwyciwszy żabę, ukląknął z nią na środku izby, wołając płaczliwym głosem:

— Przepuśćcie mnie, waszmość panie! Ja się tylko na pannie Katarzynie mścić chciałem, że nie chciała iść za uczciwego szlachcica.

Dopieroż pani miecznikowa Koniecka, ciotka całego świata a wielkiej wymowy i lat 50-ciu kobieta, nuż do niego jakby na pytlu:

— A to waszeć włożyłeś żabę pannie Katarzynie? Waszeć taki niecnota? Fe, fe, fe! wstydź się waść, wstydź się! Dziecko takiego uczciwego domu tak potraktować! panienkę takiej edukacyi tak zhańbić, zakradać się nocą do niewieścich pokojów, z żabą w ręku, z tak obrzydliwym potworem w ręku! A czyż tu nie ma tu już nikogo, ktoby się ujął za honor tego biednego dziecięcia? Panie cześnikowiczu, gdzie jesteś, czy się nie ujmiesz za moją siostrą? Nie ma go! o Boże! jakież to czasy nastały! — a do Niezabitowskiego: — A waćpan, człowiek tak rozumny, kawaler taki światowy, taki elegant!... Toż to taki elegant z waćpana, co nocami straszy lękliwe kobiety? co się zakrada pod pawilony? co rozebrany, Boże odpuść! prezentuje się przed płcią piękną? Czy tak robią w przemyskiem? Toż po to przyjechałeś z wielkiego świata i wystroiłeś się w lamy, altembasy, kutasy, aby się chyłkiem wkradać do naszych sypialń?... O, jeżeli tak myślisz, toś się bardzo omylił... zaraz mi się ztąd wynoś... Panie chorąży, bardzo proszę waszmości, abyś nas zaraz uwolnił od tego potworu... Mości panowie! czyż się nie ujmiecie za nami? Czy nie pokażecie temu przemyślakowi, że tu dla nich w sanockiem...

Tymczasem Niezabitowski, który patrząc na oratorkę, ustawicznie się kiwał.

— Tfu! — rzecze — jeszczem takiej baby nie widział! — i tupnąwszy nogą: — A nie skończysz że raz?

Niebawem jednak wszystko się uciszyło, a jedna i druga strona bereszczańskiego dworu usnęła snem kamiennym.

Koło południa, nazajutrz, zeszliśmy się wszyscy przystojnie ubrani i umyci do sali, niby to do śniadania, ale nic nie pito i nie jedzono. Zrobiliśmy sejmik formalny, marszałkował na nim gospodarz, woźnego udawał Krajewski, bo miał głos taki mocny, że jak krzyknął blizko okna, to szyby pękały. Zaskarżenie ze strony kobiet było już w głowie gospodarza, ale pierwszy głos zabrał Niezabitowski w te słowa:

— Nie jestem ja wielkim oratorem i nie umiem, jako drugi Cicero albo Demostenes, mówić ozdobnie i składnie; ale co mi serce moje dyktuje, to powiem — krótko i węzłowato. Mości panowie! jestem obcy pomiędzy wami, ale nie kupiony przez was, ani wzięty w niewolę, jeno w gościnie. Wedle ojcowskich naszych obyczajów, gościowi należy się cześć i obrona od gospodarzy; a jakże ze mną postąpili sanoccy ziemianie? Zaledwie w Tartaryi i albo na Tureczyźnie...

— Za pozwoleniem!... — przerwał chorąży.

— Ale ja w to nie wchodzę. Obraziliście mnie i kwita, a ja obrazy płazem nie puszczam i deprekacyi żadnej przyjmować nie zwykłem.

Po dłuższej zwadzie, w której Niezabitowski domagał się honoru swego salwowania, stanął pojedynek między nim a Żurowskim, z rady zaś świadków wypadło tak: aby się bili *eo instante*; na pałasze, każdy swoim, na dziedzińcu przed gankiem.

— Zgoda! — zawołali wszyscy, kiedyśmy ogłosili *decretum*, poczem zaraz Żurowski i Niezabitowski w żupanach tylko zostawszy i gołe tylko klingi wziąwszy do ręki, wyszli przed ganek.

My za nimi natychmiast...

Zapaśnicy, wyszedłszy za gazon, stanęli zrazu o jakie dziesięć kroków od siebie, i, oparci na szablach, patrzyli każdy w inną stronę. Dopiero Deręgowski, obróciwszy się do szlachty w ganku stojącej, głos zabrał.

— Z obowiązku mojego, jako sekundant, nie pozostaje mi nic, jak tylko jeszcze po raz ostatni przestrzedz waszmość panów, że to jest *ultimum momentum* do zgody.

— Nie może być! — rzekli obadwaj prawie w jednym momencie.

— Tedy poczynajcie w imię Boga!

Więc natarli na siebie z wielką fantazyją i ogniem, to znów odskoczyli, ten się skrada na lewo, a uderzy na prawo, ów, złapawszy cięcie,

bije na głowę i znów odskakuje... aż raz, jeden tylko dźwięk słychać było i wołają z ganku: „krew! krew!“

Nimeśmy się oglądnęli, już Żurowski siedział na Niezabitowskim, jakby ogar na dziku. Bronił się biedak jak mógł, ale gębę miał rozpłataną po lewej stronie, od skroni aż poniżej wargi dolnej. Jam się rzucił rozrywać, ale jak mię któryś machnął po głowie, kucnąłem. Patrzę z ziemi, Deręgowski trzyma swego w powietrzu za kołnierz, który się jeszcze rzuca i szablą macha; Niezabitowski leży we krwi, na ziemi, ręką się trzyma za gębę. Miał on ran więcej na sobie, było i na głowie, i na karku, i na ramieniu; ale i Żurowskiemu się oberwało w tym ogniu, jak to zwyczajnie w bitwie człowiek i nie czuje kędy tam ktoś dopiecze, a po bitwie zawsze się coś znachodzi...

Z. Kaczkowski. (p. str. 19).

Bilecik.

* P. radca, Narcyz Pafnusiewicz, wstał rano w złym humorze; przyczyną tego była prawdopodobnie wczorajsza przegrana w preferansa i perspektywa zobaczenia się z prezesem biura: oglądał się więc tylko, na kimby wywrzeć swój gniew tajony.

Naraz spostrzegł pod oknami swego mieszkania młodego człowieka — przepraszam... młodego urzędnika, p. Alfonsa Brzezinę, przechadzającego się tam i napowrót.

— A ten czego tu chce? — mruknął do siebie p. Narcyz — Przecież nie dla mnie, ani mojej żony, ni też dla małego Teodorka włóczy się po chodniku... ah, to Józia pewnie — a toż oni mogą nietylko robić oczy do siebie, ale rozmawiać — ba, nawet rzucać bileciki... i z tą myślą otworzył raptem drzwi do przyległego pokoju, gdzie zastał swoją 16-letnią siostrzenicę Józię, stojącą przy otwartem oknie. Za wejściem wujaszka dziewczynka zmięszała się trochę i zacisnęła lewą rączkę.

— Dzień dobry, duszko — rzekł p. radca z chytrym uśmiechem, biorąc ją za rękę — czy też obcinasz paznokietki? Pamiętaj o tem, nieraz słyszę, brzęczą po klawiszach, jak się egzercytujesz... No, pokaż drugą łapkę.

Panienka, rada nie rada, podała lewą, w której znalazł się zmięty różowy papierek.

— Aaa — a to co jest?

— To?

— Tak, to?

— To, list proszę wujaszka.

Pafnusiewicz zaczął szukać na wszystkie strony binokli, lecz rozstąp się ziemio, przepadły — a bez nich nic zgoła wyczytać nie mógł.

— Przeczytaj-że mi ten list — odrzekł z miną surowego sędziego.

Józia odkaszlnąwszy zaczęła:

— „Aniele...

— Ah, początek niezły.

— „Jakże ci mam przedstawić słodkie męczarnie namiętności...“

— Słodkie męczarnie! Jeżeli tu jest jaki sens?! Słodkie męczarnie — słodko-gorzka woda.

Panna czytała dalej:

— „Niepodobna opisać szalonych porywów serca biednego...“

— Czemuż u dyjabła pisać jeżeli niepodobna?...

— „Całą noc o tobie tylko marzyłem...“

— Głupiec!... spałbyś lepiej, a do biura poszedł wcześnie... a on przemarzył... przemarzył...

— „Przedemną — we mgle wyobraźni — jaśniał twój dziewiczy obraz — wzrok twój gołębi — ta szyjka łabędzia — nóżki lekkie jak u gazelli...“

— Ha, ha, ha, cały gabinet zoologiczny!

— „Rozkoszne sploty twych jedwabistych włosów — aksamitna brewka — twoje rączki atłasowe...“

— Masz tobie — teraz kolej na towary bławatne... perkalowe czoło, skórkowe uszy...

— „Twoje pulchniutkie, muzykalne rączki...“

— Osioł!

— „Im więcej upajałem się tym snem czarownym, tem większy gniew zapalał się we mnie

przeciw głupcom bez serca, którzy nas rozłączają..."

Tu wujaszek wyprostował się jak bohater tragedyi.

— To taki szacunek dla domowego ogniska?! Dosyć tego, dosyć! — krzyknął — I ta nikczemna bazgranina podpisana?

— Tak — odpowiedziała Józia, odwracając stronnicę — podpisano: „Twój do grobu — Narcyz".

— Jakto Narcyz — dawaj mi to zaraz.

Porwał list i znalazłszy nakoniec binokle na swojem biurku... spojrzał... i przekonał się, iż ten „namiętny Narcyz" był nie kto inny, tylko on sam, to jego ręka, pismo lat młodości!

— Co, co to znaczy — zkąd to masz?

— Wujaszku, znalazłam w jadalce na podłodze...

P. radca pogładził resztkę włosów, przypomniał sobie, że wczoraj porządkował papiery, i że bilecik, ni mniej, ni więcej, jest echem jego dawnych grzeszków...

Zaśmiał się przymusowo.

— Ha, ha, to twój wuj Józiu, strasznym musiał być bałamutem, zmiłuj się — tyle lat! ha, ha, ha, sto pociech!... *Plagiat*

Bilety wizytowe.

* Pewna znakomita dama przyjęła do służby młodego, zręcznego chłopca, świeżo przybyłego ze wsi... W kilka dni później, owa dama, wybrała się z wizytami do znajomych, lecz, siedząc już w powozie, zauważyła brak kart wizytowych.

— Janie — rzekła do swego nowego lokaja — zapomniałam kart wizytowych, leżą na moim stoliku, pobiegnij, przynieś je i zachowaj u siebie.

Jan spełnił szybko polecenie i za chwilę siedział już obok stangreta.

Pani odbyła zwykłą kolej swoich wizyt, a jeśli nie zastała kogoś ze znajomych w domu, rozkazywała złożyć tam jedną lub dwie karty wizytowe. W ostatnim domu poleciła Janowi wręczyć trzy karty.

— Nie wystarczy już, proszę wielmożnej pani — odrzekł służący — mam tylko asa treflowego i siódemkę kier!

Biografija niezrównanego La Palisse.

* Pan La Palisse umarł!...
Umarł przed Padwy zdobyciem —
Niestety! — gdyby nie umarł
Nie byłby się rozstał z życiem...

Cnót był wcieleniem (ach, wieluż!)
Któż to wyśpiewa, opowie? —
I gdy nakładał kapelusz
Mieścił go zawsze na głowie...

Miał wybornego kucharza,
Co mu przyrządzał pasztety —
A jak to często się zdarza
Ser, leguminę, omlety...

Chętnie się imał szklanicy
Z małmazją różową, białą. —
Im mniej zaś win brał z piwnicy,
Tem się tam więcej zostało...

A jeśli w wiejskiem ustroniu
Bawił przy swojej niewieście —
Ten by napróżno czas trwonił,
Kto by go znaleźć chciał w mieście.

List pożegnalny napisał
Do króla, w chwili skonania —
Niestety — gdyby nie pisał,
Król by nie czytał pisania...

Biednym był niegdyś — i wtedy
Nie mógł się nazwać magnatem —
Ale nie zaznał już biedy
Gdy stał się bardzo bogatym...

Spędził nie jeden wieczorek
Z piękną ludzkości połową —
I tłusty obchodził wtorek
Przed środą, przedpopielcową...

Wcale się prawie nie bawił
W Hippokratesa doktryny —
Lecz skutek zawsze się zjawił,
Ilekroć zażył riciny...

Gdy potrzebował pieniędzy,
Sprzedał majątek swój — Eden —
Sprzedał by może i więcej,
Lecz, na nieszczęście, miał jeden.

Kończę więc, pełen uznania
W te słowa godne wyrycia:
Był moment jego skonania
Ostatnim momentem życia!
Przełożył *H. U. Mor.*

B. de la Mormoie — poeta satyryczny, urodził się w Dijon roku 1641, zmarł w 1728. Pióro niepospolicie cięte, dziś zapomniane.

Biuro.

* Pan naczelnik biura do jednego z podwładnych:

— Jeżeli się panu zdaje, że pan jesteś tem czem ja — to... to... pan jesteś osłem.

* *W biurze adresowem.*

Młoda panienka. Proszę pana o podanie mi adresu Julijana Krzyńskiego?

Urzędnik. A czy nie mogłaby mi pani udzielić jakich bliższych szczegółów?

Panienka (rumieniąc się). Hm... blondyn wysoki, a oczy... ma niebieskie jak anioł...

Urzędnik (uśmiechając się). To niedostateczne, proszę pani, potrzeba mi wiedzieć, co jest przedmiotem jego zajęcia?

Panienka. To... to... ja, proszę pana sekretarza.

* *W biurze pocztowem.*

Oddawca. Pakiet do Lyonu.

Urzędnik. Nie mogę przyjąć, musi być adresowane po francuzku.

Oddawca. Ależ to wszystko po francuzku!

Urzędnik. A „Müller“ to także ma być po francuzku? Nie panie!...

Biurokrata.

* — Zkąd pochodzi wyraz biurokrata?—zapytał uczeń swego guwernera.

— Oczywiście z greckiego — odpowiedział zapytany, ponieważ jak ci wiadomo, był Demokrates, twórca demokracyi, Aristokrates, zwolennik samowładztwa możnych, był więc i Biurokrates, który był pierwszym urzędnikiem: Ztąd też pochodzi nazwa *biurokrata*, używana powszechnie zamiast wyrazu „urzędnik“ lub „pracownik“...

Bizun.

* O! z wieków cudotworny synu byczej skóry,
Złych duchów exorcysto, poprawco natury,
Stróżu durnej młodości, proszku doskonały
Na upór, muchy w nosie, miłosne zapały,
Pod jakiemkolwiek słyniesz na świecie imieniem,
Czy cię kozak plecionym nazywa rzemieniem,
Czy lach basem bolesnym, lub swym obyczajem
Dziki z Krymu pohaniec ochrzcił się nahajem,
Tyś był wszystko przed laty, choć gruby sarmata
Nie wysyłał po rozum do obcego świata
Swych dzieci, ale przodków chwalebnym nałogiem
Bez wszelkich kosztów miewał kańczug pedagogiem
Moc twoja jak misterne dłuto pracowicie,
Krzesząc wióry i w martwe pieńki wlewa życie;
Ty polor, ty lustr dajesz i wdzięki powabne,
Ty w grzeczną młodzież, Bartki zamieniasz niezgrabne,
Rura, niechluj, basałyk, wnet francuzem został,
Gdy z kołka „makarym“ pan ojciec wychłostał.
Dziś twe szerokowładne znikło panowanie,
Płaczą rzewnie strapione boćki i ormianie.
Rzadko kto na twe kupno ściągnie dłoń do grosza,
Jedna tylko została poczciwa Wołosza,
Co płacąc pasterzowi swemu winne długi,
Niesie w hołdzie na klęczkach pobożne kańczugi.
Byłeś po dworach między najdroższemi sprzęty,
Wecując po kobiercach młode wiercipięty.
Aż miło wspomnieć jakto bywało przed laty,
Kiedy usiadł za stołem marszałek wąsaty

Na sądy, w czerwonego żupanie atłasu,
A dobywszy groźnego z pod żołądka basu,
Zgromadzonym mołojcom na gody niewdzięczne,
Wyliczał z kalendarza zasługi miesięczne:
Tyś się słowem grubijańskiem wyrwał nieostro-
[żnie,
Tyś swój i pański chował sprzęt nieochędożnie,
Tobiem mocno zakazał z panfilem się bratać,
Tobie szachrować, tobie pokryjomu latać,
Tyś plotka, ty łgarz czysty, a ty natręt zbytni,
Waszeci zasmakował bardzo trunek żytni,
Panicz się trochę przekradł, a ów miły szpaczek.
On, co to o północku zalatał do praczek?
Tak gdy wszystko opowie na te opłakańce,
W tem pleczyści za kmotrów wnijdą potrzymańce:
Iwan karet podpora, kwiat między hajdony,
I pajuk jegomościn Marcin poturczony,
W toż Matyjasz masztalerz, stangret opasany,
Zdolne męże z niedźwiedźmi w silne iść zapasy.
Zamkną się drzwi na rygiel, kloc w pośrodku
[stanie,
Hałas, tartas, obietnic świętych ponawianie:
A on licząc po ćwierciach bolesne dziesiątki,
Samorodnym indychem wrażał cnót pamiątki.
Oddycha, upomina, nie ustąpi kęsa,
Dopóki leniwego nie narąbie mięsa.
Bito wszędy, i młódź też lepsza była bita
Czego Piotr nie dobił albo jezuita
Dwory poprawowały, a gdy duch zacięty
Nie dał się zgiąć na szkolne i na dworskie pręty,
Żołnierze! wam ostatnia została robota;
W takim ogniu dać jeszcze próbę tego złota.
Tak przez różne przechodząc pletnie i batogi
Tracił wiek w pół szalony zwolna swe nałogi.
Aż też pożegnawszy się z namiętności tłumem.
Począł za przewodniczym iść tylko rozumem...

Bohomolec Franciszek, jezuita — ur. 1720 r. Wychowaniec akademii wileńskiej, później profesor tejże. Pracował w rozmaitych kierunkach, wydał: „*Komedyje*“ (tomów trzy), „*Rozmowy o języku polskim*“, „*Dziejopisowie polscy*“ (t. 4), oraz życiorysy: Ossolińskiego, Zamoyskiego, Orzechowskiego i Górskiego. Założył czasopismo *Monitor*, które redagował od 1769 do 1784 r. Redagował też czas pewien *Wiadomości warszawskie*. Zmarł 1784 r.

Blaga.

* Talizman jest, co szczęście rodzi
I życia złoci nam koleje,
Co jak ożywczy zefir chłodzi,
Lub jak słoneczny promień grzeje.
On jest balsamem na wsze bole
I los odpiera co cię smaga,
On w róże zmienia ci kąkole,
A jego święte imię — blaga!

Tym talizmanem w życiu zbrojny
Śmiało przygodzie patrzysz w oko,
I sypiasz bracie mój spokojny,
On bowiem wzniesie cię wysoko!
Blaga tchnie talent w twoje łono
I lauru wieńcem skroń ozdobi,
Blaga obdarzy cię mamoną,
Blaga cię nawet — świętym zrobi!

Jacek talencik miał malutki,
A w gruncie rzeczy był — nędzotą.
Lecz umiał zręcznie dać w swe dutki,
Więc z blagi swej — wykrzesał złoto!
Wszak, pisząc wiersze na karmelki,
Na Parnas wdarł się dziś znienacka,
I wkrótce nazwą go — nasz wielki!
A świat — uwierzy w genijusz Jacka!

Zosia, rozkoszną jakby kwiatek,
Prostotą, wdzięków oczy pasie,
Widząc przyszłości swej zadatek
W czystości serca swej i krasie.
Lecz świat, co hymny wówczas głosi,
Gdy go się blagą na lep chwyta,
Nie patrzy się na serce Zosi,
Ot gąska sobie to — i kwita!

Zaś Flora chuda jakby tyczka,
Sztuką pokrywa prawdę nagą
I świat tumani histeryczka,
Na każdym kroku świecąc blagą!
Więc crémy, pasty i turniury
Ruinie tej dodają blasku,
— Wnet się też dudek złapie który
W łatanych wdzięków samotrzasku!

Pan Kukufacki, stary sknera,
Co z lichwiarzami ma konszachty;
Pafnucy, który chłopów zdziera,
O posłannictwie każąc szlachty;
Pan Michał, co się wciąż poświęca
A kupił kamienicę czwartą...
Ta zacna zgraja łba nie skręca,
— Bo drogą blagi mknie utartą!

Tak ziemię zejdziesz blagą marną
A często trafisz i do nieba.
I wzrośnie siewu twego ziarno,
Gdyż blaga — to rodzajna gleba!
Więc wierzcie w blagi wpływ uroczy,
Jak w pierwsze pańskie przykazanie,
I sypcie ludziom piaskiem w oczy,
Blagujcie, ile sił wam stanie!

Ktoby zaś kraj chciał podnieść z nędzy,
Dodać mu blasku i powagi,
Niech zbierze fundusz i coprędzej
Otworzy kursa wyższej blagi!
A koszt się wróci w każdym względzie,
Obok zasługi i honorów,
Bo w takiej szkole zawsze będzie
I uczniów tłum i... profesorów!

Fr. Konarski. (p. str. 48).

* *Co to jest blaga?*

Było już około 10-tej wieczorem. Poważny pan Ezechijel kilkakrotnie spojrzał na zegarek, szpakowata pani Weronika kończyła robotę włóczkowej chusteczki, a pulchna mężatka, pani Balbina, bez ceremonii ziewała. Tak widoczne oznaki nudów zdolne były zakłopotać najmniej uprzejmego gospodarza; to też nie dziw, że znani z gościnności państwo Sylwestrowie, wili się jak dwie muchy w ukropie, zapewne rozmyślając nad sposobami ubawienia swoich gości.

Nagle, w chwili, gdy brwi zmartwionego pana Sylwestra dosięgły najwyższego położenia na czole, a koralowe usteczka pani Balbiny robiły się coraz podobniejsze do bramy zajezdnego domu, jedno pytanie, rzucone jak bomba przez eleganckiego Fabijana, spłoszyło anioła ciszy:

— Bardzo byłbym wdzięczny — mówił pan Fabijan — temu, ktoby mi dokładnie objaśnił, co znaczy tak powszechnie dziś używany wyraz blaga?...

— Nic łatwiejszego — mruknął poważny Ezechijel.

— Najzupełniej zgadzam się z panem! — potwierdził gościnny Sylwester.

— A .. ach!... — ziewnęła ponętna Balbina.

— Dobranoc państwu — szepnęła Mania, córeczka państwa Sylwestrów, rozkoszny 14-letni cherubinek, który miał wielką ochotę posłuchać objaśnienia wyrazu: „blaga“, lecz na dany przez troskliwą mamę znak, musiał opuścić rozbudzone towarzystwo i odejść do swego pokoju.

— Owe wyprzedaże zupełne, pożyczki premijowe, koncerta dobroczynne — mówił pan Ezechijel — owe wyrzekania na ucisk klas ubogich przez kapitalistów, wszystko to blaga!...

— Mój panie — odezwała się pani Weronika — po co mamy tak daleko szukać, kiedy w najbliższych znajomych nam kółkach, jest tyle blagi, że ta wystarczy do doskonałego objaśnienia wyrazu...

— No, żegnam państwa! — przerwała pani Balbina, nie mająca zwyczaju robić sobie z nikim ceremonii. — Uważam, że pani Weronika znalazła już swój ulubiony temat, nie chcę więc jej przeszkadzać...

— Ależ pani!... Ależ droga pani!... — zawołali jednocześnie gościnni państwo Sylwestrowie, zrywając się z krzeseł, zapewne dla zatrzymania tak przyjemnej osoby.

— Słowo daję, że nie mogę dłużej czekać... Mąż będzie niespokojny, a przytem głowa trochę mnie boli — tłómaczyła się pani Balbina, całując tymczasem damy i łaskawie podając rączki mężczyznom.

— Może pani dobrodziejka pozwoli sobie służyć? — spytał szanowny Ezechijel.

— O dziękuję! bardzo dziękuję! mam tylko parę kroków do domu. Adieu!...

I w kilkanaście sekund znikła.

— Zawsze do męża i zawsze przy mężu... co za doskonała kobieta! — zaczął gospodarz z dwuznacznym uśmiechem.

— Ach Boże! — zawołała z gniewem pani Weronika. — Oto jest dopiero przykład blagi. Niby to kocha męża, a ma kochanków tuziny...

— Jest napozór bardzo rozsądna i taktowna a przecież robi szalone wydatki i zaciąga długi — dodał Ezechijel.

— Pod pretekstem szczerości prawi ludziom impertynencyje — uzupełnił Sylwester.

— Tak, istotnie... — pochwycił miły Fabijan. — Pani Balbina bardzo szczęśliwie przyczyniła się do objaśnienia rzuconej kwestyi!... Lecz o Boże! — zawołał nagle — jest już kwadrans po 10-tej, a ja mam odwieźć z teatru moją siostrę, panią baronowę X., pozwolicie więc państwo, że pożegnam...

— Jaka szkoda — westchnęła Weronika.

— Nie godzi się, panie Fabijanie, przerywać rozmowy, której pan duszą jesteś — rzekła z najsłodszym uśmiechem pani gospodyni.

— No, trudno!... Jeżeli pan Fabijan ma odprowadzić panią baronową, to nie powinniśmy go zatrzymywać — zakonkludował gospodarz.

Gdy, po czułem pożegnaniu, gość zniknął, pan Ezechijel rzekł z bardzo uroczystą miną:

— Nie rozumiem, dalibóg! jakiem czołem ten młodzieniec dopytuje się o znaczenie wyrazu „blaga“, będąc sam tak doskonałym blagierem!...

— Jaki pan Ezechijel złośliwy! — szepnęła pani domu.

— To nie złośliwość moje dziecko — wtrącił gospodarz — ale sprawiedliwość. Nikt istotnie nie dorównał panu Fabijanowi w sztuce udawania, a i teraz nawet nie jestem pewny, czy zamiast do siostry, nie poszedł... no, gdzie indziej.

— Naprzykład za panią Balbiną! — odezwała się Weronika.

— Ależ droga pani!... — protestuje gospodyni domu.

— Mniejsza już o panią Balbinę — mówi Ezechijel — bo swoją drogą i bez niej Fabijanek jest blagierem. Ja sam znam parę wypadków, w których, doprawdy, ten chłopiec przeszedł samego siebie...

— Ta... ta jego pycha arystokratyczna jest przedewszystkiem blagą — przerywa Weronika. Wiadomo przecież, że ojciec jego był lokajem...

— Lokajem?... A cóż znaczy siostra baronowa?

— Znaczy to, że wyszła za fabrykowanego barona, który przed kilkunastu laty trzodą handlował.

— Ależ majątek samego Fabijana?...

— Gdzie on tam ma majątek! — odzywa się pan Ezechijel. — Pieczeniarzy przy wielkich panach, pożycza niby to dla nich pieniędzy u lichwiarzy, a przy tej sposobności i o sobie nie zapomina. Oto wszystko!...

— Bójcie się państwo Boga, czy to być może — pyta bolejącym głosem pani Sylwestrowa.— A zdawał się taki przyzwoity chłopiec!...

— Droga Klociu! — upomina ją mąż — droga Klociu, nie dziw że się tak znowu gwałtownie, bo ci przecież nieraz już opowiadałem o Fabijanie...

— Ależ kochany Ksawciu!...

— Ależ kochana Klociu!

Zapalającą się kłótnię małżeńską przerwał nagły głos dzwonka, gdy zaś gospodarz otworzył drzwi wchodowe, zebrani ujrzeli w przedpokoju służącego pana Ezechijela.

— Co się stało?! — zawołał pan Sylwester ze źle udanem zdziwieniem.

— A bo, proszę pana, jakiś pan był u nas trzy razy i powiedział, że się chce gwałtem z panem widzieć jeszcze dziś...

— Dziwna rzecz! Z prawdziwą przykrością będę musiał państwa pożegnać...

— O to nic!... Byle tylko nie trafił się jaki wypadek!... Dobranoc!... — chórem odpowiadali obecni.

— No, to chyba i ja już pójdę spać — rzekła pani Weronika, składając robotę — Mój Boże!

jaki świat przewrotny teraz! Ten naprzykład stary grzesznik Ezechijel, wszystkich obmawia, a sam podobno najgorszy... Ach!

— Cóż on znowu zrobił? – pyta gospodyni.

— Niby ty nie wiesz, droga Klociu! — odpowiada mąż z przekąsem.

— Sknera, lichwiarz, kochana pani! — objaśnia Weronika. — Nie jednego już zgubił, a ten jegomość, co przysyłał po niego w nocy, to niezawodnie albo tradowany dłużnik, albo potrzebujący pieniędzy głupiec... Dobranoc państwu.

— Wielki Boże! — dziwi się Sylwestrowa.

— Tak! tak! moja pani... dobra noc!. .

Po wzajemnych uściskach stara dama zniknęła.

— Moja Klociu — zaczął pan domu — jesteś nieznośna z tem ciągłem powątpiewaniem i dziwieniem się...

— A ty z twojem obgadywaniem na współkę z Weroniką, która jest tak fałszywa cała, jak jej zęby i włosy...

— Ależ Klociu co gadasz?... Wprawdzie Weronika ma swoje dziwactwa..

— Dziwactwa?... Więc to dziwactwo obgadywać wszystkich za oczy, a łasić się w oczy?... Nieznośna kobieta i basta! — zawołała żona i weszła do następnego pokoju.

Mąż pobiegł za nią...

— Moja droga, nie pojmuję — mówił z gniewem — zkąd ci dziś przyszły morały do głowy? Wiem przecież jaka zwykle jesteś!

— A ja nie pojmuję ciebie! — zawołała żona. -- Bronisz dziś Weroniki, a wiem przecie, co na nią zwykle gadasz...

— Bezrozumna kobieto! nie mogłem inaczej gadać, ponieważ Weronika podsłuchiwała za oknem.

— No to i ja nie mogłam chwalić plotek i plotkarki, ponieważ Mania przez cały czas naszej rozmowy podsłuchiwała za drzwiami...

— Przecież Mania spać poszła?...

— Mania zawsze tak robi, ile razy chce słyszeć coś, czegoby przy niej nie mówiono.

— Doskonałe wychowanie!. . – bąknął mąż.

— Dosyć!... — odparła żona.

I już... już miało wybuchnąć nieporozumienie familijne. Szczęściem małżonkowie spojrzeli na siebie i uciekli... oboje.

Głowacki Aleksander (*Bolesław Prus*), ur 1847. Talent potężny, znakomity, na wskróś oryginalny, nie mający po dziś u nas współzawodnika na polu humorystyki tendencyjnej z zakresem poważnym. Jego „Kroniki tygodniowe“ wyrobiły mu wielką popularność wśród czytelników— również sympatyją cieszyły się i cieszą większe i mniejsze utwory powieściowe, pomiędzy któremi znajdują się brylanty czystej wody. Najcenniejszym jest „*Placówka*“. Z innych wymienimy: „*Anielka*“, „*Lalka*“, „*Dusze w niewoli*“, „*Kłopoty babuni*“, „*Michałko*“.

Blücher.

* Słynnego feldmarszałka Blüchera zamianowano w Oxfordzie doktorem, a gdy mu doręczono dyplom na tę godność, zawołał:

— No, kiedy ja mam zostać doktorem, to Greisenau powinien być mianowany przynajmniej aptekarzem, bo on to przyrządzał moje pigułki.

* Blücher kroczył zwolna pewnego wieczoru wązką uliczką Hamburga, gdy kilku podchmielonych woltyżerów francuzkich, którzy szli za nim i nie poznali go, uderzyli go z lekka swemi laseczkami po plecach, aby im się ustąpił. Blücher obejrzał się, a zobaczywszy francuzów, mruknął, usuwając się na bok:

— Bijcie, bijcie półgłówki, oddam ja wam to znowu z procentem!

* Po wejściu sprzymierzonych do Paryża, wiele znakomitych osobistości, gromadziło się w tamtejszych domach gry...

W jednym z salonów, przy stole *rouge et noir* siedział pewnego wieczoru syn znanego feldmarszałka Blüchera. Szczęście służyło mu niezwykle, w szybkim czasie nagromadził też stos złota z małej początkowo stawki.

— Czy pan trzymasz dalej wszystko — zapytał młodego Blüchera bankier — czy też cofnie pan wszystko, lub część tego złota?

Młody człowiek zawahał się, tentowała go widocznie wygrana, lecz bał się utracić zdobytą sumę, gdy w tem ktoś stojący za nim uderzył ręką w stół mówiąc:

— Niech idzie, Blücher nie rejteruje nigdy!

Był to stary feldmarszałek, który przeciął wahanie syna. Bankier, zdumiony, ciągnął grę dalej, a szczęście i tym razem dopisało Blücherowi!

* Blücher po dniu pełnym trudów, położył się znużony i zasnął mocno. W jakiś czas budzi go adjutant, mówiąc:

— Nieprzyjaciel zrobił poruszenie.

— Tak — odrzekł wojak — to powiedźcie nieprzyjacielowi, że ja także zrobiłem poruszenie. — To mówiąc, obrócił się na drugą stronę i zasnął.

Bławatek.

* Jaki to chłopiec niedobry,
Tak mnie wciąż zbywa niegrzecznie,
Muszę się gniewać na niego,
Gniewać koniecznie.

Niedawno wyrwał mi z ręki
Zerwany w polu bławatek,
I przypiął sobie do piersi
Skradziony kwiatek.

I jeszcze żartował ze mnie,
Gdym się żaliła na psotę,
Bo mówił, że ma coś więcej
Ukraść ochotę.

Że oczy moje piękniejsze
Niźli ten kwiatek niebieski,
Że chce pić rosę z bławatków,
A z oczów łezki.

I mówił dalej, niegrzeczny,
Że mnie rodzicom ukradnie,
Tak straszyć kogo, doprawdy
Że to niełądnie.

Chciałabym gniewać się bardzo!
Nie widzieć więcej... ach! trudno
Wiem, że mnie samej bez niego
Byłoby nudno.

Ale go muszę ukarać,
Podstępu na to użyję:
Będę umyślnie płakała,
Niech łezki pije!

Asnyk. (p. str. 4).

Błazny.

* Ojczyzną błaznów był, zdaje się, wschód daleki, zkąd przywędrowali na zachód do Grecyi i Rzymu, kalifów i wschodnich cesarzy i utrzymali się aż do połowy XVII wieku. O dowcipnych trefnisiów było równie trudno, jak dziś o dowcipnych ludzi. dobijano się też o nich i licytowano, jak o największe skarby. Ks. Eberhardt, przezwany Brodatym, bezdzietny, starał się różnemi sposobami zwabić do siebie słynnego trefnisia Pawła Wust, na co otrzymał od tegoż odpowiedź: „Mój ojciec zrobił sobie błazna dla siebie, zrób sobie i ty takiego!“ Na dworze Ludwików francuzkich poeta znaczył tyle, co błazen. Kurfürst Karol Ludwik trefnisiów nie trzymał i mawiał: „Jak się chcę uśmiać, to każę sobie sprowadzić kilku profesorów, aby z sobą dysputowali“. Pomimo swego upokarzającego położenia, błazny spełniali rolę na dworach niesłychanie ważną, mieli bowiem przywilej mówienia prawdy i to bezkarnie. Pewien dworak otrzymał w darze od księcia złoty puhar i począł się użalać, że nie ma do niego pokrywy. „Słuchaj!“ zawołał, słysząc to, trefniś, „przykryj puhar ręką, a choćby wtedy wpadła weń mucha, nic to nie szkodzi, bo przykryje ją hultaj“. Trefnisiem Olimpu Homer mianował Wulkana:

„Na pośpiech kulawego patrząc Hephaistosa
Bogowie parskli śmiechem, aż grzmiały nie-[biosa!“

Jeszcze więcej zaś śmieli się bogowie, gdy tenże złapał swoją wierną połowicę Afrodytę w kunsztownie zastawione sieci. Satyrowie

i fauny byli trefnisiami Bachusa. Uroczystości greków nie mogły się obejść bez ich współudziału, a Filip Macedoński tak w nich zagustował, że kazał sobie spisać cały zbiór figlów towarzystwa błazeńskiego, zbierającego się zwykle w świątyni Herkulesa w Atenach. Kolegami błaznów byli parazyci, płacący pochlebstwami i facecyjami za swoje utrzymanie. Do wykształconej klasy trefnisiów należą Arystyp i Horacyjusz, którzy na dworach Dyjonizyjusza i Augusta byli tem, czem Wolter i inni francuzi na dworze Fryderyka Wielkiego. Cycerona wsławiły bardziej jego dowcipy i żarty, aniżeli potężne czyny. Doskonała potworność zaliczała się także do tej kategoryi przyjemności, którą przedstawiali trefnisie. Płacono za nią zawsze dostatnio. W r. 1713 Natalija, siostra Piotra Wielkiego, urządzała wielkie widowisko, sprawiając wesele dwojgu karłom, na które zaprosiła wszystkich karłów z całego swojego państwa. Znalazło się tam ich dziewięćdziesięciu dwóch! U arabów słynął błazen Haruna-al-Raszyda Bachalus, u niemców — Eulenspiegel. „Wiecie co wam powiem?", zawołał pewnego razu ten ostatni. „Nie, nie wiemy". „No, bo i ja nie wiem..." Gdy drugi raz odpowiedziano mu na toż samo pytanie: „wiemy" rzekł: „no to wam już nie potrzebuję nic mówić". Za trzecim razem jedni wołali: „wiemy" drudzy: „nie wiemy". „Niechaj więc ci, co wiedzą, powiedzą tym, co nie wiedzą!" zawołał i pożegnał towarzystwo. O błaznie Chodsza opowiadają, że zmuszony przez Tamerlana do podzielenia się tem co dostanie, z jednym z pastuchów, kazał sobie wyliczyć sto batów, ale gdy otrzymał pięćdziesiąt, drugą taką ilością obdzielił pastucha, jako należną połową. Był on rozumniejszy od chytrego Eulenspiegla, a na dworze Bajazeta odgrywał bardzo poważną rolę. Fantastyczny sułtan znudził się raz jego konceptami i postanowił go zgładzić ze świata. W tym celu kazał mu wejść na wierzchołek wysokiego drzewa, stojącego samotnie, które następnie miało być ścięte. Mnóstwo ludzi zeszło się na to widowisko, ale Chodsza wdrapawszy się na wierzchołek, zaczął kropić stojących pod drzewem wcale nie pachnącą substancyją. Rozśmieszyło to kapryśnego wielce Bajazeta, a błazna uratowało od śmierci. Poeta-błazen Hamedi-Keruzeni odgrywał naiwną rolę na dworze Tamerlana. Zapytany przezeń raz: „Na ile mnie szacujesz?" odparł: „Trzydzieści lwów". „Ależ głupcze! wiesz przecież, że ta chustka, którą ja się właśnie obcieram, tyle kosztuje!" „To też ja z chustką razem oceniam", odparł Hamedi. W Persyi znajdują się dotąd jeszcze błazny, nazwani looty, coś w rodzaju naszych szantażystów, których każdy obywatel ugaszcza i opłaca, aby o nim zmyślonych nie opowiadali historyj. W Europie pojawiali się trefnisie w postaci minstreli i trubadurów na dworach królów, papieży, świeckich i duchownych książąt. Jak się zapatrywano na nich, dowód najlepszy w starej kronice z r. 1466 w Toruniu. „Sam wielki mistrz trzymać nie może więcej jak jednego błazna, gdy dawniej każdy komtur miał swojego". W wiedeńskim Burgu znajdują się portrety znakomitszych błaznów. których dowcip prawdopodobnie przechowałby się dłużej w pamięci potomnych, aniżeli imiona i czyny ich panów, gdyby ci trefnisie mieli ich pychę, ich wykształcenie i gdyby umieli, jak oni, myśleć o swojej sławie. W r. 1500 na sejmie w Augsburgu uchwalono przeciwko nim następujące prawa: „Ktokolwiekbądź trzyma błaznów, ma pilnować, aby: 1) nie chodzili samopas do innych ludzi, nie zaczepiali, nie wyśmiewali obcych; 2) błaznom ani błaźnicom nie wolno nosić klejnotów, ani pierścieni innych jak swojego pana, panowie zaś nie powinni im oznak tych lekkomyślnie dawać. Klasztory także trzymały swoich błaznów. Zwykły mundur błazna składał się z pstrego kaftana, śpiczastego kapelusza, kryzy u szyi i bata. We Włoszech wsławili się w tem rzemiośle: Arlotto, który umarł w r. 1483 jako florencki dygnitarz, Barlachia, woźny, i Ganella, którego figle zebrane i wydane dziś jeszcze śmieszą włochów.

Ten ostatni posunął żart ze swoim panem, księciem Ferrary, tak daleko, że go zepchnął do rzeki, lecz w intencyi dobrej, aby zeń strachem wypędzić febrę. Książę, odpłacając pięknem za nadobne, skazał go na śmierć przez ścięcie, rozkazał wszakże, iżby, zamiast uderzenia miecza wylano nań kubeł zimnej wody, co jednak miało ten sam skutek, gdyż Ganella umarł ze strachu. Słynnym między francuzami był błazen króla Karola, nazwanego głupim. „Czy chciałbyś się zamienić ze mną?“ pytał raz król. „Nie“, odpowiedział. „Czemu, czy wstydziłbyś się być królem?“ „Nie, ale wstydziłbym się mieć takiego błazna“. Triboulet, trefniś Franciszka I, znany jest z historyi, gdy bowiem Karol V przejeżdżał przez Francyję, rzekł o nim: „Ten jest większym błaznem odemnie, skoro się pokazuje we Francyi“. „A gdybym ja mu pozwolił podróżować bez przeszkody po moim kraju?“, zapytał Franciszek I. „Wtedy zamiast jego, napisałbym twoje nazwisko na mojej liście głupców“. (Wiadomo, że Karol V postąpił niezbyt szlachetnie z Franciszkiem I). Za Henryka II słynął z dowcipu Brauton. Skazany na śmierć, gdy mu dozwolonem zostało wybranie jej rodzaju i gdy król go sam o to wypytywał, „Najjaśniejszy Panie“, odparł, „pozwól mi umrzeć ze starości“ i został ułaskawiony. Roquebare, kawaler wielu orderów, par Francyi i niezły jenerał, książę i gubernator Kajeny, pomimo tylu dostojeństw liczony jest także do armii błaznów. Momus francuzki z r. 1720 zebrał i wydał jego figle i koncepty, które jednak bardziej są obrazem ówczesnych obyczajów, aniżeli mogą rozśmieszyć czytelnika. Człowiek ten, wygnany przez króla do Hiszpanii, powrócił z tamtąd bez pozwolenia na wozie, napełnionym ziemią hiszpańską i wprost zajechał do Wersalu co tak rozśmieszyło Ludwika, iż mu winę przebaczył. W Anglii, jako trefnisie, wsławili się: Sorgen, Pace i Kiligref za panowania Henryka VIII, Elżbiety i Karola II. Sprytny Sorgen winien był królowej 500 funtów, a ta gdy nalegała o zapłatę tego długu, urządził sobie najformalniejszy pogrzeb. Położywszy się do trumny, kazał konduktowi tak się kierować, że musiał się spotkać z królową. „Co to, Sorgen umarł?“ zawołała zdziwiona Elżbieta, „nieborak winien mi jeszcze 500 funtów! ale już mu teraz je daruję...“ Na te słowa Sorgen zrzuca wieko trumny i podnosząc się woła: „Dzięki ci, Najjaśniejsza Pani, ta łaska przywróciła mnie do życia“. Pace, z przyczyny swojego gorzkiego humoru, został wydalony ze dworu Elżbiety. Kiedy go po jakimś czasie ułaskawiono, zapytany, czy znowu myśli wyśmiewać błędy królowej, odparł: „Nie, na cóż mam mówić jeszcze o rzeczach, znanych całemu światu!“ Jakób I lubił błaznów i farsy, spotkał też go od jednego z trefnisiów następujący komplement: „Na Boga! nie powinieneś był zostać królem: gdyż byłbyś najlepszym błaznem w całem chrześcijaństwie“. Za panowania Karola II uchodziło wszystko błaznowi Kiligrefowi. Król kazał mu raz oznaczyć wiek konia, którego otrzymał w prezencie. Kiligref, obszedłszy go wkoło, zatrzymał się przy ogonie, oglądał go i macał długo, aż król zniecierpliwiony zawołał, „Cóż to, po ogonie chcesz poznać wiek konia?“ „Nie zagląda się w zęby darowanemu koniowi, Najjaśniejszy Panie!“ Pewnego razu zjawił się przed królem w ubraniu pielgrzyma. „A to co, gdzie się wybierasz?“ pyta król. „Do piekła, aby uprosić powrót na ziemię Kromwela, iżby przecież był ktoś w tym kraju do rządzenia i zajmowania się nim jak należy“. „Powiedz mi, dlaczego z siebie robisz błazna?“ — zapytał ktoś dowcipny Kilgrefa. „Obydwaj działamy z jednej pobudki“, odparł, „ja z braku pieniędzy, ty z braku rozumu“. Niemcy szczycili się także sporą ilością tego rodzaju ludzi. Słynnym jest u nich trefniś Maksymilijana I Kunz von den Rosen. Dawał on często rady swojemu panu, ale gdy go o radę zapytał raz jakiś mały hrabia, odparł: „Daj mi pokój, jestem błaznem króla, ale nie każdego błazna“. Ostrzegł on Maksymilijana przed Brüge, ale gdy to nic nie pomogło i Maksymilijan dostał się do niewoli, Kunz, przebrany za żebraka,

wkradł się do więzienia i byłby „swego Maksa“ wyratował, gdyby ten na to się był zgodził, mniej ceniąc swój honor rycerski. Cesarzowi temu zawsze brakowało pieniędzy i dlatego nazywano go Pocodenari. Pewnego razu drażnił on Kunza i żartował sobie z niego długo, aż w końcu rzekł: „Słuchaj, musisz mi zapłacić teraz za to, że cię bawiłem“. „Boże zachowaj“, odparł trefniś, „żebym miał płacić temu, który nikomu nigdy nie płaci“. Ferdynand II nawet na sejm 1622 brał z sobą błazna Josela i karła Stofela. Toż samo czynił cesarz Mateusz na sejmie 1614. W Marchii brandenburskiej słynęli błaźni: Gundling, Fasman, Morgenstern i von Pelnitz, ale prócz nich było pełno zwyczajnych błaznów, król bowiem przyjmował u siebie na dworze każdego, kto tylko błaznować umiał. Gundling był uczonym, pracował wiele nad historyją, spełniał obowiązki lektora królewskiego, ale następnie, wskutek dumy i rozpusty, został najzwyczajniejszym błaznem, stracił powagę i szacunek, pomimo tytułu tajnego radcy, nadochmistrza dworu i szlacheckiego dyplomu. Pewnego dnia zjawiła się na dworze małpa, ubrana zupełnie jak Gundling i podała królowi prośbę, w której błagała króla o zmuszenie jej naturalnego ojca do uznania jej edukacyi. Kiedy Gundling najczęściej pijany wracał do domu, zastawał albo drzwi zamurowane, albo związanego niedźwiedzia, kota lub inne jakie dyabelstwo w swojem łóżku. Gdy umarł, pochowano go w beczce od wina, ku słusznemu zgorszeniu duchowieństwa, które odmówiło swej asystencyi przy pogrzebie. Von Polnitz obdarzony był największym i najkrytyczniejszym dowcipem. Za Fryderyka Wielkiego opuścił dwór i został katolikiem w nadziei bogatego ożenienia, ale gdy go to ominęło, prosił o pozwolenie powrotu na swoje dawne miejsce „Powiedziałeś, że wolisz paść świnie niż królom służyć“, rzekł Fryderyk, „udaj się zatem do Westfalii, a tam łatwo znaidziesz służbę“. W Polsce słynęli trefnisie: Bieńko, czyli Bieniasz, nadworny trefniś Krzysztofa Szydłowieckiego, kanclerza wielkiego koronnego i słynniejszy od wszystkich Stańczyk, na dworze króla Aleksandra i Zygmunta I. Jan Dzwonkowski za Zygmunta III napisał wierszem statut: jak mają błazny swych panów bawić. Z wiekiem Ludwika XIV niknie zupełnie ta kategoryja ludzi, zamiast jednak trefnisiów urzędowych, mówiących często prawdę, ukazują się figurki w perukach, kłamiące bezustannie i szpetnie, których dobro państwa już nic nie obchodzi. Dzisiejsi trefnisie w innych strojach, w innych warunkach i pod innemi tytułami śmieszą tem tylko, że usiłują napróżno sami wydać się jaknajlepiej. Dr Lamprechter, doradca cesarza Karola V, mawiał: „Każdy książę powinien mieć dwóch błaznów: jednego, którymby on rządził, a drugiego, któryby nim rządził“. Krystyna szwedzka nadewszystko lubiła nauki, otaczała się uczonymi, z których żartowała więcej może niż Fryderyk ze swoich. Królowa kazała wybić monetę z napisem: „Parnas jest lepszy od tronu“ i gust ten zniewolił ją do porzucenia Szwecyi. Uczeni nazywali ją dziesiątą muzą, Sybillą północy i wychwalali jej postanowienia, których ona potem żałowała. Zostałaby pewno na tronie, gdyby miała zamiast tych pedantów uczonych, dawniejszej daty błazna, ośmielającego się jej powiedzieć, że królowa bez tronu jest to bogini bez świątyni, która długo czczoną nie bywa. Mało już oddziaływać mogli na takiego Fryderyka: Wolter, Malterpuis i inni. Czemże lepszem byli zaś ci dworacy od dawniejszych trefnisiów, którzy byli użytecznymi dając dobre, choć nieliterackie rady? Dr Lametrie, prawdziwy facecyjonista, może ze wszystkich uczonych miał największy wpływ na Fryderyka. Pewnego razu, gdy się wmięszał do polityki, rzekł doń król: „Jesteś doktorem, więc powiedz mi lepiej: w co się zamieni to, co spożywamy z takim apetytem?“ „Dobrze“, odparł Lametrie, „nasza machina jest pewnego rodzaju państwem: brzuch jest królem, który wszystko w siebie bierze i jeżeli jest dobrym, wydaje dalej; ręce i nogi to żołnierze, mózg zaś uczeni, którzy je-

dnak wtedy tylko myśleć mogą, kiedy się J. K. Mości brzuchowi podoba. W żołądku siedzą robotnicy i przygotowują pożywienie, kiszki zaś...“ Tu się zatrzymał. „Do rzeczy!“ zawołał Fryderyk. „No! w kiszkach tedy leży prawdziwy skarb królewski, t. j. przewyżka; jeżeli zbyt mało przybywa do skarbu, to wtedy państwo schnie, jeżeli zaś zawiele, to wtedy państwo jest w rozwolnieniu; skarb tedy jest prawdziwą mierzwą państwa, która mu dobre żniwo sprowadza!“ „Jesteś arcygłupi“, rzekł na to Fryderyk, w duchu jednak śmiał się ze „starej bestyi“, jak nazywał Lametrie'a. Błazny i trefnisie, nietylko dawniej, ale i dziś dochodzą do największej karyjery. Niewiadomo, czy istnieje jeszcze w Gresedingen pod Balingen tak nazwany sąd błaznów, gdzie każdemu przybyszowi powiadano w oczy prawdę, aby go leczyć z głupoty. Dziś sam zamiar leczenia tej choroby — głupotą byłby, bo jak mówią włosi, „do wyleczenia jednego waryjata potrzeba półtora“...

* Jakiś magnat w Bretanii miał na swoim dworze błazna, którego sława szeroko się rozeszła.

Pewien szlachcic podróżny, spotkawszy się z nim raz w drodze, pytał go, zkąd powraca, a gdy się dowiedział, że z Paryża, prosił, aby mu powiedział, co tam słychać nowego?

— Eh, nic panie, chyba tylko to, że jakoby tam powstało przeszło trzydzieści tysięcy ludzi.

— Dlaczego? — bada dalej szlachcic.

— Dlatego panie aby się na wieczór spać pokładli... — odpowiada żartowniś.

* *Pajac.* Dowcipie, natchnij mnie, jeśli łaska, jakiem szczęśliwem błazeństwem! Ludzie, którym się zdaje, że cię posiadają, wystrychają się nieraz na błaznów, ja przeto, który jestem pewny, że cię nie mam, mogę za mądrego uchodzić; bo cóż powiada Quinapulus? — Lepszy dowcipny błazen, niż błaźniwy dowcipniś. Bóg z tobą, pani.

Oliwija. Wyprowadźcie ztąd błazna.

Pajac. Czy nie słyszycie nicponie, wyprowadźcie panią.

Oliwija. Precz mi z oczu! suchy z ciebie błazen; nie chcę cię trzymać dłużej; prócz tego zaczynasz być nieuczciwym.

Pajac. Dwie wady, które trunek i dobra rada naprawią, bo dodaj suchemu błaznowi trunku, a błazen suchym być przestanie; każ się nieuczciwemu naprawić, a byle się naprawił, przestanie być nieuczciwym. Jeśli nie może się naprawić, daj go jakiemu partaczowi, niech go załata, bo wszystko, co naprawione, jest tylko załatane; cnota, przekraczająca łatana, jest grzechem, a grzech naprawiony łatany, jest cnotą! Jeźli prosty ten sylogizm przyda się na co, tem lepiej: jeźli nie, jakie na to lekarstwo? Jak nie ma prawdziwego rogala tylko nieszczęście, tak piękność jest tylko kwiatem. Pani kazała wyprowadzić ztąd błazna, więc powtarzam, wyprowadźcie ztąd panią!

Oliwija. Mopanku, ciebie kazałam ztąd wyprowadzić.

Pajac. Omyłka pierwszego stopnia! Pani — *cucullus non facit monachum*, co się znaczy: mózg mój pstrokacizny nie znosi. Dobra madonno, pozwól, żebym ci dowiódł, że ty moje zajęłaś miejsce.

Oliwija. Czy potrafisz?

Pajac. Bardzo łatwo, dobra madonno.

Oliwija. Słucham.

Pajac. Muszę cię więc katechizować, madonno. Dobra moja myszko cnoty, odpowiadaj.

Oliwija. Chętnie, nie mam nic lepszego do roboty, słucham twoich dowodów.

Pajac. Dobra madonno, po kim ta żałoba?

Oliwija. Po moim bracie, dobry błazenku.

Pajac. Więc przypuszczam, że dusza jego w piekle, madonno.

Oliwija. Jestem pewna, że dusza jego w niebie, błazenku.

Pajac. Tem większe błazeństwo, madonno, nosić żałobę po bracie, którego dusza jest w niebie!

Szekspir, „*Wieczór Trzech Króli*“.

Błazeńskie rady.

* Kto idzie za węchem, tego wzrok prowadzi, wyjąwszy ślepych; a z pomiędzy dwudziestu nosów, nie ma i jednego, któryby nie poczuł kogoś, co cuchnie. Nie czepiaj się wielkiego koła, gdy się stacza z góry, bo cię pociągnie z sobą na złamanie szyi; ale kiedy wielkie koło idzie pod górę, dzierż się go i gramol się za niem... Jeżeli jaki mędrzec da ci lepszą radę, to mi zwróć moją:

Niech za nią idą hultaje,
Ponieważ ją błazen daje.
Kto, lubiąc na dwóch stołkach siadać,
Dla zysku tylko służy,
Ten drapnie, gdy deszcz zacznie padać,
I rzuci cię wśród burzy.
Ja wytrwam w szczęściu nieprzyjaznem,
Niech mędrzec tył podaje:
Odstępny kiep się staje błaznem,
Kpem błazen się nie staje!

Szekspir, „*Król Lear*". (p. str. 92).

* *Siła błaznów na świecie.*

Po śmierci króla Jana, gdy się w drogę wlecze
Wesołowski, aż jeden senator mu rzecze.
„Nie masz, nieboże, służby i błaznować komu,
Musisz podobno teraz siedzieć w swoim domu".
„To prawda, on odpowie, bo nas błaznów było
Mało, lecz ich się teraz wiele namnożyło;
Ledwie nie każdy błazen, że jeden przed drugim,
Nie mogąc się pożywić, musi iść za pługiem".

Wacław Potocki. (p. str. 13).

Błogosławieństwo Boże.

* *Pajac.* Wiadomo ci pani, że jestem chudy pachołek.

Hrabina. Więc dobrze, i cóż ztąd?

Pajac. Nic, pani, nic ztąd dobrego, że jestem chudy pachołek, choć wiem, że niejeden bogaty smaży się w piekle. Ale gdybym mógł otrzymać od waszej dostojności łaskawe przyzwolenie na własnej osiąść chałupie, ja i Izabela zrobimy co będzie można.

Hrabina. Chcesz więc gwałtem zostać żebrakiem?

Pajac. Żebrzę o wasze przyzwolenie w tej sprawie.

Hrabina. W jakiej sprawie?

Pajac. W sprawie Izabeli i mojej własnej. Służba, to nie dziedzictwo; a zdaje mi się, że nigdy nie dostąpię błogosławieństwa bożego, dopóki się nie doczekam potomstwa, bo powiadają: dzieci są błogosławieństwem!

Szekspir: (p. str. 92).
„*Wszystko dobre, co się dobrze kończy*".

Bodmer.

* Jan Jakób Bodmer odbywał raz ze swoim przyjacielem wycieczkę konną. Po drodze natrafili na parkan, który zagradzał im dalszą podróż.

— Otwórz wrota — odezwał się Bodmer, do stojącego przy płocie chłopaka.

— Najpierw muszę wiedzieć, kto jesteście?

— Jestem Bodmer, a to mój towarzysz, profesor.

— A co to jest profesor?

— Jest to człowiek, który wszystko umie i wszystko potrafi.

— Tak — odrzekł gniewnie chłopak — to niech otworzy wrota, kiedy taki mądry!

Boginie.

* Słusznie mówimy, że panny boginie
Bo ginie każdy, kto się im nawinie;
Kto tedy wpadnie w ręce tych to bogiń
(Trudno inaczej) albo gni albo giń.

Morsztyn. (p. str. 6).

Bohaterzy zakochani.

Armado. Paziu, co się to znaczy, gdy melancholija ogarnia wielką duszę?

Ćma. To znaczy niewątpliwie, że wielka dusza będzie smutna.

Armado. Smutek i melancholija to jedno i to samo drogi wyrostku.

Ćma. Bynajmniej, bynajmniej, mój panie, bynajmniej.

Armado. Jak rozróżniasz smutek od melancholii kruchy młodzieniaszku?

Ćma. Przez potoczny wykład, mój twardy staruszku.

Armado. Dlaczego twardy staruszku? Dla czego twardy staruszku?

Ćma. Dlaczego kruchy młodzieniaszku, dla czego kruchy młodzieniaszku?

Armado. Powiedziałem: kruchy młodzieniaszku, jako stosowny epitet, właściwy twoim młodym latom, które słusznie możemy nazywać kruchemi.

Ćma. A ja powiedziałem: twardy staruszku, jako tytuł właściwy twoim podeszłym latom, które słusznie możemy nazwać twardemi.

Armado. Pięknie i stosownie.

Ćma. Jak to rozumiesz, panie? Czy ja piękny i moja odpowiedź stosowna, czy ja stosowny, a moja odpowiedź piękna.

Armado. Ty jesteś piękny, bo mały.

Ćma. Mało piękny, gdy mały; a dlaczego stosowny?

Armado. Dlatego stosowny, że żywy.

Ćma. Czy to mówisz, panie, na moją pochwałę?

Armado. Na twoją zasłużoną pochwałę.

Ć a. Mógłbym to samo powiedzieć na pochwałę węgorza.

Armado. Jakto, że węgorz dowcipny?

Ćma. Że węgorz jest żywy.

Armado. Chciałem powiedzieć, że jesteś żywy w odpowiedziach. Krew mi psujesz.

Ćma. Przestaję na tej odpowiedzi.

Armado. Przeciwianie się nie popłaca u mnie.

Ćma (na stronie). Wierzę bardzo, bo nie masz szeląga.

Armado. Przyrzekłem trzy lata, razem z księciem, nauce poświęcić.

Ćma. Godzina wystarczy.

Armado. Być nie może.

Ćma. Ile czyni trzy razy jeden?

Armado. Nie jestem mocny w rachunkach; to dobre dla szynkarczyka.

Ćma. Wszak jesteś szlachcicem i szulerem mój panie.

Armado. Nie przeczę, jedno i drugie jest pokostem doskonałego kawalera.

Ćma. Więc wiesz niewątpliwie, ile czyni as do dwójki przyrzucony?

Armado. Czyni dwa więcej jeden.

Ćma. A co nikczemne pospólstwo nazywa trzy.

Armado. Prawda.

Ćma. Jeżeli tak jest, mój panie, gdzież są trudności nauki? Już się nauczyłeś, co jest trzy, w mgnieniu oka, a jak łatwo do wyrazu trzy dodać lata i uczyć się trzy lata w dwóch wyrazach, toby ci i tańczący koń powiedział.

Armado. Cudowny rachunek!

Ćma (na stronie). Który sprowadza cię do zera.

Armado. Teraz wyznam ci, że się zakochałem; a że miłość poniża żołnierza, zakochałem się w nizkiego rodu dziewce. Gdyby dobyta szabla przeciw miłośnym honorom mogła mnie uwolnić od grzesznych o niej myśli, zabrałbym żądze do niewoli i przedał je jakiemu francuzkiemu dworakowi za ukłon ostatniej mody. Gardzę westchnieniami i sądzę, że należałoby mi wykląć się kupidyna. Pociesz mnie, mój paziu, powiedz, jacy sławni ludzie byli zakochani?

Ćma. Herkules, mój panie.

Armado. O, słodki Herkulesie! Więcej powagi, mój paziu, przytocz mi więcej, o dobry mój paziu, a niech to będą ludzie dobrej sławy i nieugiętego charakteru.

Ćma. Samson, mój panie. To mi dopiero był człowiek nieugięty; toć on nosił na barkach bramy miasta, a był zakochany.

Armado. O, krzepki Samsonie! o, barczysty Samsonie! O tyle jestem lepszy od ciebie na szable, o ile ty lepszy odemnie na noszenie bram miejskich. I ja też jestem zakochany. Kto była kochanka Samsona, droga Ćmo moja?

Ćma. Kobieta, panie.

Armado. Jakiej cery?

Ćma. Wszystkich czterech, albo trzech, albo dwóch, albo żadnej ze czterech.

Armado. Ale powiedz mi dokładadnie jakiej cery?

Ćma. Zielonej jak morska woda.

Armado. Czy to ze czterech cer jedna?

Ćma. Jak nauczają książki, panie, a do tego najlepsza ze wszystkich.

Armado. Prawda, że kolor zielony jest kolorem kochanków, ale żeby wziąć kochankę zielonego koloru, nie sądzę, żeby Samson wiele miał do tego powodów! Kochał ją zapewne dla jej rozumu?

Ćma. Zgadłeś panie, bo miała rozum zielony.

Armado. Cera mojej kochanki to niepokalana białość i czerwoność.

Ćma. Bardzo pokalane myśli kryją się zwykle pod tak niepokalanemi kolorami.

Armado. Wytłómacz się jaśniej, paziu mój, głęboko ćwiczony.

Ćma. Dowcipie mojego ojca a matki mojej języku, przybądźcie mi na pomoc!

Armado. Słodka inwokacyja dla dziecięcia, prześliczna i patetyczna!

Ćma.

Gdy róża z liliją lica jej kryje,
Kto poznać błędy jej zdoła,
Kiedy błąd każdy róże wywoła,
A każda trwoga lilije?
Ni kiedy grzeszy, ni gdy się boi,
Żaden nie zgadnie młodzieniec:
Bo zawsze bladość, zawsze rumieniec,
Jasne oblicze jej stroi.

Niebezpieczne to, panie, wiersze dla białego i czerwonego koloru...

Szekspir, „*Jak się wam podoba*“.

Bonaparte.

* Jednym z najuczeńszych i niezmordowanych badaczy języka, był na początku naszego stulecia znany ze swego: „Dictionnaire de la langue française,“ i innych rozlicznych prac, Piotr Klaudyjusz Wiktor Boiste. Wkrótce po wstąpieniu na tron Bonapartego, niestrudzony ten pracownik ukończył swój słownik. Pewnego wieczora, po oddaniu ostatniej korekty, udał się na spoczynek z błogiem poczuciem spełnionego a mozolnego tyle zadania. Dnia następnego miała się już zacząć sprzedaż drukowanych egzemplarzy, gdy wtem, budząc się rano, ujrzał dwóch żandarmów przy łóżku. — Zaszła tu widocznie pomyłka, — rzekł uczony. Jestem Boiste, cesarski nadworny gramatyk autor słownika.

— Właśnie też po pana przychodzimy — odpowiedział jeden z nich – oto rozkaz uwięzienia.

Przeciw podobnemu argumentowi, nic nie było do powiedzenia; filolog musiał się ubrać i w towarzystwie żandarmów wsiadł do fiakra. Przybywszy do więzienia, nie tracił biedak nadziei, że się tajemnica wyjaśni. Spytał więc o powód uwięzienia, zapewniając, że jest niewinnym.

— Aresztowano pana ze względów bezpieczeństwa publicznego — odpowiedział zimno urzędnik, przyczem rozkaz uwięzienia przeczytał.

Nieszczęsnego filologa osadzono w pokoju za żelaznemi kratami... Całe dwa miesiące łamał sobie głowę nad tem, w jaki sposób człowiek którego jedynem zadaniem były studyja nad francuzkim językiem mógł grozić bezpieczeństwu publicznemu? Pisał do wszystkich wpływowych osób jakie znał, ale listy zostawały bez odpowiedzi. Szczęściem jeden z nich dotarł do rąk kuratora uniwersytetu Ludwika de Fontanes (później ministra) który osobiście Boiste'go znał i cenił. Fontanes ulitował się nad biedakiem i przedstawił jego sprawę cesarzowi. Napoleon rozkazał też niezwłocznie przywołać ministra policyi Fouché'go.

Okazało się w śledztwie, że Boiste w swoim słowniku dał wszechpotężnemu monarsze nazwę bezwątpienia karygodną, gdyż nazwał go „Spoliateur“ (łupieżcą, przywłaszczycielem). Nic więcej mającego związek z tą sprawą akta nie zawierały...

— Jesteś pan oskarżony o zamach przeciw naszemu monarsze, — rzekł Fouché do autora słownika gdy go przyprowadzono do śledztwa.

— Ja? Oskarżony o zamach? — zawołał Boiste zdumiony.

— Czytaj pan — przerwał Fontanes, podając mu akt oskarżenia.

— Ach, więc to tylko o to idzie! — wykrzyknął Boiste, przebiegłszy pismo oczyma.

— Tylko o to?! — zawołał Fouché oburzony. — Więc to podług pana nie dosyć? Chcę wierzyć, przez życzliwość dla pana, że wina leży w omyłce.

— Przeciwnie, jest to czysta prawda.

— Prawda?!

— Bezwątpienia; chciałem bohaterowi oddać cześć mu przynależną.

— Mówisz pan zagadkami.

— Nieinaczej, chciałem wykazać, że on zarówno słowem jak mieczem władać umie.

— Wytłómacz się pan zrozumialej.

Autor słownika wziął jeden egzemplarz swego dzieła, leżący na biurze ministra, otworzył na słowie „Spoliateur“ i wskazał na początek tego fatalnego artykułu, który brzmiał jak następuje: „Spoliateur, Bonaparte.“

— Czy słyszane rzeczy! — wykrzyknęli razem Fouché i Fontanes — co pana mogło ośmielić do podobnego zuchwalstwa?

— Nie jest to bynajmniej zuchwalstwem,— odrzekł oskarżony, — zwykle imie tego, który jakieś słowo wynalazł, lub pierwszy zaczął go używać, stawia się w słowniku tuż przy niem... Otóż i ja imię cesarza obok słowa „Spoliateur“ umieściłem; Bonaparte bowiem pierwszy użył na mównicy tego wyrażenia; on stworzył to słowo, dotąd w języku francuzkim nie znane...

Fouché i Fontanes spojrzeli po sobie zdumieni.

Boiste został wypuszczony na wolność, ale musiał ten ustęp w swoim słowniku zmienić i swoim kosztem przedrukować..

* Sławny aktor tragiczny Talma, często był przypuszczany przed Napoleona, podziwiającego jego talent.

Pewnego dnia rzekł do niego cesarz:

— Wiesz Talma, w Paryżu rozsiewają wieści, że ja cię w tym jedynie celu do siebie przywołuję, aby brać lekcyje w postawie i ubiorze.

Talma zmieszał się mocno i zaczął się usprawiedliwiać.

— Źle robisz — przerwał mu cesarz — że się temi bajkami tak bardzo niepokoisz. Wierzaj mi, nic lepszego nie mógłbym był uczynić, gdybym tylko miał czas do tego!

* Napoleon w czasie wojen, oddalony od Paryża, polecił nowe przyozdobienie pałacu Tuillerjów. Gdy wrócił, zaprowadzono go zaraz do wszystkich pokojów, dla pokazania mu wszystkiego i zadziwienia go...

Napoleon okazał wprawdzie swoje zadowolenie, lecz przy każdym przedmiocie kazał sobie przedstawić koszta. Nagle zatrzymał się u jednego okna, przy bardzo bogatej firance, kazał sobie podać nożyczki, uciął jedną z kosztownych złotych żołędzi, któremi firanka była ozdobioną, schował ją w milczeniu do kieszeni i odbywał dalej swój przegląd.

Oprowadzający go nie mogli pojąć, coby z uciętą żołędzią zrobić zamyślał; lecz wkrótce mieli się o tem dowiedzieć. Napoleon bowiem miał zwyczaj przechadzać się czasem zrana w największem incognito przez ulice Paryża.

W pierwszych dniach po tym przeglądzie, w czasie swej rannej przechadzki, idąc przez ulicę św. Dyjonizego, z żołędzią w kieszeni, wstąpił do kilku sklepów, w których sprzedawano podobne przedmioty, kazał ocenić żołądź, udając, że podobne rzeczy kupić zamierza. Tym sposobem wyśledziwszy koszta całego umeblowania przekonał się, że mu wszystko daleko drożej porachowano.

Na pierwszem posiedzeniu wyjął niespodzianie żołądź i oddając ją temu, któremu umeblowanie było powierzone, rzekł:

— Bierz mój przyjacielu, nie posądzam cię, abyś mnie okradł, lecz okradziono ciebie. Zapłaciłeś przedmiot ten o jedną trzecią część drożej nad istotną wartość. Postąpiono z tobą, jak z intendentem znacznego domu; gdyby cię nie poznano, byłbyś kupił taniej...

* Pewnego dnia, Bonaparte, rozmawiając w gronie swoich powierników o różnych przedmiotach, wspomniał o wieku kobiet i wstręt tychże do oznajmiania go...

— Oh! — mówił cesarz — ja znam pewną damę, która męża swego, przy ślubie przynajmniej o 5 do 6-ciu lat oszukała, gdyż pokazała mu metrykę chrztu młodszej, dawno już zmarłej siostry; chociaż — dodał wyraźniej — biedna Józefina mogła się przez to wystawić na wielkie nieprzyjemności, bardzo łatwo bowiem można było z tego udowodnić nieważność ślubu...

* Bonaparte łajał pewnego czasu w wyrazach pogardliwych pułk z powodu, iż sobie orła zabrać pozwolił. Nagle zabiera głos żołnierz, gaskończyk, wołając:

— Ale, Najjaśniejszy Panie! czegóż to żądasz? Nieprzyjaciel jest oszukany, ma bowiem tylko drzewce! Patrz, Najjaśniejszy Panie! kukułkę schowałem do kieszeni...

W tej chwili wyciąga orła i podnosząc go wysoko, pokazuje Napoleonowi.

* Zaledwie zjawił się kodeks Napoleona' zaraz też mnóstwo nastąpiło komentarzy, wykładów, wyjaśnień. Dowiedziawszy się o tem Napoleon, oświadczył:

— Ach! moi panowie! chcieliśmy oczyścić stajnię Augiasza, lecz przebóg! znowu napełnia się...

* Na balu danym przez miasto Paryż, z okoliczności powtórnych zaślubin cesarza, Napoleon przechodził liczny i bardzo długi szereg dam, zdobnych w piękność, młodość, elegancyję i wytworność ubioru, stanowiących prawdziwą balu tego ozdobę. Nagle zatrzymuje się przed panią Cordon, żoną bogatego negocyjanta, którą pomimo tego, iż wiele miała dzieci, jeszcze można było nazwać piękną i pyta o jej nazwisko. Gdy je wymieniła rzekł:

— Ach! — utrzymywano, że pani jesteś bardzo bogatą.

— Prawda, Najjaśniejszy Panie! — odpowiedziała — mam bowiem dziesięcioro dzieci!

* Napoleon Bonaparte, podczas włoskiej kampanii, wziął w niewolę jeden pułk węgierski. Dowódca tegoż nazwiskiem Nemethi, człowiek już podeszły w latach, uskarżał się gorzko na sposób wojowania francuzów, na ich raptowne i niespodziewane natarcia na boki, środek korpusu i t. d., w końcu oświadczył, że walczył w armii cesarzowej Maryi Teresy, gdzie bitwy jeszcze w systematyczny sposób prowadzone były.

— Musisz pan być już starym? — zauważył Napoleon.

— Tak, mam sześćdziesiąt lub siedmdziesiąt lat...

— Cóż znowu pułkowniku, nie wiesz na pewno ile?

— Generale — odpowiedział węgier — liczę swoje pieniądze, swoje koszule, swoje konie, ale lata, z tych mi nikt ani jednego nie ukradnie!

* Gdy rozmawiano o jenerale Moreau, którego żona zupełnie opanowała, Bonaparte powiedział:

— Być opanowanym przez żonę, toż to zawsze nieszczęście; mąż wówczas nie jest ani mężem, ani żoną, słowem, nie jest niczem!

* Generał i radca stanu Gassendi był starym towarzyszem Napoleona, jeszcze wówczas, gdy ten był porucznikiem w artyleryi. Z tego to powodu cesarz bardzo go kochał.

Pewnego dnia generał w czasie żywej dyskusyi w radzie stanu, zabrał głos i opierał się w swojej mowie na zasadach ekonomii politycznej.

Nagle przerwał mu Napoleon:

— Ale mój kochany! Któż pana zrobił tak uczonym? Zkąd pan wziąłeś takie zasady?

Gassendi bronił się jak mógł, lecz wkrótce, widząc się do muru przypartym, udał się do ostatniej swojej obrony, twierdząc, że od samego cesarza usłyszał zdanie, jakie przed chwilą wygłosił.

— Co? — zawołał cesarz zapalczywie — co pan mówisz? Czy to być może? Co? odemnie, odemnie, który zawsze byłem tego zdania, iż nawet w tym razie, gdyby istniała monarchija z granitu, fanatyzm ekonomistów politycznych zdołałby ją w proch obrócić?

Następnie zaczepiał generała, częścią ironicznemi, częścią poważnemi uwagami i zakończył temi słowy:

— Dość, dość, kochany panie! musiałeś zapewne zasnąć w swojem biurze i śniło ci się o tem wszystkiem.

Gassendi w najwyższym stopniu rozgniewany, odpowiedział śmiało:

— Co do zasypiania, Najjaśniejszy Panie! to zupełnie inna rzecz... Nie śmiem, ale muszę o tobie to samo Najjaśniejszy Panie powiedzieć, do tego bowiem raczyłeś nas wyraźnie nakłonić.

Na te słowa zadrżała sala od głośnego śmiechu, najwięcej zaś śmiał się cesarz.

* Napoleon wyrzekł pewnego dnia:

— Głowa bez pamięci, jest to forteca bez załogi.

* Na wyspie św. Heleny, Napoleon często przed obiadem wzywał do siebie hrabiego Las Cases i jego syna, aby razem z nimi pracować.

Pewnego dnia, gdy udzielając pierwszemu naganę, nazwał go leniwym, uważał, iż syn z tego wyrazu śmiał się ukradkiem, zwrócił więc na to uwagę ojca i pytał się o przyczynę.

— Najjaśniejszy panie! — odpowiedział tenże—pochodzi to ztąd, iż mścisz się za niego.

— Aha! rozumiem — odrzekł Napoleon, śmiejąc się — ja tu gram rolę dziadka!

* Bonaparte wyrażał się raz nie bardzo korzystnie o jednym z oficerów dawnej swojej armii.

Ktoś, z otaczających go, pozwolił sobie uczynić uwagę, iż oficer ten był adjutantem sławnego jenerała.

— No cóż z tego? — odpowiedział, uśmiechając się Napoleon — panu widzę niewiadomo, że jeden jenerał ma niekiedy dwóch adjutantów.

* Gdy pani Monthalon zapytała się Napoleona, którzy żołnierze są najlepszymi, odpowiedział:

— Ci, którzy bitwy wygrywają — lecz dodał po kilku chwilach — oni są upartymi i, tak jak pani, zależą od humorów dziennych. Najlepszymi byli kartagińczycy pod Hannibalem, rzymianie pod Scypionami, macedończycy pod Alexandrem, prusacy pod Fryderykiem.

Następnie dodał prędko na sławę francuzów:
— Sądzę jednak, że mam prawo oświadczyć, iż żołnierze francuzcy są tymi, których najłatwiej sposobić i najlepiej w karności utrzymać można.

* Pięćdziesiąty trzeci pułk angielski, miał straż nad Napoleonem na wyspie św. Heleny.

W dniu 19 kwietnia 1816 r. najstarszy żołnierz tego pułku, widział Bonapartego raz pierwszy. Po powrocie do swoich kolegów rzekł:

— Doprawdy, oszukano mnie, powiedziano mi bowiem, że Napoleon jest bardzo stary, lecz to mi się wcale nie zdaje. Ten dyjabełek najmniej jeszcze sześćdziesiąt kampanij ma w sobie!

Napoleon, dowiedziawszy się o tym dowcipie, cieszył się i powtarzał go z zadowoleniem swoim towarzyszom.

Bon mot.

* Nie jest to wymysł francuzów a przecież powyższa nazwa utrzymała się na oznaczenie dowcipnych słówek, wypowiedzianych szybko, stosownie do czasu i okoliczności. U starożytnych nazywało się to... *dictum*. Bon mot, dobry dowcip, musi być więcej domyślny niż jasny, jest to coś więcej jak koncept, coś, co jak

Pallas z głowy Jowisza wyskakuje w całem uzbrojeniu. Bon mot są jak paszteciki: najlepsze, póki gorące, wiele tracą w druku lub też w powtórzeniu rozwlekłem. Ludzie sławni i wielcy nie tylko sami tworzą doskonałe bon mot — ale i inni tworzą je na ich rachunek, jest bowiem kredyt duchowy, tak zupełnie, jak kredyt pieniężny. W starożytnej Helladzie tym rodzajem dowcipu odznaczali się spartańczycy. Nakazał im to Likurg, może dla przeciwstawienia gadulstwu ateńczyków, a może z obawy aby się mniej sprytnym i mniej wykształconym nie wydać. Retorykę uważali oni za sztukę oszukiwania ludu. Kiedy pewnego razu wysłali do Tyzafernesa swego posła jednocześnie z posłem ateńskim, ów ateńczyk, wypowiedział długą mowę spartanin zaś zarysował tylko dwie linije: prostą i krzywą do jednego punktu i rzekł: „wybierajcie.“ — „Niezrozumieliśmy końca waszej mowy,“ rzekli innym razem do posła Aten spartanie, „gdyż zapomnieliśmy jej początku.“ Posłano tedy innego posła, który im okazał próżny worek i dodał słowa: „niema w nim mąki.“ Dano mu zaraz mąki z nadmienieniem: „słowa zbyteczne.“ Kiedy król Filip, napisał spartanom: „gdy przyjdę do Lacedemonii, będę ogniem i mieczem pustoszyć,“ odpowiedzieli mu jednem słowem tylko: „gdy.“ Na wezwanie Kserksesa, aby broń złożyli—odpowiedzieli: „przyjdź i weź ją.“ Kiedy wszystkie państwa greckie wysłały do Filipa po kilku posłów, dumna Sparta wysłała jednego tylko Agisa. „Jakto?“ rzekł doń król „tylko jeden?“ „Do jednego — jeden“ brzmiała odpowiedź. Sławną jest odpowiedź Focyjusza dana Demostenesowi. Gdy ten ostatni rzekł do pierwszego: „Ateńczycy zabiją cię, wpadłszy w wściekłość“ usłyszał następującą odpowiedź: „a ciebie, gdy przyjdą do rozumu.“ Bon mot spartańskie, stworzyło sposób mówienia lakonicznym zwany. Raport Lyzandra o wzięciu Aten brzmiał: „Ateny wzięte.“ Z nowożytnych jako lakoniczni bonmotyści słyną irlandczycy. W r. 1487 jeden z dwóch dowódzców pisał do drugiego: „Przyszlij mi haracz, albo...“ Na co drugi odpowiedział: „Nic ci nie jestem winien, kiedyż?...“ Henryk IV, dawał posłuchanie w galeryi niewykończonej swego pałacu. Jeden z mówców był tak rozwlekły, iż król mu przerwał pytaniem: „Jak znajdujesz tę galeryję.“ „N. Panie, nic jej nie brakuje, tylko żeby była skończoną.“ „Toż samo też myślę o twojej mowie.“ Powracając do starożytnych, najznakomitszymi tego rodzaju słowa szermierzami u greków byli: Dyjogenes i Arystyp, u rzymian: Cezar i Cycero. Tym „dobrym słowom“ nie jeden winien życie. Tak, ks. Maury godczas rewolucyi w Paryżu, gdy zaczęto wołać: „na latarnię z nim,“ odpowiedzią: „czy przez to lepiej będziecie widzieć,“ rozśmieszył tłum i uwolnił się z rąk jego. Galiani, jeden z najdowcipniejszych ludzi swego czasu, znalazłszy się w złych okolicznościach posłał papieżowi Benedyktowi XIV sporą ilość lawy ze słowami: „spraw, aby te kamienie stały się chlebem“ i otrzymał korzystną kanoniję. Podobnie ksiądz, starający się o probostwo, otrzymał je, gdy na słowa Fryderyka: „Wszyscy berlińczycy są nicponie“ odpowiedział: „Ja znam dwa wyjątki: Ciebie N. Panie i siebie...“ „Trzeba być hultajem na to,“ rzekł marszałek saski do żołnierza prowadzonego na śmierć za kradzież „aby narażać życie dla sześciu lirów.“ „Ileż razy narażałem życie za 5 sous“ (płaca żołnierska). Francuzi celują w tego rodzaju dowcipach. Podczas wojny, gdy jeden z nieprzyjaciół prosił gaskończyka o darowanie mu życia, ten zawołał: „możesz prosić o wszystko, byle nie o życie.“ Sławnem było przemówienie się Fryderyka z biskupem warmińskim, Krasickim. Kiedy król, który ciągle zmniejszał dochody duchowieństwu, rzekł raz do biskupa: „pod waszym płaszczem mam nadzieje przedostać się do raju“ usłyszał odpowiedź: „Będzie to trudno N. Panie, gdyż płaszcz mój tak już jest okrojony, że zaledwie kawałek z niego został.“ Bon mot, wypowiedziane w stosownej chwili, są to słowa salomonowe, złote jabłka o srebrnej łupinie, słodkie jak pocałunek — choć często i goryczy im niebrak...

Bordeloup, autor siedmnastego wieku napisał mnóstwo lecz nader lichych książek. Pewnego razu dzieła swoje nazwał on swemi grzechami śmiertelnemi... „Temu nie mogę zaprzeczyć — odrzekł jego przyjaciel — szkoda tylko, że nie pan, ale wszyscy jego czytelnicy odprawiać muszą pokutę“

Borowski.

* Razu jednego zjechało się kilku radziwiłłowskich przyjaciół w Samuelowie u jw. Mikołaja Morawskiego. Między nimi był pan Leon Borowski, od śmierci pana Wołodkowicza najpoufalszy domownik księcia i pan Bonifacy Sołohub, co to kiedyś pana Skirmunta wyszturchał. Pan Bonifacy strzelał nic potem, bo miał wzrok krótki. Miał on strzelbę dwururną hiszpańską, nad jaką lepszej u samego księcia nie było, i zawsze z sobą ją woził. Pan Leon, co nadzwyczajne miał oko, chciał jej koniecznie dostać i różne mu proponował facyjendy. Pan Bonifacy był twardy i ciągle go zbywał powtarzając: — Prędzej się ze skórą, niż z dubeltówką rozstanę. — Na co ci się ona zda, kiedy ty strzelać nie umiesz?— Czy umiem, czy nie umiem, to nie twoja rzecz; a strzelby nie dam! — A jużci kto ma strzelbę, powinien okazać, że ona mu się zda na coś. — To szczęście, że ty nie jesteś łowczym wielkim litewskim, bo twój zarzut mógłby mnie obchodzić; ale wiem, że może strzelam tak dobrze, jak ty! — Możesz tego dać dowód. Niedaleko dworu jest knieja niewielka, ale dobra; obrzućmy ją siecią, mam sforę gończych z sobą, od których lepszych w Nieświeżu nie znajdziesz, a cała psiarnia jw. generała jest na twoje usługi, on obławy nam nie odmówi, ani dojeżdżaczów. Pójdźmy więc ze świtem do kniei; prócz ciebie, nikt strzelać nie będzie. Jeżeli wyniesiesz zwierza, ja ci oddam moje cztery konie; a jeżeli skwasisz polowanie, pożegnaj się ze swoją strzelbą. — Zgoda, ale zróbmy układ na piśmie i wręczmy go jw. generałowi; bo jak ubiję zwierza, to ty żarcikami gotów mnie zbyć... Wszak my się nie od dnia wczorajszego znamy! — Pisz, co ci się podoba, ja wszystko podpiszę, bo wiem, że ubijesz zwierza jak ci na nosie chyba siędzie!

Wziął tedy pióro i papier pan Bonifacy i napisał tranzakcyją formalną, mocą której pan Leon Borowski komornik słonimski, obowiązywał się oddać panu Sołohubowi, koniuszemu nowogrodzkiemu, cztery konie siwo-pstrokate wraz z uprzężą, jeśliby ten na polowaniu, warunkami określonem, w przeciągu trzech godzin ubił zwierza; w przeciwnym zaś przypadku, strzelba dwururna pana Sołohuba z napisem: „*Diego mas Toledo*,“ złożona w ręce jw. Mikołaja Morawskiego generała, uproszonego na egzekutora dobrowolnej tej umowy, miała przejść na własność pana Borowskiego. Tranzakcyja podpisana została przez obie strony i pieczętarzy; a jw. generał natychmiast wszelkie przygotowania rozporządził.

Cały dzień pan Leon napastował pana Bonifacego żarcikami, ale pan Bonifacy fantazyi nie tracił.

Nazajutrz, przed piątą jeszcze, wszyscy już byli w kniei samuelowskiej, zwanej Koski. Po niejakim czasie, wprzód nim psy głos dały, usłyszano strzał... Wszystkich to mocno zadziwiło, aż tu pan Bonifacy wydobywa się z gęstwiny, ciągnąc za ogon jednego z psów pana Leona, którego dopiero postrzelił i odzywa się: — Proszę o konie; ubiłem zwierza! — Jak to! — powiedział pan Leon — ty za psa mnie zapłacisz, a pokaż zająca, jeśli chcesz, aby konie były twoje. — Przeczytaj opis, panie bracie, tam o zającu nie ma wzmianki, tylko o zwierzu, a spodziewam się, że pies zwierzę. — Do kogo innego waćpan idź ze swemi krotofilami, a ja pana generała proszę o strzelbę. — Pan generał na to: — Odczytamy w domu opis; a gdy strony mnie poruczyły onego dopełnienie, do niego stosować się muszę.

Wrócili wszyscy do domu, pan Leon nie posiadając się ze złości, a pan Bonifacy za

boki trzymając się od śmiechu. Przybywszy do domu, pan generał włożył okulary, przeczytał tranzakcyją i powiedział: — Nie ma wyrażonego rodzaju zwierza, co miał być ubity, a zatem wedle opisu, w istocie pan Bonifacy wygrał zakład. — Ja na to nigdy nie przystanę — odezwał się pan Leon; — odwołuję się do sumienia wszystkich myśliwych, czy pies może uchodzić za zwierzę? — A juści nie ryba — rzekł pan Bonifacy — pożegnaj się z końmi panie Leonie, a nadal w opisach twoich lepiej się pilnuj! — Ja na samego księcia wojewodę się zdaję. — Zgoda, niech naczelnik nas sądzi. Jw. generał miał dziś do Nieświeża jechać, jedźmy z nim i tam kończmy; jw. generał nie zapomni zawieźć z sobą naszego opisu.

Pan Leon nic nie odpowiedział; tak się rozzłościł, że od nikogo miejsca przyjąć nie chciał w powozie, ale u arendarza furę najął, i sam jeden puścił się do Nieświeża. Zjechawszy się w Nieświeżu, opowiedziały strony interes księciu, prosząc, by chciał zostać superarbitrem. Na to książę: — Dobrze, podejmuję się tego; jedźcież więc do Nowogródka, i wracajcie z przyznaną inskrypcyją.

Pojechali więc, przyznali inskrypcyję przed grodem, i nazajutrz wrócili do Nieświeża ze wszelką gotowością. Książę zapisał akt sądu kompromisarskiego, i kazał sprawę wprowadzić.

Każda strona, na żądanie samego księcia, dodała mu po jednym arbitrze. Wprowadzenie sprawy, indukta, repliki, wysłuchanie świadków trwały dni dwa, po których upłynieniu książę ogłosił dekret, przysądzający cztery konie panu Bonifacemu Sołohubowi; a stosując się do konstytucyi 1784 r., za sprzeciwienie się pana Leona Borowskiego dobrowolnemu opisowi, nakazał mu zapłacić grzywien, około dwóchset złotych na rzecz pana Bonifacego, z których potrącił osiemdziesiąt złotych na bonifikatę szkody jego, poniesionej w psie gończym, zastrzelonym przez pana Sołohuba.

Pan Leon gdy czytano dekret, pobladł, wargi mu się trzęsły, i nie podziękowawszy księciu, w niepohamowanym gniewie natychmiast wyjechał z Nieświeża. Przybywszy do Niehorały, dóbr, które z łaski księcia za bezcen trzymał, napisał list do księcia pełen wymówek, wyrzucając mu niesprawiedliwość, i odsyłając mundur albeński z oświadczeniem, że już do tego towarzystwa należeć przestaje, nie chcąc mieć dłużej nad sobą naczelnika tak parcyjalnego w sądzeniu. Dodał przytem, że nieprawemu wyrokowi nigdy nie ulegnie; że jako wolny szlachcic, będzie szukał sprawiedliwości po sądach szlacheckich, nie znajdując jej w kaprysach pańskich, i inne dotkliwe rzeczy. Książę, gdy odebrał list, głośno kazał go odczytać. Myśmy potruchleli na taką zapamiętałość pana Leona względem swojego dobroczyńcy. Ale książę, zamiast coby się miał obruszyć, zaczął się śmiać do rozpuku mówiąc: — Panie kochanku, coś pan Leon bardzo się rozchimerował: jednak jakoś się da przeprosić...

Tu nie koniec. Pan Leon wyraźnie jakby do niego coś przystąpiło, zaczął ciągać księcia po sądach, usiłując wszędzie zwalić kompromisarski dekret, a wszędzie przegrawszy, podał na księcia prośbę do rady nieustającej. Dopiero książę się obraził: bo tej juryzdykcyi nienawidził, i opierał się, co miał siły, jej ustanowieniu. — Panie kochanku — mawiał — nie mam ani przyjaciół, ani sług wiernych; pan Leon mnie ukrzywdził, a nikt się za mnie nie ujmie. Biada temu kto przyjaciół przeżyje; gdyby żył Zawisza, lub Wazgird, lub Bohuszewicz, dawnoby pan Borowski poznał, co to jest Radziwiłła krzywdzić; a cóż dopiero gdyby Ignacy Wołodkowicz zmartwychpowstał?!

Zmartwieni tem srodze postanowiliśmy prosić pana Jerzego Płaskowickiego aby się do pana Borowskiego udał i żądał ukazania się przed księciem jak tego sama słuszność wymagała.

Pan Jerzy, mąż wielkiego znaczenia między nami, jedyny do rady, znalazł pana Leona w Słonimie, gdzie on był komornikiem, i zastał go iedwo nie w czarnej melancholii. — Patrz, panie

okolniczy, powiedział mu przywitawszy go, gdzie mnie czart zapędził!

Rozmaite środki pojednania się z księciem podawał pan Jerzy, a pan Leon zawsze odpowiadał: — Ja na to się nie odważę, znam księcia pierwszy impet; jak mu się pokażę, krwawo mnie shańbi, i nie jeleń, ale pan Leon *personaliter* weźmie w skórę; i między nami — wart tego! Nieraz sam sobie chcę dać po skórze, a onby mnie miał folgować? Nadto mu się naraziłem. On poczciwe ma serce, ale mój postępek był tak nieroztropny, tak niewdzięczny, tak zapamiętały, że i świętej pamięci księciu Sierotce byłbym się naprzykrzył Nie ma rady, on wszelkie do mnie przywiązanie utracił. — Otoż wiesz co, panie Leonie, on ciebie kocha. Kiedy trzeźwy, to na twoim łbie szyny żelazne łamie; ale jak tylko się podchmieli, ciebie szuka i przymrużywszy oczy mruczy nalewając kielich: „Do ciebie panie Leonie.“ — Co powiadasz? — Bóg świadek, że kilka razy to było przy mnie... Cały dwór za tobą tęskni: raz, że, ktoby cię nie kochał, wilczeby miał serce; powtóre, że nie ma komu za tym lub owym do księcia w interesie się wstawić. Ksiądz Katembryng, co tylko się sumienia książęcego nie tycze, do tego się nie miesza, i za rodzonym ojcem słówka nie powie; pan Mikołaj Morawski, rad że mu się udaje nieraz księcia z błotem zmieszać, jak ten go zniecierpliwi, na tem poprzestaje, i ni za sobą ni za nikim, jak wiesz, nigdy się nie odezwał. Ile razy książę kogo obdarzył, to on mówi: zapłać twoje długi, a dopiero bądź wspaniałym. Pan Michał Rejten, który u niego coby chciał wyprosił, a pięciu dyjabłów się nie zlęknie, przed nim ust nie śmie otworzyć; a oprócz tych trzech, nikomuby i nie bardzo uszło być z księciem zbyt śmiałym. Po tobie tęsknim wszyscy, i jeżeli ci prawdę mam powiedzieć, bo ty wiesz, że *in vino veritas*, cała Alba mnie do ciebie, panie Leonie wysłała w delegacyi, abym ciebie jakoś przywabił do przeproszenia księcia; bo wszyscy radzi mieć po dawnemu twoje plecy za sobą w Nieświeżu, a nie być zmuszonymi gdzieś tobie drogę pomimowolnie zastąpić. — Tam do dyjabła! Kiedy tak się rzeczy mają, pojadę do Nieświeża. — Kiedy? — Jw. Plater kasztelanic trocki w przyszłym tygodniu żeni się z panną Rzewuską chorążanką litewską, siostrzenicą księcia; więc jadę do Nieświeża na wesele. — Takoż ci przystąpiło coś nowego do głowy, taki dzień wybierać! Nieproszonemu na wesele się pokazać?...— Albo ja sam nie potrafię się zaprosić? — Czy ty oszalał! wszystko u ciebie bez miary: toś dopiero do zbytku był tchórzliwego serca, a teraz wpadasz w zarozumiałość. Posłuchaj mojej rady... Po weselu, jak się porozjeżdżają, a książę zacznie tęsknić za siostrzanką, przyjdziesz do niego z księdzem Katembryngiem, i powiesz. — Ta ra ra ra! A co to ja na szubienicę dekretowany, żebym w asystencyi księdza chodził? Ja wolny szlachcic przecię: nie dam sobie w kaszę napluć!

My się nigdy nie spodziewali, żeby pan Leon odważył się bez przygotowania wpaść do Nieświeża, jeszcze w czasie, kiedy książę siostrzenicę wydawał, i kiedy listy zapraszające po całej Litwie biegały. Jakże tu było nieproszonemu przyjechać do zirytowanego na siebie gospodarza? Ale kto mógł pana Leona przeniknąć!

W dniu, w którym się miało odbyć wesele, pamiętam jak dziś, o dziewiątej z rana, po mszy św. książę siedział w sieni, dokąd mu przynieśli w kobiałce szczenięta świeżo narodzone z Nepty, wyżlicy faworytnej. Książę był w złym humorze, bo nic nie mówił, tylko mocno sapał, głaszcząc sukę i jej potomstwo, a nakoniec odezwał się: — Panie kochanku, kazałem aby mi z Łachwy kilka łosi i dzików przywieźli na wesele chorążanki, a dotąd ich nie widać. Przyjdzie się wstydzić przed kasztelanicem trockim, że u Radziwiłła kapcański obiad. Nikt mnie nie słucha, drwią ze mnie, odkąd mnie pan Borowski ukrzywdził bezkarnie; za boże stworzenie mnie nie mają. Trzeba uciekać z Litwy; bo doczekam tego, że we własnej mojej chacie

w. komornik słonimski da mnie w skórę, a moi przyjaciele jeszcze mu pomogą. Jak tylko oddam chorążankę, zaraz wyjadę do Ołyki; między koroniaszami szukać będę przyjaciół, a Litwy i znać nie chcę...

I coraz mocniej zaczął sapać: a my cośmy go otaczali, nie wiedzieli co z sobą robić, tak nas temi wymówkami piłował.

Wtem w sieni drzwi się odmykają i wchodzi... kto? pan Leon Borowski! z miną gęstą, z pasem tak litym, że aż się oczy ćmiły, i niziuteńko skłonił się przed księciem.

Książę tak się zmieszał, że aż języka zapomniał w gębie... Wstał, znowu usiadł w krzesło i odezwał się w roztargnieniu. — Co słychać panie Leonie? — Teraz słychać, że dwóch wielkich głupców na Litwie. — Kto taki? — Jeden książę Karol Radziwiłł wojewoda wileński, drugi Leon Borowski komornik słonimski. — Jak to! — przerwał książę mocno zasapawszy. — A tak, książę panie, Radziwiłł, że się porwał na imperatorową, a Borowski, że się porwał na Radziwiłła!

Cóż powiecie? Książę zamiast coby się miał gniewać, zaczął się śmiać do rozpuku, a potem rzekł: — Panie Leonie, waćpana całe życie błazeństwa trzymać się będą. A kto waści zaprosił do Nieświeża na wesele? — Sam się zaprosiłem, książę panie; zatęskniłem się w Słonimie. Wykroczyłem, o tem Bóg i ludzie wiedzą więcej jeszcze, niż sam książę: bij mnie, bom wart tego; ale ostrzegam, że w. ks. mość i hakami od Nieświeża mnie nie odpędzisz,—i kląkł przed księciem.

Książę się rozczulił, kilkakrotnie go ucałował mówiąc: — Panie Leonie, bądź dobrej myśli, a o tem, co minęło, nie gadajmy...

„*Pamiętniki Soplicy.*“

H. Rzewuski. (p. str. 10).

Bourgogne.

* W r. 1702 ks. Bourgogne dowodził armiją francuzką. Pewien stary oficer, który lepiej znał sprawy wojskowe aniżeli zwyczaje dworskie, przybył do księcia na obiad, pomimo, że nie otrzymał zaproszenia. Kiedy zrobiono mu uwagę i oficer zaczął prosić księcia o przebaczenie, ten odpowiedział łaskawie:

— Owszem, będziemy razem jeść obiad: ja pana będę uczyć zwyczajów dworskich, zaś pan mnie sztuki wojskowej.

Bójka.

* Nie pomnąc na zażyłość,
Na swój stosunek stary,
Głupota raz i miłość
Chwyciły się za bary.

Głupotę któż pokona?
Zaciekła jak megera,
Bez zwłoki zaraz ona
Do bicia się zabiera.

Historyja wcale miła!
Ta furyja jak podskoczy,
Jak palnie — wnet wybiła
Miłości cudne oczy!

Jeśli kto co przeskrobie,
To drugi wnosi żale;
Zjawiły się więc obie
W najwyższym trybunale.

Wznoszono na ten napad
Pro — contra, co się zmieści,
Aż wreszcie wyrok zapadł
Następującej treści:

„Na obie spada wina
Za spór, co tu się toczy;
Lecz miłość, poczciwina,
Straciła w bójce oczy.

„Cóż dla niej więc zapłatą
Doznanej krzywdy będzie?
Niech ślepą miłość za to
Głupota wiedzie wszędzie“.

Ach, straszna to zawiłość
Dziś nas niewinnych karze,
Bo dotąd ślepa miłość
Z głupotą chodzi w parze.
St. Rossowski. (p. str. 57).

Brat.

* Pewien młodzieniec wyuczył się dokładnie naśladować ryk osła.

Raz siostra jego znajdowała się w licznem towarzystwie, które siedziało w salonie, zabawiając się rozmową. Tymczasem na dziedzińcu zaryczał rzeczywisty osieł.

— Słuchajcie państwo — odezwało się dziewczę — to mój brat nadchodzi.

* *Brat mój, gdyśmy sami byli...*

Brat mój, gdyśmy sami byli,
Rzekł mi z miną uroczystą:
— Ty, taki zdolny, Bazyli,
Czemuś ty konserwatystą?
Tylko, proszę, powiedz szczerze.
Na to rzekłem: — W postęp wierzę —
I nie jedno byłbym skory
Pchnąć na inne, nowe tory,
Lecz postęp nie jest dość szybki,
Nie natychmiast syci złotem.
Ja zmącę wodę... a rybki
Inni będą łowić... potem.

M. Rodoć (*Mikołaj Biernacki*), nazwany polskim Berangerem, ur. 1836 w Kamieńcu podolskim, w 1854 ukończył instytut szlachecki; w r. 1874 — mieszkaniec Lwowa i redaktor *Tygodnia*. Jego piosnki humorystyczne i satyry z tendencyją polityczną i obyczajową kryją w sobie prawdziwą werwę i dowcip, dotkliwy dla przeciwników. Tłómaczył Berangera, Wiktora Hugo i Heinego jako pisarz humorystyczno-satyryczny — zasłużonego doznaje uznania.

Braki.

* — No, żeby na kompletną balową toaletę przeznaczać tylko pięćdziesiąt rubli, to trzeba nie mieć serca!

— I długów...

Braminowie.

* Jeden bramin, z uszczerbkiem i czasu i wzroku.
Codzień patrzył na słońce od rana do zmroku;
Drugi, sądząc, że nie jest godzien takiej chwały,
Zamknięty w ciemnym lochu siedział przez rok [cały.
Cóż się stało? Oślepli obadwaj czciciele;
Ten, że wcale nie patrzył, ów, że patrzył wiele.
Ferdynand Gutt.

Branicki.

* Gdy Branicki przebywał w Warszawie, powiada Essen, mało było tygodni, w ciągu których śmiertelnie by się nie spił (ivre-mort).

W czasie tych rozpustnych uczt, plótł rzeczy niestworzone i z najlepszymi przyjaciołmi gotów był iść na noże.

Raz w r. 1774, pijany mocno, przyszedł do gabinetu króla, który miał dlań słabość wielką.

Król dosyć łagodnie przedstawiał mu skutki takiego nieporządnego życia.

On na to:

— Najjaśniejszy Panie! E! gdybyś Wasza Królewska Mość pił jak ja, miałbyś w Polsce pewnie więcej przyjaciół niż teraz.

* Branickiego duma i zuchwalstwo bardzo upokorzone zostało. Dotknięto go, odbierając pensyje, które sobie z Ponińskim w 1775 r. poprzyznawali; odebrano mu, co gorzej, władzę hetmańską, a król obrażony, trudnym był do przejednania. Z powodu tego uszczuplenia powagi buławie, chodziły po Warszawie znane wierszyki:

„Snycerz za to, że kiedyś na klocu odpoczął,
Statuę Herkulesa z niego robić począł,
Jeszcze rąk nie dokończył, aż rycerz zuchwały,
Nie kontent, że był w sieni, chciał objąć dom cały
Zląkł się snycerz nad takim wdzięczności owocem,
Obciął ręce i nogi, a kloc został klocem".

Brednie.

* Po bitwie grabarz grzebał umarłych.

— Ależ człowieku! — zawołał oficer, doglądający tej smutnej czynności — wrzuciłeś do dołu dyszącego jeszcze żołnierza.

— Eh! panie — odpowiada grabarz — widać żeś pan niezwyczajny; żeby tak kto na nich zwracał uwagę, toby i jednego prawdziwego nieboszczyka się nie znalazło.

A. Villemot.

* Jakiś jegomość sceptycznie usposobiony i nie mający zaufania do szczepienia ospy, rzekł raz do kogoś...

— Na co się to zdało! Znałem śliczne dziecko, istnego aniołka, które w dwa dni po zaszczepieniu ospy umarło.

— Ależ jakim sposobem w dwa dni?

— Powiadam panu w dwa dni po zaszczepieniu ospy spadło z drzewa i zabiło się na miejscu, w moich oczach... a teraz, jeżli wam to nie wystarcza, to każcie szczepić ospę waszym dzieciom!

Encyclopédiana.

* Kilku wesołych towarzyszy zgromadziło się w oberży. Ponieważ jeden z nich miał wcześnie odjechać, więc po sutych libacyjach koledzy odprowadzili go do numeru, gdzie, z powodu wielkiego tłoku, w każdem łóżku spało po dwóch gości i w jednem tylko znalazło się miejsce, obok chrapiącego murzyna. Nie mając wyboru, młody człowiek położył się przy czarnym sąsiedzie i polecił towarzyszom, aby go, skoro świt, obudzili i wkrótce usnął.

Ci zaś, chcąc się jego kosztem zabawić, przed odejściem umalowali twarz śpiącemu sadzami.

Obudzony rano młodzieniec, wstaje, ubiera się, a spostrzegłszy w lustrze swą hebanową cerę, cofa się wołając w irytacyi:

— Ah! to idyjoci, oni zamiast mnie, obudzili afrykanina! — poczem rozbiera się i kładzie napowrót do łóżka.

Mosaïque.

* W pewnem muzeum starożytności, jakiś dobroduszny mieszczanin przyglądał się dwom językom umieszczonym pod kloszem. Zaciekawiony, pyta miejscowego *cicerone* do kogo one należały.

— Ten duży jest to język Karola Wielkiego, cesarza (Charlemagne).

— A ten mniejszy?

— Ten mniejszy, to też język tego samego cesarza, jak był dzieckiem.

* Pewien wytworny markiz ofiarował swoje usługi kilku damom, które miał zaprowadzić do obserwatoryjum paryzkiego, aby mogły widzieć zaćmienie słońca, pod przewodnictwem słynnego de Cassini. Ale toalety zabrały zbyt wiele czasu i ciekawe towarzystwo przybyło zapóżno.

Nie tracąc dobrej miny, pan markiz powiada do pań tych uprzejmie:

— Nic nie szkodzi, wejdźmy, pan de Cassini jest moim osobistym przyjacielem i ręczę, że na moje prośby rozpocznie wszystko na nowo.

Ecole des moeurs.

* Jakiś poczciwiec skarżył się przed swoim sąsiadem na szalony ból w oku i prosił go o jaką na to radę. Na co mu sąsiad poważnie odpowiada, że i on w roku zeszłym cierpiał na straszliwy ból zęba, który ustąpił dopiero po wyjęciu go, więc najniezawodniej ulży sobie, gdy uczyni to samo z okiem.

Galland.

* Baron de Breteuil, którego manią było pozowanie na uczonego, narażonym był skutkiem tego częstokroć na nielitościwe żarty.

Razu jednego, w obec licznego zgromadzenia u pani de Pontchartrain, wdał się w głośną dysputę z gospodynią domu, która chcąc go wprowadzić w ambaras, powiedziała, iż ręczyć może za to, że pomimo całej swej wiedzy, nie potrafi jej objaśnić kto skomponował „Ojcze nasz!"

De Breteuil, nie wiedząc co odpowiedzieć, wywijał się jak mógł z kłopotliwego położenia, gdy usłużny sąsiad jego, pan de Caumartin, szepnął mu do ucha: „Mojżesz".

Można sobie wyobrazić, jaki głośny śmiech powstał w salonie, skoro de Breteuil zacytował tego świeżo zaimprowizowanego twórcę modlitwy Pańskiej.

Saint-Simon, Memoires.

* Hrabia de Fessé był koniuszym królowej Maryi Leszczyńskiej. Szanowała ona go bardzo i ceniła wielce jego przymioty, niemniej wszakże żartowała nieraz z prostoty umysłowej.

Gdy raz rozmawiano o czynach wojennych szlachty francuzkiej, królowa rzekła do swego koniuszego:

— Pańska rodzina, panie de Fessé, odznaczyła się też niejednokrotnie w zawodzie wojskowym?

— Oh! pani, myśmy wszyscy polegli w obronie naszych panów.

— Jakże to szczęśliwie —odparła królowa— żeś pan został, aby mię o tem uwiadomić.

M-me Campan, Memoires.

* Pewnego dnia pan Gauland, spostrzegłszy kupę śmieci na podwórzu, występuje z pretensyją do gospodarza o usunięcie tych nieczystości. Gospodarz tłómaczy się brakiem furmanek.

— Po co furmanki — rzecze Gaulard — każ pan wykopać dół na środku podwórza i wrzucić doń te wszystkie śmieci.

— A cóż zrobię z ziemią z tego dołu?

— Do licha, cóż znów, toć każ pan wykopać tak duży dół, aby się w nim i owa ziemia zmieściła.

Ménage, d'aprés Tabouret.

Brewijarz wilczy.

* Gdy przy pełnej siędziesz misie,
Każdy rad przy tobie siędzie —
Byleś tylko go przypuścił,
Wnet zajadać z tobą będzie.

Czyś tę rybkę łowił w stawie,
Czy gdzie w ścieku — nikt nie spyta,
Zje, a usta gdy obetrze,
To obmówi cię — i kwita!...

—o—

Jeśli pragniesz mieć przyjaciół,
To się z twoim kryj rozumem;
Rzadko bywa popularnym,
Kto góruje ponad tłumem.

Rozum nie ma dziś pokupu,
Ale głupstwa zbyt jest szybki;
Rycz więc synu wraz z osłami
Rycz, a dadzą ci osypki!

—o—

„Precz od garnka — garnki nasze!...
My tu tłustą zjemy kaszę;
Ty — mrzyj głodem, za to w niebie
Warzy obiad się dla ciebie!...“

„Tam bażanty i kwiczołki
Skubią dla cię już aniołki
I ściągają tokaj w flasze;
Ale tutaj — garnki nasze!“

„„Niechaj za te dobre słowa
Łaski nieba na was spłyną;
Bażant, kwiczoł — smaczne jadło!...
Stary tokaj — sławne wino!...““

„„Bóg wam zapłać, że raczycie
Taką przyszłość mi otwierać;
Szkoda tylko — wielka szkoda —
Że mam z głodu wpierw umierać!...““

Miałbym synu cię za osła,
Gdybyś tym andronom wierzył;
Bóg jest ojcem, i każdemu
Równą kaszy część wymierzył!...

Śmiało z łyżką idź do garnka;
Nie daj z kwitkiem się odprawić!...
Jak się najesz — legniesz w grobie;
Będziesz miał czas wszystko strawić!...

—o—

Głową muru nie przebijesz,
Musisz synu iść z twym wiekiem,
Jeśli człek dziś jest człek goły
Ach — to człek dziś nie jest człekiem!

Zdzieraj zatem, kradnij, rabuj,
Sprzedaj wstyd twój, cześć, uczucie,
Ludzie wszystko ci przebaczą
Byleś nie miał — dziury w bucie!

Chochlik.

Broda.

* Przed sędzią w Londynie stawiono włóczęgę. Uwięziony miał czarną brodę rzadkiej wielkości.

Po skończonem badaniu sędzia powiedział:

— Gdyby wierzyć wszystkiemu, co ci zarzucają, miałbyś sumienie tak czarne, jak broda, którą nosisz.

— Panie sędzio — odrzekł podsądny — gdyby o sumieniu należało sądzić z brody, pan nie miałbyś go wcale.

Bryka.

* Gwałtu, ratujcie o wielcy bogowie!
Powiedz ma Muzo, zkąd ci ta ochota
Dać się kierować roztrzepanej głowie,
I złamać bryczkę o wrota?

O piękne panie, wróżki tych krain!
Wasza to wina i wasza to łaska,
Że zagapiony do okna Horain
Karetę łamie i trzaska.

Płochy woźnico, a bój się ty Boga!
Wiesz kogo wieziesz? Wszak to wieszcz nad [wieszcze,
Dzisiaj miał zwiedzić mogiłę Mendoga,
Wieczorem jeszcze.

Biedny poeta w rozpaczy i złości
Musi się cofnąć we słodkim zamiarze —
Czekaj woźnico, jest sąd potomności:
Apollo klęczeć ci każe!

ODPOWIEDŹ.

Stój, stój, o wieszczu, wstrzymaj się w zapędzie
I zbyt pochlebną nie ciesz się nadzieją,
Muzy po tobie łezki nie wyleją,
Apollo smacznie spać będzie.

Dopókiś śpiewał gawędy, wybryki,
Póty Bóg lutni zwał cię swoim synem
I skronie twoje ozdabiał wawrzynem,
Pókiś nie dotknął mej bryki.

Dziś gdy opiewasz tak błahy wypadek,
Jakim jest bryki złamanie,
Takiemi rymy Apollo, mój panie!...

. . . .

Ludwik Kondratowicz (*Władysław Syrokomla*)— ur. 1822 w Smolkowie, w pow. słuckim, zmarł 1862 w Wilnie. Samouczek — z początku urzędnik, następnie hreczkosiej. Zmarł przedwcześnie — w dobie rozwoju znakomitego talentu. Utwory jego owiane są wrodzonym humorem i miłością swojszczyzny. Strzecha rodzina, jej piękno stanowiły dla niego punkt wytyczny przy tworzeniu. Szereg prac zostawił spory. Do pierwszorzędnych zaliczamy: „*Urodzony Jan Dęboróg*“, „*Kęs chleba*“, „*Córa Piastów*“, „*Zgon Acerna*“, „*Królewscy lutniści*“, „*Nocleg hetmański*“, „*Margier*“, „*Karliński*“, „*Hrabia na Wątorach*“, „*Chatka w lesie*“. Znakomicie przełożył: Kl. Janickiego, Sarbiewskiego, Kochanowskiego i Klonowicza. Pozostawił i poważnej treści dzieła, jak — „*Historyję literatury polskiej*“, „*Niemen od źródeł do ujścia*“.

Brzuch.

* Przeminął czas, przeminął czas,
Dawny czas legendowy,
Gdy wszystek ludzki korzył się ród
Przed majestatem głowy.

Przeminął czas... Na szczycie fal
Nic niema dziś oprócz szumu
I ciągle głębiej pada na spód
Jasna perełka rozumu.

I nowej ery uderza prąd,
Twardym taranem obucha,
Ciskając w zbladłą rozumu twarz
Zasadę... strawnego brzucha.

Niejasna wprawdzie pierwszych twych dni
Geneza — wzorze strawności!
Nieraz za młodu musiałeś żuć
Lada ochłapy i kości.

I z rezygnacyją zginał się kark,
Widząc jak wszystko czas zmienia,
Jak w kotlet zasług przetwarza się
Po latach schab poniżenia.

We wszystkiem dobry znalazłeś smak,
Bo chociaż gardło się krztusi,
Czegóż nie zdoła przetrawić w krew
Żelazny żołądek strusi?

Aż w końcu zgięty podniósł się kark,
Pokorna zhardziała mina,
I dookoła rozszedł się szept,
Że tyć już brzuszek zaczyna.

Nowy zawitał też odtąd dzień,
Nowa zabłysła zasada,
Że lepiej brzuchem — niż głową być,
Bo głowa myśli — brzuch zjada.

Nic więc dziwnego, jeżeli dziś
Odprawa głowę spotyka,
A laury szczęścia gromadzi brzuch,
Mający wszędzie rzecznika.

St. Rossowski. (p. str 57).

Brzydsza.

* Panna von Oudenshold, znana ze swej brzydoty, znajdowała się raz w Sztokholmie na balu maskowym.

Pewien młody człowiek, pociągnięty czarem rozmowy, towarzyszył jej nieustannie, zaklinając i prosząc aby zdjęła maskę.

— To niepodobna — odrzekła w końcu na ponowne jego prośby — niepodobna mi zadość uczynić pańskiemu żądaniu, lękam się, że zamiast dobrego mniemania, jakie pan zdajesz się mieć o mnie, uniósłbyś tylko przykre wrażenie, wywołane widokiem mojej brzydoty... Tak, wiem to dobrze, iż jestem najbrzydszą kobietą w całem mieście!

— O nie, miłościwa pani — odrzekł młodzieniec — pozwól mi bronić swojej sprawy słuszności, niemożesz przecie być brzydszą od Panny Oudenshold...

Na to odparła, smutnie uśmiechając się dama:

— Właśnie ja nią jestem!

Buckingham.

* Ktoś prosił księcia Buckingham, aby się wstawił za nim u dworu, „albowiem“, dodał w końcu, „nie mam się na kogo spuścić, jak tylko na Pana Boga i na waszą książęcą mość“.

— To bardzo pana żałuję — odpowiedział Buckingham — bo właśnie obadwaj bardzo mało możemy u dworu.

Budowa.

* W Warszawie, jak donoszą dzienniki, otworzono już teatr Rozmaitości, który się spalił... Trudno rzeczywiście uwierzyć w tę wiadomość, noszącą wszelkie cechy kaczki dziennikarskiej. Kiedy jednemu z naszych ojców miasta przeczytałem artykuł o otwarciu teatru z „Gazety warszawskiej“ uśmiechnął się tylko i rzekł:

— A to łże, panie, aż ściany schną!

— Kto taki? — spytałem.

— A któż jak nie ten dziennikarz, panie łaskawy, Ho, ho, znam ja ich, znam; dla miłego grosza toby księdzu zełgał na spowiedzi. Toć ich rzemiosło panie...

— Mnie się samemu to wydaje nieprawdopodobnem — odpowiedziałem — ależ, kochany radco, można przecie przypuścić...

— Co przypuścić? — przerwał mi radca i odsunął się na dwa kroki wstecz, jakby podejrzywał mnie o brak jednej piątej — czy pan seryjo mówisz, czy żartujesz?

— Całkiem seryjo, panie radco.

— To chyba pan nie masz wyobrażenia o tego rodzaju sprawach, panie kochany...

— Dlaczego, radco?

— Ależ panie, proszę cię, posłuchaj. Dajmy na to, czego broń Boże, że nasz teatr w Krakowie się spali. Naprzód zejdzie, panie dobrodzieju, komisyja sądowa później komisyja budownicza, następnie przybędzie delegat z namiesnictwa, no, i będą radzili. W pół roku. panie łaskawy, będzie gotowy referat, obejmujący dokładne

opisanie pożaru i stanu obecnego budowli. Po załatwieniu tej sprawy, jeden z radców postawi wniosek odbudowania teatru. Wniosek ten zostanie odesłany do komisyi, która zawezwie grono znawców i lubowników sztuki. Wybrany z tego grona podkomitet złoży sprawozdanie najwcześniej w ciągu dwóch miesięcy. Nad sprawozdaniem tem będzie obradowała komisyja przez miesięcy trzy, nadejdzie lato i rozjedziemy się na wypoczynek. Od spalenia teatru upłynie już półtora roku. Nareszcie komisyja będzie miała przedłożyć radzie miejskiej swój wniosek. Dwa posiedzenia z braku kompletu nie przyjdą do skutku, na trzeciem obfity porządek dzienny nie pozwoli dotknąć tej materyi. Na czwarte posiedzenie nie zjawi się referent z powodu gwałtownego bolu zębów. Tymczasem nastąpią wybory do sejmu lub rady państwa i nikt teatrem zaprzątać sobie głowy nie będzie. Nareszcie, po upływie dwóch lat, rada miejska na wniosek referenta uchwali, aby teatr odbudować. Wybrany komitet będzie miał poleconem zastanowić się nad środkami, drugi zaś będzie obradował nad stroną techniczną. Znowu więc wypadnie zaprosić znawców, potworzyć podkomitety. W tym czasie zmieni się połowa rady (według statutu) i jeden z nowych radców postawi wniosek, aby zaniechać odbudowania a natomiast nowy teatr postawić. Wniosek ten, parlamentarnym zwyczajem, odesłany zostanie do sekcyi. Sekcyja znowu wyznaczy komisyją i powtórzy się *da capo* toż samo co przed tem, to jest: podkomitet będzie radził, wniosek spadnie z porządku dziennego dla braku kompletu, referent zachoruje i t. d. Tak się zbliżymy do końca trzeciego roku. Tu powstanie walka między zwolennikami odbudowania a postawienia nowego teatru. Obie partyje będą usiłowały przeprzeć swoje zdanie. Korespondenci pism lwowskich i warszawskich narobią bigosu, radca Rzewuski wyda trzy broszury i kilka akwarel każe wymalować, „Przegląd literacki“ go zjeździ, słowem — wojna dziennikarska rozsroży się w pełni. Czy myślisz łaskawco, że przed upływem piątego roku doszlibyśmy do jakiego postanowienia? Zdaje ci się, że to tak łatwo, a to panie trzeba się namyśleć, zanim się coś postanowi. Jedni wystąpią z wnioskami, mającymi na celu względy praktyczne, inni ze stanowiska estetyki odeprą poglądy pierwszych, inni wreszcie wynajdą „względy wyższe“ i w imię dobra kraju, na miłość przeszłości zaklinać nas będą, aby estetykę i praktyczność wyrzucić za drzwi... Nareszcie namyślimy się, zadecydujemy postawić teatr nowy. Ale gdzie? Tu sęk! Wojna o miejsce zabierze rok szósty, połowa rady znowu się zmieni i znowu jakiś nowy radca podniesie myśl restauracyi, odbudowania. Nie potrzebuję mówić jaka nastąpi wrzawa, ile „wysadzi się“ komisyj, ile razy zapadnie stanowcza uchwała i ile razy będzie cofniętą. Nareszcie po latach siedmiu wszystko powróci do dawnego stadyjum: restauracyja zostanie zdecydowaną.

Pomyśl pan sobie tylko, że nastąpi konkurs próbny; że po nim przynajmniej rok kłócić się będą, zanim ogłosi się konkurs główny i ostateczny; że tego, który się na nim utrzyma, potrzeba będzie usunąć, boć pokaże się, że nie jest nam ani swat ani brat, ani z żadną z córek naszych nie zechce się żenić. Wreszcie będzie budowniczy, przyjęte zostaną w ósmym roku plany, a na podstawie ich dopiero trzeba rozpocząć rokowania z rządem i wydziałem krajowym o fundusze, boć miasto pieniędzy mieć nie będzie. Wydział krajowy przyrzecze wyjednać subwencyję od sejmu, ale pod pewnemi warunkami. W Wiedniu sprawa pójdzie gorzej. Trzeba będzie wysłać delegacyję jedną i drugą. Przybędzie komisyja, zbada stan rzeczy, przerobi plany. W dziewiątym roku rozpocznie się odbudowa, która lekko licząc, trzy lata potrwa, boć przecież musi się nadzór budowy pokłócić z budowniczym, musi się coś zepsuć i zgnić, a jeżeli jeszcze architekt zachoruje, albo co gorsza, jeżeli się jaki nowy architekt urodzi, co mając plecy za sobą postara się wszystko wywrócić do góry nogami, to, panie łaskawy, mi-

nęłoby dobrze lat piętnaście, zanimbyśmy się doczekali odbudowania teatru. A toż teatr nasz, panie dzieju, przez pół roku był zamknięty, aby dwoje drzwi dorobić i ten, jak wy nazywacie, „most westchnień“ przy nim postawić. No, i przyznaj mi pan sam, czy to nie jest bezczelne kłamstwo, co ten dziennikarz o warszawskim pisze teatrze?

Argumentacyja radcy trafiła do mego przekonania i odtąd za bajkę uważać muszę wszelkie doniesienia o otwarciu teatru Rozmaitości.

K. Bartoszewicz (*„Kroniki“*).

Budrys.

* Stary szlachcic trzem chwatom, takim jak sam [brat-łatom,
Rzekł otwarcie: „Jestem zadłużony,
Wyprowadźcie koczyki, każcie zaprządz koniki,
A przywieźcie bardzo możne żony“.

„Wszak jeszcze są hrabianki, księżniczki, mar-
Co posagi przynoszą krociowe; [grabianki,
Każdy z was przecie może, dostać taką wielmożę,
Byle tylko na karku miał głowę“.

Słowa ojca rozkazem — nie puszczają się pła-
Więc wyprawa gdy była gotowa, [zem,
Wziąwszy młodość i zdrowie, ruszyli trzej sy-
Do Warszawy, Poznania i Lwowa. [nowie,

Idzie jesień i zima, synów niema i niema,
Nic nie piszą od wyjazdu chwili,
Nawet głośne gazety milczą o nich niestety!
Budrys myślał — że fiasco zrobili.

Po śnieżystej zamieci extrapocztą mąż leci
A w powozie wdzięk wielki się chowa...
„To magnatka być musi, księżna z Czerwonej [Rusi!“
„Nie mój ojcze, to Rachel ze Lwowa“.

Po śnieżystej zamieci extrapocztą mąż leci
A w powozie cień śliczny się słania.
„Pewnie wieziesz bogdankę, milijonową hrabian-
„Nie mój ojcze, to Sara z Poznania“. [kę?“

Po śnieżystej zamieci do wsi jedzie mąż trzeci,
A z powozu cud żonka wyziera,
Lecz nim odkryła czoło, Budrys krzyknął wesoło:
„Wiem, to pewnie z Warszawy Estera“.

Świąteczny.

* *Jeszcze trzech Budrysów.*

Stary radca trzech synów, co spadli z egzami-
Do salonu zawołał i gada: [nów,
„Każdemu na konkury sprawiam dwa garnitury
I niechaj się rozpocznie parada.

Bo mówiono mi w biurze: że jednemu szlach-
Bardzo miła dziewczyna dorasta, [ciurze
U sąsiada lichwiarza, też się posag nadarza —
A i prezes ma córkę — i basta.

Więc niech jeden z was goni do wioskowej
Tam zdobędzie folwarczek mospanie, [ustroni,
Żyzne grunta i lasy, szparagi, ananasy,
Ryby, grzyby i letnie mieszkanie.

Drugi z panem prezesem, niech się pozna obce-
Sam go przecież wprowadzić tam mogę; [sem,
Przez tak ścisłe alijanse, będą szybkie awanse,
I na dobrą wejść można już drogę.

Lichwiarzowi zaś trzeci, zaraz niech bakę świeci,
Niech mu wdzięczne wyprawia androny.
Niewieleć tam uciechy, córki brzydkie jak grze-
Ale mają co trzeba dla żony. [chy,

Bo nad wszystkie rozkosze, ach, najmilsze są
Najweselej pobrząknąć gotówką! [grosze,
Dzisiaj nieźle i u mnie, bom postąpił rozumnie,
Gdym z bogatą ożenił się wdówką“.

Taką dawszy przestrogę, udzielił zapomogę.
Oni wsiedli w trzy dryndy Wagnera —
Upłynęło pół lata — synów niema... „Do kata
Ojciec myśli — ot głupia afera“.

A synkowie w trzech razem poznali się z lich-
Choć o córkę się żaden nie spytał, [wiarzem,
Podpisali obligi — i trwonią na wyścigi
Dyskontowo nabyty kapitał.

Frontowemi schodami idzie ktoś z papierami.
Słychać jakieś potrójne szeptanie...
Ojciec szybko odmyka... Co widzi? Komornika,
Który zwiedzić chce syna mieszkanie!

Przez błotniste podwórze któż to idzie w mun-
To bryftreger list niesie pośpiesznie. [durze?
Stary pieczęć rozrywa — to syn drugi go wzy-
„Ratuj, ojcze, ja siedzę na Lesznie“. [wa:

Stary w złości klnie dzieci, a w tem idzie ktoś
To znanego bankiera służący. [trzeci,
Ojciec się już nie pytał, bo mu z oczu wyczytał
Zamazany swój kredyt bieżący!

Baptysta.

* *Jak Budrys Budrysowi wychował żonę.*

Dobremu gniazdu rycerskich ludzi dał Pan Bóg posadę w dobrej ziemi i ślicznej okolicy, nad brzegami Wilii. I trzymał Pan Bóg w łasce swojej ten ród rycerski, bo każde pokolenie na pole marsowe wywodził, ku zahartowaniu na moc wiekuistą.

Po napoleońskich wojnach zdało się, że pokój stanął na wiek cały. A na Wilejskim Ługu dwaj dorastali Budrysowie, wielkiej siły, wielkiego serca i wielkiej urody. Chleba mieli obfitość, między ludźmi przyjaźń, dziewczęta zerkały oczkami na te smukłe topole, ale oni pośród przepychu tych wdzięków chodzili martwo. jakby marmurowe filary, których gorące oddechy dziewicze rozgrzać nie mogły, gdyż według ślubu rodzinnego najprzód winni byli odbyć chrzest wojenny, a potem dopiero stanąć przed ołtarzem...

Nigdzie przeto tak nie znano prognostyków zapowiadających wojnę, jak na dworze Budrysów; noc czy dzień, lato czy zima, bywały dla ludzi rodu tego pewne wróżby pokoju lub wojny. Niestety, Budrysowie młodzi pokończyli każdy lat trzydzieści, a spokój na świecie był coraz głębszym, nawet i turkom bisurmanom pozwolono spać spokojnie. Budrysom nie godziło się podnieść oczu na dziewczynę, rwały się z piersi obudwu westchnienia coraz cięższe...

Matka wdowa perswadowała im, że woli Boga opierać się niepodobna, że wojny ustaną z woli Ojca Przedwiecznego, a Bóg nie chciałby zagłady Budrysowego rodu... Perswadowali i rozgrzeszali ludzie, zaganiając do ożenku; ale trudna rada z ludźmi, których natura, odlewana z czystego złota przed wieki, stwardniała z czasem na dyjamentową, z zachowaniem obyczajów i ślubów rodowych.

Nakoniec pokazała się gwiazda z ogonem. Teraz dopiero odetchnęli Budrysowie! Ani minie straszna wojna—albo więc poginą, albo kochać będą i poklękają z krasnemi dziewczętami na ślubnym kobiercu.

Wywróżyli ludzie, przyszła wojna i powietrze morowe, dwa pioruny gniewu Bożego na rodzaj ludzki. Zapłakały matki, pobladły zagrożone sieroctwem dzieci, jeno ucieszyli się dwaj Budrysowie. Wzięli błogosławieństwo od matki, dosiedli koni i pobiegli w świat daleki.

Pogniewał się Pan Bóg na Budrysów za to, że prosili go o plagę na rodzaj ludzki, dla dziwactwa swojego rodu. A pogniewawszy się wypędził ich na długo z Wilejskiego Ługu, rozkazawszy pędzić życie pomiędzy obcymi. Przepędził ich za pięć wielkich rzek, a strumieni bez liku. Za każdą rzeką nowe ludy, — ludy, jak dla siebie, to wesołe i szczęśliwe, ale nie dla nich, bez matki, bez krewnych, bez ślicznych serc kraśnych dziewcząt!

Trzeba się było poddać woli Bożej, a nawet pożegnać się z sobą braciom rodzonym, bo każdy w innej stronie szukać musiał pracy krwawej i kawałka chleba. Młodszy, Jan Chrzciciel, zaszedł do Hawru i zaciągnął się do prac inżynierskich w porcie; starszy, Piotr z Alkantary, nie oparł się aż na zachodnich brzegach Francyi, bo nie mógł doszukać się ludzi milszych dla serca. Aż znalazł przecie kraj wzgórzysty, zamkami starożytnemi najeżony, znalazł knieje pełne zwierza i ludzi starodawnego obyczaju w Bretanii. Tam osiadł, wydobył trzos, jako tako złotem nadziany i wziął w dzierżawę małą fermę, od barona starożytnością rodu przeno-

szącego Montmorencych. Bo Montmorencowie datują swoje dzieje świetne z czasów krucyjat a baron bretoński pochodził z gniazda, które biło się z Julijuszem Cezarem.

Budrys w doli swojej jedyny znajdował ratunek, biorąc się do krwawej pracy. Inne to tam u francuzów obyczaje, a nawet gospodarowania inne sposoby. Zanim wyuczył się tego wszystkiego, wyplenił się trzosik nakładem, aż brakło na ratę dzierżawną. Sąsiedzi pokochali Budrysa pracowitego, wspierali dobrą radą, ale jakoś nie szło mu gospodarstwo na obcej ziemi. Przyszło do tego, że musiał pójść do zamku na górze, prosić barona o audyjencyją, w celu uzyskania jakiejś folgi w dzierżawnym czynszu, nim Pan Bóg i krewni z pomocą nie przyjdą.

Baron był człowiek dumny, odludek, mało z kim spotykał się na świecie, bo równych sobie nie znajdował pomiędzy ludami chrześciańskimi. Kiedy zameldowano mu gościa litwina, rozciekawił się bardzo, z której też to części świata ten gatunek człowieka, czy podobny do innych ludzi i czy też jest pomiędzy tem plemieniem szlachta?

Zasiadł tedy w audyjencyjonalnej sali, około siebie posadził dwie młode dzieweczki, córy najdorodniejsze Bretanii, podniósł dumnie upudrowaną głowę, drzwi się otwarły, wszedł intendent z laską marszałka pałacowego, za nim dwa sznury galonowanych lokajów stanęło rzędem, formując szpaler, a wtedy, podniósłszy laskę w górę, ozwał się marszałek:

— Monsieur Pierre d'Alcantara Biudry de Vilejke Lugu, gentilhomme de Lithuanie!

I ukazał się w podwojach ogromny Budrys, ogorzały, ponury.

Na widok tej kolosalnej postaci dziewczęta wykrzyknęły z przestrachu, przyciskając się do barona, a baron, otworzywszy usta, mierzył od od stóp do głów litwina, sięgającego głową żyrandola. Podniósł się z poważną grzecznością i zapytał:

— Jakiemuż wypadkowi szczęśliwemu zawdzięczyć mam odwiedziny pańskie?

Budrys skłonił się także, z wielką godnością, podniósł głowę, zakręcił sumiastego wąsa, a potem w krótkich wyrazach opowiedział dzieje swoje, aż do wzięcia dzierżawy na terytoryjum barona i smutnych doświadczeń gospodarskich.

Zdumiał się baron, jakim sposobem człowiek dobrze urodzony, mógł pracować po chłopsku, kiedy dla niego zamki całej Bretanii stoją otworem z gościnnością wszelką? Gdy i na to usłyszał odpowiedź, godności pełną, uszanował ambicyją szlachcica i rozciekawił się niezmiernie, jak też starożytnym mógł być ród człowieka, który miał tyle jeszcze dumy w nieszczęściu, aby nie przyjmować ani jałmużny od narodu francuzkiego, ani łaskawego chleba na dworze bretońskiego szlachcica?

Spytany Budrys w tej kwestyi, wywiódł swój ród od Palemona, który uprowadził wolne ludy greckie w głęboką północ, unikając jarzma Aleksandra Macedońskiego.

Baron zadrżał z radości, pobiegł jak dziecko uszczęśliwione ku gościowi, roztworzył przed nim ramiona... Po raz pierwszy w życiu spotkał on człowieka równego sobie krwi starożytnością; chciał się z nim podzielić wszystkiem, zatrzymał w domu, podejmował wspaniale, opłakując tylko owe trzy lata stracone dla tak spragnionego serca odpowiedniej przyjaźni.

I ułożyło się jakoś, że baron, uwzględniając godną szlachetnego człowieka dumę, nie przymuszał go do trzymania fermy za darmo, ale obniżył czynsz dzierżawny do sprawiedliwszej miary, potrącił nadpłatę z lat przeszłych i dodał wolność polowania we wszystkich swoich kniejach, a obowiązek nawiedzania zamku i kochania krewniaka swojego barona. A że krewnymi byli niezawodnie, rzecz jasna, bo wiedli ród z jednej prababy — przeszłości tak mglistej i ciemnej jak czarna chmura.

Budrys z Wilejskiego Ługu znalazł tedy przyjaźń tkliwą i braterską pomoc. Baron wszystkie rozkosze życia swojego z nim dzielił, zniżał

się nawet do wstępowania w progi kmiecej fermy, którą odtąd nazywać kazał Chateau de Biudrys. A zatrzymawszy kilka dni gościa u siebie, fermę kazał obwieść wałem, postawił most zwodzony, wieżę, a na wieży zawiesił chorągiew z herbami swoimi i herbami Budrysów.

Baron miał córkę jedynaczkę, był wdowcem, a jedynaczka, szczęście jego całe, dziedziczyć miała ostatnia to wielkie imię i obszerne majętności barona z czasów Julijusza Cezara. Cecylija była na dorastaniu. Baron dobrał jej na towarzyszkę sierotę ubogą z wielkiego rodu, jak na francuzkę, ale drobnego, jak na bretonkę. Obudwu zaś dziewczętom chciał dać edukacyję świetną. Szła ona jednak powoli, pod kierunkiem starego l'abbé, kapelana zamkowego i dwóch zakonnic norbertanek.

Cecylija była dziewczynką żywą, wesołą bystrą i wcale ładną, uczyła się szybko, towarzyszka jej zaledwie dogonić ją mogła postępami w naukach. Nauczycielki i l'abbé szybko wyczerpywali zapasy swojej mądrości. Cecylii przyszła dziwna ochota uczenia się po angielsku; nikt w Bretanii na mil kilkanaście dokoła baronii języka tego nie znał, a baron, od czasów Edwarda III tradycyjonalnie nienawidził anglików, z pokolenia do pokolenia wziętą w spuściznie a spotęgowaną nienawiścią.

Nie było tedy sposobu zadowolenia kaprysu Cecylii, aż zwierzył się baron razu jednego Budrysowi ze swoich zmartwień. Litwin wziąwszy do serca boleść przyjaciela, obiecał ratunek skuteczny. Wziął na kilkodniowe rozmyślanie kłopot barona, pasował się sam z sobą... i zdecydował w końcu dawać lekcyje angielskiego języka baronównie...

Kiedy zamiar powzięty objawił baronowi, poczciwy bretończyk do łez rozczulił się takiem poświęceniem przyjaźni; Cecylija zaś dowiedziawszy się, że będzie umiała po angielsku, skakała z radości, a nawet objęła za szyję metra swojego serdecznie, wyciskając pocałunek różanemi usteczkami na obudwu brunatnych policzkach Budrysa.

Uczennica była pojętna, nauczyciel nie skąpił pracy. Nie wyszło rok czasu, a Cecylija mówiła po angielsku tak biegle, jak nauczyciel; śpiewała przy akompaniamencie szpinetu angielskie pieśni, które były rycerskie, prześliczne. Tłumaczyła je ojcu, a baron z tych pieśni prawie sympatyją powziął dla anglików, opiewających tak czule miłość kochanków i poświęcenie rycerzy...

Rok jeszcze potem zabawił Budrys w Bretanii; dorosła baronówna, zajaśniała przepychem wdzięków, aż Budrys odebrał pieniądze i listy od matki stęsknionej, z wezwaniem powrotu do kraju i prośbą o śpieszny przyjazd, aby umierając jednego chociaż syna pobłogosławić mogła.

Na tę wiadomość smutek wielki rozciągnął skrzydła swoje w zamku. Zmizerniał poczciwy baron tracąc przyjaciela, i snu przyzwać nie mógł... Wielka to musiała być baronowska boleść, gdy pół wieku wyczekawszy na godną siebie przyjaźń, utracał ją tak szybko! Przyszła nareszcie stanowcza chwila rozstania. Budrys pożegnał kochanych bretończyków, baron z córką i całym orszakiem swoim odprowadził potomka palemonowego aż do granicy baronii, do ostatniego uścisku, dodając łzę gorącą.

Ani pieszczoty jedynaczki, ani łowy myśliwskie, ani pieśni angielskie nie mogły rozweselić barona w jego smutku po odjeździe przyjaciela. W Chateau de Biudrys przechowywał wszystkie pamiątki po litwinie, często szukał pociechy, zajechawszy do tej fermy, w rozmyślaniach i wspomnieniach. Cecylija, dopóki była dzieckiem, towarzystwo najmniejsze, ale kochające, wystarczało jej w zamku ojcowskim — ale dorósłszy, postanowiła zobaczyć świat pozabretoński. Baron, ulegający wiecznie jej woli, zbuntował się po raz pierwszy, ale w buncie tym niedługo wytrwał. Cecylija wzdychaniem i smutkiem zwyciężyła upór ojca, baron wydał rozkazy, aby wszystko co żyje w zamku gotowem było do podróży. Wytargował sobie tylko Paryż

aby go nie widzieć, bo to gniazdo politycznych zbrodni...

Stanęło więc na tem, że podróżować będą po brzegach Francyi, omijając wszelkie miasta splamione niewiarą, lub skompromitowane w krwawej rewolucyi...

W pięć powozów ładownych, w orszaku ośmnastu służebnych osób, ruszył baron w podróż na całe pół roku. A ponieważ szczegóły tej pielgrzymki wychodzą po za granice zamierzone w opowiadaniu niniejszem, spotkamy więc dopiero w Hawrze baronowską kalwakadę, kiedy ta, zjechawszy się z podobną angielską, pomieścić się nie mogła w jednym z nią hotelu. Baron zżymał się, nie wysiadając z karety, rzucał pioruny na anglików, mieniąc się panem swojego gruntu we Francyi. Ale nożownik angielski, zuchwały zamożnością szkatuły, najął cały hotel, zmuszając barona do szukania gdzieindziej przytułku. Ulokowawszy się przecież, wysiadł baron z karety, zamknął się w pokoju, przysięgając, że nie wyjrzy z pod dachu, ażeby nie spotkać anglika jakiegokolwiek, bo nie byłby panem gniewu i mógłby dopuścić się niekonsekwencyi!

Biedna Cecylija czuła się zupełnie osamotnioną. Baron przestrzegał pilnie etykiety, nie pozwalając córce swojej jednego kroku zrobić na świecie, któryby ubliżał odwiecznym formom spowijającym powagę baronów z czasu Julijusza Cezara. Jednakże fantazyja młodej dziewczyny dostarczyła zawsze środków obejścia ojcowskiego uporu. Zrobiwszy koalicyją z ochmistrzyni i towarzyszki swojej, Anieli, knowały plany bardzo skuteczne. Cecylii pilno było zapoznać się ze światem, roztoczyć cały blask wdzięków swoich i przymiotów. Pilno jej było pochwalić się i z jej śliczną wymową angielską. Widywała oknem, snujące się po ulicach Hawru, te przewlekłe i blade postacie anglików, widywała chude i blade angielki, roiła sobie cuda o tych ludziach i postanowiła wejść z nimi w blizkie stosunki.

Wyperswadowała zwolna baronowi, że ceremonialnem życiem bawić się ciągle niepodobna. Baron, nie pojmujący wartości człowieka bez baronii, siebie namówić nie dał, ale Cecylii i jej towarzyszkom na exkursyje pozwolił nareszcie zastrzegając najsurowiej, aby silnie zachowywały przybrane incognito. Uszczęśliwiona Cecylija tem podejściem ojca, zaczęła natychmiast używać praw nabytych, dziwiło ją przecież niepomału, że ocierający się o nią anglicy, pomimo że słyszeli głośną jej wymowę angielską, nie zwrócili na nią uwagi. W dalszem rozwinięciu incognitowych wycieczek, Cecylija weszła z angielkami w znajomość, a ułatwiając im konwersacyją, ponieważ źle mówiły po francuzku, przemówiła do nich po angielsku. Ale jakże zdumiała się bretonka, gdy córy Albijonu potrząsły obwieszonemi w złote loki głowami, dając poznać, że nic a nic nie rozumieją. Cecylija zaledwie uwierzyła ich zapewnieniom, iż język, jakim przemówiła, podobnym nawet nie jest do angielskiego. Przypuszczała jeszcze, że są rozliczne dyjalekty w Anglii. Angielki znały odcienia dyjalektów irlandzkich i szkockich, a zaręczyły, że język Cecylii do żadnego niepodobny.

Cóż to za język, którego nauczył jej Budrys? A język i piękny, i bogaty i logiczny. Chyba już te panie nie są prawdziwe angielki! Nie mówiąc nic baronowi o swoim kłopocie, wieczorem poszła Cecylija nad brzegi morza z towarzyszkami, użyć chłodu i przechadzki. Uczennice Budrysa, stanąwszy niedaleko grupy ludzi pracujących w wodzie do kolan, zaczęły z sobą mówić po angielsku, żaląc się nad smutnym losem swoim, który im nie pozwala spotkania z prawdziwymi anglikami, z którymi mogłyby mówić i śpiewać te śliczne piosenki o miłości. Cecylija, widząc się z daleka od eleganckiego świata, zanuciła sobie jedną z tych ulubionych a rzewnych piosenek, gubiąc spojrzenie w niezmierzonych przestrzeniach oceanu. Gdy tak śpiewała sobie bretonka, wychodzi z wody człowiek wysoki, ogorzały, ale dorodny, stawa przed

nią i odzywa się z rozrzewnieniem, tym samym co piosnka językiem:

— Na Boga! powiedz dziewczyno, czy ty jesteś czarodziejką świtezianką zabłąkaną aż na brzegach oceanu atlantyckiego, czy też jesteś naprawdę moją rodaczką z nad Wilii srebrnej?

— Bogu chwała! — wykrzyknęła bretonka, znalazłam przecież anglika prawdziwego, który mnie zrozumiał!

I aż zaklaskały w ręce obiedwie dziewczyny z radości...

— Ależ, na Boga, kochana litwinko, zamiast anglików szukać, podaj rękę twojemu rodakowi.

— Jak to! pan nie jesteś anglikiem?

— Ja jestem litwin.

— Ja rodowita bretonka, francuzka.

— Któż cię nauczył naszego języka? Czy byłaś kiedy wśród naszych pól i lasów?

— Pierwszy raz wyjechałam tego roku z mojej ojczyzny, a tego języka, którym mówię do pana, jako języka angielskiego, uczył mnie człowiek z wielkiego rodu, potomek greckiego króla Palemona, który osiadł w północnej Europie.

— Jak się nazywał nauczyciel pani?

— Piotr z Alkantary Budrys.

— Kto? Budrys?... Mój brat rodzony?!

— Ach jakże ja ślepa! nie poznałam w tak nadzwyczajnem podobieństwie brata pana Budrysa!... Ale ja gniewam się — i gniewam bardzo na pańskiego brata, on mię oszukiwał niepotrzebnie. Język, którego mię uczył jest bardzo pięknym, ja go bardzo lubię, lubię śpiewać nim piosenki... dlaczegóż mi nie powiedział, że to język Palemona?

— Niech go Bóg sądzi, śliczna panienko, ale dobrze zasłużył się Bogu, wkładając w usta twoje tę piękną mowę Palemona, Gedymina, Mendoga!

— Jakto? — żaden z tych książąt nie był anglikiem?...

— Byli wszyscy poczciwymi ludźmi, wielkimi wojownikami, ale nigdy nie kupczyli jak te syny Albionu...

— O! to wiele milsi ludzie! Teraz przestaję się już gniewać na pańskiego brata za figla, jakiego mi wypłatał. Mój ojciec, ktory go kochał szalenie, szczerze ucieszy się, jeżeli pan raczy go odwiedzić, zabawimy tu jeszcze dni kilka.

Jan Chrzciciel Budrys nie dał sobie powtarzać zaprosin dwa razy. Wrócił do swoich robotników na chwilę, urządził i zadysponował jutrzejsze roboty jako inżynier, a potem biegł co żywo przemienić zabłocone suknie i przedstawić się ojcu prześlicznej bretonki.

Baron nudził się według swojego zwyczaju.

Już kółko familijne zasiadło przy okrągłym stole, a ochmistrzyni zajęła się przygotowaniami do herbaty, kiedy otwarły się drzwi salonu, a marszałek dworu zaanonsował:

— Monsieur Jean Baptiste de Biudry de Vilejkie Lugu, gentilhomme de Lithuanie!

Baron zerwał się na równe nogi, pobiegł ku gościowi, rozradowany do szaleństwa. Wtedy jawi się Cecylija, objaśniając, że to brat rodzony Piotra z Alkantary.

Słysząc, że krew ta sama, palemonowska, baron rozwarł znowu ramiona i przycisnął do serca równego sobie starożytnością rodu, szlachcica, brata jego przyjaciela.

Tutaj domyślicie się zapewne, że pobyt barona w Hawrze, przedłużył się znacznie. Pan Bóg jakoś dziwnie usposabia serca ludzkie do sympatyi. Jan Chrzciciel, patrzący dotąd obojętnie na dziewice francuzkie, zakochał się gwałtownie w pięknej bretonce. Bretonka żywa, ognista, odpowiedziała nieograniczoną miłością. Chwilkę tylko wahal się Budrys z oświadczeniem baronowi swoich uczuć i zamiarów. Ale gdy w języku litewskim nastąpiło wyznanie kochanków, a Cecylija upoważniła lubego do stanowczych kroków, Budrys wypowiedział baronowi całe przywiązanie, a zarazem dał objaśnienia o pozycyi towarzyskiej i środkach do życia, dających uczciwemu szlachcicowi przy pracy niepodległość.

Baron łaskawie wysłuchał Budrysa; i stanęła deklaracyja tymczasowa. Baron albowiem

nie chciał ani na włosek uchybić starożytnym obyczajom i żądał dopełnienia form w stołecznym zamku baronii, najpierwej przez posły, a następnie przez wjazd ceremonijalny narzeczonego. Położył nadto warunek, że zięć przyszły, dla zachowania pamięci wielkiego imienia najstarszego domu szlacheckiego na zachodzie Europy, przybierze po śmierci barona wszystkie jego tytuły, wraz z majątkami i imionami, obdzielając niemi potomstwo przyszłe wedle bretońskiego obyczaju.

Stało się tedy zadość ceremonijom i sercu. Baron spiesznie wracał do Bretanii przygotować na zamku wszelkie wygody. Gdy było wszystko gotowe, zjawiło się poselstwo z heroldem na czele, przypłynęło morzem, na statkach, ustrojonych flagami barwy herbowej Budrysów z Palemona rodu. Baron przyjął to poselstwo w audyjencyjonalnej sali, zasiadłszy pod kotarą, w całym blasku baronowskiej dostojności.

W dni ośm, z paradą większą jeszcze, przy iluminacyi zamku, biciu z moździerzy, ścieżką usypaną kwiatami, potomek Palemona wjechał na zamek i powitany był przez barona na ceremonialnych schodach. W tydzień potem nastąpiły zaślubiny i objęcie w posesyją połowy dóbr baronii.

Potomek Palemonów niedługo zrobił sobie wielu przyjaciół pomiędzy szlachtą bretońską, przywiązanie Cecylii wzmagało się z dniem każdym, Budrys był szczęliwy. Ale zupełne szczęście jego nie spóźniało się także. Miał po wielu latach zobaczyć rodzinne swoje strony. Cecylija ciekawą była starych lasów, modrzewiowych dworców i rodaków kochanego męża. Baron pozwolił na wyjazd do ojczyzny zięciowi, dał błogosławieństwo na drogę, a nawet obiecał sam odwiedzić tę północ głęboką odległego świata.

Pomimo bogatych posiadłości w Bretanii, trudno było namówić teraz Budrysa do zapomnienia rodzinnego kraju. Cecylija pokochała także tę ojczyznę nową, a Budrys zapracowawszy się nad brzagami Wilii, zdobywał sobie sąsiadów serca na nowo. Niedługo też piastować zaczął obywatelskie urzędy.

Kiedy w lat dziesięć po powrocie do kraju wybrany został na marszałka szlachty w swoim powiecie i doniósł o tem baronowi, dumny bretończyk nie posiadał się z radości na wiadomość o tak wysokiej dostojności zięcia. Wiedział on, że Francyja miała rozliczne urzędy wielkie: konetabl wielki było to coś niesłychanie wysokiego w upiętrzeniu hierarchicznem dostojeństw francuzkich, ale *marechal de la noblesse* zdawało się baronowi, urzędem stworzonym chyba dla palemonowego potomka!

Kiedy w uniesieniu radości zasiadł pod baldachimem, aby zgromadzonym dzierżawcom, dworzanom, plebanom i merom obwieścić tę niesłychaną domu swojego pomyślność, nie dokończywszy ceremonijału, dotknięty został atakiem apoplektycznym i zakończył żywot, zostawiając wszystkie majątki i tytuły rodu z czasów Julijusza Cezara... potomkowi Palemona.

Cześnikiewicz (*Miniewski*).

Bulijon homeopatyczny.

* Weź garnek trzygarncowy, napełń go wodą, następnie postaw go w oknie, powieś nad nim funt mięsa, tak aby cień jego padał w wodę, potem zdejm mięso z kołka, garnek wylej do trzydziestogarncowej beczki, z beczki zaczerpnij półtory kwarty tego płynu i gotuj na wolnym ogniu przez trzy godziny, potem go przecedź i dawaj choremu co godzinę połyżeczce, a pewnie... mu nic nie zaszkodzi.

Szczutek.

Bulle.

* Są to wyrażenia bez sensu—tak nazwane przez anglików, powstałe z niedorzecznych skróceń; język pełen przenośni, bez należytych reguł, wpływa na tworzenie się tego rodzaju śmiesznych zamieszań, które nawet i uczeni popełniają przez roztargnienie, bezmyślność, nie-

dbalstwo, wyrażając niewłaściwie i zawile to, co pomyślane było jasno i dobrze. Oto zbiór wybitniejszych tego rodzaju bullów, jakie zgromadził Weber:

* Pewien irlandczyk tłomaczył różnicę między skazanym na stryczek a skazanym na kajdany w ten sposób, że pierwszy na stryczku wisi tylko godzinę, a drugi na łańcuchu całe swoje życie.

* Pewna irlandka, której urodę ktoś pochwalił, rzekła: „O! ja byłam bardzo ładną, będąc dzieckiem, ale matka mnie przez omyłkę odmieniła.“

* Jenerał Wade, naprawiwszy drogi, położył na kamieniu, dla upamiętnienia tego czynu, następujący napis: „Gdybyście byli widzieli te drogi dawniej, błogosławilibyście dobrodziejstwo Wadego.“

* Pewien szkot w chorobie zawołał: „Pokażcie mi kraj, gdzieby się nie umierało, a pójdę tam na resztę dni moich.“

* Ciężko ranny oficer irlandczyk, leżąc na polu bitwy, krzyknął ze złością na znajdującego się obok, równie ciężko rannego przyjaciela, który strasznie jęczał: „Niech cię Bóg potępi! Czy myślisz, że tu niema nikogo zabitego prócz ciebie?“

* Jonsohn powiedział pewnego razu: „Gdybym był żył dotąd w Szkocyi, byłbym już dawno umarł.“

* Z okazyi legatu, jaki pewna wdowa uczyniła na rzecz kotów, jeden z jej krewnych zawołał: „Nie cierpię tak samo starych bab, jak i kotów, a gdybym był ministrem, obłożyłbym podatkiem na psy wszystkie koty.“

* W porannym londyńskim dzienniku wydrukowano następujące ogłoszenie pewnego przedsiębiorcy pogrzebowego: „Ponieważ znajduje się wielu takich, którzy się sami pochować nie mogą...“

* W jednym z wojskowych raportów napisano: „N. N., skazany na powieszenie za tchórzostwo, uratował swe życie, umierając w więzieniu.“ W innym znów raporcie napisano: „Jesteśmy zdecydowani nie opuścić tego miejsca, dopóki z niego wyparci nie zostaniemy.“

* — Dlaczego irlandczycy robią tyle w Anglii bullów? — zapytał pewien anglik irlandczyka.

— Zapytajcie o to wasze kobiety — brzmiała odpowiedź.

* Baron Ripermend słynął we Francyi z roztargnienia; wiele jego pytań weszły w przysłowia. Oto niektóre z nich: „Co się staje ze starym księżycem, kiedy przychodzi nowy?..“ „Jakie światło dłużej świeci, z woskowej czy łojowej świecy?“ „Czy psy królewskie idą piechotą na polowanie?“ „Pani niema dzieci? Czy to wada familijna? Czy matka pani także nie miała dzieci?“ „Boże! cobyśmy robili w wypadku gdyby nam ogień zamarzł!“ Tenże Ripermond na pytanie: dlaczego aniołowie Jakóba chodzili po drabinie, kiedy mieli skrzydła, odparł: „Zapewne się w tym czasie pierzyli.“ Gdy mu król podarował powóz, zawołał uradowany: „Nie odejdę od okna, dopóki się nie zobaczę przejeżdżającym w tym powozie.“

* Salcer, podczas długo trwającej suszy, zawołał: „O! gdyby nam dobre nieba zesłały prędko ciepły, suchy deszcz!“

* — Boże! żeby też mój rów, koło młyna, mógł stać na suchem miejscu!“ — wołał podczas powodzi młynarz.

* Pewna inteligentna dama dodała w liście takie postscriptum: „Donieś mi, czy list ten odebrałaś, czy nie.“

* Stelle napisał raz na drzwiach swego mieszkania: „Nie przyjdę do domu aż po północy; gdyby było zbyt ciemno do odczytania tych słów, to u sąsiada zawsze można znaleść świecę.“

* Kant, któremu pewna wdowa często i długo powtarzała o swoim nieboszczyku, zapytał w roztargnieniu: „Czyś pani tylko jednego nieboszczyka miała?“

* Biblijotekarz klasztorny zaciągnął do katalogu biblię hebrajską i zanotował: „Książka, której początek znajduje się na końcu.“

* Königshafen, znany kronikarz alzacki, tłomaczył w ten sposób gadatliwość kobiety: „Jest ona zrobioną z kości, które klekocą, gdy mężczyzna jest ulepiony z ziemi.“

* Pewien ojciec napisał do syna list następujący: „Kochany synu! jeżeli jesteś zdrów, to i my mamy się dobrze; załączam ci mój stary surdut, każ sobie zrobić zeń nowy; matka posyła ci bez mojej wiedzy 5 guldenów. Użyj dobrze tych pieniędzy, w przeciwnym razie będziesz hultajem, a ja twoim ojcem.“

* — Cóż dla mnie zrobiła potomność, że tyle mam dla niej poświęcać!“ zawołał bankier, gdy go proszono o założenie dobroczynnej fundancyi.

* Księgarz L. ze Sztutgardu, o którym mnóstwo kursuje dykteryjek, rzekł raz do syna, łając go za niedbalstwo: „Tegobym nigdy nie mógł zrobić ojcu mojemu.“ „Musiał to być bardzo dobry ojciec.“ odpowiedział synek. „Ty łotrze! żebyś tylko ty miał takiego ojca“ — odpowiedział księgarz.

* O tymże księgarzu opowiadają, iż w drodze, na odpoczynku, gdy mu jacyś nicponie we śnie przypięli do gołych nóg ostrogi, gniewał się rano na służącego, że mu zdjął buty, a ostrogi zostawił. Gdy żona zrzędziła nań za kupiony len krótki, tłomaczył się tem, że go można użyć na małe koszulki. Przyjaciele jego wydali wszystkie te bulle. Ujrzawszy książkę, zawołał: „Musiałbym chyba być przez Pana Boga urodzonym bez wszystkich pięciu zmysłów i bez żadnego rozumu, żebym to wszystko mógł powiedzieć i zrobić.“ Wtedy złośliwi wydawcy, jak żydzi o Jezusie, mówili: „On się ma za Syna Bożego.“

Burleska.

* Rodzaj poezyi satyrycznej, który rzecz ważną i wielką przedstawia śmiesznie. Wykształcili ją jedni z pierwszych włosi. Jest ona najjaskrawszym odcieniem komizmu płaskiego i nizkiego, wolnym od wszelkiej reguły i względów; możnaby ją nazwać najprostszym żartem. Dwa rodzaje znamy burleski: parodyję, która rzecz zwyczajną i prostą przedstawia jako coś ważnego, i trawestacyję, która przeciwnie to, co ważne i wielkie, ukazuje w świetle podrzędnem. Parodyja opiera się na grze wyrazów, trawestacyja — na przekręcaniu myśli; obiedwie obracają w śmieszność rzeczy poważne. Trawestacyja łączy główną myśl pewnego utworu z rzeczą całkiem odmiennej natury — parodyja łączy podrzędną część utworu z przewodnią myślą odmiennej zupełnie rzeczy. Blumauer trawestuje „Eneidę“ równie jak nasz Chotomski, zmieniając podrzędne rzeczy, a podsuwając starożytnym nasze zwyczaje; opisują np. jak pod Troją grzmiały armaty, jak Jowisz w „faterstuhlu“ palił fajkę. Swift trawestuje, podając, jak Scylla zabił Charybdę wystrzałem z pistoletu, zabrał mu znaczną sumę w banknotach, za co odmówiono mu chrześcijańskiego pogrzebu i zkąd też miało powstać przysłowie: „Kto ucieknie od Charybdy, wpada na Scyllę.“ W spodniach Godfrida de Boulion, kiedy padł pod Damaszkiem, znaleziono krzyż Kleopatry, tabakierkę, zegarek i brabanckie koronki, które dostała w prezencie od Antonjusza. Sauver twierdzi że widział na Minorce śmierć Hektora: trojanie i grecy byli w hiszpańskich mundurach, uzbrojeni w fuzyje i bagnety. Priama zdobił order Karola III, a Andromacha miała strój królowej hiszpańskiej. Achilesa i Hektora wzywały do boju trąby, a pojedynkowali się na pistolety, zdala zaś widać było Jlijon ze wspaniałemi dzwonnicami i liczną artyleryją. Jako przykład parodyi posłuży zmia-

na słów Mojżesza: ,,Bóg rzekł: niech się stanie światło, i stało się światło.“ Przeciwnicy Kanta zwrócili słowa te do niego, parodijując je w ten sposób: ,,Bóg rzekł: niech się stanie Kant, i stali się głupcy.“ Parodyja jest tem dla autorów, czem były żarty rzymian ze szczęśliwych tryumfatorów: rozwiewa dymy kadzideł, odurzających bohaterów czy autorów, broni ich od zarozumiałości i lepiej wykrywa błędy, wyśmiewając je, aniżeli poważna krytyka. Tak np. francuzi sparodyjowali Cornela za wysoko postawionego przez swój wiek. Zbyt często w swoich tragedyjach powtarzał on wyrażenie: helas! Sparodyjowano je następującym wierszem:

Ach, ach, ach, czterykroć ach! nawiasem
Ucięto mu nakoniec głowę kordelasem.

Eneasz miękki, jak masło, biedny Telemak wyrzucony na brzeg Dunaju i tam opanowany przez różnego rodzaju kobiety, Didona, która pogorzelcom z Troi każe rozdawać po dziesiątce; murzyn wiedeński, zabijający swoją ukochaną nie mieczem, jak Otello, ale pięścią—te wszystkie przedrzeźniane postacie ścierają piętno świętości, którem świecili nam w latach młodych, bohaterowie i bohaterki. Z drugiej strony tylko znakomite utwory mogą być parodyjowane. Do takich parodyi w niemieckiej literaturze należy Richtera ,,Sąd Parysa,“ gdzie za podniesieniem zasłony ukazują się trzy boginie w kostyjumach, siedzące przy kołowrotkach. Juno i Pallas śpiewają pieśń Schumana, a Wenus, leżąc opodal, łata pończochy i woła, aby się uciszyły, bo mogą obudzić małego amorka, śpiącego w kołysce. Jowisz zajęty jest właśnie czytaniem gazet i wybucha gniewem na wrzaskliwą kłótnię, jaką boginie wszczęły o złote jabłko. „Jestem wprawdzie wielkim jurystą,“ powiada w końcu, „ale, że rzecz się roztrzyga pomiędzy moją żoną a córką, więc nie mogę decydować. Merkury! zaprowadź je wszystkie trzy do Parysa, ja tam przyjdę za wami zaraz, jak tylko wypiję moją kawę.“ Czego jednak na świecie nie parodyjowano! W Ameryce podczas wojny o niepodległość parodyjowano proklamacyje królewskie i rozkazy, a Hopkinson, Freman i Trumban walczyli bronią nizkiego dowcipu przeciw nieprzyjaciołom wolności tak szczęśliwie, że przynajmniej bawiąc się tem czytaniem, zapominano o klęskach, jakie sprowadziła ta wojna domowa. Bonaparte, jako wielki konsul, jednemu z doboszów za waleczność dał srebrne pałeczki do bębnienia. Moreau, parodyjując tę łaskę, wyprawił wspaniały obiad i obdarował swojego kucharza honorowym srebrnym rondlem. Od tego czasu, rozpoczęła się nienawiść pomiędzy dwoma sławnymi wodzami. Parodyja Moreau względem Bonapartego była jeszcze bardzo delikatną w porównaniu z temi, jakie go spotkały gdzieindziej przed upadkiem. I tak np. dzienniki humorystyczne ogłaszały wyprzedaż następujących przedmiotów: 1) berło żelazne złamane; 2) źle naprawiona korona; 3) ręka sprawiedliwości prawie nowa, bo wcale nie używana; 4) krzesło stoczone przez robaki i dywan, haftowany muchami; 5) rozprawa o użyteczności pocztowych powozów w czasie rejterady; 6) para doskonałych pistoletów, któremi nie można się zastrzelić. Burleska znaną była i starożytnym. Arystofanesowe osy, ptaki, żaby i syleny są niczem innem, tylko prawdziwą parodyją; wszak Alcybiades musiał uciekać za trawestacyje Misteryi. Za panowania Ludwika XIV panowała we Francyi także moda burleski. Scarron mąż p. de Maintenon stoi na czele tych farserów. Gdy przy ślubie zapytał go notaryjusz o intercyzę; odparł: „Zostawiam żonie moje nazwisko.“ Pewnego dnia w karnawale umaczał się cały w oleju, potem unurzał w pierzach i w tym stroju, włożywszy maskę, chciał się udać na maskaradę. Napadnięty jednak przez uliczny tłum w śmiertelnej trwodze, ledwie żywy rzucił się do Sekwany i ta polisonada przyprawiła go o taki stan zdrowia, iż do końca życia chodził jak połamany, do ostatniej jednakże chwili nie opuścił go humor, który

okazał w swoich rozporządzeniach i słowach. Żonie, jak wiadomo, morganatycznej małżonce króla, legował pozwolenie wyjścia za mąż, a do otaczających na łożu śmierci zawołał: „Nie będziecie po mnie tyle płakać, ile ja sam z siebie się śmiałem.“ U niego gromadzili się goście dla słuchania dowcipów, a każdy z nich przynosił coś do jedzenia. Jego służący tak był do tego przyzwyczajony, że pewnego razu, podczas przyjęcia szepnął mu do ucha: „Dzisiaj powinieneś się pan zaprodukować z najlepszymi konceptami, bo nie mamy żadnej pieczeni.“ Balzak śmiertelny nieprzyjaciel burleski, wyłączył jednak od ogólnego potępienia niektóre utwory Scarrona. Po Scarronie zasługuje na wspomnienie Bergerac, który zabił w pojedynku najmniej dziesięciu ludzi za to, że żartowali z jego okropnego nosa! Jego „Podróż na słońce“ dała pomysł do „Podróży“ Gulliwera, komedyja „Pedant“ zyskała nawet uznanie Moliera. Anglicy i hiszpanie nie kochają się w burlesce; z hiszpańskiej literatury nawet nie podobna nic z tego rodzaju przytoczyć. Angielski Home niewłaściwie mówi o Swifcie, że „jest autorem burleskowym i prawdopodobnie jednym z ostatnich tego rodzaju,“ Widzi on w burlesce jedynie przejście z barbaryzmu do wyższej cywilizacyi. Do najznakomitszych utworów tego rodzaju Swifta należą: „Uwagi nad kijem od miotły,“ „Modlitwa dekarza, który chce spaść z dachu“ i wiele innych. Szekspirowskie „być, albo nie być“ trawestowane było mało sto razy. Zacząwszy od Chesterfielda: „pisać, albo nie pisać,“ a skończywszy na parodyi Napoleona „lecieć, albo nie lecieć,“

U nas wirgilijuszową „Enejdę“ doskonałym wierszem trawestował Chotomski, naśladując w ten sposób Blumauera.

Burmistrz

W roku 182.., w miasteczku G., był burmistrzem pan Stanisław Krych średniego wieku, miernego wzrostu. Podpis jego można widzieć na starych paletach kwaterunkowych, przechowanych starannie przez mieszczan, — kształtny z gęstym cugiem.

Jako człowiek—słynął p. Krych z gościnności, jako burmistrz – z niedbalstwa w papierach i braku krytycznego zmysłu w pojmowaniu egzystujących przepisów. Odmawiając atoli p. Krychowi zdolności, wyrządzano mu krzywdę — miał on dosyć rozsądku i trochę nauki i wyobraźnię nawet bogatą, ale brak energii najlepsze chęci w nim paraliżował; główną przeszkodą w należytem wykonywaniu obowiązków burmistrza była niesłychana namiętność do rybołóstwa, nie ciągła, ale prawie zawsze w porę terminowych zajęć przychodząca. Na superrewizyję termin oznaczony, o złożenie rachunków kassy miejskiej leżą trzy monitoryja, — on wszystko rzuca, nie pyta i jedzie na ryby, albo rozwiesza na magistrackim parkanie i wyprawia sieci, wylewa czółna smołą, łata wieraszki. W kancelaryi nieopisany nieład, paczka ekspedycyi czeka na poświęcone do odpieczętowania ręce burmistrza. Leoś, syn podleśnego, wzięty do wyrobienia sobie charakteru, zamiast przepisywać drugi egzemplarz rozkładu składki bóżnicznej — robi latawce, — gdzie burmistrz? — pytają ludzie — niema burmistrza! burmistrz na rybach!

Spodziewać się można było, że przyjdzie na p. Krycha czas srogiej kary za to niedbalstwo, chociaż nikomu przez głowę nie przeszło, ażeby ktoś tam z Obwodu, a tem bardziej z Komisyi Wojewódzkiej chciał w prędkim czasie przybyć do rewizyi magistratu; odkładano to zawsze na później, z przyczyny złych dróg i odległości miasteczka od głównego traktu. Aż tu, pewnego dnia, p. Krych, wybierając się właśnie do podnoszenia saków, zastawionych na stawie, — już na wsiadaniu, odbiera papier z Obwodu i staje jak piorunem rażony; było to zawiadomienie o przyjeździe do rewizyi magistratu samego J. W. Prezesa Kommisyi Wojewódzkiej!

— Zginęliśmy, Basiu! — zawołał w rozpaczy, wpadając do żony — jutro prezes! o Boże, prezes! — krzyczał, rwąc sobie włosy.

Pani Krychowa, która od boleści w dołku przyjęła parę kieliszków mocnej, postawiła przed mężem lina na szaro z miodownikiem i rodzenkami.

— Podjedz, Józiulu, na drogę... ostygnie! -- rzekła z trwogą.

Pan Krych trzasnął o ziemię lina na szaro, z miodownikiem i rodzenkami, i pobiegł do kancelaryi.

Zabrał on się do porządku; ale co można zrobić w gorącym pośpiechu? Nieład się tylko większy wprowadza. Nie wiedział sam do czego się jąć; exhibita tułały się po wszystkich kątach w akta nie wszyte; w dziennik korrespondencyjny od początku roku parę tylko numerów było wciągniętych w przeskokach. Spostrzegłszy nad kominem papier, rozwinął go i cały stanął w płomieniach: oryginalny reskrypt Komisyi o zniesieniu awansu z funduszów miejskich na reperacyję miejskiego szlachtuza a w nim tuzin wędek na węgorze!..

— Leoś! — zawołał wtedy p. Krych na pół z płaczem, — czy chłopiec, jak ty, nie powinien mnie zastąpić w kancelaryi? Jesz przecie razem ze mną przy stole, a kawę na tacy ci posyłam! Powiedz, co z ciebie będzie? co z ciebie będzie za burmistrz? Nieszczęśliwa twa matka hunewocie jakiś! Ty pierwszy za ten nieład pójdziesz do więzienia!

Tem jeszcze więcej biedy sobie narobił, bo 15-letni Leoś, nie czekając jutra, drapnął do rodziców o trzy mile, zostawiając pryncypała jego losowi.

Nic nie zrobiwszy i przepędziwszy noc bezsennie, p. Krych nazajutrz na wspomnienie prezesa drżał, jak drży bankrut po postawieniu na kartę ostatniego grosza, albo dziewica na pierwszej schadzce z amantem w cienistej alei...

Chodził z kąta w kąt, wyłamując ze stawów palce, wreszcie wpadł na myśl obejrzenia zagajników, za miastem, na wydmach zaprowadzonych, — wzorowego dzieła jeometry przysięgłego, p. Kwadratowicza, z którym żył w ścisłej przyjaźni. Zagajniki te zostały oddane pod szczególny nadzór burmistrza; sądził, że raportem o dobrym ich stanie gniew Prezesa choć w części ułagodzi.

Pojechał.

* * *

Godzina 11-ta dochodziła. Mieszkańcy dowiedziawszy się jaki dygnitarz ma nawiedzić ubogie miasteczko, w świątecznych kapotach wszyscy zebrali się na rynku: wieść o tem nadzwyczajnem zdarzeniu zgromadziła wielu okolicznej szlachty; na twarzach wszystkich malowało się głębokie wrażenie. Pana Krycha jeszcze nie było; wszyscy wiedzieli że pojechał do zagajników; — dróżka, którą miał wracać, szła przez wzgórze, panujące nad miastem, mógł być przeto z rynku obserwowany. Pomału wytężona uwaga przeszła w gwar — w gwar weselszy, następnie w wesołe prześladowanie się — wreszcie do sprzeczek. W sprzeczce o wiek Jankowej kobyły, w bliskości apteki, musiano nieżałować zapewne wyrazów, gdyż stojący na schodkach apteki uperfumowany i ufryzowany subjekt, spoglądający na gmin z wysoka, plunął delikatnie i drzwi za sobą zatrzasnął..

— Jedzie! jedzie! jadą! O oba jadą! — zawołano zewsząd.

Ukazał się powóz, zaprzężony w pięć koni, z zabłoconemi kołami, w nim dwóch mężczyzn: jeden brunet, poważny, około lat sześćdziesięciu — zapewne prezes, drugi przystojny mężczyzna widać sekretarz. Jednocześnie na wzgórzu dostrzeżono stosowany kapelusz p. Krycha, pędzącego bryczką galopem do miasta.

— Burmistrza! — zawołał doniośle prezes po niejakiem oczekiwaniu, — robiąc giest ręką, w której trzymał złotą tabakierkę i zmięty ponsowy fular.

— Burmistrza! -- zawołał po raz drugi.

— Burmistrza ino co patrzeć od zagajników, odezwał się stary policyjant, zapalony także rybak i faworyt p. Krycha.

Ledwie skończył, od wązkiej uliczki, prowadzącej na rynek, doszedł hałas z głośnym śmiechem.

Nagle — hu-ha! wrzasnął cały rynek.

Co się stało — czytelnik zaraz się dowie.

Pan Krych kazał co żywo popędzać, ażeby nie być przyjazdem prezesa zskoczonym, zazdroszcząc po drodze każdej ludzkiej istocie spokoju ducha, w doli nawet pasącego się u pala na postronku cielęcia widząc lepszy los od swojego. Wjechawszy do miasta na końcu uliczki prowadzącej na rynek, napotkał przeszkodę.

Między dwoma mieszczanami toczyła się zażarta kłótnia o *placowe* od wieprzów pędzonych z Ukrainy. Miejscowy obywatel, Paweł Stajenka, blondyn niebiesko-oki, — całą gromadę wieprzy na ulicy zatrzymał, z tej przyczyny, że Janek Grzebień od prawa wynagrodzenia za placowe go odsądzał, przy tem, tenże Stajenka, klucz od wrot placu wyjął i do kieszeni schował.

— Bodajeście jasności Boskiej nie oglądali! — krzyknął p. Krych zeskakując z bryczki, czemuście drogę zatamowali! — Pędź we wrota albo natychmiast spiszę protokół!...

Powstało jeszcze większe zamieszanie wśród krzyku, rozbiegania wieprzy, pomsty naganiaczy, klucz Stajence odebrano.

Widząc, że nic prędko da się przejechać bryczką, pan Krych, niewiele myśląc, puścił się piechotą a napotkawszy w ciżbie błotną kolej wzdłuż uliczki, chciał ją przebyć okrakiem, stąpając po burtach, dla ochrony galowych butów.

Podtenczas poganiacze przynaglali batami do wrót ogromnego chudźca. Ten, mający także swoje widzimisię, w żaden sposób do zagrody pierwszy wejść nie chciał, balansując przed nią, jak to się czyni przed damą w kontredansie — nareszcie, sprzykrzywszy sobie tę figurę, a widząc w ciżbie lukę, niewiele myśląc, skoczył na oślep i wpadł pomykającemu okrakiem panu Krychowi między nogi, ten zaś instynktem, ażeby nie skonać pod racicami okrutnego żwierzęcia, poprawił się i ścisnął mu boki obcasami...

Tego tylko było potrzeba!

Widowisko niesłychane!

W stosowanym kapeluszu przy szpadzie, pędził burmistrz na wieprzku przez cały rynek w najtęższym galopie, trzymając się, ile sił starczyło, za szczecinę, — ścigany szatańskim wrzaskiem mieszczan — hu-ha! Daremne były zastępowania i krzyki; wieprz galopował wprost do prezesowskiej karety a przypadłszy stanął jak wryty.

— Co to się znaczy? – zapytał wyniośle prezes, a znać w nim było wielkie wzburzenie — gdy purpurowy ze wstydu p. Krych przed nim stanął. Wieprz podtenczas cochał spracowany grzbiet około powozu.

— Wracam z objazdu zagajników J. w. Prezesie! — wybełkotał nieszczęsny burmistrz i upadł na ziemię przybity ogólnym śmiechem.

Śmiech był tak spazmatyczny i ogłuszający, że raczej podobny był do wyjącego stada dzikich zwierząt; co ucichł to się jeszcze więcej wzmagał.

Prezes dotkliwie uczuł scenę, której mimowolnie był uczestnikiem. Zapomniał o rewizyi, którą miał zamiar z całą sprężystością dopełnić. Niecierpliwił się siedząc w powozie i zapewne kazał by był zawrócić, gdyby nie przystąpił wysoki brunet o znamionach wyższego świata, który pojąwszy przykre położenie prezesa, zarekomendował się i prosił go do siebie.

— Broiński! syn generała pod którym służyłem! — odezwał się ukontentowany prezes.— Ale zważ hrabia, że ztąd do niego mamy trzy mile, wypadłoby mi więc prosto jechać do S... a ztamtąd dalej podług mej marszruty, tu wrócić bym nie mógł!...

Stary policyjant złożył ręce do nieba i rzekł:

— Klucza niema od kancelaryi, J. w. Panie, burmistrz tylko wie o nim — nie popuści żonie, tylko sam siedzi i pisze!... Wyląkł się nieborak okrutnie nie możn go się docucić...

— Będziemy mieli honor oglądania prezesa i drugi raz odezwał się pan Broiński.

Nie spojrzawszy na niewdzięczny rynek, prezes z sekretarzem przesiadł się do powozu hrabiego. Ten zaś kołysał się pewien czas na

stopniu spoglądając na otaczających, jak on to śmiało obok prezesa wsiądzie i rzeczywiście usiadł śmiało a powóz ruszył.

Pan Kwadratowicz, który nie zdążył zobaczyć się z prezesem, uwiadomiony o wszystkiem, widząc ruszający powóz, krzyżem go przeżegnał, a mieszczanie nieustający w śmiechu do domów się rozeszli.

* * *

Przeniesiony z rynku do domu i złożony na łóżku p. Krych wciąż miał zamknięte oczy; stan ten wydawał się groźnym dla drogich dni burmistrza, obecni stosowali więc rozmaite środki— bezskutecznie; dopiero gdy rozległ się turkot powozu i wszedł stary policyjant z oznajmieniem, że prezes odjechał, pan Krych otworzył oczy.

— Niech będzie imie Pańskie błogosławione!—zawołał.—Wszystko słyszałem mając zamknięte oczy! Drżałem, żeby prezes nie zechciał klucza od kancelaryi! — miałem go w bocznej kieszeni surduta!...

Dzień ten pamiętny zakończył się u p. Krycha ucztą, jakiej nie pamiętano! Były i szczupaki nadziewane i lin duszony i okoń smażony; popijano obficie krupnikiem, to jest gotowaną gorzałką z miodem i masłem, w przyprawie której pani Krychowa była mistrzynią. Pan Krych, gdy głowę zalał, chciał Pawła Stajenkę i Janka Grzebienia wsadzić do kozy; ale pan Kwadratowicz odezwał się: — grzechem byłoby występować przeciwko przeznaczeniu, które, dla wyratowania z biedy opieszałego w służbie burmistrza, wydelegowało — wieprzka! I temu zdaniu wszyscy przyklasnęli.

Justyn.

But i bucik.

OSOBY.

Bucik z kozłowej skóry, ozdobiony dwoma rzędami guziczków, podeszwy grubości różanego listka, wysoki obcas „à la Pompadour", mocne wygięcie w połowie stopy, napiętek wydatny i w tył cofnięty.

But lakierowany, myśliwski, podeszwa poczwórna, abcasy nizkie i szerokie; napiętek uzbrojony w tępą ostrogę.

Rzecz dzieje się na kolei Nadwiślańskiej, w wagonie drugiej klasy, ogrzewanym za pomocą kaloryferów.

CZĘŚĆ I.

But. Nakreśliłem już sobie plan kampanii. Udaję zamyślonego o czem innem, zbliżam się wolniutko do tego zachwycającego bucika i leciuchno, z wszelkiemi, tak eterycznej istocie należnemi względami, depczę go... niechcący. Następują przeprosiny, żale, wzdychania, i, jeżeli bucik ten należy do kategoryi bucików przyjacielskich, zawiązuje się odrazu uprzejma pogawędka. W przeciwnym razie, zamieniamy kilka słów lodowatych, poczem... jeszcze raz próbę powtarzam.

(*But potrąca dość szorstko bucik, który z oznakami gniewu i oburzenia cofa się i wskazuje na rurę ogrzewalną*).

CZĘŚĆ II.

But. Najmocniej, najserdeczniej, najuprzejmiej przepraszam panią, żem dotknął koniuszczka jej podeszewki! Stało się to mimowoli i bez żadnego grzesznego zamiaru. Wszystkiemu winne są te przeklęte wagony, w których podczas zimy jest tak ciasno, że niewiadomo, gdzie się podziać. (*Bucik cofa się na drugi koniec rury*). Ach! nie pragnę bynajmniej skłaniać panią temi słowy do ucieczki... Przeciwnie!... Sądzę zresztą, że przy dobrej woli, potrafimy oboje wygodnie się tu pomieścić...

(*Wchodzi na rurę, a w tejże samej chwili Bucik z niej zeskakuje. But pośpiesza uczynić to samo, ale Bucik, filuternie skrzypnąwszy, chowa się pod fałdy jedwabnej sukni, koloru łupinek kakaowych*).

CZĘŚĆ III.

But. Masz tobie! zestraszyłem ptaszka!... Łaskawa! szanowna pani! Wielmożna pani do-

brodziejko! Racz powrócić, a przysięgam ci na miłość mojej prababki, że będę grzeczny i przykładny, jak anioł!.. Gdy się zaklinam, można mi wierzyć... Nie płacę wprawdzie czasami długów wekslowych, nie było wszakże jeszcze zdarzenia, abym nie oddał pożyczki zaciągniętej *na słowo*... Wróć się, pani! Oto wciskam się w najdalszy kącik, tuż przy drzwiczkach... Wprawdzie od spodu wieje wiatr zimny, i może nabawić mnie reumatyzmu, ale — tem lepiej! Będzie to słuszna kara za niegrzeczność!

(*Słychać szelest jedwabnej sukni, poczem fertyczny Bucik wychyla z jej fałdów koniuszek lakierowanego noska. Rozejrzawszy się dokoła i spostrzegłszy, że but dotrzymał słowa, nabiera śmiałości i wynurza się całkowicie ze swej szeleszczącej skrytki. Wskoczywszy lekko na rurę, odwraca się bokiem do myśliwskiego buta i pokazuje mu swój wysoki obcasik, co w mimicznym języku wszystkich dobrze wychowanych bucików oznacza zawsze: najwyższą pogardę*).

CZĘŚC IV.

But. Winienem usprawiedliwić się przed panią. Nawyknienia myśliwskie, częste przebywanie w lasach, pośród wilków, dzików i niedźwiedzi, wyrobiło we mnie maniery nieco szorstkie, nad któremi częstokroć z trudnością przychodzi mi zapanować... Nie należy jednak z pozoru sądzić o.. butach! Pod szarą łupiną ukrywa się często słodkie ziarno, pod twardą skórą bije tkliwe i żądne miłości serce... Nie odpowiadasz pani? Wykręcasz się do mnie bez przerwy obcasem?...

(*Bucik w przystępie zniecierpliwienia wybębnia na rurze gniewne* **staccato**. *W wagonie rozlegają się dźwięki bum, bum, bum! dzeń, dzeń, dzeń, dzeń!*).

CZĘŚĆ V.

But. Ach! ach! ach! Zaczynam pojmować, że mnie pani nienawidzisz! Nietylko, żem nie miał szczęścia podobać się pani, ale co gorsza, nudzę ją, drażnię, gniewam! I w istocie, jakże mogłem marzyć o pozyskaniu jej względów, skoro jestem niezgrabny, ciężki, mam grubą podeszwę i podkute obcasy?!... Uczucie, jakie pani żywisz dla mnie nie jest obojętnością, lecz poprostu nienawiścią. Nic pozostaje mi nic innego jak o mur roztrzaskać sobie... napiętek!

(*Wykonywa kilka rozpaczliwych uderzeń o ścianę wagonu, wybitą na szczęście, miękkim adamaszkiem. Na hałas ztąd powstały, Bucik zmienia nieco pozycyję, odwraca się w stronę buta i staje „en trois quarts“*).

CZĘŚĆ VI.

But (*upadając z utrudzenia na podłogę wagonu*). Przeklęty los! Nawet zabić się nie mogę! Grube wysłanie ścian tłumi moje jęki! O pani! rozumiem teraz w czem uczucia moje ranią twą dumę! Nędzny robak, śmiałem zamarzyć o gwiazdzie! Niestety! jest to już prawem natury, że kochamy w innych to właśnie, na czem nam samym zbywa... Gdy przyrównywam w myśli delikatne kontury pani do moich ociężałych kształtów, gdy zestawiam mięciutką twą skórkę z moim juchtem grubym i szorstkim, wyobrażam sobie, żeś pani stworzona do deptania aksamitnych, kaszemirskich dywanów, a ja do potykania się o zmarzniętą grudę leśnej dróżyny... i wówczas pojmuję najdokładniej, jak wielka przepaść oddziela nas od siebie!

(*Bucik odwraca się całkowicie i przybliża do buta na odległość dwóch centymetrów*).

CZĘŚĆ VII.

But. My, buty, ulegamy nieraz szczególnym złudzeniom. Mówimy sobie, naprzykład, w naiwności naszej: Prawda, żeśmy z pozoru niezgrabni i ciężcy, i że nie jesteśmy w stanie olśnić nikogo zalotnym połyskiem lakieru, lecz, w zamian za to, posiadamy śmiałość, energiję, siłę, nie cofamy się przed niebezpieczeństwem, nie dbamy o głupią sławę dandysów, lekceważymy wymuskane, bezpłciowe lalki, i gotowi jesteśmy bronić ukochanej istoty przeciw wszyst-

kim siłom tego i tamtego świata! I wyobrażamy sobie, że te wszystkie szczere męzkie przymioty powinny znaleźć na ziemi uznanie i nagrodę; że odwaga, zaparcie się i gotowość do najwyższych poświęceń powinny być oszacowane wyżej niż chełpliwość, zarozumiałość i lalkowate formy... Ale gdzietam! Pierwszy lepszy *rzymski pantofel*, wciągnięty na kolorową skarpetkę, stokroć bardziej od nas może być pewnym szczęścia i powodzenia!

(*Bucik objawia wzruszenie. Od chwili do chwili drży lekko, a przy ostatnich słowach wykonywa ruch zaprzeczający. Po dłuższym namyśle, wysuwa się naprzód i poczyna z zajęciem przyglądać się Butowi*).

CZĘŚĆ VIII.

But. Ale ja panią uważam za wyjątek od tej smutnej reguły. Jestem pewny, żeś pani równie dobra jak piękna, a chłód, jakim mnie przywitałaś w pierwszej chwili, był jedynie karą za moje zbyt śmiałe maniery. Postąpiłem zanadto po... myśliwsku, nieprawda? Za to teraz, skruszony i żałujący za grzechy, pragnę jak najdelikatniej i z jak największym szacunkiem wybłagać u pani — przebaczenie.

(*Zbliża się nieśmiało do rury, ale nie wchodzi na nią, i zatrzymuje się tuż pod Bucikiem*).

CZĘŚĆ IX.

But. Wydam się może pani zbyt natrętnym i zbyt wymagającym... ale tak zziębłem przed chwilą przy drzwiczkach!... Czy nie pozwolisz mi pani, abym koniuszkiem stopy oparł się o rurę?

(*Bucik usuwa się, pozostawiając trochę wolnego miejsca*).

CZĘŚC X.

But. Spostrzegam, że w ten sposób nie będziesz pani mogła grzać się wygodnie... Będzie daleko lepiej dla nas obojga, gdy oparłszy całą stopę na rurze, umieszczę się tuż obok pani...

(*Przy wykonywaniu tego manewru, bucik zachowuje się spokojnie i nie cofa ani o jeden milimetr. W chwili jednak, gdy but zamierza wśliznąć się pod cienką podeszewkę, bucik porusza się niecierpliwie. objawiając zamiar rejterady*).

CZĘŚĆ XI.

But. Na Boga, nie uciekaj pani! Pozwól, bym służył ci za taboret, za piedestał, za co wreszcie pani chcesz sama... Będzie to najlepszy sposób okazania, że się już pani na mnie nie gniewasz... Szepnij więc: *tak!*... ach szepnij! błagam cię o to na klęczkach!...

(*Ponawia raz jeszcze usiłowanie wśliznięcia się pod podeszewkę. Bucik broni się przez czas pewien z rozpaczliwym wysiłkiem cnoty walczącej z pokusą, zrozumiawszy jednak, że żadną miarą zwyciężyć nie zdoła, opiera się z wdziękiem na bucie, który aż skrzypi z ukontentowania*).

CZĘŚĆ OSTATNIA.

But i bucik znikają pod ławeczką...
Zasłona opuszcza się za nimi dyskretnie...

Byron.

* Kulawy anglik, który przez całe życie płakał brylantami. Posiada on licznych naśladowców, zazwyczaj kulejących w robieniu rymów i rozpaczających z tego powodu, że dotąd nie ma tramwajów prowadzących wprost na księżyc



Cacko.

* Rzecz, która możliwą jest tylko w dwóch formach: z dziurką i bez dziurki. Najłatwiej ją samemu sobie zrobić, gdyż każdy z nas najlepiej wie, jaka zabawa jest dlań korzystną Cacko robi się zarówno ze szkła, jak i z kobiety, z obwarzanka, jak z całych narodów. Cacko takie często lekkomyślnie bawiący się niem rozbiera na najdrobniejsze kawałki, które później trudno już napowrót złożyć.

Cadyk.

* Urząd, który daje dobre dochodziki i sławę pobożności. Cadyków właściwiej byłoby nazywać kacykami, posiadają bowiem nieograniczoną władzę nad tłumami i są bardziej dzicy, niż afrykańscy kacykowie.

Całus.

* Całus, jeżeli nie był wynaleziony w starym Rzymie, to z pewnością znany tam był bardzo dobrze; starożytni pisarze wspominają bardzo dobitnie o tym obyczaju; w Plinijuszu i Owidyjuszu znajdujemy wiele ustępów opisujących pocałunek, a kostyczny *Martial* z upodobaniem widocznem rozpisywał się o nim w złośliwy sposób. Zbyteczne krępowanie całusami, dostarczało obfity temat satyrze, bo istotnie całowanie się przeszło w maniję. Całowano się przy lada bądź okazyi: przy jedzeniu, przy rozchodzeniu się na spoczynek, na „dzień dobry“ i „dobra noc,“ na ulicy, w sali posiedzeń, przy nauce, przy naradach i t. d. Z początku te oznaki życzliwości i radości, ograniczały się na pocałowaniu w czoło; które powoli zeszły na twarz i usta, i doszły do takiego nadużycia, że nie którzy cesarze widzieli się zmuszeni wydać edykta zabraniające pocałunków. Historyk Swetonijusz rozpisuje się o tem szczegółowo.

Katon wydał bardzo surowe prawa przeciw pocałunkom. Pewnego młodego człowieka skazał był na śmierć, za pocałowanie młodej mężatki publicznie; nie pozwalał on nawet aby mąż z żoną całowali się w przytomności dzieci, a jednego z senatorów wykreślił z listy za to, że pocałował swą żonę w przytomności swej małej córeczki. Apulcyjusz wyraża się że: „całus jest lubieżną uwerturą miłości, harcowym ogniem w wojnie kłótliwej Wenery.“ Grecy przyjęli zwyczaj brania się za uszy przy wymianie całusów (co w nowoczesnych naszych zapatrywaniach jest zupełnie przeciwne wyrażeniom życzliwości) że zaś przy takich objawach serdeczności głowa całowanego wyglądała jak garnek trzymany za ucho, nazywano też całus po grecku „*Chytra*“ co znaczy „garnek.“ — W opowieściach Homera znajduje się często wzmianka o całnsach. Penelopa, np. witała gości swych pocałunkami, nb. podczas nieobecności męża, gdy ten odbywał swoją, pełną przygód, podróż. Ulisses też, wylądowawszy wreszcie w Itace „ucałował ziemię grecką“ it.p. Całowanie ręki wzięło również początek u Greków, którzy, nie chcąc profanować wizerunków bożków swoich, przez dotknięcia ust niegodnych, wymyślili taki pocałunek. W Agrygencie znaleziono posąg Hermesa ze spiżu, całkiem wytarty od pocałunków.— Nawet bogowie Olimpijscy, jak naucza mitologija, obok nektaru i ambrozyi, nie gardzili pocałunkami: Juno uspakaja całusami zazdrosnego Zeusa, Wulkan otacza siecią swoją niewierną Wenus, aby tym sposobem przeszkodzić ustawicznej zamianie całusów jej z Marsem. Nawet całusami ziemian nie pogardzali bogowie, gdy podług wyrażenia wieszcza:

. . . Ludzi, bohaterów i bogów
Łączył Amor ścisłemi więzy...“

Apollo, w nagrodę za najlepszy całus, wieńczy skronie bohatera. Przykład ten naśladowali lacedemończycy, choć w lepszy sposób, wyznaczając nagrodę za najbardziej gracyjny pocałunek, na publicznych igrzyskach. — „Pocałunek miłosny“ mówi jeden z dawniejszych autorów niemieckich, „ten jedynie prawdziwy całus, jest streszczeniem ziemskiej szczęśliwości, najwyższem zadowoleniem, maniją duchową, łączącą w sobie wszystkie rozkosze. Jest to słońce zachodzące nad niewinnością dziecinną, pierwsza zorza wschodząca dla miłości niewinnej. Całus taki otwiera skarbnicę nieznanych dotąd uczuć, raj nieznanych wprzód rozkoszy, krainę czarów miłosnych, i golkondę Afrodyty. Wszystkie pocałunki są niczem w porównaniu z tym pierwszym całusem, któremu nie dorównają wszystkie skarby tej ziemi! Najczystszy pocałunek, który może przekonać i nawrócić tych, którzy mają całus za godło pożądliwej miłości, jest pocałunek dziecinny, czy to dany matce w dowód wdzięcznej miłości, czy zamieniony z rówiennikami na znak zgody po hałaśliwej sprzeczce; jest to najszlachetniejszy i najczystszy z całusów. — Pocałunek przyjacielski dwóch mężczyzn, nie jest wcale przyjemny dla oka i powinien być zupełnie zastąpiony serdecznem ściśnieniem ręki a Börne mówi o nim: „Wolałbym pocałować psa w ogon, aniżeli dać się całować przez mężczyznę.“ Całus przymusowy w grach towarzyskich jest podług Otingera; „winem bez kwiatu, ponczem bez rumu, potrawą bez soli i ma się do prawdziwego pocałunku miłości, jak światło gazowej latarni do słonecznego blasku, jak mroźny Boreasz do przyjemnego zefiru, jak lodowate góry Grenlandyi do kwiecistej indyjskiej doliny. Przymus odbiera takiemu całusowi cały urok.“

(*Schönthan*).

* *Historyja całusa* podobnie, jak historyja ludów ginie w pomroce dziejowej. To jedno napewno twierdzić można, że istniał on już w epoce przedhistorycznej. Wynalazła go według wszelkiego prawdopodobieństwa miłość: jej też śledząc historyję, napotykamy pierwszy całus. Kiedy to było, ile lat temu, nic a nic

nie wiadomo. Najlepszym dowodem tej nieświadomości jest fakt, iż w obecnym wieku jubileuszów, nikomu przez myśl nawet nie przeszło urządzić jubileuszu całusa. A byłaby to świetna uroczystość, w której wszystkie narody przyjęłyby udział, z wyjątkiem bowiem Botokudów, Lapończyków i Samojedów cały świat zna i korzysta z tego boskiego wynalazku. Określnik „boski“ należy się zupełnie słusznie temu wynalazkowi, gdyż, podług najdawniejszych podań, ojczyzną całusa był raj, a pierwszy pocałunek złożył *Pan* na ustach rodzica naszego Adama, wetchnąwszy weń tą drogą duszę. Z całusem zresztą spotykamy się bardzo często w księgach starego testamentu. Oprócz tego. istnieje inna poetyczna legenda, która doszła do potomności drogą tradycyi, to jest z ust do ust, nie korzystając z pisma, ni druku Według niej, wynalazcami całusa byli pierwsi nasi rodzice. A stało się to w następujący, mniej więcej, sposób. Gdy pierwsza kobieta, według legendy—Ewa, odbywała raz zwykłą swą popołudniową „siestę“ na ustach jej usiadła miododajna pszczoła, i, zostawiwszy na nich plon całodziennej swej pracy, odbiegła. Towarzysz Ewy, powodowany zazdrością czy ciekawością—pod tym bowiem względem legenda nie podaje bliższego wyjaśnienia—dotknął własnemi usty warg pierwszej kobiety a zasmakowawszy słodyczy, poznał drogę do niebieskich rozkoszy. Półsenna Ewa z przyjemnością przyjmowała całusy swego towarzysza a zbudziwszy się, pochwaliła go za znalezienie się „jak należy.“ Od owego czasu całusy weszły na porządek dzienny. Z legendy tej dowiadujemy się, że ciekawość, zazdrość i miód znane były dawniej niż całusy, czego dowodem pozytywnym są „całuski“ wyrabiane z miodu przez warszawskich piernikarzy.

Przechodząc od legendy do historyi, pierwszą wzmianką o całusie, znajdujemy w opisie wojny trojańskiej, wybuchłej w skutek małego nieporozumienia, pomiędzy Menelausem, królem Sparty, a Parysem, synem Pryjama, króla Troi. Przyczyną owych wojen był całus złożony na ustach Heleny, żony Menelausa. Opis tego wypadku, wspomnianego przez Homera, przyozdobiony muzyką Offenbacha, cieszy się nadzwyczajną popularnością, zwłaszcza, na scenach uprawiających operetkę. Nowsi historycy zarzucają brak wiarogodności owemu wypadkowi. Za ściślejszy i prawdziwy uważają oni osiedlenie się Trojańczyków w dzisiejszej ojczyźnie katarynek i makaronu. Według najnowszych badań, stało się to w następujący sposób: Kiedy Troja została spaloną, a mieszkańcy szkód swoich powetować nie mogli, gdyż w roztargnieniu zapomnieli zaasekurować swe ruchomości i nieruchomości, udali się na pokłady swych statków, które jedynie ocalały i szukali miejsca, gdzieby dalecy od zazdrości Greków nowe osady założyć mogli. Jedna część, złożona z kilkudziesięciu osób, mężczyzn i kobiet, po wielu trudach i niewygodach dostało się nad brzegi Tybru. Mężczyźni zsiadłszy z okrętów, udali się w głąb' kraju, kobiety zaś zajęły się przygotowaniem posiłku dla swych małżonków. W pół godziny później okręty spłonęły. Nie wyjaśnioną jest rzeczą, czy stało się to wskutek nieostrożności zajętych plotkami Trojanek, czy też wskutek umyślnego podpalenia, w celu uniemożebnienia dalszej podroży. Powodem niewyjaśnienia tej kwestyi są też same Trojanki, które, obawiając się, aby mężowie nie gderali i nie zapragnęli wybrać z pośród swego łona komisyi śledczej, dla wykrycia sprawców pożaru, wyszły, o ile ze spalonych okrętów wyjść można było, naprzeciw swoich mężów i zatamowały potok słów płynących z ust Trojan, przykładając swe wargi do warg swych małżonków. Sposób ten przypadł bardzo do gustu Trojanom; przebaczyli więc i osiedlili się na miejscu, żądając od swych żon aby, ich kilkakrotnie co dnia przepraszały. Stanowiło to ich główne zajęcie, w chwilach zaś wolnych, gromadzili żywność i nie mając nic lepszego do roboty założyli miasto Alba longa Fakt ten przyjęty jest przez niektórych historyków, jako ślad pierwszych danych w historyi całusów.

Z biegiem czasu, sposób użyty przez Trojanki utrzymał się w zastosowaniu praktycznem i znanym jest powszechnie, z tą jednak różnicą, że obecnie używanym bywa przez mężów w celu stłumienia gadatliwości swych żon.

To właśnie utrzymanie się zwyczaju, aż do dnia dzisiejszego, powoduje niektórych badaczy historyi do odmówienia wiarogodności opisanemu wypadkowi. Twierdzą oni bowiem, iż obyczaje nigdy nie zmieniły się do tego stopnia, aby mężczyźni mieli zrzekać się tego, co do nich należało. Całusy, według ich zdania, były jak dziś, tak i dawniej, przywilejem mężczyzn; kobiety pozwalały tylko na składanie im tego hołdu, nie będąc wcale jego inicyjatorkami. Ci też historycy, obalając jedno twierdzenie stawiają na jego miejscu inne i dowodzą, że całus wynalezionym został za czasów niejakiego Romulusa, założyciela i pierwszego króla Rzymu, a zarazem pierwszego balonisty, gdyż, jak twierdzi podanie, nie umarł on śmiercią zwyczajną, lecz wzniosłszy się w obłoki, wskutek nieznajomości sztuki sterowania—zaginął. Ten więc król-balonista, nadając nowozałożonemu miastu prawa, zapomniał o skreśleniu ustawy przeciw pijaństwu. Wada niepowstrzymywana żadnemi ograniczeniami zapanowała w przerażający sposób, znalazłszy wielu zwolenników, przeważnie pomiędzy kobietami. Rada miejska postanowiła ukrócić nadużycie i w tym celu surowo zabroniła kobietom używania wina. Jeden zaś z radców wynalazł rodzaj alkoholometru, kontrolującego wypełnienie zakazu powyższego. Alkoholometr ów był urządzeniem bardzo prostem, polegał bowiem na przykładaniu ust męskich do ust kobiecych i dawał możność natychmiastowego skonstatowania, o ile ustawy miejskie były szanowane. Zakaz poskutkował; wada pijaństwa przeminęła, lecz sposób kontrolowania pozostał i znalazł zastosowanie w życiu codziennem, aż do dnia dzisiajszego.

* Określenie całusa jest nadzwyczaj trudne; każda dziedzina nauki, uważając go za swą własność, po swojemu stara się go zdefinijować.

I tak:

Fizyjolog pozytywista: całus to rodzaj ruchu mięśni wargowych, w którym wargi jednego osobnika uciskają jakiś czas wargi drugiego osobnika, poczem nagle odrywają się jedne od drugich; jesto jedna z licznych odmian skurczu.

Przyrodnik twierdzi: całus jest połączeniem dwóch przeciwległych biegunów, wywołującem iskrę magneto-elektryczną zwierzęcą.

(Klein F. „Das Leben“).

Filozof dowodzi: całus jest ruchem pojęcia warg, wywołującym takie jakościowe wyróżnienie się drugiej jaźni, iż powstaje z tego utożsamienie się podmiotu z przedmiotem i ideału z rzeczywistością.

(Hegel).

Albo:

Pocałunek jest przelaniem się jednej duszy w drugą, ucisk wzajemny dwojga ust jest wciskaniem cytryny w mdłą limonadę życia. Ucisk ten jest wyrazem wrażenia otrzymanego przez serce—jest to jedyny ucisk, który wszyscy znoszą chętnie.

(Börne —Wachsman).

Prawnik mówi: pocałunek jest niczem; nie można go objąć ani prawem rzeczowem ani też uważać jako „obligatio.“ Podciągano go czasami pod prawa familijne i traktowano jako „dot“ (posag). Największa część jurystów uważa całus jako „donatio inter vivos.“ Określeniu temu sprzeciwiają się licznie spełniane kradzieże całusów.

Archeolog, lubiący zawsze i wszędzie kopać, nie dokopał się nigdzie do śladów całusa. Twierdzi, że kult ten, będąc symbolem spadania ożywczych promieni słonecznych, pochodzi tak samo jak i cześć słońca — ze wschodu.

Tyle w teoryi.

W praktyce zaś każdy powtarza zwłaszcza jeżeli zakochany;

. . . . .całus... ach... całus!.. oddałbym zań życie.

Alfred de Musset ur. 1810 zm. 1857 w Paryżu — genijalny poeta. Pierwszą jego pracą były:

Les contes d'Espagne et d'Italie i wywarły niepospolite wrażenie. Utwór: *Le spectacle dans un fauteil* ustalił mu sławę. Przypomina wielce Byrona w *Namonna* i *Wyznaniach dziecięcia wieku*. Napisał dalej: *Rolla*, *Nuits* (arcydzieło), *Dyjalog*, *Dupont et Duvont*, będący szyderstwem z marzeń o ulepszeniach społecznych ówczesnej filozofii. Mistrzowsko władał formą, porywał ogniem, bogactwem kolorytu, potężną ironiją wolterowską, niemoralnością jaskrawą, pogardą ludzkości i brakiem ideałów. Wpłynął na to nieszczęśliwy jego stosunek do p. George Sand. Był ulubieńcem współczesnej generacyi francuzkiej. Pisał i dla sceny. Pomiędzy tymi ostatniemi utworami zasługują na uwagę: Kaprys, *Nie igra się z miłością*, *Usta i czar*, *Kaprysy Maryjanny*, *O czem marzą młode dziewczęta* i w. in.

* Najgorętsze całusy dostrzedz można pomiędzy dziewczętami, zwłaszcza w obecności mężczyzn. Nie są one bynajmniej oznaką przyjaźni; uważać je raczej można za rodzaj próby odbywanej na scenie świata, w celu przekonania widza, jak znakomicie aktorki odegrałyby swe role za kulisami.

* Całus podobnym jest do pieczęci na liście. Oboje wyciska się na gorąco, a na zimno łamie.

G. M. Saphir.

* Królowa Krystyna szwedzka, córka Gustawa Adolfa, nienawidziła pocałunku. Pewnego razu przybyła do Paryża, gdzie wszyscy, stosownie do zwyczajów dworskich, całowali ją po rękach. Królowa długo milczała, raz jednak zniecierpliwiona zawołała: „Ci ludzie musieli powaryjować, całują mnie chyba dla tego, iż jestem podobną do mężczyzny.

* *Dama do sędziego śledczego* — Skradziono mi zegarek № 23752.

Sędzia (*zapisując*). Czy nic więcej?

Dama (*zawstydzona*) — Nic, oprócz całusa.

Sędzia. Zgłoś się pani jutro, postaramy się oddać jedno i drugie.

* Rozumiem całus tylko w usta, inne znaczą za dużo lub za mało.

Adolf Belot.

* Na staje od wsi był gaiczek mały
Ręką opatrznej kształcony natury,
Temu ni dzienne szkodziły upały
Ni nawałnice, dżdżem grożące chmury.
Strumyczkiem czystej opasany wody.
Mięką w pośrodku wyłożony trawką
Napoju często udzielał ochłody
Płochą pasterkom znużonym zabawką.
Tam się wieczorem zgromadzały samym,
O których przyjściu Zefir uprzedzony,
Wonnym namaszczał liść kwiecia balsamem,
A gdy się godnym stał ręki pieszczonej
Już się skupiały, już Doryda żywa
Wierna swojemu Tyrsowi Tamira,
Wdziękiem młodości Klimena wstydliwa,
W przyjaźni Filis Dafnisowi szczera
W kusych spódniczkach i lekkim gorsecie
Pierś śnieżna białą zarzucona chustką,
Którą wstyd zmyślił, a słabość w kobiecie
Za zbroję dała przed chłopców rozpustą.
Skaczą, tańcują, kręcą się do koła,
Nie mając świadka, wstyd gaśnie w panience,
Ta się w głos śmieje a owa wesoła,
Śpiewa i taktem w pulchne klaszcze ręce.
Trawa co miękie deptały ją stopy,
Miast by się zgniotła, albo uchyliła,
Po usunięciu nóżki tuż w te tropy,
Swą żywość wzięła, drugi raz ożyła.
Tak Celimena widząc zmordowane,
Rąbkiem niebieskie zawiązując oczy
Rzeknie: „w pośrodku was dziewczęta stanę
A gdy mnie każda swym kołem obskoczy
Za dotykaniem się waszemi usty
Jeżeli zgadnę i imię wymienię,
Która zgrzeszyła tej co ja mam chusty
Użyję na jej oczów uwięzienie.“
Tu Tajo z jednej przyskoczywszy strony,
Pocałowanie lepi na jagodę,
Cyanna w dołek w uściech umieszczony,
Klimena w pierś, a Temis pod brodę.
Choć Celimena z nich każdą z osobna
Wymienia, przecież właściwie nie zgadnie,
Ciężko jej było, ba i niepodobna
W takiej gromadzie trafić, która kradnie.

Ty zaś Karyllu! co cię miłość więzi
Wdzięcznej pasterki, czy wytrzymasz dłużej?
Gęstemi w cieniu ukryty gałęzi,
Bież, piękna pora miłości ci służy.
Serce mu bije, a wzrok rozpalony,
Już wątpliwego ledwie wstrzyma kroku:
Nie wie jak począć: z jednej miłość strony,
A z drugiej przyjaźń trzyma przy swym boku;
Lecz w takim razie Kupido misterny
Odpasze łuczek, wymierzy i rzecze:
„Nie chciej rozmyślać, bądź rozkoszom wierny",
Puszcza cięciwę, sam w nogi uciecze.
Nigdy wiatr prędzej, nigdy strzała rączej
Rzuci się między pasterki trwożliwe,
I już swe usta w Celimeny sączy.
Pocałowanie mogłoż być tak żywe
Dziewczyny? — kiedy tu pasterka cała
Zadrży i krokiem nazad się usunie,
Twarz jej się farbą różaną oblała,
Ledwo co ogniem zajętym nie spłonie.
„Co to jest?" rzeknie: miłość zrzuca chustę,
Milczenie samo kochanka wydało,
Nie ma sił karać, wybacza rozpustę.
Co się tam więcej między niemi działo
Nie wiem, gdyż grube noc rozwlekłszy cienie,
Widzieć, a nawet nie dała mi słyszyć,
Głębokie z obu stron trwało milczenie, —
Za którem i ja muszę się uciszyć.

Z ręk. Bystrego.

* *Pocałunek ręki,*

Anglicy usunęli go oddawna z przepisów galanteryi towarzyskiej, Francuzi unikają go, Niemcy używają bardzo oszczędnie. Z publicznych miejsc od dawna jest wygnany, w towarzystwach należy on wyłącznie do gospodyni domu. Pewna elegancka dama wyraziła się kiedyś, że posiada sztukę poznania charakteru mężczyzn ze sposobu całowania ręki kobiety. I tak. Przelotny pocałunek złożony na rączce lub rękawiczce maluje pędziwiatra; długi, ciepły pocałunek—marzyciela; ognisty pocałunek połączony z gorącym uściskiem ręki zdradza stanowczego mężczyznę, pocałunek zostawiający ślady, albo też pocałunek silny i wilgotny musi pochodzić od prostaka. Pocałunek z lekkiem niedostrzeżonem dla nikogo prócz dla damy, przyciągnięciem do siebie zdradza prawa kochanka, pocałunek, złożony bez namysłu na prawej lub lewej ręce kobiety znamionuje głupca, pocałunek na dłoni jest oznaką długotrwałej miłości... Natych wskazówkach szanowne czytelniczki mogą oprzeć spostrzeżenia pocałunków swoich wielbicieli.

* *Trzy pocałunki.*

Z pocałunków stu tysięcy
Trzy jedynie tylko pomnę,
Bo one mnie nauczyły,
Że kobiety wiarołomne.

Pierwszy z nich był taki słodki
Jak cukierek, który jadła,
A dała go niespodzianie
Sama do mnie się zakradła.

Była to podzięka czuła
Żem cukierki przyniósł w darze;
Zdrady tutaj doświadczyłem
Wkrótce—przy pomarańcz parze.

Po raz drugi jam całował
Przy księżyca świetle bladem,
Kiedym czulił się w altance
Zakochanych idąc śladem

Lecz nim księżyc twarz swą zmienił
I nim ukrył rogi w chmurze
Rywal mój (oj, ci rywale!)
Jej policzków muskał róże.

Trzeci całus!... strach mnie bierze
Gdy przypomnę całus trzeci,
A zarazem w sercu mojem
Dziwny jakiś żar się nieci.

Rzucam wtedy nad obłoki
Wzrok tęskniący, rozmarzony,
A sumienie moje zrzędzi:
To był całus... cudzej żony.

Fijołek.

* *Nic bez przyczyny.*

— Jakże mogłaś pozwolić, żeby pan Adolf, z którym dopiero w święta się poznałaś, już w Nowy Rok cię całował?

— Cóż robić moja mamo, karnawał taki krótki!

* *Całują to samo.*

As: Piotr całuje Juliją, Paweł portret Juli.
I każdy namiętnie usta do ust tuli.

Bas: Obaj więc całują (jest to rzeczą znaną)
Jedno i to samo: Juliję malowaną.

* *Na zapas.*

— Słuchaj ino Kaśka, — powiedziałaś ty wszystko księdzu?

— A juścić że powiedziałam. — Cóż to złego żeśwa się dwa razy bez drogę pocałowali?

— Kiedy tylko raz.

— A dyć to z ciebie chłop duzy — a głupi co az strach! Cóż to nie wiedzieliśwa ze bedziewa wracać bez ten sam lasek?...

* *Czem jest pocałunek dla kobiety?*

W drugim roku życia — pociechą.
W dziesiątym — pieszczotą.
W dwudziestym — rozkoszą.
W trzydziestym — potrzebą.
W czterdziestym — przyzwyczajeniem.
A w pięćdziesiątym — niczem.

* Pieczęć, używana w państwie miłości, ale nie na listach, W dyplomacyi pieczęć kładzie się po wszystkiem, w miłości przed wszystkiem. Zachodzi jednak pewna różnica między całusem, udzielanym przez mężczyznę i przez kobietę. Mężczyzna całuje, bo musi; kobieta dla tego, że chce... To też całusy kobiety są rzeczą bardzo kosztowną; kosztują one przecięciowo tyle, ile nowa toaleta damska; nieraz całe ojcowizny a nawet czasami szczęście rodzinne. Różne narody różnie odbywają funkcyję całowania i przysłowie „po czynach ich, poznacie je“ oddawna już powinno było zmienić swą formę, gdyż obecnie ludzi najłatwiej poznawać po całusach. Ideałem całusów jest całus staropolski, zwany „buziakiem z dubeltówki.“

* Niema z pewnością na świecie człowieka, któryby w życiu swem nie całował kogoś lub czegoś. Czy to chudą rękę bezzębnej ciotki, czy różowe policzki młodego dziewczęcia, czy czarne wąsiki młodzieńca, pełnego nadziei, czy też delikatną rączkę pięknej kobiety, lub święty obrazek — zawsze za pośrednictwem pocałunku wyraża on przejmujące go uczucia miłości, przyjaźni, czci lub szacunku.

Czem jest właściwie pocałunek, kiedy i w skutek czego wziął swój początek—określić trudno dokładnie.

Pocałunek jestto słabszy lub mocniejszy odgłos, jaki wydają usta przyłożone do jakiegoś żywego lub martwego przedmiotu. Oto objaśnienie, jakie nam dają słowniki.

Suici powiada, że całus jest zlaniem się w jedno dwojga dusz, wciśnieniem cytryny w mdłą limonadę życia.

Herrenschmidt utrzymuje, że całus jest wzajemnem wynurzeniem dwojga kochających się serc...

Pewien wesoły technik znów twierdzi, że całus jest pompą, wciągającą rozkosz i szczęście.

Inny nareszcie utrzymuje, że jestto estetyczne otarcie ust...

Określenie teologiczne pocałunku brzmi: pocałunek jestto czynność symboliczna, wyrażająca dążenie do siebie nieba i ziemi.

Utrzymują, że to dotknięcie ust o usta jest objawem czułości, nie u wszystkich ludów jednak, gdyż niektóre z nich, mianowicie eskimosi, pocałunek zastępują pocieraniem nosa o nos. Nie umiemy objaśnić, który z tych pocałunków lepiej smakuje i który trafniej wyraża uczucie przywiązania.

Co do pochodzenia pocałunku, jak już powiedzieliśmy, żadnych pewnych wiadomości udzielić nie możemy.

Jest jednak rzeczą niemal pewną, że Adam i Ewa całowali się... Tego tylko nie możemy stanowczo powiedzieć, czy przed, czy po zjedzeniu zakazanego jabłka całować się zaczęli. Zapewne nie Adam wpadł pierwszy na ten po-

mysł, gdyż sądząc z tego, co biblija o nim mówi, był on na to za głupi.

Być może, że wąż wraz z innemi ciekawemi sekretami i wynalazek pocałunku podszepnął Ewie do ucha.

To wszystko, cośmy tu przytoczyli o pochodzeniu pocałunku, nie jest niczem więcej, jak domysłem i przypuszczeniem, miejmy więc nadzieję, że z czasem, jakiś mędrzec lub historyk, rzecz tę dokładnie zbada i objaśni.

Zwyczaj objawiania pocałunkiem czci, przyjaźni i t. d. nie jest wcale wynalazkiem tegoczesnym, sięga on najodleglejszej starożytności. Istniał napewno przed wynalazkiem pisma, a być może nawet i mowy.

W pierwszych wiekach istnienia świata, czczono słońce, księżyc, gwiazdy, całowaniem rąk własnych.

W najstarszych znanych pismach, n. p. w księdze Hioba, jest mowa o pocałunku, jako oznace czci.

Indyjanie padali na twarz przed słońcem, przykładając ręce do ust.

Stary testament mówi nieraz o pocałunku, jako o oznace miłości i czci.

Całował Samuel Saula, wyświęcając go na króla izraelskiego, to był pocałunek czci dla pomazańca boskiego.

Całowała Ruth swoją teściowę przy pożegnaniu.

Całował Izaak swego ojca, podając mu przygotowane jadło.

Całował Jakób Rachelę, skoro się dowiedział, że jest jego krewną.

Całowano w dowód czci ręce, nogi, nawet kraj szaty.

W legendowej historyi Grecyi znajdujemy nieraz wzmiankę o pocałunku.

Homer opowiada, że gdy Ulisses wylądował na wyspę Itakę, ucałował ziemię ojczystą.

Telemaka, gdy wrócił do swoich z dalekiej podróży, ucałowano w głowę i ramiona.

Priam całował ręce Achillesa, zaklinając go o oddanie zwłok syna.

Podług greckiej legendy mitologicznej, uspokaja Junona zazdrosnego Jowisza pocałunkiem.

Wulkan podpatruje niewierną Wenus, jak się całuje z Marsem.

Bogi całowano w głowę, brodę, ręce lub nogi. Kto się czuł niegodnym takiego zbliżenia, całował własną rękę, wyciągając ją ku bóstwu.

Od greków zwyczaj całowania przeszedł do rzymian.

Plinijusz wspomina o pocałunku, jako o zwyczaju powstałym niewiadomo gdzie i kiedy.

Już w VIII w. papieże otrzymują pocałunek w nogę od monarchów, w dowód poddania władzy świeckiej pod duchowną. Papież Konstantyn I, odebrał tę oznakę czci od cesarza Justyniana II.

Dlaczego jednak my pocałunkiem uczucia nasze wyrażamy?

W odpowiedzi, kierując się zdaniem wielu badaczy, filozofów i t. d., możemy powiedzieć, że całus jest potrzebą natury, czynnością, do której wrodzony instynkt nieprzeparcie nas pociąga. Dowodem tego są gołąbki, które się dziobkami całują a co tylu malarzy i partaczy unieśmiertelniło.

Są jednakże powagi naukowe, również pomiędzy badaczami przyrody, które, jak np. Darwin, utrzymują, że pocałunek nie jest instynktową wrodzoną potrzebą, ale formą towarzyską, która powstała ze zwyczaju, naśladownictwa i t. d. Dziecko całuje najprzód matkę, tuląc się do niej, potem ręce obojga rodziców, ciotek, dziadków. Mężczyzna, w wieku młodzieńczym, całuje rączki młodych pań, potem usteczka dziewczęcia. Jako dojrzały człowiek, jest więcej całowany niż sam całuje. W końcu, jako starzec, ma prawo całować wszystkich bez wyjątku i sam bywa przez nich całowany.

Mężczyzna nigdy nie obraża się za pocałunek, jeżeli kobieta, dająca go, nie jest starą ani brzydką; kobieta, przeciwnie, podobne przekroczenie ze strony mężczyzny poczytuje za zbrodnię. To jest małą próbką różnicy stopnia wrażliwości mężczyzn i kobiet.

W ogóle kobiety są bardziej stworzone do odbierania niż dawania pocałunków; podobne one są z tego względu do kwiatów, które nie bronią swej upajającej woni a same jej nie czują.

Zwróćcie uwagę na całujące się dwie młode dziewczyny. Jeżeli się to dzieje w obecności mężczyzny, całują się z akcentem, budzącym zazdrość w widzu. Uczucie, jakiego on doświadcza w danej chwili, równa się męczarniom Tantala, jeżeli zaś są same, całują się z całą powagą i chłodem.

U kobiet, gdy się między sobą całują, całus jest czczą formalnością przy powitaniu, wyrazem ukontentowania przy rozstaniu. Z liczby zamienionych przez nie całusów, można wnioskować o stopniu wzajemnych ich niechęci.

Sposób całowania zależy wiele od stopnia wykształcenia. W ogóle mniej się całują w wyższych a więcej w niższych sferach społeczeństwa.

Pierwszy pocałunek miłosny, mówi Oettinger, jestto zachód słońca niewinności dziecięcej, wschód jutrzenki miłości. Pocałunek ten otwiera nam królestwo nowych, nieznanych rozkoszy, czarowną dolinę miłości, Golkondę Afrodyty. Wszystkie pocałunki w obec tego jednego są niczem, tego jednego pocałunku skarby świata nie opłacą!

Poeci nawet nie dają nam dokładnego objaśnienia o pocałunku miłości.

Dla tych, którzy go kiedykolwiek w życiu kosztowali, określenie jest zbyteczne, tego niewypowiedzianego wrażenia rozkoszy, szczęścia, zachwytu, nie zapomną nigdy. Dla tych zaś, którzy tego nie doznali, najwymowniejsze, najprawdziwsze określenie będzie straconem, bo niezrozumiałem.

Pocałunek miłosny jestto pieczęć wyciśnięta na akcie dobrowolnego ustępstwa; jestto zakład przyszłego połączenia; dar, którym obdarzając, tracimy go; owoc, który jednocześnie zasadzamy i zrywamy; jestto najszybsze pytanie i odpowiedź dwojga serc; jestto uderzenie o siebie dwóch krzemieni.

Pocałunek miłosny jestto rodzaj mostu zwodzonego; jeżeli się nie postawi na czas i na odpowiednie miejsce, naraża się na upadek w błoto a nawet na śmierć w onem.

Pocałunek miłosny jestto most, który się dla ułatwienia komunikacyi między jednym a drugim krajem buduje. Przed zaczęciem budowy, należy się bardzo długo namyślać, aby nie ściągnąć na siebie niebezpieczeństwa lub, co najmniej, nieprzyjemności. To też przed pocałunkiem, tak jak przed budową mostu, należy dobrze rozważyć, czy w danym wypadku całować opłaci się, potem należy zrobić plan, kosztorys, nareszcie postarać się o koncesyję i wtedy dopiero budować, to jest całować.

Dwóch rzeczy należy się przytem wystrzegać; spółki z akcyjonaryjuszami i pomocy inżynierów...

Każdy kraj nadaje odmienne znaczenie pocałunkowi miłości.

We Francyi pocałunek jest figlem. W Anglii oznaką wątpliwości. We Włoszech, pożerającym płomieniem. W Polsce objawem zapału. W Niemczech kwiatem raju który powoli, ale tem pewniej, w orzeźwiający dusze owoc zamienia się.

Pocałunek — mówi jeden badacz przyrody — jestto idealny objaw zmysłowego popędu.

Pocałunek jestto towar obecnie bardzo poszukiwany przez kobiety, które, niestety, często ani wyboru co do jakości, ani miary co do ilości zachować nie umieją.

Pocałunek jestto napój, który pić należy małemi łykami, nigdy jednym haustem.

Pocałunek odebrany wieczorem — odbiera sen, otrzymany w dzień — daje siłę do pracy.

Pocałunek jest zwyczajem rozpowszechnionym w całym świecie. Ponieważ jedni kryją się z nim, drudzy popisują, niepodobna wykazać jego dokładnej statystyki. Pewien francuz jednak opracował takową na danych najbardziej

prawdopodobnych. Otóż, według niego, najwięcej się całują w Niemczech.

Wszyscy ludzie całują się, ale nie wszyscy wać się umieją.

Rogerius daje pewne wskazówki w kwestyi pierwszego pocałunku. My je znajdujemy niepraktycznemi, bo czy podobna mieć je w pamięci w chwili, gdy się o wszystkiem zapomina? Powiemy tylko: tu, jak we wszystkiem, wprawa robi mistrza.

Dla młodych dziewcząt nie jest wcale obojętną rzeczą, jak są całowane; zdarzyło się nieraz, że dziewczę rzuciło narzeczonego dlatego, że je nieumiejętnie pocałował.

Przytaczamy tu statut, wydany przez króla Honokonokuku, dla mieszkańców kraju Lunalatu.

„Całować powinien każdy, kto opatrzony jest w potrzebne na ten cel organa.

1. Cło od pocałunku wynosi 10 monet. Dający dwanaście pocałunków, dostaje rabat.

2. Wolno całować się tylko przy świetle dziennem lub wystarczającem oświetleniu. Kto całuje po nocy, płaci karę. Zatem pocałunki przy naszem ulicznem oświetleniu, tak jak pocałunki w ciemnościach, będą karane grzywnami.

3. Wolno całować tylko ustami a raczej wargami. Postępujący wbrew przepisowi, będą karani.

4. Wolno całować tylko w usta, policzki, i czoło. Za całowanie innych części ciała, całujący płacą wyrażoną w statucie grzywnę.

5. Nie wolno jednorazowie całować więcej jak dwanaście razy. Przekraczający tę liczbę, płacą podwójnie.

6. Każda osoba płci żeńskiej, otrzymująca całus, winna się zarumienić.

7. Siła pocałunku, szybkość, trwanie, winny się stosować do prawidła zawartego w ustawie.

8. Pocałunki w nieobecności osób trzecich są wzbronione.

9. Mokre pocałunki, ze względu na bezpieczeństwo publiczne są zakazane.

10. Kto młodą dziewczynę wbrew jej woli pocałuje, musi za karę trzy stare baby pocałować.

Przestrzegaczami tej ustawy mianuję wszystkich kominiarzy i kobiety roznoszące masło, jako osobistości najdokładniej w stosunki i tajemnice moich poddanych wtajemniczone.“

Pocałunki bywają niemiłe, gdy pochodzą od osób palących tytoń, zażywających tabakę, jedzących cebulę i czosnek, pijących wódkę i noszących kolącą brodę.

Dla kobiety pocałunek jest nieraz historyją całego życia, dla mężczyzny krótkim jego epizodem.

Mądry Sokrates każe się strzedz pocałunku jak trucizny.

Niektórzy prawodawcy starożytni zezwalali na pocałunek tylko osobom połączonym węzłem małżeńskim.

Dziewicy, która bez oporu dała się pocałować, nie pozwalano nosić dziewiczego wianka.

Cesarz Konstantyn wydał prawo, na mocy którego, połowa majątku zmarłego narzeczonego, przechodziła na narzeczoną, jeżeli przedtem zamienili wzajemnie pocałunki. Jeżeli takowy nie miał miejsca, dziedziczyła po zmarłym bezpodzielnie rodzina.

Pocałunek zatem uważano jako ofiarę i skalanie czystości dziewiczej.

We Francyi są ślady prawa, na mocy którego, narzeczony, w nagrodę za pierwszy odebrany całus, obowiązany był dać bogate dary tytułem wynagrodzenia.

Foulques hrabia Marsylii, ofiarował narzeczonej, za pierwszy całus, obszerne terytoryjum złożone z kilku włości.

Obecnie, jak mówi w swem dziele Bugeon, „całusy we Francyi są mniej drogie...“

W starożytności, Publius Macrius kazał ściąć ulubionego swego wyzwoleńca za to, że ośmielił się jego dorosłą córkę pocałować.

W czasach feodalnych, wasal utracał lennictwo, jeśli poważył się pocałować żonę swego szwagra.

I tu jednak są wyjątki.

Gdy żona tyrana ateńskiego, Pizistrata, wymawiała mu, że młodzieńcowi, który publicznie ich córkę pocałował, darował życie, tyran odrzekł:

„Jeżeli tych, co nas kochają, będziemy zabijać, cóż zrobimy z tymi, co nas nienawidzą?“

Cesarz Rudolf I, gdy biskup Spiry, wysadzając z powozu jego małżonkę, chciał ją, korzystając z przynależnego mu prawa, pocałować, odtrącił go, mówiąc:

„Od takiego błogosławieństwa wybaw mnie Panie.“

W średnich wiekach młoda dziewczyna, dbająca o dobrą sławę, obowiązana była skarcić natychmiast tego, który ją pocałował.

Karol V dostał w twarz od pomywaczki, którą, podpiwszy, chciał pocałować.

Rudolf habsburski zapraszał często dygnitarzy swego państwa, wraz z żonami i córkami i całował je, utrzymując, że jest to ożywiające lekarstwo w jego starości i wycieńczeniu.

Mówiliśmy już, że nie wszystkie ludy ziemi całują się. Mieszkańcy Polinezyi i wielu wysp innych, gardzą całusem. Winword Reade przestraszył murzynkę całusem; niektóre z tych kobiet mają wstręt nieprzezwyciężony do takiej pieszczoty.

Francuzi uważają za obowiązek całować ręce dam. Włosi całują rękę na znak zażyłego stosunku. Polacy całują z wdziękiem i elegancyją, przewyższającą francuzów, którzy w tym względzie za mistrzów są uważani. Pocałunek ich jest pełen ognia, namiętności, czci... Polki przyjmują go z powagą, godnością i dumą, jako hołd im należny.

Anglicy pocałunkiem wyrażają przyjazne uczucia, ale chętnie zastępują go ściśnieniem ręki.

Zresztą niech każdy całuje jak chce...

Librowicz Zygmunt, publicysta — ur. 1855. Korespondent wielu pism, pisał po polsku, po niemiecku i po rusku. Ustęp cytowany przez nas jest wzięty z dzieła tego autora p. t. „*Der Kuss und das Küssen.*“

Carogród.

* Carogród stolica, sławna z nierządu i swego rządu. Gród to podobny do pięknej hur- ki, którą każdy pragnąłby posiadać, ale tak, aby nikt tego nie widział. Nazwa miasta wcale nie odpowiada jego treści, właściwszą bowiem byłaby dlań nazwa Paszogród. Pasza jest to dygnitarz, który interesa kraju dobrze pojmując, znajduje w nich dogodną dla siebie paszę.

Cel.

* Błędny ognik, za ktorym wszyscy gonią, a którego nikt dogonić nie może. Dziwny to ognik, bo każdemu przedstawia się w innej postaci. Dla jednego jest brunetką, dla drugiego blondynką, dla trzeciego zaś grubym posagiem. Dla wydawcy pisma ognik ten przybiera formę kilkunastu tysięcy prenumeratorów; dla reportera — wiadomości o kilku tysiącach wierszy, a dla humorysty — zręcznego słówka, z któregoby parę tysięcy osób pękało od śmiechu. Są jednak mimo to ludzie, których prace tem się odznaczają, że nie mają celu. Do takich należą pewni dziennikarze, którzy zawsze strzelają na wiatr i pewni starzy lowelasowie, którzy mają przed sobą zawsze cel fikcyjny. O celowości w naturze pisano już wiele; kto jednak wytłómaczy, co ma za cel czeszka, rozdzierająca uszy swojem brząkaniem na arfie?

Cela klasztorna.

* *Kuchta.* Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Ks. Gwardyjan. Na wieki wieków Amen!

Kuchta. Co ojciec gwardyjan dobrodziej zadysponuje dziś na obiad?

Ks. Gwardyjan. Dla księży laików i braciszków—bo to dziś piątek—zgotujesz kluseczki na mleczku i kaszkę na grzybkowym smaczku.

Kuchta. A dla przewielebnej osoby księdza gwardyjana dobrodzieja?

Ks. Gwardyjan. Dla mnie tam—byle co—polewczysko z wińska, szczupaczysko z chrzaniskiem i legumińsko z serzyska albo z czekoladziska.

Ceres.

* Piękność miejska w starożytnej mitologii, coś w rodzaju naszej Kaśki, gdy się umyje należycie. Pomimo jednak tego, że Kaśka lub Maryś lepiej się znają na robocie w polu, aniżeli pogańska święta, żadnej żniwiarki nie przezwano dotąd Kaśką lub Marysią Jest to widoczny wpływ klasycyzmu na wychowanie naszych ziemian.

Cervantes.

* Cervantes zdmuchnął rycerstwo Hiszpanji,
Jeden śmiech zdołał prawego pozbawić
Ten kraj ramienia. Odtąd niewidziani
Tam bohaterzy. By ta powieść bawić
Mogła, świat glebę przygotował dla niej, —
I przeto mogła prędko się rozsławić,
Że cały urok tego dzieła grubo
Był opłacony naprzód — kraju zgubą.

Byron.

Cetno i licho.

*Gdy anioł śmierci bierze ciotkę setną,
To się zwie cetno.
Kiedy komornik puka do drzwi cicho,
To się zwie licho.
Kiedy pan Klapfisz dał ci córkę szpetną,
Znów miałbyś cetno.
Lecz że się żenisz z szlachcianeczką cichą,
To się zwie licho.

Cezar.

* Cezar zwykł był mawiać:

„Nie boję się nigdy ludzi o zdrowej, kwitnącej twarzy, ale boję się bladych i mizernych."

Cha! cha! cha! fidonc!

* Weszła w lożę jak meteor...
Więc natychmiast jej posłało
Tysiąc oczu confiteor,
Potem tysiąc stóp zadrżało
Gdy kreśliła czuły kiks —
A więc kto to? — Ach to ona?
Pół-Helena, pół-Aldona!
Ach to panna X!

Twarz jej uśmiech rozaniela,
Albo łzy sakrament święty,
Każdy mówi — bagatela!
Że to perły, dyjamenty.
Nic nie mówi zaś pan Z...,
Tylko myśli, że potrzeba
Szturmem zdobyć łaskę nieba,
Ręki prosić wnet!

A więc w gali, pełen tremy,
Rzekł jej w *D-moll* swym dyszkantem:
„Co tam loże, dyademy!
Jestem pani praktykantem —"
Lecz gdy w *cis-moll* wchodził ton,
Śmiech się rozlał jak kaskada
I odpowiedź ta nielada:
„*Cha — cha — cha fidonc!*"

II.

Pauza. W pauzie tej bukiety
Blady hrabia szle z miłości.
Wszystkie kwiaty zaś niestety,
Są symbolem znikomości.
Znikł, jak wiosna hrabia F!...
Chociaż divie wiernie służył,
Przecież divę srodze durzył
Salonowy lew!

Więc mdlejąca, rozżalona,
Pojechała do kąpieli.
Pół-Helena, pół-Aldona
Miała mnóstwo wielbicieli,
U stóp klęczał bankier S.
Lecz nie długo hymny nucił,
Bo pojechał i nie wrócił,
Więc została bez!

Na koturnie dumnej złości
Pożegnała się z Ostendą,
I za wszelki śpiew miłości
Zimną stała się crescendo,
Aż zabrzęczał major L.
Lecz niedługo szablą brzęczał,
Jak eolska arfa dźwięczał,
I przedźwięczał, jak jej trel!

Ha, więc wrócić już do Lwowa
I małżeński kląć sakrament!
To komicznie... Myśl gotowa:
Wzięła pióro i atrament,
Napisała: „Panie Z!
Moje serce jest wulkanem,
Ja chcę ulgi, chcę mieć z panem
Czułe tete-à-tete!"

Kiedy Z. bilecik dostał,
To przed duszy swej ołtarzem
On nie ukląkł, bo już został
Przy fiskusie sekretarzem.
Dumnie więc nastroił ton,
I choć chwilę wzdychał nawet,
Wrzasnął straszne jej wet — za — wet:
„*Cha — cha — cha fidonc!*"

Stebelski Włodzimierz, ur. 1848 r. w Magierowie w Galicyi. Na uniwersytet uczęszczał w Wiedniu i we Lwowie, poczem był profesorem wyższego gimnazyjum i miał sobie konferowaną katedrę literatury w uniwersytecie czerniowieckim. Poeta i humorysta wielce utalentowany. Stylista wytworny i cięty niepospolicie. Przed dwoma laty został powołany do redakcyi *Kuryjera Codziennego* i osiedlił się w Warszawie.

Chaos.

* Stan, w jakim znajdowały się stosunki międzynarodowe przed stworzeniem świata. Sądząc z tego, należałoby przypuszczać, iż wkrótce świat po raz drugi stworzonym będzie. Należałoby wówczas lepiej uposażyć poetów i humorystów, zrobiwszy pierwszych ministrami skarbu, a drugich dyplomatami; poeci bowiem znani są ogólnie ze swych zdolności ekonomicznych, a humoryści z miłości do wojny bez rozlewu krwi.

Chamfort.

* Pewna dama proponowała znakomitemu Champfortowi śluby małżeńskie.

— Pani — odpowiedział Champfort — niegdyś do szaleństwa lubiłem dwie rzeczy: kobiety i stan kawalerski. Pierwsza z tych namiętności już mię opuściła — czyż mogę się dobrowolnie pozbawiać ostatniej?

Charcot.

* Znany przyjaciel mężów całego świata, który pierwszy skutecznie począł leczyć choroby nerwowe. Jest on rodzicem całej trzody wolno praktykujących magnetyzerów, którzy powinni być tępieni na równi z chrząszczem kartoflanym i filokserą.

Chciwość ukarana.

* W Neapolu zmarł majętny mieszczanin, który całe mienie w ilości pięćdziesięciu tysięcy lirów, zapisał na klasztor kapucynów z tem zastrzeżeniem, że z wymienionej sumy mają dać jego synowi to, co im się będzie podobało. Resztę mieli obrócić na cele dobroczynne. Kapucyni uważali się za bardzo wspaniałomyślnych, dając jedynemu synowi zmarłego ośm tysięcy; resztę to jest czterdzieści dwa tysiące, zatrzymali dla siebie.

Przypadkiem historyja ta doszła do uszu wice-króla, wielkiego księcia Ossuna. Ten, rozpatrzył sprawę, przejrzał testament i z przebiegłością włocha, zawyrokował w ten sposób:

— Nie 8,000, ale 42,000 lirów należy się synowi, gdyż kapucyni, podług woli testatora, winni wypłacić mu to, co im się podoba. Ponieważ zaś podoba im się 42,000 tę więc summę syn otrzymać powinien.

Tak się też i stało.

Chedery.

— Dlaczego lufa od pistoletu podobna jest do fujarki?

— Żeby sobie wojsko na niej przygrywało. Ale ja nie chcę tego słuchać, bo jestem jedynak.

Chloe.

* Panie, dziwisz się Chloi; ja się dziwię tobie:
Czyż to Chloe po mężu drugi rok w żałobie?
Bajki, dziś nic takiego pewnie się nie zdarzy,
Kochanek jej powiedział, że krepa do twarzy.

Klemens Maciej Bardski.

Chluba nielada.

* Sąsiad łaskawy konia wybrać mi pomoże?
— O na koniach się nie znam i trudnym w wy-
[borze,
Lecz za to bydło, świnie — tu mam wybór szer-
[szy!
Bo jak idzie o świnie — to ja jestem pierwszy!
R. Theodorowicz.

Chłop.

* *Dowcipy polskiego chłopa.*

Był w jednej wsi chłop, bardzo wielki filut, co wszystkich przekabacił swoim wielkim rozumem, a był z niego zuch, co się nie uląkł nikogo. Umiał on każdemu co powiedzieć, potrafił z każdym się rozmówić, zażartować, ba i niejednego, jak to mówią, wywieść w pole; wiedział też jak się z kim obchodzić i jak kogo zagadnąć, a kiedy się na co uwziął, to wszystkiego dokazał, choćby tam nie wiem co było.

Dowiedział się o nim pan ze wsi pogranicznej, co także uchodził za mądrego, i co też— jak mówił — nie każdemu pozwolił grać sobie na nosie. Posłał więc po niego ów pan i kazał mu powiedzieć, że chciałby go rad widzieć i słyszeć jego mowę i dowcipy; obiecał mu sowitą nagrodę, jeżeli potrafi coś takiego powiedzieć, czemu będzie musiał zaprzeczyć prawdy. Na takie wezwanie stawił się chłop, do którego pan w te odezwał się słowa:

— Słuchaj no! różne rzeczy powiadano mi o tobie, a szczególniej, że umiesz doskonale kłamać?

Na co mu chłop rzecze:

— Jegomość! co? jabym miał kłamać? a niech mię Pan Bóg zachowa od tego grzechu! ja zawsze tylko, jak mię nauczył mój ojciec, (Panie, świeć nad jego duszą) prawdą a Bogiem żyję i brzydzę się łgarzem!

— Mój bracie — rzecze pan — to są wykręty i chcesz mnie pewnie oszołomić; ale słuchaj! Czyli chcesz, czy nie chcesz, musisz mi co skłamać, to jest: powiedzieć co takiego, czemu ja nie będę mógł dać wiary i powiem, że kłamiesz. Jeżeli tego dokażesz, dostaniesz odemnie natychmiast 100 talarów, a jak nie, to odbierzesz 100 bizunów na skórę; wybieraj co ci się podoba, masz wóz i przewóz, jeno bez długiego namysłu.

Poczem wyliczył zaraz rzeczone 100 talarów na stół, a chłop podrapawszy się za ucho, tak zaczął prawić:

— A nu! kiedyć koniecznie mam co powiedzieć, toć i powiem, ale nie będę kłamał, jeno żywą powiem prawdę, tak jak mi Bóg w niebie miły, kochany jegomość!

... Stało się, kiedym jeszcze był młody i na dorobku, że poszedłem raz na śty Szczepan do kościoła, a jak pewnie jegomość wie, to dnia tego rzucają na księdza grochem, jęczmieniem, owsem i innem ziarnem, na pamiątkę ukamienowania św. Szczepana; ludzie zaś zbierają to ziarno i dają je gęsiom, kurom i kaczkom, aby wiele jaj niosły, lub też mieszają je z innem ziarnem do siewu, aby się zboże dobrze obrodziło. Chciałem i ja też coś uzbierać tego ziarna, ale cóż, każdy łupu cupu, a mnie zaledwie dostało się jedno ziarnko jęczmienia. Schowałem je jednak i zaraz tego samego dnia jeszcze, skorom powrócił z kościoła, zasiałem w moim ogródku pod oknem. Jegomość nie uwierzy, jak to ziarnko prędko wyrosło w potężny jęczmień, tak wysoki, że nie można było dojrzeć końca i to przez jedną noc!

Pan mu na to:

— To wszystko być może!

— Ciekawy jednak byłem, jak też ów jęczmień wysoko sięga — mówił chłop dalej — cóż więc robię? oto włażę nań i wdrapałem się aż na sam wierzch... Ale o rety! jakem się zląkł, kiedym już był na czubku kłosa, bo widzi jegomość, ów jęczmień sięgał aż do samego nieba!

Na co mu pan:

— Być to wszystko może!

— Ale nie uwierzy jegomość, com ja dalej zrobił? A to, jak się nie zepnę na sam czubuszek kłosa, jak nie hycnę w górę i oto jednym susem byłem w niebie!

— I to być mogło — odpowiedział mu pan.

A chłop ciągnął dalej mówiąc:

— Kiedym już był w onem niebie, zacząłem się oglądać na wszystkie strony; bardzo mi się tam podobało, bo się wszystko jeno tak świeciło od złota, srebra i dyjamentów, nawet podłoga i ściany. Bałem się bardzo i nie śmiałem kroku naprzód postawić, jenom się wciąż przypatrywał wszystkiemu zdaleka; ale co tam było, tego ani opowiedzieć nie umiem. Ośmieliłem się jednak i zacząłem iść naprzód; alem stąpał bardzo ostrożnie, bojąc się, aby czasem niebo nie zarwało się pod mojemi nogami. Lecz zaledwie parę uszedłem kroków, nie wiem czy mnie posłyszano, czy co, dosyć, że natychmiast zdaleka dał się słyszeć wielki wrzask, i wnet ujrzałem w odległości mnóstwo aniołów, którzy z ogromnemi kijami do mnie lecieli i wygrażali mi niemi. Nie wiem co począć ze strachu, uciekam ku dziurze ale i miejsca mi nie sporo: jednak dobiegam do dziury, ale niestety! nie znajduję już mojego jęczmienia, jeno kupę plew obok dziury. Nie uwierzy jegomość, co to człek w strachu potrafi. Kiedy oto wrzawa i hałas aniołów już, już niedaleko mnie, pręciuchno ukręciłem z plew powróz długi, że aż do ziemi dosięgał, przymocowałem go do krawędzi nieba i spuściłem się na dół, a kiedy mię już aniołowie za niego pochwycić mieli i już mi nad głową ich kije migały, ja, uchwyciwszy się powroza szust! na dół i takem się przecie wymknął dość szczęśliwie.

— To wszystko być może — przerywa pan.

A chłop dalej:

— Ale to jeszcze nie koniec mojego strachu i kłopotu. Oto widzi jegomość, w tej prędkości ukręciłem powróz za krótki, tak, iż brakowało do ziemi przynajmniej jakie 100 sążni; więc teraz wiszę i dyndam się na onym powrozie, bo przecież spuścić się z takiej wysokości nie podobna: mógłby człek sobie karku nakręcić. Przemyśliwam tedy, jak tu sobie poradzić i wnet wpadłem na szczęśliwą myśl... Mówię sobie: przecież powróz ten, co jest u góry, już tam niepotrzebny, jeno u dołu: a więc urywam u góry, a nadstawiam u dołu i spuszczam się tak coraz niżej, aleć naostatku zabrakło już u góry powroza, tak, iż już nie było czem nadstawić i tyle tylko pozostało, ilem trzymał w obu garściach, a tu do ziemi jeszcze dobre 20 sążni. Nie było już teraz nad czem myśleć, anim też widział jakiego ratunku, by nie wisieć do dnia sądnego w powietrzu, jak tylko spuścić się na zmiłowanie Boże na ziemię. Ledwom to pomyślał, aliści puściłem powróz, lecę na dół jak kula i w oka mgnieniu — klaps! w glinicę — i wpadłem na jakie 10 łokci głęboko. Znowu strach, znowu nie wiem, jak sobie poradzić, by z tej gliny się wydobyć. Wyleźć — było niepodobna, a zostać — także nie było można, boby się człek był przecie udusił, gdyż zaraz za mną dziura się zawarła nad głową.

— To wszystko być mogło! — przerwał mu pan, i już się cieszył w duchu, że chłopu da bizuny.

Ale chłop tak dalej swą przygodę opowiada:

— Jednak to pan Bóg biednego chłopa nigdy nie opuści w potrzebie, ale mu dopomoże. Tak też i mnie dopomógł, bo mi podał na myśl, żebym co tchu pobiegł do domu, przyniósł sobie rydel i motykę i odkopał się przecież. Tak też zrobiłem jegomościńku; poszedłem prędko do domu, przyniosłem rydel i dzięki Bogu wykopałem się szczęśliwie z onej gliny.

— Wszystko być może — żwawo mówił pan, a więc kiedyś się tak odkopał, pewnieś poszedł sobie do domu i kwita.

— O! nie jegomościńku kochany! nie na tem jeszcze koniec mojej mitręgi. Ledwom co wylazł z onej gliny, aż tu deszcz rzęsisty zaczął padać, ba! lać, gdyby z cebra. Ugliniony, a oraz i zmokły, kurczę się i radbym się gdzie skryć, ale nie było gdzie, bo ani krzaczka, ani drzewka na całem polu nie widać było — a więc lecę sobie prosto ku wsi, którą zdaleka widziałem. Kiedym już jest coraz bliżej, poznaję, że to wieś jegomościnego ojca. Spieszę się jak

mogę; ale i deszcz coraz bardziej lać poczynał i byłbym przemókł do suchej nitki, gdybym się nie był miał gdzie schronić. Ale oto patrzę, aż tam kole grochu łazi ktoś za świniami w kapeluszu, z ogromnemi piórami (skrzydłami), tak szerokiemi jak rzeszoto. Dalej ja więc do owego człowieka, i nic nie mówiąc, nie patrząc na niego, wcisnąłem mu się pod jego szeroki kapelusz i tak przecie schroniłem się od największej ulewy. Kiedy już padać przestało, podnoszę oczy do góry, by widzieć kto to był i podziękować za przytułek, oraz przeprosić, iżem go powalał gliną — aż tu widzę przed sobą — kogo? — zgadnij jegomość — poczciwe ojczysko jegomości!

Ledwie domówił chłop słów ostatnich, a tu chlast go pan w twarz i zakrzyknął:

— Łżesz chamie! bo mój ojciec nigdy świń nie pasał!

Chłop zaś pokłoniwszy się panu, przystąpił do stołu, zgarnął swoje pieniądze i wyszedł sobie z Panem Bogiem; a szlachcic dopiero się pomiarkował, że go chłop w pole wywiódł. Wstydził się, że się dał tak podejść.

Od tego czasu nie śmiał już szlachcic mierzyć się z rozumem chłopa, ale starał się złotem i batem wziąć nad nim górę, a obciążając go pracą, chciał mu jego chłopski rozum gwałtem przytłumić; lecz i to nic nie pomogło. Chłop został się przy swoim jędrnym rozumie, a szlachcic zawsze miałki i próżny – i bata postradał.

Kolberg Oskar — ur. w 1817. Etnograf, wydał 22 tomy studyjów nad ludem. Praca to pomnikowa, której materyjały stały się niejako fundamentem badań pieśni i podań ludowych.

Chłopskie dziecko.

* Wielka radość u Macieja,
Narodził się syn!
W mróz go wiozą o dwie mile,
Na obrządek chrzcin.
A na chrzcinach któżby sobie
Co żałować miał?
Więc kum dziecku maleńkiemu
W gębę wódki wlał.

Wzięła potem dziecko kuma,
A mroźny był czas,
Znowuż chłopcu na rozgrzewkę
Dała miodu raz!
Gdy się wszyscy utrąbili,
Siedli z nim na wóz;
Wiozą dziecko do chałupy
W trzaskający mróz.
Gdy go kuma, co usnęła,
Nie upuści w rów,
Uchowa się Bartek cało,
Będzie krzepki — zdrów!

. . . .

Przyszło lato; do roboty,
Dobrym ludziom czas
Zostawiła matka Bartka,
Poszła pleć pod las;
Leży Bartek w swej kolebce
Leży, gębę drze...
— Cicho, cicho! na południe
Matuś wróci się.
Gdy nie wczołgasz się do pieca,
W którym leży żar,
Nie wywrócisz na się garnka,
W którym stoi war,
Jeśli wieprzak nie spróbuje
Na tobie swych kłów,
Wychowasz się mój Bartosie,
Bądziesz krzepki — zdrów!

. . . .

Już i łazi Bartek mały...
Czas tak szybko zbiegł;
Już i w jednej koszulinie
Lezie boso w śnieg.
A tu we wsi odra, ospa,
Szkarlatyna, krup,
I nie w jednej chałupinie
Jest maleńki trup.
Mały Bartek kaszle, dycha,
Na śnieg idzie znów...
Oj Bartoszku! jak nie umrzesz.
Będziesz krzepki — zdrów!

. . . .

Uchowała Matka Boża...
Bartos duży dziś;
Taki gruby, taki mocny,
Jak borowy miś.
Teraz, matko Bartosowa,
Codzień pacierz mów,
Bo twój Bartos całe życie
Będzie krzepki — zdrów!

Chłopiec obiecujący.

* Pan N. siedział sam w wagonie kolei, gdy przed ruszeniem pociągu wskoczyło do tegoż przedziału dwóch chłopców: 10 i 12-to letni, a odprowadzający ich ojciec poprosił pana N., aby w razie potrzeby zechciał rozciągnąć opiekę nad jego synami, jadącymi do Krakowa.

Pociąg ruszył, chłopcy zabawiali się rozmową półgłośną, gdy starszy wykrzyknął:

— Ależ to doprawdy niedorzeczne!

Zwróciło to uwagę pana N. i zapytał chłopca o co chodzi?

— Ojciec — odrzekł tenże — dał mi kopertę zaadresowaną do siebie z poleceniem, abym jak tylko staniemy szczęśliwie na miejscu, rzucił ją do skrzynki pocztowej, a gdy ją odbierze, będzie to znak dobrze odbytej podróży.

— Nie widzę w tem nic niedorzecznego — rzekł na to pan N. — owszem, był to bardzo dobry pomysł.

— Tak, ale niepotrzebnie było przylepiać markę i tracić tym sposobem 10 kop. Listy z zagranicy mogą się nie frankować, a gdyby listonosz tę kopertę tylko pokazał, ojciecby i tak zrozumiał, żeśmy dobrze zajechali i mógł wtedy powiedzieć: „niefrankowanych listow nie przyjmuję“...

Choroby.

— Cóż ci właściwie dolega?

— Życie.

— To niebezpieczna choroba, kończy się zawsze śmiercią.

Różowe domino.

* — Jak pan doktór myśli, od czego Maniusia ma taki obłożony języczek?

— Zawiele mówi po... francuzku.

* *Wilcza choroba.*

Raz wilk schorzały, trwożny o życie
Do eskulapa przywlókł się skrycie.
„Pomóż doktorze, w mojej niemocy!“
Więc lekarz skinął, a pacyjent siada.
„Spać już nie mogę od kilku nocy...“
„Pewnie się w wieczór zawiele jada?“
„Nie, na sumienie, piję rumianek...
A gdy się większy apetyt zdarza,
To się tam zgryzie jaki baranek,
Wszak niestrawności to nie przysparza...
Lecz o drobnostkach się takich milczy,
Bo znasz doktorze apetyt wilczy;
To już w naturze — któż wiatrem żyje?
Łapaj co z brzegu, nie pytaj czyje,
A gdy pochwycisz, stroń od sąsiada,
Wilczy obyczaj, nasza zasada“.
Doktór pacyjenta bierze za łapę,
Pomacał pulsu: pisze — jalapę.
„Każę dyjetę odbyć trzydniową
I nie jeść mięsa! zwłaszcza surowo;
Gdy się polepszy, jeść zwolna, mało,
Aby się potem nie żałowało“.

Odszedł z lekarstwem wilk ucieszony
Do swej wilczycy, szanownej żony.
Ta mu barłóg ze mchu ściele
I jalapę w garnku miele.
Po użyciu, nad wieczorem,
Już się nie czuł wcale chorym.
Zbiera siły nadwątlone —
I wyrusza w którąś stronę.
Lecz gdzie idzie — tajemnica —
Sama nie wie połowica.
Już o świcie, tuż nad ranem,
Mąż powraca, z czem? z baranem.
Sam jeść tylko miał połowę,
Żonie oddał: nogi, głowę.
Gdy tak jedząc smak znajduje,
Coraz więcej głodu czuje,

Chciałby pościć, a nie może,
Więc się zdał na wolę bożę.
— Głupi co się jutrem biedzi!
Gdy już pożarł, cicho siedzi.
W tem go nagły ból przejmuje,
Mdłości, zawrót we łbie czuje.
— Gdzie lekarstwo, gdzie jalapa?
Żono! sprowadź eskulapa...
Nim się lekarz z domu ruszy,
Wilk na ziemi już bez duszy.
Tak nie jeden z naszych braci,
Darmo na doktora traci,
Jeśli niestety —
Nie zachowuje dyjety!

Słomka.

* *Chory któremu nic nie brakuje.*

Ulubiony komik Bekman znajdował się na kuracyi w Karlsbadzie.

Na parę dni przed odjazdem odwiedził go miejscowy doktór, zapytując o zdrowie.

— Dziękuję panu za troskliwość — powiedział Bekman cienkim głosikiem. — Nic mi nie brak, nic zupełnie.

A gdy doktór okazywał, słysząc to, najżywsze zadowolenie, dodał:

— Widzi pan, jak tu przybyłem, miałem ból oczu, mam go dotąd; miałem szum w uszach mam go jeszcze; żołądek mnie bolał, boli mnie wciąż, więc naprawdę nic a nic mi nie brakuje...

* — Pańska choroba — mówił poważnie doktór do chorego — jest bardzo niebezpieczna, gdybym był przyszedł dziś o godzinę później, na pewno byłbyś pan wczoraj umarł.

* — Jakże się miewasz dzisiaj? — zapytał doktór w szpitalu chorego starca.

— Ach panie doktorze, jestem tak chory, że gdyby ktoś o mnie powiedział, żem umarł, wcalebym się temu nie dziwił.

* *Choroby zwyczajne.*

Taki to śmieszny zwyczaj tego świata, że kiedy chorujemy na niepomyślność (częstokroć skutkiem własnych nadużyć), obwiniamy o to słońce, księżyc i gwiazdy; jak gdybyśmy byli hultajami z musu; głupcami ze zrządzenia niebios; łotrami, złodziejami i oszustami z nadprzyrodzonego impulsu; pijakami, łgarzami i cudzołożnikami z koniecznej zależności od planetarnego wpływu, słowem, złymi, na wszelkie kopyto, z poduszczenia bogów. Co za przedziwny wykręt ze strony rozpustnika, składać swą małpią naturę na karb gwiazd...

Szekspir. (p. str. 92).

* Są chorzy, którzy za nic nie przyznają się do swojej choroby, bez żadnej widocznej ku temu przyczyny.

Hrabia Viry naprzykład, miał dwa niebezpieczne wrzody, których leczenie odkładał do ostateczności, a wreszcie oddał się w opiekę dwom chirurgom, ale tak, żeby jeden o drugim nie wiedział. Naturalnie działali oni wprost przeciwnie i chory umarł.

Sekretarz hrabiego, który znał jego dziwactwa pod tym względem, opowiadał ten fakt swoim znajomym, dodając: „mój pan umarł, ale pragnął, żeby nikt o tem nie wiedział".

* *Choroby miłości.*

Miłość kapryśną jest, sprawioną żarem
Własnym gorączkę odważnie przetrzyma;
Lecz się osłabia kaszlem lub katarem
I na ból gardła cierpliwości niema.
Rany śmiertelne leczy niby czarem,
Lecz pospolitych chorób się nie ima,
Ucieka, gdy ktoś, zamiast westchnąć, kichnie,
Równie ją oczu czerwoność odstrychnie.
Lecz ją najpewniej zmęczy i najsrożej
Morska choroba i żołądka bole.
Miłość, co żyły odważnie otworzy
Stracha się, kiedy coś w boku zakole,
Przeczyszczająca ją pigułka trwoży,
Mdłości — zabiją. Juanek niezgorzej
Musiał się kochać, kiedy jeszcze w mdłoś-
[ciach
Żar mu miłosny łaskotał po kościach.

Byron.

* *Choroba morska.*

Juan stał, myślał, wzdychał i łzy ronił;
„Łzy słone“ na toń „słoną“ padające;
„Słodkie na słodkie...“ (ten wiersz mi zadzwonił
Sam przez się: czytam, jak kwiaty pachnące
Przyniosła na grób, który prochy chronił
Ofelii — Danii królowa —). Niknące
Brzegi natchnęły refleksyją duszę
I zaczął myśleć naprawdę o skrusze.

„Bądź zdrowa!—wołał—Hiszpanijo, bądź zdro-
Może cię nigdy, nigdy nie zobaczę [wa!
I umrę zdala, bo się nie uchowa
W obczyźnie serce, ale się zapłacze...
Gwadalkwiwirze mój, rzeko domowa
Żegnaj! ty matko!.. gdy nie przeinaczę
Losu — ty Juljo!..“ Tu wyjął niebieski
List i przeczytał od deski do deski.

„Gdybym zapomnieć miał... słuchaj mię Boże!..
Nie, nie — tak tanio czci mej nie pogrzebię,
Prędzej ta ziemska kula wpadnie w morze,
Prędzej to morze utopi się w niebie
Niżeli inną nad ciebie przełożę,
Niż inną kiedy pokocham — prócz ciebie.
Nie dla mnie balsam powtórnej miłości...
(Tu okręt zachwiał się — on dostał mdłości),

„Wprzód niebo ziemię zgniecie... (tu się skutki
Wstrząśnienia wzmogły). O Juljo! dopóty
Łkać będę... (Piotrze, daj mi trochę wódki,
Babtista, pomóż mi zejść do kajuty...)
Aniele!.. (prędzej wy, piekła wyrzutki!..)
Luba!.. (ten okręt chwieje się, jak struty)
Jakbym się dzisiaj do nóg twoich cisnął
Całować!..“ (tu się gwałtownie zachłysnął!)

Czuł tę mrożącą jakąś słabość serca
(Raczej żołądka), w której jest smak piekła;
Co w mdłe człowiecze jestestwo się wwiera,
Kiedy druh zdradził, kochanka uciekła,
Kiedy najdroższych, zesłał los wydzierca
Daleko, albo gdy śmierć ich zawlokła...
Juan — by świetniej wymową zapałał,
Cóż — gdy ocean, jak emetyk działał.

Byron.

* *Chory na znakomitość.*

Są u nas chorób różne zjawiska, trzeba to wyznać z głębokim żalem — i gdyby obcy poznał nas zblizka, to by Warszawę nazwał szpitalem.

I miałby słuszność, miałby spryt spory, tak ujemnego nie skąpiąc głosu, bo prawie każdy jest u nas chory na znakomitość i chęć rozgłosu.

Chociaż się komu to niepodoba, jednak nie robiąc żadnej przyczepki, śmiało twierdzimy, że ta choroba, cechuje zawsze brak piątej klepki.

Kto już z natury ma klepki cztery, może na tyfus znaleźć sposoby, może uniknąć dżumy, cholery, lecz nie ustrzeże się tej choroby.

Żądza rozgłosu we wszystkich gości, żaden warszawiak stracić jej nie rad i w niej posuwa się do śmieszności, tak jak to zrobił pewien literat.

Będąc z natury na wielkość chory, szukał jej długo w murach Warszawy, lecz wreszcie spostrzegł, że jego twory, żadnej mu u nas nie dają sławy.

Więc tak się wielce w swej chęci zaciął, tak pragnął głośnym talentom sprostać, że ponawiał krewnych, przyjaciół, żeby... pomogli mu wielkim zostać.

W pewnym zakładzie fotograficznym, gdzie się z nas każdy tłoczy jak świder, przy ruchu gości niezwykle licznym, powstał odrazu wielki harmider.

Co chwila, w biegu ktoś łamiąc stołki, wpadał i wołał zimą i latem:

— Czy jest tu portret pana Gryzmołki, który tak sławnym jest literatem?

— Niema — fotograf wciąż odpowiadał — lecz ledwie odparł na zapytanie, natychmiast znowu nowy gość wpadał wrzeszcząc:

— Gryzmołki czy tu dostanie?

— Nie.

— Może go pan znaleźć potrafi, wszakże to talent, wszakże to sława! — koniecznie jego chcę fotografii, bo dziś jej żąda cała Warszawa.

Tak napadany o każdej dobie, aż do zawarcia nieledwie powiek, struty fotograf pomyślał sobie, że ten Gryzmołka to wielki człowiek.

Więc chcąc przyjemność zrobić dla świata, za którą ładny grosik by schował, poleciał z prośbą do literata, by się u niego fotografował.

— Panie — wykrzyknął — ja na to liczę, że sprawisz rozkosz ludzkiej gromadzie, gdy dasz skopjować swoje oblicze w moim powszechnie znanym zakładzie. O nie odmawiaj tej małej łaski, przyjdź choć w negliżu, przyjdź choćby boso, bo wiem, że jasne sławy twej blaski i moją sławę podniosą.

Literat prosić dał się czas długi, twierdził, że nie jest mędrcem, ni grafem, lecz nie odmówił wreszcie usługi i poszedł wkrótce za fotografem.

Fotograf wiele poczynił narad, zanim Gryzmołkę miał odbić miastu w końcu nastawił wielki aparat i odbił wielkość w pozach szesnastu.

I myślał sobie:

— Za to oblicze, co w każdy miasta pójdzie zakątek, wyższą klijentom cenę policzę i niezawodnie zwiększę majątek.

Wystawił tedy Gryzmołkę w szafie, po swym zakładzie biegał jak zając i wołał głośno:

— O fotografie! jakżeś szczęśliwy tę wielkość mając!

Lecz że los lubi ciosać nam kołki, fotograf wkrótce za czub się chwytał, bo o oblicze pana Gryzmołki już od tej chwili pies się nie spytał.

Biedny fotograf! nie znał panicza, więc nie mógł wcale przypuścić śmiele, że ci co chcieli jego oblicza, to byli... krewni i przyjaciele.

Świąteczny 1878.

* Rzecz, stworzona przez Opatrzność na benefis pracowitych artystek dramatycznych. Cywilizacyja wynalazła skuteczne środki na wszystkie choroby z wyjątkiem — nieuleczalnych.

Chórzysta.

* Raz w nocy obudzono chórzystę, żeby wstał dla odśpiewania zamówionej serenady. Oburzony żądaniem, otworzył okno i wychylając się, zawołał:

— I za milijon śpiewać nie będę.

— Nie rób błazeństw, odpowiedzieli koledzy — każde gardło dostanie talara

— A! to co innego! idę zaraz — odparł na ten argument, ubierając się coprędzej.

Chreptowicz.

Sąsiad z Chreptowicza,
Z Radziwiłła krewny,
Mąż z Obuchowicza
Najczęściej niepewny.

Przysłowie litewskie.

Chromy.

* Kiedy pierwszy raz wnijdę w jakie zgroma-
[dzenie,
By poznać ludzi, zważam pierwsze ich spojrzenie:
Rozsądni najprzód spojrzą na mą nogę prawą,
Głupi najprzód na lewą, którą mam kulawą.

Mickiewicz. (p. str. 19).

* Lucca de Laucinal, którego „Hektora" wyróżnił Napoleon z pomiędzy wielu tragedyi, był kulawym; Roger, którego „Adwokat" uznany został za najlepszą komedyję, kulał także. Lord Byron i Walter-Scott, świeczniki poezyi angielskiej, byli chromymi. We Francyi polityczne partyje podzieliły się raz pomiędzy dwóch kulawych, liberalni i konstytucyjoniści trzymali za panem Constant, przeciwnicy ich teoryi za pokojowo usposobionym baronem Louis. Po rewolucyi lipcowej cała opozycyja stała za kulawym Lafayettem, a bardziej jeszcze kulawy Talleyrand reprezentował nowe rządy w Londynie. Staro-królewska partyja wybrała sobie za przewodnika, rycerskiego Chateaubrianda. I cóż się dzieje? zaledwie wszedł na tory polityczne, napady reumatyzmu czynią go chromym, jakby w celu zachowania między kierownikami partyi koniecznej równowagi.

Chryja.

To się nazywa być arystokratką!

Córka pewnego przemysłowca wychodziła za mąż, ponieważ jednak pan młody pochodził z włościańskiego rodu, rodzina przemysłowców zażądała, aby na obrzędzie ślubnym nie ważyli się znajdować rodzice pana młodego!

A kawaler?

Wnet odstąpił od zaślubin,
Nie rzekłszy ni słowa,
Gdy zobaczył, że tej szlachty
Herbem... „ośla głowa!“

Chudym goiłym.

* Chudym goiłym — straszne słowa!
Powstał o nie wielki krzyk,
I nie jedna tęga głowa,
Bada ich hebrajski szyk.
Lecz przestańcie mądre ludy
Głowy sobie darmo psuć
Wszakże chudym znaczy chudy
Jak to w samym dźwięku czuć.
Na cóż próżne te mozoły?
Jakiż wydać mogą plon?
Chudym — chudy; gojłym — goły,
A po polsku ja — ty — on.

Świąteczny.

Chwała.

* Próżna chwała za piecem stała, nic nie robiła, tylko się chwaliła.

Przysłowie.

Ciechocinek.

* Krajowe Baden, różniące się od innych badów tem, że między gośćmi nie posiada anglików. Dogodności za to są w nim wszelkie; choć ma to wspólnego z piekłem, że brukowany jest... dobremi chęciami. Mniemanie, jakoby pobyt w Ciechocinku był drogim, powstało pewno ztąd, iż kuracyjusze składają się z samych *drogich*. Małżonkowie posyłają tam swoje *drogie* połowice, zięciowie swoje *drogie* teściowe, a gmina izraelska swoich *drogich* współwyznawców!

Cielę.

* Pewnego razu cielę całą gardła mocą
Ryczało przez dzień cały niewiadomo po co;
Pastuch więc jął mu sypać na grzbiet batów [wiele,
Cielę, choć ból ten czuło — milczało. Ot, cielę.

Duduś. (p. str. 30).

Ciemię.

* Część ciała, którą pochlubić się może ten, kto w nią nie był bity.

Cień własny.

* — Żono — mówił mąż, budząc ze snu smacznego swą połowicę — widziałem tylko co widmo w postaci osła.

— Daj mi pokój — odparła ze złością piękna małżonka — nie masz potrzeby obawiać się swego własnego cienia.

Cierpienia wieszcza.

* Poetą był, poetą o bladej twarzy.
Dziewczyno! wiesz co to poetą być znaczy?...
Poetą być, jest to wieść żywot tułaczy.
Poeta jest postrachem dla gospodarzy.
Dziewczyno! wiesz co to poetą być znaczy?...
Poetą był, poetą o bladej twarzy.

Izdebkę miał, izdebkę małą pod strychem;
W niej skromny sprzęt, stoliczek, łóżko, gitarę.
Po całych dniach w niebo spoglądał szare.
Samotnie żył w ustroniu smętnem i cichem,
Po całych dniach stroił rozbitą gitarę
W izdebce swej, w izdebce małej pod strychem.

A piękny był z postacią wątłą lecz hardą.
Dumny jak wódz, z gitarą niby z handżarem...
Rudawy wąs szwarcował fiksatuarem,
Przeklinał świat, na ludzi patrzał z pogardą —
Dumny jak wódz, z gitarą niby z handżarem
Piękny był bard z postacią wątłą lecz hardą.

Raz w letni skwar, skrapiając kwiaty w ogródku,
Spotkała go dziewczyna młoda. nieśmiała;
Zbliżyła się i drżącym głosem pytała

O powód łez, o powód tajnego smutku.
Pytała go dziewczyna drżąca, nieśmiała,
W czerwcowy skwar, skrapiając kwiaty w ogród-
[ku.

I wyrzekł wieszcz: — Luba! jak wschodnie hu-
[ryski
Piękną masz twarz, a serce masz szczerozłote,
Więc wyznam ci przyczynę cierpień, zgryzotę,
Co dręczy mnie, tak, żem rozpaczy jest blizki,
Że tracę sen, apetyt, życia ochotę.
Że zbrzydł mi świat. — Ja cierpię wciąż... na
[odciski!

Em—Ka.

Cierpliwości próby.

...Pomiędzy szlachtą Maciej się uwija,
I gęsto wszystkich dyjabłami obdziela,
I ze wszystkimi wiśniaczek zapija.
A gdzie kto głośniej, ogniściej zagada,
Czyli to zwada, czy jaka narada,
Sam już i Budnik, jakby z nieba spada!
A gdy tak łaje i klnie i wykrzyka,
Stary Ignacy Szuciłło, pan woźny,
Litwin prawdziwy, ponury a groźny,
Ale serdeczny, szczery — kum Budnika,
Siedząc w milczeniu nad kufelkiem piwa,
Pyka luleczkę i wciąż mruga wąsem,
I na mazura spogląda z przekąsem,
I raz po razu głową tylko kiwa.
Spojrzał raz Maciej — urąga Szuciłło!
Spojrzał raz drugi — znów ta sama mina!
Spojrzał raz trzeci groźnie na litwina —
Litwin urąga!... To już go wzburzyło!
Obces na kuma i krzyknie zawzięcie.
„Co waść tak na mnie ciągle głową kręci,
I wąsem mruga i wyzwierza ślepie?
Siebie byś patrzał, toby było lepiej!"
A litwin, jakby nie widział Budnika,
Ani się ruszył; dalej sobie pyka,
I pijąc piwko, w stół palcami stuka.
A mazur kipi. „Co mi waść grasz mruka?
Gadajże przecie, gdy cię mazur woła!"
Szuciłło spojrzał z podełba surowo,
I rzekł poważnie: „Kręcę, kręcę głową,
Bo gdy waść ludzi czepiasz się jak smoła,
Bo gdy języka nie utrzymasz w pysku,
I nie proszony, ani dziękowany,
Wszędy nos wściubisz; to kumie kochany,
Serce mi w piersiach pęka od ucisku!
Bo wiesz, że kocham i poważam ciebie,
Więc smutno myśleć, że nie będziesz w niebie!"
„Jakto nie będę?", krzyknął mazur w gniewie,
„Cóż to, Bóg z waścią o mej duszy radzi?"
„Nie będziesz kumie, bo język ci wadzi,
Parząc ci gębę, jakoby żarzewie.
Bo chociaż prawyś, zacny i poczciwy,
Aleś gorący, szparki, niecierpliwy;
Więc cierpliwości uczyć się potrzeba,
Inaczej pewno nie trafisz do nieba!"
Osłupiał mazur, zapomniał języka,
Tak go to *dictum acerbum* stropiło!
I wstyd i żałość serce mu przenika,
I złość i rozpacz bierze! A Szuciłło
Rzucił żydowi złotówkę za piwo
I precz z gospody wyniósł się co żywo.
...Orzeźwiał mazur na wieczornym chłodzie,
A choć mu nieco spięły się kolana,
Odważnie ruszył ku swojej zagrodzie.
...I tak dumając, doszedł gdzie przy drodze
Stała śród krzewów święta Boża męka.
Skruszony mazur z modlitwą przyklęka,
Pobożnie czapkę rzuciwszy na ziemię,
I Bogu składa swej żałości brzemię
I na Szuciłłę skargi wypowiada...
Wtem nagle głucho zaszeleścią liście,
Jak gdyby wicher dmuchnął zamaszyście...
Zrywa się mazur, do kija przypada,
„Wszelki duch Pana Boga chwali!", woła,
I trwożnym wzrokiem spojrzawszy dokoła,
Widzi przed sobą sędziwego dziada.
Siwy jak gołąb, jak apostoł święty,
Długą, powiewną szatą był opięty,
Kostur miał w ręku, a pod pachą księgi,
Na głowie tylko włos srebrzysty, długi,
A nad nim księżyc pisał złote kręgi,
I od szat biegły jasne światła smugi.
Zdjęła mazura jakaś święta trwoga,
Poznał, że przed nim to zesłaniec Boga,

Czy patryjarcha, czy apostoł święty,
I padł na klęczki, czcią wielką przejęty.
A starzec prawi: „Bóg słyszał twe żale...“
„Słyszał?“ — zawoła Maciej ucieszony —
„Niechże na wieki będzie pochwalony
Po wszystkiej ziemi i w niebiesiech; ale
Mójże ty święty apostole miły,
Niechaj nie karze starego Szuciłły!
Dość mi, że będę sam w niebieskiej chwale!“
A starzec: „Będziesz, lecz by wejść do nieba,
Wprzód cierpliwości nauczyć się trzeba“.
„Jakżem cierpliwy, jak jagnię prawdziwe,
Tylko mnie czernią języki złośliwe“
Zawoła Maciej z żałością i płaczem.
A starzec znowu: „Obaczym, obaczym!
Damy ci próbę“. — „Choćby sto i dwieście,
Wszystkie wytrzymam!“—znów Maciej wykrzy-
„Na co tak wiele? jednej będzie dosyć: [ka.
Oto za tydzień w tem, zkąd wracasz mieście,
Staniesz na rynku, ale bez języka;
Czy będą grozić, czy łajać, czy prosić,
Milcz, jak zaklęty, bądź ślepym i głuchym,
W nic się nie wdawaj, ni mową, ni ruchem;
A gdy statecznie tak wytrwasz dzień cały,
Bóg cię od swojej nie odrzuci chwały“.
„O wytrwam! wytrwam! dla takiej zapłaty!“
Zawołał Mazur i wyciągnął rękę,
Aby starcowi temu na podziękę
Dotknąć ustami choćby kraju szaty;
Lecz starzec zniknął, jak senne złudzenie...
..Upłynął tydzień. Pan Maciej o świcie
Ruszył do miasta; naprzód na Mszę świętą,
Gdzie prosił Boga, aby przedsięwziętą
Dał mu wykonać próbę należycie;
Po mszy na rynek, i stanął wśród tłumu;
Lecz mu nie brakło w złym razie rozumu,
Bo się przytulił, gdzie przeciw kościoła
Święty Jan stoi z kamienia rzeźbiony;
Tam go pokusa dosięgnąć nie zdoła,
Święty mu swojej udzieli obrony.
Stoi więc Maciej, a w koło, jak fala,
Tłum niezliczony tłoczy się, przewala,
I wre i szumi, z daleka i z blizka,
I coraz bardziej Budnika naciska,
I wciąż go trąca, pod boki podpiera,
Jak to zazwyczaj bywa na jarmarku...
Nieraz go chętka zbierała już szczera
Tego, owego zajechać po karku;
Lecz się hamował, pomnąc obietnicę,
Oczy mu tylko płonęły jak świece,
Zgrzytały zęby i cierpły kułaki.
A czasem nadszedł i znajomy jaki,
Więc powitanie: „ha jak się masz kumie?
A co tam słychać? Żoneczka czy zdrowa
I lube dziatki?“ Maciej ani słowa,
Niby nie słyszy, niby nie rozumie;
Albo plecami k'niemu się obróci,
Albo co żywo poza słup się rzuci.
Dziwią się ludzie: „cóż to dziś z Budnikiem,
Że się nie wita i nie gada z nikim?
I pod figurą stoi jak przykuty?“
. . . .
A Maciek cierpi czyscowe katusze,
I tylko Bogu poleca swą duszę;
Lecz się hamuje, pomnąc obietnicę.
Tylko mu oczy błyszczą się jak świece,
Zgrzytają zęby i cierpną kułaki.
...Aż tu, Mospanie, z sąsiedniego szynku,
Wypada raptem w ulicę, jak z procy,
Stefan z Jędrzejem, wziąwszy się za czuby.
„Gwałt, rozbój!“ krzyczą obaj z całej mocy,
I pośród miasta bój srogi się toczy.
Jędrzej wysoki, Goljat prawdziwy,
Stefan maluczki, lecz zwinny i żywy,
Raz w raz przysiądzie i raptem podskoczy.
I chlust Jędrzeja w gębę, a tak składnie,
Aż miło patrzeć! A Jędrzej, ciemięga,
Machnie — i mimo, bo Stefan przypadnie
I ujdzie razu, i znów z dołu sięga
Z podskokiem ostro w gębę Jędrzejową.
A Jędrzej stoi, jakby połknął kija!
Machać, to macha, lecz wroga omija,
Tylko mu świszcze kułakiem nad głową!..
A po pod szynkiem szlachta kupą stoi
I żarty sobie z Jędrzeja wciąż stroi,
I aż się bierze ze śmiechu pod boki,
Że Jędrzej głupi, choć taki wysoki,
Za nic kusego Stefana nie zmoże!

Maciej spogląda: — Ej! miły mój Boże!
Gdyby tak na mnie! — myśli sobie w duszy —
Tobym, mospanie, porwawszy za uszy,
Przez kościół machnął tego pimperleja!
Lecz się odwraca, bo krew w nim się burzy,
Patrząc, jak Stefan okłada Jędrzeja.
Tak stał z godzinę twarzą do figury,
Spluwając tylko w gniewie; ale dłużej
Nie mógł wytrzymać: „A z góryż go, z góry“,
Krzyknie i raptem skoczy na Stefana,
I dla przykładu porwie go za bary...
Lecz nagle struchlał, zakrzepł Budnik stary!
Dziwna bo zaszła w jego oczach zmiana:
Cała gromada przepadła bez wieści,
A z rąk mu niemczyk wyrwał się z chichotem,
I czmychnął, goniąc kurzawę po mieście,
I strzechy z chałup zrywając przelotem.
Stał Maciej długo, bijąc się z myślami
A wreszcie splunął, machnął w gniewie ręką
I do dom ruszył. Aż pod Bożą męką
Znowu dziad stoi pomiędzy drzewami
I sam zaczyna: „Cóż panie Macieju?
Snać chcesz koniecznie gorzeć z dyjabły w [smole“.
A Maciej z płaczem: „ach mój dobrodzieju!
Mój miłościwy, święty apostole!
Ratuj mą duszę od wiecznej zaguby!
Dozwól mi, proszę, jeszcze jednej próby?
A starzec zasię: „Próby ci dozwolę,
Ale już pono trudna z waścią rada!
Jak proch leszczyński od iskierki lada
Wybuchasz gniewem za lada pozorem“.
„Cóżbo mam począć z przeklętym ozorem,
Co mi się gwałtem het wydziera z pyska?
A tu, jak na toż drażnią mię ludziska.
W zmowie z dyjabłami!... lecz niechaj przepa- [dnę,
Jeśli tą razą nie zmogę pokusy!
Nic już nie wskóra ze mną niemczyk kusy,
Nic nie wskórają ludziska szkaradne;
Wytrzymam próbę i na złość Szucile
Pójdę do Nieba!“ A starzec mu na to:
„Niebo cierpliwych i cichych zapłatą,
Pamiętaj o tem, a próba gotowa:
Znowu za tydzień, jak dzisiaj, tak samo,
Staniesz w tem samem miasteczku za bramą;
Ale pamiętaj, żebyś ani słowa
Z ust nie wypuścił! bądź ślepym i głuchym,
W nic się nie wdawaj, ni mową, ni ruchem.
A gdy statecznie tak wytrwasz dzień cały,
Jeszcze cię przyjmie Bóg do swojej chwały“.
„O! wytrwam, wytrwam!“ I znów, czcią prze- [jęty,
Budnik starcowi chciał uściskać stopy,
Lecz znów, jak we śnie, nagle zniknął święty,
Blask tylko wielki oblał niebios stropy.
Za tydzień Maciej stał przy miejskiej bramie;
A z jakowemi walczył pokusami,
Jak zeń szydzili sąsiedzi, kumowie,
Tego już żaden język nie wypowie!
On, starym trybem, zaciskał kułaki,
Błyskał oczyma groźnie, jak wilk jaki,
Zgrzytał zębami i zagryzał wargi;
Lecz milczał, w żadne nie wdał się zatargi.
Tak do wieczora. O samym zachodzie,
Gdy już miał ruszyć ku swojej zagrodzie,
Nagle do miasta rzucił się tłum wielki,
Gwarnie się tłocząc koło długiej belki,
Którą własnemi dźwigając rękami
W poprzek ulicy, zawadził końcami
O słupy bramy i stanął jak głupi.
„Hej! razem, razem! — krzyczy cała zgraja,
I znowu dźwiga i siły podwaja.
Cofa się, wraca, cofa się i wraca,
I w bramę belką, jak taranem, wali;
Belka nie włazi, nadaremna praca!
A Mazur na to spogląda z oddali,
Zgrzyta zębami, zaciska kułaki,
Błyska oczyma groźnie jak wilk jaki,
Bo złość go bierze, że tylu drągali
Już od godziny trudzi się i kłóci,
A żaden belki końcem nie obróci!
Po długich sporach stanęła narada,
Że nie podobna wnieść belki do miasta.
Że albo bramę rozwalić wypada,
Lub przeciąć belkę na poły i basta.
Że zasię belka ciosana do miary.
Walić więc bramę! i hejże do młota!
Mogłże wytrzymać dłużej Budnik stary?
„A głupia! głupia! przeklęta hołota!“

Krzyknie z ferworem i dalejże młócić
Kijem po grzbietach, wpadłszy pośród tłumu,
„Wieleż to na to potrzeba rozumu,
Ażeby belkę końcem w bramę zwrócić?“
I wali, oka nie patrząc, ni boka,
I klnie i łaje jak mazur prawdziwy.
Wtem... w Imię Ojca i Syna!... o dziwy!
Wszystko przepadło w jednem mgnieniu oka,
A przed nim znowu ów niemczyk, co wiecie:
Wywrócił kozła, sypnął w oczy śmiecie,
Podskoczył w górę z szyderczym chichotem,
I czmychnął, strzechy zrywając przelotem.
Długo stał Maciej, bijąc się z myślami,
Nareszcie plunął, machnął gniewnie ręką
I do dom ruszył. Lecz pod Bożą Męką
Jakoś mu raptem zaszły oczy łzami,
I koło serca srodze rozebrało.
Padł więc na klęczki i żałość swą całą
W rzewnej modlitwie posyłał w niebiosy.
A gdy się modli, dziad ów siwowłosy
Znów przed nim staje i znów sam zaczyna:
„A co Macieju? co też z twojej próby?“
A Mazur z płaczem: „moja, moja wina!
Ależ bo dojadł mi ten naród gruby!
Głupie bydlaki!... och, mój apostole!
Nie wiesz, jak z ludźmi o cierpliwość trudno,
Jeszcze, gdy wejdą z dyjabłami w sojusze!...
Poszlij mnie w jaką pustynię bezludną,
Każ mi wiek cały przeżyć w wilczym dole,
Wszystko uczynię, aby zbawić duszę!
Jeść będę tylko grzyby i korzonki,
Nawet się dziatwy wyrzeknę i żonki,
I zniosę, choćby najcięższe katusze.
Ale śród ludzi i jeszcze w natłoku,
Człek musi dyjabła spotkać w każdym kroku!“
A starzec: „dobrze! Więc jutro dzień cały
Stać będziesz w lesie, przy owym potoku,
Co się z pod „wilczej“ wydobywa skały;
Ale się pilnuj, bo i w głuchym borze
Dyjabeł cię kusić i spokusić może,
Kiedy już w sercu masz złego zarody!“
To rzekł i zniknął w jasności jak wprzódy.
Nazajutrz Mazur stał w lesie u skały,
Jak dziad mu kazał przy szumiącej wodzie.
Sam, samiuteńki przebył dzionek cały,
Bez wszelkich pokus. Alić o zachodzie
Jakiś człek z beczką przyjechał do rzeki.
Ujrzawszy Maćka, czapkę z głowy zdejmie,
I jak przystało, pozdrowi uprzejmie;
A mazur na to, jakoby zwierz dziki,
Pojrzy z pode łba groźnie a surowo,
I ani słowa. Więc i woziwoda,
Myśląc, że z jakimś spotkał się niemową,
I że doń gadać, gęby tylko szkoda,
Zostawił Maćka chmurnego w pokoju,
I wiadrem wodę jął czerpać ze zdroju,
I lać do beczki. Beczka... ot jak beczka,
Wiader dwadzieścia; a on jak zaklęty,
Nosi i nosi w srogim pocie czoła,
Leje i leje, a nalać nie zdoła!
Już to Maćkowi dojmuje troszeczka...
Spójrzy, aliści z beczki szpunt wyjęty,
I co ów z góry przez lejkę naleje,
To wnet się dołem na ziemię wytoczy!...
Budnik ze złości omal nie szaleje,
Lecz się powściąga i zakrywa oczy,
I Pana Boga o cierpliwość prosi,
Aby wytrzymać do zachodu słońca!
A woziwoda jak nosi, tak nosi,
Wiadro za wiadrem, i leje bez końca,
Bo co naleje, wnet wybiega marnie!
Więc sroga rozpacz biedaka ogarnie,
Więc rzuci wiadro i ręce załamie,
I pocznie płakać serdecznemi łzami!...
To już do reszty wzburzyło budnika
I niecierpliwość wzięła nad nim górę;
Tracąc więc z myśli wczorajszą ugodę,
Skoczył i zatknął palcem w beczce dziurę,
A drugą ręką za kark woziwodę!...
A woziwoda zmienił się w niemczyka
I zachichotał! Ale już nie znika,
Bo raptem na kark Mazurowi wsiada,
I już za gardło dławi go niecnota!
Mazur się złości, Mazur się szamota,
Ale, mospanie, z dyjabłem trudna rada!
A tu się ani przeżegnać nie zdoła,
Ni w pomoc wezwać Najświętszą Maryję;
Bo mu prawicę w beczce trzyma smoła,

A dyjabeł ściska pazurami szyję!
W duchu więc tylko, w głębokiej pokorze,
Z wiarą w najwyższe miłosierdzie Boże,
Gorące modły powtarza myślami:
„Stwórco Wszechmocny! zlituj się nad nami!“
A dyjablik coraz słabiej, słabiej gniecie...
Aż kiedy Maciej wspomniał sobie ony
Hymn „Straszliwego Majestatu Panie“,
Szeroko sławny po szerokim świecie,
Ztąd, że Twardowski, od czartów niesiony,
Gdy go zanucił, wnet pierzchli szatani,
On zasie zawisł w powietrznej otchłani,
I tam sądnego dnia się doczekiwa,
Więc kiedy Maciej pieśń oną zaśpiewa
W głębi swej duszy, dyjabeł ryknął wściekle,
I gdzieś aż na dnie obejrzał się w piekle...

„*Kłosy zebrane z rodzinnej niwy*“

Pietkiewicz Antoni (*Adam Plug*) — ur. w Mińskiej gub. Od r. 1875 jest redaktorem *Kłosów*. W literaturze dał się poznać przedewszystkiem jako niepospolitego talentu powieściopisarz. „*Duch i krew*“, powieść w trzech tomach (1859) rozrywaną i czytaną była w swoim czasie. Wielkim także rozgłosem cieszyła się jego powieść p. t. „*Oficyjalista*“; sporo ładnych nowelek Pługa złożyło się na 4-tomowy zbiór p. t. „*Zagon rodzinny*“. Wydał też kilka utworów wierszem ożywionych, prawdziwym dowcipem, wiele również dowcipnych jako anonimy, krąży wśród ogółu. Pisał oprócz tego studyja literackie, tłómaczył arcydzieła z obcej literatury, a żywot jego jest jednem pasmem uczciwie i zacnie prowadzonej pracy dla społeczeństwa.

Ciocia.

* *Żeby ciocia miała wąsy... toby był wujaszek.*

Chłopiec mały, czyniąc pląsy,
Krzyknął wśród igraszek:
„Żeby ciocia miała wąsy,
Toby był wujaszek“
Nie czuł tego berbeć zbytny,
Tłukąc w ziemię piętą,
Że się dobrze znalazł sprytny
I rzekł prawdę świętą.
Bo przyznajcie państwo sami,
Bez złości i dąsów,
Że milijony między nami
Jest ciotek bez wąsów.
Żeby radca Dyjonizy
Mocno szpakowaty,
Nie miał gdzieś tam swej Elizy,
Której znosi kwiaty;
Żeby jako człek stateczny,
W wieczornej godzinie,
Siedział jak małżonek grzeczny,
Przy swojej babinie:
Toby o nim rzekli zgodnie
Męże i kobiety:
— Oto człowiek żyje godnie
I pan przyzwoity,
Ale chłopiec, czyniąc pląsy,
Krzyknął wśród igraszek
„Żeby ciocia miała wąsy,
Toby był wujaszek.“
Żeby pani Aurora,
Obłudna niewiasta,
Nie łaziła tak jak zmora
Po ulicach miasta,
I różańca męcząc sznurek
Wśród wielu kościołów,
Nie puszczała się jak nurek
Na ploteczek połów;
Żeby nie łapała tyle
Gapiów w swoje sieci,
A oddała pracy chwile
Na pożytek dzieci:
Tożby zawołano zgodnie
W wszystkich kątach miasta:
— Oto pani żyje godnie
To dzielna niewiasta!
Ale chłopiec, czyniąc pląsy,
Krzyknął wśród igraszek:
„Żeby ciocia miała wąsy
Toby był wujaszek!“
Żeby panna Dulcynela,
Osóbka przystojna.
Nie szukała wielbiciela
W kokieterję zbrojna,
Gdyby zamiast tłuc pianino
I chłopców oczkować,

Uczyła się, choćby ino
Jak szyć i gotować,
Słusznie by też powiedziano:
— Ta panna jak pączek,
Będzie miała śliczne wiano
W pracy swoich rączek!
Lecz znów chłopiec, czyniąc pląsy,
Krzyknął wśród igraszek:
„Żeby ciocia miała wąsy
Toby był wujaszek!“
Więc, choć dyjablo człek się poci,
Jak widzicie sami,
Trudno jednak znaleźć cioci
Z tęgiemi wąsami.
Ztąd też chłopiec, czyniąc pląsy,
Woła wśród igraszek:
„Żeby ciocia miała wąsy,
Toby był wujaszek!“

Świąteczny.

Cnoty kobiece.

* *Lanca.* Żem głupiec, to prawda, a jednak mi nie brak rozumu, by poznać, że mój pan trochę hultaj. Jeźli hultaj, wszystko to jedno, czy trochę, czy cały. Jeszcze się taki człowiek nie urodził, coby wiedział, że i ja się kocham, a przecież kocham się na zabój. Czwórka koni nie wyciągnęłaby tego sekretu ze mnie, ani też tego, kto jest tym ktosiem, w kim się kocham. A jednak tym ktosiem jest kobieta. Lecz jaka kobieta, tego sam nie wiem. A jednak to dziewczyna mleczarka. A jednak nie dziewczyna, gdyż już kumoszki na chrzcinach miewała. Jednak dziewczyna, bo jest dziewką u swego pana i służy mu za najem. Więcej ona posiada przymiotów niż jaka łasica, co już wiele na prostonożną chrześcijankę. (Wyjmuje papier). Oto kota — lok jej zdolności. „Imprimis: może dźwigać i przynieść.“ Wszak i koń więcej nie zdoła? O, nie, koń tylko dźwiga, ale przynieść niczego nie potrafi, więc ona lepsza od kobyły. „Item: umie doić krowy.“ Zważ dobrze, co to za wyborna cnota w dziewce z czystemi rękoma.

(Wchodzi Śpiech).

Śpiech. Jak się masz, sinior Lanco, jakie wieści u waszmości!

Lanca. Wasz nie na moście, ale już na morzu.

Śpiech. Jak widzę, nie pozbyłeś się jeszcze dawnej przywary, zawsze słowa przekręcasz. Pytam, jakie wieści w twoim papierze?

Lanca. Najczarniejsze ze wszystkich, jakieś kiedykolwiek słyszał.

Śpiech. Jakież czarne, człowieku?

Lanca. Czarne jak atrament.

Śpiech. Dajże mi je przeczytać.

Lanca. Idź sobie, ośla głowo, wszak ty czytać nie umiesz.

Śpiech. Kłamiesz, bo umiem.

Lanca. Poczekaj, zaraz cię wypróbuję. Powiedz mi: kto cię począł?

Śpiech. Kto mię począł? Jużci syn mego dziadka.

Lanca. Nieprawda, głupi nygusie, bo córka twej babki. A więc się okazało, że czytać nie umiesz.

Śpiech. To mię, dudku, wypróbuj na twym papierze.

Lanca. Masz, i niech ci Święty Mikołaj szczęści.

Śpiech, „Imprimis: Umie doić krowy.“

Lanca. Bezwątpienia, tęgo doić umie.

Śpiech. „Item: Warzy dobre piwo.“

Lanca. Ztąd przysłowie: jakiegoś sobie piwa nawarzył, takie wypij.

Śpiech. „Item: sporo szyje.“

Lanca. To jakbyś powiedział: sporą ma szyję.

Śpiech. „Item: Umie podrabiać pięty w pończochach.“

Lanca. Przewyborna rzecz dla wiercipięty. Nie będzie potrzebował nadrabiać miną koło niej, kiedy ona zdoła mu pięty nadrabiać.

Śpiech. „Item: Umie prać i chędożyć.“

Lanca. Szczególna cnota, gdyż wtedy nie będzie potrzeba ani prać jej ani chędożyć.

Śpiech. „Umie prząść na kołowrocie.“

Lanca. Byle tylko z kołowrotu nie umarła, sama sobie wyprzędzie na życie.

Śpiech. „Item: Posiada wiele cnót bezimiennych.“

Lanca. Jeżli dzieci bezimiennych, to rzecz inna, a te, nie znając swoich ojców, są bezimiennemi niecnotami.

Śpiech. Więc teraz idą jej niecnoty.

Lanca. Jej cnotom na pięty następując.

Śpiech. „Item: Nie trzeba jej całować, póki na czczo, a to z przyczyny jej oddechu.“

Lanca. Mniejsza o to, tę wadę można naprawić śniadaniem, czytaj dalej.

Śpiech. „Item: Słodką ma buzię.“

Lanca. To nagradza za kwaśny oddech.

Śpiech. „Item: Śpiąc gada przez sen.“

Lanca. I to ujdzie, byle tylko nie spała gadając.

Śpiech. „Item: Powolną jest w mowie.‘

Lanca. Jakiż to łotr, co śmiał to położyć między przywary? Powolność w mowie jest jedyną cnotą kobiety. Proszę cię, wymaż to ztąd, a umieść powyżej jako główną jej cnotę.

Śpiech. „Item: Próżną jest.“

Lanca. Taże wymaż, wszakże to spadek po Ewie, i odjętym być jej nie może.

Śpiech. „Item: Nie ma zębów.“

Lanca. Tem lepiej, bo ja kromkę lubię.

Śpiech. „Item: Klnie jak jędza.“

Lanca. Wtedy to najlepsze, że nie ma zębów, by kąsać.

Śpiech. „Często trunek przechwala.“

Lanca. Jeżeli trunek dobry, powinna go chwalić. Jeżeli ona nie będzie chwalić, to ja będę, bo dobre rzeczy chwalić należy.

Śpiech. „Item: Zbyt jest chojną.“

Lanca. W mowie nie, gdyż tam napisano, że w niej za powolna. Workiem nie zdoła bo ja go dobrze chować będę. A w innym jeszcze względzie, mogłoby być, ale temu nie poradzę. Czytaj dalej.

Śpiech. „Item: ma więcej włosów niż rozumu, więcej wad niż włosów, a więcej pieniędzy niż wad.“

Lanca. Zatrzymaj się tu. Muszę ją mieć. Dwa czy trzy razy była ona moją i nie moją w tym ostatnim paragrafie. Powtórz go raz jeszcze.

Śpiech. „Item: Ma więcej włosów niż rozumu.“

Lanca. Więcej włosów niż rozumu. Być to może. Zaraz tego dowiodę. Solniczka obejmuje sól, a więc jest większą od soli. Włosy, które rozum pokrywają, znaczą więcej niż rozum, gdyż w większem kryje się mniejsze. Cóż dalej?

Śpiech. ‚I więcej wad niż włosów.“

Lanca. To rzecz przerażająca. O, gdyby tego tu nie było?

Śpiech. „I więcej pieniędzy niż wad.“

Lanca. Dość już, jedno to słówko wszystkie wady czyni miłemi. Więc ją sobie wezmę, a jeśli z tego wyniknie małżeństwo, gdyż nic na świecie nie jest niepodobnem...

Śpiech. Cóż wtedy?

Lanca. Wtedy ci powiem, że twój pan czeka na ciebie u północnej bramy.

Śpiech. Na mnie?

Lanca. Na głupca, jakim jesteś. Jeżeli kiedy czekał na kogo innego, to niezawodnie na mądrzejszego od ciebie człowieka.

Śpiech. Mamże iść do niego?

Lanca. Nie iść, ale biegnąć, boś tak długo tu mitrężył, że tylko biegnąc co tchu, zdołasz się sprawić.

Śpiech. Czemużeś mi tego prędzej nie powiedział? Niech cię tam z twemi miłosnemi listami!

(Odchodzi).

Lanca. Dostanie teraz basy za to, że mój list czytał. Gamoń bez wychowania, co w cudze sekreta wgląda! Pójdę za nim, aby się nacieszyć cięgami, które ten chłopiec otrzyma.

Szekspir. (p. str. 92).

* *Do cnoty.*

Wszyscy cię ludzie chwalą i niecnoty same,
A brać cię nie chcą jakby bez posagu damę.

* *Cnota i występek.*

Cesarzowi Napoleonowi III, przekładała pewna dama, że powinien zabronić w swem państwie palenia tytoniu, które uważa za brzydki nałóg, za występek prawie.

„Niech i tak będzie“ powiedział Napoleon, który przed chwilą skończył swoje cygaro, „że palenie tytoniu jest występkiem, ale występek ten przynosi Francyi sto miljonów franków rocznie. Zobowiązuję się wszakże wydać żądane przez panią rozporządzenie, skoro znajdziesz pani cnotę, któraby takąż korzyść państwu przyniosła.

Conti.

* Książe *Conti* był szkaradnie brzydki i dość głupi. Pewnego razu, opuszczając dom na czas dłuższy, upominał swoją żonę:

— Pamiętaj, ażebyś podczas mej nieobecności nie stała się mi niewierną.

— Bądź spokojnym — odpowiedziała księżna — chęć ta opanowuję mię tylko wtedy, gdy patrzę na ciebie.

Cravatte.

* *Sans Cravatte.*

Pomnę, na balu dłoń jej ścisnąłem,
Było to wśród kontredansu —
Ona się zlękła, zarumieniła...
To był początek romansu.

Bo od tej chwili serca już nasze
Sojusz zawarły wiekowy,
Ja wówczas znacząc żar moich uczuć;
Krawat wiązałem pąsowy...

A ona widząc, że krawat płonie,
Żem smutny i zamyślony —
Niby mi balsam wlała do duszy,
Dając, ach! krawat zielony!

Miesiąc upłynął i dwa miesiące,
Ja byłem zdrowy i rzeźki!
A na znak wiary w stałość mej pani,
Krawat nosiłem niebieski.

W tym mi kolorze do twarzy było,
Lecz miłość umie być katem...
Poczuwszy zazdrość, wszedłem raz do niej
Z żółtym na szyi krawatem.

Spojrzała na mnie, potem na krawat,
A zgadłszy, co w sercu gości —
Z tysiącem zaklęć dała mi znowu
Szal biały, znak niewinności!

Cóż z tego?... rękę dała innemu —
Kobieta, klnę się, puch marny —
Rok po niej w sercum nosił żałobę,
Kołnierz pokrywał kir czarny...

Jednak po roku czas mnie uleczył,
I bólu znikły ostatki —
Lecz gdym już wszystkie przebrał kolory,
Nie noszę więcej krawatki!

Tadeusz Czapelski.

Credo.

O rymy dźwięczne świeże,
Nigdy się nie starałem —
I pod tym względem szczerze
Być mogę *liberałem.*

Gdy dziewczę zjednać sobie
Przez sposób trzeba nowy,
Postępy szybkie robię,
Jak człowiek *postępowy.*

A z żydkiem co mnie truje
Wrzeszcząc o dług fatalnie,
Ja nieraz postępuję
Zupełnie *radykalnie.*

Gdy wieków pleśń pokryje
Butelkę wina czystą,
Przeszłości poklask biję
Razem z *konserwatystą.*

Sączymy łyk po łyku
Ciecz ową życiodawczą;
Tradycyję przy stoliku
Szanując *zachowawczą.*

Aż myśli nasze społem
Pijany zaczną taniec —
Leżę wkrótce pod stołem,
Jak jaki *zacofaniec.*

Wnet język mi się plącze,
Jak liść śród sieci tkanin,
A myśli mam tak rącze,
Jak... jak *ultramontanin.*

Czekan.

Credit i Debet (prelekcyja).

* Jeszcze nie istniał wtedy świat
(Jak dzieje uczą nas),
Pokłócił się z braciszkiem brat
Przy preferansie raz!
Brum! brum!

Nie było wonczas rodu Judy,
Ni dzieł egipskich rąk,
Brat Debet był już mocno chudy,
Brat Credit kwitł jak pąk!
Brum! brum!

Brat Credit złota skrzynię pełną
Po ojcu w spadku wziął —
Brat Debet, który kupczył wełną,
Pożyczać złoto jął.
Brum! brum!

Brat Debet bywał w pałąk zgięty,
A Credit sztywny jak drut,
Debet opłacał wciąż procenty,
Credit je w worku gniótł!
Brum! brum!

Aż kłótnia weszła między braci
(Przy preferansie raz),
Nieregularnie Debet płaci
Aż po dzisiejszy czas.
Brum! brum!

(*Brawo! fora! bis!*).

Pozwólcie, że się napiję nieco wody z cukrem. Gorzko się robi na sercu, mówiąc o braterskiej niezgodzie.

Otóż uważacie, ta saga, którą wyśpiewałem przed chwilą przy akompaniamencie gitary hiszpańskiej, zawiera w sobie daleko więcej sensu niż melodyi, chociaż, powiem to na cześć kompozytora, że i sama melodyja nie jest bez sensu.

Ma ona dźwięk prawie metaliczny. Jeżeli estetycy powiedzą, że niesrebrny, to przynajmniej miedziany.

Świat jak świat, podzielił się na dwie partyje, jedni ludzie stanęli po stronie Creditu, drudzy oświadczyli się za Debetem, a w ciągłych niemal nieustannych walkach, partyja pierwsza, z powodów klimatycznych brała zawsze górę, gdyż posiadała futra, kiedy tymczasem druga według Mussetowskiego orzeczenia, była goła jak mur kościelny... jak mowa akademicka.

Ztąd też razy zadawane kredytowi, spotykały opór w skórze zwierząt ssących, gdy cięcia zadane przez kredyt, mniej lub więcej przyzwoicie trafiały zawsze w samo centrum.

Walka wrzała i wre. Bracia przeznaczeni na to, aby się wzajemnie wspierali i wzajemnie wzbogacali, stali się śmiertelnymi wrogami, a cały świat zamienił się na areną wielkiego polowania par force, na którem dłużnicy zmykają jak jelenie, wierzyciele zaś gonią jak ogary.

Dalej jeszcze cywilizacyja wytworzyła specyjalnych *ad hoc* dojeżdżaczy, a oba stronnictwa stały się nieprzejednane.

W tych harcach przejechano i roztratowano pewną uczciwą starą babę, zwaną Dobrą Wiarą.

W tydzień później, miejscowy urzędnik gminny wraz z sołtysem, znalazł zwłoki owej Dobrej Wiary uległe już niestety rozkładowi, rozciągnięte na polu.

Dygnitarz zdał raport, że znalazł ciało nieżywe, lecz ponieważ nie miał prawa znać się na nieboszczykach, przeto zawezwał kreizfizyka. (Było to w Anglii temu lat 3274). Kreizfizyk zgodził się z opiniją wójta.

Tak więc Dobra Wiara, już więcej podobno nie pokaże się między nami.

A szkoda! wielka szkoda babiny!

Otóż szanowni słuchacze, kiedy Debet z Creditem pokłócili się o swoje prawa, kiedy świat cały zamienił się w arenę polowania, dłużnicy w jelenie, a wierzyciele w dojeżdżaczy, kiedy zacna jejmość „Dobra Wiara“ uległa śmierci skutkiem rozjechania wierzchem, cóż pozostaje?

Dążyć ku zgodzie! Niech kredytorowie, ci patrycyjusze kapitału, podadzą rękę swoim debitorom, tym wiecznym malkontentom, niech utworzą jakiś poczciwy *modus vivendi*...

Dobrej Wiary wskrzesić niepodobna (zwłaszcza, że napisano już akt zejścia tej poczciwej niewiasty), ale pozostała po niej wnuczka, śliczne dziecko, z włosami złotemi jak pszenica, z oczami jasnemi jak niebo.

Wychowajcie ją, a skorzystacie na tem tyle, że zamiast starej baby, będziecie mieli dziewicę piękną, a silną, która zrodzi z siebie synów takich, co potrafią pogodzić częś mienia z uczciwem nabyciem majątku.

W każdym razie, radzę Wam uczciwie, każdemu potworowi niezgody powiedzieć słowa Danta:

„Taci, maledetto luppo,
Consuma dentro te con la tua rabia“.

Cud.

* Gdy kto coś zbroi wśród partykularza,
Który od świata odgradzają deski,
Zaraz z westchnieniem człek wszelki powtarza:
Ach gdyby tu był Kostrzewski!

Gdy pustogłowy lewek parafijalny,
W Chrystusowego wierzchowca się zmienia,
Wnet się podnosi lament generalny:
Czemu tu niema Kostrzenia!

Gdzie tylko rozum ucicha jak zając,
Idzie w moc żydów lub tonie w kieliszku,
Tam wszyscy krzyczą, piersi nadrywając
Ratuj nas panie Franciszku.

Gdy więc jak w puszczy, bez ryb i bez chleba,
Lud nasz się obejść nie może bez niego,
Wołajmy dzisiaj w jeden głos: O nieba!
Rozmnóżcie nam Kostrzewskiego!

Gomulicki Wiktor, poeta, nowelista, estetyk. ur. w 1851, od dawien dawna cieszy się zasłużonem uznaniem i popularnością. Poezyje jego, odznaczające się głębszym nastrojem i nieskończenie piękną formą, kilkakrotnie wydanemi zostały. Jako współpracownik wszystkich większych czasopism polskich, pomieszczał w nich zgrabne, odznaczające się zawsze oryginalnym pomysłem nowele, które również ukazały się w osobnych zbiorkach i skwapliwie rozchwytywane są i były. Krytyka stawia go prawie na równi z Asnykiem. Obecnie jest wydawcą i redaktorem *Tygodnika powszechnego*.

Cur.

* Pierwsza mowa szatana do rodu ludzkiego
Zaczęła się najskromniej od słowa: „dlaczego?“
Adam Mickiewicz. (p. str. 19).

Cweinos.

* Osoba należąca już obecnie do historyi... naturalnej, odznaczała się niezwykłą punktualnością zjawiania się u dziennikarzy, w oznaczonych terminach spłaty wekslów. Gdyby osobistość ta żyła obecnie, niejednemu z naszej prasy powiedziałaby, jak Cezar: „Et tu, Brute, contra me?“

Ćwierciakiewiczowa.

* Autorka romansu pod tytułem „365 objadów“. Bohater „Geolondeck“ występuje na każdej stronnicy i w końcu umiera wskutek zbytniej miłości.

Ćwieczek.

* Żył sobie niegdyś król Cwieczek,
Z dziejów niewielce go znano:
Wstawał późno, kładł się rano,
Unikał wojen i sprzeczek,
Zamiast korony na czoło
Stroił się prostą szlafmycą;
A naród krzyczał wesoło.
„Takiego krola w około,
Nie znajdziesz nawet ze świecą!

Nie znajdziesz, próżne gadanie!
„Taki wyborny człowieczek!
Wiwat mospanie,
Wiwat król Ćwieczek!"

Jadł cztery razy na dobie;
A wesół i dobrej daty,
Siadał na osiełka sobie
Objeżdżać swoje powiaty.
Przy jego królewskiej mości
Pies zamiast rycerskiej straży;
A naród pełny radości,
Wiedzie go z włości do włości,
Wołają młodzi i starzy:
„Zdaje się choć w pańskim stanie,
Zuch, wesół, dobry człowieczek!
Wiwat mospanie,
Wiwat król Ćwieczek!"

On się na puhar nie skrzywi,
Od kufla się nie zakrztusi:
Bo gdy poddani szczęśliwi
I królże przecie żyć musi!
U stołu poddanych zjada
Garnek kaszy za podatek;
Więc go spotyka gromada,
I przeprowadzać go rada
Krzyczy u każdych rogatek:
To król! to nasze kochanie!
To co się zowie człowieczek!"
Wiwat mospanie,
Wiwat król Ćwieczek!"

A dziewczętom tak się gładko
Przypodoba i zaleci,
Że królował nad gromadką
Jako ojciec pośród dzieci.
Wojny nie miał i w zamiarze;
Tylko gdy się podweseli,
Przy rozwiniętym sztandarze,
Cztery razy na rok każe
Strzelać tak sobie do... celi...
I daje sute śniadanie...
„Ot to honestus człowieczek!
Wiwat mospanie,
Wiwat król Ćwieczek!"

Chęć zaborów go nie mami,
Po bratersku żył z sąsiady;
Pohulanki i biesiady
Zawarował statutami.
Król i lud żyli bez kłótnie;
Tylko na jego mogile,
Kraj, wesoły przez lat tyle,
Po raz pierwszy płakał smutnie:
„Oj, wieczne odpoczywanie!
Dobry był, dobry człowieczek!
Nie masz mospanie,
Jak był, król Ćwieczek!"

Jego obraz i dziś jeszcze
Ze czcią chowa się w narodzie:
Jest to na starej gospodzie
Szyld wypłowiały przez deszcze.
Tam gdy się zbierze gromada,
Niejeden do łez się wzruszy:
„To był król Ćwieczek nielada!
Bawi się, pije, zajada...
Wieczny odpoczynek duszy!
Bo co to? próżne gadanie!
Rzadkiej był cnoty człowieczek!
Nie masz mospanie,
Jak był król Ćwieczek!"

Beranger, (tłómacz. *Syrokomla*). (p. str. 128).

Cygan.

* Specyjalista do otwierania stajen bez klucza, tudzież do sprzedawania koni bez dowodów legitymacyjnych.

Cymes.

* Cymes (w języku żydowskim), oznacza gospodarza, który tylko po pas dopiero siedzi w kieszeni braci wyznania mojżeszowego.

Cyrulik.

* Napoleon I, oblegając Sewillę, rzekł do gubernatora tego miasta:

— Jeżeli się Sewilla nie podda w ciągu trzech dni, każę wszystko zgolić do szczętu.

— Nie uczynisz tego Najjaśniejszy Panie! — odparł hiszpański jenerał.

— A to dlaczego? — spytał cesarz ze zdziwieniem.

— Bo do tytułów cesarza francuzów, króla włochów, protektora państw nadreńskich i t. p. nie zechciałbyś dodać tytułu: „Cyrulika Sewilskiego“.

* Pewien bogaty anglik, wylądowawszy w Calais, zażądał cyrulika, a gdy się ten stawił z przyborami do golenia, rzekł do niego łamaną francuzczyzną:

— Mój drogi panie, broda jest moją słabą stroną, jeśli mię nie skaleczysz, przeznaczam dla ciebie gwineę, ale jeżeli skaleczysz, widzisz oto te dwa pistolety, jednym z nich bezwarunkowo roztrzaskam ci głowę.

— Ależ proszę się nie obawiać niczego — odparł felczer spokojnie i z niesłychaną zręcznością ogolił anglika.

— Jakto — zawołał uszczęśliwiony oryginał — ręka panu nie drgnęła nawet, pod wrażeniem tak strasznej groźby?

— Nie milordzie?

— Nie pojmuję dlaczego?

— Z bardzo prostej przyczyny, bo w razie, gdybym był drasnął pana, powziąłem postanowienie poderżnięcia ci gardła, nie czekając aż weźmiesz pistolet do ręki.

(*Paris, Versailles, la province au XVIII siècle*).

* *Cyrulik i poeta.*

Roku 1848 Wiktor Hugo zajmował róg domu na Place-Royale, sąsiadując ze mną.

Spotykaliśmy się też nieraz u fryzyjera, pana Brassir przy ulicy Culture-Sainte-Catherine‘ gdzie obaj uczęszczaliśmy dość często.

Pewnego razu spytałem naszego golibrodę:

— Cóż panie, jakże tam idzie?

— Wybornie! szanowny panie, wybornie! mógłbym nawet powiedzieć zadobrze, bo nie dalej, jak dzisiaj, nie wiem czy sobie dam radę, taką dostałem masę zamówień. Wszędzie wieczory i bale, mam około trzydzieci damskich zamówień, oto ich lista — zakończył, okazując mi biały arkusz papieru, zapisany adresami dam, które miał czesać.

W kilka dni później, przyszedłszy znów do Brassiera, mówię do niego:

— A cóż, jak pan sobie poradziłeś z owymi trzydziestu adresami?

— Ach panie! nie mówmy lepiej o tem, uczesałem zaledwie połowę tych dam. Wystaw pan sobie, że straciłem kilkanaście klijentek, i to przez pana Wiktora Hugo.

— Jakto, przez pana Hugo? jakiż związek może mieć ten poeta z pańskiemi klijentkami?

— I jaki jeszcze, niech tylko pan sam osądzi.

— W parę minut po pańskiej wizycie zjawił się u nas pan Hugo i zasiadł wygodnie w fotelu przed lustrem. Gdy mu już zawiązałem serwetkę i zbliżyłem pędzelek do twarzy, pan Hugo odepchnął mnie gwałtownie, prosząc abym zaczekał. Następnie wydobył z kieszeni ołówek, a nie mając widocznie przy sobie papieru, ściągnął leżącą na toalecie ćwiartkę i zaczął coś na niej gryzmolić. Pomino braku czasu uzbroiłem się w cierpliwość, której co prawda, nadużywał niemiłosiernie pan Hugo.

— Pisz, pisz kochanku, myślałem w irytacyi, nie wiem tylko, na co ci się to przyda, wiem napewno, że nic z tych kulfonów nie dojdziesz, a cóż to za fatalne bazgroły! — i nazywają go dobrym, ba!... pierwszorzędnym poetą!

— Czy pan życzy się ogolić? — spytałem nareszcie niecierpliwie.

— Sekundeczkę łaskawy panie — odpowiada mi i ta sekundeczka przedłuża się znów do nieskończoności, a ja jak dyjabeł nad grzeszną duszą, stoję nad nim z miseczką i pędzelkiem namydlonym, zżymając się ze złości i klnąc w myśli niemiłosiernie.

— Przepraszam pana, ale jakby na złość, mam dzisiaj wściekle dużo roboty i bardzo mi się spieszy, przemówiłem nakoniec.

— Ach spieszy się panu, to dobrze, bo i mnie się też spieszy... — zawołał, podniósł się z miejsca i zniknął nagle we drzwiach.

— Hej panowie! wrzasnąłem na chłopaków — nie mamy ani jednej chwili do stracenia! Musicie lecieć co tchu pod wskazane adresy, zaraz wam je doręczę, dajcie no listę! Gdzież jest lista? Gdzież się u licha znajduje lista? Do kroćset! gdzie podzieliście spis zamówień? Przed chwilą leżała na toalecie, przecie ją sam widziałem. Tam na prawo, ależ z pewnością!... Do pioruna tego mi jeszcze brakowało! pan Hugo! Na Boga żywego, pan Hugo wyrżnął sobie improwizacyję na mojej liście!... tak niezawodnie, to on swoje natchnienia wylał na moje adresy i zabrał je z sobą!

Teraz zrozumiesz pan, jakim sposobem, ja z łaski pana Hugo straciłem tyle klijentek! Co?

— Ależ panie! w takim razie stałeś się współpracownikiem wielkiego poety i w zamian za kilka marnych klijentek, dałeś światu jakiś może nieśmiertelny poemat! wszak to honor nie lada — rzekłem na pociechę pokrzywdzonemu.

Evénement.

Cyrkularz.

* *Cyrkularz artystyczno-handlowy*, rozesłany wszystkim gościom, znajdującym się w pewnych wodach krajowych.

Mam honor zawiadomycz SzanoWnego Publicznoszczów co spowodu picie moralne wode w ogrodzie moje warsiawske orkiestre będzie grywało od rano i co sze winajmuje do zabawy i nawet do wielkie wesele dziewiąć sztrumety dętego i rżnięte tyż — podług nowego nutów prowadzonego do wsistkie polityczne tańcuf jak u państwo jest i co drugie take kapejmajster jeszcze w naszego miasto nie buło.

Z uszanowaniem
Jojna Kontredans
Dyrektor od orkiestre grające.

Czas.

* Czas ojciec, będąc młodym, naszych przodków [stwarzał;
A nas nikczemnych stworzył, gdy się już ze- [starzał.

Mickiewicz. (p. str. 19).

* *Czasy złote.*

Było to w roku 1990.

Śliczne czasy. Warszawa posiadała 842 czasopisma a wiersz literackiej pracy kosztował cztery ruble i kopiejek pięćdziesiąt w złocie.

Byłem syt sławy i pieniędzy, co prawda posiadałem nawet nierównie więcej pieniędzy niż sławy. Za cztery tygodnie miałem obchodzić dwudziestopięcioletni jubileusz moich literackich zawodów; byłem redaktorem in partibus infidelium, i w jednej dwudziestej siódmej części współwłaścicielem dziennika poświęconego hodowli drobiu...

Siedziałem na fotelu pokrytym pysznym utrechtem, a mój stół hebanowy ze zbiorem najosobliwszych osobliwości świata, opierał swe toczone nogi na jedwabnym dywanie, pokrywającym mozajkową posadzkę mej pracowni.

W przedpokoju, na schodach i przed kamienicą tłoczyły się całe setki wydawców, a lokaj mój w przeciągu kilku lat kupił sobie kamienicę za różne datki pobierane za to, że ułatwiał wejście do mojego apartamentu.

Nie było w tem nic a nic dziwnego — co działo się u mnie, to samo kubek w kubek miało miejsce u moich kolegów —piszących; prawdziwe zaś znakomitości literackie powyjeżdżały zagranicę i rozmawiały z wydawcami tylko za pośrednictwem telefonów, gdyż inaczej nie zdążyłyby nawet odpowiadać na tysiączne żądania swoich klijentów...

Było dobrze. Przy okrągłych stolikach ustawionych w czterech kątach salonu siedziało czterech stenografów — chodząc po pokoju w pysznym tureckim szlafroku, i w fezie nieboszczyka Abdul-Azisa na głowie, dyktowałem im jednocześnie humoreskę, artykuł wstępny, wiersz i korespondencyję z Egiptu. Nadworny mój litograf odbijał to natychmiast na maszynie pośpiesznej, a kilkudziesięciu chłopców ubranych w zielone kurty roznosiło te dzieci mego ducha do stu siedmnastu pism.

Tak, byłem współpracownikiem stu siedmnastu czasopism, a do prowadzenia rachunków

z redakcyjami utrzymywać musiałem trzech buchalterów z pensyją 750 rubli rocznie każdemu.

Był u nas przyjęty zwyczaj, że nie mówiliśmy z wydawcami, dopóki nie zapłacili nam z góry dziesięć imperyjałów za godzinę rozmowy,— był to jedyny środek pozbycia się ich uprzykrzonej natarczywości. Był piękny grudniowy poranek. Srebrny dzwonek oznajmił przybycie interesanta. Służący wniósł dziesięć imperyjałów... domyśliłem się więc, że to przybywa wydawca. Jakoż istotnie drzwi się otworzyły i wszedł jakiś jegomość z orlim nosem, zgięty w kabłąk i zaczął się kłaniać od samych drzwi...

— Z kimże mam zaszczyt? zapytałem.

— Jestem proszę jaśnie wielmożnego pana Junoszy Dobrodzieja, Krystyjan Bibulski wydawca mającego się w tych dniach ukazać Dziennika absurdów politycznych, literackich i społecznych...

— I cóż szanownego pana sprowadziło w moje progi?

— Nadzieja, jaśnie wielmożny panie, nadzieja, że nie raczysz odmówić mej prośbie i zechcesz dzielnem twem piórem. .

— Warunki?

— Pięć rubli za wiersz prozy, a sześć i pół za poezyję, oprócz tego zapewniam jaśnie wielmożnemu panu tantjemę od dochodu.

— Dobrze to jest, mój panie, lecz powiedz mi zkąd macie zamiar wyciągnąć te dochody?

— Panie, wszedłem we współkę z panem Dumheitsohn z Ozorkowa, właścicielem fabryki perkalu, — pismo nasze będziemy drukowali na płótnie, tak że każdy prenumerator po wypraniu gazety, będzie miał bardzo elegancką chustkę do nosa.

— To dobrze pomyślane...

— Pochlebia mi to, ale nie na tem koniec— do każdego piątkowego numeru, dla prenumeratorów miejscowych dołączymy śledzia wędzonego, prowincyjonalni zaś dostaną wartość tej wybornej ryby w markach pocztowych.

— A wiesz pan co, panie Bibulski, podobasz mi się pan za to, — jak uważam umiesz chodzić koło interesów.

— Cóż robić, jaśnie wielmożny panie, w tydzień jedno pismo bankrutuje drugie się podnosi, trzeba umieć konkurować po kupiecku. Gazeta Ryczywolska, urządziła się w ten sposób że weszła w spółkę z piekarzem, i każdy prenumerator po złożeniu w piekarni przeczytanej gazety, otrzymuje bezpłatnie dwa obwarzanki lub bułkę, — tym sposobem zwraca się z obiegu wszystkie numery i sprzedawszy je na makulaturę odbiera się $^1/_{17}$ część kosztów papieru.

Podobał mi się pan Bibulski, raczyłem podać mu koniec palca, wziąłem siedemnaście tysięcy ośmset czterdzieści dwa ruble zaliczki i kazałem postawić nowy stół dla nowego stenografa.

Jaśnie wielmożny panie Junoszo,—uszczęśliwiłeś mnie—zawołał ten miły człowiek,—przyjmij jeszcze tę bagatelkę i nie racz zapominać o mnie.

To mówiąc położył na stole trzy listy likwidacyjne pa 1000 rubli każdy i wyszedł...

Za chwilę wpada zadyszany buchalter.

— Jaśnie panie! — woła — Tygodnik facecyjno - anegdotyczny illustrowany „Brednia“ zbankrutował!

— Zobaczyć ile dał zaliczki, rzekłem.

— Ośm tysięcy sześćset rubli.

— Napisać mu nekrolog, i sprzedać stu sześciu gazetom.

Rozkaz spełniono w tej chwili.

Dobre to były czasy, co tydzień powstawało nowe pismo i dawało zaliczkę, literatom działo się dobrze, każdy z nich jeździł na dwóch dorożkach, odrazu, bo jedna nie mogła go w żaden sposób pomieścić.

Klemens Junosza. (p. str. 57).

Czapski.

* Panie Boże Wszechmogący,
Dałeś Czapskim ser gorący,
Ani łyżki, ani miski,
Poparzyli sobie pyski.

Przysłowie.

Czarno i biało.

* Żyła sobie dewotka
Niedaleko od fary;
Miała pieska i kotka,
Obok sąsiad był stary.
Była wielce z nich rada,
Bo i jakże inaczej?
Z kotka, z pieska, z sąsiada,
Miała wiernych słuchaczy,
Czasem dojrzy jej oko,
Że zasnęli głęboko
Sąsiad, piesek i kotek.
Lecz sąsiad sztuka bita,
Zręcznie jej się wywinie,
Bo gdy czasem go spyta:
„Prawdaż panie Marcinie?‘
To. on choć krzepko zaśnie,
Zawsze pokiwa głową,
I mruknie w porę właśnie:
„Tak, tak pani Janowo!“

* * *

„Uważałeś jegomość?
Dziś asesor coś bladszy;
Musiał dostać wiadomość,
Że sąd ziemski źle patrzy...
Oj te ludzkie języki!
Gdyby zebrać je razem
I za nałóg tak dziki,
Wszystkie uciąć żelazem!
Jabym mówić gotowa
Ale prawdę i skromnie;
Na co mi ta obmowa?
Co to należy do mnie?
Jan o sobie pamięta,
Ekonom ludzi bije,
Pisarz klaska w karcięta,
Wójt z organistą pije...
Bóg tam z nimi... Bóg z nimi...
Ja patrzę tylko siebie!
Każdy człowiek na ziemi
Nie to, co święty w niebie.
Myślmy o własnej winie,
Nie sądźmy zbyt surowo...
Prawdaż panie Marcinie?“
„Tak tak pani Janowo“

* * *

„U nas plotki jak błoto
Wszystkich mażą bezwzględnie;
Słuchaj tylko co plotą
To aż ucho ci więdnie!
Uważałeś?... na prawo
Ktoś miał czepek w pół głowy...
Masz i plotkę ciekawą,
Bo już przedmiot gotowy!
Dobrzy sąsiedzi moi
Ogadali już może...
Że ta pani się stroi
Nie dla męża... broń Boże!
Że ma zalotny narów,
Że to na gachów siatka,
Że ktoś tam z za filarów
Patrzał na nią z ukradka!
Lecz to fałsze, potwarze!
Ja widzę co niedziela
On zawsze bywa w farze,
Lecz nie tam okiem strzela.
Może sądzisz po mnie,
Że ja podrwiłam głową?
„Prawdaż panie Marcinie?“
„Tak, tak, pani Janowo!

* * *

„Już co zgadnę, to zgadnę!
Wierzę w domyślność moją;
A te plotki bezładne
Kością w gardle mi stoją!
Jam dosyć ich słyszała,
Lecz prawdy ni kropelki.
Naprzykład... suknia biała...
Niby to symbol wielki!
Niewinność... skromność .. cnota..
Och! żeby nos im taki!
Śledziłam ja z za płota —
Chłopcom dawała znaki!
A oczy tak ogniste,
A kibić wymuszona;
O Panie Jezu Chryste!
Niby to święta ona!

Znamy się na świętości..,
Dzisiaj i ja sensatka...
Och powiem jegomości
Wróćcie mi młodsze latka!
Każda co się nawinie,
Przedemną w kąt się schowa
„Prawda panie Marcinie?"
„Tak, tak, pani Janowo".

* * *

Tylko się chwalić nie chcę
Lecz miałam szczęścia trocha!
Kogo spojrzeniem złechce,
To zaraz mnie pokocha!
Rzuciłam płoche żarty,
Postrzegłam jak te szpecą;
Rok... drugi... trzeci... czwarty...
Jam spoważniała nieco.
A młodzież? gdzież ci młodzi?
Pierzchnął mój lud poddańczy!
Jeden dziś z kijem chodzi,
Drugi swe wnuki niańczy.
Zepsucie dziś na ziemi!
Dzisiejszy rój młodzieży,
Za szesnasto-letniemi,
Za wietrznicami bieży!
Pan Bóg wie czem zajęci,
Śmiechem pogardy płacą
Najlepsze nasze chęci:
Za cóż to? pytam za co?
Bo młodość wkrótce minie,
Bo mi siwieje głowa...
„Prawdaż panie Marcinie?"
„Tak... tak, pani Janowa".

* * *

„Kłamstwo!... jesteś sam stary!
Przyjdą czasy odmienne!
Ja dam na mszę do fary,
Pościć będę nowennę,
I ołtarzyk ponoszę.
Ujrzysz waćpan dobrodziej!
Że wyproszę, wyproszę,
Więcej statku dla młodzi!
Mimo wszystkie zalety,
Nikt nie spojrzy na młodą,
A stateczne kobiety
Rej na świecie powiodą.
Chociaż się lata roni,
Choć mija wiek człowieczy,
Ale święty Antoni
Patron zgubionych rzeczy,
On mi młodość odszuka
Wróci rumieniec licom
Będzie sztuka!... ot sztuka!...
Na złość młodym wietrznicom!...
Nie ich... a mnie jedynie
Szarpać będą obmową.
„Prawdaż panie Marcinie?"
„Tak... tak, pani Janowo!"

Syrokomla. (p. str. 128).

Czechowicz.

* Pojedyńczo Czechowicz, wszyscy razem Czechowicz.

Przysłowie litewskie, odpowiadające naszemu. Rodem kurki czubate; powstało z dwóch wierszy starej tamecznej piosenki, którą dziś jeszcze można zasłyszeć w pow. Oszmiańskiem:

Nasz pan, Czechowicz
Jego żona, Czechowicz
Jego dzieci, Czechowicz
Wszyscy razem, Czechowicz,
Pojedyńczo, Czechowicz.
Dobrze jada, Czechowicz,
Dobrze pije, Czechowicz,
Dobrze bije, Czechowicz,
Dobrze płaci, Czechowicz.

Czemu.

Kiedy szliśmy w park zaciszny
My, jedynych dwoje gości;
Zaczął gruchać ponad nami,
Gołąb, symbol niewinności.

—o—

Lecz w powrocie z tego parku.
Gdyśmy byli wyjścia blizko,
Powiedz, czemu... nagle w górze
Zaklekotał bocianisko?

As.

Członek honorowy.

* Schwytano raz w Irlandyi słynnego złodzieja; dowódca całej bandy już siedział też w więzieniu, stawiono więc obu do naocznego śledztwa. „Czy przyznajesz?“ spytał sędzia herszta „że ten człowiek należał do twej bandy“ „Tak“ odrzekł opryszek „ale zdaje mi się panie sędzio, że on był tylko... członkiem honorowym.“

Saphir. (p. str. 1).

Człowiek.

Jest dziwne zwierzę, co się zwie człowiekiem,
Co w sobie wszystkie zdolności kojarzy
I popisuje się wszechstronnym stekiem
Głupstw i wystawia w kramach ku sprzedaży.
Wiek nasz jest cudów rozpuszczonych wiekiem,
Gdzie każdy talent ma swoich handlarzy;
Sprzedają prawdę, a gdy worek pusty,
Z przekupniów prawdy robią się — oszusty.

Wszechstronność wdziera się w odkryć dzie-
Genijusz, gdy mu się kieszeń wyjałowi, [dziny;
Przyprawia nosy, stawia gilotyny.
Ten ci wybije zęby, ten odnowi...
Kongrewskie race są nie bez przyczyny,
Lekiem przeciwnym całkiem — ospie krowiej,
Gdy doktór starą słabość leczy, nowy
Zaród słabości dodając — od krowy.

Z ziemniaków da się wypiec (kiepska) bułka,
Galwanizm trupom policzki wykrzywia,
Lecz dziś przynosi większą korzyść: *Spółka Filantropijna*, co unieszczęśliwia
„Gratis“ umarłych życiem. A zlicz kółka
Maszyn, któremi dziś ruch się ożywia!..
Rzekłem, że mała ospa u nas ginie;
Może też za nią i wielka popłynie.

Mówią, że wielkość przyszła z Ameryki.
Winnaby swoję ojczyznę odwiedzić!
Ludność tam wzmaga się, jak statystyki
Twierdzą — i czas, by przyszły ją przerzedzić
Zarazy, febry, głód i Angielczyki,
Gdyż w niej cywilizacyja nie chce siedzieć,
A nie wiem, czy ich prastare zarazy
Od naszych nowych nie lepsze sto razy!

Wiek nasz patentem obdarza sposoby
Na ciał zabicie, ale dusz zbawienie,
Wszystko to dobrych zamiarów wyroby:
Lampa Davy'ego, z którą się w otchłanie
Spuszczając górnik czarne kruszy groby,
Po lodowatym spacer oceanie
Lub po Afryce równe czynią straty,
Jak pod Waterloo czyniły armaty.

Człowiek — przyrody najdziwniejsze dziecię.
Przerasta sądy, które o nim głoszą,
Szkoda doprawdy, że w tym ślicznym świecie
Rozkosz jest grzechem, czasem grzech rozkoszą..
Nikt nie wie, gdzie go wir losów poniesie;
Sława i miłość w drodze go unoszą,
Pnie się... a kiedy po promyku złotym
Nadziei dojdzie... śmierć—jak wiesz—a potem..

Cóż potem?.. Nie wiem. Pewno nie wiesz i ty
Więc idź spać.

Byron

* *Człowiek z odmrożonym nosem.*

Dnia 27-go stycznia 186* roku termometr wskazywał—29° R.

Niewiele to jednak obchodziło pana Maurycego, szczęśliwego narzeczonego pięknej panny Hortensyi. U kupca w miasteczku, siedział on w gronie kilku towarzyszów, a pociągając węgrzyna żegnał stan kawalerski, z którym miał się rozstać niebawem.

Ponieważ wszystko na świecie ma swój koniec, więc i libacyjom owym kres nadszedł; trzeba było wracać do domu.

Szymon, w kołnierzu niedźwiedzim od stu dyjabłów, palnął z bicza i czwórka siwoszów obwieszonych janczarami, zajechała przed sklep z takim brzękiem, jękiem i hukiem, że aż czcigodny rabin miasta Moczymordy wysadził głowę z pod pierzyny i ze zwykłą sobie powagą zapytał:

— Wus ys dues?

Pan Maurycy wsiadł w sanki, pomknęły siwki raźno, bo im też do ciepłej stajni było śpieszno; droga była śliczna, sanie więc mknęły jak błyskawica.

Rozmarzony pan Maurycy otulił się w wielki kołnierz od futra, puszczając wodze myślom i marzeniom. I widział przed sobą—siebie samego, tonącego w wielkim oceanie hypotecznym i walczącego przeciw prądowi bez żadnej nadziei ratunku. Skołatany statek na którym płynął, nosił na sobie napis: „Rozdrapańce", a brodaci korsarze byli już tak blizko... tak blizko... o kilka węzłów zaledwie.

Nieszczęśliwy marynarz polecił się Bogu... w tem z za odłamu skały wypływa śliczna łódź biała, ustrojona w róże. A steruje tą łodzią Serafin jakiś jasnowłosy, kubek w kubek podobny do panny Hortensyi z Koźlinka.

Za białą łodzią toczy się ciężki bryg naładowany złotem... brygu strzeże ojciec Serafina...

Złoty sen wśród srebrnej nocy zimowej.

A dalej... przychodzi ratunek, wyzwolenie, korsarze brodaci odstępują... rozpoczyna się złota era miłości, morze hypoteczne lśni najczystszym lazurem pogody... Rozdrapańce zamieniają się w raj ziemski.

Marząc tak, pan Maurycy dziwił się jednej okoliczności, a mianowicie, dlaczego zbawcza rączka panny Hortensyi nie wyciąga go z przepaści za rękę, lub za włosy wreszcie, lecz ciągnie go za nos i to ściskając dość silnie... Ha! może to i za nos prowadzą do raju. Któż wie albowiem, jakie są zwyczaje w krainie złotowłosych serafów?...

To wszakże co ciągnęło pana Maurycego za nos, nie było białą rączką panny Hortensyi. Był to figlarz północny, mróz, który z całą wściekłością rzucił się na rzymski nos pana Maurycego. Dziwne z nim rzeczy wyrabiał. Najprzód zaczął go szczypać, potem ściskał go lekko, wreszcie mocniej, aż nareszcie ścisnął go i zmroził tak potężnie, że czucie w nim wszelkie zamarło...

Biedny nos!

Poczerwieniał z początku, później zsiniał, nareszcie stał się biały jak kreda i w tym kolorze zajechał wraz ze swym panem przed ganek tak zwanego dworu w Rozdrapańcach.

Pan Maurycy, obudzony ze snów rozkosznych, wszedł do mieszkania, a rozgrzawszy się i wypiwszy kieliszek wiśniówki, poczuł że go nos swędzi. Nie zwracał na to uwagi, spytał się tylko swojej gospodyni, która wiele rzeczy umiała tłumaczyć:

— Moja Pawłowa, co to znaczy jak kogo swędzi?

— Proszę wielmożnego pana, a czy to, przez urazy, dzisiaj czwartek?

— Nie—właśnie piątek.

— A to chwalić Boga, bo jak kogo nos na ten przykład, swędzi w piątek, to go w niedzielę wielkie szczęście nie ominie...

Pod dobrą wróżbą tedy zasnął pan Maurycy i marzenia rozpoczęte na sankach, ciągnął dalej na łóżku w Rozdrapańcach, w kawalerskiem swojem mieszkaniu.

Tyle szczęścia co człek prześni...

Na drugi dzień rano kazał zaprządz i pojechał do Koźlinka, aby doręczyć prezenta ślubne swojej narzeczonej. Nie potrzebuję dodawać iż rzeczone prezenta były to prawdziwe precyjoza... gdyż Icek pachciarz sowity procent za nie sobie policzył.

Szymon huknął z bicza i omarzniętą czwórkę osadził przed gankiem w Koźlinku; panna z czarującym uśmiechem przybiegła do okna, ale skoro tylko szczęśliwy pan Maurycy wszedł do salonu, uśmiech zamarzł na jej twarzyczce, wyciągnięta do uścisku ręka stała się lodowatą i chłodną, a w habrowych oczach zajaśniały dwie łzy... Nie były to wszakże łzy radości. ale gorzkie łzy jakiegoś rozczarowania, zawodu... zniechęcenia...

Co znaczy ten chłód i ta sztywność?

— Czyżby jakie złośliwe plotki doszły aż do cichego dworku w Koźlinku? Czyżby jaki rywal wydarł mi to serce anielskie? lecz nie... wszakże widziałem jak biegła ku mnie z rączką

wyciągniętą, jak spieszyła na powitanie — a potem nagle, bez żadnej widocznej przyczyny...?

Takie pytania zadawał sobie pan Maurycy, ale musiał je zadawać i po raz drugi, gdy mama, wszedłszy do salonu, spojrzała na niego wzrokiem badawczym a zarazem powitała go z owym lodowatym chłodem, który przetłumaczony na język polski powiada:

. — Nie masz tu wasan co robić i wynoś się swoim kosztem.

Prezentów nie przyjęto, panie wyszły z salonu a natomiast wszedł lokaj, który oświadczył że panie przepraszają, lecz z powodu gwałtownej migreny, nie mogą dotrzymywać gościowi towarzystwa.

Tak to nieraz, podczas pogodnej nocy, pada piorun i druzgocze wszystko, co na drodze spotka.

Pan Maurycy powrócił do domu zły, zgryziony, zmartwiony, chodził wielkimi kroki po pokoju, tarł czoło, wreszcie zdjął ze ściany dubeltówkę, wykręcił z niej śrut... nabił kulami, założył świeże pistony i—powiesił ją napowrót na swojem miejscu.

Konny posłaniec z Koźlinka doręczył mu list. Nie—źle się wyrażam, to nie był list: to był wyrok śmierci...

Brzmiał on tak:

„Wielmożny Panie Dobrodzieju!

„Dotychczas mniemałem że to wszystko co ludzie o panu powiadali, były nikczemne plotki; gdy jednak żona moja wraz z córką dostrzegły na pańskim nosie wyraźne ślady spirytualijów, przeto zmuszonym się być widzę do zerwania wszelkich pomiędzy nami stosunków. Tuszę iż to wielmożnego pana dobrodzieja nie zdziwi, ile że w roku zeszłym najlepszego ekonoma odprawiłem, ponieważ był pijak wielki koronny.

„Co wyraziwszy, piszę się wielmożnego sąsiada dobrodzieja.

Sługą

Michał Koźliński."

— Otóż masz! więc mnie zrobiono pijakiem, więc ja mam nos czerwony? Więc Icek będzie mnie subhastował?... O, to zawiele na jednego człowieka!

Z sercem pełnem rozpaczy stanął pan Maurycy przed lustrem...

Niestety, lustro potwierdziło słowa pana Michała.

Istotnie, nos był pijacki, typowy, spuchnięty, czerwonawy, siny, nos taki, jakiego kopje zaledwie w bawaryjach warszawskich spotkać można...

Pan Maurycy miotał się w rozpaczy jak wilk schwytany w matnię...

— Ależ — mówił sam do siebie, — wszakże jest medycyna, są doktorzy... pojadę, ostatniego konia sprzedam, zapłacę konsylijum zwołam.

Tak też zrobił. Zwożono do Rozdrapańców smarowidła różne i maści, ale wszystko napróżno. Maści miały ten skutek, że rzeczywiście zmieniały nos na rozmaite barwy, ale nigdy nie przywracały mu naturalnej.

Panna Hortensyja wyszła za mąż. Icek rozpoczął proces subhastacyjny. Rozdrapańce wystawiono na sprzedaż, a nos nie wracał do zdrowia.

Zamawiał go owczarz, okadzała stara Kociubska czarownica, baby opisywały go święconą kredą—ale wszystkie te środki były tak pomocne, jak umarłemu kadzidło ..

Fatalność osiadła na nosie pana Maurycego, jak gromowładny Jowisz na Olimpie.

* *Człowieka poczciwego żywot.*

Kiedy przyszedł na ten świat,
Był maleńkiem dzieckiem,
Potem — rósł przez wiele lat
W domu za przypieckiem.

Tęgo jadł i tęgo pił
Nad wiek swój dziecięcy!
A gdy najadł się co sił,
Jeść już nie chciał więcej.

Nie struł jemu szkolny kwas
Żadnej w życiu chwili,
Bo go ze szkół w krótki czas
Szpetnie wypędzili!

Odtąd sam swój kształcąc gust,
W karty grał — jak z książki
Wielbił niewiast piękny biust
I puszczał pieniążki.

A gdy w spadku dostał wieś
Po rodziców śmierci,
Wnet ją rozdrapali gdzieś
Żydkowie na ćwierci!

Potem żenić się miał chęć,
Lecz nie znalazł kroci.
Osiadł więc — niedoszły zięć
U bogatej cioci,

I znów dobrze jadł i pił
A gdy zjadł do szczątka.
Biedak trawić nie miał sił
— Miał katar żołądka!

Wreszcie przestał młodym być,
Bo był już za stary
I słodyczy nie mógł pić
Z pełnej życia czary.

Więc reumatyzm przyszedł nań
I podagra w nodze,
A przeszłości niosąc dań
Wnet wyłysiał srodze!

Rwała mu się życia nić,
Wiądł jak kwiat na słońcu,
A gdy dłużej nie mógł żyć.
No, to umarł w końcu!

Fr. Konarski. (p. str. 48).

Cztery działania.

* Przebywszy Niemen w Mikołajewie, ciągnęliśmy gościńcem. Popasy nasze odbywaliśmy zawsze pod gołem niebem, jeżeli nie we dworze jakim. — Po co nam do karczmy? mówił Marcin; mamy zawsze z łaski dobrodziejów zapas podróżny, i baranów napasimy, i sami posilim się, i nic nie zapłacim.

Mieliśmy więc, podług zwyczaju, mijać karczmę, do której dojeżdżaliśmy, ale postrzegłszy przed nią stojącą piękną karocę, która widać do stodoły wleźć nie mogła, a stodołę pełną wozów i koni, a zatem pomiarkowawszy, że to jakiś dwór pański zajechał na popas, postanowiłem i tu pokorną moję odbyć żebraninę, na co Marcin się zgodził; a zatem stanęliśmy z naszemi kałamaszkami obok pańskiej karocy. Ujrzały mnie piękne panięta, to jest, chłopiec wyrostek i dziewczynka podlotek, wybiegli z karczmy a za nimi ichmość rodzice wyszli. Weteraństwo poważne, nie ma co powiedzieć!

— *Laudetur* Jezus Chrystus! — rzekłem kłaniając się *humilime.*

— *In saecula saeculorum!* — odpowiedział *Magnificus!* jak się potem dowiedziałem, starosta. — Zajęliśmy karczmę, rzekł on, nie masz gdzie popasać księżę kwestarzu!

— Nie to dobrodzieju! ja też nie na popas tu zajechałem; odpoczną tylko moje szkapy, i powlokę się dalej.

— Owszem, pomieścimy się jakkolwiek. Wozy twoje mogą postać przed karczmą, a konie między moimi i mój obrok zjedzą; samego zaś waści na nasz podróżny obiadek proszę. Zostań więc dla kompanii, księżę kwestarzu!

— Chętnie spełnię rozkaz JWpana, bylem nie przyczynił subjekcyi.

— Żadnej, żadnej — odpowiedziała pani; a zatem i zostałem, choć Marcin się krzywił, biorąc się do odprzęgania koni; ale gdy na rozkaz starosty stajenni jego pomagać zaczęli staremu, i gdy posłyszał rozkaz pański, aby i konie jego dobrze nakarmiono, a forysie aby pilnowali wozów naszych i baranków, udobruchał się przecie i wnet pobratał ze wszystkimi.

W karczmie już był stół nakryty, a nim dano, starosta, zacząwszy od pytania, jakie mnie zawsze i wszędzie spotyka. — Z jakiego klasztoru Pan Bóg prowadzi? — Zadawał rozmaite inne, wyzywając mnie zawsze na jowialne odpowiedzi, bo widać nawykł do konceptów kwestarskich. Jak mogłem dotrzymywałem placu, i uśmiechał się pan, a nawet sama jejmość; bo ja, pamiętając na instrukcyję księdza gwar-

dyjana, umiałem trzymać język za habitem; nakoniec przystawiono piąty talerz i zasiedliśmy do stołu.

— Będziesz głodny, księże kwestarzu! — rzekł starosta — obiad podróżny, krótki i porcyi bernardyńskich nie będzie; bodaj tylko rosół i pieczyste.

— *Deo gratias*, dobrodzieju! a na cóż więcej?

Jakoż uczciwy był rosół z indora. Pani starościna po dwa razy mnie nalewała, i posiliłem się regularnie.

Dano pieczyste. Były to cztery jarząbki, wyraźnie dla dwojga rodziców i dwojga dziatek po jednym.

— Oto sęk, księże kwestarzu! jarząbków cztery, a nas pięcioro!

— Posiliwszy się z łaski państwa tak wyśmienitym rosołem, nie potrzebuję nic więcej i obejdę się bez jarząbków.

— Nie, nie, tak być nie może. Poczekaj, Charissime! Jak miarkuję, jesteś człowiek bywały i nie lada kwestarz: musiałeś więc i szkoły traktować?

— Oho! — pomyślałem, coś z wojewodzińska zakrawa, — A jakże? JWpanie! aż do *Poezimy inclusive*: a Alwar gryzłem na pamięć, jak rzepę,

— Zapewne uczyłeś się i Arytmetyki?

— Uczyłem się i arytmetyki, lecz zostawszy kwestarzem, najwięcej praktykuję *abdycyję* i *multiplikacyję*, dalsze zaś działania dla mnie niewielce potrzebne; a o *frakcyjach* i słuchać nie chcę, nigdy ich cierpieć nie mogłem, tem bardziej teraz, gdy o całe barany proszę.

Otóż, pomyślałem sobie znowu, i wędę z konceptem zarzuciłem do wspaniałości pańskiej. Punktualnie wypełniam instrukcyję ks. gwardyjana. Obaczymy co wyciągnę.

— A więc zdaj experyment - rzekł starosta — ze swojej nauki, podziel te cztery jarząbki na nas pięć osób, ale bez frakcyjów, gdy ich cierpieć nie możesz, to jest bez rozrzynania, tak jednak, aby wszystkim po równej porcyi się dostało; kiedy tego dokażesz, powiem, żeś gracz i żeś kwestarz *re et nomine*.

— Nic łatwiejszego, dobrodzieju! byleście się na moją dywidendę zgodzić raczyli.

— Przyrzekam solennie — rzekł znowu starosta — za siebie, za żonę i za dzieci. Ale bez noża, księże kwestarzu!

— Ani się dotknę nożem. — Podsunąwszy więc bliżej do siebie półmisek, wziąłem widelec w rękę i tak dzieliłem:

— Jegomość dobrodziej, jejmość dobrodziejka i jarząbek, to troje; panicz, panienka i jarząbek to troje; kwestarz i dwa jarząbki, to znowu troje.

— Brawo! — krzyknął starosta, śmiejąc się serdecznie, toż samo i pani starościna.

— Zgadzamy się na podział! wyśmienicie!

— Ale ja się nie zgadzam — rzekłem. — Jarząbki zostaną przy państwu i przy paniętach, a w indeminizacyi, jeźli JWpani dozwoli, wezmę tę bułkę piroga dla mnie, a dla klasztoru co wola i łaska.

— Z największą ochotą jedno i drugie ofiarujemy ci, *Charissime*, z warunkiem wszelakoż, że po jałmużnę dla klasztoru przyjedziesz do nas. Dom mój ztąd mil pięć. Drogę rozpowiedzieć każę twemu furmanowi, a fatyga nagrodzi się dobrą kwestą. Czy zgoda?

— Zgoda, JWpanie! Dla mnie wszystko jedno, gdzie jadę, to jadę, bylem do dobrodziejów trafiał.

Wkrótce pożegnało mię to państwo, i my też powlekliśmy się za nimi.

Pamiętniki kwestarza.

Chodźko Ignacy — ur. 1795 r. ze wspomnień dziada swego Michała Ławrynowicza długoletniego dworaka Radziwiłłowskiego i innych magnatów litewskich, wysnuł cały szereg obrazów z przeszłości pełnych humoru staropolskiego i charakterystyki żywej dawnych postaci. Ogłosił drukiem cały szereg powieści w Wilnie, a cieszyły się one niepospolitem powodzeniem. Oto są ich tytuły: „*Obrazy litewskie*"; „*Dworek mojego dziadka*", „*Brzegi Wilii*", „*Pamiętniki kwestarza*", „*Jubileusz*", „*Duch opiekuńczy*", „*Autor swatem*". „*Panna respektowa*", „*Dworski na Antokolu*";

„*Podania litewskie*“: „*Żegota z Milanowa Milanowski*“, „*Pustelnik w Proniunach*“, „*Dwie konwersacye z przeszłości*. I. Chodźko należy do pierwszych powieściopisarzy narodowych.

Czułość małżeńska.

* Paroksyzm, napadający ludzi wstępujących w związki małżeńskie. Bywają niekiedy takie paroksyzmy i wcześniej, a czasami i później. Kryzys a potem reakcyja, następują bardzo szybko.

Czuły.

* *Podział czułego z młodym.*

W jednem stołecznem mieście
Mieszkała pewna dama niezmiernej urody,
Z pięknem ją urodzeniem wiek zaszczycał młody
I inne chluby niewieście.
Niełatwa umizgów sztuka,
Wzrok, kibić, grzeczność, nauka;
Takie dary i przymioty
Niejednemu z młodzików w oczy uderzyły,
Nie każdy był jednak miły,
Choć się jej podobania dosyć miał ochoty.
Pomiędzy tą liczną zgrają
Letnich młodzików i pustych fircyków,
Najwierniejszy z miłośników
Jakiego żadne romanse nie znają,
Czuły i tkliwy,
Powiadano, że cnotliwy,
Czuć go na milę miłością.
Bez przestanku łaził za imością;
Ustawicznie wzdychał, szlochał,
Powiadał jej, że ją kochał,
I powtarzaniem własnej czułości,
Tak ją nudził, tak zwędził,
Że ją był prawie wynędził.
I zaledwie ze skórą zostawił jej kości.
Wszyscy się litowali nad tą damą młodą;
Szczęściem się chłopiec natrafił raźniejszy
I do miłości zdatniejszy,
Który zdjęty jej urodą
Zaczął jej nadskakiwać i szeptać do ucha.
Choć to do rzeczy nie było.
Młodość młodości łatwiej jednak słucha,
Z równym się rozumieć miło.
Nakoniec, po staraniach dziełu przyzwoitych
I trudnościach w nich zażytych
Dopiął swego mój młodzieniec;
I właśnie, gdy zwycięzki kładł na głowę wieniec,
I pieścił się z najmilszą zdobyczą swych trudów,
Przez przypadek nieszczęśliwy
Nadszedł na to Lubon tkliwy,
I stał się widzem tych cudów.
— „Nieba! zawołał, i ty jasne słońce!
Księżycu! co oświecasz zdradne niewierności,
Wy świadkowie mych czułości,
Gwiazdy świetne, nocy gońce!
Przestańcie świecić, przykra mi jest światłość [wasza,
Wzrok mój mocy jej znasza.
Róże! coście czułości ozdabiały czoło,
Możecie już więdnąć sobie,
Po tak nielitościwej na mą tkliwość probie
Patrzeć już na was nie mogę wesoło.“
— „Nie skarż się, rzecze mu przyjemnie,
Piękna dama, na której niewierność narzekał:
Czyniłam, co było ze mnie,
Abyś na twoją szczęśliwość nie czekał.
Coś dziś widział, gorszyć się z tego nie masz [prawa,
Na obu jestem łaskawa
I nagrodę za miłość waszą dzielić muszę:
Jemum ciało już dała, tobie daję duszę.“

Węgierski Kajetan Poeta satyryk z końca XVIII w. ur. w 1755 † 1787. Zwolennik Voltera i Rousseau'a, już w 18 r. życia napisał najcelniejszy swój utwór p. t *Organy*. Głęboko czujący obywatel, zjadliwy paszkwilista dla wielu, faktycznie był namiętnym prześladowcą zepsucia i nikczemności swojego wieku, oraz wad współczesnych. Całą wysoką wartość Węgierskiego dokładnie i sumiennie obliczył K. Estrejcher we wstępie do niedawno wydanych dzieł tego poety.

Czuły sługa.

Lanca. Oj, caluteńka godzina upłynie, nim płakać przestanę. Wszystek ród Lanców odznacza się właśnie tą samą wadą. Jam też moją cząstkę w spadku dostał jako syn wytrawny i jadę z panem Protejem na dwór cesarski. Nie ma na świecie tak twardego stworzenia jak ten pies mój Krab. Moja matka szlocha, ojciec uty-

skuje, siostra beczy, nasza dziewka wyje, kotka załamuje łapki, zgoła cały dom w strasznej rozpaczy, a jednak ten dzikiego serca kundel ani jednej łzy nie uronił. To kamień, głaz prawdziwy, niema w nim więcej litości niż w psie jakim. Żyd nawet byłby płakał, patrząc na nasze rozstanie. Co mówię, ślepa moja babka, rozstając się ze mną, oczy wypłakała. Ot, przedstawię wam, jak to było. Niech ten trzewik będzie moim ojcem. Nie, ten lewy trzewik jest moim ojcem. Nie, nie, ten lewy trzewik jest moją matką. Nie, ani tak, ani owak być nie może. A jednak tak jest, tak jest, bo ma gorszą podeszwę. Ten dziurawy trzewik jest więc moją matką, a ten moim ojcem. Niech mię piorun trzaśnie, jeśli tak nie jest. Teraz panie, ta laska jest moją siostrą, bo waż dobrze, biała jak lilija, a smagła jak trzcina. Ten kapelusz jest Hanką, naszą dziewką. Ja zaś jestem psem. Nie, pies jest sam sobą, a jam także pies, o! pies jest mną, a i ja jestem sam sobą — wyśmienicie, wyśmienicie! Teraz przychodzę do ojca: „Ojcze, twoje błogosławieństwo!“ Teraz niech trzewik od wielkiego płaczu nie rzeknie ni słowa. Teraz należy mi uściskać ojca, ale on wciąż ryczy. Teraz idę do matki, o! gdyby mogła przemówić, ale ona z obłąkania jak drewno. Przecież pocałuję ją, tak, to ona, to mojej matki oddech, czy tędy, czy owędy. Teraz zbliżam się do mej siostry. Słuchaj jak jęczy. A przez ten cały czas pies ani jednej łzy nie roni, ani jednego słowa nie przemawia. A patrz jakim strumieniem po tym pyle płyną łzy moje!

(*Wchodzi Pautino*).

Pautino. Spiesz się, spiesz, Lanco, prędzej na barkę. Twój pan już odpływa. Będziesz go musiał chyba czółnem i wiosłem gonić. Cóż to ci, czego płaczesz, człowieku? Prędzej mazgaju, nie pieść się, bo jeśli tu dłużej guzdrać się będziesz, woda cię odpłynie, i na nic ci się to pieszczenie nie zda.

Lanca. Tak, tak, zgadłeś, to jest razem i pies i szczenię, i na nic mi się nie zda, więc nie dbam, jeźli je stracę, bo to najnieczulsze pies — szczenię, jakie kiedy u człowieka piszczało na sznurku.

Pautino. Co znaczy najnieczulsze pieszczenie?

Lanca. A jużci to moje pies-szczenię na sznurku, ten mój pies Krab.

Szekspir. (p. str. 92).

Czyn.

* Rzecz, która więcej daleko warta od stu głośnych słów. Jest to niemowlę, które nie może przyjść na świat z *Woli*, nazwiskiem *Zastanowienie.* Jest ona mędrszą od najmędrszych mędrców. Pewna akademija umiejętności ogłosiła raz nagrodę za rozwiązanie pytania: „czem wytłómaczyć, iż naczynie napełnione wodą, nie traci na wadze, gdy weń włożyć rybę?“ Uczeni poczęli tworzyć najzawilsze teoryje, aby rozwiązać ten fenomen z punktu naukowego. Tymczasem jakiś szewc, z porady owej znachorki, postanowił przedewszystkiem skonstatować samo zjawisko. Napełniono naczynie wodą i zważono dokładnie, potem włożono w naczynie rybę sześciofuntową i powtórnie je zważono, i wtedy... naczynie istotnie ważyło o sześć funtów więcej, aniżeli poprzednio. Szewc otrzymał nagrodę, a uczeni śmieli się... ze swej uczoności.

Czyn i myśl.

* — Matko! — rzekł czyn do myśli — Cóż mni [trzymasz w domu
Chcę żyć, ty zaś mnie nie chcesz pokazać nikomu
Chcę na świat trochę wyjrzeć, coś robić, co [stworzyć
Na drodze mego życia jakiś ślad położyć.
Na to myśl: — Mój kochany, tę potrzebę widzę
Lecz ciebie się na świecie pokazywać wstydzę,
Świat potępia nieprawych przez wierzenia stare
A ja widzisz z rozumem żyję wciąż na wiarę.

Duduś. (p. str. 30).



Dać.

* Jest to słowo, które użyte raz w czasie przeszłym, rzadko już używanem bywa w czasie przyszłym. W ogóle jest to słowo *ułomne*, które dopełnia się innem słowem *wziąść*. Chwalebne jest samo przez się, lecz nie wypada nigdy się niem chwalić.

Dalej.

* Oznacza punkt, który, gdyby znalazł Archimedes, krzyknąłby „Eureka!“ Wiedziałby bowiem, dlaczego świat się porusza. Pomimo doniosłego swego znaczenia, wyraz znienawidzony przez wielu. Na posiedzeniach komitetu „poprawy języka polskiego“, pewna część naszej prasy podjęła spór o niewłaściwość używania tego wyrażenia, proponując w zamian wyrażenie: *dawniej*.

Dama.

* Karta, której posiadanie dodaje graczowi dużo śmiałości. Obowiązują przy niej wszystkie reguły gry, nakazującej przedewszystkiem, aby karty nie były odkryte.

Dandy.

* W miesiącu lipcu 1852, wśród najzjadliwszych wybryków panującej podówczas cholery, dosięgłem przecie ziemi obiecanej w mojem urzędowaniu. Zamiast widoku Palestyny, ujrzałem pewnego dnia w moich własnych rękach arkusz welinowego papieru, na którym najwyraźniej stało, że komisyja ta a ta mianuje mię swym kancelistą etatowym, z płacą rs. 120 rocznie! Żem nie skakał po pokoju z radości, nikt się nie zadziwi, albowiem z natury już mam lewą nogę o trzy cale krótszą od prawej, i takiego rodzaju wybryki o szwank niezawodny przyprawićby mię mogły; ale żem caluteńką noc przemarzył o świetnej przyszłości, o sybarytyzmie, o zbytku jakiego się dopuszczę, płacąc trzydzieści sześć złotych za obiad, a dwanaście za mieszkanie co miesiąc, o tem, słowem honoru młodego urzędnika, zaręczyć potrafię.

Dotąd mieszkałem zawsze, jak w Warszawie nazywają, do współek, to jest wolno mi było kilka razy na dzień wejść na czwarte piętro kamienicy Starego-Miasta, przejść dwie albo trzy izby

zapełnione podobnymi lecz familijnymi lokatorami, przespać się w ciemnej, nieopalanej garderóbce, słuchać po całych nocach bijatyk i kłótni sąsiedzkiej, z towarzyszeniem dyszkantów dziecięcych, i za to wszystko zapłacić 6 złotych miesięcznie z pocałowaniem ręki gosposi, że mi tak za bezcen „śliczną garderóbkę“ wynajmuje. Z utyciem więc suchotniczych funduszów, niesforna żądza ludzka i próżność, kazały mi się przeprowadzić na ulicę Freta, i razem z kolegą Sewerynem objąć w posiadanie długi a wązki korytarzyk z oddzielnym wchodem, zaopatrzony dwiema wązkiemi, na zewnątrz dachu wychodzącemi szyjami, w których mieściły się okna.

Seweryn Dandy, mój kolega biurowy, niższy stopniem bo aplikant, sam oświadczył mi się z tą propozycyją wspólnego mieszkania, a że ubierał się bardzo strojnie i bywał u pana naczelnika w każde imieniny, więc też ową chęć jego wziąłem za największą łaskę. Myślę sobie: urządzimy po królewsku nasz apartament; a że jestem wielkim zwolennikiem systematyczności, więc wywoskowawszy podłogę, ustawiwszy meble w jednej połowie moje, w drugiej pana Seweryna, zapalam fajkę i chodzę uszczęśliwiony na samą myśl, jak to przyjdzie kiedy woźny od naczelnika i zobaczywszy osobliwy porządek, powie mu przy sposobności: „Jaglicki, z przeproszeniem wielmożnego radcy, to chwat sobie urzędnik.“

Ale niestety, rachuby moje na zbyt delikatnej zawiesiłem nitce, a tą nitką była trzpiotowatość szanownego kolegi. We dwa dni, poznawszy iż na grzbiet mój jak na pochyłe drzewo i kozy wchodzić potrafią, uczuł się obrażonym, a raczej uzuchwalił się do tego stopnia, że odrazu wskoczył na moje barki. Dreszcz mię przechodzi gdy sobie wspomnę pierwszą jego wyprawę na jakieś imieniny: co tylko człowiek był w stanie zrobić kiedy w życiu nieporządku, to mój kolega zbiorowo odziedziczył w swej naturze. Gdzie stał, tam się ubierał, rozrzucając na wszystkie strony swoje suknie, a nawet tyle był zuchwałym, że mojego łóżka czerwoną kołdrą okrytego nie oszczędzał. Jak się raz zaczęło, tak dalej szło lepiej niż po maśle; jednem słowem zatruł mi całe życie, zniszczył rozkoszne marzenia porządku, a co gorsza przerobił mię na formalnego lokaja swego! Proszę, nieproszę, gniewam się, mruczę, wszystko jeden skutek: Sewercio całuje, przeprasza, obiecuje, a swoje robi. Nieraz myślę, że trzeba nakoniec pozbyć się owej szarańczy; ale cóż, pomimo tych wszystkich wad przywiązałem się do niego; hultaj jak chce, to tyle mi pięknych nagada rzeczy, nadowcipkuje, naśpiewa, że doprawdy żal mi takiego towarzysza, a strach, nudy bez niego. Zresztą niepłaci za mieszkanie, ma to kiedyś razem powrócić; wolę więc czekać, bo jak się wyprowadzi, szukaj wiatru po świecie!

Prócz tego, razem ze swoją nieporządną naturą, sprowadził mi liczny szerg obojga płci, wieku i rodzaju gości, którzy dzień w dzień oblegali schody, drzwi i wszelkie miejsca służące do wejścia. Tymi nieproszonymi wizytatorami byli: praczka, szewc, krawiec i usługujący nam stróż miejscowy. Sewercio elegant wielki, nosi suknie ostatniej mody, jasne rękawiczki, lakierowane trzewiki, świeży kapelusz, ale to wszystko posiada w jednym egzemplarzu, stosownie do pory roku; kocha się zawsze w kilku pannach, pożycza odemnie książek, wyskrobuje moje nazwisko kładąc swoje na pierwszej stronnicy, a obecnie wdzięczy się do panny Amelii, córki naszej gospodyni, mieszkającej na pierwszem piętrze.

Każdej niedzieli, z rana, jestem świadkiem pociesznej sceny, jaka się odbywa z jego dłużnikami. Regestr swych długów, z wielkiem zgorszeniem utrzymuje na ścianie przy swojem łóżku, gdzie każdy nowy dług przypisuje ołówkiem, zapewniając, że w przyszłą niedzielę z pewnością zapłaci. A dziwna rzecz, posiada niepospolity dar zjednywania sobie ludzi, a co się tyczy dłużników, prolongowania ich cierpliwości. Praczce nigdy spoczynku nie da, ale za każdem odniesieniem świeżej bielizny, odlicza

nową do prania, obiecuje pół sążnia drzewa, które wraz z otrzymać się mającą posadą pobierać ma nadzieję, dla syna jej robi prezenta z papieru i ołówków, mężowi daruje stary krawacik na szyję, a szanowną babinę wyściska, pochwali bieliznę i na tem koniec.

Z szewcem inna rzecz znowu: to niemiec uparty, natrętny, a wytrwały. Mój kolega twierdzi, że wierzycieli żydów i niemców trudniej się pozbyć, niż tych drobnych żyjątek domowych, na wygubienie których sprzedaje się proszek perski! Ale pan szewc, czyli polityczniej mówiąc, naczelnik fabryki obuwia męzkiego, jest zapalonym politykiem; czytać nie umie popolsku, a rad chwyta wszelkie nowinki zagraniczne, szczególniej z rzeszy niemieckiej. Niewyczerpany więc w konceptach swoich Sewerynek, zawsze wynajdzie dla niego niespodzianą a przerażającą wiadomość; tę mu rozpowiada z tajemniczą miną, powołuje się na moje świadectwo, zagada, otumani, odurzy niemca, że ten ani się spostrzeże, gdy go wyprowadzi na ulicę, i zniknie w tłumie.

Z krawcem rządzi się wyszukaną grzecznością. Ten nowy majster dorobkowicz, pnący się do pańskości i majątku, za zaszczyt sobie poczytuje, gdy taki panicz sam własną ręką zapala mu cygaro lub fajkę, gdy go tytułuje panem dobrodziejem, pyta się o zdrowie pani dobrodziejki, wynosi pod niebiosa piękność zezowatej córki, a wspominając ciągle o dobrach ziemskich wujaszka swego, namawia rozkoszującego się majstra do kupna wioski w jego sąsiedztwie...

Otóż tym sposobem długo się udawało memu współlokatorowi: mając 150 zł. miesięcznej pensyi od wuja, starego kawalera i byłego doktora, zawsze w kilka dni po ich otrzymaniu zapisywał się do kalendarza świętych tureckich, bo źródła jego wydatków jak otchłanie bezdenne pożerały potrójną taką summę. Ten drugi kontyngens pochodził od licznej kalwakaty ciotek, babek, stryjenek, które zjeżdżając kilka razy na rok do Warszawy, podtrzymywały słabe finanse kuzynka. Jedna szczególniej, kurująca się od lat kilku na astmę, skoro otrzymała paczkę cudownych ziółek z Permu, za pośrednictwem Sewercia nadesłaną, regularnie co kwartał 50-ma rublami wywdzięczała troskliwość dobrego kuzynka...

Pewnej niedzieli, w dniu stanowczo oznaczonym do wypłaty trzem powyżej wymienionym wierzycielom, koleżka zaplątał się w tylu naraz kłopotach, że one pozbawiły mię wreszcie jego towarzystwa.

W sobotę wieczór poszedł spać o dziewiątej, żeby, wstawszy raniutko, wymknąć się im gładko, albowiem kasa jego zostawała w największej sprzeczności z obietnicą. Nieszczęście mieć chciało, że zaspał; o siódmej puka ktoś do drzwi, Sewercio w strachu, lecz nie traci przytomności i otwiera... Duża blond głowa, granatowy surdut, krótkie nóżki pokazują się we drzwiach; ani chybi, pan Gotdank z poważną miną wchodzi do pokoju.

— Pan szlachcic strów i geld jest? — pyta odrazu stawając przy łóżku, na którem już owinięty kołdrą Sewercio udaje śpiącego...

— A... to pan naczelnik.

— Ja nie żadna naszelnik, ja prosta szewc, który pieniądz od mlode fanfaron dostać nie mogla.

— Bo też... ale siadajno panie Gotdank, siadajno-proszę... bo też i trzewiki od pana tak się drą prędko...

— Niech pan placi, to trzewik rozumieć...

— Uważasz, pan, szczególniej przyszwy.

— Fiem, fiem, wszystkie nieplacone rzecz tak się upomina. Mnie się należeć będzie pięsiesiąt pięć zlotych.

— I groszy siedemnaście, prawda, — kończy wstając z łóżka. — O, widzisz kochany panie, jak ja to pamiętam; ale co tam, głupstwo, drobnostka w tych czasach. Gorsza rzecz oto, że wojna będzie w Niemczech.

— Nie mosze być? — zawołał niemiec niby zadziwiony, choć uważałem, źle mu z oczu patrzało.

— Tak, niezawodnie. Wyobraź sobie pan... ale może fajeczkę, mam prawdziwy knaster...

— Ja, ja, siękuję, ale ten fojna?

— Będzie, będzie jak amen w pacierzu; posłów odwołali, chorągwie zdjęli... i tego ten, w Meklenburg-Szwerin, Sigmaringen, — mówi ubierając się co prędzej koleżka, a na mnie mrugając żebym dalej tę rzecz kontynuował... Lecz jakby na nieszczęście jego, porwał mię taki śmiech serdeczny, iż krztusząc się pod kołdrą, nie byłem w stanie i słowa przemówić. Niemiec zmiarkował jak rzeczy stały, bo ciągle udając zadziwienie, zbliżył się nieznacznie do łóżka i chwyciwszy raptownie parę trzewików przedwczoraj odesłanych Sewerciowi, rejterował się ku drzwiom z tryjumfem.

— Zaplaci pan szlachcic?

— Zapłacę, zapłacę, po południu, jutro...— woła Sewerynek, wyciągając po buty zamoczone ręce.

— No, to ja wziąść będzie te kamaszki, one się drą, przyjmę napowrót...

Sewercio skamieniał. A tu niemiec już w sieni! Więc nuż w prośby, nuż w ciche błagania, żeby panna Amelija z pierwszego piętra nie usłyszała; trudna rada, zagniewany majster swoje „geld“ i „geld“ powtarza, więc w prośby, klękania już do mnie... Miałem trzy ruble przy duszy, dałem, lecz o zgrozo, szewc przyjął je na rachunek długu, a kamaszki swoją drogą zabrał!

Rozpacz i to wściekła rozpacz ogarnęła dandysa. Innych trzewików nie miał, a tu przyobiecał towarzyszyć pięknym paniom do Kaskady, a tu pogoda prześliczna, on więźniem na poddaszu i do tego więźniem Bóg wie jak na długo. Śmiałem się i żałowałem naprzemiany mojego Sewercia, bo ile śmiesznym był w swych wyrzekaniach i tłuczeniu cacek ustawionych na jego biurku, o tyle wzbudzał litość, że bez pieniędzy, bez kamaszy, pozbawiony został tylu przyjemnostek, dla niego będących prawdziwym celem życia.

Po godzinie takich lamentacyi, uspokoił się nieco, przymierzając i odrzucając z pogardą moje stare buciska, gdy nowy kłopot zjawia się na scenę. Krawiec, ów grzeczny krawiec, postępuje hałaśliwie po schodach; snać humor jego fatalny, bo klnie na czem świat stoi, a ciekawe służące z pierwszego piętra wtórują mu głośnymi śmiechy.

— Na miłość Boską, ratuj! — woła chowając się za parawan Sewercio.

— Ani grosza nie mam...

— Powiedz mu co chcesz, powiedz że mię niema... powiedz że jutro... nic, nic mój drogi... powiedz mu żem umarł na cholerę, — woła cały drżący, kuląc się za szafką i tamując oddech...

— Ha, kiedy chcesz, myślę sobie, zróbmy figla, ciekawym co on na to powie... Jakoż przybieram poważną minę, siadam desperacko na łóżku i podparłszy głowę oburącz, ani słyszę jak z trzaskiem otwierają się drzwi pomieszkania, i dobrze zarumieniony pan majster, w kapeluszu na głowie wpada, wołając:

— Trzysta złotych, panie dobrodzieju, trzysta panie dobrodzieju, bo zabiorę do kozy...

— Co to jest? — mówię z powagą, odwracając się nagle — czego pan żądasz i czego hałasujesz w cudzym domu?

— W cudzym, w cudzym—powtarza uśmiechnięty — tu wszystko moje, bo trzysta złotych niewarto; a gdzież ten, ten paniczyk?..

— Na Powązkach, mój panie, albo wkrótce tam będzie. Dziś o godzinie 3-ej zrana umarł na cholerę.

— Co? — krzyknie naraz zupełnie wytrzeźwiony.

— Powiadam panu, że umarł... Nie mając pieniędzy na zapłacenie panu, zmartwił się biedak, dostał cholery wczoraj o godzinie 8-ej, a dziś przed dwoma godzinami wywieźli go...

— Na cholerę, pan mówisz?

— Na najsroższą cholerę.

— Wieczne mu odpoczywanie, panie dobrodzieju, tego i w tym pokoju?!..

— Ot łóżko jeszcze nie posłane. jak go wzięli, tak zostało...

— Upadam do nóg pana dobrodzieja — mówi, widocznie blednąc i najprzytomniej rejterując się ku drzwiom. — Ach! jak tu duszno, cholera, cholera... szkoda człowieka.. moje trzysta złotych... taki grzeczny...

I zniknął zbiegając szybko, ale ciągle powtarzając: umarł na cholerę, umarł... wieczne odpoczywanie...

W pół godziny potem już w całym domu o niczem innem nie mówiono, jak o nagłej śmierci mego kolegi. Słyszałem jak pannie Amelii opowiadała służąca na wschodach; że w nocy posyłali po doktora, po felczerów; że był stolarz brać miarę na trumnę; że jęki chorego spać jej nie dały do samego rana; słowem, nikt nie chciał zajrzeć na górę, stróż nawet usługujący nam jak zwykle, nie przyszedł sukni oczyścić, i udawał że nie słyszy mego wołania.

— Ot, patrzajże, coś sobie narobił — mówię do niego — Bóg wie co z tego będzie?

— Eh, cóż ma być znowu! Jak się pokażę, toć przecie nie wezmą mię za umarłego; gorsza rzecz o buty, a najgorsza o obiad, chociaż teraz głód mi naprawdę dokucza. Mój drogi koleżko, idź, bój się Boga, przynieś mi co bądź do zjedzenia, bo naprawdę cholery dostanę. A żebyś mógł pożyczyć kilka rubli od kogo, lub przysłać mi żyda tandeciarza, to jabym sobie już poradził...

Miałem kilka groszy, przyniosłem mu bułek i wyszedłem do miasta. Na dobitkę wszystkiego, złapał mię woźny z biura na ulicy, mówiąc, że naczelnik kazał mnie szukać na gwałt do jakiejś pilnej ekspedycyi. Służba więc przedewszystkiem, niema rady: niech siedzi i pokutuje Sewerynek za swoje grzechy...

Już zciemniać się poczęło gdym wrócił do domu, i ledwo co potrafiłem wytłumaczyć moją nieobecność, gdy rozżalony kolega obrzucił mię tysiącami przymówek.

— Słowo honoru daję, myślałem, że umrę z głodu; nudności, ściągania wewnątrz, bicie serca, rozpacz... A tu, proszę cię, nikogo wołać nie mogę, chociaż słyszałem dopytywania się o mnie jednego ze znajomych, którego przysłały owe panie dla przekonania się o powodzie mej niebytności. Najwyraźniej, proszę cię, ta tłusta młodsza z pierwszego piętra rozpowiedziała mu, żem dziś rano umarł na cholerę, że widziała jak mię znoszono, jak byłem zmieniony...

— Dobrze ci tak, nie żartuj z ludzi...

— Nie żartuj, nie żartuj... mów sobie co chcesz, ale ten krawiec wygrzmociłby mię laską; znam go, to sławny awanturnik... Ale o tem potem: zmiłuj się, daj co jeść, bo nie wytrzymam...

Zabieram się tedy do miasta, a Sewerciowi każę nastawiać samowar.

— Wody niema ani kropelki.

— Zawołam stróża...

— Ba, kanalija, spił się jak bela, szukaj go w rynsztoku.

— Więc cóż? — mówię już zdesperowany... Ot, niema rady, zrzuć pychę z serca i zejdź na pierwsze piętro...

— Może do kuchni, co? wolę umrzeć jak pokazać się im bez butów.

— Ależ na co, tylko mię posłuchaj; tam przy drzwiach od kuchni stoi beczka z miękką wodą: weź dzbanek, nabierz...

— Mądryś, żeby mię służące złapały, jak zacznę bulgotać po beczce.

— Eh! mój Sewerynie, widać cię w ciemię bito. Uważasz, pójdziemy razem: ja będę schodził naprzód z hałasem tupiąc nogami, a ty będziesz nabierał swobodnie.

— Zgoda, zgoda, masz głowę nie od prezenty. Idziemy.

Ubiera się więc w długi zwyczajny szlafrok, kładzie jakieś stare pokrzywione trzewiki, i podług planu schodzimy oba. Minąłem już ową beczkę, jestem kilka schodów ku parterowi, a krząkam, a szeleszczę, że niezgrabnego zanurzania dzbanka wcale słychać nie było. Lecz kochany Sewercio śpiesząc sie widać na górę,

przydeptuje, na swoje nieszczęście, przednie poły szlafroka, pada jak długi na schodach, tłucze dzbanek, woda się leje strugami, a przestraszone sługi wypadają z kuchni.

Myślały, że to złodziej, więc dalej-że na niego z miotłami. Sewercio krzyczy, ja boję się pośpieszyć z pomocą, nareszcie rozczochranego, polanego wodą ściągają do kuchni. Tu nowy krzyk, nowy przestrach. Pani gospodyni, jej córka Amelia, pani serca mojego kolegi, poznawszy zmartwychpowstałego lokatora, uciekają co tchu do swoich pokoi; za niemi sługi, za sługami dzieci, słowem w całym domu powstaje harmider, wołania, piski, jęki, jak gdyby pożar lub napad jaki groził zniszczeniem.

Ale nie tu był koniec fatalności Seweryna; wrócił on przecie jako tako do swego mieszkania, zawstydzony i zrozpaczony w najwyższym stopniu. Posiliwszy się trochę zasnął, a wstawszy raniutko, zawołał oknem przechodzącego żydka po kupno starzyzny. Rozpoczęto staranny przegląd wyznaczonej na ofiarę garderoby, której że niewiele posiadał pan Seweryn, więc wybór był trudny i ofiara tandeciarza zbyt licha.

Przemawiają się, godzą, żyd po dziesięć razy wraca i przychodzi znowu dokładając po kilka groszy, gdy naraz otwierają się drzwi z przeraźliwym trzaskiem i wpada zadyszany, przelękły, kto?.. wujaszek doktór.

— Gdzie mój!... — wrzasnął na całe gardło, gdy spostrzegłszy siostrzeńca staje osłupiały. W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, mosendzieju, toś ty nie umarł!..

— Jak wujcio widzi — odrzekł całując rękę szanownego doktora, nie bez pewnego kłopotu.

— A to dopiero figlarz ten Osapowicz, mosendzieju; wczoraj pisze mi list „przyjeżdżaj, panie, na gwałt, siostrzeniec umarł na cholerę...“ — No, żydzie — mówi do mrugającego na Seweryna izraelitę — won mi zaraz, mosendzieju... Tak, tak, naprawdę pisał, asan umarłeś ale za długi, co prawda? Widzę, rozumiem, sortujemy, mosendzieju, naszą garderobę...

— Daruj wujaszku, ale naprawdę jestem w wielkiej potrzebie...

— O tem potem, mosendzieju, tylko zejdźmy na dół, bo tam ciotka Zosia czeka zanosząc się od płaczu, a tu i wstydzi się, i lęka się zajrzeć do kawalerskiego mieszkania.

Dopiero przy tylu naleganiach, wydała się cała awantura poczciwego koleżki. Nie chcąc go bardziej kompromitować, powiedziałem wszyststko doktorowi. I uśmiał się serdecznie, nadąsał, naprzeklinał, jednak posłał do szewca, opatrując koleżkę w nowiuteńkie buciki.

— Dyjabła ty tu wyaplikujesz, mój kochanku; już mi, mosendzieju, ręka nie wychodzi z kieszeni, płacąc i płacąc na wszystkie strony. Zabieraj manatki, jedziemy na wieś... Może, da Bóg, na świeżem powietrzu i oleju ci w głowie przybędzie.

Takim więc sposobem nad spodziewanie moje zostałem osamotniony. Ale, ale, przed wyjazdem zdarzyła mu się jeszcze ostatnia przygoda. Tego samego dnia, załatwiając sprawunki wuja-doktora, szedł sobie szczęśliwy Sewercio Długą ulicą. Naraz przed cukiernią Bellego spojrzy mój Sewercio a to gwałtowny ów krawiec zatrzymuje się wytrzeszczywszy oczy. Sewercio do niego, bo jużciż nie wypadało uciekać, on się zaś żegna i patrzy.

— No, i cóż, — powiada — nie poznajesz mnię, panie Iglicki?

— Poznaję i nie poznaję, wszakże pan dobrodziej dnia wczorajszego umarł?

— Tak, umarłem — odpowiada uśmiechnięty, a cny Iglicki rejteruje ku cukierni i żegna się co chwila.

— No, co tam, nie bój się pan; przecież to wśród białego dnia. Dokuczyłeś mi — prawi Sewercio — lecz przebaczam ci to wszystko i na pogodzenie proszę na filiżankę czekolady.

Długo jeszcze biedak uwierzyć, a raczej zdecydować się nie mógł, czy Sewercio żywy, czy z tamtego świata, dopiero zobaczywszy zapijającego czekoladę, spytał:

— Powiedzże mi pan dobrodziej jak się to stało?

— Umarłem, formalnie umarłem i leżałem już wśród gromady podobnych jak ja konkurentów na Powązki; lecz przecie dostrzegł jeden doktór znaki życia i otrzeźwili mię, kończy.

— Chwałaż Ci Panie Boże, nie uwierzysz pan, jak ja się zmartwiłem; a żyj pan, żyj jakie sto lat albo i więcej!

Wychodzimy z cukierni, gdy prostoduszny Iglicki pyta się nieśmiało:

— To proszę pana dobrodzieja, skoro go Pan Bóg tak łaskawie ocalił, nie mógłbym co z tego długu odebrać?

— Ani grosza teraz, kochany panie Iglicki, ani grosza; bądź łaskaw, czekaj parę miesięcy — widzisz wyekspensowałem się na pogrzeb...

— Prawda, prawda -- dokończył, kiwając głową—wiem ja to, wiem, co kosztuje... Niechże i tak będzie...

* * *

I cóż powiecie? Seweryn na wsi przerobił się zupełnie: długi spłacił, gospodaruje bardzo dobrze, a ile razy przyjedzie do Warszawy, staje w dawniejszem mieszkaniu naszem, które sam obecnie zajmuję. Naśmiejemy się nieraz z tych awanturek, a Sewercio błogosławi tę chwilę, ona bowiem zdecydowała wujaszka do zabrania go z sobą na wieś... Tylko co do pieniędzy, te jeszcze dotąd uważają go za swego wroga, i jak pierzchliwe stado jeleni, uciekają precz w świat między ludzi!

Wilczyński Albert — niepospolita gwiazda na polu humorystyki polskiej. Dowcip jego naturalny, niefabrykowany. Świetnie zadebiutował w literaturze książką p. t. „*Kłopoty starego komendanta*" w r. 1856; prócz tego wydał jeszcze „*Dziecię niedoli i dziecię próżności*", „*Nasze dzieci*", i „*Drobiazgi powieściowe*", poczem zamilkł na długie lata. Odezwał się dopiero w r. 1877 po przeniesieniu się do Lwowa, zkąd bezustannie zasila prawie wszystkie nasze pisma utworami wielce dowcipnego swojego pióra. Do najlepszych jego prac, świeżo ogłoszonych należą „*Opiekunowie wdowca*", „*Woły robocze*". „*Sielanki szlacheckie*" „*Siostra mojej żony*", „*Pamiętniki plotkarza*".

Danija.

* Ruszyło się potem wojsko do Nibelu, a ztamtąd do Apenrade, ztąd znowu poszliśmy na zimowisko do Hadersleben, gdzie wojewoda sam stanął z jednym tylko pułkiem naszym królewskim i pułkiem jego dragonii, inne zaś pułki w Koldingu, w Horsenz i po innych wsiach i miasteczkach; a lubo głębiej miało iść wojsko w duńskie królestwo, uważał to jednak dowódca, żeby stanąć na zimę jak najbliżej z tej przyczyny, aby przecie więcej jeść chleba szwedzkiego, niż duńskiego. Jakoż tak było, bo przez całą zimę czaty nasze do tamtych wiosek przybiegały, mszcząc się na nich krzywd naszego narodu. Opisywać by było siła, co tam z nimi robili czatownicy nasi, stawiając sobie przed oczy świeże od nich krzywdy w ojczyźnie swojej. Prowadzono z czat prowiantów wielką obfitość, także bydła i owiec; wołu dobrego dostał kupić za bity talar i dwie marki duńskie; miodów przaśnych wielką wieziono obfitość, bo po polach lada gdzie przestrone pasieki, a wszędzie pszczoły w słomianych pudełkach, nie w ulach; ryb wszelkiego rodzaju poddostatkiem, chleba siła, wińsko złe, ale zaś petercymenty [1]) i miody dobre; drew o male [2]), bo ziemię rżniętą a suszoną palą, z której węgle są takie jak z drew dębowych, i nie mogą być foremniejsze; jeleni, zajęcy, sarn nad miarę i nie bardzo płoche, bo się nie każdemu godzi je szczwać wilków też tam niemasz i dlatego zwierz nie płochy, da się zjechać i blizko do siebie strzelać. A osobliwie takeśmy je łowili: upatrzywszy stado jeleni w polu (bo i pod wieś przychodziło to licho jak bydło), to się one objechało z tej strony od równego pola, a potem skoczywszy na koniach i krzyk uczyniwszy, nagnało się je na te doły, gdzie ziemię kopią do palenia, a które to doły są bardzo głębokie i szerokie w które tego dużo nawpadało; ztamtąd dopiero trzeba je było wywłóczyć i rznąć. O wilkach

[1]) Petercyment: wino hiszpańskie. *Linde.*

[2]) O male: niedostatecznie, mało.

namieniłem, że ich tam nie masz; prawo bowiem takie, że kiedy wilka obaczą, powinni wszyscy na głowę wychodzić z domów, tak po miastach jako też i po wsiach, i tak długo owego wilka prześladując gonią, aż go albo umorzą, albo utopią, albo złapią; a nie obdzierając go, tak ze wszystkiem, na wysokiej szubienicy, albo na drzewie obwieszają na grubym żelaznym łańcuchu i tak długo wisi, póki kości staje. Nietylko rozmnożyć, ale i przenocować się wilkowi nie dadzą. Kiedy mu się zdarzy wnijść na jeleninę, to z tego tu tylko przystępu, który jest między morzami wązki, z inszej zaś strony niema nigdzie przystępu, bo z jednej strony morze baltyckie, z drugiej strony od północy, ocean oblewa to królestwo. Z tamtych wszystkich stron wilk niema przystępu, chyba, żeby sobie w Gdańsku u pana prezydenta najął szmagę [1]) do przewozu, zapłaciwszy od niej dobrze. Z tej przyczyny zwierza wszelkiego wielka tam jest obfitość; kuropatw zaś nie masz z tej przyczyny, że to jest zwierzę głupie, przelęknąwszy się lada czego, to padną w morze i utoną.

Lud też tam nadobny; białogłowy gładkie i zbyt białe, stroją się pięknie, ale w drewnianych trzewikach chodzą wiejskie i miejskie. Gdy po bruku w mieście idą, to taki czynią kołat, iż nie słychać, kiedy człowiek do człowieka mówi, wyższego zaś stanu damy takich zażywają trzewików jak i Polki; w afektach zaś nie tak powściągliwe jak Polki bo lubo zrazu jakąś niezwyczajną pokazują wstydliwość, ale zaś za jednem posiedzeniem i przemówieniem kilku słów, zbytecznie i zapamiętale zakochają się i pokryć tego nie umieją; ojca, matki i posagu bogatego odstąpić i jechać za tym, w kim się zakocha, choćby na kraj świata. Łóżka do sypiania mają w ścianach zasuwane, tak jako szafa, a pościeli okrutnie siła ścielą. Nago sypiają, tak jak matka porodziła, i nie mają tego za żadną sromotę, rozbierając się i ubierając jedno przy drugiem, a nawet nie strzegą się i gościa, ale przy świecy zdejmują wszystek ubiór i na ostatku koszulę zdejmują i powieszają to wszystko na kołeczkach; dopiero tak nago, drzwi pozamykawszy, świecę zagasiwszy, w ową szafę wchodzą spać. Kiedyśmy im mówili, że to tak szpetnie, u nas tego i żona przy mężu nie czyni, powiadały, że u nich nie masz żadnej sromoty, i nie rzecz jest wstydzić się za swoje własne członki, które Pan Bóg stworzył. Na to zaś nagie sypianie powiadają, że ma dosyć za swe koszula i inszy ubiór, co mi służy przez dzień i okrywa mię; powinna też przynajmniej w nocy mieć swoję ochronę, a do tego co mi po tem: robaki, pchły brać z sobą na nocleg do łóżka i dać się im kąsać, mając od nich w smacznem spaniu przeszkodę. Różne niecnoty wyrabiali tam nasze chłopcy, ale przecież nie przełamano zwyczaju. Sposób życia ich ucieszny bardzo, bo rzadko co ciepłego jedzą, ale na cały tydzień różne potrawy uwarzywszy w kupie, tak na zimno tego po kęsu zażywają, a często nawet kiedy młócą, (bo tak tam białogłowa młóci cepami jak i chłop), ledwo nie za każdem snopa omłóceniem, to posiędą na słomie i wziąwszy chleba i masła, które zawsze z jaszczem stoi, to smarują i jedzą, to znowu wstaną i robią, i tak to często czynią, a po kęsku. Wołu, wieprza alko barana kiedy zabiją, to najmniejszej kropli krwi nie zepsują, ale ją wytoczą w naczynia, namieszawszy w to krup jęczmiennych albo tatarczanych; tem kiszki owego bydlęcia nadziewają i razem w kotle warzą i osnuwają wieńcem na wielkiej misce koło głowy owegoż bydlęcia te kiszki i tak to na stole stawiają przy każdym obiedzie, i jedzą za wielki specyjał; nawet i w domach szlacheckich tak czynią; i mnie częstowano tem do uprzykrzenia, ażem powiedział, że się polakom tego jeść nie godzi, boby nam psy nieprzyjaciołmi były, gdyż to ich potrawą. Pieców w domach nie mają, chyba wielcy panowie, bo od nich wielki podatek na króla idzie i powiadali, że sto bitych talarów od jednego na rok. Ale kominy mają szerokie, przy których krzesełek stoi tak

[1]) Szmaga: rodzaj łodzi nadbrzeżnej. *Linde.*

wiele, ile w domu osób; posiadłszy tak się ogrzewają, albo też dla lepszego izby zagrzania, jest w środku izby rowek, jako korytko, który węglami napełniwszy, rozedmą z jednego końca i tak się to żarzy i ciepło sprawuje. Kościoły tam bardzo piękne, w których przedtem bywały katolickie nabożeństwa, piękniejsze też niżeli u naszych polskich kalwinistów, bo są ołtarze, obrazy po kościołach. Bywaliśmy też na kazaniach, gdyż umyślnie dla nas gotowali się po łacinie i zapraszali na swoje *praedicta* [1]), (bo tam tak zowią kazanie), i tak kazali ostrożnie, żeby najmniejszego słowa nie wymówić przeciw naszej wierze; rzekłby kto, że rzymski ksiądz każe; i tem się szczycili, mówiąc: „my w to wierzymy co i wy, daremnie nas nazywacie odczepieńcami“. Ale po staremu, ksiądz Piekarski łajał o to, żeśmy tam bywali; drugi bardziej dlatego bywał, żeby widzieć piękne panny i ich obyczaje. Jest takie ich nabożeństwo: Niemcy oczy zasłaniają kapeluszami, a białogłowy swemi kwefami, i schyliwszy się kładą głowy pod ławki. Wtenczas im nasi chłopcy najbardziej książki, chustki etc. kradli. Postrzegł to raz minister i okrutnie się śmiał, tak, że kazania przed śmiechem nie mógł skończyć. I my także, cośmy na to patrzeli, musieliśmy się śmiać. Zdumieli się luteranie, że się śmiejemy i kaznodzieja się z nami śmieje. Przytoczył potem kaznodzieja przykład o owym żołnierzu, który prosił pustelnika, żeby się za niego modlił: klęknął pustelnik na modlitwę, a on mu tymczasem porwał baranka, co za nim tłomoczek nosił, i uciekł. Przy dokończeniu tego przykładu zawołał: „Pobożność nad pobożnościami! Jeden się modli, drugi kradnie!“ Od tego czasu, kiedy już miały pokryć głowy, to pochowały wprzód książki i chustki, a po staremu nie było i to bez śmiechu, spojrzawszy jedna na drugą. Kiedym z niemi dyskurował, na jaką pamiątkę głowy kryją i oczy zasłaniają, ponieważ tego nie czynił Pan Chrystus, ani apostołowie, żadna nie umiała odpowiedzieć; jeden tylko z mężczyzn tak powiedział: że na tę pamiątkę, że żydzi zasłaniali Panu Chrystusowi oczy i kazali mu prorokować. Ja im na to odpowiedziałem: chcecie li w tem należycie wyrazić pamiątkę męki pańskiej, to was przy tem zasłonieniu trzeba w kark pięścią bić, bo tam tak czyniono; aleć na to zgody nie było. Prędko o tem nabożeństwie wiedział elektor brandenburski i kiedy u niego był starosta Kaniowski rzekł: „Dla Boga, przestrzeż WP. JPana wojewodę odemnie, żeby zakazał panom polakom bywać na kościele, bo się tam pewnie siła ponawraca na wiarę luterską, gdyż, jako słyszę, tak się gorąco modlą, że aż chustki pannom duńskim ta gorącość pożera“. Wojewoda srodze się śmiał z tej przestrogi.

(*Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska*).

Jan Chryzostom Pasek, autor głośnych *Pamiętników*, z których powyższy zaczerpnęliśmy ustęp, — ur. w pierwszej połowie XVII w. Całe życie prawie spędził na koniu i w boju. Przygody swoje opisał tak jak ich doświadczał, ztąd jego pamiętniki po za artystyczną wartością posiadają i niezmiernie donioslą wartość historyczną. Początkowo autentyczność tych pamiętników kwestyjonowano, dopiero odnalezienie zupełnego rękopismu w Biblijotece publicznej w Petersburgu, prawdziwość ich sprawdziły. Humor w odpowiadaniu i prostota z plastyką zdumiewającą uwydatniają czasy i obyczaje współczesne autorowi.

Dante.

* Choć bardzo lubię filozofię Kanta,
Gniewam sie na nią, że ludzi nie uczy
Gdzie iść po śmierci. Wolę piekło Danta:
Właśnie je czytam podług nowych kluczy,
Które przyczyną będą kataklizmu
Mówią, że Dant chciał republikanizmu.
I w poemacie używał języka
Sekretnych związków. A gdy tajemnicze
Kładł majuskule, to podług krytyka
Na końcu rymu położone B. I. C. E.
Wcale znaczyło co innego w pieśni
Niż Beatrice. Wam się o tem nie śnil...

Słowacki. (p. str. 87).

[1]) Widocznie niemieckie: *predi*[illegible]

* Dante, idealny kochanek, który tem się różni od innych, iż przez miłość dostał się nie do raju, lecz do piekła. W swojej „Boskiej komedyi“ zostawił niezwykłą lukę, nie opisał bowiem, jak się w piekle dzieje dyplomatom.

Darmo.

* Idyjotyzm, wyszły obecnie z użycia i zastąpiony wyrazem *gotiu*. Wyrazem tym, pomimo jego nieobywatelstwa, posługują się jeszcze obecnie tylko młodzi wieszcze, niektóre małżonki, opłakujące zgon swych mężów i kandydaci do posad sądowych.

Dary ślubne.

* *Abraham.* Cóż dałeś Emilii na prezent ślubny?

Izaak. Dałem jej srebrny serwis do herbaty na 36 osób. A ty co dałeś?

Abraham. Ja jej dałem porcelanę stołową na 36 osób. A ty Jakóbie coś ofiarował?

Jakób. Ja — srebrne sitko do herbaty na więcej niż 36 osób.

Dawniej a dzisiaj.

* Słowacki pisał przed laty
Jako o swojej dewizie,
Że jeśli gryzie co kiedy,
To sercem gryzie.
Na dyjabła z serca gryzieniem!
Dziś nikt nie walczy sercami!
My czujem jak nas wciąż gryzą,
Ale — zębami. —

Dąb.

* Poeci i trzoda dzielą się tem drzewem; pierwsi zrywają tylko liście, druga jest mądrzejszą i ubiega się za owocem...

Saphir. (p. str. 1).

Dąbski.

* Dąbski wymalowawszy obraz świętej Anny do kościoła, napisał u dołu te słowa:

Proś matko córkę, a córka zaś syna,
By się do nieba dostała dębina.

Ktoś złośliwy dopisał:

Nie palą w niebie, tam nic po dębinie,
Tam drzew pełna izba, gdzie ogień nie [ginie.

Dąsy.

* Wstęp do burzy małżeńskiej. Czasami jeden całus rozpędza wszystkie chmury, które wówczas kończą się tylko małym deszczem z łez. Jest to jeden z najenergiczniejszych środków w arsenale kobiecym; ćwiczą też w używaniu go zarówno swoje lalki, jak i swoje... córki.

Debet-habet.

* W kotylijonu lśniące ronda
Post jak święty piorun strzela —
Dziś oblicze twe wygląda
Jak rozpaczy akwarela.

Siadaj bratku. Ja odczytam
Cały grzechów twych inwentarz —
I kapłańskim głosem pytam:
Lekki duchu, czy pamiętasz?

Czy pamiętasz dwa miesiące —
Ach minęły już niestety! —
Kiedyś twoje serce wrzące
Na balowe niósł parkiety!

Zapatrzony w girland wstęgi,
Ileś razy z blagą skrytą
Szeptał czuły hymn przysięgi —
Ty miłości hipokryto!

Kiedy ona krocząc wzniośle
Nagle spojrzy oczkiem miłem —
Ileś razy młody ośle
Wołał słodko: Zwyciężyłem!

Ileś razy do ołtarzy
Zwracał czule wzrok zapalny!
Tobie żona wciąż się marzy?
Ty, człowieku niemoralny!

Ty, coś z archanielic grona,
Gdzie króluje uśmiech cnoty,
Mknął, gdzie uśmiech cnoty kona,
Bałwochwalczo czcić trykoty!

Ty, coś z grzmiącej tańca nuty
W lot małżeńskie snuł rojenie,
A na lwowskie mknął reduty,
Płaskie, głupie nieskończenie!

Złym sarkazmem, czczym zapałem
Młode serce twe ujęto —
W gronie druhów okazałem
Zapomniałeś na *memento*.

Na *memento*, żeś po serca
Mazurowym sięgał krokiem —
Pół wielbiciel, pół bluźnierca,
Rozkoszował w niebie okiem.

Żeś, podnosząc roztruchany,
Toast wznosząc na te chwile,
Tyle razy był pijany,
Sam już nawet nie wiesz, ile!

Że w szalonem zapust kole
Król karnawał herb wycina,
A w tym herbie dwa symbole:
Pęk kamelii, kielich wina!

Lecz najgorsza, żeś niestety
Debet-habet z oczu stracił —
I za szampan, za bukiety,
Dotąd jeszcze nie zapłacił.

Włodzimierz Stebelski. (p. str. 159).

Dekadenci.

* ...W Interlaken, na wiosnę, było całe grono,
Godne wieszczych rozpaczań twego Peladana...
W dali Jungfrau śnieżyste otwierała łono,
Dołem z Ary oblicza czarna biała piana,
A z balkonu hotelu, w ciszę górską, wiejską
Patrzał zastęp, ziewając modnie, europejsko.

Promień słońca z błękitu, z lasu woń żywiczna
Zda się wciąż nas pytały: Czemu się nudzicie?
Była dość już opiana nuda bajroniczna
I na wszystkich ją nieszczęść postawiono szczy- [cie,
Ale takich nie miała melancholii smętów,
Jak ostatnia choroba — nuda dekadentów.

Patrz! Ten blady, złamany a z krwi wielkiej [rodu,
Ta skarlenia rodzaju ilustracyja żywa...
Stare błazny bulwarów psuli go za młodu,
Najwyższego zepsucia uczyła go diva,
A gdy przeszedł kontrapunkt szału zmysłów, [zgrzytu,
Ma dziś wspomnienie — wspomnienie przesytu.

A ten drugi, wyniosły, z twarzą Merodaka...
Niegdyś jemu nad głową genijusz jakiś wionął
I szła z mózgu młodego myśli furyja taka,
Aż nareszcie w tej myśli nadużyciu spłonął —
A w tem wrzeniu i mdleniu ducha, z burz po- [czętem,
Indyjaninem był wczoraj, dziś jest dekadentem.

Ale na nich nie koniec. Były i kobiety...
Jedna wielka, dojrzała; barwna jak pantery;
Świat już cały obiegła, żądna nowej mety,
Messaliną wciąż była lotnej swej chimery —
I nozdrzami mnie pyta ta salonu córa:
Co jej jeszcze da życie: Bóg, świat i natura?

A zaś obok tej damy w skał czerwonych ściany
Smutna, nikła istota wzrok zmęczony wwierca.
Androgynium jak chłopiec włos ma uczesany,
Purpurowe ma usta od krwi ciepłej serca...
Krew tę w przepaść wysączyć bierze dziewczę [chętka;
To sierota oświaty, młoda dekadentka.

W Interlaken w hotelu i w słonecznym brzasku
Pośród tego mrowiska ludzi jak na scenie,
Wśród „Nababów“, co „Nanę“ czczą w buloń- [skim lasku,
Wśród „Upiorów“, co giną z braku sił w Ibse- [nie
Stałem, okiem pytając: „Czy tu wszystko zero?
Czylim także dekadent? Powiedz mi, pantero!“

„Tak jest! — rzekł mi Merodak — wszystko tu [jest marne,
Ty blaskami się nie łudź, w głębi drzemią cienie;
Te posągi są karle, a te kwiaty czarne;
Twojem losem jest chore nerwów wypaczenie –
Potępiona jest ludów przyszłość po wsze czasy;
Ginie rasa łacińska — giną wszystkie rasy!...

Jungfrau miała koronę z złota już utkaną,
Ara miała garnitur pereł na swej fali,
Kiedy obok hotelu z miną w śmiech rozlaną
Orszak stanął weselny. Płynie orszak dalej —
Wkrótce zabrzmi muzyka i fantazyi doda.
Jakie chłopcy i dziewki! Jaka panna młoda!

„Ginie rasa łacińska! Wszystkie rasy giną!
Wołał do mnie Merodak ciągle, mag grobowy...
A tymczasem, jak tchnienie wiosny nad ruiną,
Obok chorych zdechlaczków lud przechodził [zdrowy.
I mnie magów, fakirów głos już nie omami —
Zaraz tańczyć poszedłem z tymi Szwajcarami...

Wł. Stebelski. (p. str. 159).

Dekameron.

* Był raz sobie młody książę —
(Rzecz jak w bajce się zaczyna!)
Item była ogrodniczka,
Świeża, hoża jak kalina!

Więc kochali się tajemnie;
Książę bowiem był bogaty,
A dzieweczka miała ojca,
Ten zaś kostur znów sękaty.

Mamy więc serc dwojga skłonność,
Stanów przedział, kij brzozowy,
Ojca, co jak lew jest srogim;
— Ot i romans już gotowy!

Teraz niechaj wyobraźnia
Wasza rzuci tu swój promień:
Coś z Faublassa — z Casanowy —
Coś nareszcie z własnych wspomnień.

Bo nie sposób dziś poecie
Puszczać się jak Ariost w hopki,
I malować prawdę nagą,
I nad wszystkie „I“ kłaść kropki.

Zatem więc, pomyślcie sobie:
Schadzki nocne, żar co pali,
Szczęście, które kraść potrzeba,
Pocałunki, i tam dalej.

Owóż raz, gdy młoda para,
Otulona cieniem nocy,
Grucha jak turkawek stado,
Wpada ojciec tam jak z procy.

Wpada gniewny, wpada srogi,
Zawracając oczu białka;
Ach, i pięknej tej sielanki
Epilogiem była pałka.

A *finale* ostateczne —
Czyjeż oko łza nie zmruży?
Wyrzucony z miłej domu
Znalazł się nasz *Prinz* w kałuży.

Trudno wracać do pałacu
Po fatalnej tej przygodzie,
Bieży tedy nasz Romeo,
By się obmyć w Renu wodzie.

Lecz cóż powie, gdy powróci?
Jak rodzicom wytłómaczy
Swoją nocną Odysseję?
Swe przygody? — O rozpaczy?

Co wymyślił, to już wiecie,
Drut albowiem elektryczny.
Po szerokim świecie rozniósł
Księcia rapsod romantyczny.

Była mowa tam o spiskach,
O Komunie i porwaniu,
Pełnym grozy — lecz ni wzmianki
O książęcym wskórobraniu.

I padł strach na wszystkie banki,
I zadrżały wszystkie trony
Pod wrażeniem epopei,
Którą opiał *Prinz* natchniony.

I tak na Parnasu szczytach,
Z łaski ogrodnika laski,
Błysnął młody Hohenzollern,
Odzian w wieszczej sławy blaski.

Lecz ten sukces nie trwał długo;
Czar tragiczny wnet się złamał,
Bo policyja wyśledziła.
Że poeta-książę — skłamał.

Anonim.

Deklinacyja rzeczowników.

* *Nauka dla pełnoletnich.*

(Liczba pojedyncza):

Zaledwie mi pod nosem wąsik siać zaczyna
Płomiennych życzeń celem staje się:
Kto? co? — Dziewczyna.

Zewsząd, jak srogi strzelec na zgubę zwierzyny,
Młokos sidła zastawia na serce:
Kogo? czego? — Dziewczyny.

I zwykle bywa, że nim roczek minie
Wieczną miłość ślubuje wybranej
Komu? czemu? — Dziewczynie.

Głosząc wszem wobec radosną nowinę,
Że oto posiadł już drogą:
Kogo? co? — Dziewczynę.

Lecz gdy pierwsze zapały niepowrotnie miną,
Smutnie głową potrząsa mówiąc:
— O, Dziewczyno!

Tyś to mojej swobody stała się ruiną,
Trzebaż było mi głowę zaprzątać:
Kim? czem? — Dziewczyną.

Rok już teraz po roku coraz smutniej płynie
A gdzież złego przyczyna? Niestety
W kim, czem? — w Dziewczynie.

(Następuje jak zwykle liczba mnoga)

„Szczutek."

Dekoracyje.

* Austryjacki kanclerz stanu, książę Metternich miał przyjmować u siebie duńskiego posła, hr. von Lövenstern, i chciał, stosując się do etykiety, włożyć ordery, które od jego monarchy Chrystjana VIII, otrzymał. Rozkazał zatem swemu kamerdynerowi, przynieść insygnija orderu Słonia, ale mimo gorliwości poszukiwań, służący, w szkatułce mieszczącej ordery nie mógł znaleźć właściwych.

Ponieważ czasu do stracenia nie było, posłał książę do jednego z kolegów dyplomatów, który te ordery posiadał, prosząc o pożyczenie ich na godzinę. Naturalnie przysłano ordery natychmiast, książę je włożył i przyjął oczekiwanego gościa. Po przywitaniu, poseł był bardzo zmieszany i ledwie parę słów wybąknął. „Wasza ekscelencyja jesteś chory?" spytał książę, którego uwagi nie uszło dziwne zachowanie się posła.

„Nie, mości książę," odpowiedział Duńczyk, „ale — przychodzę w imieniu mego monarchy, wręczyć waszej wysokości oznaki orderu słonia, tymczasem widzę, że je pan już posiadasz."

Książę Metternich nie miał wcale orderu słonia, ale tak był zarzucony gwiazdami i krzyżami, iż był pewien, że i ten również dostał i w dobrej wierze zawiesił go sobie na piersiach.

Delegat.

. . .W tej chwili turkot zajeżdżającej bryczki rozległ się przed gankiem.

— Ktoś przyjechał — rzekł gospodarz.

— Niech go dunder świśnie! — zaklął trochę rozgniewany Teluś, któremu fata jakieś sławnego wypadku w Łęczyckiem opowiedzieć nie dozwalały.

— To sekwestrator — krzyknął gospodarz.

— Sekwestrator? - powtórzyli chórem obecni, nie wyjmując nawet... o dziwo!.. milczącego Sączewskiego... Lecz nim się opamiętać zdołali, pan sekwestrator był już w pokoju.

Jak gdy przed groźnie nadciągającą burzą poważna nastaje cisza, tak i na widok nowoprzybyłego gościa, dawniejsi jak trusie zamilkli Snać każdy miał tam jakieś grzeszki w powiecie, a widok chudego sztywnego w ruchach sekwestratora, tego zwiastuna kończącej się już cierpliwości władz powiatowych, tego „memento mori“ dla grzeszników nieregularnie wnoszących podatki, zwarzył całe hulaszcze grono.

Kropski wsunął nogi pod stół, tak że mu ledwo głowę widać było, a syn jego, Fabcio, literalnie pod stołem się znalazł. Tłuczycki, aby także nie być poznanym, zwrócił się (zapomniawszy o grochu) do Damazego. Sączewski nie spuszczał oka z kielicha w którym coś nadzwyczaj ciekawego jakoś na raz zobaczył; obracając nim na wsze strony. Gospodarz nawet, dość zawsze rezolutny, głowę lekko zwiesił, trąc obydwiema rękami kolana, w których mu się nagle kołtun zawcześnie zdjęty odezwał. Jeden tylko Teluś, jako będący dopiero w trakcie kupienia majątku, nie mógł tem samem być jeszcze w trakcie niezapłacenia podatków, więc mając pod tym względem spokojniejsze sumienie kontenansu nie stracił i wesoło powstawszy, rzucił się sekwestratorowi na szyję.

— Jak się masz kochany radco! (był to tytuł ogólny, którym Teluś urzędników częstował). Cóż za szczęśliwa gwiazda cię tu sprowadza?... Właśnieśmy tu przy buteleczce wspominali przed chwilą, jaka to szkoda, że tego kochanego radcy nie ma... Wszak prawda?... Oni — tak milczą z radości, że cię widzą... No, ale kiedyś nam tu spadł jak z nieba w sam czas, tak jakbyś nas podsłuchał... to siadajże radco... Widzisz... ot lampka świeżo nalana... jakby dla ciebie... a wiem że lubisz...

— Ja?.. a uchowaj Boże nadmiaru... Tak wedle przykazania... ale najprzód obowiązki.

— Słuchaj radco — wołał ciągnąc go do stołu Teluś — nie wyłżesz mi się, boć przecie nie na jednym placu już spotykaliśmy się...

— Ale to potem — odpowiedział opierając się sekwestrator. . to ma czas... obowiązek, czynność... przedewszystkiem.

— O... o...o!.. zaraz tak prosto z mostu brać szlachtę za kołnierz... toć przecie nie idzie — zawołał Teluś.

— Najszanowniejszy panie!.. ja na to nie poradzę — odparł sekwestrator. — Naczelnik wyprawił mnie z najsurowszą instrukcyją w drogę: dodając, że skoro trzykrotne egzekucyje nic nie wskórały, niema co zwlekać i trzeba zajmować co się da... bo im bliżej przednówka, tem mniej objektów do zajęcia pozostanie na gruncie.

— Czyż to ja jeden tylko zalegam z podatkami? — zapytał ochłonięty z pierwszego wrażenia gospodarz.

— Nietylko sam najszanowniejszy dziedzic, ale oto i ci przytomni najszanowniejsi obywatele, do których mam także podobnego rodzaju komisoryjum.

Ciężkie westchnienie Kropskiego i Tłuczyckiego rozległy się echem w powietrzu; Sączewski kiwał głową jak Chińczyk na wsze strony jeden tylko Baryłkiewicz, brząkając kluczykami; zawołał:

— To wszystko jedno drugiemu nie przeszkadza. Najprzód o dzień lub tydzień naczelnikowi nie chodzi. Postaramy się o pieniądze.

— Owszem — odparł sekwestrator — tu teraz o każdy dzień chodzi i bardzo zależy nam na tem, aby zaległości obecnie na delacie będące, jaknajprędzej ściągniętemi zostały. Po pierwszym bowiem przychodzą nowe bieżące podatki, nowa robota w kasie... i znów nie będzie czasu zająć się zaległościami.

Baryłkiewicz potarł czoło, jak gdyby w niem nowa się myśl ulęgła.

— Pojmuję ważność obowiązku twego — dodał po chwili — ale kochany radco, przedewszystkiem wypij — no chorążego, reszta się znajdzie.

— Przedewszystkiem, najszanowniejszy panie, czynność — odparł niewzruszony urzędnik.

— Tfy!.. takie androny pleść tobie — zawołał nietracący fantazyi Teluś. Jużciż jak od czynności zaczniem i za zaległości będziesz co chciał zająć Doliwie, to mu nic innego chyba piwnicę zajmiesz, bo tam tylko jego skarby się kryją. Z czegóż więc będziemy potem pili, gdy raz na tem pieczęcie przyłożysz?.. Osądźże sam mój radco.

— No przecież... aż do tego może nie przyjdzie — odrzekł sekwestrator, mięknąc już trochę na ten argument Telusia — Toć najszanowniejszy coś a conto zaległości zaliczy.

— A... sekwestratorze... gołąbeczku... mośćdobrodzieju... kpij zdrów—odparł gospodarz.— Czyż nie wiesz, że to przednówek niedaleko i jaki to dyjabelnie ciężki był rok? Ściśnij mię jak cytrynę... nic prócz trochy wina ze mnie nie wyciśniesz.

— Oj rok, rok, — wtrącił Kropski. — Ten złodziej Abramek na rzepaku mnie dorżnął.

— Mój cały groch dyjabli wzięli — dodał szybko, korzystając z okazyi Tłuczycki.

— Jeszcze trochę cierpliwości, a pieniądze będą — ciągnął dalej gospodarz — bo oto szanowny mój kuzyn a delegat Towarzystwa kredytowego, przyjechał z nową pożyczką na dobra.

— Czy tak? — zapytał mnie sekwestrator.

— Jest już na to sankcyja — odrzekłem.

— Żeby nie mój groch zgniły, byłbym mosterdzieju dawno podatki opłacił — wtrącił Tłuczycki. — Dziś przystąpię zaraz do nowej pożyczki i pierwsze listy na zapłacenie zaległości obrócę.

— Żeby nie szelma Abramek, co mnie na rzepaku orżnął — dodał Kropski — nie byłbym wam winien i grosza. Stało się... przystąpię i ja do pożyczki i najprzód skarb pokryję.

— No, widzisz mój radco — dokończył Teluś — jak ta poczciwa szlachta myśli o należnościach skarbowych... Czyż można ich za to dusić?.. O, nie, nie boję się o ciebie!.. znam cię aż nadto dobrze... nie jesteś krokodylem, żebyś biedną szlachtę miał pożreć. Zresztą, — dodał ściskając go w objęciach — sam przecież jesteś dobrym szlachcicem.

Sekwestrator poprawił wykrochmalony kołnierzyk na tę doraźną legitymacyją, do której Bogiem a prawdą, najmniejszego nie miał tytułu.

— Znałem twego ojca — ciągnął dalej Teluś, który go nigdy na oczy nie widział— dziarski był szlachcic, jak to mówią—i do wybitki i do wypitki; podobno kiedyś miał być nawet majętny.

— Kiedyś... może — wtrącił rumieniąc się sekwestrator—w ostatnich czasach trochę podupadł.

— No podupadł jak każdy dobry szlachcic— dorzucił Baryłkiewicz — i to właśnie prawdziwego jego szlachectwa dowodzi... Dorobkiewicz żaden tego nie potrafi.

Sekwestrator, zmieszany na razie wspomnieniem o papie, który mówiąc nawiasem nigdy szlachcicem nie był i miał sobie do śmierci dwa numery mąki na dzierżawionym wiatraku — widząc, że pan Telesfor o tem wszystkiem nie wie, a niechcąc zadać kłamu szlacheckiej solidarności, wziął podany sobie kielich w rękę i jednym go haustem wychylił.

— A co... jak trąbi karmazyn! — zawołał Teluś.

— Natura wilka ciągnie do lasu — odrzekł ze szlachecką fantazyją sekwestrator. — Zastrzegam sobie jednak szanowni dziedzice — dodał szybko przypomniawszy sobie cel przyjazdu — że dziś wieczorem, choć dla formy, sporządzę protokulik, bo jutro rano muszę być z powrotem w powiecie.

— No to mamy całą noc przed sobą; poco przerywać chwilę wesołości? Zdrowie radcy!.. naszego brata szlachcica! — zawołał śmiejąc się z ukrytą ironiją gospodarz. — Daj pysia radco!

To mówiąc ucałował go w oba policzki.

— Zdrowie brata szlachcica! — zawołali kolejno wszyscy obecni, prócz Sączewskiego, który jednak afirmative głową skinął.

Chorąży obszedł w około, śród pocałunków na obie strony, które się i mnie od świeżo kreowanego szlachcica dostały.

— Ale... a moje szkapiątka? — zawołał nagle sekwestrator — czy będą co miały na zęby.

— To już moja rzecz — zawołał zrywając się Baryłkiewicz. — Wiem, żeto twoja słabość. Ugościmy je na równi z tobą, a i do domu coś się konikom dostanie.

— Dziękuję... najmocniej dziękuję... bo to widzi kochany pan — biedne bydlątko to nie powie, choć głodne.

— Nie bój się nic, każe je przy swoich koniach postawić, nie będą miały krzywdy.

Trzeba wiedzieć, że konie sekwestratora były dlań wszystkiem, stanowiły nietylko jego majątek ale jego chlubę i cel jego wszystkich zabiegów. Były to dwa ciężkie łyse kasztany, jeden z obfitym konopiatym ogonem i pręga przez grzbiet, drugi niestety z mniej obfitym, szczurzym ogonem, oba wypasione jak wieprze yorkshirskie, bo sekwestrator gdzie zajechał o obrok dla nich upominał się przedewszystkiem; używałzaś swych kasztanów z taką oględnością, że choć na szlacheckie konie był biczem bożym i wyciągniętego kazał jechać kłusa, swymi jednak kasztanami stępo, lub co najwięcej lekkim zwykł byłjeździć truchcikiem, przystając co karczma dla wytchnięcia faworytom, które wtedy słomą ocierał, klepał, głaskał, a niejednokrotnie nawet w różowe łysiny całował. Miał też do nich chłopaka, gapę, ślamazarnego, imieniem Frąsia który do tej wolnej jazdy i do ciągłego stawania już był przywykł.

Nim pan Telesfor wyszedł na podwórze, aby ulokować konie sekwestratora, zbliżył się do gospodarza, zapytując go z cicha, czy jest coś pośladu przynajmniej na śpichrzu.

— Nie wiem Telusiu — odrzekł pan Doliwa — to tam włodarz ci powie... ale ci wyznam szczerze, że mi ta bestyja swoim przyjazdem popsuła cały humor.

— Nie bój się nic — szepnął pocichu Baryłkiewicz.

— Żeby go tak na całą noc zatrudnić przy butelce — dodał cicho gospodarz — tobyśmy go się może bez protokółu pozbyli.

— Hm!.. — mruknął Teluś, potarłszy czoła — czekaj... pomyślimy nadtem.

I zabrawszy klucze od śpichrza, wyszedł.

Cała takrótka rozmowa odbywała się niepostrzeżenie, sekwestrator bowiem dostawszy się raz w ręce Kropskiego, Tłuczyckiego i Sączewskiego, musiał spełniać toasty jedne za drugiemi, żeby ich choć w części dogonić. Na pochwałę świeżego szlachcica dodać musimy, że się przeciw temu już nie bronił wcale.

. . . .

. . . .nagle hałas i krzyki przed domem przerwały naszą rozmowę.

Sekwestrator, blady... bez czapki... mimo deszczu i mocnego zimna, tarmosił za uszy i włosy swego parobka Frąsia, wymyślając na czem świat stoi... Reszta gości, prócz wychylonego przez okno gospodarza domu i Baryłkiewicza, obstąpiła w koło zapaśników, nie wiedząc czy chłopaka bronić czy też wtórować na jego grzbiecie rozjuszonemu sekwestratorowi.

— Co się stało panie sekwestratorze? — zapytałem chwytając go za rękę. — Czemu pan tego biedaka tak bijesz?

— Ach panie — zawołał zagadniony — to okropne! Jestem w rozpaczy... moje konie!..

— No cóż, schwacił je?

— Ale gdzie tam.

— Okaleczył?

— Ale gorzej jeszcze.

— No więc zabił, czy otruł?.. cóż u licha?

— Skradziono mi je ze stajni!.. — wystaw pan sobie!.. skradziono! czy pan słyszysz?

— Słyszę... ale cóż tu bicie pomoże? Toć on ich nie skradł, skoro tu jest!

— Ale jemu szelmie z przed nosa skradli... spał przy nich i dał je wyprowadzić.

— No, jeśli spał, to jego cała wina, że się nie obudził.

— A no, to też i ja mówię...

— Ależ nie każdy człowiek obudzić się może jak chce.

— Ale co mi pan perswadujesz. Moje kasztanki, moje kasztanki! — wołał sekwestrator, puściwszy chłopaka i rwąc sobie włosy z głowy.

— Zamiast tu stać, lamentować, dręczyć chłopaka, lub swojej głowie krzywdę robić, poproś pan lepiej gospodarza domu o pogoń, a może się zguba znajdzie jeszcze.

— Prawda, najszanowniejszy dziedzicu! — wołał błagalnie sekwestrator. — Pogoń... parę chłopów na koniach...

— A zkąd ja ci teraz chłopów wezmę — odpowiedział Doliwa z okna — to wszystko o tej porze pijane i śpi jak zabite.

— To proś pan chociaż o konia lub o parę — rzekłem do sekwestratora — jedźcie z chłopakiem szukać zguby. Granica pruska nie daleko... toć się może znajdą jeszcze, bo złodzieje tam tylko zwykle podążają.

— Ach, panie! z nieba jesteś z taką radą. Koni! koni! najszanowniejszy dziedzicu! pary koników smagłych... na miłość Bozką! — wołał błagalnie sekwestrator, wyciągając ręce do okna, z którego wyglądał Doliwa.

— Owszem... mośćdobrodzieju! ale mi radca zajeździsz na śmierć.

— Uchowaj Boże!.. Pan wiesz jak ja koniki ochraniam. Ale dziedzicu ani chwili czasu nie zwlekaj... od tego mój los, moje kasztanki... moje wszystko zależy.

— Teluś! — krzyknął gospodarz — każ włodarzowi parę najlepszych koni okulbaczyć i przed dom wyprowadzić.

— Jak kazał, tak się stało. Baryłkiewicz zjawił się jak *deus ex machina*, i za chwilę para koni okulbaczonych stała już przed domem.

— Ależ jak my tu drogę znajdziemy? — stękał sekwestrator, wdrapując się na konia i ręką trzymając go za grzywę. Noc tak ciemna, że choć oczy wykol... i łba końskiego nie widać. Czy ty gapo dojrzysz ślad? — zapytał chłopaka.

Frąsio już ze strachu i pobicia gadać nie mógł.

— Puście tylko konie prosto, a na krzyżówce zwolna skręćcie na prawo nad rowami, to konie już same ku granicy pójdą — rzekł Baryłkiewicz.

— A czy spokojne? — zapytał sekwestrator, trzymając się jedną ręką grzywy, a drugą kuli od siodła.

— Jak dzieci — dodał Teluś.

— Więc w imię Boże — rzekł sekwestrator, ruszając z miejsca truchcikiem, jak nowy Donkiszot, a jego Sancho Panszo, Frąsio, krok w krok podążał za nim po błocie.

Podążmy i my za nimi.

Deszcz padał coraz rzęsistszy, a drogi i role rozmiękły tak dalece, że konie lgnęły aż po same pętliny; co gorsza, noc była tak przeraźliwie ciemną, że dojrzeć się choćby o dwa kroki, było niepodobieństwem.

Sekwestrator zrazu jechał truchcikiem, bał się bowiem uderzyć konia, żeby mu się w odwecie niespodzianem wierzgnięciem nie odemścił, po kwadransie jednak, kiedy już się z ruchami swego wierzchowca oswoił, targnął go trzęzelką i lekko pręcikiem musnął.

Poczciwy szkapa ogonem tylko machnął i nieco kroku przyspieszył. Tem pierwszem powodzeniem ośmielony jeździec już w pół godziny silniej konia zaciął, jednocześnie chwytając się oburącz za szyję; ale zacny rumak silniej tylko ogonem machnął, a oglądając się na boki, coby ten gwałt znaczył w lekkiego wpadł galopka, najmniejszej do wierzgania nie okazując skłonności. Galopek wydał się sekwestratorowi jazdą bardzo przyjemną; po ciężkim kłusie wierzchowca, bujał się on jakby w fotelu na biegunach i nie tak od siodła odskakiwał.

Po godzinie jazdy, rozgrzany powodzeniem i zupełnie już siebie pewny, jeździec okładał szkapę na oba boki, zaczem wierzchowiec, sapiąc i dysząc jak miech kowalski, zbierał nogi, ile go na to stać było.

Sekwestrator, jak powiedzieliśmy, był biczem Bożym na konie, robiąc tylko jedyny w tym względzie dla swoich kasztanów wyjątek; skoro więc już raz wprowadził wierzchowca w galop, nie bacząc na to, że skapa nogi po błocie wyrywa, że z pod czapraka i tręzli biała wydobywała się piana, chłostał a chłostał biednego konia, który znużony nareszcie, utknął na przednie nogi a jeździec naraz twarzą w miękkiem znalazł się błocie.

Była to chwila odpoczynku dla jeźdźców i koni. Sekwestrator, klnąc na czem świat stoi, ocierał błoto z ust i rąk, chłopak zaś trop w trop podążający, podnosił tymczasem wierzchowca, któremu się nogi w lejce od tręzli wplątały. Ale zaledwie koń stanął na nogi, już sekwestrator siedział na nim i ująwszy go mocniej w lejcach, dla uniknięcia powtórnego salto mortale, ruszył galopem z miejsca. Jeździec sapał, koń chrapał... ale nie było rady... zbierać nogi musiał jak mógł, bo jeździec bata i łydki nie szczędził.

Tak przelecieli aż do świtu.

Nad ranem deszcz ustał, z poza rozsuwających się obłoków błysła jutrzenka, a z nią i zorza blado różowem zajaśniała światełkiem. Szkapy ustawały zupełnie i mimo bicia, ani rusz było pośpieszyć. Rad więc nierad, musiał sekwestrator jechać stępa, obok zdyszanego swego chłopaka.

Wtem spragniony wierzchowiec Frąsia, na widok wody w rowie zarżał...

— Wielmożny panie... to takuchny głos jak naszego biczowego kasztanka.

— Bodajeś przepadł, gamoniu! — odrzekł gniewnie sekwestrator — jeszcze mi będziesz jego przypominał!

Po chwili na widok kupki siana, oderwał się znów wygłodniały wierzchowiec sekwestratora.

— Wielmożny paniczku!.. ale to takutuchny głos jak naszego licowego.

— A bodajeś zaniemiał! — krzyknął zniecierpliwiony sekwestrator, któremu wspomnienie licowego rozkrwawiało serce do reszty. — i zaciąwszy biczem szkapę, znów go w lekki truchcik wprowadził.

— Paniczku, ja już nie mogę zdążyć... mój szkapa ustał do cna i na prawą nogę upada.

— Wal go co się zmieści, a ruszaj!

— Ale on się może schwacić i zdechnie.

— A to niech zdycha... to nie mój. Widzisz go, jaki miłosierny.

W samej rzeczy, wierzchowiec chłopaka kulał już porządnie, a obydwom koniom boki tak zapadły, tak były zmarnowane, zbite, zziajane, że litość brała patrzyć.

Dzień też robić się już zaczął na dobre.

Nagle chłopak spiął się na strzemionach, żegnając znakiem krzyża świętego.

— Co tobie gapiu?— spytał sekwestrator.— Będziesz tu może pacierze odmawiał?

— Wielmożny panie... dopuszczenie Boże, czy co?..

— No cóż znów?

— A dyć wielmożnego pana koń, to ma takuchny konopiaty ogon i pręgę bez grzbiet, jak nasz licowy.

— Co ty bajesz?

— A i łysina taka sama.

— Bój się Boga! – krzyknął sekwestrator,— a i twój szkapa ma taką łysinę jak nasz biczowy... Wykręć no się ośle... Jezus, Maryja! i taki sam szczurzy ogonek!.. To mój koń!

— I to nasz koń! — zawołał chłopak.

Stanęli obaj jak wryci, wpatrując się w swe własne konie, na których mniemanej zguby szukali.

Trzeba bowiem wiedzieć, że cała scena skradzenia koni była prostym figlem Baryłkiewicza, który obiecawszy panu Doliwie tak zatrudnić sekwestratora, iżby ten protokółu zajęcia sporządzić nie mógł, wpadł na myśl szatańską wyprowadzenia koni ze stajni przed nosem chrapiącego po wódce parobka, a narobiwszy później hałasu o złodzieja podstawił sekwestratorowi do pogoni własne jego konie.

— Boże! moje szkapiątka... co się to z nich porobiło! — wołał, wychodząc z osłupienia sekwestrator. — Cóż to za licho się stało?.. Może się tobie ośle przyśniło, że ci konie skradli i narobiłeś hałasu.

— Ale wielmożny panie, przecie dokumentnie widziałem...

— Coś widział?

— No... że koni nie było.

— Jakto, czyś wstawał do nich w nocy?

— Nie wstawałem, bo to wej zaraz z północka się zrobiło.

— Więc kiedyś gamoniu nie wstawał, zkądżeś się dowiedział że skradli.

— A no, ktoś mi we śpiku krzyknął nad uchem, że kasztany skradzione — ja się też zerwałem na równe nogi, oświeciłem latarkę... patrzę... koni niema.

— Cóż dalej?

— A no dalej, jak widzę że niema koni, tak też zacząłem krzyczeć, że koni niema.

— Ale cóż dalej?

— A no, wielmożny pan przecie wie najlepiej co dalej, bo dalibóg wielmożny pan na mnie ręki nie żałował.

— Ale dlaczegożeś gapiu krzyczał, że konie skradli?

— A no, bo koni nie było.

— A zkądże się, gamoniu tu wzięły?

— A no... to już jest chyba sprawa złego ducha... W imię Ojca i Syna. Wielmożny panie, ja już przy tych koniach nie będę służył, bo to nieczyste stworzenia.

— Ja ci tu dam nieczyste stworzenia! Moje kasztanki nieczyste stworzenia. Tylko ty mi się tu rusz od koni. Przecież trzeba teraz coś zrobić z niemi, bo bydlątka, jak Bóg Bogiem pozdychają.

— A no, trza się wrócić nazad na piechotę i konie za sobą ciągnąć.

— A gdzież jesteśmy?.. ja tych dróg nie znam wcale.

— Wielmożny panie, a dyć my z granicy kuflewskiej nie wyjechali; ot tamte krzywe topole za górką...

— Co ty bajesz? myśmy może już w Prusach... co najmniej z pięć mil zrobiliśmy.

— Wielmożny panie... ja już nie wiem. . ja za służbę dziękuję... to jakiś czort szkapami kręcił... Przecie to tam za groblą Sobkowice... a to tu za górką kuflewski dwór.

Sekwestrator poznał okolicę... cichaczem przeżegnał się, także nawpół ze strachem i w milczeniu poprowadzili za sobą ledwie wlokące się konie do Kuflewa.

„Wędrówki delegata.“

Jordan pseudonym pełnego talentu humorysty dotąd z nazwiska nieznanego. Z utworów jego wymieniamy „Wędrówki delegata,“ „Przygody pana Marka i Agapita“ oraz komedyje: „Słomiany człowiek“, „Przy kolei“ i wiele innych.

Delikatność.

* Napoleon I objąwszy władzę, pragnął zjednać sobie członków rodzin arystokratycznych rozproszonych w czasie rewolucyi. Miał nadzieję utworzyć z nich dwór świetnością rodów dorównywający dworom dawnych monarchów. Księżna de Lagnes jakkolwiek odzyskała majątek skonfiskowany poprzednio nie chciała brać udziału w uroczystościach cesarskich. Ulegając dopiero namowom pana de Norbonne, mającego zarówno poszanowanie rojalistów jak i stronników nowego rządu, ukazała się na jednem zebraniu w Tuileries. Napoleon rozdrażniony długim jej uporem zbliżył się do niej a patrząc prosto w oczy odezwał się gburowato: — Pani, jak widzę, dziobatą jesteś. — Wiem o tem najjaśniejszy panie — odpowiedziała księżna z godnością — chociaż żaden francuz tego mi nie powiedział.

* Przykład godności, poparty delikatną nauką właściwego w obec dam zachowania, dała osoba podróżująca w gronie wesołej a nie pamiętnej obowiązku grzeczności dla kobiet młodzieży. Gdy towarzysze nie krępując się jej

obecnością zaczęli palić w wagonie papierosy, jeden z nich trochę uważniejszy spostrzegł, że młoda osoba z wyrazem cierpienia na twarzy zwróciła się do okna. — Pani zapewne dym szkodzić musi? — zapytał po chwili. — Nie umiem panu na to odpowiedzieć — odparła zagadniona z uprzejmym uśmiechem— bo nigdy dotąd jeszcze w obec mnie nie palono. Młodzi ludzie zrozumiawszy naukę porzucili papierosy.

Delikatność uczuć.

* *Kuba.* A cegoć to wasa baba becy?

Walenty. A bo jej powiedziołem, ze się tatkowi zmarło, ale to nie prawda, ino jałówka carna padła — ale nie chciałem jej tak zrazu zmarkocić...

Kuba. Juści, macie racyją..

Dentysta.

* Pewna dama w Wiedniu obstalowała szczękę u sławnego dentysty. Po wprawieniu jej wyszła nie zapłaciwszy, tłómacząc się, że nie ma przy sobie pieniędzy.

Dentysta, znając nazwisko i numer mieszkania damy, nie nalegał o zapłatę, ale po upływie kwartału posłał rachunek. Pieniędzy wszakże nie odesłano mu. Po upływie następnych trzech miesięcy posłał znów rachunek i znowu napróżno. I trzecie przypomnienie nie odniosło skutku.

Nakoniec cierpliwość dentysty wyczerpała się do szczętu i w parę dni potem otrzymała dama od niego list, a w nim kopiję ogłoszenia, które niezwłocznie do wszystkich dzienników wiedeńskich miało być przesłane. Brzmiało jak następuje:

„Tanio na sprzedaż jest nowa szczęka, którą każdy w ustach pani X. oglądać może".

Tejże godziny otrzymał dentysta swoje pieniądze.

* *W bramie kamienicy.*

Żydek. Handel! handel! handel! handel!

Stróż. Posed prec, wynoś się! tu siachrom nie wolno — widzis go jaki mi handel!!!

Żydek. Czego się pan stróż tak wszczeka?!

Stróż. Umykaj, bo ci wszystkie zęby wybiję!!!

Żydek. Aj waj, jaki mi *dentysta!!*

* *U dentysty w XX wieku.*

Osoby: Dentysta i Chory.

Chory. Ajaj! ojoj! ujuj!

Dentysta. Trzeba wyrwać przy pomocy gazu rozweselającego.

Chory. Ajajaj! gwałtu, rwij pan, bo skonam!

Dentysta (*podsuwa pod nos klijenta gaz rozweselający i oburącz rwie ząb, operacyja ta trwa około dziesięciu minut*).

Chory. Ach, ach, jak mi przyjemnie, jak mi wesoło... (*śpiewa*). Zacznijmy skakać, tańczyć, śpiewać...

Dentysta (*rwąc ząb*). Ależ uspokój się pan!

Chory (*zrywa się z krzesła i trzymany na wodzy za pomocą lewara ciągnącego ząb, śmieje się do rozpuku*).

Ha, ha, ha! a to zabawne, słowo daję, rwij pan wszystkie po kolei, jak to wesoło i przyjemnie!

Dentysta (*wyrywa kawał szczęki wraz z trzema zębami*).

A co już nie boli?

Chory. Bynajmniej, ha, ha, ha, tra la la, jestem wesoły, co się należy za wyrwanie pięciu zębów i szczęki?

Dentysta. Od zęba po dwa ruble, szczęka jako rabat!

Chory. Tra la la! służę panu pieniądze, jakże mi wesoło!

(*Odchodzi, śmiejąc się i tańcząc*).

F. R.—n.

* — Juześta mi Icku i bańki stawiali i krew puscali dwa razy, a głowa jak bolała tak boli.

— Nie bójcie się, Wojciechu, dajcie sobie jeszcze dwóch zębów wirwać, zapłacicie dwa złote i będzięcie zdrowe jak bik.

— Kiedy mnie Bogu dzięki zęby nie bolą...

— Ny — to co? ale wam zaraz od głowe wsistkie bolenie odciągnie.

* Dentysta jest to człowiek, który obrywa szczękę bliźniego, aby miał czem poruszać swoją.

Kur. Warszawski.

Descartes.

* Książę Dhihs, widząc upodobanie Descartesa w wykwintnym stole, zapytał złośliwie:

— Czy filozofowie lubują się w przysmakach?

— Czemu nie — odpowiedział Descartes— sądzisz pan, że natura tworzy przysmaki dla głupców tylko?

Desideria (pia).

* Znany z dowcipu i z trafnego cytowania różnych przypowieści nasz finansista X. uwziął się obecnie wszystkim swoim znajomym imponować łaciną.

Niestety! na tej łacinie żona pana finansisty bardzo często źle wychodzi, będąc bowiem z usposobienia artystką, w każdy czyn swój chciałaby przelać ten smak artystyczny, jaki nosi w sobie, gdy tymczasem mąż jej nieraz za pomocą łaciny, bezwiednie żonkę swoją obdziera z otaczającego ją uroku.

Tak naprzykład, pewnego razu państwo X. zostali zaproszeni na herbatę do państwa N.

Wieczorem p. X, stawił się sam bez żony.

— A co się robi z pańską żoną? — zapytała uprzejma gospodyni.

— Ona, widzi pani, musiała zostać w domu, bo dziś piła Hunjadę.

— Czy jest cierpiącą?

— Cierpiącą na prawdę, ona nie jest, tylko od kilku dni miała ciągle *pia desideria* — odrzekł pan X., ciesząc się niezmiernie z tego, że tak w porę mógł się pochwalić swoją łaciną.

Deszcz.

* Jak miły deszczyk! co to z niego będzie?
Wszystko nam z ziemi dobędzie.
„A niech Bóg broni! krzyknie sąsiad przestra-
Ja tam mam trzy żony“. [szony:

Aleksander Fredro.

* *Deszcz w podróży.*

Z tych miłości własnych
Żadna nie przyszła do snu mię kołysać;
Przy dwóch światełkach, jak gwiazdy niejasnych
Chciałem z krosienek moich wstać i pisać
Czekając zorzy różowego świtu,
Wtem deszcz... w tej klatce nie było sufitu!...

I zawołałem: ty śpisz Eneaszu,
A tu deszcz na nas leje się z dachówek!
Wnet rozbudzeni oba na poddaszu,
Więcej do czynu sposobni niż słówek,
Wściekać się więcej zdolni niż łzy ronić,
Przemyślaliśmy, jak i gdzie się schronić.

Szczęściem, że w ścianie, uwitej z sośniny.
Po obu stronach były dwie framugi;
Ach nie framugi — zaczęte kominy!
Więc ja jak krótki, mój kompan jak długi,
Oba jak dłutem z marmuru wycięci
W niszach przeciwnych — ktoby rzekł, że
[święci.

Przy naszych nogach zapalone lampy,
Ręce złożone na piersiach pobożnie;
Każdy z nas biały, jak w operze Zampy,
Wiedźma z marmuru — bardzo nieostrożnie
Pierścionkiem złotym za żonę pojęta;
Lub jak niewiasta Lotowa w sól ścięta;

Lub jak mumija w ścianie piramidy...
Niech porównania dalej lecą kłusem.
Byliśmy jako ów posąg Tetydy,
Zakryty wody srebrzystej obrusem,
Stojącej sucho w wodnej samołówce,
Który czytelnik ujrzy w Zofijówce.

Tu, wychyliwszy głowę mój towarzysz,
Głosem żałosnym rzekł: — Czy żyjesz? — Żyję.
A on mi znowu rzekł: —O czem ty marzysz?
A ja mu rzekłem: że się nie ukryje
Żadna zasługa pod żadną przeszkodą;
Ja mówię pacierz... Bóg słyszy pod wodą.

Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi,
Nie spali ogień... a kompan: — Nie słyszę:
Woda tak szumi, już mokre mam nogi...
A ja mu na to: Cierp, a ja opiszę
Nasze cierpienia ściągnięte bez winy
Iprzedam wiernie córkom Mnemozyny —

I kiedyś w późne wieki, wstanie mściciel,
I tu postawi hotel, mości panie!
Tu, na tem miejscu, gdzie teraz Jan Chrzciciel
Mógłby duszyczki kąpać jak w Jordanie;
Tu, gdzie stoimy, ja ci przepowiadam —
Tu stanie hotel — tu, gdzie w nurty padam.

W nurty natchnienia, myśląc o żegludze
Dawnych rycerzy — Eneja — Ulissa...
A mój towarzysz rzekł mi: — Ja się nudzę
Stojąc w tej niszy jak kozacka spisa;
Wyznaj, że Grecyja *c'est eunnyeux en diable*,
Ja cały mokry — *mais c'est insuportable!*

Nie masz zegarka? ja mój do kompasu
Zregulowałem, tam na łóżku leży;
A ja mu na to: — Mamy dosyć czasu:
Nim Febus we drzwi Aurory uderzy,
Gadajmy sobie o czem pożytecznem,
Lub o zbawieniu... lub o ogniu wiecznym...

Albo śpiewajmy sobie kontredansy
Tańczone dawniej — ja dyszkantem wlekę;
Albo ci powiem powieść Sancho Pansy
O trzystu owcach wiezionych przez rzekę —
Ty licz, ja będę tron mówcy dziedziczył;
Jeśli chcesz, ty mów... a ja będę liczył.

Czy znasz Byrona? — Nie! — To wielka szkoda!
Mógłbyś się teraz przenieść w ideały;
Czajld Harold niegdyś był w Grecyi... Ta woda
Łóżka nam porwie srebrzystymi wały
Czy znasz Platona?... przyszło mi do głowy
Zaczęcie jednej Sokrata rozmowy:

„Chodźmy — rzekł — w klonu szerokiego cie-
Na pochylonej odpocząć murawie; [niu
Oto zanurzmy tu stopy w strumieniu; —
Jak tu cień miły, jak tu świerszcze w trawie
Śpiewają słońcu!... dalej w mowie walnej
Sokrat piękności daje idealnej.

Rysy, granice — i w mgliste przezrocze
Obwija posąg cudownego wdzięku,
A strumień żywy stopy mu łaskocze...
Tu nasz Giuliano z latareńką w ręku
Wszedł i zobaczył nasze dwie figury
Jak dwa posągi, oprawione w mury,

Z lampami w nogach. Rzekłem: Pignialijonie,
Jeśli z posągów chcesz mieć żywych ludzi,
Przynieś parasol! — Tak przez wodne tonie
Brnęliśmy obaj — a jeśli was nudzi
Ta pieśń, pomyślcie, że to jest obrazem
Greckich oberży, łóżek... i nas razem.

Słowacki. (p. str. 87).

Dewiza.

* „Wszystko lub nic,“ jest dewizą miłości. Biedny jej brat Hymen jedno tylko zmienia słówko, by z tego uczynić swoją dewizę: „Wszystko i nic.“

Sylwan Marechal.

Dewotka.

* Są też i dewoteczki, co na miejsca święte,
Biegają niosąc z sobą w szarzyznach ponętę;
  Aniby im służyła krytyka zupełnie,
  Można mówić: że może rade siedzą w wełnie;
Rożańce, to koronki ustawicznie w ustach
Trzepią, jak wietrzne młyny, kiedy na odpustach,
  Niechże przyjdzie do domu, aż ile pacierzy
  Sklepała, tyle dyjabłów konami odmierzy.
Inne na odpust chodzą z jednego na drugi,
Żeby w dom powróciwszy, miały na czas długi
  Materyją obmówisk, z wzięciem sławy różnych,
  Otóż to nabożeństwo dewotek podróżnych.

Druzbacka II, 94.

* Pójdę zaś do dewotek, bowiem tak więc zowią
Święte one dziewice i wdowy i czasem...
(Ale nie powiem) — Ale są też i takowe
Co się im mąż obrzydził, wolą do spowiedzi

Uczęszczać i tam szeptać plotki wymyślone
Nowinki ze wszystkich stron rynku zgroma-
[dząjąc.
O szepty, szepty, toż mi się nie podobacie!
Masz-li żyć w osobności, mieszkajcie w klasz-
[torze
Za zamknięciem, nie kręć się po wszystkich uli-
A zwłaszcza jeśliś młoda... [cach

K. Opaliński.

* Dewotki częstokroć, wskazując drogę do raju, zmierzają do piekła.

Pani de Puissieux.

* Dewotce służebnica w czemciś przewiniła,
Właśnie natenczas, kiedy pacierze kończyła;
Obróciwszy się przeto z gniewem do dziewczyny,
Mówiąc właśnie te słowa: i odpuść nam winy,
Jak my odpuszczamy, biła bez litości.
Uchowaj Panie Boże takiej pobożności!

Ig. Krasicki. (p. str. 5).

Dickensa (anegdota).

* Dickens lubił opowiadać przyjaciołom następująca anegdotę:

Kapitanowi amerykańskiego parostatku, udającemu się w podróż z Liverpoola do New-Yorku, oddano w opiekę młodą panienkę, która swą pięknością zawróciła głowy pięciu młodym towarzyszom podróży.

Chętnie wyszłaby ona za mąż, ale jak sobie poradzić, skoro było ich pięciu i każdy prosił o jej rękę?

Zwierzyła się więc kapitanowi ze swego kłopotu. Kapitan po namyśle rzekł:

— Dam ci radę; — mamy dziś prześliczną pogodę i ciszę morską. Rzuć się pani do morza, niby przypadkiem. Ja zawczasu przygotuję łódkę do ratowania, możesz więc być pewną, że ci się nic złego nie stanie.

— Ale na cóż to wszystko? — zagadnęła panna.

— Na to, odparł kapitan, że z pięciu wielbicieli wybierzesz tego na męża, który bez namysłu rzuci się za panią do morza; będzie to najoczywistszy dowód miłości.

Myśl ta podobała się podróżnej — i wkrótce potem, stojąc na pokładzie, otoczona swoimi wielbicielami, zgrabnie przechyliła się przez poręcz — i wpadła w wodę.

Ale w programie nastąpił zwrot niespodziewany, zamiast jednego, rzuciło się czterech na ratunek; wydobyto ich z wody i weszli na pokład, stanowiąc smutny, zmokły kwartet.

Również zmoczony przedmiot ich nieprzemokłego uczucia, zwrócił się do kapitana:

— Kapitanie, jestem w rozpaczy, aż czterech skoczyło za mną... cóż mam robić teraz?

— Jeżeli pani chcesz mieć rozumnego męża, odparł kapitan, to radzę szczerze weź piątego, *niezmoczonego.*

Młoda podróżna poszła za radą kapitana.

Diva.

* (*Legenda ostatniej miłości*).

On był wcale starym hrabią,
Co przehulał pieniądz słodki
Na fantazyje i błyskotki
Z fanabeyrją iście babią.
Każdą gwiazdę salwą witał
A z rozkoszy dni szalonych,
Z salw w stu ucztach wydzwonionych,
Drobny został mu kapitał.

Ona była muzą sztuki.
W snach widziała, jak szaleją
Za nią, tłumiąc się koleją,
Różne grafy, kniazie, duki,
Jak jej znoszą dyjademy
I kupują jej powozy —
Miała wtedy kształt mimozy
Pełnej świątobliwej tremy.

Aż się zjawił hrabia stary —
W ustach słodycz miał arfisty.
Wzrok aktorki płomienisty
Wskrzesił w żyłach zgasłe żary,
Choć nie dziwo, że bohater
Nie wyglądał jako młodzian,
W dzielnej siły blask przyodzian,
Lecz wyglądał jako Satyr.

— Czy mnie będziesz kochać, pani? —
Spytał hrabia, czule klęcząc,
„Jak eolska arfa“ jęcząc,
Z astmą w arfie (to jest w krtani). —
Choć rozlana wśmiech Mimoza
Potem wszystkim powiadała,
Że ta jego poza cała
Była bardzo śmieszna poza.

Ale w onej jeszcze erze
Rzekła, w ogniach stu gorejąc,
Niby mdlejąc, a nie mdlejąc,
Niby szczerze, a nie szczerze:
— Czy cię kocham, dobry panie?
Ach, przysięgam jegomości,
Że już widzę świat miłości —
Czcijmy więc jej zmartwychwstanie! —

A więc począł święcić miłość,
W różnych tonach miłość sławił,
Choć okropną zaraz sprawił
W interesach swych zawiłość —
I tak szalał stary hrabia,
Jakby wielkim był magnatem,
I uchodził też przed światem,
Jako kreatura żabia.

A więc perły słał jej w darze
I Mimozę w szkarłat zdobił;
Z długów sobie nic nie robił,
Choć to zawsze Pan Bóg karze.
I z lekkością zdrożną taką
W lecie zawiózł swoją diwę,
Świętej sztuki dziecię tkliwe,
Do Nicei i Monaco.

Gdy w Monaco przegrał kwotę,
Z dawnej chwały pozostałą,
Rzekł: — Uchodzić trzeba cało!
Jedźmy do dom, dziecię złote! —
Ale dziecie miało skrycie
Romans z jakimś finansistą,
I czcząc duszą go ognistą,
W świat z nim poszło złote dziecie!

Dzisiaj hrabia przy familii
Bez humoru pieczeniarzy,
I ma smutny rys na twarzy,
Gdy w wspomnienie się rozkwili,
Gdy jakiemu jegomości,
Zaproszony na kolacyję,
Opowiada swą turbacyję
I legendę swej miłości...

Wł. Stebelski. (p. str. 159).

Długi.

* Lion, sławny malarz w Paryżu prowadził rozrzutne życie i robił długi. Jednym z jego najnatarczywszych wierzycieli był krawiec, który pewnego dnia posłał do niego swego pomocnika.

— Przychodzę — rzekł tenże, grzecznie, ale stanowczo — prosić pana o zapłacenie rachunku. Mój pryncypał dowiedział się, żeś pan wczoraj pieniądze odebrał.

— Przepraszam pana, mój panie — przerwał mu malarz — ale muszę pana uprzedzić, że pańska przemowa; choćby była szczytem krasomówstwa, jest zupełnie stracona, gdyż nie jestem w możności zapłacić dziś rachunek.

— Czy to pańskie ostatnie słowo?

— Tak jest.

— A więc jestem zmuszony z wielką przykrością oznajmić panu że mam rozkaz nie wyjść ztąd póki pan nie zapłaci.

— Jak się panu podoba! Proszę siadać.

Pomocnik siada. Lion otwiera drzwi i woła ze schodów do odźwiernego:

— Jestem dla wszystkich nieobecny. Przyjdź wieczorem zabrać listy, które będą leżały na mojem biurku. Wyprawisz je podług adresu.

Po tych słowach, zamyka drzwi z zewnątrz, chowa klucz do kieszeni, zasiada przy biurku i pisze listy, które czarnym lakiem pieczętuje. W końcu bierze duży arkusz papieru i pisze w górze: „Mój testament.“

Pomocnik krawca widzi to wszystko i uśmiecha się mówiąc w duchu: „Myli się grubo mój panicz, jeżeli myśli mnie tem zastraszyć.

Ukończywszy korespondencyję Lion wyłazi na stołek i zdejmuje z szafy zwój kawałków sukna różnokolorowego. Teraz ciekawość pomocnika obudzona została i mówi do siebie. Na co mu do dyjabła potrzebne te gałgany?

Lion tymczasem stanąwszy na stołku, zaczyna z melancholiczną powagą zatykać wszystkie szpary w drzwiach i oknach. Skończywszy, wyciąga mosiężną miednicę z szafy, napełnia ją węglem i zapala.

Mój panicz odgrywa komedyję, myśli krawiec, ale cała sprawa zaczyna mu się jakoś dziwną wydawać.

Lion wraca do biurka, porządkuje papiery, pisze na arkuszu wielkiemi literami: „Nikt nie jest winien naszej śmierci" i przylepia ten arkusz opłatkiem na ścianie.

To zaczyna nakoniec niepokoić naszego krawca, tembardziej, że czy to wskutek czadu węglanego, czy też ze strachu, zaczyna kichać. Zrywa się z krzesła, podchodzi do Liona siedzącego z zamkniętemi oczami na sześlągu i mowi:

— Proszę pana, panie Lion, ja biorę rocznie 1800 franków za krajanie surdutów i kamizelek ale nie za to, żeby od czadu węglanego być uduszonym.

Mówiąc to, idzie ku drzwiom, ale malarz zastępuje mu drogę i woła:

— Już zapóźno, los nasz nieodwołalnie postanowiony.

— Na miłość Boską, panie Lion, wypuść mnie pan ja się duszę. Jeśli pan drzwi nie otworzysz, wyskoczę.

Lion daje się nakoniec uprosić i idzie drzwi otworzyć dusząc się od śmiechu. Krawiec gotówki nie zobaczył więcej.

* *Co robisz?*

Spotykają się w przechodzie...
— Luciu! na Chrystusa rany.
Gdzie tak pędzisz? Co też robisz?
— Długi! Długi, mój kochany!

N.

* *Łatwy sposób płacenia długów.*

Niebo i piekło to dwaj bankierzy na których dajemy przekaz, nie będąc sami w stanie zapłacenia długu. Mówimy bewiem: Niech ci Pan Bóg zapłaci, albo niech cię dyjabli porwą.

Dmuchać.

* Przy jednym nieznacznym pożarze w Berlinie, który został nader szybko ugaszonym, odezwał się pewien członek straży ogniowej do drugiego, słysząc, że otaczający spalony dom motłoch nie przestaje czynić alarmu: „Do dyjabła! Oni gotowi na nowo pożar rozdmuchać!"

Dobroć.

* Panie łaskawy, przyłóż się choć w części do składki. Umarł biedny komornik, nie zostawiwszy ani grosza, a tu potrzeba 20 rubli na pogrzeb.

— Ile? 20 rubli? Weź pan 100 i pochowaj za te pieniądze pięciu zamiast jednego.

Dobro w teoryi i praktyce.

* Gdyby czynić dobrze, tak było łatwo, jak wiedzieć, co jest dobrem, kaplice zamieniłyby się w kościoły, a chaty biedaków w pałace. Ten jest dobrym kaznodzieją, co postępuje według własnych przestróg: jabym prędzej dwudziestu osobom wskazała, co byłoby dobrze zrobić, niż poszła za własną wskazówką, będąc jedną z tych dwudziestu. Niech mózg dyktuje krwi, jakie chce prawa, gorący temperament przeskoczy zimne nakazy. Młodość — szał, jak zając, jednym susem przesadza sieć morału-kaleki.

Szekspir.

Dobroczynność.

* Podczas kiedy przewodnik nasz opowiadał mi o Żółtym domu, myślą uleciałem nad pewne znane wam dobrze miasto i spojrzałem na jego zakłady dobroczynne. Widziałem pewien gmach z napisem łacińskim, widziałem komitety, sesyje; byłem na posiedzeniu, słyszałem prośby o głos: przywoływania do porządku; słyszałem mowy i zwroty krasomówcze. Fi-

gury retoryczne brzęczały mi koło uszu jak muchy: jakiś głos wołał: „Bóg nam powierzył fundusze towarzystwa. Jemu tylko zdamy z nich rachunki“. Inny zaś wołał: „Nie potrzebujemy tłómaczyć się opinii, albowiem napisano jest:“ „niech nie wie lewica, co daje prawica“. Inny: „Dobroczynność nie jest cnotą, jeśli jest jawną“. Słowem, widziałem parlament, nie mogłem tylko dostrzedz, co robi się z funduszami miłosierdzia; słyszałem zgiełk, hałas; obok grano na skrzypcach; obok tańczono w filantropijny sposób; dalej sprzedawano w bazarach, umizgano się w celach miłosierdzia do pięknych kobiet; uszczęśliwiano się w celach miłosierdzia w buduarach. Roztańcowane i spocone miasto śpiewało na nutę z „Pięknej Heleny:“ „Jam—jest—gród litościwy, gród litościwy, gród litościwy – jam miłosierdzia wzór“, ale pieśń tę tuż obok głuszyły liczne jak piasek w morzu głosy. Ochrypłe te głosy wołały: „Łaskawi i miłosierni panowie, choć grosik na chleb, choć kopiejeczkę na sznapsika!“

Henryk Sienkiewicz. (p, str. 29).

* Święta jest dobroczynność, ta niebianów cnota,
Szczęśliwości wewnętrznej otwiera nam wrota;
Nad uczucie ludzkości, nie znam bardziej dro-
[gich“ —
Rzekł pan Michał i rzucił szeląg na ubogich.

Jaszowski.

Dobroduszność.

* Teodor Agryppa d'Aubigné, dziadek pani de Maintenon, opowiada w swojej historyi powszechnej następującą anegdotkę:

Razu jednego, wypadło mu nocować w garderobie Henryka IV wraz z panem La Force do którego powiedział te słowa:

— Widzisz, że ten twój pan jest najniewdzięczniejszym człowiekiem pod słońcem.

Rozespany La Force niedosłyszawszy dobrze o co chodzi, pyta go co mówił.

Król, który za swej sypialni wszystko słyszał, powtarza na głos zasłyszane słowa, na co niezdekoncertowany d'Aubigné, odpowiada mu:

— Śpij Najjaśniejszy Panie, bo my tu mamy wiele jeszcze innych rzeczy do powiedzenia o Tobie. (*Bibliothéque des salons*).

* Gdy raz polując w prowincyi Vendôme Henryk IV oddalił się od swojej świty, spotkał siedzącego pod drzewem wieśniaka, którego zapytał co tam porabia?

— Ja panie wyczekuje tu chcąc zobaczyć przejeżdżającego króla.

— Ułatwię ci to, właź na mojego konia podwiozę cię.

W drodze chłop prosi towarzysza, aby go objaśnił po czem on króla pozna.

— Poznasz go bardzo łatwo po tem, że on sam tylko wśród całego otoczenia będzie miał głowę nakrytą.

Skoro grono myśliwych zostało odszukanem, wszyscy na widok zbliżającego się króla pozdejmowali kapelusze.

— A co czy wiesz teraz, który jest król?

— Jeden z nas dwóch — odpowiada filuternie wieśniak — bo my dwaj tylko mamy nakryte głowy. (*Henriciana*).

Dobrodziejstwo.

* Pewien żyd, wędrujący z kramikiem zobaczył we wsi przed mieszkaniem pastora płaczącą kobietę. Na zapytanie o powód, odpowiedziała mu płacząca, że niema za co zmarłe dziecko pochować, gdyż mąż wszystko przepija, a pastor niechce wydać bezpłatnie świadectwa na pogrzeb.

— Weźcie tego oto luidora — rzecze żyd — idzcie do duszpasterza i powiedzcie, że ubogi żydek ma więcej niż on miłosierdzia nad biednym. Resztę przynieście mi, ja tu poczekam.

Pocieszona biedna kobieta wróciła niebawem z kwitem od pastora i wręczyła resztę pieniędzy żydowi; ten dodał jej talara, a gdy się wzbraniała przyjąć, szepnął do ucha:

— Bierzcie i koniec, myśmy wszyscy zrobili na tem dobry interes, wy będziecie mieli za co dziecko pochować, pastor będzie miał za swoją fatygę, a ja pozbyłem się fałszywych pieniędzy. (*Flig Blüter*).

Dodatek.

— Panie Mejer... -- rzecze buchalter do swego pryncypała — nie podobna mi dłużej zostać u pana, przy tak małej pensyi i tak złem obejściu...

— Ależ mój panie Izydorze! nie rób pan takich historyi! Ja panu co powiem, pensyi to nie mogę panu podwyższyć, ale za to obejście to pan już będziesz miał lepsze.

Do kosza.

* Drogowskaz prowadzący na cmentarz poronionych płodów literackich. Cmentarz ten zbudowany jest w kształcie kosza z napisem: „Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate.“ Napis ten, o ile, według inżyniera Danta, był właściwym na oddrzwiach piekieł, o tyle nieodpowiednim jest na opisanym przez nas cmentarzu, gdyż nieraz odbywa się ekshumacyja zwłok raz pochowanych i powołanie ich do życia, szczególniej, gdy dozorca cmentarza, alias redaktor, zawiódł się na męzkości uczeńszych mężów.

Doktorzy.

* Był czas, w którym jedyną chorobą była starość, a jedynym doktorem śmierć. Poeci nazywają czas ten epoką Saturna, ludzie zwyczajni, epoką natury i odnaleźć go można jeszcze tam, gdzie dzicy, inaczej ludzie natury — żyją. Przyroda chciała, aby ziemia była salą balową, myśmy z niej zrobili szpital, zamieniając człeka natury w jakąś sztuczną istotę. Stary Testament zapewnia, że w dawnych czasach ludzie żyli arcydługo. Dlaczego?... Bo w on czas nie było jeszcze doktorów. Najlepszem lekarstwem jest to, które leczy bez pomocy lekarza. Natura i pod tym względem lepiej uposażyła człowieka od zwierzęcia, dała mu bowiem choroby i doktorów. Te dwa czynniki mają tę dobrą stronę, że urozmaicają życie i skracają jego nudy. Zresztą bez choroby nie wiedzielibyśmy czem jest zdrowie, a bardzo często zdrowie duszy zawdzięczamy chorobie ciała. Pierwszym lekarzem ludzkości była matka-natura, potem magowie, którzy spełniali swe zadanie krępując rozum tłumu, aby tem samem łatwiej odegrać rolę cudotwórców. Na krótki czas przed Hypokratesem medycyna zyskała tytuł sztuki wyzwolonej. Muze, nadworny lekarz Augusta, pierwszy zdobył jakie takie poszanowanie dla swego zawodu. Przedtem bogacze trzymali ich i cenili na równi z kucharzami. Kapłani przy świątyni Eskulapa w interesie zdrowia ludzkości, przemawiali do tłumów za pośrednictwem węża, a za tym przykładem poszli ich następcy i sztukę zamienili w szarlataneryję. W wiekach średnich leczeniem zajmowali się żydzi, liczba tych doktorów wzrosła do niesłychanych rozmiarów. Któżby policzyć zdołał, powiada jeden z humorystów, tłumy lekarzy, bez wdania się których, ludzie dożywając wieku patryjarchów. zjadaćby się musieli. Starzy Germanowie wierzyli, że umierając na łożu w domu, naturalną śmiercią, wejdą do mglistej krainy zapomnienia, umierając zaś gwałtowną śmiercią na polu walki, zdobędą raj Walhali, do pewnego stopnia akceptując ich wierzenia, staramy się przy pomocy lekarzy, śmiercią sztuczną zastąpić śmierć naturalną. Starożytni przedstawiali Eskulapa z gęstą brodą, z prętem w ręku, około którego owijał się wąż (znany dobrze choremu), z kogutem, stojącym tuż przy nim, który znów miał oznaczać czujność i trafność. Eskulap zadawalniał się jednym kogutem, co za starożytne umiarkowanie! Teraz gdyby kto doktorowi ofiawał cały kurnik, jeszcze by to było mu zamało. Obecnie żaden sąd nie pyta się doktora: „z czego umarł twój pacyjent“, ale w czasach średniowiecznych nie tak dobrze znów powodziło się lekarzom. Sąd ustanowiony przez Godfryda de Boullion, jak również prawodawstwo weneckie karały doktora za niewyleczenie niewolnika grzywnami, za niewyleczenie chrześcijanina, rycerza — powieszeniem. Hipokrates, Sydenham i Boerthown byli największymi sceptykami w medycynie, gdyż byli znakomitymi lekarzami, a ostatni używał dewizy: „Prostota jest pięknem prawdy“. Już bardzo dawno filozofowie

powiedzieli, że najwięcej zasługujący na wiarę doktór jest ten, który najmniej używa lekarstw. Zasługuje na uwagę, że pomiędzy uczonymi, lekarze najmniej się z sobą zgadzają, a wobec tej niezgody należałoby nieraz postąpić, jak ów chory, który na pytanie lekarza: „musiałeś pan pójść za moją radą, skoro tak dobrze wyglądasz?“ odparł: „byłbym kark skręcił, gdybym był poszedł za pańską radą, którą przez okno wyrzuciłem“. Samońska szkoła uczyła, że po jedzeniu należy ujść przynajmniej tysiąc kroków; jest to wierutne kłamstwo, bo każde bydlę dowodzi, że najlepiej jest wtedy odpocząć. Lekarstwo skraca życie, a dowodzi tego napis pewnego anglika na nagrobku, brzmiący: „byłem zdrów, chciałem być jeszcze zdrowszym, zażyłem lekarstwo i umarłem“. Pewien chirurg, będąc w St. Dénis, upadł na kolana przed obrazem Karola VIII, a gdy mu obecny jeden z zakonników zwrócił uwagę na to, że król ten bynajmniej do świętych nie należał. — odparł: „wiem o tem, ale Karol VIII pierwszy pewną chorobę do Francyi wprowadził“. Sławna metoda wzmacniająca Browna (opium rozpuszczone w wiscky) bardzo wielu jego pacyjentów i jego samego nakoniec, na tamten świat wyprowadziła. Rousseau powiada: „Żyj w zgodzie z naturą, bądź cierpliwym, wypędź doktorów; nie unikniesz wprawdzie śmierci, ale raz ją tylko odczujesz“. Jeden doktór, to jeszcze pół biedy, ale gdy się na ciebie zwali całe konsylijum, to już możesz się na śmierć dysponować. Co to np. za nieobliczona rozkosz, gdy wijesz się na łóżku w boleściach, a z sąsiedniego pokoju dolatuje cię następująca rozmowa: „Czy pewien jesteś kolega, że lecząc chorego chłodzącymi środkami, nie zabijesz go?“ „A kolega czy jesteś pewien, że ciepłe okłady nie sprowadzą zapalenia i śmierci?“ Lekarze jednak odgrywali odgrywają i odgrywać będą olbrzymią rolę w społeczeństwach. Lekarz — to człowiek, który staje u łoża najpotężniejszych tego świata, a najpotężniejsi go często słuchają bo słuchać muszą. Słowo szlachetne a rozumne, z ich ust wychodzące, często skutkuje więcej, aniżeli podszepty urzędowych doradców; mają oni w pewnych chwilach wielki wpływ, jeżeli tylko go użyć potrafią. Ludwik XIV będąc mocno chorym, rzekł do przybocznego lekarza: „Należałoby zahamować, nieprawdaż?“ „Nie, najjaśniejszy Panie, jabym radził wyprządz“, odpowiedział staremu rozpustnikowi lekarz. Innym razem, tenże Ludwik wzbraniał się przyjąć podawane lekarstwo: „Rozkazuję ci przyjąć je natychmiast, najjaśniejszy panie“, powiedział doktór, a gdy król ze zdziwieniem wielkiem wpatrzył się w twarz mówiącego, powtórzył: „Tak jest, rozkazuję, a to dla tego, żebyś ty, najjaśniejszy panie, mógł nam jeszcze dłużej rozkazywać“. Angielski doktór Mead, odmówił leczenia ministra z tego powodu, iż ten wtrącił do więzienia jego przyjaciela Frieda, a gdy Frieda wypuszczono, wysokie honoraryjum, 5000 funtów temuż przyjacielowi odesłał. Londyn jest rajem dla doktorów i aptekarzy. W wielkich miastach odwiedziny lekarza zaliczają się do przyjemnych rozrywek, gdyż często modny doktór jest lepiej poinformowany o plotkach i nowinkach, niż wynalazkach tyczących się jego zawodu. Zazdrośnym kobietom nie radzę zaślubiać doktorów mających rozległą praktykę. Generał Hoche na śmiertelnem łożu rzekł do swojego lekarza: „Wasza nauka dosięga zawsze świetnych rezultatów, bo jeśli nie zabija choroby, to zabija chorego“. Klent napisał w albumie swojego lekarza: „nie będziesz się dziwił nieprzeliczonej ilości chorób, skoro przeliczysz lekarzy“. Pewien chory malkontent przylepił następujący napis nad drzwiami apteki: „Tu sprzedają się środki na przeczyszczenie, na wymioty, na sen, jednem słowem na wszystkie dolegliwości z wyjątkiem jednego tylko środka powracającego zdrowie.“ W końcu dodać muszę, iż uważam za wielkie szczęście, to, że zdrowia nie można kupić za pieniądze, gdyż ani odrobinkę nie starczyłoby go dla biednych, wszystko bowiem wykupiliby bogacze.

Demokritos — Weber (p. str. 4).

* Przy łożu jednego z biednych swych pacyjentów, stał profesor, wykładając kilku swym uczniom istotę choroby. Kładąc lewą rękę na piersi, a prawą wskazując na grubą pierzynę pokrywającą chorego, mówił. „Czy słyszycie panowie owe rzężenie w lewej okolicy piersi chorego, to jest najoczywistszy dowód mojej dyjagnozy“. Obecna tej mowie żona chorego odzywa się: „Z przeproszeniem wielmożnego doktora, ale to tak warczy Neptuś, piesek, co śpi zawsze z mężem pod pierzyną“. I jakby na świadectwo słów mówiącej, Neptuś wyścibił nos z pod pierzyny, warcząc donośniej. Nie tracąc fantazyi doktór zwrócił się do żony chorego, mówiąc: „No to kochana pani możesz się nazwać szczęśliwą; bo gdyby to nie był Neptuś, jak go pani nazwałaś, utraciłabyś męża na zawsze“.

* *Doktór do chorego literata.*

— Co też pan robisz! Byłeś już na drodze polepszenia, tymczasem wstajesz pan i czytasz swoje utwory, toć pan musi się znowu rozchorować na dobre!

* Młody doktór przy pierwszej wizycie dwóch dam odzywa się: „Przepraszam panie najmocniej, zaraz służę“; poczem, zwracając się do lokaja mówi głośno: „Słuchaj, jak tu przyjdzie jego ekscelencyja pan minister, zaprowadź go do salonu i proś niech chwilkę zaczeka“.

* Chciałbym się poradzić pana doktora... od jakiegoś czasu czuję ogromne swędzenie w nogach.

— Czy pan przypadkiem nie jesteś u jakiego bankiera kasyjerem?

* Doktor X. wchodzi do restauracyi na obiad; przy znanym stoliku literackim, między innymi siedzi adwokat Z, który uradowany wykrzykuje:

— Ach! jak to dobrze żeś przyszedł doktorze, coś mi się tam robi na karku...

— A apetyt pan masz?

— Mam.

— A ból głowy?

— Mam!

— A rubla?

— Mam...

— No to go pan daj, to ci poradzę...

* — Doktorze, to dziwne... gdy się kładę spać, oka zmrużyć nie mogę.

— Hm!

— Ale ciekawsze to, iż w biurze śpię ciągle.

— Hm! hm!

— Cóż mam zrobić doktorze?

— Idź pan na noc do biura.

* Doktór X. zjawia się u ministra oświaty z oznajmieniem, że dostał od króla Honolulu order *Labaksi-Tapô* i prosi go o upoważnienie do noszenia tej dekoracyi.

„Niestety! doktorze kochany, rzecze minister, dostąpiłem i ja również podobnego zaszczytu, ale zdaje mi się, że się nim oba nie pochwalimy przed ludźmi, ponieważ order ten nosi się zawieszony u nosa.“

Po tej informacyi, przerażony doktór zemknął co tchu, nie czyniąc nigdy przed nikim wzmianki o swej dekoracyi.

Nogaret, *Patrie.*

* *Wybór.*

Cobyście też odpowiedzieli, szanowni czytelnicy, gdyby was kto zapytał: W czyje ręce wolicie powierzyć wasze losy—doktorowi prawa, czy doktorowi medycyny?

Zapewne dalibyście taką samą odpowiedź, jakiej udzielacie napastnikowi nocnemu, wołającemu groźnie:

— Pieniądze! lub życie!

Kolce.

* *Zasłużona zapłata.*

Są u nas dobrzy i zacni doktorzy, co choć nie siedzą w pomyślności kuble, lecz przekładają sumienie nad ruble.

Lecz z drugiej strony zbyt wielu się mnoży, co wysilają i rozum i głowę, aby z pacjenta zrobić dojną krowę i gdy kto od nich zażąda rachunku, zamiast biedz szybko gdzie wzywa po-

trzeba, chociaż nie braknie im smacznego chleba, biorą się zawsze naprzód do rachunku.

Brzydka to wada tak handlować zdrowiem, przeto historyję ciekawą opowiem, jak się załapał jeden doktór stary, co od pacyjentki gołej że aż rety! po nad jej możność wymagał ofiary.

Gdy był wezwany do chorej kobiety, doktór ów sławny co powozem jeździ, rzekł iż nie pójdzie gdzie słabość się gnieździ, póki dziesięciu rubli nie dostanie.

Mąż chorej straszne zaczął narzekanie, i aż pod chajrem zaklinał się czule, że ma zaledwie na chleb i cebulę i że u niego rubla nawet nie ma... Lecz w końcu widząc, że doktór się zżyma, zmienił taktykę i wrzasnął co siły:

— Już ci zapłacę, mój doktorze miły, co chcesz, bo nie chcę śmierci mojej żony...

Tym przywiązaniem mężowskiem wzruszony, a bardziej może dziesięciu rublami, których dostania nadzieją się mami, doktór wbiegł szybko gdzie leżała chora, lecz jakże zdziwił się doktór uczony, kiedy wychodząc, zobaczył handlarza, który obracał na obiedwie strony jego futerko z brunatnych niedźwiedzi.

— Co to ma znaczyć — wrzasnął rozgniewany i takie słowa dostał w odpowiedzi.

— Na co się gniewać i wielki krzyk robić, jam przecie musiał dziesięć rubli złowić, by cię spłacić doktorze kochany, a w moim domu nic więcej nie było, coby na dobry zastaw posłużyło, więc zastawiłem twoje ładne futro.

— A kiedy oddasz?

— Kto wie, może jutro, może pojutrze, może po niedzieli...

— A żeby ciebie wszyscy dyjabli wzięli!

— Za co wziąć mają, niech raczej tych biorą, którzyby mogli zabić biedną chorą, gdy im nie dadzą dziesięć rubli głupie... Ale ja futro doktora wykupię, tylko dziś nie mam, nie mam Bóg mi świadkiem.

I doktór znany ze zdzierstwa talentu, musiał zapłatę powrócić z dodatkiem, bo handlarz musiał zyskać coś procentu.

My zaś od siebie tę uwagę małą dodamy, kończąc już historyi wątek, że się wybornie doktorowi stało, za to, że z biedy chce robić majątek.

„Świąteczny.“

* *Dysertacyja na stopień doktora.*

— Cóż kolego, skończona dysertacyja?

— Nie jeszcze, bo temat za łatwy, więc wybrałem sobie drugi, o wiele trudniejszy.

— Jakiż to temat?

— Średnia temperatura damskich dolnych kończyn.

— A to co! chyba kolega masz zamiar termometrem mierzyć temperaturę różnych damskich nóżek? Przyznam się, że to nie łatwa praca.

— Nie, kolego, mam na to prosty i bardzo praktyczny sposób. Wybieram dzień mroźny i wyszedłszy na ulicę zaczynam badać wysokość podniesionych sukien damskich... Dama, która wcale sukien nie podnosi, ma temperaturę kończyn — zero. U tej, która podnosi suknię na 10 cali, temperatura dochodzi do 10-u stopni. Takim sposobem zmiany wysokości podnoszenia sukien, otrzymują cyfry różnej temperatury, badanych nóżek, dzieląc zaś ogólną sumę przez liczbę dam, wypada mi niemylna cyfra średniej temperatury damskich kończyn.

* *W szpitalu.*

— Ilu dziś umarło?..

— Dziewięciu.

(po chwili).

— Wszak wczoraj dla 10-ciu lekarstwo przepisałem?..

— Tak, ale jeden nie chciał wcale zażyć...

* *Grzeczny pacyjent.*

Pewien lekarz, który swego znajomego z długotrwającej choroby wyleczył, posłał mu rachunek brzmiący tak:

Za kuracyję przypada... tyle a tyle.

Za moje wizyty — pozostawia się uznaniu wyleczonego i t. d.

Pacyjent, odwiedziwszy doktora, rzekł:

— „Odebrałem rachunek — kochany doktorze i za kuracyją płacę ci z wdzięcznością, — a wizyty rewizytami mojemi skompensuję.“

* *Medycyna w zastosowaniu do komornego.*

Gospodarz jeden z musu
Obniżył czynsz lokali,
Z żalu dostał tyfusu
I przeniósł się do lali.
Kłaniajmy się lekarzom
Co nasze ciała krzepią,
Niech zdrowym gospodarzom
Obniżkę czynszów szczepią!
Gdy taki fakt się stanie
Wówczas znajdziem panowie
Nous autres, komorne tanie
A gospodarze... zdrowie.

* *Na starym mieście.*

Wojciechowa. Cóż kumo, waszemu lepiej?..

Maciejowa. A juści! lepiej mu tam, toć on już chudzina, trzy dni temu jakiem go pochowała.

Wojciechowa. Czyście wołali do niego jakiego doktora?

Maciejowa. Ale gdzież tam, sam ze siebie tak zamerł.

* *U lekarza.*

— Więc doktór mi radzi do Ems?

— Tak pani, to konieczne — to bardzo dobre wody dla pani.

— A dla mego męża co pan radzi?

— Taże Ems.

— Tak? To żegnam pana, przyznam się panu, że nie mam zaufania do lekarza, który i męża i żonę do jednych i tych samych wód posyła.

* Za doktorów się ludzi udaje niemiara
Ksiądz, mnich, prostak, żyd, kuglarz, balwierz, [baba stara

* — Dla czego lekarze przy chorych rozmawiają po łacinie? — zapytał ktoś naszego znanego pana X.

— No, widzi pan — odrzekł nasz znany z dowcipu — oni chcą ich zawczasu przyzwyczaić do umarłego języka.

* *Na partykularzu.*

— Proszę pana doktora...

— Znowuż do chorego! Czy dyjabli nadali, powiedz że jestem zmęczony jak pies, żem już czterdzieści cztery noce nie spał.

— Ale proszę pana doktora; ja nie do chorego, tylko jestem od pana radcy, a pan radca prosi pana doktora, żeby pan doktór przyszedł do pana radcy na preferansa.

— A to tak gadaj! powiedzże panu radcy, że w tej chwili służę.

* Lekarz wchodzi do pokoju. Pacyjent woła: — Dzień dobry, kochany doktorze, kazałem cię prosić, bo jestem słaby.

— Tak! jakże apetyt?

— Bardzo dobrze.

— Pragnienie?

— Także dobrze.

— Sen.

— Bardzo spokojny.

— Bądź pan spokojny! we dwa dni wszystko dyjabli wezmą — rzekł doktór po namyśle z miną poważną.

* *Na doktora.*

Chcąc ci grzechu oszczędzić, twych lekarstw nie [piję,
Lepiej że mnie choroba niż doktór zabije.

* *U doktora.*

— No, teraz zobaczymy puls (liczy) jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedm, ośm, dziewięć, dziesięć, walet, dama, król...

* *Na doktora.*

Dwa tysiące już ludzi dłoń jego zniszczyła,
Tego męża być musi jak Samsona siła,
Może jest jak Anteusz bohaterów wzorem?
Lub drugim Herkulesem? — nie tylko doktorem.

Kretowicz.

* *O doktorach.*

Pytasz się, czemu młodo mrą często doktorzy?
Czasem prędzej, niżeli pacyjenci chorzy.
Jak wilk znosi przed trzodę jej czułych złaj-
[ników,
Tak śmierć przód przed chorymi potrzebnych
[medyków.

* Podczas gdy chory ratunku wzywał,
I na nieznośne męczarnie się żalił:
Lekarz prawił o cudach któremi się wsławił,
O tajemnicach, które poodkrywał;
Co może jego sztuka, doświadczenie, praca
I wielu ludziom życie już ocalił...
Tak właśnie furman rozprawia,
O wielkich drogach, które poodbywał,
I wtem... wywraca.

Pielgrzym lwowski.

* Żona doktora, który miał zwyczaj, gdy mu umarł jaki bogaty pacyjent, odprowadzać go na cmentarz, prosiła, aby tego na przyszłość nie robił, ,,bo," mówiła, ,,wyglądasz jak krawiec, który gotową robotę do domu odnosi."

* *Doktór homeopata.*

Pewien Niemiec, który przez lat dziewięć leczył się u doktorów, nie doznając żadnej ulgi, przybył do Warszawy, i udał się do homeopaty. Ten wyjął flaszeczkę z jakimś płynem i kazał powąchać pacjentowi. ,,Czy lepiej panu," spytał. ,,Nie." ,,Więc powąchaj raz jeszcze. A teraz?" ,,Nie czuję nic zupełnie."— ,,Doprawdy, więc powąchaj pan jeszcze raz i będziesz zdrów."

Niemiec potrząsnął głową i spytał o wysokość honoraryjum, które homeopata chowając flaszkę, oznaczył na rubli sto.

,,Sto rubli? Tak dużo za trzykrotne powąchanie?" woła Niemiec. — ,,Przeciez pan zdrowie odzyskałeś. Skoro wyjdziesz na powietrze, uczujesz się zupełnie dobrze." ,,Czy tak?" odpowiedział Niemiec. ,,Widzisz pan ten banknot?" ,,Widzę." ,,Powąchaj go pan." ,,Panie!" ,,Powąchaj pan raz jeszcze." ,,Mój panie, co to ma znaczyć?" ,,Jeszcze powąchaj pan." ,,Pan jesteś impertynent!"

,,Czy tak?" powiada Niemiec, starannie banknot chowając, ,,teraz ja wychodzę, a gdy już będę na dworze, banknot znajdzie się w pańskiej kieszeni."

* *Na lekarza.*

Chcesz-li, aby cię medyk skutecznie ratował?
Trzeba, żebyś mu ręce dobrze nasmarował.
On ci trunek zapisze, ty mu smarowanie,
Tem będzie skuteczniejsze lekarstwa działanie.
Onć da receptę z Galena, ty mu z Miechowity;
A tak będzie i baran cały i wilk syty.

Wojciech Ines.

* *Doktór praktyczny.*

Doktór do pacyjentki. Mniemam, że stan zdrowia pani hrabiny jest w pewnym związku z jej wiekiem; czy mogę się dowiedzieć...

Hrabina (kwaśno.) Jak starą jestem?

Doktór. Przeciwnie, jak młodą pani jesteś?

Hrabina. Nieumiem tego powiedzieć, zgubiłam gdzieś moją metrykę...

Doktór. Mniejsza o to zresztą. Teraz już wiem mniej więcej..."

(*Fliegen Blät.*)

* *Doktór.*

Jest to skrócenie używane względem pewnej klasy ludzi i charakteryzując ich w różnych położeniach życia. Czasami oznacza ono: *do której* kieszeni wsunąć wpierw pieniądze, to znowu: *do której* panny zabrać się w konkury, lub: *do której* godziny ogłosić się w gazetach, nareszcie: *do którego* z nas mają istotne zaufanie.

* *Frak — doktór.*

Stary lekarz jednego udzielnego księcia, został wśród nocy wezwany do monarchy, który nagle zaniemógł. Przed drzwiami sypialnego pokoju wstrzymał go przerażony kamerdyner, uwagą, że w codziennym, zimowym surducie wejść nie można.

„Ależ, panie doktorze, bez fraka! Co jego wysokość na to powie?“

Na to lekarz w milczeniu zawraca się, by wrócić do domu. — „Cóż będzie z jego wysokością,“ pyta stłumionym głosem kamerdyner.

— „Bądź spokojny,“ mówi doktór odchodząc, „przyślę tu mój nowy frak. Może on zapisze dobrą receptę.“

* „Ach doktorze! jestem bardzo, bardzo słaba!“ „Ależ niech mi pani wierzy, to nic, to drobnostka.“ „Co?.. drobnostka! ach doktorze jesteś bez serca!.. To nic?! Ach, obrzydliwy doktorze, na złość chciałabym ci tu właśnie umrzeć pod nosem!

Przygody kandydatki na stopień doktora medycyny, chirurgii i t. d.

O Ty, dla której szybciej niż w embrijonach
Grzmi „*ictus cordis*“ w mej „piersiowej jamie“
Pozwól, niech Tobie z lutni po Amfijonach,
Odziedziczonej w melodyjnej gamie,
Zadzwoni oda, pełna boskich czarów.
Hymn — Twych zielonych godny okularów.

Ni bym się ważył u Twych stóp „paluchów“
Składać trywialne sonety lub rond'y,
Boś Ty jest wyższą od poziomych duchów,
I wciągasz wszystko w zakres lupy, sondy,
I „ściśle biorąc“ widzisz li w miłości
„Fizyjologicznej objaw konieczności!“

Tybyś wyśmiała mnie, gdybym banalnie
Rzekł, żeś „do jodły podobna z smukłości,“ —
A więc powiedzieć muszę, że „normalnie
Są zbudowane Twe mięsnie i kości;“
Tyle rzec mogę „*ale invisis*“ — z góry,
Boś się wyrzekła przesądów tiurniury

Tybyś wyśmiała mnie, gdybym — Twe usta
Chwaląc — powiedział, że „są jak kalina,“ —
Więc znając Twoje naukowe gusta,
Powiem, że „krasą ust Twych Hematina,
Która zapewne — świadkiem Twoja cera —
Półsiodma od sta żelaza zawiera.“

Więc też nie nazwę „ząbków twych perłami,“
Stary kochanków powtarzając koran,
Bo Ty wiesz dobrze — mówiąc między nami —
Że to nie perły, lecz „wapna fosforan,
Tkanka chrząstkowa, i trochę cementu,“
I śmiałabyś się z mego komplimentu.

Więc ci nie powiem ksieni Eskulapa
Że „dla Cię tylko me serce uderza,“ —
Lecz muszę rzec już: „serca mego klapa
Dla cię wciąż tlenem treść moją odświeża,
Pędząc krwi ciałka mej miłości żarne
Przez płuca w żyły — w klatki kapilarne!“ —

Ni Ci też powiem, że „o Tobie myślę
Ciągle, — żeś całą mi zabrała duszę,“ —
Lecz wiedząc jak Ty wyrażasz się „ściśle,“
Także o większą „ścisłość“ się pokuszę,
Mówiąc, że „świeci w idealnym blasku
Obraz Twój wryty — w mym mózgowym piasku.“

Ani tez wiecznych „dogrobowych ślubów“
Robić nie będę Tobie — o kochana! —
Bobyś się śmiała z tych smalonych dubów,
Wiedząc, co znaczy „pierwiastków wymiana,“
I że na starość z cieplika ubytkiem
I miłość z serca odlatuje z kwitkiem!“

Niechaj więc Wasza Uczoność nie sarka,
Że, ku Jej chwale te spiewając hymny,
Nie mogę roztlić, jak Tas lub Petrarka,
W niebiański płomień mowy nauk zimnej,
Lecz zechce zważyć, że w obliczu sondy
Miłość i zapał — to tylko przesądy!

Zagórski Włodzimierz (Chochlik). Humorysta i publicysta współczesny. Redagował humorystyczne pismo p.t. „*Różowe Domino.*“ Wiele poetycznych utworów tego autora, odznaczających się zgrabną formą — miało rzeczywistą popularność. Wydał „*O zmierzchu i świcie*,“ „*Piosnki i żarty*,“ „*Zawada*“ „*Kabała*“, „*Włóczęga*,“ „*Król Salomon*“ i tłomaczył Hamerlinga „*Homuculusa.*“ Innych szczegółów z życia autora nie znamy. Od lat paru osiadł w Warszawie i był współpracownikiem „*Przeglądu Tygodniowego*,“ „*Roli*,“ „*Słowa*,“ „*Kuryjera Codziennego*,“ „*Kuryjera Warszawskiego*,“ „*Wieku*“ i wielu innych.

* Pewien doktór francuzki, zapytany o różnicę między reumatyzmem a podagrą, odpowiedział:

„Gdyby wziął ktoś szrubę i wkręcał ją w nas z całej siły palcami tak, że dłużej wytrzymać byśmy tego nie mogli, — to będzie reumatyzmem; jeśli w to samo miejsce jeszcze raz probuje wkręcić szrubę, ból ten — już będzie podagrą!

* *Babcia winna.*

Doktór wezwany do małego Stasia konstatuje wielką niestrawność. „Widzisz Stasiu“ rzecze, jak to źle, Musisz teraz brać gorzkie lekarstwo, boś sobie znowu popsuł żołądek.“

„To nie ja,“ mówi malec z płaczem, „to babcia winna, ona mi zawsze psuje żołądek.“

* *O doktorze Hiszpanie.*

Nasz dobry doktór spać się od nas bierze,
Ani chce z nami doczekać wieczerze;
Dajcie mu pokój, najdziem go w pościeli,
A sami przed się bywajmy weseli.
Już po wieczerzy, pódźmy do Hiszpana;
Ba, wierzę pódźmy, ale nie bez dzbana.

Puszczaj doktorze towarzyszu miły!
Doktór nie puścił, ale drzwi puściły.
Jedna nie wadzi, daj ci Boże zdrowie.
By jeno jedna, doktór na to powie.
Od jednej przyszło aż więc do dziewięci,
A doktorowi mózg się we łbie męci.
Trudny — powiada — mój rząd z tymi pany,
Szedłem spać trzeźwy, a wstanę pijany.

J. Kochanowski. (p. str. 14).

* *Uprzejma pacyjentka.*

Do panny Eufemii, która po piątej maskaradzie wróciła do domu silnie zaintrygowana przez... katar, przywołano doktora.

Gdy młody syn Eskulapa, przystąpiwszy do auskultacyi, zapukał w cierpiące jej piersi, panna zawołała uprzejmie:

— Entrez!

* Pewien doktór leczył od lat wielu barona, cierpiącego na podagrę, i nic dotąd pomódz mu nie mógł. Baron lubił wino, szczególniej reńskie, a tysiączne przestrogi lekarza, puszczał mimo ucha. Raz zeszedł on swego pacyjenta, siedzącego przed świeżo otwartą butelką „Johanisbergeru z r. 1748.“ „Ach, co widzę panie baronie“ zawołał wskazując na butelkę, „tam leży przyczyna pańskiej choroby.“ „Podoba mi się to doktorku,“ odrzekł jowijalny pacyjent i kazał przynieść służącemu drugą szklankę, a nalawszy w nią wina, podniósł swoją do góry i zawołał. „No! trąćmy się kochany doktorze teraz kiedy znalazłeś *grunt* mojej choroby, jesteś już na dobrej drodze wyleczenia mnie *gruntownie!*“

* *Wykształcony doktór.*

— Słuchaj, co ty myślisz o doktorze N?

— Zdaje mi się, że jest to człowiek wykształcony, zna wiele języków...

— Chyba tych, które mu pokazują pacyjenci.

* *Niesłusznie.*

Żywa zazdrość wygląda z oczu doktorowi,
Bo ledwo żyw, gdy widzi iże ludzie zdrowi.

* *Żołnierz i doktór.*

Pobitych nieprzyjaciół żołnierz z chluby liczy,
Doktór co ich pogubił, siedząc społem milczy,
Gospodarz rozśmiawszy się, tem obu zagai:
Jeden się z fałszu chwali, drugą z prawdą tai.

* *U chorego.*

Chory. Proszę, panie doktorze, powiedz otwarcie... śmiało... jak mnie dziś znajdujesz?

Doktór. Wybornie... oh lepiej... znacznie lepiej... Tylko... tylko...

Chory. Co tylko?

Doktór. Jeżeli już mam mówić otwarcie...

Chory. Proszę... bardzo proszę.

Doktór. To choroba pańska dziwnie oddziałała na władze umysłowe... na pamięć...

Chory. Bynajmniej. Mylisz się doktorze. Nie czuję najmniejszego przytępienia...

Doktór. Owszem, owszem — nie mylę się. A na dowód... powiem... że trzeci raz wychodzę bez honoraryjum...

Chory. Ochłonąłem! Jeżeli to tylko! No, doktorze, nie będziesz na mnie narzekał... pogodzimy się...

Doktór. Z panem... zapewne... tak... ale jak przyjdzie... z sukcesorami?..

* *Doktór na tańcującym mieszczańskim wieczorku.*

Gospodyni domu (widząc doktora ukazującego się we drzwiach salonu). A... witamy kochanego konsylijarza!.. jak to dobrze, że pan raczyłeś do nas przybyć!... rozerwiesz się nieco po pracy!...

Doktór. Zawsze się stawiam chętnie na zaproszenie życzliwych mi osób.

Gospodarz domu. Pozwól się, kochany doktorku, przedstawić towarzystwu. (Do dam). Pan Zdrowicki, doktór medycyny — doskonały lekarz na wszystkie ciężkie choroby... od godziny 3-ej do 5-ej po południu przyjmuje pacyjentów... Dyskretny jak rzadko! sekret zachować umie!..

Doktór (z cicha). Co pan pleciesz?!

Gospodarz domu (d. s.) Prawda, palnąłem głupstwo.

Gospodyni domu. No, siadajże konsylijarzu!.. Ale, ale wiesz pan?.. wyskoczyła mi na języku jakaś krosta... rodzaj grzybka... niechno pan zobaczy... (pokazuje język).

Doktór. To nic... to prędko zginie!..

Gospodyni domu. Oto herbata... proszę... niechże pan pije... (doktór zaczyna pić herbatę).

Gospodarz domu. Ale, ale mój doktorze!.. nasz mały okropnie krzyczy po nocach.

Gospodyni domu. Strasznie ma wzdęty brzuszek!.. Oto sucharki... niechże pan pozwoli!.. (do niańki stojącej we drzwiach z dzieckiem). Chodźcie no tu Maciejowa!.. pokażcie panu Stasia. (Mamka się zbliża — matka rozwija dziecko z pieluch i pokazuje je doktorowi).

Doktór (dotykając się malca). To nic... zapiszę mu rabarbaru...

Mamka. E! już nie potrzeba, bo to... A ty brzydalu...

Gospodyni domu. A weźcie go, weźcie!

Gospodarz domu. Zakadzić!..

(Ogólny popłoch w sali — panny się rumienią — młodzież się śmieje — mamka z dzieckiem ucieka — pokojowa zapala trociczkę).

Gospodyni domu (do doktora). Niechże pan pije tę herbatę bo ostygnie!..

Jedna z zaproszonych matek (do córki). Kamilciu, starajże się podobać doktorowi... ma pieniądze!.. bardzo przystojny!.. kawaler!..

Kamilla. Kiedy ja go nie znam.

Matka. Zaraz cię z nim zapoznam!.. (do doktora). Pan konsylijarz pewnie mnie sobie nie przypomina?..

Doktór. Nie mam przyjemności.

Matka. Ja jestem ta sama, co to robiono przy mnie konsylijum, gdy się moja najmłodsza córka urodziła... pan mnie zna doskonale!.

Doktór. Ach! przypominam sobie... bardzo mi miło...

Matka. Oto moja najstarsza córka Kamilcia!.. bardzo dobrze wychowana panienka... tylko cierpi na bicie serca...

Doktór (do Kamilli). Pani!..

Gospodarz domu. Doktorze!.. patrz, jak hulają!.. puśćno się w taniec!..

Matka. Moja córka prześlicznie tańczy.

Gospodarz domu. Tak! tak! z panną Kamillą... Ale, ale, doktorku!.. od kilku dni nos mi czegoś puchnie!..

Doktór. Niech pan mniej pije...

Matka. No Kamilciu, pan doktór prosi cię do tańca.

(Doktór zmuszony w ten sposób, zaprasza pannę Kamilę i parę razy w walcu obiega z nią salę, poczem sadza ją na krześle).

Kamila (robiąc melancholiczną minkę). Ach panie, jestem słaba! niechno pan zobaczy jak mi serce bije!..

Doktór. Trzeba zażywać pomarańczowe krople na cukrze.

Kamilla. Och, mnie nie pomarańczowych kropli potrzeba!..

Doktór. A czego?

Kamilla. Powiem panu, bo mam do niego zaufanie. Mnie potrzeba kropli uczucia... kapki sympatyi...

Doktór. Na to doktór nic poradzić nie może.

Gospodyni domu. Ach! ach! ach! doktorze!.. moja matka zasłabła!.. jadła dziś na obiad zawiele!.. patrzaj jak się zmieniła!.. pisz receptę!.. oto papier i pióro.

Doktór (pisząc receptę). Proszę chorą położyć do łóżka — a z tą receptą posłać kogo do apteki i zażywać lekarstwa podług przepisu.

Gospodarz domu. No!.. kolacyja na stole!.. proszę państwa do jadalnego pokoju!

(Doktór chce podać rękę jednej z panien aby się z nią udać do jadalni).

Stary jegomość kaszlący (chwytając doktora za rękę). Przez Boga, szanowny panie doktorze!.. radź mi, bo mnie ten kaszel zamęczy... a przytem zobaczno mój język.. cały zgorączkowany.

Gospodarz domu (z jadalnego pokoju). Kto tam jeszcze został w sali? Proszę do stołu!..

Otyła jejmość. Zaraz (do doktora). Oprócz tego zrobiło mi się coś na łydce... może to czarna krosta?..

Stary jegomość. Radź mi szanowny konsylijarzu!..

Otyła jejmość. Patrz pan co mam na to zrobić?..

Doktór. Zaraz, zaraz będę państwu służył, tylko pójdę naprzód po pewne lekarstwo, które mam w palcie w przedpokoju.

Otyła jejmość. Dobrze, dobrze, zaczekamy...

Stary jegomość. O ty nasz zbawco (do otyłej jejmości). Jak to dobrze mieć znajomego doktora!.. nic mu się przynajmniej nie płaci!..

Otyła jejmość. Na wieczorze wstydziłby się brać pieniądzy.

Jegomość. Liczę na to tak jak pani i dla tego proszę go o radę.

Doktór (podczas zamiany tych słów pomiędzy jegomością a jejmością, wybiega niepostrzeżony przez nikogo do przedpokoju, kładzie na siebie palto i woła do służącej). Poświeć mi na schodach.

Służąca. Pan doktór już idzie? Szkoda!.. Ale, ale, proszę łaski pana, co na to robić? mam piegi na twarzy i głowa mi łysieje.

Doktór. Przez Bóg żywy... chcecie mnie dzisiaj zamordować! Dajcie mi święty spokój, róbcie sobie co chcecie... (zbiega po schodach do bramy i woła na stróża). Józefie!..

Stróż (po długiej chwili otwierając bramę). A! to wielmozny pan doktór — oj prosę pana, wypiłem kilka kielisków i tak mi się we łbie kręci, że się ledwie na nogach tsymam! moze mi wielmożny pan co poradzi...

Doktór. Idź do licha błaźnie jakiś... jeszcze ty mnie będziesz nudził... (wybiega w gniewie na ulicę i mówi do siebie) A to przyjemnie odetchnąłem po pracy! Co to za rozkosz być doktorom!..

„Mucha“ tygodnik humorystyczno-satyryczny ilustrowany, wychodzący w Warszawie, założony przez znanego w swoim czasie wydawcę J. Kaufmana. Redagował go początkowo Fr. Kostrzewski i wtedy pismo było wyłącznie ilustrowane. Następnie, po wprowadzeniu tekstu, kierunek redakcyjny objęli A. Michaux (Miron), Głowacki (Prus) oraz Szober. Ten ostatni pomieszczał w „Musze“ bardzo wiele swych zgrabnych utworów. Właścicielem pisma potem zostaje Ungor, który powierza redakcyję F. Fryzemu, a ten wkrótce nabywa je zupełnie. Obecnie *Mucha* jest własnością znanego humorysty W. Buchnera, który też jest naczelnym jej redaktorem.

* — Jak widzę pigułki nie skutkują, musiałeś pan zażyć nie całe pudełko?

— Ależ panie doktorze, wypełniłem przepis jaknajakuratniej, dzisiaj z rana połknąłem ostatnie denko z etykietą!

* Sławny i znakomity doktór londyński, Abernethy, prędko załatwiał konsultacyję z osobami, którym wyobrażało się tylko, że są chore. Pewna dama, której się uroiło, że ma katar żołądka, nudziła go pytaniami o to, co ma jadać, wyliczając przytem całą litanję symptomatów choroby. Doktór słuchał cierpliwie przez czas jakiś, w końcu gdy powtórnie spytała czy może na noc jeść ostrygi odpowiedział:

„Wie pani co jej powiem: możesz jeść wszystko prócz pogrzebacza i mieszka do ognia — bo jeden jest ciężki do strawienia, drugi zaś sprawia odęcie.“

* *Z pamiętników doktora.*

Miałem ja niegdyś praktykę nie małą,
(Ba i dochody nawet jakie takie),
A przez czas długi ciągle się widziało
Różne gorączki i febry wszelakie,
Nawet deliryja i dzikie obłędy,
Pomiędzy ludźmi spotykałem wszędy.

Brzemię swej pracy niosąc jak Syzyfus
Leczyłem ludzi codziennie aż miło;
Z chorego nieraz wypędziłem tyfus,
Gorączkę żółtą, białą albo zgniłą,
I siląc głowę na różne koncepty,
Pisałem nieraz skuteczne recepty.

Ale, zaprawdę! jak mi droga cnota!
Przyznać to muszę w niekłamanym smutku,
Że kiedy pacyjent wpadł w gorączkę złota,
Recepty moje już nie robią skutku;
Bo dzisiaj chciwość tak silna w człowieku,
Że medycyna nie ma na nią leku.

* Fryderyk Wielki za każdym razem, gdy spotkał jakiego doktora, zapytywał go, czy dużo ludzi w swem życiu posłał na tamten świat?

Jeden z nich odpowiedział mu raz nakoniec odważnie:

— Mniej niż Ty Najjaśniejszy Panie.

* Lieutand, nadworny doktor królewski był na łożu śmierci. Spowiednik chcąc zapewnić zbawienie jego duszy, męczył go pytaniami.

— Czy wierzysz w tajemnicę naszej religii, pytał umierającego.

— Wierzę we wszystko — odrzekł zniecierpliwiony Lieutand, tylko w jedną medycynę nie wierzę.

* *Zasłużony order.*

— Witam szanownego doktora, co widzę, dostałeś order?

— Dostałem.

— Wiesz co, nikomu to się słuszniej jak tobie nie należało.

— Dlaczego?

— A no, bo order dają tym, którzy najwięcej trupów na placu boju położyli.

* *Ogłoszenie.*

Z powodu nadchodzącego terminu przeprowadzin, zawiadamiam moich nielicznych pacyjentów, że nie zmieniłem mieszkania. Dla ubogich konsultacyja bezpłatna od świtu do północy każdodziennie, z wyjątkiem niedzieli oraz trzech dni przed nią i po niej“.

* Sławny paryzki doktór Brissel, został nagląco wezwany do młodej artystki dramatycznej, która umierała jakoby z otrucia.

Wprowadzony do chorej, ujrzał ją leżącą w konwulsyjach, zastosował odpowiednie środki i młoda dziewczyna została uratowaną.

We dwa dni potem, pan jakiś siwowłosy o dystyngowanej powierzchowności, wszedł do pokoju doktora i w te ozwał się słowa:

— Pan uratowałeś pannę Magdalenę, śliczną artystkę dramatyczną, dla której mam prawdziwe, głębokie przywiązanie. Oszczędziłeś mi wiele boleści i wyrzutów sumienia. Byłem dla niej surowym, niewyrozumiałym, uznaję to; biedne dziecko, chciało mieć elegancki powozik, jaki przecież każdy posiadać ma prawo; odmówiłem jej tej drobnostki, a ona sądziła, że ją już nie kocham i chciała umrzeć. Czuję się w obowiązku osobiście podziękować szanownemu panu za jego trudy, a ta mała sumka niech będzie chociaż słabym wyrazem wdzięczności, jaką dla niego zachowam.

Skończywszy uroczystą przemowę, położył sędziwy starzec na kominku rulon dziesięciofrankówek, skłonił się i wyszedł:

W kilka dni potem, w godzinach przyjęcia, pojawił się u doktora grubas jakiś przeszło czterdziestoletni, z brylantową spinką w krawacie i takiemiż na palcach pierścieniami w złotym łańcuchu i dziurawych rękawiczkach.

— Kochany doktorze — rzekł skrzeczącym głosem, z trudnością oddech łapiąc — przychodzę do pana z podziękowaniem za uratowanie panny Magdaleny, która się otruć chciała. Zrobiłem jej scenę za umizgi do młodego kuzynka. O, rozkoszna figlarka! Jestem cokolwiek gwałtowny, mój panie, zagroziłem jej, że ją porzucę; nie przypuszczałem, że biedaczka tak za mną szaleje. Bez pańskiej biegłej pomocy, byłoby już po niej. To trzecia już niestety! moja ofiara. Ale — co to ja chciałem powiedzieć? Każdy żyje ze swej pracy i sądzę, że tem starania pańskie będą nagrodzone.

Mówiąc to. wyliczył powoli i z całą uwagą trzysta franków, które w trzy kolumny ułożył na biurku doktora i skłoniwszy się niezgrabnie, wyszedł. Doktór został sam, zakłopotany i nierad z siebie.

W półgodziny zasztukał do drzwi i wszedł elastycznym krokiem młody, może trzydziestoletni człowiek, ubrany według najświeższej mody, z włosami starannie rozdzielonemi i długiemi faworytami.

— Pan jesteś doktorem Brissol? — zapytał.

— Tak, czem mogę panu służyć?

— Przychodzę, panie konsylijarzu, wyrazić ci moją wdzięczność za starania, któremi otaczałeś moją sąsiadkę, miluchną pannę Magdalenę. Miałem szczęście posiadać jej łaski i niedarowaną lekkomyślnością, popchnąłem ją do rozpaczliwego kroku. Biedne stworzenie! wzięło rzecz nadto do serca. Niestety! nie jestem w możności wdzięczność moją odpowiednio okazać, karta mi uparcie nie dopisywała w tych czasach, mogę więc tylko prosić, byś pan uważał mnie za swego prawdziwego i oddanego przyjaciela.

Ścisnął rękę doktora, przejrzał się w lustrze, musnął włosy i wyszedł.

Tymczasem zacny doktór powziął plan pewien i postanowił go niezwłocznie wykonać.

Pojechał do młodej artystki i powiedział:

— Wdzięczność pani wielbicieli objawiła się w sposób bardzo dla mnie ambarasujący. Otrzymałem sto luidorów od jakiegoś starego pana, który wykwintnie i z taktem mi je ofiarował. Potem dostałem znów od jakiegoś drugiego obywatela drugie sto luidorów. Pieniędzy tych spekulantów, finansistów, czy nie wiem kogo, przyjąć nie chcę i nie powinienem, należą one do pani. Oto są. Co zaś do trzeciego nie potrzebujesz się martwić z jego powodu. Dlatego tylko sprzeniewierzył się pani, że zgrał się w karty. Zresztą, o ile mogłem zauważyć, masz w nich wszystkich oddanych przyjaciół.

— Tak, wiem o tem mój panie — zaszczebiotała artystka uroczo — gdyby tamten mnie kochał, jak ci trzej, nie byłabym przyprowadzona do rozpaczy.

— Jakto? więc jeszcze jest czwarty?

— Tak jest, niewdzięcznik z teatru Gaité, opuścił mnie i przyjął „engagement“ do Rosyi...

Dokumenta.

I.

* Na wiosce, w chacie rolnika,
Żyje staruszka sędziwa;
Że czasem luleczkę pyka,
Baba się Lulką nazywa.

Prześliczny obraz, choć w ramy,
Nasz z nią wieczorek w gawędzie;
My przy kominku słuchamy,
A baba gwarzy i przędzie.

Stare podania pamięta...
Raz nam mówiła te słowa:
Że dawniej wszystkie zwierzęta
To była szlachta herbowa.

Lew już z przed wieków miał sobie
Prawa królewskie uznane:
W konstytucyjnym sposobie
Pożerał swoje poddane.

Niedźwiedź był baron, wilk hrabia,
A lis to szambelan stary;
A co tam który wyrabia,
Lew na to patrzył przez szpary.

I zwierząt inszych niemało
Stan szlachty rycerskiej składa,
I jak na szlachtę przystało,
Próżnuje, pije, zajada.

Głowy nosili do góry
Wolni panowie swych domów;
Z osiołków zdzierano skóry
Na pargaminy dyplomów.

Tylko się biedna mysz w norze
Lub zasklepiona w stodole,
Legitymować nie może --
Zwyczajnie — chude pachole.

Lecz nie zna podatku z duszy
I na pańszczyznę nie idzie;
Więc głowy wielce nie suszy,
Że w chłopskiej musi żyć biedzie.

A rządząc się gospodarnie,
Ma pokarm smaczny i zdrowy,
Ma śpichrz, stodołę, śpiżarnię,
Jak jaki szlachcic czynszowy,

II.

Raz niedźwiedź tak się rozgada,
W swoich przyjaciół drużynie:
— „Piękna to rzecz, kto posiada
Dyplomat na pargaminie!

Lecz zimą, jak będę we śnie,
Choć go pod głowę położę,
Z wilgoci wkradną się pleśnie,
Jeszcze dyplomat zgnić może!

Wilku! przyjacielu szczery,
Przyjaźń usłużnym być każe:
Wszak ty masz własne papiery,
Weź dyplom pod swoją strażę",

—„Nie mogę"—wilk mu odpowie —
„Ja zawsze jestem za domem,
Sam rady nie znajdę w głowie,
Co zrobić z własnym dyplomem".

Muszę pilnować baranów,
Co się tam pastwią nad zbożem:
Więc sam się, *mon cher*, zastanów,
Że nie mam czasu być stróżem.

Ot lis, co siedzi na stronie,
Niechaj tem zajmie się szczerze:
Daj mu swój dyplom baronie,
A ja mój własny powierzę".

--„Dajcie mi pokój!"—lis wrzaśnie —
Mnie myśleć o pargaminach!
Wszak do mnie należy właśnie
Sąd sporów w kokoszych gminach.

Muszę od wioski do wioski
Biegać i słuchać ich gwarów:
Och, urząd... urząd sędziowski
Ileż ma w sobie ciężarów!"

—„Ha! jeśli tak"—wilk mu rzecze —
„W psiej budzie złożym archiwa:
Pies weźmie dyplomy w pieczę,
On się stróż wierny nazywa!"

Więc oddał psu swoich braci
Rodowitości dyplomy.
Pies przyrzekł, że ich nie straci,
A już psi honor wiadomy.

Ale po krótkiej rozwadze
Zadrżał o papiery w budzie:
—„A cóż ja biedny poradzę,
Jeśli ukradną je ludzie!

Bo takie rzeczy ich wabią:
Nie bardzo wierzę w ich cnotę,
Zostać baronem lub hrabią
Każdy z nich miałby ochotę.

Psie nawet szlachectwo moje
Skusiłoby niejednego;
Sam się o własny skarb boję,
Jakże się inne ustrzegą?

Ot, pójdę do kota lepiej:
Jego troskliwa opieka
Niech gdzieś w zapiecku zasklepi,
Z dala od oka człowieka".

Szedł i powiada rzecz całą:
—„Składam w twe ręce skarb wielki,
Przodków pamiątkę wspaniałą,
Żeśmy nie *hetki-pętelki.*

Pamiętaj czuwać przykładnie,
By ten skarb nie był zepsuty;
Bo jak szlachectwo przepadnie,
Wszyscy pójdziemy w rekruty".

Kot, pełniąc sercem gotowem
Co każe bracia życzliwa,
Złożył pod strychem domowym
Rodowitości archiwa.

Lecz gdzież pieszczonemu dziecku
Ślęczeć jako archiwista?
Trzeba się wygrzać w zapiecku,
Trzeba się umyć do czysta.

Trzeba wskoczyć na ramiona
Panienki, co go tak kocha;
Owdzie go rybka smażona,
Tam słońce nęci pieszczocha.

Tam trzeba poigrać skocznie,
Tam przyszła pora obiadu...
Czasu — brak czasu widocznie,
Że ani zajrzał do składu.

Tak przeszło lato, tak zima;
Mysz, co siedziała po cichu,
Gdy zboża w spichrzu już niema,
Poczęła wietrzyć po strychu.

I aż z radości podrosła,
Do heraldyki dopadłszy.
Choć twarda skóra w niej osła,
Ale głód smaku nie patrzy.

Zwołała braci i siostry
Na te przysmaki jedyne,
I wzięły na ząbek ostry
Średniowiekową łacinę.

Nigdy tak krytyk w gazecie
Nie pastwi się w żywe oczy,
Gdy autor nieznany w świecie
Tom poezyjek wytłoczy, —

Jak one wszystkie pospołu
Strzygły, gryzły, darły w szmaty ..
Stały się kupą popiołu
Hrabiowstwa i baronaty, —

I psie szlachectwo zginęło,
Figurujące tak dumnie.
Na takie wandalstwa dzieło
Paprocki aż stęknął w trumnie.

Lecz można w obronie myszy
Użyć retoryki całej:
Zkąd one, w swojej zaciszy,
O dyplomatach wiedziały?

Do takiej rozmyślnej psoty
Syn tylko zdolen człowieczy:
To dzieło chłopskiej roboty,
Co nie zna wartości rzeczy.

III.

Wtem niebo cisnęło głazem,
Kazano na łeb na szyję,
Wszystkim zwierzętom zarazem
Składać legitymacyję: —

Kto jesteś zacz? kto cię rodzi?
Kto pradziad świętej pamięci?
Zkąd się twój klejnot wywodzi,
Co go używasz w pieczęci?

Gdy każą, to trudna rada,
Potrzeba słuchać w tej chwili;
Więc każdy do psa powiada:
—„Oddaj mi waszmość przywilej!“

Pies idzie i kota pyta
Swoich współbraci imieniem,
Co miękki jak sybaryta
Bawił się własnym swym cieniem.

Pod strych pobiegli co żywo:
Obaj krzyknęli z rozpaczą,
Kiedy ruinę straszliwą
Zamiast dyplomów obaczą!

W żalu załamali pięście...
Kot już ze strachu na strzesie;
Pies poszedł wspólne nieszczęście
Zwiastować braciom co w lesie.

Niedźwiedź rwał kudły, gryzł ziemię
Na wiadomości bolesne,
Rycząc przeklinał psie plemię,
Aż głusze zadrżały leśne.

Porwał psa w silne pazury,
Chcąc mu rozszarpać jelita;
Lecz pies skoczywszy do góry,
Silnie za gardło go chwyta.

Krew obryzgała murawę,
Pies już w godzinie ostatniej
Na bok dwa susy dał żwawe
I umknął z niedźwiedziej matni.

Bieży — w tem wilk go napada,
Który plondrował po niwie:
Całą mu rzecz opowiada, —
Wilk tylko zawył straszliwie.

Głos tak okropne miał zmiany,
Rozpacz tak wielka rozdraźni,
Że w siódmej wiosce barany
Beczeć poczęły z bojaźni.

I przyjaciele najszczersi
Poczęli gryźć się jak wrogi,
Paszcz z paszczą, piersi do piersi,
Pies zdusił wilka i w nogi.

Co dalej? przewidzieć łatwo:
Spisano zwierzęce głowy,
Wszyscy z żonami i z dziatwą
Poszli w okład podatkowy.

Poczęto ścigać zwierzęta,
Czy gdzie las gęsty, czy pole;
Pies z wolnego rezydenta
Poszedł do człeka w niewolę.

Został na łańcuch przykutym,
Gdy dawniej na taki przymus
Mógł się zastawić statutem:
„*Neminem captivabimus*“.

Schłopiały zwierzęta z laty
Pod człeka władzą i strażą;
Wkrótce dla większej intraty,
Jeszcze im wódkę pić każą.

Pies się na sforę utroczy
I idzie na polowania,
Z wilkiem, z niedźwiedziem bój toczy,
Lub się za lisem ugania.

A gdy się walka rozjada,
Każdy o krzywdzie pamięta
I każdy do psa powiada:
—„Oddaj moje dokumenta!“

Pies czuje, że to sromota —
I szkoda mu leśnych dzieci;
Za to gdy ujrzy gdzie kota,
Heżha za nim! aż pył leci.

Kot przed nim na dach ucieka,
Albo do drzewa gdzie dotrze.
Pies tylko gniewliwie szczeka:
—„Oddaj papiery nam łotrze!“

Kot czmycha, parska ze drżeniem,
Nudzi się taką zabawą;
Za to nad myszem plemieniem
Mści się codziennie i krwawo.

Odtąd w zwierzęcej zaciszy
Zmienił się porządek błogi:
Niedźwiedź, wilk, pies, kot i myszy
Są sobie śmiertelne wrogi.

Ktoś chciał ich jednać powoli,
Lecz to zaliczmy do baśni:
Niezgoda — cecha niewoli —
Na wieki wieków ich waśni.

Syrokomla. (p. str. 128).

* Dokumenta bywały dotąd tylko nieżywe; od czasu zwycięztwa Zoli, bywają i żywe. Szkoda tylko, iż te dokumenta, które znakomity romansopisarz przedstawia, są trochę za *żywe* i mimowoli każdy czytelnik marzy o tem. aby być przy nich — archiwistą...

Dolina.

* *W dolinie szwajcarskiej.*

Pan. Czy pani co czytała o Polu?

Dama. Nie...

Pan. A o Pługu?

Dama. E, mój panie, czy to ja chłop, żebym się zajmowała oraniem.

Domeyko.

Pamiętam, za mych czasów, było dwóch sąsiadów,
Oba ludzie uczciwi, szlachta z prapradziadów,
Mieszkali po dwóch stronach nad rzeką Wilejką
Jeden zwał się Domeyko a drugi Doweyko.
Do niedźwiedzicy oba razem wystrzelili:
Kto zabił, trudno dociec; strasznie się kłócili,
I przysięgli się strzelać przez niedźwiedzią skórę,
To mi to po szlachecku, prawie rura w rurę.
Pojedynek ten wiele narobił hałasu;
Pieśni o nim śpiewano za owego czasu.
Ja byłem sekundantem; jak się wszystko działo,
Opowiem od początku historyję całą...
„Domeyki i Dowejki wszystkie sprzeciwieństwa
Pochodziły, rzecz dziwna, z nazwisk podobieństwa
Bardzo niewygodnego. Bo, gdy w czas sejmików,
Przyjaciele Doweyki skarbili stronników
Szepnął ktoś do szlachcica: Daj kreskę Doweyce!
A ten, niedosłyszawszy, dał kreskę Domeyce.
Gdy na uczcie wniósł zdrowie marszałek Rupeyko:
Wiwat Doweyko! drudzy krzyknęli: Domeyko!
A kto siedział w pośrodku nie trafił do ładu,
Zwłaszcza przy niewyraźnej mowie w czas obiadu.
Gorzej było. Raz w Wilnie, jakiś szlachcic pijany
Bił się w szable z Domejką i dostał dwie rany:
Potem, ów szlachcic z Wilna wracając do domu,
Dziwnym trafem, z Doweyką zjechał się u promu
Gdy więc na jednym promie płynęli Wilejką,
Pyta sąsiada: kto on? odpowie Dowejko —
Nie czekając, dobywa rapier z pod kirejki.
Czach! czach! i za Domeykę podciął wąs Doweyki.
Wreszcie, jak na dobitkę, trzeba jeszcze było,
Żeby na polowaniu tak się wydarzyło,
Że stali bliżko siebie oba imiennicy,
I do jednej strzelili razem niedźwiedzicy.
Prawda, że po ich strzale upadła bez duchu,
Ale już pierwej niosła z dziesiątek kul w brzuchu;
Strzelby z jednym kalibrem miało wiele osób:
Kto zabił niedźwiedzicę? dojdźże! jaki sposób?
Tu już krzyknęli: „dosyć! trzeba raz już skończyć,
Bóg nas czy dyjabeł złączył, trzeba się rozłączyć;
Dwóch nas jak dwóch słońc pono, zanadto na świecie.“
A więc do szerpentynek i stają na mecie.
Oba szanowni ludzie; co ich szlachta godzą,
To oni na się jeszcze zapalczywiej godzą,

Zmienili broń: od szabel szło na pistolety;
Stają, krzyczym, że nadto przybliżyli mety;
Oni na złość, przysięgli przez niedźwiedzą skórę
Strzelać się: śmierć niechybna! prawie rura
[w rurę;
Oba tęgo strzelali. — Sekunduj Hreczecha!
Zgoda, rzekłem, niech zaraz dół wykopie klecha;
Bo taki spór nie może skończyć się na niczem:
Lecz bijcie się szlacheckim trybem, nie rzeź-
[niczym;
Dosyć już mety zbliżać, widzę żeście zuchy;
Chcecie strzelać się, rury oparłszy na brzuchy?
Ja nie pozwolę. Zgoda, że na pistolety;
Lecz strzelać się nie z dalszej, ani z bliższej
[mety,
Jak przez skórę niedźwiedzą. Ja rękami memi,
Jako sekundant, skórę rozciągnę na ziemi,
I ja sam was ustawię: Waść po jednej stronie
Stanie na końcu pyska, a waść na ogonie.
Zgoda! wrzaśli; czas? — jutro; miejsce? —
[karczma Usza.
Rozjechali się. Ja zaś do Wirgilijusza...
Ledwie dniało, już z jednej strony taradejką
Jedzie Doweyko, z drugiej na koniu Domeyko.
Patrzą, aż tu przez rzekę, leży most kosmaty,
Pas ze skóry niedźwiedziej porzniętej na szmaty;
Postawiłem Doweykę na zwierza ogonie
Z jednej strony, Domeykę zaś po drugiej
[stronie:
Pukajcie teraz, rzekłem, choć przez całe życie,
Lecz póty was nie puszczę, aż się pogo-
[dzicie...
Oni w złość; a tu szlachta kładnie się na ziemi
Od śmiechu, a ja z księdzem słowy poważnemi
Nuż im z Ewangelii z Statutów dowodzić;
Nie ma rady; śmieli się i musieli zgodzić.
Spór ich potem w dozgonną przyjaźń się zamie-
I Doweyko się z siostrą Domeyki ożenił; [nił,
Domeyko pojął siostrę szwagra, Doweykównę,
Podzielili majątek na dwie części równe,
A w miejscu gdzie się zdarzył tak dziwny przy-
[padek,
Pobudowawszy karczmę, nazwali „niedźwiadek.“

Mickiewicz. (p. str. 19).

Domek z kart.

* Pan de Chalabre na grze w Faraona zrobił wielki majątek. Zofija Arnold złożywszy mu raz wizytę w jego własnym domu, roześmiała się mówiąc złośliwie. „Oh! oh! to za piękne i za mocne na domek z kart.“

Domino.

* Na balu maskaradowym, gdzie był obecnym i Ludwik XV, ubawili się wszyscy widokiem zabawnej scenki.

Do bufetu suto zaopatrzonego, zjawiało się, co pół godziny jakieś żółte domino, które pochłaniało takie porcyje różnych przekąsek i wykwintnych napojów, że w końcu ściągnęło to na siebie uwagę ogółu, podziwiającego ten szczególny okaz, niczem niezaspokojonego apetytu.

Król wraz z innymi, przyglądający się ciekawie fenomenalnej masce, kazał za nią śledzić. Otóż pokazało się, że żółte domino było wspólną własnością oddziału des Cent-Suisses, którego właściciele zmieniali się, przychodzili po kolei i delektowali bezpłatnie, przysmakami zastawionemi na bufecie.

(*Galerie de l'ancienne cour*).

Domownicy.

* — Co ci jest?—pytał Fontenelle'a przyjaciel, widząc go w złym humorze.

— Mam służącego — odparł zagadniony— który mi tak niedbale usługuje, jakby ich usługiwało dwudziestu.

Domyślność.

* *Sędzia.* Macieju! jesteście oskarżeni, żeście bez żadnego powodu uderzyli w twarz Antoniego.

Maciej. Proszę pana sędziego, to nie było bez powodu, przecież ludzie byli przytem jak Antoni zaczął w te słowa:

„Powiadam wam, że Maciej to jest...“ Ja się zaraz domyśliłem, że on chciał dodać „łotr,“ albo „bultaj,“ i dla tego zamknąłem mu usta ręką.

(*Flieg. Bläter.*)

* *W cukierni.*

Jeden z gości do drugiego. Pozwoli Szanowny Pan, chciałbym powiedzieć jedno słówko na osobności.

Drugi. I owszem, byleby tem słówkiem nie były: pieniądze.

Pierwszy (odchodząc). A — to przepraszam.“

Flieg. Bläter.

* *Panna* (do emablującego ją akademika). Kiedyż pan wreszcie zdasz egzamin na doktora?..

Akademik. O ja... właściwie... nie mam zamiaru tak prędko się żenić.

Doniesienie.

* Kto chce nająć pomieszkanie, składające się z trzech pokojów od frontu, na pierwszem piętrze, i dwóch od podwórza, za bardzo pomierną cenę, niech się zgłosi na ulicę Z. pod Nr. N. Nie taję, że są małe niedogodności, i tak: podwórze jest bardzo małe, bo mające tylko piętnaście łokci długości a ośm szerokości, ale za to piękny widok z frontowych okien apartamentu łagodzi tę niewygodę; nie ma studni w tym domu, ale za to o dwanaście domów jest woda, równająca się zdrojowej; nie ma góry do wieszania bielizny, ale za to na tym poddaszu mieszkają dwaj artyści, jeden uczy się grać na klarynecie, drugi na waltorni, co szanownemu lokatorowi niezawodnie wielką sprawi przyjemaość. Uprzedzam nakoniec, że nie jest to jeden z tych smutnych i ponurych domów, w którym jest cicho jak w klasztorze; jest w nim ruch i życie, i tak: kowal mieszkający na dole od piątej godziny rano bawi ucho harmonijnemi uderzeniami młota; obok, w obszernym szynku, weseli biesiadnicy do późnej nocy zachwycają umysł swemi czarującemi śpiewkami; waciarka z sześciorgiem dzieci, mieszkająca w pokoiku przyległym do wspomnianego apartamentu, cały dzień za pomocą rózgi daje koncert na swoich sześciu chodzących instrumentach, do czego dodawszy towarzyszenie klarynetu i waltorni na poddaszu, można ułożyć najpiękniejszą muzykę na świecie.

Humorysta Warszawski.

Don Kiszot.

* Może być, iż macie słuszność: Jestem tylko Don-Kiszotem i czytanie różnych dziwnych książek, przewróciło mi w głowie. W każdym razie obłęd mój i dziwaczne idee, zaczerpnięte z książek tych są innego rodzaju jak obłęd i dziwactwa rycerza z Manszy, On chciał przywrócić upadające rycerstwo, ja zaś chciałbym zniszczyć teraz zupełnie wszystko powstałe z czasów owych; działamy więc wskutek odmiennych zupełnie poglądów. Kolega mój brał wiatraki za olbrzymów, ja zaś widzę w naszych dzisiejszych olbrzymach chełpliwe wiatraki skórzane sakwy wina wydały mu się potężnymi czarodziejami, ja zaś widzę w dzisiejszych czarodziejach skórzane sakwy wina; brał on gospody żebracze za zamki, poganiaczy osłów za kawalerów, dziewki stajenne za damy dworskie, ja zaś uważam nasze zamki za gospody łotrów, naszych kawalerów za poganiaczy osłów, a damy za dziewki stajenne. Jak on wziął komedyję maryjonetek za akcyję dyplomatyczną, tak ja uważam akcyję dyplomatyczną za nędzną komedyję maryjonetek; lecz równie walecznie, jak rycerz z Manszy rozbijam drewniane urządzenia. *H. Heine.* (p. str. 26).

Dorożkarz.

* Pani R., żona sławnego artysty, przyzwyczaiła się w ciągu podróży swych po za granicami Francyi — tykać wszystkich ludzi niższego stanu.

Pewnego razu pani R. wsiadłszy do dorożki rzecze do dorożkarza:

— Spieszy mi się, popędzaj i jedź co koń wyskoczy, dostaniesz suty napiwek!

Dorożkarz zdetonowuny zrazu tą poufałością, — po chwili zwraca się z pełnym wdzięku uśmiechem do damy i odpowiada:

— Mówisz mi *ty* — oh! Pani!.. Miałaż by to być miłość? *Petite Berne.*

* Deszcz padał ulewny — jakiś dżentelmen wskakuje do dorożki i każe się wieść na Avenue l'Opera. W drodze opatruje się, że zapomniał sakiewki. Co tu począć?

Dorożka staje — pasażer wysiada.

— Przyjacielu, dajcie mi proszę zapałkę, upuściłem suwerena na dno dorożki...

Zamiast sięgnąć po zapałkę, dorożkarz zaciął konie i zniknął w oka mgnieniu na zakręcie ulicy.

International.

* Pewien dorożkarz kończył życie, a kiedy ostatnie chwile już nadeszły, brat jego, stojący obok łóżka, odezwał się łkając... „Jedź, jedź biedaku, nic i nikt ci już tu niepomoże."

Na słowa „jedź, jedź" chory przyszedł na chwilę do siebie, otworzył oczy i odrzekł gasnącym głosem „Już zaprzężone."

Doskonałość.

* Mało jest żon tak doskonałych, aby mężowie ich nie żałowali, przynajmniej raz na dzień, że je mają, lub nie uważali za szczęśliwych tych, co nie zawarli związków nałżeńskich.

Le Bruyère.

* — Nieprawdaż, że pan X. jest doskonałym człowiekiem, — spytał ktoś swego znajomego — on ma serce na dłoni.

— Być może — odrzekł oschle zapytany — ale dłoń trzyma zawsze w kieszeni.

Doświadczenie.

* Nie jest wąż bez żądła, a ryba bez ości,
Miłość bez doświadczeń, szczęście bez za-
[zdrości.

Krakowiaku Wacława z Oleska.

* Luba! najdroższa! za tydzień wesele;
Czemużeś jeszcze dla mnie taka sroga?
Pozwól niech... *całus* uszczknąć się ośmielę
Zanim staniemy przed ołtarzem Boga.

O nie! mój drogi: tego już nie można,
Jam pod tym względem słowo sobie dała,
Że z narzeczonym będę zbyt ostrożna,
Bom się w ten sposób raz już załapała.

* *Paweł.* Czy nie pójdziesz dziś do teatru?

Gaweł. A jaką sztukę grają?

Paweł. „Kobiety jakiemi być nie powinny."

Gaweł. O to dziękuję! znam je dobrze!

Paweł. To być nie może, tę sztukę dają po raz pierwszy.

Gaweł. Tak, ale ja jestem już po raz drugi żonaty!

* O doświadczenie! ty jesteś pancerzem
Dla piersi, w której serce nie uderza;
Jesteś latarnią nad morskiem wybrzeżem,
Do której człowiek w dzień pochmurny
[zmierza!
O doświadczenie! jesteś ciepłem pierzem
Dla samolubów! tyś gwiazdą rycerza,
Bawełną w uszach od ludzkiego jęku;
Dla mnie, śród ciemnej nocy, świecą w ręku!

Słowacki. (p. str. 87).

Dowcip.

* Dowcip i humor są to dwie główne sprężyny w świecie komizmu, są to owoce bogatej i wrażliwej imaginacyi. Dowcip u starożytnych znaczył to samo, co mądrość, wiedza, rozum. U francuzów „esprit" ma daleko rozleglejsze znaczenie niż „witz" u niemców, jednakże słowo to określające dowcip, u niemców daleko trafniej rzecz oznacza i możemy powiedzieć, że niemcy posiadają odpowiednie orzeczenie, zaś francuzi rzecz samą. Niemiecki język odróżnia dowcip od inteligencyi, która tak się ma do niego, jak wewnętrzna wartość do powierzchownych wdzięków, jak zdrowie do piękności, jak istota rzeczy do pozoru, jak obraz do wyobraźni, anglik lub niemiec do francuza. Polot dowcipu bywa nieraz nizki a skrzydła jego opylone nie tak rzecz się ma z inteligencyją, która zawsze buja w wysokich sferach, dlatego też człowiek dowcipny zawsze niższy stopień zajmuje od człowieka inteligencyją obdarzonego. Niemieccy filozofowie nazywali dowcip zdolnością ducha odkrywania ukrytych podobieństw (analogii) bystrość zaś czyli przenikliwość zdolnością wynajdywania ukrytych różnic. Dowcip

jest objawem bystrej pamięci a nie trafnego sądu, często jego spostrzeżenia są powierzchowne i opaczne i dlatego, żeby był głębszym, gruntowniejszym—trzeba go skojarzyć z przenikliwością. Czy można bowiem spostrzedz podobieństwo (anologiję) jeżeli nie jest się w stanie ocenić sprzeczności. Rozum jest, podług Yonug'a, dyjamentem, który oszlifowany przez dowcip jaśniej bez wątpienia, błyszczy ale i bez oszlifowania dyjamentem być nie przestaje. Rozum jest naszym chełmem, dowcip kitą z piór dla ozdoby, która nieraz naraża nas na niebezpieczeństwo tam, gdzie chełm nas ochrania. Dowcip bez rozumu jest to okręt, który z rozwiniętemi żaglami leci na skały. Owocem przenikliwości jest poznanie prawdy, dowcipu ożywienie i wzbudzenie zajęcia. Dowcip bez bystrości jest zwykle fałszywym blaskiem, bystrość bez dowcipu często jest tylko przebiegłością. Bystrość przez wprawę i pracę nabyć można, dowcip jest darem natury, pięknem umysłu; dlatego niewłaściwem jest przypisywanie go sobie samemu. Dowcip nie jest przymiotem dającym się nabyć choćby największemi usiłowaniami, jest wrodzonym darem towarzyskim. Dowcip idący w parze z bystrością umysłu, objawiający się w tem co francuzi określają nazwą „saillie", często zawiera w sobie tyle myśli i głębokiego poglądu co poważne sentencyje (zdania) i maksymy filozofów. Lichtenberg przedstawia przenikliwość z powiększającem szkłem w ręku, dowcip ze zmniejszającem i z tem ostatniem jednak można robić odkrycia, spostrzeżenia. Bodmer, niegdyś uważany za wyrocznię, nazywał dowcip „świerzbą" inteliligencyi. Na to cierpienie nigdy nie chorował ani on ani jego przeciwnik Gotsced, który przez lat trzydzieści miotał obelgi i złorzeczenia. Seume, który tą samą obrzydliwą nazwą określa dowcip i który był trafnym w swych spostrzeżeniach powiada, że choroba ta jest zbawienna dla silnego organizmu, ale wątły do szczętu zjada. Dowcip można porównać z pszczołą, która brzęczy, przelatując z kwiatu na kwiat, zbiera miód, a tego co się do niej zbliży nieraz boleśnie żądłem ukole. Dowcip obudza śmiech, można więc go nazwać pajacem rozumu. Dowcip ugania się za zwięzłością a w skutek tego lubi grę słów, którą wielu za dowcip bierze. Dowcip udaje się tylko przy swobodnem bez trosk usposobieniu, milknie jeżeli serce cierpi lub miotane jest namiętnościami. Dowcip, jak również humor, jest rzadkim darem niebios, jest to roślina, która rzadko wyrasta. Żywa wyobraźnia, którą Malebranche nazywa dowcipnie „la folle du logis" a która dopomaga człowiekowi budować zamki na lodzie i jest jego najwierniejszą przyjaciółką, służy za materyjał twórczy dowcipu. Powaga i wesołość, pierwsza boski drugi ludzki pierwiastek, składają naturę człowieka. Wyobraźnia, ta urocza towarzyszka życia, która prowadzi nas nieraz na szczyty szczęścia, jest częściej przewodniczką dowcipu jak rozumu. Rozum bada, rozbiera każdą myśl, fantazyja przyjmuje ją z żywością. Rozum idzie powoli, krok za krokiem, fantazyja skacze, jej wystarcza pozór, forma; rozum zgłębia istotę rzeczy, zastanawia się nad skutkami i działaniem, nad prawdopodobieństwem i rzeczywistością. Dowcip jest dzieckiem, które nie robi różnicy między dukatami i groszami, dba o to tylko, aby mogło się nimi zabawić. Dowcip śmieje się tam, gdzie drudzy płaczą, gniewa się tam, gdzie drudzy się cieszą; a tam, gdzie samowładnie zapanuje, da się czuć brak serca. Dowcip jest ostrym nożem w ręku, który śmieje się nawet wtedy, gdy kaleczy i dopiero w dojrzałym wieku uczy się chować do pochwy mądrości i podlegać panowaniu dobrego serca. Jest to niebezpieczny dar, jeżeli jest silniejszym od poszanowania winnego przełożonym, a jeżeli nawet pozyska ich uznanie, często stawia posiadacza w najprzykrzejszem położeniu. Nieraz w najgroźniejszem położeniu stłumić go niepodobna, nieraz przyjaciela wolimy stracić niż dowcipny koncept, bo czy po to światło świeci, by je pod korzec stawiać? To też tego, co potrafi

powstrzymać się od wypowiedzenia dowcipnego słówka, nazwę mocarzem, władcą potężniejszym, od monarchy niejednego państwa. Sokrates, gdy mu Xantypa łając, rzuciła naczynie z wodą na głowę, powiedział: „Nic dziwnego, że po piorunach deszcz następuje"; gdy go ateńczycy na śmierć skazali, rzekł zimno: „I natura mnie na śmierć skazuje". Ciceron, wychylając siwą głowę z lektyki, przywołał zabójcę słowami: „Pójdź, jeżeliś kiedy słusznie postąpił, to właśnie teraz". Tomasz Morus, mając głowę opartą na klocu, powiedział do kata: „Wstrzymaj się, odsunę brodę, która zdrady stanu nie popełniła". Chesterfield, któremu doktór Cezar Hawkin robi straszną operacyję, powiada, drżąc z bólu: „Któż nie zadrży, widząc przy sobie Cezara!" Trudno o dowcipniejszą rezygnacyję, jak rezygnacyja jednookiego gaskończyka, który straciwszy przy fechtowaniu drugie oko, powiada do otaczających, zdejmując kapelusz: „Dobra noc panom". Król Stanisław, ów dobroczynny filozof, spalił się od ognia przy kominku, będąc 89-letnim starcem. Gdy lekarz kazał mu strzedz się zimna, powiedział: „Lepiej, żebyś mi był kazał strzedz się gorąca". Pewien fałszerz pieniędzy powiedział, mając już stryczek na szyi: „Wieszają mnie za to, że malowałem króla i chwaliłem Boga" (talar wówczas miał po jednej stronie wizerunek króla, po drugiej zaś napis w łacińskim języku: „Niech będzie imię Pana pochwalone"). Zauważono, że podniecony dowcip zwiastuje prędki zgon u ludzi niepospolitych, tak jak płomień, który wydaje jaśniejsze (jaskrawsze) światło przed zgaśnięciem. Dowcip umie z zapasu obrazów, leżących w naszej wyobraźni, wybrać to, co jest zajmującem, nadać każdemu przedmiotowi estetyczny pozór, wdzięk najniepozorniejszej rzeczy. „Wybryki młodości skracają życie", tak mówi rozum, dowcip zaś powiada: „Wiek jest despotą, który wybryki młodości śmiercią karze". Pewien kaznodzieja utrzymywał, rozmawiając z filozofem, że filozofija jest sługą teologii, na co światowy mędrzec odrzekł: „Czy ta sługa niesie za swoją panią tren sukni, czy też naprzód idzie z latarnią w ręku?" Historyja mówi o Ludwiku XVI, że: „był za zwyczajnym człowiekiem na niezwyczajne czasy". Jakiś dowcipniś, zamiast powiedzieć, że wieża kościelna się zawaliła, melduje jego wielebności, że wieża zrobiła wizytę fundamentom. Śmierć nie oszczędza nikogo, cóż więcej nad to znanego i wiadomego wszystkim, a jednak jak pięknie wyobraża to Horacy: „Blada śmierć zarówno nawiedza chatkę ubogiego jak bogacza pałace", a Malesherbe jeszcze piękniej powiada: „Ubogi w chatce strzechą pokrytej, ulega prawu śmierci, a straż, która czuwa u bram Luwru, nie obroni przed nią mocarzy". Ogólnie więcej jest dowcipnych kobiet jak mężczyzn, więcej znajdziemy dowcipu u światowców, niż u samotnych myślicieli. Dowcip jest kobiecym syllogizmem, a ponieważ kobiety nadają ton światu, wszystko i wszyscy stają po ich stronie. Napoleon, pragnąc podczas powrotu z Moskwy zachować incognito, spytał właścicielkę gospody, do której zajechał, gdzie jest francuzka główna kwatera? „Tu, u mnie, najjaśniejszy panie", odpowiedziała. Wobec dowcipu dam wielkiego świata, niejeden uczony i inteligentny człowiek zapomni języka, minęły bowiem czasy, kiedy szycie, zarząd domu, wychowywanie dzieci, były jedynym zaszczytem, o jaki się kobiety ubiegały. Dowcip traci wartość, gdy jest wymuszony i rozwlekły, to też „Apoflegmata" Plutarcha i Dyogenesa Laertiusa zawierają mało dowcipu, chociaż wiele myśli i trafnego sądu. Cyceron jest dowcipniejszy. „Byłeś pan dziś czarującym," powiedziała pani Geoffrin do St. Pierra. „Jestem tylko instrumentem, na którym pani umiejętnie zagrałaś", odrzekł St. Pierr. Dowcip niejednego pozbawionego naukowych wiadomości wyratował z kłopotliwego położenia, a nieraz i z groźnego niebezpieczeństwa. Talleyrand, znajdując się raz w towarzystwie trzech pięknych kobiet, na zapytanie, którąby najpierwej ratował, gdyby wszystkie razem w wodę wpadły, odrzekł: „Ach!

moje panie, przecie tak dobrze pływać umiecie". Surowy rektor szkoły darował uczniowi karę za dowcipną odpowiedź. Uczeń prosił o pozwolenie wyjścia, na co rektor powiedział: „Nie, nie wyjdziesz". Uczeń mimo to wyszedł, a zapytany, jak śmiał być nieposłusznym, odpowiedział: „Dwa przeczenia równają się jednemu twierdzeniu". Nauczyciel, obiecawszy wychowańcowi pewną ilość razów, dawszy mu ich połowę, zatrzymał się, zapytując: „Czy już masz dosyć?" „Natura paucis contenta" (natura małem się zadawalnia), odpowiedział delikwent, nauczyciel rozśmiał się i karę darował. Malarz, franciszkanów rozgniewanych tem, że dyjabła w obrazie „Kuszenie Zbawiciela" wymalował w franciszkańskim habicie, uspokoił odpowiedzią: „Czyż kusiciel mógł lepiej zwieść, jak przybierając szatę niewinności świętego Franciszka?" Przytomność umysłu cesarza Rudolfa I, pozyskała mu serce wszystkich. W czasie koronacyi zapomniano przygować berła, potrzebnego do odebrania hołdu książąt. Cesarz wziął w ręce krucyfiks, mówiąc: „Znak zbawienia świata zastąpi berło". Gdy Ludwik XIII niezadowolony, że na balu dworskim więcej Richeliemu niż jemu czci okazywano, wychodząc, we drzwiach usunął się, dając pierwszeństwo kardynałowi; ten pochwycił stojący świecznik i poszedł naprzód, mówiąc: „Tylko w ten sposób wolno mi iść przed tobą, najjaśniejszy panie!" Fryderyk, spotkawszy generała, któremu wzbronił przystępu do Berlina, spytał gniewnie: „Jak śmiesz tu się pokazywać?" „Jestem tu incognito, najjaśniejszy panie", odrzekł generał i króla całkiem rozbroił. Pewien udzielny książę, małego wzrostu, przyjmując sekretarza równie małego, powiedział: „Będę miał karła w gabinecie". Sekretarz odrzekł: „Jaki pan, taki sługa". Lekki, błyszczący dowcip Woltera, obejmował cały obszar wiedzy, a piękne, nowe kształty, w jakie przyodziewał swoje myśli, wywierały potężny wpływ na wszystkich: na mężczyzn i kobiety, na wysoko i nizko postawionych, na aferzystów i uczonych, starych i młodych, jednem słowem na całą Europę. Wpływ jego był potężniejszym, niż wpływ genijalniejszego i wyższą posiadającego wartość Roussa. Temu szatanowi, dla jego dowcipu, wszystko można byłoby wybaczyć, nawet powierzchowne branie rzeczy poważnych, gdyby nie przebijający się we wszystkiem brak serca. Prawdziwy dowcip znajdujemy u ludzi światowych, którzy dużo podróżowali i wiele doświadczyli, u dyplomatów. Thugut, podczas pobytu swego w Warszawie, podrażniony był tem, że przez pomyłkę wziął rosyjskiego posła Stakelberga za Stanisława Augusta Poniatowskiego. Grając z nimi obydwoma w lombra, umyślnie zadał waleta zamiast króla wołając: „przebacz najjaśniejszy panie dziś po raz drugi biorę sługę za króla" (*Sire, pardonnez, c'est la seconde fois qu'il m'arrive de prendu un valet pour un roi*). Kromwell, przyjmując duńskiego ministra, Rozenkranza zapytał zdziwiony jego młodością: „Czy wszyscy ministrowie duńskiego króla są równie jak pan młodzi? Wszak panu broda ledwie rosnąć zaczyna". „Moja broda starsza jest od pańskiej rzeczypospolitej", odpowiedział poseł dumnie. Ludwik XIV, chcąc zmięszać austryjackiego posła, przerwał jego mowę zaczętą słowami: „Miłościwy królu! Cesarz, mój pan", powiedzeniem: „Mów pan głośniej". Poseł, nie zmięszawszy się ciągnął dalej: „Cesarz, mój pan, miłościwy królu". Francuzki poseł na pytanie Maryi Teresy, „Czy prawda, że księżna N. jest najpiękniejszą kobietą w Wiedniu?" odrzekł: „wczoraj jeszcze tak sądziłem". Na dworze Jerzego II, robiono plan zamienienia parku St. James na francuzki ogród i nie wpuszczania do niego ludu. Chesterfield, którego pytano, co to może kosztować, odpowiedział: „Nie więcej, jak trzy korony". To śmiałe powiedzenie uratowało park. Gdy Ludwik XIV, chcąc kupić posiadłość księcia de Chantilly, spytał go o jej cenę, książę, nie chcąc sprzedać swej własności, taką odpowiedzią się uratował: „Najjaśniejszy królu, jesteś tu panem, ale mnie pozwól zostać

odźwiernym". Książę Braganza, przedstawiając Duten'a sławnej piękności, księżnej Aremberg, powiedział: „Pozwól pani, bym jej przedstawił mego przyjaciela, dla którego mam wielkie obowiązki", a zwróciwszy się do Duten'a wyrzekł: „Sądzę, że się względem pana uiściłem". Cesarz Józef II. podczas pobytu w Wersalu, podał ramię pani Dubarry, a gdy ta powiedziała, że nie należy się jej ten zaszczyt. odrzekł: „La beauté est reine" i podobno został za tę grzeczność sowicie nagrodzony. Ludwik XIV, gdy raz podczas obiadu, królowa rzucała nań gałkami z chleba, powiedział do jednego z dworzan: „Cobyś zrobił, gdyby tak do ciebie strzelano?" „Zagwoździłbym działo, najjaśniejszy panie!" odpowiedział. Dowcip wzniosły i poważny, wyrażający wielkie prawdy i szczytne uczucia, mieli wielcy ludzie starożytności. Aleksander mówi do Parmeniona, który sądził, że król przyjmie propozycyję Darjusza: „Zrobiłbym tak, gdybym był Parmenionem". Spartanka synowi idącemu do boju, podaje tarczę, mówiąc: „Wracaj z nią lub na niej". Pompejusz, któremu dworacy odradzają żeglugę z powodu spienionego morza, powiada: „Koniecznem jest, abym jechał, nie zaś abym żył". Seneka pisze o Katonie: „Kato nie przeżyje prawdy, ani prawda Katona". Nieszczęśliwy misyjonarz meksykański, leżąc na rozżarzonych węglach, z heroiczną wytrwałością, odpowiada dręczonemu tak samo, ale głośno narzekającemu towarzyszowi: „Czyż ja leżę na różach?" Baco odpowiada Elżbiecie pytającej, dla czego tak mały domek sobie wybudował? „Czy to moja wina, że z łaski najjaśniejszej pani jestem za wielkim na ten dom?" Gdy Bonaparte mając niespełna lat 26, stanął na czele włoskiej armii, emigranci ubolewali głośno, że taką armiję powierzają człowiekowi nizkiego pochodzenia, młodemu, nie mającemu doświadczenia, jakiemuś tam Bonaparte. Napoleon odpowiedział, „W przeciągu jednego roku postarzeję się lub umrę". Dotrzymał słowa i żołnierze jego krzyczeli przy wzięciu Medyjolanu (Milan) „Nasz generał ma tysiąc lat". (*Notre général a mille ans*). „Znudziłem cię, wszak prawda", pyta gaduła Arystotelesa. „Wcale nie, bom nie słuchał, co mówiłeś", odrzekł mędrzec. Demostenes powiedział zalotnicy Lais, która 10,000 drachm od niego żądała: „za taką cenę nie myślę kupować wyrzutów sumienia". Arystypp, który był jej kochankiem, mówił: „Ja ją posiadam, a nie ona mnie". Cycero, ubolewającego, że mu żona na figowem drzewie się powiesiła, prosił o szczep tego drzewa. Archelaus na zapytanie gadatliwego cyrulika, jak ma go ogolić, odpowiada: „Milcząc". Ulubieniec Domicyjana, który po całych dniach zabawiał się łowieniem much, odpowiada na pytanie: „Czy cesarz jest sam?" „Niema nawet muchy u niego". Karol II, gdy mu powtórzono zdanie o nim poddanych, że on nic niedorzecznego nie powie, ale też nic mądrego nie zrobi, powiedział: „Pierwsze stosuje się do mnie, drugie do moich ministrów". Henryk IV, gdy go zapytano o szczegóły jakiejś tajemnej wyprawy, odpowiedział zapytaniem: „Czy umiecie milczeć?" „Bez wątpienia najjaśniejszy panie" „I ja także umiem". Dowcip metaforyczny, w którym większą rolę gra fantazyja niż rozum, jest płodem nowszych czasów, przeważnie włochów i francuzów. Marino, który opiewał nawet mord niewiniątek betlemskich, w epicznym poemacie, na długo popsuł smak włochom. U ludów północy dowcip ujawnia się w porównaniach i alegoryjach; kamienie mówią, drzewa śpiewają, kwiaty wydają westchnienia. Śród włochów, najwięcej neapolitańczycy odznaczają się dowcipem i ożywieniem. Przekupień nie poleca swego towaru wołając: „kasztany! makarony! orzechy! melony!" ale mówi: „jak one pachną, jak się rozpływają! jak chrupią! jakie są różowe!" Gaskończyk pewien słucha i potakuje jakiemuś nieprawdopodobnemu opowiadaniu, ale wysłuchawszy do końca, mówi: „Nie powtórzę tego nikomu, bo mam zły akcent" (*Je ne le répéterai pas à cause de mon accent*). Francuzi

wszyscy posiadają ten zdawkowy codzienny spryt i tak: za panowania Ludwika robili epigramata na Pompadour i Dubarry, pisali je na Robespierra i Napoleona. W pierwszych latach rewolucyi, gdy teatr i kościół były polem walki stronnictw, jeden z żołnierzy króla, który nie chciał wołać: „Niech żyje lud“, wybrnął z groźnego położenia powiedzeniem: „Po co miałem tak wołać, wszak lud jest nieśmiertelny“. Jakaś staruszka z ludu, gdy panie idąc za pogrzebem Mirabeau'a, uskarżały się na policyję, że nie kazała ulic skropić wodą, powiedziała: „Widocznie policyja rachowała na łzy nasze“. Minister policyi Cochon, odrzucil prośbę o wydanie rozkazu, zabraniającego świnkom biegać po ulicach, mówiąc: „Świnki nie posłuchają rozkazu świnki“ (*Les cochons ne respecterout jamais un ordre de cochon*). Minister wojny Louvois powiedział raz przy obiedzie w obecności Ludwika XIV i szwajcarskiego generała Stuppy: „Gdybyśmy mieli w ręku to złoto i srebro, które Francyja po dziś dzień szwajcarom wypłaciła, moglibyśmy drogę z Paryża do Bazylei luidorami wybrukować“. „Tak“, odpowiedział Stuppa, „ale krwią przez szwajcarów dla Francyi przelaną, możnaby napełnić olbrzymi kanał, przeprowadzony z Bazylei do Paryża“. Crebillon ojciec, zapytany, które z swoich dzieł uważa za najlepsze?, odpowiedział, wskazując na syna, który był autorem plugawych powieści; „Wiem tylko, które jest najgorsze“. Synalek odpowiedział nie zająknąwszy się nawet: „Ludzie mówią, że to dzieło twojem nie jest“. Fryzyjer pewien, podczas trwania zgromadzenia narodowego, położył następny napis nad drzwiami swego sklepu: „Golę duchowieństwo, czeszę szlachtę, trefję włosy trzeciemu stanowi (*tièrsétat*). Lessing powiada o jednej książce: „Jest w niej wiele dobrego i nowego, szkoda tylko, że to dobre nie jest nowe, a to nowe nie jest dobre“. Voltaire mówi o Fenelonie: „obawiam się, czy nie jest on kacerzem, gdyż powiada, że Bóg dla samego siebie winien być kochany, a ja wiem, że Fenelon również sam dla siebie zasługuje na miłość“. O pewnej zalotnicy mówiono, że ma równie szlachetne dążności jak Tytus, gdyż uważa za stracony dzień, w którymby chociaż jednego śmiertelnika nie uszczęśliwiła. Doktor Radcliffe zarzucał brukarzowi, że swoją fuszerską robotę ziemią pokrył. „Są i bezemnie ludzie, których partacką robotę ziemia przykrywa“, odrzekł brukarz. „Gra słów“, powiedział ktoś, „jest najniższym gatunkiem dowcipu“. „A zatem jest jego podstawą“. Dowcip bez mądrości, jest najniebezpieczniejszą konstelacyją, pod którą człowiek może się urodzić, dowcip złączony z rozumem jest to Salomon w całej chwale. Uncyja rozsądku więcej warta, niż funt dowcipu. Człowiek łączący rozum z dowcipem trzyma mocno cugle w ręku, a ostrogi nie nadużywa. Arystoteles w swej retoryce mówi, że dowcip nie zależy jedynie na użyciu odpowiedniego wyrażenia, ale na przenośni, której znaczenie byłoby jasnem a wyrażenie energicznem. Przytacza on wiele przykładów a między innymi słowa Peryklesa o bitwie, w której zginął kwiat młodzieży ateńskiej: „wydarto wiosnę naszemu wojsku.“ (ogołocono z wiosny nasze wojska). Ludwik XIV po bitwie pod Rauillies powiedział do marszałka Villeroi: „W naszym wieku trudno już o sukcesa panie marszałku.“ „Ten półmisek podajcie trefnisiowi,“ powiedział tenże Ludwik XIV do którego stołu Dominik był przypuszczony. „Czy i kuropatwy Najjaśniejszy Pan dla mnie przeznacza?“ odparł błazen i dowcipną przymówką złoty półmisek od króla wyłudził. La Bruyère mówi: „dowcip polega mniej na popisywaniu się nim niż na odnajdywaniu go w drugich.“ Ludzie nie lubią podziwiać, wolą być podziwianymi. Wiele jest dowcipu w piosenkach Berangera. poglądy trafne i przenikliwe, uczucia delikatne i pełne wdzięku, zręczne pochwały, aluzyje uszczypliwe. Dowcip wszakże nie jest wszystkiem i nie jest zawsze na miejscu. Jest on przedewszystkiem ozdobą i wszystko zależy na tem, by go we właściwym czasie i okoliczności użyć; myśl zręcz-

na, dowcipna, porównanie trafne, kwieciste, jest nieodpowiedniem w kwestyjach wielkiej wagi, gdzie tylko rozum lub namiętność przemawiać winny. Czy możemy wyobrazić sobie dowcipną tragedyję? Nie, gdyż treścią tragedyi jest namiętność, a ta nie ubiega się za dowcipem. Dla czego nie udawały się komedyje Volterowi? Bo miał za dużo dowcipu i uposażał weń wszystkie postaci w swych sztukach, odejmując im zaletę naturalności. Wdzięk i wytworność, są głównemi cechami dowcipu francuzkiego. U pisarzy średnich wieków przechodzi on nieraz w ckliwość. Francuzi zlekka dotykają śmiesznostek, bawią się kosztem drugich, ale nigdy nie przekraczają granic. Żart ich niepochwytny, złośliwość niedostrzeżona, często też uchodzą za naiwnysh. Nie nazywają oni rzeczy po imieniu zwłaszcza w kwestyjach miłości. każą wam się domyślać, sądząc, że jesteście również bystrymi i spostrzegawczymi. Cudzoziemiec, pedant, nieraz jest w kłopocie, by zrozumieć te wszystkie dowcipy stworzone z niczego, by je schwycić w lot, by odgadnąć ukryte myśli, półsłówka, z których dowcip francuzki się składa. Niemcy tylko w bardzo małej liczbie umieli ocenić dowcip Francuzów. Jeden Schiller oddawał im sprawiedliwość, mówiąc do swych ziomków: „Dążcie do rzymskiej siły, do greckiej piękności, nigdy zaś do gallijskiego dowcipu, bo to wam się nie uda.“ Niemcy uwielbiają P. Kocka, który mimo zmysłu spostrzegawczego, nie jest wcale przedstawicielem dowcipu francuzkiego, bo nie ma wytworności i wdzięku, a natomiast jest plugawy i trywialny. Schlegel mający się za znakomitego krytyka powiedział o Molierze, że umiał pisać tylko gminne komedyje. Gdyby Voltair ożył, powiedziałby z pewnością o Schleglu co już był zawyrokował o innym krytyku: „Jest to Niemiec, życzę mu więcej dowcipu i mniej spółgłosek.“ Pan Bouhonzo, o którym pani de Sévigne mówiła, że spryt mu wychodzi wszystkimi porami, podawał jako kwestyję do roztrząsania czy Niemcy mogą być dowcipni. Ta chętka brania wszystkiego ze strony zabawnej jest jedną z głównych cech Gallów. Plutarch mówi, że gdy Gallowie weszli do Rzymu, senatorów siedzących z powagą na krzesłach kuralnych wzięli za bogów, nie przeszkadzało to jednak jednemu z nich wziąść boga za brodę. Umysł Francuza jest uległy religii i władzy, ma poszanowanie dla wieku i dostojeństwa, jednak — targa je za brodę od czasu do czasu. Francuz śmieje się z tego co uwielbia, drwi z tego co wzrusza, parodyjuje to przed czem pada na kolana. Można nie mieć trafnego sądu, a być bardzo dowcipnym, można być genijuszem, a nie być w stanie dać trafnej odpowiedzi. Dworzanin pewien powiedział do Malesherbe'a: „Gardzę panem.“ „Nie wierzę temu“ odrzekł spokojnie Malesherbes. Maury powiedział do pospólstwa w chwili gdy go chciało powiesić na latarni: „Czy widniej wam będzie jak będę wisiał.“ La Rochefoucauld powiada: „dowcip służy nieraz do robienia śmiałego głupstwa.“ „Uderz ale posłuchaj“ mówi Temistokles do podnoszącego nań laskę Eurypidesa. Te słowa powtórzył prawie dosłownie poeta la Chapelle w następnej okoliczności: Było to na uczcie. Pewien magnat zaczął utyskiwać na zuchwalstwo poetów, którzy ośmielają się pisać epigramata na osoby wysoko postawione. „Gdybym znał choć jednego takiego, dałbym mu z przyjemnością dwadzieścia kijów.“ La Chapelle znudzony rozmową i zniecierpliwiony arogancyją pana wstał, nadstawił mu grzbiet mówiąc: „Bij, ale wynoś się jaknajprędzej.“ Henryk IV spytał jedną z dam honorowych: „Którędy wejść można do pokoju pani?“ „Przez drzwi kościoła,“ odpowiedziała. Synowa Ludwika XIV rodem bawarka, okazała w jednej okoliczności spryt prawdziwie francuzki. Raz gdy spała, a raczej udawała że śpi, weszła księżna de Conti i przypatrzywszy się jej uważnie powiedziała: „Jej książęca mość gdy śpi brzydsza jeszcze niż wtedy, gdy czuwa.“ Ta nie otwierając oczu odpowiedziała: „Proszę pani, nie wszystkim jest dane być dziećmi miłości.“ Księżna Conti była córką Ludwika XIV i pani la

Vallière. Młoda i piękna żona liweranta wojskowego miała u siebie liczne towarzystwo a między innymi attaché ministra wojny. Ten zaufany w swoje wpływy i ważność swej osoby przybierał tony, które nie podobały się pięknej pani. W końcu, gdy ten stanąwszy za jej krzesłem zaczął się bezczelnie przypatrywać obnażonym ramionom, powiedziała: „Zechciej pan zmienić miejsce; my liweranci nie lubimy aby nam w nasze sprawy zbliska zaglądano.“ Ksiądz Talbert posłał akademii w Dijon pochwałę historyczną Bayarda. Dowiedziawszy się, że owa pochwała spuźniła się na konkurs: „Sądziłem,“ powiedział, „że się ubiegam o nagrodę, za wymowę, a nie za wyścigi.“ Fontenelle mając lat dziewięćdziesiąt wyprzedził idąc do stołu panią Helwetius, której obecności nie zauważył. „Śliczne dajesz mi pan wyobrażenie o swej galanteryi“ rzekła, „przechodzisz obok, nie spojrzawszy nawet na mnie.“ „Pani,“ odrzekł staruszek, „gdybym na cię spojrzał nie byłbym przeszedł.“ Zaciekły rojalista Martainville, był podczas rewolucyi oskarżony o jakieś ważne przekroczenie. Stawiony przed trybunałem którego oskarżycielem był Fouquier-Tonville na zapytanie, o nazwisko, odpowiedział: „Nazywam się Marteinville.“ „Sądzę, że de Marteinville,“ powiedział prezydent. „Obywatelu prezydencie,“ odrzekł oskarżony, „przychodzę tu aby być skróconym (obciętym) a nie przedłużonym.“ „Wypuście go na wolność,“ zawołał ubawiony prezydent. Ktoś robił wyrzuty Pironowi, że się upił w wielki piątek. „Należy wybaczyć ludzkości, że się chwieje wtedy, gdy bóstwo upada.“ Pewien księgarz zmartwiony tem, że wydrukował dzieło, którego egzemplarzy nikt nie chciał kupować, rozwodził się w skargach przed autorem, mówiąc między innemi, że jego książki nie dają mu nawet kawałka chleba. Policzek i kilka zębów wybitych były jedyną odpowiedzią autora. który zawezwany do stawienia się przed sądem w te słowa się tłumaczył: „Wyznaję że się uniosłem trochę zanadto, ale, wielkiej krzywdy mu nie zrobiłem. Powiada, że moje książki nie dają mu nawet na kawałek chleba. Co mu po zębach, kiedy niema co jeść.“ Kawaleryja francuzka pobita pod Breuneville uciekała w popłochu. Jeden z nieprzyjacielskich żołnierzy chwyta za uzdę konia Ludwika Grubego wołając: „Wziąłem króla.“ „Nie wolno brać króla w szachach,“ odpowiedział Ludwik i toporem napastnikowi głowę roztrzaskał.“ Turenijusz spostrzegł, że żołnierze z jego oddziału pochylali głowy za każdym razem gdy huknął wystrzał z baterii na pagórku umieszczonej, i podnosili je zaraz obawiając się nagany. „Moje dzieci“ rzekł, „nie widzę w tem nic złego, że pochylacie głowy; tacy goście na ukłon zasługują.“ W samym zgiełku bitwy, generał von Grotlen prosił o niuch tabaki jednego ze swych poruczników. W chwili gdy ten ostatni podał mu tabakierkę, przez kulę armatnią został rozerwany na dwoje. Z najzimniejszą krwią, zwrócił się generał do drugiego porucznika. „Kiedy tak się stało, może pan zechcesz mi dać tabaki.“ Przy oblężeniu Tulonu, Junot, wówczas prosty sierżant grenadyjerów, oparty o szańce pisał list, który mu dyktował Bonaparte. Zaledwie skończył, gdy bomba rzucona przez Anglików pękła o kilka kroków, obsypując jego i list piaskiem „Ślicznie dziękuję“ rzekł śmiejąc się Junot, właśnie brakło mi piasku do posypania listu. Pewien znakomity urzędnik, będąc już bardzo starym, zapomniał dalszego ciągu przemowy, którą miał wygłosić przy otwarciu izby. Nie zmieszany tem wcale rzekł, zwracając się do słuchaczy: „Panowie, moja pamięć jest starą sługą. której służba się uprzykrzyła. Mam do niej żal, że mi źle służy, ale wy chyba będziecie radzi, że wam słuchania nudnej przemowy oszczędziła.“ Raz, wracając z polowania Ludwik XIV wszedł do Comédie-Italienne, którą dawano w Wersalu. Wielki trefniś Dominik, grał główną rolę, ale pomimo doskonałej gry i komicznej pantomimy sztuka okazała się niesmaczną. Wychodząc król powiedział Dominikowi: „Mój kochany, ta sztuka nic nie warta“. „Mów

pan ciszej", rzekł aktor, bo gdyby król' posłyszał, dałby odprawę mnie i mojej trupie". Waryjat jakiś, spotkawszy księdza na ulicy, wyjął szablę mówiąc: „Mam oddawna chętkę, zabić księdza'. Ksiądz nie zmięszany, odpowiedział: „Włóż szablę do pochwy przyjacielu, jestem dopiero dyjakonem". Książę de Maine, jeden z uprawnionych synów Ludwika XIV, bawił się w pokoju, w którym siedział wielki Kondeusz. Ten ostatni, zniecierpliwiony hałasem połajał go, mówiąc: „Zanadto jesteś pan głośny". „Daj Boże, abym był nim kiedyś na równi z panem", odpowiedział książę de Maine. Astrolog pewien przepowiedział śmierć jednej z kochanek Ludwika XI. Przypadek zrządził, że przepowiednia się ziściła, a król rozgniewany, kazał przywołać astrologa. „Ty co masz pretensyję wiedzieć wszystko, powiedz. kiedy sam umrzesz?" „Na trzy dni przed Najjaśniejszym panem", odpowiedział astrolog. Deputacyja od Mizebalais'go miała posłuchanie u kardynała Richelieu. Chcąc go ubawić Bruton zapytał jednego z deputowawanych. „Zechciej pan powiedzieć mi, co kosztuje osioł w waszych stronach?" „Osioł pańskiego wzrostu i maści kosztuje dziesięć talarów", odpowiedział zapytany. Margrabia de Farières znany z wielkich długów i rozrzutności przyszedł razu pewnego do finansisty Samuela Bernarda: „Panie", rzekł, zdziwisz się tem co powiem, nie znam pana i przychodzę prosić o pożyczkę 500 luidorów „Panie", powiedział Bernard, „ja pana jeszcze bardziej zadziwię, gdy mu powiem, że go znam i udzielę żądanej pożyczki". Wujaszek łając siostrzeńca za rozrzutność powiedział między innemi: „Robisz długi na wszystkie strony, winieneś już i Bogu i dyjabłu". „Właśnie, kochany wujaszku, tym tylko dwom osobom, nie winienem nic a nic". Pewien profesor niemiecki, znany z dowcipu, znajdował się raz u stołu elektora. Elektor, chcąc się zabawić jego kosztem, zalecił usługującym lokajom, aby mu nie położyli łyżki. Podano zupę i elektor zachęcał profesora do jedzenia. Ten wymawiał się jak umiał, ale elektor, chcąc go przynaglić powiedział: „Będzie wołem, ten co nie zje zupy". Na tę pogróżkę, profesor wziął kawałek chleba, wydrążył go i wetknąwszy na widelec, użył zamiast łyżki. Skończywszy, zjadł swoją łyżkę mówiąc ze złośliwym uśmiechem: „Będzie wołem, ten co nie zje łyżki". Pewna dama wielkiego świata, przyjechawszy zapóźno do teatru opery, zmuszona była pójść na paradyz. Siedzący obok gaskończyk, rozpoczął z nią rozmowę, a zachwycony urodą i dowcipem, zaproponował kolacyję w restauracyi. Po skończeniu widowiska zaczęli razem schodzić na dół, ale ledwie uszli kilka kroków, gdy panowie i damy z jej świata zbliżyli się do niej, okazując zdziwienie, że w tak nieodpowiedniem znajduje się towarzystwie. „Obiecałeś pan zjeść ze mną kolacyję", powiedziała dama złośliwie, „trzymam pana za słowo i proszę do siebie". „Pani", rzekł gaskończyk, „w raju (*au paradis*) wszyscy jesteśmy sobie równi ale tu na ziemi, mogę tylko być pani najniższym sługą". Pico de Miraudole zadziwiał sprytem, będąc bardzo małem dzieckiem. Razu pewnego staruszek jakiś powiedział w obecności malca; „Te przedwcześnie mądre dzieci, głupieją zwykle w późniejszym wieku". „Wyobrażam sobie, że pan byłeś bardzo mądrym w dzieciństwie", odpowiedział Pico de la Miraudole. Fouquet był szpiegiem Mazariniego. Wielu ludzi z jego łaski pokutowało w Bastylii. Więzień, którego świeżo zamknięto, zobaczył psa w więzieniu. „Co zawinił ten pies, że go tu zamknięto", zapytał. „Musiał ugryźć psa pana Fouquet", odpowiedział drugi więzień. Ménage, widząc portret świętego Brunona, założyciela Kartuzów powiedział: „Gdyby nie reguła, przemówiłby z pewnością". Pewnej damie zachwalono z wielką przesadą dowcip jakiegoś dość ograniczonego jegomości. „Wierzę, że ma dużo dowcipu", odrzekła dama, „bo go nigdy nieekspensuje".

Weber, *Demokritos.* (p. str. 4).

* Dowcip odosobniony nic nie wart, a tylko wtedy jest znośny, gdy się opiera na pewnej podstawie. Dlatego tak potężne wrażenie robi dowcip Jean'a Paula, Börnego i błazna w Learze. Powszedni dowcip jest tylko kichnięciem rozumu, psem gończym, biegnącym za własnym cieniem, małpą w czerwonym kaftanie, przeglądającą się w dwu zwierciadłach, bastardem, spłodzonym przez szaleństwo z rozumem, na publicznej ulicy, podczas przypadkowego zetknięcia się. Nie, jeszcze bardziej grubo wyraziłbym się o nim, gdybym sobie nie przypomniał, że czasem sam się zniżam do dowcipkowania. *H. Heine* (p. str. 26).

* Choć dowcip należy do najniższych sił duchowych, zawiera jednak w sobie wiele dobrego. My przynajmniej nie moglibyśmy się obejść bez niego. Od czasu, jak wyszło ze zwyczaju noszenie miecza przy boku, należy koniecznie mieć dowcip w głowie. A jeżeli czasem kto ma tak zły humor, że używa dowcipu nietylko jako komicznej strony, ale i broni zaczepnej, to nie gniewajcie się zbytecznie na to, o szlachetni palladynowie ojczyzny niemieckiej. Ten dowcip straszny, nazwany przez nas satyrą, przynosi pożytek w tych ciężkich nic nie wartych czasach. Żadna religija nie jest wstanie okiełznać zachcianek możnych tego świata: oni drwią z was bezkarnie, rumaki ich depcą wam zasiewy, córki wasze cierpią głód i sprzedają się biednemu parwenijuszowi, wszystkie róże tej ziemi stają się udziałem giełdowych spekulantów i uprzywilejowanych lokai, a przed pychą bogactwa i przemocy, broni was jedynie śmierć i satyra *H. Heine.*

* Najbardziej przeraźliwe obrazy ludzkiego szaleństwa, przedstawia nam Arystoteles jedynie w śmiejącem się zwierciadle dowcipu; wielki ból myśliciela, pojmującego swą nicość, wyraża Goethe tylko żartobliwymi wierszami komedyi maryjonetek, a skargę na niedolę tej ziemi wkłada Szekspir w usta błazna, potrząsając bojaźliwie jego czapką z dzwonkami. *H. Heine.*

* Dowcip kobiet — to żywe srebro, a serce to wosk. *Myśl chińska.*

* *Dowcipne objaśnienie.*

Burmistrz wiejski siedział u stołu pomiędzy dwoma złotemi młodzieńcami, którzy robili z niego niewłaściwe żarty.

— Widzę to dobrze — wyrzekł, że panowie śmiejecie się ze mnie, dopomogę więc wam w ocenieniu mojej osoby. Nie jestem ani głupcem, ani błaznem, ale coś tak pomiędzy nimi dwoma.

Dowód.

* Dowód najwyższej miłości da małżonek swej żonie, jeżeli się zastrzeli, aby żona mogła przywdziać żałobę, w której, jak utrzymuje, jest jej bardzo do twarzy.

* *Dowód niewinności.*

Obrońca przed sądem do okradzionego:

„Czy ten złodziej nic nie zostawił w pańskiej szafie?"

Okradziony. Znalazłem pozostawione kilka sztuk drobnej monety.

Obrońca, zwracając się do przysięgłych:

„Otóż to jest jasny, oczywisty dowód, że kradzież ta nie została popełniona przez mego klijenta, gdyż ten w takich razach nie zwykł nigdy nic zostawiać".

Dożywocie.

* Tak jest, że dłużej żyje, kto spragniony
Jest życia; znają tę prawdę doktorzy.
Pacyjent, co niema przyjaciół lub żony,
By go dobili, jeszcze nie najgorzej
Się ma; jeszcze go śmierci wyostrzony
Nóż, ani Parki nożyca nie trwoży.
Strata nadziei życia — życie skraca,
Śmierć wtedy człeka dmuchnięciem przewraca.

Ludzie, mający pono dożywocie,
Potrafią dłużej żyć; — sam Bóg wie, na co?...
Wierzycielowi na złość! — Temu krocie
Pachną, a oni żyją i nie płacą.

Najgorsi z wszystkich są żydzi; ci w złocie
Ciebie ukąpią, a potem zatracą.
Jam do pożyczek bywał zawsze chętny,
Tylko mię trapił dzień terminu smętny!

Byron.

Dramat czterodniowy.

* Z dziennika morskiej podróży hrabianki Ireny.

Dzień 1. „Powietrze duszne, zanosi się na burzę. Towarzystwo bardzo liche".

Dzień 2. „Kapitan bardzo miły człowiek: oświadczył mi się dziś ze swoją miłością i ofiarowuje mi swe serce i rękę. Dałam mu odmowną odpowiedź".

Dzień 3. Kapitan ponawia swoje oświadczyny i prośby; grozi, że w razie odmowy z mej strony, zabije mnie i siebie, a okręt z całą załogą złożoną z 300 osób wysadzi w powietrze; Mimo to odmówiłam.

Dzień 4. „Uratowałam życie 300 ludziom!"

* *Dramatyczne studyja.*

„Miałem" — za to żyd nic nie da;
„Chciałbym mieć" — to także bieda;
„Będę mieć" — brzmi nieco lepiej:
„Mam" — to jedno cię pokrzepi! —

Dramaturg.

* Chwałą pisarza dramatycznego, umiejącego wyciskać *łzy*. Talent ten posiada najnędzniejsza cybula, z którą dzieli on swą sławę.

H. Heine.

Drażliwość.

* Le Sage, autor Gil Blasa, przyrzekł księżnie Bouillon odczytać w jej salonie napisaną świeżo sztukę: „Tureadot". W dniu na to oznaczonym, nieprzewidziana przeszkoda opóźniła przybycie autora; zastał on zebrane towarzystwo niecierpliwiące się zwłoką. „Nie przystoi kazać czekać na siebie całą godzinę osobom naszego stanowiska", wymawiała dumnie księżna de Bouillon. „W takim razie", odparł chłodno Le Sage, chowając manuskrypt do kieszeni, „w zamian za straconą godzinę, zwracam państwu dwie na czytanie przeznaczone.

Drażnienie.

* Pigułki nie rozgryzaj, żony nie drażń bracie,
Z obojga niepochybna gorzkość pójdzie na cię.

Wespazyjan Kochowski. (p. str. 49).

Drobnostkowość.

* Nie być drobnostkowym, to cnota, którą cenię bardziej, aniżeli inne przymioty duszy, tak bardzo podnoszone w naszych podręcznikach moralności. *H. Heine.*

Droga.

* Kto u nas w drogę jedzie, ale bez opończy,
Ten na *k* się zaczyna, a na *p* się kończy.

* *Droga do nieba* (opowiadanie Chorążyca).

W Woli i Wólce żyło dwóch sąsiadów,
Imć pan podczaszy i Imć pan podstoli.
W najstarszych dziejach nie dopatrzeć śladów,
Aby dwóch ludzi w złej i dobrej doli,
Takim afektem pałali ku sobie,
Zwłaszcza o miedzę żyjąc długie lata;
Bo dyjabeł nie śpi i często w złej dobie,
Najszczerszy afekt na dwoje rozpłata.
Ale tu kusy nie mógł nic poradzić,
Wśród tej przyjaźni, szczerości, prostoty;
Dobrych sąsiadów nie potrafił zwadzić.
Chociaż tysiączne wyprawiał im psoty.
To się przemieniał w ogromnego wilka,
I bydło zagnał na sąsiednie pole;
To na granicy wyłamał grusz kilka,
To miedze orał — wygładzając role,
Aby granicy nie zostało śladu.
Wszystkie te prace poszły nadaremnie,
Gdy więc znudzony, nie mógł dojść do ładu
Rzekł: „Pal was kaduk! życie już bezemnie!"
Tak więc sąsiedzi, co od szkolnej ławy,
W obozach, zjazdach, domowej zagrodzie
Dzielili wspólnie trudy i zabawy,
Usque ad finem, w nieprzerwanej zgodzie
Żyli już z sobą; i nieraz w gawędzie,
Latem pod lipą, zimą przy kominie,
O to się tylko troszczyli jedynie,
Susząc lampeczki, co to dalej będzie,

Gdy kończąc życie, przyjdzie się rozdzielić?
Bo niezbadana sprawiedliwość Boska
I któż z śmiertelnych może się ośmielić
By ją przeniknął? W tem więc była troska,
Tak bowiem mocno przywykli do siebie
Przez długie lata, żyjąc nierozdzielnie,
Że się rozdziału lękali śmiertelnie,
Chcąc sąsiadować nawet w samem niebie.
Dodać wypada, że Imć pan podstoli
Lubo go młodo srogi los owdowił,
Respektem żony swej nieboszczki woli,
Do samej śmierci ślubów nie ponowił.
Imć pan podczaszy, w przeciwnym sposobie,
Małżeńskie związki tak wysoko cenił,
Że gdy rok tylko upłynął w żałobie,
On jaknajprędzej *da capo* się żenił,
A że śmierć w domu coś się zagościła,
Chociaż poczciwiec wiódł życie bez zmazy,
Więc nim go wreszcie samego zdusiła,
Nasz pan podczaszy żenił się trzy razy.
Choć śmierci ufać nie jest dość bezpiecznie,
Oddać jej jednak sprawiedliwość trzeba,
Że tutaj dosyć sprawiła się grzecznie
Obu sąsiadów śląc razem do nieba.
Dwie więc te dusze w dobrej komitywie,
Zmierzywszy ziemię pogardliwym wzrokiem,
Bujając razem w przestworzu szerokiem
Do bram niebieskich przybyły szczęśliwie,
Tu stary klucznik, co wrót rajskich strzeże,
Małe okienko uchylił powoli,
I rzekł, przerwawszy wieczorne pacierze:
„Po coś tu przybył? szanowny podstoli?“
„Ja“ — odparł zapytany — „upadam do nóżek!
Dosyć już mając światowego chleba,
Kiedym przyrodzie zapłacił mój dłużek
Racz waszmość, święty Piotrze, wpuścić mnie [do nieba“.
„Najchętniej, lecz mi powiedz, byłeś waść żo- [naty?“
Spyta znowu Piotr święty — „Byłem“ — rzekł [Podstoli
„A no to idź do nieba, boś przez to zakaty
Przebył czyscowe męki, z swojej dobrej woli“.
Słysząc to pan podczaszyc, uśmiechnął się [w duszy:
„Ergo: że i mnie wpuści, idzie samo z siebie,
Boć ja z trzema żonami miałem dość katuszy;
Zatem z mym przyjacielem będziem razem [w niebie“.
Śmiało więc i z ufnością do wrot przystępuje:
„Miałeś żonę?“ „Trzy miałem i cierpień bez [miary“.
Na to kiwając głową, odrzekł klucznik stary:
„Wybacz tu mój podczaszy, kpów się nie przyj- [muje!“

* *Droga krótsza.*

Mąż i żona rozmawiali o wielkiej doniosłości przekopania kanału Suez.

— Widzisz, moja droga — mówił mąż — otwarcie Suezkiego kanału, skraca znacznie drogę do Indyi.

— Jak to dobrze — odrzekła żona — tym sposobem i szal kaszmirowy, który mi od tak dawna obiecujesz, będzie bliżej.

* *Droga mleczna.*

— Co to jest droga mleczna?

— Jest to gościniec, na który człowiek wchodzi natychmiast po urodzeniu.

Drogista.

* W drugie święto, nad ciałem urżniętego nieco drogisty, przyjaciel jego wygłosił mówkę tej treści.

Tu drogista leży,
Cześć mu się od nas należy,
By obcych w grosz nie sposobić,
Umiał w domu chinę robić.

Świąteczny.

Druga miłość.

* Ach! Jeżeli drugi raz w życiu porywa nas wielka fala, brak nam wtedy wiary w jej nieśmiertelność, a bolesne wspomnienie mówi, że w końcu ginie ona w samej sobie! Ztąd różnica melancholii podczas pierwszej miłości i drugiej. Podczas pierwszej myślimy, że nasze namiętności zakończyć się mogą tylko tra-

giczną śmiercią i istotnie, jeżeli nie zdołamy inaczej zwalczyć grożących trudności, łatwo się decydujemy wstąpić do grobu wraz z ukochaną. Przeciwnie, podczas drugiej miłości nurtuje w nas myśl, że nasze najdziksze i najwznioślejsze namiętności nabiorą z czasem spokojnej, letniej temperatury, że kiedyś będziemy patrzeć obojętnie na te oczy, wargi, biodra, wprawiające nas obecnie w szalone natchnienie. Myśl ta jest smutniejszą niż każde przeczucie śmierci... Straszne to uczucie, gdy w najgorętszem upojeniu myślimy już o przyszłej trzeźwości i ochłodzeniu, gdy wiemy z doświadczenia, że owe wzniosłe, poetyczne, bohaterskie namiętności skończą się tak nikczemnie prozaicznie. *H. Heine.*

Drukarska miłość.

1. APEL.

Mnie świta w duszy raj uroczy,
Gdy spojrzę w twoje piękne ⌢ ⌢

Są rozmaite w świecie gusta;
Ja koralowe wielbię 〰

Miłości słodkich ananasów
Spragniony jestem bez ( )

Więc gdy w twe serce miłość wnika,
To racz mnie wziąć za po ;

I niech harmonija wieczna gości;
O powiedz „kocham“ w znak =

Drukować będę tę piosenkę,
Aż mi kochanie oddasz ☛

2. ODPOWIEDŹ.

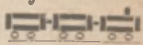
Że na miłości chcesz mnie piknik
Wieść, zdradza każdy twój !

Więc co ci serce me odpowie,
Umieść to sobie w „ “

Jeżeli miłość twa jest szczera,
To pewnie z niej nie będą 0 0 0

Więc przedewszystkiem się wyłania
Co do tej kwestyi znak ?

Gdy serce twe nie na żart bryka,
To możem przejść wnet do -

Lecz gdy wypłynie fałsz jak olej
Na wierzch, wnet mnie uwiezie 

I choćbyś Bóg wie, co mi przyrzekł,
Na miłość połóż wtedy †

Szczutek.

Drukowane słowo.

* Słowa mają byt — a małą kropelką
Myśl jako rosa w księgi padająca,
Wprowadza w obrót żwawy ludzkość wielką.
Dziwna to! Mała literka, służąca
Miast mowy, zdolna stać się karmicielką
Wieków; czas kruche ciało w nicość wtrąca,
Gdy papier, podła bibuła — ot, szmata,
Jak ta — przeżyje najpóźniejsze lata.

Gdy kości jego spróchnieją w mogile,
A jego ród i nawet naród zginie,
Jak widmo, jak dym, a on zyska tyle,
Że go parafija w spiskach nie pominie, —
Jakiś manuskrypt znaleziony w pyle,
Albo grobowy kamień gdzieś w ruinie,
Przy rozkopaniu odkryty kloaki,
Dobędzie imię jego, jak skarb jaki.

Ze sławy mędrzec żarty sobie stroi.
Cóż to jest? mara, cień — na historyka
Wymowie raczej, kwiecistości stoi,
Jak na wartości barda, wojownika,
Hoyle był dla wista, czem Homer dla Troi —
Skądże to dzisiaj tyle świat wykrzyka
O Malboroughu? Jak on bił i jak on
Żył?... Bo go chwali Coxe archidyjakon.

Milton, ów książę poetów, lutnista
Ciężki, lecz w gloryję wspaniałą ubrany,
W swym czasie dzielny rewolucyjonista,
Uczony, zbożny, a umiarkowany, —

Lecz kiedy o nim Johnson bandurzysta
Jął prawić, owóż kapłan Muz wybrany
Skarlał. słyszymy, że brał w szkole plagi,
Nie umiał w domu zachować powagi.

Takie szczegóły są pouczające:
Szekspir kradł sarny, Bakon brał łapowe,
Cezar miał z młodu awantur tysiące,
Sokratesowi żona „myła głowę“;
Kromwell był tchórzem. Reszty nie potrącę.
Wszystkie przyczynki nieznane i nowe
Dla bijografów mają wdzięk niemały,
Lecz bohaterów obdzierają z chwały.

Mało doktorów, jako Sonthey, który
Swiatu o „Pantisokracyi“ coś prawił,
Lub Wordsworsth, ów wieszcz kramarskiej na-
Co wiersz swój demokratyzmem zaprawił. [tury,
Lub Coleridge, co choć czysty, białopióry
Arystokratyzm w Moring Post zastawił,
Potem z Sontheyem oba czułe żaczki,
Wzięli za żony w mieście Bath dwie szwaczki.

Na te imiona ludzkość woła: „Biada!“
Jako moralne drogoskazy stoją,
Jak renegacki hart, szlachetna zdrada
Glebę na przyszłe życiorysy gnoją.
Wordstwortha tom ostatni jest nielada
Dowodem, że się drukarnie nie boją
Emetykowych wierszy. Ta „Wycieczka“
To jest poemat jałowy jak sieczka.

Ogromna przepaść między rozumami
Ludzi, a jego rozsądkiem się ściele.
Ni Wordsworth dzisiaj z wiernymi uczniami,
Ni sekta nowa z Joanną na czele,
Głupstwem czujnego świata nie omami.
Dzisiaj, niestety — wybranych niewiele,
A ciężarności dziewiczej przyczyna,
To nie cud żaden — lecz wodna puchlina.

Byron.

Drużba. (*Do drużby Adama*).

* Jana zowią Jachnikiem, Stanisława Staszkiem;
I ja ciebie, Adamie, nazwę Adamaszkiem.

Wespazyjan Kochowski. (p. str. 49).

Drzewo.

Pytanie. Kiedy najlepiej ścinać drzewo?
Odpowiedź. Gdy Boruch je kupi.

* *Drzewo genealogiczne.*

Pradziadek nazywał się Mojsze ben Dawid Blindekepełe.

Dziadek — Mojżesz Blinkepełe.

Ojciec — Mieczysław Blinkepełe - Ślepogłowski.

Syn — Mécislas Bline de Qoèpéle na Ślepogłowach Ślepogłowski.

Wnuk — Mieczysław baron Bline de Quèpelé herbu Ślepogłowy Ślepogłowski.

* W genealogicznem drzewie, szanujemy nie owoce, ale starość jego wielką.

H. Heine.

* JWny jegomość pan *Magnat* herbu *Pieniądz*, zaślubiwszy sobie jejmość pannę *Nieuwagę*, spłodzili *Niepotrzebny wydatek*. Ten ożeniwszy się z jejmość panną *Hulanką*, herbu *Faraon*, doczekał się syna *Pożycz*, z którego naturalnie zrodził się *Oddaj*. *Oddaj* spłodził *Przedaj*. *Przedaj* zostawił dwoje potomstwa: *Zmarnuj* i *Pójdź z niczem*. *Zmarnuj* zrodził *Nędzę*, a *Pójdź z niczem* zrodziło *Wzgardę*. Z *Nędzy* i *Wzgardy* wyrosła *Zgryzota*. ta spłodziła *Pijaństwo*, *Pijaństwo* powiło *Delirium Tremens*, a z *Delirium Tremens* powstała *Śmierć*. *Świąteczny.*

Duchy.

* Wiara w duchy jest starą jak świat. Indyjanie, egipcyjanio, grecy i rzymianie, żydzi i chrześcijanie, ludy oświecone i barbarzyńskie widywały i widują duchy. Duchy te są czyste i nieczyste, spokojne i awanturnicze, anioły i szatany, rozlewające wkoło siebie rajską woń, lub zapach siarki i smoły. Wszak teraz jeszcze duch, ukazujący się w Hamlecie, robi mocne wrażenie na paradyzie i galeryi teatru, gdy tymczasem filozof zaledwie wierzy w ducha co się w jego własnem ciele kołacze. Ta pospolita wiara w duchy ma arcygruntowną pod-

stawę. Mówimy sobie tak: „wierzono w nie od początku świata, więc musi to być prawdą. Starą bardzo jest wiara, że dusze ludzi, których ciała pogrzebane nie zostały, nie mogą zażyć spokoju. Ukryte skarby, niedotrzymane obietnice, nieodpokutowane zbrodnie również duszom spocząć nie dają. Platon utrzymuje, że dusze po śmierci wałęsają się około swych grobów, za karę źle spędzonego żywota. Poezyja zużytkowała wiarę w duchy w swych legendach. Grecy, rzymianie, hebrajczycy, mieli swoje królestwa cieniów (duchów). Cienie Homera są to bezsilne nieujęte istoty. Podług Ossyana, błąkają się one wśród księżycowych nocy, muskają tarcze bohaterów i potrącają struny bardów. Między ludem jest zwyczaj otwierania okien, aby duchy zmarłych mogły przez nie wejść do mieszkania. Nasi uczeni, wtajemniczeni w życie zagrobowe, przedstawiają duszę, jako drobne ciałko, tak drobne, że tysiące ich może tańcować na końcu igły na wzór monad Leibnitza. Królestwo cieniów jest rajem prawdziwym dla fantastów, starych bab, hipokondryków, tchórzów i oszustów. Duch Patrokla, błagający o pogrzeb Achillesa i przepowiadający mu śmierć pod murami Troi, duch Daryjusza, który Persom się ukazuje, cień Klitemnestry, cień Kajusa, wywołany zaklęciem Tysesiasa, cień Tyestesa i Achillesa dostarczają sporo wątku do opowiadań o nadprzyrodzonych zjawiskach. W wiekach średnich rozbójnicy nie dokuczali tak podróżnym, jak duchy leśne, a żeglarzom—duchy morskie i t. d. W miastach były duchy miejskie, po wsiach wiejskie, każda chatka najuboższa miała swego *kobolda*. Duchy te radziły, pomagały, ostrzegały, robiły tysiączne figle, nie wolno było drażnić ich lub wyśmiewać, a kiedy niekiedy należało im coś ofiarować. Zadziwiające są nieraz wybryki naszej wyobraźni. Mając lat ośmnaście, zdarzyło mi się widzieć rektora, stojącego w oknie i grożącego palcem, podczas gdy ja z kolegami, zamiast być na lekcyi, biegaliśmy po kurytarzach; było to tylko złudzenie skutkiem wyrzutów sumienia. Są osoby tak żywej wyobraźni, że widzą osoby, o których przedtem dużo myślały. Nie pojmuję, jak kobiety, tak często przeglądające się w lustrze, nie zobaczą i po za niem swojej postaci. Najlżejsze naprężenie zwojów mózgowych wystarcza, by nawet u osób w nic nie wierzących, najdziwaczniejsze widziadła wywołać. Wiele działa tu wpływ pewnych miejscowości i nocy. W starych zamkach, zwłaszcza, wałęsają się, straszą, jęczą, wzdychają portrety przodków. Skłonnym do widzenia duchów, życzę takiej odprawy, jaką dostało zebranie, oczekujące na wywołanie duchów, od życzliwego przyjaciela: „Moi kochani“. powiedział, „mogę wywoływać duchy, żeby wam przyjemność zrobić i wy to również zrobić możecie, ale na ukazanie się ich będziecie długo czekać“, powiedziawszy to wyszedł. Sławny Swedenborg, którego nonsensa Oetinger w czterech spisał tomach, a który w początkach swego zawodu nauki z powodzeniem uprawiał, pod koniec miewał widzenia. Na łożu śmierci utrzymywał, że widywał duchy, że z św. Pawłem, z św. Janem, Mojżeszem i Lutrem rozmawiał, z aniołami zaś widywał się codzień od 22 lat. Raz jadąc morzem, zaczął kłaniać się krzesłom w kajucie kapitana. „Co to znaczy?“ spytał kapitan. „Czyż nie widzisz pan Karola XII, Augusta Saskiego i innych monarchów, siedzących w około nas?“ Kapitan nic na to nie odpowiedział, ale gdy okręt przybił do lądu, zażądał od Swedenborga zapłaty za przewiezienie tych wszystkich głów koronowanych, lub zeznania, że jest waryjatem. Swedenborg jest i pozostanie szczególnem zjawiskiem, nie oszustem, ale oszukanym. Gdy był dzieckiem, mówiono mu, że aniołowie przez niego przemawiają. Uwierzył temu, otaczał się obrazami, które brał za żyjące postacie, rozmawiał z niemi i opowiadał, co mu niby mówił Sokrates, Cyceron, apostołowie, Mojżesz Luter i t. d. Równie silną wiarę w duchy miał olbrzym angielskiej literatury, Johnston. Dowodzi to, że będąc wielkim uczonym, był małym myślicielem

Wierzący nie boją się duchów, odpędzają je modlitwą, ja jednak sądzę, że kij, szabla, pistolet lub szpicruta, w danym razie równie dobrze usłużą, jak gorące westchnienia. Duchy należą do królestwa rzeczy niezgłębionych, nadzmysłowych; jakże łatwo śmiertelnikom zabłądzić w tym labiryncie, nie mając w ręku nawet nici Aryjadny, która od wieków prząść przestała, a o tych wszystkich dyjabelskich sprawach nie wiedziała nic a nic. Wiara w istnienie duchów i w ich wpływ na żyjących nie jest w gruncie przeciwną rozumowi, ale właśnie rozum nakazuje w kwestyjach przechodzących jego władze trzymać się samych faktów; dotąd żadne zjawisko tego rodzaju nie wytrzymało próby, wszystkie okazały się grą wyobraźni, przypadku, złudzenia skutkiem oszustwa. Cagliostro obiecywał swoim uczniom, że będą ucztować z Henrykiem IV i innymi znakomitymi nieboszczykami i używał różnych odpowiednich środków, jako to: postu, bezsenności, kadzidła, rozmaitych potraw i napojów, aby umysł zaciemnić. U ludu prostego byle co, np. szczur, sowa, kot brane są za duchy, a ci co są najwięcej skłonni do widzenia ich, uciekają, zamiast rzecz badać. Zostawmy duchy w spokoju. Tysiące ludzi odpokutowało ciekawość zagrobowego świata utratą życia, wielu zaś ciężko odchorowało, wielu potrzebujących pomocy, a nawet w letargu będących ratunku pozbawiło, wielu sen odebrało. Niezliczone są oszustwa, zatargi, procesy, które mniemane istnienie duchów spowodowało. Z tem wszystkiem zaprzeczyć nie możemy, że wiara w nadprzyrodzone zjawiska niejednego robi lepszym i poważniejszym, niejednemu czyni przyjemność słuchanie bajek o strachach, od których włosy dębem stają na głowie, zaś Demokrytom wiele daje wątku do śmiechu.

Weber-Demokritos.

* Dwóch poważnych ludzi sprzeczało się często o wiarę w duchy. Jeden twierdził, że one się okazują, drugi przeczył temu. Gdy raz, pierwszy wpadł znowu na ten temat, drugi, któremu te dyskusyje się uprzykrzyły, powiedział:

— Zaczynam wierzyć, że pan masz słuszność.

— Cieszy mnie to. Ale, jak przyszedłeś pan do tego przekonania?

— Zeszłej nocy, gdy już mocno zasnąłem, obudził mnie niezwyczajny hałas, usłyszałem, że ktoś wchodzi na schody.

— I cóż dalej?

— Pierwszy uchyliłem kotarę łóżka.

— I cóż więcej?

— Zobaczyłem migotliwe światełko.

— Czy było niebieskawe?

— Tak, zdaje mi się. Naraz ujrzałem długą, wysoką postać, wchodzącą do pokoju. Zdawało się, że przybiera kształty starca, okrytego ciemnym płaszczem. Miał on czarną, gęstą brodę, siwe, długie włosy spływały mu na ramiona. Głowę przykrywała futrzana czapka, w ręku trzymał kij sękaty. Przerażony, zerwałem się, zimny pot mnie oblał, straciłem przytomność, a duch krokami majestatycznymi zbliżał się.

— Czyś przemówił do niego? — zapytał zwolennik duchów — zapewne w domu pańskim jest skarb ukryty, lub jaki złoczyńca się zakradał.

— Duch nie pozwolił mi przyjść do słowa — odpowiedział pytany. — Stuknął trzy razy kijem w podłogę, aż szyby zabrzęczały i rzekł głosem grobowym:

— Jestem stróżem nocnym i przychodzę zawiadomić, że pańskie drzwi na rozcież otwarte i że trzeba je zamknąć; inaczej nie moja będzie wina, jeśli pan zostaniesz okradzionym.

Od tej pory ustały rozprawy o zjawianiu się duchów pomiędzy dwoma panami.

Duclos.

* Duclos, na wyrażenie pogardy, używał następującej formuły:—To przedostatni z ludzi.— Dla czego przedostatni? pytano.— Iżby następnego nie zniechęcać.

Dudek.

* — Wystawcie sobie, panowie! pięć razy strzelałem do dudka i nie mogłem go zabić.

— Nic dziwnego, swój swego nigdy nie zabija.

— Panie! pan mi ubliżasz, ja pana wyzwę na pojedynek i zabiję...

— Jak dudka!

Świąteczny.

Dudevant.

* Pani Dudevant (George Sand) pragnąc zwiedzić klasztor Trapistów, gdzie nie dopuszczają kobiet, przywdziała strój męzki. Sądziła, że przejdzie niepoznana w gronie towarzyszy swoich, ale braciszek odźwierny zatrzymał ją mówiąc: „Przepraszam pana, damy mają wstęp wzbroniony.

Duma genijuszów.

* Ze wszystkich gatunków dumy, duma genijuszów najwięcej zasługuje na przebaczenie, jest ona w własnej swej istocie najszlachetniejszą, najrzadszą. Co to jest genijusz? Kto o to pyta, nie posiada go sam i odpowiedź tylko w połowie zrozumie. U starożytnych, duma genijuszów panowała w całej swej chwale, gdyż ani względy polityczne, ani mnisza pokora jej nie krępowały. Duma genijuszu objawia się naprzód we właściwych pojęciach o wartości rzeczy świata, w ocenianiu ludzi, w poetycznem ubolewaniu nad dolegliwościami trapiącemi ludzkość, nad głupstwem tejże ludzkości i niedoskonałością jej społecznych urządzeń, w zamiłowaniu samotności i tęsknocie za pierwotnym stanem natury, w pogardzie konwenansów i sądów ludzkich, w umiarkowaniu, w zamiłowaniu życia domowego i prostocie obyczajów, w pogardzie dla wyższych zepsutych warstw społeczeństwa i w skłonności do maluczkich, do klas pracujących, w obojętności dla marnych zaszczytów, w gorącem uczuciu dla przyjaciół i blizkich, ale również w uporze, kaprysach, prawości i otwartości, które w naszym świecie nie uchodzą. Niezasłużone nieszczęście objawia nieraz ten rodzaj dumy, wyśmiany oddawna na równi z Dyjogenesem i jego zwolennikami, jest w nim jednak coś pociągającego i zasługującego na uznanie. Są uprzywilejowani ludzie, przed którymi każdy mimowoli głowę pochyli. Hannibal, którego współrodacy zrozumieć i ocenić nie umieli, schronił się do Azyi, będąc do śmierci postrachem Rzymian a jego wielki przeciwnik, Scypio, który podobnegoż losu doznał od ziomków, sam skazał się na wygnanie i wychodząc z Rzymu, powiedział: „Niewdzięczna ojczyzno, nawet kości moich nie będziesz miała!“ Burke, sekretarz Hamiltona, posprzeczał się z nim o jakąś polityczną kwestyę. „Zapominasz pan“, powiedział Hamilton, „że wziąłem go z poddasza“. „A więc ja do pana się zniżyłem“, odpowiedział Burke. O jakimś człowieku zasłużonym, arystokrata pewien w ten sposób się wyrażał: „Wyciągnąłem go ze strychu“. Na to Mably, znajdujący się w tem towarzystwie, odparł z gniewem: „Wiedz pan, że ludzie zasługi mieszkają na strychach a głupcy w pałacach“. Tenże sam Mably, będąc mianowany nauczycielem następcy tronu, został usunięty od tego zaszczytu, gdyż odważył się powiedzieć, iż zasadą jego wychowania będzie, że „królowie są stworzeni dla ludów a nie ludy dla królów“. Z podobną dumą genijuszu powiedział umierający Mirabeau do swego lokaja: „Popraw poduszki pod głową człowieka największego ze wszystkich tych, którym zdarzy ci się kiedybądź służyć“. Genijusze miłują swobodę i niezależność a przez to właśnie tem więcej bywają zależni od różnych trosk życia, od siebie samych, od przyjaciół i kochanek, od swych sług nawet, które ich najokrutniej tyranizują. Nikt może nie posunął równie wysoko dumy genijuszu, jak Bonaparte. Uważał on siebie za kierownika losów świata, równego Mahometowi i Alemu a niewiadomo doprawdy, czy on, wraz ze swymi koronowanymi braćmi i doradcami, zasługiwał więcej na śmiech czy na oburzenie. Prawdę powiedziawszy, można do pewnego stopnia wybaczyć zarozumiałą wiarę w swój

genijusz człowiekowi, któremu tak się wszystko szczęściło, zacząwszy od kampanii włoskiej aż do miażdżącej potęgę Prus — bitwy pod Jena. Człowiekowi temu, gdy doszedł do szczytu potęgi, musiało się w głowie zakręcić, to też wyobraził sobie, że z olbrzymią Rosyją tak prędko jak z Prusami się uwinie, a kto wie, może i anglików do zachodnich Indyj wypędzi? Wielkie umysły mają wiele wspólnych właściwości. Czy nie podobne, choć na mniejszą skalę, były plany Gustawa Adolfa? Napoleon mówił o Rosyi, dla której sam klimat i oddalenie były dostateczną obroną: „Losy jej muszą się wypełnić a przeznaczeniu musi się stać zadość“. Dobrze byłby zrobił, czytając natomiast jaką filozoficzną sentencyję o zmienności rzeczy ziemskich lub pamiętając słowa Salomona: „Próżność próżności, i wszystko próżność“. Umysł bohatera wpadł w rodzaj szału, w którym niemożliwe — wydało mu się łatwem; sądził on, że rozkaz jego równał się spełnieniu a zapomniał, że szczęście od nieszczęścia tylko parą literami się różni. Pochlebstwa i zdumiewające powodzenie zamieniły go w gromowładnego Jowisza a pycha doszła do szczytu z chwilą zwycięztwa pod Wagram i małżeństwa z córką cesarzy. Genijusze łatwiej niż pospolici śmiertelnicy schodzą na błędne drogi, tak jak ów genijusz ze swymi planami na kongresie wiedeńskim. Gdyby był naprawdę bogiem, ukarałby zapewne swych przeciwników, jak Jowisz Minerwę, zawieszając ją w powietrzu na złotym łańcuchu. Kto uwielbiał Bonapartego, w początkach jego zawodu, musiał niecierpieć Napoleona, który oszukał cały świat i zawiódł jego najpiękniejsze oczekiwania. Przecież Francyja była na drodze stania się wzorem wolnego państwa? Kto potrafił przeniknąć go, nie mógł go wielbić, mianowicie od 1804 r.; zawsze jednak podziwiać należało siłę i potęgę jego umysłu i charakteru, tak pełnego powagi i stanowczości. Zdumiewająca jest mowa genijusza tego do dyrektoryjatu, po powrocie z Egiptu. „Coście zrobili z Francyją, którą takim blaskiem promieniejącą opuściłem? Dałem jej pokój a zastaję wojnę; zostawiłem ją zwycięzką a zastaję zwyciężoną; dałem jej bogactwa Włoch a teraz widzę w niej tylko rabunek, niedostatek, nędzę; co zrobiliście ze stoma tysiącami francuzów, moich towarzyszów sławy, niema ich już?“ Albo znów mowa w mowie do ciała prawodawczego, które poważyło się przemówić słowami prawdy, stawiając lekką ale stanowczą opozycyję: „Jestem przedstawicielem narodu, któryż z was weźmie ten ciężar na swe barki? To nie czas stawiać przeszkody w chwili, gdy wroga śledzić i zwyciężyć trzeba. Stoję na czele narodu, gdyż dotychczasowe rządy nie dogadzały wam, jeśli pragniecie innych, które mnie odpowiedniemi się nie zdadzą, powiem wam: szukajcie innego pana. Jestem dumny, wyznaję to, ale też i odważny; jestem dumny, bo wielkich dzieł dla was dokonałem; gdybym nawet mylił się w czemkolwiek, nie przystoi wam robić mi publicznych zarzutów. Francyja potrzebuje mnie, a nie ja jej!“ Głupiec tylko nie pozna się na wspaniałości tej genijalnej przemowy. Ale, czy należało genijuszowi temu, po stracie wielkiego państwa, przyjmować małe; czy nie przystało mu lepiej po abdykacyi w Fontainebleau osiąść w jakiej willi we Włoszech na wzór starożytnych? Genijusz porównać można ze spadkiem Renu: każdy podróżny pragnie oglądać go z blizka, każdy jest olśniony, zdumiony; jednak, po przejściu pierwszego wrażenia, każdy powie w duchu: dlaczego ten potok nie płynie spokojnie, jak inne, bez tych zdumiewających skoków, które narażają na tyle kłopotów i niebezpieczeństw tych, co go przepływają. Wielki genijusz przy małym rozsądku jest fatalnością. Genijusz podziwiają, ale też stronią od niego, obawiają się go; rozsądek nie zwraca na siebie uwagi, ale zawsze dochodzi do celu i nieraz bierze górę nad genijuszem. Genijusz ma jeszcze tę słabą stronę, że jest bezinteresowny i łatwowierny. Prawdziwie wielki umysł zna siebie i rozumie swe powinowactwo z równymi sobie; prawdziwie wielki

umysł jest pełen skromności, która jest zawsze przymiotem cechującym rzeczywistą zasługę. Większa liczba mędrców nie należy wcale do genijuszów ale jest raczej żywą księgą. Duma uczonych i artystów objawia się właśnie w zupełnym braku filozoficznego ducha i smaku. Cenią oni wysoce swoje fabrykowane produkta, dary wielkich tego świata, zaszczyty, tytuły i akademickie dostojeństwa, a owo skromne Sokratesa: „tak mi się zdaje“ nie pojawia się u nich nigdy. Tegoczesny mędrzec albo chce nauczać wszystkich, na wzór sofistów i retorów starożytnych, albo uważa świat cały za niegodny ich mądrości. Są oni jak Bramini i niektórzy profesorowie milczący, oschli i surowi, jak ich księgi. Uczony włoski Jowius, przyjmując u siebie Karola V, nie prosił go nawet siedzieć, mówiąc: „Tak jak cesarz jest monarchą w swem państwie, tak ja jestem nim wpośród uczonych“. Podobna pycha nie jest objawem prawdziwego genijuszu; człowiek wyższy, w całem znaczeniu tego słowa, jest skromny i przystępny, bo pamięta o tem, że wobec wszechświata jednostka, a nawet społeczeństwa całe — są niczem.

Duma pieniężna

* Na czem polega duma pieniężna? Wyłącznie na worku ze złotem i dla tego jest dla nas wstrętniejszą, nieznośniejszą, a przedewszystkiem śmieszniejszą, od innych gatunków dumy. Arystokrata, pyszni się długim szeregiem przodków zasłużonych krajowi, a tę dumę nieuzasadnioną, jeśli nie jest wsparta osobistą zasługą, robi nam znośną wykształcenie umysłu i ogłada towarzyska; wojskowy, pyszni się swą odwagą i walecznością, uczony wiedzą, kobiety urodą i wdziękiem, bogacz zaś tylko objętością worka. Wprawdzie pieniądz jest nie tylko duszą handlu, ale oliwą, która ułatwia ruch kół i śrób maszyny państwowej. Anglik nie pyta, ile masz majątku, ale „ile jesteś wart“. Bonaparte, który znajdując się w 1792 r. w Paryżu, był zmuszony zegarek zastawić, w lat dwanaście potem został cesarzem francuzów przy pomocy worka pieniędzy. Złoto jest bożkiem czasu, jak słońce jest bożkiem dzikich a księżyc mahometan. Dzieci Izraela czciły już złoto w postaci złotego cielca. Bożka tego znaleźć można w wielkich miastach handlowych a komizm jego majestatu dostrzegamy u podróżujących anglików, którzy, gdy raz wyjadą za granicę swej ojczyzny, chcą uchodzić za lordów, a są nieokrzesanymi kupczykami londyńskimi. D'Alembert, znajdując się razu pewnego w towarzystwie, rozumem i dowcipem skupił wkoło siebie liczne grono gości. Finansista jakiś, dowiedziawszy się kim jest, powiedział: „Jak on może tak śmiało rozprawiać, kiedy pewnie i dziesięciu talarów nie ma w kieszeni?“ Helvetius, przejeżdżając razu pewnego ulicą, został wstrzymany przez wiozącego drzewo na opał robotnika i, zniecierpliwiony zwłoką, nazwał go hultajem. „Tak, tak“, rzekł wyrobnik, „my jesteśmy hultaje bo idziemy piechotą z ciężkim ładunkiem, a pan uczciwym człowiekiem, bo siedzisz w karecie“. Szlachetny Helvetius dał biedakowi 6 funtów st. za naukę, a ludziom swoim kazał mu pomódz. Nasi bogacze przypominają owe statki ze złotem i srebrem, które od czasów Magellana jakie kilkaset razy odbyły drogę pomiędzy Acapulco i Manilą, nie troszcząc się o najpiękniejsze grupy wysp w drodze spotykane, a dopiero przez Cook'a odkryte. Bogacze, ci zwłaszcza, którzy prędko i niezbyt prostemi drogami doszli do fortuny, wiele wątku komizmowi dostarczają. Zużytkowali go Le Sage i Dancourt w swych komedyjach, a od czasu rewolucyi więcej ich spotykamy w życiu, niż w teatrze. Niezrównany Molier nieznał na nieszczęście tych typów. Drogi do pozyskania bogactwa mieszczą się w trzech żywiołach: intrydze, umiejętnem zużytkowaniu okazyi i spódniczce. „Te worki złota nie odczuwają nieszczęścia jak zwyczajni ludzie; robią one co tylko im przez myśl przejdzie, mówią tonem wyroczni, kichają głośniej od innych, a plują dalej jak drudzy“, mówi La Bruyère. Wszak wiek najszczęśliwszy dla ludzkości zwał się złotym

wickiem. Niemieckie przysłowie: „sprytem i rozumem świat obejść można“, nic stosuje się do owych worów złota, gdyż one nie stoją i nie chodzą, ale siedzą i jeżdżą. Złota gałązka otworzyła pobożnemu Eneaszowi bramy piekieł; złote jabłko sprawiło zamieszanie w całym Olimpie; Jowisz w postaci złotego deszczu przedostał się do zamkniętej na rygle i zasuwy Danae. Złoto pokrywa niejeden występek, tak jak ubóstwo niejedną cnotę. Najkomiczniej duma pieniężna wygląda u bankierów. Chęć błyszczenia złotego worka jest często w kolizyi z najbrudniejszem skąpstwem; często stroje, ekwipaże, uczty, bale opłacone są zdzierstwem, dokonanem na sługach, robotnikach, podwładnych. Symonides powiada: że lepiej jest być bogatym jak mądrym, bo widział mędrców u drzwi bogaczy a nie bogaczy u drzwi mędrców. Jakiś mędrzec wygłasza zdanie, że zbytek nigdy nie jest zbyteczny a Arystypp, że mędrzec zna swoje potrzeby, bogaty nie zna ich wcale. Chrysippus oświadcza, że gotów jest koziołki przewracać, jeśli mu za to zapłacą a Horacy, że bogacza nikt nie pyta, w jaki sposób doszedł do majątku. Krasus powiedział, że ten tylko wart nazwy bogacza, kto swym kosztem wojsko może utrzymać. Apicijusz odebrał sobie życie wskutek straty majątku. Pokazuje się więc, że i w starożytności ludzie nie byli na urok złota obojętnymi. Pojęcie o bogactwie jest względne. Pewien wieśniak, wygrawszy na loteryi 6000 guldenów, umarł z rozpaczy po przeczytaniu ustępu Ewangelii: „Łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogaczowi wnijść do królestwa niebieskiego“. Nasi filozofowie i poeci piękniej od Seneki potrafiliby pisać o pogardzie bogactw, gdyby tak jak on byli bogaci. Niewiem, czy zadowoliliby się marzeniem Horacyjusza, który mówi: „Szczytem moich marzeń jest kawałek pola, ogródek, źródło niedaleko domu i trochę lasu“. Gdy Marek Curius dostał od senatu, w nagrodę zwycięztw, odniesionych 500 morgów gruntu, powiedział: „niebezpiecznym jest obywatel, któremu 7 morgów nie wystarcza“. Hezyjod uważa za bogacza każdego, kto posiada mórg ziemi, krowę i żonę gospodarną. Focyjon, na propozycyę i wspaniałe dary posła Filipa szczytną daje odpowiedź: „To co mam, wystarcza mi, dzieciom moim wystarczy również, jeśli będą do mnie podobne, jeśli zaś nie, nie myślę im zbytków kosztem mego sumienia kupować“. Upadek Rzymu datuje się od chwili zdobycia zepsutej przepychem Azyi. Owidyjusz powiada: „Żyjemy naprawdę w wieku złotym, bo złoto nietylko jest czczone ale i kochane. Nie złoto wszakże jest złem, ale niewłaściwe jego użycie; mędrzec ceni złoto jako warunek niezależności. Przysłowie powiada: „Gdzie jest złoto, jest jeden dyjabeł, gdzie go niema, jest ich dwóch“. Aby być dobrym obywatelem kraju nie należy mieć ani zadużo ani za mało pieniędzy. Bogacze w państwie są tem, czem wielkie szczupaki w stawie: pożerają mniejsze ryby. Ciekawą jest rzeczą, dlaczego większą jest śmiertelność między bogaczami jak ubogimi? Czy bogacze umierają ze zbytku trosk, czy ze zbytku spokoju? Czy więcej ludzi umiera z głodu, czy z niestrawności. Dlaczego ciało zmarłego bogacza szybciej się rozkłada jak ciało ubogiego? Bogacz czy ubogi wtedy tylko zasługuje na nazwę człowieka, jeśli po ludzku myśli i czuje. Filozof, który rzuca grzebień do rzeki, przekonawszy się, że dziesięciu palcami równie dobrze uczesać się można i tłucze kubek, zobaczywszy malca, czerpiącego garścią wodę, wyżej stoi, podług mnie, od bogacza nienasyconego zbytkiem.

Duma rodowa

* Pewna dama, wysokiego rodu, leżąc już na łożu śmierci, powiedziała do syna składającego nizki ukłon wchodzącemu księdzu: „Nie tak nizko, mój synu“. W chwilę potem skonała.

* Pewien emigrant rewolucyi utrzymywał, że on i jego towarzysze są śmietanką Francyi. „No tak“, odpowiedział jakiś prusak, „jesteście śmietanką, ale bitą“.

* Czytamy w pamiętnikach Filipa de Commines, że podczas służby jego na dworze Karola Burgundzkiego, zaprzyjaźnił się z młodym hrabią de Charolaes, który, wracając razu pewnego z polowania, rzekł do niego: „Ściągnij mi buty". De Commines ściągnął a potem rzucił mu je na głowę i opuścił dwór burgundzki.

* Cezar Antonijusz sprowadził z Aten filozofa Apollonijusa, aby powierzyć mu wychowanie Marka Aurelijusza. Dumny filozof kazał cesarzowi oznajmić swe przybycie, dodając, że uczeń, obowiązany jest iść powitać nauczyciela Cezar uśmiechnął się (niejeden arystokrata na jego miejscu, dałby odprawę takiemu nauczycielowi) wysłał naprzeciw filozofa swego syna i kazał mu powiedzieć, że skoro odbył podróż z Aten do Rzymu, to może i do cesarskiego pałacu pofatygować się zechce.

* Ostatni Stuart, pretendent do tronu, kazał bić monety z swym portretem i napisem: „Henryk IX, król angielski, z bożej łaski a nie z ludzkiej woli". To przekonanie, które jego rodzina utratą tronu opłaciła, nie opuściło go do śmierci.

* Rivarol, znajdując się razu pewnego w towarzystwie, złożonem z samych książąt i hrabiów, powiedział: „Straciliśmy nasze prawa, nasze majątki, nasze przyjemności". Jeden z obecnych wysoko urodzonych, rzekł na to: „Nie rozumiem, dlaczego pan używasz liczby mnogiej".

* Cesarz Józef II, któremu nieraz uprzykrzyła się wyniosłość szlachty, raz żartem nazwał swego służącego panem *von*. Ten miał tyle przytomności umysłu, że na razie za nobilitacyję podziękował i cesarz mu ją, niechcąc wypowiedzianych słów odwołać, potwierdził.

X * Eurypides mówi: „Człowiek uczciwy, jest szlachcicem, nieuczciwy nie jest nim, choćby od samego Jowisza pochodził".

* Faryzeusze, gdy Nazarejczyk zdumiewał ich swą mądrością, pytali jedni drugich: „Kto jest ten człowiek? Wszak to syn cieśli?!".

Duma ukarana.

Pewien znakomity neofita odznaczał się niepospolitą dumą i lekceważeniem innych. Zaproszony we Lwowie na obiad, wydany na jego cześć, spóźnił się tak bardzo, iż zgromadzeni uczuli się tym krokiem dotkniętymi bardzo, a jeden z dowcipnisiów wsunął mu do kapelusza następujący wierszyk:

Z grzeczności słynie francuz,
Z arogancyi — żydzi,
Żeś nie francuz mój panie,
Każdy z nas to widzi.

* Przy uczcie inauguracyjnej otwarcia kolei Warszawsko-Wiedeńskiej członek rady zarządzającej B . . eni wniósł toast na cześć adwokata M . . ewskiego, który był doradcą prawnym tejże kolei, w następujących słowach:

Gdzie są wielcy panowie, tam są małe pieski,
Wiwat niech żyje adwokat M . . ewski.

Dotknięty mecenas wstał natychmiast, podniósł swój kielich i odparł:

Wielki zaszczyt małemu, gdy go wielki czyni
Wiwat niech żyje wielki pies B . . eni.

Duma hiszpańska.

Wiadomo, że Hiszpanie całą swoją wielkość i honor zakładają na starożytności rodu. Jeden z nich, będąc w towarzystwie, rzekł: „Moja familija tak jest dawna, że ja dotychczas płacę procent od kapitału, ktory moi przodkowie pożyczyli od trzech Królów, idących do *Betleem.*"

Duma fachowa.

— Ależ, mój panie, żądać za wytresowanie jednego psa aż cztery dukaty, to przecie rzecz niesłychana!

— To się panu zdaje jeszcze za wiele? Pan mnie widać bierze za nauczyciela języków czy coś podobnego?

Dumanie poety.

Noc ponura osiadła skał olbrzymie grzbiety,
Na ziemi i na niebie smutno i ponuro,
Tak ponuro i smutno, jak w duszy poety,
Co, siedząc przy stoliku, temperował pióro.

On szukał nowych myśli w swej duszy odmęcie,
Myśli, by je uwiecznić nieśmiertelnem pieniem;
Ale myśli, przeczuwszy kąpiel w atramencie,
W ciasnej głowie poety osiadły kamieniem!

On po sklepieniu nieba wieszcze oko toczył,
I pół wieszczego pióra w wieszcze usta włożył,
I w wieszczym kałamarzu wieszczy nos umoczył,
I dumał, dumał, dumał, aż spać się położył.

Syrokomla. (p. str. 128).

* Nie dziw, że są harde urodziwe panie,
Bo im gładsze drzewo, tem trudniej wleźć na nie.

Krakowiak u Wacława z Oleska

Dumanie podlotka.

* Ach, nie wiem sama, czemu się trwożę,
Czemu za serce coś ściska mnie.
Zkąd to pochodzi? Zapytam może
Mamuni mojej. Ej! lepiej nie!

Mama mi powie: masz książki, kwiatki,
Baw się z kanarkiem, śpiewaj lub ucz
Już chyba sama do tej zagadki
W mojem serduszku odnajdę klucz.

Będzie już temu ze trzy niedziele,
Modlitwa ładny przyniosła plon;
Stanęłam w ogniu, kiedy w kościele
Nieśmiało na mnie spojrzał się *on*.

Czułam, że serce bije jak młotem
I że uderza do twarzy krew;
Lecz mojej mamie nie powiem o tem
Że on ma czarny wąsik i brew.

Później, przez okno gdym go ujrzała,
On bardzo grzecznie ukłonił się,
Och! mama pewno by się gniewała
A gniewać mamy ja niechcę, nie...

Wolę już zostać z moją piosenką...
Zaśnij serduszko, oczęta zmruż...
A teraz chodźmy zajrzeć w okienko;
Ach!... idzie... tatko do domu już.

Don Alonzo.

Dumas Aleksander (ojciec).

* Aleksander Dumas nie jest tak wielkim poetą, jak Wiktor Hugo, ale posiada przymioty, któremi może więcej zdziałać na świecie jak ten ostatni. Rozporządza on owym bezpośrednim wyrazem namiętności, nazwanym „verve“ przez francuzów i jest też bardziej francuzem, aniżeli Hugo. Sympatyzuje on z wszystkiemi cnotami i wadami, potrzebami dnia i niepokojami swych rodaków: jest entuzyjastyczny, zapalny, komedyjant wspaniałomyślny, lekkomyślny, chełpliwy, słowem istny syn Francyi — tej Gaskonii Europy. Przemawia sercem do serca, dlatego rozumieją go i biją mu oklaski. Głowa jego jest oberżą, gdzie czasem stają dobre pomysły, nie zatrzymują się tam jednak dłużej, jak przez noc; często oberża ta jest niezajętą. Nikt niema równego talentu komedyjo-pisarskiego jak Dumas. Teatr to jego powołanie.

H. Heine.

Dumka

* Stoi jawor ponad wodą,
Jawor śliczne drzewo...
Jedzie drogą żyd na biedce,
I skręca na lewo...

Ejże Berku! dokąd zwracasz
Swą kulawą szkapę...
Czemu na zielony jawor
Ciężką kładziesz łapę?

Dobył Berek z pularesu
Jakiś papier zmięty...
Płacze jawor ponad wodą
Wie, że będzie ścięty!

Przyśli chłopi z siekierami,
Przywieźli i piły,
Uderzyli raz i drugi
Leży jawor miły...

Stoi Berek ponad wodą
Rękę w kabzie trzyma,
Choćby jeszcze, chciał jaworów
Ale ich już niema!..

* *Dumka biblijna.*

Biblijny Jonas niemcem był
To jak dwa a dwa cztery,
W rekina wnętrze wskoczył aż,
By zbadać tamte sfery.

Że niemcem był — pewnikiem to —
Bo wlazł on w brzuch rekini,
A aksijomatem przecież jest
Że szwab się *wszędzie* wtryni...

Ego. Ista.

* *Dumka karnawałowa.*

Żoneczka moja cudna
Raz na mnie z gniewem huknie:
— Czy sprawisz mi nareszcie
Balową nową suknię!
Ponieważ dzisiaj żaden
Się z żoną mąż nie spiera,
Więc rzekłem mej łagodnie:
— Tyś piękna jak Wenera!..
A w głowie twojej cudnej
Wszak dosyć jest rozumu,
Więc wiesz że Venus była
Zazwyczaj bez... kostyjumu...
Gdy chcesz pięknością jaśnieć,
Mam, żonko, projekt nowy —
I kupię ci miast sukni
Na bal ten... liść figowy...

Prawie-heine.

Dusza.

* Dla niejednej pięknej duszy mógłby był Stwórca, co prawda, stworzyć lepszą kopertę. Pan Bóg jednak zbyt jest zajętym. Czasami, gdy ma właśnie zamiar oprawić szlachetną perłę w przepysznie cyzelowane złoto, przeszkodzą mu i zawija wtedy drogi kamień w pierwszy lepszy kawałek bibuły lub szmatę: inaczej sobie tego wytłómaczyć nie mogę.

H. Heine.

* Dusza męzka, li niebieska, zlawszy się z duszą żeńską w jedno, ziemszczeje; a dusza żeńska, li ziemska, w spojeniu się z tem niebieszczeje. *Trętowski.*

* *Dusza na pokuszeniu.*

(List Roberta de K. de C., do Klaudyjusza R.).

„Wielką rozkosz sprawia mi zawsze rozmowa z Tobą, mój kochany Klaudyjuszu. Czy uwierzysz? Nie mogę myśleć, bez wzruszenia o tem życiu, któreśmy wiedli, zda się wczoraj jeszcze, w kolegijum. Przypominam sobie te długie rozmowy nasze, w cieniu wielkich drzew; pobożne pielgrzymki, odbywane codziennie do celi naszego przełożonego, nasze rozmyślania, porywy dwóch dusz naszych; do źródła przedwiecznego wszelkich wielkości i dobroci. Widzę jeszcze tą małą kapliczkę, którą urządziłeś pewnego dnia w twoim pulpicie; świeczki woskowe, które zrobiliśmy umyślnie do niej i które zapalaliśmy podczas lekcyi astronomii. Miłe wspomnienia i tak nam drogie!.. Cudne szczegóły życia spokojnego i niewinnego!.. z jakiemż uczuciem szczęścia je wspominam. Czas, oddalając mnie od nich, zda się zbliżył je jeszcze do mej pamięci. Niestety, żyłem podczas tych długich sześciu miesięcy, ale, zdobywając znajomość świata, nauczyłem się kochać więcej jeszcze, świętą nieświadomość dawnego mego życia. Ty, rozsądniejszy odemnie, wybrałeś drogę poświęconą Panu; przyjacielu, pojąłeś boską misyję do której byłeś przeznaczony, niechciałeś przekroczyć zbeszczeszczonego progu i wchodzić do tego świata, do tej otchłani, mógłbym powiedzieć, gdzie ja się znajduję obecnie, rzucany, miotany, jak wątły statek na fali. Siła bałwanów morskich jest nawet igraszką dziecinną w porównaniu z namiętnościami. Przyjacielu! szczęśliwym jest ten, który nie wie nic jeszcze o tem, czego ja się już dowiedziałem; szczęśliwyś Ty sam, gdyż oczy Twoje nie zmierzyły nawet otchłani, w której moje spojrzenie utonęło.

Cóż jednak uczynić mogłem?.. Czyż nie byłem zmuszony, na przekór mojemu powołaniu, i słodkiej przyjaźni, która mnie do Ciebie ciągnęła, czyż nie byłem zmuszony usłuchać głosu wymagań, nazwiska, które noszę, głosu ojca me-

go, który mię przeznaczał do wojska, dla obrony sprawy szlachetnej a której jednak i Ty bronić będziesz. Jednem słowem — usłuchałem i opuściłem kolegijum bezpowrotnie.

Wchodziłem w świat z sercem przepełnionem zbawiennemi obawami, które w niem wzbudzała otrzymana edukacyja; postępowałem nieśmiało i po niejakim czasie cofnąłem się z przerażeniem. Mam lat 18 — jestem jeszcze młody, ale już wiele myślałem, a doświadczenie moich pobożnych przewodników napełniło mą duszę przedwczesną dojrzałością, która mi daje sąd zdrowy o wielu rzeczach; zresztą wiara moja jest tak niewzruszona i tak głęboko zakorzeniona w sercu, że mogę bezpiecznie oglądać się w koło ciebie. Nie boję się o moje zbawienie, ale serce mi się ściska na myśl o przyszłości naszego społeczeństwa i błagam Boga, z całą gorliwością serca zabezpieczonego od złego, aby nie odwracał oczów swoich od nieszczęśliwego kraju. Tutaj nawet, u Margrabiny K., mojej kuzynki, u której się obecnie znajduję, widzę tylko lekkomyślność u mężczyzn, niebezpieczną kokieteryję u kobiet. Straszny podmuch czasu doszedł już do najwyższych sfer arystokracyi francuzkiej.

Co do obyczajów i zwyczajów, jeśli tutaj nie są niemoralne, to przynajmniej nacechowane taką lekkomyślnością i niewłaściwością, że nie potrafię ci ich inaczej przedstawić, jak w następującym przykładzie, który co prawda najwięcej mnie uderzył.

O sto kroków od pałacu znajduje się mała rzeczka, ślicznie otoczona cieniem rozłożystych wierzb. Prąd jej nie jest bystry, woda przejrzysta jak kryształ a łożysko pokryte drobnym piaskiem, po którym się chodzi jak po dywanie. Otóż, czyżbyś uwierzył, kochany przyjacielu, iż w te straszne upały wszyscy mieszkańcy pałacu przychodzą o jednej godzinie, bez różnicy płci i kąpią się. Kostyjumy zbyt lekkie i nadzwyczaj obcisłe okrywają dosyć niedostatecznie kształty pań. Wybacz, mój przyjacielu, że wchodzę w te szczegóły i że naruszę spokój Twej duszy, malując ci te sceny światowe, ale obiecałem, że dzielić będę z Tobą wszystkie moje wrażenia i myśli, najbardziej nawet tajne. Jest to zobowiązanie święte, któremu zadosyć-uczynić muszę. Przyznam Ci się, że te sceny kąpielowe oburzyły mnie do najwyższego stopnia, gdym pierwszy raz o nich słyszał; doznawałem pewnego rodzaju niesmaku, jak to łatwo zrozumiesz i odmówiłem stanowczo brania w nich udziału. Śmiano się wprawdzie ze mnie, ale śmiech ludzki bardzo mnie mało obchodzi i nic nie zmienił w moich postanowieniach.

Wczoraj jednak, około godziny piątej wieczorem, margrabina kazała mnie zawołać i urządziła się tak sprytnie, iż niepodobna mi było odmówić jej moich usług. Poszliśmy. Służąca niosła za nami kostyjumy kąpielowe margrabiny i siostry mojej, która miała przybyć za nami.

— Słyszałam — powiada moja kuzynka, oparłszy się na mojem ramieniu, trochę silniej, niż tego potrzeba wymagała—słyszałam, że doskonale pływasz; rozgłos twego talentu przybył do nas z kolegijum, musisz mnie nauczyć pływać na wznak—wszak zgoda kochany Robercie?

— Mało mnie obchodzą, kochana kuzynko — odparłem — wszystkie te fizyczne przymioty. Pływam nieźle to prawda, ale koniec na tem. — i odwróciłem głowę, aby nie czuć zapachu nadzwyczaj silnego, który się z jej włosów wydzielał. Wiesz, że cierpię często na newralgiję

— Ależ, *moje dziecko*, przymioty fizyczne nie są znów tak bardzo do pogardzenia.

Wyrażenie: *moje dziecko*, niepodobało mi się bardzo; kuzynka moja ma, co prawda, 26 lat, ale i ja też nie jestem już dzieckiem i zresztą oznaczało to familijarność, której bynajmniej sobie nie życzyłem. Ze strony margrabiny, był to skutek tej lekkomyślności, którą już zaznaczyłem, ale byłem nią oburzony. Ona mówiła dalej...

— Zbytnia skromność nie przystoi w naszym świecie — i zwróciła się do mnie z uśmiechem.

— Będzie z ciebie bardzo przystojny młodzieniec, mój Robercie a to, czego ci brakuje, łatwo przecież pozyskać. Naprzykład... każę cię ufryzować kamerdynerowi margrabiego, jestem pewna, że będziesz z niego zadowolony.

Pojmujesz, kochany Klaudyjuszu, że na wszystkie te awanse odpowiadałem zimno, jak na to zasługiwały.

— Powtarzam ci, moja kuzynko — odrzekłem — że bardzo mało do tego wszystkiego przywiązuje wagi, i poparłem moje słowa spojrzeniem zimnem, lodowatem.

Wtedy dopiero, bo przedtem nie rzuciłem na nią okiem, spostrzegłem bezbożny wykwint jej stroju, któremu, na nieszczęście, służyła za pretekst i zachętę, jej zgubna piękność.

Ramiona jej były obnażone a ręce gubiły się wśród bransolet; gors u góry zasłonięty niedostatecznie tkanką zbyt lekką jakiejś przezroczystej gazy, jednem słowem — żądzę podobania zdradzała we wszystkich szczegółach swego ubrania.

Byłem oburzony widokiem takiej lekkomyślności i czułem, że rumienię się z politowania, niemal ze wstydu.

Przybyliśmy nareszcie nad brzeg rzeki. Puściła moje ramię i od niechcenia rzuciła się (bo nie mogę powiedzieć że usiadła) na trawę, odgarniając w tył długie pukle włosów, spadające z jej koku. Kok, w światowym języku, oznacza tę wypukłość czaszki, którę spostrzegamy na czubku tylnym głów kobiecych. Składa się on ze zwoju ich długich włosów, skręconych lub splecionych. Odgadłem, wskutek niektórych rozmów, że owe koki bywają i fałszywe. Są kobiety, rzeczywiste córy Ewy, nabywające na wagę złota włosy, które im dostarcza nędza lub śmierć.

Serce się na to wzdryga.

— Straszny dziś upał, kuzyneczku—rzekła wachlując się. — Drżę co chwila na myśl, że przy takiej temperaturze nos p. de Beaurexard może rozprysnąć się lub zapalić. Ha, ha, ha! słowo honoru daję.

Tu wybuchnęła głośnym, śmiechem przy tym żarcie dość niewłaściwym i niedowcipnym. P. de Beaurenard jest przyjacielem margrabiego i posiada rzeczywiście dość rumianą twarz.

Zdobyłem się na uśmiech grzeczny, który wzięła pewnie za potwierdzenie, bo wpadła w paplaninę bez sensu, mieszając z uczuciami najbezbożniejszemi i najdziwaczniejszemi tezy religii — pogodny spokój łąk z chaosem świata, a to wszystko wyrażała gestami zbyt wolnymi, wdziękiem wymowy czysto światowej, finezyją spojrzeń i pewną ziemską poezyją, któremi każden inny umysł, na moim miejscu, byłby uwiedziony.

— Przyznaj, że ten kącik jest cudownym ustroniem!

— Zapewne kuzynko.

— A te stare wierzby, chylące swe sędziwe głowy ku płynącej wodzie; patrz jak polne kwiateczki okręcają wesoło ich pnie zmęczone... Jakież ładne, te drobne listeczki, jak miękkie, srebrzyste... albo gałązki giętkie i cieniutkie. Tyle wdzięku, świeżości i młodości wychodzących z pod tego starego ciała; niby już potępionego.

— Pan Bóg nie potępia roślin, kuzynko.

— Być może; ale ja widzę zawsze w wierzbach coś podobnego do ludzi. Starość bez końca wydaje mi się karą. Ona pokutuje i cierpi ta stara towarzyszka brzegów wody, ten stary polny Quasimodo. Cóż chcesz kuzynku, to jest wrażenie, które odczuwam. Któż mi zaprzeczy, że wierzba nie jest ostatniem wcieleniem rybaka, umarłego bez rozgrzeszenia?

Przy tych słowach parsknęła śmiechem.

— Są to myśli tak pogańskie i tak sprzeczne z zasadami wiary, iż, by je wyrozumieć w twoich ustach, muszę chyba myśleć, że żartujesz sobie ze mnie.

— Ale bynajmniej, nie kpię sobie z ciebie mój mały Robercie. Nie jesteś już przecie malcem. czy wiesz? No, idź się ubierz do kąpieli. Ja wejdę do namiotu i toż samo uczynię. Do widzenia, kuzyneczku. Pożegnała mnie ruchem

ręki i podniosła z widoczną zalotnością firankę namiotu. Cóż za dziwne tajemnice zawiera serce kobiece! Wyszukałem sobie zarośle, przemyśliwając nad tem, i w jednej chwili odziałem się w kostyjum kąpielowy. Myślałem o tobie, drogi bracie, zapinając przód i rękawy. Wiele razy dopomagałeś mi w tej czynności, bo ja byłem zawsze taki niezgrabny. Otóż, wszedłem do wody i miałem zacząć pływać, gdy znów głos margrabiny doleciał do uszu moich. Rozmawiała z swoją służącą w namiocie. Zatrzymałem się i słucham; nie przez ciekawość grzeszną, wyznałbym Ci tę słabostkę moją, ale przez potrzebę szczerą dokładniejszego poznania tej duszy, w gruncie dobrej, ale zbłąkanej.

— Ależ nie Juljo — mówiła margrabina, nie chcę słyszeć już więcej o tym czepcu nieprzemakalnym. Woda w niego wchodzi i zostaje. Skręć moje włosy w siateczkę i koniec.

— Włosy pani margrabiny przemokną w ten sposób.

— To ich potem spudrujesz. Puder doskonale wysusza. Właśnie ubiorę się dziś wieczór w niebieską suknię. Dasz mi puder blond... Moje dziecko, ty zwaryjowałaś! Mówiłam ci, żebyś skróciła mój kostyjum kąpielowy, zaszywając go w kolanach. Patrz, do czego to podobne.

— Obawiałam się, żeby nie było niewygodnie pani margrabinie pływać.

— Niewygodnie! W takim razie dlaczegóż zacieśniłaś go o całe trzy palce w tym miejscu? Patrz, jak się opina, to nie ma sensu, patrz-że, widzisz?

Draperyje namiotu poruszały się i poznałem, że moja kuzynka wdziewała niecierpliwie ów kostyjum, wskazując służącej dokładniej jego wady.

— Nie pragnę być nim owiniętą jakby chorągwią, ale z innej strony muszę się przecie módz ruszać. Nie chcesz zrozumieć, Juljo, że ten materyjał nie wytrzyma... Patrz, jeżeli się trochę nachylę... Ah! przyznaj, że nieszczęście.

Biedne umysły! nieprawdaż przyjacielu, te które się zajmują podobnemi rzeczami. Dla mnie było to tak płochem, że żałowałem iż byłem mimowolnym świadkiem tych rozmów, poruszałem wodą z hałasem aby przypomnieć moją obecność i przerwać rozmowę która mnie oburzała.

— Służę ci Robercie, siedź w wodzie; czy siostra twoja nie przybyła jeszcze? zawołała do mnie kuzynka głośno, a potem stłumionym głosem zwróciła się do służącej:

— Tak, dobrze, ściśnij mocno, muszę czuć się podtrzymywaną.

Namiot się roztworzył i ujrzałem moją krewnę. Nie wiem czemu dreszcz mnie przejął jakby przed zbliżającem się niebezpieczeństwem. Postąpiła parę kroków na miałkim piasku zdejmując po drodze pierścionki z palców, których wielką ilość zwykła nosić; zatrzymała się, wręczyła Julii klejnoty i ruchem który mam jeszcze przed oczyma, a którego nie potrafiłbym opisać, porzuciła w trawę sandałki z czerwonemi kokardami, które okrywały jej nogi. Najwyżej zrobiła trzy kroki, ale było to dostatecznem dla wywołania mego zdumienia.

Stąpała bojaźliwymi krokami, ramiona nagie zbliżyła do siebie, a kształty wyraźniejsze jej stanu, więzione wygodnie w tym nieskromnym kostyjumie, drżały jakby ze wstydu za każdym poruszeniem.

Odwróciłem oczy, to już było zanadto! Czułem, że rumienię się po uszy, widząc że margrabina K. de C. moja rodzona kuzynka, mogła do tego stopnia zapomnieć o prawach skromności i pokazywać się w ten sposób. Nie pozostało jej nic kobiecego, prócz warkoczy zwiniętych w siatce, co zaś do reszty, wyglądała na młodego chłopca — szczupłego a zarazem przedwcześnie otyłego, na istotę, którą napotkać można tylko we śnie i w bezsennej gorączce, na coś, ku czemu pociąga nas niewidzialna siła, a co musi być szatanem, aby tak mogło stać się podobnem do anioła.

— No, Robercie, o czem-że myślisz? Podaj mi rękę na wejście do wody.

I umaczała w przezroczystej wodzie palce swej kształtnej nóżki.

— Zawsze to trochę jest nieprzyjemnem — rzekła — ale woda musi być dziś wyborna; co ci jest, że tak drżysz? Kuzyneczku, czuły jesteś na zimno!

Na prawdę nie drżałem ani ze strachu ani z zimna, ale zbliżywszy się do margrabiny odurzył mnie silny zapach jej włosów, a ja z mymi czułymi nerwami jak wiesz, o mało co nie zemdlałem. Opanowałem się jednak. Pochwyciła moją rękę silnie, tak jak czepiamy się laski lub poręczy schodów i popłynęliśmy z wodą. Pod naciskiem fal ujrzałem materyję jej ubrania opinającą ją i brutalnie bez skrupułu uwydatniającą jej kształty, których egzystencyja wzniecała we mnie obrzydzenie. Byłem zmieszany rolą jaką mi grać kazano. Ach! kochany Klaudyjuszu jakaż boleść i trwoga otoczyłyby duszę twoją, gdybyś mnie był ujrzał w tej sytuacyi! W głębi mego serca, czystego jeszcze, prosiłem Boga, aby mnie obronił od złego. Ale pozwól, żebym ci dokończył mego opowiadania, chociaż obrzydliwymi mogą ci się wydać jego szczegóły.

W miarę postępowania naprzód, rzeka stawała się coraz głębszą, margrabina gdy woda podnosząc się w górę obejmowała jej kibić, wydawała lekkie okrzyki przestrachu, podobne do syczenia węża; potem, parskała głośnym śmiechem i coraz bardziej zbliżała się ku mnie. Nareszcie zatrzymała się, a zwróciwszy się, w moich źrenicach utopiła swój wzrok.

Uczułem, że nadeszła chwila uroczysta. Spostrzegłem przepaść ukrytą pod mojemi nogami, serce mi biło całą siłą a głowa pałała.

— A więc teraz Robercie, ucz mnie pływać na wznak, nogi prosto wyciągnięte, ręce wzdłuż ciała nieprawdaż?..

— Tak kuzynko, porusza się przy tem rękoma.

— Doskonale—puszczam się... raz... dwa... trzy... oh! jakież ze mnie dziecko... boję się. Podtrzymuj mnie nieco kuzynku.

W tej chwili powinienem był jej powiedzieć: Nie, kuzynko, nie pani, nie jestem stworzony do podtrzymywania zalotnic — nie chcę, ale niestety, nie śmiałem wypowiedzieć tego wszystkiego, język mój oniemiał i objąłem mojemi ramionami kibić margrabiny aby ją łatwiej utrzymać. Niestety, popełniłem błąd nie do poprawienia. Gdy uczułem te kształty uginające się pod moim uściskiem, gdy spostrzegłem przed memi oczyma o dwa kroki od mojej twarzy, tę kobietę rozciągniętą na wodzie...

— Przebacz, ach przebacz mój pobożny przyjacielu te epitety — ale wszystko to było w tej chwili tak doskonałe — że nie mogłem nieubóstwiać tych kobiecych kształtów...

Skracam, gdy ujrzałem to wszystko, zdaje mi się, że cała krew moja spłynęła mi do serca, śmiertelny dreszcz przebiegł moje członki „naturalnie był to wstyd i oburzenie,“ ciemno mi się zrobiło w oczach, zdaje mi się, że dusza moja uciekała i upadłem zemdlony, wciągając ją w głąb wody w uścisku śmiertelnym. Usłyszałem krzyk, uczułem jej ramiona obejmujące moją szyję, wpijające się w moje ciało, i dalej... nic, straciłem przytomność. Znalazłem się napowrót na trawie, Julija uderzała mnie po rękach, a margrabina w swoim stroju kąpielowym, po którym spływała woda na wszystkie strony i zbliżała flakonik do mego nosa. Spojrzała się na mnie okiem groźnym, chociaż w jej spojrzeniu był pewien odcień zadowolenia, pobłażliwości, którego znaczenia nie rozumiałem.

— Dziecko!—zawołała — wielkie dziecko!..

Znasz więc wypadki mój dobry przyjacielu, podaj mi radę jako jałmużnę i błogosław niebu, że żyjesz daleko od tych burz.

Sercem i duszą Twój szczery przyjaciel
Robert de K. de C.

Gustaw Droz. (p. str. 26).

Dwojaka natura.

* Nigdy nie można oznaczyć z pewnością, gdzie się w kobiecie anioł kończy a dyjabeł zaczyna.

Henryk Heine.

Dworacy.

* Napoleon podżartowywał sobie pewnego razu z nieustraszonej odwagi jałmużników. Obecny temu ksiądz de Pradt, kłaniając się prawie do ziemi swemu bożyszczu, zawołał:

— Jego Cesarska i Królewska Mość może sobie wyszydzać ile mu się podoba zwykłych jałmużników, ale co się tyczy jałmużnika bożka Marsa — ten stanowi wyjątek!..

(*Cousin d'Avallon*, *Pradtiana*).

* Opowiadają, że baron Thénard, robiący doświadczenia w obec Ludwika XVIII, rzekł do króla:

— Najjaśniejszy Panie, a teraz te dwa ciała, będą miały zaszczyt połączyć się w obecności Waszej Królewskiej Mości."

* Ludwik XV zapytał jednego ze swych dworzan, ile ma dzieci?

— Czworo — brzmiała odpowiedź, lecz następnie w ciągu dnia ponowił król to pytanie jeszcze razy kilka.

Po piątem, czy też szóstem pytaniu dworzanin odpowiada:

— Sześcioro.

— Jakto, przed chwilą mówiłeś, że czworo.

— Na honor, bałem się znudzić cię, Najjaśniejszy Panie, powtarzając ciągle jedno i to samo, więc zaimprowizowałem sobie dwoje."

(*Choix d'ancedotes*).

* Mignore malował już po raz dziesiąty portret Ludwika XIV.

Król zapytał go:

— Cóż, czy mnie znajdujesz bardzo podstarzałym?

— Najjaśniejszy panie, ja tylko widzę kilka więcej kampanii zaznaczonych na twojem czole.

(Clo. Blanc, *Hist. des peintures*).

* Fistuła Ludwika XIV, sprowadziła mnóstwo chorób tego rodzaju.

A gdy tenże król wyszedł z pierwszego przedstawienia „*Le Bourgeois gentilhomme*" Moliera, nic nie rzekłszy, wszyscy dworacy sądząc, że się królowi sztuka nie podobała, zaczeli ją głośno ganić.

Dopiero gdy po drugiem przedstawieniu Ludwik XIV wyraził Molierowi swoje zadowolenie, posypały się zewsząd na cześć jego pochwały.

(*Mem. anecd: des règens de Louis XIV A de Louis XV*).

* Kiedy księżnie de Berry urodził się przedwcześnie synek, nazwany księciem d'Alençon, okazało się, iż wszyscy na dworze królewskim, byli albo sami przed czasem urodzeni, lub też mieli dzieci przybyłe na świat wcześniej niż potrzeba.

(Saint-Simon, *Mémoires*).

* Ludwik XIV odjeżdżającemu ambasadorowi zalecał, aby w niczem nie naśladował poprzednika swego.

— Postaram się, aby wasza królewska mość nie potrzebował dawać podobnej instrukcyi memu następcy — odpowiedział układny dworak.

* *Dworak z nad Dunaju.*

Napoleon, bawiąc w Berlinie, trzymał bank przy grze jakiejś. Przed nim leżał stos napoleondorów, te brał garściami i niedbale rzucał na stół.

— Nieprawdaż? — rzecze zwracając się do generała Rapp, — że Prusacy bardzo lubią tych *małych* Napoleonów?

— Bezporównania więcej niż *wielkiego*, — odpowiedział Rapp, ze szczerością wojaka — a może z układnością dworaka.

(P. Larousse, *Grand. diction.*).

* *Dworak dowcipny.*

Hrabia de Narbonne, wysłany z misyją sekretną, zjawia się w salonie cesarza Napoleona, otoczonego licznym dworem.

— Ach! otóż jesteś Narbonne, — no i cóż m mówią o mnie? —pyta z uprzejmym uśmiewem cesarz.

— Najjaśniejszy Panie, są tacy, którzy rzymują, że jesteś bogiem.

— Bogiem!.. to za wiele! — zawołał śmiejąc się na głos cesarz — poczem dodał:

— Ale cóż mówią inni?

— Nie będę skrywał przed Waszą Cesarką Mością, że są i tacy co powiadają: — ten esarz Francuzów, to istny dyjabeł... — odpowiedział nieco zniżonym głosem.

Napoleon zmarszczył brwi groźnie, usłyszawszy te słowa.

— Tego tylko nikt nie śmie twierdzić, żeś zwykły śmiertelnik!—dokończył spiesznie dworak, bojący się zrazić cesarza.

Napoleon rozjaśnił oblicze, w dowód najwyższej łaski uszczypnął faworyta za ucho i uśmiechając się do niego z przymileniem — rzekł:

-- Jesteś pochlebcą; szczęściem kadzidła twoje są subtelne, więc nie uderzają do głowy.

(Comtesse de Bassanville, „*Les salons d'autrefois.*“

Dworskie dicterium.

Ktoby się zwał szlachcicem, a nie byłby [takim
Trzebaby go opatrzyć jakimkolwiek znakiem;
Pół wąsa mu ogolić, aby to wiedziano,
Że go na sejmie przeszłym nobilitowano.

„Jocoseria“
Wac. Potockiego. (p. str. 13).

Dwór.

Pożegnał się ten z rozumem,
Kto dwór zwał łask wielkich tłumem;
Tam łaski, jak trzaski latają, w łeb dają.
W obietnicach złote góry,
W skutkach kruche łask farfury;
Pan dworski, kot morski:
Choć mowny, nie łowny.

Dwór i dworzanie.

Koryn. Jakże ci się podoba to pasterskie życie, panie Probierczyku?

Probierczyk. Muszę wyznać, pasterzu, iż ze względu na samo siebie, nie złe to jest życie, ale ze względu, że to jest pasterskie życie, życie to nic nie warte. Ze względu, że jest samotne, bardzo mi się podoba; ale ze względu, że jest sam na sam, obrzydzenie mi sprawia. Ze względu, że jest na wolnym powietrzu, lubię je; ale ze względu, że nie na dworze, nudzi mnie. Że to jest życie skromne, bardzo mi jest po myśli, ale że jest ubogie, wcale mi nie do smaku. Czy masz w sobie co filozofii, pasterzu?

Koryn. Nie więcej, jak że wiem, iż im kto słabszy, tem z nim gorzej; że kto nie ma pieniędzy, zasobów, uciechy, nie ma trzech dobrych przyjaciół; że własnością deszczu jest moczyć, a ognia palić; że na dobrym pastwisku tyją owce; że wielką przyczyną nocy jest zachód słońca; że komu nie dała rozumu natura lub sztuka, żalić się może na brak dobrego wychowania, lub też z tępego rodu.

Probierczyk. To jest natura filozofii. Czy byłeś kiedy na dworze, pasterzu?

Koryn. Nie, nigdy.

Probierczyk. Będziesz więc w piekle się smarzył.

Koryn. Uchowaj Boże! Mam nadzieję.

Probierczyk. Będziesz się smarzył, jak źle upieczone jaje — po jednej stronie.

Koryn. Dlatego, że nie byłem na dworze? Jak tego dowiedziesz?

Probierczyk. Bardzo łatwo. Jeśli nigdy nie byłeś na dworze, nie widziałeś nigdy dobrych obyczajów; jeśli nigdy nie widziałeś dobrych obyczajów, musisz mieć złe obyczaje, a złe obyczaje są grzechem a grzech prowadzi do piekła. Jak widzisz krucho z tobą, pasterzu.

Koryn. Bynajmniej, Probierczyku; bo co na dworze jest dobrym obyczajem, byłoby na

wsi tylko śmiesznym obyczajem, jak wiejskie maniery byłyby śmieszne na dworze. Mówiłeś mi, że na dworze nie kłaniacie się, ale całujecie rękę na znak pozdrowienia; byłoby to trudne pozdrowienie, gdyby dworzanie byli pasterzami.

Probierczyk. Dowiedź mi tego jasno a krótko, słucham.

Koryn. Nic łatwiejszego. Ciągle macamy owce a owcze skóry jak ci wiadomo, są pełne tłuszczu.

Probierczyk. A czy się nie pocą dworzanie? a barania tłustość czy nie tak zdrowa jak pot ludzki? Lichy dowód, lichy dowód! Szukaj lepszego. Czekam.

Koryn. Prócz tego, nasze ręce są twarde.

Probierczyk. Tem łatwiej je poczują wasze usta. I to lichy dowód; szukaj lepszego; dalej!

Koryn. Ręce nasze zasmarowane są często dziegciem lekarstw na owcze choroby; chceszli, żebyśmy dziegieć całowali? Ręce dworzan pachną piżmem.

Probierczyk. O, pusta głowo! ty zgniłe mięso przy dobrej pieczeni! słuchaj mędrszych i ucz się rozumu, i piżmo gorszego jest pochodzenia od dziegciu; to nieczysty upływ kota. Raz jeszcze powtarzam, szukaj lepszego dowodu.

Koryn. Za dworski dla mnie twój dowcip; poddaje się.

Probierczyk. Poddajesz się dyjabłu w szpony? Boże ci dopomóż, pusta pałko! Boże, zdejm ci bielmo! boś głupiutki.

Koryn. Mospanie, jestem uczciwy parobek i co jem i co noszę, zarobiłem; nie mam dla nikogo nienawiści; nie zazdroszczę niczyjemu szczęściu; raduję się z cudzej pomyślności a cierpliwie znoszę własną biedę; najdumniejszy jestem, gdy widzę, że moje owce szczypią trawę, a moje jagnięta ssą maciory.

Probierczyk. Nowy tylko grzech twojej głupoty: parzyć owce z trykami i żyć wszeteczeństwem bydląt! Być rajfurem barana, zaprzedawać w najniedobrańsze małżeństwo dwunastomiesięczną owieczkę krzyworogiemu, staremu rogalowi trykowi! Jeśli nie pójdziesz do piekła, to chyba. że dyjabeł nie chce u siebie pastuchów. Nie widzę innego dla ciebie ratunku.

Szekspir. (p. str. 29)

Dwuznaczniki.

* Oba raki dobrze wyglądają. (O! baraki dobrze wyglądają).

Kowal Kasię bije. (Kowalka się bije).

Czy taka pusta dobrą być może. (Czy ta kapusta dobrą być może).

Czyż, — to nie kanarek. (Czyż tonie kanarek?...).

Przynieś liście w koszu, bez żółtej barwy. (Przynieśliście w koszu bez żółtej barwy).

Od kapeluszy nieraz bolą i głowy. (Od kapel, uszy nieraz bolą i głowy).

Oj! wy kręty macie moi panowie cel, jednak wam się nie uda. (Oj. wykręty macie moi panowie. Cel jednak wam się nie uda).

Zażarty bije się do upadłego. (Za żarty bije się do upadłego).

Pan Jan nadzwyczaj niepolityczny. (Pan Jan nadzwyczajnie polityczny).

Kupcie laku i papieru. (Kup cielaku i papieru).

Tonie wielka sztuka. (To, — niewielka sztuka).

Jeżeli ćma ginąć będzie, to nie wielka szkoda. (Jeżelić ma ginąć, będzie to nie wielka szkoda).

Kto pannie może powiedzieć, że bieda u niego? (Kto pan, nie może powiedzieć, że bieda u niego).

Biegł żywo koło wrot. (Biegł żywo kołowrot).

Korytarze nie wązkie, więc wygodne. (Koryta, że nie wązkie, więc wygodne).

Zapałka się złamie. (Zapał Kasię złamie).

Tomasz talerz ma sam zanieść do stołu. (To masztalerz ma sam zanieść do stołu).

Napój ciecze, kadź zła widocznie. (Napójcie, czekać zła widocznie).

Nieczuła! chociaż dała się całować w paluszki. (Nie czuła, chociaż dała się całować w paluszki).

Ja nie chcę, abyś codzień do mnie przychodził. (Janie — chcę, abyś codzień do mnie przychodził).

Kopyta liczy a leży, to nie dobrze wygląda. (Kopy ta liczy, ale żyto nie dobrze wygląda).

Momus, rodzaj pisma humorystycznego, wydawanego w Warszawie przez Żółkowskiego (ojca) w 1820 r. Były to zeszyciki zapełnione ulotnymi żarcikami, ucinkami, anegdotami, z dodatkiem szarad, kalamburów i ekiwoków. W swoim czasie ogromną popularnością się cieszyły, rozchwytywano je chciwie, chociaż nie zawierały nic trwalszej wartości. Do udatniejszych rzeczy, które tam miejsce znalazły, należy wierszyk p. t. „Wyspa wszelakich szczęśliwości“. Zapełniał je sam wydawca, który też był redaktorem, autorem i korektorem.

* Kiedy kto jest podszefem, słusznie, aby żona jego nazywała się podszewka.

* Ten nie zna jeografii, kto mówi: *Postaw*, bo *Po* nie jest staw, ale rzeka.

„*Humorysta Warszawski*“.

* Czy dała ci żona twa — róg? (twaróg).
Widziałem pana goli — brodę (golibrodę).
Nie lubię Ja — kubka, (Jakóbka) bo próżny.
Podkówka — mi (podkowami) brzęka.
Zgubiła para — sól (parasol).
O — ba — rany (O! barany) mają.
Macza — liście (Maczaliście) rękami w sosie.

„*Śmieszek*“.

* Pewna, niezbyt już młoda, dama, mówi na balu do swego tancerza:

— Kiedy wspomnę sobie o pierwszym moim balu, Boże! jakże się bawiłam! zdaje mi się że to było wczoraj!

— Pani ma istotnie godną podziwienia pamięć! — odpowiada na to grzeczny tancerz.

* „Będę zakonnicą i zakonnicą być nie przestanę“, mówiła młoda panienka. Myślałby kto, że chce wstąpić do klasztoru, ale gdzie tam! kochała się w młodym oficerze od ułanów i dlatego bardzo naturalnie była *za konnicą*, to jest trzymała stronę konnicy.

Wolne żarty.

* Kobiety są z rodzaju miłych inżynierów, bo miny słodkie robią, które jednak czasami bywają równie niebezpieczne, jak *miny* przy fortecach. *A. Żółkowski*.

Dygnitarz.

* Pewnemu dygnitarzowi powiatowemu, który opuścił swe stanowisko, wyprawiono świetny obiad pożegnalny.

Pessymiści pytali — za co? nic pożytecznego nie uczynił, dróg nie naprawiał, szkół nie zakładał, a jak mógł dokuczyć komu, to z pewnością uczynić tego nie omieszkał. Zkądże więc racyja do obiadu?

A ztąd, szanowni, że dygnitarz ów, opuszczając swoje stanowisko, wyświadczył powiatowi całemu największe dobrodziejstwo, jakie mógł uczynić.

Dyjabeł.

* Nie umieli sobie ludzie złego istniejącego w świecie wytłómaczyć inaczej, jak wcielając je w osobę dyjabła, tej żywej sprzeczności z bóstwem. Dyjabeł jest produktem chaldejskim; od chaldejczyków, wiara w niego przeszła do hebrajczyków i chrześcijan. Wyobrażenie o jego powierzchowności, zaczerpnięto prawdopodobnie z faunów, satyrów i wielkich małp, puszcze zamieszkujących. Podług św. Hieronima, dyjabeł rozmawia z posłannikiem Tebaidy, św. Augustyn prawi kazania mieszkającym w Etyjopii acefalom, czyli ludziom bez głowy (tacy i teraz się trafiają), zaś św. Tertulian upewnia, że widział duszę. Jeżeli pustelnicy w puszczy, brali małpę za dyjabła, nie powin-

niśmy się dziwić, że Don Kiszot oberże brał za zamki, a wiatraki za olbrzymów. Słowiańskie ludy nazywają dobroczynną istotę białym bogiem, złą — czarnym bogiem, teologowie zaś tak rozpowszechniali wiarę w dyjabła, w jego niecne sprawy i potęgę, że milijonom ludzi życie obmierzili, strasząc ich nim przy każdesposobności. Święta Teresa prześlicznie określa dyjabła: „jest to", mówi ona, „nieszczęśliwy, który nie wie, co to jest miłość". Dyjabeł toczy wiekuistą walkę z bóstwem. Misyjonarz Charleroix przyznaje, że na naiwne pytanie pewnego dzikiego: „Dlaczego dobry Bóg nie zabije złego dyjabła?" nie znalazł odpowiedzi w swym katechizmie. Mnich Charleroix łagodniej na owo pytanie odpowiedział, niż mój protestancki nauczyciel katechizmu, ten bowiem na zarzuty, czynione dyjabłu, zerwał ze złości swą perukę i nazwał mnie dzieckiem szatana. Sławny zakonnik Dunstan, z dworu króla Edwarda, uchwycił rozpalonemi szczypcami dyjabła za nos. Dyjabeł ryczał z bólu tak, że na całą okolicę się rozlegało. Dla wielu ludzi starego świata panowanie dyjabła było wiecznie tematem do sporów; kto w Boga nie wierzył, szedł do dyjabła, kto w dyjabła nie wierzył, także szedł do dyjabła, nawet biedne dziatki bez chrztu umierające, porywał dyjabeł — aż dopóki św. Chryzolog nie wynalazł im miejsca, gdzie te biedne istoty za łakomstwo pierwszych rodziców pokutowały. Każdy występek posiadał swego specyjalnego dyjabła. I do małżeństwa mieszał się dyjabeł: raz dokuczał nieżonatym, przedstawiając im słodycze małżeńskiego stanu, to znów małżonkom kwasił pożycie. Każdy zły postępek duchownego nazywano dyjabelskim natchnieniem Na pewną ksienię klasztoru czatować miało w chwili śmierci 4,433,566 dyjabłów. Liczba dyjabłów była nieprzeliczona a co to oni mieli roboty z opętanymi, epileptykami, melancholikami. Odróżniano tedy dwa rodzaje opętanych: tych co nosili dyjabła w sobie i tych, którzy mu tylko służyli za narzędzie do jego celów. Dyjabeł nie przebierał zbytecznie w obiorze mieszkania, potrzebował wszakże zawsze dachu i zajęcia. Wypędzało dyjabła słowami: „Wychodź nieczysty duchu". Od czasu jednak wynalezienia zupy rumfordzkiej dyjabeł z wycieńczenia opuszcza nieraz swoje locum, oszczędzając kłopotu egzorcyzmującym. Beker Tomasius i inni przypisywali dyjabłu rozmaite własności, ale teologowie utrzymywali, że to właśnie daje mu najpiękniejszą sposobność łowienia ryb w mętnej wodzie. Ludwik XIV, miał się za boga, bo mu to francuzi wmówili, ale skoro się ożenił ze starą panią de Maintenon, zaczął się bać dyjabła i piekła Podczas wojny pruskiej, gdy dyjabeł na pytanie szyldwacha „Kto tam?" odpowiedział: „To ja, dyjabeł", odważny prusak krzyknął: „Stój dyjable, bo strzelę" i złapał zakapturzonego amanta, którego potem król Fryderyk kazał za karę przed wojskiem oprowadzać. Osobliwe były te umowy z dyjabłem krwią podpisywane; stare kroniki przepełnione są opisami o losach tych, co stali w przymierzu ze złem. Wiara w dyjabła służyła za pokrywkę niejednej zbrodni, wiarę tę oszuści często przebiegle wyzyskiwali. Teraz dyjabeł nie potrzebuje kupować duszy złotem i niewolniczemi usługami, wszystko dobrowolnie leci mu w ręce. Klopstock dowodzi, że właśnie w piekle znaleźć można najprzyjemniejsze, najdystyngowańsze towarzystwo, objawia współczucie dla upadłych aniołów. W dzikich, średnich wiekach i długo potem, wielkiem szczęściem dla ludzkości była wiara w dyjabła. W epoce, gdy ludzie mało wierzyli w Boga, cnotę, honor, gdy o oświecaniu i umoralnianiu ludu nikomu się nie śniło, strach przed dyjabłem był najlepszym na złe hamulcem. Dyjabeł, za czasów Chrystusa, przesiadywał w wieprzach, w wiekach średnich w rycerzach. Dyjabeł, podług mnie, wielu nabożnym chrześcijanom za wzór służyć może; poczciwy staruszek ma już co najmniej 6,000 lat, wie więc dużo więcej od wszystkich profesorów, zdziecinniał po trosze i nie jest ukrytym ale otwartym wro-

giem człowieka, zatem mniej czarnym, niż go malują. Rogi swoje nosi bez porównania cierpliwiej i z większą godnością od tysiąca ludzi żonatych, umów swoich uczciwiej dotrzymuje od tysięcy ludzi, którzy mają pretensyję być uczciwymi. Szlachetne dusze znają dyjabła i piekło niezależnie od dogmatu, nie uważają piekła za siedzibę lucypera, ani za miejsce kary zmarłych. My wyobrażamy sobie dyjabła czarnym, murzyni zaś malują go białym, co dla nas nie jest wcale zaszczytnem; jabym radził malować go popielatym z powodu jego sędziwego wieku. Voltair, przedstawiając ojca Adama swym gościom, mówił: „Oto jest Adam, ale nie pierwszy z ludzi“; otóż ten ojciec Adam, uważał piekło nie za dogmat, ale za rzecz tylko prawdopodobną. Grecy i rzymianie mieli swój Tartar i Elysium, hebrajczycy raj, Abraham otchłań i gehenne; germanowie Walhallę etc. Wielki prorok mahomet powiada: „Przedwieczny wybudował most po nad przepaścią nie szerszy jak ostrze miecza; po zmartwychpowstaniu waleczny przeszedł przez most do nieba, tchórz zachwiał się i wpadł w przepaść.“ Niebo, raj, różni różnie sobie wyobrażają. Podług talmudu pieką tam ogromnego wołu, który codzień z tysiąca gór trawę objada, do tego dwie wielkie ryby — Lewjatany, które zjadają ryby trzymilowej długości; na deser podają tam ptaka, który znosi jajo tak wielkie, że gdy padło na ziemię, zgniotło 300 cedrów i 600 wsi zalało. Gdy myślę o niektórych ludziach, skłonny jestem nietylko w niebo i piekło, ale nawet w czyściec uwierzyć. Pewien misyjonarz utrzymywał, że potępieni wciąż pytają: „Która godzina?“ i zawsze jedną słyszą odpowiedź: „Wieczność“. Wolę być zdania pewnego Francuza, który mówił: „Piekło oddawna przepełnione, nie przyjmują już tam nikogo“.

Weber-Demokritos.

* Czy są dyjabli na świecie? czy w nich wierzymy? „Niech mnie dyjabli porwą“ jeżeli wiara w nich nie jest tak silną, jak i w dawnych czasach ciemnoty i zabobonów. Jakbyśmy sobie bez nich radzili, np. z naszymi pocztylijonami? Nie przejechalibyśmy i kilku stacyj bez pomocy „stu dyjabłów“. Gospodarz na wsi nie zbierze i kopy żyta, żeby nie wezwał „tysiąca dyjabłów“. Wojskowi, ucząc rekrutów, potrzebują najmniej „sto tysięcy par dyjabłów“, a energiczni marynarze zużywają ich całe „milijony“ wraz z „beczkami, linami i masztami.“ Gdy nam kto proponuje interes, do którego nie mamy przekonania, mówimy, że „djabła wart“; jeżeli nas kto prosi o wsparcie, za pierwszym razem mówimy: „niech pan Bóg opatrzy“, a za drugim: „idź do dyjabła“; trzeci raz już pewno nie przyjdzie. Gdy zdarzy się komu zmudna robota a nie chce mu się jej zrobić, to mówi, że nie tylko on, ale i „dyjabeł nie dojdzie z tem do ładu“ i oddaje ją, jeżeli jest szefem – podwładnym, jeżeli zarządzającym — subjektom, a profesor oddaje najtrudniejsze zagadnienia uczniom, i ci pełnią role pracowitą tych dyjablików. Mają dyjabli też nie lada robotę z paleniem „w starych piecach“. Wiadomo, że stare piece nie mają cugu; dyjablisko musi długo dmuchać cierpliwie na rzuconą iskierkę, ale też jak rozpali to i potopem nie ugasisz. Przykro mi bardzo, ale muszę przyznać, że dyjabli mają częste stosunki z płcią piękną, a właściwie z płcią niegdyś piękną. Nie mogę sobie przypomnieć kto mi mówił, ale twierdził napewno, że dyjabeł zamienia się w starą babę, czy też, że baba na starość zostaje dyjablicą. Dobrze kombinacyi nie pamiętam, jednak jakaś jest. Wiem także, „że gdzie dyjabeł nie może, tam babę pośle“, choć ma on nieraz nielada kłopot nim się z nią rozmówi, bo „czort swoje a baba swoje“. Ktoś złośliwy powiedział, „że stare panny oddają się Bogu dopiero wtedy, gdy ich dyjabeł nie chce.“ Mówią też, że „kobieta i za dyjabła by poszła, żeby się go nie bała.“ Czy słusznie się go boi? Przecież „nie taki dyjabeł czarny, jak go malują“, a zresztą nikt nie wie, czy on na prawdę jest czarny, bo „my malujemy dyjabła czarno, a murzyni biało“. Słyszałem nieraz, że „dyjabli się żenią“

ale nie byłem nigdy na ich weselu; urządzają je najczęściej w Listopadzie lub w Marcu i wtedy wicher wieje a deszcz ze śniegiem pada. Mieszka dyjabeł w „suchej wierzbie“, albo też mieści się „za skórą, tych, co się modlą pod figurą“, Musiał być dawniej czart zwierzęciem jadalnem, bo w powszechnem użyciu jest wyrażenie: „zjadłbym dyjabła z kopytami“; pomimo jednak najstaranniejszych poszukiwań w nowożytnej księdze mądrości, zatytułowanej „365 obiadów“, nie znalazłem ani jednego przepisu na przyrządzanie pieczeni albo potrawki z tego interesującego stworzenia. Kiedy służyłem w wojsku, nieraz podoficer częstował mnie: „zjedz tysiąc dyjabłów“ i do poczęstunku dodawał kułaka; byłem wtedy tak przestraszony, że nie pamiętam czym połknął choć jednego i jak mi smakował. Z tych czasów zostało mi wspomnienie jednego towarzysza, który nie lubił kapuśniaku, a był wielkim amatorem drobiu; chodził też prawie co noc na wieś i kupował od bab kury, za bardzo przystępną cenę, za „pięć minut strachu“. Przed każdą taką wyprawą pomodlił się pobożnie do Boga i dyjabłu „świeczkę zapalił“. Pomiędzy biednymi istnieje mniemanie, że „bogatym dyjabeł dzieci kołysze“, nie musi to być jednak prawdą, bo na cóżby nasze panie godziły niańki i bony. Dyjabeł nie lubi starych kawalerów i żeni ich. Według dawnego przysłowia: „do 30 lat, człowiek sam się żeni, od 30 do 40 ludzie, a od 40 do 50 dyjabeł go żeni“. W ostatnich czasach podaż panien tak się zwiększyła, a popyt na nie tak się zmniejszył, że do przysłowia tego dorobiono komentarz „że kiedy już dyjabli przestaną swatać, to jeszcze wtedy zaczynają matki i podobno dobrym skutkiem uwieńczają usiłowania“. Nie wiem, czy dyjabeł jest bardzo silny, ale są ludzie silni jak sto dyjabłów, bywają i źli jak sto dyjabłów. Do domowych posług rzadko kiedy używamy dyjabłów, tylko kiedy nam zaginie jaki drobny przedmiot, który przed chwilą mieliśmy w ręku, to mówimy, że „chyba go złe ogonem nakryło“. Przed kilku wiekami we Włoszech, był zwyczaj malowania na dnach półmisków dyjablej fizyjonomii. Gdy więc kto się spóźnił na obiad lub wieczerzę, mówił, że „zastał dyjabła na półmisku“. Mówią też Włosi, że „w pustej portmonetce dyjabeł siedzi“; kto wyjmuje ostatni grosz z woreczka, mówi, że „dyjabła do niego kładzie“. Wszystkim prenumeratorom a także i wydawcy „Encyklopedyi humoru“ składam przy Nowym Roku życzenia, żeby nigdy nie nosili przy sobie „dyjabła w portmonetce“. A zkąd się wzięli na świecie ci piekielnicy? Według księgi Genezy, przed stworzeniem człowieka, stworzył Bóg aniołów, ale nie wszyscy byli dobrzy i posłuszni. Złych odtrącił Stwórca w otchłanie piekielne, gdzie męki cierpią i pokutują. Z piekieł wychodzą dyjabli na ziemię i rożne figle ludziom płatają Po raz pierwszy ukazał się szatan niewieście w postaci węża, kusząc ją do zerwania zakazanego owocu. Ewa usłuchała go, za co wraz z mężem z raju wygnani zostali, i przekazała w spuściźnie wszystkim niewiastom gust do „zakazanego owocu“. Pojęcie dyjabła, jako pierwiastku złego, znajdujemy u wszystkich ludów w najrozmaitszych podaniach. Persowie oddawali cześć Ormuzdowi, bogowi światła, słońca, dobra i życia, przeciwstawiając mu Arimana, boga ciemności, nocy, zła i śmierci. Egipcyjanie nazywali pierwiastek złego Tyfonem; Indyjanie czcili go pod imieniem Sziwa i wyobrażali w postaci olbrzymiego węża, ziejącego jadem, którym truł ryby w morzach i rzekach. Grecy i rzymianie wierzyli w piekło Tartar, strzeżone przez 9-cio głowego psa Cerbera – władcą Tartaru był Pluton, na usługi miał Furyje i Eumenidy; Żydzi także wierzyli w piekło i dyjabłów, Szatan był niejako królem piekielnym, a jego pierwszym ministrem był Belzebub. O chorych, prawdopodobnie na choroby nerwowe, np. konwulsyje, mówiono, że są przez „dyjabła opętani“. Chrystus leczył opętanych świętem słowem swojem, Dyjabeł w widocznej postaci kusił Jezusa na puszczy. Wieki średnie były prawdziwem panowaniem wiary w dy-

jabła. Przypisywano mu wszystko złe, wszelkie klęski, nieszczęścia i choroby. Pewien leniwy biskup mówił, że dyjabeł przeszkadza przy odprawianiu mszy, zamykając mu oczy i ruszając lekko skrzydłami sprowadza senność. Dyjabeł nietylko w ważnych wypadkach przyjmował udział, ale wtrącał się do życia codziennego, psuł drogi i mosty, tłukł garnki, przeszkadzał w pracy, odciągał ludzi od kościołów, a prowadził do gospód i t. p. Niekiedy szpecił ludzi, robił zezowate oczy, farbował nos na czerwono, albo też czepiał się wargi i tę krzywił brzydko, nadając fizyjognomii wyraz gapiowaty. A pełno dyjablików było wszędzie. Przełożony zakonu w Citann, w południowej Francyi, opowiada, że roku pańskiego 1270 dyjabli się tak rozmnożyli, że nie mógł się im opędzić, wskakiwali nawet na ołtarze. Gdy konał jeden grzesznik, na duszę jego czekało 7,529 dyjabłów. Dante Aligieri, w pierwszej części „Boskiej Komedyi“ zatytułowanej „Piekło“, opisuje nam przybytek dusz potępionych jako przepaść, mającą kształt wydrążonego ostrosłupa, obróconego wierzchołkiem do środka ziemi, podzielonego na dziewięć kręgów (pasm). Na stopniach kręgów cierpią grzesznicy straszne męki. Najsrożej karani są zdrajcy. Na najniższym kręgu, na dnie piekła, stoi skuty łańcuchami Lucyper, koło niego panuje wieczna zima, poruszenie jego skrzydeł ścina lodem krew w żyłach. Przerażający ryk Lucypera wstrząsa piekłem, a spojrzenia powiększają męki cierpiących. Dyjabła wyobrażano sobie jako karykaturę człowieka. Wzrostu był słusznego, skórę miał ciemną, czarną lub bronzową, niekiedy włosem porosłą. Pysk miał małpi, gębę od ucha do ucha, wielkie wystające uszy, na łbie dwa małe rożki; na plecach olbrzymie nietoperze skrzydła, pazury u rąk, u nóg, kopyta i duży, podobny do krowiego, ogon, dopełniały całości. Nie był więc piękny a jednak zaręczają, że i „dyjabeł był przystojny, będąc młodym.“ Rzadko kiedy ukazywał się dyjabeł ludziom w swojej właściwej postaci. Chodził ubrany z niemiecka, ogon starannie chował w poły fraczka, różki nakrywał fryzowaną peruką. Mógł też przybierać dowolnie postać ludzką i przedstawiać się jako przystojny mężczyzna, piękna kobieta a nawet jako mnich albo zakonnica. Mickiewicz w baladzie: „Pani Twardowska“ tak opisuje pojawienie się dyjabła w karczmie, gdzie słynny czarodziej dziwy wyprawiał:

„Wtem, gdy wódkę pił z kielicha,
Kielich zaświstał zazgrzytał;
Patrzy na dno... Co u licha!
Po coś tu kumie zawitał?

Dyjablik to był w wódce na dnie,
Istny Niemiec, sztuczka kusa;
Skłonił się gościom układnie,
Zdjął kapelusz i dał susa.

Z kielicha aż na podłogę,
Pada, rośnie na dwa łokcie;
Nos jak haczyk, kurzą nogę
I krogulcze ma paznokcie.

Dyjablik Twardowskiego był bardzo mądry i posłuszny: przerobił malowanego konia na żywego, z piasku bicz ukręcił, na rozkaz pana wykąpał się nawet w święconej wodzie. Mistrz Twardowski żądny był wiedzy, jak Faust Göthego, i, ażeby ją zdobyć, nie raz posługiwał się dyjabłami. Przy ich pomocy, został wielkim uczonym i słynnym czarodziejem, i nieraz dyjabłów oszukał, a nie łatwo mu to przychodziło; dyjabła trudno oszukać, „dyjabeł mądry, bo stary“. W Łęczyckiem przemieszkiwał długi czas a podobno i dziś mieszka dyjabeł Boruta. Siedzi on na beczce z dukatami w podziemiach starego zamku. Wielu śmiałków chciało się dobrać do jego skarbu, ale Boruta na widok ludzi zmienia się w czarnego psa, w kota lub smoka, rzuca na zuchwałych, kąsa ich, szarpie, obrzuca palącą siarką lub smołą gorącą. W Radomskiem włóczy się po drogach imci pan Iskrzycki; zapala błędne ogniki

i straszy podróżnych, a lokuje się zwykle za piecem w dworkach szlacheckich. Litwini skrócili imię dyjabła na *diaska* i okazując podziwienie, mówią: „Cóż u diaska“. Na Rusi nazywają dyjabłów *czortami* albo *biesami*; ci ostatni mają podobno specyjalne upodobanie błąkać podróżnych podczas śnieżnych zamieci. Mało kto wie, że dyjabeł wychodował winną latorośl, a jednak jest to prawdą:

Mówią Araby, iż gdy szczep winny
Adam posadził, dyjabeł zbyt czynny
Podlał krwią pawią, co Adam szczepił,
A gdy się w wzroście szczep coraz krzepił,
I listki wydał,
Dyjabeł krew małpią do pierwszej przydał.
Zeszłe jagody skropił lwią juchą.
A gdy dojrzały, a było sucho,
Skropił je wszystkie posoką świnią.
Cóż teraz czynią?
Oto: gdy szklankę wina kto łyknie
Jak paw się nadmie; po drugiej krzyknie;
Skacze jak małpa, gdy szklanki mnoży;
Po piątej, szóstej, jak lew się sroży;
A kiedy coraz więcej przyczynia,
Z pawia, lwa, małpy, staje się — świnia.
Ignacy Krasicki. (p. str. 5).

Szampańskie wino także jest dyjablim tworem, ale powstało w inny sposób.

Dyjabłów pięć kroć sto tysięcy
Na hulankę prysło w świat;
Mieli humor, lecz nic więcej,
Bo pieniędzy ani ślad!

Każdy przyzna, że golizna
To najtwardszy w swiecie sęk...
Więc gromada w rozpacz wpada,
Rozpoczyna dyjabli jęk!

Aż Belzebub, siedząc w piekle
Dostał kolek, słysząc to,
„Boże!—wrzasnął—jak też wściekle
Te dyjabliska głupie są!“

A tu pięć kroć dyjabłów jęczy,
Aż w posadach ziemia drga!
„Kto pożyczy, kto poręczy
Kto na kredyt wina da?“

Hej! — rzekł Pi-pi-foks najmniejszy —
Głupcy z was, przyznajcie to!
Jam od wszystkich rozumniejszy,
Bom ja dyjabeł *comme il faut.*

Chcecie pić, a niema za co?
Patrzcie, światło w oknach tam
Tam rozumy ludzie tracą,
Tam się kielich wdzięczy nam!

Tam się winko gracko ściąga,
Butli, beczek, pełen sklep;
Prawda w kabzie ni szeląga,
Lecz od czego dyjabli łeb?

Wszak nam rygiel nie dokucza,
Piekło przeszkód ani zna!
Dziurką każdy z nas od klucza,
Pięknie ładnie, nurka da!

Hurra! — krzykną wszyscy dyjabli,
I już ich w piwnicy masz,
Wnet węgrzyna, bordaux, chablie,
Wypróżnili milion flasz.

I śpiewali w późną porę:
— Pić i kochać to mi rzecz!
I spijali *con amore*
A noc uciekała precz.

Wtem zbudzony kogut raniej
Zapiał w przeraźliwy głos,
A tu dyjabli już pijani,
W koło nich butelek stos.

Wszedł Belzebub, schmurzył czoło,
Pięć kroć dyjabłów do flasz wbił,
Zakorkował, zalał smołą,
Ścisnął drutem co miał sił.

Pięć kroć dyjabłów od tej pory
Na butelek siedzą dnie,
A świat do pomysłów skory
Dyjabli sok szampanem zwie.

Kiedy korki grzmią ochoczo,
Piosnka płynie z piersi lżej,
Dyjabli się z butelek tłoczą
I po głowach wiodą rej.

Zofge.

* *Dyjabeł mężem* (niby balada).

„Nie! już dłużej nie wytrzymam!
Czemże złoto? czem zaszczyty?
Gdy pokoju w domu nie mam.
Gdym pod władzą złej kobiety;
Już odwaga ma osłabła,
Dłużej cierpieć tak nie mogę,
Idę zatem szukać dyjabła,
Na rozstajną spieszę drogę.
Tam cierpienia skrócić muszę,
Zyskać szczęście utracone,
Lub niech weźmie moją duszę,
Jeszcze lepiej — moją żonę!“
Długo Sędzic smutnem okiem
Patrzał w okno swego domu,
Deszcz na dworze lał potokiem,
Zdala słychać odgłos gromu.
Kiedy nagle na wieżycy
Dzwony północ oznajmiły,
Mignął ogień błyskawicy,
Kot zamiauczał, psy zawyły!
„Teraz pora, Sędzic rzeknie,
Teraz znajdę go w tym lesie,
A jak znajdę—nie ucieknie,
Póki ulgi nie przyniesie.“
Jeszcze wzrokiem na dom rzucił
I, nie tracąc dużo czasu,
Sędzic nagle się odwrócił,
Pędem charta biegł do lasu.
Pędzi polem, przez dolinę
W krzaki dzikie i ponure,
Wiatr rozrzucił mu czuprynę,
Błoto za nim bryzga w górę,
A on pędzi nie dba o to,
Nieszczęśliwy, udręczony.
Woli wicher, woli błoto,
Jak westchnienie swojej żony.
Wicher wyje, drzewa trzeszczą,
Wpadł do lasu, brak mu siły,
Kruki kraczą, sępy wrzeszczą,
Aż mu włosy się zjeżyły;
Strach go przejął, głowa płonie,
Wszędzie ciemno, straszno wszędzie,
Lecz gdy wspomniał o swej żonie,
Rzekł: „wszak z dyjabłem lepiej będzie.“
Na rozstajnej stanął drodze,
I zamruczał coś pod nosem,
Wnet wykręcił się na nodze
I zawołał drżącym głosem:
„Panie dyjable, chciej łaskawie,
Rzucić twe wygodne łoże,
Niech mi w smutnej mojej sprawie
Rozum, dowcip twój pomoże;
Już nie myślę nad wyborem,
Nagroda cię nie ominie
I zaręczam ci honorem
Oddam duszę na terminie.“
Znów się kręcił, znowu mruczał,
Potem klaskał, krzyknął, świsnął—
Błysk zajaśniał, grom zahuczał,
Nagle dyjabeł z skał wyprysnął...
„Mój Sędzicu, cóż to znaczy?
Maż twój zamiar być prawdziwy,
Skądeś przyszedł do rozpaczy?
Wiemy przecież, żeś szczęśliwy,
Znamy piękne twoje włości,
Znamy los twój ustalony,
Znamy skarbiec jegomości...“
„Lecz nie znacie mojej żony!“
„Więc o żonę tylko chodzi?
Zła, grymaśna? — wiemy, wiemy,
Lecz się ona ułagodzi,
My ją zaraz poprawimy!
Szczęściem młoda, przez me czary,
Wkrótce błędy się wygładzą,
Bo, wiesz dobrze, babie starej
Wszyscy dyjabli nie poradzą.

To wiedz przytem, że ta sprawa
Gratis będzie załatwiona,
Bo nie mamy do tych prawa,
Którym w domu piekłem żona.
Teraz biorę twoją postać,
Ten warunek jest koniecznym,
By na twojem miejscu zostać,
Lecz się nie bój... będę grzecznym..."
Rzekł, i w jednem oka mgnieniu
Przybrał cały skład Sędzica,
W takim nawet był odzieniu,
Takież włosy, takie lica;
Był to młodzik, jak z pudełka,
Który wielbi każdą modę,
Dobył szczotki, zwierciadełka.
Muskał głowę, wąsy, brodę,
Lecz, gdy czesze pukle sobie
Uczuł, że są jeszcze rogi.
„Cóż z rogami teraz zrobię,
Powiedzże mi panie drogi?
Ale czegóż głowę łamię,
Wiem, niejeden między wami
To miłości piękne znamię
Musi ukryć pod włosami,
A więc i ja tak uczynię."
Potem nagle gwizdnął, ryknął,
Zaszeleścił gdzieś w gęstwinie,
Wrzasnął: „bądź zdrów" i wnet zniknął."

* *
*

U Sędzica bal był w domu:
Liczne okna światłem błyszczą,
Nic nie było brak nikomu,
Huczą basy, skrzypce piszczą,
Gwar w salonach, a koleją
Tańczą pary mnogich gości.
Tutaj piją, tam się śmieją,
Nikt nie wspomni jegomości.
Tylko pani Sędzicowa,
Gniewnie czasem patrząc w koło,
Jakiś smutek w sercu chowa,
Często marszczy piękne czoło,
Kiedy nagle, jak z pod ziemi,
Stanął Sędzic w świetnym gronie,
Tańczy, mówi ze wszystkimi,
Ani pomnąc o swej żonie.
To znów pięknej Starościance
Słodkich słówek nie żałuje,
Szepcze w ucho, jak kochance,
Ciągle tylko z nią tańcuje,
A zaś Jejmość gryzie palce,
Gryzie usta w niemej złości,
Dyjabeł kręte wije walce,
Ani wspomni o Jejmości.
Skończył tańce, ścisnął szczerze
Rączkę swojej tanecznicy,
Wypadł, krzyknał: „dać wieczerzę,
Wino przynieść mi z piwnicy
Tylko żwawo!!" „Lecz mój panie,
Ja wydaje tu rozkazy.!"
„Dać wieczerzę, słyszysz Janie?
Czy ci mówić mam dwa razy,
Koniec rządów już Jejmości,
Niechaj cię to, tak nie dziwi,
Bo gruchotać będę kości!
Kto mi choć raz się sprzeciwi."
„Panie mężu, słusznie wnoszę,
Że mi Pan to wytłomaczy."
„Daj mi Pani pokój, proszę,
Pan tłomaczyć się nie raczy."
Do salonu znowu wpada,
Starościanka tam czekała.
Jejmość drżąca, jejmość blada
Aż się trzęsie z gniewu cała.
Po wieczerzy, po zabawie,
Gdy się goście oddalili
Pani z gniewu wściekła prawie,
Chce korzystać z dobrej chwili.
„Teraz zechcesz, mości panie,
Bez szyderstwa, bez hałasu,
Dać przyczynę tej odmianie."
„Teraz właśnie niemam czasu,
Dziwi cię to niedaremnie
Przykra dla cię ta odmiana
Gdyś nie znała męża we mnie
Znajże teraz we mnie Pana.
Klucz od skarbca i od skrytki,
Ja przy sobie będę nosił.

Kto pieniędzy chce na zbytki,
Trzeba, żeby o nie prosił."
„Lecz mój panie." „Dosyć tego,
Na dziś nadto będzie tyle,
Jeszcze widzę Hilarego,
Muszę z nim pomówić chwilę."
Pan Hilary jest młodzieniec
Podług świeżej strojny mody,
Z jego twarzy znikł rumieniec,
Brak mu wprawdzie wąsów, brody,
Ale za to włos łokciowy
Jak u pudla w mnogich lokach
Spływa szczodrze z przodu głowy,
I rozruca się po bokach.
Dyjabeł toczy z nim rozmowę
O psach, koniach, o karetach,
To o dzieła pyta nowe,
Lub co mamy dziś w Gazetach,
Chcąc przysłużyć się czem komu,
Pan Hilary się nie leni,
Miał Gazetę wziętą z domu
I wydobył ją z kieszeni.
Nie wiem jak się nazywała,
Czy *poranna* czy *wieczorna*.
Lecz jej Jejmość nie słuchała,
Jejmość nieco już pokorna.
Pan Hilary zaś nieczuły
Na wdzięk oczów, na wdzięk rysów
Czyta wszystkie artykuły
Z podpisami, bez podpisów:
Dyjabeł siedział, myślał, słuchał,
Łeb na dłoni rozpostarty trzymał,
Z razu kichał, kasłał, dmuchał
Aż nakoniec się zadrzymał
I ujęty zachwyceniem,
Kiwnął głową w samą świecę
A ognistym jej płomieniem
Wnet opalił mózgownicę,
Z osmalonej mu czupryny
Wnet zabłysły czarne rogi.
Pani wrzasła: „nie z mej winy
Ten dodatek masz mój drogi!"
„Wiem ja o tem, moja miła.
Bo nie jestem twoim mężem,
Ta Gazeta mnie zgubiła
Trudno walczyć tym orężem.
Jestem dyjabeł, mówię szczerze,
Nie twój Sędzic, nie małżonek,
Klęknij pani, mów pacierze,
Ze dwadzieścia zmów koronek
A wypędzisz mnie stąd snadnie
Lecz nim pójdę w moją drogę
Jeszcze pono mnie wypadnie
Dać ci radę i przestrogę:
Porzuć fochy i grymasy
Jedność niech twe będzie godło,
Bo minęły już te czasy,
Gdy się za nos mężów wiodło,
I otwarcie ci to powiem
Chociaż w piekle zawsze siedzę,
O grymasach gdy się dowiem,
To cię jeszcze raz odwiedzę."
Rzekł, i skłonił się to niby
I w salonie się zaćmiło,
W miazgę prysły cztery szyby
I nikogo już nie było.
Sędzic wrócił.—Od tej chwili
Niech grymasik, sprzeczka niby,
Niech się lekko pokłócili,
Zaraz w oknie drżały szyby;
To mi szyby! sklarz nad szklarze!
Ej, mężowie, pospieszajcie
Niech je każdy wprawiać każe,
Tylko szklarza poszukajcie!

(*Humorysta Warszawski*).

* *Dyjabeł mężem.*

Szatan znudzony niezmiernie jednostajnością zajęć i czynnością w piekle, postanowił rozerwać się... małżeństwem z córką ziemi.

„Kto chce szukać, znajdzie", powiada przysłowie, nasz też rozamorowany dyjabeł, zrobiwszy przegląd wszystkich piękności całego świata, nareszcie wybrał sobie towarzyszkę życia, a była nią... *Bezbożność*.

Żyli tedy z sobą długo, bardzo długo i szczęśliwie, a nawet małżeństwo ich ubłogosławione

zostało sporym zastępem potomstwa, bo mieli aż *dwanaście córek*.

Że jednak dyjabeł w tem życiu patryjarchalnem, równie nie znalazł warunków jego szatańskiej natury, postanowił tedy rzucić ziemię i na nowo zamknąć się w czeluściach piekła. Wszakże jako dobry ojciec, przedewszystkiem wydał za mąż swoje córki, i tak:

Pychę, najstarszą, zaślubił bogatemu arystokracie.

Skąpstwo oddał za żonę kupcowi.

Uczciwość wyszła za mąż za wieśniaka.

Zawiść pojął za małżonkę artysta.

Pochlebstwo podzieliło losy dworaka.

Lekkomyślność została towarzyszką żołnierza.

Nędza wyszła za mąż za nauczyciela.

Marnotrawstwo powiódł do ołtarza potomek rodzica, który wielką fortunę zdobył pracą w pocie czoła.

Próżność i *Zemsta*, najmłodsze córki dyjabła, zostały staremi pannami.

I rzeczywiście godne podziwu, że wszystkie (z wyjątkiem dwóch panien) do dziś dnia nie opuszczają swoich mężów i żyją z nimi w największej zgodzie.

Sam zaś dyjabeł, chcąc upamiętnić pobyt swój na ziemi, znalazł się rzeczywiście, jak niektórzy z dzisiejszych mężów, ukochaną swoją żonę *Bezbożność* opuścił i pozostawił samą na świecie.

Dyjablik.

* Kto wypowie, kto odgadnie
W głębi ocznych zwierciadełek
Co u dziewcząt siedzi na dnie:
Czy aniołek, czy dyjabełek?

Bo raz na cię tak, z pod powiek,
Sypnie rajskich rój światełek,
Żeby przysiągł każdy człowiek,
Że to anioł nie dyjabełek

Ale czasem tak cię kolnie,
Tak jak gdyby ostrz igiełek,
Że aż krzykniesz mimowolnie:
Ach! to szatan nie dyjabełek!

Odtąd świat się ciągle biedzi,
Jak rozwiązać ten węzełek,
Co u dziewcząt w oczkach siedzi:
Czy aniołek czy dyjabełek?

Antoni Edward Odyniec. Poeta, przyjaciel Mickiewicza, urodzony w roku 1804. pisał początkowo ballady, tłomaczył Szyllera, Goethego, Bayrona. Pierwszem jego dziełem był tomik poezyi. następnie w Warszawie wydawał noworocznik „*Melitele*,“ gdzie pomieszczali swoje prace najznakomitsi współcześni romantycy. Napisał: czterotomowy dramat „*Izora*,“ „*Felicytę*“ „*Barbarę Radziwiłłównę*,“ „*Jerzego Lubowskiego*.“ Szczególniej znakomitemi były jego przekłady z arcydzieł obcych, a więc: „*Dziewicy orleańskiej*“ Szyllera, „*Dziewicy jeziora*“ i „*Pieśni ostatniego Minstrela*“ Walterscota, „*Korsarza*“ *Mazepy* i innych Bayrona, „*Raj i Pery*“ Moora. Redagował „Encyklopedyję Powszechną“ Glücksberga, „Kuryjer Wileński“ i „Kronikę Rodzinną,“ gdzie pomieszczał niesłychanie ciekawe i pełne szczegółów o Mickiewiczu „listy z podróży,“ wyszłe następnie w oddzielnej odbitce. Zmarł w r. 1885 w Warszawie.

* Pewna młoda kobieta, żaliła się, wkrótce po pójściu za mąż – że jej małżonek to istny dyjabeł.

— To zapewne mąż pani nosi i rogi? – zapytał się słuchający tych skarg.

— Do tego jeszcze nie doszło; — odpowiedziała nieszczęśliwa żona — ale spodziewać się po nim można, że wkrótce wyrosną mu i rogi.

* — Ilu jest dyjabłów?—zapytano pewnego chłopca.

— Tego z pewnością nie wiem, jednak musi ich być niezmiernie wiele, bo moja matka liczy ich po sto a mój ojciec po trzy kroć sto tysięcy fur, beczek i okrętów.

* Przysłowie polskie głosi, że każda dziewczyna ma w sobie trzech dyjabłów: głuchego

niemego i ślepego, i że po ślubie głuchy usłyszy, niemy przemówi a ślepy przejrzy.

Tyg. Ilustr.

* *Bodaj go dyjabli porwali!*

Bodaj go dyjabli porwali!
Trzy dni myślę nadaremnie:
Czy ludzie są tacy mali,
Czy Stanisław zadrwił ze mnie?

Zawakowała posada
W instytucyi statystycznej,
Mianuje nadzorcza rada;
Myślę sobie, bardzo ślicznie.

W tym fachu pięć lat w Warszawie
Pracowałem jak wół, panie,
Napiszę studyjum, przedstawię,
I miejsce mi się dostanie.

Po tygodniu — jest rozprawa,
Lecz, że niezbyt ufam sobie,
Idę z nią do Stanisława
I mówię wszystko, co zrobię:

Jakie myślę czynić kroki,
Jak studyjum przedłożę radzie,
A on się chwyta za boki
I ze śmiechu aż się kładzie.

Pytam co to? a on rzecze:
Chcesz ich uczyć! a to heca!
Bój że się Boga człowiecze!
Rzuć mi to zaraz do pieca!

Rada—to wielcy mężowie!
Rozum oni mają sami,
Chcesz miejsca — daj pokój głowie,
Pokaż co umiesz nogami!

Bodaj go dyjabli porwali!
Trzy dni myślę nadaremnie,
Czy ludzie są tacy mali,
Czy Stanisław zadrwił ze mie?

M. Rodoć. (p. str. 152).

Dyjablice.

* Jak dawniej na Łysą górę, tak teraz na Parnas kobiety się wybierają; wtenczas jeździły przynajmniej nocą a dziś dnie całe i noce na tej podróży trawią.

Liebelt Karol, filozof i krytyk, urodzony 1807 roku, zwolennik filozofii Hegla, którą chciał przenieść na grunt słowiański i opierał ją na wyobraźni, zwanej *umem*. Jakiś czas był profesorem matematyki w Poznaniu, uczestniczył na kongresie słowiańskim w Pradze, był deputowanym do parlamentu frankfurckiego. Napisał: „*System umnictwa*;“ studyjum „*Dziewica orleańska*,“ „*Estetyka czyli umnictwo piękne*,“ „*Pisma pomniejsze*;“ „*Humor i prawda*,“ „*Wykład matematyki w zakresie gimnazyjalnym*,“ „*O kanale Sueskim*.“ Zmarł w 1875 r.

Dyjablice.

* Czarnoksięstwo i czary, znajdowały się zwykle w orszaku dyjabła. Znali już te sztuki starożytni, chociaż nie wiedzieli nic o naszym dyjable. Hebrajczycy i Chrześcianie wiedzą o czarownicy Saula z Ender, która go zwiodła, jak wyrocznia Krezusa i Pyrrusa. Saul nie widział sam nieboszczyka Samuela, ale widziała go czarownica a on jej wierzył. Taką samą wartość miał ów myt o złym duchu Asmodeuszu, który uśmiercił siedmiu mężów Sary właśnie z chwilą kiedy się popisać mieli. Tobijasz wypędził dyjabła, za pomocą anioła, przez modlitwy, post, i rybią wątrobę spaloną na węglach. Demonomanja Beldinusa, jest najlepszem świadectwem tych niedorzeczności ludzkich. Wszystko działo się za dopustem Bożym, i na mocy tegoż, znajdował się w każdym klasztorze ojciec czarownic. Znane pod różnemi nazwami w starożytności czarownice miały największą przyjemność sprowadzać burze i choroby, fabrykować napoje miłosne, i zabijać czarnoksięskimi sposobami; Grecy jeszcze wierzyli w sprowadzanie burzy aby zepsuć owoce; w złe oczy i pochwały sprowadzające uroki, tak samo jak zawiązanie węzła w złej intencyi. Dyjablice przemieniały się w wielbłądów, w kotów, pająki i muchy, były ich uprzywilejo-

wanymi duchami. Drobnostką było dla nich stać się niewidzialnemi, lub w jednej chwili przenosić się z jednego miejsca na drugie. Często lubiły przemieniać niemowlęta w kolebkach lub płatać figle młodym żonkosiom jak poprzednikom Tobjasza. Kto w Wielki Piątek utkwił strzałę w krucyfiks, tem samem tyleż pocisków trafił w ciało tego, na którego życie nastawał; co podług Beldinusa już się dziś nie udaje ponieważ wielu jest innowierców. Do dziś dnia wszakże widzieć można w wielu domach różnych krajów znak krzyża potrójny † † † na drzwiach, który ma bronić od psikusów czartowskich Rozmaite też gusła wymyślano dla ochronienia się od złego wpływu dyjablic. W roku 1685 w pewnej okolicy Niemiec, zabito ogromnego wilka, ktory straszne szkody wyrządzał w koło; ogólnie utrzymywano, że wilk ten był duchem pewnego złego człowieka, który podczas własnego pogrzebu wyglądał oknem swego domu i potem często straszył stróży nocnych; zabitego więc szczęśliwie potwora ubrano w suknie barwistego koloru i w perukę i maskę zrobioną na podobieństwo owego nieboszczyka i tak przybrane zwierze powieszono na umyślnie wystawionej w tym celu szubienicy. Dawniejsze ściganie mniemanych czarownic tworzyło ich właśnie coraz więcej, bo ze strachu jedni drugich oskarżali, wielu przez ten strach i moc wyobraźni dostawało pomieszania, zkąd miano ich za opętanych od czarta. Od czasu jak dozwolono czarownikom na równi z innymi sztukmistrzami, wolno praktykować, zmniejszała się coraz bardziej ich liczba, w obecnych prawach nie ma też żadnej wzmianki o przestępstwie czarowania, najlepszem więc na te wszystkie czary lekarstwem stała się zasada: „Rzucajcie jakie chcecie czary czarownicy i czarownice.“ Czarownice musiały się odpłacać czartowi za jego pomoc usypiając go na zawołanie. Z tego miłego stosunku mieli powstawać różni okrzyczani ludzie: katolicy twierdzili, że jednym z takich był Luter. Niepojęte rzeczy wyprawiały czarownice z nieszczęśliwym osobnikiem, którego sobie upodobały, ale niepodobna tych wszystkich sztuczek przytaczać. Walter powiedział: „Jeśli są dyjabły, muszą też być i dyjablice,“ a wierząc w to, przypuścić też można, że jeden jak drugie żyjąc z ludźmi pozostawiają potomstwo swoje wśród nich. Dyjabeł porywać miał upodobane sobie dziewczęta i różne dziwy z niemi wyprawiał. Ale chyba na to nie koniecznie trzeba dyjabłów i dyjablic; nasza młodzież zna się podobno dosyć dobrze na tych sztuczkach! U Greków takiemi tajemnymi amantami byli piękni bożkowie; u Hebrajczyków aniołowie; u muzułmanów często sam prorok, tylko chrześcjanie mieli taki zły gust, żeby do tego wybrać wysłańców piekieł, którzy mieli nogi gęsie albo opatrzone w kopyta, jak konie lub krowy. Główną uciechą dyjablic była jazda na miotłach lub widłach na pewną wysoką górę, gdzie wyprawiały Sabat czyli bal z dyjabłem który się tam zjawiał pod postacią czarnego kozła. Teraźniejsze czarownice urządzają się wygodniej: jeżdżą na swoich mężach, a kozłów nie szukają po górach, ale sprowadzają ich do ogrodu, a nawet i do domu. Dziwnem jest także, że dyjabeł zalecający się damom, przybierał zwykle postać rycerza lub pana; dziewczęta, gdy się znalazły w krytycznem położeniu, zasłaniały się dyjabelską sprawką; i zwykły też wtedy mawiać: „To dyjabeł zrobił“. Dziś, gdy świat zmądrzał, wiedzą ludzie co to bywa za dyjabeł. Dziwny to jest szczegół że czary były po większej części przywilejem kobiet, a co szczególniejsze jeszcze, jak się znaleść mogły takie kobiety, które przybierały do spółki zwierzęta, mające przedstawiać dyjabła. Takowy przywilej świadczyć może o większej oświacie i przebiegłości kobiet, albo też jest wynikiem owej biblijnej idei, że grzech pochodzi od kobiety. Wszakże tylko stare baby robiły się czarownicami; miały właściwość rzucania uroków złemi oczami, przyprawiania szarlatańskich leków i napojów, i różnych obrzydliwości. Sprenger w swoim dziełku o czarach, sięga aż do Ewy, przypominając

że pochodzi z krzywego żebra, i już w raju miała konszachty z dyjabłem.

Dyjalog.

* — Więc pan ze wsi? — O tak pani
— Jakież wieziesz pan wspomnienia?
— Końskie! — Jakto? — Tak, bo z końmi
Miałem wciąż tam do czynienia.

— Więc brat pański? — Nie jest koniem:
Lecz gdzie szwadron koni, klaczy
Głównie tylko rej prowadzi,
Tam już człowiek nic nie znaczy.

— A! Pan, bawiąc wciąż wśród koni.
Stałeś się koniarzy wzorem.
Wyjechawszy literatem,
Wracasz do nas konnesorem?

— O nie, Pani, lecz z podróży
Przekonanie to wyniosłem:
Że kto z końmi zbyt przestaje,
Wkrótce sam się staje ..

Hugo Pfisterer.

Pani de S. Kto jest ta dama co się zbliża do nas?

Pani de C. Wszak to pani de Ber...

Pani de S. Czy znasz ją pani?

Pani de C. Jakto, więc pani nie przypominasz jej sobie? przecież wczoraj obmawiałyśmy ją wspólnie. *Chamfort.*

Dyjament.

* Jeżeli książę nosi na palcu szkło czeskie, uważane jest ono przez wszystkich za dyjament; gdyby zaś żebrak miał pierścionek z prawdziwym dyjamentem, wszyscy by pomyśleli, że to nędzne szkło. *H. Heine.*

Dyjetaryjusz.

Sędzia do oskarżonego: Jesteście oskarżeni, żeście ukradli salceson ze składu wędlin: czy macie co powiedzieć na usprawiedliwienie?“

Oskarżony. Panie sędzio, uczyniłem to z głodu.

Sędzia. To żadne tłómaczenie! Ten dyjetaryjusz np. jest także głodny, a dlatego. .

Oskarżony (przerywając). O przepraszam pana sędziego, to całkiem co innego; on za to jest dyjetaryjuszem!

Flieg. Blät.

Dyngus.

* Była to swawola powszechna w całym kraju, tak między pospólstwem, jako też między dystyngowanymi; w poniedziałek wielkanocny mężczyzni oblewali wodą kobiety, a we wtorek i w inne następujące dnie kobiety mężczyzn, uzurpując sobie to prawo aż do Zielonych świątek, ale nie praktykując dłużej jak do kilku dni.

Oblewali się rozmaitym sposobem i amanci dystyngowani, chcąc tę ceremonię odprawić na amantkach swoich bez ich przykrości, oblewali je lekko, różaną lub inną pachnącą wodą po ręce, a najwięcej po gorsie małą jaką sikawką, albo flaszeczką. Którzy zaś przekładali swawolę nad dyskrecyję, nie mając do niej żadnej racyi, oblewali damy wodą prostą, chlustając garnkami, szklenicami, dużemi sikawkami, prosto w twarz, lub od nóg do góry. A gdy się rozswawoliła kompanija, panowie i dworzanie, panie, panny, nie czekając dnia swego, leli jedni drugich wszelkiemi statkami, jakich dopaść mogli; hajducy i lokaje donosili cebrami wody, a kompanija dystyngowana czerpając od nich, goniła się i oblewała od stóp do głów, tak iż wszyscy zmoczeni byli, jakby wyszli z jakiego potopu. Stoły, stołki, kanapy, krzesła, łóżka, wszystko to było zmoczone, a podłogi jak stawy wodą zalane. Dla tego, gdzie taki dyngus, mianowicie u młodego małżeństwa miał być odprawiany, pouprzątali wszystkie meble kosztowniejsze i sami się poubierali w suknie najpodlejsze, takowych materyj, którym woda nie wiele, albo wcale nie szkodziła. Największa była rozkosz przydybać jaką damę w łóżku, to już ta niebogą musiała pływać w wodzie, między poduszkami i pierzynami, jak między bałwanami; przytrzymana albowiem od silnych

mężczyzn, nie mogła się wyrwać z tego potopu, którego unikając, miały damy w pamięci w ten dzień wstając jak najraniej, albo też dobrze zatarasowując pokoje sypialne.

Ile zaś do mężczyzn, ci w łóżkach nie mogli podlegać od kobiet takowej powodzi, mając większą siłę odporu, a słabszy atak przez naturalny wstyd, niepozwalający kobietom ujmować i dotrzymywać krzepko mężczyznę rozebranego. Bywało nieraz, iż zlana wodą jak mysz osoba, a jeszcze w dzień zimny, dostała ztąd febry, na co bynajmniej nie zważano, byle się zadosyć stało powszechnemu zwyczajowi. Takież dyngusy odprawiały się i po miastach między osobami poufałemi. Parobcy zaś po wsiach łapali dziewki (które się w ten dzień jak mogły kryły) złapaną zawlekli do stawu, albo do rzeki i tam wziąwszy za nogi i ręce wrzucili, albo też włożywszy w koryto, przy studni, lali wodą póty, póki się im podobało.

Po ulicach zaś w miastach i wsiach młodzież obojej płci czatowała z sikawkami i garnkami z wodą na przechodzących i nieraz chcąc dziewka oblać jakiego gargasa, albo chłopiec dziewczyną, oblał inną jaką osobę słuszną i nieznajomą, czasem księdza, starca poważnego lub starą babę. Kobiety wiedzące, iż im mężczyzni mogą sto razy lepiej oddać, nigdy dyngusa nie zaczynały i rade były, gdy się bez niego obejść mogły: ale zaczepione od mężczyzn podług możności oddawały za swoje.

Temu dyngusowi początek dwojaki naznaczano, jedni mówią, iż się wziął z Jerozolimy, gdzie żydzi schodzących się i rozmawiających o zmartwychwstaniu Chrystusowem wodą z okien oblewali, dla rozpędzenia z kupy i przytłumienia takowych powieści. Drudzy, iż ma początek dyngus od wprowadzznia wiary św. do Polski, w początkach której, nie mogąc wielkiej liczby przyjmującej wiarę chrzcić w pojedynczych osobach, napędzali tłumy do wody i w niej nurzali: wolno wierzyć jak się komu podoba. Genealogii zwyczajów nie wywodzę, tylko jakie były pod panowaniem Augusta III, opisuję, dotykając kiedy niekiedy początków. ile mi się słyszeć o nich dało.

Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III.

Kitowicz Jędrzej ks. Urodził się w 1728, zmarł w 1804 roku. *„Pamiętniki“* jakie nam po sobie zostawił, pisane z niepospolitym talentem, żywo, dowcipnie i z humorem, doskonale malują epokę, w której żył. Liczyły one kilka wydań i zawsze cieszyły się wielkim powodzeniem.

Dyplomata.

* Pani de Stael, dzieląc z drugą damą względy Taillerand'a, pragnęła wiedzieć, którą z nich przekłada a nie mogąc wybadać w tej mierze zręcznego dyplomaty, zagadnęła go niespodzianie:

— Gdybyśmy obiedwie do wody wpadły jednocześnie, przyznaj, że nie mnie pierwszą starałbyś się ratować.

— Jestem bowiem pewny, że jak anioł pływać umiesz — odparł Taillerand.

Dyrektor prowincyjonalny.

* *Aktor.* Panie dyroktorze, przyszedłem po gażę...

Dyrektor (nabożnie). Proszę mi nie przerywać, widzisz pan, że się modlę...

Aktor. Ale ja nie mam na obiad...

Dyrektor. Apostołowie nauczali a gaży nie brali...

Aktor. Ależ panie, co ja u pana cierpię...

Dyrektor. Chrystus więcej cisrpiał, aktorem nie był...

Dysharmonija.

* Nie dziw, że i najmilsza muzyka cię głuszy;
Bo masz głowę za małą, a za wielkie uszy.

Brodziński Kazimierz poeta. Ur. 1791, znany także pod nazwiskiem Kazimierza z Królówki. Profesor literatury polskiej na Żoliborzu w konwikcie pijarskim, następnie w liceum warszawskiem, w końcu w uniwersytecie. Pierwszy torował drogę romantyzmowi, jako estetyk i krytyk znakomity. Osnuł *„Wiesława“* na tle czysto narodowem i przekładał pieśni ludowe, z innych narzeczy słowiańskich. Napisał wiele rozpraw i kry-

tyk, między któremi najpierwsze zajmuje stanowisko „O klasyczności i romantyczności.“ Wydał: „*Templaryjusze,*‘ tragedyja *Reuowi'a*, „*Elegijana*“ *Kochanowskiego* przekład z łaciny, „*Poselstwo.*“ Zupełne wydanie pism Brodzińskiego wyszło w Wilnie, 1842 roku. Redagował „*Pamiętnik Warszawski*“ i „*Magazyn Powszechny.*‘, Umarł w 1835 r. w Dreznie.

Dyskrecyja.

* Panował przed laty zwyczaj, dozwalający senatorom przyprowadzać na obrady swych nieletnich synów.

Pewnego razu roztrząsano ważną jakąś sprawę. Że zaś ostateczne jej rozstrzygnięcie wypadło pozostawić do dnia następnego, polecono wszystkim zachowanie ścisłej tajemnicy, do chwili ogłoszenia dekretu.

Matka młodego Papiriusa, który towarzyszył ojcu, spytała syna, co było przedmiotem obrad senatu a gdy ten odpowiedział jej, że nie wolno nikomu mówić o tem, zaciekawiona do najwyższego stopnia, tak długo nagliła i obligowała chłopaka, aż ten w końcu, nie widząc innego sposobu wyjścia, uciekł się do wybiegu i opowiedział matce z wielką powagą, jakoby poruszoną została kwestyja — co może być bardziej pożytecznem dla rzeczypospolitej — czy, żeby każdemu mężczyźnie wolno było poślubić dwie żony, czy też odwrotnie, żeby każda z kobiet pojąć mogła w małżeństwo dwóch mężczyzn?

Niewiasta, przerażona tą wiadomością, bieży co tchu podzielić się zdobytą tajemnicą z innemi matkami rodzin.

Nazajutrz tłumy kobiet obległy senat, błagając z płaczem i jękiem, aby z dwojga złego wybierając, raczej każdej z nich przyznano prawo posiadania dwóch mężów, niżby one po dwie należeć miały do jednego mężczyzny.

Senatorowie osłupieli wobec podobnie dziwacznego żądania, nie mogąc wprost zrozumieć, zkąd płeć zazwyczaj tak powściągliwa, przyjść mogła nagle do tak bezwstydnego rozpasania.

Dopiero młody Papirius zażegnał całą burzę, przyznając się do winy.

Wszyscy podziwiali wytrwałość i dowcip malca, ale już odtąd wzbronionym został małym chłopcom wstęp do senatu, z wyjątkiem młodego Papiriusa.

Macrobe, „Saturnales“.

Dyskretny.

* Pewien znakomity aktor dał służącemu znajomych swoich bilet na przedstawienie w teatrze.

Zobaczywszy go wkrótce potem, spytał jak mu się podobała sztuka.

— Bardzo mi się podobała sala i dekoracyje, co zaś do pań i panów na scenie, wspaniale byli poubierani.

— To dobrze, ale jak ci się wydało to, co aktorzy mówili na scenie?

— O, na to nie zwracałem uwagi; oni mówili o swych interesach a ja nie lubię mięszać się w nieswoje sprawy.

Dystrybucyje.

* *W dystrybucyi przy ulicy nie Topolowej.*

Gość. Czy są Partagasy?

Panna bufetowa. Tu nie byli żadne Partagasy.

Gość. Ale Partagasy, to są cygara.

Panna bufetowa. Co mnie pan będzie cygarami głowę zawracał, niech pan odrazu powie czego pan chce.

Świąteczny.

Dystynkcyja.

* — Jakto, nie ciekawa pani była przeczytać żadnej z tych głośnych, tak zajmujących powieści naszego Prusa.

Dama. Owszem, mam zamiar odczytać je wszystkie, ale czekam, aż będą przetłómaczone na język francuzki, bo ten jest niezaprzeczenie daleko dystyngowańszy od naszego.

Dziadowska konkurencyja.

* Słuchaj ludu rodzony
Boć to nie są androny,
Dziad dzisiejszy z głodu padnie,
Bo podchodzą go szkaradnie
Różne konkurencyje!

Klęska padła na dziada,
Nadaremnie już biada,
Próżno siedzi u kościoła,
O wspomogę całkiem woła
Przez nijakiej korzyści!

Co on dzisiaj starguje
Kiej podchodzą go szuje,
Żeby jeszcze w szarej świcie!...
Oj, odziani znakomicie
Wcale jako wielmożni!

Jeden, co mu Ignacy,
Wziąć się nie chce do pracy,
Więc dla mięsa i rosołu
U pańskiego służy stołu,
Jak pies jaki abo co!

Inszy też się nie wstydzi,
Idzie żebrać gdzie żydzi:
Bankier spasły go wspomaga,
Za jałmużnę się domaga,
Chrześcijańskich ukłonów!

Pewny człowiek ze ślachty,
Bieda patrzy z pod płachty.
Wlizie możnym pod kapotę,
Patrzysz już ma śpinki złote
I dostatnie jedzenie!

Każden dzisiaj na zdradę,
Włazi dziadom w paradę,
Podkopany fach żebraka,
Bo się ciągiem zgraja taka
We Warsiawie rozmnaża!

Onym zdrajcom się szczęści,
Nie wezmą ich do części;
Wstyd utonie niby w studni,
Nikt nie spyta czem się trudni
Panicz co nic nie robi!

Śkiełko w oczy swe wtryni,
Z cudzej żywiąc się skrzyni,
I nie wrzeszczy i nie biada
Okradając babę, dziada,
Z żebrackich ich korzyści!

W dzień zaduszków pod płotem
Gadaliśwa już o tem,
Ze ślepakiem, ze Grzegorzem,
Że już trudniej dzisiaj orzem,
A żniwa nijakiego!

Więc stanęła umowa:
Żebranino bądź zdrowa!
Kiej panowie bez ten skweres,
Psują dziadom już interes,
Weźwa się do roboty!

Niechaj młodzi panicze
Te sprobują słodycze;
Niech się bawią żebrowaniem
My w tym fachu nie zostaniem
Bo nas panki wygryzły!

F. R n.

Działy.

* Rzekł raz Jowisz do ludzi: „Macie tu świat [cały,
Bierzcie sobie! na wieki daję wam go w darze;
Lecz aby równe części wszystkim się dostały,
Po bratersku się dzielcie, jak miłość wam każe“.

Tu wnet każdy pośpiesza, kto tylko jest żywy,
Uwijają się raźno i stary i młody:
Z ogarami po lesie ugania myśliwy,
Rolnik chwyta co prędzej chlebonośne płody.

Kupiec różne towary do sklepu zgromadza,
Do swych piwnic mnich toczy conajlepsze wina,
Król zamyka most, drogę, celnikiem obsadza:
Mnie się z tego należy — rzecze – dziesięcina.

Wtem, po ukończonym już dawno podziale
Wieszcz z dalekich stron przybył, spogląda [wokoło...
A tu wszystko zabrano — nie było nic wcale --
Każdy panem u siebie; a smutny wieszcz woła:

„Biada mi nieszczęsnemu!“ (i westchnął ża- [łośnie)
„Ja com wierność ci przysiągł zachować do [zgonu,
Opuszczony od wszystkich ginę w życia wiośnie“
Tak narzekając pada u Jowisza tronu.

„W błogich marzeń krainie bawiłeś się pono;
Nie obwiniaj mię przeto, lecz samego siebie.
Gdzież byłeś?“ — pyta Jowisz — „kiedy świat [dzielono?“
„Ja“ — odpowie poeta — „bawiłem u ciebie.

Na obliczu twem jasnem me oczy zawisły
Ucho pieśni słuchało grona niebiańskiego,
A w tym zachwycie ducha utraciwszy zmysły,
Zapomniałem o dobrach padołu ziemskiego“.

„Cóż więc począć?“ — rzekł Jowisz — „świat [już podzielony,
Nie mam prawa do miasta, ni pola, ni lasu,
Lecz przybytek mój zawsze dla cię otworzony:
Chceszli ze mną żyć w niebie, przyjdź każdego [czasu“.

Szyller Jan Krysztof Fryderyk, genijalny poeta i dramaturg niemiecki, ur. 1809, lekarz wojskowy, rozpoczął pracę poetyczną w 17-ym roku życia „*Zbójcami*.“ Napisał potem: dramaty — „*Fiesco*,“ „*Intryga i miłość*,“ „*Don Karlos*,“ „*Wallenstejn*,“ „*Maryja Stuart*,“ „*Narzeczona z Messyny*,“ „*Dziewica orleańska*,“ „*Wilhelm Tell*,“ oraz „*Dymitr samozwaniec*.“ W dziedzinie filozofii zwolennik teoryi Kanta. Napisał „*Listy o wychowaniu estetycznem człowieka*.“ Jako wielbiciel literatury starożytnej stworzył „*Hymn do radości*,“ „*Bogowie Grecyi*,“ „*Rezygnacyja*,“ oraz przełożył „*Ifigeniję*“ *Eurypidesa*. Probował sił swoich na polu historyi i zostawił dwie prace: „*Oderwanie się Niderlandów*“ i „*Historyja trzydziestoletniej wojny*.“ Zamiar wydawania pisma peryjodycznego zbliżył go do Goethego, który wywarł bardzo dodatni wpływ na Szyllera. Wtedy to napisał takie arcydzieła, jak — „*Xenie*,“ „*Ballady*“ i „*Pieśń o dzwonie*.“ U nas tłomaczyli Szyllera: Minasowicz, Brodziński, Mickiewicz, Kamiński, Odyniec, Budzyński i Sabowski.

Dzicy.

* Jednemu wodzowi dzikich w Afryce, zapowiedział misyjonarz, że jeżeli chce się ochrzcić, to mu tylko jedną żonę mieć wolno.

W jakiś czas potem, przyszedł dziki z jedną tylko żoną i prosił, by go ochrzczono.

— Ale — spytał misyjonarz — co zrobiłeś z tamtemi żonami?“

— Tamte pozjadaliśmy, ponieważ tylko jedną żonę wolno mi mieć — odpowiedział naiwnie nowonawrócony.

* Misyjonarz zaproszony był na obiad do pewnego zamożnego domu. Córki gospodarstwa wystąpiły w tualetach strasznie dekoltowanych, a gdy ojciec czuł się w obowiązku wytłomaczyć to przed gościem nowoczesną modą, ten odpowiedział: „O panie! jestem z tem oswojony, przez dziesięć lat bowiem przebywałem wśród dzikich“.

Dzieci.

* Dzieci są dobre lub złe, zachwycające lub nieznośne, anioły lub szatany, stosownie do punktu widzenia, z jakiego na nie patrzymy. Poeci i kobiety widzą w nich tylko jasne główki o oczach błyszczących, usteczkach rumianych i uśmiechniętych, widzą w nich dowcip, naiwność, wdzięk. Moraliści, hipokondrycy, pessymiści, oskarżają dzieci o roztrzepanie, upór, lenistwo, łakomstwo i wiele innych wad, które właściwiej byłoby wyrzucać ludziom skończonym. Najpiękniejsze poezyje Wiktora Hugo są te, któremi go natchnęły dzieci. Michelet powiada, że wszyscy ludzie niepospolici, są synami swych matek, nietylko są wiernem odbiciem ich strony moralnej, ale i rysów twarzy. Spojrzmy teraz na odwrotną stronę medalu. La Bruyère utrzymuje, że dzieci są wyniosłe, po-

gardliwe w obejściu, łatwo unoszące się gniewem, zazdrośne, wścibskie, interesowane, leniwe, lekkomyślne, skłonne do kłamstwa, obłudy, że śmieją się i płaczą bez powodu, cieszą się i smucą byle czem, że lubią dokuczać drugim a same nie znoszą najdrobniejszej przykrości, jednem słowem — przychodzą na świat z zarodkiem wad ludzi dojrzałych. Niema wady powierzchownej, ani ułomności cielesnej, którejby dzieci nie spostrzegły i nie określiły trafnie. Jedynem ich zadaniem jest poznać stronę słabą nauczycieli, zwierzchników i wyzyskać ją możliwie. Edmund About tak się o dzieciach wyraża: „Dzieci są małymi ludźmi; niewdzięczność objawia się w nich jednocześnie z wyrżnięciem się pierwszych ząbków“. Aleksander Dumas powiada w swych pamiętnikach, że dzicy półwyspu Florydy, gdy chcą ukarać którego z niewolników, najokrutniejszemi męczarniami, powierzają to kobietom i dzieciom. P. J. Stahl, obrońca i przyjaciel dzieci, robi im jednakże zarzut okrucieństwa. Montaigne, sceptyczny Montaigne, pisząc o dzieciach, wyraża się w następujący sposób: „straciłem ich jedno czy dwoje“. Gdyby był sceptyczniejszym od całej sekty Pyrrhona, bardziej roztargnionym od księcia de Brancas, od La Fontaina i Ampéra, starszym od Matuzala, jeszcze i wtedy trudno byłoby przypuścić, żeby mógł zapomnieć liczbę utraconych dzieci. Stary Balzac, egoista, kochający tylko siebie, powiada: „Nie chcę mieć dzieci, które będą pragnąć, a co najmniej wyczekiwać mojej śmierci“. Człowiek ten miał widocznie paczkę frazesów na miejscu serca. Temistokles mówił do przyjaciół, wskazując na syna: „Ten chłopiec jest panem samowładnym całej Grecyi, on bowiem rządzi swą matką, matka rządzi mną, ja rządzę ateńczykami, a ateńczycy Grecyją.“ Słuszne są słowa pani de Sévigné o jej synu: „Nieraz robiłam postanowienie połajać go i nigdy nie znalazłam na to dość gniewu“. La Fontaine w jednej ze swych bajek oskarża dzieci o brak ludzkości i okrucieństwo, ale jego szafarka utrzymywała, że on jest więcej głupi niż zły. Pani de Necker mówi: „Dzieci rzadko kiedy są wdzięczne za ponoszone koło nich staranie, są to gałązki, które mają urazę do łodygi za to, że je trzyma na uwięzi. Niebaczne na to, że zwiędłyby, gdyby je od niej oderwano. Wyczerpawszy oskarżenia i wyliczywszy wszystkie niecne postępki przypisywane dzieciom, zacytujemy kilka anegdot o nich:

* W dziecku wszystko się odbija: męzkość, starość, bóstwo nawet niegodziwość i konwencyjonalizm.

H. Heine. (p. str. 26)

* Tylko dopóki jesteśmy mali, jesteśmy zupełnie niinteresowani, bohaterscy, a nawet heroiczni. Z rozwojem ciała, dusza kurczy się coraz bardziej. Na sobie samym to odczuwam. O! byłem wielkim człowiekiem, kiedy byłem małym chłopcem.

H. Heine.

* *6-letni synek.* Proszę mamy, czemu tat taki łysy?

Mama. A bo widzisz duszko tata duż myśli.

Syn. A czemu mama ma tak dużo włosów na głowie?

Mama. Czemu? no, no, nie bądź taki nudny

* Dziadek, w towarzystwie trojga wnucząt wybrał się na muzykę do ogródka, a siedząc z niemi przy stoliku, przewrócił przez nieuwagę szklankę z piwem.

— Ach co też dziadzio robi za głupstwa — strofuje go najstarsza ośmioletnia wnuczka — cała moja sukienka powalana piwem! Żebyśmy mogli coś podobnego przypuścić, tobyśmy nigdy dziadzi nie byli wzięli.

(*Flieg. Blät.*)

* — Czy to prawda panie d'Alby, że gdybyś mógł, przeciąłbyś szeląg na czworo?... Tatuś tak mówił wczoraj, ale jak też ty to możesz zrobić?

* Malec oznajmia gościa przez wpół otwarte drzwi:

— Mamo, to ten pan... wiesz? co to ma taki czerwony nos...

* — Proszę pana, kto to wynalazł proch?... Ojciec mówi, że to nie pan.

* — Jaka niemądra ta pani de Lieussaint!.. Wie, że ja się nazywam Karolek De i że ty jesteś moim ojcem, a nazwała ciebie przy wszystkich Jerzym Dandin.

* — Prawda, mamo, że to nieładnie mówić: „Nie zawracaj mi głowy". A bona tylko co powiedziała tak do taty.

* Pewna dama uskarżała się, będąc w licznem towarzystwie, że traci włosy.

— Co też mama mówi — przerwała córeczka — przecież wczoraj wieczorem schowała je mama do szuflady.

* Mama przyjdzie, ale nie zaraz, bo siedzi z panią Pelet. Pan wie, kto to pani Pelet?... To jest taka staruszka, co przychodzi wyrywać mamie białe włosy... Mama ma ich pełno, a ja to nie mam jeszcze.

* Państwo L. mieli u siebie na objedzie biedaka jakiegoś, z którym niewiele robili sobie ceremonii.

Podano kurczę.

— Mamo! — woła ośmioletni roztrzepaniec, czy to jest to zdechłe kurczę, o którem mówiłaś, że będzie w sam raz dobre dla niego?...

* Dwóch przyjaciół, wraz z żonami, jadło obiad w restauracyi.

Jeden z nich, zwracając się do żony przyjaciela, nazywał ją panią Ludwikową.

— Jak to zabawnie — zawołał pięcioletni malec — pan nazywa teraz mamę panią Ludwikową, a jak jesteście we dwoje, mówisz: „najdroższy aniołku".

* Nauczyciel udzielał dzieciom początków astronomii, objaśniając wykład przykładem.

Dnia jednego mówił o kształcie ziemi i wyciągając okrągłą tabakierkę z kieszeni powiedział:

— Patrzcie dzieci, ziemia jest tak okrągła, jak ta oto tabakierka.

W święta i niedziele nauczyciel zmieniał ubranie i brał piękniejszą czworogranną tabakierkę. Otóż zdarzyło się, że inspektor, zwiedzający szkółkę, zaczął egzaminować malców i spytał jednego jaki jest kształt ziemi?

— Proszę pana — odrzekł malec — ziemia jest okrągła w dnie powszednie a czworogranna w niedziele i święta.

* Pan August, ustrojony i wymuskany elegancko, dzwoni do mieszkania swych znajomych.

Mała dziewczynka otwiera drzwi.

— Panie Auguście — mówi — tata kazał bonie powiedzieć, jak pan przyjdzie w obiadowej porze, że taty nie ma w domu... Wszak tak, tatusiu, tak powiedziałeś?

* Matka opowiada dzieciom bajkę: ... — I dobra wróżka darowała każdemu z dzieci po pudełeczku, mówiąc: Pamiętajcie, moje dzieci, nie otwierajcie tych pudełek, aż dopiero przy waszej mamie, kiedy powrócicie do domu Maniusia uradowana pobiegła prędko do domu i oddała matce pudełko a gdy je matka otworzyła, ukazał się ich oczom śliczny złoty pierścionek. Ale Jasio nie mógł pokonać swej ciekawości i, zanim wrócił do domu, otworzył swoje pudełko, i wylazł zeń brzydki, szkaradny robak, który tak ukąsił biednego chłopczyka, że ten zaraz umarł. Widzicie moje dzieci, jak to źle być ciekawym i nieposłusunym.

5-cio letni Kazio: — Ej, zawracanie głowy! przecież robak był już wprzód włożony do pudełka!

(*Flieg. Blät.*)

* — Co to za ptak mamuniu? — mówi Karolek, wskazując na gniazdo.

— To bocian, co to dzieci w nocy do domu przynosi.

— Jakże się dostaje do domu?

— Przez okno otwarte.

— Aha, wiem już dla czego panna Miller okno w nocy otwiera.

* — Gdy od całości odejmę czwartą część, to ile mi zostanie? — pyta nauczyciel.

Ogólne milczenie.

Nauczyciel wyjmuje brzoskwinię z kieszeni i ciągnie dalej.

— Patrzcie dzieci, dzielę tę brzoskwinię na cztery części, zjadam jedną część, potem drugą, potem trzecią, nakoniec czwartą. Cóż mi zostanie?

Uczniowie patrząc ze smutkiem, na znikający ostatni kawałek brzoskwini.

— Zostanie pestka, proszę pana.

* — Czy wiesz, że mamy dostać nowego tatę?

— A to w jaki sposób?

— Mama idzie znów za mąż.

— Za kogo?

— Za asesora, tego co nam nigdy nic nie przyniósł.

— Czy tak? on ma być naszym tatą? Dobrze mu tak, będzie słusznie ukarany.

* — Dziadziu, ja nie wrócę do domu, ja już u ciebie ze wszystkiem zostanę.

— Cóż znowu Karolku, dla czego nie chcesz wracać do domu?

— Bo w domu każą mi po całych dniach uczyć się głupich wierszy!—mówi malec płaczliwie.

— Wierszy, jakich wierszy?

— Na twoje urodziny, dziadziu.

* Dwie dziewczynki bawią się same w pokoju. Jedna z nich trze twarzyczkę szczotką od sukien.

— Co ty robisz? — pyta druga.

— Ja tak tylko probuje, czy to przyjemnie całować męża, który ma brodę.

* — Zkąd się biorą te nieustanne deszcze?— mówi ojciec patrząc w okno.

— Ja wiem zkąd — mówi malec.

— Więc powiedz, jeśli wiesz.

— Z kości babuni. Ona zawsze mówi, jak się na deszcz zbiera: O! czułam go od tygodnia w kościach.

* Małą Ewcię, której matka pojechała na bal, kładzie ciocia do łóżka. Siada przy łóżeczku i spiewa do snu tak jak to mama zwykła czynić. Jednak Ewcia nie może zasnąć.

— Co ci jest dzisiaj?—gniewa cię ciocia, —jak mama śpiewa, usypiasz zaraz.

— O, ja wtedy udaję że śpię—mówi dziewczynka, — mama tak brzydko śpiewa, że chcę żeby jak najprędzej przestała.

* — To nie do uwierzenia — mówi ojciec do matki — do osady, w której jest co namniej pięć tysięcy ludożerców tylko ośmiu misyjonarzy posłano.

— Biedni ludożercy!—mówi z głębokiem współczuciem Ludwiś słuchający rozmowy — chcą ich chyba na śmierć zagłodzić.

* — Słuchaj smarkaczu, jeżeli raz jeszcze obijesz Anusię, to ze mną będziesz miał do czynienia — mówi ojciec.

— To mi to dopiero rodzinne życie — mówi malec. — kiedy własnej siostry bić nie wolno.

* — Co to są gałgany? — pyta nauczycielka.

— To są złe dzieci — mówi malec. — Tatuś braciszka nieraz gałganem nazywa.

* Małego Jasia zapytują, czy wie co to jest narzeczona?

Po chwilowym namyśle malec odpowiada:

— Narzeczona jest to kobieta, która niema jeszcze męża, ale już go sobie upatrzyła.

* — Klarciu, dla czego biegniesz tak prędko? Czy to przystoi panience? Czyś widziała mnie kiedy tak biegnącą bez pamięci?

— Albo ja mamusię znałam, jak mamusia była panienką?

* Dwie dziewczynki zwierzają się wzajemnie ze swych przekonań o małżeństwie. Jedna oświadcza, że jeśli wyjdzie za mąż, to tylko za porucznika.

— Co za nonsens — mówi druga — iść za wojskowego. Wojna wybucha, mąż zastrzelony i siedź tu z ośmiorgiem drobnych dzieci.

* Ośmioletni malec prosi panienkę tegoż wieku o sznur do skakania, upewniając na *honor*, że go za pięć minut odda.

Dziewczynka nie chce dać sznura, mówiąc:

— Trzeba nie znać mężczyzn, żeby im wierzyć.

* Mały Kazio często filozofuje. Patrząc na młodziutką mateczkę z największą czułością pyta:

— Czy ty jesteś dziewczyną?

— Nie.

— A czemże jesteś?

— Kobietą.

— Czy byłaś dziewczyną?

— Tak, moje dziecię.

— To gdzież się ta dziewczyna podziała?

* Maleńka Zosia, stojąc przed klatką, przypatruje się papugom, jak się całują.

Wtem, w przyległym pokoju, dają się słyszeć kroki, mała zażenowana woła na papugi.

— Spieszcie się, spieszcie, guwernantka nadchodzi.

* — Ile będzie dwa razy dwa?—pyta nauczyciel arytmetyki?

— Niewiem, proszę pana.

— Cóż znowu: jeżeli od matki dostaniesz dwa jabłka a potem znowu dwa, to co dostaniesz?

— Dostanę bólu żołądka proszę pana.

* — Kochane dziatki—mówi nauczyciel — opowiem wam dziś ładną historyjkę:

Antoś był to szlachetny chłopiec, który nie znosił, by komu przykrość zrobiono. Dnia pewnego zobaczył jak źli chłopcy rzucają na psa kamieniami.

— O niegodziwcy—powiedział—rzućcie kamienie na ziemię.

Złośliwi chłopcy wstrzymali się i zgadnijcie co zrobili?

— Zaczęli na Antosia rzucać kamieniami!— krzyknęły dzieci jednogłośnie.

* Mała Paulinka czyta mniejszej siostrzyczce z książeczki:

— Niektóre ptaki odlatują na zimę w cieplejsze okolice, np: jaskółka, bocian.

— I bocian? — mówi Zosia. — To być nie może. Któż przynosi w zimę małe dzieci, skoro bociana niema?

* Mały Oleś, wróciwszy pierwszy raz w życiu ze szkoły, wchodzi do ojca gabinetu.

— I cóż — pyta ojciec — czy się już dziś czego nauczyłeś?

— Ale — mówi mały filozof—jak miałem się czego nauczyć, kiedy nauczyciel nic nie umie i o wszystko nas pyta.

* Piastunka opowiedziała dzieciom, że Bóg widzi czynności ludzi, bo ma w niebie okienko przez które na świat wygląda.

Henryś miał właśnie wypłatać jakiegoś figla, ale powstrzymuje go pamięć tego, co przed chwilą usłyszał.

— Mógłby pan Bóg co innego robić, jak całemi dniami przez okno wyglądać — rzekł wreszcie z przekąsem.

* — Panie nadzorco—mówi malec do stróża w zoologicznym ogrodzie.—Emil był niegrzeczny dla słonia, powiedział mu: „Ty małpo.“

* Karolek, którego braciszek umarł przed parą tygodniami, bawi się w ogrodzie balonem. Wtem zwraca się do bony z zapytaniem:

— Panno Lizo, gdzie poleci ten balon, skoro puszczę sznurek?

— Do nieba.

— Czy tam gdzie jest Edwardek?

— Tak.

— Jeśli tak, to niech i on się nim trochę pobawi — mówi Karolek puszczając balon, który się wznosi i znika mu z oczu.

* — Panie asesorze, weź pan jeszcze ciastko, proszę bardzo.

— Dziękuję panie, dwa już zjadłem.

— Nieprawda — mówi malec, który oczu nie spuszczał z asesora — zjadłeś pan trzy, ja dobrze liczyłem.

* — Znowu płaczesz Karolku?

— Ach, mamo, daj mi się wypłakać, kiedy mnie to przyjemność robi.

* Ojciec opowiada synkowi historyję Prometeusza, stojąc przed jego posągiem w galeryi berlińskiej.

— O, biedny sęp! - mówi chłopczyna.

— A to dla czego ubolewasz nad nim? — zapytuje zdziwiony ojciec.

— Bo codzień musiał jeść wątrobę — mówi malec ze współczuciem.

* — Róziu — mówi matka — czego pragniesz na dzień twoich urodzin?

Rózia, która przed chwilą właśnie posprzeczała się z braciszkiem, odpowiada:

— Pragnę, żeby Alfredka choć raz dobrze przetrzepali.

* Trzyletnia Anusia przypatruje się słoniowi w zoologicznym ogrodzie.

— Mamusiu czy i słonia bocian przyniósł w dziobie?

* Ojciec zapytuje wracającego ze szkoły synka.

— Przyjechał nowy nauczyciel?

— Tak, tatusiu.

— Jakże ci się podoba?

— Nic jeszcze powiedzieć nie mogę, musimy go wpierw wymusztrować.

* — Ten tyran, o którym wam przed chwilą mówiłem, nazywał się Neron — odpowiada nauczyciel. — Imię to łatwo spamiętać, macie bowiem psa, który tak samo się nazywa.

Przy następnej lekcyi historyi zapytuje nauczyciel.

— Jak się nazywał chciwy krwi tyran rzymski, o którym wam pozawczoraj mówiłem?

Uczeń milczy.

— No i cóż — mówi nauczyciel — potrzebujesz sobie tylko przypomnieć nazwę jednego z psów podwórzowych.

— Nazywał się Burek — odpowiada uczeń z pośpiechem.

* — Dzieciaki, co wam jest, żeście takie mizerne, pewnie chorujecie?

— Chorujemy często, to prawda, ale umieramy rzadko kiedy.

* Patrząc na kopiję Venus z Milo, mówi jeden malec:

— Mamusiu, jej pewnie ręce obcięli za to, że paluszki w buzi trzymała.

* Małej Kazi, gdy idzie spać, opowiada matka o stworzeniu świata.

— Bóg stworzył dwa światła — jedno, które świeci we dnie, a drugie w nocy.

— Jakże Kaziu — pyta przysłuchujący się rozmowie ojciec —które światło świeci w dzień?

— Słońce — odpowiada Kazia po chwilowem wahaniu.

— Tak jest, moje dziecko; a jak się nazywa to co świeci w nocy?

— Nocna lampa, — mówi Kazia nie namyślając się ani chwili.

* — Kto ci wyleczył paluszek?

— Pan Bóg.

— A cóż robił doktór?

— On tylko oglądał paluszek.

* — Cóż Julciu, nie cieszysz się zabawkami, któreś dostał na urodziny?

— Co mam się cieszyć? Myślę, ile to rózeg dostanę za każdą stłuczoną.

* Pewna sławna śpiewaczka opowiadała przyjaciółce, która przyszła do niej z córeczką w odwiedziny o swym ostatnim koncercie.

— Wyobraź sobie — mówiła, — aryję z Freischütz'a dwa razy powtórzyć musiałam.

— Czyś tak źle śpiewała, że ci dwa razy powtórzyć kazali? — spytała dziewczynka, która przysłuchiwała się rozmowie.

* W wiejskiej szkółce zapytuje nauczyciel malca:

— Powiedz, ile będzie połowa pięciu?

— Słuchaj tylko — mówi zapytany malec półgłosem do drugiego obok—znowu mnie tem prześladuje; powiem dwa, to mu za mało, powiem trzy, to mu za wiele, nigdy mu dogodzić nie można.

* Mała Julcia, w szóstą rocznicę swych urodzin, w te słowa się odezwała do matki:

— Wszak prawda, mamusiu, że to w dniu dzisiejszym przed sześciu laty dostałaś mnie w prezencie?

* W Saskim ogrodzie, następującą rozmowę podsłuchano pomiędzy elegancko ubraną panienką i również wykwintnie wyglądającym chłopczykiem.

— Ile masz lat Toniu?

— Dziesięć.

— Albo to prawda, kobiety zawsze kradną sobie lata.

* — Kajciu, słuchaj co ci powiem — mówi nauczyciel.—Masz oto jabłko a brat daje ci dwa; ile będziesz miał razem jabłek?

Uczeń potrząsa głową.

— Odpowiedzże!

— Mój brat nie daje mi jabłek, proszę pana — bąka malec.

* Młoda kobieta, mająca kilkoro dzieci, wyszła powtórnie za mąż.

Przyjaciel zmarłego męża, spotkawszy dzieci z boną na spacerze, zapytuje najmniejszego pięcioletniego Olesia:

— Cóż, kochacie waszego nowego papę?

Oleś przytakuje główką, ale jednocześnie dodaje:

— Nowy on co prawda nie jest, mamy go już całą zimę.

* Dwoje rodzeństwa, chłopczyk i dziewczynka, bawi się u nóg matki.

Dziewczynka, rozgniewana jakimś figlem braciszka, woła:

— Mamo, nierozumiem, po co trzymasz w domu wszystkie dzieci, które ci bocian przynosi?

* — Cióciu, czy twój ptaszek równie pięknie jak nasz śpiewać umie?

— Ja nie mam ptaszka, moje dziecko.

— A dla czego tata wczoraj powiedział, że ciocia ma ptaszki w głowie.

* Mały czteroletni Jaś kaprysi przy jedzeniu i nie chce jeść tego co mu dają.

— Nie będę jadł tej skóry — mówi nadąsany, odsuwając biszkopt.

— Nie mówi się skóra, tylko biszkopt — upomina ciocia.

W parę dni potem, słyszy Jaś rozmowę cioci z mamą.

— Każę sobie zrobić trzewiki z tej skóry — mówi ciocia.

— Nie ze skóry tylko z biszkoptu — odzywa się Jaś z kąta — sama mnie tego uczyłaś.

* — Guciu, idź do dziecinnego pokoju, doktór ma przyjść, więc będziesz mi zawadzać.

— Ach, mamo, pozwól mi zostać. Papa powiada, że on cię za nos wodzi, chciałbym to choć raz zobaczyć.

* Mała dziewczynka miała się kąpać w pokoju, którego okna wychodziły na podwórze, pełne kur.

— Mamo — powiedziała — ja się kąpać nie mogę, bo tu kury zaglądają.

— Co za nonsens — odrzekła matka — kur nie potrzebujesz się wstydzić.

— To niech mamusia chociaż tego koguta odpędzi — prosiła maleńka,

* W pewnej rodzinie oczekują odwiedzin starej, niezamężnej ciotki, mieszkającej na wsi. Matka, znając śmiałe i nie zawsze grzeczne obejście swej córeczki, zapowiada jej, żeby była uprzejmą dla cioci i nie robiła uwag nad jej szpetnością.

Fanny obiecuje być grzeczną na ile to będzie w jej mocy i obejrzawszy starą ciocię ze wszystkich stron, wykrzykuje:

— Nie znajduję wcale, żebyś była tak brzydką jak mi mamusia powiedziała.

* — Proszę taty, mama woła — mówi malec.

— Nie mam czasu, muszę list wyprawić.

— Ale mama zaraz chce widzieć się z tatusiem.

— Jeżeli to coś pilnego, to niech mama tu do mnie przyjdzie.

— Coś dziś tata zanadto sobie pozwala.

* Podczas gdy rodzice poszli do miasta po sprawunki, Jaś, korzystając ze sposobności, chwyta nóż kuchenny i probuje na stole jadalnego pokoju swego rzeźbiarskiego talentu.

Tak się jednak niezręcznie do tego zabrał, że do krwi zacina sobie palec. Rodzice, powróciwszy do domu, z przerażeniem spostrzegają zakrwawioną rękę i stół uszkodzony.

— Coś ty zrobił Jasiu?!—pyta matka.

— Ach mamo — odpowiada Jaś, tonąc we łzach—już nigdy tego nie zrobię; chciałem sobie krajać palec i nieumyślnie stół zaciąłem.

* Chcąc sześcioletnią Ellę oduczyć łakomstwa, wymyśliła matka nastepną bajeczkę:

— Pewien chłopczyk poszedł z ojcem do cukierni. Gdy się właściciel cukierni odwrócił, schwycił malec ciastko i włożył w usta, nie mogąc go jednak prędko zjeść udusił się.

— Czy on nie miał kieszonki mamusiu? — zapytała Ella ciekawie.

* — Czy wiesz Maniu, że mamy nosić pół żałobę?

— Czy tak? Któż to na pół umarł?

* Rodzice pięciorga dzieci, rozmawiając podczas kolacyi o znajomej rodzinie, w której jest dzieci ośmioro i o troskach i kłopotach jakich tak liczne potomstwo jest powodem.

— Ja myślę, że i nas tu jest dosyć — mówi najstarszy malec.

* — Wszak prawda, mamo, że, od czasu jak biorę lekcyje u panny Haller, jestem o wiele grzeczniejszy?

— Tak, to prawda.

— Więc pocóż mamusia zamyka zawsze przedemną cukiernicę i konfitury?

* Kto nie miałby ochoty ucałować małego figlarza, który, za opór i grymasy, często zabiera znajomość z laską ojcowską i raz, w podobnej okoliczności, gdy ojciec, biorąc narzędzie kary do ręki zapytuje.

— No, cóż mam z tą laską robić?

— Iść na spacer — odpowiada z najlepszą miną malec.

* Ojciec chodzi zamyślony po pokoju. W końcu powiada:

— Wiem, że coś jeszcze miałem dziś ran zrobić ale wyszło mi to z pamięci.

— Już ja wiem co to tatusiu: zapomniałe dziś na mamę pogderać.

* Wiele obiecujący jest mały uparty Oska który bezustannie krzyczy.

— Co ci jest? — pyta matka — może głodny?

— Nie.

— Może pić chcesz?

— Nie.

— Może spać?

— Nie.

— Więc czegóż chcesz?

— Krzyczyć.

* Mały Henryś, widząc księżyc podczas zimy wkrótce po południu wschodzący, zapytał matkę:

— Mamusiu, księżyc zapewne myśli, że to już wieczór?

* Mała Kazia, widząc muchę brzęczącą i latającą po szybie, powiada:

— Puść ją mamusiu, ona pewnie na dwór wyjść potrzebuje.

* Ojciec opowiada łakomej Mani historyję Tella, jak strzelał do jabłka położonego na głowie swego własnego dziecka.

— I cóż dalej? — pyta Mania.

— Nic, historyja skończona.

— Czy nie dali dziecku zjeść tego jabłka? — pyta dziewczynka ciekawie.

* Ojciec, wyjeżdżając w podróż mówi do synka:

— Adasiu, daj jeszcze jednego buziaczka i pamiętaj być grzecznym w ciągu tych trzech tygodni. Przywiozę ci szabelkę w nagrodę.

— Jeżeli już mam być grzecznym przez całe trzy tygodnie, to niech tata przynajmniej dużą, bardzo dużą szabelkę przywiezie.

* Ella słyszała, że ojciec pytał lekarza, czy mu palić wolno.

Gdy lekarz wyszedł mówi dziewczynka:

— On sam nie wie co ci powiedzieć, bo jakieśmy wczoraj jechali razem koleją, to on pytał mamę o siebie czy jemu palić wolno.

* Mania nie podziękowała za jabłuszko, które jej dał wujaszek.

— Wstydź się, czy nie wiesz co trzeba powiedzieć, gdy się jabłko dostanie? — mówi matka.

— Proszę jeszcze o jedno.

* Pan sędzia często się unosi gniewem, a wtedy łaje żonę i dzieci.

Razu pewnego mówi do pięcioletniej córeczki:

— Znowu zrobiłaś dziurę w sukni! Jesteś głupia gęś!

Mała zawstydzona odpowiada:

— Proszę cię tatusiu, miej wzgląd na to, że nie jesteśmy sami.

* Rodzice wyuczyli synka, by, gdy go kto spyta: „Co chcesz dostać na imieniny?“ odpowiedział: „Miłość rodziców.“

Na krótki czas przed imieninami Tadzio był bardzo niegrzeczny. Chcąc go zawstydzić, pyta ojciec:

— Co pragniesz dostać na imieniny?

— Miłość rodziców — mówi malec.

— Nie zasłużyłeś na nią.

— Jeżeli tak, to chciałbym dostać drewnianego konika.

* — Adasiu! jak siedzisz?

— Dziękuję mamie, bardzo dobrze.

— Proszę cię, siedź prosto.

— To tylko gości prosi się siedzieć.

— To niech ci się zdaje, żeś gość.

— A, kiedy ja gość, to proszę o szklankę czekolady.

* Świeżo mianowany porucznik, przychodzi złożyć wizytę żonie swego majora i jest zmuszony czekać długo w przedpokoju.

Nakoniec otwierają się drzwi i wpada przez nie mały synek pani majorowej.

Porucznik chce go ująć za rękę ale malec chowa ją z przestrachem za siebie.

— Nie, nie! — woła — jesteś jeszcze za gorący. Mama mówiła, że taki świeżo upieczony porucznik może trochę poczekać. Jak trochę przestygniesz, podam ci rękę.

* — Mówię ci, Milciu, że Pan Bóg jest wszędzie, nawet w piwnicy.

— Tylko nie w naszej; w naszej są same kartofle.

* Dzieci były z wizytą u krewnego, na którego względach wiele rodzicom zależało.

Surowy ojciec zapytuje je za powrotem:

— I cóż, byłyście grzeczne, dobrzeście się sprawiały?

— O, tak tatusiu, pani doktorowa mówiła, że jak żyje nie widziała takich grzecznych dzieci.

— Coż wy na to?

— Myśmy powiedzieli, że musimy być grzeczne, bo inaczej uszy by nam tatuś oberwał.

* Matka opowiada przyjaciółce szczegóły jakiejś skandalicznej awanturki.

Mała Adelcia, nie mogąc dosłyszeć rozmowy, prowadzonej szeptem, powiada:

— Mamo, mów głośniej, ręczę ci słowem, że nic a nic nie zrozumiem.

* Matka siedzi z dziećmi na balkonie, wychodzącym na ogród. Burza się zrywa i błyskawice przelatują jedna po drugiej.

Na zapytanie dzieci; zkąd się biorą błyskawice, matka odpowiada, że raptowne światło, pomiędzy ciemnymi obłokami, pochodzi ztąd, iż Bóg raptem drzwi niebios otwiera, aby spojrzeć jak się dzieci sprawują.

Wtem błyska znowu i jednocześnie powstaje gwałtowny świst wiatru.

— Uważcie tylko, co za przeciąg przy tem otwieraniu drzwi — mówi czteroletni Pawełek.

* Michaś, za niegrzeczne zachowanie przy obiedzie, został lekko połajany.

Zastanowił się chwilkę a potem rzekł, mocno nasępiwszy buzię.

— Nigdybym się nie był spodziewał, że są rodzice, którzy tak własne dzieci udręczają.

* Na pewnem zebraniu znajdował się adwokat, doktór prawa, który, prowadząc interesa gospodarza domu, uwikłał go w parę nieszczęśliwych procesów, dla własnej korzyści.

Zobaczywszy bawiącego się opodal synka pana domu, chciał go do siebie zwabić, ale malec stawiał się opornie i nie dał się nawet pocałować.

— Dla czego nie chcesz zbliżyć się do mnie? — zapytał adwokat.

— Boję się ciebie — odpowiedział malec.

— Dla czego?

— Bo jesteś doktorem.

— Więc cóż ztąd, ja nie jestem takim doktorem, co to dzieciom gorzkie lekarstwa zapisuje.

— Jesteś gorszy jeszcze — powiedział malec — słyszałem, jak dziś rano powiedział tata, żeś już nie jednego ze skóry obdarł.

* — Powiedz mi Karolku, czy wasz kogut często bije się z kurą?

— Nigdy prawie.

— To mię dziwi, przecież to małżeństwo!

* — Pamiętaj więc Helciu, że greckie nosy są proste a rymskie garbate.

— To, proszę tatki, ciocia Berta ma grecki nos a rzymski garb.

* — Uważajcie na to co mówię — odzywa się nauczyciel — z natężenia umysłowego lub fizycznego wysiłku uderza często krew do głowy. Powiedzcie mi dla czego mi krew nie idzie do nóg tylko do głowy, pomimo że stoję?

— Ja wiem, panie profesorze, tylko nie śmiem powiedzieć.

— Mów śmiało.

— Dla tego krew nie idzie panu do nóg, że nogi nie są puste.

* Dwie ośmioletnie dziewczynki rozmawiają z wielkiem ożywieniem.

Wtem jedna z nich zwraca się do matki z prośbą:

— Mamusiu, każ Lizi wyjść z pokoju, bo my właśnie mówimy o małżeństwie.

* — Cociu, otwórz usta, proszę.

— A to po co?

— Chcę się przekonać czy tata ma słuszność w tem co mówi.

— A cóż tata mówi?

— Tata mówi, że nie umiesz ust otworzyć, żeby z nich plotka nie wyszła.

* Malec mówi do ojca, który jest miernym muzykiem-kompozytorem i nic się nie troszczy o potrzeby swej rodziny.

— Tatusiu, patrz, majteczki mi pękły już w drugiem miejscu.

— Cóż ja na to poradzę? — mówi ojciec.

— Jak będziesz miał chwilkę wolnego czasu skomponuj mi nowe.

* Uparte dziecko nie chciało za nic wymówić pierwszej litery alfabetu A. Zamknięto je więc na chleb i wodę a później bito; wszystko napróżno.

Nadszedł przyjaciel domu, wziął dziecko na ręce i spytał czemu nie chce powiedzieć A?

Dziecko milczało uparcie, ale w końcu odpowiedziało z namarszczoną minką:

— Nie chcę powiedzieć A, bo zaraz każą mi powiedzieć B i tam dalej.

* Pan de Châteauneuf, dzieckiem będąc, około dziesięciu lat liczącem, został przedstawiony jakiemuś biskupowi, który, rozmawiając z nim, dobrotliwie zapytał:

— Powiedz mi, mój mały przyjacielu, gdzie jest Pan Bóg, to ci dam pomarańczę.

— Proszę mi powiedzieć gdzie go nie ma, to ja dam Waszej Excelencyi dwie pomarańcze... — odrzekł chłopczyna.

(*Journal de Paris*).

* — Aniołku — mówi stary pan do malca — przyniosłem ci cukierków, ale dam ci je dopiero odchodząc.

— A czy pan prędko już sobie pójdzie? — pyta malec z przymileniem.

* Pytano sześcioletnią dziewczynkę, co woli: kota czy lalkę.

Długo nie chciała odpowiedzieć, w końcu wyszeptała do ucha:

— Wolę kotka, ale proszę o tem nie mówić lalce.

* Malec nie lubił wcześnie wstawać.

— Czy wiesz, kochanku, jakie korzyści przynosi ranne wstawanie? — mówił ojciec. — Dziś jeden człowiek znalazł raniutko na drodze worek pełen sztuk złota.

— Proszę taty, ten co zgubił ten worek, musiał wstać jeszcze wcześniej.

* — Proszę mamy, gdyby jabłko, które Ewa dała Adamowi było robaczywe, nie byłby go Adam zjadł i wszyscy bylibyśmy dotąd w raju.

* — Maniu, na co ci Bozia dała główkę?

— Do psipinania walkoców.

* W pewnej rodzinie, matka, jadąc na wieczór do znajomych, chciała czteroletnią swą córeczkę do snu ułożyć. Po kilka razy napróżno wołała małą zajętą zabawkami, do pacierza. Gdy się to raz jeszcze powtórzyło, rzuciła dziewczynka zabawki i, opierając z powagą twarzyczkę na dłoni, spytała: „Czy doprawdy, mamusiu, pilno dziś tak Panu Bogu?“

* — Czembyś chciał być Adasiu?

— Ja... kominiarzem...

— A to znowu dlaczego?

— Bobym się myć nie potrzebował...

* *Ojciec* (do sześcioletniego Józia, który ciągle kłóci się ze swoją nauczycielką) Józiu! czy mam pójść po rózgę?!

Józio. Nie potrzeba, tatku, ja sobie poradzę z nią i bez rózgi.

* — Czego się kłócicie? — pyta matka, która położywszy dwóch malców do łóżka, odejść chciała, gdy wtem młodszy zawołał:

— Mamo, Julek zabiera połowę łóżka.

— To dobrze — odrzekła — niech Julek zabiera połowę jedną a ty drugą.

— Kiedy mateczko – brzmiała odpowiedź — on chce mieć swoję połowę w środku, a ja żebym spał po obu stronach.

* — Mamusiu, kup mi nową sukienkę na zabawę dla dzieci...

— Cóż ci znów przyszło do głowy Janinko. Odświeżę ci starą.

— Owa! to zala ludzie powiedzą, że tatkowi źle idą intelesy...

* *Nauczyciel.* Stasiu, daj przykład użytecznego domowego zwierzęcia.

Stasio (nie odpowiada).

Nauczyciel. Zmiłuj się, nie może być, żebyś tego nie wiedział; zastanów się tylko dobrze: z czemże wasza kucharka miewa najczęściej do czynienia, pewno ci przyjdzie przykład do głowy.

Stasio (po namyśle). Już wiem. Lokaj z drugiego domu.

* *Dziesięcioletni Kazio.* Słuchaj Oleś, daj mi kawałek ciastka.

Dziesięcioletni Oleś. Dam ci, ale jak pójdziemy do teatlu, będzies bil blawo Ćosnowskiej.

* — Proszę mamusi, zkąd się moja siostrzyczka wzięła, kiedy teraz zima i bocianów nigdzie nie widać?

— To nic nie znaczy, moje dziecko, bocian ją przysłał przez pocztę.

* — Mamusiu, pobaw się ze mną i z lalką w gości...

— Daj pokój, Zosiu, widzisz że czytam...

— Ach, jakie to teraz matki!... Woli czytać jakiś głupi romans, niż się z własnem dzieckiem pobawić...

* Broncio, lat 7 mający, trzyma pączek i ogląda go na wszystkie strony w końcu mówi do siostrzyczki.

— Powiedz mi, moja Maniu, jakim sposobem dostała się konfitura w środek tego pączka kiedy nigdzie nie ma dziurki.

Mania, lat 6, odpowiada z wielką powagą.

— Jeszcześ za młody, mój kochany i choćbym ci wytłómaczyła, to tego nie zrozumiesz, poczekaj jak dorośniesz, to później sam się domyślisz.

* Ośmioletnia dziewczynka męczyła się, chcąc rozwiązać zasupłane sznurowadło od trzewika:

— Ach, Boże — zawołała żałośnie — dopomóż mi, siedzisz sobie w niebie i nic nie robisz!

* Mała dziewczynka bawiła się ze swoją przyjaciółką w gotowanie.

— Idź panna — zawołała rozkazująco — złap gołębia i zrób mi z niego kurczę pieczone.

* Mały Karolek jest zapalonym wielbicielem pączków: kiedy ostatnim razem babcia kazała na jego intencyję usmażyć ich cały półmisek, zjadł pięć, a widząc resztę razem z półmiskiem wracającą do kuchni, zawołał z rozpaczą:

— Ach babciu, jabym chciał być bliźniętami, tak jak Jaś i Franuś sąsiada...

* Na egzaminie, w szkole przygotowawczej, rozbierano „Ojcze nasz“; przy piątej prośbie nauczyciel zwrócił się do dzieci pytając:

— Czemu prosimy o chleb powszedni codzienny, a nie prosimy ani o tygodniowy chleb, ani o miesięczny?

Mała dziewczynka podniosła w tej chwili palce do góry na znak, że chce odpowiedzieć:

— To dlatego, proszę pana, żeby nie zczerstwiał! — rzekła, patrząc z tryjumfem po innych.

* — No Kazieczku ciesz się, bocian przyniósł ci małego braciszka, chcesz go zobaczyć?

— Eh, nie papo! ale bociana tego tobym chciała widzieć!

* Mały Janek słynął z niezgrabności i coraz to za jakieś stłuczenie, za jakąś psotę, nowe otrzymywał połajanie. Zdarzyło się, jednego razu, że matka jego upuściła filiżankę, która padając na ziemię, potłukła się w drobne kawałki.

— Ach! jakim mama jest źle wychowanym chłopcem — zawołał zgorszony malec.

* Mały Tadzio zepchnął z krzesła swoją starszą siostrzyczkę.

— Ach mamo — zawołała rozgniewana dziewczynka — ten Tadzio to taki nieznośny chłopak, że też mama bierze od bociana wszystko, co on tylko przyniesie!

— * Zwawo, rudlem chłopcze, żwawo! — wołał rybak do swego syna, płynąc w dzień upalny przez Mołdawę — dziś wieczór, jak przyjdziemy do domu, dostaniem z łaski Boga knedli ze słoniną.

— Eh!... — odrzekł smutnie chłopak — choćby Bóg tysiąc razy chciał tego najłaskawiej, jak matka nie będzie chciała figę dostaniemy...

* Strzelec posłał przez swego ośmioletniego chłopca zwierzynę panu rządcy w podarunku.

— Patrzcież! kuropatwy, co widzę!... bażant! no to już za wiele!

— I mama tak mówiła — odezwał się malec — ale tata powiedział, że pan rządca jest tak interesowny człowiek, że mu nigdy nie można dać za wiele!

* Dwoje dzieci przyglądało się obrazowi, przedstawiającemu Adama i Ewę w raju.

— Któreż z nich obojga jest mężczyzną — spytała dziewczynka braciszka.

— Jakże mogą to zgadnąć, kiedy nie są ubrani — odrzekł z powagą zapytany.

Saphir.

* Pewien chłopczyk miał powtórzyć cioci historyję wskrzeszenia Łazarza i tak rozpoczął:

— Kiedy Łazarz zachorował, siostry wysłały czemprędzej posłańca do pana Jezusa a nawet Maryja dla pewności, odprowadziła go na dworzec...

* W szkole zapytał nauczyciel uczniów.

— Dlaczego ostatni tydzień przed Wielkanocą nazywa się tygodniem męczeńskim?

— Dlatego, że w nim składamy kwartalne egzamina — odrzekł bez namysłu jeden z malców.

* Mały siostrzeniec poszedł raz z wujem patrzeć na mustrujących się żołnierzy.

— Wujaszku — zapytał po chwili — czy to są królewskie zabawki?

* — Mamo — zapytała Maniusia — kogo najlepiej kochasz ze wszystkich ludzi na ziemi?

Matka myśląc, że dziecko siebie ma na myśli — odpowiada:

— Kocham najlepiej moje najdroższe dziateczki.

— Ależ mamo! — rzecze oburzona dziewczynka — czyż nie powinnaś kochać najbardziej swojej mamy?

* Ciocia, która przyjechała w odwiedziny, daje małej Elżbietce jeszcze jedno ciasteczko, pytając:

— Czy chce ci się jeszcze jeść maleńka?

Maleńka zwraca się do mamy i rzecze:

— Mamusiu, czy mi się chce jeść jeszcze?

* — Dlaczego Adam i Ewa wygnani zostali z raju? — zapytał proboszcz dzieci na lekcyi katechizmu.

— Dlatego pewno, że mu owoce kradli.

* *Matka.* Janku! nic od ciebie nie chcę na imieniny, tylko żebyś był pilnym i posłusznym.

Janek. Ach mamo! już wolę ci co kupić!

* Marcinek nosił jako mały chłopczyk spodenki aksamitne, któremi się zawsze chlubił i zawsze ubierał w nie z ochotą. Po pewnym przeciągu czasu przyjechała do jego rodziców ciocia w odwiedziny i pyta Marcinka, co się stało z jego inekspressibles.

— Ach ciociu — odrzekł chłopczyk z widocznem zakłopotaniem — spodnie jeszcze są, ale aksamit poszedł precz!

* Pewna mała księżniczka, widząc masę ludu zgromadzonego przed zamkiem, zapytała nauczycielki, czego chcą ci ludzie.

— Niemają chleba — odrzekła nauczycielka.

— Wielka rzecz — rzekło dziecię — to niech jedzą pasztety.

* U kupcowej, przy ulicy St. Denis, pewna dama, przyjaciółka dzieci, zwróciła uwagę na posępny wyraz twarzy chłopca i dziewczynki, siedzących za kantorem.

— Czemu dzieci pani tak smutne? -- pytała matki.

— Nie nasza w tem wina — odparła kupcowa — dobrze je za to rózgą ćwiczymy.

* Matka strofuje niegrzeczne dzieci; na co odpowiada jej 6-letni Henio: „Moja mamo!“ powinnaś być kontenta, żeśmy cię wzięli za matkę, a nie inne jakie daleko gorsze dzieci!“

* Było lato. Zaledwiem wysiadł z pocztowej bryki, dostrzegłem ciągnięty przez siwego jak gołąb' staruszka, wózek, w którym dwoje małych dzieci siedziało. Przypatruję się pilniej.. Tak, to on, ojciec byłej panny Zofii, a teść Franciszka! Poznaliśmy się od razu i padłszy sobie z krzykiem w objęcia zapłakaliśmy jak dwa bobry.

Po tkliwem powitaniu zapytałem staruszka.

— Cóż to, jegomość dobrodziej już wnuki obwozi po świecie? Czy to bliźnięta?..

— A bliźnięta! mój acan dobrodzieju, wyseplenił starowina. Przypatrz się im dobrze, jakie to podobne bestyjstwo, jak dwie krople wody! Jeden starszy od drugiego o 10 minut, ot ten, co ma kokardę szafirową to Jan Kanty — starszy, a ten co ma niebieską, to Jan Nepomucen — młodszy.

— Dobrzeście zrobili, przypinając im te kokardy, rzekłem, bo inaczej chybaby ich rodzona matka nie poznała!

— Ba! mój acan dobrodzieju, tak też i było nawet. Jednego razu pogubili kokardki na spacerze i ani rusz ich poznać. Wołasz... Jasiu... idą obaj. Szukasz znamienia, obaj mają jednakowe, w formie gruszki na... (to mi dziadek coś do ucha szepnął). Pytamy się niańki: — nie poznaje, wołamy matki, a ta w krzyk!.. Dopiero Franuś wywiódł nas z kłopotu, zważywszy obu, bo widzisz, acan dobrodziej, ten niebieski waży 17 łutów więcej od szafirowego, choć młodszy... tak młodszy o 10 minut!.. No, ale wejdźmyż do domu, ciągnął starzec. Hej!.. jest tam kto? znieście rzeczy pana!..

Na to wołanie ukazała się jakaś kobieta, widocznie piastunka, a przy niej dwu chłopczyków, może sześcioletnich i znowu niesłychanie podobnych do siebie.

— Czy i to bliźnięta, dziadku? – pytałem już trochę zdziwiony.

— A tak, bliźnięta. Ten oto z kokardą ciemno-zieloną, to Maciej, o 3 minuty starszy od tego z jasno-zielonym fontaziem, od Mateusza. Przed dwoma laty jeden zgubił kokardę i wziął braterską; jak zaczęli opowiadać i objaśniać, tak wszyscy potraciliśmy głowy, bo w dodatku chłopaki mylą się co do swoich imion. Co tu robić, jak tu poznać? Zachodziliśmy w głowy, bo i znaki szczególne mają jednakowe; płomyk w formie baraniego rogu na... (tu mi stary szepnął coś do ucha). Jednem słowem był kłopot nie mały, na szczęście jednak Franuś przypomniał sobie, że Maciej bał się jednego urzędnika, a Mateusz go lubił; trzeba jednak zdarzenia, że urzędnika przenieśli do innej miejscowości. I cóż powiesz? Musieliśmy o 15 mil dzieciska dla sprawdzenia wozić i przez dwa tygodnie zgryzoty się najeść. Ach! Boże, daj świętą cierpliwość!..

Tymczasem ukazała się i pani domu bez męża, bo Franuś o tej porze drzemał i nie lubił, aby go budzono. Utyła, wyładniała kobiecisko i szczerze przywitała się ze mną, swoim swatem.

— A, kochany kuzyn!.. a jakżem szczęśliwa, żeś też o nas nie zapomniał, po tylu leciech! i tak wykrzykując rzewnie płakała.

Uściskałem ją i ucałowałem a w trakcie tego nadeszła i trzecia para bliźniąt, w wieku lat dziewięciu.

Zdumiałem na ten widok, matka westchnęła, a dziadek ręką kiwnąwszy rzekł:

— Z temi mamy największe zmartwienie, bo nie wiemy, który z nich starszy a który młodszy; który Piotr a który Paweł. Różnica w ich wieku wynosi 8 minut; do piątego roku nosili kokardy — jeden różową, drugi amarantową, ale imion ich nikt na pewno nie wiedział, tem więcej oni sami. Trafiło się, że poczęli raz zamieniać między sobą kokardy, wreszcie pomieszało się im w głowach i z płaczem przyszli do matki. Nieszczęście chciało, że różowy miał tego dnia dostać od ojca wnyki, oba więc przyznawali się do amarantowego koloru i to jeszcze bardziej zaplątało sprawę. Próbowaliśmy wszystkich środków, ale wszystko na nic, bo i te dzieci mają znaki szczególne jednakowe, po 6 palców u prawej nogi. Przyszło wtedy ojcu na myśl, że amarantowy lubił świeże poziomki, a różowy ich nie lubił; że to jednak była zima, a sok i suszone poziomki jedli obaj jak najęci, trzeba więc było sprawdzenie odłożyć do wiosny. I cóż powiesz moje serce? Nadeszła wiosna, ale obaj chłopcy tak się przyzwyczaili do soków i suszków, że potem jedli świeże poziomki bez różnicy w apetycie, a przez te kilka miesięcy niepewności do reszty zapomnieliśmy o różnicy między nimi!..

Tu umilkł dziadek głęboko wzruszony, a kuzynka Zofija dodała:

— Dzięki Bogu, że Franio rozstrzygnął wątpliwość przynajmniej co do tych czterech młodszych, inaczej dopiero mielibyśmy w domu Sodomę i Gomorę!..

Bolesław Prus. (p. str. 108).

I.

* Po zielonej murawie
Jaś i mała Marylka
Uganiali ochoczo
Aby złowić motylka.

Lecz motylek płochliwy
Ot! zwyczajnie, niestatek —
Z trawki latał na trawkę,
Z kwiatka latał na kwiatek.

Wreszcie skrzydeł brylanty,
Rozwinąwszy do lotu,
Znikł z przed oczu dzieciaków,
Bez nadziei powrotu.

Lecz nim zniknął — przez chwilę
Jeszcze zdala się świeci...
Więc za złotym motylkiem
Rozpłakały się dzieci. —

II.

Pan Jan grywa na giełdzie,
Pani Maryja się kocha —
On bogatym bankierem
Ona strojna i płocha.

Lecz fortuna, jak mówią,
Ciągle kołem się toczy.
Plutus srogim jest bogiem,
Amor — słaby na oczy.

Pan Jan przegrał na giełdzie,
Maryję zdradził kochanek —
I tak poszli z torbami
I Marylka i Janek.

Więc pod pachę z rozpaczą,
Wziąwszy resztę rupieci,
Za bankowym motylkiem
Rozpłakały się — dzieci

III.

Hej na łóżku szpitalnem
Jan wywraca się we śnie
A na drugiem Marylka
Blada, jęczy boleśnie;

On rozbudził się ze snu —
Ona jęczeć przestała,
I on na nią spoglądał,
Ta na niego spojrzała.

I podnieśli się razem,
Ze szpitalnej pościeli —
I coś cichym do siebie,
Głosem szeptać poczęli.

I mówili do siebie,
O dziecinnych swych latach,
O gałązkach o ptaszkach,
O miłości i kwiatach.

I o świata motylku,
Co tęczowo tak świeci,
Za motylkiem przy śmierci
Rozpłakały się dzieci.

Bolesław Czerwiński.

* *Z dziecinnych igraszek.*

On był sobie chłopaczek malutki —
Ona była dzieweczką malutką,
Dwoje dzieci — on bratek drobniutki
Ona drobnym kwiatuszkiem, stokrótką...

Między dziećmi znajomość tak łatwa,
A na jednem mieszkali podwórku —
Ona miała laleczkę prześliczną,
On ślicznego pajaca na sznurku.

I mówili do siebie naiwnie,
Że się pajac pobierze z laleczką,
I że kochać się będą przedziwnie,
Tak zupełnie, jak ojciec z mateczką.

Ba! — mówili i o tem, że trzeba
Kupić dla nich kołyskę malutką...
I paplali ze sobą jak starzy...
On był bratkiem, a ona stokrótką!

Naradzali się bardzo poważnie:
Jak wesele wyprawią ichmości;
Że zaproszą i tatę i mamę,
I Dyjankę, i Burka na gości;

Ona chciała koniecznie na gody
Zabrać stare kurczęta, kokosze —
A na godach, nie żarty, pierniczków
Miano podać za całe trzy grosze!...

Szczęścia było bez wagi i miary,
Całe pół dnia szczebiotu i krzyku,
I narady, jak salon urządzić
Państwu młodym na starym śmietniku.

Pajac młynka wywijał nogami
I we dzwonki się natłukł niemało;
Lalka była poważną, jak zwykle
Pannie młodej przed ślubem przystało.

No i było wesele wesołe,
Nawet mówek nie brakło, oracyj!...
Burek tylko się trochę podrapał
Z kotką Misią przy końcu kolacyi.

* * *

Latek sporo minęło, aż w końcu...
Dziwnie w życiu się kolej obraca:
Ona sama stała się laleczką,
On wziął rolę swojego pajaca.

I znów było wesele wesołe:
Psotom dzieci los taki dał skutek.
Los ten czasem prawdziwą łaskawość,
Ma dla bratków i małych stokrótek.

n...

Dziekan.

Pan Jan. Wicek! a otwórz no kołowrót panu dziekanowi.

Wicek. A cóz to, wej, dziekon.

Pan Jan. To widzisz chłopcze, taki profesor, co wszystko umie.

Wicek. A to pewnikiem i otworzyć potrafi.

Dzieło sztuki.

* Rzadko powstają w czasach, zajętych wyłącznie polityką, dzieła sztuki. W całem znaczeniu tego słowa, poeta żyjący w takich chwilach, podobny jest do żeglarza na burzliwem morzu, widzącego na dalekim brzegu klasztor, wzniesiony na skale wyniosłej: białe zakonnice stoją tam i śpiewają. ale burza głuszy ich śpiew.

H. Heine. (p. str. 26).

Dziennik.

* *Z dziennika młodej mężatki.*

Gdy pomyślę, żem cię już miała zamiar wrzucić w ogień, mój skarbie kochany, musiałam być nierozsądną. Komuż mogłabym się teraz zwierzyć? Komuż miałabym opowiedzieć owe tysiączne drobnostki, z których szydzi świat cały, gdybym cię nie miała, mój drogi, mądry dzienniczku.

Dzisiaj wieczór np. byłam sama przy stole. Feliks jadł obiad po za domem. Komużbym się miała przyznać, że jak dziecko płakałam na widok baraniny, przyrządzonej do jego smaku i dużego noża, który zwykle leży przy jego talerzu? Komuż mam to powiedzieć, iż, żeby się nieco pocieszyć, piłam z jego kubka, który mi jest tak miłym?

Gdybym to chciała opowiadać, w oczy parsknięto by mi śmiechem. Nawet ojciec Cypryjan, którego serce przepełnione łagodnością i delikatnem uczuciem, powiedziałby:

— Daj pokój temu, kochane dziecko, daj pokój!

Tak, tak, znam O. Cypryjana. Ty zaś, mój kochany dzienniku, słuchasz mię ilekroć przyjdę, a gdy łzę uronię, to połykasz ją przyjaźnie i zachowujesz jej ślad, jak mąż z sercem. Za to też kocham cię także.

A ponieważ teraz zaprosiliśmy się *tête-a-tête*, porozmawiajmy z sobą. Nie weźmiesz mi tego za złe, moja perło, że piszę ołówkiem. Widzisz, że siedzę tak wygodnie w mem karle — a boję się plam atramentowych... Na kominku trzaska ogień — na ulicy cicho. Zapomnijmy, że Feliks wróci dopiero koło północy i zajmijmy się nieco przeszłością.

O tych pierwszych miesiącach ukochanej przeszłości nie mogę pomyśleć bez śmiechu na twarzy lub łez w oku.

Byliśmy głupcami! Było to uroczem...

Pozwoliłabym sobie powiedzieć, że jest pewien sposób nauki pływania, który nie jest najgorszym. Polega on na tem, że przyszłego pływaka wrzuca się po prostu do wody i poleca się go Panu Bogu. Zapewniają mię, że uczący się już po pierwszej takiej lekcyi trzyma się na powierzchni wody.

Widzę teraz, że uczą nas prawie tą samą metodą zostawać żonami. Czy małżeństwo jest szczęściem, czy nieszczęściem, o tem dużo można mówić: ale zaiste jest ono burzą, orkanem, czemś niesłychanem i gwałtownie porywającem.

Z dnia na dzień wszystko zmienia swą postać i barwę bez żadnego przejścia. Starannie ubrany kawaler, z krawatem i rękawiczkami, zbliża się nagle do nas w szlafroku. Co było zakazanem, teraz jest dozwolonem: księga ustaw zmieniła swoją fizyjognomiję, a nawet słowa nabierają znaczenia, jakiego przedtem nigdy nie miały itd. Przez to jednak nie chcę powiedzieć, ażeby to wszystko dobrze zebrane, strasznem było. Kobieta, która ma głowę i serce na swojem miejscu, wytrzyma nawał tych nowych stosunków i nie umrze z niego; ale i najsilniejsze natury tak są tem odurzone, że otwierają nos i usta i pośród tej zupełnie obcej sytuacyi przybierają taką pozycyję, jak biedny łakomy chłopiec w wielkich magazynach delikatesów. Jeszcze nie śmie próbować wszystkich tych przysmaków, chociaż się go do nich zaprasza; mieliby nań apetyt, ale cały ów wspaniały owoc podają im dopiero od niedawna, tak, że przebija w nim jeszcze coś z niedojrzałego i zakazanego owocu. Zbliżamy się, zginamy się przy nim, ale nie śmiemy jeszcze ukąsić.

Wreszcie cóż to szkodzi?

Cóżby było z naszych wspomnień, gdybyśmy wchodziły do małżeństwa jak do młyna, gdybyśmy nie zadrżały przy zapukaniu do drzwi? Ach, wspomnienie jest czemś tak uroczem, iż nieraz możnaby przyszłość ozdobić szatami przeszłości.

Pamiętam to jeszcze, tak jak dzisiaj, było to dnia drugiego po wielkiem zdarzeniu. Weszłam

do jego pokoju, nie przypominam już sobie z jakiego powodu — może tylko dlatego, by tem wejściem oznajmić moją godność, jako żony... Tak pragnie się tego... Gdy się przychodzi z kościoła, coby się za to dało, by wyglądać „dawno zamężną!“ Wdziewa się czepeczki ze wstążeczkami, kaszmiry starszych mężatek, mówi się „u mnie w domu“ albo „u nas“ (co za urocze słowa!) a gdy się to wymówiło, przygryzamy wargi, by się nie śmiać z samych siebie. A jak to pięknie brzmi: „mój mąż“ i „moja pokojówka!“ Ach, pierwszy obiad, na którym się zapomina o rosole! Wszystko to jest wzruszającem, i jak początkowo niewygodnie się czujemy w tych nowych sukniach, tak mimo to dumne z tego jesteśmy.

Weszłam więc do pokoju mego męża, który siedział właśnie przed zwierciadłem w bardzo lekkiem odzieniu i golił się w bardzo prozaiczny sposób.

— Ach, wybacz, kochane dziecko — rzekł z uśmiechem i podniósł znowu pędzel, pokryty zupełnie białą pianą — pozwolisz, że się będę golił dalej? Czy sobie czego życzysz?

— Przeciwnie, chciałam zajrzeć, czy ci czego nie potrzeba... I w wielkim kłopocie (gdyż bałam się być nieskromną i nie wiedziałam, czy w ten sposób można wejść do pokoju męża) dodałam naiwnie:

— U twych koszul są przecież guziki, nieprawda?

— Patrzcie, ożeniłem się z małą uroczą gospodynią! Ale moja duszko, nie troszcz się o takie drobnostki, polecę twojej pokojówce, by należycie skontrolowała moje guziki.

Zarumieniłam się. Obawiałam się, by mnie nie uważał za zbyt prostoduszną. Tymczasem rozrabiał mydło pędzlem na pianę. Chciałam odejść, ale byłam tak bardzo interesowaną tym nowym widokiem męża, że nie miałam do tego odwagi. Jego włosy—nosi krótkie włosy, bo regulamin nakazuje to ludziom wojskowym — jego włosy spadały dość gładko, a za uchem miał wolne miejsce, które wydawało się bardzo białem i delikatnem. Zaraz przyszło mi na myśl, że gdybym kiedy nabrała odwagi, w to miejsce całowałabym go najczęściej...

Naraz się powstrzymał. Zdało mi się widzieć, że się bał robić komiczne wrażenie swą namydloną twarzą, ale nie miał słuszności. Drżałam z dumy, że się znajduję w pobliżu męża, podczas tak czysto męzkiej czynności. Pragnęłam, by się golił dalej bez przeszkody, chciałam widzieć, jakby się zaczynał golić, nie naruszając swych wąsów, a przytem jakby czesał włosy i szczotkował głowę dwoma wielkiemi, okrągłemi szczotkami, które widziałam tam na stole i do czego służyły wszystkie te małe narzędzia, które szeregiem leżały na marmurowej płycie: nożyczki, obcążki, flaszeczki ze srebrnymi korkami i t. d. Bawiłoby mię, gdyby podczas rozmowy zajmował się swymi palcami i paznokciami.

— Moje dziecko — rzekł z uśmiechem — czemuż się mi tak przyglądasz?

Natychmiast spuściłam oczy. Czułam jak mi występowały na twarz rumieńce. Było mi bardzo niemiło w tem nowem otoczeniu, chociaż mi sprawiało wielką przyjemność. Nie wiedziałam co mam, odpowiedzieć i machinalnie zmaczałam koniec palca w małej porcelanowej czareczce, w której pieniło się mydło.

— Co ci brakuje, me serce? — rzekł, zbliżając swą twarz do mojej. — Czym ci wyrządził jaką przykrość?

Nie wiem, jak ta myśl przeleciała mi przez głowę; ale szybko wyciągnęłam rękę z miseczki i dotknęłam nią nosa mego męża, walając go pianą. Roześmiał się na głos, a ja również; ale przez jaką sekundę byłam w obawie, że się pogniewa.

— Ach, tak traktujesz kapitana! — zawołał — odpokutujesz to mała figlarko. I ze zmaczanym pędzlem gonił mię po pokoju. Biegałam około stołu, zasłaniałam się krzesłami.

Schwycił mię wreszcie. Walka była straszną. Nic nie pomógł mój krzyk, ni prośba.

Straszny pędzel z matematyczną dokładnością spadł mi na twarz.

Dzięki Bogu, mój Feliks uczynił to łagodnie, zadowolnił się zrobieniem białej plamki na brodzie i patetycznem wykrzyknięciem: — Kawaleryja pomszczona!

Teraz chwyciłam znowu pędzel i rzekłam bardzo grzecznie:

— Mężulku, pozwól mi namydlić sobie brodę!

Ach, miałam chęć!... Zamiast odpowiedzi zwrócił się ku mnie twarzą. Gdy widział, że musiałam stanąć na końcach palców i oprzeć się na jego ramieniu, ukląkł przedemną i oddał mi swoją głowę na łaskę i niełaskę.

Schylałam więc końcami palców jego twarz na prawo, na lewo, na przód, w tył i wśród głośnego śmiechu mydliłam go tak, że piana wokoło leciała. Ach, jaką rozkosz mi to sprawiało widzieć mego żołnierza tak posłusznym, jakby był dzieckiem! Nie wiem, cobym dała za to, gdyby w tej chwili miał na sobie szablę i ostrogi. Nieszczęście chciało, że był jeszcze w pantoflach.

Mydliłam mu czoło, nos, on zamknął oczy, objął mię obiema rękami i rzekł:

— Nie żenuj się, żonko, nie żenuj, tylko mi ust nie mydlij, to wszystko, o co proszę.

Dziwne to! W tej chwili owładnęłe mną ciekawe uczucie. Smutek ustał nagle, wstydziłam się, żem się bawiła z mężem jak dziecko z lalką.

— Czym naiwna! — rzekłam sobie — a on, jaki on dobry!

Rzuciłam pędzel na ziemię. Czułam, jak się mi oczy łzawiły — i, słowo daję, uniesiona nagłą czułością, schyliłam się ku niemu i pocałowałam go w barki, gdyż to tylko miejsce było jeszcze wolne. Jego ucho było tak blizko mnie, że wargi moje same niemal przez się poruszały się. Szepnęłam mu cichutko: „nie gniewaj się... kochany... mężu!“ A ponieważ wzruszenie i żal mną zawładnęły, dodałam: „Kocham cię, mężulku, kocham cię“.

— Kochane dziecię — rzekł, zrywając się nagle. Głos jego drżał. Ach, jaka to wzruszająca chwila! Na nieszczęście, ach tak! na wielkie nieszczęście, nie mógł swej namydlonej twarzy zbliżyć, by mię pocałować. — Czekaj, czekaj, ma duszko — rzekł, biegnąc do miednicy — czekaj chwilkę...

— Mój Boże! To obmywanie zdało mi się trwać wieki!...

Dziennikarska nieomylność.

* Pan jakiś wchodzi do biura jednego z angielskich dzienników i chce widzieć się z redaktorem.

— Panie — powiada — dziennik pański zamieścił w ostatnim numerze fałszywą wiadomość.

— Nie może być, mój panie.

— Napisałeś pan, że pan N. był sądzony?

— Nie inaczej.

— Skazany?

— No tak.

— Powieszony?

— I to prawda.

— Nie panie, to nie jest prawda, gdyż to ja jestem panem N.

— Nie może być.

— Tak jest, mam honor to panu powtórzyć, ufam, że pan odwołasz wiadomość.

— Ani myślę, mój panie.

— Jakto, pan nie myślisz tego uczynić, ciekaw jestem jakiem prawem?

— Powtarzam, że nie zrobię tego.

— Zaskarżę pana.

— Jak się panu podoba, ale ja nigdy nie odwołuję tego, co raz powiedziałem. Mogę tylko to zrobić dla pana, iż ogłoszę w dzienniku, że sznur, na którym pana wieszano, urwał się i że pan ocalałeś.

Dziennikarstwo amerykańskie.

Redaktor Lawing'u, Memfis, w następujący łagodny sposób traktuje korespondenta, który go dotknął jako radykała. „Gdy ten płaz, z czar-

nem sercem, napisał swe pierwsze słowo, gdy był już w środku zdania, gdy swe *i* punkcikami, a swe *t* kreskami opatrzył i nagryzmolił swą parodyję, wiedział, że wysmażył zdanie przepełnione podłością a przegniłe oszukaństwem".

Exchange.

* Mój lekarz zalecił mi klimat południowy, jako lekarstwo, dzięki czemu wyjechałem do Tennessee i otrzymałem tam miejsce współpracownika przy dzienniku: *Jutrzenka sławy i okrzyk wojenny Johson County*. Obejmując moje stanowisko, zastałem redaktora siedzącego na fotelu, z nogami spoczywającemi na jodłowym stole. W pokoju stało także drugie krzesło z miękiego drzewa i jeszcze jedno z amputowaną nogą, lecz oba były zasypane i pogrzebane w mnóstwie dzienników, pasków i manuskryptów. Prócz tego była w tym pokoiku drewniana spluwaczka, napełniona resztkami cygar, prymką i nareszcie piec, którego drzwiczki zaledwie trzymały się na górnej zawiasie. Główny redaktor miał długi, czarny surdut i białe, płócienne spodnie. Jego buty były zgrabne i wyczyszczone. Koszula haftowana. Na palcu ujrzałem wielki pierścień do pieczętowania, na szyi vatermördery starofrankońskiego kroju i kolorowy krawat ze zwieszającemi się końcami na piersi. Kostyjum ten był modny około 1848 roku. Palił cygaro i głęboko rozmyślał nad wynalezieniem jakiegoś zdania, ręką tarł włosy, rzucał straszliwym wzrokiem wokoło, z czego wnosiłem, że zamierza napisać artykuł wstępny. Powiedział mi, bym przejrzał dzienniki i napisał coś o „duchu dziennikarstwa w Tennessee", w którym to artykule miało się wszystko mieścić, co jest interesującego w innych pismach.

Napisałem:

Duch dziennikarstwa w Tennessee.

„Redaktorowie *Półtygodniowego trzęsienia ziemi* zostali widocznie wprowadzeni w błąd w kwestyi kolei żelaznej do Ballyhak. Towarzystwo akcyjonaryjuszów tej kolei wcale nie miało zamiaru Burrardville pozostawić na lewo, przeciwnie, uważa ono tę miejscowość jako jedną z najważniejszych na swej linii — więc nie może jej lekceważyć.

„Panowie z dziennika *Trzęsienie ziemi* zapewne z przyjemnością swój błąd sprostują.

„Pan John W. Blosson, dzielny redaktor *Pioruna i okrzyku wojennego wolności* z Hygginsville przybył wczoraj do naszego miasta i zamieszkał w domu Buren-House.

„Notujemy, że nasz kolega z *Wycia porannego* w Mud-Springs popełnił błąd, kwestyjonując wybór Wertera, lecz prawdopodobnie, zanim go dojdzie nasze sprostowanie, on sam je uskuteczni. Zaszła tu widocznie pomyłka, pochodząca z niedokładności sprawozdania wyborczego.

„Z przyjemnością dowiadujemy się, że miasto Blathersville podjęło rokowanie z kilkoma newyorskimi przedsiębiorcami o wybrukowanie błotnistych ulic swoich. Obywatele tegoż grodu muszą być przygotowani na znaczne trudności przy zawarciu kontraktu, gdyż przykład miasta Memphis, które, po wybrukowaniu swych ulic, nie chciało zapłacić newyorskim przedsiębiorcom przypadającej im należytości, tkwi żywo w pamięci ogółu. Tymczasem *Codzienne Hurrah!* rozprawia o tem, jako o rzeczy pewnej.

„Dochodzi nas przykra wiadomość, że pułkownik Bassoin, redaktor *Okrzyku wolności*, upadł przed kilku dniami na ulicy tak nieszczęśliwie, że złamał nogę. W ostatnich czasach był on bardzo cierpiący z powodu nadmiernej pracy i zmartwienia, wywołanego słabością swej rodziny; domyślają się, że zemdlał z osłabienia, przechadzając się w czasie upału po słońcu."

* * *

Podałem mój manuskrypt redaktorowi, udzielając mu zupełne pełnomocnictwo, do przyjęcia go, zmian lub unicestwienia. Rzucił nań okiem. Twarz spochmurniała mu. Przebiegł oczyma wiersze a rysy twarzy jego stawały się

coraz groźniejsze. Spostrzegłem, że moje wypracowanie nie przypadło mu do smaku. Zerwał się z miejsca i krzyknął.

— Do stu dyjabłów! Czy sądzisz pan, że ja mógłbym w tym tonie pisać o tem bydle? Czy myślisz, że moi prenumeratorzy mogliby znieść tak mdłą strawę? Dajno pan pióro.

Nigdy nie widziałem, by czyjekolwiek pióro tak złośliwie biegało po papierze i tak bez litości wykreślało czasowniki i przymiotniki. W czasie, gdy tak był zajęty pracą, ktoś strzelił przez otwarte okno i zniszczył symetryję jego uszów.

— Ach — rzekł — to łotr Smith... z *Wulkanu moralnego*. Oczekiwałem go wczoraj.

Mówiąc to porwał za rewolwer i strzelił. Smith padł na ziemię trafiony w nogę, a upadając strzelił po raz wtóry, lecz strzał chybił celu i dosięgnął niewinnego. Tym niewinnym byłem ja. Straciłem tylko jeden palec.

Redaktor po tej chwilowej przerwie, zasiadł na nowo do stolika i zaczął wykreślać i przekreślać dalej. Właśnie był u końca mego artykułu, gdy przez rurę od pieca wpadła ręczna bomba; eksplozyja potrzaskała piec, zresztą nie uczyniła żadnych szkód prócz wybicia mi kilku zębów.

— Ten piec jest zupełnie zniszczony — przemówił redaktor. — Zgodziłem się na to w zupełności.

— No mniejsza z tem — obecnie jest on i tak niepotrzebny. Znam sprawcę i złowię go niezawodnie. Oto masz pan wzór, podług którego pisać należy podobne wiadomości. Wziąłem manuskrypt, był on tak dalece opatrzony kreskami, słowami wtrąconemi etc., że rodzona matka nie byłaby go poznała, gdyby wogóle miał kiedy matkę. Teraz brzmiał on jak następuje:

Duch dziennikarstwa w Tennessee.

„Obrzydliwi kłamcy z *Półtygodniowego trzęsienia ziemi* czynią widocznie starania, by narzucić swe podstępne i niecne zamiary szlachetnemu i rycerskiemu narodowi, obrzucając błotem najświetniejszą ideę XIX wieku, t. j. ideę przeprowadzenia kolei do Ballyhak. Pomysł pozostawienia Burrardville na lewo zrodził się w ich własnej wstrętnej mózgownicy, a raczej w tych szumowinach, które oni za rozum uważają. Najlepiejby uczynili, połykając to kłamstwo, jeśli chcą uniknąć kijów, wymierzonych na ich trupie cielsko, na co te płazy oddawna zasłużyły.

„Ten osioł Blosson, wiercipięta z *Piorunu i okrzyku wojennego wolności* w Higginsville, kręci się w naszem mieście.

„Notujemy, że ta głupia, owcza głowa z *Wycia Porannego* w Mad Springs, ze zwykłą sobie skłonnością do kłamstwa, puszcza w świat bajkę, jakoby van Werter nie został wybranym. Wzniosłym celem dziennikarstwa jest posiew prawdy, niszczenie błędów, wychowywanie, kształcenie, uszlachetnianie publicznej moralności i obyczajów, doprowadzanie ludzkości do coraz łagodniejszych form, doskonalenie jej w cnocie dobroczynnej, jednem słowem — posuwanie jej pod każdym względem do doskonałości, świętości i szczęśliwości, a ten podły łotr z pod ciemnej gwiazdy, kala to wysokie posłannictwo szerzeniem kłamstwa, oszczerstwa, łajaniem i gminnem wymyślaniem.

„Blatherville chce mieć brukowane ulice — a zapomina, że raczej potrzeba mu więzienia i domu przytułku. Co za myśl, zaopatrywać w bruki, taką lichą mieścinę której wspaniałe budynki redukują się do lichych dwu gorzelni, kuźni i tej wizykatoryi dzienniczków, zwanej *Codziennym Hurrah*. Dlaczego nie pożyczą sobie bruku z Memphis? Ten pełzający owad, nazwiskiem Buckner, który redaguje *Hurrah*, wrzeszczy jak dziki osioł, plecie niedorzeczności i jest przekonany, że mówi rozsądnie!!?“

•

• •

— Oto masz pan dziennikarską receptę — trochę opieprzoną — rzekł redaktor. — Wasz ckliwo mleczny sposób pisania przyprawia mnie o mdłości.

W tej chwili wpadła przez okno do pokoju cegła, rozbiła okno i uderzyła mnie silnie w plecy. Cofnąłem się z linii bojowej — zacząłem pojmować, że stoję komuś na drodze.

Redaktor rzekł:

— Prawdopodobnie był to pułkownik. Oczekuję go od dwóch dni. Teraz wejdzie.

I sprawdziło się. Drzwi się otworzyły a pułkownik, z dragońskim rewolwerem, stanął na progu i przemówił:

— Mój panie, czy mam zaszczyt mówić z mamką, która redaguje ten parszywy dziennik?

— Tak jest, pan masz ten zaszczyt. Siadaj pan, lecz ostrożnie, bo to krzesło ma tylko trzy nogi. Sądzę, że spotkał mię ten zaszczyt mówienia z zarozumiałym łotrem, pułkownikiem Blathershite Tecumsch?

— Ja nim jestem. Chciałbym z panem zagrać w kogucika, jeśli masz pan czas, to zaczynajmy.

— Mam wprawdzie ukończyć artykuł o dobrze wróżącym postępie oraz rozwoju intelektualnym i moralnym w Ameryce, ale to nic pilnego. Zaczynaj pan.

W tejże chwili rozległy się dwa strzały. Mój redaktor stracił jeden lok ze swej głowy, a kula pułkownika zakończyła swój bieg w mięsistej części moich lędźwi.

Pułkownik został lekko raniony w lewe ramię. Strzelili po raz wtóry. Obaj chybili, lecz ja odebrałem należną mi część, a mianowicie strzał w ramię. Przy trzecim strzale obaj panowie się ranili, a kula naruszyła mi piszczel.

Wówczas przemówiłem, że uważam za stosowne wyjść z pokoju i zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, gdyż jest to prywatna rozmowa, a ja przez delikatność nie chcę być dłużej tejże świadkiem. Lecz obaj panowie prosili mnie, abym siedział cicho na miejscu i zapewnili, że nic im wcale nie zawadzam. Ja byłem innego zdania. Następnie rozmawiali o wyborach i tegorocznych zbiorach, a ja opatrywałem i zawiązywałem moje rany. Lecz wkrótce rozpoczęła się znów strzelanina, a każdy strzał trafiał i nie mogę zamilczeć, że pięć do sześciu kulek dosięgło moją osobę. Za szóstym wystrzałem pułkownik został śmiertelnie ranny i uczynił dowcipną uwagę, że teraz musi powiedzieć „dobrej nocy“ i odejść, gdyż powołują go ważne interesy. Następnie dowiedział się o pomieszkaniu grabarza.

Redaktor zwrócił się do mnie i rzekł:

— Czekam dziś z obiadem na liczne towarzystwo, muszę więc wydać odpowiednie rozporządzenia, będę panu bardzo obowiązany, gdy zechcesz przeczytać korektę i obsłużyć odwiedzających.

Na myśl obsługiwania takich wizytujących trochę zadrżałem, lecz, dzięki wysłuchanej i odczutej kanonadzie tak upadłem moralnie, że nawet nie pomyślałem o odpowiedzi.

Redaktor mówił dalej:

— Jones będzie tu o godzinie trzeciej, obij go pan porządnie. Gillespie może wcześniej przyjdzie, wyrzuć go pan za okno. Ferguson przyjdzie o czwartej, zabij go pan. Jeśli zostanie panu trochę wolnego czasu, napisz piorunujący artykuł o policyi, daj tam kilka gorzkich pigułek do przełknięcia nadinspektorowi. Kij leży pod stołem, broń palna w szufladzie, amunicyja tam w kącie, płótno i bandaże na górnych półkach. Jeśliby pana coś przykrego spotkało, zejdź pan na dół do chirurga. On anonsuje się w naszym dzienniku, więc zrównamy nasz rachunek.

I poszedł. Ja zadrżałem. W ciągu przebytych tu trzech godzin, przeszedłem tyle niebezpieczeństw, że cały spokój duszy i równowaga moja ulotniły się bez śladu. Gillespie przyszedł pierwszy i wyrzucił mnie za okno. Jones punktualnie stawił się i, gdy zamierzałem wykonać polecenie redaktora, karta się odwróciła i on przyjął na siebie mój obowiązek obicia kijem, ale nie siebie — tylko mnie. Przy spo-

tkaniu się z jakimś nieznajomym, który nie był umieszczony w spisie mych gości, straciłem wszystkie włosy. Inny, również mi nieznany Thompson, rzucił mną w kąt gdzie leżałem jako ruina, jako skład podartych rupieci, nademną szalał tłum redaktorów, nicponiów, polityków i łotrów, wściekali się, klęli niebo i ziemię, wywijając pięściami nad moją nieszczęsną głową i właśnie zamierzałem rezygnować z mej posady dziennikarskiej, gdy zjawił się redaktor w gronie zachwycających i zapalonych przyjaciół. Teraz nastąpiła straszliwa scena, pełna wściekłości i grozy, nie dająca się opisać żadnem piórem, nawet stalowem. Ludzi zabijano, kłuto, siekano, wysadzano w powietrze i za okno; następnie zawyła burza przekleństw, przerywana szalonym tańcem wojennym, a potem wszystko się uciszyło. Po pięciu minutach zapanował zupełny spokój; skrwawiony redaktor i ja patrzyliśmy się na strasznie pokrwawione rumowisko, zaścielające całą podłogę. On rzekł:

— Pan wówczas pokochasz to miejsce, gdy się do podobnych rzeczy przyzwyczaisz.

Odpowiedziałem:

-- Racz pan darować moją śmiałość; jednakże, ja sądzę, iż po dłuższym czasie udałoby mi się pisać podług pańskiego gustu, nawet jestem głęboko przekonany, że nabywszy odpowiedniej praktyki i nauczywszy się języka, pisałbym w żądany sposób. Lecz — prawdę mówiąc — ten rodzaj energicznych wyrazów ma swe niedogodności i naraża na niepokój. Wszak pan sam to widzisz. Bezwątpienia, że ten cięty rodzaj pisania uzacnia publiczność, ale nie lubię zwracać na siebie zbyt wielkiej uwagi. Nie mogę pisać z koniecznym dla mnie spokojem i skupieniem, gdy mi przerywają tak jak dzisiaj. Miejsce to przy dzienniku jest wcale dobre, lecz nie mogę pozwolić na to, abyś mnie pan tu samego zostawiał dla przyjęcia gości. Zdarzenia dnia tego, przyznaję to otwarcie, są w swym rodzaju nietylko nowe, lecz nawet zabawne, jednakowoż podział był niesprawiedliwy. Jakiś pan strzela do pana przez okno a rani mnie; przez piec pada bomba, by zrobić niespodziankę, a *ja* tracę dwa zęby; pański przyjaciel odwiedza pana, celem powiedzenia sobie kilku wzajemnych komplimentów i tak długo *mnie* ostrzeliwa kulami, póki moja skóra nie staje się niezdolną do pokrycia poważnych, moralnych zasad; pan idziesz na obiad a Jones przychodzi z kijem; Gillepsie wyrzuca *mnie* za okno; Thompson zdziera ze *mnie* suknie, a zupełnie mi nieznany pan zabiera moje włosy z poufałością dawnego przyjaciela, i nie mija pięć minut, a prawie wszyscy nicponie z miasta schodzą się w swych malowniczych strojach, by resztki mego ciała nabawiać śmiertelnego strachu. Wszystko rozważywszy, jeszcze nigdy w mojem życiu nie przeżyłem chwil tak obfitych w zdarzenia. Pan podobałeś mi się i także pańska wspaniała metoda wyjaśniania zawiłych kwestyj swym klijentom, ale zważ pan tylko, że ja nie jestem do tego przyzwyczajony. Serce mieszkańców południa jest zbyt namiętne a gościnność aż nazbyt rozrzutna dla obcego. Artykuł, który dziś napisałem, a do którego zimnych zdań wlałeś pan palącego ducha prasy z Tennessee, znów poruszy całe gniazdo szerszeni. Banda owych redaktorów znów przyjdzie a przyjdzie wygłodzona i zapragnie śniadania na pewno. Ja muszę pana pożegnać, muszę odmówić sobie tej przyjemności asystowania przy tych uroczystościach. Przyjechałem na południe, aby pokrzepić nadwątlone zdrowie, dla tejże samej przyczyny muszę wrócić i to natychmiast. Dziennikarskie zatrudnienie w Tennessee jest dla mnie zbyt niepokojące. Poczem pożegnaliśmy się z wzajemną przykrością, a ja zamieszkałem w szpitalu.

Marek Twain. (p. str. 60).

Dzienniki.

* Dzienniki, które przodkowie nasi pisywali, a które służyły jako rodzaj wskazówek do życia praktycznego tak dla mężczyzn jak kobiet, wyszły już obecnie z mody. Teraz mianem

tem nazywamy w najrozmaitszych formach ukazujące się pisma peryjodyczne, czy to politycznej czy belletrystycznej treści. Dzienniki rozpowszechniły oświatę, puściły w obieg pożyteczne wiadomości, obudziły ducha publicznego, a jednakże, mimo tych niezaprzeczonych korzyści, wiele sprawiły złego, wygłaszając błędne lub niebezpieczne zdania, a nawet oszczerstwa i paszkwile; one to zamieniły poważne, naukowe studyja, na lekką, dziennikarską bazgraninę. Tysiące ludzi nie czyta poważnych książek dlatego tylko, że dzienniki są tańsze, zresztą gotowe recenzyje oszczędzają czasu i fatygi myślenia, dopomagając temu, co danej książki nie wziął nawet do ręki, rezonować o niej, jakby ją najstaranniej przestudyjował. Ci gadatliwi wszystkowiedze, tanim kosztem, nabywający treść do swych rozpraw, są wstrętniejsi nawet od gazeciarskich polityków.

Komicznem jest zestawienie tego, co francuzkie dzienniki pisały o powrocie Napoleona z Elby. „Ludożerca (potwór) umknął i widziano go tu i owdzie, nie ujdzie naszym wojskom". „Tyran jest już w Lugdanie". „Bonaparte zbliża się szybkim krokiem". „Napoleon jutro będzie w Paryżu". „Cesarz Napoleon jest już w Fontaineblau". „Wczoraj wieczorem najjaśniejszy pan odprawił wjazd do Tuilerów, wśród nieopisanego zapału całego narodu".

Podczas zamętu politycznego, spowodowanego francuzką rewolucyją, dzienniki wprawiały publiczność w pewien rodzaj obłędu. Wszędzie i na każdem miejscu można je było znaleźć, pomiędzy księgami prawnemi, kazaniami, receptami lekarskiemi. W biurach czytano dzienniki, zamiast pracować; szynki przepełnione były gośćmi, którzy przychodzili czytać je; lekarz, wchodząc do pokoju chorego, zanim dotknął pulsu, chwytał dziennik; nawet kaznodzieje konceptu do kazania szukali w gazetach. Teraz mamy dzienniki poświęcone wyłącznie polityce, nauce, sztukom pięknym, handlowi. Mamy gazety urzędowe i wojenne, ludowe, tudzież poświęcone wyłącznie młodzieży i płci pięknej. Pisma dla inteligencyi, dla mieszczan itd., pisma, poświęcone wyłącznie anonsom o ślubach, śmiertelności, narodzinach i sądzę, że te ostatnie pożyteczniejsze są od politycznych i naukowych. Czy nie miał racyi Arystoteles, nazywając człowieka politycznem zwierzęciem?

Dowcip, humor, plotki miejskie, milkną wobec politycznych rozpraw, każdy uważa się za męża stanu, nie troszcząc się o to, czy ma choć krztę zdrowego rozsądku w głowie, każdy pozwala sobie objawiać swoje niezadowolenie ze stanu rzeczy, który dawniej nie uszczęśliwiał go co prawda, ale też i nie zawadzał mu. Nareszcie rygor państwowy wmieszał się w sprawy dziennikarskie i wynikło z tego, że czas pożerał czasopisma, jak Chronos swoje dzieci, a ludzie pocieszali się słowy Dawida, który je, zapewne trzymając w ręku dziennik, wymówił: „Dlaczego to, co jest znikomem i kłamliwem, wydaje się wam tak miłem?" Czasy, w których wchodząc do hotelu patrzano najpierw na afisze i ogłoszenia, żeby mieć treść do rozmowy przy *table d'hôte*, charakteryzuje karykatura, przedstawiająca klub myślicieli: wszyscy siedzą wkoło stołu z kagańcami na ustach.

Dzienniki są teraz najpospolitszym towarem, ale wystawmy sobie Peryklesa lub Cicerona, w jednej z naszych kawiarni, tem forum nowożytnem, przeglądającego dzienniki z najświeższemi wiadomościami o blizkich i dalekich częściach świata. W wiekach średnich całe państwa znikać mogły z powierzchni ziemi, zanim reszta ludzi o tem się dowiedziała. Wynalazek papieru i druku, rozwinięcie handlu na większą skalę, zaprowadzenie stosunków państwowych, nie były dostatecznym bodźcem do rozpowszechnienia dziennikarstwa. Największe usługi oddały mu poczty, założone przez Ludwika XI. Kto był wiekopomnym wynalazcą dziennika, nie wiemy, ale to wiemy, że dziennik powstał z tak zwanych relacyj piśmiennych, a potem drukowanych. W 1539 wychodziły w Wenecyi „No-

winy“, które na publicznych miejscach rozdawano za opłatą monety zwanej *Gazetta*, ztąd i nazwa pisma powstała. Potem zaczęły się pojawiać dzienniki drukowane przeważnie w Niemczech. W parlamencie angielskim debatowano nad pytaniem: „Czy dzienniki są zbytkiem, czy też potrzebą?“ Musimy zgodzić się na to ostatnie, gdyż pytanie: „Co słychać nowego“ jest starszem od kwestyi, nad którą parlament się zastanawiał. Być może, że nazwa *gazeta* pochodzi od *Gazzetare* (paplać) lub od *Gazza* (sroka). Prawdę powiedziawszy, niejeden dziennikarz zasługuje na nazwę z włoskiego: *Gazzerotto* (niezdara).

Anglija wydaje masę dzienników, a co do dawności, jej dziennikarstwo może z Niemcami walczyć o pierwszeństwo. Już za Elżbiety pojawiały się gazety. Dzienniki londyńskie, piszą przeważnie o rzeczach, o których w Niemczech zaledwie do ucha szeptać się ośmielą; wszystko tam znaleźć można: krytykę surową gabinetu i parlamentu, szykanę prawa i pieprzne anegdotki, miłosne dykteryjki, procesy rozwodowe i ploteczki, które życie domowe i prywatne spokojnych obywateli miasta pod pręgierz stawiają, gdy tymczasem John Bull najważniejszemi wiadomościami ze stałego lądu wcale się nie interesuje.

Niemcy mogą się jeśli nie jakością, to ilością swych pism pochwalić; piszą oni zwykle o tem, co się stało, a nie o tem, co się stać mogło lub nie. W Niemczech kawa bez bułki i papierosa jest tem, czem w Londynie śniadanie bez dziennika.

We Francyi liczba dzienników jest również bardzo znaczną, za to we Włoszech, Hiszpanii i Portugalii zupełne pod tym względem panuje ubóstwo.

Brat Franklina chciał w 1748 r. wydawać dziennik w Bostonie, odradzono mu z powodu, że Ameryka miała już jeden dziennik; obecnie jest ich tam tysiące.

Ubieganie się za nowinami leży w naturze człowieka i jest warunkiem pomyślności gazeciarskiej. Grzechy dziennikarzy, a zwłaszcza przestępowanie ósmego przykazania, spowodowały niemało zażaleń i procesów.

Johnson porównywuje gazeciarzy do ambasadorów, jednych i drugich nazywa uprzywilejowanymi łgarzami z tą różnicą, że poseł jest człowiekiem talentu, który kłamie dla dobra narodu, przez siebie reprezentowanego, gazeciarz zaś jest człowiekiem bez talentu, kłamiącym dla napełnienia swego własnego worka. Dewizą jego jest: „relata refero“.

Dziennikarze.

* Dziennikarz z Kuryjera X. do dziennikarza z Kuryjera Y., który stoi na ulicy i patrzy w niebo.

— Cóż kolega tak patrzysz w niebo?

— Widzisz kolega, ja myślę nad tem, jaki by wynaleźć sposób, żeby sprawozdawca Kuryjera X. nie widział zaćmienia słońca.

Dzień majowy.

* W ogrodzie w wonny dzień majowy,
Mój kuzyn poznał się z Stańczykiem;
A Stańczyk ów, był wielkiej głowy
Mężem i wielkim politykiem.

Dowodził, ile to kraj traci,
Że niechce ślepo iść w ich ślady;
Że ruch we wszelkiej swej postaci
Jest źródłem gwałtu i szkarady;

Że spokój jest jedyna siła,
Co zbawia ludy i narody,
— Nieprawdaż — dodał — jak jest miła
Cisza rozlana wśród przyrody?

— To prawda — rzekł mój kuzyn — święta:
Gdy słyszę w górze gwar i trele,
Wszystkie podusiłbym ptaszęta,
To niepoprawni wichrzyciele.

Mąż Stańczyk spojrzał nań łagodnie,
Poczem uśmiechnął się wspaniale...
A kuzyn mój, we dwa tygodnie
Dyjurnistą został przy Wydziale.

M. Rodoć. (p. str. 125).

Dzierżkowski.

* *Z życia Dzierżkowskiego.*

Dzierżkowski, był to pisarz wytrawny, pełen dowcipu i wesołej dykcyi, czytano go też z wielkiem zajęciem.

W życiu prywatnem, jako człowiek, miał on swoje słabe strony, któż ich niema? Lubił dobrze jeść, wesoło bawić się z młodzieżą, zagrać czasem w karty, nawet grubo. Były to same chwile konieczne, jak sam utrzymywał: „Potrzebuję wrażeń, aby duch mój, co już blademi oczyma spogląda na świat, rozświetlił się, odżył, odmłodniał!“ I zaprawdę, Dzierżkowski do śmierci prawie odznaczał się humorem. Do wielu jego przyjemności należała równie i podróż rzemiennym dyszlem, od dworu do dworu, od komina do komina. Zwykle zajeżdżał do znajomych, bawił dzień lub dwa, nagadał się, naśmiał, nasypał dowcipów i dalej w świat, pod gościnne strzechy Galicyjskie. Bywał też i w miastach, bo na jednem miejscu, dłużej jak dni kilka, przesiedzieć nie potrafił.

Otóż raz, mieszkając jeszcze we Lwowie, Dzierżkowski wstał bardzo rano i, wbrew zwyczajowi, zamiast zasiąść do pracy, zaczął chodzić od okna do okna i bębnić po szybach. Famulus poznał, że pan jego ma coś na wątróbce, a co najprędzej marzy o jakiejś wycieczce. Nie odzywał się przecież, tylko sprzątał.

— Maciej!—zawołał Dzierżkowski, bębniąc po szybie.

— Słucham pana.

— Na dworze pogodnie, piękny czas?

— Jedyna pora do wyjażdżki...

— Co? A to jedźmy!

— Pojechalibyśmy, gdyby...

— Gdyby co? Może brak pieniędzy? Nie turbuj się.

Zatarł ręce, zasiadł do stolika, stylizując list do Dzieduszyckiego, wielce względnego opiekuna i mecenasa.

W kilka godzin później, Dzierżkowski, z nieodstępną fajką w ustach i torebką skórzaną na plecach, wyjeżdżał z miasta.

Ujechali mil kilka, nic nie mówiąc; na drodze znalazło się małe miasteczko Kulikow, sławne miodem. Dzierżkowski stanął kwaterą w Kulikowie. Jak na złość trafił się jeden i drugi znajomy, zabrzękły szklanki, Dzierżkowski nie posiadał się z radości. Weseli biesiadnicy żądali konceptów i figlów, facecyi i dykteryjek, z których ten pisarz słynął.

Dzierżkowski pomyślał trochę, pociągnął się za wąsy jak wiechy i zacierając ręce, rzekł:

— Zapraszam was jutro na posiedzenie hygieniczne.

— Brawo! brawo! Będzie figiel, i śmiejąc się rozeszli.

Po wyjściu kolegów, Dzierżkowski ubrał się i rozkazał służącemu, ażeby, jeżeli się kto o niego zapyta, odpowiedział, że to doktór sławny z Wiednia.

— Ha?—zapytał ciekawy służący.

— Jestem doktór, rozumiesz? o 4-ej po południu.

Po tych słowach oddalił się.

Galicyjanie, znani ze zbytniej ciekawości, ujrzawszy Dzierżkowskiego, zbiegli się hurmem do zajazdu, pytając, kto to taki. Nasz figlarz wstąpił do apteki, potem do cukierni, dalej w sklepie kupił kilka cybuchów i równą liczbę kapciuchów z pęcherza, wszędzie radząc, pytając się, słowem—w parę godzin, cały Kulików brzmiał odgłosem sławy wielkiego doktora z Wiednia.

Kiedy powrócił do zajazdu, już sporo pacyjentów czekało na pana konsylijarza, pomiędzy nimi kilka kobiet.

— Proszę, proszę z kolei, odezwał się Dzierżkowski.

— Ach panie doktorze piersi mnie bolą!

— Ja mam kolki w boku!

— Nie mogę sypiać, nie mam apetytu!

— Doskonale, panie mogą tu znaleźć prędką pomoc, ale dziś niepodobna; jeszczem nie urządził gabinetu. Jutro o 9-ej czekam państwa. Potrzebuję rozpakować pewne przyrządy. Za skutek ręczę, jest to metoda najlepsza,

najpraktyczniejsza — dużo oddychać, a zatem mieć wiele ruchu; piersi to jak miech w warstacie kowala; brak powietrza czystego, przewiewu, że tak powiem, organicznego, wszystko niweczy, człowiek więdnie jak kwiat i zamiera.

Wszyscy jednogłośnie westchnęli i rozeszli się, rozbierając po szczególe pierwsze wyrazy lekarza.

— O to nie byle kto! To sławny doktór. Niech go *szlag* trafi, mówi jak kaznodzieja.

Nazajutrz, zaledwie słońce pozłociło kopuły kościołka, już w ulicach objawił się ruch niezwykły; gromadki ludzi, gwarzyły z sobą głośno, w około zajazdu pełno było wozów i wózków wieśniaczych. W bramie stały trzy panie, strojne w papuzie kolory.

Dzierżkowski tymczasem w stancyi, urządzał jakieś maszyny respiracyjne, ustawione były rzędem krzesła, do cybuchów przymocowane były kapciuchy, sam gospodarz, we świeżej bekieszy, z uśmiechem na ustach, chodził po pokoju, buchając dymem cygara.

Godzina dziewiąta, do drzwi uderzono pierwszy sygnał, rozległy się ciche pukania.

— Proszę! — odezwał się Dzierżkowski.

Weszła niemłoda jejmość, potem druga i trzecia. Po za niemi cały szereg pacyjentów.

— Panowie zaczekają, konsultacyja trwać będzie kilka godzin, nie przyjmuję teraz więcej aż dopiero o 4-ej.

Trzy zatem panie otrzymały upragnioną audyjencyję, reszta zagniewana, niechętna i smutna cofnąć się musiała.

— Co pani brakuje? — pyta pierwszej mniemany doktór.

— Mam ból w piersiach.

— Aha! rozumiem, przerwał Dzierżkowski. Jedno i to samo wszędzie: brak czystego powietrza, brak ruchu, powstrzymane działanie respiracyi. Proszę siadać!

Przy tych słowach wskazał krzesło.

— Pani? — odezwał się do drugiej.

— Ciągle mię mdli, tu w dołku...

— W dołku! Rozumiem. Niech pani siada.

— Ja, panie konsylijarzu—mówi trzecia — dziwne miewam sny, zwłaszcza kiedy jem obfitą kolacyję.

— Dosyć!—zawołał lekarz. — Brak ruchu! Brak ruchu!

Trzecia z dam, z kolei zasiadła na krześle.

Dzierżkowski z uroczystą powagą wziął trzy cybuchy i wręczył je z kolei damom.

— Może się dziwnem paniom zdaje, że bez dalszych egzaminów, zabieram się do kuracyi; ale, drogie obywatelki, zaufanie u doktora, to już pierwszy krok do wyzdrowienia. Nie kazania długie, nie kwarty i garnce, jakichś tam płynów wlewanych do żołądka, usuwają choroby, ale bystre pochwycenie przyczyn, zarodków, słabości uzdrawia. Kiedy pierś swobodnie oddycha, i krew swobodniej krąży—krążenie krwi, oto życie, oto zdrowie!

Te mizerne narzędzia, nie jednemu powróciły już utracone siły odżywiania. Patrzcie panie! zwykły cybuszek i kapciuszek, rzecz bardzo prosta a jakież kolosalne sprowadza skutki.

Więc, w imię Boże, bierzcie panie w usta cybuchy!

Panie wetknęły sobie w usta pieprzowe dudki.

— Teraz zwolna dmijcie w nie — niech się pęcherz wypełni powietrzem nieczystem. Dmijcie panie! Śmiało! Mocniej! Choćby miał pęknąć!

Babinki poczerwieniały.

W tej chwili weszło kilku znajomych, zamówionych przez Dzierżkowskiego w dniu wczorajszym, a ujrzawszy trzy jejmoście, z cybuchami w ustach, nadęte jak banie, czerwone jak buraki, parsknęli śmiechem. Damy zawstydzone wypuściły z ust zbawcze narzędzia. Sam Dzierżkowski od śmiechu wtrzymać się nie mógł.

Pacyjentki, zrozumiawszy widocznie figiel, co tchu uciekły z pokoju a na podwórzu wkrótce rozległy się głośne krzyki.

— Oszukaniec! Faryzeusz! Konował!

Po okrzykach uderzono szturmem do drzwi. Na szczęście były zamknięte i mocne— Dzierżkowski przez okno ratował się ucieczką.

Zawinąwszy poły bekieszy, przesuwał się szybko ogrodem, potem drapnął w pole, a w zajeździe, jakiś kolosalnej postawy galicyjanin, groził pięścią i krzyczał na całe gardło:

— A to łajdak! Żonie w cybuch dąć kazał. I to głupie cielę dęło a dęło!

Obecni parsknęli głośnym śmiechem, śmiał się cały zajazd, śmiano się po ulicach, w całem mieście śmiech był ogólny i jeszcze w kilka tygodni, kto sobie przypomniał o komicznej awanturze, od śmiechu wstrzymać się nie mógł. Od owej chwili zajazd Kulikowski stał się sławnym, właściciel sporo zgarniał reniów, a nawet przez wdzięczność dla Dzierżkowskiego, uwiecznił ową awanturę, tak dlań zyskowną—na szyldzie wjazdowym.

Dzierżkowski często rozpowiadał ową przygodę, dodając, że drżał na całem ciele, kiedy posłyszał groźne słowa oburzonych galileuszów! *S. M.*

Dziewczęta.

* Przed laty, cnoty, talenta,
Były dziewcząt zaletami,
Dziś choć je mają dziewczęta,
Gdy gołe, umrą pannami.

* Wiesz co ładna dziewoja, co jest ładna dworka?
Raj oczu, piekło duszy a czyściec dla worka.

Minasowicz Józef, ur. w 1818, protegowany biskupa Załuskiego, wierszopis, ogłosił drukiem przeszło 50 prac oryginalnych i tłómaczonych, między któremi ciętych rymów polskich sporo.

* Sól i mróz strzegą mięsa, żeby w niem się Robaki nie zalęgły, ale to dzieweczce [w beczce
Oboje nie pomoże (dokładam swawolny)
Choćby na mnie wysypał cały bałwan solny.
Tak w styczniu, jako w czerwcu, tak w lecie, [jak w zimie.
Zawsze się jej gadzina, zawsze robak imie.
„Argenida“ Potocki.

* Nic lepszego nad serce młodej dziewicy i masło świeże; szkoda tylko, że jedno i drugie jełczeje, starzeje się i nabiera goryczy. Młode dziewczęta są jak kwiaty, stare kobiety jak owoce: pierwszych dotkniesz się nie straciwszy świeżości, drugie przez samo zbliżenie udzielają zgnilizny.
Jan Paweł Richter.

* Strumyk lubi w dolinie,
Sarna lubi w gęstwinie,
W gaju lubi ptaszyna;
Lecz dziewczyna... Dziewczyna!
Lubi gdzie niebieskie oko,
Lubi i gdzie czarne oko,
Lubi gdzie wesołe pieśni,
Lubi i gdzie smutne pieśni;
Sama nie wie, gdzie lubi,
Wszędzie serce zgubi.
Stefan Witwicki.

Dzionek obywatelski.

* — Pietrek! która godzina?
— Po jedenastej panie.
Nakrojona wędlina,
Zastawione śniadanie...
— Co na dworze dziś rano?
— Deszczyk pada niewielki...
— Przepadło moje siano!
Dobądź z szafy butelki.

— Pietrek! która godzina?
— Kwadrans na pierwszą panie.
— Jeść mi się chcieć zaczyna,
Dalipan niesłychanie.
Co na dworze — pogoda?
— Deszczu ani kropelki...
— Nie ma deszczu, to szkoda!
Daj mi z tamtej butelki...

— Pietrek! która godzina?
— Druga... Waza na stole,
Dobry rosołek z lina...
— A cóż tam po rosole?
— Będzie pieczeń wołowa...
— Hum... hum... obiadek krótki,
Jakoś boli mię głowa,
Daj mi kieliszek wódki!

— Pietrek! która godzina?
— Blizko już szósta panie:
Z panem sędzią, sędzina
Jadą... niechaj pan wstanie!
— Jadą! biegaj, proś siedzieć...
Ach! poczciwy Franciszek
Przyjechał mnie odwiedzić,
Daj mi wódki kieliszek!

— Pietrek! która godzina?
— Po dziewiątej już panie.
Niedomaga sędzina,
Nocować tu zostanie...
— A jaka tam kolacyja?
— Będzie potrawa z główki...
— Panie sędzio jest racyja
Wypić cynamonówki!

— Pietrek! która godzina?
— Po północy już panie...
— Czy śpi pani sędzina?
— Ej śpi dawno mospanie!
— I nam spocząć już pora,
Ale panie Franciszku,
Canonica est hora,
Jeszcze choć po kieliszku!

— Pietrek! która godzina?
— Pierwsza, czyż pan nie widzi?
— A śpi pani sędzina?
— Śpi... niech pan też spać idzie.
— Idę, trafię bez kija,
Ale tak do poduszki,
Pietrek, Ave Maria!
Wytnę jeszcze staruszki!
Gratias plena Maria,
Jeszcze raz do poduszki!

Artur Bartels, dowcipny piosenkarz, cieszący się popularnością, szczególniej w sferze szlacheckiej; spora ilość jego wierszy rozeszła się jeszcze w rękopismach. Szwankując często w formie, posiadał spory zmysł obserwacyjny i satyryczne zacięcie. Utwory swoje wierszowane deklamował zazwyczaj przy fortepianie, podkładając je pod muzykę przez siebie ułożoną; prawie wszystkie wyszły na widok publiczny. Zmarł przed paru laty w Krakowie.

Dziś i dawniej.

* Uszły te czasy na złamaną szyję,
Co nam rodziły czyste Lukrecyje;
Za Penelopy, wzór wstydu jedyny,
Sprośne się teraz rodzą Messaliny.

Czy się myśl moja w swych zapędach myla?
Czy się starzejąc świat coraz wysila,
Że ledwie widać, by która z płci białej,
Z starożytnemi damami zrównały?

Nie narażały owe to mężatki
Swoich małżonków na srogie wydatki:
By dla wędrownej z obcych krajów mody,
Drugi ojczyste zaprzedał ogrody.

Twarz nie szukała ozdoby z bielidła,
Nie stały blaskiem na głowie trzęsidła:
Włos budowany w piętra i w blondyny,
Co są brabanckie nie znał pajęczyny.

Nie była nigdy ludziom na widoku
Nagość, trucizna poczciwego wzroku;
Nie zamiatały długiemi ogony
Ziemi, z krwi kmiecej kupione robrony.

Nie było słychać o żadnej niewieście,
Aby samopas latała po mieście,
Tłukąc kołami niepotrzebnie bruki
I mrożąc biedne w późną noc hajduki.

Dopieroż aby, o świecie przewrotny!
W odcieniu męzkim, siadłszy na koń lotny,
Harcować miała u boku z tasakiem,
Pomiędzy gachów rozpustnym orszakiem!

Mąż jej był świadkiem niewinnego życia,
Czy się bawiła w kącie koło szycia,
Czy dom sprawiała pilna gospodyni,
Czy się modlitwą bawiła w świątyni.

Ale Bóg, za to proroctwo mniemane,
Spuszczał na dom jej skarby nieprzebrane:
Wszystko się w ręku mnożyło czeladki,
Liczne i pewne rodziły się dziatki.

Wiara z miłością strzegła pilnie łoża,
Żyzność stokrotnie oddawała zboża,
Pełność mnożyła obory, śpiżarnie,
Nic się na zbytki nie rozeszło marnie.

Ktokolwiek na jej postępki poglądał,
W związku żyć takim i umierać żądał.
Bo cóż być może w tem życiu mizernem
Słodszego, niż żyć z przyjacielem wiernym?

Naruszewicz Adam, znakomity poeta i dziejopis z epoki stanisławowskiej, ur. 1733, zm. 1791. Protegowany przez Czartoryskich, zyskał względy króla Stanisława Augusta, dzięki temu, szybko przebiegłszy szczeble hierarchii duchownej, został biskupem łuckim. Jako poeta celował szczególniej w kierunku satyrycznym; jego utwory tego rodzaju przypominają siłą swą i werwą Juwenalisa. Pisał sielanki, bajki, epigramata, tłumaczył Horacego, Anakreonta i Sarbiewskiego. Pracę prozą rozpoczął od przekładu dzieł Tacyta. Z polecenia króla wziął się do pracy nad historyją narodu i wydał pomnikowe dzieło p. t. „*Historyja narodu polskiego od początku chrześcijaństwa. Panowanie Piastów*". Dzieło to stało się fundamentem późniejszych wszystkich badań historycznych. Nie mógł jednakże skończyć całego dzieła i część tylko materyjałów do późniejszych epok zużytkował w pracy: „*Historyja Jana Chodkiewicza*". Podróż z królem do Krymu i spotkanie się z cesarzową Katarzyną były przyczyną dwóch dzieł: „*Tauryka czyli wiadomości starożytne i późniejsze o stanie i mieszkańcach Krymu*" oraz „*Dyaryjusz podróży króla Stanisława na Ukrainę w 1792 roku.*"

* Śpiewa słowik, śpiewa w tej leszczynie młodej,
Teraźniejsze chłopcy tylko do obłudy;
Chłopcy do obłudy, panny do grymasów,
Taka to jest moda teraźniejszych czasów.
Krakowiak u Wacł. z Oleska.

Dziurdziulewiczówna.

* Dumna mojem pochodzeniem,
Nie ustąpię też nikomu,
Edukacyją i znaczeniem,
Oraz koligacyją domu.
Nie lepsza pewnie odemnie,
Choćby i Radziwiłłówna,
Jestem, proszę nie kpić ze mnie,
Z domu Dziurdziulewiczówna!

Od dzieciństwam nie przywykła
Do żadnej zgoła roboty,
Jestto moda niemkom zwykła;
Ale strzegłam mojej cnoty.
I usiłowaniem całem
Mojem, głowy myślą główną,
Było zostać duszą, ciałem,
Prawą Dziurdziulewiczówną!

Tatko mój był niesłychanie
Mądry, i niekoniec na tem,
Bo raz dał takie śniadanie,
Że aż został deputatem.
Mówił do mnie: „To rzecz mała,
Nie dość być deputatówną,
Trzeba, żebyś ton swój miała,
Jesteś Dziurdziulewiczówną!"

A za tatkiem, moja mama,
Bo mię też bardzo pieściła,
Jak była rozumna sama,
Tak mię też i wyuczyła:
Żem szlachcianką dawnej daty,
Księżnom i grafiankom równą,
Że król Popiel był żonaty
Z jakąś Dziurdziulewiczówną!

Miałam lokajczuka Jana,
Wziętego prosto od sochy,
I panneczkę co mnie zrana
Kładła na nogi pończochy:
A i guwernantkę miałam,
Razem z panną marszałkówną,
Ale uczyć się nie chciałam,
Będąc Dziurdziulewiczówną!

Umiem jednak, proszę spytać,
Rzeczy nietrudne pojęciu:
Wcale nieźle pisać, czytać,
I rachować do dziesięciu;
Niewiele mi w głowę wpadło,
Ale mnie to wszystko równo,
Mogę być głupią jak sadło,
Będąc Dziurdziulewiczówną!

Po francuzku sobie mówię.
Tak jak i największe panie,
I choć z kim, to się rozmówię,
I zagram na fortepianie;

Byłam panną niemilczącą,
Jestem mężatką wymowną,
A zawsze swój takt mającą,
Słowem, Dziurdziulewiczówną!

Co roku na imieniny,
Albo jakie wielkie święta,
Bal u cioteczki Balbiny,
Albo wuja prezydenta.
To, bywało, na nich żadna,
W tańcu już mnie nie wyrówna,
Tylko słychać: „jakaż ładna
Dzisiaj Dziurdziulewiczówna!"

Taka piękna parentela,
Wszystko, gdyby szczury w mące,
I posag nie bagatela,
Bo blizko cztery tysiące.
To też sąsiad za sąsiadem,
Jak te wyżły wszystko równo,
Lecą, wietrząc tylko śladem,
Za tą Dziurdziulewiczówną!

Popatrzywszy w lewo, w prawo,
Wybrałam sobie jednego,
Kawalera z dobrą sławą,
A przytem i nie biednego;
Żadnych fochów ze mną nie ma,
Bo u mnie to rzecz jest główna —
Męża za łeb zawsze trzyma
Każda Dziurdziulewiczówna!

Żyjem z sobą już rok szósty,
Jest sens w domu i dostatek,
Mój Ignacy zdrów i tłusty,
Mamy już pięcioro dziatek;
Po dwunastu dosyć będzie,
Bo ze mnie kobieta słówna —
Taką była zawsze, wszędzie,
Każda Dziurdziulewiczówna!

Wiem, że chodzą o mnie gadki,
Jakobym była złośnicą,
I że mnie małpy sąsiadki
Nazywają sekutnicą.
Ale w oczy wszystkie grzeczne,
A mnie zresztą, wszystko równo,
Niech wiedzą, jak niebezpieczne
Zajście z Dziurdziulewiczówną!

A. Bartels.

Dziwactwa.

* Za nic są krocie, za nic milijony,
Gdy kto dostanie z grymasami żony;
Ani jej sprzedać, ani jej zamienić,
Zważajcie chłopcy, jak się macie żenić.

Pieśń ludu u Wacł. z Oleska.

Dziwak.

* Człowiek, który ma śmiałość myślenia inaczej, aniżeli podobni mu z pochodzenia obywatele. Są też dziwacy z zamiłowania. Do takich należą pewni filolodzy, którzy są cichymi zwolennikami własnej nieomylności i tę, przez miłość bliźniego, wpajają następnie w dorastające pokolenia.

Dziwne.

N. — Ten młody poeta o tyle więcej wart od innych, że ma przynajmniej jakie takie poczucie wstydu.

X. — Jak to rozumiesz?

N. — No — czerwieni się zawsze po uszy, ile razy kto wspomni przypadkiem, w jego obecności, o jego najnowszych utworach.

* *Młody człowiek.* — Wczoraj spotkałem na ulicy młodą osobę, cudownie piękną.

Dama obecna. — A to dziwne, ja wczoraj nigdzie nie wychodziłam!

* *Rozmówka Kronikarza z Galilejczykiem.*

Kron. Widziałem coś dziwnego. Szła panienka
Po ulicy, ubrana tak, jak każe moda, [młoda
Spotkawszy niestarego jakiegoś faceta
Pierwsza się ukłoniła — fi donc! — to kobieta...
U nas w Warszawie...
Gal. U was!! Tu inne zwyczaje;
Tu w szkołach rada miejska posady nadaje;
Więc pojmiesz, gdy ci powiem, że owa niewiasta
Jest snać nauczycielką—on jest radnym miasta.

Śmigus.

Dzwony.

* *Co mówią dzwony?*

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków, a co tam powiecie Maciejowo?

— A to przyszłam do wielmożnego pana wedle poradzenia się. Wydał ci mię wielmożny pan za mego nieboszczyka, niech to pan Jezus panu nagrodzi! Ale cóż! Maciej zmarli już od półtora roku, a biednej głowie ciężko na świecie, gospodarstwo idzie nijako!

— A cóż ja ci na to poradzę moja Maciejowo?

— Bo, proszę wielmożnego pana, ten fornal Janek, to strasznie pracowity psia jucha; robota pali mu się w garści i okrutnie mnie miłuje.

— Ejże, czy nie miłuje on tak okrutnie twego gospodarstwa i tych karbowańcow, które ci nieboszczyk zostawił?

— Kaj zaś, proszę jegomości. To stateczny chłopak, jego do karczmy i kijem nie zagna.

— Hm, wszystko to dobrze, ale on młodszy od ciebie, jak się ożeni to może i szanować nie zechce?

— Już trudno, proszę wielmożnego pana. tak mi ten ożenek i w dzień i w nocy we łbie siedzi, co bez to i za robotę jąć się nie mogę!

— Ha, to trudno ci radzić. Ale ot, wiesz co? dzwonią teraz w kościele na mszę, idź i słuchaj pilnie co ci mały dzwonek powie.

Po chwili wbiega zdyszana Maciejowa.

— No, cóż ci powiedział dzwonek?

— Oj wielmożny panie! dyć on mi wciąż jak wyraźnie gadoł: idź za Janka, idź za Janka, co aże mi dech z radości zaparło.

— No, to idź w imię Boże.

W pół roku potem wchodzi znowu eks-Maciejowa.

— Oj wielmożny panie, już chyba nie wytrwam! A dyć ten zbereźnik z chałupy mię wygania! Oj doloż moja, dolo! po co ja sobie świat zawiązałam! A i ten dzwonek tak mi źle poradził!

— A możeś ty źle słuchała? może on ci co innego mówił? At i teraz dzwonią, idź-że posłuchaj a dobrze.

Po chwili wraca ex-Maciejowa, z głową smutnie zwieszoną.

— Oj widno mię pan Bóg wtedy odstąpił. Kaj ja uszy miałam! A dyć ten dzwonek jak najwyraźniej goda: głupia babo, głupia babo!..



Echa z raju.

I.

Wielce smutnym był, zaiste,
Los Adama w onej chwili,
Gdy za sprawki go nieczyste
Kijem z raju przepędzili!

Odtąd nędznie i ubogo
Żyć musiała para święta,
Bo na pastwę losów srogą
Pan Bóg wygnał ich bez centa!

Więc u pługa ciężkiej sochy
Biedny Adam tracił zdrowie;
Znosił Ewy ciągłe fochy,
Krew mu psuli źli synowie.

A gdy pracą utrudzony,
Zasiadł w ciemnym kącie domu,
To wspominał raj stracony
I łzy ronił pokryjomu!

— Lecz on we mnie zazdrość budzi,
Choć w niedoli żył takowej,
Ach! bo żonkoś pierwszy z ludzi
Nie miał w domu swym – teściowej!

II.

Gdy z chaosu wybrnął świat
W gwiazdnym dyademie,
To zwierz wszelki, wszelki gad
Witał hymnem ziemię.

Tylko Adam włosy rwał,
Głuchy na wsze cuda,
Bo raj mu się piekłem zdał.
Tak go piekła nuda!

Gdy więc biedak twardym snem
Zasnął raz w drzew mroku,
Pan Bóg Ewę, słowem swem,
Wywiódł z jego boku.

Odtąd się ten straszny cud
Iści rok za rokiem,
Odtąd mężom żonek ród
Wciąż wyłazi bokiem...
Fr. Konarski. (p. str. 48).

Echa.

Co daje walce pism tyle werwy?

Nerwy.

—o—

Kto może dostatecznie zastąpić telefony?

Żony.

—o—

Jaką wykazać można różnicę między niektórymi przyjaciołmi domu i tymi co kradną?

Żadną.

—o—

Czemu toalety dam naszych są teraz bardzo milutkie?

Bo krótkie.

—o—

Jaką nasze towarzystwo wioślarskie przedstawia gwarancyję?

Tolerancyję.

—o—

Jakie jest źródło, z którego pewni finansiści czerpią złoto?

Błoto.

Edzio.

* *Przygody Edzia.*

— Uważasz, moje serce — mówił poczciwy pleban do swego siostrzeńca Edzia — uważasz, moje serce, bardzo się cieszę z tego żeś przyjechał...

— I ja się także cieszę, proszę wujka!—odparł Edzio, całując pokornie okrągłą rączkę sędziwego plebana. — Zawsze to między swoimi, o serce, i... pomoc... w trudniejszych okolicznościach...

Przy wyrazie „pomoc“ Edzio westchnął i rzucił tęskne spojrzenie w kierunku staroświeckiego kantorka.

— Tak, tak! potwierdził wuj, zażywając tabakę. Serce zawsze i pomoc... moralną!

Edziowi zrobiło się mdło. Dobry ten chłopiec już od trzech dni, to jest, od chwili przyjazdu na probostwo, przy każdej sposobności starał się napomknąć o gotówce, lecz jego delikatne aluzyje nie dobrze widać były rozumiane. Teraz, korzystając z rozczulenia wujowego, przypuścił szturm stanowczy i otóż, zaraz na wstępie, spotkał się oko w oko z kapitałem wprawdzie, ale z kapitałem tylko moralnej natury!

Bądź co bądź, należało kuć żelazo póki gorące; Edzio więc przemógł chwilowy niesmak i mówił dalej.

— Obecnie jestem już prowizorem...

— Piękne stanowisko! — dorzucił wuj — to tak jakby kawałek doktora... Ciekawym bardzo, jak też uważasz Morisona?...

— Doskonałe lekarstwo!.. Chciałbym właśnie kupić aptekę w jednem powiatowem mieście...

— A kamfora, proszę cię, czy z mody nie wyszła?...

— O nie! To wyborny środek przeciw molom... Otóż za aptekę chcą dwadzieścia tysięcy...

— I kupisz ją?... — spytał wuj, podnosząc niuch tabaki.

— Kupię z największą chęcią, jeżeli wujek... pozwoli! — odparł posłuszny siostrzeniec.

Plebanowi tabaka rozsypała się na ziemię.

— Pozwolę, pozwolę! — odpowiedział szybko. — Ale jak kupisz aptekę, to się pewnie ożenisz, ja ci nawet pannę wynajdę.

— Wszystko od wujka przyjmę z wdzięcznością! — wykrzyknął Edzio, znowu rzucając się do ręki swego dobrodzieja.

— Panna, powiadam ci, porządna, dobra gospodyni... A jak ona, powiadam ci, kapłony przyrządza!.. Palce lizać...

— Któż to taki?

— Weronisia, jedynaczka Haładrałowiczowej. Dziewczyna, powiadam ci, ma...

Tu wuj zażył tabaki.

— Ma i odrazu na stół ci wyłoży...

Po tych słowach utarł nos.

— Wyłoży ci gotówką trzydzieści tysięcy!.. Jej matka posiada cząstkę w naszej parafii i nawet mówiłem z nią...

— O tem żeby za mnie córkę wydała? — przerwał zadowolony Edzio.

— Czy za ciebie, czy za któregokolwiek z moich siostrzeńców. Przecież, dzięki Bogu, jest was sześciu, każdy chłop dorzeczny, zdrów i przytem goły jak bizon. Akurat zdatny na męża!

— Więc mogę rachować na to, że mnie wuj wyswata?...

— Nawet jutro.

— Jutro?..

— Jutro cię zapoznam; bo będę u nich święcił święcone, a po Wielkiejnocy, da Bóg doczekać, pobierzecie się.

— I dostanę trzydzieści tysięcy na aptekę? -- pytał Edzio, drżąc ze wzruszenia.

— Trzydzieści od matki, a odemnie...

— I od wuja?

— Odemnie błogosławieństwo, ślub darmo...

Edzio westchnął.

— I mój faworytalny zegarek. Słyszysz jak chodzi?

— Z temi słowy, pleban wydobył z kieszeni ogromny złocony klekot, który gdakał jak zegar wieżowy, lecz wart był co najwyżej dwanaście rubli.

Edzio posmutniał i cichym głosem rzekł:

— Zawsze przed weselem potrzebowałbym kilkuset rubli na oporządzenie się...

— Ja ci pożyczę! — uspokoił go wuj — ale po deklaracyi.

— Ja już jestem zdeklarowany, proszę wuja.

— Tak, to dobrze! Ale widzisz, trzeba jeszcze pannę poznać, w głowie jej trochę pokręcić... no, przecież musisz to umieć?

— Umiem wujku! i nawet zrobię to jutro natychmiast, bylem miał słowo wujka, co do tych kilkuset rubli... — mówił rozgorączkowany Edzio.

— Masz moje słowo! ale teraz idźmy spać.

— Jakto, spać o dziewiątej?

— Rozumie się! szkoda zdrowia i światła. Nafta droga.

Po tych słowach wuj wyszedł do swego pokoju, zostawiając siostrzeńca pogrążonego w rozkosznych marzeniach.

Mówiąc między nami, Edzio był chłopak dobry i niegłupi, lecz trochę utracyjusz i impetyk. Do żeniaczki wstrętu nie miał, lecz do kobiet czuł żal z następującego powodu.

Będąc jednego roku w Ciechocinku, poznał tam ładną i majętną panienkę i począł jej robić grzeczności. Panienka gustowała w przystojnym i eleganckim Edziu, a jej ciotka okazywała mu dosyć przychylności, czem zachęcony, oświadczył się w wyrazach bardzo doborowych.

— Cieszę się z tego — odparła ciotka — tylko, że widzi pan... wczoraj o panu źle mówiono w pewnem towarzystwie...

— Cóż takiego?—spytał zatrwożony Edzio, w tej chwili bowiem, przebiegła mu przez myśl dość znaczna liczba kucharek i pokojówek.

— Mówiono.. że pan jest... aptekarskim subjektem!

Ponieważ Edzio był istotnie aptekarskim subjektem, porwał więc kapelusz, milcząc, pożegnał widocznie chorą na umysł damę. Od tej chwili jednak nienawidził kobiet, a prawie wściekał się z gniewu, gdy kto w ich towarzystwie ośmielił się przypominać mu o jego specyjalności.

Tym sposobem brak taktu ze strony jednej kobiety, szkodliwie wpłynął na usposobienie Edzia i coraz bardziej usuwał go od całego zastępu płci nadobnej.

Po odejściu dobrego wuja, Edzio wyszedł na spacer, aby wystawić rozgorączkowan[illegible] głowę na zbawienny wpływ chłodnych p[illegible]ów wietrzyku. W tej chwili nie myślał o sw[illegible]ie-

chocińskiej przygodzie, lecz raczej o pięknej i posażnej Weronisi, o aptece w mieście powiatowem, o zegarku swego drogiego wuja, a nadewszystko, o kilkusetrublowej pożyczce, po którą umyślnie przyjechał, a bez której nie mógł się nawet pokazać w Warszawie, dzięki niewyrozumiałości wierzycieli.

Nadeszła noc, w ciągu której Edzio miał sny bardzo prorocze. Widział się już właścicielem apteki, mężem Weroniki i ojcem dorodnych dzieci. To też, wstawszy rano, zdziwił się, że jest jeszcze kawalerem i pałał żądzą poznania swojej przyszłej, pewnym będąc, że się dziś jeszcze oświadczy, zostanie przyjętym i otrzyma od wuja obiecaną pożyczkę.

Około trzeciej popołudniu (a było to w wielką sobotę), pani Haładrałowiczowa przysłała konie po plebana, z którym zabrał się rozkochany młodzieniec.

Po półgodzinnej jeździe, wuj wyrzekł:

— Widzisz ten folwark?.. To Haładrałówka! Pamiętaj dobić targu, bo się ciebie wyrzeknę.

Edzio czuł, że mu serce uderza coraz śpieszniej, nie był jednak pewnym z jakiego powodu: czy z miłości, czy też dlatego, że bryczka okropnie trzęsła.

Gdy zajechali przed ganek, ukazała się na nim sędziwa matrona, z którą pleban zapoznał Edzia.

— Prezentuję pani mego siostrzeńca Edwarda Flaczkowskiego...

— Aha! — odparła dama z roztargnieniem, które Edzia ubodło. Sciśle rzeczy biorąc, nie miał się czego gniewać, roztargnienie bowiem damy pochodziło ztąd, że jej się ciasta nie udały.

— Mój proboszczu! — rzekła — mam ci parę słów powiedzieć. A pan, niech pozwoli tymczasem do saloniku.

Gdy zostali sami, pleban zaczął:

— Cóż, podobał się jejmości ten wyrostek? Tęgi chłop.

— To do mojej Weronisi? — spytała matrona z uśmiechem. — Niczego chłopak!

— Zrobiemy im wesele, co?

— Ja tam nie od tego! byle się sobie oboje podobali. Czemże on jest?

— Aptekarzem — odparł pleban.

— Dobry kawałek chleba.

— Chce kupić teraz aptekę, ale nie ma pieniędzy.

— Znajdziemy! — rzekła figlarnie pani Haładrałowiczowa — byle Weronisi wpadł w oko!

Tak rozmawiając, poszli staruszkowie oboje na czworak; czeladzi bowiem miał proboszcz najpierwej poświęcić.

Widzimy więc, że interes Edzia był na świetnej drodze. Podobał się matce odrazu i przysiądz prawie było można, że przed upływem miesiąca, zostanie już szczęśliwym mężem Weroniki.

Edzio jednak nic nie wiedział o swem położeniu, a co gorsza, był już zniechęcony. Zdawało mu się, że matrona przyjęła go lekceważąco, a gdy jeszcze nie zastał nikogo w saloniku, wpadł w wielki gniew i z impertynenckiemi myślami rzucił się na kanapę.

Nagle, w drugim pokoju, do którego drzwi były przymknięte, usłyszał szmer i rozmowę na dwa głosy. Była tam widocznie panna Weronika ze służącą.

— Czy już jest ten obiecany?... — pytała panna.

— Jest!... Ażeby też panuncia wiedziała jaki ładny!

— Musi być ładny, bo *proboszczowskiego* chowu.!

Usłyszawszy to, Edzio zsiniał.

— Taki *mastny* panunciu.

— Że możnaby z niego parę słoików *pomady* wycisnąć — dopowiedziała panna.

Odchodzący od przytomności Edzio, przyznał jednak w duchu, że włosy jego istotnie zbyt mocno były wypomadowane.

— A pachnie!.. — prawiła służąca — rychtyg jak *aptekarz*.

— Fe! — odparła panna — nie jak aptekarz, tylko zwyczajnie jak *prosiak!*

Edzio zerwał się wściekły i otworzywszy drzwi, krzyknął.

— Ja pachnę jak prosiak, ale pani za to masz mniej rozumu od gęsi!..

Panna Weronika zalała się łzami, a konkurent jej jak szalony piechotą poleciał na probostwo.

. . . .

W godzinę potem wrócił stary pleban fijoletowy z gniewu. Zdawało się, że go apopleksyja zabije.

— Gamoniu jakiś! — krzyknął na siostrzeńca, stając w progu.—Ja z matką układałem się już prawie o dzień ślubu, a tyś tymczasem łotrze pannie nawymyślał?...

— Ona mnie obmawiała! — szepnął struchlały Edzio.

— Obmawiała cię?... Ona ze służącą rozmawiała o prosiaku, którego im darowałem na święta!.. Nie chcę cię znać hultaju!.. Obie te poczciwe kobiety rozchorowały się przez ciebie.

W tej chwili przed oczyma Edzia przesunęła się jakaś krwawa chmura, wśród której znikły: panna Weronika, apteka, pozłacany zegarek i kilkusetrublowa pożyczka wuja.

Pewni jesteśmy, że biedny chłopak szkaradnie święta przepędził.

B. Prus. (p. str. 108).

Egoizm.

* *Żona.* Proszę cię, mój mężusiu, zażyj lekarstwo, tak strasznie kaszlesz, że po całych nocach sypiać nie mogę.

Mąż. Otóż to egoizm żon! Dlatego, że ty spać nie możesz, to ja mam to obrzydliwe lekarstwo zażywać!

Flieg. Blätt.

Egzamin.

* *Nauczyciel.* Kochany — jaka to część mowy?

Uczeń. Przymiotnik.

Nauczyciel. Jaki będzie stopień wyższy?

Uczeń. Zaręczony.

Nauczyciel. A najwyższy?

Uczeń. Ożeniony.

* *W szkole.*

— Ilu było królów przy narodzeniu Chrystusa?

— Czterech.

— Coooo? Wymień-że ich.

— Król pik, król trefl, król karo i król kier.

* *Egzaminujący.* Ile jest grzechów głównych?

Egzaminowany. Siedm.

Egzaminujący. Wylicz.

Egzaminowany. Pycha, Obżarstwo, Małżeństwo, Protekcyja...

Egzaminujący. Co? co? małżeństwo, protekcyja?

Egzaminowany. A tak, proszę pana, profesora, gdyż mój tatko na kolei służy, to wie o tem najlepiej.

* *Egzamin na maszynistę.*

Rzecz dzieje się na pewnej nadrzecznej kolei.

Egzaminujący. Co to będzie znaczyło, jak pan zobaczysz czerwoną latarkę?

Egzaminowany. To znaczy, że w blizkości jest szynk, albo bawaryja.

* *Egzamin z prawa.*

Profesor do studenta, wykładając: Dajmy na to, żeś pan ukradł mój złoty zegarek.

Student (przerywa oburzony): Ależ panie prof...

Profesor. Przecież to tylko fikcyja, przypuśćmy tedy, że pan mój zegarek ukradł...

Student (z wzrastającem oburzeniem). Proszę bardzo, panie profesorze...

Profesor. A na miłość Boską! przypuśćmy tedy, że ja panu ukradłem zegarek.

Student. No tak, to co innego.

Flieg. Blätt.

* *Profesor.* Czy pan znasz postępowanie wekslowe?

Student. Niestety! panie profesorze, znam aż nadto dobrze!

Flieg. Blätt.

* Komisant handlowy składa egzamin, wstępując do służby.

— Gdzie leży Jawa? — pyta pryncypał.

— Niewiem tego.

— Co sprowadzamy z Jawy?

Żadnej odpowiedzi.

— Zkąd otrzymujemy kawę?

— Tego powiedzieć nie mogę, to tajemnica handlu.

* *Egzamin angielskiego żołnierza.*

Oficer. Cobyś robił, stojąc na warcie, gdyby przechodził oficer?

Żołnierz. Prezentowałbym broń.

Oficer. Dobrze. A gdyby w nocy przechodziła szajka pijanych, cobyś wtenczas zrobił?

Żołnierz. Także prezentowałbym broń.

Oficer. A dlaczego?

Żołnierz. Bo w takim tłumie, mógłby być czasem jaki oficer.

B. Prus. (p. str. 108).

* *W szkole.*

Profesor. Powiedz mi, jaki przedmiot najtrudniejszy do skruszenia.

Uczeń. Żelazny...

Profesor. Naprzykład?...

Uczeń. Naprzykład... żelazny... książę...

* Nauczyciel do ucznia:

— Chłopcze czy możesz mi powiedzieć, jak się nazywają te małe stworzonka, które znaleziono w świniach i o których tak dużo mówiono i pisano?

— Mogę, panie profesorze.

— Więc jak się nazywają?

— Prosiątka!

* — Powiedz mi, kochaneczku, co sobie myśli kura, gdy siedzi na grzędzie?

— Una sobie pewnie myśli — co tera jajka zdrożeli.

— Powiedz mi kochaneczku, na co wrona kracze?

— Ona tak sobie szuka wspólnika.

— Powiedz mi kochaneczku, ile jest pięć razy ośm.

— Różnie może być.

— Jakto?

— Nu — na jaki termin.

* *Na egzaminie z prawa.*

Profesor. Co to jest prokuratoryja?

Student. Prokuratoryja?— prokuratoryja... to... to... żona prokuratora.

* *Na egzaminie matematyki.*

— Gilbasiewicz! powiedz ty mnie, co to jest zero?

— Zero... zero? panie profesor, to jest punkt wzdęty.

* *Egzamin na buchaltera.*

Pryncypał. Jaką pan masz kwalifikacyję?

Kandydat. Skończyłem szkołę handlową.

Pryncypał. Bardzo dobrze! proszę obrachować, co uczyni punkt po groszu, załamana bez dwóch na małego szlema w karo, z dziesięcioma honorami.

* *Na egzaminie w seminaryjum.*

Biskup. Proszę mi powiedzieć, czy w razie nagłej potrzeby, można chrzcić jakim innym płynem?...

Kleryk. To jest... tak...

Biskup (żartując). Naprzykład rosołem, można?...

Kleryk. Takim rosołem, jak my jadamy, to można, ale takim jak wasza Eminencyja, to nie, bo byłby za tęgi.

* *Na pensyi wyższej panien.*

Nauczycielka. Jaki los spotkał żonę Lota?

Uczennica. Za ciekawość, przemienioną została w słup soli.

Nauczycielka. A z Lotem co się stało?

Uczennica. Przywędrował do Warszawy.

Nauczycielka. Jakto, co, gdzie, kiedy?

Uczennica. Przecież jego potomek, który się tak samo jak on nazywa, sprzedaje kapelusze na Krakowskiem Przedmieściu.

* *Wizytujący.* Ile jest sakramentów?

Uczeń 1-y. Dwanaście.

Wizytujący. Źle. Następujący.

Uczeń 2-gi. Dziesięć.

Wizytujący. Źle. Następujący.

Uczeń z ostatniej ławki (wyciągając rękę, jąka się). Ja... ja... powiem.

Wizytujący. Widzicie, ostatni uczeń w klasie, a poprawi was — wstyd. No dobrze, kochanku powiedz.

Uczeń z ostatniej ławki (jąkając się). Si... si. . siedm...

Wizytujący. Bardzo dobrze, a jakież są?...

Uczeń z ostatniej ławki (jąkając się). Pie... pie... pierwszy Styczeń, drugi Lu... ty... trzecie Ma... rzec...

Wizytujący. Dosyć, dosyć...

* *W szkółce.*

— Pępkowski, porównaj przymiotnik *goły*, naprzykład goły jak...

— Goły, jak turecki święty.

— Źle, *sequens*.

— Goły, jak pasternak.

— Źle, następny.

— Goły, jak rak.

— Osły jesteście, następny.

— Goły, jak bizun.

— Źle, jesteście wielkie osły.

— Ja, panie profesorze, powiem — odzywa się chłopiec z oślej ławy.

— No powiedz.

— Goły, jak pan profesor.

— Dobrze, siadaj.

* — Powiedz mi, co wiesz o Japonii?

— Wszystko panie profesorze...

— No, to dobrze. Powiedz mi zatem, co w Japonii jest w największem użyciu?

— Hm... wachlarze... panie profesorze...

— Dobrze. A jak nazywa się najpiękniejsza kobieta w Japonii?

— Yum-Yum, a kat japoński nazywa się Ko-ko, a najtłuściejsza kobieta nazywa się Katicha, a najsłynniejszy aktor japoński nazywa się Nanki-po...

— Ale zkąd ty to wszystko wiesz?...

— Ja?... z „Mikada“, panie profesorze...

— Z „Mikada“?... A niech tego Morozowicza szara gęś kopnie, jak on mi ułatwia lekcyje!...

* *Na pensyi.*

— Jak się nazywała żona Władysława Jagiełły.

— Władysławowa Jagiełłowa.

* — Które twierdzenie geometryczne jest dziś najwierutniejszem kłamstwem?

— To, że prosta droga jest najkrótszą.

* — Panno Kopytkiewicz!... Jaką naukę wynieść mamy z przypowieści biblijnej o dziewicach mądrych i głupich?

— Że...

— Że???

— Żeśmy powinny codzień oczekiwać...

— Kogo?

— Męża...

* *Na lekcyi gramatyki.*

— Icek Geldlib, powiedz mi, co to znaczy wyraz *hańba?*

— Hańba... to jest... naprzykład... wząsc kasse swojego pryncypała i...

— No, cóż więcej?

— I co bi w drodze do Ameryki złapili ..

* *W szkole.*

— Gapiński! dlaczegożeś uderzył w głowę Bosackiego? hę? dlaczegoś to zrobił?...

— Bo ja myślałem, że to Gagatnicki...

— No, masz szczęście, żeś się wytłomaczył...

* *Przy lekcyi.*

— Mój Aniołku, powiedz mi kto i kiedy wyrzekł słowa: Minęły piękne dni Aranjuezu!?

— To powiedział... tatko jak mama ze wsi wróciła...

Profesor. Jeżeli chcesz zdać egzamin, to powiedz mi, jak będzie po niemiecku zdanie: Przywieziesz mi dwie gęsi i szynkę...

Uczeń. Przywiozę ale. . po wakacyjach.

* — Powiedz mi, od czego pochodzi wyraz *pochlebny*.

— Od... wyrazu... piekarz...

— A to znów dla czego?...

— No... bo... piekarz *chleb* wyrabia przecie...

* *Na wizytacyi.*

Wizytator słucha uczniów religii.

Profesor. Gdzie jest pan Bóg?.,.

Uczeń (po namyśle)... Niewiem...

Wizytator (nauczając). W niebie, na ziemi i wszędzie...

Profesor. Widzisz ośle, to pan wizytator wie, a ty nie wiesz!...

* Pewien student, po ukończonych studyjach uniwersyteckich, powrócił do rodziców.

— No cóż? — spytał go ojciec – jakże ci się udał ostatni egzamin?

— Tak dobrze — odparł młodzian — że muszę go na ogólne żądanie powtórzyć!

* — Co uczyniłbyś Tümpel, gdyby tak przyśnił ci się, który z twoich zwierzchników?

— Drapałbym, panie kapralu.

— Głupiś! powinieneś zdjąć co prędzej czapkę!

* Kandydat teologii, przyszedłszy na ostatni egzamin do generał-superintendenta, zastał tam starego człowieka, zdającego się mieć ciężkie zmartwienie. Zapytany o przyczynę starzec, odpowiedział:

— Dwadzieścia lat zajmuję się nauczaniem; hebrajskiego języka, do którego teraz tak wiele przywiązują wagi, całkiem zapomniałem i oto powołują mnie do egzaminu, cóż się ze mną stanie!

— Niech pan się uspokoi — odpowiedział młodzieniec — może ja w tem będę mógł panu cośkolwiek dopomódz.

Zaczęto egzamin od młodszego. Zadziwił wszystkich swemi wiadomościami, a szczególniej nadzwyczajną biegłością w języku hebrajskim.

— Kto uczył pana tego języka — spytał zdumiony generał-intendent.

— Ten pan właśnie — odrzekł młodzieniec, wskazując na starca.

Egzaminator, sam nie bardzo mocny w hebrajskim, nie chciał się wdawać już w badanie nauczyciela, wnosząc o jego wiadomościach z egzaminu ucznia.

* Student medycyny egzaminowany był przez bardzo surowego profesora.

— Powiedz mi pan — ciągnął tenże — jakie są środki na wywołanie potów?

Student wymienił znane mu leki, a profesor znowu zapytał:

— Ale jeżeli te środki nie pomogą, co pan zastosujesz?

— W takim razie — odpowiedział student — poszlę moich pacyjentów do pana profesora na egzamin!

* W szkole dla dziewcząt, rozbierany był cud nakarmienia 5000 ludzi.

Nauczyciel po rozbiorze samego faktu spytał dziewczynkę:

— Bo, czy może mi która wytłómaczyć, jakim sposobem 5,000 ludzi mogło się nasycić pięcioma chlebami i trojgiem ryb?

— Żenowali się jeść więcej, panie profesorze — odpowiedziała jedna z dziewczątek.

* *Egzamin z nauk przyrodzonych.*

Nauczyciel. Proszę panny powiedzieć mi, do czego jest potrzebny bocian i jaki z niego użytek?...

Uczennica I. Bocian żywi się wszelkiego rodzaju gadami i przez to oczyszcza z nich ziemię...

— *Nauczyciel.* Następna: do czegóż więcej jest jeszcze potrzebny bocian?

Uczennica II. Do przynoszenia dzieci, proszę pana profesora...

* — Dryndalski, powiedz co to jest genealogija?

— Genealogija to jest... to jest, proszę pana profesora, taki ogród, w którym coraz więcej w dzisiejszych czasach rośnie cebuli.

* — Anielko, co to jest dusza?

— To, co w mojem *ciele* myśli i niem rządzi.

— Jaka jesteś nieznośna! wydajesz lekcyję co do słowa, powiedz swojemi słowami, co to jest dusza?

— Jestto takie *ciele*, co mną rządzi.

Ekiwok.

— Panie Libergnat, na pana kolej dać dwuznacznik, prosimy.

— Ja go już dawno mam: „Burza".

— To nie dobre, bo niema drugiego znaczenia.

— Jakto niema? Przecież jest burza na morzu i buża usta.

— Mówimy panu, że ten wyraz nie może być do gry użyty.

— No to co wielkiego, ja mu zaraz drugi znajdę, o jej!

— Tylko prędzej.

— „Kaszka".

— Nie rozumiem.

— Taka pani niedomyślna, przecież Kaszka jest zdrobniałe od Katarzyna i kaszka zdrobniałe od kaszy do jedzenia.

Ekonom.

* *Ekonom.* Dlaczego proszę pana dziedzica, nasz panicz taki markotny?

Pan Erazm. Bo wrócił z miasta — tam go w karty obębnili i teraz goły...

Ekonom. Proszę pana dziedzica, to na ten przykład rychtyk jak to mówi przysłowie: „nie mieszaj się z plewami, bo cię świnie zjedzą".

* Dziedzic, przyjąwszy nowego ekonoma, pytał włościan, jak im teraz idzie.

— Zwyczajnie — odpowiedział jeden z nich, nowe buty, to i cisną.

— A stare nie cisnęły?

— Toć i stare z początku cisnęły, ale człek wysmarował często, to i luźniejsze potem były.

„*Humorysta Warszawski*".

* *Z głuchym ekonomem.*

Gość. Jest pan w domu?

Ekonom. Rzepę kopiemy.

Gość. A pani?

Ekonom. Świnie ją zjadły, proszę pana.

Gość. E, głupiś wasan jak...

Ekonom. Ja też tak myślę proszę pana, póki nie zamarznie.

* Pani ekonomowa, jadąc do Warszawy z dwiema córkami, miała w bryczce także dwie gęsi. Stanąwszy na rogatce i zapytana, co wiezie, odpowiedziała: „Tylko dwie gęsi".

Dozorca rogatkowy, nie widząc nic innego tylko owe dwie córki, rzekł: „Od takich gęsi nic się nie płaci".

* Jechał ja pod Słonim.
— Jak się masz, Hieronim?
Powiedział Bańkowski,
Ekonom szczorsowski.

— Ot wiesz co, Ignacy?
Poradź mnie w tej biedzie:
Chciałbym się ożenić,
Nikt za mnie nie idzie.

Znalazła się przecie
Z kłopotem i biedą,
W Mińskim powiecie,
Pod samą Osiedą.

Dziewczyna, at sobie,
Poznałem nareszcie;
Ma ciotkę bogatą
I rublów ze dwieście.

Tak, jak wasan radzisz?
A Bańkowski na to:
— Ot wiesz co, Hieronim?
Ożeń się z bogatą.

Syrokomla. (p. str 128).

Ekonomija polityczna.

— Wstydźcie się! Taki czerstwy, tęgi człowiek, żeby zaś żebrał, nie możecie to pracować!

Żebrak. Pracować? a po co? żeby zwiększyć jeszcze superprodukcyją pracy?

Flieg. Blätt.

Eks.

* Znana książęca rodzina, spadła z różnych wysokich urzędów. Członkowie jej szczycą się zawsze jednak tą minioną wielkością.

Elegant.

* Elegant ze szkłem na nosie, zlany perfu-[mami.
Rozwalił się na sofie pomiędzy damami.
Wszystkie mierzy półokiem, dmucha co się zo-[wie,
Jednem sięgnieniem w włosy stawia czub na [głowie;
To podnosi ton głosu, to znów wolno, z cicha,
Plecie nudne androny, ciągle się uśmiecha.
Raptem do najpiękniejszej zwraca mowę swoją.
„Parbleu“, jak mamę kocham, znam ja panię [moją,
Jeżeli się nie mylę, powiem w oka mgnieniu,
Że panią gdzieś widziałem, w kąpielach w Lu-[bieniu“.
„Mylisz się, mości panie, czyste przywidzenie;
Jam nie była w kąpielach, nie wiem, gdzie ką-[piele.
Ale mąż mój kąpał się jeszcze przed kwar-[tałem“
„A więc to był mąż pani, którego poznałem“.

* *Elegant modny.*

Pamiętam, chociaż byłem wtenczas małe dziecię,
Kiedy do ojca mego, w Oszmiańskim powiecie,
Przyjechał pan podczaszyc na francuzkim wózku,
Pierwszy człowiek, co w Litwie chodził po fran-[cuzku.
Biegali wszyscy za nim, jakby za rarogiem.
Zazdroszczono domowi, przed którego progiem
Stanęła podczaszyca dwukolna dryndulka,
Która się po francuzku zwała karyulka:
Zamiast lokajów, w kielni siedziały dwa pieski,
A na kozłach Niemczysko, chude na kształt [deski;
Nogi miał długie. cienkie, jak od chmielu tyki,
W pończochach, ze srebrnemi klamrami trze-[wiki,
Peruka z harbajtelem zawiązanym w miechu.
Starzy na on ekwipaż parskali ze śmiechu,
A chłopi żegnali się, mówiąc: że po świecie
Jeździ wenecki dyjabeł w niemieckiej karecie.
Sam podczaszyc jaki był, opisywać długo;
Dosyć, że się nam zdawał małpą lub papugą,
W wielkiej peruce, którą do złotego runa
On lubił porównywać, a my do kołtuna.
Jeśli kto i czuł wtenczas, że polskie ubranie
Piękniejsze jest, niż obcej mody małpowanie,
Milczał, boby krzyczała młodzież, że przeszka-[dza
Kulturze — że tamuje progressy — że zdradza!
Taka była przesądów owoczesnych władza!
Podczaszyc zapowiedział, że nas reformować.
Cywilizować będzie i konstytuować.
Ogłosił nam, że jacyś Francuzi wymowni
Zrobili wynalazek: iż ludzie są równi...
Choć o tem dawno w pańskim pisano zakonie,
I każdy ksiądz toż samo gada na ambonie.
Nauka dawną była; szło o jej pełnienie!
Lecz wtenczas panowało takie oślepienie,
Że nie wierzono rzeczom najdawniejszym w świe-[cie,
Jeśli ich nie czytano w francuzkiej gazecie.
Podczaszyc, mimo równość, wziął tytuł Markiza.
Wiadomo, że tytuły przychodzą z Paryża,
A natenczas tam w modzie był tytuł Markiza.
Jakoż, kiedy się moda odmieniła z laty,
Tenże sam Markiz przybrał tytuł Demokraty;
Wreszcie, z odmienną modą, pod Napoleonem,
Demokrata przyjechał z Paryża baronem;

Gdyby żył dłużej, może nową alternatą,
Z Barona przechrzciłby się kiedyś Demokratą.
Bo Paryż częstą mody odmianą się chlubi,
A co Francuz wymyśli, to Polak polubi.

Mickiewicz. (p. str. 19).

* Jaka jest różnica między pustogłowym elegantem a butelką? — Butelka zakrywa się korkiem u góry, aby treść jej nie ulotniła się, u eleganta niema tego niebezpieczeństwa: z głowy nic mu się nie ulotni, rozum jego jest w piętach, dla tego pod niemi nosi korek.

Humorysta Warszawski.

* *Rozmyślanie nieszczęśliwego eleganta.*

Wszyscy mnie opuścili! luba, przyjaciele!
Została tylko bródka, faworyty, loki,
Frak rozdarty pod pachą, straszni wierzyciele,
Stołek, łóżko, lornetka, pozwy i wyroki!
Nawet widzę z rozpaczą i gorzkiemi łzami,
Że moich słabych butów wątłe zelowanie
Straszliwie rozwartemi ziejąc już paszczami,
Zdają mi się ostatnie śpiewać pożegnanie!
Tyś mi tylko pozostał, tobie wierzę, tobie!
Tyś tylko ze mną ścisłem złączony przymierzem,
Tyś tylko mnie nie zdradził w tak straszliwej [dobie,
Poczciwy, jasny płaszczu, z stojącym kołnie- [rzem!
A ty, czarny tużurku, niewierny, nieczuły
Myślisz, że z ciebie weksli narobią do zbytków,
Nie, za zdradę, zostaniesz arkuszem bibuły
Do zawijania pieprzu i innych użytków!
I ty, któregom nieraz z wzgardą pod stół rzucił,
Albo dusił pod pachą, cierpliwy biedaku,
Inny takżeby zdradą byłby mnie zasmucił,
A tyś mi został wiernym biedny szapoklaku,
Spoczniesz teraz na długo!! nieprędko zabłyśnie
Chwila, w której na bale wezwą cię wyroki,
I nim cię znów ma ręka przygniecie, przyciśnie,
Możesz tymczasem wydąć twe spłaszczone boki.
O płaszczu! gdzie te świetne chwile się podziały,
Gdym nieraz wpadł do krzeseł, do pierwszego [rzędu,
I rozparłszy się, tobą osłonięty cały,
Krytykowałem wszystkich i wszystko bez względu!
Nikt tam nie uszedł mojej uwagi, zawiści,
Nikt z mego pobłażania tam się nie pochwali.
Autor, tłumacz, orkiestra, nawet maszyniści,
Drżeli, gdyśmy się oba w krzesłach pokazali!
Albo do naszych względów, gdy kto nabył pra- [wa,
Naprzykład piękne oczy powabnej kobiety,
Krzyczeliśmy jej brawo! sypaliśmy brawa,
Aż się trzęsła orkiestra i drżały kinkiety!
A gdy się po skończeniu kortyna zawarła,
Wtenczas to był nasz tryumf, wtenczas nasza [chwała,
Bo puty puchły dłonie i pękały gardła
Aż się po trzykroć nasza dama ukazała.
Ty pamiętasz mój płaszczu! te szczęśliwe chwile,
Pamiętasz ten czas błogi, rozkoszny, niebieski!
Gdyśmy tyle klaskali i wołali tyle,
Aż los wszystkie pieniądze wywołał z mej kie- [ski.
Spojrzyj na nią... patrz leży... tu... na wierz- [chu pudła,
Niegdyś z niej się sączyły rozkosze, zabawki,
Dziś się tarza po kątach wybladła, wychudła,
Podobna do zgłodniałej od roku pijawki!
Gdy więc tak mnie los ściga!.. spełnię przezna- [czenie,
Płaszczu! mój przyjacielu, ochrono w potrzebie!
Usłysz wyrok, którego nigdy nie odmienię.
Który jednak tak przykrym nie będzie dla ciebie,
Stało się, żyć nie mogę, ciężarem mi życie!
Dręczy okropna rozpacz mą stroskaną duszę,
Niewiesz, ile mnie boli, ile cierpię skrycie,
Że choć byłeś mi wiernym, ja cię sprzedać [muszę!!

Humorysta Warszawski.

Eliksir Benedyktyński.

* — Napij się sąsiedzie, a powiesz mi co myślisz o tej wódeczce.

I proboszcz z Gravesonu, jak jubiler liczący starannie perły, kropla po kropli napełnił i podał mi maleńki kieliszek zielonawo-złocistego, mocnego, przezroczystego, wybornego likieru... Aż słonecznie zrobiło mi się w żołądku.

— To eliksir ojca Gaucher, szczęście i zdrowie naszej Prowancyi — powiedział poczciwiec z tryumfem; — wyrabiają go w klasztorze Prémontrés odległego o dwie mile od twego młyna. Nieprawdaż, że lepszy od wszystkich Chartreuses całego świata? A gdybyś wiedział, jakie zabawne dzieje tego eliksiru... Posłuchaj...

I w tej spokojnej i cichej jadalni probostwa, przyozdobionej ładnemi, jasnemi firankami, sztywnemi od krochmalu jak komże, zawieszonej obrazami, przedstawiającemi stacye męki Chrystusa, nie domyślając się nawet, by było w tem co złego, opowiedział mi pewien poczciwiec historyjkę cokolwiek sceptyczną i swobodną:

„Przed dwudziestu laty, Premontrejczycy, albo jak ich w Prowancyi zowią, biali ojcowie, popadli w wielką nędzę. Aż litość brała wówczas patrzeć na ich klasztor.

„Z wielkiego muru i wieży Pacôme zostały tylko szczątki. Wszystko zarosło trawą, filary potrzaskane, a święci z kamienia powywracani w niszach. Ani jednego okna, ani jednych drzwi całych. Wiatr gwizdał po kaplicach i zakrystyi, gasząc świece i wydmuchując wodę z chrzcielnicy. Lecz najsmutniejsze wrażenie budziła dzwonnica klasztorna, cicha jak pusty gołębnik. Ojcowie, nie mając za co kupić dzwonu, musieli zwoływać na jutrznię kołatką, zrobioną z drzewa migdałowego.

„Biedni ci biali ojcowie! Widzę ich jeszcze na procesyi Bożego Ciała, bladych, chudych, bo żyjących tylko kawonami, w wyszarzanych sutannach a po za nimi przewielebnego przeora ze smutnie spuszczoną głową, wstydzącego się swego zniszczonego pastorału i białej wełnianej infuły, zjedzonej przez robaki. Damy należące do bractwa płakały z litości, a grubi mieszczanie, niosący chorągwie, szeptali do siebie, wskazując na braciszków: „Szpaki jedzą z postem, gdy wędrują stadem." Sami nawet ojcowie doszli do tego, że zadawali sobie pytanie, czy nie lepiej będzie rozpierzchnąć się po świecie i szukać losu, każdy z osobna."

„Otóż gdy jednego dnia zebrana kapituła rozstrząsała tę ważną kwestję, oznajmiono, że braciszek Gaucher pragnie należeć do rady...

„Trzeba ci wiedzieć sąsiedzie, że braciszek Gaucher był pastuchem klasztornym, to jest trawił dni całe na przepędzaniu od arkady do arkady dwóch krów, które gryzły trawę na zarosłym bruku dziedzińca. Żywiony do lat dwunastu przez starą waryjatkę, zwaną ciotką Bégon, następnie przyjęty przez mnichów, biedny pastuch nie mógł się nigdy niczego nauczyć, tylko pasł trzody i odmawiał „Ojcze nasz" i to odmawiał go po prowansalsku, bo łacina była zatrudna na jego twardą głowę. Zresztą gorliwy katolik, chociaż pełen nadprzyrodzonych przywidzeń, zadowolony ze swej włosiennicy i biczujący się z przejęciem, a do tego jak potężnemi rękami!...

„Gdy wszedł do sali zebrań z miną głupowatą i nieśmiałą, kłaniając się zgromadzonym wysunięciem nogi wtył, kanonicy, kaznodzieja, braciszkowie — wszyscy parsknęli śmiechem. Brat Gaucher z włosem siwiejącym, koźlą brodą i głupawem spojrzeniem robił zawsze podobne wrażenie, to też i teraz wcale się nie zmieszał.

— Przewielebni — rzekł dobrodusznym tonem, miętosząc na palcach różaniec, złożony z pestek oliwek — ludzie słusznie utrzymują, że najlepszy odgłos wydają puste beczki. Wyobraźcie sobie, że wskutek szukania w mojej pustej głowie, zdaje mi się, żem wynalazł środek wybawienia nas wszystkich z biedy.... Oto jakim sposobem: Znaliście ciotkę Begonę, zacną kobietę, która mnie przytuliła do siebie, gdym był mały. (Niech się Bóg zmiłuje nad jej duszą; stara hultajka śpiewała szkaradne piosnki popijanemu). Muszę wam powiedzieć, przewielebni ojcowie, że za życia ciotka Begona znała się na górskich ziołach lepiej od najstarszego szpaka Korsykańskiego. Na dowód czego, przy końcu już życia przyrządziła nieporównany eliksir z pięciu czy sześciu ziół, któreśmy razem uzbierali na skałach. Wprawdzie, bardzo to da-

wno temu; sądzę jednak, że z pomocą świętego Augustyna, a z pozwoleniem ojca przeora mógłbym przypomnieć sobie skład tego tajemniczego eliksiru. Wtedy, nicby nam nie pozostawało, jak zlewać go w butelki i sprzedawać, coby powoli mogło wzbogacić zgromadzenie, tak jak się wzbogacili Trapiści i Wiel...

„Nie mógł skończyć.

„Przeor rzucił mu się na szyję. Kanonicy ściskali mu ręce. Kasyjer, więcej od wszystkich wzruszony, całował końce jego sznurów... Następnie każdy zajął swoje miejsce dla narady i kapituła jednogłośnie orzekła, aby bratu Trazybulowi powierzyć krowy, a brat Gaucher aby się zajął przyrządzaniem eliksiru.

„Jakim zaś sposobem braciszek zdołał odnaleść przepis ciotki Begony, jakimi trudami i wysiłkami, o tem dzieje milczą. Pewnem jest tylko to, że w sześć miesięcy po tem zdarzeniu, eliksir białych ojców był już bardzo znanym. W całym Comfat, w kraju Arles, nie znalazłeś ani jednego gospodarstwa, gdzieby obok kilku butelek wina i słoja oliwek nie było glinianego flakonu, zapieczętowanego herbem Prowancyi, z modlącym się gorąco mnichem na srebrzystej etykiecie. Dzięki wziętości eliksiru, klasztor w Prémontrés bardzo szybko się wzbogacił. Wzniesiono wieżę Pacôme. Przeor dostał nową infułę, kościół pięknie malowane szyby, a w lekkiej kształtnej dzwonnicy cała gromada dzwonów i dzwonków zadźwięczała hałaśliwie pewnego pięknego wielkanocnego ranka.

O braciszku Gaucher, który do niedawna był pośmiewiskiem całej kapituły, nie było więcej mowy. Teraz znano przewielebnego ojca Gaucher, człowieka z głową i wielkiej wiedzy, trzymającego się zupełnie zdala od drobiazgów życia klasztornego, i zamkniętego po całych dniach w dystylarni, gdy tymczasem trzydziestu braciszków wspinało się po górach, by mu dostarczyć ziół wonnych... Ta dystylarnia, gdzie nikomu, nawet przeorowi wejść nie było wolno, mieściła się w dawnym refektarzu na końcu ogrodu. Prostota poczciwych ojców otoczyła ją jakimś groźnym i tajemniczym urokiem; a jeśli jaki odważny i ciekawy księżyna, wdrapawszy się po winnicy, zdołał zajrzeć do wnętrza, zsuwał się natychmiast, przerażony widokiem ojca Gaucher z brodą czarnoksiężnika, pochylonego nad kotłem z probierzem w ręku, otoczonego olbrzymiemi alembikami, wężownicami i innymi dziwacznymi przyrządami, wyglądającymi jeszcze straszniej przez czerwone szyby.

„Przy schyłku dnia, gdy dzwoniono na Anioł Pański, drzwi tego tajemniczego miejsca uchylały się ostrożnie i przewielebny szedł do kościoła na modlitwę wieczorną. Trzeba było widzieć, jak go spotykano w klasztorze! Braciszkowie tworzyli szpaler. Szeptano: „Sza!... posiada sekret!..." Kasyjer szedł za nim z pochyloną głową.

„Wśród oddawanych mu hołdów, przechodził ojciec Gaucher w trójgraniastym kapeluszu, zsuniętym na tył głowy, którą wieńczył jak aureolą, i ocierając pot z czoła, spoglądał z przyjemnością, to na krzewy pomarańczowe, to na dach niebieski z nowemi chorągiewkami, to na białe i kwieciste filary, wśród których przechadzali się po dwóch kanonicy świeżo ubrani i wyglądający krzepko.

— Wszystko to mnie zawdzięczają — mówił do siebie przewielebny i na tę myśl doznawał uczucia dumy.

„Był za nią biedaczysko bardzo ukarany. Zobaczysz sąsiedzie.

„Wyobraź sobie, że raz podczas wieczornej modlitwy, wszedł ojciec Gaucher do kościoła nadzwyczaj wzburzony: czerwony, zdyszany, z kapturem na bakier i tak nieprzytomny, że aż po łokcie zanurzył ręce w święconej wodzie. Sądzono z początku, że jest tak wzruszony wskutek opóźnienia; ale gdy zaczął bić czołem przed organami i kazalnicą zamiast przed wielkim ołtarzem, gdy począł przebiegać kościół z szybkością wiatru, błądzić po chórze przez kilka minut, nim znalazł swoje miejsce i nareszcie usiadłszy, kiwać się na prawo i na lewo z bezmyślnym uśmiechem, zaczęto z podziwieniem

szeptać we wszystkich trzech nawach. Jeden drugiego pytał: „Co się stało ojcu Gaucher?... Co się stało ojcu Gaucher?...“ Po dwa razy już przeor zniecierpliwiony uderzył pastorałem o kamienną posadzkę na znak milczenia... Dalej, w głębi chóru, psalmy szły swoim porządkiem, ale responsy mylono.

„Nagle, w samym środku *Ave verum*, ojciec Gaucher, przechyliwszy w tył głowę, zaintonował potężnym głosem:

Dans Paris il y a un père blanc,
Patatin, patatan, tarabin, taraban etc.

„Przerażenie ogólne. Wszyscy się zrywają, krzycząc:

— Wyprowadzić go... opętany.

„Kanonicy się żegnają. Pastorał przeora gorączkowo się porusza... Ale ojciec Gaucher nic nie widzi, nic nie słyszy i tylko dalej wyciąga swoje „patatin, taraban" i zawzięcie, jak silny opętaniec, broni się dwom silnym kolegom, którzy go wyprowadzają bocznemi drzwiami.

„Nazajutrz, z brzaskiem dnia, był już biedak na kolanach w oratoryjum przeora i bijąc się w piersi, wylewał potok łez.

— To eliksir, proszę waszej przewielebności, to eliksir tak mnie podszedł — mówił głosem żałosnym. Widząc go tak zgnębionym, tak żałującym, dobry przeor uczuł wzruszenie.

— No, no, ojcze Gaucher, uspokój się, wszystko to przyschnie, jak rosa na słońcu... Zresztą skandal nie był tak strasznym, jak sobie wyobrażasz. Wprawdzie była piosnka cokolwiek... hm... hm... No! ale może jej klerycy nie słyszeli... A teraz powiedz mi, proszę, jak się to stało... To zapewne kosztując eliksiru, nieprawdaż? Miałeś za ciężką rękę. Tak, tak, rozumiem... To tak, jak Szwartz, twórca prochu, stałeś się ofiarą własnego wynalazku. Powiedz mi, zacny przyjacielu, czy koniecznie potrzebujesz sam kosztować tego strasznego eliksiru?

— Na nieszczęście... tak, wasza wielebności... probierz daje mi stopień mocy alkoholu, ale co do wykończenia, delikatności, smaku, mogę tylko polegać na mojem podniebieniu...

— Ah! bardzo dobrze... słuchaj jednak, co ci powiem. Kiedy kosztujesz eliksir z potrzeby, z konieczności, czy smakujesz w nim? Czy ci robi przyjemność?...

— Niestety! tak, wasza wielebności — odrzekł nieszczęśliwy ojciec, czerwieniąc się jak burak. Od dwóch wieczorów już znajduję w nim bukiet, aromat.. To zapewne szatan płata mi tego figla... To też odtąd postanowiłem używać tylko probierza. Trudno, jeśli likier nie będzie tak wykończonym, tak delikatnym..

— Niech cię Bóg broni — przerwał żywo przeor. — Nie można się narażać na zniechęcenie klijentelli. Kiedy znasz niebezpieczeństwo, powinieneś się mieć na baczności... Ileż potrzebujesz, aby poznać smak właściwy? Piętnaście, dwadzieścia kropel, nieprawdaż? przypuśćmy dwadzieścia... Dyjabeł będzie bardzo zręczny, jeśli cię podejdzie dwudziestu kroplami... Zresztą, żeby uniknąć wszelkiego przypadku, pozwalam ci odtąd nieprzychodzić do kościoła. Będziesz się modlił w dystylarni... Teraz idź w spokoju, kochany ojcze, a przedewszystkiem rachuj dobrze krople...

„Niestety! chociaż przewielebny usiłował liczyć krople... szatan trzymał go silnie i nie puścił więcej.

„Dopiero to w dystylarni odbywało się szczególne nabożeństwo!

„W ciągu dnia było jeszcze jako tako. Ojciec był dość spokojny; przygotowywał fajerwerki, alembiki, rozcierał starannie różnorodne zioła Prowancyi, białe, szare, ząbkowane, przejęte wonią i przepalone słońcem... Ale wieczorem, gdy już były zaparzone i eliksir stygł w wielkiej, miedzianej kadzi, rozpoczynała się męczarnia biedaka.

— .....Siedmnaście... ośmnaście... dziewiętnaście... dwadzieścia!...

„Krople padały z rurki do czerwonego kieliszka. Te dwadzieścia, ojciec połykał odrazu, prawie bez przyjemności. Miał dopiero ochotę

na dwudziestą pierwszą. Och! ta dwudziesta pierwsza kropla!... Wtedy, aby uniknąć pokusy, klękał w kącie laboratoryjum i pogrążał się w modlitwie. Ale z ciepłego jeszcze likieru rozchodziła się woń aromatyczna, drażniła jego powonienie, chcąc nie chcąc ciągnęła do kadzi. Likier był pięknej zielono-złocistej barwy... Pochylony nad nim z rozwartemi nozdrzami, ojciec mieszał go lekko rurką, i zdawało mu się, że w szmaragdowych kropelkach widzi twarz ciotki Begony, patrzącą nań ze złośliwym uśmiechem... „No! jeszcze kropelkę." I kroplą po kropli, nieszczęsny napełniał kieliszek po brzegi. Wtedy bezsilny, padał na wielki fotel z ciałem bezwładnem, z przymkniętą na pół powieką, napawał się swym grzechem po troszku, szepcząc z rozkosznym wyrzutem: „Ah! gubię mą duszę! gubię mą duszę!..."

„Co najstraszniejsza, że na dnie tego dyjabelskiego eliksiru, wskutek niewiem jakich czarów, odnajdywał wszystkie szkaradne piosnki Begony: to „Trzy kumoszki rozmawiają o uczcie", albo „Brygida majstra Andrzeja poszła sama do lasu", a zawsze to sławne ojców białych „Patatin, Patatan".

„Wyobraż sobie, jaki wstyd nazajutrz, gdy sąsiedzi jego celi mówili doń złośliwie: „He! he! ojcze Gaucher, wczoraj kładąc się spać, miałeś głowę pełną polnych słowików". Płacz, rozpacz, post, włosiennica, dyscyplina, wszystko było w robocie. Ale nic nie zmogło szatana eliksiru; i co wieczór, o tej samej godzinie, opętanie się rozpoczynało.

„W tym czasie zamówienia spływały potokiem na opactwo — istne błogosławieństwo. Nadchodziły z Nimes, z Aix, z Avignon, z Marsylii... Z każdym dniem więcej klasztor przybierał pozór fabryki. Byli bracia do pakowania, do korkowania, do pisania etykiet, inni do ich przyklejania; służba boża traciła od czasu do czasu jakieś uderzenie dzwonka, ale okoliczni mieszkańcy nic nie tracili, upewniam cię.

„Wtem razu jednego w piękny ranek niedzielny, kiedy kasyjer czytał zgromadzonej kapitule bilans z całego roku, a poczciwi zakonnicy słuchali go z błyszczącem okiem i błogim uśmiechem na ustach, wpada ojciec Gaucher, wołając: „Skończone!... Już nie będę więcej robił.. Oddajcie mi moje krowy..."

— Co się stało, ojcze Gaucher? — spytał przeor, który się domyślał, o co idzie.

— Co się stało, wasza wielebność?... Stało się, że sobie gotuję piękną wieczność z płomieni i ognistych wideł. . Piję!... piję, jak nędznik!...

— Przecież ci mówiłem, żebyś liczył krople.

— A tak, liczył krople, teraz trzebaby liczyć kieliszki... Tak, przewielebni, do tego doszedłem... Trzy flaszki co wieczór... Rozumiecie dobrze, że tak dłużej trwać nie może... Niech sobie robi eliksir, kto chce... a mnie niech spali ogień niebieski, jeśli się dotknę alembiku!

Kapitule śmiać się odechciało.

— Ależ, nieszczęsny, gubisz nas! — wołał kasyjer, machając książką.

— Czy wolisz, żebym duszę gubił?

Na to przeor podniósł się:

— Moi przewielebni — rzekł, wyciągając piękną białą rękę, na której błyszczał pierścień pasterski — jest na wszystko sposób... Wszak to wieczorem, mój synu, szatan cię kusi?...

— Tak, ojcze przeorze, regularnie co wieczór... To też gdy noc się zbliża, czuję, z przeproszeniem. pot występujący mi na czoło, jak na owego osła, gdy spostrzegał siodło.

— A więc, uspokój się; odtąd, co wieczór, przy nabożeństwie, będziemy na twoją intencję odmawiali modlitwę... Zatem, cokolwiek wypadnie, jesteś bezpieczny...

— Och! kiedy tak, to dziękuję, ojcze przeorze. I nie pytając o nic więcej, ojciec Gaucher swobodny jak jaskółka, wrócił do swoich alembików.

„Istotnie, od tego dnia, co wieczór, oficyant przy końcu modłów nie zaniedbał nigdy dodać: „Módlmy się za biednego ojca Gaucher, który poświęca swą duszę dla sprawy zgromadzenia... *Oremus Domine...*" I gdy drżące dźwięki modlitwy, jak wiatr po śniegu, muskały po białych

kapturach, kornie schylonych wśród ciemnej nawy, na drugim końcu klasztoru, poza ognistemi szybami dystylarni, słychać było ojca Gaucher, śpiewającego zapamiętale:

„Patatin, patatan, tarabin, taraban."

....Nagle poczciwy proboszcz zatrzymał się, przerażony własnemi słowy.

— Przez miłosierdzie! gdyby moi parafianie mnie słyszeli!...

Alfons Daudet.

Elsler.

* Fanny Elsler zajmowała w teatrze paryzkim wielką ubieralnię, przy drzwiach której dwóch lokajów w bogatej liberyi stało zawsze na straży. Wewnątrz przecież nie było ani perskich dywanów, ani wspaniałych przyborów toaletowych, wszystko to zastępowała kreda. Kreda na stole, kreda na tualecie, kreda na posadzce, wszędzie kreda, jako nieodzowny środek każdej tancerki, która nią nacierać musi podeszwy u trzewików, aby uniknąć fałszywego stąpnięcia. Pewnego razu wszedł tam poeta teatralny Bural, a Fanny przyjęła go temi słowy:

— Tracę głowę z rozpaczy, za chwilę mam wystąpić, a tu wyobraź sobie, ukradziono mi kredę, posyłam wszędzie, nigdzie niemożna znaleźć, zmówiono się na mnie, aby mi przeszkodzić dobrze tańczyć. Ale ty przyjacielu stworzysz mi kredę, nieprawdaż?...

— Droga pani! gdzież mam jej szukać?..

— Gdzie chcesz, idź, jedź, ja koszta zapłacę, ale za kwadrans, zanim się zacznie przedstawienie, powracaj z kredą!

Była to jedenasta w nocy, sklepy już były zamknięte. Bural nie wiedział, gdzie znajdzie żądany przedmiot, jednak poszedł i za kwadrans wraca z dziesięcioma kredkami od kart w ręku.

— Ileż ci jestem winna? — pyta rozpromieniona Fanny.

— Dziesięć szklanek wody z cukrem — odpowiada poeta, gdyż musiałem wejść do dziesięciu kawiarni, żeby ukraść tyleż kredek!

Emir Bej-Raszyd.

* Znałem... lecz szczęściem uleczoną z żalu
Safonę, bardzo podobną do greckiej.
Ta się nieszczęściem kochała w żołnierzu,
A żołnierz zginął na wojnie tureckiej;
Ta poszła zabrać na Warneńskiem polu
Zwłoki — a uszy w Konstantynopolu.

Smutna, ubrana w kwiaty sympatyczne
Poszła nieszczęsna na brzegi Marmora.
Kędy osobne biuro statystyczne
Liczyło uszy z rana do wieczora,
I oddzieliwszy od niezgrabnych zgrabne,
Nizało sztucznie na sznurki jedwabne.

I przyszła sama, smutna, jak Armida,
I rzekła z płaczem: „oddajcie mi skarby!"
„Jakie?" rzekł gruby Emir Bej-Raszyda.
Chciała powiedzieć, lecz rumieńca farby
Zeszły na twarzy płaczącej dziewczynie,
Bo nie znalazła frazesu w Korynie...

„Wróćcie mi, wróćcie!" i znowu zamilkła,
Patrząc na skarbów znizanych pół-pluton.
Zrozumiał Emir i dał sznurków kilka
I gładząc brodę, śmiał się, jak Bóg Pluton;
Śmiał się, zważając na prośby szalone —
Orfeuszowskie, co prosił o żonę.

I musiał piekłu grać, jak Paganini,
Na jednej strunie cały płaczu kwartet.
Ale powróćmy do naszej bogini:
Chciała z rozpaczy umrzeć broken—harted,
Więc wiodła ciągłą z doktorami sprzeczkę
O krwi troszeczkę i jeszcze miseczkę...

Słowacki.

Enejda trawestowana.

Arma virumque cano.

Zucha i szablę śpiewam, co losy wiecznemi,
Z pustek Troi do włoskiej przywędrował ziemi.
Wiele biedak ucierpiał na lądzie i wodzie,
Nieraz cwałował pieszo i nieraz o głodzie;
Lecz najwięcej mu szkodził gniew księżny Junony,
Burczymuchy Jowisza siostrzyczki i żony;

Kiedy czubił swych wrogów, Watykan zakładał,
Kiedy bogom domowym ziemię cudzą nadał.
Odtąd data Latronów i Pajaców imię
I twoje kamienice, murowany Rzymie!
Muzo! dalej Wać Panno, mów rzecz nadpoczętą,
Czemu Imość na niego tak była zawziętą,
Że go nieprzyjemności spotykały same;
A pfe! to było bardzo niepięknie na damę.

Leżał Tyr, miasto dobrze z szachrajstwa pamiętne [1])
Vis à vis Tybru, który w morze wpływa mętne
(Kroniki wspominają, w pargamin oprawne,
Że w nim były jarmarki w środopoście sławne).
Tam mieszkało odważne i wąsate plemię,
Księżna Juno nad męża lubiła tę ziemię,
Więcej nawet niż teatr, reduty i bale;
Tam chowa kabryjolet, tam złożyła szale.
To miasto, jeśli grzeczne posłużą wyroki,
Wcielić do Hanzy związku chciała za dwa roki,
Ale słyszy, bo ktoś jej nagadał w sekrecie,
Że lud powstanie, który oszuka ich przecie,
I w boju doświadczony, na zdobycz łakomy,
Zburzy ratusz i w mieście porozwala domy,
A to wszystko z krwi Trojan, których w bitwach śmiało
Z greckimi huzarami zbić się jej udało.
Gniewa ją trefniś Parys, co trzpiotce Wenerze,
A nie jej, dał jabłuszko pożądane szczerze,
I Ganimed, młodzieniec dziarski i niewinny,
Za to, że w pewnym razie nie był jej uczynny!..

Juno, tak ważne mając do dąsów podniety,
Co Achilles nie wytłukł i greckie bagnety,
Długo pędzi okręty przez morskie topiele,
A coraz dopiekając nieborakom wiele,
Trojan od lądów włoskiej odpychała ziemi!
(Tak to, mosanie, zawsze początki trudnemi!)

Ledwo się wygrabawszy na Sykulskie morze
Flota, w połowie zgniła, kwaśne wody porze,
Kiedy Juno zgniewana, jakby oparzona,
Rzekła: „I ja to od nich mam być poniżona?
Eneasza i Trojan, choć wyrok rzecz zwleka,
Odsadzę od ziem włoskich, jak kota od mleka!
Wszak Pallas niegrzeczności pomściła się godnie,
Greki hurtem karała, za jednego zbrodnie,
Rzuciła tuzin błysków i półkopy gromów,
Tak, iż wielu z torbami wróciło do domów.
A syna Oileja jak palnęła grzmotem,
Kozła biedak przewrócił, zgłuszony łoskotem,
Na kark zleciał i w morzu został pogrążony!
Mnie? z którą cesarz Jowisz małżeństwem złączony?
Mnie wcale nie *à propos* walczyć z podłą zgrają!
Temu to już mi kupcy prezentów nie dają!“
To myśląc, gniewy w piersi jak wrzały tak wrzały;
Leci boso, bez chustki, do Eola skały:
A nie dbając na kaszel, spazmy i katary,
Staje w otworze ciasnym ućmionej pieczary!

Tam król wichrów nadęty w mesztach i szlafroku,
Gromi cybuchem wiatry huczące na boku,
Ryczą przy drzwiach i do wrót szturmują z zapędem,
On wziąwszy za kark, wsadza do aresztu rzędem,
Bo gdyby nie kajdanki, koza i batogi
Rozwialiby świat cały wnet na cztery rogi.
Dla tego ich frant Jowisz na rygle zamyka.
I brodacza nad niemi postawił strażnika,
Coby ich w ryzie trzymać należytej umiał,
I obroty od deski do deski rozumiał.

Juno do jego z gniewem przyskoczyła progów
I rzekła: „Pan masz urząd z łaski ojca bogów,
A szczególnie jest na to pono ci oddany,
Abyś, jak karty szuler, przewracał bałwany.
Eneasz teraz z swemi manatkami płynie,
Z pustek Troi, ku sławnej sałatą krainie;
Wypuść wiatry ze smyczy, niech mocą szaloną
W przepaściach morza flotę urwiszów pochłoną.
Mam czternaście panienek, słynących urodą,
Z tych dam ci Dejopeję, rozkoszną i młodą,
Nota bene za żonę... a ona ci za to,
Uszyje szlafrok modny z atłasu na lato,

[1]) Fides Punica.

I twe łoże, Eolu, w tym domku wygodnym,
W krótce po ślubie uczci synaczkiem dorodnym."

„Mościa księżno!" z ukłonem Eol jej powiada;
„Co mi każesz, wypełnić do joty wypada.
Z łaski Wielmożnej Pani, wiatrami ja władam,
I co niedziela objad w Olimpie zajadam!"
Potem machnął cybuchem, aż tu wrota [skrzypią,
Wiatry jeden po drugim, jak z worka się sypią!
Huczą około okien, dalej całe morze,
Eurus, krzywonos Afryk i zwiędły Not porze.
„Gwałtu!" krzyczą Trojanie — a zbujałe męty,
Jak talerze lokaje, potłukły okręty.
Oczy wszystkich szarawe zamydliły chmury,
Światło w nogi — cień nocy rozlał się ponury.
Trzeszczą nieba, a z błysków spadających krzywo,
Rzekł ktoś: „Abraham Trojan zaprasza na [piwo!"

Eneasz ani dudu, zapomniał o świecie,
A gdy po małej chwili spamiętał się przecie,
W płacz, łapki obie w niebo wznosi, drżący.
„O Jowiszu, spokojnie w pałacu siedzący!
Szczęśliwi są, dalibóg, współkoledzy moi,
Co w dam pięknych obliczu, na przedmieściu [Troi.
Jak muchy poginęli, dzielni wojownicy;
Czemuż ja nie poległem z Tetyda rusznicy?
Tyluś nabił już ludzi błyszczącym orężem,
Czemuś mię nie zastrzelił, wszakże i ja mężem?
Gdzie Sameont swe nurty przewraca głęboki,
Niosąc kaszkiety, olstra, szable i tłomoki!
Gdybym przyszłe wypadki nieszczęśliwy wie- [dział,
Za piecem, pod pierzyną spokojnie bym sie- [dział.

W tem, jak Filip z Konopi, wiatr się wyrwał [nagle,
Porwał im na kawałki bandery i żagle
I nawami jak kulą po kręgielni miotał,
Choć Eneasz na majtkach szpadę podruzgotał;
I to nic nie pomogło, wiatr z niego się śmieje
I wody jak z konewki na pokłady leje.

Dwa okręty się tłuką, falą bite wściekłą,
Jak Marek, gdy odwiedzał w swej wędrówce [piekło.
Inne trzy, mimo płaczu, narzekań i wrzasku,
Osiadły jak na koszu, na przestrzeniach [piasku.
Co to za wielka szkoda, ten Euros zawzięty,
Jak staw jaki groblami obsypał okręty.
Jeden, w którym z działami wierny Oront pły- [nął,
Pod nosem Eneasza w głębiznach zaginął,
Jak go wał gruchnął, z tyłu sternik nie [dosiada,
Ale z wiosłem na głowę z pokładu wypada,
A bystry wir, jak niemczyk walcujący z damą,
Kręci nawę i w przepaść pogrąża ją samą:
Jak kieliszki przy ucztach, topią się okręty,
Topi się porter, arak i mąki i sprzęty.
Zniknął kapitan Achat, panna Iljoneja,
Aleta i Abasa niewczesna nadzieja,
Bo przez zalane szpary żywicą i smołą,
Cisną się, jak na odpust, słone wody w koło,
I choć majtkiem obsadził wszystkie nawy zydle
Wyjdzie wkrótce, jak wyszedł Zabłocki na [mydle

Tymczasem takie figle zwąchał Neptun stary,
Zgryzł zęby, w gniewie wsadził na nos okulary
Widzi jak Eneasza złapano w obroty,
Jak trojan walą gromy i zmoczyły słoty.
Woła Eura na stronę, tak do niego rzecze:
„Z tych głupstw, któż mojej siostry gniewu ni [dociecze
Co wam się w mózgownicach zapalonych roi,
Iż śmiecie morza burzyć *contra* woli mojej;
Jak uspokoję burzę i połatam nawy,
Zaraz was oddać każę do domu poprawy.
Teraz bez żadnych ekskuz, bez żadnej wymówki
Lećcie cwałem do domu Eola, półgłówki!
Donieście mu, co powiem, że takie bezprawia,
Neptun do rozpoczęcia procesu zostawia,
Potem wspólnie z Krętoszem mecenasem [walnym
Wygram sprawę tak jasną w sądzie krymi- [nalnym."

Rzekł i trójzęba w morze gdy uderzył końcem,
Nikną chmury, pogoda zajechała z słońcem,
Cymotea, sam Neptun, parobki, Trytony,
Ciągną okręt, na skały czubku zawieszony,
Piaski łopatą grzebią; i po mórz głębinie,
Lekkie unosząc skrzele, jak gęś zwolna płynie.

Jako kiedy pan burmistrz pogniewa ławniki,
Krzyczą pełne gorzałki majstry, czeladniki
Lecą głazy, pecyny, stołki, szydła, garnki;
Niechże ujrzą przypadkiem oblicze szynkarki
Zaleconej wdziękami, co na kredyt daje,
Cichość głucha nastąpi i hałas ustaje,
Ona zaraz im piwa nalewa i wódki —
I na morzu te same spostrzegamy skutki:
Kiedy Neptun po dobrym z Nimfami obiedzie
Na spacer w koczu Dangla ku brzegom wyjedzie.

Po tak wielkiej faładze, gdy ustały wiatry,
Spostrzegł zdala Eneasz Afrykę i Tatry.
Jest tam ląd nakształt wyspy, a na nim są skały,
Poniżej się port zjawia, jak w Gdańsku wspaniały,
Brzegi jego szoruje wód zszumiałych piana,
I wężykiem się kręci, jak baba pijana.

Cichość taka, iż ledwo słychać gdy mysz piśnie,
Las na wierzchu, a w lesie są gruszki i wiśnie,
Naprzeciw jest jak z konwi buchająca woda,
Dalej małe altanki i Nimfek gospoda:
Tu burzą potłuczone lub zstrzelane nawy
Mogą przybić do brzegu bez żadnej obawy.
Tu Eneasz z siedmioma okręty się wtłoczył,
I w radości nadmiarze pierwszy na ląd skoczył.
O jak wszyscy Trojanie teraz są weseli!
Suszą się nieboraki po długiej kąpieli;
Achates za krzesiwko z kieszeni porywa,
Czerk, czerk i ogień wprędce z krzemienia dobywa.
Potem siadłszy na kuczkach, z całej siły dmucha,
Przecie się z drzewem słoma zapaliła sucha,
Niosą mąkę, a drudzy przesuszywszy ziarna,
Mielą kaszę jęczmienną, obracając żarna.
Eneasz, zapaliwszy fajkę u ogniska,
Wgramolił się na skały rozpadłej urwiska,
Wziął perspektywę, patrzy tędy i owędy.
Ale na morza głębiach spokojność jest wszędy.
Kaik co do Elbląga nieraz z żytem płynął,
Wraz z rotmanem Kapisem na nieszczęście zginął:
I Antej używany do własnej posługi,
Co się za młodu uczył w Odessie żeglugi,
A kiedy po ich stracie rzewnemi łzy płacze,
Aż tu zdala spostrzega trzy tęgie rogacze,
Za nimi idzie samiec i młodych gromada,
Eneasz po za krzaki cichaczem się skrada;
Nabija Achatową lotkami gwintówkę,
Naprzód wodza rogaczów przedziurawił główkę,
Potem jak palnął śrótem, nabój nie był marny,
Pięć sztuk na placu kładzie i dwie młode sarny;
Umyka co tchu, kontent z tak pięknej zdobyczy,
Żeby go nie zagrabił czasami leśniczy;
Trojan mięsem obdziela, a porwawszy kadzie.
Nalewa porter w szklanki; po sutej biesiadzie,
Od Acesta na dowód szacunku mu dany
Trunek dobry, lecz jeszcze nie zbutelkowany.

„Los“, mówi Eneasz, „figle płata nowe,
Ale mu się nie damy, bo mam jeszcze głowę
Już zwiedziliśmy Scyllę, tego dziwoląga,
Co jak grosze do kieski, ludzi w siebie wciąga,
Z jednem okiem na czole, gdyby dęby chłopa
Sławnego Samojeda, imieniem Cyklopa!
Dalej za mną koledzy, a dalejże śmiało!
Nieraz się wydrwić frantom z nieszczęścia udało.
Włochy zwiedzić koledzy, jest sztuka nie lada!
Gdzie przeskoczyć nie można, tam podleść wypada;
Tym sposobem dopniemy swego celu może,
Płyńmy! bo w Włoszech żonki znajdziemy i łoże!“
To rzekł i choć w istocie przeciwnościom łaje,
Wąsa sobie pokręca i śmiałka udaje;
Jedni porwali rynki, drudzy biorą garnki,
Ci chrzany trą z pośpiechem o bok ostrej tarki;
Już kartofle i kasza jaglana szepleni,
Ci kijem obracają kawałek pieczeni,
A gdy sobie po pracy porządnie podjedli,
Z fajkami na murawie po uczcie zasiedli.
Ledwo obrusy zdjęto, odstawiono stoły,
Trojanie w płacz za swymi zaraz przyjacioły,

A najbardziej Eneasz nieszczęśliwy szlochał,
Bo niezmiernie Oronta półkownika kochał!
Rycerz to był nie lada dzielny i rozumny,
Dwie kartaczami greckie pogromił kolumny.
To znowu swe rozwodzi nad Gijasem żale,
Co francuzkim językiem mówił doskonale;
Nad Amikiem, co pisał wyborne romanse,
I Likiem, który tańczył wszystkie kontredanse.
Wtem Jowisz na fotelu w niebie usiąść ra- [czył,
A gdy ziemię i ludy i morza zobaczył,
Przez lornetkę na Libją szczególnie spoziera.
Wenus się skarżąc, oczki niebieskie ociera:
„Ty, który jak gracz tęgi w Faraonie karty,
Rządzisz niebem i ziemią i bogi i czarty,
Cóż ci biedny Eneasz w całem życiu spłatał?
Żeś mu skórę tak tęgo dziś rano wyłatał.
On jak może się biedak z tylu nieszczęść grzebie
A ty mu grosza niedasz w naglącej potrzebie!
Nędzy jego Trytony są naoczne świadki.
Słuchaj, kochany papo, słuchaj głosu matki!
A wszakże obiecałeś, że grzeczni Rzymianie,
W każdym kącie rozszerzą swoje panowanie?
Cóż mogło nagle rzeczy porządek przewrócić?
Ledwom trochę po Troi przestała się smucić,
W nadziei, że Trojanom za liczne usługi
Przebaczysz uchybienia i darujesz długi,
Nic z tego, zawsze suszysz nad tem tylko [głowę,
Abyś Trojanom płatać mógł psikusy nowe!
Antenor po wędrówce i po długim znoju,
Spoczął sobie na łóżku w sypialnym pokoju.
On już Padwę nad Renem od dawna założył,
I działami okopy przed miastem nasrożył.
Lud jego je byfsztyki, szynki i kartofle,
Spija za twoje zdrowie piwa pełne sztofle,
A złożywszy za piecem broń i ładownice,
Sieje hreczkę, jęczmiona, żyto i pszenice,
Nous autres twoi kuzyni, nam przez wieczne [losy,
Pour sé esjour przeznaczyli na sejmie niebiosy;
I z Belwederkiem w raju maleńką krainę,
Wydaje się, jakoby *vous vaudriez badiner*.“
Jowisz w śmiech do rozpuku, minkę wdzięczną [stroi,
I tak Anchizowicza matki żale koi:
„Nie gniewaj się córuniu, gniew piękności [szkodzi.
Będzie wszystko, jak żądasz, szkoda się na- [grodzi,
Sama ich zaprowadzisz, Waćpani gdzie trzeba.
A Eneasza grypsniem po śmierci do nieba.
Daję na zapewnienie *verbum* ci *nobile*,
Silentium! teraz losów firanki uchylę,
(Potrzeba uspokajać damy niespokojne),
Oto w Włoszech na tęgą zabiera się wojnę,
Zgromi Enej dzikunów i leśne urwisze,
Potem kodeks w trzech tomach dla ziomków [napisze,
A jako trutnie pszczoły wyganiają z ulów,
Tak obławą za bramę wygoni Rutulów!
Syn jego, twój faworyt, Askanijusz młody,
Julkiem zwany, gdy dziadka stały jeszcze [grody,
Lat trzydzieści jak obszył rządzić będzie kraje,
Potem, poznawszy mody, ton i obyczaje,
Z Lawinium się do Alby z dworem przepro- [wadzi.
Albę zaś żołnierzami jak makiem obsadzi;
Ażeby zaś mu kasy nie skradli złodzieje,
Wzniesie mury ceglane i wodą obleje.
Tu trzysta lat potomki zasiadając rzędem,
Będą jak owczym jedni szli po drugich pędem;
Aż Mars z pomocą jednej niewinnej dziewczy- [ny
Nie udaruje Włochy dorodnymi syny.
Z tych Romul, gdzieś dopadłszy na zimę wil- [czury,
Rzymian zbierze po lasach i założy mury.
Ci z mej woli wspierani bez końca od losu
Wiele po całym świecie narobią bigosu;
A Juno, co ich teraz i szarpie i czubi,
Ni ztąd ni z owąd wkrótce ten naród polubi,
Potem ich wojsko w promach przepłynąwszy [rzeki,
Na kwaśne jabłko zbije Azjaty i Greki.
Dalej ześlą Cezara, Jul będzie miał imię,
Ten, jak szara gęś, w całym rządzić będzie [Rzymie.
Ty jego, gdy na Wschodzie porabuje grody,
Zaprosisz do nas bogów, Wenero, na lody;

Wtenczas na ziemię manny i przepiórki spadną,
Złość, bezbożność, jak ołów zaraz pójdzie na
[dno,
A na wierzch szczęście spłynie, jak oliwa w
wodzie,
Wtedy to hulać będziesz ty Dardański rodzie!"

Chotomski Ferdynand należy do pisarzy czasów królestwa od 1815 roku, w tej bowiem epoce odznaczył się i głośnym był w świecie literackim dzięki poematom żartobliwym, które umieszczał w *Tygodniku Polskim*, przez Brunona hr. Kicińskiego redagowanym. Najważniejszą pamiątką, jaką zostawił w naszej literaturze, lecz dotąd w całości nie wydaną, jest „*Enejda trawestowana*" czyli „*nicowana*", jak ją sam nazwał.

Engel.

* W pewnem towarzystwie profesor Engel proszony był przez młodego junkra o wytłómaczenie mu rzeczywistej różnicy, jaka zachodzi między komedyją, dramatem i tragedyją. Jakób Engel odpowiedział: „Że pan dotychczas tego niewiesz, dla mnie jest to komedyją, dla towarzystwa dramatem, a dla pana tragedyją!"

Enghien.

* Pewien jenerał, znany z zawiści i z zazdrości, spytał księcia Enghien nazajutrz po wygranej przez tegoż sławnej bitwy pod Rocreri.

— Jak też zazdrośni zapatrywać się będą na waszą sławę mości książe?

— Tego nie wiem — odparł książe — ale chciałem się o to właśnie pana zapytać!"

Saphir. (p. str. 1).

* Pewien Anglik chwalił raz przed cudzoziemcem „Raj utracony" Miltona, twierdząc, że arcydzieło to jest chlubą narodu. „A opis piekła", zawołał w uniesieniu, „powiadam panu, jest rzeczywiście niebiański".

Epidemija warszawska.

* *Maciejowa.* Bójcie się Boga pani Wojciechowo, czy to prawda, co o waszym chłopie rozpowiadają, że mu się zmerło.

Wojciechowa. A co niema być prawda? już on tam chudzina dawno ziemię gryzie, przecie to trzeci tydzień, jakem go pochowała.

Maciejowa. I na cóż tak zamerł?

Wojciechowa. Na formalność, moja pani Maciejowo.

Maciejowa. Patrzcie no państwo! a to ja pierwszy raz słyszę o takiem choróbsku. Czy to jaka osypka?

Wojciechowa. Gdzieżby tam osypka! To widzicie, jak mi chłopisko zaczęło niedomagać, zarazem go zaprowadziła do jednego szpitala, ale mi tam powiedzieli, że bez formalność go nie przyjmą. Poszłam z nim do drugiego szpitala...

Maciejowa. No i co, i tam zamerł?

Wojciechowa. Ale gdzietam! — w tym drugim także go bez formalność nie przyjęli; więc jakem z nim szła do trzeciego, tak mi w drodze na te formalność zamerł.

Maciejowa. Widzita, co też to teraz te doktory nie wymyślają; człowiek już tyle lat żyje na świecie, a jeszczem dotąd nie wiedziała o takiej brzydkiej chorobie.

Świąteczny.

Epidemija ogródkowa.

* *W pewnej redakcyi.*

Redaktor. Mój panie N. wiadomości od kilku dni są bardzo kiepskie, cóż pan u licha robisz?

Reporter. Jakto, nie wiesz pan, że piszę operetkę, którą zamówił u mnie dyrektor?

Redaktor. Jaki dyrektor?

Reporter. A no... ten... przez duże D.

* *W innej redakcyi.*

Wydawca. We wczorajszej korekcie zostawiłeś pan milijony błędów, co dalej będzie?

Korektor. Byle dociągnąć do końca miesiąca. Potem idę na pierwszego amanta do ogródka.

* *W składzie szkła.*

Gość. Bój się Boga, dla kogóż to takie małe kufelki?

Właściciel. To robione na obstalunek do teatrzyku ogródkowego.

* *W restauracyi.*

Gospodyni. Zjadłaś panna sto dyjabłów, kto to widział do zakładu przychodzić dopiero o dziesiątej?

Panna. Et, nie krzyczałabyś pani próżno, jak przyjedzie Doroszyński, to nie będę bez cały dzień podawać piwo, jak tutaj, bo tam robota tylko wieczorem.

Epigramata.

Do . . .

Mężu, coś już zebrał skarby i masz brzuch opa-
[sły,
Nie dziw się, że ognie święte w sercu twem za-
[gasły.

Do . . .

Śliczne dziewczę, pełne ognia, werwy i finezyi!
Wyjdź już za jakiego gapia i nie pisz poezyi.

Do . . .

Matko pięknej Zuzi, Fruzi, Mani i Elalki!
Dzięki ci, żeś wychowała światu cztery... lalki.

Do . . .

Radco! ty w filantropii srodze jesteś wielki,
Bo dałeś na ubogich dwie puste butelki.

* *O wyborze żony.*

Widzę niejedną dobrą stronę
W dziewczynie — ładna i niewinna —
Lecz żeby pojąć ją za żonę,
To już jest sprawa całkiem inna!
Trzeba obmyśleć cnoty braki,
Gdy się ma przysiądz raz kobiecie —
A najrozumniej robi taki,
Kto się namyśla całe życie.

* Honorową szpicrutę wziął za dzielną jazdę,
Lecz niech babę ujeździ — dam mu z nieba
[gwiazdę.

* Był powozik ładny — był w stajni folblucik,
Ale za to majątek dał nura i uciekł,
* Co mąż zdołał zarobić na grubej dostawie,
To jejmość utraciła na wdzięków wystawie.

Epilog życia.

Cała natura jest chemiją,
A ród ludzki akademiją;
Całe twe życie w tej szkole
Przepędzaj w ciężkim mozole,
Idź z trudnościami w zapasy,
By w końcu grzankę swą upiec,
A śmierć ci powie, żeś głupiec,
I odda do pierwszej klasy.

Syrokomla.

Epitaphium.

* Przechodniu! tutaj leży
Fabrykant gotowej odzieży...
Na falach zbutwiałego kortu,
Dopłynął biedak do portu.

Epoka dojrzałości.

* Jest czas, gdy młoda dziewica za jednym rzutem oka wyczyta wam najskrytsze myśli; a co się tycze słów, to nietylko francuzkie, ale nawet mongolskie i mandżurskie odgadnie i przetłómaczy równie wiernie, jak sam pan Józef Kowalewski. Toż samo powtórzyć należy o muzyce. Dziewczę jest wtedy samą muzyką, samą najtkliwszą harmoniją: serce nieboże, od wieczora do rana gra w niej *a tutti.*

Placyd Jankowski, piszący pod pseudonimem Johna of Dycal'a, ur. w 1810, zm. w 1872, powieściopisarz, starający się bardzo o przeszczepienie humorystyki angielskiej do literatury polskiej. Tłómaczył Szekspira, Goethego. Napisał oryginalnie „*Pisma przedślubne i przedsplinowe*“, „*Zaścianek*“, „*Opowiadania*“, „*Nowe Opowiadania*“, „*Ostatni spór w Belgradzie*“, „*Pamiętniki Elfa*“, „*Doktór Panteusz w przemianach*“. Z Kraszewskim napisał do współki „*Powieść składaną*“.

Epoka świetności.

* — Co za nędzne sukno dałeś mi pan na surdut, czy nie widzisz pan, jak się wyświeciło?..

— Proszę pana, to trudno, i surdut chce mieć epokę świetności.

Era.

* Przypadek, od którego ludzie dostają zawrotu głowy. Do wszechludzkich er należą: pierwsze powodzenie w miłości i nominacyja na honorowego prezesa.

Ergo.

* Rzecz znana w logice. Służy do wyprowadzania wniosków przy pomocy tak zwanych *sylogizmów*. Pamiętny jest wszystkim egzamin z logiki jednego z tutejszych filologów, który na prośbę profesorów, aby dać przykład sylogizmu wyrecytował: „Sokrates był zwierzęciem; lew jest zwierzęciem; *ergo* człowiek jest lwem. Od tej chwili sposób dowodzenia za pomocą sylogizmów stał się bardzo popularnym w naszej prasie.

Ergo erravi.

* Więc się myliłem sądząc, że z twej wioski
Jako mąż zyskam krociowe dochody
I że żyć będę w rozkoszach, bez troski,
W hulance pędzić wiek młody.
Dziś już mi jednak otwarto źrenice:
Ojciec ci małą cząstkę pozostawi,
Gdyż oprócz ciebie są liczni dziedzice —
Ergo erravi...

Kochałem ciebie i czciłem twe ciotki;
Bawiąc dzień cały ich pieski i koty,
Na twe grymasy uśmiech miałem słodki,
Dla psów i kotów pieszczoty.
Ale czas spłoszył nadzieje zwodnicze,
A serce smutkiem boleśnie się krwawi,
Kiedy w zwątpieniu mały posag liczę —
Ergo erravi...

Nie pierwszy zawód me serce przenika,
Piętno boleści nie schodzi mi z czoła;
Jam wysokiego córkę urzędnika
Wielbił jak bóstwo, anioła.
I ślub był blizko; w tem — boże skaranie,
Jak gad zdradziecki wieść straszna się jawi,
Że ojciec panny dymisyję dostanie —
Ergo erravi...

Ilekroć serce się pełne ochoty
Zerwie do nowych serdecznych uniesień,
Rychło zapału zgaśnie promyk złoty,
Zwątpienia zwarzy je jesień.
Wpadam w martwotę, a gdy mi dokucza
Ród Izraela i wciąż silniej dławi,
Wołam w rozpaczy przez dziurkę od klucza:
Ergo erravi...

Hugo Pfisterer.

* — Panie Karolu, co to znaczy *Hannibal ante portas?*

— To znaczy, za pozwoleniem pani dobrodziejki, Hannibal bez pewnej części ubrania.

Estetyka kuchenna.

* Otwarcie w Berlinie pierwszej wystawy sztuki kucharskiej, obudziło nadzwyczajne zajęcie. O niczem wtedy nie mówiono w całem mieście, jak o brzuchu! Bohaterem dnia był jeleń pieczony, który zaprezentował się na wystawie stojąc na czterech nogach i w dodatku dźwigał na szyi zwieszoną sosjerkę z czerpakiem. Cały Berlin musiał to oglądać, i gdy tam zaszedłem pierwszego dnia, nie mogłem nic innego widzieć, jak tylko grzbiety. — Nie były to wszakże grzbiety czyli combry sarnie lub baranie, apetycznie przyrządzone, jakby się tego spodziewać można, ale najzwyczajniejsze ludzkie plecy, okryte zimowemi paltotami, które żadną miarą nie mogły zaspokoić ciekawości mojej, rozbudzonej nadzieją oglądania mistrzowstwa kulinarnej sztuki. Wyrozumiewałem jednak w zupełności żywe zajęcie berlińczyków.

„Powiedz mi, co jadasz, a powiem ci, kim jesteś“. Śmiałe to wyrażenie francuzkiego gastronoma, Brilant-Sawaryna, nie jest jeszcze dostatecznie uznane i wyzyskane. Żeby tylko spróbowano polepszyć środki pożywienia niektórych warstw społeczeństwa, wiele nieuleczalnych niby teoryi, zniknęłoby z pewnością ze świata. Tak jest, utrzymuję stanowczo, że sam Bebel przestałby być socyjalnym demokratą, gdyby go tylko żywiono u Dressla przez jeden miesiąc. Śledź i kartofle w mundurach

wzbudzają w nas całkiem inne wyobrażenia i przekonania polityczne, aniżeli filety z jelenia à la Chateaubriand i perygordzkie trufle *au serviette.* Wiele ważnych zmian w charakterach przeprowadzić można przy pomocy garnka i rożna, a nawet na poezyję korzystnie podniecający wpływ wywrzeć może kuchenne ognisko. Przytaczam dodatkowo pewne dowody:

Fryderyk Spielhagen n. p. w swojej sztuce „Wesoła Rada" wpadł na nowy pomysł dramaturgiczny, a mianowicie, poeta w swoim dramacie zastąpił cztery jednostki arystotelesowe czterema zastawami stołu. W każdym akcie sztuki podawano coś do jedzenia. Ekspozycyja początkowa ciągnie się od kawy rannej do drugiego śniadania; rozwinięcie psychologiczne kończy się obiadem. Z początkiem perypetii podają podwieczorkową kawę, a z chwilą rozwikłania zastawiają wieczorną herbatę. Gdyby nam był autor wyłożył jeszcze dokładniej *menu* każdej zastawy, wyjaśniłaby ją może fizyjologija potraw, działanie pewnej pieczeni, niektóre postanowienia aktorów czyli osób działających, które bez tego pozostały niezrozumiałe.

Henryk Krause postawił także obok swego Arystotelesa książkę kucharską. W ostatnim jego dramacie „Marino Faliero", gdy idzie o wydobycie porównania, fantazyja jego waha się w wyborze między półmiskiem klusek a pieczenią. W pierwszym akcie sztuki np. stoi:

„Jesteś złożony z wszelkiego rodzaju poglądów, jak marcepan z migdałów". Doża, zapytany przez jednego ze szlachty: „Nie jesteśmyż urobieni z tego samego ciasta?" odpowiada: „Z tego samego ciasta? no tak, ale makaron, połykany przez biednego lazarona i poświęcona Hostyja Pańska jest także z tej samej mąki". Jeden ze sprzysiężonych mówi: „Ach panie! jeden zdrajca wszystko zepsuć może, jak jedno złe jaje całe ciasto!" Pewien szlachcic robi znów uwagę, że lud nigdy nie będzie zadowolony „jeżeli zamiast deszczu, niebo nie będzie sypać makaronu, a kamienie brukowe nie zamienią się w kawałki sera". A jakież zasady mądrości umie Krause wydobywać swoją literacką łyżką z garnka do gotowania, przykładem te mądre sentencyje: „Patelni ubywa, gdy wielu z niej jada", albo: „Trzeba szumować groszek kiedy się gotuje", albo jeszcze: „Prawdziwie wolnym nazwać się może ten kto jest wolnym od troski o chleb powszedni!" Tak więc przypomina nam wszystko ciągle strefy kuchenne i żołądek, o którym, ludzie rozsądni przedewszystkiem myśleć powinni, bo tylko jedzenie tuczy... Nie byłoby też nic dziwnego, gdyby nas Henryk Krause niedługo uraczył poematem na temat np. „Śpiew ducha o bitej śmietanie", albo filozoficzną rozprawą „O stosunku pudingu do człowieka".

Z tego wszystkiego wynika przynajmniej to, że się nie potrzebuję wstydzić mojej żywej sympatyi do wystawy kucharskiej. Oby tylko sztuczne wrażenie, jakiego tam doznałem, nie padło na nieurodzajną ziemię. Przyznaję wszakże, że na początku byłem nieco zawiedziony; wyobrażałem sobie w mojej prostocie, że wystawa ta pokaże nam, o ile dobrą lub złą jest kuchnia niemiecka. Możnaby było wtedy zadecydować o smaku i pożywności wystawionych okazów kulinarnych; ale właśnie wydanie takiego sądu uniemożliwione było dla zwiedzających następną regułą: „przypatruj się wszystkiemu, ale niczego nie rusz". Przebiegałem z dołu do góry i z góry na dół, oglądając uważnie wszystko, ale jakkolwiek połykałem oczami niezliczoną ilość pasztetów i marynat, a nawet olbrzymi grzbiet wołowy, wyznaję, że wcale nie zostałem nasycony. Nawet kilka batalijonów sandwiszy z kawiorem, ustawionych na bufecie podług wszelkich reguł taktyki, na które pożądliwem okiem spoglądałem, były niestety — nienaruszalne i przypomniały mi w bolesny sposób ów chleb do oglądania ze starego testamentu!

Przy wyjściu wreszcie, urządziciele całej wystawy nie mogli się zdobyć na życzenie znośniejsze dla zgłodniałych spieszących na obiad, tylko żegnali nas, zapewne zwykle przyjętym,

ale strasznie czczym frazesem: „Życzę przyjemnego oglądania“. To mię już rozstroiło do reszty, bo właściwie nie przyszedłem zwiedzać wystawy dla odegrania jedynie roli oglądacza potraw. W końcu jednak uspokoiłem się, a przywoławszy na pomoc zmysł artystyczny, zacząłem wreszcie oceniać znaczenie tego przedsięwzięcia. Stanowi ono epokę dla plastyki kucharskiej. Dotychczas zadowalniano się najskromniejszemi wymaganiami pod tym względem. Dosyć było, gdy pieczeń była smaczna i porządnie podana, nie przywiązywało się wielkiej wagi do strony zewnętrznej. Nie brakło takich profanów realistów, którzy wcale nieplastyczną, bryłowatą pieczeń baranią, byleby dobrą w smaku, przekładali nad inne, podług snycerskiej sztuki ułożone mięso baranie, jeżeli przytem składało się z łykowych włókien, trudnych do strawienia. Takich odszczepieńców estetyki nawróci niezawodnie ku lepszemu gustowi wystawa artystyczno-kucharska. W niej właśnie położono główny nacisk na plastyczność form kulinarnych preparatów; tutaj znajdowały się okazy, dające się lepiej ocenić przy pomocy nauki o sztuce snycerskiej, aniżeli książki kucharskiej. Cała wystawa była właściwie zbiorem rzeźb z rozmaitych surowych materyjałów, zawierających pewien rodzaj spożywczego muzeum. Były tam najwytworniejsze, najrzadsze przedmioty: piramida z wołowego łoju, skała ułożona z ciast, waza z śnieżno-białego cukru; lira z makaronu; świątynia gotycka z biszkoptów, plum—puding w kształcie globusa, na którym granice państw odznaczone były lu krem. Szczęśliwy, kto mógł brać udział w spożyciu tego jeograficznego arcydzieła! mógł on wtedy małą łyżeczką zjeść całe Niemcy i połączyć północną i południową Amerykę w swoim żołądku, a jeżeli obdarzony był dobrym apetytem i łatwością trawienia, to możnaby do niego zastosować słowa Mefista przed kościołem:

„Pożarł narody i kraje
I jeszcze jeść nie przestaje“.

Inne uwagi nasunęły mi się na widok wspaniałej główki cielęcej ozdobionej wieńcem laurowym; pomyślałem sobie: ta strojna wawrzynem cielęca głowa, jest przynajmniej napełniona, pośród ludzi zaś widzieć można często puste głowy uwieńczone!... Naturalnie i patryjotyzm był tutaj przedstawiony. Jak profesor Koecleaux w Filadelfii przez złość przedstawił Bismarka w osadzie do termometru, a Moltkiego w podstawie do cygar, tak tutaj ujrzeliśmy z dreszczem podziwienia, następcę tronu, odlanego z tłuszczu, wystawionego na górze z ryżowego pudingu. Dalej wznosiły się zimne zastawy, ułożone w kształt żelaznego krzyża! Któżby mógł być pozbawiony uczuć patryjotycznych o tyle, żeby nie wolał przy takim patryjotycznym bufecie kontentować się nawet suchym chlebem, aniżeli zajadać najwyborniejsze kęski przy innym, któryby przypominał jakie nienawistne kształty. I czyjeż serce nie zabiłoby silniej na widok unoszącej się nad stosem kiełbas korony cesarskiej, której podstawę błyszczącą od tłuszczu zdobiło popiersie cesarza z gęsiego smalcu. Zaiste mieli racyję sędziowie, premijując to arcydzieło nie kosztowawszy go wcale, bo chociażby kiełbasy tej korony były koroną kiełbas, to sama ideea patryjotyczna i plastyczność kształtów, godna była wyróżnienia. Byłoby to szkodą nieodżałowaną, gdyby te rzeźbiarskie zapędy miały być zaniechane przez brak zachęty. Do publiczności należy przeszkodzić temu swojem poparciem. Zakochani naprzykład, zwykli sobie nawzajem robić prezenta z fotografii, portretów olejnych lub biustów marmurowych. Narzeczony, chcąc swej ukochanej sprawić prawdziwie pomysłową niespodziankę, powinien kazać się zrobić zdolnemu rzeźbiarzowi kuchennemu np. w parmezanie, lub na tabliczce buljonu; ileż przyjemności sprawiłby taki prezent narzeczonej! Wtedy naprawdę zjadłaby z miłości swego ukochanego. Przyjemności gastronomiczne połączyć też można ze sztuką tonów: i tak na pewnej eleganckiej kolacyi podano przy końcu lody na ukry-

tej podstawie, w której urządzony instrument grać zaczął za naciśnięciem. Grające lody! Cóż można jeszcze żądać? Na szczęście była to muzyka Wagnera, więc nie było niebezpieczeństwa, żeby żar melodyi stopił lody. Ale i państwo ze swojej strony powinno zaopiekować się plastyką kuchenną. Miejmy nadzieję, że akademija sztuk pięknych ogłosi na rok przyszły konkurs na wykonanie zadań następujących:

1. Zrobić potrawę z pulardy, któraby mogła służyć za ozdobę pokoju.

2. Pieczeń cielęcą wyrobić na konsolę pod lustro.

3. Przedstawić z masła Napoleona I-go, jak prowadzi regiment sardeli do boju.

4. Zrobić satyra z polędwicy, stojącego na smażonych cielęcych nóżkach.

5. Z ciasta zrobić Oberona, otoczonego elfami z sucharków.

6. Genijusza miłości odlać ze szmalcu, obłożonego zieloną fasolą i t. p.

Jeżeli ten projekt nie będzie rzucony na wiatr, to można się spodziewać, że z czasem wołowina będzie mieć swego Thorwaldsena, a bulijon w tabliczkach swego Kanowę; niemiecka zaś wystawa sztuki kucharskiej szczycić się będzie, że temu kierunkowi plastyki pierwsza otworzyła drogę.

Estudiantina.

* Estudiantina espaniola uprawia w uszlachetnionej formie kocią muzykę. Czy znacie państwo drumlę? Znacie? — a więc kupcie sobie trzy drumle, dwa lub trzy duże grzebienie, dzwonek, parę cytr, kastanietę i wielkie cymbały, a będziecie mieli najoryginalniejszą orkiestrę hiszpańską, choćby nikt z was nie był nawet *estudiante en pharmacia*. Potrzeba prócz tego, aby jeden z muzykantów poskakał po dywanie, uderzając się tamburinem po przyzwoitych i mniej przyzwoitych częściach ciała, oraz aby wszyscy muzykanci zaśpiewali jaką piosnkę bez sensu i melodyi, nie troszcząc się o takt, zgodność głosów, ani o nic podobnego, czego od chórów się wymaga. Publiczność warszawska, mniej biegła w języku hiszpańskim, nie rozumiała zapewne treści pieśni „Ole", przeto podaję ją w wolnym przekładzie z oryginału:

Tacy my studenci, jak wy politycy,
Grywamy u siebie w szynku, często na ulicy,
I wrzeszczymy czasem, jak w żydowskiej [szkole:
Ole!
Narodek warszawski jeszcze bardzo głupi,
Bo kto tylko zechce, to go z grosza łupi,
Byle nędzny grajek wywiezie go w pole..
[Ole!

Jak widać, panowie studenci hiszpańscy nie wynieśli dobrego przekonania o warszawskim narodzie, a nawet bardzo niegrzecznie i trywialnie o nim się wyrazili. Czy słusznie? — nie moja rzecz osądzić.

K. Bartoszewicz.

Eteryczna miłość.

* Ta miłość nie jest kusząca zwodnica
I może się jej oddać młodych dwoje.
Pierwszy całusek w rękę, drugi w lica...
Ja tam się w takie rzeczy wdawać boję,
Bo pocałunek — mówią — to granica
Bezpiecznej drogi; dalej już wyboje,
Przepaści... kto tam pójdzie, złamie nogi.
Ostrzegam — kto chce, niech słucha prze- [strogi.

Byron.

Etykieta.

* Ceremonijał, nazwany etykietą, zawdzięczamy prawdopodobnie dworowi bizantyjskiemu: krzyżowcy złączyli etykietę z galanteryją obyczajów rycerskich, do czego przyczynić się musieli Arabowie. Dziś jeszcze używamy wyrażenia *gala*, strój *galowy*, a w arabskiej mowie, *gala* znaczy strój honorowy. Na dworze konstantynopolitańskim, który wiele zwyczajów przejął od dworu perskiego, pisano tylko purpurowym atramentem; tak jak legendowi mnisi używali srebrnego, a do biblijnych cytat złotego

atramentu; korona była symbolem cesarskiej godności. Konstantyn (którego, mówiąc nawiasem, wartoby raz przestać tytułować *wielkim*), utworzył już mnóstwo urzędów dworskich, tłum dworaków jego podzielony był na cztery kategoryje: *illustres*, *spectateles*, *clarissimi* i *perfectissimi* [1]), nie licząc w to osobnych *egregii* [2]), po których szło stu pięćdziesięciu *secretarii* i trzydziestu *silentiarii* [3]). Ci ostatni mieli obowiązek pilnować zachowania milczenia, gdy cesarz chciał mieć koło siebie ciszę i spokój. Śmieszną była etykieta pośmiertna cezarów: ułożona na paradnem łożu woskowa statua zmarłego, o której stanie zdrowia nieprzestawali dowiadywać się ciągle doktorzy; i ów orzeł, wznoszący się ze stosu w niebo, który miał wyobrażać wniebowzięcie zmarłego cezara; ale śmieszniejszą jeszcze jest audjencyja Luitpranda, u cesarza Ottona; za jego wejściem na salę, złote ptaki, siedzące na złotem drzewie obok tronu, zaczęły gwizdać, dwa lwy zaryczały, a Luitprand musiał po trzykroć uderzyć czołem o ziemię, zanim doszedł do tronu, który tymczasem unosił się stopniowo coraz wyżej aż pod sklepienie sali. Otton wtedy spojrzał na niego majestatycznie z wysoka i tak odbyło się wszystko wśród uroczystej ciszy.

Gdy dwór bizantyjski chylił się do upadku, wspaniałość i zbytek wzmagały się jeszcze, rycerz niemiecki z większą trudnością aniżeli francuzki, naginał się do wymagań etykiety, powiększało to tylko niechęć poczciwych tych rycerzy do chytrych greków, którzy nie rozumieli wcale ślubów rycerzy krzyżowych, uważali ich jedynie za pretekst do obalenia potęgi wschodniej, tak jak zachodnia obalona była; i tak w końcu kościół świętej Zofii zamienił się na meczet, a krzyż na półksiężyc, coby nigdy się było nie stało, gdyby cesarze wspierali byli walecznych pielgrzymów, zamiast ich zniechęcać swą pychą i oddawać zdradziecko w ręce nieprzyjaciół. Otóż gdyby nie etykieta, nie byłoby żadnego turka w Europie, która przecież tyle od nich wycierpiała; w niemieckim języku niema wcale słowa na wyrażenie tych niedorzeczności. Takie rzeczy istnieć musiały jedynie w wieku udzielnych panów i ich wasalów, którzy musieli byli na klęczkach mówić i na klęczkach spełniać służbę dworską. Karol Wielki był za wielki na drobnostki etykiety, ale Karol Łysy i Ottoni uważali ją za potrzebną; używał jej też świetny dwór burgundzki, z którego surowa etykieta przeszła z jedną z księżniczek dziedzicznych na dom austryjacki, a także i do Burbonów. Henryk IV obchodził się ze wszystkimi poufale, ale Ludwik XIV, Wielkim przezwany, podobnie jak Konstantyn ukrył nicość swoją w szacie etykiety i znalazł dosyć naśladowców. Hiszpańska etykieta za Karola II była tak majestatyczną, iż uważano to za coś wielkiego z jego strony, gdy jednemu z mówców, który w pomięszaniu do zwykłej przemowy dodał: „Wszechmocny w niebie i na ziemi“, przerwał, mówiąc: „Stój, to za wiele“! Tegoby może nie zrobił Leopold I, który rzekł pewnego razu do doktora auskultującego go zbyt szczegółowo: „*Eheu! hoc est membrum nostrum imperiale sacro-cesareum*“. Karol V-ty wprowadził w użycie wspaniale brzmiące słowo: „majestat“, które w Rzymie za czasów Julijusza tyle głów kosztowało; w Niemczech jednak nie sprowadziło tyle nieszczęść. Dawniejszy niemiec wierzył w to, że książe, tak samo jak inni ludzie musi jeść, pić, żartować, spać, mówić, chodzić i kochać, co ułatwiało drogę prawdzie i zasłudze. Śmiejemy się z hana tatarskiego, który po spożyciu koniny i kumysu, uważa za potrzebne udzielić wszystkim pozwolenie jedzenia. Śmiejemy się z króla murzyńskiego, że bratu swemu słońcu, ofiaruje co rano fajkę tytoniu i wskazuje mu drogę, jaką ma przebyć; śmiejemy się z księcia Nutki, który w wielkie parady każe nieść przed sobą błyszczący moździeż mosiężny, pozosta-

---

1) Wybrani, znakomici, najjaśniejsi i najdoskonalsi.

2) Wyśmienici.

3) Sekretni pisarze i milczki.

wiony przez Kooka; śmiejemy się z króla wysp Przyjacielskich, który nie chciał wejść do kajuty Kooka, mówiąc: „Mamże dozwolić, aby ludzie chodzili nad moją głową?“ Śmiejemy się ze wschodnich ludów, którzy mówią do swoich książąt nie wprost ustami, ale przez trąbę; a jednak gdyby te ludy tyle podróżowały co my, i miały tyle opisów wędrówek, ile my ich mamy, czy nie moglibyśmy im dostarczyć także wiele powodów do śmiechu? Zpewnością śmieliby się np. z króla Filipa II-go, któremu etykieta przepisuje, w jakim stroju ma robić nocne wizyty królowej, a mianowicie: w czarnym płaszczu, w pantoflach, z mieczem w prawej ręce i latarką w lewej; pod pachą zaś nieść miał butelkę z wodą, która chyba nie była przeznaczona do picia. Czy nie śmieliby się z Filipa III-go, który walczy ze śmiercią, a nie może się odważyć rozkazać bez wielkiego ochmistrza dworu odstawić straszliwie rozpaloną fajerkę, albo z żony jego, która mówi do ochmistrza: „nie wypada królowej Hiszpanii wyglądać oknem“. A gdy mając nogę uwięzioną w strzemieniu, o mało nie została powleczoną przez konie, nikt nie śmiał jej ratować, gdyż pod karą śmierci nie wolno jest nikomu dotknąć się nogi królowej. Gdy Filip V-ty potrzebował peruki, zwołano radę nadworną, która postanowiła, żeby dla uniknienia czarów perukarz najprzód złożył przysięgę i żeby użył do peruki włosów z szlacheckiej tylko głowy. Etykieta wymagała, aby król nie płacił więcej nad cztery pistole za każdy pocałunek swojej kochance, a gdy ją porzuci, żeby na resztę życia szła do klasztoru; dla tego też, jedna z dam dworu zawołała, gdy król pukał do jej drzwi: „Odejdźcie panie, na miłość boską! nie mam wcale ochoty zostać mniszką“. Król mógł tylko w pewne przepisane dnie objeżdżać swoje wille; tak samo miał dnie oznaczone do spowiedzi i komunii: królowa musiała iść spać w lecie o dziesiątej, w zimie o dziewiątej; czy jej się chciało spać czy nie, z uderzeniem godziny oznaczonej przystępowały garderobiany i rozbierały ją. Jeszcze jeden z ostatnich królów grywał codziennie lombra z wielkim ochmistrzem dworu i ze swoim spowiednikiem; król zasiadał w fotelu, ochmistrz dworu na taburecie a ksiądz musiał klęczeć na poduszce. Jerzy I-szy udawał się codziennie do swego Suffolka o dziewiątej godzinie; ale często, gdy się wybrał za wcześnie, spacerował z zegarkiem w ręku, aby nie wejść, jak punkt o dziewiątej. Mufti może tylko w lewe ramię pocałować sułtana, który ma postąpić siedm kroków naprzeciw niemu, wielki wezyr zaś całuje tylko brzeg sukni sułtana, który tylko trzy kroki ma zrobić naprzeciw niemu. Dlatego też przysłowie mówi: „on liczy każden krok“, co ma oznaczać wielką przezorność. Wielki poseł cesarza Leopolda I-go, hrabia Oettingen, wysłany do Turcyi, miał orszak złożony z 354 osób, mieszczących się na 41 okrętach; turcy oczekiwali na niego z Salankemen; obydwaj posłowie zsiedli z koni jednocześnie, ale że hrabia Oettingen nie mógł z powodu podeszłego wieku tak szybko zeskoczyć z konia, turcy trzymali tak długo swego posła w powietrzu, aż póki niemiec nie uwolnił się ze strzemion. Feldmarszałek ces.-królewski, von Thüngen, który miał tylko jedno oko, witany był przez tak samo jednookiego jenerała, a gdy Fryderyk II-gi wysłał był do Paryża pułkownika Kaums'a, który miał tylko jedną rękę, posłano mu nawzajem ambasadora z jedną tylko nogą; a przecież brak jednego członka nie może w takim razie szkodzić, byleby głowa była dobra. Przy zawieraniu pokoju Karłowickiego, wybudowano umyślnie salę konferencyjną, zupełnie okrągłą, która miała tyle wchodów, ilu posłów oczekiwano. Każdy z wysłanników wchodził ze swego namiotu w przeznaczone sobie drzwi; wchodzili wszyscy w jednym czasie jak na komendę; razem się pozdrawiali i jednocześnie zasiadali, jak studenci w akademii Karola w Stutgardzie. Czysto angielską była etykieta, zachowywana przez Marlboruga, ambasadora królowej Anny, wysłanego do głównej kwatery Karola XII-go w Lipsku. Marlborug przyjechał do hrabiego Pipera z proś-

bą o audyjencyją; Piper miał właśnie jakiś pilny interes do załatwienia, więc anglik czekać musiał w swoim powozie całe pół godziny; nareszcie wyszedł hrabia; wtedy Marlborug, nie witając go, wysiada z powozu i staje pod murem, obrócony tyłem. Smollet, który to opisuje, nie dodaje, co on tam robił, dosyć że stał tam całe pół godziny, po upływie tego czasu dopiero przyszedł powitać hrabiego Pipera z największą dyplomatyczną grzecznością. Dobra Maryja Teresa, bardzo też uważała na etykietę; jednakże Kaunitz przychodził do niej często prosto z ujeżdżalni we fraku i w butach, a wszedłszy przedewszystkiem brał się do zamykania okien, które tam zawsze były poroztwierane; załatwiwszy to, dopiero zwracał się do monarchini. Józef śmiał się tylko z tego, a gdy pewnego razu poszedł pieszo do Kaunitza i gdy się kazał oznajmić, minister polecił mu powiedzieć, że go wita, ale nie przychodzi bo leży w łóżku. Józef śmiejąc się, poszedł do jego łóżka. Piękna nieszczęśliwa siostra Józefa w Paryżu śmiała się z wymagań swojej wielkiej ochmistrzyni i przezywała ją „Madame l'Etiquette". Fryderyk I, król pruski, bardzo znów ściśle pilnował etykiety i zasadzał na tem swoją wielkość; nawet śmierć małżonki ucieszyła go z tego względu, że mógł urządzić pogrzeb królewski. Zdawaćby się mogło trudnem do uwierzenia, że Napoleon I, zostawszy cesarzem, zamykał się z całą familiją w pokoju żony i tam codziennie ćwiczyli się wszyscy w etykiecie; najmniej pojętną ze wszystkich okazywała się tu żona Józefina Bonaparte, a Napoleon łajał ją, mówiąc: „Uważajże, gotowa jesteś ośmieszyć nas wszystkich! czyż to tak trudno udawać księżnę?" „Ach, odpowiedziała z płaczem, po raz pierwszy w życiu gram taką komedyję!"

Margrabia Souvre, dobrze znany z czasów Ludwika XV-go, wszedłszy dnia pewnego do pokoju pani Pompadour, gdzie nikomu prócz królowi nie wolno było siedzieć, usiadł na poręczy fotelu faworyty i tak z nią rozmawiał; Pompadour o mało nie pękła ze złości i byłoby źle z Souvrem, gdyby nie to, że złożono to znalezienie się jego na karb błazeńskiego figla; był on istotnie trochę błaznem, bo gdy raz wielkie było zamięszanie na dworze, z powodu, że lud zamiast należnego „niech żyje król" wołał: „chleba", „chleba", gdy jeden z dworaków dowodził przed królem, że chleb wcale tak drogi nie jest, bo tylko tyle a tyle kosztuje, Souvre powstał nagle i biorąc laskę i kapelusz, rzekł: „Pozwolisz, najjaśniejszy panie, że pójdę zaraz wytłuc porządnie mego majordoma, który mi podaje daleko wyższe ceny chleba, jak te, które ten pan płaci". Śmiał się z tego dwór cały, śmiał się może i sam Ludwik, ale był za słabym, aby zastanowić się nad tem. Wcale też inaczej wyglądałaby pewnie historyja, gdyby częściej zwracano uwagę na słowa trefnisiów, aniżeli ministrów i faworytek. Etykieta była umiejętnością, uszczęśliwiającą marszałka dworu i stare damy, które naturalnie nie słyszały nigdy o słowach Seneki: „Magna servitus, magna fortuna" (wysoka pozycyja jest wielką niewolą) i myślały, że nie ma nic nad etykietę. Słynna Orsini [1]) wydalona z Madrytu i źle przyjęta we Francyi i Holandyi udała się do Rzymu, i tam robiła honory na dworze pretendenta, a była tyle szczęśliwą, ile nieszczęśliwemi na wielu dworach młode, piękne, dobre i wykształcone panny, które były za dobre i za ubogie dla dworu; znajdowały się damy dworskie tam nawet, gdzie nie było na wyżywienie kawalera dworskiego; wielu z nich należałoby życzyć, aby znalazły wyswobodziciela, chociażby z mieszczańskiego stanu; ale też mnóstwo było starych, szkaradnych, nadętych pychą rodową, chytrych i podstępnych, wiecznie obgadujących i wyszydzających; takim życzyćby należało, aby po latach matuzalowych, przemieniły się w kotów, którym przystęp do nieba zamknięty. Pewien francuz mówi o przedpokojach, że jest to miejsce,

---

[1]) Księżna Orsini, która za Filipa V-go rządziła Hiszpaniją długo, aż została wygnana przez drugą żonę króla i Alberoniego.

gdzie służalstwo pociesza się i rewanżuje arogancyją i złośliwością. Możnaby się swobodnie bawić i śmiać z etykiety, gdyby nie wymagalny był przytem tak wielki dwór i bezmierne koszta. Pierwszy król pruski wydawał więcej na swój dwór jak na wszystkie inne wydziały. Golarz dworski brał 800 talarów pensyi i utrzymanie czterech koni; włoch, którego całem zajęciem było przyrządzenie czekolady, miał tyleż; pomiędzy urzędnikami dworu znajdował się także: „kantor dworski", „łapacz ortlanów „i inne". Jeden z małych książątek niemieckich trzymał tuzin kawalerów dworskich obok stu grenadyjerów; inny, obdłużony po uszy, utrzymywał paradną orkiestrę dworską i teatr. Jeden z Reichsgrafów zostawił w testamencie następujące zlecenia: 1) aby go pochowano nie w potrójnej, ale w pojedynczej i lekko przymkniętej trumnie, żeby łatwiej mógł z niej powstać; 2) aby trumnę ustawiono zaraz przy wejściu do grobu i żeby ją zlewano codziennie różnemi wonnościami; 3) żeby utrzymywano starannie w tym grobie listę umarłych; znajdować się ona miała na każdej trumnie pod szkłem, aby wiedziano, w jakiem towarzystwie się zmartwychpowstanie.

Pomiędzy urzędami dworu wschodniego znajdują się: „noszący miecz i lance", „trzymający parasol" i „łapacz much"; na dworze Kandii grają pewną rolę „trzaskacze z bicza"; w Nukahiba jest osobny „stróż czystości królowej" a nagrodą jego jest używanie tego, czego strzeże. Faraon egipski miał dworskich czarowników, jak perscy królowie „magów"; gdyby magija była została w uważaniu, z pewnością spotykalibyśmy „wielkich czarowników dworu" (których urząd najstosowniejszy byłby dla dam dworskich), także „dworskich astrologów" i „dworskich głupców". Dawniej gdy szlachcic, jeżdżący karetą, żenił się z córką takiego, który nie posiadał karety, robił mezalijans. Około 1789 roku we Francyi, zgromadziły się przed królem stany: szlachta w hiszpańskiej pompie; duchowni w swoich kościelnych ornatach, a stan trzeci w czarnych płaszczach. Przed dwoma pierwszymi stanami otwierano obie połowy drzwi, przed trzecim zaś tylko jednę; a któż może powiedzieć, o ile ta nędzna etykieta oddziałała na umysły najoświeceńszej i najmożniejszej części narodu? Po skończonej mowie Ludwik kazał ogłosić, że wolno jest nakryć głowy, co miało się tyczyć tylko dwóch pierwszych stanów; ale Mirabeau wcisnął sobie kapelusz głęboko na oczy, a przykład ten naśladowali wszyscy deputowani ludu. Jakie na to zrobiła oczy i nosy wysoka szlachta! Ten stan który dawniej musiał klęczeć teraz stał z nakrytemi głowami! Zaraz potem, minister Roland zjawił się na dworze w okrągłym kapeluszu i trzewikach wiązanych; marszałek dworu zbladł; zaledwie zdołał wyrzec te słowa do Dumurier'a: „Ach! bez sprzączek!", na co Dumurier odrzekł z westchnieniem: „Niestety! wszystko stracone!" Małość szuka ukrycia za tytułami i powierzchowną okazałością; przykładem — etykieta małych dworów; a gdy który z małych panów miał nieszczęście dostać żonę z większego domu, zwiększała się etykieta a z nią i długi. Gdy hrabia państwa (Reichsgraf) żenił się z księżniczką, trzeba było zaraz na wszystkich meblach, powozach, oberżach korony hrabiowskie przemieniać na książęce. Pewien książę, obstalowując sobie powóz, kazał wprzód wziąść dokładną miarę bramy frankfurtskiej; inny znalazł się w wielkim kłopocie, gdy pewnej niedzieli przybyło na jego dwór dwóch radców dworu, jeden pochodzenia szlacheckiego, drugi zaś mieszczańskiego; tego ostatniego sam książę więcej cenił, ale jako mieszczanin, nie mógł on jechać do kościoła razem ze dworem. Polecono tedy przybocznemu sekretarzowi, aby zajął mieszczańskiego radcę pokazywaniem mu biblijoteki i zbioru sztychów; tym sposobem nie dosłyszał kościelnych dzwonów i dwór wyjechał bez niego. Dwór jechał karetą dworską, pamiętającą jeszcze koronacyję Karola VI-go, ciągnioną przez cztery stare szkapy, powoli,

jakby za pogrzebem; najprzód jechał zarządzający dworem, po nim kamerdyner, dwóch dworskich, dwóch huzarów, dwóch hajduków; następnie reszta służby w liberyi, czterech do sześciu ludzi. Naturalnie cała mieścina przyglądała się temu orszakowi z okien. Guwerner książąt dostał mundur porucznika, ażeby módz zasiadać do dworskiego stołu; a gdy go odwiedził ojciec, który był prostym pisarzem miejskim, nakrywano mu w osobnym pokoju. Etykieta robiła różnicę nawet co do picia kawy, w pokoju pańskim lub przyległym. Na uroczystości weselnej pewnej księżnej najwięcej bawił widok grubego księcia, który kazał paziowi nieść koniec swej szpady; a że idąc przechylał się wciąż na jedną lub drugą stronę, szpada robiła podobnież ewolucyje, przez co paź skakać musiał to w prawo, to w lewo. Chrzty, śluby, dnie imienin, urodzin lub Nowego Roku, miały także swoje ceremonijały, jak niemniej i pogrzeby. Starożytni, w wypadkach śmierci swych blizkich, bili się w piersi, rozdzierali na sobie szaty i popiołem posypywali głowy. Mieszkańcy wysp oceanu południowego ranią się i przyprawiają umyślnie o kalectwo. Nasza żałoba objawia się łagodniej i kosztuje nas tylko trochę pieniędzy na strój czarny. Lichtenberg w czasie grubej żałoby kazał podawać cytryny malowane na czarno, czarne polewki, także karty i kości do gry żałobne; ale to wszystko jest niczem w porównaniu z prawdziwą żałobą pewnego margrabiego, który wszystkie drzewa w swoich dobrach okryć kazał czarną krepą, a we wszystkie kanały i studnie nalać atramentu. Wszak jest jeszcze w użyciu i w mieszczańskich domach to żelazne malowanie na czarno. Często tam, gdzie błyszczą srebrne blaszki na całunach i marmurowe łzy na nagrobkach, w piekle obchodzą wesołe allegro! Iluż to poczciwych ludzi złożyło głowę na sen wieczny pod sklepieniem niebios, a nikt o nich nie wiedział, ani żałoby po nich nie nosił; chyba jedynie ta trawa, którą przygnietli; a i ta zazieleniła się wnet po odżywiającym ją deszczu! Etykieta nagradzała dawniej zasługi puharami, honorowemi łańcuchami i szatami; teraz tytułami, pierścieniami, wstęgami, tabakierami, medalami i t. p., na wschodzie futrami, drogimi kamieniami, ogonami końskiemi, w Maroko końmi i dziewczętami; wszystko to zawsze lepsze od paradnych kaftanów sułtańskich, pod któremi bywa ukryty stryczek. Piękna etykieta panuje w Chinach, gdzie władca ich z każdą noworozpoczętą wiosną musi sam pług prowadzić. Jeszcze piękniejszy zwyczaj był na dworze Augustów; gdzie cezar musiał raz na rok grać rolę żebraka. Cieszmy się przynajmniej tym postępem, że znikły już między klasą średnią te śmieszne zatargi o rangę: duchowieństwo wychodziło w nich jeszcze najlepiej; miało zawsze pierwszeństwo, ponieważ zajmowało się sprawami bożemi, ale juryści i lekarze szarpali się ciągle i trudno ich było rozsądzić; jeden z książąt orzekł, że ponieważ przykazanie „nie kradnij“, stoi przed przykazaniem „nie zabijaj“, juryści powinni być pierwsi, ale jego trefniś zbił go w tem, dowodząc, że juryści wyobrażają prawo, a doktorzy sztukę, jakże tedy sztuka ma iść przed prawem? Etykieta przeszła i do sfer niższych, a jeśli kto miał jaki interes do jakiego wyższego urzędnika, musiał wprzód poinformować się o etykiecie wymaganej u woźnego w kancelaryi. Tytuły „jasnego“ i „wielmożnego pana“, wizyty, powinszowania, ody, nizko położony podpis w liście, piękny papier, pieczęć taka czy inna, zakopertowanie listu — wszystko to mogło wiele oddziaływać na słabe umysły ludzi, trzymających się reguł jak nut do grania.

* *Etykieta zachowana.*

Ksiądz. Pani hrabina nie raczyła być w kościele ostatniej niedzieli?

Hrabina. Tak, ale to nie przez zapomnienie, bo oddałam przecież mój bilet wizytowy kościelnemu.

Etymologiczna kwestyja.

— Jak się powinno pisać biuro — czy przez *u*, czy też przez *ó*?

— Naturalnie, że przez *ó*, ponieważ wszyscy w niem biorą... pensyje.

Eugenijusz.

* Książę Eugenijusz lubił często podsłuchiwać rozmowy żołnierzy.

Pewnego razu, przechodząc koło kordegardy, usłyszał następującą rozmowę:

— Czy wiesz, że nasz książe Eugenijusz ma się żenić?

— Tak? a z kimże?

— Z księżniczką bawarską.

— No! a to szczęśliwa! dobrą robi partyją!

— O tak, nasz książe taki piękny mężczyzna! szkoda tylko, że niema zębów!

— Ej, mój kochany, do bawarki zębów nie potrzeba. *Hist. Anec.*

Euklides.

* Euklides, ojciec matematyki, wykładając geometryję królowi Ptolomeuszowi, zapytany był przez tegoż, czyby nie mógł dla niego wyłącznie znaleźć łatwiejszej drogi w tej nauce.

— W geometryi — odparł dumnie uczony, niema osobnej drogi dla królów.

Ewentualność.

* Rzecz, na którą liczą zawsze przezorni. Maksymy tej trzyma się zawsze Loluś, znany preferansista. Opowiada on, iż razu pewnego, będąc na ręku i mając dziewięć bez atu, nie wziął ani jednej lewy, gdyż przed pierwszą lewą... wyrzucono go za drzwi. Nie liczył biedak na tę ewentualność.



Fabryka.

Podobno wykryta niedawno fabryka fałszywych czterdziestówek nie opłacała żadnego patentu, — nic więc dziwnego, że tym sposobem mogła robić świetne interesa.

Świąteczny

Fabryka broni.

Fabryka broni w Solingen sięga bardzo dawnych czasów, kiedy jednak zwiedzał ją pewien cudzoziemiec, badał jej urządzenie i pytał swego przewodnika o datę założenia, ten rzekł z głębokiem przejęciem się: „Roku założenia tej fabryki nikt nie jest w stanie oznaczyć, wiemy to tylko, że miecz, którym anioł wypędzał Adama i Ewę z raju, pochodził napewno z Solingen!”

Fabrykant.

Jedyny filozof, który może być prorokiem we własnym kraju, rozumie się, o ile nie bryka. Z tego to powodu w ostatnich czasach założyły fabryki: literatura i prasa. Widzimy już fabryki wierszy, sztuk dramatycznych, zasad i kierunków. Są nawet takie pisma, w których „na obstalunek” fabrykują się codzień odmienne i wprost przeciwne sobie poglądy.

Facecyja ś-to Jańska.

— Przepraszam... podobno jest lokal do najęcia na pierwszem piętrze?

— A jakże! a jakże!... żono, zabieraj dzieci... Jasiu! Kociu! Bibciu! Maniu! Kaziu! marsz za drzwi! Więc pan dobrodziej chce wynająć pierwsze piętro? proszę siadać.

— Ale widzę, że pan zajęty, to ja mogę później...

— A to po co? na co? zaraz my się tu załatwimy... we dwie minuty... Hm... no, tak... pan mi się dosyć podobasz... gdyby tak można tylko zgolić te wąsy... no, ale trudno, niech wąsy zostaną. Jak pańskie nazwisko?

— Ildefons Migdalewicz.

— Hm... nie znam... nie słyszałem nawet... kawaler czy żonaty?

— Cóż to pana obchodzi?

— Bo, widzisz pan, ja nie mogę znieść blondynek... brunetki, to co innego... ale co to panu?

— Jakoś mi niedobrze, gorąco tu straszliwe...

— Gorąco? oho, czy pan aby zdrów jesteś? Bo ja mam główną zasadę, żeby nieboszczyków nie było w domu.

— Pozwoli pan, że odejdę, bo zdaje mi się że cena...

— Co tam cena!... przecież się zgodzimy, tembardziej, że warunki kontraktu są u mnie bardzo łagodne.

— A jakież, jeśli wolno spytać?

— Posłuchaj pan.

„Ja wynajmujący i t. d. obowiązuję się:

1-o. Kłaść się do łóżka najpóźniej o 10 wieczorem, a wstawać nie wcześniej jak o 8 minut 30 rano, ze względu na sen właściciela domu.

2-o. Nosić obuwie bez obcasów i bez skrzypiących podeszew.

3-o. Nosić odzież, a zwłaszcza pantalony barwy jasnej, wesołej, aby nie drażnić smętnego usposobienia żony właściciela domu.

4-o. Codzień rano od 9—10 stać na balkonie i zacierać ręce z wyrazem zadowolenia...

— A w razie deszczu, to co?

— Weźmiesz pan parasol... idźmy dalej.

5-o. Wracając z miasta, zatrzymywać się przed domem i podziwiać jego strukturę, przyczem nie wzbrania się wykrzyków zachwytu.

6-o. Właściciel nie żąda, lecz spodziewa się, iż lokator będzie go wraz z rodziną zapraszał przynajmniej co tydzień na obiad. *Nb.* budeń z szodonem jest ulubioną leguminą Jasia i Bibci.

7-o. Z psem właściciela obchodzić się delikatnie; również ze stróżem, ze względu na dalekie pokrewieństwo tegoż z właścicielem domu.

8-o. Cena komornego wynosi rs. 600 płatne rocznie zgóry...

— Ależ panie, to już lipiec, a cena taka wysoka...

— Lipiec! lipiec!... i cóż ztąd, że lipiec? Przecież nikt nie przyjeżdża w styczniu na kuracyję... wreszcie oddam za 569.

— Dam 400.

— Co? pan mi ubliżasz! pan śmiesz urągać poważnemu obywatelowi!...

— Żegnam pana...

— Pański adres?

— A to na co?

— Wytoczę panu proces o szkody za straconą godzinę czasu na rozmowie z panem!

Asmodeusz.

Faktor.

Człowiek-telefon, zdolny do przeprowadzenia takich komunikacyi, o jakich się nikomu ani śniło. Faktorzy dzielą się na *pieniężnych*, *nieruchomościowych* i *ruchomościowych*. Ostatnia kategoryja jest szczególnie przywiązaną do *ciała baletowego* (Corps de balet).

Falstaff.

* Jeżeli się za moje wojsko nie wstydzę, tom serdel marynowany. Nadużyłem werbunku w haniebny sposób. Zamiast zrekrutowania królowi stu pięćdziesięciu żołnierzy do służby, zrekrutowałem sobie trzysta z okładem funtów szterlingów do kieszeni. Czepiałem się samych tylko synów gospodarzy i dzierżawców, zaręczonych gachów, którym już po dwakroć wyszły zapowiedzi; piecuchów, którzyby woleli słyszeć dyjabła, niż bęben, którzy się boją wystrzału bardziej, niż postrzelona dzika kaczka. Kładłem rękę na takie tylko miękie sery, z sercem w żołądku nie większem, jak główka u szpilki; i ci mi się wykupywali od służby; i teraz cała moja kompanija, nie wyłączając chorążych, kapralów, poruczników i kornetów, składa się z samych szubrawców w łachmanach, jak Łazarz na starych malowidłach, któremu psy bogacza liżą wrzody; z bydła, jakiego nigdy w wojsku nie było; z wypędzonych fagasów, zbuntowanych kelnerów i karczemnych parobków istnych plag spokojnego świata, a obszarpanych dziesięć razy gorzej, niż stara chorągiew. Takich to ludzi poprzyjmowałem na zapełnienie luk po tamtych, co się wykupili. Patrząc na nich, mógłby kto pomyśleć, żem wziął w czambuł stu pięćdziesięciu marnotrawnych synów, którzy dopiero co paśli świnie i jedli otręby. Dowcipny jakiś hultaj spotkał mnie na drodze i rzekł mi, żem pooczyszczał wszystkie szubienice w Anglii i zwerbował wisielców. Ludzkie oko nie widziało równych straszydeł. Nie pójdę z nimi przez komwentry za nic w świecie: łotry rozkraczają nogi maszerując, tak jak gdyby byli w kajdanach.

W istocie, większą ich część mam z więzień. W całej mojej kompanii niema więcej koszul jak jedna i pół, a to pół składa się z dwóch ścierek zszytych, które przerzucone przez plecy, wyglądają jak suknia herolda bez rękawów; tamta zaś cała, prawdę powiedziawszy, skradzioną została w St. Albau, czy też w Daintry. Ale mniejsza o to, znajdą oni dość bielizny po płotach.

Szekspir. (p. str. 92).

Fałszerz monety.

Dyjonizy Gumiguta, kiedy jeszcze był małem pacholęciem, uczuł w sobie iskrę bożą, nazwaną zapałem do sztuki. Rodzice Dyjonizego, państwo Kacper i Hermenegilda z Niedojgowskich Gumigutowie, chcieli jedynaczka swego wykierować na doktora filozofii, ze względu na to, iż młodzieniec już w siódmym roku żywota czuł niepowściągniony wstręt do czesania głowy i tym podobnych zbytecznych funkcyj, oraz znakomicie prowadził polemikę słowną z towarzyszami podwórka.

Los jednakże, który rządzi nietylko doktorami filozofii, ale całemi społeczeństwami, chciał zupełnie inaczej!

Dyjonizy, będąc jeszcze w pierwszej a zarazem i ostatniej klasie gimnazyjalnej, już występował jako dziecko Apolla; szkice jego rysowane na ławkach, kajetach i plecach starych profesorów, wyobrażające po większej części osłów lub inne stworzenia Alibaby, cieszyły się ogólnem uznaniem kolegów i szerszej publiczności.

Dyjonizy wbrew tedy żądaniu i woli rodzica swojego został malarzem.

Serce jego przeczuwało, że na tem polu tylko zrobi karyjerę, nie cofnął się więc przed przeznaczeniem, ale z wytrwałością, godną lepszej sprawy, malował i rysował, rysował i malował...

Po kilku latach nieustannej pracy Dyjonizy Gumiguta począł przyjmować roboty. Malował sztachety, pokoje, rozety na sufitach i inne ornamentacyje, których bez urazy, ani Matejko ani Siemiradzki nie potrafią.

Dyjonizy wyższym był nad przesądy! Kochał pędzel i paletę, szanował i czcił sztukę. ale nadewszystko uwielbiał... oczyszczoną.

Kiedy majster przyjął go do swego „atelier" jako zdolnego i obiecującego malarza, nieraz był zdziwiony, robiąc coś „klejowo", że spirytus, przeznaczony do karminu lub blejwajsu, ulatnia się jak kamfora.

Dyjonizy wówczas wykładał mu farmakologiję i substancyje płynów eterycznych i łagodził całą kwestyję.

Długo to jednak nie trwało.

Pewnego razu kwarta spirytusu ulotniła się w przeciągu godziny, co było wprost „eterycznem" niepodobieństwem. Majster kazał Dyjonizemu chuchnąć na siebie, a poczuwszy owe „etery", poczęstował Dyzia potężnym kułakiem w kark i wyrzucił go za drzwi, czyli mówiąc językiem nowożytno-malarskim, Dyjonizy znalazł się w „salonie odrzuconych".

Odtąd dola Dyzia stała się przerażająco straszną! Niewiedział gdzie się udać, co począć...

Kiedy ostatnie zasoby ulotniły się z kieszeni. kiedy ostatni kieliszek oczyszczonej przeszedł przez Gumigutowe gardło, Dyzio postanowił pchnąć się na prowincyję w celach studyjów i zebrania paru prześlicznych pejzażów, któreby potem na wagę złota mógł sprzedać naszym mecenasom sztuki.

Zarzuciwszy więc togę na ramiona, powiesiwszy paletę u guzika surduta, jął parę pędzli i garnuszek z sadzami w prawicę i ruszył w podróż artystyczną.

Mijał wioski i pola, lasy i doliny, po drodze bielił chłopom izby i chałupy, a nawet malował świętych „na poczekaniu" i jakoś żył...

Żył?... ba!... Smutno mu było bez tego nektaru, który zowią *aqua vitae!* Bądź co bądź postanowił przeto Dyjonizy uciułać sobie ze sto rubli i wyruszyć w podróż do Medyjolanu, Rzymu lub Monachijum, aby zapoznać się z pra-

wdziwą sztuką, zasłynąć i mieć sznapsa potem po uszy...

Słońce już się bardzo chyliło ku zachodowi, kiedy Dyjonizy, w parę miesięcy po wyżej opisanych wypadkach, zatrzymał się przed obszerną karczmą w miasteczku i zażądał noclegu.

Właściciel gospody, pan Abraham Fizyk, przyjął podróżnego dość ozięble, na co jednak Dyjonizy nie zwracał wcale uwagi, przyzwyczajonym był bowiem do kamiennych serc ludzkich, ale zawołał ostro:

— Nocleg i gorzałki!...

— Zaraz!... — odpowiedział Abram zdumiony pewnym tonem naszego turysty i, skoczywszy po klucze, wprowadził po chwili Dyjonizego do wspaniałego numeru...

Dyjonizy zapalił świecę, rozlokował swoje farby i palety, wyjął z teki potrzebne przybory do rysunku i palnąwszy dwie półkwaterki okowitki, zabierał się do roboty. Prawdziwe talenty nie ustają w pracy nawet po uciążliwej podróży!

Po chwili zjawił się znów Abram.

— Pan ma paśport?...

— Co? — zapytał Dyjonizy, jakby nic rozumiejąc tego wyrazu — co? paszport, to twarz moja — paszport, to dusza moja, paszport — to ja cały...

Żyd pokręcił głową, mruknął: „myszygenes" i odszedł, a Dyzio najspokojniej usiadł do stolika i na dużym kawałku brystolu począł pisać wyrazy: „wódka i piwo".

Tego rodzaju obrazy zawsze znajdują nabywców.

Ciekawość Abramka była jednak większą od talentu Dyzia. Przyłożył więc oko do dziurki od klucza i niewidzialny badał pasażera swego.

— Co un robi?... moczy patyk w siuwaks i smaruje papier... co un robi?...

Abramek nie mógł wytrzymać — wszedł.

Dyzio odwrócił się od stolika — Abramek nasunął jarmułkę na lewe oko, podrapał się pod pejsem, kiwnął parę razy głową i po chwili zapytał:

— Z przeprosieniem kochanego pana, co pan smaruje z siuwaksem? co pan robi? coby niebulo jeszcze z tego pożar, bo ja jezdem bez askuracyje?... co pan robi?...

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się Dyzio—cóż to nie widzisz, co robię? Robię... ruble... dodał tajemniczo...

— Aj, waj! — wykrzyknął Abram. Ruble!! to nie chcę widżycz!... i ruszył ku drzwiom, a Dyzio najspokojniej począł malować dalej.

Abram jednak zatrzymał się koło drzwi, znów podrapał się pod pejsem, stał długo, jarmułkę poprawiał, aż wreszcie wrócił się i szepnął wzdychając.

— Aj, waj!... to pan taki rubelmacher! aj, wąj! ny?

— A tak... — rzekł Dyzio obojętnie.

Abram znów się zamyślił.

— Niech no pan pokaże te kierbeł?...

— Po co? ho, ho, zaraz pokaż mu...

— Ny, co to szkodży, pan sze nie bój! — bąknął Abramek, oglądając się za siebie — może zrobimy interes do wspólki...

Dyjonizy jeszcze się chwilę wzdragał, ale w końcu wyjął z kieszeni ostatniego i jedynego rubla i podał Abramkowi.

Abramek obejrzał go na wszystkie strony, cmoknął językiem i szepnął:

— A jaj! to i sam burmistrz bi go wzion, un całkiem, jak prawdziwy. Wi pan co, ja pudę spróbować, czy go weźmie Josek w sklepiku? git?...

— Ależ na co? — zapytał Dyzio.

Abramek jednak znikł już za drzwiami.

Dyzio zatarł ręce z radości, przyszła mu bowiem genijalna myśl do głowy. Po chwili ukazał się Abramek.

— Cy, cy, cy! — cmokał. — Sygit! aj, waj! Josek rozmienił bez żaden rozmiszlanie...

— A no widzisz...

Abramek zapalał się.

— Zrobimy interes... Pan zrobi takich pieniądzów, a ja je będę rozmieniać i dawacz panu po... 40 groszy za rubla... Ny, git?

— Czyś oszalał?...

— Ny, niech będzie cwaj gilden... git? Najn? Hałb kerbeł... Azoj!? Nu da pan rękę na zgodę! Co mówiąc, porwał gwałtem rękę Dyzia i klapnął w nią z całej siły.

— Ja jeszcze co panu powiem... Po co pan ma robić ruble, kiej pan może robić... storublówkes?... Hę?

— Ba!... — rzekł poważnie Dyzio — ja sam o tem myślałem, ale cóż kiedy nie mam wzoru... chociaż przez noc zrobiłbym ze cztery lub pięć papierków.

Abramek sięgnął do kieszeni, wyciągnął zatłuszczony pugilares, poczem przed oczyma Dyzia błysnął tęczowy papier.

— No, masz pan; o co chodży?... Ny, rób pan, ja jutro rano przyjdę i jak jedną zmienię, zaraz za całe pięć *bares* geld na stół...

Podali sobie dłonie jak najlepsi przyjaciele. Abramek wyszedł. Wpadł do alkowy, gdzie siedziała Ryfka z bachurami i cicho opowiedział im cały swój *glük*, poczem Ryfka włożyła czerwoną watówkę i wraz z mężem udała się pod drzwi Gumiguty, przykładając kolejno oczy do dziurki od klucza.

— Robi!... aj, robi!... macht!... — szeptał radośnie Abramek. W istocie Dyzio był zajęty robotą, storublówka leżała na stole, a on rysował coś, nie oglądając się zupełnie na drzwi, aczkolwiek słyszał szepty Ryfki i Abrama.

Czaty żydowskie trwały do trzeciej w nocy, poczem strudzeni małżonkowie, przekonani o „uczciwości“ Dyzia, poszli do alkowy.

W całej gospodzie zapanowała cisza, jak makiem posiał. Dyzio wstał cichaczem od stolika, stąpając na palcach pozbierał manatki, storublówkę schował do kieszeni i wziął kapelusz na głowę...

Po chwili otworzył cichutko okno, wychodzące na gościniec, zdmuchnął świecę, przełożył jedną, drugą nogę i znikł w ciemnościach...

Rozpacz Abramka skoro przyszedł do dziurki od klucza wczesnym rankiem, nie miała granic... Dyzio bowiem przepadł bez wieści wraz ze storublówką.

. . . .

Czy sądzisz czytelniku, że w rok potem, kiedyśmy mieli sposobność spotkać Dyzia, stał on na piedestale chwały? Nie...

Storublówkę, którą tak zręcznie zeskamotował panu Abramowi, zamienił w następnych karczmach na *aqua vitae* — urżnął się jak Bela, zapomniawszy o bożym świecie.

Dyzio doszedł przecież do Monachijum, bez grosza, o głodzie i chłodzie! Porzucił jednak wkrótce sztukę malarstwa, albowiem nie wiodło mu się w tej gałęzi piękna.

Natomiast genijusz nasz przerzucił się na łono muzyki. Powrócił do kraju.

Został kataryniarzem; w końcu bohater nasz porzucił muzykę, a poświęcił się pszczelnictwu... dostał się bowiem nieborak do ula.

Paweł Kośmiński, jeden z najzdolniejszych dzisiejszych humorystów, filar pism humorystycznych, których szpalty zapełnia co tydzień sporą ilością wierszowanych i niewierszowanych konceptów. Włada łatwą i zgrabną formą. Wiele poezyj jego poważnych, odznaczających się głębszą myślą drukowały pisma warszawskie Próbował też z powodzeniem sił swoich na polu pracy scenicznej, a sztuka jego, odznaczona na konkursie *Echa muzycznego*, p. t. „*Walka*“ cieszyła się na scenach ogródkowych wielkiem powodzeniem.

Fałszywe akordy.

* Jeśli nędzarz kęsek chleba,
Umierając z głodu kradnie,
Uwięzić go zaraz trzeba
Bo to złodziej — kraść szkaradnie!
No, a jeśli ten pan, co to
Tysiącami z lichwy władnie!
Żyje wdową i sierotą,
Czy to także jest szkaradnie?
E, cóż znowu, stój, pomału,
To potęga kapitału.

* * *

Jeśli dziewczę słabe zbłądzi,
Wśród walk życia i upadnie,
Tłum ją od czci wnet odsądzi,
Nierządnica — fe, szkaradnie...
No, a jeśli żonka miła,
Co o cnocie mówi ładnie,
Męża w rogi przystroiła,
Czy to także jest szkaradnie?...
E, cóż znowu, to rzecz inna,
Ta kobieta nic nie winna.

Gdy kalece lub starcowi,
O wsparcie prosić wypadnie,
To bezczelnie, wnet świat powie,
Żebrać nizko — fi! szkaradnie.
No, a gdy kto całe życie,
O godności mówi ładnie,
A łapówki bierze skrycie,
Czy to także jest szkaradnie?
E! cóż znowu, wszak mój panie,
To tylko podziękowanie.

Jeśli dziewczę wpośród nędzy
Poduszczane jeszcze zdradnie,
Raz zboczyło dla pieniędzy,
Ach! *to demi monde* — fi! szkaradnie.
No, a jeśli kto nie skrycie,
Mimo wstrętu w duszy na dnie,
Sprzeda się na całe życie,
Czy to także nie szkaradnie?
E! cóż znowu, wszak to w świecie,
Dobrą partyją zwie się przecie...

Jednem słowem dzisiaj waży,
Pieniądz, który wszystkiem władnie,
I co przy nim nam do twarzy,
To bez niego — fi! szkaradnie.

Korwin (*Wincenty Chełmiński*), niedawno zmarły dziennikarz. W dziale humorystyki celował szczególniej jako satyryk, naśladując Rodocia w formie. Wczesna choroba piersiowa nie pozwoliła rozwinąć się temu dobrze zapowiadającemu się talentowi. W Wilnie, jako jeden ze współpracowników księgarni E. Orzeszkowej, wydawał zeszytami „*Humorystyczne abecadło*“. Wyszły także dwa tomiki jego ulotnych poezyj.

Fałszywość.

Każda z nich jak tylko do fałszu nada się. gdyby do płodzenia go była stworzoną! Oj! kobiety! miał słuszność ów jezuita, gdy mówił: *Fe! mina!*

Józef, Ignacy Kraszewski — ur. w 1812, najpłodniejszy z pisarzy polskich. W 1829 student uniwersytetu wileńskiego, w 1835 był gospodarzem w Omelnie na Wołyniu i tu stworzył pierwsze swoje beletrystyczne prace. Po ożenieniu się z Zofiją Woroniczówną przeniósł się do Żytomierza i tutaj przypada okres jego najszerszej działalności literackiej jak i obywatelskiej. W r. 1859 mieszkał w Warszawie i redagował *Gazetę Polską*. Potem mieszkał w Dreznie, a tutaj wmięszany w proces o zdradę stanu osadzony został w więzieniu. Uwolniony za kaucyją, pojechał do Szwajcaryi i tam w r. 1887 życie zakończył. Niezliczoną ilość jego prac naukowych, literackich i społecznych zebrał w osobnej broszurze Estrejcher.

* Pomnę, żem widział pewnego człowieka, porzucającego aktorki, ponieważ, jak mówił, znalazł w nich tyle obłudy, co w uczciwych kobietach.

Chamfort. (p. str. 35).

* O kobieto, kobieto, kobieto! istoto słaba i zwodnicza!... Żadne zwierzę stworzone nie może być nieposłusznem swemu instynktowi: byłożby więc twoim instynktem oszukiwać?...

Beaumarchais.

* Ani na wsi, ani w mieście
Nie trzeba wierzyć niewieście.

Rysiński. (p. str. 16).

Fanfaron ukarany.

* Pewien fanfaron rozpowiadał towarzystwu, w którem się znajdował profesor Engel, niestworzone historyje o swojej muzykalnej biegłości i umiejętności; kiedy skończył się chwalić, Engel zawołał: „Wszystko to niczem jest w porównaniu z księdzem Vogler, kiedy bowiem razu jednego zaczął opowiadać o gwałtowności burzy, czynił to z taką prawdą, że na milę w okolicy mleko się zwarzyło!“

Fantazyja.

* Balon powietrzny, przeznaczony do podróży w sferach, niedostępnych dla ludzkiego oka. Gaz do napełniania tego balonu musi być lekki i czysty, gdyż w razie przeciwnym grozi przedziurawieniem powłoki. Podróż tym balonem coraz mniej liczy zwolenników z powodu rozpowszechniania się tramwajów. Z zagranicznych aeronautów najsłynniejsi są Sacher-Masoch, Wiktor Tissot i inni. Pomimo zarzucenia tego rodzaju aeronautyki niema człowieka, któryby choć raz w życiu jej nie używał. Fantazyję posiadać musiał nawet ów dobroczyńca ludzkości, którego pani Clio zapomniała zapisać: wynalazca parasolów.

Faraon.

* Miał sen dziwny król Faraon,
Sen, co go przeraził wielce:
Ujrzał najprzód cielce tłuste,
Ujrzał potem chude cielce.

I o dziwo nad dziwami!
Imć król z strachu wpół umarły,
Że na tucznych wpadły chude,
I z kościami je pożarły.

Z snu się zbudził król Faraon,
Pełen trwogi i rozpaczy;
Woła wieszczki i znachory,
Pyta, co sen taki znaczy?

Ale wieszczki i znachory
Milczą wszyscy jak zaklęci,
Bo powiedzieć prawdę nagą
Nikt królowi nie miał chęci.

Aż nareszcie przyszło dziecię,
Jak mówiono słaba głowa,
Durny Jaśko miasta Memfis,
Staje i te rzecze słowa:

„Głupi królu Faraonie!
Lęk twój śmiechy tylko budzi,
Gdzieżeś widział takie dziwo
By zjadali tłustych chudzi?"

„Sen twój marą jest, ty głupcze!
Niech cię próżny strach opuści,
Bo nie tłustych w świecie chudzi,
Lecz zjadają chudych tłuści!"

Szczutek.

Farsa.

* Farsa bierze nazwę swą od *Farcio, farcere,* co oznacza miszmasz czyli mięszaninę wszystkiego bez ładu; składa się ona z szeregu psot i figlów, mających przedstawiać pewną akcyję, a które są zwykle puste i nieobyczajne na pozór. Farsa, jako synonim andronów i głupstw, jest wstrętną; a zasługuje na to uczucie, gdy jest użyta w miejscu niewłaściwem, a często zupełnie bezwiednie, i gdy jest tak prostą i ordynaryjną, że wykracza przeciw obyczajności. Rzecz prawdziwie zabawna i bawiąca, różni się znacznie od prostych, śmiesznych figlów, pochodzi bowiem czysto z natury, jak wesołe a zabawne ruchy i miny małych dzieci, zwierzątek domowych i młodych małp, które nas pobudzają do śmiechu. Farsa sceniczna może zabawić nawet wykształcone umysły, jeżeli tylko jest farsą, jak się należy; taka zaś schodzi umyślnie do niższych sfer w celu ubawienia się ich śmiesznościami, ale unosi się tylko nad niemi ostrożnie, by się nie powalać cuchnącem błotem nieobyczajności. Taką dobrą farsą można się ubawić doskonale, tylko ponury pedant gardzić może takim śmiechem, a mdły, tak zwany „dobry ton", może najdowcipniejszą farsę nazwać prostą, nizką, mdłą i niedorzeczną; osoby, należące, podług swego mniemania, do owego „dobrego tonu", nie myślą o tem, że same dostarczyć mogą wiele tematów do farsy, bo nieraz prostaczkowie dobrze się z nich śmieją na boku. Obok tragedyi i komedyi poważnych, potrzebnem jest dla prościejszej publiczności widowisko, na którem można się uśmiać do woli; a od czasu do czasu i wykształceńsza sfera korzysta z tego chętnie, gdy ją znudzi wielka pompa tragedyi i dramatu lub komedyje, na których prędzej ziewać niż śmiać się można; idzie się tedy na „Kas-

perlady'' „Żokrisy'' lub „Panią Angot''. Poważny Richelieu, gustował już w farsie Gros-Guilluum'a, a Foote w Anglii ceniony był na równi z Szekspirem. Farsy takie, jak: „Życie panów w garderobie'' przeżyją tysiąc prawidłowych komedyi; a nieśmiertelny Molière przechodzi też często w farsę; nic bowiem nie zdoła tak scharakteryzować chwili, tak uchwycić każdą zmianę obyczajów, jak komizm. Prawda, że dowcip w farsie bywa zwykle nizki, ale jeżeli tylko bawi i śmiać się z niego można, jeżeli farsa przytem maluje dobrze obyczaje, jeżeli chłoszcze śmieszność i głupotę lepiej od sztuk poważniejszych, można ją tolerować i lubić. Wreszcie zbytek głupoty — ma także swoje piękno, a często coś najmądrzejszego na pozór, okazuje się głupiem przy bliższem obejrzeniu i jaśniejszem świetle; czyż to nie temat do śmiechu? Dobrze też jest, że po większej części farsy przedstawiane są w operetkach, co pozwala krytykom chodzić na nie bez wielkiej ujmy honoru, a gdy się dobrze uśmieją, mogą udawać, że to tylko uśmiech politowania nad tą farsą, na którą przyszli jedynie dla muzyki. Szkoda tylko, że wszystko, co tylko jest dramatyczno-komicznem a nie kwalifikuje się do żadnej innej kategoryi, podciągane bywa pod miano farsy; a przecież nie należy zapominać, że i farsa ma swoje granice. Farsa niepowinna przekraczać możliwości prawdopodobieństwa i wkraczać w sfery bajecznych wróżek i czarów; jakkolwiek, po większej części, treść farsy jest nonsensem, powiększonym przesadą, działanie jej wszakże wymierzone być winno jedynie do wzbudzenia szczerego, łatwego i powierzchownego śmiechu, nie sięgając duchowego głębszego rozweselenia, bo to jako dużo trudniejsze pozostawia się komedyi. Któż wreszcie określić może prawdziwą teoryję farsy? Jedyny Kotzebue mógł to był uczynić. Różnica między farsą a komedyją zasadza się na tem, że w pierwszej bawimy się kosztem poetycznej prawdy, która w komedyi jest zasadą niewzruszoną; w farsie pozwala się na bujanie fantazyi, jak w bajkach, po za sferę rzeczy możliwych; w drugiej, to jest w komedyi, chociażby w najbardziej komicznych obrazach, trzymać się musimy granic prawdopodobieństwa. W farsie, obok niskiej natury, ukazać się może i wyższa, wyrwana z toni i wplątana w sprzeczności, które ukazują lekkość natury ludzkiej w całej jej śmieszności; ta ostatnia w farsie powstaje z niedorzeczności, jakich często dopuszczają się mądrzy i rozumni ludzie; komedyja zaś pogardza tym rodzajem komizmu. Nie wymagamy od farsy sztucznych omamień, wywołujących głębsze wzruszenie; nie powinna ona wszakże dopuszczać się płaskich jarmarcznych żartów bez sensu. Najstarszą znaną farsą jest Seneki „*Wielka dynia*'', w której ten poeta ukoronowanego głupca przedstawia pod postacią dyni. Posępny Rousseau przetłomaczył bardzo dobrze tę sztuczkę. Do dziś dnia potomkowie Rzymian mają najwięcej talentu do farsy. Wielu cudzoziemców, uprzedzonych źle o farsie, gdy przybyli do jej ojczyzny i poszli oglądać ją w teatrze, śmieli się daleko więcej jeszcze, niż miejscowi, którzy ją już nie pierwszy raz widzieli. W jednej z takich fars głównym bohaterem rozśmieszającym jest jąkała, który swemu panu Arlekinowi, przynosi wiadomość upragnioną o zaginionej kochance; w opowiadaniu swem jąka się tak straszliwie, że biedny Arlekin, spragniony wiadomości pożądanej, nie może ustać spokojnie, wysila się na cierpliwość, aby jeszcze gorzej nie zmieszać nieszczęsnego jąkały, który wreszcie dochodzi w opowiadaniu do miejsca, gdzie odnalazł ową Dulcyneję, ale na długiem nazwisku tej miejscowości tak się fatalnie zacina, że w żaden sposób wymówić go nie może, krztusi się, czerwieni, oczy mu na wierzch wyłażą, aż przerażony Arlekin rozpina mu kamizelkę i rozwiązuje krawat. Wymawia wreszcie biedak połowę fatalnej nazwy, ale znów się zacina i krztusi napowrót niemiłosiernie, Arlekin znów go wachluje, obraca, wszystko daremne, aż zniecierpliwiony, uderza go pięścią i wtedy całe słowo gładko z ust wylatuje. Naturalnie wszyscy się głośno śmieją, ale taki figiel też tylko rozśmieszyć może; po-

wtórzenia taki nizki dowcip wytrzymać nie zdoła. Włosi, z natury żartobliwi i szydzący ze wszystkiego, przedstawiają na swój sposób w parodji nawet Hamleta i Wertera, który chcąc się życia pozbawić, waha się między trucizną, pistoletem i sztyletem; nareszcie postanawia powiesić się koło łóżka swojej Lotty, a założywszy już stryczek na szyję, zmienia znów decyzję; przyprowadza swego rywala, wiesza go, a sam się kładzie do łóżka. Inne narody mniej są zdolne do fars, nawet blizcy sąsiedzi Włoch; w Wiedniu stworzono farsę p. t. „Kasperle", który jako doktór, robi sekcyję na umarłym, i konstatuje, że to jest biedny chłopak, murzyn, utopiony w Dunaju; tymczasem okazuje się, że to poprostu małpa. Telemak, sparodjowany przez Perinet'a, wzbudzał szalony śmiech w zgromadzonej publice w teatrze na Leopoldstadt w r. 1805. W Paryżu słyną z fars teatry bulwarowe. Wielkiem powodzeniem cieszyła się tam swojego czasu farsa „Mongolfiere", w której pewien stary amator-fizyk fabrykuje sobie balon i napełnia go ogrzanem powietrzem za pomocą domowej szprycy — z wysiłku jednak rozchorowuje się, a służący przelękniony, chce go ratować za pomocą tej samej szprycy; tym sposobem biedny fizyk, napełniony rozgrzanem powietrzem, wzlatuje w górę zamiast swego balonu. „Nicodème dans la lune" (Nikodem na księżycu) przez Beffroy de Regny, w pierwszych czasach rewolucyi był przedstawiony więcej niż sto razy i zjednał sprawie rewolucyjnej więcej zwolenników, aniżeli inne, poważne sztuki, bo przez cały ciąg tej farsy śmiać się nakazywał wesoły genijusz Galljen'a. Na scenie Vodevilu prawdziwe francuzkie dzieci grały sztuczki, osnute na wypadkach dnia, które też razem z dniem znikały. Głupstwa sławnych ludzi i wielkie rzeczy, żartobliwie przedstawiane, z dodaniem lekkiej popularnej muzyki, mają zawsze moc rozweselania. Nazwa Vodevilu wzięła początek od normandzkiego „Val de vire", w której to miejscowości pewien wesoły młynarz mnóstwo zabawnych okolicznościowych piosneczek śpiewał na zawołanie, piosenki te rozchodziły się pod nazwą „vaux de vire", co później przemieniono na „Vaudeville". W teatrze Variétés, wsławili się Tiercelin i Brunet farsami, które ich często prowadziły do kozy. Język francuzki, tak łatwy do kalemburów, był główną tych fars podstawą. I tak, gdy był projekt wylądowania z wojskiem w Anglii, Tiercelin, między innemi, bawił się na scenie łupinami orzechów włoskich, wpuszczał je w rękaw i mówił: „Tiens! mes bateaux plats qui coulent dans *la Manche!*" (Patrzaj, moje płytkie statki toną w *la Manche* — co oznacza znany kanał, albo poprostu rękaw). Po kampanji rossyjskiej, Tiercelin, w roli wyższego ogrodnika, łajał swego pomocnika temi słowy: „Maraud! qu'astu donc fait? voilà mes lauriers flétriés mes grenadiers gelés! ne sais — tu pas? imbercile! que l'hiver suit le beau temps." (Łajdaku! patrz, cóżeś uczynił? Oto moje laury (drzewa laurowe) zwiędły, moje *granaty* (albo moi *grenadjerowie*) pomarzli! Czyż nie wiedziałeś tego, ośle jakiś, że po pięknej porze musi nastąpić zima." Z czasem Tiercelin i Brunet nauczyli się milczenia, gdy brano rzeczy coraz ostrzej. W Niemczech nie pozwalano sobie fars podobnych, chociażby się znaleźli podobni dowcipnisie; taka wolność słowa, jakiej się dopuszczali Arystofanes, Foote, Brunet i t. p., uważaną tam była za wybryk niesłychany. Był wszakże jeden komik, podobny do Bruneta, który nie mógł pohamować języka, jak się należy; w czasie, gdy wyszedł zakaz robienia jakichkolwiekbądź przytyków i udawania kogoś na scenie, albo dodatków, nie umieszczonych w sztuce, ów komik, tylko co wypuszczony z aresztu za przestępstwa tego rodzaju, odezwał się na scenie do konia, zachowującego się nieprzyzwoicie: „A to co? czy nie wiesz, że wszelkie dodatki są wzbronione." Za co znów nazajutrz został zamknięty. Działo się to w Kassel. W takich warunkach nie mógłby się naturalnie wykształcić taki Foote, nazwany nowoczesnym Arystofanesem. Ażeby go należycie poznać i ocenić, trzebaby go czytać w oryginale i znać dobrze Angliję i Anglików. Foote

urodził się roku 1729 w Truro w Kornwalii, gdzie ojciec jego był sędzią pokoju; jako młody chłopiec odznaczał się już dowcipem i wesołemi figlami; porzucił szkołę prawa, w której zamiast uczyć się kłamstw prawnych, myślał o czem innem, a roztrwoniwszy swój majątek, wstąpił do teatru. Już w roku 1747 ukazał się jego „Diverseon of the Morning" t. j. „Gawędy poranne", przedstawiające znanych oryginałów, których postawę, ruchy i mowę naśladował do złudzenia; różne znakomitości dotknięte były krwawo ostrym biczem jego szyderstwa do tego stopnia, że parlament zabronić musiał mu dalszych przedstawień. Co wtedy zrobił Foote? Oto poradził sobie w ten sposób, że zapraszał publiczność, aby co rano przychodziła do jego teatrzyku na herbatę, naturalnie z wejściem płatnem, jak na widowiska dotychczasowe, i tym sposobem dał jeszcze 40 przedstawień swojej farsy; w trakcie tego napisał także swoich „Rycerzy"; przehulał już był dwie sukcesyje, a obecnie odziedziczywszy trzecią, zebrał manatki i pojechał do Francyi, aby tam się uwinąć tym razem z fortuną. Po „Rycerzach" napisał Foote „Zamiłowanie sztuki", w którym to utworze wyśmiewa amatorów starożytności, pseudoznawców, często dających się wyzyskiwać i oszukiwać na grube sumy. Opisał także doskonale „Anglików w Paryżu" i „Anglików z powrotem z Paryża." Nikt nie znalazł łaski w dowcipie Foote'go, karał on często przestępców takich, których prawo dosięgnąć nie mogło; wiele znakomitości kręciło się koło niego, ale nie ugiął się on przed tytułem lub rangą; dawał odprawę, szorstką nieraz, dumnym dygnitarzom, na co mało kto się zdobyć potrafi. Foote tak się zrósł z swoim dowcipem, że się nim posługiwał nawet w najsmutniejszych okolicznościach; gdy pewnego razu znajdował się na pogrzebie swego przyjaciela, który był synem piekarza, ktoś z obecnych, widząc go płaczącego nad grobem, rzekł: „Oddaliście godnie cześć waszemu przyjacielowi." „A tak", odpowiedział Foote, „wsunęliśmy go do familijnego pieca". Hrabia Sandwich chciał go pewnego razu zaambarasować zapytaniem: „Ciekawa rzecz, jak też zakończysz życie; czy na szubienicy, czy też na francuzką chorobę?" „Milordzie," odpowiedział Foote, „zależeć to będzie od tego, czy się trzymać będę pańskich zasad, czy pańskich kochanek." Gdy jedna z dam mówiła wiele o wzniosłem poświęceniu indjanek palących się na grobie męża. „O!" rzekł Foote, „nasze damy coś lepszego potrafią, przed ślubem bowiem jeszcze goreją dla pierwszego męża, a po jego śmierci dla dwunastu innych." Dla napełnienia wypróżnionej kieszeni udał się Foote do Szkocyi i Irlandyi, i tam napisał „Autora", „Mówcę", w których to sztuczkach wystawił pod pręgierz publiczny Johnsona, nazwawszy go słusznie: „Kalibanem literatury." Dalej, napisał Foote „Majora Gorat," w którym wyszydza angielską milicyę; potem „Dyjabeł i dno czółna", który mu przyniósł 4,000 sterlingów; później nastąpił: „Kłamca", „Mündel", „Beron", „Komisarz wojskowy", „Dziewczyna z Bath", „Krawiec", „Nabab", „Przezorny" czyli „Rycerz przemysłu" i parę innych, mniej wartych tłomaczenia. Wogóle Foote tak samo jak Arystofanes, nieda się przetłomaczyć dobrze, bo obcy język niezdoła uchwycić nigdy wszystkich odcieni, i cudzoziemska mowa jest zawsze niejako martwym językiem. Foote był mały i krępy, o pełnych policzkach i cały komiczny; na polowaniu z księciem York złamał był nogę; książę czuł się w obowiązku zająć się leczeniem biednego inwalidy; gdy doktór Pott nogę mu ucinał, Foote zawołał z niecierpliwością: „No, kiedyż tam skończycie?" „No, no", strofował go Pott, „tylko się tak nie zżymaj." „Jak mi się to drugi raz wydarzy, będę już cierpliwszy", odrzekł pacyjent. Po tym wypadku Foote kulawy stał się jeszcze komiczniejszy; mawiał też o sobie: „Jedną nogą to już naprawdę jestem w grobie, ale drugą jeszcze daleko". Gdy pewien wojskowy przechwalał się ze swej waleczności, zawstydził go Foote, mówiąc: „Ale pewnie nie potrafisz sobie wpakować szpilki w nogę, tak jak ja. No sprobujmy." I zaczął pchać

szpilkę w swoją drewnianą nogę ku wielkiemu zdumieniu przechwalcy. Pięknym rysem charakteru Foote'go była dobroczynność: nieodmówił żadnemu biedakowi, proszącemu o wsparcie, a gdy kto robił uwagę: „czy to prawdziwy biedny? czy wart wsparcia?“, odpowiadał: „W każdym razie jest nieszczęśliwy, albo też dobry komedyjant, a w jednym, jak drugim wypadku — wart mojej pomocy.“ — Często szydził Foote ze swoich przyjaciół, ale gdy który potrzebował pomocy, nieodmawiał jej nigdy, i dzielił się ostatnim szylingiem. Najbardziej irytowała Foote'go duma i wyniosłość lordów; gdy jeden z nich nazwał go pogardliwie komedjantem, odpowiedział mu: „Tak, jestem komedjantem, a pan mi dostarczasz wzoru do moich najśmieszniejszych ról“. Nie cierpiał też metodystów, a nad wszystko nienawidził nababów, t. j. lordów, zbogaconych w Indyjach; oni mu się też wypłacali równą monetą. Dwóch z nich, urażonych jakąś nową sztuczką Foote'go, poszli do niego w celu ukarania go doraźnie; ale artysta przyjął ich z taką grzecznością i wdziękiem, tak zręcznie umiał ich przekonać, że jego „Nabab“ nie mieści wcale nic ubliżającego dla nich, że zasiedli z nim do wspólnej biesiady i rozstali się jaknajlepiej usposobieni dla niego. Gorzej obeszli się inni, którzy mu wytoczyli skandaliczny proces, a jakkolwiek sąd wydał wyrok uniewinniający Foote'go, ten jednak tak odczuł tę całą historyję, że się rozchorował ciężko, a gdy dla kuracyi kazano mu udać się do południowej Francyi, dojechał tylko do Duwru i tam zakończył życie w roku 1777, mając lat 56. — Kotzebue był niemieckim Foote'm, chociaż go nie dosięgnął, może dla tej przyczyny, że Niemcy zrozumieć go i ocenić tak nie umieli, jak rodacy Foote'go w Niemczech takiemu Foote'mu trudno byłoby powstać, tak niemal, jak umarłemu z martwych. Farsy Kotzebue'go cieszyły się jednak względnem powodzeniem: „Koch Pompernikiel“ i „Pachciarz Feldkimmel“, miały dosyć znaczną liczbę przedstawień, chociaż należą do słabszych utworów Kotzebue'go. Farsa innego autora pod tytułem: „Król z imaginacyi“ z r. 1789, była bardzo udatną, chociaż mało jest znaną. Podobną do niej była druga farsa 1789 roku, napisana przez Bröhelmann'a, pełna dowcipu, a co lepsza, prawdy. Hrabia Sodens napisał: „Liliput, czyli Rozalja von Feldheim“ i „Rheingraf“; mają one zamało attyckiej soli, koniecznej w tych rzeczach. Juljusz Boss wydał w roku 1803 „Farsy na czasie“ w dwóch tomach; ale te nie są zbyt udatne; daleko im do Foote'go, a nawet do Kotzebue'go. Udatniejsze są już farsy Herktots'a, a wśród nich najlepsza „Proces“. D. Sess napisał też bardzo dobre sztuczki: „Nasze stosunki“, „Wesele Jakóba i jego czyny wojenne.“ Te farsy Sessa okazały się nawet nader korzystnemi w skutkach, były one bowiem wiernym obrazem charakterów. „Nasze stosunki“ są krytycznym obrazkiem tak północnych, jak południowych prowincyj. „Wojenne czyny Jakóba“ są więcej wymierzone przeciw prowincyjom nadreńskim. W pierwszej farsie maluje Sess żydowską chciwość i przewrotność, w drugiej zaś zwrot ku estetycznej kulturze, pychę czyli chęć błyszczenia i tchórzostwo żydów. Wywołało to wielkie wzburzenie w ludzie Izraela, dołożyli też usilnych starań na wszystkie strony, aby powstrzymać dalsze przedstawienia obydwóch tych sztuk i dopięli celu; ale za to tem więcej czytano te farsy. Szkoda było wyłożonych pieniędzy na zyskanie tego ukazu, i korzystniej byłoby o wiele, żeby się byli dobrze przejrzeli w tem zwierciadle prawdy, oszczędziliby wydatków a zyskali poprawę, chociaż i tak, tu i owdzie okazał się zwrot ku lepszemu, usprawiedliwiający życzenie ogólne: więcej — więcej fars dobrych! chociaż nie koniecznie tylko żydowskich. Bardzo na czasie była farsa p. t. „Jarmark w Kröhwinhel“ przez Plötza, który zasługuje, aby go postawiono obok Kotzebue'go, chociaż go nie dosięgnął; lepszą pracą jego jest „Wybór nauczyciela w Blindheim, nominacyja i wesele tegoż“, ale to wszystko daleko stoi od Arystofanesa.

Demokritos-Weber. (p. str. 4).

Fatalizm.

Na początku roku 18... — dnia nie pamiętam — Kocio *naciągnął* Bolka na dwieście rubli.

Kocio i Bolek byli to koledzy szkolni, a potem biurowi. Czyż można odmówić koledze pożyczki, od której jego życie i szczęście zawisło? Tak przynajmniej mówił Kocio.

A przytem zobowiązał się słowem honoru i na piśmie oddać dług za trzy miesiące.

Zwykłą w takich sprawach koleją Kocio przez pierwszy miesiąc zapewniał Bolka trzy razy dziennie o swej dozgonnej wdzięczności. W drugim miesiącu milczał, a w trzecim zaczął Bolka unikać.

Bolek, obdarzony cierpliwością w dozie, mogącej wystarczyć na sześciu sędziów gminnych i co najmniej dwunastu właścicieli majątków, obciążonych serwitutami, nie upominał się o pieniądze przez drugie trzy miesiące.

Nareszcie pewnego dnia, udało mu się na korytarzu schwycić Kocia za połę od surduta. Mówię udało się, gdyż od niejakiego czasu Kocio wymykał się z biura na pół godziny przed trzecią.

— Kociu, jestem przeniesiony na wyższą posadę do Ślusarzewa...

— A! winszuję... więc odjeżdżasz?

I przy tych słowach Kocio odetchnął głęboko, jak uwolniony od ciężaru.

— Tak, odjeżdżam, i właśnie rad jestem z naszego spotkania, bo chciałem cię prosić o zwrot długu. Nie nalegałbym, ale wiesz, że takie przeniesienie dużo kosztuje...

— A, tak!... ja cię bardzo... tego... że tak długo. .

— O to mniejsza, ale teraz postaraj się oddać, a wyświadczysz mi prawdziwą przysługę.

— Ależ oddam... naturalnie że oddam... a kiedyż jedziesz?

— Za cztery dni.

— Więc oddam pojutrze. Wszak do tego czasu możesz poczekać?

— Muszę, skoro nie możesz prędzej...

— Bo to widzisz... trudno tego... tak na poczekaniu *wytrzasnąć* dwieście papierków... ale pojutrze będziesz je miał.

— Słowo?

Trzeciego dnia Bolek udał się do wydziału, w którym pracował Kocio. Kocia nie było.

— Gdzie Konstanty? — zapytał siedzących tamże kolegów.

— Jakto, nie wiesz? — odezwał się Michałek, trzeci kolega szkolny obu. — Dostał urlop i wyjechał, podobno do Strzępkowa.

— A kiedy wróci?

— Mówił, że za trzy tygodnie.

Bolek zacisnął pięść, powtarzając sobie w myśli znaną maksymę:

Nie pożyczaj,
Zły obyczaj!...

Nie mógł czekać trzy tygodnie na powrót dłużnika, — a zresztą, czy zyskałby co na tem? Pożyczył więc potrzebne pieniądze i nazajutrz wyruszył do Ślusarzewa na objęcie posady.

. . . .

W parę miesięcy potem obowiązki służbowe sprowadziły Bolka do Warszawy. Znalazłszy wolną chwilę, wpadł do biura, lecz Kocia nie zastał. Poszedł do jego mieszkania, lecz stróż uwiadomił go, że pan Konstanty *gdzieś* się przeprowadził. Bolek nie miał czasu tropić zbiega i wrócił z kwitkiem do Ślusarzewa.

W ciągu kilku następnych miesięcy Bolek dość często był powoływany do Warszawy i za każdym razem szukał Kocia. Ale zdaje się, że Kocio zawsze był uwiadomiony o przybyciu kolegi, lub przeczuwał je owym wieszczym duchem, specyjalnie dla dłużników stworzonym, bo ulatniał się tak zręcznie, że Bolek nigdy i nigdzie nie mógł go znaleźć.

Nareszcie w maju 18.. r. Bolek za przybyciem dowiedział się, że Kocio otrzymał posadę w Kaczorowie. Szukajże teraz wiatru w polu.

Machnął ręką, splunął i zaniechał dalszych poszukiwań.

Tak przeszedł czas do dnia 24 stycznia bieżącego roku.

. . . .

Trzecia maskarada. W salach redutowych ścisk, pisk, gwar, hałas, przeplatany gorącem i muzyką.

W takim tłumie spotkać się — i trudno i łatwo zarazem. Niepodobna czasem znaleźć kogoś usilnie szukanego, a natomiast spotyka się osoby najmniej spodziewane.

Tak było z dwoma młodymi mężczyznami, którzy z dwóch przeciwnych krańców brnąc przez tłumy, zetknęli się oko w oko na samym środku sali.

— Bolek!

— Michałek!

— Zkądże się tu wziąłeś?

— Niebo mi cię zsyła!

— Jakto?

— Posłuchaj, najdroższy Michałku. Przyjechałem dziś wieczorem ze Ślusarzewa, bo jakżeby rodowity warszawiak mógł nie być na trzeciej maskaradzie?

— Tak!... to obowiązek honorowy...

— Wysiadam z wagonu na Pradze i rznę prosto do Józia. Tam się przebrałem, i złapawszy dryndę, walę tutaj. Nudy okropne: humoru za grosz, intrygi za pół... jestem fatalnie zmęczony i radbym się przespać, a na Pragę wracać w nocy i po mrozie — niemiła perspektywa...

— Nie potrzebujesz kończyć. Wiesz przecie, że nazywaliście mnie zawsze „gospodarzem'' — bo po każdym balu sypiało was u mnie po kilku.

— Właśnie też chciałem cię prosić...

— Z największą przyjemnością. Już trzech zamówiło się do mnie, a przygotowałem posłania na pięciu.

— Poczciwy Michałek!

— Urządziłem się nawet dosyć dowcipnie. Kazałem dorobić pięć kluczy i rozdałem kolegom, którzy u mnie mają nocować. Każdy więc może wrócić, kiedy zechce, nie potrzebując budzić innych.

— Wyborny koncept.

— Oto masz klucz ostatni.

— A ty?

— Ja mam tutaj *rendez-vous*... domino z różą... pierwsza godzina, — za chwilę mamy się zejść i pewnie nie wrócę do domu, aż nad ranem.

— Wtedy możesz nas pobudzić bez skrupułu.

— Uważaj. Każdy z moich gości ma przeznaczony sobie numer łóżka. Twoje, a raczej moje, jest tuż przy drzwiach po prawej stronie. Zresztą, wejdź w którekolwiek niezajęte...

— Bóg ci zapłać, kochany Michałku — i dobranoc.

— Do widzenia.

Bolek wyszedł z sal redutowych i podążył na Senatorską. Po zwykłej przeprawie z zaspanym stróżem wszedł po ciemnych, lecz znanych sobie schodach na drugie piętro, otworzył drzwi kluczem Michałka i stanął w ciemnym pokoju. Poszukał zapałek w kieszeniach, lecz nic znalazł ani jednej. Nie chciał zaś krzątać się po pokoju z obawy, aby nie wywrócił stołu lub krzesła i nie zbudził śpiących, których głośne chrapanie dolatywało go z różnych kątów. Po omacku tedy doszedł do łóżka po prawej stronie drzwi, rozebrał się cichutko i w pół minuty potem chrapał — chrapaniem sprawiedliwego.

. . . .

O dziewiątej rano Bolek otworzył oczy.

Spojrzał dokoła. Pięć głów spoczywało na pięciu poduszkach. Nagle wzrok jego zatrzymał się na jednej głowie, której właściciel leżał tuż o dwa kroki na łóżku sąsiedniem.

Bolek przetarł oczy, wstał z łóżka, przystąpił do sąsiada...

I nagle — nad uchem śpiącego rozległ się głos straszliwy, jak trąba archanioła:

— Jak się masz, Kociu? Oddajże mi raz przecie moje dwieście rubli!!!

Przerażenie, — śmiech homeryczny z czterech młodzieńczych piersi, — zasłona spada.

Ego.

* — Jesteś najszczęśliwszym z ludzi na świecie — masz wszystko, co szczęście stanowić może — mówił pewien do swego przyjaciela.

— Masz racyją — odpowiedział tamten — w miłości tylko od najmłodszych lat ściga mnie fatalizm.

— Jakto?

— Pierwsza, którą kochałem, wstąpiła do klasztoru, drugą wydarła mi śmierć, a trzecia— została moją żoną.

Kolce.

Fatalność.

* Zaczynam pisać powieść. Dziś niemal wszyscy piszą powieści — więc i ja także. Społeczeństwo potrzebuje rozrywki; rozrywają je też na wszystkie strony... Ten powieścią, ów poezyją, tamten dramatem, a znajdują się i tacy, co z tego wszystkiego zrobiwszy słodką miksturę, podają czytelnikom w homeopatycznych dozach... Aptek literackich mamy coraz więcej— a jednak ludzie umierają... na głupotę... Ale za to grzeczność, ale usłużność panów aptekarzy — niema granic... Nie potrzeba płacić za każde lekarstwo osobno... Zapłacisz miesięcznie, albo kwartalnie — cenę ci zmniejszą, i masz co dzień, co tydzień, albo nawet co miesiąc lekarstwo... na nudy... Czy wyzdrowiejesz?... mniejsza o to... Apteki nie odpowiadają za skutki, byleby lekarstwa były przyrządzone podług prawideł farmakopei literackiej...

Ale gdzież owa powieść?... Zaraz.

Był jeden młody człowiek, któremu w oczy mówiono, co się zresztą często zdarza, że jest zdolny, któremu, co się rzadko zdarza, mówiono za oczy, że jest również zdolny... Zdał wszystkie egzamina, posiadał stopień naukowy, miał czoło wyniosłe, twarz myślącą, oczy rozumne, włosy długie, pierścieniami spływające na ramiona — jednem słowem, młody człowiek z sercem i głową, który... jeść nie miał sobie kupić za co... Trudnił się dawaniem lekcyj, ale trud nie był bardzo ciężki, bo lekcyj nie miał żadnej... Jedynem więc jego zajęciem w chwili, kiedy go wprowadzamy na arenę powieściową (proszę przebaczyć szumnemu wyrażeniu -- miłość autorska, jest... prawdziwą miłością...) — było usilne staranie się o te lekcyje. Codzień czytał wszystkie inseraty wszystkich pism publicznych i... co dzień kładł się spać głodny w zimnej izdebce...

— Przyjdzie w końcu do tego, że głodną śmiercią umrę wpośród ucywilizowanego i oświeconego społeczeństwa — mówił do siebie nasz bohater. — Możeby lepiej raz już skończyć i w łeb sobie strzelić?...

Ba, żebym miał za co kupić pistolet, proch, kule i kapiszony — tobym nie potrzebował życia sobie odbierać, bo bym miał pieniądze... Utopić się... niepodobna. Wisła zamarznięta, studni w Warszawie niema — a bodaj z piekła nie wyjrzał ten, co wodociągi wynalazł!... Powiesić się... ale na czem?... na surducie — fizyczne niepodobieństwo... Pantalony... tak już stare i słabe, że oberwałyby się z pewnością...

Mógłbym się powiesić na koszuli, ale cóż, mam tylko jedną, tę, którą noszę na sobie — więc, chybabym się nago musiał powiesić.. Przy takim mrozie — z samego zimna, nie mógłbym umrzeć, a potem, jakże tu się nago powiesić... A, niech piorun trzaśnie — no, nie mam nawet sposobu, ażeby sobie życie odebrać!...

I w złości rzucił zmięty papier na brudny stół sosnowy, na którym znajdowało się: kawałek mydła, resztki pokruszonej bułki, złamany grzebień, stłuczone lusterko i butelka z łojową świecą w szyjce...

— A dzisiejszy „Kurjer Codzienny"? Nie czytałem go jeszcze .. I wziąwszy napowrót rzucony papier, rozwinął go i zaczął uważnie przeglądać ogłoszenia.

Po chwili zerwał się na równe nogi — twarz mu się rozjaśniła, i krzyknął sam do siebie z radości:

— Jest! jest! zaraz biegnę! — i zaczął palto wkładać na siebie.

W „Kuryjerze" było takie ogłoszenie:

„Potrzebny jest natychmiast nauczyciel, któryby posiadał wyższe wykształcenie, i jeżeli będzie posiadał odpowiednie uzdolnienie i kwalifikacyję, może się spodziewać przyzwoitego wynagrodzenia — adres i t. d."

Nasz bohater (orzeczenie bez zarozumiałości przyjęte przez wszystkich powieściopisarzy) nie namyślał się ani chwili; schwycił za kapelusz i w kilka minut dzwonił już do mieszkania wskazanego w „Kuryjerze."

— Tu potrzebują nauczyciela z wyższem wykształceniem? — zapytał służącej, która mu drzwi otworzyła.

— Nie, tu potrzebują tylko samego nauczyciela – odpowiedziała służąca.

— Ale, moja panno, ogłoszone jest wyraźnie z wyższem wykształceniem...

— A to ja się muszę pani zapytać, bo ja tylko wiem o samym nauczycielu; niech pan poczeka...

— To dopiero głupie stworzenie – mruknął kandydat na nauczyciela.

— Proszę pana do salonu – odezwała się wracająca subretka — pani zaraz wyjdzie, ubiera się teraz...

Młody człowiek wszedł do salonu i został olśniony przepychem i elegancyją. Nic dziwnego: kto ma jedną koszulę, na której się nawet powiesić nie może — na tym bogactwo silniejsze, jak zwykle, robi wrażenie...

Nasz bohater, któremu nazwiska, ani imienia nie dajemy dla oryginalności, żywo zaczął przechadzać się po miękich kobiercach i niechcący stanął przed wielkiem zwierciadłem, oprawionem w pyszne złote ramy.

Teraz dopiero spostrzegł, w jakim nieładzie znajdowała się jego toaleta... Naturalnie, mocno wytarty surdut, pomięta koszula i wypchane na kolanach spodnie, przy największej staranności krawieckiej, nie mogłyby już uledz żadnej metamorfozie na lepsze, ale rozczochrane na wszystkie strony włosy mogłyby być doprowadzone do jakiego takiego porządku, nawet za pomocą tego kawałka grzebienia, który się znajdował obok okruchów bułki, kawałka mydła i butelki ze świecą w szyjce. A jednak miał się przedstawić kobiecie, która, wnosząc z salonu, należała do eleganckiego świata. Miał się przedstawić, jako nauczyciel z wyższem wykształceniem, wyglądając raczej z powierzchowności na markiera, i to z nie bardzo porządnej kawiarni...

— Ha, trzeba choć włosy przyczesać — pomyślał sobie — przecież to musi być kobieta rozumna, kiedy szuka ludzi z wyższem wykształceniem, na powierzchowność nie będzie zważała, i zaczął szukać po kieszeniach od kamizelki owego kawałka grzebienia. W kieszonkach jednak, oprócz czterech dziesiątek, nic więcej nie było.

— Dyjabli nadali — nie mam się czem przyczesać, zapomniałem wziąść grzebienia..

Obejrzał się koło siebie.

Na konsoli, koło lustra, leżał maleńki grzebyczek, misternie ze złota wyrobiony. Nasz bohater zdziwił się niepomału, że grzebienie robią ze złota; nie miał jednak długo czasu zastanawiać się nad tem, schwycił prędko złoty grzebyczek i zaczął przyczesywać potargane włosy, jak już wyżej powiedzieliśmy — długie i w kędziorach na ramiona spływające. Zaczął się więc czesać z pewnego rodzaju nerwowym pośpiechem... Nagle, mały, złoty grzebyczek w tylnych pierścieniach włosów zniknął gdzieś bez śladu.

Z początku zdawało mu się, że uwiązł pomiędzy włosami, lecz jakież było jego zadziwienie, gdy poczuł go na gołem ciele, na plecach... Złoty grzebyczek zaplątał się widać pomiędzy gęstemi zwojami tylnych włosów, po kilku poruszeniach głowy wpadł za kołnierz od koszuli i opuścił się niżej na plecy...

Położenie młodego człowieka było rzeczywiście fatalne. Ni mniej, ni więcej, tylko mógł być wzięty za prostego złodzieja, bo na jego nieszczęście grzebyczek był złoty, zapewne faworytalny sprzęcik z gotowalni samej gospodyni domu, przypadkiem w salonie zostawiony, któ-

rego brak bardzo łatwo mógł być w każdej chwili zauważony... A tu, jakby na domiar fatalności, nie tak łatwo było go wydostać, zwłaszcza, że lada chwila pani mogła wejść do salonu...

Wszelkie sięgania ręką za kołnierz nie doprowadziły do żadnego rezultatu -- przeciwnie, grzebyczek opuścił się jeszcze niżej...

— A to piękna historyja, jak Boga kocham! — mruknął do siebie młody człowiek.

Środków nie wiele było do wyboru. Nie namyślając się więc długo, stanął, jak to powiadają, dębem, i opierając się rękami o podłogę, kręcił szyją na wszystkie strony, ruszał plecami, chcąc tym sposobem wytrząsnąć fatalny grzebyczek z za kołnierza. Srodek jednak ten okazał się bezskuteczny. Grzebyczek opuścił się jeszcze niżej...

Chodzenie po podłodze do góry nogami sprowadziło tylko większy nieład w mizernej toalecie młodego człowieka, a długie i gęste włosy, rozczochrały się na wszystkie strony... Nie chciał przecież stracić ani jednej chwili i przypomniawszy sobie całą zręczność łyżwiarskiej praktyki, zaczął po kolei, to lewą, to prawą nogą robić rozpaczliwe rzuty, myśląc, że może przez nogawice od pantalonów wyleci nieszczęśliwy grzebyczek. Ale i to na nic się nie zdało...

To już doprowadziło go do rozpaczy, tembardziej, że na dobitkę wszystkiego, niepodobna było zdjąć żadnej części ubrania, bo w takiem negliżu mogłaby go zastać w salonie pani domu i Bóg wie, coby z tego wyniknąć mogło...

W rozpaczy, nic dziwnego, że opuściła go zupełnie przytomność umysłu i że jak należy nie mógł się zastanowić nad swojem położeniem, z którego jedynie zimna krew, mogła go wybawić... Rzucał się więc na wszystkie strony, trząsł nogami, machał rękami, wyginał się, przybierał najnienaturalniejsze pozy, którychby pozazdrościł nie jeden ekwilibrysta, i nareszcie z całą gwałtownością stanął jeszcze raz do góry nogami...

Wtem drzwi się otworzyły i do salonu weszła gospodyni domu, kobieta młoda i piękna w całem znaczeniu tego wyrazu...

— Jezus Maryja! — krzyknęła w niebogłosy — co to jest!...

Ale nasz niefortunny bohater tak zajęty był wytrząsaniem przeklętego grzebyka, że stojąc do góry nogami, nietylko nie widział, iż do salonu weszła kobieta, ale nawet nie słyszał jej wykrzykników... i nie przestawał dalej chodzić głową i rękami po podłodze...

Pani domu cofnęła się napowrót do swego pokoju, wybiegła do kuchni i zawoławszy służącę, powróciła z nią napowrót do salonu. Właśnie kiedy stanęły obydwie kobiety w progu, młody człowiek robił ostatnie wysilenia, aby wytrząsnąć przeklęty grzebyczek, który skutkiem rzucania się na wszystkie strony, Pan Bóg wie, gdzie się już teraz znajdował...

W tej chwili przyszły nauczyciel oparty był rękami o ziemię, i co chwila wierzgał to jedną, to drugą nogą...

Kobiety stanęły z początku u progu i same nie wiedziały, co począć, — śmielsza jednak służąca podeszła do młodego człowieka, schyliła się i porwała go za rękę. Młody człowiek nagle straciwszy podporę z jednej ręki — runął na ziemię, jak długi... ale w tej chwili zerwał się i ujrzawszy przed sobą dwie kobiety, stanął, jakby go kto do ziemi przykuł, nie wiedząc co ma z sobą począć...

— Pan słaby jesteś — odezwała się piękna gospodyni domu głosem niekłamanego współczucia.

— Pani — ocknął się młody człowiek — ja muszę wszystko wyznać, wszystko... wszystko... i cały rozgorączkowany, wzburzony, podbiegł do pięknej kobiety, która przelękniona nagłym skokiem, szybko usunęła się w przeciwny ró salonu.

— Marjanno — zawołała — wołaj pomocy, wołaj pana — to warjat jakiś!...

— Ale pani, klnę się na wszystkie świętości, ja nie jestem żaden warjat!... Ja pani

wszystko powiem — posłuchaj mnie pani — i znowu podbiegł do kobiety ciągle uciekającej przed nim.

— Ha, do pioruna — musisz mnie pani przecież wysłuchać — i tak gwałtownie przypuścił atak, że w chwili, kiedy kobieta miała właśnie wysunąć się z salonu, aby zawołać pomocy, zaskoczył ją pomiędzy kanapą a stołem...

— Ach, mój Boże, ratunku! — krzyknęła kobieta.

— Pani, błagam cię o jedną chwilę cierpliwości, nie krzycz pani... ja nie jestem żaden zbrodniarz... zlituj się nademną... i nie wiedząc, co ma już robić, rzucił się na kolana przed piękną kobietą...

W tej chwili wpadł do salonu wytwornie ubrany, średniego wieku mężczyzna, a za nim patrzyła się przestraszona twarz służącej, którąśmy już przed chwilą widzieli...

— A to znowu co! zawołał blednąc — na kolanach przed moją żoną?!..

— Pani — wołał klęcząc młody człowiek — jesteś tak piękną, musisz być dobrą... posłuchaj mnie... wybacz mi... ja już nic... nic nie chcę... niczego nie żądam... tylko pozwól mi się wytłomaczyć...

— Ależ to nie waryjat, to jakiś śmiałek rozromansowany, ja go nauczę romansów!...

Podszedł do klęczącego, porwał go za obydwie ręce i postawił na równe nogi...

— Jak pan śmiesz w podobnie bezczelny sposób naruszać spokój cudzego domu?!... Co?!...

— Ależ panie — dajesz się powodować pozorom — odparł nieco spokojniej młody człowiek.

— Ja panu pokażę pozory — wizytę swoją popamiętasz przez całe życie!...

Młodemu człowiekowi krew nabiegła do głowy. Zapomniał o położeniu, w jakiem się znajdował i pomimo wszystkiego młode piersi zawrzały gniewem i oburzeniem...

— Cokolwiek się stało, uprzedzam pana, że się żadnych groźb nie lękam...

— Jestem mężem tej pani, przed którą pan śmiałeś uklęknąć...

— Ani jednemu, ani drugiemu nie zaprzeczam...

— Odzywałeś się pan do niej na kolanach w sposób ubliżający kobiecie zamężnej...

— Źle pan zrozumiałeś...

Słyszałem na własne uszy...

— Miej więc pan pretensyję do swoich uszów, ale nie do mnie...

— Cóż to sobie myślisz, nikczemniku! I mąż porwał młodego człowieka rękami za piersi.

— Ty nim jesteś! — i młody człowiek porwał również męża za piersi...

Z wyciągniętemi rękami stali naprzeciwko siebie, jak dwa koguty... Nareszcie jeden drugiego począł szarpać i przyciągać do siebie, ale snać siła była równa, bo po gwałtownem i ciągłem nachylaniu się, każdy wracał do pierwotnej pozycyi, ściskając coraz mocniej koszulę i surdut na piersiach swego przeciwnika...

— Gustawie! — odezwała się błagalnie piękna kobieta — puść go, niech idzie sobie...

— Co i ty jeszcze prosisz za nim!... Ha, więc on tu może przyszedł za twojem zezwoleniem... Poczekaj — żywego cię nie puszczę!...

— Gustawie! Gustawie! co ty robisz! On ci jeszcze co złego zrobi!...

— Niech się pani nie lęka, bronię się tylko, ale bynajmniej nie mam żadnego złego zamiaru — odezwał się szamocząc młody człowiek.

— Ho, ty wspaniałomyślny nikczemniku!... Dwóch zapaśników z całą zajadłością szamotać się znowu poczęło...

— O, słodkie Imię Jezus! — odezwała się służąca z załamanemi rękami, pod piecem...

— Szczególne nieszczęście! — płaczliwie odezwała się piękna gospodyni...

— Pani, niech pani odciągnie swego pana, bo się pozabijają, ja będę odciągać tego waryjata...

Tak się też stało.

Żona zaczęła ciągnąć za poły surduta swego męża w jedną stronę, a Maryjanna takim samym sposobem młodego człowieka ciągnęła w drugą stronę... Służąca była silniejsza, po-

ciągnęła wszystkich ku sobie, ale... i tu fatalność przyłożyła rękę swoją... Stary surdut młodego człowieka nie ostał się w silnych rękach służącej... Poła się raptem urwała... Z jednej strony Maryjanna runęła na ziemię, jak długa, z drugiej młody człowiek przez zerwanie poły, która została w ręku leżącej Maryjanny, stracił równowagę, potoczył się gwałtownie na swego przeciwnika, ten na swoją żonę, która go ciągnęła za połę, i... wszyscy troje upadli na ziemię — jedno na drugie...

— O la Boga! o rety! wrzasnęła Maryjanna.

— Ach! — krzyknęła pani.

— Jasności piekielne! — ryknął mąż.

— Masz tobie! — zawołał kandydat na nauczyciela...

Najprzód porwał się młody człowiek... Spojrzał przed siebie, i korzystając ze swobodniejszej chwili, skoczył do otwartych drzwi do przedpokoju.

— Trzymaj! łapaj! chwytaj! — krzyczał mąż, podnosząc się z ziemi, ale młody człowiek szybko zbiegł ze schodów, wyskoczył na ulicę, i zniknął na jej zakręcie...

W parę godzin po tej komicznej katastrofie, piękna pani odebrała przez posłańca publicznego zalepiony w kopertę złoty grzebyczek wraz z listem, objaśniającym cały ten wypadek... Podpisu jednak nie było żadnego...

— Czemuż bo nic nie powiedział — odezwał się skwaszony mąż.

— Ale, bo też mu nie dałeś nic mówić, — biedny chłopiec...

— Żałujesz go?...

— Naturalnie...

— Wolałbym, żebyś mniej była litościwą dla... młodych chłopców...

— Trudno sercu rozkazywać, mój drogi — pod tym względem, nawet despotyzm mężów nic nie znaczy...

I podobno z tego wszystkiego powstała jeszcze scena małżeńska, ale co nam tam do tego.

Iskra.

Febra.

* Opowiadano w Szkudic, że kiedy mechanik miejscowy miał paroksyzm febry, stojący obok niego termometr spadł na zero.

Felczer.

* *Raport starszego felczera.*

U Jana Bandziuka znalazłem cztery rany:
1-a pod pachą wielkości rubla;
2-a w prawej nodze wielkości 20 kopiejek;
3-a w lewej łopatce wielkości 10 kopiejek;
4-a w prawej ręce wielkości 5 kopiejek;

W ogóle ran Rs. 1.35 kop.

Świąteczny.

Ferdynand.

* *Dwadzieścia minut u księcia Ferdynanda*

— Tutaj Koburg-Gota?

— Tak, tutaj...

— A gdzie tutaj, kochanku, pan Ferdynand mieszka?

Przechodzień zamyślił się.

— A kto go tam wie... U nas, panie, Ferdynandów, jak śmiecia... A kto on taki?

— Książę bulgarski...

Przechodzień aż podskoczył w górę...

— A niechże pana!... A toż go znam! Doskonale znam! Taki kędzierzawy pan... znam znam!...

— Więc gdzież on mieszka?...

— Oto tam. Idź pan prosto, potem zakręcisz pan na prawo i tak lewym boczkiem pan pójdzie, tam na rogu będzie bawaryja, to do niej niech pan nie wchodzi, ale niech pan idzie dalej, to znów pan zobaczy bawaryję, a już za trzecią bawaryją, to właśnie pan Ferdynand mieszka.

— Tak?

— Będzie taki zielony domek, to proszę pana tam...

— Dziękuję...

— On tam od jednych państwa pokój od najmuje...

— Do widzenia...

— Adieu...

Podziękowawszy poczciwemu człowiekowi, udałem się we wskazane miejsce.

Za chwilę byłem u celu.

Stuknąłem do drzwi. Kucharka mi otworzyła.

— Czego?

— Pan Ferdynand Koburg-Gotajski w domu?...

— A pan kto?

— Ja... z Kolców...

— No to chwała Bogu, bo myślałam, że pan z jakich znów deputatów...

— Dla czegóż to?

— Bo, panie kochany, tu u nas ciągiem jakieś deputaty chodzą.

— E?

— A tak.

Uspokoiłem babę, że ja nie deputat, tylko korespondent i uzyskawszy audyjencyję, uważałem za obowiązek najwpierw zapytać:

— Co kochany pan ma za plany względem Bulgaryi?

— Widzi drogi pan, ja jeszcze sam nie wiem... Nie wiem, jakie tam kury hodować: czy zwyczajne, czy pantarki? Jak pan myślisz?

— Mnie się zdaje, że pantarki; zresztą, jak tam panu serce dyktuje... Po chwili mówiłem dalej...

— No, a co pan myślisz o ogólnej polityce?

— Hm... niby... tak... dobrze... ale zawsze... bo to jest... koniecznie... a szczególniej... przeważnie...

— Aha! rozumiem, rozumiem pana doskonale.. Chcesz powiedzieć, że będzie albo wojna albo pokój...

— Uhu... niby...

— Ahaa... A finanse bulgarskie?...

— O! finanse... to... finanse.. to panie... zwłaszcza tego... niby... o tak!...

— Czyżby?

— Słowo honoru!

— To wybornie. A oświata?

— Ho, ho! panie!... To... żeby tak... Ale co to! Ho, ho!

— E? na seryjo?

— No, ma się rozumieć...

— A nigdy byłbym nie przypuścił!

— Wiesz pan, zdaje mi się, że wartoby tam założyć fabrykę szuwaksu?... Jak się panu mój projekt podoba?

— Nieźle...

— Ale co pan powiesz o związku jego z polityką europejską i innemi?

Zamyśliłem się i odpowiedziałem:

— W naszym trudnym, ciężkim wieku zmian politycznych i dyplomatycznego wiarołomstwa, kiedy siny Albijon czarnoksiężko służy, jako motor do zawikłań...

Ferdynand przerwał mi:

— Napijesz się sznapsa?

— Z przyjemnością...

Napiliśmy się i mówiliśmy już o czem innem.

Drzazga.

Fermy.

* W Fermy był teatr, w którym grano tragedyję Woltera. Role grali goście, między którymi zawsze figurowała pani Denis, siostrzenica gospodarza.

Po odegraniu roli Zairy, szlachcic z sąsiedztwa podszedł do niej, winszując talentu dramatycznego.

— Aby wystąpić odpowiednio w tej roli, trzeba być przynajmniej młodą i ładną — rzekła z fałszywą skromnością pani Denis.

— O pani — rzekł szlachcic naiwnie — dowiodłaś, że tak bez jednego jak bez drugiego obejść się potrafisz.

Figle.

* Nocna biesiada się skończyła, a młodzi panowie, rozochoceni trunkiem, wyszli na ulice Paryża, układając między sobą żarty i zaczepki, któremi mieli poczęstować jakiego spóźnionego mieszczanina; było to bowiem jeszcze przed rewolucyją i szlachta pozwalała sobie na wszyst-

ko, co jej się tylko podobało Dowcipkując i gawędząc doszli tak do samotnej ulicy św. Jana: cicho było w niej i pusto, ale z trzeciego piętra jednego domu z okien oświetlonych tem lepiej dochodziły do przechodniów skoczne tony starego kontredansa.

— Tańczą tam — zawołała młodzież — chodźmy tańczyć z nimi

I pobiegli. Na odgłos dzwonka otworzył drzwi człowiek miłej powierzchowności.

— Panie — rzekł do niego wódz młodzieży, Lally (późniejszy smutnej sławy rządca Indyi) — uspokój się pan, nie jesteśmy złodziejami, jesteśmy uczciwymi chłopcami, których przywiodła tutaj chęć tańca; przechodziliśmy przez waszą dzielnicę, a usłyszawszy muzykę taneczną, nie mogliśmy się jej oprzeć i oto jesteśmy. Pozwól nam pan potańczyć u siebie, a zaręczam w imieniu swojem i towarzyszów, że nie będziesz pan mieć żadnego powodu do pożałowania swej gościnności.

— Z wielką przyjemnością, moi młodzi panowie, jednak może przedtem zechcecie wiedzieć, kto jestem.

— Na co? Po sposobie rozmowy widzimy, że pan jesteś człowiekiem dobrego wychowania, to nam wystarcza.

— W każdym razie muszę was objaśnić, z kim macie do czynienia.

— Więc któż pan jesteś?

— Jestem katem Paryża. Córka moja zaślubiła syna jednego z mych kolegów i oto obchodzimy w swojem kółku jej wesele.

Młodzi panowie porozumieli się wejrzeniem. ale chętka zabawy odniosła zwycięstwo.

— Łaskawy panie — wyrzekli — cieszymy się, że w tak wesołych warunkach zawieramy naszą znajomość; uprzejmość pańska, rozmowa, obejście, tak nas korzystnie względem ciebie usposabiają, iż pomijamy pańskie zajęcie, które co prawda, nie należy do najprzyjemniejszych. Pozwól nam więc skorzystać z tej jedynej może sposobności, która dziś nas ze sobą zetknęła...

Weszli... Tańce po tej małej przerwie z nowem rozpoczęły się życiem, a nowo przybyli oddali się całem sercem uciesze chwili. Jeden Lally nie tańczył. Zesmutniał nagle, spoważniał, nie wiedząc czemu, za to z widocznem zajęciem zaczął z katem rozmowę.

— Czy pan osobiście dopełnia egzekucyi?

— Zwykle nie! Mam do tego pomocników, a obowiązany jestem tylko być obecnym przy wykonaniu wyroku. Kiedy jednak skazany jest wielkim panem, jak pan naprzykład, poczytuję sobie za zaszczyt własną ręką zadość uczynić sprawiedliwości...

Lally uśmiechnął się z przymusem...

— Odemnie będzie zależało — rzekł po chwili — oszczędzić panu tego trudu.

Ale porównanie kata wciąż mu stało na myśl, nikt i nic nie zdołało go rozweselić i zasmucony, zgnębiony opuścił towarzystwo.

Niedługo później Lally otrzymał urząd w Indyjach... Przeczucie go nie zawiodło. W piętnaście lat ekswielkorządca kolonij francuzkich w Indyjach, Lally, sprowadzony do Paryża, uwięziony i osądzony na karę śmierci, przez tego samego kata ścięty został na placu Grévy.

* *Figle dam Windsorskich.*

Wud. Bądź pozdrowion, rycerzu.

Falstaf. No, mości Strugu, przychodzisz się zapewne dowiedzieć, co zaszło między mną, a panią Wud?

Wud. W rzeczy samej, sir Dżonie, ten jest cel mego przybycia.

Falstaf. Mości Strugu, nie chcę kłamać przed tobą; byłem u niej istotnie w godzinie oznaczonej.

Wud. I jakże ci się, Panie, powiodło?

Falstaf. Wcale nieobrzednio, mości Strugu.

Wud. Jakto, panie? Czyliż zmieniła postanowienie?

Falst. Nie, mości Strugu; ale ten gnat *cornuto*, jej mąż, którego zazdrość w ciągłym utrzymuje alarmie, zszedł nas właśnie w samym punkcie zetknięcia, kiedyśmy się zaledwie

pocałowali, uścisnęli, zapewnili o wzajemnej miłości i odegrali, że tak powiem, zaledwie prolog komedyi; a za nim zwaliła się cała zgraja jego kompanów, sprowadzona przezeń i podszczuta do przetrząśnienia domu i odkrycia przedmiotu miłostek jego połowicy.

Wud. Jakto? i tyś tam jeszcze był wtedy, rycerzu?

Falst. Ma się rozumieć, że byłem.

Wud. I on cię szukał i nie mógł cię znaleźć?

Falst. Zaraz się dowiesz o wszystkiem. Szczęśliwy traf sprowadza tam jakąś panią Paź, która nas o zbliżaniu się Wuda uprzedza. Za jej poradą, bo biedna Wud ze szczętem głowę straciła, wsadzony zostaję w kosz od bielizny...

Wud. W kosz od bielizny!

Falst. Na pana zastępów, w kosz od bielizny. Zarzucony w nim zostaję plugawemi koszulami, majtkami, pończochami, chustami i ścierkami. O, mości Strugu, nigdy jeszcze obrzydliwszy zlewek z tych odorów nie obraził węchu ludzkiego.

Wud. I jakże długo siedziałeś w nim, panie?

Falst. Niestety! dowiesz się, mości Strugu, com ja wycierpiał, żeby tę kobietę dla usłużenia twojej miłości skłonić do złego. Skorom w ten sposób został zapakowany do kosza, weszło na wezwanie swej pani dwóch drabów domowych i odebrało polecenie zanieść mnie na Satchet jako brud, przeznaczony do prania. Wzięli mnie na barki; wychodząc spotkali we drzwiach tego zazdrosnego cymbała Wuda, swego pana, który się ich raz czy dwa razy zapytał, co mieli w koszu. Zadrżałem z obawy, żeby ten wściekły lunatyk nie chciał czasem wsadzić w kosz nosa, ale los, który go na zrogacenie dekretował, wstrzymał go przecie od tego. Miotany zapalczywością, wyniósł się do dalszych pokojów na rewizyję; ja miotany niespokojnością, wyniesiony zostałem za drzwi do prania. To wszystko jeszcze nic, kochany panie Strug, uważ, co następuje. Wycierpiałem męczarnię trzech różnych rodzajów śmierci i najprzód nieznośną obawę, żeby mnie ten zazdrosny, przemierzły cap z grzechotką nie odkrył; powtóre, konieczność leżenia w ścieśnionym obrębie, zwiniętym w kabłąk nakształt dobrej damasceńskiej klingi, ostrzem do gardy, głową do nóg; wreszcie—pozostawanie nakształt spirytusu pod szczelnym szpuntem cuchnących szmat, fermentujących tłustością. Wyobraź sobie człowieka takiej jak ja kompleksyi; człowieka, nielepiej jak masło mogącego znieść upał; człowieka, zostającego w ciągłym stanie topnienia i tajenia; do cudów liczyć można, żem się nie udusił. I w najeterycznieszym punkcie tej kąpieli, kiedym już więcej niż przez pół usmażony w tłustości leżał, jak wiedeńska kiełbasa, wrzuconym zostać w Tamizę, ażeby w zimnej wodzie jak rozpalona podkowa nagle ostygnąć, wyobraź sobie, w stanie wrzenia, wyobraź sobie, mości Strugu!

Szekspir.

Figura.

— Niech pan radca wybiera — królik czy sarenka?

— Sarenka? a to proszę o comber.

Filag.

* *Do Filaga babożeńca.*

Wziąłeś babę za żonę, złoto z nią Filagu:
Złoto wziąłeś za żonę, a babę w posagu.

Daniel Bratkowski.

Filantropija.

* Pewnego rana w Dąsalni porządkując jego listy i na niektóre z nich odpowiadając, byłyśmy nadzwyczajnie zadziwione, dostrzegłszy, iż głównym przedmiotem życia wielu piszących do niego, było łączenie się w komitety dla zbierania i następnie dla trwonienia pieniędzy. Panie były równie zapalone jak panowie, a może nawet jeszcze więcej. Rzucały się do zakładania komitetów z namiętnym zapałem, zbierały podpisy z zadziwiającą namiętnością. Zdawało się nam, iż niektóre z nich muszą przepędzać całe życie, wyprawiając na wszystkie strony prospekty, akcyje, po szylingu, po

pół korony, po pół suwerena, nawet po pensie. Potrzebowały każdej rzeczy. Potrzebowały całkowitego ubrania; potrzebowały starej bielizny, potrzebowały pieniędzy, potrzebowały węgli, potrzebowały zupy, potrzebowały pomocy, potrzebowały autografów, potrzebowały flaneli, potrzebowały wszystkiego, co tylko miał pan Jarndyce—i czego nawet nie miał. Ich cele były tak rozmaite, jak żądania. To miały zamiar wybudować nowy gmach, to miały zamiar spłacić długi starego gmachu, to miały zamiar założyć w malowniczym gmachu (którego rysunek zachodniej strony był dołączony) zakład Sióstr Maryi; to miały zamiar złożyć podziękowanie pani Jelleby; to miały zamiar kazać odmalować portret swego sekretarza i ofiarować go jego macosze, której tkliwość dla niego była dobrze znana; jednem słowem, miały zamiar wszystko przedsiębrać, począwszy od półmilijonowych do skromnych rocznych pensyi, i od marmurowego pomnika do srebrnego herbatnika. Przyjmowały mnóstwo tytułów. Były tam kobiety Anglii, córy Brytanii, siostry wszystkich cnót kardynalnych oddzielnie, niewiasty Ameryki, panie setnych różnych nazw. Zdawały się ciągle niepokojone duchem intryg i wyborów. Zdawało się nam, stosownie do naszych biednych rozumów i stosownie nawet do własnych ich przyznań, iż ciągle stami i tysiącami skubały ludzi, a znajdujący się pod ich opieką jeszcze nic nie dostali. Głowa nas bolała na samą myśl, jak gorączkowe życie muszą pędzić.

Pomiędzy temi paniami, najwięcej odznaczała się tą drapieżną dobroczynnością, jeżeli tak można powiedzieć, niejaka pani Pardiggle. Sądząc z liczby listów, znajdujących się u pana Jarndyce, była równie niezmordowaną w pisaniu listów jak pani Jelleby. Zauważaliśmy, że pan Jarndyce zawsze naprowadzał rozmowę na wiatr, ile razy tylko pani Pardiggle zaczęła być przedmiotem rozmowy, i zawsze niezmiennie nazwisko jej przerywało panu Jarndyce, i nie pozwalało dalej mówić, ile razy tylko dowodził, że są dwa rodzaje ludzi dobroczynnych: jedni wiele mówią, a mało robią; drudzy zaś przeciwnie, mało mówią a wiele robią. Byliśmy ciekawi poznać panią Pardiggle, podejrzywając, iż musi należeć do pierwszego rodzaju, i dlatego też ucieszyliśmy się, gdy nam oznajmiono jej odwiedziny.

Była to kobieta ogromnych rozmiarów, z wystającym mocno nosem, głośno mówiąca, i robiła wrażenie obawy na patrzących, aby jej nie było za ciasno nawet w obszernym pokoju. I istotnie przewidywanie to sprawdziła, albowiem, jak tylko weszła, brzegiem sukni przewróciła dwa małe stołeczki, chociaż te stały zdaleka. W domu była tylko Ada ze mną; przyjęłyśmy ją bojaźliwie; weszła jak mroźny wicher a mali Pardiggle, idący za nią, byli zupełnie sini.

„To są, moje młode panie“ — mówiła pani Pardiggle z wielką szczebiotliwością po pierwszych powitaniach — „to są moi pięciu synowie. Imiona ich mogłyście widzieć wydrukowane na liście podpisów, znajdującej się, a może więcej niż jedna, u naszego szanownego przyjaciela, pana Jarndyce. Egbert, mój najstarszy (dwunastoletni), jest to chłopiec posyłający swe kieszonkowe pieniądze w ilości pięciu szylingów i trzech pensów dla Indyjan Tockahoopo. Oswald, mój drugi (lat dziesięć i pół) jest to dziecię, wspierające dwoma szylingami i dziewięciu pensami wielkie narodowe stowarzyszenie kowali. Franciszek, mój trzeci (dziewięcioletni) poświęca jeden szyling, sześć pensów i pół; Feliks, mój czwarty (siedmioletni) oddaje ośm pensów zgrzybiałym wdowom; Alfred, mój najmłodszy (pięcioletni) dobrowolnie zaciągnął się do stowarzyszenia Dzieci Radości i zobowiązał się przez całe życie nie używać tytoniu w żadnym kształcie“.

Nigdy jeszcze nie widziałyśmy dzieci bardziej niezadowolonych. Nietylko były skrzywione i pomarszczone — chociaż nic im nie brakowało — ale z niezadowolenia wyglądały zupełnie dziko. Na wzmiankę o Indyjanach Tockahoopo, gdym spojrzała na Egberta, mogłabym go wziąć za najdzikszego z całego

plemienia Indyjan, tak straszliwie się zmarszczył. Twarz każdego dziecka, w miarę jak matka wyliczała ponoszone przez nich ofiary, chmurzyła się i przybierała wyraz mściwy. Ale to jeszcze niczem było w porównaniu do tego, co później się działo. Muszę jednak uczynić wyjątek na korzyść najmłodszego rekruta w stowarzyszeniu Dzieci Radości: był głupowaty i miał minę nieszczęśliwą.

„O ile mi wiadomo, odwiedzałyście panie panią Jelleby?“, spytała pani Pardiggle.

Potwierdziłyśmy, przywodząc, iż przepędziłyśmy u niej całą noc.

„Pani Jelleby“, mówiła pani Pardiggle tymże samym stanowczym, głośnym, twardym głosem, mimowolnie nasuwającym mi dziwaczną myśl, iż także nosi okulary — a przy tej sposobności muszę nadmienić, że okulary nie czyniły jej oczów wcale piękniejszemi, bo były, jak Ada mówiła, jakby wytrzeszczone, rozumiejąc przez to: na wierzchu osadzone; „pani Jelleby jest dobroczyńcą ludzkości i zasługuje na podanie jej ręki pomocy. Moi chłopcy przyjęli udział w jej afrykańskiem przedsięwzięciu. Egbert oddał swą dziewięciotygodniową pensyję, wynoszącą szyling i sześć pensów, Oswald, szyling i półtora pensa, stanowiące jego dochód w tym samym przeciągu czasu; inni odpowiednio swym małym zasobom. Mimo to jednak, nie we wszystkiem zgadzam się z panią Jelleby. Nie mogę się zgodzić z panią Jelleby pod względem wychodzenia jej ze swemi małemi dziećmi. Nawet zwrócono na to uwagę. Zauważono, że jej młoda rodzina jest zupełnie wyłączona od zamiarów, którym się poświęca. Może dobrze, a może źle robi, ale czy to źle, czy dobrze, ja inaczej postępuję z moją młodą rodziną. Biorę ich wszędzie“.

Potem byłam pewna, jako też i Ada, że wyrazy te źle wychowanemu, najstarszemu dziecku wyrwały z ust mocne ryknięcie. Zamienił je wprawdzie na ziewnięcie, ale zaczęło się jak wycie.

„Odmawiają ze mną poranne modlitwy (bardzo ładnie ułożone) codziennie z rana o wpół do siódmej, nawet podczas najtęższej zimy“, mówiła szybko pani Pardiggle, „i zawsze towarzyszą wszystkim mym dziennym pracom. Jestem nauczycielką szkółki, wizytatorką, czytelniczką, jałmużniczką; należę do Towarzystwa pudełek do bielizny i wielu innych głównych Towarzystw; zakres mego działania jest bardzo obszerny, nikt może nie ma obszerniejszego. Moje dzieci wszędzie mi towarzyszą; tym sposobem nabierają owej znajomości biednego i owej zdolności wypełniania w ogóle dobroczynnych uczynków, jednem słowem, nabierają owego zamiłowania dobroczynności, jakie w późniejszem życiu postawi ich w możności być pożytecznymi swym sąsiadom i zadowolonymi z samych siebie. Moi mali nie są wcale lekkomyślni; całe swoje dochody wydają na składki pod moim kierunkiem; znajdowały się już na tylu publicznych meetingach, słyszały już tyle rozpraw, mów i sporów, jak mało który z dorosłych ludzi. Alfred (pięcioletni), który, jak wspomniałam, dobrowolnie wstąpił do stowarzyszenia Dzieci Radości, należał do małej liczby dzieci, które okazały wówczas znajomość rzeczy po gorliwej, dwugodzinnej rozprawie mówcy“.

Alfred spojrzał na nas tak gniewnie, jak gdyby nigdy w życiu nie miał zapomnieć wyrządzonej mu wówczas zniewagi

„Może uważałaś panno Summerson“ mówiła dalej pani Pardiggle, „na kilku listach przezemnie przysłanych, będących w posiadaniu naszego szanownego przyjaciela, pana Jarndyce że imiona mych malców są zakończone podpisem: O. A. Pardiggle, Cz. Kr. Tw. jeden funt str. Jest to ich ojciec. Zawsze zachowujemy ten sam porządek. Najprzód ja kładę me skromne nazwisko; następnie moi malcy zapisują swe skromne ofiary, porządkiem lat i stosownie do swych małych zasobów; na końcu pan Pardiggle stanowi tylną straż. Pan Pardiggle z radością poświęca swe ograniczone środki, pod mojem przewodnictwem; a takiego rodzaju

postępowanie nietylko nam samym przynosi przyjemność, ale mamy nadzieję, iż wpływa i na innych“.

Przypuściwszy, że pan Pardiggle obiaduje z panem Jelleby, i przypuściwszy, że pan Jelleby po obiedzie chce ulżyć swemu sercu i wynurzyć się przed panem Pardiggle, ciekawa rzecz, czyby też pan Pardiggle, wzamian uczynił jakie zwierzenie panu Jelleby? Gniewałam się sama na siebie, iż myślę o podobnych rzeczach, ale nie wiem, jak mi to przyszło do głowy.

„Macie tu panie bardzo ładne położenie!“, rzekła pani Pardiggle.

Z radością zmieniłyśmy przedmiot rozmowy i zbliżywszy się do okna, pokazywałyśmy piękności krajobrazu, na co okulary zdawały się spoglądać obojętnie.

„Czy znacie pana Gusher?“, spytał się nasz gość.

Musiałyśmy przyznać, iż nie mamy przyjemności znać pana Gusher.

„Upewniam was moje panny, iż wiele na tem tracicie“, rzekła pani Pardiggle swym stanowczym głosem. „Jest to mówca pełen gorliwego zapału, pełen ognia! Stanąwszy na wozie, na tej płaszczyznie dogodnej ze swego położenia na publiczne zebranie, mówiłby wam po całych godzinach, o pierwszym lepszym przedmiocie, jakibyście mu nasunęły! Przez ten czas moje panny“, rzekła pani Pardiggle, wracając do swego krzesła, i obróciwszy, jakby niewidzialną sprężyną mały stoliczek z koszyczkiem do roboty, zdala stojący, „przez ten czas spodziewam się, żeście mnie poznały? To jest, żeście poznały“, mówiła pani Pardiggle, „najbardziej uderzającą stronę mego charakteru. Wiem, że jest tak uderzająca, iż od razu musi być spostrzeżona. Wiem, iż sama otwieram się do poznania. I bardzo dobrze! Przyznaję szczerze, że jestem kobietą czynną. Lubię ciężką pracę, cieszę się z ciężkiej pracy. Wzruszenie mi służy. Tak jestem przyzwyczajona i włożona do ciężkiej pracy, że nic nie jest w stanie mnie znużyć“.

Mruknęłyśmy, że to bardzo zadziwiające i bardzo pożyteczne, lub coś podobnego. Nie myślę, abyśmy mówiły to z przekonania, lecz grzeczność tak nam nakazywała.

„Nie rozumiem, co to jest być znużoną. gdybyście chciały spróbować, nigdy nie byłybyście w stanie mnie znużyć!“ mówiła pani Pardiggle. „Mnóstwo trudów, które nie są dla mnie trudnemi, obszerność interesów, które niczem są dla mnie, jakiemi jestem obarczona, nieraz mnie samą zdumiewa. Widziałam moich malców i pana Pardiggle znużonych samem li tylko przyświadczaniem mi, gdy tymczasem ja, byłam świeża, jak jaskółka“.

Gdyby najstarszy zachmurzony chłopiec, mógł jeszcze złośliwiej niż zwykle spoglądać, niezawodnie uczyniłby to w tej chwili. Zauważyłam, iż ścisnął prawą pięść i skrycie silnie uderzył w dno kapelusza, trzymanego pod lewą ręką.

„To nadaje mi wielką przewagę, gdy odbywam me odwiedziny“, rzekła pani Pardiggle. „Jeżeli natrafiam na osobę niechcącą słuchać mojej mowy, wprost jej powiadam: Mój dobry przyjacielu, ja jestem niezmęczona, niczem mnie nie znużysz i będę przychodzić tu, dopóki nie dopnę mego celu. To wyborny środek. Panno Summerson, spodziewam się, że pani i panna Clare, zechcecie mi towarzyszyć przy odbywaniu mych odwiedzin.“ Najprzód starałam się wymówić, choć na teraz, przywodząc, iż mam bardzo wiele zajęć, których nie mogę zaniedbywać. Lecz ponieważ wymówka ta była bezskuteczna, powiedziałam, iż nie jestem pewna, czy posiadam konieczne do tego przymioty. Że nie byłam doświadczona w sztuce zastosowania mego umysłu, do umysłu ludzi, zajmujących zbyt odmienne położenie i mówienia do nich z właściwego stanowiska. Że nie mam potrzebnej znajomości serca ludzkiego dla zadosyć uczynienia tym obowiązkom. Że jeszcze sama muszę dosyć się uczyć, nim będę w stanie dru-

gich nauczać, i że nie mogę polegać li tylko na mych dobrych chęciach. Że z tych powodów sądzę, iż najwłaściwiej dla mnie starać się o wykonanie małych przysług w szczupłem kółku, w jakiem obecnie żyłam, i starać się tylko o stopniowe rozprzestrzenianie takowego. Wszystko to powiedziałam z zaufaniem, gdyż pani Pardiggle była znacznie starsza odemnie, miała wiele doświadczenia i w całem swem obejściu się była bardzo stanowcza.

„Mylisz się, panno Summarson", powiedziała, „ale może nie jesteś przyzwyczajona do ciężkiej pracy, lub do wrażeń ztąd wypływających, co bezwątpienia stanowi znakomitą różnicę. Jeżelibyś pani chciała ujrzeć mnie przy pracy, właśnie teraz idę z moimi malcami odwiedzić strycharza w sąsiedztwie, bardzo złego człowieka, z przyjemnością wezmę panią z sobą. I pannę Clare także, jeżeli zechce mi zrobić tę łaskę".

Ada i ja spojrzałyśmy na siebie, a ponieważ miałyśmy wyjść w każdym razie, przyjęłyśmy wezwanie pani Pardiggle. Gdyśmy wróciły spiesznie włożywszy kapelusze, zastałyśmy malców nudzących się w kącie, a panią Pardiggle chodzącą po pokoju, zmiatającą i zrzucającą wszystkie lekkie przedmioty tamże będące. Pani Pardiggle zabrała Adę pod swoją opiekę, a mnie powierzyła swych synów.

Ada opowiadała mi później, że pani Pardiggle, ciągle tymże samym donośnym głosem (co istotnie słyszałam) opowiadała jej przez całą drogę idąc do strycharza, o zajmującym sporze, jaki wiodła już od dwóch czy trzech lat z pewną panią, w kwestyi pomieszczenia na jakiejś pensyi dwóch współubiegających się kandydatów. Z tego powodu było mnóstwo rzeczy wydrukowanych, mnóstwo obietnic, mnóstwo deputacyj i składek; jak się zdaje, wszystko odbywało się żwawo, wyjąwszy pomieszczenia dwóch kandydatów, którzy do tej chwili oczekują wyboru.

Bardzo lubię uważać na dzieci i lubo zawsze z radością przyjmuję na siebie ten obowiązek, jednak tym razem doświadczyłam wielu przykrości. Skoro tylko wyszliśmy za próg domu, Egbert z miną małego rozbójnika zażądał odemnie szylinga, wychodząc z tej zasady, że jego kieszonkowe pieniądze były mu kradzione. A gdym zwróciła jego uwagę na wielką niewłaściwość w użyciu tego wyrazu, zwłaszcza, iż mruknął jeszcze „przez nią", stosując to do matki, uszczypał mnie w rękę mówiąc: „Tak! masz! dobrze ci! czy lubisz to? dlaczego oszukuje mnie, daje pieniądze a potem odbiera? Dlaczego nigdy nie mogę wydać tak nazwanej mojej pensyi?" Te rozpaczliwe pytania tak zapaliły jego umysł, jako też umysły Franciszka i Oswalda, iż wszyscy mnie zaczęli szczypać bardzo wprawnie; ręce moje były tak czerwone, iż zaledwie mogłam się wstrzymać od płaczu. Feliks zaś deptał mnie po nogach. A członek Stowarzyszenia Radości, który, pod pozorem, iż naprzód zawsze wybierał swą pensyję, był zmuszony wyrzec się nietylko tytoniu ale i ciastek, tak się nadął z żalu i rozpaczy, gdyśmy przechodzili koło cukierni, iż przelękłam się, widząc go zupełnie sinym.

Prawdziwie ucieszyłam się, gdyśmy przyszli do domu strycharza, chociaż była to tylko nędzna chałupa z gliny: w pobliżu wybitych okien stały chlewy, przed drzwiami był maleńki ogródek, w którym nic nie było oprócz stojącej wody. Tu i owdzie stały stare beczki do łapania wody spływającej z dachu, lub też napełnione błotem, stały w glinian
kach i wyglądały jak duże ciastka z błota. We drzwiach i oknach znajdowały się próżnujące lub włóczące się bez celu kobiety i mężczyźni, ci bynajmniej na nas nie zważali, tylko śmieli się, i gdyśmy przechodziły, mówili z sobą o głupcach, wtykających nosy w cudze interesy i bezpotrzebnie zaprzątających sobie głowy i błocących trzewiki, chodząc za cudzemi interesami.

Pani Pardiggle szła naprzód z wielką moralną odwagą, rozprawiając gadatliwie o nieczystości prostego ludu (chociaż wątpię, czy sami bylibyśmy porządniejsi w takich mieszka-

niach) i zaprowadziła nas do oddalonej chałupy; wszedłszy do izby, napełniliśmy ją zupełnie. Albowiem oprócz nas w tym nędznym domku znajdowała się jeszcze kobieta z zasiniałem okiem, siedząca przed ogniem z konającem dzieckiem; mężczyzna cały zawalany błotem i gliną, z miną roztargnioną, leżał rozciągnięty na ziemi, paląc fajkę; młody człowiek, przywiązujący psu obróżę i silna dziewczyna niby coś piorąca w brudnej wodzie. Wszyscy spojrzeli na nas, gdyśmy weszli; kobieta zwróciła twarz do ognia, jak gdyby chciała ukryć podbite oko; nikt nas nie przywitał!

„No, moi przyjaciele“, rzekła pani Pardiggle, ale w jej głosie nie czułam przyjacielskiego brzmienia; był to raczej głos jakby urzędowy i jednostajny. „Jak się macie? znowu tu jestem. Wiecie że wam powiedziałam, iż mnie nie znużycie. Lubię ciężką pracę i dotrzymuję słowa“.

„Czy już nikt więcej z waszych tu nie przyjdzie?“, mruknął człowiek leżący na ziemi, patrząc na nas z głową opartą na ręku.

„Nie, mój przyjacielu“, powiedziała pani Pardiggle, siadając na jednem krześle i drugie przewracając. „Już wszyscy jesteśmy“.

„Myślałem, że może jeszcze was nie dosyć“, rzekł ów człowiek, trzymając fajkę w zębach i patrząc naokoło siebie.

Młody człowiek i dziewczyna rozśmieli się. Dwóch przyjaciół pierwszego, przywabionych naszem wejściem i stojących we drzwiach z rękami w kieszeniach, wtórowali głośnym śmiechem.

„Moi dobrzy ludzie, nie zdołacie mnie znużyć“, rzekła pani Pardiggle do tych ostatnich. „Lubię ciężką pracę. I czem trudniejszą ją uczynicie, tem milszą dla mnie będzie“.

„A więc ułatwiajcie jej“, mruczał człowiek leżący na ziemi. „Niech raz skończy. Niech raz będzie koniec temu nachodzeniu mego mieszkania. Niechcę być ściganym nawet we własnym domu jak borsuk. Przyszłaś pani dowiadywać się i wypytywać według zwyczaju. Wiem, o co chcesz pani pytać! Dobrze więc. Nie zadawaj pani sobie tej pracy. Wyręczę panią. Czy moja córka jest praczką? Tak, jest praczką. Spojrzyj pani na wodę. Powąchaj ją! Taką my pijemy. Jak się pani podoba i co myślisz pani o wódce zamiast takiej wody! Czy mój dom jest brudny? Tak, jest brudny, z samego położenia swego jest brudny i niezdrowy; i mieliśmy pięcioro brudnych i niezdrowych dzieci, i wszystkie umarły maleńkie, i to daleko lepiej i dla nas i dla nich. Czy czytałem tę książeczkę, którą pani zostawiłaś? Nie, nie czytałem książeczki, którą pani zostawiłaś, bo nikt tutaj nie umie czytać, a choćby i umiał, to ta książeczka niestosowna dla mnie. Jest to książka dla dziecka, a ja nie jestem dzieckiem. Gdybyś mi pani zostawiła lalkę, takżebym się nią nie bawił. Jak się prowadziłem? I cóż, byłem pijany przez trzy dni; byłbym pijany i czwartego jeszcze, gdybym był miał pieniądze. Czy chodzę kiedy do kościoła? Nie, nigdy nie chodzę do kościoła. Choćbym poszedł toby mnie nie wpuścili; dziad kościelny za wielki pan dla mnie. A jakim sposobem moja żona ma podbite oko? Jakim? ja jej podbiłem, a jeżeli powie, że nie prawda, to skłamie“.

Dla powiedzenia tego wyjął fajkę z ust; skończywszy, obrócił się na drugi bok, i znowu zaczął palić. Pani Pardiggle przez cały czas patrzyła na niego z przymuszoną spokojnością, która, jestem przekonana, zwiększała jeszcze jego rozdrażnienie, wyjęła książkę, jak konstabl swoją pałeczkę i całą rodzinę wzięła pod straż duchową, ale jej sposób obejścia się był tak zimny, jak gdyby była jakim moralnym policyjantem, pakującym wszystkich do kozy.

Ada i ja byłyśmy w przykrem położeniu.

Obie czułyśmy, że nie jesteśmy na swojem miejscu; obie myślałyśmy, iż byłoby daleko lepiej, gdyby pani Pardiggle nie tak urzędowym sposobem brała się do ludzi. Dzieci były zachmurzone i patrzyły z podziwieniem; nikt jednak nie zważał na nas, chyba wtedy, gdy młody człowiek pobudzał psa do warczenia, co zwykle czynił, gdy pani Pardiggle mówiła

z największym zapałem i wzniosłością. Z przykrością czułyśmy, że między nami i tymi ludźmi leży żelazna zapora, której nasza nowa przyjaciółka nie była wstanie usunąć. Przez kogo i jakim sposobem może być usunięta, nie wiedziałyśmy, aleśmy to czuły. Wszystko, co mówiła i czytała, zdawało się nam tak źle wybranem dla podobnych słuchaczy, iż nie osiągnęłoby żadnego skutku, nawet przy obejściu się łagodniejszem i bardziej stosownem. Co się tyczy książeczki, o której wspominał człowiek, leżący na ziemi, dowiedziałyśmy się o niej dopiero później, i pan Jarndyce mówił nam, że wątpi, czyby ją chciał czytać nawet Robinson Kruzoe, będąc na swej bezludnej wyspie.

Z takich to powodów z prawdziwą radością ujrzałyśmy panią Pardiggle, zabierającą się do odejścia. Człowiek, leżący na ziemi, obrócił znowu głowę, mówiąc ponuro:

„No cóż, skończyłaś już pani?"

„Na dzisiaj skończyłam, mój przyjacielu. Ale ja nigdy nie jestem strudzona. Gdy nadejdzie wasza kolej, znowu tu przyjdę", odpowiedziała pani Pardiggle z widocznem zadowoleniem.

„Dopóki tylko pani będziesz przychodzić" przekł wyciągając ręce i zamykając oczy z przekleństwem, młody człowiek, „możesz gadać, co ci się tylko podoba".

Pani Pardiggle podniosła się, a w ciasnej izbie powstała mała trąba powietrzna, której zaledwie fajka zdołała się wymknąć. Wziąwszy za ręce dwóch swych synów, a pozostałym poleciwszy iść tuż za nią, i wynurzając nadzieję, że strycharza i cały dom zastanie w lepszym stanie przy następnych odwiedzinach, udała się do innej chaty. Myślę, że niema w tem nic złego, jeżeli zrobię uwagę, iż postępowanie pani Pardiggle, przekonało mnie, że dobroczynność niejako hurtowa i w zbyt obszernym zakresie przynosi niewiele dobrego.

Sądziła, iż poszłyśmy za nią, lecz skoro tylko w izbie rozprzestrzeniło się, przystąpiłyśmy do kobiety, siedzącej przy ogniu, pytając się, czy jej dziecię słabe.

Dickens. (p. str. 40).

Filologija.

* Zadaniem filologów jeszcze przed pięćdziesięciu laty było spisywanie myśli cudzych bez samodzielnego myślenia. Brali oni wszystko podług litery, a nie podług ducha, komentowali setki rzeczy, których nie rozumieli i w połowie, albo które komentarzy nie potrzebowały. Nazywali się humanistami, a byli tylko słownikami naukowemi. Byli to, jednem słowem, wielcy ludzie do małych rzeczy, dla których krosta na nosie Cycerona miała równą wagę, co jego Officia. Nie mieli oni pojęcia o tem, że „litera zabija, a duch ożywia". Piękna nazwa humanistów była sprofanowaną i stawała się szyderczem mianem w zastosowaniu do ludzi, którzy spierali się zajadle o kwestyje takiej doniosłości jak np. czy *O ter quaterque beatus* znaczy: „O trzy i czterykroć błogosławiony", czy też „O siedmkroć błogosławiony". Dla nich właściwszą byłaby nazwa szperaczy i moli książkowych niż humanistów. Mamy moc niezmierzoną ksiąg o greckich i łacińskich starożytnościach; nie ma ani jednego szczegółu stroju, pokarmu, napojów, ukłonu starożytnych, któryby nie był opisany, nie mamy wszakże dzieła, opisującego całość, o którem warto byłoby wspomnieć. Prawdziwy filolog jest żywym komentarzem greckich i łacińskich autorów, umysł jego budzi się tylko na widok greckich liter, albo na dźwięk łacińskiej mowy. Vosius mógł wyliczyć na palcach wszystkich królów egipskich, greckich i rzymskich, nie znając przytem historyi ani jednego z niemieckich cesarzy. Duval, bawiący na dworze cesarza Franciszka I, nie wiedział, ile sióstr ma cesarz, z czego tenże usprawiedliwiał się mówiąc: „Przecież moje siostry nie są starożytnościami". Profesor Formion w Efezie, w przytomności Hannibala mówił przez dwie godziny o wojnie i obowiązkach dowódcy. Jest to największy głupiec, jakiego mi w życiu zdarzyło

się widzieć", powiedział Hannibal do wyczekujących na jego wyrok ludzi. Do dziś dnia mam sobie za zasługę, że będąc studentem i zapłaciwszy za cały kurs odczytów podobnego Formionowi profesora o starożytnościach, z czwartego zaledwie uciekłem i nie wróciłem więcej. Wielu profesorów przemawiających z katedry, przypomina owego rabina, który trzymając brudny talmud w ręku, następne pytania zadawał: „Na ile stóp głębokie było morze Czerwone w chwili, gdy Izraelici przez nie przechodzili?" „Czy zjadali przepiórki z łapkami, czy bez?" Filologowie nasi zamiast badać początki języka spierali się o to, jakim językiem mówiono w raju? Pewien dowcipny pastor, wskazując na syna śpiącego z głową opartą na greckim dykcyjonarzu, rzekł: „Patrz, jak mój syn przykłada się pilnie do greckiego języka". Nauczyciele języków istnieją od pomięszania języków przy wieży Babel, nic też dziwnego, że w wielu głowach zrobili istotne zamięszanie, a swemi etymologicznemi wiadomościami chlubią się jakby prawdziwym skarbem. Język cyganów musi być najstarszym, gdyż posiada najwięcej jednozgłoskowych słów, ale kto może mieć pretensyję odnaleźć język, od którego wszystkie inne pochodzą, skoro rozmowy Adama z Ewą po zasłużonem wygnaniu z raju, spisywanemi nie były. Filologowie podobni są do metrów tańca, którzy zawsze wyuczenie się kłaniają, a wszystko, co napiszą smakuje tak, jak czytanie gastronomicznych przepisów głodnemu. Trudno wierzyć, że posuwali głupotę do badania, czy Eneasz prawą lub lewą nogą wstąpił na ląd i czy Wenus w prawą czy w lewą rękę była zranioną przez Dyomeda? Ilu wioślarzy miał Ulises na pokładzie swego statku i jakie imię przybrał Achilles, gdy za dziewczynę uchodził na wyspie Seyros? Czy Grecy piekli ciasta na maśle czy na słoninie i czy drzwi domów u dawnych rzymian z zewnątrz czy z wewnątrz się otwierały? Jakiej wielkości była beczka Dyjogenesa i na ile ciężką miał maczugę Herkules? Jakie były imiona greków, którzy ukryci w brzuchu konia dostali się do Troi? Jak długim był ogon pieska towarzyszącego Tobijaszowi i jak często Cycero w czasie przemowy kaszlał i spluwał i czy swoje dzieła pisał w szlafroku? Jaką melodyję śpiewały syreny? Czy osły i woły przy żłobku Chrystusa stały, leżały czy klęczały? Czy salamandra może żyć w ogniu? Dlaczego lew ucieka przed śpiewem koguta? i t. d. Najrozkoszniejszemi czasami dla tych cyklopów wiedzy, którym w istocie brakowało oka filozoficznego, był szesnasty i siedemnasty wiek, w jakim największe nonsensa przeciw rozumowi popełniano. Taki Salmasius np. sypiał tylko jedną noc na trzy, oddając się badaniom nad różnicą, jaka jest pomiędzy sagum i togą; królowa Krystyna mówiła o nim, że potrafi nazwać krzesło wszystkiemi językami, ale nie potrafi na niem usiąść. Pan i pani Dacier o mało nie poszli na tamten świat, zjadłszy potrawkę, przyrządzoną podług Atenausa; Scriblesus wynalazł jakąś metalową blachę i zadecydowawszy, że to jest grecka tarcza, napisał o niej uczoną rozprawę; żona zaś jego, szorując mniemaną tarczę, odkryła, że to była blacha od ściennego świecznika prababki. Lipsius zapisał testamentem swoje pióro Najświętszej Pannie a Koryngius, który co najmniej dwieście tomów napisał, zapytywał swej narzeczonej, na jakim fakultecie chce go mieć doktorem? Na fakultecie stanu małżeńskiego był widocznie najsłabszym, gdyż żona jego tak uganiała się za waryjantami jak jej uczony małżonek. Nagrobek tego znakomitego mędrca, po wyliczeniu wszystkich jego przymiotów i tytułów, takie ma zakończenie: „Czy sądzisz przechodniu, że tu wielu ludzi spoczywa? Jeden tylko Konryngijus, cud naszego wieku". Ci głupcy nawet z Adama i Chrystusa chcieli porobić autorów. Pierwszy podług nich pisał psalmy, drugi korespondował z księciem Abgarusem w Edessie. Wynaleźli oni nawet listy Maryi do Piłata i inne podobne niedorzeczności. W tych śmiesznych czasach łacina była wszystkiem, nawet chłopiec posługujący u rzemieślnika, któremu

reguła trzech daleko więcej by się przydała, musiał się uczyć łaciny. Mowy szkolne, w których były cytaty z Cycerona uchodziły za mistrzowskie. Młodzież szkolną zamęczano łaciną. „Jestem bardzo nieszczęśliwy“, przemówił żebrak do młodziutkiego księcia. „Pewnie każą ci się uczyć łaciny?“ spytał książę.

Z pomiędzy filologów najbardziej godni szacunku współczucia, najbardziej zasłużeni i pożyteczni są nauczyciele szkół. Luter zowie człowieka, który siedm lat wytrwał na takiem stanowisku, męczennikiem, zasługującym na wieniec. Nauczyciele są prawdziwymi Syzyfami, którzy cierpliwie windują swój kamień aż do ostatka sił.

Trapiąca nas obecnie manija uczenia się obcych języków, nieznaną była starożytnym. Grecy uczyli się tylko swego własnego języka, rzymianie prócz swego tylko wyłącznie greckiego. Ennius pysznił się tem, że władał trzema językami i wnioskował z tego, że ma trzy dusze. Słysząc czczą paplaninę naszych salonowych papug, wątpić można, czy choć jedną posiadają. U nas średnia doza umiejętności pod tym względem jest znajomość sześciu języków obcych. Faktem jest, że puste głowy mają niepospolite w tym kierunku zdolności.

Trudno byłoby wyliczyć mowy wszystkich ludów, zamieszkujących ziemię; wymienimy te, które mówią, nie poruszając ustami: głuchoniemy przemawia gestami, kochanek oczami, woźnica batem, pies i kot ogonem, duch czasu za pośrednictwem druku, mistrz, poeta, mędrzec mówi w obrazach, przenośniach, arcydziełach, człowiek w uczynkach, Bóg za pośrednictwem całej przyrody. *D. W.*

Filozoficzna perswazyja.

* *Rzecz dzieje się w New-Yorku.*

Sędzia do obwinionego: „Nie jestem bynajmniej zadowolony z dowodów, przedstawionych w twojej sprawie i nie wiem też, czy zabiłeś w istocie Johna Forbes, czy też Bóg powołał go do siebie; ale wyrok mój wymaga, abyś trzeciego piątku miesiąca lipca został powieszony! A choćbyś nawet sam wierzył w niewinność swoją, to niech ci doda otuchy pocieszająca myśl, iż najwięksi myśliciele świata mieli wątpliwość co do tego, ażali w ogóle warto jest żyć na świecie.“

Filozoficzne studyjum.

* *Gramatyka społeczna.*

Ludzie to części mowy, los zaś to potęga,
Która je podług woli przypadkuje, skłania,
Dzieje ludzkości zasię, to otwarta księga,
W której ludźmi — słowami los pisze swe [zdania.

Bogacz jest rzeczownikiem w gramatyce losu,
Sam przez się zawsze stoi, wielką jego władza;
Biedak zaś przymiotnikiem, bo sam niema głosu,
Zdobi bliżej rzeczownik, zawsze z nim się zga- [dza.

Każdy z nich jednak, rodzaj jaki chce niech [będzie,
Jednego słucha prawa — dziwna w tem zawi- [łość!
Obaj się deklinują równo w każdym względzie,
Podług praw im wskazanych, przez głód i przez [miłość.

Znak to, że w zapleśniałem gdzieś stadyjum ję- [zyka
Wspólności rodu bratnie łączyły je pęta,
Że rzeczownik był kiedyś bratem przymiotnika—
Lecz język się rozwinął, więc—któż to pamięta?

Jest atoli słów rodzaj, co na nieustanny
Przewrot podług praw serca zgoła nie jest czuły,
Niemi — kawalerowie starzy, stare panny,
I to są nieodmienne części — partykuły.

* * *

Części mowy złączają rozliczne spójniki;
Jest ich wiele, a bez nich byłby gwałt i skweres,
Lecz jak dzieje wskazują ludzkiej gramatyki,
Najczęściej używane są — grosz i interes.

Gdy zaś związek tak ścisły, że całość myśl
[tworzy,
Zdaniem zowie gramatyk takie zestawienie.
I w takiem słów małżeństwie żyją z woli Bożej:
Mąż podmiot, dzieci łącznik, żona orzeczenie.

Podmiot i orzeczenie, więc tak mąż, jak żona,
Bliższych określeń mogą otoczyć się kołem;
Lecz gdy ich niema wcale, wtedy myśl chybiona,
Zdanie wtedy niepiękne i zowie się — gołem.

Różne są określniki; stylistów zachęty
Te wszakże polecają na wzór brać okresy,
W których podmiot jest goły, jak turecki święty,
A żona ma określnik jeden — co do kiesy.

Lecz takich zdań niewiele, bo los zły stylista
I rady krasomówców posłuchać się wzbrania,
A choć ztąd dla języka szkoda oczywista,
Buduje wciąż na świecie same gołe zdania.

Że zaś on w krasomówstwie nie tęgim łepakiem,
I to mi wam przytoczyć wypada w dowodzie,
Że zbyt często ze zdaniem spotykam się takiem,
Gdzie podmiot z orzeczeniem w nienajlepszej
[zgodzie.

* * *

Zdanie stać może w prostym lub odwrotnym
[szyku;
Pierwszy lepszy — a podmiot w nim stoi na
[przodzie,
Lecz teraz czuć się daje ta dążność w języku,
Że orzeczenie podmiot jak na sznurku wiedzie.

W językach, które wyższym cieszą się rozwo-
Gramatyka też szereg taki zdań wymienia, [jem,
W których podmiot prócz związku z orzecze-
[niem swojem,
Ma nadto i poboczne — inne orzeczenia.

Zdanie takie ściągniętem zwie uczonych mowa,
I już do kunsztowniejszych zalicza je zwrotów;
Lecz dość często się zdarza i taka budowa,
Że jedno orzeczenie ma kilka podmiotów.

Co dziwniejsza! lecz prawda, tylko wyjątkowo,
I to w poezyi tylko dopatrzysz się zwrotu,
Co cię dziwnie zawiłą uderzy budową:
Jest łącznik, orzeczenie — a nie ma podmiotu!

Lecz powtarzam, że zdania te najczęściej pło-
Poezyi, co natchniona dosięga aż nieba, [dem
I kłopot z niemi wielki, mówiąc mimochodem,
Bo podmiotu w nich zawsze domyślać się trzeba.

Co do ściągniętych zdań zaś stwierdziła nauka,
Że żadne prawidłowo zbudować się nie da.
Gdyż orzeczenia zgodzić w nich jest wielka
[sztuka
A nadto z łącznikami nie mała jest bieda.

W ogóle część to trudna i zawiła bardzo,
Dla tego nie zamyślam rozwijać jej dalej,
Tym jednak, którzy zdrową radą nie pogardzą,
Życzę, by jej specyjalnie nigdy nie badali.

Na tem koniec rozprawy, a każdy z was przecie
Zgodzi się z ostatecznym mych studyjów wyni-
[kiem
Że człowiek chcąc szczęśliwie istnieć na tym
[świecie,
Musi być przedewszystkiem — dobrym grama-
[tykiem.

Szczutek.

Filozofija.

* *Akta babińskie.*

Otóż macie, co lubicie — filozoficzny artykuł na czele, kochani czytelnicy! Długo też jeszcze lubić będziecie tak serdecznie filozofiję czytać Fl. Bochwica, P. T. Szczeniowskiego, P. Cieszkowskiego, P. Ziemęcką i t. d.?? Musiał was teraz porwać wstyd jakiś, żeście dotąd nie myśleli o filozofii, i nuż do niej. Na czem się to skończy? nie wiem.

Jest u nas teraz kilka rodzajów filozofów i filozofomanów. Na czele stoi młodziuteńki, z bródką, z długiemi włosy, wyzwoleniec berlińskiego uniwersytetu, niewolnik Hegla, pełen

zapału i wiary w nieomylność pantheizmu i prawdziwą prawdę filozofii teraźniejszej—filozof *á la hauteur du siécle*, wielce dumny, że on jeden poznał prawdę, spoglądający na tłum profanów z góry. — Dla niego Hegel Mesyjaszem, jego nauka jedynem światłem, a Schelling, ten Jan Chrzciciel niemieckiego Mesyjasza, już teraz herezyjarchą. Posłuchajcie no, jak uczniowie Hegla grożą na nosie Schellingowi, jeśli się poważy targnąć na absolutną prawdę Hegla.

Takich filozofów u nas na prowincyi mało, bo im powietrze wiejskie nie służy. I z kimżeby żyli na wsi, miły Boże, któż godzien rzemyk ich trzewika rozwiązać?

Jeden taki świeżuteńki, werniksowany filozofek, jak z igły, przybył tu niedawno do kraju i z tą pogardliwą minką, którą wdziewa za palladyjum młodzież, lękająca się zawsze, aby ją czasem za zbyt rozumną nie wzięto, stawił się przed powszechnie znanym uczonym, a nadewszystko dowcipnym człowiekiem. O czemże miał z nim mówić? Jadąc z Berlina nie mówi się o czem innem, tylko naturalnie o filozofii, tak jak ze wschodu przybywając o cholerze — więc nasz młodzik począł filozofować. Słuchał go poważnie, seryjo, kiwając tylko głową niekiedy, nasz domowy uczony. Słuchał kwadrans, słuchał pół godziny, nareszcie, gdy nie wiem, co usta młodemu przemknęło, spytał go z największą seryjo:

— Proszę pana, po czemu tam śliwki w Berlinie?

Ten zręczny zwrot konwersacyi na śliwki dowiódł wielkiej pokory ducha naszego domowego uczonego, nie ważył się nawet rozprawiać z młodzikiem.

Wszyscy młodzi filozofowie coś piszą. Niektórzy przedsięwzięli na nowo zupełnie z gruntu przerobić język. W istocie co on wart! Stary łachman! Do filozofii trzeba go dopiero gotować zupełnie tak, jak się gotują gałgany na papier, bić, prasować, dusić, moczyć, gnoić, dopiero powstanie język filozoficzny. Skutkiem tej wyrozumowanej metody, niektóre rozprawy filozoficzne polskie potrzebują tłómaczenia koniecznie, gdyż tajemnicę ich znaczenia wie tylko autor, posiadający jeden klucz i słownik swojego nowego języka. Nic ciekawszego nad rozprawy tego rodzaju, fraszka jenijalne próby P. N. K... do dziś dnia nam pamiętne! Bo dlaczegóż być jasnym, zrozumiałym, naturalnym? Czyż prawda powinna być jasną i prostą? Bynajmniej. Stare to tylko uprzedzenie, przesąd i nic więcej. Wszystkie mądrości były zawsze tajemnicami; mądrość starożytnych, przypomnijcie sobie, zamykała się ostatecznie w jakichś tajemnicach. Prawda więc powinna być mocno niezrozumiałą, silnie niepojętą, aby się mogła nazwać prawdą. Oto dopiero prawda, której nikt zaprzeczyć nie potrafi, bo któż ją zrozumie?

Nowa szkoła filozoficzna potrzebuje koniecznie cale nowej terminologii, nowo przez siebie stworzonego języka. Wychodzi ona z założenia, że nowe ideje, nowe pomysły, potrzebują koniecznie nowych na wyrażenie ich narzędzi, nowych wyrazów. Ale na nieszczęście zapomnieli się ci panowie, że nic pod słońcem nowego, że i pantheizm nie nowy, że w starych już bardzo księgach, nieraz o tem prawiono, co im się dziś świeże, świeżuteńkie wydaje. Wychodzi to na sławne owe La Fontain'a zachwycenie Baruchem, który po ulicach biegał, pierwszy raz do niego zajrzawszy i każdego pytał.

— Czytałeś Barucha?

Kocham tych nowych filozofów za ich zapał tylko. Zapał—to zawsze rzecz rzadka i uszlachetniająca człowieka. Słabe stworzonko zapali się czasem do nieprawdziwej prawdy, ale na to człowiek, moi panowie! — Piękna to jednak dusza, co się jeszcze palić może. Woda bez części spirytusowych nigdy się nie zapali. Szkoda tylko zapału zmarnowanego, ale cóż na to poradzić? Choroba to umysłowa, przebieży Europę, sprowadzi nawet umysłową śmiertelność, ale przejdzie jak cholera.

Starej fazy, jak to po staremu mawiano, filozofowie, cale to inny lud, lud w bojaźni Voltair'a, w strachu Rousseau, w uwielbieniu nie wiem tam jeszcze kogo wychowany, lud bez zapału, bez serca, szyderski, niewierny, zimny. Jeśli tamci są wódką, to ci octem, który się zapalić nie może i ma upodobanie gryść i szczypać. — Ci zeszli ze sceny i nic nie piszą; czytają jednak zawsze swoich ulubieńców, i nic nie wiedząc, co się wkoło nich dzieje, myślą, że świat zawsze stoi na dykcyjonarzu filozoficznym a wszyscy się interesują do tej pory najżywiej sporem Fernejskiego nieśmiertelnego z X. Nonnotte. Gotowi zapytać, i niby mnie to nie zdziwiło, jak się miewa Fryderyk, król pruski? Oni są jak te stare zegary, o których tylekroć mówiłem, co stanąwszy na jednej godzinie, ciągle ją pokazują uparcie. — Nowi filozofowie powiadają o nich (nie kryjąc się z pewnym dla nich szacunkiem) że ponieważ negacyja jest środkiem pomocniczym uznania prawdy, — ci ludzie negujący mają wielkie zasługi. Wedle nas największą ich zasługą oryginalność. Wystawcie sobie człowieka, który w nic nie wierzy i w łeb sobie nie strzelił??? Ja go niepojmuję.

Są jeszcze filozofowie domorośli.

A! to doskonali filozofowie, nieoszacowani. To pomarańcze, pod niebem naszem dojrzałe, bez pomocy szklarni; smaku nie pytaj, a jużciż pomarańcza jest, — i czegóż ci więcej potrzeba?

Domorośli filozofowie piszą rozprawy o wszystkiem sądzą wszystko, wyrokują o systematach, decydują o ich założycielach — a nic nie umieją i nic nie wiedzą.

Naiwne to stworzenia, jakich gdzieindziej nie spotkać. Ot, jak się domorosły filozof kształci: Bierze on naprzód pierwszą książkę, jaka mu przypadkowo pod rękę wpadnie i czyta. Trafia się, że ją zrozumiał, lub trochę nie zrozumiał tylko — to go wprawia w wielką dumę. Naokoło niego wszyscy są tak zajęci pojmowaniem i zgłębianiem berdyczowskiego kalendarza, że naturalnie on, co pojął nierównie coś wyższego, mądrzejszego, ma się za olbrzyma umysłowego. Tandem bierze drugą książkę, która może nie wiązać się zupełnie z pierwszą, nie objaśniać jej, nie tłómaczyć, może jej nawet przeczyć. — Czyta — sądzi. Bierze trzecią, i tak dalej i tak dalej. Wyobraźcie sobie człowieka, który się usposabia tak nieporządnie, niesystematycznie, i wyrabia na filozofa. Bez nici przewodniczej w tym labiryncie poczyna w nim błądzić, w mocnem przekonaniu, że idzie wprost do otworu, przez który ujrzy niebo i światło. Poczciwy, sumienny człowiek! Pytam się, jak się niema odurzyć, nie mając z kim porównać??

Twardnieje potem i krystalizuje się tak, że porównywając się nawet z innymi, już się ma za czystej wody dyjament.

Filozof domorosły, nie mogąc porządnie nabyć nauki, a czując niekiedy jej potrzebę, chwyta ją, łapie po drogach rozstajnych.

Pędzi wiater cząsteczkę jakąś wiadomostki w artykule obcej treści, on nad nią zasiada, jak pająk — złapał, chowa.

Z drugiej strony, bodaj w komedyjce, leci druga wiadomostka — dobra i ta, i tak dalej i tak dalej.

Nareszcie występuje z dziełem domorosłem. Pozwólcie mi o niem nic nie mówić; tak wielce szanuję obywatelskie (?) intencyje tych panów, że nie chcę się im dłużej naprzykrzać.

Po śmierci jednego z takich filozofów (powiem wam nawet gdzie, ale pod sekretem: w pińskim powiecie) znaleziono pełen kufer rozpraw filozoficznych o duszy człowieka, o celu istnienia, o moralności. Dodaję, że ten filozof ideontolog żył — zapytajcie sobie jak żył — nie chcę ogadywać.

Dlaczego tylu nieusposobionych rwie się do pisania w przedmiotach filozoficznych? Bo nic łatwiejszego nad marzenia tego rodzaju; nie wiem czy nie trudniej już mierną poezyję, jak nic nie wartą napisać rozprawę. To pewna, że kto nic a nic nie umie, potrafi jeszcze napisać rozprawę i poemat. Kałamarz atramentu, arkusz papieru, trochę odwagi, niewiele myśli, kupa słów — ot i gotowe.

Przepisz na czysto i dawaj gorąco.

A są jeszcze jednego rodzaju filozofowie, mający pretensyję godzić filozofię z nauką chrześcijańską. Podobni oni są do tych wiecznie zajętych pojednawców, którzy godzą zawsze, choć się nikt kłócić nie myśli. Zdrowa filozofija oparta była od wieków na nauce Chrystusa, z którą się nigdy, jak córka z matką, nie kłóciła; a to, co oni, zowiąc filozofiją, chcą godzić z chrześcijańską nauką, daż się pogodzić kiedykolwiek? Wyciągajcie napróżno na łoże Prokrusta karła waszego, nigdy on nie dorośnie olbrzyma.

Ale otóż zaczynamy się coś seryjo zasępiać, jak gdyby namiętność się jaka w nas poruszyła. Cicho! cicho! wracamy do dawnego tonu. Zacni to ludzie ci filozofowie pojednawcy, bardzo słuszni i zacni; co to za obywatelskie intencyje! co za piękny cel. A co za szkoda razem, że ci panowie nie myślą lepiej nad sposobami utrzymania lodu w płomieniach. Możeby im się kiedy dokazać tego udało. Tymczasem pracują napróżno i dochodzą z wielkiem swojem zdumieniem do tego, że im powiadają.

— Ale Waćpan siejesz herezyje.

— Ja? ja? Panie!

— Pan.

— Ja najgorliwszy z apostołów—ja!!!

Wystawcie sobie zdumienie; ten najgorliwszy apostoł jest — herezyjarchą.

Ledwie ztąd wyszedł przelękły, zadziwiony, zmięszany, gdy w drugiem miejscu spotykają go.

— Ale Waćpan jesteś pietysta, fanatyk — jezuita.

— Ja! ja! co filozofuję? —

— Ale Waćpan nie rozumiesz filozofii.

Nowe i nie mniejsze zdumienie.

Są jeszcze filozofowie, którzy, przeczytawszy kilka ksiąg o filozofii historyi, marzą o sfilozofowaniu własnej krajowej historyi. Na ten cel szyją jej kurteczkę z protestanckich wykładów, fakta wywracają do zagranicznego kraju, i tak z francuzka po niemiecku wystrojone dają nam bolesławowskie czasy, Polskę i Słowiańszczyznę przedchrześcijańską.

A! nie uwierzycie jaki to widok zabawny, jaka doskonała historyja!

Królowie występują w niej, od kolebki przejęci jedną myślą jakąś, którą całe życie ekzekwują. Niech sobie kroniki cale inaczej o ich charakterze i wypadkach czasowych świadczą— cóż to szkodzi? *Rien n'est bete comme un fait.* Nie lepiejże od razu pełną jedności ulać historyję, a czego brakuje dosztukować, a co się sprzeciwia wyrzucić?? Tym sposobem chcecie sobie wytłómaczyć całą historyję na tle monarchicznem; wytłómaczycie ją łatwiuteńko; chcecie wyłożyć dzieje na tle republikańskiem, cóż trudnego? — Gaszą się tylko światełka, mogące źle w ogólnym obrazie odbijać; te tu, tam drugie, rzecz gotowa, i prawda skacze w oczy.

Już tak uderzywszy się w piersi, wyznajemy, że nigdy nie było takiej wygody jak teraz.

I narzekają na wiek! ale to wiek postępu, wiek najwyższej doskonałości; ot naprzykład z jednej i tej samej historyi, z jednych żródeł czerpanej, zrobić łyżkę dla dwóch przeciwnych stronnictw równie dogodną. Kiedyż to było? A co może być weselszego nad to filozofowanie nad historyją, z powziętej myśli wprzód (*a priori*) dla osobistych potrzeb?? To zabaweczka wyśmienita. Jak w *łamigłówce*, z jednych sztuczek chcesz Jegomość kapucyna? — Jest kapucyn. Chcesz okrętu? — Jest okręt. A oboje doskonałe... Odrazu poznasz (gdy ci tylko wprzód napomkną) co to, a co to.

Ale na ten raz dosyć o filozofii. Dalszy ciąg nastąpi, a mianowicie mnóstwo rozpraw w pojedyńczych kwestyjach *najżywotniejszych*, kwestyjach czasowych i indywidualnych, niezmiernie ważnych. Autor przygotowuje się do traktowania ich, robiąc sobie nowy słownik polski, zupełnie oryginalny. Nie będzie w nim ani jednego wyrazu dawnego, ani jednego obcego.— Zobaczycie! zobaczycie!

J. I. Kraszewski. (p. str. 350).

Filozofowie.

* „Filozofija“, mówi Pytagoras, „jestto drabina, na której pierwszym szczeblu nie należy zostawać, ani też wspinać się na najwyższy, gdyż tylko w środku jest prawda“. Wielu filozofów postępuje tak, jak pewien ograniczonego umysłu syn znajomego mi pastora. Chciał on wydrzeć gniazdo ptasie i wszedłszy na najwyższy szczebel drabiny, w chwili gdy sięgał po ptaki, zleciał na ziemię. Celem filozofa jest dać odpowiedź na każde pytanie, wskazać prawdę, a jednak mylą się oni i drugich w błąd wprowadzają, a cała masa mądrości starożytnych i nowożytnych filozofów, zaciemnia najbystrzejszy rozum. Każda głowa, tworząca teoryje, chce sprowadzać wszystko do jednej zasady, a gdy się to nie uda, cała mądrość schodzi do zera. Starożytni mieli przynajmniej mniej zarozumiałości i rachowali tylko siedmiu mędrców, my zaś liczymy ich na setki, a choć mądrość ich filozofów nie była niczem nadzwyczajnem, należy im się zaszczytne wspomnienie za to, że złoty trójnóg z napisem „najmędrszemu“ odesłali Pytji, gdyż żaden z nich godnym się go nie uznał. Nasi filozofowie wydzieraliby go sobie bez ceremonii, a ten, któryby go przywłaszczył, zaraz by na złoto przetopił. Z tej wielce zachwalonej mądrości egipcyjan pozostały tylko zabytki w Zendaweście i innych wschodnich mądrościach. Pytagoras, który czerpnął trochę ze źródła mądrości, zamienił nazwę „mędrca“ na „miłośnika mądrości“. Trzeba nam było poprzestać na tem, a nie egzaltować się Platonem i oszpecać Arystotelesa, czego w zupełności wieki średnie dokonały. Najdziwniejszem jest to, że zamiast badać najbliżej otaczające nas przedmioty: naturę, gospodarstwo, wychowanie, obyczaje, mędrcy chcieli dociekać początku rzeczy, własności bóstwa, istnienia duszy, przeznaczenia, nieśmiertelności i t. d. Dziewięć dziesiątych ludzi nie wie nawet tego co w szkole umieć potrzeba i dobrze im z tem, widocznie więc wiadomość rzeczy niedocieczonych koniecznie potrzebną nie jest a metafizyków możnaby przyrównać do myszy, które siedząc w dziurach zamku, rezonują o jego architekturze, wtedy gdy ogół mysiego rodu krząta się, szuka pożywienia i zmyka przed kotem. Prawdziwy mędrzec uwielbia przyrodę, nie wysuszając sobie mózgu badaniami, dąży do uszlachetnienia serca i ducha, choć ich istnienia wytłómaczyć nie jest w możności, pozwala światu być światem i stara się odpowiedzieć stanowisku, na jakiem go przypadek postawił. „Nie głupstwa nasze, ale nasza mądrość śmieszy mnie“, powiada Montaigne. Prawdziwa mądrość życia jest tak daleką od transcendentalnych bredni, jak od zmysłowej filozofii epikurejczyków; ona wiąże, godzi, porządkuje nasze zasady i z tego względu filozofij zasługuje na nazwę nauki mądrości. Mędrc często zbytecznie przeładowują się mądrości i wskutek tego chorują na hypokondryję, wted gdy wesołość i pogoda ducha były nieodstęp nymi towarzyszami Sokratesa i Cycerona. Głu pszymi oni bywają od ptaków, które nie pragn ponad siebie samych wzlatywać; ciemnotę bior za głębokość, a czczą paplaninę za myśli. Trze mocarze niemieckiej filozofii: Kant, Ficht i Schelling oraz ich uczniowie, zdołali na miarem słów pokryć zupełny brak myśli; gdyb zechcieli wynaleźć jaki środek przeciw zarazi bydła lub szkodom zrządzonym przez liszk więcej by to przyniosło korzyści; jak pisan przez nich folijały. Zdrowy rozum może si rozwijać w różnej atmosferze świata, rozum mędrka słabuje w dusznem powietrzu pokoj w samotności i obcowaniu z samymi umarłymi ze zbytku mądrości tępieje jak nóż, któreg ostrze od zbytecznego ostrzenia cienieje. Kt myśli, że nauka logiki zrobi z niego myśliciel a retoryki i poetyki mówcę i poetę, ten się gru bo myli, nie było bowiem więcej zakutych głów jak głowy dyjalektyków, a większych nonsen sów jak ich syllogizmy, jak np. „osieł ma uszy ja mam uszy, a więc jestem osłem“. Pewie ojciec, usiadłszy do obiadu z synem tylko c przybyłym z uniwersytetu, gniewał się na słu

żącego, że tylko trzy jaja podał na stół. Syn utrzymywał, że jaj jest pięć, gdyż gdzie jest trzy, musi być i dwa, a 2 + 3 = 5. Ojciec wziął trzy jaja i obracając się do obiecującego młodego filozofa, powiedział: „Dwa pozostałe zjedz sam". Największym szkopułem filozofów jest wiara, że rozum ich nie ma granic. Nie wiedzą, czem jest ich własna dusza, a chcą rezonować o duchu, ożywiającym wszechświat, o bóstwie. Sokrates, ten twórca filozofii, przyznawał, że nic na pewno nie wie. Zoroaster na pytanie, uczynione bogom o początek i koniec świata, o dobre i złe, otrzymał następującą odpowiedź: „Czyń dobrze i zasłuż na nieśmiertelność." Na zakończenie przytoczę słowa pewnego znakomitego myśliciela: „Wątpcie o śmiertelnicy, gdyż nic na pewno nie wiecie, śmieję się, gdy widzę was twierdzących, śmieję się, gdy przeczycie; wątpcie, powtarzam, tylko w ten sposób się nie omylicie".

Demokritos.

* — Widzę — mówił wielki pan do siedzącego przy nim u stołu uczonego, który umiejętnie dobierał potrawy przy obiedzie — że filozofowie znają się na dobrych rzeczach.

— Dla czegóż by nie — odpowiedział zapytany — czyż smaczne kąski istnieją tylko dla głupców?

* Filozof pewien przepływając rzekę w wątłem czółenku, po drodze spytał przewoźnika.

— Umiesz ty arytmetykę?

— Arytmetykę? nigdy o niej nie słyszałem.

— To szkoda — rzekł filozof — straciłeś czwartą część twego życia!

Po kilku minutach spytał znów uczony.

— Może słyszałeś cokolwiek o matematyce?

— Uchowaj Boże! — odparł wieśniak.

— To szkoda! straciłeś drugą ćwiartkę twego życia napróżno!

Po pewnym znów czasie odezwał się filozof:

— Człowieku! ale przecie wiesz coś z astronomii?

— Nie! nie mój dobry panie — odrzekł śmiejąc się przewoźnik.

— Jakaż to szkoda, jaka szkoda biedaku! straciłeś napróżno trzecią ćwiartkę twego życia!

W tej samej chwili łódka się przechyliła i pasażerowie wpadli obaj w głęboką wodę.

— Panie! — zawołał litościwie przewoźnik, umiesz pan pływać?

— Nie — odparł pijąc wodę uczony.

— No to siadaj mi pan na grzbiecie, bo odrazu utracisz całe swoje mądre życie.

* *Komisarz cyrkułu.* Nie możecie to porzucić raz tego obrzydłego pijaństwa? nie rozumiem, jak może człowiek pić tak bez miary, kiedy już nie ma pragnienia!

Oskarżony. Za pozwoleniem pana komisarza, czemżeby się przecie człowiek wyróżniał od bydląt?

* *Myśl filozofa.*

— Nie dowierzaj psu z przodu — koniowi z tyłu — a kobiecie z żadnej strony...

* *Myśli filozofa, utrzymującego skład nasion i narzędzi rolniczych.*

Kredyt, to jak żniwiarka, śliczny instrument ale się ciągle psuje.

Małżeństwo, to koniczyna szwedzka: piękne ziółko, lecz ma w sobie dużo konianki.

Stara dama w pretensyjach, to lucerna: potrzebuje dużo wapna, żeby mogła dobrze wyglądać.

Grabie amerykańskie podobne są do komornika... każde źdźbło zgrabią.

Wielki burak cukrowy przypomina mi porządnego szlachcica — on sam wyniszcza ziemię, z niego zaś cukier wezmą żydzi a resztę bydło zje.

Wiatrak amerykański jako motor, jest tem, czem projektowany bank hypoteczny jako kredyt. I jeden i drugi czerpie swe siły... z wiatru.

Pług piętrowy Sack'a, jeśli się tak wyrazić wolno, przewraca całą ziemię podszewką do góry — wielka pani, jako żona, wnet przewróci folwark do góry dnem.

Co prawda, to nie grzech, ale patentowane widły do nawozu sprowadzam z zagranicy, czemuż nie można niemi wszystkiego naszego nawozu za granicę wyrzucić.

Wziąłem dziś na otwartość. Najpiękniejszy owies kanadyjski sprowadzam z Psiej Wólki, ale gdybym ten owies nazwał psiowolskim, to i pies by go nie kupował.

Nasze projekty, to zagraniczne nasiona kwiatów letnich — zasiane, nie wschodzą najczęściej.

A nasze marzenia i nadzieje — to nasiona traw łąkowych. Fatalnie mały procent kiełkowania.

* *Z teki filozofa.*

On własną ręką swoją głowę,
W wawrzyny zdobił —
I ciągle miał pomysły nowe,
Choć nic nie robił!
On światu rzucał szyderstw groty,
Aby się zdumiał,
Lecz nie chciał wziąść się do roboty,
Bo nic nie umiał!
On gardził pracą — oczywista,
I wołał co dnia,
Że jego dusza senna, mglista,
Jasna pochodnia!
Że on przez błoto pójdzie świata,
W promień rozsnuty!...
A świat zawołał: Tam do kata!
Czy masz ty buty?

Filut.

* *Sen filozofa.*

Czy filozofowie dzisiejsi śnią?

Śnią, ponieważ są rzeczy, o których im się nie śniło — ergo, muszą być takie, co im się śniły. Dowód jasny, jak słońce, a poważny jak młoda mężatka. Zresztą, mam powody mniemać, że mężowie ci używają nawet poduszek, dla odróżnienia się od scholastyków, którzy sypiali na kamieniach. Na poduszkach wypoczywa ich mózg — a nerw błędny (vagus) opowiada mu przez ten czas bajki... organizm zaś wypoczywa i nabiera sił.

Ponieważ opowiadam wam takie mądre rzeczy, przypuszczacie zapewne, że sam jestem takoż filozofem. Uchowaj naturo! (o mały włos nie powiedziałem: uchowaj Boże!) jestem zupełnie czem innem — ale ja lubię warszawskich filozofów, chociaż mam dom na Zapiecku; a tem samem wyobrażam poniekąd kapitał, gniotący pracę. Mówi się to teoretycznie, w praktyce bowiem zgniotłem tylko raz w życiu kapelusz, na którym przypadkowo usiadłem. Więcej nic.

Jeden filozof mieszkał w mym domu. Mój Bo... przepraszam: moja przyrodo! taki wielki genijusz na takiej nikczemnej ulicy! jak kiedy umrze... przepraszam: jak przejdzie proces rozkładu, miasto Warszawa własnym kosztem wmuruje mi nad drzwiami marmurową tablicę, a ja z tego tytułu popodwyższam komorne... tym sposobem wróci mi się to, co mi filozof winien, a zarazem sprawdzą się jego mądre słowa, że w naturze nic nie ginie... (Rewersik jednak na wszelki wypadek wziąłem).

Mój filozof pisał dziennik, właściwie powinienem się wyrazić nieco ściślej — gdyż pisanie to zawsze miało miejsce w nocy... ale szanuję także filozofiję salonu. Otóż urywek z tego dziennika dostał mi się do ręki przypadkiem... prawdziwie przypadkiem... pan komornik go znalazł, a żydzi dawali tylko dwanaście groszy za cały kajet. O siło i materyjo! tam wyszło samego atramentu za złoty!

Czytajmyż ten dziennik.

Oto naprzykład kartka 84.

. . . .

„Miałem sen! istotnie, głupi to stan, tembardziej, że dostatecznie zaniedbany; ale ja go zbadam, bo czegożbym ja nie zbadał?

Śniło mi się, żem doszedł już do celu: przeobraziłem świat zupełnie. Pastuch, pasąc trzodę czytywał moje traktaty, zamiast religii chłopi jedli czystą moralność i pili czystą okowitę — nie było już małżeństw i innych głupich ceremonij. Każdy robił, co chciał i jak chciał, a że

tam czasem jeden drugiego zabił, okradł lub zbezcześcił, to wobec idei powszechnej wspólności było bardzo małą bagatelką... Zresztą ludzi się namnożyło jak psów, a majątek ogólny nie cierpiał na tem, czy chwilowo był w rękach Pawła czy Gawła...

Byłem otoczony zaszczytami i chwałą... jest to niby w oderwanem znaczeniu głupstwo... ale zawsze coś znaczy. Samica moja była istotą dzielną i dobrze zbudowaną; dochowałem się z niej pięciorga człowiecząt silnych i zdrowych.

Raz miałem powód zerwać z nią, zobaczywszy coś, czegobym nierad był widzieć. Już miałem wybuchnąć gniewem, a ona powiada:

— Panie! a selekcyja?!

Schyliłem czoło przed naukową prawdą i postanowiłem trzymać magnifikę do daty określonej przez kontrakt.

Byłbym to uczynił, ale jednego razu poczułem jakieś dławienie w gardle, silniejsze bicie pulsu w skroniach i dreszcze.

Przez telefon powiadam do samicy, że jest źle; posyłają po medyka. Był to mój kolega i przyjaciel Hektor Żyła, doktór medycyny i weterynaryi.

Przyszedł, obejrzał mnie i nic nie rzekł.

Pytam więc:

— Cóż?

— Bagatelka, rozkład krwi... za parę godzin machina pańskiego organizmu popsuje się całkiem i będę miał zaszczyt traktować pana, jako trupa. Sądzę, że pozwolisz mi pan odbyć badanie twego szacownego mózgu; mam powody przypuszczać, że będzie miał wagę większą, niż należy, nie wiem tylko czy z nadmiaru substancyj mózgowych, czy też skutkiem nagromadzenia się wody.

Wytrzepał to jednym tchem z uprzejmością i elegancyją światowego człowieka. Jakkolwiek śmierć jest głupstwem — struchlałem.

— Panie, szepnąłem, czy nie można...

— Ratować? Zabawne żądanie! za godzinę już przestaniesz pan mówić. Spieszę się — zapłać mi pan honoraryjum i staraj się umrzeć, jak porządnemu filozofowi przystoi... jeżeli możesz, notuj wrażenia... tymczasem do widzenia w prosektoryjum.

Człowiek ten mówił rozsądnie, a jednak sprawiał na mnie obrzydliwe wrażenie. To cynik — ale nie — to mąż prawdziwie postępowy!

Coraz mi zimniej... źle... konam... obrzydliwa konieczność.

Umarłem.

Cóż to jest? słyszę wszystko... byłby to letarg czy też?... Wchodzi najstarsze moje człowieczę, już człowiek — i pyta mojej samicy:

— Co tu taki nieporządek?

— E, głupstwo, tylko stary umarł, więc go wynoszą.

— Czy będzie jaka parada?...

— Nie, sprzedałam go doktorowi Żyle, będą go tam krajali.

Bardzo rozumnie, tylko trzeba było wziąść więcej; no, do widzenia.

Świszcząc jakieś głupstwo wyszedł z pokoju.

Więc oni mnie nie żałują, nie płaczą, jeszczem nie ostygł a już mnie sprzedali, już się targują z księgarzami o wydawnictwo mych dzieł... jakieś draby pakują mnie w worek... leżę na marmurowym stole.

Nademną stoi dr Żyła w białym fartuchu, z ogromnym, przerażającym skalpelem w ręku. W audytoryjum, jak zwykle, studentki siedzą na kolanach studentów, paląc fajkę z jednego cybucha. Jakaś młoda samica gryzie orzechy i sztuka mnie palcem w piersi.

Zimno, straszne zimno...

Żyła rozpoczyna wykład.

— Oto przed nami leży trup z wielką czaszką — ponieważ to był filozof, przypuszczam, że mózg jego będzie zajmujący — ale jeżeli ten osioł ma wodę we łbie, to mam zaszczyt oświadczyć, żem się grubo okpił, bom zapłacił za niego jak za wołu. Zaraz się przekonamy.

Z temi słowy przytknął mi piłę do czoła.

Krzyknąłem i... obudziłem się. Drżałem, zimny pot mnie oblewał. Oglądam się — jestem

we własnem mieszkaniu... żyję... oddycham. Nademną stoi siostra blada — wystraszona i pyta mnie ze łzami w oczach:

— Czyś ty chory, mój drogi?

Któż wie, może ta obskurna, głupia, zacofana tłuszcza — ten ciemny tłum, co się kocha, cmokcze, beczy, wierzy dyjabli wiedzą w co... może ma racyję? ale nie, nie ma jej, bo gdyby ją miał -- to jabym znów nie miał, a czy ja mogę nie mieć racyi... Ja?!!"

. . . .

I urwało się w takiem interesującem miejscu. Myślałem, że filozof przyjdzie kiedy zapłacić mi komorne, dowieść że w naturze nic nie ginie, a przy sposobności, dokończyć interesującego opowiadania, ale jakoś go nie widać.

Ha, myślę sobie, nie ma co, wydrukuję to, co jest w jakim poważnym tygodniku, może autor przeczyta i ciąg dalszy napisze...

S. A. van Dulski,
Obywatel z Zapiecka.

Filuteryja.

* Wierz tu kobietom, bądź szczery, bądź stały,
W pole cię wyprowadzi lada nosek mały.

Al. hr. Fredro. (p. str. 67).

Finansista.

* Pewien finansista, zbogacony na handlu solą, kazał sobie wybudować wspaniały pałac.

Ponieważ jedna nisza w owym pałacu była jeszcze próżną, bogacz radził się odwiedzających, co ma w niej postawić.

-- Postaw w niej pan posąg, przedstawiający żonę Lota zamienioną w sól, odpowiedział zapytany.

* Finansista, kupiwszy posiadłość ziemską, kazał wybudować wspaniały pałac i kaplicę tuż obok.

Donosząc o skończeniu budowy kaplicy, tak pisał do dzieci:

„Jeżeli Bóg nam pozwoli dożyć, wszyscy tam będziemy pochowani.

Fircyk w zalotach.

AKT I. -- SCENA I.

PUSTAK, ŚWISTAK.

Pustak (*spostrzegając Świstaka*).

Nie mylę się;—tak jest - on! — Witaj, pożądany
Świstaku, urwipołciu, stary lisie szczwany!
Cóż tu robisz? jak się masz? czyś zdrów? czy
Czy pieniężny? [wesoły?

(*Ściskają się*).

Świstak.

Zdrów, ale co goły, to goły.

Pustak.

Świat dziś taki - przynajmniej, że cię widzę
Z kimże tu przyjechałeś? [zdrowym.

Świstak.

Z moim panem nowym.
Ale, niech cię uściskam, mój luby Pustaku.

(*Ściskają się powtórnie*).

Pustak.

Takeś mi strojny! — Byłeś nie dawno w pakla-
Teraz się taka świeci na tobie mamona, [ku.
Jak gdyby na ministrze króla Faraona.

(*Obzierając go*).

Suto, suto! a wszystko od srebra i złota!
Przecie, zkąd ta do ciebie zawinęła flota?

(*Obziera go*).

Niech cię jeszcze obejrzę. — Ale jakże gusto!

Świstak.

Tak, gusto, gusto: ale za to w worku pusto.
Gdyby sto astronomów patrzało w kieszenie,
Grosz grosza nie zobaczy, takie tam zaćmienie!
Prawda, dosyć jestem strojny. -- To sukno
[w sajecie
Angielskiej, jak rozumiesz? co kosztuje przecie

Pustak.

Przynajmniej ze sto złotych.

Świstak.

A pętle, a guzy?

Pustak.

Tyle drugie.

Świstak.

Nie więcej, tylko cztery tuzy
Tryszakowe za ręką.

Pustak.

To szczęśliwe właśnie!

Świstak.

Ale za to, — szeląga! — Zapal, to nie trzaśnie.
Ujrzysz i mego pana, jak się on nadstawia,
Jak pusty, jak pstry cały, gdyby ogon pawia:
Wieszże, wiele ma w worku?

Pustak.

Nie wiem.

Świstak

Dwa półzłotki.

Pustak.

Dwa półzłotki! — to cienko koło was zakaty!

Świstak.

Joby, Joby na oko, w rzeczy Reformaty.

Pustak.

Zkądże szumicie?

Świstak.

Czy znasz *set kęz-lewa-plije?*
Otóż ja z pana, a pan z tych dochodów żyje.
Znaczymy, jak panowie, hulanki, parady,
Gry, uczty, bale, tańce, umizgi, biesiady...
Słowem, że ci tak powiem, bicze kręcim z piasku.
Ot tak to, tak to, bracie, żyją po Warszawsku!

Pustak.

Wiem, wiem, bywałem kiedyś i ja tym furmanem.
Ale skracając dyskurs: któż jest twoim panem?

Świstak.

Opatrzność, co swej wszystkim opieki użycza,
Zdarzyła mi za pana młodego panicza.
Jest to człek znakomity, bo jak sam powiada,
Ma tytuł starościca jeszcze od pradziada —
Ale przecie musiałeś słyszeć o Fircyku?

Pustak.

I znam go. Któżby o tym nie słyszał wietrzniku?
Wszak to on z moim panem, kiedy są w Warszawie,
Brat za brat—jedną łyżką—i na jednej strawie.

Świstak.

Chwała Bogu, tem lepiej! Taką rzeczą teraz
Będziemy, przyjacielu widywać się nieraz.

Pustak.

Przecieś z swego Fircyka kontent?

Świstak.

Jak się zdarzy!
Ale mu nigdy smutnej nie ukażę twarzy;
I wart tego. Natura dobra w nim i szczera —
Zacina, prawda, panicz trochę na szulera,
Kocha młode kobiety, lubi winko stare...
Lecz wreszcie, każdy człowiek ma swoją przywarę.

Pustak.

Wszyscyśmy ludzie!..

Świstak.

Zresztą żyjem, jak dwóch braci.
Ja mu służę ladajak, on mi też źle płaci,
A tobie, jak się wiedzie u pana Arysta?
Czy takiż paliwoda czy tak, jak mój, śwista?
Czy z tobą poufale żyje?

Pustak.

Co to, to nie.
Co do humoru, z dyjabły kładź go w paragonie.
Wielki brutal, złośliwszy nad smoki i żmije:
Gdy gada—dryga, a gdy macha—zaraz bije.
Niech w domu nie do myśli rzecz się zdarzy jaka,
Kto zbroi, ja mu krzywy! jak w dym do Pustaka!
A to tak regularnie, że jakby z pod kredki,
Jak na osła tłómoki, na mnie lecą pytki. —
Klaryssa, żona jego, cudnie piękna pani,
Bo to stanik jak łątka, nóżka jak u łani,
A oczki, a usteczka, skład ciała, postawa!
A humor! gdyby żywe srebro, dziarska, żwawa

Rozumna, wesoluchna. — Z tylą przymiotami,
Rozumiesz, że szczęśliwa? — Równie cierpi [z nami.
Są czasy, że zazdrośnik czulszy od Argusa,
Naziera ją, włóczy się za nią, jak pokusa:
Huczy, mruczy, przeklina, ręce łamie, wzdycha,
Woła ludzi — gdy przyjdą, za drzwi ich wypycha...

Świstak.

Cóż żona?

Pustak.

Zaufana w sumieniu i cnocie,
Im on dyjabłów liczniejsze wywołuje krocie,
Im większe robi głupstwa, im dziwaczniej brydzi,
Skacze, śpiewa, śmieje się, i jak z dudka szydzi.

Świstak.

To właśnie osobliwszy przekór między niemi!

Pustak.

Tak dalecy od siebie, jak niebo od ziemi,
Ale niechaj dokończę. Fraszka to, że gdyra
I zazdrości; to większa wada, że kostyra
I filozof. — Filozof smutny i ponury,
Mniej podobno z rozumu, jak raczej z natury;
Gracz zaś, nie tak z łakomstwa (ma dość dzię- [ki Bogu)
Lecz z chimery, z ubrdania, z chluby i nałogu.
W wygranej tchórz, w przegranej odważny bez [granic,
Gra we wszystkie, a żadnej gry nie zna nic a nic,
Przez co się na przegraną wystawia i żarty,
Gdy grać siędzie, ja muszę zazierać mu w karty.
Wygra-li? moje szczęście; niechże, broń Boże, [nie —
Naklnie mnie, naszturcha się, zburczy i wyżenie!

Świstak.

A to jest osobliwszy gatunek człowieka!
Cóż ty winien?

Pustak.

Wzrok go mój, mówi, że urzeka;
Lecz nareszcie, ma każdy człowiek swoje ale,
Zganiłem go w czem był wart, i w czem wart [pochwalę
Punkt honoru prawdziwy, poczciwość nie próżna,
Przyjaźń grzeczna, powolna, stateczna, usłużna;
Serce dobre, myśl szczera, obyczajność czysta,
Choć dziwaka, każą czcić i kochać Arysta. —
Co się tyczy majątku i jego użytku,
Często do rozrzutności zbliża się i zbytku.
Służę mu od lat czterech i kilku miesięcy;
Ileż przez moje ręce nie poszło tysięcy?..
Pewnie myślisz, że kiedy regestra przeczyta,
Zważy słuszność wydatku? o resztę zapyta?...
Nigdy mi jeszcze o to nie mówił i słówka.

Świstak.

Nie ma go co ztąd chwalić: to znaczy półgłówka.

Pustak.

Przy takich jednak człek się dorobi grosika,
Wiesz przysłowie: *drzej wtenczas, kiedy się* [*drą łyka...*
Ostatnia to rzecz, bracie; już to ciężkie czasy,
Kiedy się podskarbiemu przyjdzie sprawić [z kassy.
Bodaj mój pan! Niech za to żyje jak najdłużej!
Człek go też z duszy kocha i poczciwie służy.

Świstak.

To cnota bohaterska! — Jeśli mi się zdarzy,
Moich kiedy znajomych odwiedzić kucharzy,
Cokolwiek im się lauru od szynek uchroni,
Nie omieszkam zamówić na wieniec twej skroni.
Warteś tego.

Pustak.

Tylkobyś zaniechał te drwinki.
Poetom laur, poetom; dla nas lepsze szynki!
Ale mówiąc o naszym, powiedz mi mój bracie,
Po co tu do nas na wieś z panem przyjeżdżacie?
To nie jest bez przyczyny, coś się w tem za- [wiera.

Świstak.

Cała rzecz przywidzenie, kaprys i chimera,
Nie w złem jednak, broń Boże, rozumieniu wzię- [ta-
Nie są to jego wady, lecz raczej talenta,

Chimera pospolicie w innych niedorzeczna,
Kłótliwa, niespokojna: w nim — słodziuchna,
[grzeczna,
Miła, powabna.. słowem, że tak powiem, która
Tyle w nim jest, co w drugich szczęśliwa natura.
Człek z niego osobliwszy: zrobi co, czy powie,
Nad niczem się, jak żywo, krzty nie zastanowi:
A wszelako z postępków, i z rzeczy i z mowy,
Zawsze go znać, że jeszcze oryginał nowy,
Tak do naśladowania, jak trudny do wzoru.

SCENA V.

ARYST, FIRCYK, PUSTAK.

Aryst (*w szlafroku*).

Gość, gość luby! Mojego witam dobrodzieja!

Fircyk (*ściskając go mocno*).

A! jak się masz, poczciwy wieśniaku?

Aryst (*wyrywając się wrzeszczy*).

E—je—ja!
Stój — dla Boga — co robisz — starościcu? — boki!
(*wydarłszy mu się*)
A! mój panie, jak widzę mógłbyś dusić smoki.

Fircyk.

U nas w Warszawie takie jest przyjaźni hasło.

Aryst.

A! niech cię licho weźmie; aż mi w karku trzasło!

Fircyk.

Tylkobyś się nie pieścił. — Cóż tu u was na wsi?
Zdrowsi, bogatsi od nas; lecz my za to żwawsi.

Aryst.

A w Warszawie co słychać?

Fircyk.

Źle bardzo; pomorek.

Aryst (*uląkłszy się odskakuje*).

Na ludzi?

Fircyk.

Jeszcze gorzej.

Aryst.

Przebóg!

Fircyk.

Na mój worek.
Zgrałem się, jak ostatni — szeląga przy duszy.
Ci nasi katownicy gorsi od *Kartuszy*.
Złapawszy mię onegdaj, nie puścili póty,
Aż z ostatniego grosza zostałem wyzuty.
W sześciu taliach trójka, banku faworyta,
Tak mu była przyjazna, a mnie nieużyta,
Żem na nią przegrał razy dwadzieścia i cztery...

Aryst.

To być nie może, chybaś wpadł między szulery.

Fircyk.

Tak dalece, że w jednej godzinie, gotowem,
Holenderskiem, ważącem złotem obrączkowem,
Przegrałem tysiąc dusiów; a co mi w szkatule
Brakło, musiałem wydać weksel na Trzy Króle,
Na kontrakty do Lwowa — ale będę w Dubnie,
Zje kata kto mię złapie, a tem bardziej skubnie.
Lecz wreszcie, martwi mię to... straciłem tak
[wiele.

Aryst.

Oj trzebaby, trzebaby, waści w kuratele...
Czy można, przy tak zacnem młodzieniec
[imieniu,
Pięknych przymiotach, sercu dobrem, znacznem
[mieniu,
Czy można się zapuszczać w nałóg tak fatalny,
Nałóg tem żałośniejszy, że nienaturalny?
Małoż człowiek wrodzonych ma w sobie zdroż-
[ności?
Zmysły z duchem walczące, z cnotą namiętności,
Ból, tęsknotę, zgryzoty, niepokój, choroby, —
By jeszcze nowych szukać przez obce sposoby?

Fircyk.

Mójże ty filozofie, mój ostry cyniku!
Dobry syllogizm w szkole, lecz nie przy stoliku.
Schowaj się z morałami; nie prosiłem o nie,
Ratnj mię, podaj rękę, bo ostatkiem gonię.
Nie mam nic, prócz stałego do gry przedsię-
[wzięcia.
Czy nie wiesz czasem jakiej wdówki do najęcia?

Mniejsza o to, czy stara, młoda lub garbata,
Prosta, chroma, czy ślepa, byleby bogata.

Aryst (*dworując z niego*).

Jednoby się znalazło. Wybierz sobie którą,
Mamy tu babsko ślepe, lat sześćdziesiąt z górą.
Wszak ci takiej potrzeba?

Fircyk.

Maż funduszu wiele?

Aryst.

Już lat kilka w szpitalu siedzi przy kościele
Fundusz dobry i pewny, jeszcze *Firlejowski:*
Baby mówią pacierze, pleban trzyma wioski.

Fircyk.

Idźże waść do stu katów, nie praw mi *ambai.*
Ja chcę baby bogatej, on mi ślepą rai!
Ciężkież to teraz czasy! serce człeka boli,
Kiedy ludzie żyć dobrze umieliby, goli.
Źle w Polsce, zewsząd bieda. Minery Olkuskie
Zalane, żupy wpadły w kordony Rakuskie,
Zboże tanie, cło drogie, ojciec mój znów sknera,
Stary jak kruk, nie daje nic, i nie umiera.
Przecie się niezła człeku upiekłaby grzanka,
Mógłbym jeszcze z rok szumieć i grać rolę pan- [ka;
Potembym się ożenił z jaką ciepłą babą.
Notandum z babą starą, z babą dobrze słabą.
Ale cóż? bab do dyjabła! ładuj niemi bryki!
Są i bogate; cóż ztąd? zdrowe, gdyby byki.
Jeszczeby mię trup który mógł przeżyć do licha,
Nie jeden szczep zielony w starym pniu usycha.
Ale co też ja darmo trudzę sobie głowę?
Przypomniałem. — Znam jedną cud piękności [wdowę;
Nieźleby się koło niej zawinąć nareszcie,
Pożycz mi, przyjacielu, dukatów ze dwieście.

Aryst.

Ale, mój starościcu, masz długów bez miary ..

Fircyk.

Cóż u kata! Czy na tę fraszkę nie mam wiary?

Aryst (*skrobiąc się w głowę*).

Aleź — bo — to. — Dobryś waść w kartowe *paro-*
Co do długów, dłużnik cię pono w oczy kole. [*le...*

Fircyk.

Wierzaj mi, jakem Fircyk, oddam ci. — *Del* [*resto,*
Gdy nie chcesz tego, jeszcze mam projektów [ze sto.
A pominąwszy inne, zacznijmy na fanty!
Wszak widziałeś i dobrze znasz moje taranty?
Konie dzielne, maść rzadka, gustowne ubranie...

Aryst (*przerywając*).

Więc?

Fircyk.

Czy mię nie rozumiesz, chcę z tobą grać na nie.

Aryst.

Człek uczciwy na fanty! — A ludzie co rzekną?

Fircyk.

Tylkobyś się waść schował z tą lekcyją piękną.
Nic głupszego nad ludzkie obmowy i żarty.
Zawsze trzy części zwykły natrząsać się z [czwartej.
W takim razie najlepiej jest iść na wytrwaną;
Nabzdurzą się, nabzdurzą, nareszcie przestaną.
Kto goły, może zawsze, jak mi się też zdaje,
Sprzedać nie tylko konie, ale i lokaje.

(*do Pustaka*)

Hej! podać stolik do gry. — Najpierwsza rzecz [u mnie:
Żyć wesoło, a potem, gdy można, rozumnie.
Ujrzysz, jaki ja stangret, jak furmanką robię.
Cztery konie na stolik! Dalej, dalej, *k-sobie!*

Aryst.

A jak się też pomylisz, a pójdą *od-siebie?*
Ostrzegam, jak przyjaciel; wcześnie mi żal ciebie.

Fircyk (*ustawia stolik*).

Da się to widzieć. Otóż nasz sędzia przybywa.
Ej fortuno! aby raz bądź mi miłościwa.
Va na moje taranty twoje jasno-płowe.

Aryst.

Nie, bracie, na pieniądze zwykłem grać gotowe.
Twoja furmanka w trzechset niech dukatach
Więcej jej nie taksuję. [idzie;

Fircyk.

A! ty żydzie, żydzie!

Aryst.

Ale zaraz gotowe.

Fircyk.

Konie więcej warte —
Lecz wreszcie idą w trzechset, stawię je na kartę.

Aryst.

W cóż pójdziem?

Fircyk.

W rumel pikiet.

Aryst.

Niech i tak; przystaję.
Kartuj waść.

Fircyk (*skartowawszy*).

Proszę zebrać. — Czekaj. — Większa daje.

Aryst (*do Pustaka, który chce odejść*).

Stań za mną. (*do Fircyka*) U mnie walet.

Fircyk (*patrząc na zebraną*).

Ja zbieram na damie.
Drżyj bracie, dama u mnie zawsze szczęścia
(*Rozdaje karty*). [znamię!

Aryst (*patrząc w swoje karty*).

Niezła. Siedem kart, *sekwens* siedemnasty,
Major, czternaście kralek. [*quwarta*

Fircyk (*patrząc w swoje*).

Co za brzydka karta!

Aryst.

Dobieram trzech. Przedziwna.

Fircyk (*patrząc w karty*).

Pełno wszystkich maści,
A sam drobiazg!..

Aryst (*do Pustaka*).

Ty chciałeś już odchodzić? Naści!
Patrzaj, jak dobra!

Pustak (*zazierając w karty*).

Widzę.

Aryst.

I wygram.

Pustak.

Daj Boże!

Fircyk (*dobierając się z reszty kart*).

Kto nie waży, ten nie ma. Dobiorą się może.
Zobaczę, co też wziąłem. (*przeziera karty*). Mo-
[je dobrodziki.
Trzy damule, trzy króle i cztery asiki.
Przedziwna się zrobiła. — Po tych swoich
[drwinkach,
Poskrob się bracie w głowę, weźmiesz po te-
(*wymienia karty*). [binkach
Ośm kart, ośmnasty sekwens, a trzy króle,
A czternaście asików, przytem trzy damule.
Rozumiesz? to sześćdziesiąt! (*zadaje*). Jedna,
Pięć, sześć. [dwie, trzy, cztery,

Aryst (*mówi z refleksyi, odrzucając*).

Co też ja robię? Darmo trzymam kiery!

Fircyk (*zadając dalej*).

Siedm, ośm, — dziewięćdziesiąt. Masz tedy
[*kapota*.

Aryst (*z zapalczywością*).

Wszyscy mi kaci w dom mój tego wnieśli
[trzpiota!

Fircyk.

Dopiero odetchnąłem. Jakem człek poczciwy,
Pierwszy raz w grze stchórzyłem. — Takeś był
[szczęśliwy!
Ktoby się był spodziewał na takie początki!
Nie miałem jak siódemki, ósemki, dziewiątki...
Te mi asy i sekwens pomogły kaducznie.

Aryst.

Ale mój przyjacielu, nie hucz tak, nie hucz! nie!
To pierwsza gra, zobaczym dalej, kto skorzysta,
Chcę na tobie wetować. Stawka drugie trzysta.

Fircyk.

Nie, to mało! Chce mi się waćpana furmanki.
Albo też, wiesz co?

Aryst.

Słucham.

Fircyk.

Podublujmy banki.

Aryst.

Zgoda. Zbierz. Mniejsza daje.
(*Zbierają*).

Fircyk.

Cóż to masz?

Aryst.

Dawida.

Fircyk.

Ten król miał dobrze grywać. Źle koło mnie! —
[bieda!
Ja co mam? — Judyth — Judyth dodaje mi serca.
Zadrżyj, Holofernesie.

Aryst (*karząc go*).

Waść zawsze bluźnierca.
Bóg cię skarze, i za to samo przegrasz może.

Fircyk (*śmiejąc się*).

Co za święty kostera!—tem lepiej, nieboże,
Będzie dla ciebie!

Aryst.

No, no, (*patrząc w karty*) dosyć
[dobrą mamy;
Króle się pokazują gęsto. — Są i damy...
Kat że po tem — *sekwensu* nie ma — w maściach
(*dobiera kart*). [przerwy—
Biorę trzy. — A! pfe! gorsza!

Fircyk.

Ja tak gram, jak pierwej,
Czternaście asów, karta z *sekwensu* szesnastu,
Dwie *kwart major — i kapot*. — Nie gram wię-
(*wstaje od gry*) [cej *basta!*
Wygrawszy więc dziewięćset dukatów i konie,
Pozwolisz, że się twojej pozalecam żonie.

Pustak (*cicho do Fircyka*).

Winszuję panu.

Fircyk.

Od kart daruję ci stołek.

Pustak (*cicho*).

Wolałbym raczej dukat, ja chudy pachołek.
Pan zawsze pan, na stołku czy siedzi na sofie...

Fircyk (*do Arysta*).

Teraz rób syllogizmy! Bądź zdrów, filozofie!
(*Odchodzi*).

Franciszek Zabłocki.

Fizyjognomija.

* *Obiecująca fizyjognomija.*

— Czy widzisz tego młodzieńca? — rzekł lichwiarz do kolegi, wskazując na swego dłużnika.

— Bardzo przystojny — odrzekł tenże — a przy tem ma fizyjognomiję bardzo obiecującą.

— Ach mój kochany, wolałbym, aby miał fizyjognomiję dotrzymującą.

Kolce.

Fizyjognomika.

* Znajduję u Schopenhauera
Sąd, który się dość gładko czyta:
— „Z każdego lica w świat wyziera
Jakaś przyrody myśl ukryta."

Lecz jedno ma on w tezie swojej,
(Czego nikt zresztą nie zaprzeczy)
Że i... naturze też się roi
Częściej — bez sensu, niż — do rzeczy.

Szczutek.

Fizyka.

* Uczeń zdawał egzamin. Wszystko szło wybornie. Wtem profesor fizyki pyta:

— Jakie są własności ciepła?

— Ciepło — brzmi odpowiedź — rozdyma każde ciało, podłuża je i poszerza, podczas gdy zimno zgęszcza, ściąga, zmniejsza.

— To dobrze, daj przykład.

— W gorącej porze roku dnie się przedłużają, a w zimie skrócają.

* *Fizyka w praktyce.*

Mąż. Dlaczego otwierasz okno, żono? i tak mamy zaledwie 12 stopni ciepła w pokoju.

Żona. Ale mówisz, że na dworze jest 4 stopnie, to razem będziemy mieli 16-cie.

Folblut.

* *Karbowy.* Mój panie Aronie, co to jest jangielski folblut — bo dziedzic gadał, że takiego już zkądsiś od niemców zakupi?

Pachciarz. To widzicie Wojciechu, jest taka zagraniczna kobyła, co okropnie prędko lata, — a jeszcze prędzej ją żydki na licytacyje kupują.

* *Za kupnem folbluta.*

Więc dziś z panem Kartuzińskim puściliśmy się w podróż...

Potrzeba nam było konia czystej krwi mieliśmy nadzieję, że go znajdziemy w sąsiedztwie.

O ile mi się zdaje, mój przyjaciel Kartuziński chciał koniecznie kark skręcić na wystawowym sznyclu. Nie dziwię się temu: w jego położeniu finansowem najlepiej byłoby kark skręcić — choćby na piechotę nawet.

Maciek zajechał przed ganek. Kropnęliśmy starki po dwa kieliszki, zjedliśmy po cztery talerze bigosu, łyknęliśmy po dwie butelki piwska i pełni dobrych myśli ruszyliśmy w drogę.

. . . .

Pan Sakumpacki w Tłomokach przyjął nas, jak prawdziwy gentelman. Dał obiad, że niech go dyjabli wezmą.

Żonę ma piękną, ale córki dużo od żony młodsze.

Gospodarstwo postępowe, oparte na oszczędności. Oszczędność w budynkach, w uprawie roli, nawet w zbiorach i omłocie. Ma się rozumieć, albo się ma system, albo się go niema.

Sakumpacki system miał.

Objaśniliśmy cel przybycia i szanowny gospodarz z całą gotowością przystał na pokazanie nam swych stajen.

— Nie mam się w tym roku bardzo czem przed panami pochwalić — rzekł — gdyż mi cała młodzież padła w części na zołzy, w części zaś na sekwestratora; jeżeli jednak idzie panom o dobrego reproduktora i paradyjera, którymbyście na wystawie zaimponować mogli, to sądzę, że mój Fitz-Drabant w zupełności was zadowolni. Nieoszacowane stworzenie!

— Czystej krwi zapewne?

— Jak bursztyn, panie dobrodzieju. Anglik po Percy i lady Hops, a ten Percy po Fletrowersie i miss Clape, a ten Fletrowers po lordzie Dudley i Jamaice, a ten lord Dudley... ale nie będę nudził moich panów wyliczaniem przodków Fitz-Drabanta, powiem wam tylko, że jego prapradziadek chodził pod Maryją Stuart, na co miałem nawet dowody, tylko, że je szelmy szczury w lamusie na szczęt pogryzły... Ale otóż i stajnia.

— Janek! — zawołał Sakumpacki — wyprowadź-no Fitz-Drabanta.

— Kiej, proszę jaśnie pana, Fizdrygont poseł do Kozienic.

— A szelmy! gałgany! kto wam pozwolił ruszać tego konia?

— Ja ta nie chciołem, ino jak te panowie przyjechali, tak jaśnie pani pchnęna pakciorza bidkom po cosić do miasta, a bez to, co pakciarzowa kobyła okulała na scęt, tak jaśnie pani peda: zakładaj Fizdrygonta — i bez to jesce zyda nie widno, bo zeby był na swojej skapinie pojechał, toby już dawno powrócił.

— Otóż macie panowie — mówił Sakumpacki, łamiąc ręce — próbkę warunków racyjonalnej hodowli w naszym kraju. Pieść! paś! sprowadzaj dyjabli wiedzą zkąd, a tu żona każe pachciarzowi zaprzęgać folbluta do żydowskiej biedki! Żyd go jeszcze ochwaci i będzie!

— Abo to jemu, jaśnie panie, pierszyzna — wtrącił Janek.

— Cicho bądź, gapiu! kiedy cię nie pytają.

Pożegnaliśmy serdecznie Sakumpackiego, a podziękowawszy za ujmującą gościnność, ruszyliśmy dalej.

. . . .

Stado w Zabłociu używało oddawna opinii w naszej okolicy. Jaśnie wielmożny Baryjerowicz, właściciel stada i Zabłocia, uchodził za koniarza wielkiego, a sława jego przechodziła nawet granice powiatu.

Pani Baryjerowicz, z domu Klapensztucer, córka galicyjskiego barona, wniosła do tego domu element arystokratyczny, skutkiem czego, zwłaszcza, że to był post, podano na srebrnym półmisku siedm pieczonych kartofli i w porcelanowych kieliszkach po jednym jajku na miękko.

Sakumpacki wystąpił inaczej — ale co obskurny szlachciura, to nie arystokracyja, a Sakumpacka nie ma nawet pretensyi do pochodzenia z tak głośnego rodu, jak Klapensztucery.

Gospodarz kazał wyprowadzać po kolei konie. Masztalerz ubrany był z angielska. Istne straszydło na wróble!

Konie z obandażowanemi nogami, w derkach, w wielkich kapturach na głowach, wyglądały bardzo smutnie, dla tego, że miały derki czarne z białemi ozdobami.

Nie było to zrobione dla tego, żeby Baryjerowicz trudnił się utrzymywaniem karawanów, lecz z przyczyn heraldycznych, bo Klapensztucerowie mają w herbie białą suczkę w czarnem polu i ztąd taki kolor liberyi.

Obejrzeliśmy starannie całą stajnię, w której zaprawdę było dość czystej krwi koni włogawych i dychawicznych; oczów z powodu zmroku nie mogliśmy dokładnie obserwować.

Nareszcie przyjaciel mój upodobał sobie kasztana z białą nóżką, który, jakkolwiek podobniejszy był do indyka niż do konia, miał jednak dużo fantazyi i ognia.

Targ w targ, chociaż ciągnąłem Kartuzińskiego za rękaw, zgodzono się na cenę 575 rubli, z których mojem zdaniem 5 rubli należało się rzetelnie za skórę, (nie licząc kosztu jej zdjęcia) zaś 570 uważałem za dodatek zupełnie niepotrzebny.

To szczęście, że Kartuziński, zapalony jeździec, wymówił sobie sprobowanie tego indyka pod siodłem.

Okulbaczono go. Kartuziński wsiadł, a ponieważ głównie mu szło o zdolność do wyścigów, więc też po szlachecku ścisnął go kolanami i kopnął z miejsca, aż się zakurzyło. Uważałem, że indyk jakoś niepewno stąpał, że gospodarzowi ten eksperyment nie przypadał do gustu, lecz nie było czasu na uwagi; zwróciliśmy oczy na mego przyjaciela, który po waryjacku zwrócił w całym pędzie i puścił indyka wprost na płot.

— Stój! stój! krzyczał Baryerowicz, on nie skacze!

Lecz kolega mój tego ostrzeżenia nie słyszał i leciał, jak głupi.

Nareszcie indyk uderzył piersiami o płot, wyłamał dwa przęsła i przewalił się jak długi, a mój przyjaciel, zakreśliwszy łuk w powietrzu, padł głową naprzód w wysokie pokrzywy.

Któż się mógł spodziewać, że folblut za 575 rubli miał jasną ślepotę na obydwóch oczach!..

Kupno do skutku nie przyszło. Pożegnaliśmy Baryjerowicza i madame z Klapensztucerów bardzo chłodno i zajechaliśmy na noc do propinatora, gdzie mój przyjaciel moczył stłuczony nos w serwatce, która podobno ma mieć cudowne własności gojące.

. . . .

Raniutko, lubując się przepysznym wschodem słońca, ruszyliśmy w dalszą drogę, wzdychając i lamentując nad trudnością dostania dobrego konia w sąsiedztwie.

Na domiar kłopotu ni ztąd ni zowąd wysunęła się wielka, czarna chmura i deszcz lunął, jak z cebra. Szczęściem wieś była blizko, Maciek zaciął konie i wpadliśmy do pierwszej lepszej chłopskiej zagrody.

Poczciwy jakiś chłopisko otworzył zaraz stodołę, gdzie Maciek z końmi się schronił—a nas bardzo uprzejmie zaprosił do izby. Z przyjemnością zjedliśmy miskę świeżego mleka z czar-

nym chlebem i rozgadaliśmy się z chłopem o celu naszej podróży.

— Adyć, przez urazy wielmożnych panów, to i u mnie by się zdybał niezgorszy koniowina – jakby panowie chcieli, tobym może i przedał, bo to z takiem bydlęciem kłopot gospodarzowi. Na pastwisko nie wypuść, bez to, ze bestyja bryśna i choćby, na to mówiący, we szkodę wlazł, to nie pasie się jak kuń, jeno kwicy psia wiara, aż go w dziesiątej wsi słychać, a po drugie, że mam jeszcze kobylisko i troje młodych, a stajenka maluśka.

Spojrzeliśmy po sobie.

— Ano — rzekłem — to pokażcie tego konika.

— A dla cego? zara, bo już nawet i nie chlapie na świecie — idź jeno Jaguś – rzekł do córki — i przyprowadź tu ogierka przed izbę.

Jakoż niebawem ukazała się Jaguś, prowadząc za grzywę pięknego co się zowie, gniadego konia, który skakał, figlował i widocznie żył z Jagusią w dobrej komitywie. bo ją chwytał wargami za rękaw, ale wyrwać się z jej dłoni nie usiłował.

Prawdę powiedziawszy — zgłupieliśmy oba.

— A zkądżeście, ojcze, takiego konia wyrwali?

— A co, udał się panom? a jak Jaguś na nim jedzie do wody, to tak pod nią wywija jak panna, i tak galancie se skika na beznogę, jak w tańcu.

— Ale zkąd go macie?

— A dyć swego chowu, zawdy tu niedaleko cysarskie konie stoją, to i mam po nich.

— I cóżbyście chcieli za niego?

— Na jarmarku mi dawali dwieście rubli, jeno przez ośmnastu złotych.

— My wam damy całe dwieście.

— I Jagusi pięć rubli trenzlowego.

— Dobrze.

— Ha! to go se panowie bierzta.

Zapłaciliśmy chłopu 200 rubli. Jagusia wstydząc się i niby nie chcąc, wzięła trenzlowe, konik był już przy bryczce. Pożegnaliśmy się z chłopem i mieliśmy odjeżdżać, gdy chłopisko, uderzywszy się w czoło, rzekł smutnie:

— Pewnie to wypadnie pieniądze panu oddać.

— A dla czego?

— Już powiem wielmożnym panom świętą prawdę: ten kuń ma praśport!

— Jaki paszport? co?

— Oj, wielmożny panie, taki strasecny praśport, z piecęciami, jak dla jakiego hareśtanta.

— Któż mu to dał?

— Adyć te miemce, co przy cysarskich kuniach stojeli, dali mi taki praśport i powiadali, co jak ino się źrebok uplęgnie, żebym go się przez tego praśportu nie ważył przedać. Czy oni mi tak na psotę zrobili? czy zaś tego kunia mają kiedy do wojska wziąść — czy co z nim zrobią, to niewiadomo — tylko praśport dali i skutek.

Domyśliliśmy się o co idzie.

— Dajcie no — mówię — ten praśport.

Chłop pobiegł i przyniósł zawinięty w kilka gałganów atestat o pochodzeniu konia.

Wytłumaczyliśmy chłopu, na co jest ten papier i pojechaliśmy do domu.

Kartuziński zdobył ładnego konia i jeżeli go z Bezdachowa żydzi nie wypędzą — to na przyszłorocznej wystawie dostanie srebrny medal, jak amen w pacierzu.

Fontenelle.

* Fontenelle, zmarły w wieku bardzo podeszłym, dowiódł, że samolubstwo i oschłość serca pomagają do długiego życia.

Pewnego dnia zaprosił na obiad księdza Ferrasson. Miały być podane szparagi, które Fontenelle lubił oblane oliwą, podczas gdy gość wolał je jeść z masłem.

Dla pogodzenia obu gustów, Fontenelle choć z bólem serca, kazał przygotować połowę z masłem a połowę z oliwą.

Mieli właśnie siąść do stołu, gdy Ferrasson został rażony atakiem apoplektycznym.

Widząc to, Fontenelle, zrywa się, biegnie do kuchni, wołając:

— Wszystkie szparagi dajcie z oliwą, wszystkie! wszystkie!

* Ten że Fontenelle znajdował się na operze w dniu, w którym kończył lat sto. Wtem anglik jakiś wszedł do jego loży, mówiąc:

— Przyjechałem do Paryża, by poznać autora „Thetis i Sélée".

— Panie — rzekł Fontenelle — dałem ci na to aż nadto czasu.

* Dziewięćdziesięcioletnia staruszka powiedziała do Fontenella, który również był już bardzo starym:

— Śmierć zapomniała o nas.

— Sza — rzekł starzec — kładąc palec na ustach.

Chamfort. (p. str. 35).

* *Fotel akademicki.*

Fontenelle na zapytanie pewnej damy, co to jest fotel akademicki — odpowiedział:

— Jest to łoże do odpoczynku, na którem umysł uczonego wygodnie drzemie.

Fornal.

* Specyjalista-technik od kaleczenia koni, upijania się i łamania wozów.

Forster.

* Pan Forster wraca rano o trzeciej do domu, kiedy jest w trakcie rozbierania; budzi się żona i mówi:

— Mój staruszku kochany, cóż to, już wstajesz do pracy, miejże litość nad swojem zdrowiem i połóż się jeszcze...

— Masz słuszność żoneczko, jeszcze zawcześnie, położę się trochę i prześpię.

Forteca.

* Niegdyś, w wędrówkach moich, spotkałem [fortecę
Nieszpetną, która miano nosiła kobiece.
Dziwna to była twierdza: choć spokój dokoła,
Ona wytacza działa: „Baczność!" groźnie woła,
Zwodzi mosty, załogę stawia przy okopie.
Jeży się, dniem i nocą na wojennej stopie.
Ten i ów pierzchał strwożony,
Niektóry wzruszał ramiony,
A jam się pytał: „Na bogi!
Gdzież są te wrogi?"

Po upływie lat kilku, zdziwion niewymownie,
Spotkałem na mej drodze znowu tę warownię.
Lecz ileż zmian!... Dział zbrojnych ani odro- [binki,
Z głównej baszty i z blaszków opadają tynki,
Bramy roścież, chorągiew biała lśni, a wreszcie
Z za okopów głos słychać: „Poddaję się, bierz- [cie!"
Ten i ów pierzchał strwożony,
Niektóry wzruszał ramiony,
A jam się pytał: „Na bogi!
Gdzież są te wrogi?"

Wacław Pomian.

Fortepijan.

* Biła drobnemi palcami
W klawisze z niezwykłą siłą;
Wzrok nasz spotykał się często,
— *Gammy* dźwięczały tak miło!...

Wkrótce się wszczęła rozmowa,
Ale, że szła nam jak z grudy,
Fortepijan znowu zadźwięczał;
— Wcale przyjemne *etiudy!...*

Patrzyliśmy na się dalej,
Zwróciwszy ku sobie twarze;
Fortepijan cuda wyprawiał,
— Dalipan, pyszne *pasaże!...*

Musiałoż nam w końcu przynieść.
Mamusię zrządzenie czarta?
Cóż to za nudne *sonety*,
— Nie, nie!... nie cierpię Mozarta.

Ross.

Fortel.

* Za panowania Augusta III-go znajdował się pod Toruniem szlachcic Bentkowski o jednej nodze zdrowej i o szczudle, na koniu jeżdżący,

który złapawszy mieszczanina toruńskiego, dłużnika swego, z którym na ratuszu przegrał sprawę, na moście toruńskim za łeb, skoczył z nim w Wisłę i płynąc na koniu, niemca za łeb trzymał, a coraz pytał się go, jeśli mu pieniądze odda; jak niemiec mówił *nein*, „nie“ — to go ze łbem nurzał, a jak mówił, że odda, to głowę podniósł z wody; tak wypłynąwszy z nim na kępę pod Dybowo, stał z nim, pokazując gestami, że go utopi, jeśli mu z Torunia pieniędzy nie przyniosą. Co widząc niemcy toruńscy, patrzący na taką swego kamrata historyję, czemprędzej owemu Bentkowskiemu pieniądze przysłali.

Kitowicz: „Pamiętnik“ tom II.

* *Fortel na złą żonę.*

Miał jeden złą a swarliwą żonę, tak, iż chociaż robił, chociaż nie robił, bez przestanku mu jako psu łajała, a on im ją więcej o ono łajanie bił, tem więcej ona uporniejsza była. Widząc, że mało na dębowe słowa dbała, z inszej beczki począł. Ile mu kroć jęła łajać, on nic nie dbał, ale wziąwszy piszczałkę, chociaż grać nie umiał, piskał w nie, a nim mu ona więcej łajała, tem on więcej jej piskał, naostatek żona od wielkich jadów jęła tańcować a piszczałkę mu z rąk wydarła. On jej wziąwszy piszczałkę z ręku, jakoby tego nie widząc, jął piskać, a żona z domu łając poszła. Nazajutrz, gdy mu zaś łajać poczęła, z kalety piszczałkę wyjąwszy, jął też piskać tak długo, aż go żona poczęła prosić: „O mój miły mężu, już-że w tę piszczałkę nie piszcz, łajać ci nigdy nie będę“. Złego, jako możesz, tak używaj; podobno to prawda:

Zły tam kiermasz bywa,
Gdzie żona swarliwa.

Facecyja polska z XVI wieku.

Fortuna kołem się toczy.

I.

* Była tak skromna, powabna,
Cnota jaśniała jej z czoła,
A choć uboga — zupełnie,
Przypominała anioła.
Dziś malowana — brylanty
Do pięknych wkłada warkoczy...
— Fortuna kołem się toczy.

II.

Młodzieniec zdolny, nie biedny,
Świetne rokował nadzieje,
Z troskliwej ręki rodziców
Puścił się w świata zawieje.
Lecz zidyjociałe oblicze,
I błędne dzisiaj ma oczy,
I czemże jest? — dyjurnistą...
— Fortuna kołem się toczy.

III.

Surduty stare sprzedawał,
Zawzięcie wrzeszczał „handele“,
I nigdzie prawie nie mieszkał,
I jadał bardzo niewiele.
Dziś panem wioski szlacheckiej,
Pałacyk stawia uroczy,
Każdy mu czołem do ziemi...
— Fortuna kołem się toczy.

IV.

Literat, którego pióro
Szacunek budziło wielki,
Co z duszy czerpał natchnienia,
A nie! broń Boże, z butelki.
Dziś kto mu tylko co daje
Z pośpiechem do kabzy tłoczy,
I żydom pisze regestra...
— Fortuna kołem się toczy.

V.

Stary kawaler wytrawny,
Starym się wróblem nazywał,
Do kobiet dziwne czuł wstręty,
Z pięknych się objęć wyrywał.
Dziś mając wieczne sprawunki
Dla swojej żonki uroczej,
Ma dzielne rogi — niestety...
— Fortuna kołem się toczy.

VI.

Posiadał wielki majątek,
Powozy, herby, psy, konie,
Lato przepędzał w swych wioskach,
A przykrą zimę w Mentonie.
Dziś ma na miesiąc pięć reńskich,
Wybladły, powoli kroczy,
Ruletka tak go objadła;
— Fortuna kołem się toczy.

L. G. Dziubiński.

Forze.

* W wagonie kolei, idącej z Paryża do Bordeaux, dwóch panów zawiązało rozmowę. Widocznie zasmakowali wzajemnie w swem towarzystwie, gdyż przybywszy do stolicy Gaskonii, razem zasiedli do obiadu i zaczęli opowiadać swoje przygody.

— Ja — mówił jeden — podróżuję w interesie handlu jedwabiów. Idzie mi jako tako, rok rocznie zarabiam po odtrąceniu kosztów 4,000 franków. A pan, jeśli wolno spytać, czy także podróżujesz w interesach handlowych?

— Tak jest, podróżuję w interesach.

— Jakich? jeśli wolno zapytać.

— Do dyjabła, niewiem, jak to panu powiedzieć, są bowiem ludzie...

— Jak się panu podoba, mnie to wszystko jedno, czem się pan trudnisz. Czy zarabiasz dużo?

— Tak, dosyć.

— Ileż mniej więcej?

— Okołoośmdziesięciu tysięcy franków rocznie.

— Cóż to za interes, na którym pan tak grubo zarabiasz?

— Widzi pan, każdy pracuje, jak umie i jak może. Ja żyję ze złodziejstw, zabójstw, otruć, stosownie do okoliczności.

Komisyjoner zbladł jak ściana.

— Pojmujesz pan — mówił dalej tamten — że liczę na dyskrecyję pańską. Zresztą bądź pan spokojny; dotąd w moich licznych czynnościach byłem w zgodzie z prawem.

— Mój panie...

— I przyjaciołom nie robię nigdy krzywdy, a pan mi się podobałeś. Sprobuj pan tego białego wina.

— Ślicznie dziękuję.

Komisyjoner dotąd taki gadatliwy, zupełnie oniemiał. Byłby rad uciec, ale ani sposobu. Jego przyjaciel, żyjący ze złodziejstw i zabójstw, nie puścił go na chwilę. Zainstalował się u niego, nazywał go „swoim kochanym“, mówił mu po imieniu. Można było z tego oszaleć. W końcu przybyli do Tuluzy. Komisyjoner pośpieszył zabrać rzeczy i przemyśliwał jak tu uciec od strasznego towarzysza podróży, gdy raptem usłyszał znane nazwisko. Jego współtowarzysz był to Julijan Forze, adwokat, deputowany do ciała prawodawczego. Jechał na południe bronić przed tamtejszym sądem obwinionego o kradzież i zabójstwo.

Fox.

* Fox zaciągał ogromne pożyczki u żydów, ciesząc się nadzieją, że sukcesyja po bogatym wuju zapłaci te wszystkie długi. Tymczasem wujaszek ożenił się i został ojcem. Dowiedziawszy się o narodzinach naturalnego dziedzica wuja Fox powiedział: „To dziecię jest drugim Mesyjaszem, przychodzi na świat na zgubę żydów“. *Chamfort.*

Foyer.

* *Bankier X* Przecudownie gra na skrzypcach ta Teresine *Mea.*

Bankier V. Chciałeś baronie chyba powiedzieć *Tua...*

Bankier X. Dlaczego ma bicz *tua*, kiedy ja także zapłaciłem dwa ruble, to ona jest taka dobra *mea*, jak i *tua.*

Francuzczyzna.

* Dwie dziewczynki pracują nad zadaniami szkolnemi. — „Moja Zosiu“ mówi młodsza, „powiedz mi“ czy się mówi *le coeur* czy *la coeur*; ale Zosia nie była wiele bieglejszą w francuzczyznie, bo się zadumała długo nad odpowie-

dzią; wyręczyła ją służąca, która sprzątając w pokoju, słyszała zapytanie, a widząc zakłopotanie panienek, rzekła: „O! że też to panienki nie wiedzą! przecież się nie mówi *lekier* ani *lakier* ino *likier*.“

Flieg. Blät.

* Pewna jejmość, nie najlepiej umiejąca mówić po francuzku, chcąc powiedzieć, że w dziecinnych latach była figlarką, rzekła: „*J'avais l'humeur fort gai quand j'etais dans l'infanterie.*“

Humorysta Warszawski.

* Bydło pana X. po powrocie na wieś z wystawy zaczęło ryczeć po francuzku.

* Dla czego krowy nie szczekają, konie nie kwiczą, psy nie beczą, a polskie damy ciągle mówią po francuzku?

* *Francuzczyzna na spacerze w Wilanowie.*

— Ah, comme c'est pitagore!...

— Mais maman, on ne dit pas pitagore, — on dit pittoresque...

— Eh, ma fille, pitagore et pittoresque, ce sont des synagogues...

* *Francuzczyzna à la andrus.*

— Bon żur ma szer, jakże tam marjaż z Alfonsem?

— Och, on tutafe goły, a jak wiesz ożurdwi antr nu il njapa de frajer!

Francuzi.

* „Od najdawniejszych wieków aż do naszych czasów francuzi zawsze i wszędzie ujmowali sobie i oczarowywali wszystkich z początku, ale na końcu zostali zawsze znienawidzeni“. Sąd ten wydał o ziomkach swoich jeden z francuzów i zapewne nie bez racyi. Piękne ich niebo, dobre wina, biały chleb, łatwe i przyjemne towarzyskie życie, ze wszystkimi, czy to z młodymi, czy ze starymi, czy z kobietami; ich *coin de fese*, czyli kominek — wszystko to podnieca i utrzymuje nieustanną dążność do wesołości i przyjemnego życia. Śmieją się oni tam, gdzie inni płaczą lub zgrzytają zębami; tak było przed i podczas rewolucyi, tak zostało po niej i do dnia dzisiejszego. To usposobienie tłómaczy wszystkie dziwne zjawiska w ich historyi i w ich życiu. Są to dzieci, których byle co zadowalnia. Ta dziecinność czy też kobiecość charakteru jest główną ich cechą. Ich obyczaje, literatura, ich filozofija cała, noszą piętno tej kobiecości, t. j. czegoś delikatnego, lekkiego, ozdobnego i powierzchownego, bo też kobiety panują we Francyi więcej, niż gdziekolwiek. Francuzi żyją jedynie chwilą obecną; to, co przeszło, zostaje wnet zapomniane, a o przyszłość wcale się nie troszczą. Niestali, niespokojni, niesprawiedliwi, wahający się w wyborze między tem, co im się zdaje za mało, lub tem, co zawiele, niezdolni są do utrzymania długiej wolności, a tem samem nie są jej godni. Dopiero co zagorzali republikanie, wnet znów gorliwi rojaliści, a potem *da capo* to samo na przemian! Czyliż można ich nazwać narodem na seryjo? Francuzi są prawdziwymi przedstawicielami wykwintności, egoizmu, uciech, rozrywek, zamiłowania w błyskotkach i świecidłach wszelkiego rodzaju; to lubowanie się w powierzchownym polorze i blasku jest cechą ich charakteru. Każde wrażenie jest u nich powierzchowne i lekkie; dlatego tak mało są zdolni do uczuć litości, wdzięczności, prawdziwej przyjaźni lub namiętnej miłości. Łatwo też wpadają w ostateczności i stają się naprzemian litościwi lub okrutni, lekkomyślni w rzeczach wielkiej wagi, to znów gorliwi i poważni w drobnostkach. Faber, który poszedł na galery za morderstwo ojca, był w Paryżu podziwiany, zarzucony kwiatami i wstęgami, opiewany nawet i przedstawiony w teatrze w sztuce *Shonnétte criminel*; ale następnie przymierał z głodu w swojej wiosce rodzinnej stary i zapomniany, co pewnie nie miałoby miejsca w Anglii lub innych krajach. Francuzi są łagodni, grzeczni, łatwi do prowadzenia, gdy są zależni i pod dozorem, i gdy się ich nie drażni; ale dzicy, zarozumiali, obrotni i gburowaci gdy są rozdrażnieni, a czują się wolnymi i możnymi.

Wolter, który musiał dobrze znać swoich ziomków, nazwał ich: *les-tigres-singes* (tygrysomałpy). Dziwnem jest, że naród tak żywy i tak lekki, przepada za swym menuetem, za swą powolną, ciężką muzyką, a także za więzami, krępującemi jego mowę. *Monsieur, prener garde s'il vous plait à un serpent, qui s'approche.* (Panie, strzeż się pan jeśli łaska tego węża co się przybliża) mówi francuz; tymczasem wąż ma czas dobrze przybliżyć się i ukąsić, zanim on tę przestrogę wypowie: poważny rzymianin powiedziałby: *Serpentum fuge* (wąż, uciekaj), a nawet flegmatyczny niemiec zdobyłby się na prędsze: *Schlange, Achtung!* (wąż, baczność!) Tylko coś nowego! byle coś nowego! chociażby to miało być gorsze od starego; i to tłómaczy ten ich entuzyjazm de rewolucyi. Oni, co tak ubóstwiali swoich królów, że pewien gaskończyk pod szubienicą już będąc, błagał marszałka Willars'a, aby zameldował królowi to, co go spotyka, wyklinali potem tych królów! Oni, co z natury swojej są dworakami i dla których pozór jest wszystkiem, swojemi rewolucyjami przywodzą mi na myśl to dziewczę, które na otwartej scenie swojej *Montagne russe* albo *Promenade aérienne*, przedstawia kolejno to dziką, to skromniutką, to znów kokietkę wyuzdaną lub niewolnicę chrześcijańską z dawnych czasów. Najlepiej przystoi francuzom, gdy się śmieją, bo ich powaga niewiele jest warta, ale ich żywość i dowcip wypłoszyły często zwierzynę, którą angielska i niemiecka wytrwałość wtedy łatwo ubiła. Szczególnie biegli są rzeczywiście w sztukach, jak taniec, fechtowanie, muzyka i teatr, także można się od nich uczyć gotować, czesać i ubierać. Głębokich myśli i dokładności nie można tam znaleźć, bo są zbyt żywi i zbyt niecierpliwi; dla tejże przyczyny mało robią wynalazków; umieją wszakże poprawiać i dopełniać wynalazki innych. Gust ich ogranicza się w tem, co ładne, miłe, świecące, nie ubiegając się za tem, co wzniośle piękne, prawdziwe i wielkie. Wszystko stosują też do swego gustu, który jednak musi być pierwszym i najlepszym, kiedy go wszędzie naśladują. Przez mnóstwo komplementów, jakie zawiera ich mowa, uboga zkąd inąd, uczą się wyrażania grzeczności i małego o sobie rozumienia; i w ten sposób taki gładki człowiek jest już wyćwiczony w sztuce grzeczności i przypodobania się i nabiera czegoś pociągającego, czemu się oprzeć nie można na razie. Nigdzie nie zużywa się tyle kwiatów, co we Francyi; kwiaciarki stoją też na równi z rybaczkami, a wiele paryżanek rujnuje swych adoratorów na same kwiaty. Francuzi są dziećmi; dlatego też mimo okropności rewolucyjnych, zachowują zawsze swobodę umysłu i wesołość; zapominają o ofiarach, o stratach poniesionych, wszystko ich bawi, a raz, gdy jakiś pies zawył w teatrze, a ktoś zawołał: „ucisz się, obywatelu", cały teatr zatrząsł się od śmiechu. Ktoby ich jednak chciał za to ganić, niech zważy czy potrafiłby tyle co oni znosić i przecierpieć wszystko co przeszło, niech więc żyje dzieciństwo i wesołość! Inną właściwością francuzów jest ich upodobanie w śpiewie tak ogólne od Pireneów aż do Renu. Diodor wspomina już o Gallach, że lubią śpiewy i tańce. Słusznie nazwano ich ludem śpiewackim, ludem żartobliwym i kobiecym. Któryż to naród ma taką jak oni kompletną historyję ostatniego stulecia w śpiewkach i wodewilach, zawartą w czterech tomach! Gdy Mazarini nakładał nowy podatek, pytał się tylko: „czy śpiewają?" „No jeśli tylko śpiewają to i płacić będą". „Marsylijanka" i „*Ça ira*" położyła przeszło 50,000 niemców. Francuzi celują też przed innymi narodami swoim łatwym bogatym dowcipem, nie bez bystrości i rozumu. Żaden inny naród nie pojmuje tak szybko wszystkiego, nie potrafi wyrazić tak prędko i jasno tego co pojął; chociaż często dzieje się to ze szkodą treści. Jeden piękny frazes może rozniecić ducha tego łatwo zapalającego się ludu, jak również może go uspokoić napowrót i odwrócić od złego zamiaru. Jakiś dowcipniś porównał partyję przeciwną Annie austryjaczce i Mazariniemu, do chłopców, którzy gromadzą się na miejskich okopach i ztamtąd rzucają

kamienie z procy; gdy policyja nadchodzi, znikają wszyscy w mgnieniu oka, a potem znów się zbierają; partyję więc tę nazwano *la Fronde* (proca) i noszono kapelusze ze sznurami, rękawiczki, wachlarze, wszystko *à la Fronde*. Ferray ściągał skórę z ludu przez podatki, przezwano też zaraz ulicę „pustego worka“ *vide sac* ulicą Ferraya. Pewien gwardzista połknął przypadkiem srebrnego talara; Ludwik XV zmartwił się tem i zwołał doktorów, aby go ratowali, ale gdy żaden nic nie mógł poradzić, książę de Crailles zaproponował Ferrayowi, aby biednemu gwardziście pośpieszył z pomocą, bo on jeden zna sztukę rozdrobienia jednego talara na 365 części, a w ten sposób łatwiej go można przetrawić. Paryż śmiał się i to go pocieszało. Ludwik XV zrobił brata swojej Pompadour margrabią de Vandière i zaraz go przezwano margrabią d'Avanthier (t. j. od onegdaj). Król sam żartował z jego nazwiska Poisson (ryba) i gdy ten pretendował o niebieską wstęgę orderu św. Ducha, król rzekł: *Non, c'est un trop petit poisson pour le mettre au bleu.* (Nie, to jest za mała ryba, aby ją podać na niebiesko. Gdy tłum ludu zgromadziwszy się oburzony podniesioną ceną żywności, wołał: „chleba“, d'Argenson znalazłszy się w tem zbiegowisku, spostrzegł kobietę otyłą, niemal kwadratową, która najgłośniej krzyczała; ująwszy ją za rękę, wyprowadził przed tłum i rzekł: ,,Patrzcie moi państwo, czy ta osoba ma prawo narzekać na głód i wołać chleba?“ Lud śmiał się, a d'Argenson korzystał z tego dobrego usposobienia i namówił go do rozejścia się. Gdy się opera spaliła, noszono tylko kolor: *feu d'Opera* (ogień opery), w kasie eskontowej, *caisse d'escompte* zabrakło pieniędzy i wymyślono zaraz modne kapelusze bez dna, nazwane: *caisse d'escompte* Gdy Orlean kazał wyciąć piękne aleje z kasztanów w Palais-Royal dla wybudowania w tem miejscu galeryi, z której sobie obiecywał wiele dochodu, przezwano go *Egorgeur des ombres* (mordercą cieni) tak jak Ludwika XVI nazywano ,,Restauratorem wolności“ lub ,,Doktorem mimowoli“. Każde *bon-mot* przechodzi u nich zaraz z ust do ust i pociesza francuzów w najgorszej niedoli. Gdy w górnym Egipcie żołnierze ginęli z głodu i tęsknoty, kto postawił drogowskaz na brzegu alei prowadzącej ku północy, z napisem: ,,Droga do Paryża“ i to ich pocieszało choć na chwilę; a jenerałowi Caffareli, który stracił był jedną nogę nad Renem, mówili: ,,Jenerał ma zawsze jedną nogę we Francyi“. Gdy całe Niemcy drżały na wspomnienie gilotyny, francuzi wstępowali na nią z różnemi *bon-mots* na ustach, albo rozmyślnie resztę dni, jakie im pozostawiono, w więzieniu trawili na hulankach różnego rodzaju, aby zrujnować zdrowie i, jak mawiali, jak najmniej zostawić katowi na pastwę; grali, śpiewali, układali wiersze i składali ofiary Cererze, Bachusowi i Wenerze. Ściany więzienia pokryte były wierszami i epigramami. Gdy raz kilku uwięzionym udało się szczęśliwie uciec z więzienia Conciergerie, znaleziono u ogona jednego z największych i najczujniejszych psów więziennych uwiązaną asygnatę z napisem: ,,Można przekupić Raważa pięcioma frankami i kilkoma nóżkami baraniemi“. Sam sąd dowcipkował także; skazując pewnego nauczyciela fechtunku, rzekł któryś z sędziów: ,,Tego cięcia chyba nie potrafisz odeprzeć“. Gdy indagowano pewną głuchą kobietę, która nie mogła odpowiadać na pytania, bo nic nie słyszała, rzekł znów któryś: ,,Ta jeszcze bardziej winna, bo spiskowała głucho“ (*sourdement*), co znaczy: podstępnie. Tak żartowali z wszystkiego zawsze; po klęskach ustawicznej wojny w r. 1812 mówili: ,,Poeta lubi pisać wiersze, gdy mu się udają; nasz cesarz też lubi wydawać bitwy, bo jest w tem wirtuozem“. A gdy po powrocie Ludwika XVIII musieli płacić wielkie kontrybucyje sprzymierzonym, mówili znów: ,,Płaćmy wszak mamy *un gros Revenu* (co miało podwójne znaczenie, albo: wielki przychód, albo też: wielkiego powróconego; to ostatnie stosowało się do nowego króla). ,,Dowcip jest letnią suknią“, jak mówi Hippel, ,,prawdę zaś nosić mo-

żna równie dobrze rok cały", ale we Francyi dowcip jest mundurem narodowym; dlatego przydałoby się tym *têtes de linottes* (trzpiotom), aby wyjęli trochę konsekwentnego rozumu od tych *lourds allemands* (ciężkich niemców), jakich nazywają. Żaden z innych narodów nie posiada tego doraźnego dowcipu, zwanego *esprit d'apropos*. Od prostych ludzi we Francyi, a szczególniej od kobiet słyszeć można odpowiedzi, któreby zaszczyt przyniosły najwykształceńszym dowcipnym ludziom. Gdy Napoleon powiedział do olbrzyma Friand'a: „Ja jestem dzieckiem obok ciebie"; ten mu odpowiedział: „Oto jest różnica pomiędzy wielkim mężem, a człowiekiem wielkim". Żaden naród nie posiada też w tym stopniu sztuki przedstawiania się z najświetniejszej strony, ani tej, szlachetnej niby bezczelności, rzucania piasku w oczy tym, którzy go nie znają dokładnie; pomagają im w tem wyrażenia: *tant pis*, *tant mieux* (tem lepiej i tem gorzej; które mogą znaczyć bardzo wiele, albo wcale nic, podług znaczenia jakie im kto nada; lub: *mais que voulez vous!* (cóż chcesz?) z towarzyszącem zwykle ruszeniem ramion. Słynny brzuchomówca francuzki Le Comte, został pobity przez chłopów szwajcarskich, których brał na fundusz; kto inny trzymałby to w tajemnicy, jako rzecz mniej więcej hańbiącą; francuz wyzyskał ten fakt jako reklamę, podając następujące ogłoszenie: „Le Comte, profesor fizyki, który pierwszy wojażuje po Europie jako brzuchomówca, znany z dziwnej awantury, w której padł ofiarą zabobonu chłopów szwajcarskich, biorących go za czarownika." Francyję uważać można jako zaczyn czyli rozsadnik wszystkich zachodnich ludów; dla tego ludy wschodnie i niemców nazywają frankami. Francyja była siedliskiem druidów; Gallowie zakładali tu kolonije, rabowali i plądrowali już za czasów greków i rzymian. Karol Wielki dał Rzymowi papieża, a siebie zrobił cesarzem. Z Francyi wyszły szeregi krzyżowców i innych rycerzy na wschód; z Francyi też wyszedł duch inkwizycyi, duch herezyi, duch scholastyki; dalej duch Filipa pięknego, duch Ludwika XIV i duch Napoleoński. Francuzi olśniewali naszych przodków modami, gustem, obyczajami i mową; nas obecnie wolnomyślnością religijną i polityczną, oraz bronią. Francuzi są grekami, ale tylko z profilu. Grecy i rzymianie podbijali też inne narody swoją mową; tak samo i francuzi; język ich króluje między językami europejskiemi. A Paryż? Już nietylko francuzi, ale i cudzoziemcy mówią, że niema nic nad Paryż i wołają, jak Napoleon i jego świta przy powrocie z Elby: „Paryż albo śmierć!" Sturtz przyznawał francuzom tę zasługę, że nas rozweselają; rozweselili nas dawniej co prawda, ale następnie płakaliśmy na nich długo; teraz mogą nas znów rozweselać, gdyśmy się nauczyli poznawać, cośmy dawniej wiedzieć byli powinni, że ich nigdy prawdziwie na seryjo brać nie można. Nigdy z za Renu nie przyszło do nas nic gruntownego i trwałego; zawsze tylko jakaś krótkotrwała świetność i błyskotki, tak w modach, jak w rzeczach naukowych, w systematach filozoficznych, jak i w polityce, gdyż taka łatwo przemijająca błyskotliwa świetność, leży w charakterze narodu. Starzy czy młodzi, paplają tylko przedewszystkiem. Jean Jacques Rousseau nawet mówił: „Pierwszą zasługą jest dobrze gawędzić, a byleby się mówiło, jest się uwolnionym od myślenia". Jest tylko jeden Paryż — ale dla francuzów i — małp. Sterne dał dobrą definicyję Paryża: „Jest to raj dla kokietek, Eliseum dla dandych i centrum płochości".

* Do przedpokoju królewskiego wnijść Francuzowi zawsze wolno, a Polak u drzwi musi i pół dnia stać; zgoła sroga i zbyteczna powaga.

I to między inszymi licencyjami ich przypomnieć muszę. Pozwolono im na teatrze publicznym w Warszawie tryumf czynić z otrzymanego nad cesarzem zwycięztwa. Kiedy wprowadzono osoby na teatr, muzykę i ognie do tryumfu, zeszło się ludzi kupa i na koniach pozjeżdżało się na owo tak cudowne widowisko; jedn

z Warszawy wyjeżdżają, drudzy przyjeżdżają; kto obaczył, to się też zatrzymał na owo dziwowisko, choć mu pilno było; i ja też tam byłem, bom wyjeżdżał z Warszawy, a wyjechawszy z gospody, stanąłem też tak z czeladzią na koniach, na owe patrząc dziwy. Stali tedy około tego dziwowiska ludzie różnego stanu i różnej fantazyj. Kiedy już insze odprawiły się indukcyje*), to jest, jako się potykali, jako się piechoty zwierały, jako kommunik, jako strona stronie z placu ustępowała, jako brano więźniów niemieckich, szyje ucinano, jako do fortecy szturmowano i one odbierano, zgoła, z wielkim kosztem i okazałością te rzeczy odprawiały się. Skoro już, jakoby po zniesieniu wojska i położeniu na placu nieprzyjaciela, prowadzą w łańcuchach cesarza w ubiorze cesarskim, koronę cesarską już nie na głowie mającego ale w rękach niosącego i w ręce królowi francuzkiemu onę oddającego; wiedzieli tedy, że to był Francuz znaczny, który osobę cesarską w łańcuchu idącą reprezentował, i potrafił w twarz jego, i wargę tak też jako cesarz wywracał; począł jeden z Polaków konnych wołać na Francuzów: „zabijcie tego takiego syna, kiedyście go już porwali; nie żywcie go, bo jak go wypuścicie, będzie się mścił, będzie wojnę mnożył, będzie krew ludzką rozlewał, a tak nie będzie nigdy miał świat pokoju; skoro zaś zabijecie, król JMść francuzki osiągnie cesarstwo, będzie cesarzem, będzie, da Pan Bóg, i naszym królem polskim. Naostatek, jeżeli wy go nie zabijecie, to ja go zabiję.” Porwie się do łuku, a nałożywszy strzałę, jak utnie pana cesarza w bok, to aż drugim bokiem żelazce wyszło i zabił. Drudzy Polacy do łuków; kiedy wezmą szyć w owę kupę; naszpikowano Francuzów dużo, a nawet i tego, co siedział w osobie króla, postrzelono naostatek w głowę, aż z majestatu spadł pod teatr i z innymi Francuzami uciekł.

Stał się tedy po Warszawie wielki rozruch. Owi, co strzelali, pojechał każdy w swą stronę: i ja sam wyjechałem zaraz, abym napaści jakiej nie miał, żem też to tam stał w owej kupie. Pół mili za Warszawą wyjechawszy ku Tarczynowi zostawiłem u pana Lęczeńskiego łuk, żebym uszedł podobieństwa i jechałem powoli, wziąwszy na się guldynek, bom się spodziewał pogoni; jakoż i była, bo królowa Ludwika, lubo niewiasta była popędliwa, (o której mogło się bezpiecznie mówić owo o jednym też monarsze sprawdzone zdanie: Była król Elżbieta królową wszystkiego, Jakób był popędliwą niewiastą), złożywszy hardość z serca, padła królowi do nóg, prosząc, żeby gonić i łapać kazał. Rozkazał tedy król skoczyć na gościńce, kto tylko mógł przyjść naprędce do sprawy, aleć bez skutku, bo kogo tylko dogoniono i spytano: „skąd jedziesz? nie tyś cesarza zabił i króla francuzkiego postrzelił.” Gdy odpowiedział: „Nie ja”, dano mu pokój. Którego też pytania dostało się i mnie, ale aż nazajutrz. Wstąpiłem do pana Okunia, rad mi, powiadam mu o tej tragedyi, aż tu ich przyjechało kilkanaście koni i pytają: „Jechał tu kto od Warszawy?” Powiadają im: „Jechał, ale nie wiemy kto, samosześć i wstąpił do naszego pana, tu do dworu.“ Przyjechali oni i weszli do izby: „Służba” — „Służba”. Prosił ich siedzieć gospodarz Pytają mię tedy: „Wść MM. Pan skąd jedziesz?“ Powiadam: „Z Warszawy.“ Pytają: „Kiedy Wść wyjechał?“ Powiadam: „Po śmierci cesarza chrześćjańskiego i króla francuzkiego.“ Pytają: „Patrzałeś Wść, kiedy się to stało?“ Powiadam: „Patrzałem.“ Pytają: „Co za osoba był, który najpierw do cesarza strzelił?“ Powiedziałem: „Taki jako Wść i jako ja.“ Rzecze śmiejąc się: Czy nie Wść sam?” Odpowiem: „Wszak tam strzelono z łuku, a jam tu bez sahajdaku przyjechał.“ Ów rzekł: „Choćby i Wść i ktokolwiek inny to uczynił, ma od Pana Boga odpust za to, że się ujął o takie srogie zgorszenie, i król JMść w oczy tylko królowej żal czyni, a w sercu z tego się śmieje.“

Pamięt. Jana Chryz. Paska. (p. str. 199).

---

*) Indukcyje = sceny.

* Francuz, jadący pośpiesznym pociągiem z Hawru do D..., zapytuje siedzącą obok Angielkę, czy mu wolno zapalić papierosa.

Angielka zachowuje milczenie, ale małżonek jej odpowiada z groźną miną.

„No, no, nie można palić, pański dym zaszkodziłby milady."

Francuz chowa papierosa z miną smutnie zrezygnowaną i usiłuje na pociechę zasnąć.

W kwadrans potem woń szkaradnego tytoniu uderza jego powonienie.

„A to co?.." powiada, widząc, że gentleman kurzy fajkę niepomiernej wielkości, „mówiłeś mi pan przed chwilą, że dym szkodzi milady?"

„Ach yes," mówi syn Albijonu, „pański dym szkodzi jej, ale nie mój, bo to moja żona."

Chamfort.

Frasunek komiczny.

D'Anaezune odbył kampaniję, jako adjutant marszałka de Bouffleurs.

Gdy razu pewnego znudzony i wyczerpany tem życiem męczącem, zasnął smacznie a nad ranem, wpadł służący o godzinie piątej i budził go, oznajmiając, że marszałek już jest na koniu.

— Jakto?.. —zawołał— już na koniu, a mnie przy nim nie ma!.. Spuść co prędzej roletę, albowiem nie jestem dziś godzien oglądać światła!.. i odwróciwszy się na drugi bok, usnął w najlepsze.

Saint-Simon *Memoires.*

Fraszki.

* Chce kto, czy niechce niechaj się zadziwi,
Lecz dziś są jeszcze ludzie litościwi,
Ot, rzeźnik ronił łzy nad wołu losem,
Jedząc na obiad... ozór z szarym sosem.

* To, że dzisiaj serce ludzkie — kamień,
Ja stanowczo wliczam do omamień,
Bo tych iskier, które próchno palą,
Czas nie budzi nawet bólów stalą.

* Dlaczego gwiazdy upadają,
Ludziska ciągle łamią głowę;
Hm... hm.. nie trzeba teleskopów,
Trzeba mieć kolije brylantowe.

* Nie chełp się, małyś czy duży,
Że chleb masz w torbie swej modnej,
Jeśli towarzysz podróży,
Jest nadto grzeczny a głodny.

Grzeczność takiego — to zdrada,
Burzy, obałamuci,
Niedość chleb z torby pozjada,
Jeszcze... swą przyjaźń narzuci.

Duduś.

Front.

* *Zmiana frontu.*

Był Jan i był Mikołaj, dwaj dzielni lokaje i mieli dzielnych panów Lola i Wacława.

Wiadomo, żelokajom na piwo się daje, ku czemu skłania hojność i ambicyi sprawa, a że Wacek i Lolo ambitnymi byli, więc jeden przez drugiego ciągle się radzili, by Jan dzielny przed dzielnym chwalił Mikołajem, że służba u Wacława musi dlań być rajem, gdyż to jest pan i dobry i hojny rzęsiście...

Lolowi też chodziło o to oczywiście, aby dzielny Mikołaj znów przed dzielnym Janem nazywał jego pana *„tak jak złoto panem."*

Sługusy, rozpoznawszy żyłkę pańską ową, jeżeli ich pan własny wyciągnął na słowo, chwalili hojność drugich, wiedząc już dokładnie, że im z tej wielkiej chwały więcej w kieszeń wpadnie, a panowie bezczelnie wciąż na kawał brani, niby ciche owieczki, nic nie wiedząc o tem, składali gruby haracz swej hojności w dani nawzajem swych lokajów obsypując złotem.

Tak było przez lat kilka, aż fortuna cała pańska, jak studnia w lesie, tak się wyczerpała, że panowie klnąc szczęście, które wiecznie mami, zostali swych lokajów dawnych lokajami.

I czy wiecie, najmilsi, co się potem działo?

Jan mniej na piwo dawał a Mikołaj mało, i sadzili się znowu (wiedząc, co jest bieda) kto mniej da z nich obydwóch a kto wcale nie da...

A Lolo i pan Wacław stojąc w przedpokoju, klną dziś swą nieopatrzność, a z przeszłości krajów wyciągając wspomnienie z dawnych wspomnień roju, widzą, że byli głupsi od własnych lokajów.

Froter.

* *Z pamiętników frotera.*

...Niema nic okropniejszego, jak być głodnym! A przyznam się w sekrecie, że to się przytrafia mi bardzo często. Szczególniej zaś głupio jest być głodnym wówczas, kiedy się jest wynajętym młodzieńcem, specyjalnie dla obtańcowywania panien i niepanien, jak to ma miejsce w karnawale.

Miałem właśnie tego rodzaju zdarzenie.

Mój doskonały znajomy *Muchasz* zaproponował mi, abym z nim razem udał się na bal do państwa bankierowstwa Ezelszwarców, gdzie gospodarstwo oprócz wielkiej dozy uprzejmości, posiada pyszną kuchnię i niezgorszą piwnicę.

Wyfraczywszy się przeto w wynajęty kosztem Muchasza garnitur, ufryzowany i wypachniony, ale dyjabelnie głodny wkroczyłem w salony państwa Ezelszwarców, a zarekomendowawszy się gospodarzowi o wielkim garbatym nosie, wielkim brzuchu i małych strzyżonych faworytach, gospodyni w peruce i jej córeczce bez peruki, zacząłem wyprawiać harce mazurowe, walcowe i polkowe, wedle kolacyi i wypitku. Otyły gospodarz uznawał najwyraźniej moją pracę, oblewaną krwawym potem, bo po każdym tańcu ściskał mnie za rękę, dolewał wina, co mówiąc nawiasem sprawiało mi jeszcze większą czczość w żołądku, omal nie przyprawiało o kurcze i mówił, nadymając dolną wargę:

— Pan bardzo lepiej tańcuje, na honor, pan tańcuje, jak prawdziwy Robinzon Kruzoe...

— Ależ panie dobrodzieju! zawiele... niezasłużenie...

— Ja panu co powiem... żeby pan tak zatańczył z moją córką *pas de trois*, ten węgierski taniec... jak to on sobie nazywa...

— Czardasza!

— A tak czardasza! to w Paryżu to jest bardzo modne. Pan nie buł w Paryżu?

— Nie, panie dobrodzieju ..

— Ja panu co powiem, tam w Paryżu to cały *demimonde* tańcuje czardasza, jest to ulubiony taniec francuzów, tam każda żona z mężem to *pas de trois*... Moja córka jest wikształcone w Paryżu, ona tam sobie tak wirobiła na takie dame, co jak chodzi, to tony wipuszcza... Czy pan da wiarę, co ona jest taka Dżiura do tańca, co niech sze nawet sam Leonardo de Vinci schowa!

— Bardzo wierzę, panie dobrodzieju...

— Mój panie, niech pan wikręci jej tego czardasza!

Z całą radością!

Skoczyłem do panny Reginy, ukłoniłem się z gracyją, aż mnie coś w żołądku zabolało i zaproponowałem jej węgierski taniec.

Muzyka zagrała czardasza, a ja i panna Regina trzęśliśmy się oboje, jak w febrze, wyrzucając nogami i przytupując, bez względu na moje pożyczone lakierki.

Nareszcie skończyliśmy. Zmilkły ostatnie akordy, a natomiast posypały się oklaski i okrzyki uwielbienia: pisznie! wiszmienicze!

Pot kroplisty wystąpił mi na czoło, a żołądek mój był tak pusty, jak głowa pewnego *antisemity*.

Ha! otóż i kolacyja!

Stoły zastawione, aż gną się od ilości potraw, a były tam i kotlety i pieczeń wołowa i kurczęta i inne jadła chrześcijańskie, któreby z apetytem wsuwał nawet sam pan fejletonista od „Posterunku", ażby mu się uszy trzęsły...

— Panie łaskawy! mi tu sobie przy osobnym stoliku damy radę lepiej; pan mi sze bardzo podobał, pan jest istny Muma Pompyljusz...

Usiedliśmy. Ja zacząłem koncert. Sałata, pieczeń, kurczaki, wszystko to nikło w mojej

buzi, jakby rzucone w krater Wezuwijusza, a gospodarz przyglądał mi się ze zdziwieniem.

— Jak widzę, to pan lubi córki pani kury? ha, ha, ha! roześmiał się pan Ezelszwartz.

— Niby .. kurczaki? nadzwyczaj szepleniłem mając otwór ustny zatkany ogromną kością.

Nareszcie pan Ezelszwartz odszedł na chwilę zabawić swoich „*goszczów*". Skorzystałem z samotności i połykałem, co się dało, tak że przez omyłkę chwyciłem szklanny korek od karafki i chciałem rzucić go w usta...

Poczem, zasłaniając chustką piersi, zrobiłem zręczny ruch... ot, skorzystałem z samotności...

Pan gospodarz powrócił. Kolacyja się skończyła, wszyscy zaczęli wstawać, muzyka uderzyła w puzony i tany się rozpoczęły. Postanowiłem wymknąć się cichaczem...

Naraz powstaje harmider iście bóżniczny.

— Gewałt! gewałt! krzyczy jedna z dam, ktoś mi wikradł brylantowe śpilke!

Zaczęły się poszukiwania, ale nadaremne. Wówczas na propozycyję gospodarza wszyscy pozwalają się rewidować.

Zcierpłem, zbladłem jak opończa beduina Chciałem się wymknąć niepostrzeżenie: nie było sposobu. Panowie ustawili się w rząd, a gospodarz rewidował, przemawiając ciągle:

— Przebaczcie panowie za przykroszcz,ale...

Do mnie było jeszcze dwóch... Krew mi uderzyła do głowy, czerwieniałem jak rak, ma się rozumieć gotowany i trząsłem się jak na mrozie...

Po chwili nic już nie czułem, nic nie widziałem, tylko jedną rękę pana Ezelszwartza, sięgającego do bocznej kieszeni mego wynajętego za rubla „na chwilę" fraka. Łydki moje uginały się jak trzęsawisko błotne.

— Jest! krzyknął pan Ezelszwartz i wyciągnął mi z kieszeni chustkę do nosa, w której był owinięty jakiś przedmiot. Wszyscy otoczyli nas kołem.

— Jeszcze czepłe szpilkes — rzekł pan Ezelszwartz i począł rozwijać chustkę.

Oczom obecnych przedstawił się niezwykły widok, którego nawet i u Preuschera by nie ujrzeli.

W chustce zawinięte były dwa, nie dość symetrycznie ułożone, kotlety i kawałek pieczeni.

Tak, były to płody chwilowej samotności przy stole, które ukryłem, dbały o jutro...

— To z restauracyi — bąknąłem niewyraźnie, rumieniąc się po same kamaszki...

— Ha, ha, ha! śmiał się pan Ezelszwartz, pan masz dobry apetyt... kiedy przynoszysz z sobą kotlety... ale weź pan, bo to *tryfne*... rzekł pan bankier, oddając mi moje produkta spożywcze. Pan jesteś na tem polu istny Leonard Lwie Serce!...

Saltomortale.

Fryderyk Wielki.

* — Pułkowniku Billerbek — zawołał podczas parady w Potsdamie Fryderyk Wielki. Gdy ten podszedł, król dodał:

— Dlaczego się nie żenisz? O ile słyszę, nic ci nie brakuje, prócz bogatego ożenienia.

— Najjaśniejszy panie, to tak łatwo się nie robi. Właśnie brak majątku nie pozwala mi myśleć o ożenieniu.

— Wiesz co — rzekł król — ja ci wyszukam żonę taką, jakiej ci potrzeba. Mundur ci do twarzy, więc jakoś to pójdzie. Gotuj się do podróży, a jutro rano przychodź do mnie.

Powiedziawszy to król odwrócił się i odszedł.

Pułkownik nie mógł zdać sobie sprawy z tego, co uczuwał, ale słuchać trzeba było. Nazajutrz stał przed królem z sercem mocno bijącem.

— Posłuchaj mnie — rzekł król — kraj nasz nie obfituje w ludzi bogatych, a tu dowiaduję się, że radca Stecher teraz w Saksonii dobra kupił, gdy przecież cały swój wielki majątek tu w kraju zebrał; otóż radca chce obie córki w Saksonii wydać za mąż za dwóch braci Witslebenów. Na to ja w żaden sposób pozwolić nie mogę, musi jedna przynajmniej

w kraju zostać. Oto masz list do radcy Stechera, jedź do niego i żeń się z jedną z jego córek, obie są śliczne jak słyszałem.

Myśli wirowały w mózgu biednego Billerbeka, ani słowa nie był w stanie przemówić, w głowie mu szumiało, jakby w niej dzwony biły. Milczący ukłon był jedyną odpowiedzią, na jaką się zdobyć potrafił.

— Cieszy mnie — rzekł król — że jesteś zadowolony z mego projektu. Zrobisz dobrą partyję, ale staraj się być prędko z powrotem.

Pułkownik niebawem znalazł się w ogrodzie Sans Souci, niewiedząc jak się z zamku wydostał. List do tajnego radcy Stechera trzymał w ręku. Usiadł na ławce, położył go przy sobie i wlepiał weń oczy.

— Wolałbym — mruknął nakoniec — być posłanym w ogień nieprzyjacielski, jak na spotkanie z temi dwoma kobietami. Ale muszę słuchać!

Powstał zbierając odwagę i o południu dnia następnego stała ekstrapoczta przed zamkiem w Benchlitz, gdzie mieszkał radca tajny, ojciec dwóch córek.

Pan radca zrobił wielkie oczy, zobaczywszy pismo królewskie. Nakoniec wybąknął zaambarasowany:

— Hm, zła sprawa; i cóż ty na to powiesz, pułkowniku?

— Nic nie wiem — odparł tenże — muszę spełnić rozkaz króla.

— Ale jeżeli żadna z moich córek pana nie zechce?

— Panie radco, racz mi oszczędzić przykrych słów — wyrzekł Billerbek, który od widzenia z królem był w stanie ustawicznego rozdrażnienia.

Radca prosił gościa na obiad, nie ukrywał wszakże przed nim, że obaj Witslebenowie, jeden pułkownik, drugi właściciel ziemski, znajdowali się u niego w gościnie.

— Tem lepiej — myślał w duchu Billerbek, tem prędzej sprawa się rozwiąże.

Obiad zszedł spokojnie, ale pretendentowi z woli królewskiej tchu wciąż brakowało. W końcu nie mógł wytrzymać, a ponieważ panny mu się podobały. zwłaszcza młodsza, Henryka, więc przemówił, opowiadając dane mu poselstwo Na to pułkownik Witsleben, narzeczony Henryki, zerwał się z wściekłością i ledwie go uspokojono. Billerbek starał się czytać na twarzach panien, ale mu się nie powiodło. Jego własne serce przemawiało za Henryką, ale gdy po dniach kilku wyznał, że mu się ona podoba, narzeczony wyzwał go na pojedynek, czemu Henryka przeszkodziła, oświadczając, że głęboko i stale kocha narzeczonego, a Billerbek jest jej zupełnie obojętny.

Po długiej walce, nie wiedząc co począć, napisał Billerbek do króla i następną odebrał odpowiedź:

„Na pytanie twoje mogę ci to tylko powiedzieć: bierz starszą, jeżeli młodszej wziąść nie można. Pieniądze Stechera nie mogą wyjść z kraju; zresztą zastanów się, że nie po to cię tam posłałem, żeby na dudka być wystrychniętym. Ciebie i mnie toby skompromitowało. Czekam cię wraz z żoną“.

Odpowiedź przyszła do Benchlitz, gdy się już okoliczności zmieniły. Na Karolinie zrobiła wrażenie marsowa postać pułkownika, tem łatwiej, że tylko słuchając woli ojca, miała zostać żoną Witslebena. Gdy to zauważył Billerbek, oświadczył się i za zgodą narzeczonego dwa wesela się odbyły.

Gdy wkrótce potem pułkownik zaprezentował młodą żonę w Potsdamie, powiedział mu król: „Bądźcie szczęśliwi, by nie powiedziano, żeśmy obaj głupstwo zrobili“.

* *Kuzyn Fryderyka Wielkiego.*

W burzliwy poranek jesienny stał król Fryderyk Wielki w oknie swego gabinetu i patrzył w zamyśleniu na ogród. Przed chwilą odebrał niemiłe wiadomości od przyjaciela, hrabiego Keith, a spustoszenia, porobione przez wiatry

jesienne na kwiatach i drzewach, jeszcze go smutniej usposabiały.

Raptem zobaczył człowieka, zbliżającego się pośpiesznie wielką aleją. Człowiek ten wskoczył na taras i stanął przed oknem, w którem stał król, jak gdyby chciał uwagę jego zwrócić na siebie. Gdy oko monarchy spoczęło na nim, skłonił się nizko i zaczął spacerować po tarasie, jakby kogoś szukając.

To dziwne zachowanie zaciekawiło króla, który wysłał do nieznajomego pokojowca z zapytaniem, czego chce i kogo szuka. Po chwili służący wrócił z wiadomością, że młody człowiek szuka swego kuzyna.

— Swego kuzyna — zawołał król — idź i spytaj jego, kto jest jego kuzynem i jak się nazywa?

Sługa poszedł, a król zajęty rozmową z margrabią d'Argens, dyrektorem akademii umiejętności, już prawie zapomniał o tej sprawie, gdy pokojowiec znowu uchylił drzwi i nieśmiało zameldował, że ów człowiek oznajmił, iż sam nie wie, jak się jego kuzyn nazywa i gdzie go ma szukać.

— Więc to waryjat — powiedział król.

— Nie, najjaśniejszy panie, mówi zupełnie rozsądnie.

— Wpuść go tu, chcę go sam spytać o tego kuzyna.

Pokojowiec znikł i zawołał wkrótce, meldując:

— Najjaśniejszy panie! Doktór Woldemar.

Król spojrzał ciekawie na młodzieńca dwudziestokilkoletniego, słusznego wzrostu, który mimo cywilnego ubrania złożył ukłon wojskowy a potem wyprostowany stanął przy drzwiach.

Zmierzywszy nieznajomego poważnym ale dość łaskawym wzrokiem, spytał król:

— Służyłeś w wojsku?

— Tak, najjaśniejszy panie — odpowiedział śmiało młodzieniec — byłem żołnierzem, biłem się pod Maxen, Lignicą, Torgawą i na polu bitwy dostałem nominacyję na oficera wraz z dymisyją, bo mi prawą rękę przestrzelono.

— I co teraz robisz?

— Na nieszczęście nic, najjaśniejszy panie, jestem doktorem bez praktyki i pacyjentów.

— I szukasz swego kuzyna, jak słyszałem. Dlaczego szukasz go tu właśnie?

— Najjaśniejszy panie — mówił młodzieniec onieśmielony — nie wiem doprawdy, co mam powiedzieć. Wiem tylko, że muszę mieć kuzyna. Potrzebuję go, obejść się bez niego nie mogę. Każdy ma swego kuzyna i ja go mieć muszę: ale musi to być człowiek wpływowy, wysoko stojący; człowiek, któryby mógł rozdawać posady i mnie jedną obdarzyć.

— Nie radzę ci próbować niedorzecznych żartów — zawołał król, którego oczy gniewem błysnęły i dodał rozkazująco:

— Tłómacz się jasno, nie rozumiem tych bredni.

— Najjaśniejszy panie — mówił młodzian stłumionym, błagalnym głosem — czy chcesz mi wyświadczyć łaskę i wysłuchać cierpliwie? A gdy król skinął głową, dodał: — Pragnę mieć kuzyna, gdyż widzę, że tylko przez stosunki można dojść do czegoś.

— Co znowu — rzekł monarcha — dzielny człowiek sam daje sobie radę i niczyich protekcyj nie potrzebuje.

— I ja to sobie mówiłem, a jednak nic mi się nie wiedzie. Czuję w sobie zdolność i odwagę do pracy. Egzamina zdałem z odznaczeniem, dyplom otrzymałem, a mimo to, gdy pragnąc zużytkować moją wiedzę zacząłem się ubiegać o miejsce (opróżnione) naczelnego doktora przy miejskim szpitalu, przeniesiono nademnie nieuka, który dwa razy nie zdał egzaminu, bo ten nieuk ma kuzyna głównego sztabowego lekarza. Wtedy to powiedziałem sobie, muszę wyszukać sobie kuzyna i przybiegłem tu w nadziei, że go może znajdę.

Król milczał i badawcze oko wlepił w mówiącego. Ten zniósł spokojnie to wejrzenie, a król spytał po chwili:

— Gdybyś i znalazł tego kuzyna, to zkąd on ma wiedzieć, czy naprawdę jesteś bieglejszym lekarzem, jak kuzyn lekarza generalnego sztabu?

— O tem mógłby się łatwo mój kuzyn przekonać, najjaśniejszy panie. Niech tylko przejrzy moje papiery i zasięgnie o mnie wiadomości. Ja żadnego badania się nie lękam!

Powierzchowność młodzieńca, który w ciągu rozmowy opowiadał, jak z miłości dla króla i ojczyzny został żołnierzem i bił się walecznie, podobała się monarsze. Kazał przywołać lekarza generalnego sztabu dla wyegzaminowania go.

— Jestem — rzekł, patrząc na Waldemara — jego kuzynem i chciałbym mu dopomódz.

Skutek był przewidziany, lekarz musiał oddać sprawiedliwość nauce młodzieńca, który otrzymał żądane miejsce i na całe życie został przezwany kuzynem Fryderyka Wielkiego.

* Pewnego dnia, gdy Fryderyk Wielki ujrzał wchodzącego swego lekarza, rzekł do niego: „Powiedz mi doktorze szczerze, wielu zabiłeś ludzi w swem życiu?“ „Najjaśniejszy panie“, odrzekł lekarz, „blizko trzykroć sto tysięcy mniej, jak wasza królewska Mość; nawet z mniejszą sławą“ — dodał w tej chwili.

* Kiedy sprawdzono nareszcie płeć kawalera Eon, który był powszechnie znany jako kobieta, a jako mężczyzna bardzo ważną rolę w polityce odgrywał, odezwał się szyderczo Fryderyk Wielki do francuzkiego poselstwa: „To tak kiedy ma się do czynienia z francuzami, z początku można myśleć, że ma się mężczyzn przed sobą, później spostrzegamy, że to są tylko.. kobiety“.

* Podczas wojny siedmioletniej, gdy w jednej bitwie król Fryderyk II został pokilkakrotnie od szańca odparty, wyskoczył z szeregu prosty żołnierz, zwracając uwagę dowódzców na parę przeszkód, których w ogniu walki nikt nie zauważył. Krzyczał głośno i tem głośniej, im bardziej go, jako niepowołanego, do spokoju i ślepego posłuszeństwa wzywano.

„Zuchwalec, czy będzie nakoniec milczał?“ zagrzmiał głos nadchodzącego króla.

„Najjaśniejszy panie“, odparł grenadyjer, „z nie zuchwałymi wasza królewska mość nie weźmiesz szańca.“

Król poparł go, wysłuchał, pochwalił jego przełożenie i — wziął szaniec.

* Gdy król Fryderyk II objeżdżał z bratem Henrykiem zdobytą w siedmioletniej wojnie część Szlązka, zajechał pewnego dnia do jakiegoś klasztoru. Przeor, który wyszedł na spotkanie, polecał klasztor względom monarchy i prosił o pozwolenie przyjmowania nowicyjuszów. Król zezwolił łaskawie dodając, że sam mu dwóch nowicyjuszów przyśle.

„Poślemy mu“. rzekł król w języku francuzkim do brata, „dwa młode woły.“

„Dziękujemy najpokorniej, miłościwy panie,“ rzekł przeor, który po francuzku rozumiał, „i w dowód naszej wdzięczności“, dodał z miną prostoduszną, „nowicyjuszom, których wasza królewska mość przyśle, damy imiona: Henryk i Fryderyk.“

* Fryderyk II, król pruski, wielki zwolennik ateizmu, chełpił się z tem razu jednego przed panem d'Arnaud-Baculard, który wręcz przeciwne zdradzał usposobienie.

— Więc pan naprawdę trzymasz się jeszcze tych zastarzałych przesądów? — pyta w końcu zniecierpliwiony monarcha literata.

— Bezwątpienia, Najjaśniejszy Panie, albowiem ja potrzebuję koniecznie wierzyć temu, że jest ktoś starszy od królów.

Encyklopediana.

* Do ulubionego pułku gwardyi Fryderyka II zaciągnięty był, jako rekrut, olbrzymiego wzrostu Szlązak, nieumiejący ani słowa po niemiecku. — Dowódca pułku wiedział, że król lubi często rozmawiać poufale z żołnierzami, zapytując się ich zwykle: Ile ma lat? — jak długo w wojsku służy? — i czy rodzice jego żyją? —

Będąc przeto pewnym, że taki wielki drab królowi w oko wpadnie, kazał go nauczyć odpowiedzi po niemiecku na zapytania zwykle, jak wyżej, po kolei dawane — to jest: na pierwsze, ile ma lat, rekrut miał odrzec 26; na drugie, długo w wojsku służy? odpowiedź 2; — czy rodzice żyją? — oboje. Te odpowiedzi zawierały się w trzech słowach: *sechs und zwanzig — zwei — alle beide*.

Istotnie, król, spostrzegłszy olbrzymiego rekruta, stanął przed nim i zapytał, zmieniając zwykłą kolej:

— Ile lat w wojsku służysz?

— *Sechs und zwanzig.*

— Ile masz lat?

— *Zwei.*

— Alboś ty głupi, albo ja — rzekł król, rozgniewany odpowiedziami.

— *Alle beide* — dokończył rekrut.

Fryderyk Wilhelm IV.

* W roku 1857 przypadło wielkie polowanie w królewskich lasach w Marchii, na które cesarz Wilhelm IV posłał zaproszenie prezesowi ministrów, hrabiemu Manteuffel i jenerałowi feldmarszałkowi Wrangel.

Na skraju lasu, w niedalekiej odległości od siebie ustawieni, czekali myśliwi na pojawienie się zwierza, zamiast którego zjawił się żandarm na koniu i skłoniwszy się grzecznie panu Manteuffel przemówił:

„Czy mogę prosić o pokazanie pozwolenia na polowanie.“

„Pozwolenie?“ zapytuje jego ekscelencyja. Minister, co prawda, słyszał nieraz w izbie nudne mowy o prawach polowania, ale dotąd nie potrzebował myśleć o nich i nie był w posiadaniu tak nieodzownego w Prusach dokumentu. Powiedział więc, że niema żadnego.

„To nie dobrze,“ rzekł żandarm i mówiąc to, otworzył czerwony pugilares, który usłużnie i ciekawie z pod płaszcza wyzierał. „Nazwisko pańskie?“

„Jestem prezesem ministrów, hrabią Manteuffel.“

Żandarm skłonił się z konia i spojrzał niedowierzająco na jego ekscellencyję.

„Nie mam zaszczytu znać ekscellencyi,“ zauważył. „Czy masz pan papiery legitymacyjne?“

Jego ekscellencyja zaczął szukać z przodu i z tyłu we wszystkich kieszeniach, ale pomimo że był zazwyczaj po uszy w papierach zagrzebany, nie znalazł ani jednego świstka.

„Widzę, że nie mam żadnego papieru legitymacyjnego przy sobie, ale tam oto pod drzewem stoi mój dobry znajomy, ten poświadczy tożsamość mojej osoby.“

I ekscellencyja na czele świty zwrócił swe kroki ku owemu znajomemu.

Żandarm skłonił się i scena się powtórzyła.

„Czy mogę prosić o pozwolenie na polowanie?“ wyrzekł.

„Co ci przychodzi do głowy, nie mam żadnego,“ mówi generał Wrangel, bo nim był zagadnięty.

Znowu ukazuje się czerwona teka, żandarm ślini ołówek i zarzuciwszy cugle na ramię, zaczyna z roli przedstawiciela prawa i rządu wpisywać indywidua, nieposiadające potrzebnych papierów.

„Czy mogę spytać o nazwisko?“

„I owszem, jestem generał feldmarszałek Wrangel.“

Żandarm drgnął i przybrał wojskową postawę.

„Nie mam zaszczytu znać pana generał-feldmarszałka,“ przemówił, „a obowiązek zmusza mnie prosić o papiery legitymacyjne.“

„Do dyjabła, panie żandarmie, jeżeli mówię, że jestem Wranglem, to nim jestem naprawdę. Czy mnie zrozumiałeś? Któż ci winien, że mnie nie znasz?“

„Ekscellencyjo, nie mam tego zaszczytu, muszę więc powtórzyć żądanie papierów legitymacyjnych.“

„Do kroćset dyjabłów! zostaw mnie w pokoju ze swoją legitymacyją, albo poczekaj, ten pan, którego przyprowadziłeś, może mnie legitymować. Mon cher Manteuffel.“

Kochany Manteuffel stał opodal, ciesząc się ambarasem przyjaciela. Nic nie odpowiadając, wzruszył ramionami.

„Pan ten“, odrzekł żandarm. „spodziewał się właśnie, że ekscellencyja potwierdzisz tożsamość jego osoby.“

„Przeklęty interes!“ mruknął Wrangel. „Cóż poczniesz żandarmie, gdy ani temu panu ani mnie wierzyć niechcesz?“

„Muszę prosić, aby panowie szli ze mną do wsi do pana Landrata, a ten może...“

„Jeszcze czego, ani myśl o tem. No, Manteuffel, panie radco stanu, poradź tym razem sam sobie.“

„Podług mojego zdania,“ rzekł prezes ministrów „nie pozostaje nam jak *faire bonne mine à mauvais jeu* i poddając się prawu, iść do Landrata.“

„Co znowu, nie myślę dla głupstwa opuszczać stanowiska. Szczwacze lada chwila napędzą zwierza, a ja poszedłem w zakład że... Ale wiesz co, Manteuffel?“

Śmiejąc się, szepnął coś do ucha prezesowi, ten rozśmiał się również i skinął głową potwierdzająco.

„Słuchaj, panie żandarmie,“ rzekł Manteuffel, „idziemy z tobą; ale tam opodal pod lasem stoi nasz towarzysz polowania, spytaj jeszcze jego o papiery, a wtedy wszyscy razem pójdziemy do twego Landrata. Ten się dopiero ucieszy.“

Gdy doszli do miejsca, mężczyzna okazałej postaci, w prostym stroju strzelca z lunetą w jednej a fuzyją w drugiej ręce oczekiwał uśmiechając się. Już zdaleka widział zbliżających się za pomocą perspektywy.

Żandarm podjechał, kłaniając się uprzejmie. „Proszę o świadectwo na polowanie.“

„I owszem, i owszem.“

Sięgnął pan do bocznej kieszeni i wyjąwszy papier, podał żandarmowi.

Żandarm go rozwinął, ale w tejże chwili zeskoczył z konia i prowadząc go lewą ręką, ze czcią go zwrócił.

Było to formalne pozwolenie, wydane dla jego cesarskiej mości Wilhelma IV.

„Racz mu powiedzieć, najjaśniejszy panie, kim jesteśmy, żeby nam nie przeszkadzał wrócić na stanowisko,“ rzekł generał Wrangel.

Król roześmiał się rozweselony: „Przyjacielu, znam tych panów i ręczę za nich,“ wyrzekł, „czy to wystarcza?“

Żandarm skłonił się i na skinienie monarchy zniknął.

„Moi panowie,“ rzekł Wilhelm IV, „wracajcie na stanowiska. A jak będziecie się drugi raz wybierać na polowanie, nie zapominajcie o papierach.“

Fryne.

* Najsłynniejsza zalotnica starożytności zaproponowała Tebańczykom, że własnym kosztem odbuduje ich stolicę, jeśli położą następujący napis na bramach: „Aleksander zburzył Teby a zalotnica Fryne odbudowała je.“

Fryzyjer.

* Piękna margrabina de Beaumont siedziała w swym buduarze z młodym tenorem, który o każdej porze dnia miał wstęp do niej. Oczekiwała na swego fryzyjera, niecierpliwiąc się opóźnieniem.

— Może pani pozwolisz mi go zastąpić — spytał śpiewak.

— Alboż pan umiesz trefić włosy? — spytała margrabina.

— Tak, trochę. Na prowincyi nie zawsze dobrego fryzyjera można mieć pod ręką i nieraz trzeba samemu sobie wystarczyć.

— Sprobujmy więc — zawyrokowała śmiejąc się margrabina.

Śmiała się jeszcze minut parę; ale im dalej awansowała fryzura, tem piękna pani stawała się poważniejszą, w końcu niespokojną i surową.

Nakoniec zerwała się z krzesła i pokazując drzwi nazbyt zręcznemu tenorowi, zawołała:

— Widzę, że pan byłeś poprzednio fryzyjerem.

W istocie biedak zapomniawszy się, zdradził się ze swem przeszłem powołaniem.

* Jedna starzejąca się kokietka, o bardzo bujnej wyobraźni, wmówiła w siebie, że obfita fryzura, pokrywająca jej głowę, jest jej istotną własnością. Otóż na wieczornem zebraniu powiada do gospodyni:

„Nie uwierzysz moja droga, ile woli musiałam użyć, chcąc przybyć na twe zaproszenie. Mam okropną migrenę z winy fryzyjera, który przez trzy godziny układał mi włosy".

„Ba!" rzekł stary przyjaciel damy, śmiejąc się: „co to pani mogło zaszkodzić, kiedyś przy tem nie była."

Fujara.

Na fujarze. Z motywów ludowych

Gdzie są oczy, owe oczy
Błękitne,
Te uśmieszki i te rzeczy
Tak szczytne,
Te gdaczące po ogrodzie
Kokoszki,
Te tiurniury i te bez szwu
Pończoszki?
Jako liście gdzieś się wszystko
Rozwiało,
Dziś w ogrodzie bardzo mało
Zostało,
Że już w „letnim tym salonie
Warszawy"
Brak miłostek i tej niby...
Zabawy.
Smutny łażę po ogrodzie
Jak zbity,
Nie przyjmują już półsłówek
Kobiety.
A chociażbym i zanucił —
Daremno,
Zimno, chłodno, wszystko na nic,
Choć ciemno.
Łzawe oko wznoszę w górę
Niekiedy,
Kędy stoi nagi posąg
Velledy,
Kędy liście z wiatrem płyną
Myśl bieży,
Czemu lepszej brak posągom
Odzieży?
Biedne takie te posągi
Obdarte,
Nosy zbite, mają brzuchy
Wytarte...
Więc mi znowu o nich piosnka
Wzrok łzawi,
Kto i kiedy te posągi
Naprawi?
Płyną wiatry, a i myśli
Jesienne,
Takie jakieś w liczbę wierszy
Brzemienne
Na fujarze płyną lotnie,
Tak szparko,
Jako Stenia polemika
Z Poczwarką.
Coś pierś pali mi jak gdyby
Zarzewiem,
O co chodzi temu państwu,
Ja niewiem,
Niechaj sobie więc prowadzą
Wciąż swary,
To im tylko wydmę jeszcze
Z fujary:
Iż skończyłem swoje głupstwo
Z tą wiarą,
Że mnie za nie nikt nie nazwie
Fujarą.

Duduś. (p str. 30).



Gadanie.

Szumieć—to wiatru przeznaczenie,
Śpiewać cel ptaków ma gromada;
Parlament w Wiedniu—nie jest wiatrem,
Ni ptakiem; on wciąż gada.

Wciąż w nim, jak w młynie, turkot słychać
I huk — aż uszy bolą człeka —
I snać się jeszcze nie urodził,
Kto końca mów doczeka.

Ledwie ten skończył, wstaje drugi,
Szalona zaś u wszystkich swada;
Mijają dnie, tygodnie schodzą —
Parlament ciągle gada.

Rwie już z rozpaczy siwe włosy
Przewodniczący na wyżynie;
Lecz tu sam Pan Bóg nie pomoże
Mów potok ciągle płynie.

Ci bielą, tamci znów szuwaksem
Na wszystkie rozbryzgują strony;
A same to Demostenesy
I same Cycerony.

Ba! Pewnie wielkie też ideje
Oracyjom onym służą za tło;
Dobro narodów, bieg historyi,
Nauki szczytne światło.

Pewnie porusza ich języki
Potężne hasło i zasada,
I to przyczyną, że parlament
Wciąż gada, gada, gada.

Pewnie... W tem głos mi jakiś chłodny
Przerwie: Ta pewność bardzo krucha,
Z innego źródła powódź gadań
Gwałtownie tak wybucha.

Na widok żłobu twór wszelaki
Szeroko szczęki swe rozwiera;
Przeciągnij teraz paralelę,
A wyjdzie prawda szczera.

Nie cele gorsze, szczytne hasła
Objawu tego są przyczyną;
Z ust, które władzy są spragnione,
Mowy, jak ślinki, płyną.

I wierzaj: nawet Knotz i Plener
Mówić, jak Cycero, przestaną
Z chwilą, gdy zbliżą ich do żłobu,
Który ma władzy miano!
Szczutek.

Gadka.

* *O świegotkach.*

Mieszczka jedna gdy w uszy świegotaniem kole,
Dworzanin tę gadkę jej zadawa przy stole:
„Pytam pani wyłóżcie mi tę tajemnicę,
Gdy kawki kraczą, po czem poznawać samicę?"
Rzecze nie spostrzegłszy się: „Panie Komor- [niku,
Głośniej wrzeszczy niż samiec, poznać ją po [krzyku."
W. Kochowski. (p. str. 49).

Gadatliwość

* Gdy kobieta bez ładu i szyku skradzionemi wyrazami skrzeczy o tem, czego wcale nie rozumie, jest to kobieta-sroka. Czasem rozśmieszy, ale w końcu zawsze zniecierpliwi mężczyznę. W młodym wieku są niewysłowioną one wszystkich babuń i dziaduniów pociechą i nadzieją, u nich się też zazwyczaj wychowują. Stara sroka jest zawsze nieznośną.
A. Wilkoński.

* Fizycy utrzymują, że ciało w nieskończoność nie da się dzielić, ale że nareszcie przychodzi na atomy, które się już więcej dzielić nie dadzą. Kobiety, przeciwnie, umieją przedmiot w nieskończoność rozdrabiać i rozbierać i nigdy nie przyjdą na atom, gdzieby milczenie nastąpiło—i nic się już więcej powiedzieć nie dało.
K. Liebelt. (p. str. 275)

Gadulstwo.

* Sztuka, nie wymagająca żadnych studyjów, z której wielu ciągnie niepomierne korzyści. Najwięcej sztukę tę eksploatują kobiety w pewnym wieku, felijetoniści i niektórzy ekonomiści. Dziwnym biegiem losu sztuka ta idzie zawsze w parze z pustotą myśli.

* Jakiś wielki gaduła, wynudziwszy Arystotelesa swoją bezsensowną paplaniną, zapytał w końcu, czy go nie zadziwiło to tak ciekawe opowiadanie?

Arystoteles odrzekł z powagą:

— Jeśli mię co dziwi, to chyba to, że ludzie, mając nogi do zmykania, wystawiają swoje uszy na słuchanie podobnych bredni.

Gaduła.

To mi to gęba nielada,
Nie żal jej nadstawić ucha!
Jakże płynnie zawsze gada,
Kto sen stracił, niechaj słucha.

* *Na Stanisława gadułę.*

Gadasz trzy po trzy we śnie, trzy po trzy na [jawie,
Kiedy śpisz? kiedy nie śpisz? powiedz Stani- [sławie.
Jan Kochanowski. (p. str. 14.)

Gach.

* Jak sępy czują, gdzie bitwa zostanie stoczona, gdzie karm znajdą, tak i młodzi eleganci umieją przeczuć z wyrazu nosa pana męża lub żony, kiedy mogą mieć powodzenie.
Szpargały wiosenne.

Galanteryja.

* Księżna M., znajdując się w obecności ambasadora tureckiego, oburzała się na prawo Mahometa, dozwalające wielożeństwa swym wyznawcom.

— Wolno nam mieć kilka żon — odpowiedział z galanteryją ambasador — abyśmy w nich mogli znaleźć choć pojedyńczo zalety, jakie pani w swej osobie jednoczysz.

Gapy w tramwajach.

* Zdawałoby się, że tramwaje przeznaczone są do przewożenia wyłącznie tylko ludzi. O nie, tak nie jest; sądząc bowiem po ciągłych kradzieżach, jakie w tramwajach miewają miejsce, dochodzimy do przekonania, że w nich jeździ bardzo dużo ptaków, zwanych w zoologii gapami. (*Sula parva*).

Garbaty.

* Uczony, ale od urodzenia ułomny człowiek, przechadzając się po ogrodzie, usłyszał, że dwaj panicze, idący za nim, nazwali go Ezopem. Obróciwszy się więc do nich, rzekł: „Macie słuszność, panowie, że ja jestem Ezopem, gdyż nawet bydlęta przyprowadzam do tego stanu, że mówią.“

Śmieszek.

Garkuchnia.

* W jednej z niższorzędnych jadłodajni gość znajduje włos w zupie. „Pani gospodyni,“ woła z oburzeniem, „proszę patrzeć, jaki czarny włos znalazłem w zupie.“

Gospodyni. Ej, co za grymasy! Panowie toby może chcieli, żebym dla nich umyślnie szukała jasnej blondyny na kucharkę!

Flieg. Blät.

Garrick.

* Kiedy Garrick był młodym chłopcem, mieszkał u swego wuja, który obsypywał go pieniędzmi, podarunkami, ceniąc w nim niezrównany talent mimiczny.

Stary poczciwiec zauważył jednak, że siostrzeniec opanował go zupełnie i roztrwania jego dobro wedle swego widzi mi się, rzekł więc do niego opryskliwie:

„Słuchaj no, nie chcę cię więcej widzieć, ani słyszeć, robisz ze mną, co ci się podoba, kiedy chcesz płaczę, śmieję się znów wtedy, kiedy żadnej nie mam ku temu ochoty! — Od tego czasu napisz do mnie, jeśli czego będziesz potrzebować, a ja ci listownie odpowiem, gdyż patrząc na twoją twarz, niemogę zachować własnej woli!“

Czyż w tych słowach nie było najwyraźniejszego uznania dla potęgi talentu Garricka?

Garnitur angielski.

Była to niedziela majowa; piękny poranek wróżył śliczny dzień a z nim ciepło i inne przyjemności gratisowe. Zerwałem się ze snu, obudzony jaskrawym promieniem słońca i wyjrzałem na podwórze. Tu cała natura, reprezentowana przez parę dorożkarskich koni, psa i kilka kur, już dawno była na nogach, radując się z nadejścia wiosny. Konie stały spokojnie, pies prowadził wojnę z niesfornemi muchami, kury niby to były zajęte wyszukiwaniem pożywienia, w rzeczywistości zaś spoglądały z pod oka na buńczucznego koguta, który w całej pełni swoich wdzięków, napuszony i wyelegantowany chodził na około swego haremu.

Stałem tak przy oknie długo, zapatrzony w ten maleńki światek i zamyślony o całej wyższości zwierzęcia nad człowiekiem.

Gdy my ludzie, królowie wszelkiego stworzenia — jak nas przynajmniej zanominowali poeci i inni ludzie złej woli — przy nastaniu wiosennej pory łamiemy sobie głowy nad wyszukaniem sposobu zdobycia stosownej odzieży, zwierzęta ani myślą o tak błahej rzeczy.

Pomimo jednak tych myśli filozoficznych, stanęło mi przed oczyma duszy moje opłakane położenie, obiecałem bowiem Józi i Mani, że je dziś zawiozę na Saską Kępę, a tu jak na złość nie zdążyłem jeszcze zamienić mojej powłoki zimowej na wiosenną, a do tego finansowe interesy przedstawiały się jaknajgorzej.

Co tu robić? Co o mnie pomyślą damy, które nie spały zapewne całą noc w oczekiwaniu obiecanej zabawy, a tu nawet myśleć niepodobna o dotrzymaniu obietnicy.

Nagle uszu moich doleciała znana śpiewka: „handel! handel!“ która była dla mnie rajską melodyją w tej chwili.

W kwadrans później, po dokonanej sprzedaży zimowej garderoby i niektórych mniej potrzebnych ruchomości domowych, pędziłem z szybkością amerykańskiej lokomotywy do jednego z renomowanych magazynów, gdzie zaopatrzyłem się w upragnioną odzież.

•
• •

Tej samej niedzieli, w południowych godzinach, po głównej alei Saskiego ogrodu w towarzystwie dwóch dam, przybranych odświętnie,

spacerował niezmiernie szykowny młodzieniec, zwracający ogólną uwagę wyszukanym strojem, składającym się z *bardzo angielskiego garnituru*, czerwonego krawata i innych również interesujących szczegółów. Samotnie przechadzające się dziewczęta z utajoną zazdrością spoglądały na szczęśliwe koleżanki swoje, prowadzone pod ręce przez niedzielnego lwa.

Tym lwem byłem ja!

• • •

Godzina trzecia po południu. Nad Wisłą natłok i zamęt. Publiczność dobija się o miejsca na okrętach, kursujących między Solcem a Saską Kępą. Nareszcie łodzie, przepełnione pasażerami, odbijają od brzegu. Na ostatniej łodzi szykowny młodzian zabawia towarzyszki dowcipnemi uwagami, wiosłując laską i pryskając wodą w oczy sąsiadów. Pragnąc wyzyskać możliwe efekta, staje na brzegu czółna i kołysze nim w sposób, wywołujący szmer niezadowolenia w pośród pasażerów.

— Ej ty paniczu na słomianych nogach! przestań się *chibotać*, bo jak cię lunę w imbryk, to ci się kasza czwartkowa przypomni — woła jakiś *cechowy*.

— Panie Józef! daj pan spokój — prosi Mania.

— Eh! niech dyjabli wezmą taką zabawę — twierdzi energiczniejsza Józia.

Kawaler, widząc wylękłe i rozdrażnione towarzystwo, zaprzestał kołysania łodzi, nie ustępował jednak z zajmowanego stanowiska, uśmiechając się tryumfalnie do udobruchanych towarzyszek.

Nagle łódź z impetem uderzyła o brzeg piaszczysty a nasz bohater, straciwszy równowagę, wleciał do wody!

• • •

Przy brzegu Kępy stoi gromadka ludzi, otaczając siedzącego na przewróconej łodzie jakiegoś osobnika rodzaju ludzkiego, który z powierzchowności mocno przypomina Hotentota. Głowa bez okrycia z przylepionemi do niej mokremi kosmykami włosów, twarz umazana mułem, szyja opasana czerwonym gałganem, z którego sączyła się czerwona posoka.

Człowiek ten siedział ze zwieszoną głową, trąc sobie twarz zabłoconemi rękoma.

Dokoła niego uwagi i zdania:

— A toć mówiłem temu wymoczkowi, aby spokojnie siedział, ma teraz za swoje!

— Panie elegant! zapłać no pan za przewóz bo *zara* odjeżdżam — odzywa się przewoźnik.

— Czem że ja zapłacę, kiedy mi się kieszenie rozkleiły i portmonetka w wodzie została —mówi złamanym głosem przedmiot ogólnej uwagi.

— Ja płacę za te panie — odzywa się jakiś czerwonoręki młodzian — i zapłaciwszy przewoźnikowi, oddala się w głąb Kępy z Józią i Manią, które złożyły nowy dowód zmienności kobiecej.

Przemoczona ofiara zrywa się z siedzenia, spogląda błędnym wzrokiem w około i szepcze do siebie:

— A tom ci się urządził! i zimową odzież dyjabli wzięli i dziewczyny *„puściły mię kantem“*. Machnąwszy ręką, puścił się pieszo lądem do Warszawy, ścigany głośnym śmiechem i szyderstwem gawiedzi.

. . . .

Tym nieszczęśliwym byłem ja!...

Frenio.

Garson przytomny.

* — Prosiłem o wino i o wodę. — Wino jest, a gdzie woda?

— Woda, proszę jaśnie pana, już jest we winie.

Garść prawd.

Wstęp.

Pewien mędrzec mówił: „Gdybym miał pełną garść prawdy w ręku, strzegłbym się bardzo ją roztworzyć.“

Tytuł niniejszej pracy dowodzi, że nie podzielam jego zdania, może dla tego właśnie, że nie jestem równym jemu mędrcem.

Tyle co do zasadniczej treści.

Przejdźmy do formy.

Są ludzie, którzy sądzą, że wtenczas tylko ma się rozum, kiedy się jest zimnym, ociężałym, nakrochmalonym i nudnym. Ci plotą kłamstwa, niedorzeczności i ogólniki, odziani w szaty ciemnej barwy i z minami posępnemi, a widząc, że ich głupstwa, wypowiadane z powagą, drugich tylko rozśmieszyć są wstanie, sądzą się ludźmi potężnymi i zdolnymi. Traktują lekko wszystko, co się wznosi i obmawiają gościnne umysły, do których prawda wcisnęła się nagą, aby wyjść stamtąd wystrojoną. Czy to skutkiem skąpstwa, czy ubóstwa, strój ten ich drażni, tę tylko prawdę uznają za taką, jaka nie zakatarza się w ich zimnych mózgach.

Dowcip nie jest niczem innem, tylko rozumem ustrojonym i uzbrojonym.

„Ride si sapis“ — mówił Marcyjal. (Śmiej się, jeżeliś mądry).

„Nie dość“ — powtórzył Horacy — „przybierać srogą minę i ubierać się licho, jak Kato, aby mieć cnoty Katona.”

„Wiele jest rzeczy, z których naśmiewać się należy” — mówi Tertulijan — „ale prawda tylko ma wyłączne prawo śmiania się; ona jest pogodną i wesołą; żartuje z zazdrosnych, bo jest pewną zwycięztwa.“

Plato, Dyjogenes, Sokrates, Ś-ty Hieronim, Ś-ty Grzegórz lubili nadawać swej myśli postać żywą, dowcipną i wesołą. Papież Benedykt XIV-ty był wielkim lubownikiem facecyj i kalemburów.

„Filozofija jest wesołą“ — powiada Montaigne” — „nie ma ona miny smutnej i nieśmiałej. Ci, którzy badają, czy greckie jakie słowo ma podwójne *l* w czasie przyszłym, niech rozpogodzą czoła. Co się tyczy mów filozoficznych, to one przyzwyczaiły tych, którzy się niemi zajmują, do wesołości i uciechy, a wcale nie do posępności i smutku.“

„Wielu ludzi prowadzi mądrość do Petites Maisons[1])” — mówił książe de Ligne.

Sztuczna powaga jest futerałem rozumnych, albo nadętych mędrców, który rozbiłby się przy najmniejszem uderzeniu, albo zmiętosił i roztrząsł jak tandeta na wolnem powietrzu.

Nie pozwalajmy zamykać się w jaskini Trofonjusza, która wedle podań starożytnych wywierała ten szczególniejszy skutek, iż ci, którzy z niej wychodzili, nie śmieli się odtąd w ciągu całego życia swego.

Są ludzie, i takich wielka jest liczba, którzy pomimo swej miny zadowolenia ze siebie, uważają się za pozbawionych praw wesołości, i mają pewien rodzaj sumienia, szepczącego im, że ich złe uczynki i ich złe zamiary mają swoją śmieszną stronę.

Bądź co bądź, to już moje zdanie; wiele wody upłynęło od chwili, kiedy napisałem:

„Et Minerve n'ose sortir que bien armée du cerveau paternel“. (I Minerwa nie ośmieliła się wyjść inaczej, jak dobrze zbrojna, z ojcowskiego mózgu).

To już moja forma... *chcecie—macie*, nie mogę ani chcę ją zmienić.

Księgi muzułmańskie opowiadają, że Mahomet miał raz interes zajść do Nieba. Nie wiedział, jak się tam dostać. Nadleciały aniołki, które mu ofiarowały powozy, używane w podobnych razach, ale on odmówił rydwanów, skrzydlatych wężów, hippogryfów i t. p. „Jestem przyzwyczajony do mojego osła”, odpowiedział, „nie chcę zmieniać wierzchowca... albo pojadę do nieba na moim osiołku, albo nie pojadę wcale.” Aniołki musiały się poddać.

Co to jest grzeczność?

La Bruyère. Zdaje mi się, że duch grzeczności jest pewnym rodzajem baczenia na to, iżby przez nasze słowa, nasze obejście się, drudzy byli zadowoleni z nas i z samych siebie.

---

[1]) Po polsku do „czubków“, do „Jana Bożego“, do „Bonifratrów“. Na ten raz bogactwo języka wcale smutnie wróży.

Grzeczność nie zawsze natchnie dobrocią, sprawiedliwością, usłużnością, wdzięcznością, nadaje wszelako postępowaniu naszemu cechy tych uczuć i ukazuje człowieka takim *na zewnątrz*, jakim *na wewnątrz* być powinien. Rzeczą jest niewątpliwą, że grzeczne obejście się podnosi wartość zasługi i czyni ją przyjemną, a co większa, że należy mieć bardzo wysokie przymioty, aby można wyżyć bez grzeczności.

La Rochefoucauld. Ale cóż znowu? grzeczność jest tylko pragnieniem doznawania jej nawzajem i pozyskania rozgłosu grzecznego człowieka.

Lord Chesterfield. Ha! ha! ha! czy Francuzi takie tylko o tem mają wyobrażenie? A przecież ja napisałem: „Ileż to wad nie ukrywa często wesoła i swobodna grzeczność francuzka? Wielu z pomiędzy nich nie posiada zdrowego rozsądku, jeszcze więcej, nie ma nawet zwykłego zasobu wiedzy, ale wogóle, tak dobrze naprawiają swe wady swojemi manjerami, że one przechodzą prawie zawsze niepostrzeżone. Mówiłem o tem wielokrotnie i rzeczywiście jestem tego przekonania, że Francuz, który z zasadami cnoty, nauki i zdrowego rozsądku łączy obejście się i grzeczność, wrodzoną temu narodowi, dosięgnął doskonałości ludzkiej natury. Bez grzeczności, wszystkie twoje zalety, cnoty i talenty nie posłużą ci do niczego. Grzeczność jest wynikiem wielkiego rozsądku, pewnego stopnia naturalnej dobroci i poniekąd zaparciem się siebie samego przez miłość bliźniego w nadziei pozyskania dla siebie tegoż samego pobłażania.

Rousseau. Wszystko to obłuda! W twojej grzeczności kryje się więcej występku niż cnoty, jeżeli masz dobre serce, będziesz zawsze dostatecznie grzecznym; jeżeli masz złe, jeden tylko pozostał ci sposób stania się użytecznym dla drugich, a mianowicie: dać im to spostrzedz, aby mogli mieć się na baczności.

Margrabina de Lambert. Grzeczność jest jednym z najsilniejszych węzłów społeczeństwa, albowiem ona przyczynia się najwięcej do zgody: jest ona niejako przygotowaniem do miłosierdzia i naśladownictwa pokory. Grzeczność jest sztuką pojednania w sposób przyjemny tego, co winno się drugim, z tem, co winno się samemu sobie.

Józef Joubert. Grzeczność jest kwiatem ludzkości. Kto nie jest grzecznym, nie jest dość ludzkim.

Grzeczność jest pewnym rodzajem gładkiej powłoki, pokrywającej chropowatości naszego charakteru i niedopuszczającej, aby się drudzy o nie ranili.

Grzeczność jest tem względem dobroci, czem sława względem myśli.

Montaigne. Byłem starannie prowadzony w dzieciństwie mojem, i przebywałem pośród dość dobrego towarzystwa, ażebym miał nie znać praw naszej francuzkiej grzeczności.

Lubię iść w ślad za niemi, ale nie tak tchórzowato, ażebym sobie w życiu miał zadawać przymus. Widziałem często ludzi niegrzecznych przez zbytek grzeczności i natręctwo nadskakiwania. Bądź co bądź atoli umiejętność obejścia się z ludźmi jest to bardzo pożyteczna nauka. Ona, tak jak wdzięk i piękność, jedna od pierwszego spotkania towarzyskość z poufałością.

Juljusz Cezar. Mogę powiedzieć z pewnością, że w walkach moich nieco za przykrych zawdzięczałem wielką część mych zwycięztw pewnym drugorzędnym cnotom (*leniores virtutes*) jako to: grzeczności, uprzejmości i chęci stania się przyjemnym dla drugich.

Pani de Genlis. Grzeczność nie jest błahostką, ona po wszystkie czasy przyczyniała się do sławy ludów, które ją udoskonaliły. Owa grzeczność w obejściu Ateńczyków po tylu upłynionych wiekach, wydaje nam się dziś jeszcze i słusznie, jednym z tytułów do chwały, a attycyzm będzie zawsze pochlebnym epitetem, ilekroć o kimś mówimy.

Duclos. Grzeczność jest wyrazem, oznaczającym naśladowanie cnót społecznych. Cnoty społeczne czynią nas użytecznymi i przyjemnymi dla tych, z którymi mamy do czynienia.

Człowiek, któryby je wszystkie posiadał, byłby tem samem najgrzeczniejszym ze wszystkich.

Chamfort. Przerzucając pamiętniki z wieku Ludwika XIV, znajdujemy nawet w złych ówczesnych towarzystwach coś, na czem dzisiejszym dobrym towarzystwom zbywa.

Pascal. Wszyscy ludzie nienawidzą się z natury. Trzeba więc było dla użytku społeczeństwa, dla uczynienia tego społeczeństwa możliwem, wymyślić święty wizerunek miłości bliźniego: nazywamy go grzecznością.

Voltaire. Grzeczność tem jest dla umysłu, czem wdzięki dla oblicza; jest ona lubym obrazem dobroci serca.

Pan *** (jakiś jegomość, który napisał niewiem gdzie i kiedy: „Przewodnik grzeczności"). Przykład grzeczności: Mężczyzna wchodzi z kapeluszem w ręku i zbliżając się ku osobie, siedzącej w salonie, kłania się zgrabnie i z uszanowaniem. Skoro tylko dostrzeże jej ruch, dążący do podania mu krzesła, pośpiesza wziąć je sam, stawia blizko drzwi i w pewnej odległości od osoby. Nie siada na niem dopóty, dopóki ona nie usiądzie...

Rabelais. Mój panie, nie rozumiem, co pleciesz... Zdaje mi się, że mówisz językiem antypodów, któregoby i sam dyjabeł nie zrozumiał.

Pan *** (w dalszym ciągu). Trzymając kapelusz na kolanach, należy zachować przyzwoitą postawę. Byłoby w złym tonie odstawić kapelusz i laskę wprzód, zanim *osoba* nie poprosi cię, ażebyś to uczynił, a jeszcze i wtedy dobrzeby było stawić niejaki opór i ustąpić dopiero za drugiem albo trzeciem wezwaniem. Kapelusz stawia się pod konsolą. Wiele osób dobrego tonu stawia go na posadzce, czego jednak pani domu dopuszczać niepowinna.

Ja. I pan nam coś powiesz, panie margrabio de Vauvenargues.

Vauvenargues. Ludzie, z urodzenia nieprzyjaźni jedni względem drugich, wynaleźli przyzwoitość dla nadania praw ciągle toczącej się między nimi wojnie. I jeżeliby ludzie nie pochlebiali sobie wzajemnie, nie byłoby wcale społeczeństwa.

Pope. Cnota u ludzi nieokrzesanych i gburów jest drogim kamieniem, który źle oprawiony traci część swojego blasku.

Diderot. Znałem człowieka, który umiał wszystko, oprócz powiedzenia komu dzień dobry i złożenia ukłonu. Żył też w ubóstwie i pogardzie.

Buckingham. Jeżeli potrafiłem dojść do szczytu łaski i potęgi, to nie tyle — a takie rzeczy wyznają się otwarcie po śmierci — przez moją zasługę, jak przez moje obejście się ugrzecznione i pełne wdzięku, i nigdy nie wydałem się tak wielkim ministrem mojemu panu, królowi Jakóbowi, jak wtenczas, gdy po raz pierwszy napisałem na końcu listu: Twój niewolnik i pies. (Your slave and dog).

Rabelais. Pouah! w dwóch wyrazach tyle plugastwa, ile włosów w sierści na ośmiu krowach.

Pan ***. Nie należy krajać chleba przy stole, ale łamać. Kiedy zjadłeś jajko, powinieneś stłuc skorupkę. Powinieneś...

Chwyciłem pana *** za grzbiet i wrzuciłem pod stół.

Słowik rozpoczął w tej chwili nanowo swe trele, a następnie zapanowała powszechna cisza. Posiedzenie już się skończyło, nie było ani turkotu zajeżdżających powozów, ani popychania się przy szukaniu płaszczów i kapeluszy. Goście moi, zamknięci w swych domach safianowych lub pargaminowych, poszli każdy na swoją półkę. Wtedy porównałem raz jeszcze w moim umyśle obie połowy wieczoru i zawołałem powtórnie: „Ma foi! (Dalibóg). Niech żyją nieboszczykowie."

O starcach.

Starcy są odchodzącymi od nas przyjaciółmi, których co najmniej grzecznie do drzwi odprowadzić wypada.

Bardzo to dobry znak, przemawiający na korzyść młodego człowieka, kiedy starcy „mówią

o nim, że grzeczny. Powinniśmy szanować w starcach przynajmniej to podobieństwo do swoich rodziców, jakie im wiek ich nadaje.

Oprócz tego pożyteczną jest rzeczą pytać się starców o zdanie, tak samo, jak pytamy podróżnika o drogę, z której tylko co powrócił, a w którą sami udać się mamy; jest to dla nich pewnym rodzajem przyjemności, podobnej do tej, jaką czuje podróżnik, kiedy mu nastręczamy sposobność opowiadania swych wędrówek.

Starzec lubi wmawiać w siebie, że jego niedołężność jest raczej udoskonaleniem, jego dolegliwości — cnotami, i że siła człowieka w jego fizycznym upadku spoczywa; pomimo to nie jest tego tak dalece pewnym, aby go cieszyć nie miało, kiedy udajemy, żeśmy z nim w tym przedmiocie tego samego zdania. Bardzo pięknie i przyzwoicie ze strony młodzieńca, jeżeli w rozmowach swych ze starcem uważa nadmiar swych życiowych soków za jakiś rodzaj chorobliwej gorączki; jeżeli daje mu poznać, że czuje się unoszonym przez prąd niebezpieczny, który starcowi udało się przebyć szczęśliwie, zanim odpoczął na przeciwległym brzegu.

Starców otoczyć należy temi samemi staraniami, jak dzieci, do których zresztą są podobni w wielu bardzo względach. Pamiętać należy wszakże, jeżeli dopomaga się starcowi do zejścia ze schodów, lub przestąpienia rynsztoka, aby ukryć przed nim litość w ten sposób, żeby okazaną mu uprzejmość poczytał raczej za oznakę uszanowania. Jeżeli podajesz mu swoje ramię na nierównej i przykrej drodze, staraj się, aby mógł myśleć, że jedynie dla słuchania go z uwagą stosujesz chód swój zwolniony do jego chodu, i że sądzisz, iż ta siła, która opuściła jego nogi, przeniosła się całkiem do głowy.

Przyczynić się do tego, aby starzec czuł się szczęśliwym i dumnym z swej starości, jest jedną z najdelikatniejszych uciech, jaką swemu dobremu sercu sprawić można.

Nie uczcić siwego włosa jak należy, jestto burzyć zrana ten dom, w którym wieczorem na spoczynek położyć się mamy. W stosunkach swych ze starcami sam oznacz przez postępowanie swojem wysokość szacunku i względów, jakiemi chcesz, iżby cię obsypywano w starości, i na niem oprzeć swe prawa do nich.

Nie należy przypisywać starości wszystkich tych wad, jakie w tych lub owych starcach dostrzegać się dają.

Starzec gaduła urodził się gadułą, a przynajmniej był nim w młodości. Dlatego tak rzadko spotykamy miłych staruszków, że tak mało jest ludzi, których miłymi nazwaćby można.

Trzeba traktować starców z tak rozmaitemi odcieniami grzeczności, iżby im to służyło za przypomnienie, że w starcu jest coś dla każdego; nosi on w sobie cechy trochę ojcowskie, trochę urzędnicze, trochę dziecięce.

Trzeba ukrywać przed starcami zbliżającą się śmierć, jak czyni to sama natura. Przypatrz się młodzieńcowi i starcowi sadzącym drzewka: pierwszy z nich wybiera drzewka już podrosłe i silne, a i to jeszcze wiele, że mu się chce je sadzić: on nie ma czasu czekać na ich wzrost zupełny. Starcowi zaś nie spieszy się wcale, sadzi bardzo młode drzewka i mówi: „za jakie lat dwadzieścia będę miał wyborne owoce.“

Alfons mądry król Aragoński. Pomiędzy tylu rzeczami, za któremi ludzie ubiegać się zwykli, nie ma nic lepszego nad stare drzewo do ogrzania się i stare wino do picia w towarzystwie starych przyjaciół, albo starych książek — wszystko reszta fraszka.

Montaigne. Starości należy nieść pomoc i wspierać ją.

Chamfort. Pan *** znany ze swego obycia się ze światem, mawiał mi: co najwięcej przyczyniło się do wykształcenia mię, to to, że umiałem kochać czterdziestoletnie kobiety, a słuchać ludzi, którzy mieli po lat ośmdziesiąt.

Fontenelle. Miałem wtedy lat ośmdziesiąt, kiedy z pośpiechem podniosłem wachlarz, upuszczony na ziemię przez kobietę młodą i piękną, lecz źle wychowaną. Podziękowała mi za to pogardliwym tonem.

— „Ah! pani — rzekłem do niej — zanadto hojną jesteś w swojej surowości.“

Wypowiedziawszy to, co się winno starcom, niechaj wolno mi będzie wypowiedzieć również i to, co starcy winni sobie samym i drugim.

Flèchier. Jest wiek, w którym, gdyby się nawet nie było dorzecznym, należy udawać, że się nim jest.

Joubert. Dwie epoki życia powinny być bezpłciowemi: dziecię i starzec powinni odznaczać się skromnością jak kobiety.

Skromność tę, o której mówi Joubert, powinny stanowić u pierwszych nieświadomość, u drugich zapomnienie. To udawanie, zalecane przez Flèchier'a powinno zasadzać się nie na grymasach i minach obłudnych ale na zamknięciu się w obrębach rozsądku, tak, jak zamykamy się i pozostajemy w obrębie domu, kiedy dostaniemy kataru. Religija jest jednocześnie i słabością i podporą starców.

La Rochefoucauld. Starcy lubią dawać dobre nauki niejako dla pocieszenia się, że już nie są wstanie dawać złych przykładów.

Wady umysłu mnożą się na starość podobnie, jak zmarszczki na twarzy.

Starość jest tyranem, zabraniającym pod karą śmierci wszystkich uciech, właściwych młodocianemu wiekowi.

Mało jest ludzi, którzyby umieli być starymi.

Wierzę temu, że to ani miłe, ani wygodne, nadewszystko wówczas, kiedy nie potrafimy już oszukiwać samych siebie, wmawiać w siebie, że nasza niemożliwość trawienia jest wstrzemięźliwością, niemoc działania — spokojem pełnym mądrości, a obojętność — cnotą.

Na kres życia naszego przed ostatniem tchnieniem
Mądrość wylewa blaski, jako księżyc właśnie
Swoim bladym i zimnym przyświeca promieniem
W tych godzinach, gdy wszystko już na ziemi gaśnie.

Starcy mogą sobie sądzić, że apetyt jest chorobą, siła słabością, ale tylko w takim stopniu, o ile im tego potrzeba do pocieszenia samych siebie — nigdy zaś w takim, aby aż mieli okazywać pogardę tym, którzy są obdarzeni siłą i apetytem.

La Bruyère. Zbyteczne zaniedbanie, jak równie zbyteczne strojenie się, mnoży u starców zmarszczki i uwydatnia dokładniej ich zgrzybiałość.

Joubert. W czystem i świeżem odcieniu jest pewien rodzaj młodości, jaką starcy otaczać się winni.

Starzec powinien zapomnieć o tem, że ma ciało. Logika językowa nazywa stare kobiety i starych mężczyzn, bez różnicy, staruszkami. Staruszkowie będą czuli się szczęśliwszymi i zyskają na poważaniu, jeżeli potrafią wyrobić w sobie to przekonanie, iż należą do rzędu nijakich.

Jeżeli wymagamy od młodych, aby pamiętali, że byli kiedyś młodymi i że wówczas nie było im tak łatwo uniknąć tego wszystkiego, co dziś nazywają słabościami i zdrożnościami.

Starzy nie powinni ganić i powstawać ostro na wszystkie uciechy młodocianego wieku, jeżeli nie chcą stać się podobnymi do spragnionego, tłukącego szklankę po zaspokojeniu pragnienia, albo do wędrowca samoluba, mącącego wodę w źródle, kiedy się już napił do woli.

Goethe. Jeżeli chcemy wiedzieć, czy wiśnie są dobre, pytajmy o to dzieci i ptaszków.

Nie mówmy tego młodzieży, ale nie dajmy zapominać starcom, że starość nie jest koniecznie mądrością: że nie jest się jeszcze mądrym, dlatego jedynie, że się już dawno szaleńcem być przestało.

Uczcie się być starymi i strzeżcie się stać podobnymi do owoców, które czas w zgniliznę obraca, zanim jeszcze dojrzeją.

Niektórzy ze starców wychwalają bez ustanku przeszłość, czynią to w sposób niegrzeczny względem tych, którzy żyją w teraźniejszości. Taką drogą dają nam dowód, że w tej tak wy-

noszonej pod niebiosa przeszłości, byli co najmniej takimi samymi głupcami, jak ci, których około siebie widzimy.

Starcy, tak samo jak kobiety i dzieci, nie powinni nadużywać swej słabości. Starzec, równie jak dziecko, niema prawa wymagać, aby inni bawili się wyłącznie temi cackami, jakie jego zajmują.

Montaigne. Ponieważ przywilejem rozumu jest umieć otrząsnąć się ze starości, radzę mu z całych sił, aby to uczynił; niech się okrywa zielenią; niech kwitnie, jak jemioła na uschłem drzewie.

Młodzi ludzie powinni od czasu mniej szumnie używać uciech swojego wieku, a starać się uprzyjemnić życie starcom, odwiedzając ich i zapraszając na wspólną przechadzkę.

Starcy znów powinni przyozdabiać i rozweselać swą starość w ten sposób, aby młodzież chętnie garnęła się do spoczynku chwil kilku pod jej opieką.

Starzec nie powinien zasługiwać na to, aby mówiono o nim: „senescit et se nescit“ (starzeje się a nie zna siebie).

Nie przystoi starcowi udawać młodzieńczego zapału: wszak głównie przy schodzeniu ze schodów trzymać się należy poręczy.

Jeżeli nie możesz uniknąć zmarszczków na twarzy, unikaj zmarszczków na umyśle. Wpajajmy w młodzież to przekonanie, że ludzie, na podobieństwo wina, starzejąc, ulepszają się; powtarzajmy jednak z drugiej strony i starcom: „Strzeżcie się, abyście nie skwaśnieli.“

„Odchodzącego przyjaciela grzecznie do drzwi odprowadzić wypada“ — mówiliśmy na początku tego rozdziału do młodych ludzi, — powiedzmy więc do starców:

,,Człowiek, mający niedługo kraj opuścić swój na zawsze, nie powinien tracić ostatnich chwil swego pobytu w gronie przyjaciół na ustawnem burczeniu ich, dąsanie się, fukanie.“

Dla starca albo staruszki jest tak wielkiem nieszczęściem zakochać się, że nie uważam za potrzebne zwracać tu na to uwagi, iż to jest olbrzymia śmieszność: gdyż w miłości tego rodzaju, obojgu jedynie bóle serca przypominać mogą, że je mają jeszcze.

Kobiety w wieku podeszłym, które w ciągu swej młodości w epoce wdzięków i powabów, miały do czynienia wyłącznie ze sprzedajnymi sędziami, wystrzegać się powinny nazywania ich niesprawiedliwymi dla tego, że ich już czem przekupić nie mają.

Pani de Lambert. Gdy nie można już być ozdobą balów i zgromadzeń, należy ich zaniechać.

Cycero. Sofokles, którego zapytywano, czy na starość tęsknił za miłosnemi szatami, odpowiedział: — Co? miłość? ja się z pod jej jarzma z taką radością wyswobodziłem, jak gdyby z pod władzy okrutnego i szalonego zwierzchnika.

Lafontaine. - A czyż nie lepiej uczynił, aniżeliby się miał użalać.

Oczekiwać należy, aż ludzie, nadewszystko też rodzaj kobiecy, sami się przyznają do podeszłego wieku, i otwarcie staną pod sztandarem starców, zanim się ich, jako takich, traktować będzie. Znałem dwie kobiety, które śmiertelną zaprzysięgły sobie nienawiść, ponieważ młodsza z nich względem drugiej okazywała jak najgłębsze uszanowanie, ciągłą pokorę i usłużność w tym celu, aby uwydatnić owe trzy, czy cztery lata różnicy, pomiędzy ich obu wiekiem zachodzące.

Czy kiedy kobieta może się nazywać starą? Posłuchajmy:

Pewna księżna na dworze Ludwika XV, już niemłoda, zaślubiła urzędnika młodego *jeszcze.* Związek ten miał najsmutniejsze następstwa. Którąś z jej przyjaciółek pochwyciła skwapliwie tę sposobność, aby ją bezkarnie zelżyć i wykazywała jej całą niedorzeczność, jaką popełniła, idąc za mąż za człowieka młodszego od siebie.

— Pani — rzekła jej księżna — dowiedz się o tem, że dama dworu nigdy nie jest starą, a urzędnik zawsze jest starym.

Pani Denis grała raz rolę Zairy na domowym teatrze u Voltaire'a.

Ktoś chciał jej powinszować wybornego wywiązania się z niej.

— Aby dobrze odegrać tę rolę — rzekła pani Denis — trzebaby być młodą i piękną.

— Ah! pani... Pani jesteś właśnie dowodem, że rzecz ma się przeciwnie.

Alfons Karr. (p: str. 52).

Gastronomija.

* Nauka rządzenia wielce różnolitem państwem, któremu na imię żołądek. W państwie tem wszelki objaw opozycyi karany jest śmiercią. Władze wykonawcze nazywają się *aptekarzami.*

Gaussin.

* Sławna Gaussin żyła w serdecznych stosunkach z bankierem Bouret. Razu jednego tenże w chwili rozczulenia podpisał swe nazwisko na czystym stemplowym papierze i wręczył go aktorce. Od niej zależało teraz zapełnić blankiet ważną obietnicą, lub też umieścić na nim wielkiej ceny weksel. Po pewnym czasie, kiedy bankier powrócił do zwykłej mu zimnej krwi, zaczęła go niepokoić myśl, jak też Gaussin spożytkowała jego podpis, zapytał ją o to z gniewem, wymógł na niej wreszcie obietnicę, że pokaże mu ów papier. Gaussin śmiała się z początku z jego przestrachu, później drwiła z niego, w końcu z daleka ukazała mu blankiet. Bankier chciwie go schwycił i wyczytał te słowa: „Przyrzekam wiecznie kochać moją drogą Gaussin.“

Gawęda Dorosza.

* Czy też licho mi nadało
Służyć z taką ruchawicą!
Służby żadnej, ducha mało,
Tylko starym baki świecą.
Sama szlachta, same pany —
A człek tylko wachmistrz sobie —
Lecz choć lichy i nieznany,
Za pułk cały służbę robię.
Człek się musi napracować,
Nie raz pocę się ze sromu,
Bo gdy przyjdzie rozkazować,
A tu słuchać nie ma komu.

Nie raz krzyczę: „Stać komenda!“
Gdzie tam, panie, im to w głowie!
Szwadron się gdzieś po wsi swęda,
Lub jak skuty chrapie w rowie.
W całym pułku dawnej daty
Człowiek jeden, aż nie miło —
Gdzieś wymarły stare chwaty;
Nie tak, panie przedtem było!

Mój półkownik, żołnierz stary,
Nie dzisiejsza nasza drużba,
Tęgi człowiek, zna co służba, —
Cóż gdy niema dawnej wiary!
Z rekrutami trudna sprawa,
Bo gdy cały pułk sąsiady,
Więc gawęda, rada, wrzawa,
A dwóch tylko nie da rady.

Nieraz każę, gdzie wypada —
Ten przyzywa wnet sąsiada:
„Słuchaj hrabio, hej panowie!
Czyśmy na to tu zjechali,
Niechaj każdy z panów powie,
Abyśmy na deszczu stali?“

I zastawia się sąsiadem;
Bo ma w wojsku szkapę własną.
Z takim pułkiem, z takim ładem,
Niech pioruny w ten pułk trzasną!

Biada, młodzi na mnie liczą,
Walą jak na szkapę siwą,
Niby starsi, na mnie krzyczą:
„Nuż Doroszu, ruszaj żywo;
Dorosz patrol dziś prowadzi
I języka się postara;
Dorosz, a czy kute konie?

Dorosz na sąd i do rady;
Dorosz służbę ma w szwadronie."

Słowem, panie, mówiąc krótko,
Hasłem w półku imię moje,
Brzmi z wieczorem, brzmi z pobudką,
Dzień przejeżdżę, dzień przestoję —
Bo to mało ważą młodzi,
Że się w służbie wiek strawiło,
Że się starych uczcić godzi —
Nie tak, panie, przedtem było!

Jeszcze służba obozowa
Jaka taka, pół z nią biedy —
Ale wtenczas, panie, kiedy
Już o boju przyjdzie mowa,
Wolałbym się z baby wadzić,
Albo jeszcze i co więcej,
Niż do boju poprowadzić
W dobrym szyku pułk panięcy.
Bo tu ogień, a tu rada;
I tak słowem zawsze jedno —
Na deresza Dorosz wsiada
I harcuje szkapę biedną.

Już tam siebie nie żałuję,
Choć i moja krew nie woda —
Aleć konia, panie, szkoda,
Bo to mi się koń marnuje.
A tam każdy ma wymówki:
Bo ten wrócił od placówki,
A ten chory, a ten ścięty,
A czwartego koń ustanie,
A piątego źle podpięty,
A nie jeden stchórzył, panie.
Wtenczas pochlebstw już bez liku:
„Nuż Doroszu, stary ćwiku,
Nasze stopnie to androny —
Wasze,—żołnierz—doświadczony."
— Wasze, wasze — no, dość tego,
Już to wstyd dla młodej wiary,
Kiedy chwalić trza starego —
Ale swoje zrobi stary.

A więc ruszam wprzód plutonem,
W pierwszą lepszą wpadam lukę
I rżnę sobie po dawnemu
Moją, panie, starą sztukę.
Lecz gdy tylko bój ustanie,
Zaraz stracę na walorze,
Wtenczas to nikt starych, panie,
Za stworzenie niema Boże.
Bo my starzy nic nie czujem,
I jakiegoś ducha czasu
Wyschłym mózgiem nie pojmujem;
Co to znaczy, wiedzą kaci!
Bo to, odkąd w świecie żyję,
U mnie duch, co dobrze bije,
A czas to, co dobrze płaci.
Ale u nich, to ten tęgi,
Kto gardłuje całą siłą,
A kto schlebia, godzien wstęgi...
Nie tak, panie, przedtem było.

Raz, pamiętam, tak się darzy,
Gdyśmy stali w przedniej straży,
Każdy się jak w matni kręci,
Bo wiedzieli co się święci.

Niemiec prawie nas otoczył,
A jednak odciąć nie zdołał.
Mój półkownik, gdy to zoczył,
Wnet do siebie mnie zawołał
I rzekł do mnie: „Ot wiesz, stary,
Bo się nie mam kim usłużyć,
Dwóch nas tylko z starej wiary,
Trzeba będzie wrogów zdurzyć,
Jedź do sztabu, weź papiery,
Zdaj wodzowi raport szczery;
Niech też o nas przecie radzą,
Bo nam dyjablo łupnio dadzą."

On rzekł, jam się kopnął cwałem, —
A nie byłem nigdy w sztabie.
Wódz nie żarty, pomyślałem:
Szlify wodza, to nie grabie.
Nuż człowieka na czem schwyta,
Trzeba mu się odciąć sprawno,

Nuż z nienacka się zapyta;
— Jak, zapyta, służysz dawno,
Kiedyś dostał krzyż francuski?
W wojnie włoskiej, czy też pruskiej?
Czyś tam kontent z młodej wiary.
A półkownik, czy zdrów stary?
Czy też wszystko was dochodzi?
Co się dzieje, czy wróg godzi,
Czy są działa, jest piechota,
A na skrzydłach las czy błota?
Słowem, wszystko pomyślałem.
Kontent ruszam, wiatry wieją,
Czasem spojrzę, są depesze,
A mój deresz sobie czesze,
Aż się wszyscy dyjabli śmieją.

I stanąłem w sztabie rankiem,
A starłszy czoło ze znoju,
Rznę już prosto do pokoju.
„Gdzie wódz?“ pytam. „Czyś zwarjował?
Któż o wodza się tak pyta?
Znać żeś w pułku się wychował.“
„Gdzie wódz?—rzekłem—mów i kwita.“
„To żołdactwo, to natręty:
Wódz śpi jeszcze, bo dzień chmurny.“
„A szef sztabu?“ — Szef zajęty
„A dyżurny?“ — Śpi dyżurny.
„Mój tu przyjazd nie wizyta,
Przez noc całą do was śpieszę;
Słuchaj panie — mam depesze,
Zbudzić służbę, ot i kwita“ —
Ja tak rzekłem, on się zdziwił,
Stuknął, mruknął, nosem skrzywił,
I samego mnie zostawił.
Alem się nie źle ubawił,
Bom stał ze trzy godzin w sieni,
A trzy godzin to nie mało,
Gdy człek głodny po bezseni,
Więc mi się na sen zebrało.

Jednak myślę poniewoli,
Co też długo wódz tak robi:
Pewnie jaki plan sposobi?
Aż tu słyszę: wódz się goli.

Niechaj goli, kiedy goli,
Bo i naszych, panie, golą.
A prusacy nie swawolą,
Kiedy biją, dyjable boli.
Wreszcie dano znak: śniadanie —
W jednej chwili, szastu, prastu,
I wypada do mnie, panie,
W okularach siedemnastu!

Wyszedł orszak okazały.
Wszyscy smacznie zajadali,
Po francusku rozmawiali
I perfumy zapachniały...
Tu się, widzę, nie źle dzieje,
Bo tu tylko wino płynie,
A tam krew, się nasza leje
Ach! i pułk mój może ginie.

Żal mi było pułkownika —
O depesze nikt nie spytał,
Nikt mnie z panów nie powitał,
Jam nie umiał ich języka.

Ej—chybiłem wioskę pono!
Dla starego to rzecz nowa —
Tu po polsku ni pół słowa,
A o sztabie mi mówiono.

Wreszciem poznał tych ichmości:
To Francuzi niezawodnie,
Których wódz chce uczcić godnie,
By znał Francuz, że tu gości.

Gdy tak myślę z miną tęgą,
Jeden na wiarusa wpada:
A hultaju, a ciemięgo,
Przydymiona czekolada!

Bracia szlachta, niech nam żyją!
Wszak to nasi, nie Francuzi;
Ale warto im dać buzi,
Znać, że się za swój kraj biją...
I żal mnie za serce ścisnął...

Ukończono wreszcie gody.
Jam z raportem się przecisnął,
Wziął go jakiś panicz młody —
Wziął, przeczytał, na stół rzucił.
— A kiedy tak, to źle, panie, —
Jakąś piosnkę przez nos nucił,
W końcu rzekł mi niespodzianie:
„Korpus rozkaz tam dostanie“ —
„To pułk tylko?“—rzekłem skromnie.
„To pułk tylko? — wielkie zwierzę,
Toć i o nim się tam wspomnie —
Wiarus wódki się napije,
Bo ja to znam doskonale.
W pułku się tam licho żyje.“
A co tego, to zawiele!
„A więc, panie“ — rzekłem śmiele:
„Nie tak licho, jak niegrzecznie,
W pułku trochę niebezpiecznie. —
Co do wódki z nami kwita,
Bo mam moją od prusaka,
A choć może i nie taka,
Milsza dla mnie, bo zdobyta.
Bądź zdrów, panie kapitanie,
Niech was jasny piorun trzaśnie!
Wkrótce wasza gwiazda zgaśnie,
I nic po was nie zostanie.“ —

Tak burknąłem im przez zęby.
Gdyby mi się popadł który,
Toby poznał, jak Mazury,
Kpów pytlują na otręby —
I wyszedłem; na spiekocie
Koń mój biedny stał przy płocie
Z głową na dół pochyloną.
Oj! nam obu źle tu pono.
Pójdź mój koniu, źle w tej stronie,
Klątwa wszystkich na niej leży,
Tutaj piorun ich uderzy,
Albo ziemia ich pochłonie,
Że tak służą tej krainie...

Siadłem na koń ledwo żywy,
Ból uczułem w każdej bliźnie,
Żem się musiał ująć grzywy.
Chciałem zginąć, powiem szczerze,
Gdy się lepiej wiek strawiło,
Lecz dziś i kula nie bierze...
Nie tak, panie, przedtem było.

Wincenty Pol.

Gazeta.

* Pewien dowcipniś wyprowadził pochodzenie wyrazu „gazeta“ od gazella (gatunek kozy), dlatego, że gazella należy też do przeżuwających!

* *Gazeta i kuryjerek.*

Wielka gazeta dumna, okazała,
Z bardzo małego kuryjerka się śmiała —
A głosząc wieści wciąż całemu światu,
Z mocy powagi swego majestatu,
Ani się spojrzeć nie chciała w kuryjerka,
Leżąc na stole u piekarza Berka.
Nadeszły kucki dla całego miasta,
Berek rychtuje chleb, bułki i ciasta,
A nie zważając na życie wspaniałe,
Wziął za gazetę i włożył pod chałę —
Idąc do pieca biedna na łopacie,
Rzekła z rozpaczą po wielkości stracie:
„Czemuż nie jestem jak kuryjerek mała,
Aby się na mnie nie zmieściła chała“.

* *Historyja gazety i podróży jednego jej egzemplarza z Warszawy do własnych rąk prenumeratora na wieś.*

Pochodzę z bardzo arystokratycznego gniazda. Kiedy jeszcze byłam webą, przeznaczeniem mojem było otulać wątłe ciało pani hrabiny Kopcidymskiej, z domu baronowej van der Wind.

Otulałam delikatne ciało tej pani, w której żyłach płynęła krew niebieska, byłam obszyta koronkami i widziałam tajemnice różne, mogące posłużyć za materyjał do sześciotomowego romansu szkoły francuzkiej.

Smutną, chociaż zwykłą koleją losów, spadałam coraz niżej na szczeblach kast społecznych. Okrywałam demokratyczne kształty po-

kojówki, a potem, jako łata, tkwiłam na grzbiecie proletaryjusza.

Ręka stróżowej pogrzebała mnie w śmietniku. Znalazłam tam wyborowe towarzystwo, chociaż nie brakło i intruzów, pochodzących ze szmat zgrzebnych, zdartych przez ludzi bez radycyi.

Raz, około południa, stanęła nad śmietnikiem jakaś dama, ubrana skromniej niż na pierwszą wizytę — i za pomocą haczyka żelaznego zaprosiła całe nasze towarzystwo do dziurawego worka...

Wieczorem leżałam w jakiejś komórce na olbrzymiej kupie gałganów, a kiedy noc przyszła, jakaś uwiedziona piękność szczurzego rodu, obcierając łzy ogonem, podrzuciła koło mnie dwóch cherubinków niewinnych i piszczących.

Na drugi dzień leżałam na wielkim wozie, konwojowanym przez dżentelmana w kamlotowej todze. Sądząc po jego mowie przekonałam się, że był to pyszny flanc jerozolimski, przesadzony na nadwiślański piasek i prenumerujący „Echo“ do spółki z sześcioma swemi współziomkami.

Ukazały się przed nami duże kominy fabryki. Wrzucono nas do kadzi, parzono ukropem, szarpano, suszono, gnieciono pod strasznemi walcami — aż nareszcie wyszłam z tych męczarni jako czysty i biały jak śnieg papier na gazetę.

— Ach, *madame* — rzekłam do leżącej obok bibuły — przyszły los mnie zastrasza...

— *Perchè?* — odrzekła śpiewnie ta, co była niegdyś pończochą Adeliny Patti.

— Podobno gazety bywają czasem rozrywane...

— *O! senza paura, signora*, rozrywają je wówczas, gdy zawierają coś mądrego, ale to rzadko się zdarza.

Uspokojona trochę, pojechałam w pace do Warszawy, gdzie jakiś zasmolony obywatel położył mnie na maszynie.

Sądziłam, że to sam redaktor... lecz nie — to był maszynista.

Kocioł parowy sapał, chłopcy bili się po łbach dla zabicia czasu, a maszynista przykręcał jakieś śruby... poczem zawołał:

— Jazda!

Zanim miałam czas krzyknąć z bólu, już byłam zadrukowaną i leżałam pod ciężarem towarzyszek sypiących, się z maszyny jak z worka.

Przeniesiono mnie do ekspedycyi.

Tu zaczęłam rozmyślać nad tem, gdzie pójdę? Czy będę w gabinecie jakiej krajowej lady, czy na brudnym stole szynkowni, czy zostanę w kraju, czy też wyjadę za granicę. Tego ostatniego pragnęłam bardzo, ze względu na moje arystokratyczne pochodzenie.

Zanim ta zagadka została rozwiązaną, spojrzałam po sobie, ciekawa, jak też w nowej szacie wyglądam.

Co za dziwny zbieg okoliczności! Miałam politykę w głowie, plotki w sercu i nowy romans w odcinku — zupełnie jak ś. p. hrabina Kopcidymska z domu van der Wind.

— No — pomyślałam sobie, któżby się spodziewał, że i bibuła nawet szanuje arystokratyczne zwyczaje!

Brudna ręka zasmolonego chłopaka z szybkością błyskawicy zwinęła mnie w ośmioro i wpakowała w opaskę, na której wydrukowany był numer traktu, stacyja i nazwisko prenumeratora.

Pamiętam je do dziś dnia. Brzmiało ono imponująco i dźwięcznie: „JW-ny Jacenty Jajkowski przez Mrzygłód w Woli Wydymanej“.

— Dobrze — pomyślałam — znajdę się więc przecież w towarzystwie porządnych ludzi.

I pocieszona tą myślą, znosiłam już z pewnym filozoficznym spokojem niezbyt delikatne obejście się ze mną w głównej ekspedycyi gazet, przerzucanie z furgonu do wagonu, wreszcie straszne trzęsienie biedki i ciężar pijanego pocztylijona, który usiadł na nas bez żadnej ceremonii.

Usłyszałam głos trąbki, skórzany worek, który nas zamykał, otwarł się i zobaczyłam nad sobą czerwonawy nos, dźwigający parę okularów w mosiężnej oprawie.

Właściciel tego nosa zerwał ze mnie opaskę, tę jedyną w obecnem mojem położeniu oznakę skromności — i stanęłam przed nim, jak Fryne przed trybunałem, odsłaniając wszelkie swoje tajemnice...

— Czyż by to był obywatel Jajkowski? — pytałam sama siebie z niedowierzaniem. Lecz nie — ten pan przyjmował interesantów, sprzedawał marki, wydawał listy i posyłki, domyśliłam się więc, że człowiek ten musiał być ekspedytorem poczty.

Muszę mu oddać tę sprawiedliwość, że nie męczył mię długo: widocznie nie zawierałam w sobie nic ciekawego, bo mąż ów skrzywił się i rzucił mnie pod stół.

W pięć minut później jęczałam pod zabłoconym butem obywatela Szpigelglasa, który puściwszy wodze wezbranym rodzicielskim uczuciom, ekspedyjował rubla srebrem jednego pod adresem walecznego syna swego Jankla.

Błoto z buta Szpigelglasa ojca pozostawiło na mnie dużą, czarną plamę.

Ekspedytor podniósł mnie i zdawało się, że mój stan zażenował go trochę...

— Jakiś pan nieuważny — rzekł do swego pomocnika — Jajkowski może mieć teraz pretensyję i obiecana fura słomy gotowa się wściec.

— O tę plamę, panie naczelniku? — odpowiedział zapytany — To głupstwo... powie się, że tak wysłali z redakcyi. Jajkowski choć nie przeczyta, nic na tem nie straci.

Nucąc półgłosem, wpadła na stacyję tłusta i czerwona, a pełna godności własnej dziewka. Jakkolwiek doiła codzień krowy, nie zapominała jednak o tem, że doi krowy burmistrza, co jej dawało przewagę nad zbyt śmiałym w zapałach miłosnych kancelistą magistratu.

— Proszę pana poćmajstra — rzekła — pan prezydent się kłania i prosi o gazetę.

Pocztmistrz podał mnie dziewczynie, a ta włożyła mnie do koszyka, w którym już leżało mięso, garniec tylko co kupionych kartofli i paczka papierosów.

Widocznie wiktuały te przeznaczone były na odżywianie szlachetnej głowy miasta i jej licznej rodziny.

Jeszcze dziewka nie opuściła pocztowego dziedzińca, gdy z lufcika wychyliła się głowa w nocnym czepku i zawołała:

— Magdusiu, Magdusiu! chodź no tutaj.

Dziewka stanęła przy oknie.

— Bo to widzisz, kiedy jesteś, to zaraz weźmiesz słoninę dla pani prezydentowej.

— Dobrze, proszę pani.

Po chwili, kilka funtów słoniny przygniotło mnie całym ciężarem. W zetknięciu z temi szczątkami opasłego wieprza, czułam jakąś błogość; ciało moje stawało się przezroczystem, litery nabierały niezwykłej czarności.

Leżąc już na urzędowym stole magistratu, zadawałam sobie pytanie: czy też ujrzę kiedy rodzinę państwa Jajkowskich?

Prezydent miasta załatwiał najważniejsze sprawy, nie spuszczając ze mnie oczu. Tłustemi palcami swej poważnej dłoni przewracał mnie na wszystkie boki i szeptał:

— Już to my z Bismarkiem zawsze się zgadzamy: ja powiadam cło — i on cło. Czemuż nie jestem jego pomocnikiem...

— Psie prosię wielmożnego prezydencie — odzywa się jakiś pokorny głosik u drzwi.

— A co chcesz... panie tego...

— Jankiel Fajnbube chciał zobaczyć kursów na gazetę.

— Na masz i zaraz odnieś do pana kasyjera...

Uczułam ożywcze ciepło misiuresowej piersi i w kilka minut niespełna znalazłam się w dużym składzie okowity.

Jankiel Fajnbube spojrzał na mnie, zrobił kilka notatek na moim własnym marginesie i położył mnie na stół, gdzie straciłam przytomność.

Czułam szczególne jakieś upojenie. Później zekonałam się, że pochodziło ono z bardzo aturalnej przyczyny. Wciągnęłam w siebie ajmniej pół kwarty wódki, rozlanej na stole iurze handlowo-komisowem szanownego obyatela, Jankla Fajnbube, kupca drugiej gildyi.

Skutkiem tego upojenia straciłam przytomność i nie wiem zupełnie co się ze mną działo.

Zmysły moje przebudziły się z uśpienia dopiero w wielkiem niebezpieczeństwie.

Troje usmolonych dzieci wadziło się o mnie. Chłopiec ciągnął mnie w stronę Jeruzalem, dziewczyny w stronę Damaszku.

Dopiero pan kasyjer wydobył mnie z tych opałów, rozdzieliwszy kilka klapsów pomiędzy młode pokolenie.

Cóż z tego! byłam już na wpół rozdarta.

Poczciwa kasyjerowa, z troskliwością, którą oby jej niebo wynagrodziło, podkleiła mnie klajstrem.

Nareszcie po tygodniu błądzenia, poznawszy całe towarzystwo małego miasteczka, odbywszy stójkę w gminie, dostałam się do Wydymanej Woli.

Zobaczywszy mnie, pan Jajkowski krzyknął uradowany:

— Honorciu! żono! chodźcie no prędzej, mamy „najświeższą“ gazetę.

Dr. Jalapeus.

Gdyby.

* Gdyby nie było słońca, nie byłoby księżyca.

Gdyby nie było Napoleona I, nie byłoby Napoleona III.

Gdyby pan Orgelbrand nie wydał *Encyklopedyi powszechnej*, inni wydawcy nie mieliby z czego zrobić *Encyklopedyi podręcznej*.

Gdyby szpagatówka kosztowała tyle co szampan, a szampan tyle co szpagatówka, szpagatówkę piliby panowie, a szampana dorożkarze.

Gdyby była taka bieda, na jaką narzekają, toby jubilerzy zamiast klejnotów i złota sprzedawali bułki i serdelki.

Gdyby baletniczki tylko tańczyły, a śpiewaczki tylko śpiewały, toby właściciele modnych magazynów nie zakładali takich kosztownych szyb w oknach.

Gdyby człowiek miał mózg tam gdzie serce. a serce w brzuchu, toby wszyscy ludzie na świecie byli bankierami.

Geld.

* Poszliśmy potem do prowincyi duńskiej, która się zowie Jutlandyją, a przeszedłszy, stanął pułk królewski w Arhusen, w mieście pięknem: na nasze chorągwie że się dostała ulica, co nie było gdzie koni postawić, nawet stajen z czego budować i miejsca na budowanie ich nie było, bo bardzo w cieśni między wodami, jako Wenecyja; prosiliśmy więc wojewody, aby nam pozwolił stać we wsi. Stanęliśmy tedy w Horning i inne półki i chorągwie po wsiach i miastach różnych. Ustawa tedy stanęła, żeby brać po 10 bitych talarów co miesiąc na konia z pługa; bo co u nas łan, to tam u nich pług. Braliśmy tedy w pierwszym miesiącu według ustawy, w drugim po 20 bitych, w trzecim już kto co mógł, choćby najwięcej wytargować zrozumiawszy majątek chłopa, jeżeli się miał dobrze na mieszku. Dostało się chorągwi naszej na przystawstwo miasteczko Ebeltoft [1]) z przynależytościami i z wioskami do niego należącemi, które przystawstwo jużto w samym było cyplu, między morzem Baltyckiem a Oceanem, zkąd już dalej iść nie można [2]). Ta więc prowincyja zowie się Jutland, a owa, gdzie Hadersleben, Suder-Jutland. Chorągiew byłaby tam bardzo rada stała, ale nie pozwolono z tej przyczyny, że daleko od wojska i żeby jej nie ułowiono, bo już było 10 mil od Kopenhagi morzem, co jest tak snadny przejazd nieprzyjacielowi, jak milę iść lądem. Wysłano mię tam

[1]) Ebeltoft leżało nad zatoką tegoż nazwiska, a po drugiej stronie półwyspu czyli cyplu był *Kattegat*.

[2]) W oryg. *iść* nie stoi, jeno *progredi*, t. j. dalej pójść.

tedy na deputacyją, najbardziej z przyczyny języka łacińskiego, bo tam lada chłop po łacinie mówi, po niemiecku rzadko kto, po polsku nikt, i taka właśnie różnica mowy Jutlandczyków od niemieckiej, jako Łotwy albo Żmudzi od Polaków. Luboć mi było trochę okropno jechać tam między same wielkie morza, bo już w samym cyplu; spojrzawszy i na tę stronę i na tę ku południowi, Baltyckie; tu zaś ku północy właśnie jakby na obłoki spojrzał; a lubo to woda jako i to woda, przecie znać, że inna tego a inna tamtego jest natura, bo uważałem też to, że czasem jedno się wydaje błękitne a drugie czarne; to zaś czasem jako niebo takiego koloru, a drugie zawsze od tamtego odmienne; to igra, wały na niem okrutne skaczą, a to spokojnie stoi; nawet kiedy oboje stoją, a spojrzysz na nie tam, gdzie się jedno z drugiem styka, osobliwie wieczorem spojrzawszy, to na niem widocznie rozeznać, jako jaką granicę. Trochę mi było, jak to mówią, niesmaczno tam jechać, ale przecie mając zawsze chęć widzenia świata, nie wymówiłem się; dano mi tedy czeladzi kilkanaście; pojechałem i wstąpiłem do Arhasen, aż mi mówią Piekarscy: „Szczęśliwej drogi! kłaniaj się tam od nas królowi Gustawowi, bo ty prędzej będziesz w Kopenhadze, niżeli u nas nazad“. Ja przecie nie uważając pojechałem. Wojewoda też mówił mi: „Panie bracie! i mnie się też tam na kuchnię moją dostało; posyłam tam mego Lanckorońskiego, radźcie tam o sobie, żebyście nie nawiedzili Kopenhagi“. Bo wojewoda dlatego tam sobie wziął, bo mu powiadano, że tam lud najdostateczniejszy. Pojechałem przecie, a Lanckoroński, pokojowy wojewody, za mną nie przyjechał aż w półtorej niedzieli. Przyjechawszy tam, uczyniłem, jakobym nie umiał po łacinie; pokazałem asygnacyją komisarską; pytają mnie: „kann er dejcz?“ odpowiadam „nix“. Przyprowadzili jednego, co umiał po włosku; ten pyta mię: „Italiano parla?“ Ja — „nix“. Ledwo nie poszaleli pludracy od frasunku, że się ze mną zmówić nie mogli. Cokolwiek do mnie mówią, to ja tylko odpowiadam: „Geld“. Pytają: „co sobie każesz dać jeść?“ to ja po staremu: „Geld“. Pytają: „co będziesz pił?“ „Geld“. Nareszcie proszą, żeby na nich nie nagle następować o pieniądze; ja mówiłem: „Geld“. Gdy zaś najczęściej po łacinie do mnie mówili, że to polakom język zwyczajny, przyprowadzili mi zatem szlachcica, który tam blisko nich mieszkał, bo majętność jego i zamek widać ztąd było, a który w wojsku Fryderyka [1]) służył i różnie peregrynował, aby się mógł jakkolwiek ze mną porozumieć. Mówi tedy do mnie: „Ego saluto Dominationem Vestram“; ja odpowiadam: „Geld“. Mówi: „Parla lingua francesca?“ „Geld“. Mówi: „Parla italiano?“ „Geld“. Rzekł więc do nich: „żadnego języka nie rozumie“, a posiedziawszy trochę, pojechał. Oni w srogiem myśleniu; a było tego przez cały dzień. Już mieli do brandeburgskiego wojska posłać, dla najęcia kogo do rozmowy ze mną i już się jeden gotował jechać. Tymczasem nazajutrz z rana przynieśli mi w podarunku łososia żywego, wielkiego, w wannie; wołu karmnego i jelenia także żywego, chowanego, na powrozie przyprowadzili; a przytem w kubku sto bitych talarów (ponieważ widzieli, że żadnym językiem nie mogli mnie zażyć), mówiąc językiem krajowym: „przynieśliśmy podarunek“. Dopierom ja do nich przemówił, wskazując na ów kubek z talarami: „Oto jest“, rzekłem po łacinie, „moich i waszych życzeń tłumacz“. Kiedy to niemcy skoczą od radości, kiedy się poczną rzechotać, obłapiać mię; kiedy to skoczą na miasto, powiadając, że przemówił nasz pan; nuż gonić owego, co już był wyjechał po tłómacza; dopieroż się rozmawiać, dopieroż dyszkurować; popili się niemczyska na ów śmiech. Nazajutrz dopiero w układy. Pokazałem im regestr komisarski, t. j. jak wiele pługów na którą wieś położył, a żadnej nie było sprzeczki i zaprzeć też nie mogli, bo widzieli, że nie mój wymysł, ale komisarza taki jest rozkaz. We dwóch dniach złożyli pieniądze za

[1]) T. j. Fryderyka III, króla duńskiego.

pierwszy miesiąc. A kiedy o talarach jaka była mowa, to ich nie mianowali talarami, ale tłumaczami. Pieniądze kazałem im zaraz odwieść do chorągwi, posławszy przy nich trzech pachołków; chciałem i sam jechać, ale prosili mnie bardzo, żeby nie jeździć, bo się bali, żeby ich brandenburgskie czaty nie napastowały, które o sześć mil tylko stały; jakoż bywali potem brandenburgczykowie, ale szkody nie uczynili bo choć porwał jakie bydlę, to zaraz puścił, zobaczywszy załogę i sam uciekł. Oddawcy pieniędzy wspomnieli także o tym tłómaczu, co zaś potem doniosło się i do wojewody. Gdy później byłem w Arhusen, aż tu wojewoda odzywa się do Polanowskiego porucznika, starosty boratyńskiego: „MPanie poruczniku! mam tu towarzysza w wojsku, co wszelkie umie języki, ale mu trzeba wprzód postawić kubek spory srebrny, bitymi talarami napełniony, to on zaraz gotów przemówić, jakim komu potrzeba językiem". Polanowski tego wyrażenia nie rozumiał, aż mu wytłómaczył i odtąd talary nazywano w wojsku tłómaczami. Nawet sam wojewoda do Lanckorońskiego, pokojowego swego, pisał w ten sens: „Tych pieniędzy, któreś przywiózł, nie liczył podskarbi aż po odjeździe twoim, w których znalazło się kilkanaście talarów złych. Bądź że tego pewien, że tobie samemu dostaną się w zasługach; bo to szpetna rzecz szlachcicowi nie znać się na pieniądzach. Masz tam blizko pana Paska, możesz się u niego nauczyć, co to jest dobry tłómacz". Na drugi miesiąc pisał do mnie porucznik, że sam i wszystkie chorągwie biorą po 20 talarów z pługa, żebyś i ty tak wybrał. Sarkali na to niebożęta mieszkańcy, że to przeciw zwyczajom postanowionym, aleć przecie wydali i odwieźli. Na trzeci miesiąc kazali wybierać więcej, alem się już tego nie chciał podjąć, bo widziałem też ich wyniszczenie przez wojnę, lubo znać było, że mieli kiedyś dostatki. Nie chciało mi się tedy z nimi draźnić, bo lud dobry, tylko że przez nieprzyjaciela zniszczony.

Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska.

Geologija.

* Nauka o tem, co się dzieje tam, dokąd wszyscy sami powędrować musimy. Zarówno jak astronomija, nauka ta mało przyczynić się może do rozświetlenia przyczyn, dla czego na świecie jest tyle łez, rozpaczy i bólu. Nic w tem dziwnego. Astronomija patrzy za wysoko, geologija - za głęboko. A tu potrzeba czegoś pośredniego.

Geneza stworzenia.

Świat przed ludźmi ginie;
Ziemia to orzech w chmurnej zawarty łupinie.
Bóg przez sześć dni wiekowych stwarzał ziem-
[skie ludy.
W pierwszym dniu, stworzył państwo modlące
[się Judy,
To była ziemia, na niej wyrosły narody.
W drugim dniu porozlewał wschodnich ludów
[wody;
W trzecim jak drzewa, greckie wyrosły plemiona;
W czwartym dniu, zaświeciło z gór Sokrata
[słońce;
W piątym, wzleciały orłów rzymiańskich zna-
To były ptaki... a na dnia piątego końce [miona,
Padła noc wieków średnich, długa, zachmu-
[rzona...
W szóstym człowieka zlepił Bóg... Napoleona.
Dziś dzień siódmy, Bóg rękę na rękę założył.
Odpoczywa po pracy, nikogo nie stworzył,

Genijusz finansowy.

* *Student* do antykwaryjusza: Ile mi pan dasz za te książki?

Antykwaryjusz. Dziesięć rubli.

Student. No zgoda, proszę o pieniądze. (Zebrawszy gotówkę). A wielebyś pan żądał, gdybym chciał te książki napowrót odkupić?

Antykwaryjusz. Tak po znajomości — 12 rubli.

Student. Widzisz pan, ja jestem zgodny człowiek, kupuję napowrót te książki od pana ale — na kredyt. *Flieg. Blät.*

Germański „Glaube“.

* Jam jest najpierwszy z narodów,
Ja jestem oświaty szaniec,
Jam jest szermierzem przyszłości,
A mym sztandarem — kaganiec...

Chlubi się anglik swą parą,
Żeglugą Gal i Kanową,
Ale kaganiec — kaganiec...
Jest mą własnością duchową.

Precz z marzycieli mrzonkami,
Precz z „krytyką rozumu“ Kanta;
Na nowe powiedzion tory
Świat, w takt komendy sierżanta!

Szczutek.

Gerylasz w resursie.

* *P. Agapit.* A niechże pana wszyscy d... porwą, panie Symforyjanie, a toż jak Boga kocham, nie rozumiem, jak można tak zadawać? trzeba nie mieć w głowie za grosz oleju.

P. Symforyjan (z flegmą, jąkając się). A pan się nie za... pa.. laj... tak pprędko, bo gotów kto po... myśleć, że masz w swej głowie co najmniej z garniec nafty albo ligroiny.

Geszeft.

* Jedyna twórczość, która posiada obecnie racyję bytu; nic też dziwnego, że zamiast idealistów, obecnie *en vauge* są tylko geszefciarze. Imię ich — *legion.*

Giełda i balet.

* O panu X. opowiadają, że wszystko, co zarobił na giełdzie, stracił na balecie.

Nic a nic nie rozumiemy, co może mieć wspólnego giełda z baletem?

* — Giełda coś cierpi do mnie — powiada hrabia de Cavour do barona Rothschilda.

— Z czego pan to wnosisz?

— Zaznaczyła moje wstąpienie do ministeryjum obniżką trzydziestu sous.

— Oh, panie hrabio! wart jesteś daleko więcej.

Figaro.

Glück.

* Kiedy przedstawiano po raz pierwszy w Paryżu operę Glücka „Alcesta“, przeciwnicy autora wykupili połowę miejsc i rozdali je motłochowi. Po przedstawieniu jeden z agitatorów wbiegł tryumfująco do sąsiedniej kawiarni, wołając:

— Czy wiecie, opera Glücka... poleciała!

— Do nieba — odparł tamże będący przyjaciel artysty.

Na drugiem przedstawieniu opera była przyjęta z zachwytem i odtąd na długie czasy pozostała ulubienicą publiczności.

* Młody i próżny śpiewak, występując w rolach gościnnych, zjednał sobie kółko ludzi z parteru, oklaskujących nic nieznaczący jego głosik. Przejęty dumą, poszedł raz w odwiedziny do Glücka, chcąc i z jego ust usłyszeć pochwałę swego talentu.

— Bo widzi pan — mówił, doprawdy nie wiem, dlaczego publiczność zdaje się gustować w moim śpiewie...

— I ja także nie mogę tego panu wytłómaczyć — odrzekł Glück.

* Pytano raz Glücka, czemu słowa Oresta: „Spokój powraca w moje serce“ są wyrażone w towarzyszącej im muzyce niespokojnymi urywanymi dźwiękami basetli i skrzypiec.

— Czyż nie rozumiecie tego — odparł wielki mistrz — że ten człowiek kłamie; jak może być spokój w jego sercu, kiedy przed chwilą zabił własną matkę?

* Innym znów razem zarzucano mu, że aryja „Charon cię woła“ na pojedynczej nucie jest wymotywowana.

— Mój przyjacielu — powiedział Glück — w piekielnych otchłaniach przytłumiają się namiętności a głos traci wprawę.

Głos ludu.

* *Vox populi, vox Dei.*

Że głos ludu głosem Boga,
Stare powiada przysłowie,
Ale doświadczenia droga
Co innego niech nam powie;
Głos ludu, czyli większości,
Jest najczęściej głosem tłumu,
Bez serca i bez rozumu,
Najopłakańszej mierności.

Zwłaszcza u nas, gdzie jest zdanie
Publiczne niewyrobione,
Często głupie niesłychanie,
Lub według pojęć skrzywione;
Gdzie dość jest, by być rozumnym,
Mieć sprytnego sekretarza,
A jeszcze lepiej kucharza;
I nie być zanadto dumnym.

Gdzie dość jest, by mieć złą sławę,
(Bez zarzutów, plam lub zdrady)
Tylko sąsiedztwo łaskawe
Nie zapraszać na obiady,
Na przepadłe nic nie dawać,
Żyć oszczędnie, z kredką, główką,
Nie szastać zbytnio gotówką,
I do butelki nie stawać.

U nas dziwnie to się dzieje:
Byle worek nie był pusty,
Złodzieje — nie są złodzieje,
A oszusty — nie oszusty.
Pierwsze źródło zbogacenia,
Już oddawna zapomniane,
Zagładzone i zrównane,
O przeszłości ni wspomnienia.

Proszę zliczyć ekonomów,
Lub pisarzy prowentowych,
Co dziś są głowami domów,
Poważanych i herbowych.

Jeszcze o ojcu powiedzą
Zrzadka: — „złodziej“ — lecz o synie,
Niechaj dziesięć lat przeminie,
Tylko, że pan wielki, wiedzą.

Niech kto fałszywym procesem,
O co u nas tak jest łatwo,
Zgubi bliźniego z kretesem
Zrobi go żebrakiem z dziatwą;
Czas jakiś mówią: — „Ot licho,
Zgubił łotr pana Jerzego“;
I będzie gadania tego...
Pół roku, a potem... cicho.

Ktoś tam żyje nad swą skalę,
Wszyscy podziwiają szczerze,
Zkąd, nie patrzą na to wcale,
Lecz zazdroszczą, że się bierze.
Nieraz słyszę: „mieszka ładnie,
Dobrze żyje, człek porządny“;
Cóż, czy rozumny — czy rządny?
„Nie — ma miejsce, dobrze... kradnie“.

I to nie jest powiedziane
Pogardliwie, ironicznie,
Nie, — złodziejstwo tu widziane,
Jest ściśle filozoficznie.
Kradzieżą się nie nazywa, —
Lecz obrotem, przezornością,
Baczną naprzód oględnością,
Lub też ekonomiją bywa.

U nas zwie się gospodarzem
Rządnym rodzaj rozbójnika,
Który z żydem arendarzem
Chłopów własnych drze jak łyka,
Który, nie patrząc na skutki,
Prócz tych, jakie w kieszeń bierze,
Najwięcej kartofli zbierze,
I najwięcej sprzeda wódki.

I nie może być człek nizki,
Jeśli ma z administracyi
Majątku potrójne zyski,
A podwójne z propinacyi;

Że żadnego nie prowadzi
Z chłopami nigdy rachunku,
Tyle tam tego frasunku —
Zawsze sobie dobrze radzi.

Wszyscy wiedzą, że zabija,
Morzy głodem lud poddany,
Który nędzny siłą kija
Dzień w dzień do pracy jest gnany;
Zamiast oplwać mu twarz całkiem,
Zamknąć każde drzwi przed nosem,
Wszyscy zgodnie jednym głosem
Obierają go marszałkiem.

Jak nasz tak i wszystkie kraje
Mają wiele zła w szczegółach,
Ale szczerze to wyznaję:
Więcej jest sensu w ogółach.
Co jest złem, złem się nazywa,
Dobre dobrem, tu inaczej:
Złe na dobre się tłumaczy,
A dobre często złem bywa.

Królem ślepych jednooki,
U nas co wiorsta uczony,
Porządny co cztery kroki,
A kochanieńkich milijony!
I niema nawet nadziei,
By inaczej kiedy było,
Tak się u nas wyrobiło,
To vox populi, vox Dei.

Artur Bartels (p. str. 309).

Głowa.

* Mały ale rozumny człowieczek posprzeczał się raz z olbrzymiego wzrostu mężczyzną.

— Jeżeli nie przestaniesz mówić — powiedział Goliat — wsadzę cię zaraz do kieszeni.

— Wsadź mnie lepiej do swojej głowy — brzmiała odpowiedź małego — a przynajmniej nie będziesz jej miał pustą!!

* Głowa często idzie w parze z sercem, ale ponieważ jest egoistką, stara się zawsze wziąść nad niem górę..

* Aby mieć życie spokojne i szczęśliwe, potrzeba posiadać dwie rzeczy pełne i dwie puste, mianowicie: puste serce i pustą głowę, a pełny żołądek i pełną kieszeń!

* Ktoś, przymierzając cudzy kapelusz, powiedział do właściciela

— Mamy obaj jedną głowę.

— Wybacz mi — brzmiała odpowiedź — ale ja mam głowę tylko dla siebie.

* — Stawiam głowę o zakład — zawołał w sprzeczce pewien aktor.

— No! — odezwał się dyrektor — niewiele pan ryzykujesz.

* Kiedy syn pewnego wieśniaka wychodził na wojnę, przyrzekł ojcu przynieść z powrotem głowę nieprzyjaciela, wieśniak jednak uściskał go z płaczem, mówiąc:

— Drogi synu! możesz mi nie przynosić żadnej głowy, abyś tylko wrócił z swoją własną!

* Cały świat astronomiczny interesował się kometą bez głowy, spostrzeżoną na niebie w r. 1846. Nikt nie wiedział, gdzie ona idzie, zkąd przychodzi, jakie jest jej oddalenie, gdyż rzeczywiście trudno jest obliczyć, dokąd można zajść bez głowy...

* Poławiacze sztokfiszów ucinają im przedewszystkiem głowy, gdyż powinny stracić kierunek, rozchodząc się na wszystkie strony świata.

* Przysłowie mówi: „Komu brak rozumu w głowie, musi go mieć w nogach" i szczególniejsza rzecz, ten niższy rodzaj rozumu jest często pokupniejszy między ludźmi!

* Kiedy ciało i dusza pożeniły się ze sobą. stworzenie dało temu małżeństwu na wiano trzy domowe porządki: głowę, serce i żołądek. Zaraz poznać można, że człowiek sam rozstawiał te sprzęty, bo żołądek o wiele bliżej umieścił serca niż głowę. Dał żołądkowi naturalne pokrycie, niby dach ochronny, tak, że nie po-

trzebuje dla niego nigdy parasola, tymczasem poczciwa głowa ileż razy jest dobrze zmyta nietylko przez niebo, ale i przez ludzi! Niespokojną głowę zaraz biorą pod dozór, a żołądkowi wszystko wolno, choćby niewiem jak dokazywał.

* Podczas okropnej ulewy spotkał biały murzyna, który schował kapelusz, stojąc na deszczu z odkrytą głową i rzekł do niego:

— Pompejuszu, czemu nie nakryjesz głowy, cała ci zmoknie.

Murzyn wyszczerzył zęby w filuternym uśmiechu, odpowiadając:

— Aha! kapelusz do mnie należy, a głowa do pana!

* *Głowa i serce.*

Gdy serce ma swój dom,
Nim głowa ma takowy,
Na budę zda się psom
Los serca i los głowy.
A kto swym piętom da
To, co miał sercu dać,
Nagniotki w zysku ma
I czuwa zamiast spać.

Szekspir. (p. str. 92).

Głód.

* Bogacz przesycony zbytkiem spotkał użalającego się nędzarza.

— Panie! z głodu umieram!

— Szczęśliwy nicpoń! — zawyrokował milijoner.

Głuchy.

— Jak się mamy? cóż tam słychać w mieście?

— Katar, panie, katar!

— Jakto katar? gdzie?

— No w Peszcie, pan powiada...

— Ale ja się pytam w mieście...

— A tak dostałem nareszcie...

— Co? cholery?

— Tak, na kolei...

— Jakto na kolei?

— No tę posadę, com się o nią starał 8 lat.

— A podobno pańska małżonka ma syna?

— Za protekcyją osób trzecich, panie!

— Co też pan mówisz?!

— Bo ja tom się tam wcale nie starał... inni za mnie załatwiali tę sprawę...

— No, no, no!...

— Ale tysiąc rubli rocznie...

— Pan mówi o posadzie!! Czy o po-sadzie?!

— Tak! a o czem że miałbym mówić?

— No, to do widzenia...

— I owszem...

— Co i owszem?

— Mam panie, apetyt do jedzenia... a gdzie pójdziemy?

— Do... domu!

— Służę panu, rzeczywiście miałem pana dawno odwiedzić... chodźmy...

— A bodaj cię wszyscy dyjabli wzięli!

(Idą razem).

* *Głuchy na pochlebstwa.*

Czcigodny Lamoignon miał przemowę do Delfina w kołysce, jak to było w zwyczaju przed dwustu laty.

Ograniczył swą mowę na tych słowach.

— Obyś, najjaśniejszy panie, dla szczęścia Francyi i swego był w przyszłości równie nieczułym i głuchym na pochlebstwa, jak jesteś nim teraz na moją przemowę.

Głupi.

* Tytuł na pozór nie bardzo ponętny, w istocie jednak swojej stanowi jedyny warunek szczęścia. Pomimo to rzadko się zdarza, aby kto przyznawał się do tego tytułu, a na kartach wizytowych ani razu nie zdarzyło się nam go spostrzedz.

* *Głupi i mądry* (bajka z 1889 roku).

Pytał głupi mądrego, na co rozum zda się,
Ten milczał, lecz gdy głupi zbytnio naprzykrza [się
Odrzekł: — Na to, by czując literacką wenę,
Wszystkie znane powieści przerabiać na scenę.

Duduś. (p. str. 30).

Głupiec.

* Dziwne to, ale prawdziwe, niestety!
Naprzykład mąż, któremu żona łamie
Wierność, wychodząc za praw swoich mety
I łamie... któreż łamie przykazanie?...
Nie pomnę. (Jest zaleta nad zalety,
Aby mężczyzna nie ubliżał damie)
A jeśli zazdrość w mężu się zapala,
Tem chętniej żona zrobi zeń — rogala.

Prawy małżonek podejrzywać musi,
Tylko, że bardzo często podejrzywa
Człeka, co wcale mu żony nie kusi,
A znów jak ślepiec hańbą się okrywa,
Gdy „przyjaciela“ mało że nie dusi
W uściskach, ten zaś łotr, jak zwykle bywa,
Ucieka z żoną... Mąż stoi jak głupiec
I woła: „Zdrajca“ zamiast: „O, ja głupiec!“

Byron.

Głupstwa.

* Czyny ludzkie zwykle nieświadomie popełniane, ztąd trudno komu dowieść w nich udziału. Najcharakterystyczniejszem w nich jest to, że twórcy owych czynów zdają się być najmniej do nich zdolnymi. Gdyby czyny wielkich ludzi można było przedstawić liczebnie, największą liczbą ich okazałyby się głupstwa.

* Widzimy nieraz głupstwa zręcznie przyodziane, a głupców dobrze ubranych.

Chamfort.

* — Cóżeś taki uradowany, czy wygrałeś może główny los na loteryi?

— Et, co mi tam loteryja!

— Więc czego się tak cieszysz?

— Wyobraź sobie, moja teściowa uciekła z Iksem do Ameryki i zapewniła, że nigdy już nie powróci.

Głupstwa i dziwolągi bajeczne.

* Dziwactwa niepodobne objawiają się w obrazach, czynach, sposobie myślenia i czucia; są one właściwością ludów wschodnich, które tą wadą zarzuciły półwysep Pirenejski za arabów; następnie rozeszło się to zamiłowanie bajek i dalej, i wytworzyło nasze rycerskie romanse i późniejsze powieści. Jest to fałszywy rodzaj, niby parodyja czegoś wzniosłego i cudownego, bo w zasadzie bajki takie nie mają nawet poetyckiego prawdopodobieństwa tak jak większość snów; ale jeżeli tylko kto wierzy w cuda, to wiara taka może i u tych nawet podtrzymywać zainteresowanie, jak np. w „Messyjaszu“ Klapstoka. Rabini trzymają prym w tych niesmacznych alegoryjach, wymysłach bez sensu; nikt ich w tem dotąd nie doścignął. W czasach rycerskich zaś dopuszczano się często dziwacznych czynów, tchnących waryjactwem. Każda część ciała olbrzymiego boga hebrajczyków wyznaczona była na mile przez rabinów, którzy umieli utrzymać się u swoich w takiej apoteozie świętości, jak Bramini u indyjan. Ów Jowisz rabinów miał i czas podzielony przez nich, i tak: przez trzy godziny studyjował prawo, trzy godziny zarządzał światem, trzy godziny żywił świat i wreszcie ostatnie trzy godziny dnia, bawił się z Lewijatanem. Jak przepędzał następne dwanaście godzin nocy, o tem nie uważali za stosowne wspomnieć; ale ponieważ nie chcieli zrobić go podobnym pogańskiemu Jowiszowi, więc zapewne spał tylko i wypoczywał spokojnie. Podług talmudu, Adam miał wysokości 900 łokci; arabowie zaś pokazują do dziś dnia w okolicach Meki trzy pagórki, dwa blizkie siebie a trzeci oddalony od nich na dwa strzały fuzyi: na tym ostatnim Ewa miała opierać głowę a na dwóch innych kolana, gdy chciała leżeć wygodnie. Podług tych dziwacznych opowieści rabinów dzieci Jakóba były tak wielkie, że gdy usiadły na ziemi a nogi skuliły do siebie, jeździec z podniesioną lancą mógł przejechać wygodnie pod ich kolanami. Sługa Abrahama, Eleazar, był tak wielki, że gdy pan jego w złości wybił mu ząb, zużytkował go praktycznie, wyrobiwszy z niego skrzynię. Olbrzymi byli tak wielcy, że jeden z nich podczas potopu uchwycił się okna w niebie, drudzy zaś nogami

swemi zatkali wszystkie studnie na ziemi; wtedy Pan Bóg uczynił wodę wrzącą, w której się żywcem ugotowali, jak nasze raki. Jeden Og uratował się od śmierci, położywszy się na arce Noego, koło tej bowiem woda pozostała zimną; zabił go jednak później Mojżesz, strąciwszy sześciomilową górę na Izraelitów. Pan jednak zesłał był mrówki i te wydrążyły dziurę w tej górze, która tym sposobem wpadła mu na szyję; Mojżesz wziął więc siekierę dziesięć mil długą, skoczył dziesięć mil w górę i tak zamierzywszy się dobrze, uciął olbrzymowi piętę; wtedy Og upadł i umarł. Olbrzym ten potrzebował do nasycenia się tysiąc wołów dziennie, a tysiąc wiader do ukojenia pragnienia. W piszczeli nogowej, pozostałej po tym olbrzymie, pewien Abba Szaul ścigał sarnę przez całe trzy mile, i cofnął się w końcu rozważywszy, że ma jeszcze przed sobą daleką drogę do wyjścia i że nie znajdzie w środku żadnej gospody, w którejby mógł wypocząć. Behemak rabinów, wół przeznaczony na święto Messyjasza, pasie się na tysiącu górach, które codziennie do szczętu objada; ale przez noc trawa wyrasta na nowo; woda Jordanu wystarcza mu zaledwie na jeden haust. Gdyby ten potwór nie wystarczył na nasycenie wiernych, będą mieć jeszcze lewijatany, ogromne dwie ryby, z których jedna już jest nasolona, trudno było bowiem trzymać obiedwie żyjące, ze względu na zbyt wielką ilość pożywienia, jakiego potrzebują; każda z nich bowiem ma trzy mile długości. Gotów jest także na tę ucztę pieczony piękny ptak *Sis*, ktory, gdy raz wypuścił jaje, narobiło ono wielkiego spustoszenia, przewróciło bowiem trzysta wielkich cedrów, a samo jego żółtko zalało sześćdziesiąt wsi. Można sobie wyobrazić, jakie do tego być muszą i wina, na ten fest przygotowane, naturalnie lepsze od wszystkich nam znanych, a stare jak świat. Przy tym wole i winie nie trzeba zapominać i tych tłustych gęsi, które zdarzyło się raz napotkać pewnemu rabinowi; pióra powypadały im ze zbytniej tłustości, aż rabin, łykając ślinkę zapytał: „czy my też będziemy mieli udział w uczcie tamtego świata, na którą jesteście przeznaczone, i czy się nam dostanie jaka z was cząstka?“ Wtedy jedna z gęsi podniosła z powagą nogę, a druga skrzydło, co miało znaczyć: „Dostaniecie nogę i skrzydło.“ Najpiękniejszemi jednak ustępami z całego talmudu są opisy, w jaki sposób załatwiają się w raju inne potrzeby wiernych, ale że są naiwne, odsyłamy ciekawych do oryginału. Koran nie ustępuje wiele talmudowi, chociaż w ogóle jest trochę rozsądniejszy; opisują tam także, że oczy Gabryjela są odległe jedno od drugiego o 70 dni drogi. Podług rabinów oczy Jechowy są o 300,000 mil boskich jedno od drugiego odległe, n. b. jedna mila ma 100,000 boskich łokci, jeden łokieć 4,000 boskich piędzi, każda zaś piędź boska równa się średnicy ziemi. Źrenica oka ma 11,500 mil; broda ma tyleż długości; a jeden palec 120,000,000! Bóg braminów nie jest wcale mniejszym, albowiem wąż *Wasughi*, który ziemię jakby obręczą ściska, byłby za małym na mały palec boży, gdyby go chciano użyć jako pierścionek. Bóg widzi w najczarniejszą noc nawet najczarniejsze mrówki na najczarniejszym marmurze! Czemże są obok tego najbardziej wybujałe fantazyje naszych, a nawet wschodnich poetów! Dziwaczni są też stoicy ze swoim stoicyzmem w cierpieniu i śmierci, dowodzący, że nie ma nic złego, nie ma cierpienia, ni śmierci; dziwaczni też także Rolandy, którzy na dolinie Roucewal całe wojska pobijali sami jedni; a krzyczeli aż im gardło pękało, lub dęli w róg króla wielkiego, którego odgłos rozlegał się o dwadzieścia mil w około, podobny do rogu, używanego przez Aleksandra Wielkiego do sygnałów, w który dęło sześćdziesięciu mężów, przez co naturalnie słychać go było na mil sześćdziesiąt. Podobni waryjaci ukazywali się przecież i w nowszych czasach. Westris np. słynny baletnik, utrzymywał, gdy jego syn zrobił udatne *entrechats*, że mógłby był wcale nie wrócić na ziemię i robił to jedynie przez grzeczność dla kolegów; lub pewien fechmistrz gaskoński, który opowia-

dał, że gdy go deszcz spotka, on wyciąga szablę i odpiera go z taką szybkością, że żadna kropla nań nie padnie. Za czasów rycerskich cała natura roiła się od czarowników i dobroczynnych wróżek; od możnych olbrzymów, złośliwych karłów, smoków i gryfów; wszędzie słyszano tylko o cudach nad cudami, o miłosnych napojach, duchach i figlach dyjabelskich; to wszystko nietylko że stało w książkach, ale tkwiło też w wybujałej dziwnie fantazyi średniowiecznej, a następnie trzymało się jeszcze mocniej ciemnych głów ludu. Cały świat duchów stał gotowy na skinienie podług słów poety: „Jednym dniem robiło się niem mil tysiące. — Nocą w lesie zastępowały drogę gnomy drwiące — a nimfy z każdego wyglądały krzaka.“ Dziwacznemi też niemało są Rabail'ego Gargantua i Pantogruel, którzy wyszli na świat przez ucho swej matki, natychmiast wołali: „pić, pić“ i musiano ich przywiązać do kolebki żelaznemi łańcuchami, które jednak zdruzgotali jednem uderzeniem pięści. Po pewnej bitwie czesali się oni zębami słonia a wtedy spadały im w pośród włosów utkwione kule armatnie; zjedli oni raz w sałacie sześciu pielgrzymów, którzy jednak szczęśliwie uwięźli im pomiędzy zębami, zkąd ich wydobyto powoli stosownemi wykałaczkami. Ci olbrzymi mogli używać górę Chimberazo zamiast wykałaczki do zębów, las Turyngski jako szczotkę do sukien, a usta płukali morzem Północnem. Anachronizmy powiększają jeszcze dziwaczność tych bajek. Miltona dyjabły są tak wielkie, że nigdy ich całych widzieć nie można, zkądkolwiek by się na nich patrzano; a aniołowie jego strzelają do siebie. Mimo to, wszystkie te niedorzeczności uważane były w swoim czasie za coś nader wzniosłego. „Messyjada“ Klopstocka, mało się różni pod tym względem od „Raju utraconego“; tylko na inny sposób fantazyjuje; komiczny jest np. ów nauczyciel, wykładający uczniom niezmierną odległość ziemi od nieba w ten sposób, że kamień młyński potrzebowałby piętnastu lat, ażeby spaść z nieba na ziemię. Różne, tym podobne dziwaczne wymysły, które krążyły i dotąd krążą po świecie, (a może nawet najwięcej w świecie uczonych), zdają się być zesłane przez matkę naturę na popisanie się z bogactwem umysłu, który fantazyjuje nawet wtedy, gdy znużony rozsądek odpoczywa wraz z ciałem. W tem też spoczywa tajemnica niewytłomaczonych inaczej upodobań ludzkich do powieści i bajek, romansów rycerskich i baśni, chociażby takich jak z „Tysiąca i jednej nocy“, lub francuzkich jak: „Petit-ponce“, ,,Chaperon rouge“, ,,Cendrillon“, ,,Chat boté“, (ogólnie znane dziecinne fantazyjne utwory Perault'a, i inne pani d'Aulnoy); W podobnych powiastkach o wróżkach przebija się dążność dawniejszych ludów wschodnich tłomaczenia sobie w ten sposób nieznanej zagadki przeznaczenia, czyli fatum; ale z takiego tłomaczenia może być tylko zadowoloną imaginacya, a nie zdrowy rozsądek. Los, przeznaczenie czy fatum, są to bardzo wielkie słowa i często nader wygodne. Napoleon I-y wierzył w nie ogromnie; nie mniej może jak wschodnie ludy, które z tą wiarą są zapewne daleko szczęśliwsze, aniżeli mieszkańcy zachodu, którzy nazwę ,,fatum“ zamienili na ,,przezorność“, jednakże, gdy to ich zawiedzie i nie widzą na złe rady, mówią sobie także: ,,Tak chciało przeznaczenie“ i to ich uspokaja. Cudowność jest pierwotnem, ukochanem dzieckiem wiary, wypiastowanem i wychodowanem przez poezyją; niezaprzeczoną zaś jest rzeczą, że wiara uszczęśliwia wielu. Wojny krzyżowe przyniosły nam najprzód cudowne baśnie ze wschodu, a te przyjęły się łatwo, znalazłszy już grunt przygotowany, jak dowodzi tego ,,Odin“, chociaż zimniejszy bo zachodni baśniarz. Wróżki były podstawą poezyi rycerskiej, od której przeszły do ludu, jak piękna Meluzyna. Wróżki żyły w ścisłych stosunkach z pięknymi rycerzami, i mogły dać powód do zazdrości wielu ziemskim pięknościom, które ze swej strony były też wieszczkami, niedostępnemi dla niższych. Piękny ten okres trwał szczęśliwie, dopóki pozbawiona wszelkiej fantazyi rzesza suchych teologów i jurystów (ta szlachetna bratnia para)

nie przemieniła pięknych wróżek na obrzydliwe czarownice, posłuszne sługi dyjabła. Jednakże upodobanie w powieściach cudownych przechowało się aż do naszych czasów, jakże bowiem wytłomaczyć inaczej powodzenie takiego dziełka jak „Cabinet des fées“, którego 37 tomów tyle miało wydań. Cerwantes w swoim „Don Kiszocie“ ośmieszył do reszty wszystkie dziwaczne nadzwyczajności rycerskiego świata; tak jak niemiecki Wieland w swoim „Don Sylwio de Rosalba“ wszystkie wróżki, jak niemniej błaznów i idyjotów, opisywanych w dawniejszych bajkach; postacie te jednak mogą jeszcze służyć do zabawy w niejeden zimowy wieczór i mniej są szkodliwe niezawodnie, aniżeli niektóre naturalne, żywe postacie. Najwyższy stopień wzniosłego nonsensu znaleść można niezaprzeczenie w szumnych mowach, których napuszone pięknie brzmiące słowa usiłują daremnie ukryć próżnię myśli, i często tak się przytem zaplączą, że nietylko słuchacze ale i mówca nic z tego nie rozumieją. Pewien zakonnik np., w mowie pogrzebowej, chcąc uczcić swego bohatera, rzekł w końcu: „Jego odwaga kyła bez komy, a jego stałość bez punktu!“ Czyż to się nie równa bajecznym wybrykom fantazyi? Benserada wyraża się w wierszach, które odczytał w akademii z okazyi wyzdrowienia króla, j. n.: „Kupiec opuścił swoje interesy, rzemieślnik swoje warsztaty, uczony swoje księgi, aby iść upaść przed ołtarze boskie; doktór porzucił też swoich chorych, a chorzy wyzdrowieli...“ Mercier słyszał podczas rowolucyi pewnego mówcę, który się odzywał do ludu w te słowa: „Tak jest, obywatele, wezmę moją głowę za włosy, utnę ją i ofiaruję ją temu despocie, mówiąc mu: „patrz tyranie! oto jest czyn wolnego człowieka!“ Tylko rewolucyjonista, ubiegający się zapamiętale za nowością i siłą, mógł się wznieść do tak wysokiego nonsensu, żeby sobie samemu myślał głowę uciąć, a potem bez głowy mówić. Czyż potem można się dziwić niedorzecznościom, wypowiadanym w klubach lub innych nawet poważniejszych zebraniach! Szczęściem, że nie wszyscy jeszcze pozwalają sobie występować z mowami! Galimatyjasem nazywamy, jak wiadomo, rzecz niezrozumiałą, mieszaninę słów bez sensu. Wzory najnowszego galimatyjasu możemy znaleść w pismach spekulatywnych filozofów nowoczesnych, dzielących się na dwie kategoryje, t. j. tych, którzy sami siebie jeszcze jako tako rozumieją, ale przez swój zawiły sposób wyrażania myśli są niezrozumiałymi dla czytelników — jak Kant np. i wielu innych, dopuszczających się podwójnego galimatyjasu, gdy sami właściwie niewiedzą co chcą powiedzieć, jak mnóstwo kancistów, a nawet słynny młodszy Kant. Bezsensowność taką, wynik zbytniej abstrakcyi, daje się często spotykać u poetów-filozofów. Skromni, dobroduszni, nie zbyt głęboko myślący czytelnicy, biorą często niedorzeczności takie za wyższość umysłu, niedostępne dla nich; podziwiają je, a w pokorze ducha, biorą prostotę swego zdrowego rozsądku za słabość umysłową. Owi mężowie tak ciemni i zawili w stylu swoim, zowią też każde jasne przedłożenie rzeczy popularnym wykładem, dlatego, że każdy, nawet najmniej uczony zrozumieć je może i takie przystępne dzieło mają za niższe, niegodne ich uwagi; ten tylko podług nich jest głębokim myślicielem, którego dzieła wymagają całego wysiłku uwagi i natężenia umysłu, ażeby sens ich znaleźć (gdzie naprawdę często go wcale niema) i nie stracić w ciągu czytania wątku tej wzniosłej idei i ten tylko jest myślicielem głębokim, kto zawiłe pojęcia i rzeczy, których wcale pojąć nie można, ubiera w słowa sześciostopowej długości (sesquipedalia verba). Kto się wyraża jasno i prosto, jest pisarzem popularnym, nie żadnym filozofem. O! jakże starożytni śmieliby się z takich pojęć! Dla wielu to słowo „nonsens“ czy „niedorzeczność“ jest prostą figurą retoryczną, dla okazania najwyższego stopnia pewności. Mówi się n. p. „Byłoby najwyższym nonsensem zaprzeczyć temu“. Ten co się tak wyraża, powinienby pamiętać, że prawdy szuka się ciągle na dnie głębokiej studni, i wydobywa się ją zaledwie małymi kawałkami; nie-

chaj tedy będzie przygotowany na odpowiedź: „Byłoby nonsensem wierzyć temu“ i niech go to nie obraża. Anglicy, francuzi, włosi, hiszpanie mają mnóstwo drukowanych niedorzeczności, ale wszystkich ich przeszli na tym punkcie niemcy, można im w tem przyznać najwięcej oryginalności a to dzięki ich flegmie. Tam gdzie inne ludy ograniczały się na głupocie, niemcy dochodzili do waryjacyi. O święta głupoto! przewielebny nonsensie! Ileż to świetnych zebrań skazanych byłoby bez ciebie na ziewanie! Iluż to wielkich filozofów, od Arystotelesa aż do Kanta, zawdzięcza ci swoją sławę! Iluż sławnych kaznodziei i dowódców fanatycznych prasy, dzięki tobie zasłynęło wymową! Ileż razy przyszedłeś z pomocą lekarzowi, gdy zmuszony był orzec przyczynę choroby, szczególniej gdy szukać trzeba było źródła w psychologii a nie fizyjologii pacyjenta! Jakże często nonsensa prawne pomagają sędziom w ich zadaniu! Ileż razy takie nonsensa są natchnieniem poetów, a nawet artystów! O święty bezsensie! ty to rozsiadasz się i królujesz niewidzialnie na katedrach i kazalnicach; w teatrach i po kawiarniach; w prywatnych i publicznych zebraniach; w pałacach, dworkach i chatach; ty siedzisz na biurku literata, trzymasz pióro autora; kierujesz igłą mody; nie brak cię po fabrykach i warsztatach. W ustach zakochanego jesteś najpewniejszym środkiem do zmiękczenia serca wielbionej piękności; w tobie leży tajemnica wymowy, tego daru słowa i tak miłego wszystkim pochlebstwa. O święty nonsensie nie opuszczaj nas, bo w tobie leży wesołość i zadowolenie z siebie, które jest przecież szczęścia podstawą! Trzeba tu wspomnieć i o rzeczach arcygłupich, ponieważ ekstragłupia rzecz jest w swoim rodzaju także piękną. Wielu napisało prawdziwe komedyje i farsy, nie domyślając się nawet tego. Można też głupiej książce nadać sensowne znaczenie, biorąc zawarte w niej rzeczy poważne za ironiję, albo przeciwnie ironiję za rzeczy seryjo, tak mniej więcej jak kiedy złą tragedyję czytamy jako komedyję; wiele rzeczy uważanych za złe uznamy dobremi, gdy będą przedstawione w innem świetle; prawdziwi głupcy zresztą, byle tylko mieli pieniądze, jakże bywają otoczeni! jakże chętnie widziani są wszędzie! To samo dzieje się z książkami nawet. Podług słynnej teoryi Sanszo - Pansza, absurda są tylko wzniosłym szczytem cudowności. Tak, zbytek głupoty jest także pięknem, szczególniej w pewnych okolicznościach; francuzi wyrażają się o tem delikatniej i nazywają ekstragłupotę *le dernier beau*, co jest trochę ironiczne, ale wychodzi mniej więcej na to samo, że nadmiar głupoty ma swoje piękno.

Godne uczczenie.

* Pewna gmina żydowska w pobliżu Metzu, pragnąc ulubionemu rabinowi dać dowód swej wdzięczności, postanowiła ofiarować mu beczkę białego wina. Aby zaś najwięcej osób mogło mieć w tem udział, zadecydowano, żeby każdy z wiernych osobiście przyniósł butelkę wina i wlał ją do przygotowanej na to beczki. Rabin był też nadzwyczaj rozczulony tym dowodem uznania jego zasług i po wielu podziękowaniach napełnioną beczkę umieścił w swej piwnicy. Jakież jednak było rozczarowanie rozrzewnionego dygnitarza, gdy probując wino, przekonał się, że beczka zawiera czyściuteńką wodę, współwyznawcy bowiem rabina myśleli każdy z osobna, iż jedna butelka wody, wlana do wina, nie zrobi żadnej różnicy, ponieważ zaś na nieszczęście każdy z ofiarodawców miał tę samą niewinną myśl, nic dziwnego, że beczka zamiast winem, wypełnioną została wodą.

Godność łotrów.

* *Fiesko.* A więc łotry nawet mają swoje prawa i godności? Zacznijże od najniższego.

Murzyn. Pfe, łaskawy panie, jest to pogardliwe wojsko *długorękich.* Nędzne rzemiosło, co jeszcze wielkiego nie wylęgło człowieka — na bizuny i dom poprawy pracuje i wiedzie co najwięcej do szubienicy.

Fiesko. Ponętny cel podróży! Ciekawy jestem lepszego.

Murzyn. Są to szpiegi i podsłuchiwacze. Znakomici panowie, którym magnaci użyczają swojego posłuchu, żeby do swojej wszechwiedzy cokolwiek zaczerpnąć. Oni to jak pijawki do duszy się wgryzą, wysączą truciznę z głębi serca i podadzą komu należy.

Fiesko. Znam to — dalej!

Murzyn. Kolej przychodzi na zbójców, na przyprawiaczów trucizn i tych wszystkich, co swoją ofiarę długo upatrują, zanim ją z nienacka z tyłu pochwycą. Lękliwe piecuchy, a jednak za naukę szatanowi biedną duszą płacą. Tu już sąd ziemski wyżej się posuwa; łamie ich kości na kole, głowy ich sprytne na palach wystawia. Jest to trzecia klasa.

Fiesko. Mówże, kiedy twoja przyjdzie?

Murzyn. Pioruny! Tu łaskawy panie właśnie jest szczyt chwały. Jam te wszystkie klasy przechodził. Genijusz mój wcześnie każdą przeskakiwał zaporę. Wczoraj w wieczór dokonałem mistrzowskiego popisu w trzeciej, przed godziną frycem zostałem w czwartej.

Fiesko. Któraż więc czwarta?

Murzyn (żywo i z zapałem). Tu są ludzie, co swoją zwierzynę między czterema ścianami wyśledzą. Wśród niebezpieczeństw wyrąb dla swojej drożyny przygotują, prosto w oczy skoczą i pierwszym ukłonem nie dadzą mu czasu za drugi ukłon podziękować. W naszym języku nazywają się oni piekła extrapocztą. Jak tylko Mefistofela kaprys napadnie, jedno skinienie — a ciepła mu z rożna kurzy się pieczeń.

Szyller. (p. str. 281)

Gody w Kanie.

* Proboszcz bardzo surowych poglądów utrzymywał, że uczty poślubne są zwyczajem, godnym potępienia.

Ktoś mu na to powiedział, że i Chrystus był obecnym na godach w Kanie i chcąc przedłużyć ucztę, zrobił swój pierwszy cud.

Proboszcz, zaambarasowany, trafnością przytoczenia, odpowiedział z nieukontentowaniem:

— Niedobrze zrobił, zupełnie niedobrze.

Goethe.

* Wielki poeta był już starcem, a do jego słabostek zaliczano obchodzenie uroczyste dnia urodzin.

Dnia 27 sierpnia 1825 roku, Wolff, sekretarz poety, zjawił się wcześnie przed południem w jego mieszkaniu po rozporządzenie na uroczystość dnia następnego.

Jego ekscelencyja chodził z twarzą mocno zasępioną, widocznie czemś podrażniony, po wielkim parterowym pokoju swego pomieszkania w Wejmarze. Ręce jak Napoleon I miał na plecach skrzyżowane, odziany był w swój długi, historyczny szlafrok. Zaledwie raczył głową skinąć sekretarzowi, który stanął zdumiały we drzwiach, widząc, że w każdem oknie stoi butelka słodkiego wina i staruszek ile razy przejdzie koło którego z okien, nalewa sobie kieliszek i wypija.

Wolff kilka razy próbował przemówić, ale książę poetów, udrapowany w powagę olimpijską, milczał jak ściana. Raptem jednak podszedł do zdumiałego sekretarza, stanął tuż przed nim i patrząc mu oko w oko przemówił:

— Dziwisz się zapewne mojemu zajęciu, kochanku. Nie dziw się niczemu, proszę, bo wy wszyscy jesteście akurat tacy sami, jak moja najbliższa rodzina. Mówiąc krótko, wszyscy jesteście czeredą chytrych pochlebców, coście mi tu nieraz do obrzydliwości kadzili. Ale, kiedy trzeba uczucie okazać, dać dowód serca, to wtedy jakby was wszystkich wymiótł. W jednej niespodziewanej chwili zaglądam wam pod maskę i widzę całą waszą obłudę. Nie, mój kochany, już ja wiem co mówię. A ponieważ w Niemczech całych i w moim domu nawet, nikt o moim dniu urodzin nie myśli, nikt za moje zdrowie nie pije, to ja będę pił sam, a o was dbać nie myślę.

— Dzień urodzin waszej ekscelencyi? — zawołał Wolff — na miłość boską, cały świat myśli o nim i na dowód tego, w tym roku właśnie porobiono nadzwyczajne przygotowania do uroczystości. Któżby mógł zapomnieć o dwudziestym ósmym sierpniu! Ale ekscelencyjo, to jutro dopiero dwudziesty ósmy.

Teraz Goethe z kolei był zdziwiony. Wpatrzył się w Wolffa, pogrążony w zamyśleniu, a w końcu rzekł sam do siebie z nieukontentowaniem:

— Prawda, to dzisiaj dwudziesty siódmy. A ja w przekonaniu, że to moje urodziny, bez potrzeby sobie podchmieliłem.

* Kiedy otworzono kąpiele żelazne w Ruhla, Goethe często je odwiedzał, nietyle dla zdrowia, ale raczej dla zbierania w górach mineralogicznych okazów.

Pewnego dnia przedsięwziął on wielką wycieczkę z Freiherem von Stein, która miała ich doprowadzić do odludnych szczytów górskich; podróżnicy jednak nie doszli jeszcze do połowy drogi, kiedy zaczął padać deszcz ulewny. Stein naglił do pośpiechu, a kiedy Goethe nie mógł się oderwać od badań mineralogicznych, Stein stracił w końcu cierpliwość i rzekł porywczo:

— Kiedy tak ciągle kamieni upatrujesz, powiedzże, do jakiego gatunku ja należę [1]).

Na co odpowiedział Goethe bez namysłu:

— Do wapiennych, bo kiedy przemokniesz, łatwo się zapalasz!

* *Dom Goethego.*

Raz pewien cudzoziemiec zapytał Frankfurtczyka:

— Gdzie dom Goethego?

— Dom Goethego... dom Goethego... nie wiem... chyba musiał już zbankrutować!

Golarz.

* Do pewnego bankiera w Berlinie przyszedł pewnego poranku golarz zupełnie mu obcy.

[1]) *Stein* — kamień.

— Czego tu chcesz? — zapytano go ostro.

— Chcę golić pana bankiera — odrzekł.

— Ja nie potrzebuję, mam swojego golarza — mówi mu bankier.

— Tak, ale teraz musisz pan mnie wziąść na jego miejsce — tłómaczy nowoprzybyły — bo właśnie wczoraj ja z pańskim golarzem graliśmy w cetno-licho, a gdy on przegrał wszystkie pieniądze, graliśmy dalej o naszych klijentów, no i ja wygrałem pana bankiera.

Goldmark.

* Twórca opery p. t. „Królowa Saba", spotkał raz w podróży nieznajomą damę, której niezadługo przedstawił się temi słowy:

— Nazwisko moje Goldmark, jestem kompozytorem „Królowej Saby".

— Ach — zauważyła dama, nieznająca stosunków teatralnych — to musi być trudne stanowisko.

Goldsmith.

* Kiedy sławny Johnson odwiedził pewnego poranku Oliviera Goldsmitha, znalazł go w rozpaczy, że nie jest w stanie zwrócić gospodyni należności za lokal.

— Ależ na Boga, kochany przyjacielu, czy nie masz nic takiego, coby można było spieniężyć?

— Nic, nic! — odrzekł Olivier — sprzedałem już zegarek, lepsze ubranie, a nawet książki...

— A nie masz czasem jakiego manuskryptu, choćby maleńkiego, a mającego swoją wartość?

— Nic, nic — nic, mówię ci — odparł poeta — wszystko co było warte druku, poszło w świat, co zostało, niewarte nawet papieru, na którym pisane!

Tymczasem Johnson, który przewracał między starymi szpargałami, próżnemi butelkami i zniszczonemi sukniami, wyciągnął gruby, pożółkły rękopism.

— To gałgaństwo — zawołał Goldsmith — ogień warto rozniecić, żywa dusza nie będzie chciała tego drukować.

Nic nie mówiąc, zabrał Johnson rękopism do księgarni: był to rękopism sławnego „Wikarego z Wahefieldu.“

Golibroda.

* — Cóż słychać, panie Fitulski? — zapytał Wokulski fryzyjera.

— Nic, a będzie gorzej; kongres berliński myśli o zduszeniu Europy, Bismark o zduszeniu kongresu, a żydzi — o ogoleniu do reszty nas... — opowiadał młody artysta, piękny jak serafin, zręczny, jakby uciekł z żurnala krawców.

Zawiązał Wokulskiemu ręcznik na szyi i mydląc mu policzki z szybkością pioruna, mówił dalej:

— W mieście, panie, cicho do czasu, a zresztą nic. Byłem wczoraj z towarzystwem na Saskiej Kępie, ale cóż to panie za ordynaryjna młodzież!... Pokłócili się w tańcu i proszę mego pana wyobrazić sobie... Główkę trochę wyżej *s'il vous plait*...

Wokulski podniósł głowę trochę wyżej i zobaczył, że jego operator nosi złote spinki, przy bardzo brudnych mankietach.

— Pokłócili się w tańcu — ciągnął elegant, błyskając mu brzytwą przed oczyma — i proszę sobie wyobrazić, że jeden, chcąc kropnąć drugiego w wystawę, uderzył damę!.. Zrobił się hałas... pojedynek... mnie naturalnie wybrano za sekundanta i właściwie byłem dziś w kłopocie, bom miał tylko jeden pistolet, kiedy, przed półgodziną przychodzi do mnie obrażający i mówi, że nie głupi strzelać się, i że obrażony może mu oddać byle tylko raz... Główkę na prawo, *s'il vous plait*... No, wie pan, byłem tak oburzony (przed półgodziną), że porwałem faceta za galeryjkę, kolanem w antresolę i—won! za drzwi. Z takim błaznem strzelać się niepodobna, *n'est ce pas?*... Teraz na lewo, *s'il vous plait*.

Skończył golić, umył Wokulskiemu twarz i, owinąwszy go w strój, podobny do śmiertelnej koszuli delikwentów, mówił dalej:

— Że też nigdy u pana dobrodzieja nie spostrzegłem ani śladu kobiety: przychodzę przecież w rozmaitych godzinach...

Wziął do rąk grzebień i szczotkę i zaczął czesać.

— Przychodzę panie w rozmaitych godzinach, a oko, panie, mam na te rzeczy... no!.. Pomimo to nigdy, ani rąbka spódniczki, ani pantofelka, ani kawałka wstążki! A przecież nawet raz u jednego kanonika zdarzyło mi się widzieć gorset; prawda, że znalazł go na ulicy i właśnie chciał bezimiennie odesłać do redakcyi. A, panie u oficerów, szczególnie zaś u huzarów!... (Głowę na dół *s'il vous plait*...) Czyste zatrzęsienie!.. U jednego, panie, spotkałem aż cztery młode damy i wszystkie — uśmiechnięte... Od tej pory, daję słowo honoru, zawsze kłaniam mu się na ulicy, choć mnie opuścił i winien mi pięć rubli. Ale, panie, jeżeli za krzesło na koncert Rubinsteina mogłem dać sześć rubli, tożbym chyba nie żałował pięciu rubli dla takiego wirtuoza... Możemy trochę poczernić włosy *je suppose que oui?*

— Bardzo panu dziękuję — odparł Wokulski.

— Domyślałem się tego — westchnął fryzyjer. — W szanownym panu niema śladu pretensyi, a to źle!.. Znam kilka baletniczek, które chętnie zawarłyby z panem stosuneczki, a słowo honoru daję, że warto! Prześlicznie zbudowane, muskulatura dębowa, biust jak materac na sprężynach, ruchy pełne gracyi i wcale nie przesadzone wymagania, szczególniej za młodu. Bo kobieta, panie, im starsza tem droższa, zapewne i dlatego nikt nie ciągnie na sześćdziesięciolatki, że już niema na nie ceny. Rotszyld by zbankrutował!.. Początkującej zaś da pan trzy tysiące rubelków na rok, kilka prezencików i będzie panu wierna... Ach, te kobietki!.. Dostałem przez nie scyjatyki, lecz nie mogę się na nie gniewać.

Skończył swoją sztukę, ukłonił się według najpiękniejszych zasad i wyszedł z uśmiechem: patrząc na jego wspaniałą minę i portfel, w któ-

rym nosił szczotki i brzytwy, możnaby go wziąść za urzędnika z ministeryjum.

Bolesław Prus. — Lalka.

Golibrodki.

* *Takoż dziwo.*

Kuryjer chwali to z gorączką
I sążniste pisze ody,
Że kobieta drobną rączką
Goli płci szkaradnej brody!
Jest to postęp! woła głośno,
Pracy kobiet pole nowe,
Które przyszłość ma donośną...
Gdy człek czyta pismo owe
Musi krzyknąć mimowoli:
Zkąd ten alarm, gwałtu! rety!
Bo od wieków któż nas goli
Bardziej niżeli kobiety?

Świąteczny.

Golono, strzyżono.

* Idący gdzieś mąż z żoną po ławie przez wodę,
Ujrzą chłopa bez brody, co ongi miał brodę.
„Ba wej jak się nasz sąsiad wygolił? — mąż [powie,
A żona: „Wzdyć to ostrzygł, oto znać po gło- [wie".
I znowu ten: „Ba ogolił" owa: „ostrzygł" rzecze.
Tak długo między niemi było owej sprzecze,
Aż z słowa przyszło do rąk, aż ją zepchnął [z ławy.
Już tonie, już się baba napiła Rudawy,
Już i z głową pod wodą baba łowi ślize,
Przecie palcami rękę ukazawszy strzyże.
Gdy się o tej sąsiedzi dowiedzą przygodzie,
Bieżą na dziw, a widząc, że przeciwko wodzie
Mąż jej szuka, a ci w śmiech, on też rzecze: [„Szkoda
Dziwić się; wszystko, prawda, na dół niesie [woda,
Lecz niewiasta tak sprzeczna we wszystkiem [z natury,
I po śmierci, rozumiem, płynęła do góry.

Wacław Potocki. (p. str. 13.)

* *Golono, strzyżono.*

U nas, kto jest niby chory
Zwołuje zaraz doktory:
Lecz czując się bardzo słaby,
Prosi chłopa albo baby.
Ci ze swego aptekarstwa,
Potrafiają i podagrze,
I chiragrze i głuchotom,
I suchotom i głupotom
Radzić — a i u nich wszakże,
Nie masz na upór lekarstwa.
Mieszkał Mazur blizko Zgierza,
Któremu zginęła suka,
Straż domostwa i spichlerza.
Gdy jej z żalem i kłopotem
W okolicy całej szuka,
Wróciła się w tydzień potem.
Ledwie poznał, że to ona:
Bo była wpół ogolona.
„O zbóje! żeby ją skryli,
Używając takich figli,
Że biedaczkę wygolili!..."
„Powiedz raczej, że ostrzygli"
— Robi mu uwagę żona —
„Bo psów nie golą lecz strzygą".
„A no patrzajcież bo mi go,
— Odezwie mazur z przekąsem —
Jaka ty mi dyć uczona!
Mając gołe jak pięść lice
Chcesz nauczać nas pod wąsem
Co jest brzytwa, co nożyce?
A nasz pan co mu łysina
Przyświeca się jak ta psina,
Myślisz że jest postrzyżona?,.."
„A wąsiki ekonoma"
— Odpowiada zaraz żona —
Co mu wiszą jak u sosny,
A błyszczą jak namaszczone,
Sąż golone, czy strzyżone?..."
„Bierz ci licho twego pana,
I pana i ekonoma!
Dobrze, że jest suka doma.
Choć też szpetnie ogolona".

„Toć i jam się ucieszyła
— Odpowiada zaraz żona —
Że się suka powróciła,
Choć też szpetnie ostrzyżona“.
„Głupiaś z twemi nożycami!“
„I ty z twojemi brzytwami!...“
„Że golona, przypatrz że się!“
„Że strzyżona pokaże się...“
Tak się kłócą mąż i żona;
Miasto Zgierz całe się zbiega,
A krzyk wkoło się rozlega:
Ogolona! ostrzyżona!
Idzie sąsiad: „Niechaj przyjdzie,
Niech się wpatrzy i przekona“.
Idzie żyd: „Powiedz no, żydzie,
Czy golona? czy strzyżona?“
Od żyda, aż do plebana,
Od plebana, aż do pana,
Sprawa zapieczętowana;
Co sąsiad i żyd dowodził,
Na to się ksiądz i pan zgodził:
Że wygrała męzka strona,
Że suka jest ogolona.
Wracają do domu strony.
Po drodze chłop pyta żony:
Czy wyroku treść pamięta?
Ona milczy jak zaklęta,
U progu, suka ich wita:
„Pójdź tu moja ogolona!“
Woła mąż. A kobieta:
„Pójdź tu moja ostrzyżona!“
Mazur wściekły, już nie gadał,
Ani żonie odpowiadał;
Tylko wziąwszy pod rękawki,
Wlecze ją wprost do sadzawki,
I topi jak kadź ogórków:
Ona, nienawykła nurków,
Już się zachłysnęła nieraz;
On, trzymając za ramiona
Gnębi, krzycząc: „A no teraz:
Czy golona, czy strzyżona?“
Biedaczka, ze śmiercią w walce,
Czując skonu paraliże,
Wytknęła tylko dwa palce;
I na odpowiedź palcami,
Jakby dwiema nożycami,
Mężowi pod nosem strzyże.
Na ten widok, uciekł z wody,
Ona poszła do gospody;
On się puścił aż do Zgierza,
I tam przystał za żołnierza.

Mickiewicz. (p. str. 19).

Goły.

* — Cóżeś smutny tak Alfredzie,
Wszak nie dręczą cię mozoły,
Pewnieś na złym był obiedzie?
— Et, do dyjabła, jestem... goły!

— Goły? cicho! ani słowa..
O swym stanie nie rób krzyku,
Bo cię wezmą do Krakowa
I posadzą na pomniku!

* *Chór gołych.*

Co najwięcej w życiu boli?
Co zamienia je w mozoły?
To, żem goły! żeś ty goły!
Ona goła i on goły!
Że i oni także goli!

Pan Bóg stworzył nam anioły
Na osłodę gorzkiej doli,
Lecz cóż z tego? anioł goły,
Jest skazany na mozoły —
I ztąd to nas serce boli,
Bom ja goły, boś ty goły
Ona goła i on goły!
Myśmy goli! wyście goli,
Bo i oni także goli!

Na przodków klnę się popioły,
Że gwałt własnej czynię woli;
Żeniłbym się, alem goły,
I o to też serce boli,
Bom ja goły, boś ty goły,
Ona goła i on goły,
Myśmy goli! wyście goli!
No, i oni także goli!

Kl. Junosza. (p. str. 57).

* *Jakie towarzystwa asekuracyjne mogą robić jeszcze świetne interesy?*

Ogniowe nie — bo się często pali. Życiowe nie — bo ludzie często umierają, gradowe nie- bo grad nieraz pada. Chcąc więc być pewnym zysku i zabezpieczonym od strat, należy urządzić jeszcze jeden dział asekuracyjny, a mianowicie ubezpieczenie gołych od rozboju. Klijentów nie zbraknie nigdy — a prawdopodobieństwo strat prawie żadne...

Gorzałka.

* Nektar osładzający najnędzniejszy nawet byt. Jest on tem słodszy, im więcej zawiera w sobie goryczy. To też w używaniu tego napoju widoczną jest zasada: *Similia similibus curantur*. Tylko ten, komu w życiu *gorzko*, używa *gorzałki*. Gdy życie jest słodkie z gorzałki robi się szampan. W ostatnich czasach nasi dobroczyńcy ludzkości chcieli z gorzałki zrobić barszcz i herbatę. Dobroczyńcom podziękowano publicznie i odtąd ludzie piją już tylko... gorzałkę.

Gorzkie żale.

* *Medytacyja popielcowa.*

Już minęła chwila szału
I wybryków próżnej blagi,
Minął urok karnawału,
Nastał znowu czas powagi...
Więc, jak każe zwyczaj stary,
Trąćmy w struny swej gitary
I śpiewajmy po tym szale.
Gorzkie żale!

Bo, choć było nam wesoło,
Teraz może smutniej będzie,
Jak ujrzymy, że wokoło
Wszędzie bieda, nędza wszędzie...
I za wszystkie stroje, bale,
Co nam kieszeń zrujnowały,
Śpiewać będziem przez rok cały,
Gorzkie żale!

Ot, ty panie kancelisto,
Skrobipiórku, urzędniku,
Tyś Fikalskim był — artystą,
A dziś drzemiesz przy stoliku.
I naczelnik w twym wydziale,
Ciągle strachu cię nabawia,
Biednej głowie twojej sprawia...
Gorzkie żale!

Miał pan radca trzy dzierlatki,
W trzech facetach rozkochane,
Więc wyprawiał i wełniane,
I jedwabne też herbatki...
Dawał jadła, dawał trunki,
Wszystko jedli, pili... ale...
Dziś ma córki i... rachunki,
Gorzkie żale!

I młodzieniec cud urody,
Dziś ma minę tak poważną,
Kochał pannę i posażną,
Lecz spotkały go zawody,
Tańczył dużo w karnawale
I podarły mu się buty,
Dzisiaj śpiewa z innej nuty
Gorzkie żale!

Lub pan majster, okaz rzadki,
Cały rok ma jakieś smutki,
Jak się urżnął na ostatki,
Jeszcze dziś dolewa wódki.
I gniewliwy po kordjale,
Chłopakowi skórę skrobie,
To też chłopiec śpiewa sobie:
Gorzkie żale!

Tam dziewczątko wśród zabawy,
Dało całus pokryjomu,
A dziś biedna siedzi w domu
I jej wzrok już smętny, łzawy...
Zbladły ustek jej korale,
Co stracone, już nie wróci,
Więc też smętnie sobie nuci
Gorzkie żale!

Na natchnienia piedestale,
Ku smutniejszych chwil dziś chwale,
Po minionym karnawale,
Gdy ustały gwary, bale,
Mógłbym śpiewać w swym zapale,
Mógłbym nucić... ale... ale...
Nic nie będę mówić wcale...
Gorzkie żale!

Już minęła chwila szału
I wybryków próżnej blagi,
Minął urok karnawału,
Nastał postny czas powagi.
Więc, jak każe zwyczaj stary,
Trąćmy w strunę swej gitary,
I śpiewajmy po tym szale
Gorzkie żale!

Saltomortale.

Gospodarz.

Pan Ildefons. Tak mi się już sprzykrzyło gospodarstwo, że postanowiłem bezwarunkowo odstąpić je synowi i zamieszkać w mieście.

Pan Michał. Jakże się urządzisz?

Pan Ildefons. Zaciągnę jak można najwyższą pożyczkę Towarzystwa Kredytowego, las sprzedam do ostatniej żerdzi, kupię papiery procentowe dla siebie, synowi zostawię dobra, z warunkiem spłacenia rodzeństwa: Rosia, Prosia, Honi-Wroni, Stefcia-Kopcia, Masi-Pasi i Wacika [1]) Co myślisz?

Pan Michał. Dobrze, ale lasu do ostatniej żerdzi wycinać nie radzę, trzeba synowi zostawić chociaż jedną krzywą sosnę.

Pan Ildefons. A to na co?

Pan Michał. Żeby się miał na czem powiesić.

Gospodyni.

* Dobrze to było kiedyś, gdy prababki nasze
Wiedziały, kiedy bydło szło z obór na paszę
Inszy wiek, insze prawo; za wdziękiem i modą,
Damy, zwyczaj płci pięknej przyzwoitszy wiodą
Mogą dumać o trzodzie, lecz co Filis pędzi,
A wsparte na wygodnej kanapy krawędzi
Rozmyślać o pasterzach, o rolach, zagonach,
Lecz pasterzach oraczach — Dafnisach, Da-
[monach.

Ignacy Krasicki. (p. str. 5).

* Nie można powiedzieć, żeby dzisiejsze gospodynie nie wyrównały dawniejszym; te bowiem znały się na *kuchni*, a teraźniejsze na *gotowalni*. Wszystko jedno, tylko wyraz spolszczony.

Wolne żarty.

Gość.

* Pragniesz miłym być gościem? czytaj rady
[moje:
Nie dość, wszedłszy, donosić o czem wszyscy
[wiedzą,
Że dzisiaj tam walcują, ówdzie obiad jedzą,
Zboże tanie, deszcz pada, a w Grecyi rozboje.

Jeśli w salonie znajdziesz bawiących się dwoje,
Zważaj, czy cię z ukłonem, z rozmową uprzedzą,
Czyli daleko jedno od drugiego siedzą,
Czy wszystko jest na miejscu, czy w porządku
[stroje.

Jeśli pani co wyraz zaśmiać się gotowa,
Choć usta śmiać się nie chcą; jeśli panicz z boku
Pogląda i zegarek dobywa i chowa,
I grzeczność ma na ustach a coś złego w oku...
Wiesz jak ich trzeba witać? „Bywaj zdrów,
[bądź zdrowa!“
A kiedy ich masz znowu odwiedzić? — Po roku.

Mickiewicz (p. str. 19).

* *Gość* (którego cyrulik goli w hotelowym pokoju). Do pioruna! ależ mnie straszliwie oberżnąłeś.

Cyrulik. Eh, teraz to nic jeszcze, poczekajmy jak przyniosą rachunek hotelowy!

---

[1]) Roch, Protazy, Honorata-Weronika, Stefan-Kapistran, Maryja-Polagija i Wacław.

* Dwóch tylko gości siedziało w traktyjerni, a przecież żalili się, że nie mają należytej usługi. Gospodarz zawołał z gniewem na garsonów: „Cóż u dyjabła! dwom głupim gościom nie możecie dać rady, cóż to będzie, jak sala będzie pełną?"

Humorysta Warszawski.

Gościnność.

* Przy table d'hôth w hotelu wszczęto rozmowę o gościnności; przedstawiciele różnych narodów brali w niej udział, nie zgadzając się często w swoich zdaniach; wreszcie Anglik, który dotychczas milczał, odezwał się tryumfująco: „Pod względem gościnności, żaden kraj nie może się równać ze starą Angliją, tam za pieniądze każdy otrzyma, co tylko zechce."

Gottlieb i Wojtek.

* Nowy dziedzic p. Gottlieb, przechodząc pewnego razu koło karczmy, prosperującej niezbyt jeszcze świetnie na rzecz jego propinacyi, posłyszał wdzięczne piosenki chłopskie.

Spodobały mu się okropnie.

— Wer will den Volk verstehen, der muss ihn können — pomyślał sobie.

Przedewszystkiem więc zapragnął nauczyć się tych piosneczek. W tym celu kazał przywołać przed ganek dworu najweselszego parobczaka i powiada:

— Słuchaj no ty Fojtek, jaby chciala nauczyl szę te szpifki, co ty szpifal w moja karczma.

— O... a cymu nie, wielmozny dziedzicu.

— Ja tobie Fojtek będę dać rubel srebrem za ten szpas, gut?

— A no... cóż mom robić. A na jaką nutę mom śpiwać?

— Jaka chcesz.

Wojtek więc śpiewa:

— O rodzino, rodzino,
Cy jo cię nie miała,
O coś mi się u mimca,
Aj poniewirać dała...

— Nu to jest cu sentimental.

— Cy ja to wiem... To mozeby inaksą.

Oj podryguje zając,
Da kiejby mimiec kusy,
Przycupnął se w kapuście,
Da i pokazał usy...

— Nu, to prawda... ale ty teraz zaszpifaj coś, coby do serca mófilo...

— O, jo i tak poradzę ano:

Oj nie frasuj się mimce,
Oj ze ci zgasło w pipce,
Bo jak chłop cię w łeb zwali,
To w pipce się zapali.

— E... ty ciągle na jedna nuta szpifasz... Ja tobie będę dać rubel i jedna marka, zaszpifaj mnie tak, jak najszensci w karczmie sami sobie szpifacie...

— O rety. . ano juścić tak i mogę.

Jechał mimiec na śledziu,
A mimka na śledzicy,
Bodaj ich mocny Boże,
Oj pozjadali wilcy.

— Dosyć, genug... ja tobie będę dać rubel, jak będzie szwienty Jury...

— O, a i bez cóż wielmozny dziedzic taki scodry? a moze inacy śpiwać...

— Ne... ja tera już srosumial dobsze tutejsza glupia klopa... verfluchter Volk... er ist noch zu wenig ciwilirt...

Duduś.

Góra.

* — Więc to jest ten sławny Kahlenberg? — spytał pewien cudzoziemiec studenta, którego spotkał przy wejściu na górę.

— Tak panie, to jest ten sławny, interesujący Kahlenberg.

— Czy nie byłbyś pan łaskaw — mówił dalej cudzoziemiec — powiedzieć mi, co to za jakaś straszna legenda, czy opowieść wiąże się z tą górą?

— Bardzo chętnie. Niedawno temu, dwóch młodych ludzi weszło na nią i nie powróciło więcej.

— Okropność! Cóż więc się z nimi stało?

— Nie wiem, przypuszczam, że zeszli drugą stroną.

* *W górach lodowych.* (*Zdarzenie prawdziwe*).

— Żegnaj mi, żegnaj, o ukochana, szeptał Henryk, ściskając dłoń pięknej brunetki i oglądając się trwożliwie dokoła.

Brunetka spojrzała na niego oczyma, w których widniało całe piekło rozpaczy i lekka jak sarenka skoczyła w tramwaj, uwożąc z pod rogatek wolskich na Karmelicką żal, ból i niepewność za opłatą dziesięciu groszy, jakie odebrawszy od niej młody konduktor, wręczył brunetce bilet niebieski, o którym powiada zarząd tramwajów, że trzeba go trzymać podczas przejazdu, okazać na żądanie kontrolera, a zniszczyć po odbyciu kursu.

Gdyby piękna brunetka miała zmysł obserwacyjny wysoko rozwinięty, dostrzegłaby pewną analogiję między swojem położeniem a biletem tramwajowym.

Tak, i ona musiała certyfikat swoich uczuć trzyma przy sobie, okazywać go ciekawym kontrolerom a potem zniszczyć na przystanku domowego progu.

Konduktor filozof, patrząc na nią, pomyślałby mimowolnie: „O brunetki! Dlaczego wy jeździcie tramwajami". Ale zdaje mi się, że konduktorzy dają osobną deklaracyję, że filozofiją nigdy zajmować się nie będą, więc brunetka wsunęła się w kącik przedziału dziesięciogroszowego i pomknęła lotem... tramwaju, a lubo podczas jazdy nie zapatrywała się na świat różowo, to jednak Henryk, który ją pożegnał przed chwilą, nie mógł się nawet pochwalić, że widzi przyszłość w barwie chociażby fioletowo-popielatej.

On widział świat w barwach czarnych matowych, jak stary żupan obywateli, wołających: „handel, handel", jak atrament, którym kiedyś podpisywał swoje nazwisko na papierze opowiadającym, iż niżej podpisany winien jest okazicielowi, lub niżej podpisanemu i t. d.

O są jeszcze na świecie czarne kolory, tak są kolory! Po za mgłą tych cieni widział biedny Henryk sędziwą Wolę w oddali z przesławetnemi mieszkankami i niezliczonemi wiatrakami.

Widział ulicę długą, jak noc bezsenna małżonki, której mąż w knajpie się zasiedział; to był widnokrąg przyszłości, a za nim jak sokół, pędzący za wróblem, biegł mąż olbrzymiej postawy z bambusem w ręku.

— Ha, nie wymkniesz mi się — wołał i przesyłał za nim spojrzenie złowrogich oczu rywala zawiedzionego, mściciela, kochanka.

Tak, nie ma wątpliwości, on go widział u boku pięknej brunetki, on go rozszarpie, albo co najmniej zapozwie do sądu!... O tak świat jest czarny, bez nadziei promienia.

Dobrze jeszcze, że świat zna małe udogodnienia w drażliwych sytuacyjach, udogodnienia, które się nazywają ucieczką.

Henryk uciekać począł.

Jedna moja znajoma, modrooka wspólniczka interesu galanteryjnego, mówiła mi, przyszywając guziczek do rękawiczek kozłowych, że kochać i kochać to jest wielka różnica.

Uciekający Henryk nie mówił nic wprawdzie, ale był mocno przekonany, iż uciekać a uciekać, to także nie na jedno wychodzi.

Gdy się ucieka przed drapieżnem zwierzęciem*) można się schronić na drzewo.

Gdy się ucieka przed armiją nieprzyjacielską, można coś o kapitulacyi pomyśleć.

Gdy się ucieka przed pokusą, można już jeśli nie pożegnać się, to przynajmniej zapewnić stronę interesowaną, że chwilowy brak, a właściwie niezależne okoliczności...

---

*) W ogrodzie Zoologicznym zwierzęta drapieżne umieszczone są w odpowiednich żelaznych klatkach, więc nie trzeba przed niemi uciekać. (Przyp. Red.)

Ale uciekać przed rywalem na ulicy zaludnionej w pobliżu rogatek, o straszna to ucieczka!

Henryk, o ile mu na to pozwoliły siły... przewrócił dwie poczciwe kobieciny i nadepnął nogą na coś takiego, co wydało głos, jakiego nigdy w życiu nie słyszał. Przytem ubiegł nie więcej nad trzydzieści kroków. „Ładna — myślał sobie — statystyka, co piętnaście kroków przewracać jaką niewinną obywatelkę, a co trzydzieści nadeptywać na potwór, wydający ryki! Przebiedz tak trzysta kroków, to możnaby ośmnaście razy dostać się do cyrkułu“.

A tu prześladowca niedaleko. „Skoczmy w bok — pomyślał Henryk — i skoczył w bok w Krochmalną, zostawiając po lewej Grzybowską, ku Karolkowej.

Rogatki skryły się za okopami, niby dziewczę w bluszczem okrytej altanie. Z dali uśmiechały się gładkie lustra stawów, jak musi się uśmiechać się rusałka, wabiąca w wód tonie.

Biedny Henryk chciał już rzucić się do stawu przed rywalem, gdy naraz przed wzrokiem jego zarysowały się oddrzwia jakiegoś budynku.

„Budynek! dobra myśl — zawołał Henryk — i przyspieszył kroku, ale przyspieszył zanadto, bo upadł...

Krew przypłynęła mu do płuc i głowy, otoczyły go ciemności i chłód go owionął.

— O tak, to dobrze, myślał chłodem zbudzony zbieg nieszczęśliwy, tu uciekać to wcale co innego. Ciemno, więc mnie nikt nie złapie, a zimno, że wszelka nienawiść ostygnąć zdoła... Uf, jakżem się zmęczył ... a przytem jak tu ślizgo, trzeba sobie trochę odpocząć.

I Henryk usiadł na ziemi, usiadł z rozkoszą wielką, lecz podniósł się z jeszcze większym pośpiechem.

Tak, nie było już wątpliwości. On siedział na lodzie.

Henryk, jako człowiek przezorny, nosił z sobą zapałki, zapalił jedną i omal nie oślepł.

Przed nim, za nim i nad nim ciągnęły się pokłady lodu. Ten lód iskrzył się milijonami iskier, zdawał się płonąć...

Szalony to ogień, w którym blask zabrał całą potęgę ciepła zapałki na podniesienie swej świetności.

Henryk jednak nie oślepł i dobrze zrobił, bo na szczęście dojrzał jakiś przedmiot, który jak się okazało, był osobliwszej konstrukcyi lichtarzem ze świecą.

Przy blasku tej ostatniej, Henryk rozejrzał się w lodowej grocie, sypiącej snopy iskier. Tu i owdzie widniały jakieś czarne masy, niby cielska zamrożonych mamutów.

— Ha dobrze, powiedział sobie Henryk, pewnie i ze mną stanie się to samo. Może kiedyś jaka komisyja uczona weźmie mnie za stworzenie z epoki lodowej, choć co prawda trzeba być lodowatym warjatem, żeby się dostać w taką czeluść lodową. Dalibóg, kto wie, może to jest droga lodowa do bieguna północnego.

I szedł dalej zmarźnięty Henryk, a nie mając nic innego do roboty, bawił się biedny chłopak w refleksyję.

— To i cóż, myślał, dojdę do bieguna północnego, może tam na szczątkach zamarźniętych okrętów znajdę choć z pół butelki niezamrożonego araku, to się ogrzeję trochę, może jaką parę kiełbasek z wędzonego wieloryba, bo wszakże wędliny na lodzie konserwują się doskonale. I szedł dalej wśród gór piętrzących się lodu.

Góry te układały się w tarasy i nosiły wyraźnie cechy skał...

— Bez wątpienia, rzekł Henryk, idę w głębie zamarźniętego morza, skosztujemy przynajmniej morskiego lodu.

Przysunął usta do lodowatej bryły.

— Co to jest! to lód z wody słodkiej, taki ma smak rzewny, jakby zamarźnięty ruczaj, zda się, że czuć go jeszcze zielonemi żabkami!..

Henryk nie wiedział już, co myśleć, wiedział wszakże, iż nie znajduje się w głębi zamarźniętego oceanu.

Ale cóż, im więcej przekonywał się, że jest oddalonym od bieguna północnego o całą nieskończoność, tem więcej czuł, że na szczątkach

zamarzłego okrętu nie znajdzie pół butelki araku.

Przytem, przypomniał sobie o brunetce i to go rozrzewniło. Uronił łez kilka. Łzy spadły na płyty lodu i zamarzły według praw fizyki, bo chociaż łzy są bardzo gorące, ale lód jeszcze bardziej zimny.

Henryk szedł dalej, nogi odmówiły mu posłuszeństwa, czuł zmęczenie we wszystkich członkach. Dla odpoczynku tedy zaczął oglądać zamarzłe cienie mamutów. Im się bliżej jednak przypatrywał, przekonywał się, że to nie mamuty, ale fasy, takie same fasy, w jakich przechowują piwo.

— Ho, ho, pomyślał, jeżeli to prawda, jeżeli to są fasy, to musi być browar...

Po chwili jeszcze opanowała go wściekłość. Począł walić w lód, myśląc, ze jego warstwy przebije kruchem narzędziem, ale ściany lodowe nie cofały się wcale.

Jak tytany rzucały w niebo skałami, ale niebo nie cofało się wcale tak Henryk sądził, że w walce z zimną bryłą utraci życie.

Naraz z oddali zamigotało światełko. Poczem jakiś człowiek w bluzie i fartuchu (jakby we „Flicku i Flocku") szedł sobie bardzo spokojnie i palił papierosa, z miną osobnika, który jadł wieczerzę z apetytem.

Henryk rzucił się ku niemu, wydając okrzyki radości.

— Duchu podziemny, rzekł, wyprowadź mnie z tej jaskini.

— Co tam pan zawraca z duchami i jaka tu jaskinia?

— A więc gdzie jestem?...

— A no gdzie? W lodowni u pana Machlejda...

— W lodowni?... A jakże, kiedy nie mogłem lodu przebić.

— To się wie, bo tu go na dziesięć łokci grubo i wszędzie na durch jak potrzeba...

— Więc jak się ztąd wydostać?...

— Bajki, odrzekł robotnik, nie kim innym bowiem był pan, spotkany przez Henryka: tu zaraz niedaleko drzwi, wyjdzie pan okopami do rogatek... Ale zkąd pan tu wlazł?...

— To nic — odrzekł Henryk, wsuwając gnomowi złotówkę, abym tylko jaknajprędzej wylazł...

Po chwili życzenia jego były spełnionym faktem.

Mrok zapadał, płonęły gazy na ulicach, tramwaje spieszyły do miasta, a Henryk dumał.

Czy o brunetce, czy o lodowni, ja niewiem.

Don Hilario.

Góralskie placki.

* — Powiedzcie mi gosposiu — pyta pewien turysta góralki, czem robicie te piękne desenie na plackach, musicie mieć do tego osobne wzory i narzędzia.

— O nie, wielmożny panie — odpowiada zapytana — my to robimy grzebieniem.

Gniew.

* Niewolnik Sokratesa popełnił przestępstwo, które wywołało oburzenie jego pana.

„Uderzyłbym cię", powiedział mędrzec, „gdybym nie był w gniewie".

* „Byłoby do życzenia", mówi Seneka, „żeby wybuchy gniewu raz jeden tylko miały moc szkodzenia, na wzór pszczół, których żądło łamie się za pierwszem ukłuciem."

* „Gniew", mówi Bakon, „jest nizką namiętnością, cechującą słabe charaktery. Przekonamy, się o tem zważywszy, że istotami najbardziej skłonnemi do gniewu są kobiety, dzieci, chorzy i starcy".

* Maryja de Medicis, pytała swego doradcy, w jakiby sposób mogła posiąść tajemnice królowej Nawarry.

„Staraj się wprowadzić ją w gniew", odrzekł doradca, „sama zaś zachowaj spokój. Tym sposobem dowiesz się o niej wszystkiego, a sama z niczem się nie zdradzisz."

Gra.

* Gra jest wytworem natury ruchliwej, lecz stosunkowo leniwej, nie lubiącej zajęć trudniejszych i męczących. Próżnowanie jest przecież źródłem wszystkich występków, jakżeż więc potępiać grę, która bądź co bądź, chroni od zupełnego próżnowania? Nie wszystkim znana jest wartość nauki; wielu nie ma stałego ciągle zajęcia; nudy najgorzej męczą, a czas jakoś zapełnionym być musi: większość nie ma pojęcia o wartości czasu, o oszczędzaniu go; o tem mogą tylko myśleć ci waryjaci uczeni! A więc grajmy; gra ma przecież swoje dobre strony; uczy powagi i milczenia; usposabia przytem do towarzyskości i do równości, przy grze bowiem, równają się wszyscy; nie ma zwierzchników i podwładnych, wyższych i niższych w jakiembądź znaczeniu, są tylko równi sobie partnerzy. W domu, gdzie się grywa, panuje też większa cisza i spokój niż w innych. Im więcej kto ma energii w charakterze, tem i gra jego jest energiczniejszą; dla tego też marynarz i żołnierz, przywykli do silnych wrażeń, lubią gry grube i hazardowne, Anglicy lubią zakłady i niebezpieczne wyścigi, tak jak starożytni lubili igrzyska, a rycerze średniowieczni — turnieje. Herodot pisze, że grę wymyślono w Lydyi, w czasie wielkiej nędzy głodowej: biedni mieszkańcy dotkniętej tą klęską krainy: jednego dnia jedli, a drugiego grali na przemian, a trwało takie życie lat osiemnaście. W naszych czasach często głód duchowy jest powodem rzucenia się do gier rozmaitych. Przodkowie nasi grali tak zapalczywie, że często przegrawszy majątek, stawiali dalej żonę i dzieci, lub swoją własną osobę i wolność na igraszkę losu; my obecnie stawiamy tylko pieniądze, gdyż co innego nie ma wartości, ale gdyby można było tak wszystko stawiać na kartę, jak dawniej to może żony i dzieci cyrkulowałyby więcej niż pieniądze. Przeszliśmy przodków naszych na tym punkcie, bo teraz grają i kobiety, stawiając nieraz na kartę, co tylko mogą! Aleksander Macedoński, będąc dzieckiem, płakał nad tem, że Filip nic mu nie zostawi do zwyciężania. Dzisiejsi synkowie mogliby często wylewać łzy żalu nad tem, że im ojcowie nic do przegrania już nie zostawią. Wynalazek gry był niezaprzeczenie pomysłem dowcipnym, ale też i niedorzecznym. Napróżno moraliści wołają na wszystkie strony: „Czas jest najdroższy“; „Czas to pieniądz“. Większość zawsze wysila się na marnowanie go, i wymyśla różne do tego sposoby. Chęć zabawy leży w naturze zwierzęcej; dzieci się ciągle bawią; bawią się i zwierzęta, ale tylko dopóki są młode. W starych dokumentach hebrajskich stoi w jednem miejscu o Izraelitach: „Usiedli do jedzenia, a potem wstali znów do gry“. Znajdują się tacy i wśród nas, którzy są zdolni dwa i trzy dni bez przerwy siedzieć przy kartach, zapominając o jedzeniu i piciu, chyba, że im co podadzą, aby połknęli, nie przerywając gry, i siedzieliby tak bez końca, gdyby ich jaka nagląca potrzeba nie oderwała. To jest właśnie najgorszą stroną gry, że łatwo przechodzi w namiętność. Angielski poeta Denham był takim graczem, że ojciec go wydziedziczył; gdy jednak napisał swoje „Essaye upon gaming„ (Traktat o grze). Ojciec wzruszony przebaczył mu; ale po jego śmierci poeta-szuler wnet wszystko przegrał. Starożytni lubili grę w kości, którą Palamedes z Troi wymyślił dla rozrywki podczas nudów oblężenia; grecy jednakże przekładali muzykę, taniec i ćwiczenia ciała; najzapaleńsi do gry w kości byli Rzymianie; główny, najszczęśliwszy rzut o 24 oczkach, nazywał się „rzut Wenery“, najgorszy o czterech oczkach — „rzut psi“, zkąd musiało powstać dotąd używane wyrażenie: „wyszedł na psa“. Przez cały okres średniowieczny gra w kości była w użyciu wszędzie; żydzi zajmowali się dostarczaniem kości ku wygodzie swoich chrześcijańskich tyranów; w końcu pojawiły się karty, które były prawdopodobnie wynalezione przez indyjan, a podług podania sprowadzone zostały do Europy przez cyganów, a może prędzej przez Arabów. Karty czyli listy, jak je także wtedy nazywano, uka-

zały się w Niemczech w roku 1300, a że nie umiano ich jeszcze malować, więc wpadnięto na myśl odbijania czyli drukowania — a zatem owe „książki dyjabelskie“, jak anglicy karty nazywali, są wynalazkiem niemców; można im to jednak wybaczyć ze względu, że to doprowadziło do drukowania następnie książek. Zabawy czyli gry, podzielić można na trzy kategoryje: do pierwszej zaliczają się gry dla zabawy jedynie, które zapełniają wolne chwile i uprzyjemniają je; wyrabiają siły, poruszają i ożywiają zebrania; są to istotnie zabawy niewinne, dziecinne, ożywiające i rozweselające dom cały; prawdziwe zabawy dawnych dobrych czasów, jakiemi dotąd zabawiają się ludy wschodnie, jedynie dla przepędzenia czasu, a najwyżej dla honoru zwycięztwa. Do drugiej kategoryi zaliczamy zabawy ruchliwe, rodzaj ćwiczeń ciała, które rozwija się i wzmacnia za ich pomocą. Do trzeciej kategoryi wreszcie należą gry o pieniądze, rozpowszechnione w naszych czasach; nędzny to i fatalny nabytek! W wielu grach wygrana polega na uwadze i bystrości lub zręczności; takie są jeszcze znośniejsze, mniej szkodliwe od tych, w których los rozstrzyga jedynie; w takich grach hazardownych główna korzyść jest po stronie bankiera; ale nawet i dla wygrywających gra taka jest zgubną, traci bowiem przy niej zamiłowanie pracy, troskliwość o zarobek uczciwy, zmysł oszczędności i gust do życia domowego. Mojżesz, układając swoje dziesięć przykazań, powinien był dodać jedenaste: „Nie graj“, co obecnie rządy dopełnić powinny. Gry hazardowne powodują więcej niesnasek w rodzinach, aniżeli nawet rozwody; a wielu złodziei mniej zasługuje na szubienicę, aniżeli niektórzy szulerzy. Landsknecht, jak nazwa jego wskazuje, był niezawodnie pierwszą grą, wymyśloną przez niemców i wprowadzoną przez nich do Francyi. W pierwotnych kartach *tuz* (czyli późniejszy *as*) oznaczał wyższość; król, królestwo; wyżnik i niżnik, lenność; żołądź była pierwotnem pożywieniem; dzwonka oznaczała radość; czerwień i zieleń mogły oznaczać albo kolory narodowe albo też serce i wieniec. Galanteryja francuzów wprowadziła do kart damę na miejsce wyżnika; twierdzenie zaś, jakoby karty wynalezione były we Francyi dla rozrywki chorego na umyśle Karola VI-go, nie zgadza się z prawdą. Porównywano także te cztery kolory w kartach z czterema żywiołami i z czterema porami roku; wtedy dzwonka oznaczać miała powietrze, które sprowadza grzmoty, lub dzwonki u sanek w zimie. W dawniejszych grach były: szpada, puchar, pieniądz i laska, które to rzeczy miały oznaczać cztery stany: szlachecki, duchowny, mieszczański i chłopski. Późniejsze poprawne obrazki, przedstawiały lancę czyli pikę, serce, trefl czyli koniczynę i karo, które ma wyobrażać koniec strzały. Dzwonki zdobiły też niegdyś trefnisiów; trawy i żołędzie oznaczały stan rolny, który nas żywi; a czcigodne duchowieństwo wyobrażone było przez serce. Jeżeli chcemy znaleść w dawnych kartach przedstawienie czasów wojennych, to król znaczyć będzie pana lennego, wyżnik jego lennika; niżnik pachołka; serce będzie wtedy godłem odwagi; pika główną bronią; dzwonek tarczą; żołądź — symbolem pochodu wojennego czyli kampanii; kozera czyli atu zwany dawniej *trupf*, znaczyć mógł *tryumf*. Trudno jest dziś wyliczyć wszystkie rodzaje gry w karty; dawniej wist, boston, tarok, l'hombre i t. p., nazywano grami szlacheckiemi, zaś pikietę, maryjasza, ćwika i inne — mieszczańskiemi. Dawniejsze zebrania konwersacyjne, których modę wprowadzili włosi, zastąpiły z czasem zebrania wcale nie-konwersacyjne, bo karciane. Gracz jest zerem, straconem dla towarzystwa, dopóki nie ma swojej partyi; a partyja gry jest całkiem przeciwną francuzkiej „partie de discours“ (rozmowie). Grze w karty możnaby dać nazwę „paraennuie“, która byłaby analogiczną z „parapluie“, „parasol“, „paravent“ lub „paratonnerre“. Zajęcie grą jest często powodem wielkiego roztargnienia; ktoś, grając z bogatym żydem i widząc, że ten bardzo źle stoi, rzekł mu przez roztargnienie: „Jesteś zgubiony jak du-

sza żydowska.“ Damy nasze, które przed pół wiekiem jeszcze przędły przy kołowrotkach, dzisiaj zasiadają przy zielonych stolikach i grają winta, wista, bezika, maczka lub wpół do dwunastej, nie zważając na zegar, gdy nietylko wpół do dwunastej, ale dwunastą i więcej nieraz wskazuje. Dzisiaj znajomość gry w karty stała się niemal potrzebą; dyplomaci muszą umieć grać, tak jak mówić po francuzku; często też można się znaleść w takiem towarzystwie, że łatwiej jest grać niż rozmawiać. Księża po większej części grają z wielkiem zamiłowaniem; pewien wiejski proboszcz zajęty był raz bardzo grą ze swoim kolatorem, gdy wezwano go do umierającego; „Powiedzcie, niech zaczeka“; rzekł do posłańca, „tylko partyję skończę, zaraz pojadę“. Inny ksiądz we Francyi podczas kazania chciał powiedzieć: „Bóg kieruje *sercami królów*" (les coeurs des roi), ale myśląc pewnie przytem o kartach, pomylił się i rzekł: ,,Bóg kieruje *królem kierowym*" (le roi de coeur). Wysoka gra jest wprost brzydką żądzą wyzysku, gracze zasiadają z planem obdarcia się wzajemnie; jeżeli zaś nie mają tego, co się nazywa ,,przyzwoitem zachowaniem się przy grze“, jakież ztąd nieraz sceny! Jest wielka różnica między jednym a drugim graczem. *A* przegrywa 100 rubli lub więcej nieraz, i wcale tego po nim nie znać, tak nic fizyjonomii nie zmienia, chociaż w domu wpada w wściekłość gdy mu służącypoda w rachunku 10 groszy więcej, niż się spodziewał; *B* znów sądzi, że *C* winien jest temu, że on przegrał i w złości zaczyna mu wymyślać; wszczyna się kłótnia na dobre, a nieraz przychodzi i do czynnych obelg, jakby między parobkami na jarmarku. Pewien naczelnik poważnej instytucyi, posiadający wysoką rangę, miał zwyczaj irytowania się i wymyślania przy kartach. Raz zasadzono go do gry z nieznanym mu dyrektorem gimnazyjum. — Mój panie — zawołał dygnitarz do nowego partnera — muszę pana uprzedzić, że ja mam zwyczaj wymyślania przy kartach. — To nic nie szkodzi — odpowiada interpelowany — gdyż ja mam znów zwyczaj bicia przy kartach. Dygnitarz, oburzony taką śmiałą odpowiedzią, zrywa się rozwścieczony i obrażony wołając. — Jak pan śmiesz przemawiać do mnie w ten sposób — do mnie, urzędnika drugiej klasy?! — Eh! panie, ja w siódmej biję tak w skórę, że aż w niebie słychać. Dla malarza namiętności ludzkich obraz graczy, zapalonych przy faraonie, jest bardziej odstraszającym, jak śmiesznym. Obok najdziwaczniejszych wybuchów namiętności widzieć można zimnego jak lód bankiera; bez najmniejszego wzruszenia słyszy on wołanie: ,,va - banque", a po zdebankowaniu wstaje równie zimny i poważny, jak wtedy, gdy zbierał ogromne summy. W Monte Carlo i innych miejscowościach, gdzie królowała ,,ruleta" i ,,rouge et noir", widzieć można było sceny, odstręczające na zawsze od gry:

,,Trzy *K* gubią nas, niestety!
Karty, kieliszek, kobiety!"

Największe zamiłowanie do gry innych narodów, maleje w porównaniu z passyją Anglików. Fox, bardzo młodym jeszcze będąc, ćwiczył się już w grze w Spa; ojciec dawał mu pięć funtów szterlingów tygodniowo, na grę jedynie; człowiek ten, który w państwie swoim prowadził w polityce grę ryzykowną, jak najświetniejszy gracz, był jeszcze śmielszy i ryzykowniejszy w grze, i gdyby nie stronnicy jego, którzy mu ufundowali nienaruszalną rentę 3,000 funt. ster., skończyłby pewnie życie w więzieniu za długi. W początkowym, starym świecie nie znano pieniędzy; zamiast nich stawiano skóry, owce, kozy i t. p.; gdyby to teraz jeszcze miało miejsce, to bank każdy wyglądałby jak jarmark na bydło, a ludzie gubiliby się pomiędzy czworonożnemi stworzeniami. Pewien bogacz z Hamburga przegrał był w Spa cały majątek i w końcu poprzestać musiał na roli widza przy stołach gry; gdy go jednak ktoś zapytał: „Co ci się też dziać musi, gdy wspomnisz o tem co się stało?“ odpowiedział: „Gdyby mi kto mógł wrócić cały mój majątek, nie znalazłbym przyjemniejszego sposobu stracenia go powtórnie.“ Takich ludzi

nie poprawi ani piękna tragedyja More'a, ani komedyja Regard'a pod tytułem „Gracze“. Szulerzy z professyi ścierają sobie końce palców, aby je czulszymi uczynić i żeby mogli poznawać karty za dotknięciem, jak niektórzy niewidomi. Gracze podobni są do wesołych dam, goniących za miłostkami: jednym jak drugim trudno się pozbyć powziętego nałogu. „Bój się Boga chłopcze! kiedy ty grać przestaniesz?'' pyta jedna z takich dam swego młodszego brata, który ciągle się zgrywał. „Wtedy, moja droga“, odpowiedział, „jak ty przestaniesz się kochać“. „O nieszczęsny! więc zawsze grać myślisz?“ wykrzyknęła, załamując ręce. Prawdziwie dyjabelskim wymysłem jest loteryja liczbowa w Austryi, w którą zgrywają się po większej części najbiedniejsi rzemieślnicy, służący i wyrobnicy; wielu ludzi się i zawodzi boleśnie, jak ów biedny krawiec, który w dzień ciągnienia rzekł do żony wychodząc: „Jeżeli zobaczysz mnie wracającego pod dobrą datą, będzie to znakiem, że wygrałem kwinterno; wtedy weź się z dziećmi do rozbijania tych wszystkich starych gratów, bo kupiemy sobie nowe''. Żona, wyglądając niecierpliwie przez okno, ujrzała nareszcie męża, jak wracał krokiem chwiejącym, zataczając się ciągle; oczywisty znak, że był dobrze pijany. Posłuszna poleceniu, tłucze tedy z pomocą dzieci wszystko, co jej wpadnie pod rękę, aż krawiec wchodzi i na ten widok upada omdlały, zgnębiony do reszty; krok jego chwiejny i zataczanie się było już skutkiem osłabienia, spowodowanego zmartwieniem z zawiedzionych nadziei! Ta żyłka do loteryi podała pewnym wykształconym nawet damom, myśl udania się do domu waryjatów i nakłonienia jednego z tych biedaków, aby im numery wyciągnął. Jeden z waryjatów zrozumiał o co chodzi, wyciągnął numery, ale je w tejże chwili połknął po kolei, mówiąc: „Jutro, moje panie, jeżeli zechcecie się pofatygować znów tutaj, z pewnością te numery już wyjdą.'' Najmądrzejszą grą są szachy; możnaby je nazwać nawet pierwszą grą na świecie, gdyby zawsze użytą była do celu, w jakim ją wymyślono. Brahmin Nessir bowiem przez grę w szachy postanowił wpoić pewnemu dzikiemu księciu indyjskiemu naukę mądrości i taktyki. Gra w szachy jest też prawdopodobnie najstarszą ze wszystkich. Jak Fryderyk Saski musiał być biegłym i zamiłowanym szachistą, dowodzi tego fakt, iż w trakcie gry, gdy mu oznajmiono, że został skazany na śmierć, wysłuchawszy wyroku rzekł: „A teraz grajmy dalej“ i wygrał jeszcze partyję. Podług rabinów grę w szachy miał wynaleść Salomon, co byłoby równą dla jego rozumu chwałą, jak napisanie „księgi mądrości“. Głównym powabem każdej gry jest owa niepewność, jaką budzi jej rozwiązanie; nadzieja i oczekiwanie utrzymują interes i przyjemne ożywienie grających; Lessyng używał gry, jako środka dyjetetycznego. Anglicy mają pasyję do zakładów; jest to także rodzaj gry, mający w sobie coś oryginalnie-wielkiego nieraz. Wielką znajomość ludzi okazał ów Anglik, który założył się w Paryżu, że stanie na moście najwięcej uczęszczanym i będzie częstował przechodzących, aby kupowali od niego sześcioliwrowe złote sztuki po franku jedna, i że przez ciąg całej godziny nie sprzeda ani jednej sztuki z worka, który trzymał pod pachą. Stanął istotnie i wołał: „Kto chce kupić sztukę sześcioliwrową za 20 sous?” ukazując jedną trzymaną w ręku na próbę. Kilku z przechodzących oglądało ją i odeszło, mówiąc: „To fałszywe!“ większą część przechodziła śmiejąc się i wzruszając ramionami, bez zatrzymania się; tylko jedna stara kobieta wzięła tę sztukę złotą i zapłaciła franka, mówiąc: „ryzykuję franka przez ciekawość“. Zakład został więc wygrany. Życie nasze jest też w gruncie grą tylko — igraszką prawdziwą, w której raz czerwony, to znów czarny kolor się święci! Każdy wiek ma swoją uprzywilejowaną zabawę; i wszystko, co nie jest konieczną potrzebą, jest zabawą — a może najmilszą zabawą jednych jest mówić i sądzić o zabawach drugich.

Demokritos.

* *Gra w karty.*

Gra w karty wynaleziona została we Francyi za króla Karola VI, aby podczas długiej choroby czas wydawał mu się krótszym!

* W pewnej kawiarni berlińskiej schodzili się mieszczanie na grę w karty, i co wieczór grali sobie pięć do dziesięciu robrów wista. Między nimi znajdował się stały gracz, który zawsze narzekał na swoje nieszczęście, na złe karty, na brak atutów, i bez tych lamentów niemiał w grze żadnej przyjemności. Raz rozdano karty, kiedy ów wiecznie niezadowolony partner, wyszedł właśnie do drugiego pokoju, aby wypalić fajkę — prędko ułożono jego trzynaście kart z samych atutów, oczekując, co on też teraz powie. Przyszedł, zajrzał do kart i zasępiony usiadł. „No" zapytał się jego partner, „jakież tam karty?..." „Eh", odpowiedział zapytany, „atutów dosyć, ale karta żadna... oczów mało!..."

* *O czem myślą panny przy kartach.*

Bardzo często zdarza się,
Że i panna w karty gra,
Lecz choć gierkę dobrze zna,
Nie o niej to myśli, nie...

Gdy na stole leży *as*,
W niej serduszko: puk, puk, puk,
I tajemnych szuka dróg,
By pokochać choćby raz.

Przy *dwójeczce* inna rzecz,
Myśl do górnych leci sfer,
Jakby w parze trzymać ster,
Płoche myśli idą precz.

Przy dziewiątce znowu ah!
Któraż z panien chce nią być,
Więc się rodzi (trudno kryć),
Do pojęcia łatwy strach.

Walet śmiechem zdobi twarz,
On tak mile ściska dłoń,
Że aż dusza rwie się doń,
I zapłakać chce się aż.

Lecz się koi serca ból,
Które bije w szybszy takt,
Każda bowiem wie ten fakt,
Że na męża lepszy... król.

Świąteczny.

Gra słów—Kalembury.

* Gra słów jest dowcipem, polegającym na podwójnem ich znaczeniu; rodzaj ten jak inne jego odmiany kalembury, anagramy, akrostyki, szarady, zagadki, logogryfy, są symptomatem mało jeszcze wykształconego, albo też niknącego już dowcipu; a razem z anegdotami, nazwać to można dowcipem tych, którzy go nie posiadają. Gra słów jest ulubioną zabawą ludzi prostych, bez wykształcenia; dlatego znajdujemy jej sporą dozę pomiędzy ludem, jak również u starożytnych, nie wysilających się na delikatniejsze dowcipy; także po klasztorach, posiłkujących się tym dowcipem w swoich wędrówkach za kwestą, dla zyskania hojniejszych datków; a także dla obrony od napaści imponującym im zwykle swą uczonością jezuitom. Jeden z takich kwestarzy, zaszedłszy do pewnego szlacheckiego dworu, powitany był przychylnie, ugoszczony i obdarzony obficie, a gospodarz kontent, że taki przypadkowy towarzysz rozerwie nieco monotonność wiejskich nudów, zaproponował mu, aby kilka dni u niego wypoczął, co naturalnie z wdzięcznością było przyjęte. Ale na drugi dzień zajechał przed tenże dworek ksiądz jezuita, wykształcony, światowy, elegancki, jak dzień i noc niepodobny do naszego braciszka; nastąpiła też zmiana frontu; nikt nie spojrzał więcej na rubasznego kwestarza, wszyscy kręcili się koło jezuity, wsłuchani w jego słowa, gotowi na jego skinienie; przy obiedzie posadzono go na pierwszem miejscu, gospodarz nakładał mu najlepsze kąski i dolewał ciągle starego węgrzyna, o braciszku kwestarzu zupełnie zapomniano; przyszedł więc sam i usiadł pokornie na końcu stołu patrząc smutnie na swój próżny kieliszek, aż wreszcie ktoś litościwy wlał mu także wina, za-

nim go jednak pić zaczął mucha wpadła w kieliszek, co przebrało miarę cierpliwości braciszka, rzekł więc, wyrzucając natrętne stworzenie: „O Jezu i ta (*Jezuita*) bestyja wprzód pije niżeli ja“; ta gra słów była jedyną zemstą, jakiej sobie mógł pozwolić. Inny tejże reguły braciszek, pędząc barany, zaszedł na noc do karczmy wiejskiej, gdzie literalnie nic dostać nie można było; ale przezorny bernardyn nosił wszystko z sobą; a że to był dzień postny, wydobył z zawiniątka ułowioną po drodze pokaźną rybę i potrzebne do niej przyprawy, polecił gospodyni, aby mu to przyrządziła, a sam znużony położył się za piecem, aby wypocząć. Tymczasem zajechało do tejże karczmy dwóch jezuitów. „Nie macie co jeść gosposiu?“ zapytuje jeden na wstępie. „Gdzietam, proszę jegomości, bieda, nic się u nas nie znajdzie“. „A co się tam smaży na kominie?“ zapytuje drugi zaglądając ciekawie do tygielka. „A to proszę jegomości ryba, ale nie moja, ino tego zakonnika kwestarza, co śpi za piecem.“ Jezuici zbliżyli się obadwaj do śpiącego niby, ale dobrze wszystko słyszącego braciszka. „Laudetur Jezus Chrystus!“ zagadnął jeden z nich; „In secula seculorum“, odmrukuje niby budząc się kwestarz, „a któż wy tacy“, pyta z kolei. — „Towarzysze Chrystusa“ brzmi odpowiedź. „Przy urodzeniu, czy przy śmierci?“ zapytuje dalej leżący ciągle braciszek. „Przy urodzeniu“, odpowiada jeden z jezuitów. „A to wół i osioł!“, mówi bernardyn. „Przy śmierci“, poprawia drugi jezuita. „No to dwóch łotrów!“ „Ależ frater, nie żartuj, wstań i chodź pogadaj z nami, jesteśmy jezuici, zmuszeni tu nocować tak jak i ty, będzie nam razem weselej“. „Gdzież mnie prostakowi równać się z waszemi wielebnościami!“ tłómaczy się niby skonfundowany braciszek, podnosząc się powoli. Jezuici tymczasem zaczynają rozmowę od pouczających pytań. „Czy wiesz, co znaczą te litery J. N. R J.“ rzecze jeden pokazując krucyfiks. „To znaczy“, odpowiedział znudzony już braciszek: „*Jezuici Niebędą Ryb Jedli*“ i położył się napowrót, a jezuici odeszli zrozumiawszy, że muszą się wyrzec wieczerzy, którą zdobyć chcieli. Język francuzki nadaje się najlepiej do gry słów przez swoje ubóstwo, mając jeden wyraz na oznaczenie kilku różnych rzeczy. Wolter rzekł raz pewnej damie narzekającej na odciski: „Cóż dziwnego, że mamy nagniotki? wszak ci co robią nasze obuwie, nazywają się *cordonniers* (dający odciski). Pewien proboszcz, spotkawszy ludzi wyławiających mu ryby ze stawu, zgromił ich słowami Chrystusa: *Allez et ne pécher plus!* („Idźcie i nie grzeszcie, albo nie łówcie ryb więcej“). Ludwik XVI zapytał pewnego księcia, nie odznaczającego się wcale rozumem, co tak długo robił w Anglii. „Najjaśniejszy panie“, odrzekł, „uczyłem się myśleć“ (penser). Król chcąc pokazać, że nie przypuszcza, aby książe mógł mówić o myśleniu, udał, że słowo *penser* (myśleć), bierze za *panser* (opatrywać rany, lub czyścić konie), dodał więc: *Aha! panser les chevaux* (Aha! czyścić konie). Niemcy bawią się też czasem w podobne kalembury; najmniej lubią je anglicy; były jednak znane i starożytnym takie gry słów. Arystoteles przytacza dwuznacznik Heraklidesa, gdy mówi o prawach Drakona, które to imię znaczy: *smok*. „Nie ma się co dziwić, że te prawa są okrutne, nie człowiek bowiem, ale smok je układał.“ Demostenes przestrzega ateńczyków, żeby się starali schwytać słynnego złodzieja, zwanego *Chalkos* (czyli *spiż*) i dodaje „Sciany naszych domów są z gliny, jakże więc mogą się oprzeć spiżowi?“ Mnóstwo kalemburów znaleźć można w dziełach Seneki, Owidyjusza, obydwóch Plinijuszów i innych starożytnych pisarzy. Używał ich także Cyceron, Terencyusz i Metellus, który kazał na swym grobie położyć napis: „Me-tellus“ czyli nazwisko swe przedzielone, co miało wtedy znaczenie: „ma mnie ziemia“. Gra słów ukazuje się tak przy odrodzeniu nauk, jak i przy ich upadku; dowodem tego Petrarka, Tasso, Balzak, Corneille, Szekspir, Spencer, Johnson i wielu innych, którzy się w to bawili. Książę Villa-Celli, zakochany w żonie Filipa IV, wystąpił na publicz-

nych gonitwach w ubraniu, na którem wyszyte były reale (moneta złota hiszpańska) i dewiza: *Mis amores sou reales* co miało znaczenie podwójne, albo: „Miłością moją są reale“ albo też: „Miłość moja jest królewską“. Gdy Richelieu na starość okładał sobie łydki cielęciną, aby lepiej wyglądały, francuzi nazywali go „*le vieux bouquin relié en veau*“, co znaczyło: „Stary kozioł obłożony cielęciną“, albo też „Stara książka oprawna w cielęcą skórkę“. Niezliczone mnóstwo takich wyrażeń z podwójnem znaczeniem, tak dawniejszych jak nowszych, kursowało i kursuje zawsze i wszędzie, a najwięcej w Paryżu, gdzie tak język jak i dowcip francuzów najlepiej się do gry słów nadaje; trudno je jednakże oddać w tłómaczeniu, bo tracą na wartości. Jeden z najdawniejszych kalemburów znajdujemy w Nowym Testamencie w słowach Chrystusa, mówiącego do Piotra: „Ty jesteś *Petrus*, co znaczy Piotr, albo skała, a na tej opoce postawię mój kościół“. Słowo „kalembur“ podług niektórych miało wziąść początek od włoskiego: *calamajo burlare* (pióro żartobliwe), prawdopodobniejsza wszakże jest wersyja, że wyraz ten wzięto od barona Kalemberg'a, który był na dworze króla Stanisława Leszczyńskiego w Louneville, a który tak źle mówił po francuzku, że często słowa jego przybierały inne znaczenie niż to, które im chciał nadać; ztąd powstawały komiczne pomyłki, dwuznaczniki więc wzięły nazwę od barona, z czasem przekręconą na kalembur. Księżna Bouffler zbierała i spisywała te przekręcone wyrażenia Kalemberga i posyłała je dla zabawki dworu, ztąd weszły w modę i mnożyły się odtąd na wszystkie strony; stosownie do odmian nadawano takiej grze słów przeróżne nazwy jak: *bonmots*, *pointés*, *quodlibets*, *Turlupinades*, *Arlequinades*, *Coqs á l'âne* etc. Książę de Ligne odznaczał się też wielu kalemburami; ale prawdziwym, tak nazwanym królem kalemburzystów był margrabia de Bièrre, przezywany także „Bilboquet“ od gry tej nazwy, którą wynalazł; zebrał on wszystkie znane dotąd kalembury i sam wykształcił się i wydoskonalił w tworzeniu ciągle nowych. Bièrre, paryżanin, był synem królewskiego chirurga; obdarzony został później szlachectwem i majątkiem, i napisał niezłą komedyję pod tytałem: „Uwodziciel“, chcąc się za to dostać do akademii, ale gdy zamiast niego wybrano księdza Maury, pocieszył się następującym kalemburem: „Wszystko zwycięża amor, i ja ustąpić musiałem Amorowi“ (albo Maury'emu); wiersz był łaciński: *Omnia vincit amor, et nos cedamus amori* (à Maury). Umarł w Spa w roku 1789, jak mówią z kalemburem na ustach z tej okazyi: *Je m'en vais de ce pas* albo *de Spa* (odchodzę w tej chwili, lub wyjeżdżam ze Spa). Został po nim cały zbiór kalemburów, nazwany „Bièrriana“. Podobnie dowcipną grę słów włosi zowią u siebie „Lazzi“. Słynny z dowcipu Galliani pozwalał sobie tyle takich „Lazzi“ w Paryżu, że dwór wymógł odwołanie go z posady ambasadora. Kalembury polskie uprawiał dawniej szczególniej Żółkowski, aktor. Słynie z nich obecnie jeden z redaktorów warszawskich L.. najdowcipniejszy niezawodnie warszawiak.

(Patrz: *Dwuznaczniki* str. 264).

Grabarz.

* W pewnem małem miasteczku przyszedł grabarz do rady miejskiej z następującą prośbą:

— W naszem mieście wcale ludzie nie umierają, albo tak prawie, jak wcale, otóż nic dziwnego, że nie mam z czego żyć... A ponieważ do wyżywienia posiadam nietylko siebie, ale i liczną rodzinę, upraszam przeto o podwyższenie ceny grobu o talara. Jeśli prośba moja nie będzie wysłuchaną, muszę się przenieść w szczęśliwszą okolicę, gdzie umiera tylu ludzi, że grabarz może mieć przyzwoite utrzymanie.

* *Pierwszy grabarz*. Godziż się po chrześcijańsku grzebać kogoś, co samowolnie szuka zbawienia?

Drugi grabarz. Co się tam o to pytasz: bierz się lepiej żywo do kopania. Fizyk był

przy niej i zakwalifikował ją do chrześcijańskiego pogrzebu.

P. Grab. Jak to być może? Nie utopiła się przecie bez przyczynienia się własnego.

Dr. Grab. Powiadam ci, że tak zeznano.

P. Grab. Musiało być przyczynienie się: a to punkt właśnie stanowi. Kiedy się topię, w takim razie popełniam czyn, a czyn się popełnia trojako: działając, wykonywając i uskuteczniając. Tak więc widzisz, Argalu, że się ona utopiła z umysłu.

Dr. Grab. Ależ, pozwól...

P. Grab. Gadaj zdrów! Tu płynie woda, dajmy na to, a tu stoi człowiek, dajmy na to: jeżeli człowiek pójdzie do wody i utopi się, rad nie rad, to jużci nie zaprzeczy temu, że poszedł; ale jeżeli woda przyjdzie do niego i zatopi go, to co innego: wtedy nie można powiedzieć, że on się utopił. Wierzaj mi, kumie, że kto sam nie jest winien swojej śmierci, ten sam sobie życia nie skraca.

Dr. Grab. Czy prawo tak mówi?

P. Grab. Ma się rozumieć: prawo fizyczne.

Dr. Grab. Chcesz wiedzieć prawdę? Gdyby to nie była dygnitarska córka, nie byłaby po chrześcijańsku chowaną.

P. Grab. Trafiłeś w sedno. Ale tem gorzej dla panów dygnitarzy, że większą na tym świecie mają zachętę do topienia się i wieszania, niż ich współbracia w Chrystusie. Podaj rydel. Nie ma dawniejszych dygnitarzy, jak ogrodnicy, górnicy i grabarze, bo oni idą w prostej linii od ojca Adama.

Dr. Grab. Czy Adam był dygnitarzem?

P. Grab. A jakże? On pierwszy przecie krzyż nosił.

Dr. Grab. Ejże, ejże! nie nosił żadnego.

P. Grab. Czyś Waść poganin? Także pismo rozumiesz? Pismo powiada, że Adam ziemię kopał: kopiąc, musiał ci się schylać, a jakżeby się mógł schylić, nie mając krzyża? Zadam ci jeszcze jedno pytanie; a jeżeli mi sprytnie nie odpowiesz, to cię nazwę...

Dr. Grab. No, no.

P. Grab. Co to za rzemieślnik, co trwalej buduje niż mularz, cieśla i majster okrętowy?

Dr. Grab. Szubienicznik, bo jego budowla przetrzyma tysiąc lokatorów.

P. Grab. Podoba mi się twój dowcip. W istocie, szubienica wyświadcza przysługi; ale komu? oto tym, co się źle zasługują: a ponieważ ty się źle zasługujesz Bogu, twierdząc, że szubienica jest trwalszą niż kościół, powinna ci więc szubienica wyświadczyć swoją przysługę. Ale wróćmy do rzeczy.

Dr. Grabarz. Któż buduje trwalej niż mularz, cieśla i majster okrętowy?

P. Grabarz. O to właśnie idzie.

Dr. Grabarz. Zaraz ci powiem.

P. Grab. Słucham.

Dr. Grab. Do licha, nie mogę jakoś.

(Hamlet i Horacy ukazują się w pewnej od ległości).

P. Grab. Nie łam sobie już nad tem mózgownicy; osła batem nie popędzisz; a kiedy cię kto o to jeszcze raz zapyta, to mu powiedz: grabarz. Domy jego roboty przetrwają do dnia sądnego. Idź do szynkwasu i przynieś mi półkwaterek gorzałki.

Szekspir. (p. str. 92).

Gracze.

* Zasiedli społem:
Każdy nad stołem
Wsparty,
A każdy w wiście
Bił zamaszyście
Karty.
I tylko czasem
Przerwą z hałasem
Ciszę;
Każdy na desce
Kredą po kresce
Pisze.
I wiodą spory:
„Lewy! honory!“
Krzyczą;

I znowu w szyki
Trefy i piki
Liczą.
Po każdym robrze
Stuknęli dobrze
Starki;
I znów nad stołem
Zwiesili społem
Karki.
Puszkin (tłóm. *Syrokomla*).

Graf -- poeta.

* Kapitan krzyknął Wirgilem: „Et tantae,
Tantaene divis coelestibus ira?
Na to się podniósł graf Salomon z Jante,
Poeta Grecki! ucho mu rozdziera
Zmiana wyrazów i kradzież średniówek;
Więc chciał poprawić — lecz zabrakło słówek.

Może też słabość; bo prędko rękoma
Wziął się za serce i na dwóch lokai
Głośno zawołał nazwiskami dwoma;
Bo skoro tylko jeden się narai,
Zaraz poeta na drugiego krzyczy,
Aby wiedziano, że dwóch w służbie liczy.

Wielki poeto! Jako między skały
Rzucony tyran, tak ty w puchowniczki
Strącon słabością; a twój surdut biały
I glansowane białe rękawiczki
I twój z usłużnych lokajów paszalik —
Świadczą, że jesteś coxcomb lub migdalik.

„O! znam ja ciebie, której ręka trzyma
Miecz w piorunową uzbrojony jasność;
O! znam ja ciebie, zkrawemi oczyma
Na świat patrzącą, jak na przyszłą własność...“
Z takim to niegdyś do Wolności żarem
Przemówił ów graf i został Pindarem.

Gdy go raz wieńcem uwieńczyła oda,
Mówią, że dzisiaj co napisze, spali;
Mówią, że wierszy popalonych szkoda;
Mówią, że przy nim wszyscy wieszcze mali.
Szkoda, że zamiast wiersze chować w szafę,
Czyni z nich codzień pan graf auto da fe!
Byron.

* *Graf Bismark* (z Burenina).

Niezwykłe to święto — ku wielkiej zabawie
W Wersalu przy głównej kwaterze:
Graf Otto von Bismark zasiada na ławie
W złociste przybrany odzieże,
Von Moltke się raczy w milczeniu cygarem,
Podbielski weseli węgrzyna pucharem
I sztab-oficerów niezmierna drużyna
W postawach wypiętych na losy swe czeka
W szeregach, bez ruchu, od starszych zdaleka:
Zupełnie jak rewija na placu Berlina.

* * *

Graf Bismark swój kufel napełnił po brzegi
I patrząc przychylnie tak woła:
„Przepyszna ma uczta! Tu widzę szeregi
Walecznych wojaków zebrane dokoła,
Blask kasków, guzików, mój wzrok rozwesela --
Lecz kędyż jest trębacz— głosiciel wesela
Wraz z trąbą swą dźwięczną gdzie bawi?
Niech przerwie nam marszem bojowym tę ciszę,
Niech pruską melodyją mój słuch ukołysze,
Niech zaraz przed nami się stawi!“

* * *

Gdy skończył — już trębacz się zjawił na ganku,
(Jak struny napięte miał ręce)
Graf wyrzekł z uśmiechem: „Zaśpiewaj kochanku,
Wszak lepiej niż Lucca podołasz piosence?“
Sztab cały się zaśmiał na dowcip tak cięty
I każdy podziwem niezmiernym był zdjęty
Dla grafa — za humor i werwę;
A trębacz tak mówi: „Swą sztukę pokażę,
Gdy zagram, co wasza mi światłość rozkaże —
Od trąby swych ust nie oderwę“.

* * *

„Czyż można rozkazać coś duszom pieśniarzy?“
Europy odpowie mu władza,
„To śpiewaj, co tobie samemu się marzy —
Graf Bismark ci nic nie przeszkadza“.
Ta mowa łaskawa melodyją do ucha
Wpłynęła trębacza — zatliła w nim ducha,

Aż poczuł cne w sobie natchnienie:
Więc oczy swe zezem (tak chce dyscyplina)
K'starszyznie obraca — i z siłą zaczyna
W te słowa natchnione swe pienie:

* * *

„Raz major w Berlinie odwiedził bier-halle,
(Był członkiem ten major prawicy)
Tam rój radykałów też wkroczył na salę,
Tam pili, lżąc rząd buntownicy —
Więc piwa zażądał i usiadł przy stole
Z gazetą i chmurą posępną na czole;
Lecz rosły wokoło okrzyki
A zwłaszcza był jeden najżwawszy radykał,
Co wściekle na władzę wciąż sarkał i brykał
I szpetne jej czynił przytyki.

* * *

Wtem zerwał się major—jak furja prawdziwa—
Odwaga w nim straszna wezbrała,
I śmignął — nie szablą, lecz kuflem od piwa
Ugodził w sam łeb radykała!
I cisza dokoła zrobiła się wielka
Gdzieś tylko upadła na ziemię butelka
I strach się rozszerzał po sali,
A major lokaja zmierzywszy wyniośle
„Za kufel rozbity — zawołał — weź ośle!“
I wyszedł nietknięty z bier-hali.

* * *

Aż raptem, jak prorok przez Boga natchniony
Radykał się zerwał z siedzenia,
I z guzem na głowie, co na kształt korony
Wyrastał — rzekł pełen natchnienia:
„O mężu, o wielki, o pruski sokole!
(Którego dziś znamię odczuwam na czole)
Ten guz twe tryumfy zwiastuje:
Nie wyda równego ci świat bohatera,
Od ciebie się nowa rozpocznie nam era —
I moc twą Europa odczuje!“

* * *

Graf Bismark wysłuchał w milczeniu głębokiem
Przeszłości wiernego obrazu,
Aż rzucił przed siebie badawczym swym wzrokiem
I poznał trębacza odrazu.

Tak: był to radykał, co niegdyś posłużył
Do próby i głosem swym wiernie wywróżył
Junkierskiej koleje taktyki...
Więc w koło na grafa zwracano spojrzenia,
Już wiedząc, że mężem był on przeznaczenia
I wielbiąc przeznaczeń wyniki.

H. U. Mor.

Gramatyka.

* Za dawnych uczonych czasów zwykle w gramatyce reprezentowała pierwszą formę przypadkowania łacińskiego ziemia (*terra*), później, kiedy zaczęto więcej dbać o żołądek, zamiast ziemi włożono stół (*mensa*), notabene zastawiony potrawami. Za czasów idealnych i romantycznych wyrugowała go gwiazda (*stella*), a w naszym wieku, kiedy koleje żelazne wszystkie głowy zajmują, w najnowszych gramatykach umieszczono drogę (*via*). Widać więc, że nawet gramatyki ulegają modzie, tylko w odmianie słów uważamy, że zawsze reprezentantem pierwszej formy jest: kocham (*amo*) i nic dziwnego, bo kochanie pewno nigdy z mody nie wyjdzie, dopóki rodzaj żeński nie zaginie.

Humorysta Warszawski.

Great-attraction.

— Proszę papy, co to znaczy *great attraction*, o którem tak często piszą w gazetach? — zapytała znanego pana X. dziesięcioletnia jego córeczka.

— Moje dziecko — odpowiedział pan X.— ty jeszcze jesteś za młoda do *great attraction*: jak będziesz wychodziła za mąż, to ci mama wytłómaczy.

Griffet.

* Służący uczonego Piotra Griffet skarżył się przed księciem Karolem de Ligne, że pan jego nigdy nie wie, gdzie jest tabakierka, pióro, albo chustka do nosa. „Niech książę pan mi wierzy“, kończył sługus, „że nikt należycie nie ocenia jego wartości; zebrawszy całą jego wiedzę, można śmiało powiedzieć, że nic nie umie“.

Grillparzer.

* Ktoś odwiedził starego Grillparzera w Wiedniu i zastał go przy czytaniu dziełka p.t. „Życie Händla“.

— Czy podoba się panu ta książka — spytał odwiedzający.

— Dobra to praca w samej rzeczy— odpowiedział Grillparzer, tylko... — dodał swoim przekonywającym tonem: — wiesz co, opowiedziana muzyka, to jest to samo, co opisany, a zjedzony obiad!

* *Grillparzer i Hebbel.*

Nie było dwóch sprzeczniejszych natur jak Grillparzer i Hebbel. Hebbel miał się za olbrzymiego człowieka, pełen był zarozumiałości i dumy, stawiał się na równym poziomie z Szekspirem i śmiało utrzymywał, że na nim kończy się okres klasycznej poezyi niemieckiej, i że niemcy nie będą miały już znakomitszych od niego poetów i dramaturgów. Grillparzer przeciwnie, był to zgodny, skromny człowieczek, obdarzony jednak bystrym i głębokim umysłem. Kiedy spotkał Hebbla razu jednego w pewnem wiedeńskiem towarzystwie, wstał z krzesła, mówiąc:

— Pokłon tobie i wszystkiemu, co piszesz! wybacz pan, że nie jestem dość swobodny w pobliżu ciebie, ale lękam się pana... Zdarzyć mi się może, że zadasz pytanie na ciekawy temat: np. „Co jest Bóg“ a ja nic o tem niewiem — pan zaś wiesz i dlatego nie mogę z tobą rozmawiać i wolę siedzieć już z zamurowanemi ustami.

Grimaud.

* Grimaud, sławny smakosz, wydawca „Kalendarza smakoszy“, wziął raz swych przyjaciół na taką próbę. Rozpuścił pogłoskę o swej śmierci i porozsyłał zaproszenia na pogrzeb, kiedy zaś zebrali się znajomi w jego domu, okazało się, że ich tam nie czekał żaden umarły, ale wesoły gospodarz i wystawny obiad. Grimaud chciał poznać w ten sposób tych z koła licznych przyjaciół, którzy prawdziwie będą go żałować i przyjdą uczcić śmiertelne jego szczątki. Grimaud umarł naprawdę w roku 1838 w wieku lat 80.

Grindorge.

* Mam lat pięćdziesiąt dwa; zarobiłem ośmdziesiąt tysięcy franków rocznego dochodu na handlu olejem i soloną wieprzowiną, chociaż bujnej wyobraźni nie posiadam wcale. Czterdzieści lat temu opuściłem Paryż, a wróciłem dopiero pięć czy sześć lat temu. Czyż to jest dostatecznem do pisania o życiu paryzkiem? Nazwą mnie niezawodnie barbarzyńcą, dzikim człowiekiem — może mnie już nawet tak nazywają.

Jeżeli tak jest, to wierzaj mi pan, że to wina mego pierwotnego wychowania. Ojciec mój twierdził, że gimnazyja francuzkie są istnemi koszarami i że chłopcy uczą się w nich tylko palić tytoń po korytarzach i pragną znajomości z ładnemi osóbkami, które tak zręcznie tańczą przy ulicy Cadet od jedenastej wieczór do północy. Wysłał mnie zatem do Eton w Anglii, gdzie się nauczyłem fabrykować wiersze greckie, szczególniej jambiki. Prócz tego czyściłem buty starszym uczniom i dostawałem lub oddawałem kilka tuzinów kułaków tygodniowo.

Z fabrykacyi wierszy greckich nie wiele mi przyszło; ale nauka czyszczenia butów i zwyczaj walki na pięście, posłużyły mi niejednokrotnie. Mogę panu nawet polecić podobne wychowanie dla jego syna, jeżeli notabene Bóg cię nim obdarzył. Gdym doszedł do lat ośmnastu, ojciec mój uznał, że mam mózg i boki dostatecznie wypróbowane jambami i kułakami i wysłał mnie do Niemiec do uniwersytetu w Heidelbergu. Kupiłem sobie zaraz czapkę czerwoną z brzeżkiem złotym i zacząłem się przechadzać po ogrodach starego zamku, kołysząc się wdzięcznie, jak przystało na młodzieńca. Przytem, chociaż doskonałym obdarzony wzrokiem, zacząłem nosić okulary, by udawać uczonego. Przez pięć lat wypaliłem niesłycha-

ną liczbę fajek, biłem się kilka razy na szpady, raz o jakąś służącą, której jeden z moich kolegów w mojem mniemaniu ubliżył; innym razem w obronie zmysłu wewnętrznego, któremu jakiś sceptyk władzy odmówił. Innym znów razem o uosobistnienie nieskończoności, podziwiałem całą duszą podziały i podziałki na jakie nasi profesorowie klasyfikowali wszystkie ludzkie i boskie rzeczy; dawałem znak nogą, ile razy który z nich mówił za prędko, nie chciałem i jednego słowa uronić; zdawało mi się, że cała ta mądrość ponumerowana i z etykietami poprzylepianemi wchodziła do mojej głowy i mieściła się w niej wygodnie; zacząłem nawet mieć już pojęcie o „niezbadanem“ i byłbym niezawodnie doszedł do odkryć nieśmiertelnych, gdyby mój ojciec nie był umarł nagle, zostawiając mnie bez grosza.

W Niemczech spotkasz się pan często z następującem ogłoszeniem: „Młody człowiek, odebrawszy wychowanie staranne, klasyczne, piszący i mówiący kilkoma językami europejskiemi, znający prawo, chemję i wyższą matematykę, syn ojca zasłużonego w literaturze, mogący się poszczycić chlubnemi świadectwami, poszukuje miejsca subjekta na 800 franków rocznie.“ Nie miałem tylu tytułów, uznałem się więc za bardzo szczęśliwego, otrzymując miejsce u pp. Schwartz i S-ka w Hamburgu, handlujących olejem. Miałem obowiązek podróżowania nieustannego w celu dozorowania ładunków okrętowych owej kompanii. Nosiłem wówczas włosy długie, spadające na szyję, bywałem często rozmarzony i nie myślałem o oleju. Musiałem jednak otrząsnąć się szybko i wziąć się do pracy. Pewnego dnia jeden z majtków, któremu kazałem spuścić baryłkę na pokład, wzruszył ramionami i nazwał mnie „Euer Guden“ (jaśnie pan). Rzuciłem się na niego i sześciu kułakami zamalowałem mu twarz do niepoznania. Usłuchał mnie natychmiast. Odtąd cała załoga z większem poważaniem spoglądała na mnie, a ja nauczyłem się, w jaki sposób trzeba umieć prowadzić ludzi. Po trzech tygodniach zatrzymaliśmy się na wyspie Kubie dla wypoczynku. Poszedłem przejść się z jednym z moich towarzyszy o dwieście kroków od portu. Byłem trochę słaby po febrze, spowodowanej nieświeżą wodą i sucharami, których trawić nie mogłem. Ujrzałem kilku z tych chińczyków, co się sprzedają na lat dziesięć za miarkę ryżu dziennie, dwa piastry rocznie, koszulę i kapelusz co dwa lata i liczbę pałek, zależną od woli kupującego. Jeden z tych biedaków poszedł za mną, ulitowałem się nad nim i dałem mu kilka sztuk monety. W pięć minut potem przy skręcie drogi zostałem powalony na ziemię uderzeniem silnej maczugi z ręki tego samego chińczyka. Towarzysz mój rzucił się na niego z nożem i ranił na śmierć; powstałem z trudnością i kulejąc powróciłem do okrętu. „Cóż się stało z chińczykiem?“ — zapytałem po chwili. „O, bądź pan spokojny — rzekł mój towarzysz — jego przyjaciele nadejdą niebawem, by go dobić i pochować, raz, by mu wziąć koszulę, a potem, by nie być odpowiedzialnymi, gdybyśmy wnieśli skargę.“ Obwiązałem sobie głowę mocno rozbitą i zacząłem dumać. Spostrzegłem, że ludzie nie są tak bardzo pochopni do braterstwa, jak mi się to z początku zdawało. W tydzień potem wylądowaliśmy w Baton-Rouge. Siedzieliśmy przy *table d'hôte*; poprosiłem sąsiada, by mi podał jakiś półmisek. Wziął go w rękę, powąchał, uznał za dobry i postawiwszy przed sobą, zaczął zajadać smacznie, nie troszcząc się o mnie bynajmniej. W tejże samej chwili mój sąsiad z drugiej strony zażądał szynki od garsona; ten nie słyszy, sąsiad mój woła drugi raz, garson znów nie słyszy; zniecierpliwiony gość chwyta swój talerz i rzucając garsonowi w głowę, rozcina mu ucho. Garson, nie wiele myśląc, chwyta krzesło w rękę i rozbija je na moim sąsiedzie. Kilku innych gości się rzuciło, wydobyło noże. Trzech amerykanów, skończywszy śniadanie, siedziało spokojnie przed kominem z nogami wyciągniętemi po nad głową, strugając kawałki drzewa nożykiem, (ulubione ich zatrudnienie). Odwrócili niedbale głowy, gwiż-

dząc jakąś piosnkę przez zęby. To mi wystarczyło; od tego czasu zreformowałem się kompletnie. Za pierwsze moje oszczędności kupiłem sobie fuzyję, wyćwiczyłem się, strzelając do krokodylów na rzece, zostawiłem na stronie metafizykę i przesadzoną grzeczność i zacząłem iść prosto przed siebie prostą drogą, to jest tą, która wiedzie do majątku.

Nie będę państwu opowiadał moich początków; byłoby to zbyt długie, a może za ostre na wasze nerwy; nie lubicie we Francyi prawdy. Powiem wam tylko, żem się najadł biedy, jak to mówią i jeszcze nie zawsze za swoje pieniądze, bo często i za to jedzenie płacić jeszcze trzeba. Ale w Ameryce powiadają, że od dwudziestego do trzydziestego roku jest to zwykłe pożywienie człowieka. W trzydziestym roku życia miałem własną plantacyję, dziewiętnastu niewolników i pięćset wieprzów. Traktowałem dobrze jednych i drugich, ale ciągnąłem też z nich zyski. Tutaj zapewne oburzą się wszyscy na mnie i nazwą mię łotrem, ciemiężycielem ludzkości! Za pozwoleniem, moi państwo. Bywają źli ludzie: mój sąsiad, pan Wright, gdy ujrzał skaleczonego konia, kazał natychmiast woźnicy przyłożyć wizykatoryję wielkości rany końskiej i zmuszał do trzymania takowej, póki się rana u konia nie zagoiła. Co do mnie, gdym był nie kontent z którego z niewolników, sprzedawałem go zaraz: była to największa kara; nie wiem, czym którego uderzył nawet kiedy. Zaręczam wam, że całą niedzielę wolno im było spać na słońcu snem błogosławionych; leżeli wszyscy na kupie jak i wieprze; te same widocznie mają gusta, tylko, że wieprze mądrzejsze. Mają one instynkta prawdziwie pańskie i spryt polityków. Chodzą naprzykład gromadnie do lasu na żołędzie i tam często siedzą całemi dniami pod cieniem dębów, wyszukując trufli i najdelikatniejszych korzonków.

Lubią towarzystwo, ale z pewnem wyrachowaniem, tak jak i my: gdy ujrzą niedźwiedzia, skupiają się w kółko, z ryjami naprzód wyciągniętymi i kły mu pokazują. Gdy jeden z nich przypadkiem oddali się i da się schwytać, krzyczą i piszczą wszystkie naraz; gdy się niedźwiedź naje i odchodzi, rzucają się na resztki zabitego towarzysza i pożerają je chciwie. Widzisz pan, że mają rozum pozytywny. O zachodzie słońca trąbi się na nich zwykle. Przybywają galopem wszystkie i znajdują już kolacyję gotową. Małe prosiaczki, różowe jak amorki Rubensa, wchodzą całe do koryt i do olbrzymich dyń, najadają się doskonale i wychodzą całe omazane.

Przebacz mi pan to wspomnienie tak żywo kreślone. Żyłem pośród nich całe dziesięć lat i często teraz jeszcze podczas opery przypominają mi się ich głowy.

Z początku sprzedawałem ich dwieście, potem tysiąc, potem dwa tysiące rocznie. Zaczynano o mnie mówić w Cincinati i mógłym był jak inni wybudować sobie pałacyk grecki z wieżyczkami gotyckiemi, zostać kapitanem od straży ogniowej, lub kasyjerem towarzystwa edukacyjnego anatomii i kliniki dla młodych pań, kształcących się na chirurgów. Ale marzyłem o Paryżu i wiedziałem, że tam nie mogę wracać bez pieniędzy. Odkryto właśnie studnię oleju ziemnego w Pensylwanii. Rzuciłem się w to przedsiębiorstwo. Wszedłem najpierw na trzy miesiące do handlu olejem, nauczyłem się tam odróżniać po zapachu rozmaite rodzaje tłuszczów, dotykałem się baryłek, mydeł, smoły, smarowideł. Próbowałem wszystkiego; umysł mój zapełnił się nowemi, a nieznanemi mi dotąd słowami: konewki, kwarty, beczki, kurki, płyny jasne i ciemne, żółte, zielonawe, a wszystkie kleiste, gęste i tłuste; wiedziałem, wiele który wart, jaki ma zapach i smak. Tak przygotowany zakupiłem kawałek gruntu, wyświdrowałem studnię i natrafiłem na żyłę. Odtąd wydobywałem pięć tysięcy litrów oleju i zarabiałem czterysta dolarów dziennie. Jedyna niedogodność tych studni jest ta, że czasem zapalają się wewnątrz. Ten, co po mnie objął moją studnię spalił się w niej z połową swoich robotników Ale uspokój się pan. Spłaciłmnie w zupełności

Te wszystkie przyjemności jednak olejów i solonej wieprzowiny nie były w stanie zapełnić mi życia. Amerykanie lubią interesy dla nich samych, ja zaś przeciwnie. Nie byłem zresztą żonaty, nie miałem dzieci, nie znajdowałem żadnej przyjemności w budowaniu kościołów, tak jak wielu z nich. W niedzielę każdy z nich jeździł trzy mile konno, by słuchać kazania, ja nie czułem najmniejszej do tego ochoty. Dwa razy do roku miewali zebrania, tak zwane *shouting* czyli *wycia*. Są to bardzo budujące zebrania. Wystawiają rodzaj estrady i z pół tuzina kaznodziei, zmieniając się kolejno, mówią o przeznaczeniu człowieka, o pokucie, o potępieniu wiecznem i tym podobnie przyjemnych rzeczach. Na odpoczynek śpiewają psalmy. Słuchacze przybywają o dwadzieścia mil z okolic i przywiązują konie do drzew. Po czterdziestu godzinach takiego nabożeństwa głowy zaczynają się zapalać. Jeden z wiernych wchodzi na estradę i głośno wyznaje swoje grzechy, po nim drugi, trzeci, dziesiąty, po kilku naraz — wreszcie zaczynają płakać i szlochać, ztąd nazwa *wycia*. Dla gorących wyobraźni dobre są podobne wstrząśnienia; co do mnie, pozostawałem zimnym jak głaz i to mi szkodziło. W niedzielę zamykałem się w pokoju jakim na najwyższem piętrze, zkąd mogłem patrzeć na zachodzące wśród starych drzew słońce. Miałem przy sobie fajkę moją z Heidelberga i kilka starych książek greckich z Eton. Czytałem także wasze przeglądy, książki, dzieła niemieckie i angielskie. Stary człowiek budził się we mnie: odmładzałem się. Widząc wasze myśli, wasze porywy, dążenia, odkrycia śmiałe na polu filozofii i literatury, zdawało mi się, że się znajduję na balu.

Pewnego pięknego poranku zamiast się zabrać do moich beczek i szynek, sprzedałem wszystkie, umieściłem kapitały moje w bankach angielskich i wsiadłem na okręt „Persya", który jechał do Europy.

Podróżowałem wiele, a jednak, wyznam panu szczerze, nigdzie nie doznałem tak dobrego przyjęcia, jak w Paryżu. Wybornie umiecie uprzyjemniać sobie życie; może to wasza jedyna doskonałość, ale jeżeli kto pragnie tylko bawić się i rozmawiać, znajdzie raj u was prawdziwy. W pierwszych czasach byłem wprawdzie niespokojny. Człowiek bogaty, żeby był najstarszy i najbrzydszy, jest zawsze ponętną rzeczą. Musiałem wypędzić trzech swoich lokai moje ładne sąsiadki opłacały ich, by mnie namawiali do utrzymywania której. Dzisiaj jeszcze w niektórych domach uchodzę za niedźwiedzia, dla tego, że się nie oświadczyłem o córkę. Ale to wszystko uspokoiło się po trochu. Wydałem kilka obiadów i zachwycano się mojemi winami i truflami. Pożyczyłem pieniędzy niektórym artystom i literatom i zapomniałem się o nie upominać, dla tego też kochają mnie serdecznie. Nie noszę brylantowych pierścieni i nie mówię nigdy o kursach na giełdzie, nie znajdują mnie więc ani imponującym, ani nudnym. Wojna w Ameryce przypadła w samą porę, by mi nadać charakter poważny. Udzielam różnych objaśnień o północnych i południowych Stanach, opowiadam każdemu, kto mnie pyta, o plantacyi bawełny, o prezydencie Davis — i pani domu jest zachwyconą, że jej gości bawię. Co do mnie, bywam w świecie jak na przedstawieniach w teatrze i wolę go nawet od teatru. Aktorzy są lepsi w życiu, jak na scenie, a szczególniej dowcipniejsi. Po tylu latach w Ameryce spędzonych, potrzebuję szczególniej dowcipu. Mam dobrą, wygodną karetę, która mnie wozi i odwozi, kamerdynera zręcznego, który mnie ubiera. Krawiec mój jest znakomity. Przytem nie żądam ani dla siebie posady, ani dla drugich protekcyi. Proszę tylko słuchać i patrzeć. Niema kobiety, któraby się gniewała o to, że się na nią patrzą, ani mężczyzny, którýby nie lubił być słuchanym, gdy mówi. Czasem, gdy wkładam palto do wyjścia, przychodzi mi na myśl jakaś uwaga. Zapisuję ją w moich notatkach i na tem koniec, a że pan chcesz koniecznie drukować te bazgroły — nie moja w tem wina; nie są to rzeczy dla wzbogace-

nia literatury pisane. W Ameryce nie mogłem się przecież nauczyć władać francuzkim językiem i mówić waszym stylem. Podziwiam go, ale nie podobna mi go naśladować. Podług mnie styl waszych pisarzy—to te artykuły czysto paryzkie, które tylko paryżanin napisać może: lekkie to, zgrabne, z niczego stworzone. Ja tylko notuję myśl tak jak mi przychodzi, opowiadam co widzę, dodaję czasem jakie osobiste spostrzeżenie. Pisałem dla siebie, nie zaś dla publiczności. Proszę pamiętać o tem, że żyłem wśród handlarzy olejem i czytelników biblii, odebrawszy wpierw wychowanie niemieckie; odrzuć pan, co znajdziesz niepotrzebnego w tych świstkach, a resztę niech mnie i panu czytelnicy wybaczą.

H. Tain.

„Życie i spostrzeżenia nad niem.“

Groteska (karykatura).

* Zadaniem groteski jest ośmieszenie postaci danych przez wykrzywienie ich, uniezgrabnienie i przesadę. Jest to prawdopodobnie najstraszniejszy rodzaj komizmu. Nie chcąc czegoś nazwać ordynaryjnie-komicznem, zowiemy to grotesko-komicznem. Grotesko-komiczny Satyr, jako odmiana Bachusa, rozweselał prostych chłopów greckich, tak jak wykrzywianie twarzy Otahaitskich błaznów bawi majtków angielskich. Takie figle bawią więcej lud prosty, aniżeli wystudyjowana mimika utalentowanego artysty; tak samo bawią go kuglarskie miny małpy, albo poważnego żórawia, któremu naraz przychodzi ochota wyprawiać komiczne skoki, wyrzucać w powietrze kamienie i gałązki, lub ścigać się z towarzyszami; dlatego w niektórych okolicach kształcą tego ptaka na istnego sztukmistrza, można również na sztukmistrza wyuczyć i czaplę. W „Osach“ Arystofanesa ptaki i żaby rozśmieszały Ateńczyków komicznemi minami i maskami, które zapewne dały początek późniejszym różnym karykaturom i larwom, jakiemi straszono niegrzeczne dzieci. Gdyby z góry Atlasu wyciosali statuę Aleksandra z prawą nogą opartą na rzece, a lewą na mieście, ta niby wzniosła idea stałaby się tylko śmiesznym obrazem groteski i rozśmieszałaby wszystkich, tak jak ów wielki pies w teatrze, który oparłszy przednie łapy na brzegu orkiestry, tak uważnie i pilnie przypatrywał się aktorom, jak gdyby miał o nich pisać sprawozdanie krytyczne; pan jego, rzeźnik otyły, zdjąwszy swój kapelusz, włożył go psu na łeb, co go tak śmiesznym, robiło, że grający właśnie Gerrick i jego towarzysze na scenie nie mogli zachować powagi i głośno się śmieli, aż psa wyprowadzić musiano. Rzymski „Macrus“ w „Atenach“ miał niesłychanie wielką głowę, pełno brodawek, nos z obwisłemi nozdrzami i garb z tyłu i z przodu. „Parasit“ odznaczał się pstrokatą szatą, niósł zgrzebło, dzbanek, wielki kij i miecz, przypomina go teraźniejszy arlekin. Prawdziwa poważna komedyja, znana już za greków, upadła w Rzymie, tak jak i to miasto upadło, ale groteski, karykaturalne farsy utrzymywały się ciągle jeszcze pod panowaniem cezarów, a nawet i później za barbarzyńców. Z tych to fars później powstała u włochów tak nazwana „Comedia del' Arte“ czyli komedyja improwizowana bez przygotowania. Włosi mają swego arlekina, który egzystuje w Bergamo i w toskańskim dyjalekcie nazywa się „Zaani“; jak dawniej rzymski „Saunio“, wyprawia on zawsze pełno różnych figlów i sztuczek; zawsze zakochany w swej Rosaurze, zawsze gotów spieszyć z pomocą biednym towarzyszom, lub wytłuc porządnie pełnego fanfaronady kapitana *Scaramuzzo*. Do dziś dnia jeszcze arlekin jest koroną tamtejszych teatrzyków, i w swoim rodzaju jest tem samem jako Arlekin, co Rucian, Swift i Rabelais w swoim znów fachu. W Neapolu nosi on miano poliszynela i jest pierwszym komikiem, który wszędzie wsadzić musi swój długi nos i nigdzie nie upadnie. Jest to nieposłuszny, łakomy i chytry chłopak, nosi zawsze tylko koszulę i szerokie marynarskie spodnie, śpiczastą czapkę i maskę z długim nosem i rogiem, a plecie tylko same głupstwa. Poliszynel przedstawia się zwykle pod podwójną

postacią: oszukującego lub oszukanego; nazwany wtedy Trafeldino (pieroto); Tastaglio albo jąkała używany bywa do posyłek, a jego jąkanie wystarcza już samo do rozbawienia jako burleska. Arlekin przybiera rozmaite postacie: olbrzyma, karła, psa nawet. Gdy łata trzewiki pierotowi, przyszywa mu je do nogi, a gdy ten pije, arlekin zwykle trzaska z bata tak, że pieroto zląkłszy się, stawia niedopitą butelkę; zrozumiawszy figiel, chce go sam powtórzyć, bierze bat, arlekin zaś chwyta za butelkę i wychyla ją do dna, nie lękając się trzaskania. Takie figle zowią się u włochów *Lazzi* i utrzymują się dotąd wśród tego wesołego narodu. Druga maska czyli figura groteski, jest „Pantalone“, który ukazuje się zwykle jako wenecyjanin, ubrany czarno, stary, głupi kupiec, zawsze zakochany i oszukiwany przez swoich rywali, swoich synów i służących, do czego też arlekin przykłada rękę. Nazwa jego pochodzić musi od okrzyku, jaki wydają Wenecyjanie przy zatknięciu swego skrzydlatego lwa na placu ś-go Marka, a który brzmi: „Pianta leone“ („zatknij lwa“). Trzecia maska jest doktór z Bolonii, wieczny paplacz, pełen sentencyi i cytat łacińskich, nieznośny i niesprawiedliwy pedant. Papież Benedykt XIV, Bolończyk rodem, któremu pewnego razu poseł wenecki przerwał nieprzystojnie mowę, zapytał tegoż: „Czy byłeś pan kiedy na komedyi?“ „Jakto? wasza świątobliwość?“ zapytał poseł, zdziwiony temi słowy. „Bo jeżeliś był, to musiałeś widzieć, że kiedy doktór mówi, Pantalone wtedy milczy.“ Czwarta figura jest „Spaviento“ czyli kapitan neapolitański. Do tych czterech głównych figur dodać można jeszcze zawsze złośliwego „Gelsomina,“ słodziutkiego rzymskiego pana „Beltramo,“ za nimi idzie medyjolański malarz „Briglulo,“ faktor z Ferrary i dwaj prostacy z Kalabryi, „Giaugurgulo“ i „Curiello.“ Ci wszyscy byli i są zawsze w maskach jak figury ogólne, dodatnie; tylko „Amorosi,“ grający role poważne, a Smeraldino i Colombino — role poufnych, są zawsze bez masek. Większa część żartów tyczy się zawsze Trivelina; Trivelinowi śpiącemu ukradziono konia; gdy się budzi z uzdą w ręku, a konia nie widzi, mówi: „Czy ja jestem Trivelinem, czy nie? Bo jeśli jestem Trivelinem, to postradałem konia, a jeśli nim nie jestem, to zyskałem uzdę.“ Gdy Arlekin chce sobie życie odebrać, nie może długo zdecydować się na rodzaj śmierci; każdemu znajduje coś do zarzucenia, nareszcie postanawia załechtać się na śmierć, albo, gdy go mają wieszać mówi: „umieram per amore della belle lettere“ (co ma znaczyć albo „nauk,“ albo „pięknych liter“ — to ostatnie stosuje się do obrzynania złotej monety, z czego wielu żydów się utrzymuje). Trzeba być Włochem na to, żeby więcej jak jeden raz znaleść przyjemność w takich farsach, ale śmiać się z nich każdy musi. Anglicy robią często wielkie zakłady o to, czy się będą śmiać czy ziewać na tych sztuczkach, ale na to trzeba być anglikiem. W północnych Niemczech, gdzie podobne sztuczki znano wprzód jeszcze niż we Włoszech, odznaczał się niejaki *Szuch*, który w codziennym życiu był człowiekiem poważnym a nawet posępnym, podobnie jak *Karlino* we Francyi; ale za włożeniem scenicznego kaftana dyjabeł wstępował w każdego z nich. We Francyi znany jest jeszcze dotąd „Kryspin.“ Komiczny charakter, w czerwonym kaftanie, małym kapelusiku, z wielkim mieczem i w butach z ostrogami, pochlebca natrętny, do wszystkiego gotów za pieniądze. Rola ta od 1650 roku była dziedziczną w familii Pirron'ów aż do 1735, w którym zjawił się Préville, król wszystkich „Kryspinów.“ Groteski komiczne były to dawne „Misteryje,“ które najdłużej egzystowały w Hiszpanii. Owe „Antos Sacramentales,“ są non plus ultra śmieszności, jako mięszanina świętości z profanacyją. Aniołowie i dyjabły, mędrcy i błazny ukazują się tam naprzemian. Nie tak dawno jeszcze widzieć można było taką np. groteskę, w której Chrystus wstępuje jako kandydat do zakonn Ś-go Jakóba. Rycerze zgromadzają się na radę, głosują, i w końcu odmawiają przyjęcia z powodu, że ojciec kandy-

data był tylko cieślą, a matka szwaczką. W pięknej „Misteryi“ musiało być koniecznie czterech dyjabłów, zkąd powstało przysłowie: „faire le diable à quatre (grać dyjabła we czterech). Owe średniowieczne dyjabły były to sobie łobuzy, figlarze całkiem różni od dyjabłów dogmatycznych, i pomagali tylko ludziom do figlów i przepędzenia wesoło czasu, jak dziś karty i wesołe zebrania. W sztuczce Schaubech'a „Pani Jute“ z 1480 roku występuje aż ośmiu dyjabłów i babka ich „Lilis.“ W innej staroniemieckiej farsie, przedstawianej podczas ostatków, Adam klęczy przed Stwórcą, modląc się o tę łaskę, żeby został stworzonym. Farsy w dnie świąteczne chrześcijan, przypominające dawne Saturnalia, wpadły też w groteskę. Naprzykład sławne święto głupców, obchodzone w nowy rok lub w dzień niewiniątek, w które cały kler w kościele katedralnym obierał biskupa błaznów i wyświęcano go ze wszystkimi zwykłymi w tych razach ceremonijami, ubierano go potem w kompletny strój kościelny i taki nowoobrany biskup udzielał zaraz błogosławieństwa przytomnym. W opuszczonych kościołach obierano Papieża błaznów, tańczono w maskach na chórze, śpiewano rozpustne śpiewki, grano w kości na ołtarzu, jakby za czasów sanculotów. Najwięcej było tej swawoli we Francyi, ale zdarzało się i gdzieindziej, nawet w Rzymie. Jako pamiątki tych wybryków, pozostał jeszcze gdzieniegdzie zwyczaj uderzania się nawzajem gałązkami jałowcu lub innych drzew iglastych. Słynną też była groteska czyli tak zwane ośle święto na pamiątkę ucieczki do Egiptu. Ksiądz, zamiast błogosławieństwa, zaryczał trzykrotnie udając głos osła; przytomni zebrani wtórowali mu jak tylko który mógł, a jeśli przytem prawdziwy osioł, stojący przy ołtarzu, odezwał się swoim naturalnym głosem, uciecha była kompletna. Tak weszło w zwyczaj mięszać rzeczy święte z profanacyjnemi, że w jednym z paryzkich kościołów słowo „Alleluja,“ którego się nie używa od ostatków aż do Wielkiej nocy, wypisywano na bąku drewnianym i za pomocą bicza wypędzano za drzwi kościoła. Kanonik „Bonteille“ z miasta Evreux umierając w roku 1270, nie uważał za złe zrobić zapis na odprawianie za jego duszę mszy żałobnej, w czasie której miał być na chórze rozciągnięty całun i na nim ustawione butelki z winem, które śpiewający na chórze mieli wychylać za jego zdrowie; gdy wypróżniono jedne butelki, zastąpiono je drugiemi, aż póki śpiewacy nie legli martwi na wzór hojnego legataryjusza. Słynna maskarada w święto Bożego Ciała trwała w Aix jeszcze długi czas po reformacyi. Był tam król zapewne Herod, którego dwunastu dyjabłów kłóło widłami, chociaż się im na próżno opędzał swoim berłem; byli aniołowie i dzieci, mające pewnie wyobrażać dusze, które ci aniołowie strzegli; dalej ukrywał się Mojżesz, wielcy kapłani i żydzi ze złotym cielcem; trzej królowie ze wschodu z wiodącą ich gwiazdą; Herod i dzieci Betleemskie; Symeon i Jan Chrzciciel; Chrystus z apostołami. Wszystko to tańczyło, skakało, śpiewało, aż w końcu przychodziła śmierć, okryta całunem, z klepsydrą na głowie i kosą w ręku, i rozpędzała zgromadzenie. Ta maskarada ukazywała się rok rocznie w Aix jeszcze po rewolucyi; w Marsylii zaś odbywała się procesyja świętej Magdaleny, którą to pokutnicę przedstawiała jedna z najpiękniejszych dziewcząt, do połowy zupełnie obnażona, okryta a raczej ocieniona tylko długiemi włosami, później owinięta grubem płótnem, jak zwykle malarze przedstawiają te święte pokutnice na obrazach. Te pokutnice jednak dawały pochop do jeszcze daleko większych grzechów. Była tam też przedwieczna ucieczka do Egiptu, w której rolę Józefa odgrywali błazny. Do postnych zwyczajów w Niemczech należało bieganie w maskach po ulicach Norymbergi, co było ogromną uciechą dla wszystkich, ale dla wielu nadużyć zabronionem zostało w roku 1538. Z książek zachowanych w niektórych domach, i mieszczących wzory tych masek z nazwiskami tych, co je nosili, dowiadujemy się, że tylko niektóre bractwa miały przywilej do tego, a ci, co

ich zastępować chcieli, musieli im płacić haracz od sześciu do dwudziestu guldenów. W wielu miejscowościach przedstawiano też całą mękę Pańską, przyczem nieraz zabawne zdarzały się epizody; i tak w Bawaryi w roku 1770 pewien przedstawiający Chrystusa na krzyżu zamiast powiedzieć: „Pragnę," zawołał: „Dajcie mi pić," a gdy stojący pod krzyżem jeden ze znajomych szepnął mu, że się źle odezwał, rozgniewany krzyknął głośno: „Milcz, błaźnie, ty przecież nie grasz ze mną." Jako pamiątka po tych farsach religijnych, pozostały dotąd karnawałowe ulubione maskarady, a prawdopodobnie takie figle na 12 Kwietnia, które szczęściem trwają tylko dzień jeden i ograniczają się na famiijnych kółkach. W średniowiecznych czasach, na święta dworskie, wjazdy królów i t. p. uroczystości, urządzano też różne „Misterje." Na weselu księcia Karola Śmiałego z Małgorzatą angielską wkroczył najprzód do sali nosorożec, niosący na grzbiecie lamparta, który w jednej łapie trzymał angielski herb na tarczy, a w drugiej kwiat, zwany margeritą: za nosorożcem wszedł lew, na którym siedziała karlica, przebrana za pasterkę, odśpiewała piekną pieśń na cześć nowożeńców; dalej szedł dromader, na którym siedzący saracen, wypuścił mnóstwo ptaków najrozmaitszego gatunku. Czterech dzików dęło w trąby; trzy kozy i jeden kozioł dawały też koncert, jak umiały, czterech wilków piszczało na fletach, czterech osłów odryczało wielkie rondo, a cztery małpy tańcowały. Potem ukazało się dwóch olbrzymów, ciągnących wieloryba, który w miejsce oczów miał wielkie zwierciadła; z paszczy jego wyskoczyły dwie syreny i dwunastu wodników, którzy rozpoczęli tany z syrenami po kolei, a w końcu przez zazdrość pokłócili się i pobili; wtedy olbrzymi zagnali całą tę bandę napowrót w brzuch wieloryba i wyjechali na nim. Takie wspaniałości nazywały się „Entremets." Przy uczcie posługiwano na koniach, a z pasztetów wyskakiwały karły i przemawiały do nowożeńców. Później zamiast misteryi o tekście religijnym, przedstawiano sceny mitologiczne i alegoryczne, ale i te nie były o wiele lepsze. Gdy królowa angielska Elżbieta raczyła odwiedzić jednego ze swoich dygnitarzy, wyszły na jej powitanie Penaty; Merkury wprowadził je do jej pokojów, a przy stole różne pieczywo i ciasta wyobrażały przemiany Owidijusza. W ogrodzie na stawie pływało pełno dryjad i trytonów, z za krzewów ukazywali się paziowie przebrani za nimfy leśne, a po trawnikach pląsali satyrzy. — Przeminął czas wszystkich takich grotesko-komicznych uroczystości, ale maski przechowały się wszędzie i nietylko we Włoszech dają się widzieć podczas świąt różnych; widziemy je zawsze, bo któż na świecie nie nosi maski? Cała sztuka na tem, aby ją umieć nosić dobrze; bo kto nie zna tej sztuki, ciężko mu idzie na tym świecie, i szczęśliwym się czuje, gdy ją raz zdjąć może na dobre, udając się na wieczny spoczynek.

Groźba.

* Subjekt pewnego cyrulika tyle był niezręcznym, iż wyrwał przybyłemu po pomoc zdrowy, zamiast słabego zęba — jednak po chwili wyrwał i słaby ząb, na co przybyły mocno się użalał, nie skąpiąc wyrzutów. „Cicho pan bądź," — rzekł subjekt, „i wynoś się prędzej, żeby mój pryncypał nie nadszedł i nie zobaczył, bo byś musiał za wyrwanie dwóch zębów zapłacić."

Humorysta Warszawski.

Grzechy

* „Nie, nie, nigdy nie uwierzę, żeby tak piękne grzechy miały być śmiertelnemi," — mówiła młoda i pobożna grzesznica.

Schiller.

* Młoda para narzeczonych była w przededniu ślubu u spowiedzi. Narzeczony uwinął się prędko ze swymi grzechami, zaś narzeczona całą godzinę u konfessyjonału spędziła. Gdy po otrzymaniu rozgrzeszenia chciała śpieszyć

w objęcia najdroższego, ten odtrącił ją z oburzeniem, mówiąc:

— Nigdy, przenigdy nie odważę się wziąść za żonę kobietę, która całej godziny do wyznania swych grzechów potrzebuje.

Grzeczność.

* Trudno jest bardzo w Ameryce przyzwyczajać sługę do oznak poszanowania, jakie od nich w Europie odbierać przywykliśmy. Na ten temat opowiadają masę komicznych zajść.

Raz naprzykład powien pan w Bostonie najął tragarza, z którego pod każdym względem był zadowolony. Jedno tylko miał mu do zarzucenia, że wchodząc do pokoju, nigdy nie zdejmował kapelusza.

— Janie! — rzekł mu raz — uważam, że nie zdejmujesz kapelusza, wchodząc do mego pokoju.

— Proszę pana, jako obywatel wolnej Ameryki, mam prawo go nie zdjąć.

— Ani słowa, masz prawo.

— Więc jeżeli tak jest, po co miałbym go zdejmować?

Trudno było na takie oświadczenie znaleźć odpowiedź; nasz dżentelman zmilczał dyplomatycznie, a po chwili rzekł:

— Janie, co zażądasz miesięcznie za zdjęcie kapelusza, za każdym razem, jak się znajdziesz w mojej obecności?

— Proszę pana, pomyślę nad tem.

— Pomyśl i daj mi jutro odpowiedź.

Jutro nadeszło.

— I cóż? — spytał pan — Co mam ci zapłacić za zdjęcie kapelusza?

— Dolara na miesiąc.

— To dobrze, zgadzam się. Od dziś stajesz się grzecznym człowiekiem, a ja ci za twoją grzeczność dolara miesięcznie zapłacić jestem obowiązany.

* Karol XII zapomniał raz po pijanemu, o szacunku, jaki winien był swojej matce, a zasmucona tem królowa, oddaliła się do swoich pokoi, z których przez kilka dni wcale nie wyszła. Kiedy król dowiedział się nareszcie od swoich dworzan o przyczynie nieobecności matczynej, nalał sobie szklankę wina, poszedł z nią do królowej i rzekł: „Dopiero co dowiedziałem się, żem po pijanemu uchybił Twojemu majestatowi, droga matko, proszę więc o przebaczenie, a na dowód, że chcę unikać nadal takiego błędu, piję za twoje zdrowie ostatnią szklankę wina w mem życiu!

Dotrzymał król solennie danego przyrzeczenia i już do śmierci nie miał kropli wina w ustach.

* Nadzwyczaj grzeczny młodzieniec, został raz w towarzystwie zapytany przez pewną damę, czy w razie jej śmierci, przyjdzie na jej pogrzeb.

— Ach! z całą przyjemnością — odrzekł grzeczny młodzian.

* Żaden naród nie dorówna w grzeczności Persom. Kiedy w roku 1808 przybyło do Persyi poselstwo francuzkie, znakomity Pers przyszedł do posła z przeproszeniem za brzydką pogodę, na jaką właśnie trafili.

* Ktoś grzeczny napisał na końcu listu: „Wybacz, że z powodu nieznośnego upału piszę do ciebie bez kamizelki.

* Duklos, kąpiąc się w Sekwannie, spostrzegł na brzegu rozbiegane konie, przewracający się powóz i wypadającą zeń damę.. Coprędzej wyskoczył z wody, pobiegł nago na miejsce wypadku, podniósł przerażoną kobietę, i kłaniając się z wdziękiem, przepraszał, że nie zdążył włożyć krawata!..

* U prezesa izby handlowej kazał się zameldować dnia pewnego Amerykanin. Został przyjęty i wszedł do gabinetu.

Cudzoziemiec (kłaniając się). „Nazywam się Hope, naczelnik domu handlowego Hope and Williams w New-Yorku.

Prezes. „Bardzo mi przyjemnie, chciej pan zająć miejsce, panie Hope.“

Cudzoziemiec. „Tak jak mnie pan widzisz, panie prezesie, rozporządzam sumą trzech milijonów dolarów “

Prezes. „O, bardzo mi miło, chciej zająć dwa miejsca, panie Hope.

Na wieczorze u księżnej Maino bawiono się w pytania i odpowiedzi. Chodziło głównie o to, ażeby dowcipnie zaznaczać różnicę i podobieństwo rozmaitych przedmiotów. Księżna zwróciła się do kardynała Polignac'a z takiem pytaniem:

— Jaka zachodzi różnica pomiędzy mną i zegarkiem?

Kardynał odrzekł:

— Przeznaczeniem zegarka jest przypominać ludziom o upływających godzinach, w pani zaś towarzystwie zapomina się o tem, że czas istnieje.

Grzeczność i grubijaństwo.

* W dawnych, nieokrzesanych wiekach, obyczaje były naturalne, proste, surowe, ale prawdą tchnące; podobnie jak u naszych chłopów, lub pośród furmanów, przekupniów i tragarzy po miastach. Dziś jeszcze zdarza się, że przełożeni przezywają podwładnych swoich *wołami* i *osłami,* nie uważając w tem nic złego. Nie miała też pewnie złej myśli ta chłopka, która umierającemu mężowi krzyknęła nad uchem: „Jasiek! czy ty już zamierasz? czekaj, bo ci się mam o coś spytać.“ Nie myślał też być niegrzecznym ten parobek, który gdy mu pan wyrzucał, że kupił chude świnie, odpowiedział, tłomacząc się: „Nie mogłem znaleźć ani jednej, żeby choć taka była jak pan “ Z czasem rozum nauczył niższych grzeczności względem wyższych, chociażby często mieli racyę być dla nich niegrzecznymi. Człowiek rozsądny, gdy czuje słuszność po swojej stronie, będzie zawsze umiarkowany i grzeczny; przeciwnie, nierozsądny, gdy niema racyi, staje się tembardziej gwałtownym i grubijańskim, rzuca się na wszystkich z obelgami i uderzeniami jak Samson z oślą szczęką. Z postępem cywilizacyi nastały sztywne, długie ceremonije. W Chinach i w wielu wschodnich państwach szczególniej, było wiele ceremonii i pokłonów bez końca, mianowicie przy stole, a najczęściej jedzenie wystygło zupełnie, zanim wreszcie wszyscy zasiedli. Zdaje się, że sama natura obdarzyła tą skłonnością do grzeczności i komplementów nie tylko ludzi, ale i inne stworzenia; gołąb grucha często i długo przy swej gołębicy; psy obwąchują się wzajemnie przy spotkaniu; a mały piesek, spotkawszy wielkiego brytana, nieomieszka pokręcić ogonem i usunąć mu się z drogi z uszanowaniem. Obejście towarzyskie brały miasta stołeczne od dworów, mniejsze zaś miasta zapatrywały się znów na stolice. Grzeczność wszakże często jest zdawkową monetą, pokrywającą nieraz nieprzychylne usposobienie, tak jak prawo bywa użyte przeciw sprawiedliwości. Gdy wysoko położone figury kłaniają się grzecznie, niżej podług nich stojącym indywiduom, można wtedy być pewnym, że albo są ich dłużnikami, albo nimi zostać zamierzają, albo mają proces niepewny, lub coś podobnego na sercu. Niezaprzeczenie jednak wyższa ogłada i grzeczność towarzyska ma urok pociągający; jest ona też pewną sztuką, a kto ją chce posiąść. musi bywać wiele w dobrych towarzystwach, do czego osoby wyższego stanu mają naturalnie więcej czasu. Syn natury ma się tak do człowieka światowego, jak zgrzebne chłopskie koszule do tych, które hrabia Bussy przywiózł z Indyi dla pani Pompadour, a z których każda mieściła się w najmniejszej tabakierce. Po pięknej powierzchowności, nic tak dobrze nie uprzedza względem nieznajomego, jak jego grzeczność; przymiot ten jest nader ważnym w stosunkach z ludźmi; uprzyjemnia towarzyskie pożycie i chroni od gwałtownych wybuchów. Jeszcze wyżej stawia człowieka dar przyjemnej i zajmującej rozmowy, niezależnie od otoczenia; chociażby w najgorzej mięszanem towarzystwie, człowiek grzeczny a rozmowny, potrafi zachować zawsze spokój i swobodę

umysłu nawet w obec ludzi źle wychowanych i niegrzecznych, ale na to trzeba nieraz być uzbrojonym w pewną dozę zimnej krwi i zaparcia się siebie. Święte księgi uczą nas, że „cześć należy się czcigodnym,“ ale w obecnych czasach wszyscy wymagają komplementów a najwięcej ci, którzy najmniej są godni szacunku, a sam wyraz łaciński „*Complementum*“ znaczy właściwie „dopełnienie“ czyli zastąpienie jakiegoś braku. W obec szafowania temi pięknemi słówkami zmniejsza się ubieganie za prawdziwą godnością i cnotami naszych ojców — takiemi jak: uczciwość, prawda i otwartość, i to jest odwrotną, ujemną stroną wprowadzonej zbytniej grzeczności, która jest ważniejszą aniżeli jej strona dodatnia. Prawdziwy kompletny światowiec i dworak musi być zupełnym jezuitą, tak w myślach, słowach i uczynkach, jak i w całej swej postawie; dlatego też człowiek prostego ducha i serca, również prosty w obejściu i ruchach przepadł na dworze i na wykwintnych salonach, gdzie trzeba być gładkim i śliskim jak tamtejsze woskowane posadzki, które też uczą ostrożności, bo człowiek przywykły chodzić jedynie po prostych deskach, upaść na nich musi. Konwencyjonalna grzeczność zasadza się na tem, aby o niczem nie wyrażać się zbyt stanowczo, przy żadnej idei się nie upierać, nikomu nie kontrować, nikomu nie przerywać, umieć dobrze słuchać, bo jak mówi francuz: *bien écouter c'est presque repondre* (Dobrze słuchać to prawie to samo, co dobrze odpowiadać). Damom trzeba też umieć zawsze coś miłego powiedzieć, w rączki pocałować, stać z odkrytą głową i schyloną postawą — słowem zachowywać się jak jaki żebrak; taka grzeczność wyzuwa z mężkości i samodzielności, nie każdy zatem zdobyć się na nią może. Komplementy są jak moneta, która nigdy niema swej nominalnej wartości; jak złoto i srebro pokrywają miedź i ołów, tak słowa: ,,Uniżony sługa“ pokrywa często: „Idź do licha“ lub t. p. życzenie. Pieniędzmi kupić można wiele, jeżeli nie wszystko; ten sam przywilej, chociaż o mniejszym może stopniu, mają komplementy, i kto potrafi nosić dobrze lisią skórę, może być pewnym dobrego przyjęcia wszędzie. Sztuka dyplomacyi salonowej i komplementów, którą się dawniej spotykało jedynie na dworach, weszła dziś w obyczaj średniej klassy. Przysłowie naucza, że „na grzeczności nikt nie traci,“ ale nie wszyscy postępują w myśl tego. Pewien znany lichwiarz, spotkawszy kilku oficerów, którzy mieli sposobność go poznać, nie uważał za potrzebne ukłonić się im; na co powiedział mu jeden z nich: „Nie umiesz pan jeszcze należycie obrachować swego interesu; teraz naprzykład za jeden kapelusz zyskałbyś ich kilka;“ a pewien gaskończyk, gdy uszedł śmierci schyliwszy się przed kulą armatnią, która za to zmiotła stojącego za za nim towarzysza, rzekł: „A no, czy nie prawda, że nigdy się na grzeczności nie traci“. Minęły te czasy wielkiej grzeczności niższych dla wyższych; gdy ludzie odkrywali głowy z daleka na sam widok pałasza, a gdy pewien hrabia powiedział raz swemu sekretarzowi: „Śniłeś mi się tej nocy,“ ten odpowiedział zmięszany: „Przepraszam najmocniej jaśnie pana hrabiego.“ „Za co?“ zapytał hrabia zdziwiony. „Było to moją powinnością śnić o jego wysokości,“ dodał w pokorze ducha sekretarz. Wiele śmieszności wypływało z takiego zapatrywania się na rzeczy, tak w czynach jak i wyrażeniach. Pewien pocztmejster, gdy mu dano znać, że zajechał „sam książe“, nie mając już czasu ubrać się kompletnie, zrucił perkalowy szlafrok a włożył jedwabny. Jakiś ekspedytor, wysyłając księciu kilka osłów, uważał za brak uszanowania należnego tak wysokiej osobie wypisać te stworzenia właściwą ich nazwą i zapisał je jako „wschodnie zwierzęta.“ Król któryś pytał pewnego razu wieśniaka o stan jego obory, tenże odpowiedział: „Najjaśniejszy panie! mam 40 sztuk rogatych dobrze wyglądających, do usług jego królewskiej mości.“ Inny pisząc do córki swej, służącej w szlacheckim dworze, zaadresował: „Do mojej kochanej córki Anny, dziewki przy

ysoko szlacheckiem bydle". Lekarz książęcy ie śmiał inaczej spytać wysokiego pacyjenta skutek zadanego lekarstwa, jak w tych słoach: „Czy wasza książęca mość raczyła się ɔcić?" lub t. p. Zdejmowaniom kapelusza ie było końca, złośliwie też ktoś się wyrał o jednym ze zbyt ugrzecznionych: „Nie ziw że N. N. ciągle głowę swą odkrywa, bo ustemu garnkowi zbyteczna pokrywa." Poziękowania za przyjęcia lub inne t. p. grzezności, często o wiele przenosiły wartość rzezy. Niektórzy uważali za obowiązek grzecznoɔi, nie mówić o nogach, pończochach, trzewiach, bez dodania: „za pozwoleniem". Wszystie te obowiązujące niby grzeczności, stawały ię nieraz prawdziwym ciężarem, miało to niby przyjemnić i zabawiać towarzystwo ale najzęściej cel ten był chybiony, bo dla wielu było ɔ uciążliwie nudnem; nie jeden wolał dla unimienia tych ceremonii, pozostać wygodnie choiażby samotnie w domu. W wielu miejscach atrzymywano znów gości przemocą, przez zbyek grzeczności; chowano im kapelusze i płaszze, pojono służących, zdejmowano koła u powozu. Persowie przez grzeczność nie mówią iigdy: „on umarł" tylko: „darował nam resztę at, jakie jeszcze mógł przeżyć." Wszakże przeszli ich w grzeczności mieszkańcy niektórych wielkich miast w dawniejszych czasach: w jednem z nich na przybycie Karola V polecono oblec wisielców w czyste koszule. Jedna z dam tegoż miasta, chcąc grzecznie wyrazić żonie kondolencyją nad śmiercią jej męża, rzekła: „Żałuję mocno, że mąż pani tak wcześnie poszedł do nieba." Ta przesadna grzeczność w wyrażeniach zachowała się do naszych czasów. „Uniżony sługa", „Całuję rączki", „Ścielę się do stópek" są jeszcze na porządku dziennym. Kto chce ocenić grzeczność jak się należy, musi się zapoznać i z grubijaństwem. Chłopów nie można nazwać niegrzecznymi, są takimi, jak ich natura stworzyła, jak zwierzęta i ziemiopłody, którcmi są otoczeni; nie należą oni do ludzi ucywilizowanych, a grzeczność i niegrzeczność uwydatnia się najwięcej pomiędzy nierównymi, t. j. wyższymi i niższymi. W miastach dorożkarze, tragarze, stróże i t. p. często bywają zelżeni, co ich pobudza do grubijaństwa. Niektóre urzędy, mianowicie na poczcie i w policyi, robią urzędników zgryźliwemi, a gdy się przyjdzie do nich z interesem jakim nie w porę, trzeba im przebaczyć, gdy sobie pozwolą być niegrzecznymi w odpowiedziach, ale nie można uniewinnić panów subjektów, którzy się jednak często dopuszczają niegrzeczności, niezgodnej nawet z ich własnym interesem. Zbytnia żywość młodzieży a ociężałość starych, bywają też często przyczyną zaniedbania należnej grzeczności; wpływa też na to złe i niedostateczne pożywienie, jak niemniej zajęcie, przeciążenie pracą, znużenie fizyczne i umysłowe. Często usłyszeć można grubijańskie słowo od rzemieślników, zatrudnionych robotą, gdy się im kto naprzykrza banalnemi pytaniami. Gdy kto schwyci koło maszyny w biegu i narazi się tym sposobem na zmiażdżenie ręki, kto temu będzie winien, maszyna czy ręka? Po większej też części jesteśmy skłonniejsi do grzeczności rano niż wieczór; podług mnie gdy tragarz, uginający się pod ciężarem, woła na przechodniów: „Z drogi!" jest wtedy daleko grzeczniejszym aniżeli próżniak ze swojem czczem: „Upadam do nóg". Grubijanie mają też tę dobrą stronę, że możemy się od nich dowiedzieć nagiej prawdy, przez co wiemy już, czego się trzymać i jak z nimi wychodzić. Dyjament oszlifowany staje się czystszy i jasny, ale ludzie przeciwnie, okrzesanie robi ich bardziej mętnymi i nieprzejrzystymi. Niekiedy zdarza się, że któryś z możnych, zaraża przykładem niegrzeczności kraj cały; czasem też bywa ktoś już od urodzenia grubijaninem, i prawie nie przystoi mu być grzecznym; niektórzy mają już taką fizyjonomiję, że ich drudzy zdaleka omijają, a grzeczność ich podobna jest do grzeczności owego jegomości, który się uniewinnił z danego policzka, mówiąc: „Powiedziałem przecież wprzód za pozwoleniem." Wszyscy grubijanie

są podobni do Kaina, który był niegrzecznym nie tylko względem brata Abla ale także względem samego Boga, gdy odpowiedział: „Czyż ja jestem stróżem mego brata, żebym go pilnował?“ Przysłowie mówi, że „grube worki nie mogą być szyte jedwabiem;“ najgorsze jednak grubijaństwa są, te które się popełniają *ex officio.* Dwa razy wciągu życia jesteśmy zwykle niegrzecznymi. Najprzód w czasie pierwszej młodości, przez żywość i nieświadomość tego, o ile grzeczność potrzebną jest w życiu towarzyskiem (młodość też uważa za cnotę zamiłowanie prawdy i otwartość, to właśnie, co doświadczenie nazywa niegrzecznością; dla tego też widzimy tyle wybryków w świecie burszów); następnie o wiele później, robi nas niegrzecznymi ociężałość starości, chorobliwość i to przeświadczenie, że nie na długo już potrzebujemy tego świata, i że on też już jest przesycony nami; do pożałowania to jest naprawdę, że najlepsi ludzie bywają często szorstcy na pozór na podobieństwo owego: *Bourru bienfaisant.* Im morze jest głębsze, tem bardziej strome ma brzegi. Kto jednak poddaje się coraz więcej takiemu usposobieniu, najlepiej uczyni, gdy na wzór Jana Jakóba Rousseau żyć będzie jak pustelnik niezadowolony ze świata, w którymby chciał zrobić przewrót podług swego „widzi mi się.“ Jeśli jesteście grzecznymi, znoście niegrzecznych.

Weber. (p. str. 4).

Grzegorzowa.

Za mych czasów była w modzie
Pani Grzegorzowa.
Lat dwadzieścia w jej gospodzie
Szumiała mi głowa.
Jakie tam się pieśni tworzy,
Jak wesołe żarty!
Tam niejeden chłopiec hoży
Kredyt miał otwarty.
Tam w zabawie coraz nowej
Upływało życie.
Och! u pani Grzegorzowej
Pito wyśmienicie.
Miała męża wdówka hoża,
Co i dziś go chwali,
Choć nieboszczyka Grzegorza
Wcaleśmy nie znali.
Zresztą: szkoda i nie szkoda!
Mówiliśmy do niej,
Komu sama szklankę poda,
Jak wsiadł na sto koni!
Trudno ustrzedz się obmowy,
Więc szeptano skrycie...
Och! u pani Grzegorzowej
Pito wyśmienicie!
Dotąd głośny śmiech jej słyszę
Z serdecznem wylaniem,
Aż się łono jej kołysze
I zapinka na niem.
A to łono takie skromne,
Każdego zachwyci,
Nigdy, nigdy nie zapomnę
Jej kształtnej kibici!
Nie żal płacić grosz gotowy
Za jadło, wypicie.
Och! u pani Grzegorzowej
Pito wyśmienicie!
Nieraz czyjaś żona wbieży
Przykrem słówkiem dotnie:
Nieraz za nią dwóch szermierzy
Odbywało grzmotnię.
A gdy czasem straż się wmyka,
By pogodzić swary,
Ona kryła zapaśnika
Do swojej kotary.
Każdy był tu jak domowy,
Każdy miał ukrycie.
Och! u pani Grzegorzowej
Pito wyśmienicie!
Kiedy była moja pora,
Że jej względy dzielę,
Piliż zrana do wieczora
Moi przyjaciele!
Bez zazdrości buchającej
Gniewem i hałasem.

Pozwalała do służącej
Umizgać się czasem.
Było wspólnie jak ze zmowy
Pobłażliwe życie.
Och! u pani Grzegorzowej
Pito wyśmienicie!
Ale cóż się trwale chowa?
Przeszły lata młode,
I zamknęła Grzegorzowa
Serce i gospodę.
A jej goście, jak sieroty,
Każdy stratę głosi,
Przypomina czas swój złoty
U dobrej gosposi.
Żal po domu młodej wdowy
I dziś posłyszycie;
Och! u pani Grzegorzowej
Pito wyśmienicie!
Beranger (tłomacz. *Syrokomla*).

Grzesznika sentencyja.

Święty, kto walcząc z pokusą
Płaszcz Putyfarze zostawił.
Lecz—ach! kto uległ pokusie...
Ten się przyjemniej zabawił.

Grzywki precz!

I modne panie wszystkie z Paryża,
I nasze wiejskie pulchniutkie dziewki,
Wszystkie krzyknęły już jednogłośnie:
Precz grzywki!'.

Że naszym dziewkom łatwo to wyrzec,
I że się także na modę kuszą,
Dziwne doprawdy!.. Gdyż grzywki swoje
Obcinać muszą...

Lecz naszym paniom przyjdzie z łatwością
Mody wybryki zdjąć owe dawne,
Gdyż wszystkie prawie cudne ozdoby
Mają... przyprawne...

Dobrze jednakże, dzięki ci, modo,
Że panie chodzić będą inaczej,
Do kobiet więcej będą podobne,
A mniej... do klaczy...

Nie będziem mogli teraz powiedzieć
Ani w Warszawie, ni nigdzie zgoła,
Że są kobiety jeszcze na świecie
Takie... bez czoła'..
Alocsek.

Guano.

* W pewnej karczmie wiejskiej rozpowiadano cuda o nowym ptasim nawozie, zwanym guano. Naraz odezwał się główny obrońca tego użyzniającego środka: „Dość wam powiedzieć, że na całe pole wystarczy tyle guana, ile go zmieścisz w swojej kieszeni...“ „Tak, a w drugą zbierzesz wszystko żyto z tego pola“—odpowiedział dowcipnie któryś z chłopków.

Guise.

* Książe Franciszek de Guise, który prowadził wojnę z protestantami, zawiadomiony został, że jednego z nich schwytano w obozie, a ponieważ podejrzywano, że czyhał na życie księcia, stawiono go przed sądem. Przy badaniu protestant przyznał się do zamiaru odebrania księciu życia. „Czy uczyniłem ci jaką krzywdę?“ spytał go de Guise. „Nie“, odpowiedział zapaleniec, „jedną miałem tylko przyczynę mego kroku, że książe jesteś zagorzałym przeciwnikiem mojej religii.“ „Dobrze, twoja religija nakazała ci mnie zamordować, moja każe mi cię uwolnić. Idź swobodnie.“

Gulse.

* Jan Müller opowiada o jenerale Gulse, że z sześcioma tysiącami Hessów pobił 13,000 Francuzów. Na pytanie króla Fryderyka, jak to zrobił, odpowiedział Gulse: „To łatwo poszło, proszę Waszego Majestatu, powiedziałem im: Dzieci! trzymajcie się dobrze, albo weźmie was dyjabeł.“ „No! i to wystarczyło?“ „Tak, bo byli to Hessi, sami Hessi, a znają oni dobrze swego jenerała“. Król posłał mu złotą tabakierkę. „No, co prawda król mógłby mi ją sam wręczyć“, powiedział, stary żołnierz,

a Fryderyk kazał go do siebie zawołać i uścisnął go serdecznie. „Niech mnie dyjabeł weźmie“, zawołał łkając Gulse, „jeśli Jego Majestat nie jest też wielkim jenerałem! jak kiedy razem wyruszymy, muszą moi hessi wypełnić swoją powinność, a Wasza Wysokość ze swymi Prusakami też swojej dokona!“

Gurowski.

* *Gurowski marsz. nadw. litewski.*

Ten co w sejmie burzył, mącił,
Żeby za to co wykręcił,
Tak się wreszcie zbałamucił,
Wziął dukaty i powrócił.
Czemu? nie wiem, może z cnoty?
Fe! on lubi worek złoty.
Pewnie z wstydu? może! ale?
On się zna z nim poufale,
Najpewniej, że za tę laskę,
Chciał swą podłość przykryć w maskę.

J. I. Kraszewski. (p. str. 350).

Gusta.

* Moje panie, czyście białe czy czarne, wszystkie jednak, jako zacne córy Ewy, macie szczególne skłonności i dziwaczne gusta.

Napoleon I.

* *Przy studni.*

On. Czy panna Maryjanna lubi fijołki?

Ona. Bardzo, ale wolę szerdelki.

Świąteczny.

* *Różnica gustu.*

Porucznik Sztrudelwic: „No, kolego! powiedz, co ci się najlepiej podobało z uroczystości muzycznej w Duseldorfie?“

Porucznik Szmerwic. „Mnie?.. Córka radcy handlowego Sznaphana.“

Gutenberg.

Największy dobroczyńca ludzkości, który też posiadł skutkiem tego największą ilość wrogów. Okazał się bowiem nieświadomym heroldem hiobowych wieści po wszystkie czasy i twórcą zwierciadła ludzkich zdrożności. Są ludzie, którzy twierdzą, iż gdyby nie Gutenberg, świat nasz byłby najlepszym ze wszystkich światów. Znany jest fakt, iż jeden z najgłośniejszych ludzi, poświęcających się dla dobra swego kraju, corocznie robił ekskursyję do miasta rodzinnego twórcy druku, aby stanąwszy przed jego pomocnikiem, pokazać mu język, poczem z większym spokojem wracał do spraw publicznych. Z prawdziwą przyjemnością do Encyklopedyi naszej wnosimy to nazwisko niemieckie. Encyklopedyja Humoru bowiem Gutenbergowi zawdzięcza tyleż, co wszystkie pisma na świecie, to jest... wszystko.

Guwerner z dobrym tonem.

J. W-na mama (mówi do nowo przyjętego guwernera). — Wyobraź pan sobie, pański poprzednik wymierzał na mego Polcia jakieś plebejuszowskie kary — czy pan uwierzy, że mu kazał klęczyć w kącie pokoju, — spodziewam się że pan inaczej będziesz postępował z moim synem.

Nowy Guwerner. O! czyżbym ja był w stanie dziecko Jaśnie Wielmożnej Pani tak pospolitować. Nie! J. W. Pani! nie!... Jeżeli zachowanie się panicza wymagać będzie nagany, to w takim razie zagnę jego kartę wizytową i postawię w kącie, aby klęczała.

Guyot i Brytania.

* Są dwa przedmioty handlu znane wszystkim zgoła, codzienny o nich anons, jest to rzecz powszednia, jeden Guyot'owa przecudowna smoła, — drugi srebro Brytania pana Nelken z Wiednia.

Praktyka, co nam dziwne tajniki odsłania i ludzi nasze oczy cudów panoramą, dowiodła że cudowne sreberko Brytania i kapsułki Guyota, jedno i to samo.

Jak to było opowiem, jeśli łaska słuchać — żył sobie we Psiej-Wólce suchotnik ubogi, wypluł płuca i nie miał nieborak czem dmuchać, a już ledwie że ledwie wlókł za sobą nogi.

Chcąc sobie zrobić amplet i piękny i tani,— biedaczysko co na dzień nie mógł zjeść i wróbla, sprowadził sobie z Wiednia garnitur Brytanii, elegancki i piękny za pół ósma rubla.

Uradowany mocno takowym sprawunkiem, chciał natychmiast sprobować swoje cacka nowe, — zaczął jeść na Brytanii, lecz jakimś trafunkiem złamał w zębach i łyknął łyżeczki połowę.

Gwałt się zrobił i rejwach — zaraz po lekarza, rozeszła się wieść smutna między przyjacioły; lecz doktór rzekł:

— Mój panie, niech cię to nie zraża, bo połknięta łyżeczka zrobiona ze smoły. Nie sądzę, żeby mogła zepsuć co w żołądku,—owszem oczyści trochę płucowe kanały — a jeśli pragniesz zdrowie utrzymać w porządku, to zjedz zamiast Guyot'a ten garnitur cały.

Pacyjent swego doktora uścisnął za żebra, tak silnie, jak mógł biedny schorowany gruchot, i zjadł cały garnitur wiedeńskiego srebra i tym prostym sposobem pozbawił się suchot.

Sens moralny z powiastki jak na dłoni — jasny: nie wspierajcie blagierów, bo to rzecz nie warta, a jeśli chcecie smoły, to na ziemi własnej, dostaniecie jej z dziegciem po sześć groszy kwarta.

Świąteczny.

Guzdralska.

* *Panna Guzdralska.*

Kronika dawna podarta i licha,
W której niejednej kartki niedostaje,
Za Kazimierza napisana Mnicha,
Ale ja wnoszę z postrzeżeń pomniejszych,
Że nieskończenie za czasów późniejszych,
Następującą powieść nam podaje:
Pod Zieloną Dąbrową i blizko Łęczycy
Mieszkał szlachcic w przyjemnej bardzo okolicy.
Jak zwano miejsce, nadaremnie pytać,
Ciężko było bowiem czytać
W rękopiśmie, co długo gdy leżał w szkatule,
Strasznie pojadły go móle:
Jedynie ciągiem ślepień i ciężkiej roboty,
Przez te szkła, co stokrotnie zwiększają przedmioty,
Śledząc książeczkę zbutwiałą,
Odkryłem i wyznaję z rozkoszą niemałą,
Że ów szlachcic był Cześnikiem,
I miał nawet nadzieję być wkrótce Stolnikiem,
Że niezmiernie był bogaty,
Miał liczne włości i kosztowne szaty.
Lecz mniejsza o to, bo największą chlubą
Było dla niego, że miał piękną córę,
Obdarzoną w to wszystko przez hojną naturę.
Co nam niewiastę czyni powabną i lubą:
Była razem i wdzięczną i piękną i miłą,
Wszystko w niej serca wabiło,
Tak, że nie tylko z Łęczycy,
Ale z całej okolicy,
Co mówię, z kraju całego
Na odgłos cudu takiego
Zlatywała się młodzież: na pierwsze spojrzenie,
Wraz się zakochał, zakochał szalenie:
Nie dziw, mówi kronika, rzecz wcale nie rzadka,
Bo panna była równie rozsądna jak gładka.
Lecz choć pięknemi zbogacona dary,
Że nie masz pono człeka bez przywary,
Miała i ona błędek tak nie duży,
Iż rzekłbyś, że to pyłek na szkarłacie róży.
Mamże powiedzieć nawiasem,
Jaka to wada? oto kłóciła się z czasem:
Nie mogła pojąć, z jakiej to przyczyny,
Były dnie, noce, i były godziny:
Owszem mniemała, że ów czas odwieczny
Był tak dobry i tak grzeczny,
Iż przez wzgląd dla niej w dzień uczty lub rodzin
Mógł się zatrzymać kilkanaście godzin,
I stać na miejscu kamieniem.
Z tak wybornem uprzedzeniem,
W przewrotnym trybie pędziła swe życie:
Świt był u niej w południe, a północ o świcie.
Choć ją wszędzie proszono sadzano na przedzie
Zwykła zawsze na obiad zjeżdżać po obiedzie,
Na scenę, i na sztukę co pierwszy raz grano,
Zawsze przybyła, kiedy zasłonę spuszczano,
Na mszą nawet (choć wiemy, że w tem grzech śmiertelny)

Nigdy nie przyszła, aż drzwi zamknął dziad ko-
Ale, że ją rodzice niezmiernie lubili, [ścielny.
Nic nie mówili.
Przecież mówi kronika, to wieczne guzdranie
Musi być bardzo miłem, wdzięcznem niesłycha-
Nie zmniejszali się czciciele, [nie;
Było ich zawsze i hożych i wiele.
Większe nad innych umiał zjednać łaski
Pan Wojewodzic Kujawski,
Herbu Gozdawa, a herbów tych ludzie,
Mówi Paprocki, mają duże nosy,
Oczy wypukłe, kręcące się włosy,
Są wytrwali w każdym trudzie,
Bitni na wojnach, trochę zabobonni,
A nadewszystko do miłości skłonni.
Przymiotami i postawą
Był Wojewodzic prawdziwym Gozdawą;
Wielkich talentów w niczem nie naganny,
Po dość długich konkurach w zbyt szczęśliwej
Otrzymał słowo od panny [chwili,
I rodzice zezwolili.
Pełen szczęścia i radości,
Pełen najczulszej miłości,
Przed zapustami na cztery niedziele,
Jechał przygotowania czynić na wesele.
Utęsknionemu do swojej Maryny
Wiekami były i dni i godziny;
Skracał je czasem wzdychaniem,
Albo rozpamiętywaniem
Nad tysiącznemi jej wdzięki,
A nadewszystko nad białością ręki,
Przechodzącą kość słoniową.
Tysiąc i tysiąc zwykł powtarzać razy:
Piękna jest, śliczna nad wszystkie wyrazy;
Nieraz atoli przydał, z miną zasępioną:
Szkoda, że czasem raczy bywać roztargnioną.
Lecz to nie Maryny wina.
Nie ona, lecz czas nie wie, która jest godzina:
Wraz po weselu, wszystko inaczej się stanie,
Gdyż w każdym kącie i na każdej ścianie,
By zapomnienia ustrzedz się przywary,
Postawiam, pozawieszam zegarki, zegary.
W tych młoteczek bić będzie w dzwonek z srebra
Godziny i kwadranse, sekundy, minuty; [kuty
Nie sposób, by Maryna w takowym hałasie,
Mogła zapomnieć o czasie.
Ta myśl nadzieję szczęścia bardziej powię-
[kszyła.
Już się też i wyprawa weselna skończyła,
A gdy wszystko gotowem było należycie
Na senatorskie jak przystoi dziecię,
W pięknej, licznej komitywie,
Dworskich przyjaciół, blizkich koligatów:
A wszyscy od soboli, złota i bławatów:
Pan młody z zamku wyruszył szczęśliwie.
Porządek kawalkaty tak kronika znaczy:
Naprzód dwunastu jechało trębaczy,
Flamandzką okrytych szatą,
Juczno, suto i bogato.
Że Wojewodzic wśród ojczystych szyków,
Został rotmistrzem husarskiego znaku,
Przeto na czele całego orszaku
Szła chorągiew kopijników:
Sterczące z barków skrzydła, niecąc jasne
[strzały,
Z każdym krokiem srebrzyste dźwięki wydawały,
Zawieszone na plecach lampartowe skóry,
U paszcz ich białe zęby i ostre pazury
Na piersiach były zagięte;
Drżały w powietrzu proporce rozpięte:
U każdego koń dzielny, bogate siedzenie,
Wąs zawiesisty i Marsa spojrzenie:
Za nimi dosyć pozorny,
Hufiec Tatarów nadworny;
U wszystkich, na szerokich ramionach zwieszo-
Łuk i w kołczanie strzały nastrzępione. [ne,
Każdy w buchastej szacie
Jechał schylony na dzielnym bachmacie:
Za tymi do trzydziestu pachołków dorodnych,
Tyleż wiodło na ręku rumaków powodnych,
Zrodzone w Polsce albo znane światu
Z ziemi Arabskiej, lub nizin Eufratu,
Dziarskie, ledwie ich żywość rozhukaną
Mógł jeździec wstrzymać ręką zmordowaną:
Na powietrzu kopyta, żując wędzidła złociste,
Rozdętem nozdrzem iskry parchały ogniste.
Ubranie równie pyszne jak same rumaki:
Lśniły się turkusami sadzone kulbaki,

Tyftyk zwieszony do ziemi
Szyty był w liczne wzory perłami drogiemi;
Obok siedzenia tarcza umieszczona,
Na niej piękny buzdygan i szabla skrzywiona;
W rzędach drogie kamienie bez najmniejszej [skazy:
Rubiny i szafiry, szmaragdy, topazy
Blaskiem raziły oczy!
Dalej hufiec przyjaciół poważny, ochoczy,
W jedwabiach, aksamitach, wszystko znaczne [pany,
W ręku trzymały czekany;
Nakoniec sześć rumaków ciemno jabłkowatych,
W szorach złocisto bogatych,
Pańską kolebkę ciągnęło.
Było to chędogie dzieło:
Ośm złotych słupków w obszernej przestrzenie,
Wspierały aksamitne u góry sklepienie.
Siedział w pośrodku przecudnej urody
Jaśnie wielmożny pan młody.
Miał on na sobie szatę złotogłową,
I aksamitną ferezyją ponsową;
Na boku guzy roboty misternej,
Z szafirów i rubinów wielkości niezmiernej.
Lecz przechodziło pojęcie,
Samo ferezyi spięcie:
Był to karbunkuł jak gołębie jajo,
Jakiego dzisiaj królowie nie mają;
Ten takie rzucał płomienie,
Taki blask silny, że ludzkie spojrzenie
Znieść go nie mogło, każdy oczy zmruża...
Na głowie kołpak, przy nim kita duża.
Dwaj pokojowi, obadwa panicze,
Oba syny urzędnicze:
Jeden pan sędzic Grodzki,
Drugi chorążyc, pono Wyszogrodzki,
Wesołej miny i bystrego wzroku,
Z odkrytemi łebkami siedziały na boku;
Dworzanie, giermki i sługi,
Czynili za kolebką poczet dosyć długi.
Wszyscy w bogatych pasach,
Falendyszach lub atłasach.
Kończyły orszak poszóstne rydwany,
Każdy ciężko ładowany.
Wioząc dla panny dary wcale pańskie:
Śliczne perły Uryjańskie,
I łudząc oczy mile,
Zausznice, kanaki [1]), i drogie manile,
Widziano nadto między tylu dary,
Różnej wielkości zegary.
Kiedy tak Wojewodzic jedzie otoczony,
I pan Cześnik z swojej strony
Krząta się i z wielkiemi gotuje zachody
Wszystko, co trzeba na blizkie już gody:
Wystawują na kredens ogromne puhary,
Rostruchany, konewki i złociste czary,
Rżnięte miednice i nalewki ryte,
Drogiemi numizmami naokoło kryte,
Co mówię, cebry i wanny srebrzyste —
Wszystko chędogie i czyste.
Z dalekich włości sprowadzały bryki
Cietrzewie, sarny i dziki;
Sześciu kucharzy w szlafmycach na czele,
Siekli tłuste pulpety, drobne figatele,
Z wybornemi kondymenty,
Bobkowych liści i mięty.
Ale najwięcej było i pracy i biedy,
Około wystawienia wielkiej piramidy:
Ta cała lana z masy migdałowej,
Cała w skorupie cukrowej,
Na marcypanie ryś cudnej roboty,
Wystawiał nowożeńców herbowne klejnoty,
Jeden herb był Gozdawa, a drugi Rogala,
Obadwa Kupid pochodnią zapala,
Ciągiem stołu rozliczne kołacze, andruty,
I konfektów szereg suty.
Już okolnemi listy sproszone sąsiady,
Prałaci z kapituły i panowie rady,
A że pan Cześnik pragnął, by akt ten szczęśliwy,
Mógł się odprawić w sposób jak można uczciwy,
Pojechał do Skierniewic dość liczno i dwornie
Księcia Prymasa upraszać pokornie,
By się raczył w dom jego na wesele stawić
I młodą parę sam pobłogosławić.
Już się wszyscy zjechali: lecz panowie mili,
Wiecież, jak się tam wszyscy goście pomieścili?

---

[1]) Jeźli modny czytelnik nie zrozumie dawnych jakich wyrazów, niech się raczy udać do słownika P. Lindego. Przyp. Niemcewicza.

Bo choć na wiek ów Cześnik mieszkał dość [wspaniale,
Miał cztery komnat i do tańców salę,
Przecież dla tylu gości zbyt zda się to mało.
Powiem więc, jak to się w owych czasach działo:
Nam się to widzi rzeczą niepodobną,
Oto wtenczas sam prymas miał izbę osobną,
Dla innych gdzie się mieścić nie było kłopotem,
Wszyscy leżeli pokotem,
A co lepszego przewybornie spali.
Nakoniec szczęsnej chwili doczekali
Kochankowie nadobni: już para dobrana
Nazajutrz o godzinie jedenastej z rana
Stanąć miała do ślubu przed ołtarze święte.
Słodkiem uczuciem rodzice przejęte,
Sproszeni goście, krewni, przyjaciele,
Ławki zasiedli w kościele,
Sędziwy Prymas z duchowieństwem całem,
Z mitrą na głowie, w ręku z pastorałem
Zasiadł na tronie: zapalono świece,
Czekając wszyscy na oblubienicę.
A gdy czekają już blizko godzinę,
Posłał ojciec zapytać o zwłoki przyczynę.
Powrócił goniec z prośbą, by zaczekać trochę,
Że panna jedną włożyła pończochę,
I jest nadzieja, że w chwilę niedługą
Włoży i drugą.
Tymczasem młotek trzecią na zegarze głosi,
Gdy człek wysłany odpowiedź przynosi,
Że panna zapomniała, która jest godzina,
Ale że włosy już trefić zaczyna.
O piątej znowu goniec od hożej dziewicy:
Że tylko chce falbanę przyszyć do spódnicy,
Że po tem przyjdzie. Gdy latają gońce,
Już się też do zachodu nachyliło słońce,
Burzą się w panu młodym chucie niecierpliwe,
Już czczość wielką żołądka i zwijanie ckliwe
Czują zebrani goście, gdyż każdy od rana,
Wiedząc, jaka biesiada była zgotowana,
Że go wkrótce czekały pulpety, bekasy,
Nie zjadł kawałka chleba, ni nawet kiełbasy;
Poziewały kobiety i panowie rady,
A nawet uważano, że ksiądz Prymas blady...
Leci sam Wojewodzic, pada na kolana,
Zaklina, żeby przyszła choć i nie ubrana,
„Pozwól, odpowie panna, niech tylko kadryle,
Przykrócę trochę, a przyjdę za chwilę“.
Niespokojny pan młody napowrót przybiega,
Słucha, aż strasznym wrzaskiem kościół się [rozlega:
Ksiądz Prymas zemdlał, gdy go trzeźwią kano-
Poziera Wojewodzic, aż blizko kaplicy [nicy.
Leży zemdlonych kilku radnych panów:
Dwóch Wojewodów i trzech Kasztelanów!
We łzach rodzice oboje...
Wtenczas, jak gdyby w zimne zanurzony zdroje,
Czuje, że miłość zgasła, tak szerzy swą żałość:
„Kiedy widzę do ślubu taką opieszałość,
Kiedyś tak mało dbała na mą niecierpliwość,
Jakażby była nasza w pożyciu szczęśliwość,
Jaki rząd w gospodarstwie i przykład dla dzieci?
Napróżno tysiąc ponęt w tobie pięknie świeci,
Niech je inny posiada, łatwo go wybierzesz:
Ja się wprzód zestarzeję, nim ty się ubierzesz“. —
To kończąc, słowa nie mówiąc nikomu,
Usiadł w kolebkę i wrócił do domu.
Tego pośpiechu, tej niecierpliwości,
Nie można chwalić w młodym jegomości,
Prędkość dobrze nie usłuży,
Gdyby cokolwiek chciał poczekać dłużej,
Czasu tak drogo nie cenił,
Byłby się pewnie ożenił;
Gdyż o trzeciej z północy z suknią atłasową,
Panna do ślubu już była gotową.

J. U. Niemcewicz.

Gwiazdy na wędrówce.

Wstęp.

* Był sobie pewien król-poeta.

Lecz że to na świecie nie wszystko mieć można, i koronę z dyjamentów i aureolę wieszczów, — król ten był bardzo lichym poetą.

Podróżowałem po państwie tego poetycznego monarchy i oglądałem ciekawe zabytki krajowe; bo przyznać należy, że jeżeli król ten nie mógł się nazywać wielkim artystą i literatem, to przynajmniej był wielkim przyjacielem artystów i literatów.

Otóż obejrzawszy pomniki, pałace, muzea, pinakoteki, miałem jeszcze do zwiedzenia więzienia. Byłbym zapewne zaniechał oglądania tych gmachów, do których badania nie czuję wielkiego pociągu, lecz miałem przy sobie jednego z tych nieubłaganych przewodników, którzy nie pozwolą podróżnemu pominąć najmniejszego nawet kamyczka. Podążyłem więc za nim do więzienia.

Więzienie stołeczne króla - poety nie miało w sobie nic nadzwyczajnego, coby je odróżniało od innych więzień, chyba to, że w niem nie było więźniów.

Wszelako przebywał w niem kiedyś jeden więzień, który był skazany na trzy tygodnie, a siedział tylko trzy dni.

Był to pewien dziennikarz z Wiednia.

Przejeżdżając przez stolicę króla-poety, napisał on satyrę na wiersze jego królewskiej mości, a naczelnik policyi dowiedziawszy się, kto był autorem tej satyry, kazał go aresztować, i skazał na trzy tygodnie więzienia.

Na szczęście doniesiono królowi o tem, co się stało.

Król kazał zaprządz i, ku wielkiemu zdziwieniu stangreta, rzekł do kamerdynera, który zamykał drzwiczki:

— Do więzienia!

W pięć minut później oznajmiono więźniowi jego królewską mość.

Więzień zaledwie miał czas schować do szuflady nową satyrę, którą skończył przed chwilą.

Tylko że w satyrze tej zamiast krytykować czyjekolwiek wiersze, napadał na króla Olimpu.

Dziennikarz spodziewał się, że Jowisz będzie mniej obraźliwy od ludzi. Zresztą, co do tej obraźliwości pomylił się zupełnie, o czem się przekonał, gdy król sam, wchodząc do więziennej celi z kapeluszem w ręku, jak przystoi autorowi wobec krytyka, obwinionemu wobec sędziego, poprosił więźnia do powozu i zawiózł go na obiad do pałacu.

Ztąd wynikło, że więzień nie miał czasu otworzyć szuflady i wyjąć z niej satyry.

Satyra pozostała więc w szufiadzie, gdzie nazajutrz po odjeździe więźnia, znalazł ją dozorca.

Zawiadomiono króla o tem nowem zdarzeniu.

Krytyk wiedeński już był wyjechał z Wiednia.

— Odeślij pan satyrę autorowi przez jaką pewną okazyję -- rzekł król — a przedewszystkiem strzeż się, ażeby nie wpadła w ręce naczelnika mojej policyi.

Pewnej okazyi nie znaleziono jeszcze aż do mojego przybycia.

— Czy pan udajesz się do Wiednia? — zapytał mnie dozorca, oprowadzając po więzieniu i opowiadając mi anegdotę, którą przeczytaliście powyżej.

— Będę tam za trzy dni — odpowiedziałem

— Czy zechcesz pan oddać tę satyrę panu ***, poecie i dziennikarzowi?

— Z największą przyjemnością.

— Daj mi pan pokwitowanie.

Dałem dozorcy jedną ręką pokwitowanie z otrzymania satyry, drugą talara.

Tegoż wieczora wyjechałem do Wiednia.

Nazajutrz odwiedziłem pana ***, poetę i dziennikarza.

Rezultat tych odwiedzin był taki, iż wzamian za jego satyrę dałem mu jeden swój rękopism.

Mój artykuł już sześć lat temu ukazał się w jego dzienniku; co do mnie, nie zapomniałem o rękopiśmie wiedeńczyka, lecz zdawało mi się, żem go zgubił, gdy pewnego wieczora, przerzucając stare papiery, spostrzegłem pismo obce i zaraz poznałem autograf, oddany mi przez dozorcę więziennego, a ustąpiony tytułem dobrowolnej zamiany przez pana ***, poetę i dziennikarza wiedeńskiego.

Pozwólcie, że was z tym rękopismem zaznajomię:

Stara, cudowna i moralna opowieść, na nowo ułożona i podana czytelnikowi przez pewnego poetę i dziennikarza.

I.

Było to za dawnych, bardzo dawnych czasów, których ty nie pamiętasz z pewnością, kochany czytelniku — kiedy niebo nosiło nazwę Olimpu i kiedy bóg, który mieszkał na tym Olimpie, nosił trzy imiona: Zeus, Jowisz albo Jupiter, które znaczą prawie jedno i to samo.

Bóg ten pewnego dnia powziął dziwną myśl — uczynić ludzi szczęśliwymi.

Zobaczysz, kochany czytelniku, jak się wyleczył z tej myśli i jakim sposobem inni bogowie, jego następcy, wyleczyli się z niej i na potem.

Nie wiadomo zresztą, wskutek jakich okoliczności przyszła mu do głowy ta myśl osobliwa, lecz to jest faktem, że gdy ją oznajmił radzie, złożonej z Neptuna i Plutona, dwaj ci bogowie uznali ów pomysł za tak dziwaczny, iż wykrzyknęli:

— Ach! jakaż to zabawna myśl! ha! ha! jakie to śmieszne!

Ale skoro w głowie jakiego boga powstanie jaka myśl, to musi on ją doprowadzić do końca dobrego lub złego, choćby to była taka myśl, jak dziwaczne uczynienie ludzi szczęśliwymi.

Należało jeszcze obmyśleć sposób wykonania.

Jowisz zadumał się chwilę, potem podnosząc nagle głowę:

— Już mam — rzekł.

I przywołał do siebie siedem gwiazd.

Posłuszne gwiazdy zebrały się u stóp jego

Ludzie zadziwieni spoglądali na niebo.

Astronomowie, widząc tych siedm meteorów, kreślących świetlane smugi na lazurze nieba, zapowiadali koniec świata.

Tak się często mylą uczeni co do istoty zjawisk niebieskich.

Gwiazdy rzekły:

— Oto jesteśmy, wspaniały i potężny władco; czego od nas żądasz?

— Zapakujcie swoje manatki; udacie si w podróż na ziemię — odpowiedział syn Satu na i Rhei — otrzymywać będziecie dziennie p dwa dukaty brabanckie na koszta podróży.

— A cóż będziemy robiły na ziemi? — zapytały gwiazdy.

— Postanowiłem uczynić ludzi szczęśliwymi — odrzekł Jowisz — ponieważ jednak ni ocenialiby szczęścia, gdyby je mieli darmo, chc więc, ażebyście ludziom to szczęście sprzedały. Będziecie moimi komisantami.

— Będziemy wszystkiem, czem nam być rozkażesz, władzco wszechmocny — odpowiedziały gwiazdy głosem tak melodyjnym, że ludzie podnieśli oczy ku niebu, domyślając się, iż tylko ztamtąd mogły pochodzić tak cudne dźwięki — ale co sprzedawać będziemy ludziom?

— Stańcie w szeregu i przejdźcie przedemną.

Gwiazdy stanęły rzędem i ruszyły w porządku, jaki został im wskazany.

Jowisz rzekł do pierwszej:

— Ty sprzedawać będziesz *rozum*.

Do drugiej rzekł:

— Ty sprzedawać będziesz *cnotę*.

Do trzeciej rzekł:

— Ty sprzedawać będziesz *zdrowie*.

Do czwartej rzekł:

— Ty sprzedawać będziesz *długie życie*.

Do piątej rzekł:

— Ty sprzedawać będziesz *sławę*.

Do szóstej rzekł:

— Ty sprzedawać będziesz *przyjemności*.

Do siódmej rzekł:

— Ty sprzedawać będziesz *pieniądze*.

Sądząc o życzeniach ludzi, według próśb, jakie do niego zasyłali, Jowisz mniemał, że gdy ludzie mieć będą rozum, cnotę, zdrowie, długie życie, sławę, przyjemności i pieniądze, — staną się szczęśliwymi...

W istocie było to prawdopodobne.

— A teraz idźcie — rzekł do gwiazd — i swojego towaru boskiego sprzedawajcie ludziom jak można najwięcej.

Wszelako Neptun i Pluton wcale nie zostali tem przekonani i jeszcze bardziej niż poprzednio śmiać się zaczęli, powtarzając:

— Ach! jakaż to zabawna myśl! ha! ha! jakie to śmieszne!

II.

Siedem gwiazd zapakowało siedem rodzajów towaru do oddzielnych skrzynek, których dostarczył im magazynier nieba i, zstąpiwszy na ziemię, zaczęło prowadzić sprzedaż w pierwszem dużem mieście, które napotkało na drodze.

— Kupujcie rozum! kupujcie rozum! — wołała gwiazda pierwsza. — Kupujcie, mam do sprzedania, jeszcze świeży, gorący! Kupujcie rozum! kto chce rozumu, rozumu, rozumu?

Śmiech homeryczny powitał tę propozycyję.

— Do kroćset! czy ta głupia ma nas za waryjatów? rzekli dziennikarze, romansopisarze, dramaturgowie, dyrektorowie teatrów.

— Żwawa dziewczyna! na honor, co za ponętna kibić!.. — odezwali się dandysi, przypatrując się handlarce rozumu przez lornetki, binokle, monokle i uderzając się po butach laseczką, którą trzymali w ręce, odzianej rękawiczką cielistego koloru — tylko zakrawa jakoś na chodzącą mądrość. Jaka to szkoda!

— Po co tu przyszła ta mądrala? — mówiły kobiety. Lepiej byłaby zrobiła, gdyby nam była przyniosła jedwabnych materyi z Lyonu, koronek z Valenciennes, wstążek z Algieru, korali z Neapolu, pereł z Ceylonu, rubinów z Visapuru i dyjamentów z Golkondy; ale rozum! po co go kupować? każdy przecież ma swój własny rozum! Taki towar sprzedając, bardzo łatwo można umrzeć z głodu!

I biedna gwiazda szła nic nie utargowawszy, z jednej na drugą ulicę, aż wreszcie, zobaczywszy jakąś otwartą bramę, podążyła tam, nawet nie wiedząc, dokąd wchodziła.

Wchodziła do Akademii:

Przyjmowano nowego członka.

Właśnie skończył mowę.

Sekretarz miał mu odpowiedzieć.

— Kupujcie rozum! kupujcie rozum! — zawołała gwiazda.

Obecni wybuchnęli śmiechem; sekretarz przez nieuwagę zażył duży niuch tabaki i kichał przez pół godziny.

Prezes przywołał woźnych i odezwał się do nich:

— Wyprowadźcie tę głupią dziewczynę i nakażcie odźwiernym, aby jej nie wpuszczali nigdy do Akademii.

Woźni wypędzili gwiazdę, a odźwierni otrzymali wzmiankowany rozkaz.

Gwiazda odeszła zawstydzona; ponieważ jednak była to gwiazda bardzo sumienna, chciała zatem powierzone posłannictwo wypełnić dokładnie.

Przeszła więc przez most, który zobaczyła przed sobą i udała się na wybrzeże. Tu ujrzała na środku placu pomnik, a na końcu placu wielki gmach, dokąd prowadziło ze dwadzieścia schodów, po których wchodził i schodził tłum ludzi, wydających się być nader zajętymi, a niezbyt mądrymi. Pomyślała więc, iż może tutaj znajdzie odbyt na swój towar, nie wiedząc, że im ludzie są głupsi, tem mniej się troszczą o nabycie rozumu.

Gwiazda przecisnęła się przez tłum i weszła do ogromnej sali, gdzie spostrzegła trzech ludzi w czarnym ubiorze i w czarnych czapkach; siedzieli oni przed stołem, a po obu ich stronach znajdowali się inni ludzie, tak samo ubrani, jak pierwsi.

Wówczas poznała ona, iż weszła do pałacu sprawiedliwości i że owi ludzie czarno ubrani byli sędziami i adwokatami.

Sądzono sprawę niezwykłej doniosłości, to też sala przepełniona była po brzegi.

Adwokat powoda, nizkiego wzrostu, brzydki, brudny, zgarbiony i ze spłaszczonym nosem, właśnie skończył przemowę i wnioski, tak, że gdy gwiazda weszła, panowało chwilowe milczenie.

Sądząc, iż z tego korzystać należy, gwiazda zaczęła wołać:

— Rozum do sprzedania, panowie! kto chce rozumu, rozumu, rozumu?

Otóż stało się, iż adwokat, który właśnie przestał mówić, jak również adwokat, który miał rozpocząć obronę, wzięli te słowa za przycinek do siebie i zgadzając się z sobą po raz pierwszy w życiu, postanowili wystąpić wspólnie przeciw nieszczęsnej gwiaździe.

Wystąpienie zaś to miało na celu, ażeby handlarka rozumu została natychmiast osądzoną, jako oskarżona o obrazę sądu.

Na szczęście naczelny prokurator, młodzieniec pełen rozumu, poprzestał na wydaniu rozkazu, żeby gwiazda wyprowadzoną została z pałacu sprawiedliwości przez dwóch żandarmów.

Dwaj żandarmi, ująwszy gwiazdę, każdy za jeden promień, zawiedli ją na ulicę, mówiąc:

— Tym razem, moje dziecię, skończyło się dla ciebie tylko na strachu: ale niech ci się nie zachciewa zrobić coś podobnego raz drugi!

Biedna gwiazda odeszła zawstydzona; ponieważ atoli postanowiła nie wyjść z miasta, zanim czego nie utarguje, więc szła, szła, aż przybyła na obszerny plac, na środku którego ujrzała wielki gmach czworoboczny.

— A! — rzekła do siebie — taką świątynię widziałam w Atenach, a ateńczycy mieli tyle rozumu, że zapewne pragną go posiadać jak najwięcej i chętnie kupować go będą za jakąbądź cenę.

To też zaczęła wołać:

— Kupujcie rozum, ateńczycy! kupujcie rozum.

Przechodziło dwóch ludzi: jeden niósł pod pachą teczkę, pełną kuponów wszelkiego rodzaju, drugi trzymał w ręku pugilares, w którym pisał ciągle jakieś cyfry, nie przestając iść.

— Zdaje mi się, że nas nazwała ateńczykami — odezwał się niosący teczkę.

— I mnie się tak zdaje — odrzekł piszący w pugilaresie.

— Co chciała przez to powiedzieć? — zapytał właściciel teczki.

— To zapewne jakieś nowe towarzystwo akcyjne, które tylko co się zawiązało — odpowiedział właściciel pugilaresu.

— Kupujcie rozum! kupujcie rozum! — wołała gwiazda, podążając za dwoma spekulantami.

— Dobryś! — podchwycił właściciel teczki — jeszcze jedno stowarzyszenie, któremu w przyszłości grozi niechybne bankructwo.

I weszli do świątyni greckiej, która była po prostu giełdą.

Sprzedawano, kupowano, ażiotowano, płacono różnice, proponowano premija; jedni ofiarowywali kupony hiszpańskie, inni akcyje kolejowe, ci akcyje towarzystwa gazowego, owi akcyje towarzystwa naftowego; każdy znajdował odbyt na swój towar.

Gwiazda przechadzała się wśród tego tłumu, krzycząc z całej siły:

— Rozum! rozum! kupujcie rozum! kto chce rozumu?

Jakiś młodszy agent giełdowy podszedł ku niej.

— Co sprzedajesz u dyjabła? — zapytał.

— Rozum.

— Rozum? A!

— Wiesz pan, co to jest?

— Tak... ze słyszenia.

— Powinienbyś go pan kupić, choćby dlatego tylko, żeby się z nim zapoznać.

— A czy ci wolno tu sprzedawać? czy otrzymałaś pozwolenie na piśmie?

— Nie.

— A więc po cóżeś tu weszła, u dyjabła?

I obracając się tyłem do gwiazdy:

— To jakaś podejrzana osobistość — rzekł do jednego z kolegów. I obadwaj poszli zawiadomić starszego agenta, który wskazał gwiazdę agentowi policyjnemu, ten zaś zapytał ją o bilet, a widząc, że go nie posiada, przywołał dwóch policyjantów, którzy zaprowadzili biedną gwiazdę do komisarza.

Komisarz mógł był odesłać ją do więzienia; ze względu jednak na prawdopodobną jej nieświadomość miejsca, gdzie została aresztowaną, nieświadomość, którą potwierdzał zwłaszcza rodzaj towaru, jaki chciała tam sprzedawać, rozkazał tylko, ażeby w ciągu dwudziestu cztrech godzin opuściła miasto.

Gwiazda była tak przygnębiona obelgami, które jej wyrządzili mieszkańcy pierwszego miasta dokąd przybyła, że dwadzieścia trzy i pół godziny podarowała komisarzowi i skierowała się natychmiast ku najbliższej bramie miejskiej.

Ale przy tej bramie zatrzymał ją urzędnik celny.

— Co pani masz w tej skrzynce? — zapytał.

— Rozum! — odpowiedziała gwiazda.

— Rozum?

— Tak, rozum...

— Kontrabanda, kontrabanda — odrzekł urzędnik celny, który za kontrabandę uważał każdy nieznany mu towar.

I kazał aresztować biedną gwiazdę, która zmuszoną była zapłacić półczwarta franka kary; następnie dwaj strażnicy celni pochwycili szkatułkę, potłukli flaszki i zawartość ich wyleli do rynsztoka, jakby to było fałszowane wino, a tymczasem dwaj inni strażnicy wzięli gwiazdę pod ręce i wyprowadzili ją za miasto, przykazując jej nie wracać pod karą trzech miesięcy więzienia.

Gdy się to z nią działo, rozum płynął obficie rynsztokiem.

Od tego czasu ulicznicy, pijący z rynsztoka, są tak sprytni.

III.

Podczas gdy gwiazda numer 1 wychodziła z miasta jedną bramą, gwiazda numer 2 przybyła drugą, wołając:

— Cnota! cnota, kto chce kupić cnotę?

Pierwszym, do których ucha doszło to osobliwe wołanie, zdawało się, iż się przesłyszeli: ale gwiazda, ufna w wartość swego towaru, oznajmiała go tak głośno i tak otwarcie, że wkrótce nawet najbardziej niedowierzający nie mieli już najmniejszej wątpliwości.

Ci, którzy ją słyszeli, wzruszali ramionami i mówili do siebie:

— To jakaś waryjatka, uciekła z domu obłąkanych.

Bogaci mówili:

— Teraz mieszkania są tak ciasne, a my mamy już tyle mebli; gdzież, u licha, moglibyśmy jeszcze pomieścić i cnotę.

Ubodzy szeptali:

— Cóż my, biedacy, poczęlibyśmy z tak drogim towarem? po co nam silić się na kupno cnoty, kiedy nikt nie uwierzy, że ją mamy?

Kobiety odzywały się:

— Dobryś! cnota!... jeszczeby nam tego tylko brakowało!.. i tak już, bez cnoty, dość nam trudno złapać mężów. A cóżbyśmy robiły, mając cnotę?

Młodzi panicze wołali:

— Cnota!.. Posiadamy już parę koni, sforę psów, żokeja; a mając tyle, chcieć jeszcze posiadać cnotę, byłoby to zbytkiem i zasługiwalibyśmy, ażeby rodzice nasi rozciągnęli nad nami ścisły rygor, albo opiekunowie przydali radę familijną.

Jedna tylko kobieta zbliżyła się do gwiazdy.

Była to wdowa po adjunkcie pomocnika poborcy podatków.

— Ile kosztuje cnota? — zapytała wdowa.

— Nic.

— Jakto, nic?

— Trzeba tylko jej pilnować.

— To za drogo — odparła wdowa.

I obróciła się plecami do sprzedającej.

Gwiazda, widząc, że mieszkańcy nie przychodzą do niej, postanowiła sama zbliżyć się do nich.

Drzwi jakiegoś mieszkania były otwarte: weszła.

— Czego pani chcesz? — zapytała opryskliwie wysoka, chuda, koścista kobieta, a pies jej,

z uprzejmości podobny do swej pani, zaczął zajadle szczekać.

— Przepraszam panią — pokornie odpowiedziała gwiazda — jestem kupcową.

— Nic nie potrzebuję.

— Każdy potrzebuje tego, co ja sprzedaję.

— A co pani sprzedajesz?

— Cnotę.

— Jeżeli sprzedajesz pani cnotę, to musisz ją też kupować.

— Oczywiście. Dlaczego?—zapytała kupcowa.

— Ponieważ mam ją do sprzedania — rzekła kobieta.

— Pokaż pani, a może się zgodzimy.

Wtedy chuda kobieta otworzyła szufladę od toalety i wyjęła ztamtąd cnotę, ale tak starą, tak połataną, tak posztukowaną, tak pełną plam, tak stoczoną przez robactwo, iż nawet nie można sobie było wyobrazić, jaką była ona przed dwudziestu laty.

— Ile mi pani dasz za tę cnotę? — spytała cnotnisia.

— Ile mi pani dasz za to, że ją wezmę? — odparła gwiazda.

— Patrzcie-no ją! impertynentka! — wykrzyknęła cnotnisia, wyrywając cnotę z rąk kupcowej.

Ale biedna cnota była tak krucha i wątła, że podarła się jak pajęczyna.

Sprawa wzięła zły obrót: cnotnisia groziła kupcowej, że jej wytoczy proces o oszczerstwo i zniesławienie za to, iż powiedziała, że jej cnota nic nie warta.

A chociaż w takich razach przysięga nie jest dozwoloną, nic to nie znaczy: gwiazda mogła zostać skazaną na zapłacenie grubej kary i na więzienie.

Ofiarowała więc chudej jejmości całkiem nową cnotę, wzamian za tamtę, która już do niczego nie była przydatną.

Lecz kobieta kazała jej rozpakować cały zapas towaru i chociaż gwiazda miała przy sobie wszelkiego rodzaju cnoty, poszkodowanej ani jedna nie przypadła do smaku.

Kupcowa zmuszona była ofiarować jej wynagrodzenie pieniężne.

Po długiem targowaniu się oznaczono wynagrodzenie w ilości jednego pistola.

Gwiazda wyjęła z kieszeni trzy dukaty brabanckie, stanowiące razem jedenaście liwrów i dziesięć su i grzecznie poprosiła kobietę o półtora franka reszty.

Cnotnisia wyszła pod pozorem zmiany pieniędzy i wróciła z policyjantami.

— Ta kobieta przyszła mnie okraść — rzekła — aresztujcie ją i zaprowadźcie do więzienia.

Napróżno zaklinała gwiazda, iż czekała na należące się jej pieniądze. Policyjanci, którzy, będąc alzatczykami, niezbyt dobrze rozumieli po francuzku, wezwali kupcowę, aby poszła z nimi do komisarza policyi.

Musiała się temu poddać.

Przeszła parę ulic, które oddzielały dom cnotliwej kobiety od biura komisarza, a po drodze podążał za nią tłum uliczników, drących się w niebogłosy.

— Patrzcie! patrzcie! złodziejka!

Przybywszy do komisarza, kupcowa cnoty opowiedziała całe zdarzenie z taką prostotą, że godny urzędnik, który, dzięki swej zabiegliwości i baczności, wiedział o wielu rzeczach, a między innemi i o tem, że cnotnisia, u której gwiazda została aresztowaną, nie miała cnoty do zbycia, odesłał policyjantów, i pozostawszy sam z oskarżoną, zapytał ją, z czego się utrzymuje.

Gwiazda otworzyła skrzynkę i pokazała swój towar.

Urzędnik zaczął się śmiać.

— Moje piękne dziecię — odezwał się — są rodzaje handlu, które w rzeczywistości nie są żadnym handlem i jeżeli nie masz innych środków utrzymania, polecę ci opuścić miasto; mamy już i tak dosyć ubogich, należących do ludności stałej.

Biedna gwiazda spuściła głowę i wyszła z miasta.

IV.

Tego samego dnia trzecia gwiazda wchodziła do tegoż miasta.

— Zdrowie, zdrowie do sprzedania! — wołała — kto chce zdrowia?

— Zdrowie sprzedajesz? — pytano ją zewsząd.

— Tak. Zdrowie do sprzedania! zdrowie do sprzedania! kupujcie!

I nie upłynęła chwila, a już koło gwiazdy zebrała się liczna gromada ludzi; każdy żądał zdrowia, każdy chciał go dostać; biedna gwiazda nie wiedziała, kogo pierwej ma słuchać.

Ale większość z tych, co wyciągali ręce po ten pożądany środek, oddawna już zabiła zdrowie w sobie, a nawet pozbyła się jego szczątków; dlatego też zdrowie, mające sporą dozę miłości własnej, nie chciało żadną miarą powrócić tam, zkąd je wypędzono tak sromotnie.

Inni znowu spytali:

— Czy wyżywienie zdrowia dużo kosztuje?

— E, nie — odpowiedziała gwiazda.

— Cóż ono jada? co pije? jak się z niem trzeba obchodzić?

A gwiazda odrzekła:

— Zdrowie jada z umiarkowaniem, pije czystą wodę, kładzie się spać wcześnie i wstaje równo ze słońcem.

Na takie objaśnienie ludzie wzruszyli ramionami i rzekli:

— Ta kupcowa wcale nie zachwala swego towaru; kupić zdrowie i zostać pustelnikiem, to wszystko jedno.

Wszelako znalazły się dwa rodzaje ludzi, którzy powiedzieli sobie:

— Gdyby na nieszczęście ten towar miał powodzenie, bylibyśmy zrujnowani.

Byli to: najprzód doktorzy, następnie — grabarze.

Powiedzieliśmy: dwa rodzaje ludzi; powinnibyśmy byli rzec: jeden rodzaj — albowiem w mieście tem lekarze byli stowarzyszeni z grabarzami i tworzyli spółkę komandytową, która mogłaby przyjąć za godło trupią głowę i dwa piszczele.

Grabarze i doktorzy zebrali się i postanowili za jakąbądź cenę pozbyć się kupcowej i jej towaru.

Grabarze podjęli się załatwić z towarem.

Lekarze wzięli na siebie kupcowę.

Jeden z grabarzy porwał jej skrzynkę.

A gdy zaczęła krzyczeć:

— Złodziej! trzymajcie go! ukradł mi moje zdrowie!

Doktór, który stał w pobliżu, odezwał się do niej:

— Chodź moje dziecię, chodź tędy, zaraz ci je oddadzą.

Mówiący miał minę wzbudzającą zaufanie i był ubrany bardzo porządnie, jakkolwiek trochę za czarno.

Kupcowa, daleka od wszelkich podejrzeń, poszła za nim.

Zaprowadził ją do szpitala.

Wtedy biedna gwiazda poznała, w jakiem się znalazła miejscu; chciała je opuścić czemprędzej.

Ale zamknięto przed nią drzwi.

Zrozumiała, iż wpadła w zasadzkę.

— Panie doktorze — odezwała się — panie doktorze, zlituj się nademną! jestem zupełnie zdrowa.

— Mylisz się pani — odpowiedział — jesteś bardzo chora.

— Ależ jem wybornie.

— Zły znak!

— Piję doskonale.

— Zły znak!

— Śpię wyśmienicie.

— Zły znak!

— Mam oczy jasne, puls spokojny, język czysty.

— Zły znak, zły znak, zły znak!

I gdy gwiazda, utrzymując, że jest zupełnie zdrową, nie chciała ani się rozebrać, ani poło-

żyć, człowiek czarno ubrany przywołał czterech stróży, którzy rozebrali ją przemocą i przywiązali do łóżka.

— A! — rzekł doktór — zachciewa ci się sprzedawać zdrowie, gdy my sprzedajemy chorobę? zamiast wejść z nami w spółkę, chcesz wytworzyć konkurencyę? a więc — zobaczysz.

I wezwał trzech swoich kolegów i przystąpili, jak to doktorzy nazywają, do konsultacyi, czyli, jak zwą to grabarze, ich wspólnicy, do osądzenia na śmierć.

Postanowiono poddać gwiazdę leczeniu patologicznemu, najenergiczniejszemu ze wszystkich leczeń.

Wzięto ją z początku na ciągłą dyetę.

Potem upuszczano jej krwi codziennie cztery miseczki.

Wreszcie pod pozorem, iż zanadto sypiała, a zbyt długi sen może sprowadzić apopleksyę, łechtano ją pod podeszwy, skoro tylko zmrużyła oczy. Na szczęście, będąc gwiazdą, handlarka zdrowia była nieśmiertelną.

Nie umarła, umrzeć bowiem nie mogła; chorowała jednak bardzo ciężko.

Na szczęście także, pewnej nocy, pilnujący ją dozorca zasnął.

Biedna gwiazda zdołała uwolnić z więzów jedną rękę, potem obie, potem jedną nogę, następnie drugą.

Wtedy ostrożnie wymknęła się z łóżka, otworzyła okno, przywiązała do kraty prześcieradło, okryła się drugiem i spuściła się do szpitalnego ogrodu.

Ogród otoczony był parkanem, lecz przy parkanie wznosił się szpaler.

Przedostała się przez parkan.

Będąc już poza obrębem szpitala, gwiazda zaczęła z całych sił uciekać.

A ponieważ do szpitala przytykał cmentarz, mniemano więc, iż wyszła nie ze szpitala, lecz z cmentarza i zamiast uważać ją za chorą zbiegłą, wzięto ją za ducha, wracającego z tamtego świata.

Prześcieradło, którem się okryła, wzmacniało jeszcze bardziej to przypuszczenie.

Zamiast się starać ją zatrzymać, każdy usuwał się przed nią i pozwalał jej przejść, nawet straż przy bramie miejskiej.

— O!—zawołała—jeżeli Jowiszowi zechce się wysłać na ziemię jeszcze drugi transport zdrowia, to niech go sobie powierzy innej kupcowej, ale nie mnie.

Będąc wiernym kronikarzem tego zadziwiającego zdarzenia, zasięgnąłem wiadomości, że grabarz, który ukradł gwiaździe skrzynkę, zaniósł ją swoim kolegom, mówiąc, co zawierała w sobie.

Wówczas wszyscy razem wykopali na środku cmentarza ogromny dół, wrzucili weń zdrowie i zasypali ziemią.

Nikt więc nie skorzystał z dobrych chęci Jowisza z wyjątkiem nieboszczyków.

Od tego czasu umarli nigdy nie chorują.

V.

Podczas gdy tak zdradziecko prowadzono kupcowę zdrowia do szpitala, gdzie niezawodnie wyzionęłaby była ducha, gdyby nie była nieśmiertelną, wołanie podobne do tego, które się jej tak nie powiodło, zaczęło się rozlegać w innej dzielnicy miasta.

To czwarta gwiazda chciała sprzedawać swój towar i krzyczała:

— Kto chce żyć długo? kto chce żyć wiecznie? kupujcie długie lata! kupujcie! kupujcie!

Na ten krzyk całe miasto się zbiegło.

Pewien bogaty bankier, posiadacz domów handlowych w Paryżu, Frankfurcie, New-Yorku, Wiedniu i Londynie, polecił swemu agentowi zrealizować tyle milionów, ile było potrzeba dla zakupienia całej skrzynki.

Wielcy panowie domagali się postawienia straży, ażeby niedopuścić pospólstwa do kupowania szacownego towaru.

Izba prawodawcza wydała rozporządzenie, że każdy, kupujący długie życie, będzie płacił podatek coraz wyższy.

Bankier przybył z miljonami, ażeby wszystko zakupić; wówczas wszczęło się zaburzenie i powieszono bankiera.

Wtedy król, który był dobrym królem, przeszkodził wszelkim zamierzonym monopolom i ogłosił edykt, na mocy którego długie życie miało być sprzedawane publicznie i każdy, z wyjątkiem skazanych na śmierć, miał prawo kupować je, o ile mu na to pozwalały środki.

Natychmiast każdy podszedł ku gwiaździe, z jedną ręką pełną pieniędzy, z drugą próżną.

— Długie życie! daj nam długie życie! — wołali kupujący — oto pieniądze, proszę wziąść pieniądze odemnie! proszę wziąść pieniądze!

I każdy krzyczał:

— Mnie długiego życia! mnie, mnie, mnie!

— Do usług, moi panowie i panie — odpowiedziała gwiazda – ale czyście zaopatrzyli się w towar, który sprzedawały moje trzy siostry?

— A co sprzedawały trzy siostry pani? — pytali kupujący, którym pilno było mieć szacowny towar.

— Pierwsza sprzedawała *rozum*.

— Nie kupiliśmy.

— Druga sprzedawała *cnotę*.

— Nie kupiliśmy.

— Trzecia sprzedawała *zdrowie*.

— Nie kupiliśmy.

— W takim razie—odpowiedziała handlarka długiego życia – bardzo mi przykro, ale bez rozumu, cnoty i zdrowia, długie życie nie ma najmniejszej wartości.

I gwiazda zamknęła swą skrzynkę i nie chciała sprzedać towaru ludziom, którzy do tego stopnia byli nierozsądni, że nic nie nabyli od jej trzech siostr.

Nie zauważyła jednak przy zamykaniu skrzynki, że została się jej w ręku próbka towaru.

Był to kawałek długiego życia.

Starczyło tego na trzy wieki.

W pobliżu siedziała papuga w klatce.

— Czy jadłaś śniadanie ptaszyno? — zapytała.

— Nie, gwiazdeczko — odpowiedziała papuga.

Gwiaździe przyszła jakaś myśl do głowy, zaczęła się śmiać i dała próbkę towaru papudze.

Papuga zjadła ją aż do ostatniej okruszyny.

Od tego to czasu papugi żyją po trzysta lat.

VI.

W tejże chwili handlarka długiego życia, która przypatrywała się, jak papuga zjadała próbkę, posłyszała wielką wrzawę.

Wpośród zgiełku rozróżniła te słowa:

— Honor! honor! kto chce honoru?.. kto chce kupić?

To piąta gwiazda weszła do miasta.

Wszyscy ci, co nie chcieli kupić rozumu, cnoty i zdrowia, a którym tylko co nie chciano sprzedać długiego życia, byli rozjątrzeni do najwyższego stopnia.

— Na to wołanie: „Honor! honor! kto chce honoru? kto chce kupić?“ postanowili honoru nie kupować, ale nim zawładnąć i, jeżeli można, dostać go darmo.

Wskutek tego rzucili się na biedną gwiazdę, która widząc, jakie grozi jej niebezpieczeństwo, otworzyła skrzynkę i zaczęła ją wytrząsać.

Mnóstwo rzeczy z niej wyleciało: krzyże, tytuły, wstęgi, szlify i t. d.

Każdy schwycił jakiś przedmiot i zabrawszy go, uciekł; każdy myślał, że bierze honor, gdy tymczasem zręczna gwiazda wyrzuciła tylko zaszczyty i dostojeństwa.

Sam zaś honor pozostał na dnie skrzynki, podobnie jak nadzieja pozostała na dnie puszki Pandory.

VII.

Na to wszystko nadeszła szósta gwiazda, wołając:

— Przyjemności! kto chce kupić przyjemności?

Wszyscy cisnęli się do niej.

Nawet ci, którym się dostało dużo dostojeństw, chcieli także zaopatrzyć się w przyjem-

ności i z krzyżami na piersiach, tytułami w kieszeniach, wstęgami na szyjach, szlifami na ramionach, podążyli za innymi, ażeby skorzystać z tak wybornej sposobności.

Ale chciwość tych panów nie spodobała się innym; zelżono ich i zrobiono zaburzenie.

Wtedy wyrwali skrzynkę z rąk gwiazdy... a z ich rąk wyrwali inni...

W tem zamięszaniu skrzynka upadła na bruk, rozbiła się i przyjemności rozsypały się na wszystkie strony.

Stało się to tak, jak się dzieje przy chrzcinach na wsi, kiedy rodzice chrzestni rzucają karmelki, które zbierają chciwie chłopcy wiejscy.

Tylko tu karmelkami były przyjemności; chłopcami wiejskimi — cała ludność wielkiego miasta.

Wynikło ztąd, że zamiast kupić, co kto sobie życzył, każdy wyrywał przyjemności z rąk sąsiada; wskutek zaś tego dostawał nie to, czego mu było potrzeba, tylko to co, mu dawał przypadek.

A temu złośliwemu przypadkowi zachciało się oczywiście... zadrwić z biednych śmiertelników.

Kobietom dostało się polowanie;
Mężczyznom – koronki i gałganki;
Cierpiącym podagrę — taniec;
Paralitykom — przechadzka;
Głuchym — muzyka;
Ślepym — malarstwo;
Starcom — namiętna miłość;
Starym babom – miłość platoniczna.

Krótko mówiąc, nikt nie miał tego, coby chciał wybrać; to też nikt nie był zadowolony i każdy przeklinał kupcowę.

Gwiazda widząc to, wzięła nogi za pas i nie żądając zapłaty — uciekła.

Od tego czasu przyjemności są tak źle rozdzielone między ludzi, że chęć bierze uważać za waryjata każdego, kto ich używa.

VIII.

Kiedy biedna handlarka przyjemności, ograbiona tak bezczelnie, wyszła za miasto, spostrzegła siódmą siostrę, która miała sprzedawać pieniądze – zemdloną w rowie przy drodze.

Handlarka przyjemności pobiegła do niej, usiadła obok, położyła jej głowę na swoich kolanach i dała jej powąchać soli orzeźwiających.

Z wielką trudnością siódma gwiazda odzyskała przytomność. Ocuciwszy się, opowiedziała, co następuje:

— Zaledwie się ukazałam w mieście, zaledwie popełniłam nieostrożność, mówiąc, co chciałam sprzedawać, zaledwie dowiedziano się, co miałam przy sobie, gdy rzucili się na mnie jacyś ludzie, obdarli mnie i zostawili w takim stanie, w jakim mnie spostrzegłaś.

— Cóż to byli za nędznicy? — zapytały inne gwiazdy, które właśnie nadeszły.

— Rozbójnicy?

— Włóczęgi?

— Głodni nędzarze?

— Byli to milijonerzy, siostry moje! — westchnęła siódma gwiazda.

Kiedy siedem gwiazd wróciło do nieba i opowiedziało temu, co je posłał, jak je przyjęto na ziemi, Jowisz straszliwie zmarszczył czoło.

Neptun zaś i Pluton wybuchnęli śmiechem.

— A co? nie powiedzieliśmy, władzco — zawołali — iż przyszła ci do głowy myśl osobliwa?

I powtórzyli razem:

— O! jaka to zabawna myśl była!

I w końcu Jowisz uznał, że mają słuszność.

Aleksander Dumas (ojciec).

Gynerackie rządy.

* I tak Brenie, dasz swej żenie
Przewodzić nad sobą,
Ona domem z wielkim sromem,
Ona rządzi tobą,
Ona sługi, ona cugi,
Szkatułą i gumnem:
Wszystko za nią, jako panią,
Idzie rządem szumnem.
Gdy co każe, warty, straże
Zaraz usłuchają;

Pojeźnicy, urzędnicy;
Rachunki oddają.
Zgoła wszędzie ona będzie,
Wszystko jej się godzi.
Ty lichoto, nie dbam o to,
Że cię za nos wodzi.
Z tej przyczyny, żeś ty z gliny
A ona zaś z kości,
Ustąpiłeś i podrwiłeś
Małżeńskiej zwierzchności.
Masz być Brenie, głową żenie,
Bo jest z twego członka:
Każdy błądzi, kędy rządzi —
We wszystkiem małżonka.
Jak po dyjale puszczać żagle,
Kiedy wiatr szalony,
Tak ten zginie w każdym czynie,
Który słucha żony.
Radzi Ewa, aby z drzewa
Życia rwać jabłuszka:
Nie wierz damie tej, Adamie,
Bo cię zdradzi duszka.
Bywszy w Raju, w ziemskim kraju
Tułacześ nieluby,
Nie domieści rząd niewieści,
Jeno pewnej zguby.
Przykład samę Semiramę
Masz rzędziochę onę,
Co mężowi Minusowi
Odjęła koronę.
Dość obydy Danaidy
Mężom uczyniły,
Gdy ich w mocy mając w nocy.
Wszystkich podławiły.
Nuż Krzysztyna zła gadzina,
Ryxa jeszcze przed nią;
Były obie kłótni sobie
Ansą nieposlednią.
Państwa dawne, męże sławne
Żony pogubiły:
Gdy chcą rządzić, muszą błądzić
Słabe tej płci siły.
Szanowanie i kochanie
Słusznie niechaj mają,
Lecz małżonki —jako członki
Głowy niech słuchają.

W. Kochowski. (p: str. 49).



Haberbusz.

* Mojżesz kosmopolityczny, który zawsze gotów otworzyć beczkę, aby uczynić zadość pragnieniu łaknących. Gdy jednak sławny wododawca biblijny potrafił uzyskać sobie monopol, piwodawca warszawski ma dużo naśladowców, którzy trzymają się kierunku elektrycznego i zapożyczają pomysłu od nich obydwóch. Woda w takich razach bierze przewagę nad piwem.

Hagedorn.

* Kiedy poeta Hagedorn leżał śmiertelnie chory, zapytał się doktora, jak nazywa się właściwie jego choroba. „Woda w płucach, kochany panie“ – odrzekł doktór. „To być nie może—zaprzeczył chory—ja przez całe moje życie kropli wody nie wypiłem!“

Hahn-Hahn.

* Hrabina Hahn-Hahn, opowiadając w swoich „Listach wschodnich“ o handlu murzynami, przyznaje się, że trudno dla nich uczucie litości wykrzesać, gdyż... są za — brzydcy!“

Haller i Wolter.

* Lord Pranville, przybywszy w odwiedziny do Woltera, oznajmił mu, że przed chwilą widział Hallera.

— Ah—mówi Wolter—Haller jest znakomitym człowiekiem, wielkim poetą, wielkim naturalistą, wielkim filozofem.

— To, co pan mówisz—powiedział lord — jest tem piękniejsze, że Haller zupełnie odmiennie o tobie się wyraża.

— Niestety — odrzekł Wolter — człowiek jest omylny, więc jest to możliwe, że obaj się w zdaniach mylimy.

Hałuziński.

* *Nie głupi Floryjan Hałuziński.*

Autorem tego przysłowia był Floryjan Hałuziński, zmarły przed niewielu laty. Szlachcic wesoły i obywatel posiadły, miał wioskę dziedziczną niedaleko Bracławia. Zabawiał się często butelką i kieliszkiem, ale nigdy kałamarzem i piórem. Na list w dość ważnej sprawie, zapewne jedyny, na jaki odpisał, odrzucając warunki podawanego układu, ograniczył się na

wyrazach: „Nie głupi Floryjan Hałuziński“. I o tej lakonicznej odpowiedzi układ nie doszedł do skutku, ale ona sama poszła w przysłowie, które chcąc zbyć kogoś, powtarzają żartem.

Hamlet.

* Na pewnej prowincyonalnej scenie grano Hamleta. Aktor, grający Odenholma nie nauczył się roli i grał okropnie. „Ah“ — zawołał aktor, przedstawiający Hamleta — „trzeba mi go było w pierwszym akcie naprawdę zabić, nie byłby nam zepsuł całej sztuki“.

* *Hamlet w obec kobiet.*

Hamlet. Jesteś uczciwą?

Ofelija. Mości książę!

Hamlet. Jesteś piękną?

Ofelija. Co znaczą te pytania?

Hamlet. To, że jeżeli jesteś uczciwą i piękną, uczciwość twoja nie powinna mieć nic do czynienia z pięknością.

Ofelija. Jakto, panie? Możeż piękność z czemś lepszem chodzić w parze, jak z uczciwością?

Hamlet. Zapewne; tylko, że potęga piękności prędzej obróci uczciwość w sekutnicę, niż wpływ uczciwości potrafi piękność na swoje kopyto przerobić. Było to niegdyś paradoksem, ale w nowszych czasach okazuje się pewnikiem — kochałem dawniej waćpannę.

Ofelija. W rzeczy samej dawałeś mi to książę do zrozumienia.

Hamlet. Nie trzeba ci było tak rozumieć; bo cnota nie daje się w stary nasz pień wszczepić tak, żebyśmy trącić nim przestali. Nie kochałem cię wcale.

Ofelija. Tem bardziej więc zostałam zawiedzioną.

Hamlet. Idź waćpanna do klasztoru; na co ci mnożyć grzeszników? Ja sam jako tako jestem uczciwy, a przecież mógłbym sobie zarzucić takie rzeczy, że lepiej by było, gdyby mnie była matka na świat nie wydała. Jestem nadzwyczajnie dumny, mściwy, chciwy władzy, więcej mam przywar, niż władz umysłowych do ich poznania, niż wyobraźni do dania o nich wyobrażenia i czasu do okazania ich w postępkach. Dla czego się takie figury tłuc mają pomiędzy ziemią i niebem? Jesteśmy arcybultaje, wszyscy bez wyjątku; żadnemu z nas nie ufaj. Idź prosto do klasztoru. Gdzież waćpanny ojciec?

Ofelija. W domu, mości książę.

Hamlet. Zamknij-że go na klucz, aby nigdzie indziej nie grał roli błazna, jak we własnym domu. Bądź zdrowa.

Ofelija (na stronie). Panie, zmiłuj się nad nim.

Hamlet. Jeżeli za mąż pójść zechcesz, dam ci w posagu tę przestrogę: Chociażbyś jak śnieg była czystą, jak lód nieskalaną, przecież nie ujdziesz obmowy. Wstąp do klasztoru. Adieu. Albo jeżeli koniecznie potrzebować będziesz wyjść za mąż, to wyjdź za głupca, bo rozsądni ludzie wiedzą bardzo dobrze, jakie z nich czynicie potwory. Idź czemprędzej do klasztoru. Adieu.

Ofelija (na stronie). O nieba, wesprzyjcie go swą łaską!

Hamlet. Słyszałem też o malowaniu się waszem: nie dość wam jednej twarzy, otrzymanej od Boga, dorabiacie sobie drugą, sztafirkujecie się, krygujecie, cedzicie słowa, przedrzeźniacie boskie stworzenia i swawolę pokrywacie płaszczykiem naiwności. Precz, precz! nie chcę już patrzeć na to; to mnie we wściekłość wprawia. Wara odtąd mężczyznom żenić się; ci, co się już pożenili, jednego wyjąwszy, niech żyją zdrowi, reszta pozostać winna tak, jak jest. Do klasztoru! Do klasztoru!

Szekspir.

Handel.

* Pewien mieszczanin z prowincyi, przybywszy do Warszawy, spostrzegł afisz teatralny: *Handel na żony.* — Ach! co za szkoda, żem mojej nie przywiózł, możeby się udało zrobić jaką dobrą *facyjendę.*

* *Handel Panowie! Handel Panie!*

Kto ma cokolwiek do zbycia:
Stary mózg już bliski pleśni,
Serce niezdolne do bicia,
W sercu częstochowskie pieśni,
Stare bruzdy pośród czoła,
Stary herb, lub stare miano,
Sławę trochę nadszarganą—
Niech mnie zawoła!
Ja wnet przyjdę—wszystko kupię,
Wszystko to z pleśni obłupię,
Przeczyszczę to i przetworzę,
Potem z tego pieśń ułożę
I zagram—dam znów na sprzedanie...
Handel panowie! handel panie!

*
* *

Niedopiętych czynów plany,
Nawet po nich małe śladki;
Po chuciach brudne gałgany,
Po brudnych pragnieniach szmatki;
Zgliszcza zgasłych namiętności,
Niedoszłych zbrodni pamiątki,
Nawet i po cnotach szczątki,
Kurz, mówiąc prościej...
Tak jest — ja i kurz nabędę,
Przechucham go, gdy posiędę,
Przeczyszczę wraz, tak przetworzę,
Iż z niego też pieśń ułożę...
I zagram — dam znów na sprzedanie...
Handel panowie! handel panie!

*
* *

Za późne genijuszów dzieła,
Przez ludzkość dawno pożęte,
Na których już rdza spoczęła,
Zamiary reform nietknięte,
Za mgliste na czas natchnienia,
Za ckliwe na wiek ideje,
Ultramontanów nadzieje,
Kwakrów zachcenia;
Ja nawet i te nabędę
Przepatrzę je, gdy posiędę
Przewietrzę je, wraz przetworzę
Potem z nich też pieśń ułożę
I zagram — dam znów na sprzedanie...
Handel panowie! handel panie!

*
* *

Czułe miękkich uczuć twory,
W duchu poczęte niemocy,
„Treny" naprzykład „Pandory"
Mirona: „Sen letniej nocy";
Wszystkie nawet ochy, oje
Wieszcza, co siedząc w Paryżu
Na podstawie sławy z śpiżu,
Śpiewał stepy swoje —
Wszystko to, wszystko nabędę,
Ze wszystkiego coś wyprzędę,
Wyrobię coś, coś wytworzę,
Potem w nową pieśń ułożę
I zagram — dam znów na sprzedanie...
Handel panowie! handel panie!

*
* *

Przyzwoitej muzy płody,
Których treść powagi pełna,
Nudne, jak klej z ciepłej wody,
I ciepłe jako... bawełna:
Pani Hoffmanowej Tańskiej
„Klementyny" i „Krystyny",
Lub co stworzył ów Faust z miny,
F... nadwiślański.
Wszystko to, wszystko kupuję,
Ze wszystkiego coś wysnuję,
Wyrobię coś, coś wytworzę,
Potem w jedną pieśń ułożę
I zagram — dam znów na sprzedanie...
Handel panowie! handel panie!

*
* *

Płody niezbyt strojnej liry,
Wierszem zbyt luźnym pisane,
Ot — Sowińskiego „Satyry"...
Wiersze także zbyt strugane,
Wzór chorejów, jambów owych,
Co podał On, mentor sztuki,
Pan Redaktor, dla nauki
Poetów nowych.

Jedne i drugie kupuję,
Z tych i z tamtych coś wysnuję
Wyrobię coś, coś wytworzę,
Potem z nich jednę pieśń ułożę
I zagram — dam znów na sprzedanie ..
Handel panowie! handel panie.

* * *

Powieści filozoficzne...
Ot — Pana Onegdajskiego
„Dziś i wczoraj"—pełne treści,
Ale z warsztatu Goethego;
Utwory pretensyjonalne,
Jako „Boje Witoldowe",
Inne jeszcze... choć jałowe,
Byle moralne.
Ja i te rzeczy kupuję
I z nich też coś, coś wysnuję.
Wyrobię coś i wytworzę,
W dzielną potem pieśń je złożę
I zagram — dam znów na sprzedanie
Handel panowie! handel panie!

* * *

Z powiastek może ludowych
Kto ma chociażby ustępy...
Z natchnień Donalejtysowych,
Z Kaczkowskiego: „Stacha z Kępy"
Lub z przeciwnych tamtym może
Tych utworów pana Pola,
Gdzie to bat i pańska wola
W głównym splendorze —
Ja i te i tamte kupię
(Toć to rzeczy nie tak głupie!)
I z tych i z tamtych coś stworzę,
Wszystko potem w pieśń ułożę
I zagram—dam znów na sprzedanie...
Handel panowie! handel panie!...

* * *

Gallskiego kroju dramata
Z ciemnemi dekoracyjami,
Gdzie to mistrz póty przeplata
Sceny krwią, krzykiem i łzami,
Aż widz nie dostanie mdłości
Od zawrotu w biednej głowie —
Tragedyję pana Niepowie:
„Gra namiętności"...
Ja i taką rzecz nabędę
I z niej sobie coś wyprzędę,
Wyrobię coś, coś wytworzę,
Potem jak z innych pieśń złożę
I zagram - dam znów na sprzedanie...
Handel panowie! handel panie!

* * *

Rozprawy tabaką tchnące,
Poważne jak nos Goethego,
Um nasz germanizujące,
Pełne głębi, lub... ten tego...
Nawet stylem Woronicza
Pisane w polskich zeszytach
Sentencyje o Jezuitach
Bartoszewicza.....
Wszystko to, wszystko kupuję,
Wszędzie treści się dosnuję,
Tu dorobię, tam dotworzę,
Potem wszystko w pieśń ułożę
I zagram—dam znów na sprzedanie...
Handel panowie! handol panie!

* * *

Wszelkie w końcu dzieła sztuki
Butą niezwykłą nadęte,
Gdzie to wieszcz, gorzej niż... kruki,
Dziobie mistrzów ciała święte,
Gdzie muza sponiewierana,
Gdzie talent się poniewiera,
Ot... w rodzaju „Salvatora"
Pana Szatana...
Ja i takie rzeczy lubię!
Ja z cynizmu je oskubię,
Przerobię je i przetworzę,
W nowe rymy potem złożę
I zagram—dam znów na sprzedanie. .
Handel panowie! handel panie!

* * *

Żal po starcu wdowy młodej,
Po bogatym ojcu—dzieci;
Płacz panny, gdy sprawia gody;
Laur, którym gardzą poeci;
Moralność starych dewotek,
I wstrzemięźliwość kapłańską
I szczerą otwartość pańską,
Wstręt cioć do plotek...
No... ja nawet to kupuję:
Ze wszystkiego coś wysnuję,
Coś wyrobię, coś wytworzę
I z tego jeszcze pieśń złożę
I zagram—dam znów na sprzedanie.....
Handel panowie! handel panie!

* * *

Kto chciał znaleźć kwadrat koła,
Chciał zgłębić stare podania,
A nie zgłębiwszy nic zgoła,
Miałby tę chęć do sprzedania;
Kto się na wielkość pasował
I wziąwszy rozum do głowy,
Miał już, już świat stworzyć nowy,
Lecz wtem... zwaryjował.
Ja i te waryjactwa biorę!
Każdy sen, bzik, każdą zmorę —
Przerobię wraz i przetworzę
Tak, że nową pieśń z niej złożę
I zagram—dam znów na sprzedanie...
Handel panowie! handel panie!

Bogumił Aspis.

Handlujący.

* Stan kupiecki, niegdyś pogardliwie traktowany jako stan trzeci, staje się coraz ważniejszym i coraz więcej szanowanym, jako rozsadnik, wydający ludzi zdrowych na ciele i umyśle, tem pożądańszych wobec zbytków, zepsucia, a ztąd upadku wyższych stanów pod względem moralnym, fizycznym i finansowym. Stan kupiecki cenionym być musi jako najużyteczniejszy, bo nasza natura zwierzęca nie może się obyć bez chleba i innych artykułów życia, a przytem wielu innych rzeczy, bez których obchodzą się zwierzęta. Od dawna też zaczęto coraz częściej wyróżniać znaczniejsze osobistości z owego „trzeciego stanu“ i nadawać im szlachectwo i tytuły nawet. Bo wreszcie handel jest znany od najdawniejszych, pierwotnych czasów w historyi ludzkości. Kain zamieniał swoje płody ziemi na mleko, mięso i skóry Abla i jego pasterzy; Jakób kupił od Ezawa prawo starszeństwa za miskę soczewicy, a synowie Jakóba, jak tylko ujrzeli przejeżdżających kupców Izmaelskich, powzięli zamiar sprzedania im własnego brata i wykonali to bez wahania. Już to zmysł kupiecki tkwi w naturze owego wybranego narodu, a rozwija się i potęguje ciągle, a nikt jak żydzi nie potrafi tak wymową swoją oplątać kupującego, żeby go wyzyskać; śmiać się nieraz trzeba z mniejszych kramarzy, jak zachwalają swój tawar: „Niech pani kupi te pończochy“, mówi jedna, „ja trzy lata jedną parę noszę codziennie i jeszcze jest zupełnie jak nowa“. „Co też mówicie“, odpowiada zagadnięta dama, „kupiłam od was jedną parę, to i kwartału jej nie donosiłam, tak się prędko zdarły“. „Ja wielmożnej pani mogę przysięgać auf meine munes, i na co pani chce, że ja noszę przeszło trzy lata“. „Chyba na plecach, tak jak te“, mówi dama odchodząc. „Ny, ja też nie mówię, że na nogach“. Żyd handluje wszystkiem; jeden z takich ulicznych kramarzy niósł pięknie wyrobiony krucyfiks: „Co chcesz za ten krzyż?“, zapytuje go jeden z przechodniów. „50 rubli“, odpowiada kramarz. „Twoi przodkowie dali tylko 30 srebrników za żywy oryginał“. „Nu, ale un nie był tak wyrobiony i nie miał takie ozdoby“, odpowiada żyd niezmięszany. Duch spekulacyjny towarzyszy żydom wszędzie i wszystkiego podejmą się dla zysku; podróżnik Stedmann spotkał w Surynam żyda portugalskiego, który dzieciom pewnego kolonisty dawał lekcye—religii chrześcijańskiej! Ludy, handlujące z negrami, składają na umówionem miejscu swój towar (po większej części

sól) i odchodzą sobie; murzyni ze swej strony przyszedłszy kładą tamże swój złoty piasek, a gdy obie strony są zadowolone, zabierają zamienione towary i rozchodzą się bez przemówienia słowa. Wschodnie ludy często bardzo znaczny interes zawierają, nie otworzywszy ust nawet; jakże różny od tego jest żydowski zwyczaj szwargotania i zachwalania towaru i podawania cen niesłychanie wygórowanych. Przysłowie mówi: „Włochom i żydom trzeba ofiarowywać zwykle tylko połowę żądanej za towar ceny“ (co u nas zowią krakowskim targiem), ale też żydzi, w przewidywaniu tego, tem większe podają ceny, żeby módz połowę opuścić i jeszcze sporo zarobić. Lichwiarze umieją sobie także dobrze radzić, przypisując procenty i procenty od procentów bez żadnej żenady. „Jakto?“, wykrzykuje obdzierany dłużnik, „rachujesz mi panie Szmul 9 od sta na miesiąc? jak się nie boisz Boga w niebie!“. „Nu, czy to Pan Bóg potrzebuje wiedzieć?“. „Jakto? przecież Pan Bóg wszystko widzi z nieba!“ „Nu, jak Un patrzy z tak wysoka na 9, to Un miszli że to 6“. „Nie oszukasz mnie, mój Szmulu“, rzecze do kupca z małego miasta pewien młody zarozumiały panek, „choć myślisz, żeś bardzo mądry, to prędzej jabym ciebie sto razy sprzedał, niż ty mnie raz jeden“. „Ja się o to nie spieram z jaśnie panem“, odparł Szmul, „bo ktoby chciał takiego towar odemnie kupić? aj waj! na co komu tego?“ Czem jest wymiana myśli w świecie duchowym, tem wymiana towarów w widomym. Człowiek, pozbawiony towarzystwa, traci wiele na umyśle, co najlepiej po wsiach skonstatować się daje; świat zaś cały bez handlu popadłby w sen pierwotnego dzieciństwa. Wszyscy jesteśmy handlującymi: wielcy handlują krajami, obywatele ziemscy swemi posiadłościami czasem, a zwykle zbożem, owcami, bydłem; uczeni—książkami; politycy—kłamstwem; zakochani — przysięgami; wszystkie fakultety handlują, a zasadą handlu jest przedewszystkiem—zysk. Merkury, ów zręczny młodzian ze skrzydełkami u nóg, z laską okręconą wężami, mającą oznaczać chytre przebiegi—jest bożkiem kupiectwa; ale dla czego zrobiono go także bożkiem złodziei? Wprawdzie duch kupiectwa nie jest zbyt korzystnym dla moralności, a stary „Sirach“ mówi: „Jako igła tkwi w murze pomiędzy jednym a drugim kamieniem, tak grzech tkwi między kupującym a sprzedającym“. Kto najgorliwiej brał udział w pochodach krzyżowych? Oto Genueńczycy, Pizanie i Wenecyanie (słynni z swych kupieckich zdolności, które też były źródłem ich bogactw). Czyż skłaniały ich do tego jedynie religijne pobudki? Cały sekret handlującego jest kupić tanio, a drogo sprzedać, a ztąd wynika, że kupujący ze sprzedającym muszą być zawsze w stosunku niezbyt przyjaznym. Kupujący nie może znać się na towarze tak jak ten, który go sprzedaje i wyzyskuje tę nieznajomość rzeczy; dla tego kupujemy też po większej części krajowe wyroby za zagraniczne a nawet zamorskie; róg prosty—za szylkret, trzcinę ze swych stawów—za indyjską; a ileż to imitacyi wydał ząb słoniowy i pióra strusie! albo sago palmowe, które żywi indyjan lepiej niż chlebowe drzewo, a u nas ma mniej pożywnych części od ryżu lub jęczmiennej kaszy. Warto byłoby, żeby panowie moraliści ogłosili konkurs na najlepsze rozstrzygnięcie zadania: „o ile dozwolonem być może w handlu wyzyskiwanie nieznajomości rzeczy kupującego“. Niemniej też przydałoby się ograniczenie wyzysku innych przemysłowców, postępujących nieraz wbrew prawom ludzkości, a mających się przytem za dobroczyńców. Pewien mularz np. przy budowie domu spadł z rusztowania i zabił się na miejscu; pozostała wdowa z czworgiem dzieci przyszła błagać o pomoc. „Oto macie“, rzecze przedsiębiorca, „zapłatę za całkowity dzień roboty, chociaż wasz mąż i ojciec zabił się o 9-ej rano“. Słusznie też odpowiedział ktoś bogatemu fabrykantowi, chwalącemu się z dumą, że żywi przy swej fabryce 500 ludzi. „Pozwól pan sobie powiedzieć, że to oni pana żywią“. Kupców korzennych nazywają też „materyjalistami“, co

dało powód do zabawnej pomyłki gdy La Mettrie, słynny materyjalista, (t. j. zwolennik filozoficznej szkoły, widzącej początek wszystkiego w materyi), przyjechawszy do Berlina, zapytał na widok ładnego domu: „Kto też tu mieszka?“ „Na dole mieszka materyjalista N.N.“, odpowiedziano mu. „Co? materyjalista!“ wykrzyknął Le Mettrie i nie słuchając dalej, wbiegł do mieszkania, rzucił się na szyję zdumionemu kupcowi, którego wziął za jednego z rzadkich adeptów tej samej co on szkoły. Wenus miała powstać z morskiej piany, ale Merkury musiał wyleźć z morza Martwego, utworzonego ze szczątków żydowskich.

Hannibal.

* *W szkole.*

— Tłomacz dalej...

— Hannibal ante portas Romae—Świdrzykowska jedzie do Rzymu.

— Co ty pleciesz?

— A jakże, panie profesorze, przecież ten ustęp jest nawet cytowany przez afisze teatralne...

Hanswursty.

* Reprezentant płaskiego komizmu, czyli poprostu błazen sceniczny, pod nazwą Hanswursta, jest prawie to samo, co Arlekin, Kasperl lub Lippert, Gracioso i t. p., a początek jego istnienia ginie w mroku przedwiekowych czasów. Prawdopodobnie figurował on już w grach satyrycznych u Greków, a Cyceron wspomina go pod nazwą „Sannia“, gdy mówi: „Czyż może być coś zabawniejszego, jak Sannio? Śmiać się trzeba z jego fizyjognomii, z jego min, z przedrzeźniania zwyczajów, nawet z jego głosu i całej postaci“. Ów Sannio przeflancował się już w średnich wiekach do przedstawień mimicznych i zyskał wielkie powodzenie we Włoszech, a wziął podobno nazwę Arlekina od włoskiego komika, który był bardzo lubiany i faworyzowany przez ministra *Harley*, przez co go nazwano małym Harley'em czyli zdrobniale „Harleyquno“. Inni twierdzą, że nazwa ta pochodzi od Karola V — „Charles-quint“, nie od cesarza, ale od arcybiskupa paryzkiego tego imienia, który się też nazywał Harley. Mniejsza o to wreszcie zkąd się wziął, dosyć, że rozpowszechnił się i utrzymał wszędzie, a Homel pisał nawet „O prawach Harlekina“. We Francyi do dziś dnia pamiętną jest sława Roquelaur'a († 1683 r.) którą zyskał nie przez swe wojenne czyny, nie jako margrabia, książe, par Francyi, rycerz wielu orderów, jenerał, ambasador i gubernator Guyenny, ale tylko jako Hanswurst. Pewnego razu obiecał był damom dworskim, że im przyśle kosz wybornych brzoskwiń. Istotnie kosz nadszedł i przyjętym został bardzo radośnie, ale przy otwarciu go zapach wcale niemiłej natury zdradził obecność czegoś całkiem niepodobnego do pięknych owoców. Królowa obrażona poskarżyła się za ten żart zuchwały, Roquelaure został wygnany i udał się do Hiszpanii, zkąd jednak wkrótce powrócił i zjawił się w Wersalu w hiszpańskim stroju, siedząc na wózku, napełnionym ziemią. „Czy nie wiesz?“ rzekł król gniewnie na jego widok, „że ci zabroniłem stanąć na francuzkiej ziemi?“ „Ja też stoję na ziemi hiszpańskiej, ale na jakiejkolwiek bym nie był, pozostaję wiernym sługą waszej królewskiej mości“. Ludwik XIV roześmiał się i darował mu karę. Żona Roquelaur'a powiła bliźnięta trochę za prędko po zamążpójściu i dzieci te były ogromnie podobne do króla, co małżonka czyniło bardzo rozdrażnionym i kwaśnym. „Mianuję cię księciem“, rzekł mu wtedy Ludwik. „Et père“, dodał Roquelaure, co miało znaczyć „ojcem“, albo „parem“. „Dobrze, i parem“, odparł król, ale „sprawuj się lepiej na przyszłość a zapomnę o przeszłości“. Roquelaure powrócił do domu i zastał właśnie duże zebranie u żony, do której odezwał się: „Pani! mianuję cię księżną, zapominam o przeszłości, ale sprawuj się lepiej na przyszłość“. Möser wypowiedział wszystko, co tylko jest do powiedzenia o hanswurstach, w swojej:

„Obronie grotesko-komizmu przez Harlekina“. „Kiedy wszyscy“, mówi ów Harlekin Mösera, „od monarchy do rzemieślnika przychodzą i śmieją się na moich przedstawieniach, kiedy biskup zapomina wtedy o swej trzodzie, minister o swych planach, jenerał o swoich bitwach — jeden uczony tylko siedzi na swym starym fotelu i obrachowuje, czy te przedstawienia mogą się podobać albo nie; moja familija z Bergamo, należąca do najdawniejszych, bo uszlachcona jeszcze przez cesarza Mathiasa, mogłaby się słusznie żalić na to; ale jeden z naszych przodków zalecił nam, aby tych panów zostawić w spokoju przez wzgląd na blizkie nasze pokrewieństwo; wszyscy doktorzy mogą zaświadczyć, że ktokolwiek zaszczycił swą obecnością przedstawienia moje, nie mógł zachorować na niestrawność, choćby po najobfitszej kolacyi. Są chwile w których człowiek nie jest zdolny ani myśleć, ani czytać, ani niczem się zająć; takie chwile, pozostawione są memu staraniu: mojem zdaniem jest zapełniać je i uprzyjemniać; wtedy i dusza mędrców uśmiecha się zadowolona, że zdołałem wstrząsnąć ich flegmatyczne żołądki“. Hiszpanie chociaż tak poważni i nabożni, mieli też oddawna swoich Hanswurstów, przezwanych „Gracioso“, jak Cechini, któremu istotnie cesarz Matthias nadał szlachectwo; Domenique, którego Ludwik XIV widywał z przyjemnością; Carlino czyli Karol Bertinari, który zabawiał Paryżan przez 42 lata, a mając lat 71 jeszcze ukazywał się na scenie; La Roche, którym się zachwycali Wiedeńczycy; — wszyscy oni byli w swoim czasie przedmiotem podziwu, cenieni wielce przez możnych, jak i przez niższych. Carlino bawił cały Paryż pomimo, że sam był hipokondrykiem, a nawet leczył się na to i gdy raz przyszedł do pewnego doktora i żalił mu się na swe cierpienia, którym nic nie może przynieść ulgi, lekarz, nie znając go, rzekł: „Spróbuj pan uczęszczać codziennie na przedstawienia Carlina“. „Niestety“, odrzekł smutnie pacyent, „ja to sam jestem tym Carlinem!“ Carlino, Domenico, Tommasino — we Francyi, Sacchi we Włoszech, La Roche w Austryi, mają swe miejsce w historyi jak bohaterowie. Hanswurst jest nieśmiertelny i ma więcej rozumu w swoim małym palcu jak niejeden poważny niby-mędrzec w głowie. Leper był najlepszym arlekinem w jednej ze słynniejszych trup teatralnych: zachciało mu się raz grać tragiczną rolę Katona; poważny i głęboki, siedział na scenie, filozofując o śmierci i nieśmiertelności, z wzrokiem nieruchomie utkwionym w górę; zwykle wchodzący syn przerywał monolog ojca; ale raz jakiś figlarz wygnał z za kulisów na scenę wielkiego pudla, który wpadł zamiast oczekiwanego syna, a Kato-Leper, słysząc kroki, deklamuje: „Czego chcesz, mój synu?“. Publiczność w śmiech, wtedy Leper spostrzegł pomyłkę i musiał śmiać się także. Gdy znikli ze dworów urzędowi błaźni i trefnisie, zastąpili ich niejako hanswursty na scenie, gdzie wyszydzali fałszywą godność i cnotę i zdzierali maskę łotrom. Le Cain, lubiany bardzo przez biskupa Arles, przyszedł raz do niego zaproszony na obiad, i zastał towarzystwo ludzi dystyngowanych, którzy zrobili wielkie oczy, widząc go siadającego do stołu; każdy myślał tylko, jakby go poniżyć; zaczęto rozmowę o różnych wypadkach życia i losu, kierującego ludźmi; gdy kolej przyszła na Cain'a, wszyscy natężyli uwagę z wielką ciekawością, a on zaczął w te słowa: „Muszę zacząć historyję moją od rodowodu mych przodków, dla wykazania, że mam honor być spokrewnionym z arcybiskupem Arles; mój prapradziad bowiem musiał być Arles I, gdy ja jestem *Arles-quint* (czyli 5-ty)“. Ten dowcip tak rozbawił wszystkich, że porzucili swoje imponujące miny i serdecznie witali a nawet ściskali owego arlekina. Nikomu tak nie ujdzie jak hanswurstom mówić wszystkim w oczy prawdę, gdyż w ich ustach jest ona najmniej dotkliwą. Hanswurstów zaś znajdujemy zawsze, jeżeli nie na scenie, to wśród prostego niezepsutego ludu, który nie zna fałszu i potrafi nam powiedzieć prawdę, jeśli jej tylko posłuchać

zechcemy. „Ze szczerem sercem, z wesołym uśmiechem, mówić prawdę jak Hanswurst, nie jest wcale grzechem“.

Haraburda.

* Ostroróg, wojewoda poznański, zaciągnąwszy znaczny dłużek u szlachcica pewnego, wcale się nie troszczył o uiszczenie winnej należytości. Kilka razy przypominał mu się szlachcic, a że to był pan znakomity, przeto wszelkie starania uboższego szlachcica były bezskuteczne. Już był postanowił nie upominać się więcej u twardego pana swej ubogiej sumki, gdy w tem przypadkowo przybył do niego pewien wyjadacz, który straciwszy własny swój mająteczek, puścił się na włóczęgę. Był to słynny pieniacz i rąbajło, cokolwiek na jedną nogę utykał, bez trzech palców i jedno-oki. Twarz miał haniebnie pokiereszowaną, a do tego jeszcze wąsy sumiaste czyniły go prawdziwem straszydłem. Wszystkie te blizny odniósł on po części od Tatarów, po części zaś od zwadliwych przeprawek z bracią szlachtą.

Po zwykłem przywitaniu i smacznej przekąsce, rozpoczął przybysz pogadankę o pieniactwie, jako ulubionym swym przedmiocie. A gdy wpadł w zapał i wychwalał swoją zręczność w sprawach pieniężnych z najtwardszymi dłużnikami, zwierzył mu się gospodarz, że ma dług u wojewody poznańskiego, którego odebrać nie może.

— Mater Dei! co też wasze mówisz! — zawołał przybysz, uradowany taką nowiną, gdyż to właśnie była woda na jego kamień.—Czy podobna tak obojętnie siedzieć? ja bym samemu lucyperowi wydarł z gardła, gdyby mi co był winien. Pozwól że mi, panie bracie, pochodzić koło tej sprawy, ostatnie oko moje stawiam, jeżeli nie wydobędę od niego tej krwawo zapracowanej sumki waścinej.

— Wolno wam panie bracie robić co się podoba, lecz uważajcie, że to nie lada orzech, którego wam zgryźć potrzeba, a jeżeli wam się uda niebezpieczna ta wyprawa, niech będz waszą połowa należącej mi sumki.

— Otóż udam się w podróż i obaczę, cz pan wojewoda ma w samej rzeczy ostre rog

Jak mówił, tak też zrobił. Przed wschode słońca już był na nogach i po krótkiem śniad niu pocwałował na dobrym podjezdku do pan Ostroroga. A że to było tylko dwie mile drog przeto dosyć wcześnie stanął u celu swej po dróży. Wpadając obces na dziedziniec pała cowy, zatrzymał się u słupa, na którym były trzy kółka do przypinania konia, podróżnego: kółko żelazne było dla chłopów, srebrne dla szlachty, złote zaś dla magnatów, po czem też poznawano gości, konno przybywających. Ale bohater nasz, aby zaraz na samym wstępie cały dwór zainteresować sobą, przedzierzgnąwszy trenzlę przez wszystkie trzy kółka, dążył swobodnie ku pałacowi. Właśnie wtedy stał w oknie wojewoda, przypatrywał się pilnie nieznajomemu i wysłał pacholę w celu powzięcia jakiej wiadomości o przybyłym gościu. Lecz pacholę z niczem powróciło.

— No, któż tam taki — zawołał niecierpliwie wojewoda?

— Nie wiem, przybyły nie chciał ze mną gadać.

— Do którego kółka przyczepił konia? przecie musiałeś widzieć.

— Panie! przez wszystkie trzy kółka tręzle przewiązał.

— Oho! to zawadyjaka jakiś, jednooki, kulawy, to istny Asmodeusz. Zawołać mi marszałka i podstarości niech tu przyjdzie, bo to jak uważam, na sucho się nie obejdzie.

Cały dwór pospieszył na pokoje pańskie, a nawet panny respektowe i nierespektowe, ot tak sobie niby panny, wcisnęły się do salonu dla dogodzenia swej zbytecznej ciekawości.—Nareszcie wszedł nasz bohater i na znak powitania magierką do koła machnąwszy, zagaił poselstwo swoje od następujących wyrazów.

— Jaśnie wielmożny wojewodo! Kiedy się żółcią i octem wymacerowanej pamięci liczne

stawiają i bykują serwadony, trudno nie suspirować z Enceladem, taka albowiem jest teraźniejszych czasów wydestelowana stablatura, że na sztafirowanych tylko fantazyjach regrandyzować się musi, a prawie, jako się domyślam, cały świat teraz na figlach wisi. Gdzie owe dawne dziędzierzysto ufortelowane fortece, w których teraz nie masz i ładunka, które na stoporczonym wierzchołku zaglądały do nieba! Wszystko to starożytność, jako w owych dodonejskich drzewach robak, z ziemią zrównała. Tobym ja słusznie teraźniejszym przypisał czasom, co tam cymbalista krokodylowi na cynamonowym drągu namalowanemu przydał. Napatrzyć się to było owych bohaterów, totumfackich junaków z fordymentem' którzy to ostrym bułatem, albo szczerbatym na Propendyty straszydłach demeszem, dobrze nieprzyjacielskie karki kiereszowali w pień, a dziś pod sobolem i wilkiem zajęcze ukrywa się serce. Zażywaliśmy pokoju i konwersacyi, każdy przecie, czy ubogi, czy bogaty, kontent był ze swego, cóż kiedy nastąpiła owa niefortunna odmiana, że każdy teraz ma swego mola, co go gryzie, ustawicznie w fasołach i rozterkach się zostaje, a po dawnych czasów przysmakach, z odartych tylko substancyi drapaniny, ugryzkami niefortuna zaprawia konfitury. Pieczone przedtem do gęby latały gołąbki, a teraz wszystko jako z kamienia idzie. Przedtem obszerne, rozłożyste płynęły lata, a nasze potomne wieki jako wyrodki przy nich zmalały. Zawsze sobie w komperdymencie życzliwych chęci bezpiecznie, specyjalnie spacyjerował afekt, a teraz wszędzie laserowania nieszczerością życzliwość i jakimsi nieukontentowania blejwasem, albo cynobrem, tu się więc maże, tu się zaś pisze. Dawniej *verbum nobile* krępowało szlachcica, stał przy niem sierdzisto choćby na samej piekła pieczarze, a dziś zabrawszy manatki, jako szuszwałek wynosi się od nas precz. Ale stój, przebóg! dokąd cię szalona myśl unosi? jeszcze ręka nasza nie skurczyła się i szablica z pochwy błyśnie, potrafim uskromić dzikie twe zapędy. W tej samej sferze Tadeusz Grzymalita, pan na Hołobokach, wysełając mnie Haraburdę Kukufata w te prześwietne progi, przypomina się łasce waszej jaśnie wielmożny wojewodo i zaleca poświęcać mu usługi moje dotąd, póki pożałowanie pożądane nie nastąpi. A gdy się spełnią życzenia pana Tadeusza Grzymality, natenczas urośnie sława Haraburdy Kukufata, a wam, jaśnie wielmożny wojewodo, będzie za to sempiterna; *dixi*".

Wszyscy okropnie wybałuszyli oczy na niego, gdyż na samym wstępie nie pochwalił Boga i prawił o rzeczach, o których nikt nie miał wyobrażenia. Jeden tylko wojewoda, domyślając się o co rzecz idzie, odezwał się: „Obaczym, kto kogo przemoże". Tymczasem wydał rozkaz, żeby pana brata we dworze pomieszczono. Służbie zaś osobno polecił, żeby mu różnemi sposobami dokuczała, ku czemu i sam niepospolicie przysposobił się. Pierwszego dnia powolna była służba rozkazom pańskim, do obiadu zaproszonemu nie dali łyżki, o czem wiedząc wojewoda, zawołał: „Kiep ten, który barszczu nie zje". Kukufasio sierota pomiarkował, że jest celem szyderstwa, wziął chleb, wykroił sobie potężną łyżkę, zjadł barszcz i tryumfująco odparł: „Kiep ten, co łyżki swojej nie zje". Konfuzyja spotkała wszystkich siedzących przy stole, gdyż nikt nie mógł łyżki zjeść, prócz pana Haraburdy. Lubo trafił na swego wojewoda, jednak nie tracąc miny, chciał jeszcze przy końcu obiadu z niego zażartować. A ponieważ Kukufasio siedział na szarym końcu, przeto z pełnym kielichem powstawszy, zawołał: „Wiwat ten i tamten koniec!". Na co powstawszy Haraburda, rzekł: „Dziękuję wam wojewodo tym i tamtym końcem". Wielka zniewaga przerwała dalszą biesiadę, która miała być na niekorzyść gościa wyprawioną; każdy udał się do swego gabineciku, by odpocząć cokolwiek po obiedzie. — Na kolacyi nowa była historya z Haraburdą. Zamiast krupniku dano mu tylko czystą polewkę. Nie wiele myśląc, począł się rozbierać, już buty ściągnął, gdy wo-

jewoda zmieszany zawołał: „Co wasze robisz, panie bracie?

— Cóż? myślę dać nurka, może jaką krupę ułowię.

Kazał mu tedy odmienić misę i dać prawdziwego krupniku.

Nazajutrz zmieniła się postać rzeczy. Haraburda znalazł łaskę w całym dworze, służba przylgnęła do niego, jak do brata. Najlepsze kąski jemu się dostawały, fraucymery nawet często powtarzały: przedziwny ten sobie Kukufasio. A na domiar zgorszenia w sam dzień piątkowy cała garderoba jak we młynie huczeć poczęła. Fraucymery gżą się. Gwałtu Kukufasio! śmieją się, piszczą, płaczą, krzyczą, wiszczą, a stołki, stoły i ławy w największym ruchu tartas pomnażają. Nareszcie brzdęk! najpiękniejszy gąsiorek rozleciał się w drobne kawałki, woda się wylała i Kukufasio wyleciał z garderoby, a za nim posypały się przekleństwa: „A bodajże cię wyniesiono! bodaj cię paralusz naruszył“.

Nie w smak to poszło wojewodzie, że prawie cały dwór przeciw niemu rokosz podniósł. Podczas obiadu, gdy Haraburda smacznie rybę z ikrą zajadał, od niechcenia odezwał się do niego: „Panie bracie, zarybisz sobie żołądek“.— ,,Niech i tak będzie“. odpowiedział Haraburda, „ale pierwszy spust dla was wojewodo“. — Rubaszna konfuzyja sprawiła powszechne milczenie i przyczyniła się niezmiernie do zaspokojenia niezmyślnego apetytu Haraburdy, który po obiedzie wziął się jeszcze do sera. Ukroił jeden i drugi kawałek i gdy do trzeciego się zabierał, wojewoda przemówił: ,,Panie bracie, wszak to parmezan“, dając mu do zrozumienia, że to nie ser pospolity, ale kosztowny.

— Tem lepszy — trzeci kawałek wpakował do gęby.

— Ale panie bracie, kto tego sera dużo zjada, ten struć się może.

— To doskonale! dobrze, że wiem o tem, mam ja towarzysza bardzo niegodziwego, chciałbym się go pozbyć, to go tym serem poczęstuję —i resztę schował do kieszeni.

Wojewoda ścisnął tylko ramionami i poszedł do swego gabinetu. Ale gdy się zdrzymał cokolwiek, strzał z ruszniey obudził go i niemiłe na nim zrobił wrażenie. Spojrzał w okno, a tu drugi i trzeci strzał pada z domu pana marszałka. O zgrozo! w piątek odprawia się wesoła biesiada. Skaczą, wrzeszczą, tłuką, świszczą, ledwie domu nie rozwalą. Zgorszony wojewoda udał się do domu marszałka i w miarę tego, jak się zbliżał, gasła wrzawa, lecz nie z bojaźni broń Boże, siła trunku zamykała im gęby i z nóg jednego po drugim waliła. Gdy drzwi otworzył, wszyscy już leżeli prócz Haraburdy. Marszałek z pod łóżka zawołał jeszcze: ,,Kuku“ i na tem skończył. Zawtórował mu jąkający się podstarości: ,,Fa-fa-fasio“ i głucha cisza nastąpiła.

— Cóż to panie bracie, pobojowisko? — zawołał wojewoda.

— Ależ to lichota, odezwał się Haraburda, po dwa kieliszeczki (wskazując na puhar półgarncowy) wypili i już wszyscy pokotem leżą. Ja dopiero co zakosztowałem, piłbym jeszcze, a tu nie ma z kim.

— Wasze byś całą piwnicę wypił, jak widzę, rzekł rozgniewany wojewoda i poszedł do pałacu. Już mu się przykrzyć począł Haraburda, ale cóż miał robić, kiedy postanowił go z niczem wykurzyć z domu swego. Z niemałem podziwieniem postrzegł, jak na kolacyi całą misę kaszy zjadł Haraburda i szczęśliwa myśl przebiegła mu przez głowę: ,,zapewne drugiej misy zjeść nie potrafi“. Wesoło tedy odezwał się: ,,Wiesz co, panie bracie, jeżeli jeszcze jedną misę zjesz kaszy, to ci oddam dług pana Grzymalita, a jeżeli nie zjesz, to baty weźmiesz i fora ze dwora, a to dzisiaj jeszcze.

— Dlaczego bym nie miał zjeść, kiedy chodzi o wygranę, zgoda, proszę o kaszę — zawołał Haraburda.

Podano tedy misę kaszy, którą jaknajwyraźniej bez najmniejszego natężenia zjadłszy,

dopominał się o zapłacenie długu. Ale wojewoda nie chciał dać pieniędzy.

— Ha nu! jeżeli nie chcesz wypłacić długu, to ja ci twoją kaszę wrócę, wojewodo. I porwał misę i włożył palec w gardło; ale wojewoda, przerażony tą obrzydliwością, rzucił mu worek pieniędzy. „Szczeźnij, bierz i wynoś mi się precz, a to zaraz".

— Albo ja co ukradł, żebym się po nocy tłukł, jutro rano sobie wyjadę.

— Twój Grzymalita mógł był przecie kogo uczciwego do mnie posłać, nie takiego oczaj...

— Tak, poczciwszych do poczciwszych wysyła pan Grzymalita, a do wojewody takiego jak ja oczajduszę.

Oburzony wojewoda śmiałą tą odpowiedzią, splunął tylko i poszedł do swego gabinetu, a nie mogąc się zemścić na nim, kazał koniowi jego ogon uciąć. Haraburda, udając się na spoczynek, przeczuwał, że mu jakiego figla przy końcu wypłatają; przeto bardzo rano wstał, gdy jeszcze wszyscy spali i poszedł do stajni, gdzie z niemałem podziwieniem spostrzegł, że koń jego był bez ogona. Wnet dobył nożyka i czterem koniom pańskim wargi poobrzynał, a sam wsiadłszy na konia, cichaczem wyniósł się ze dworu.

— Szczęśliwa droga!—zawołał z okna wielce uradowany, że mu się psota udała, wojewoda. A gdzie to waściu rumak ogon stracił?

— Śmiejcie się wojewodo z mego podjezdka, rzekł Haraburda, ale idźcie no do stajni, tam się lepiej ubawicie, gdy zobaczycie, jak się wasz cały cug śmieje z mego bachmata - i zwinął chorągiewkę.

Harbuz.

* Kiedy kawaler starać się zamyślał o pannę, musiał w dom jej rodziców przyjechać z poważnym przyjacielem, w asystencyi i paradzie. Obaj wchodzili przy pałaszach; dziewosłąb odpasywał szablę, ale pan młody uchybiłby domowi, gdyby ją na największe i najusilniejsze błaganie odpasał lub konie wyprządz pozwolił; musiały one stać w podwórzu choćby dwadzieścia cztery z rzędu godziny. Bawiono się kieliszkiem do kolacyi, która o losie konkurenta stanowiła. Zwyczajem było stawić na stół wszystkie potrawy; jeżeli przed kawalerem był półmisek z gęsią, prosięciem na szaro, harbuzem czy kawonem, znak to był, że wszystkie interwencyje dziewosłęba i prośby usilne na nic się nie przydały. Harbuz ztąd i w mowie pospolitej stał się synonimem odmówienia.

Pamiętniki Jana Duklana Ochockiego.

Hart duszy.

* Przymiot właściwy tylko tym ludziom, co mają duszę ze stali. Kucie odbywa się w kuźni, zwanej życiem. Często z tej kuźni wychodzi się czarnym jak węgiel, ale mocniejszym od stu terminatorów kowalskich. Terminować w tej kuźni trzeba nieraz bardzo długo, ale w końcu wychodzi się na tęgiego majstra. Szczęśliwe społeczeństwo, które dużo posiada takich majstrów.

Hartley.

* W roku 1811 rycerz Szymon Sztuart Hartley przeglądał stare kroniki rodzinne i spostrzegł na odwrotnej stronie aktu kupna czy sprzedaży zaledwie dostrzegalną notatkę, iż pradziad jego za panowania Cromvella, zakopał w dokładnie oznaczonym miejscu 15,000 sztuk złota. Hartley, zebrawszy konieczne wskazówki co do miejscowości, począł kopać tam ziemię i znalazł rzeczywiście w wielkim garnku żelaznym skarb z umieszczoną wewnątrz kartką z takim napisem: „Wpierw otrzyma to dyjabeł, niż Cromvell!"

Hawke.

* Kiedy sławny admirał angielski Hawke, jeszcze jako mały chłopczyk, był pierwszy raz na morzu z ojcem swoim, tenże polecił mu, aby dobrze się sprawował, a kiedyś może zostać kapitanem okrętu. „Zostać kapitanem?" zawołał chłopiec, „kochany ojcze, gdybym nie był pe-

wien, że zostanę admirałem, wolałbym nigdy morza nie widzieć!“

Haydn.

* Haydn odbył dwie podróże do Londynu. Podczas drugiej bytności w stolicy odwiedzał często sławną śpiewaczkę, panią Billington, której talentem się zachwycał i wzajem hołdy odbierał za swój genijusz i dowcip. Oto jedna z jego anegdot, któraby ujmy nie przyniosła największemu wytwornisiowi.

Pani Billington sławnemu Reynoldsowi, którego talentem naród się szczycił, poleciła zrobić swój portret. Artysta przedstawił ją jako świętą Cecyliję ze wzniesionemi ku niebu oczami, słuchającą śpiewu rzeszy aniołów. Po ukończeniu posiedzeń, Billington prosiła Haydna, żeby wydał swe zdanie o portrecie; kompozytor przyjrzał się mu uważnie, wreszcie rzekł: — Portret jest bardzo podobny, ale posiada jeden wielki błąd. „Jakiż to?“ pytała zaniepokojona Billington (Reynolds był temu obecny). „Oto malarz przedstawił panią, słuchającą śpiewu aniołów, a powinien był przedstawić aniołów, słuchających śpiewu pani.“

* Haydn miał szkatułkę, napełnioną drogocennemi tabakierkami, zegarkami. pierścieniami, medalijonami i innemi podarkami, które otrzymał od monarchów europejskich, jako to: cesarza austryjackiego, francuzkiego, króla pruskiego, hiszpańskiego, neapolitańskiego i innych. Mówiąc o niej, często Haydn powtarzał: „Kiedy życie czasem da mi się we znaki, patrzę na te dary i ta myśl mnie pociesza, że byłem kiedyś czczony przez całą Europę.“

* Haydna odwiedził raz pewien rzeźnik. Wyraziwszy na wstępie uwielbienie swoje dla jego muzyki, przełożył otwarcie kompozytorowi swą prozbę. Oto znając jego dobroc i uprzejmość, mając w nim całe zaufanie, połączone z przeświadczeniem, że co Haydn zrobi, dobrze zrobi, ponieważ Haydn według jego zdania jest największy pomiędzy mistrzami i najpiękniej układa menuety... zatem on, rzeźnik, ośmiela się prosić o ułożenie menuetu dla jego córki, mającej w tych dniach obchodzić swoje wesele. Dobroduszny Haydn uśmiechnął się na ten nowy rodzaj hołdu i napisał na termin menueta, którego rzeźnik, wyrażając artyście swą wdzięczność i dziękczynienie, zabrał. Po kilku dniach Haydn usłyszał na ulicy muzykę instrumentową i ze ździwieniem poznał w niej nowego menueta. — Wychyliwszy się za okno, zobaczył pod swym balkonem wołu ze złoconemi rogami i orkiestrę wędrowną, grającą z zapałem. Z tłumu wystąpił rzeźnik, wyraził najrzód artyście swoje uczucia i zamknął mówkę następującemi słowy. „Jako rzeźnik, nie mogę lepiej wyrazić mej wdzięczności za ślicznego menueta, tylko składając wielkiemu artyście najpiękniejszego i najtłuściejszego mego wołu.“ I nie odszedł dopóty, dopóki wzruszony Haydn nie przyjął wołu w upominku. Od tego wypadku pochodzi nazwa wołowego menueta.

* W roku 1770 popadł Haydn w niebezpieczną gorączkę, z której doktór podjął się go wyleczyć pod tym warunkiem, żeby się niedotykał fortepianu. W parę dni później żona Haydna, wychodząc do kościoła, przykazała służącej, żeby pilnowała pana, a nadewszystko nie pozwoliła mu grać. Haydn udał, że nie słyszy tego rozkazu, ale zaledwie żona wyszła z domu, posłał służącą za pilnym sprawunkiem na ulicę, sam zaś poszedł chwiejąc się do fortepianu... Pierwsze akordy nasunęły mu myśl całej sonaty, a zanim żona powróciła, pierwsza część arcydzieła była już gotowa. Słysząc obracający się klucz w zamku, skrył się coprędzej do łóżka i w niem dokończył kompozycyi.

* Kiedy Haydn w drugiej swojej podróży do Anglii przejeżdżał przez austryjacką granicę, celnicy zapytali go, czem jest. „Artystą tonów“, odrzekł Haydn. „Co to jest?“ spytał jeden urzędnik, drugiego. „Zdaje mi się, że to będzie

garncarz," odpowiedział celnik. „Niezawodnie," wtrącił Haydn. „A ten," dodał wskazując na swego służącego, „to mój wspólnik."

Händel.

* Kiedy Händel w czasach swego niepowodzenia w Londynie nie znalazł ani amatorów, ani słuchaczy na swoje opery i oratorya a małe grono przyjaciół żaliło się, że sala zawsze pusta, Händel odpowiedział: „To nic nie szkodzi, muzyka tem lepiej rozbrzmiewać będzie.

Hecquet.

* Opowiadają o sławnym francuzkim lekarzu Hecquet, że odwiedzając często swoich bogatych pacyjentów, szedł zwykle do kuchni, uścisnąć z temi słowy kucharza: „Mój drogi przyjacielu, jakże ci jestem obowiązany za nieocenioną usługę, jaką wyświadczasz nam, doktorom... Gdyby nie wasza sztuka kucharska, cały fakultet medyczny musiałby zejść na skromną usługę szpitalną."

Hegel.

* Dziwnie, że czasem cały duch obrazu
Wymaluje się nam jako cherubin
I stanie w myśli widzącej odrazu,
W oczach szmaragdy mając, w ustach rubin
I gwiazdę nakształt bladego topazu
Ponad warkoczem! Jest to duch zaślubin
Z naturą, który nad Dźwiną i Preglem
Chodzi w surducie i zowie się Heglem.

Heim.

Pewna dama opowiadała Heimowi, że cierpi gwałtowne bóle głowy i przykłada wtedy dla ulgi kwaszoną kapustę. „Czy pan nie masz nic przeciwko temu?" zapytała w końcu. „O, wcale nie," odrzekł poważnie doktór, „tylko na przyszłość nie zapomnij pani dodać do tego kawałek kiełbasy."

* * *

Pewna młoda matka nudziła często doktora Heima rozmaitemi pytaniami w kwestyi zdrowia swego małego synka. Po wytrzymaniu go raz dobrą godzinę, radząc się ciągle, czy to lub owo jest dobre lub szkodliwe dla malca, przypożegnaniu doktora spytała w końcu jeszcze u drzwi: „Czy ośle mleko może być dobre?" „O tak, bardzo dobre dla młodych osłów," odrzekł wychodząc Heim.

* * *

Uniwersytet berliński mianował w r. 1814 feldmarszałka Blüchera doktorem filozofii. Wkrótce potem na wielkim obiedzie u kanclerza państwa, księcia Herderberga, Heim znalazłszy się obok Blüchera, gdy ten nazwał się jego kolegą, wzniósł toast: „Niech żyje młody doktór, książe Blücher!" na co tenże, biorąc za kielich, rzekł w odpowiedzi: „Niech żyje feldmarszałek doktorów, mój kolega Heim."

* * *

W pewnem wesołem zebraniu, przy stole, zaczęto w końcu mówić o przechodzeniu dusz. Jeden z wysokich urzędników rzekł: „Jeżeli już moja dusza miałaby przejść w bezrozumne zwierzę, to niechbym przynajmniej został alpejską krową, która pędzi życie swobodne w pysznych okolicach górskich, wśród woniejących pastwisk, pielęgnowana starannie przez wszystkich." „Jeżeli chodzi o takie zmysłowe szczęście," odezwał się na to Heim, „to lepiej być świnią, bo ta jest jeszcze staranniej pielęgnowana i pasiona, używa w pełni rozkoszy życia, o czem przekonać się można patrząc, z jaką uciechą nurza się w błocie lub wygrzewa na słońcu." Wszyscy się śmieli, ale przy rozejściu ów dygnitarz rzekł jeszcze do doktora: „A więc, mój kochany Heim, jeżeli dusze nasze wędrują, to ty przechodzisz w świnię?" „Być to może," odrzekł Heim, „ale waszej ekscelencyi radziłbym już lepiej zostać wołem, aniżeli krową."

Heine.

* Mędrzec z językiem, najeżonym kolcami i sercem, najeżonem brylantami. Kochał za

dużo i za gorąco, nienawidził często dla tego, że kochał, a kochał tylko tych, których nie mógł nienawidzieć. Nie władał nigdy bronią a jednak zadawał śmiertelne ciosy. Był też z niego niezgorszy śpiewak, który do końca życia śpiewał same kuplety, ale w sposób tak ujmujący, że po śmierci czasem je słychać jeszcze. W listach swoich z Paryża dowiódł, że i śpiewacy kupletów mają czasem serce, bijące miłością dla... niemych, ale nie głuchych.

* Heine Henryk był raz w restauracyi, gdzie mu podano zupę z ryżu z pływającą w niej muchą. „Przepraszam," rzekł Heine, „nie obstalowywałem zupy z ptactwa domowego!"

* W ostatnich dniach życia Heinego odwiedził go w Paryżu przyjaciel, wchodząc właśnie do pokoju wtedy, kiedy dwie dozorczynie przenosiły chorego na świeże łóżko. „Jakże się miewasz, kochany Henryku?" zapytał przyjaciel. „Bardzo dobrze," odrzekł Heine „jak widzisz, zawsze mnie kobiety noszą na rękach."

Helota.

* Kasta niewolników greckich, która żyje dotąd, lecz w przeobrażonych kształtach. Heloci greccy byli niewolnikami dla tego, że nie byli panami – heloci obecni są niewolnikami dla tego, że pragną koniecznie być panami. Helotami obecnie są też i panowie. Pan Alfons jest helotą Icka Grubermila, któremu płaci po 100% na miesiąc, ale za to jest panem całą gębą. Reporter jest helotą swego redaktora, ten znów wydawcy, a i ten chyba czyimś helotą być musi, a wszystko to dla tego, aby po pańsku żyć, ubierać się i umrzeć.

Hennike.

* Kiedy późniejszy saski minister dworu, hrabia Hennike, był jeszcze młodym człowiekiem bez przyszłości, służył jako pisarz u radcy stanu Garmona w Merseburgu. Ponieważ nie okazywał się dość dokładnym i porządnym w swych gryzmołach, radca uderzył go kilka razy w twarz, a kiedy Hennike nic sobie z tego nie robił, Garman dodał mu niedługo jeszcze jeden policzek. Z czasem ów Hennike został ministrem, a kiedy po śmierci ostatniego z książąt Merseburskich w imieniu króla odbierał publicznie od radców przysięgę, zbliżył się doń stary Garman, Hennike poklepał go po ramieniu i pocałował go, mówiąc: „Jeżeli ci zapomnę twego, Bóg niech mi zapomni mego! On zrobił mnie człowiekiem."

Henryk IV.

* Gdy za panowania tego króla dwóch znanych lekarzy, porzuciwszy kalwinizm, przeszli na katolicką wiarę, Henryk IV odezwał się do ministra Sully'ego kalwina: „Mój przyjacielu, twoja religija musi być bardzo chora, kiedy doktorzy ją opuszczają."

* Podczas, gdy cały dwór Henryka IV używał ślizgawki na Sekwanie, a król chciał się ślizgać wraz z innymi, Bassompierre oparł się temu mówiąc, że lód się pod nim załamie.

— A przecież tam się ślizgają bez wypadku — rzekł król.

— To prawda, ale oni nie tyle ważą — odrzekł Bossompierre.

* *Między dwoma przebudzeniami.*

Markiz d'Ambres, który był zbiornikiem starych anegdot, opowiadał, że raz Henryk IV, przebudziwszy się w nocy, woła pana de Bellegard, który spał z nim razem i proponuje mu, aby podzielił swój urząd szambelana z wice hrabią de Farenne — i że następnie przebudziwszy się po raz drugi, w niespełna dwie godziny, zaproponował mu znów, aby ustąpił połowę swego urzędu szatnemu panu Roquelaure.

Bellegard miał jakoby odpowiedzieć:

— Dobrze, dobrze, Najjaśniejszy Panie, ustąpię, tylko zastrzegam sobie, iżbyś się nie przebudzał już więcej.

(L'abbé de Choisy, *Memoires*).

* *Młodość Henryka IV.*

Falstaff. Henryczku, która tam godzina na kompasie?

Ks. Henryk. Tak ci stępiło dowcip picie starych win, rozpinanie się po obiedzie i sypianie przez pół dnia na ławie, że o co innego pytasz, nie o to, czego się chcesz dowiedzieć. Skąd ci u licha kompas przyszedł do głowy? Gdyby godziny były kieliszkami, skazówki kapłonami, cyferblaty karczemnemi szyldami, a słońce piękną nierządnicą w jaskrawej sukni, tobym rozumiał twe pytanie; lecz gdy tak nie jest, nie widzę w niem najmniejszego sensu.

Falstaff. Masz słuszność, chłopcze: my rewizorowie kieszonkowi zwykliśmy chodzić przy świetle miesiąca i siedmiu gwiazd, a nie przy promieniach Feba. Proszę cię, kochany szałapucie, jak zostaniesz królem, — czego daj Boże dożyć Waszej Cześci (Waszej książęcej Mości— powinienbym powiedzieć, bo cześć nigdy nie będzie twym udziałem).

Ks. Henryk. Co? co!

Falstaff. Nigdy, powiadam; nawet przez taką odrobinę czasu, jakiej potrzeba do połknięcia ostrygi.

Ks. Henryk. No, no, cóż dalej? Wyśpiewaj, co miałeś na języku.

Falstaff. Otóż, kochany szałapucie, pamiętaj, jak zostaniesz królem, wydać rozkaz, aby nas nie nazywano złodziejami za to, że nad piękność dnia przekładamy piękność nocy. Każ nas zwać łowczymi Dyjany, rycerzami ciemności, ulubieńcami miesiąca; i wara ludziom oskarżać nas o złą konduitę, bo, jak morze, ulegamy szlachetnym, czystym wpływom Luny, pod której protekcyją — rewidujemy kieszenie.

Ks. Henryk. Dobrze mówisz i porównanie twoje stosowne. My, bohaterowie księżyców, mamy także przypływ i odpływ, bo księżyc tak samo na nas działa jak na morze. I tak naprzykład: worek złota najmężniej przez nas zdobyty we środę w wieczór, we czwartek zrana najnikczemniej zostaje przez nas wypróżniony; wzięty przy okrzyku: *oddaj!* a wypróżniony przy okrzyku: *podaj!* Dziś mamy odpływ tak wielki, jak ostatni szczebel drabiny, a jutro mieć możem przypływ tak wysoki, jak szczyt szubienicy.

Falstaff. Na Boga! prawdę mówisz, chłopcze. — Ale powiedz-no, czy nasza oberżystka nie jest, co się nazywa, wdzięcznem stworzeniem?

Ks. Henryk, Tak wdzięcznem, jak ukradziony kaftan złodziejowi, mój ty stary chłopcze do butów. A kaftan z bawolej skóry nie jest że, co się nazywa, wdzięcznem odzieniem?

Falstaff. Co? co znowu, waryjacie! Dałbyś pokój takim konceptom i facecyjom. Co mi, u licha, po bawolim kaftanie?

Ks. Henryk. A mnie co u licha po twojej oberżystce?

Falstaff. Tyle razy ją przecież wzywałeś do obrachunku.

Ks. Henryk. Ale-m ciebie nigdy nie wzywał do płacenia.

Falstaff. Co prawda, to prawda, uiszczałeś się jej za nas obydwóch.

Ks. Henryk. O ile tylko mój worek mógł nastarczyć; a kiedy w nim materyjału brakło — używałem w pomoc kredytu.

Falstaff. I zużyłeś go do tego stopnia, że gdyby nie było do przypuszczenia, że jesteś przypuszczalnym następcą tronu, to... Ale powiedz-no, kochany szałapucie, czy będą w Anglii szubienice, jak zostaniesz królem? I czy ten stary pryk, *vulgo* zwany prawem, będzie tak jak teraz zardzewiałem wędzidłem dokuczał ludziom silnej woli? Nie wieszaj mi złodziei, jak zostaniesz królem, proszę cię o to.

Ks. Henryk. Nie, tobie to zostawię.

Falstaff.. W to mi graj! Na poczciwość doskonałym będę sędzią.

Ks. Henryk. Jużeś teraz błędnie osądził. Powiedziałem, że będziesz wieszał złodziei, to się ma rozumieć własnemi rękami. W tem rzemiośle możesz dojść do doskonałości.

Falstaff. Dobrze, Henryczku, dobrze. Wolę wieszać hultajów, niż wieszać się przy hultajach; możesz mi wierzyć.

Ks. Henryk. Cóż przez to rozumiesz?

Falstaff. Rozumiem przez to, że wolę być wieszaczem, niż wisielcem.

Szekspir. (p. str. 92.)

* Henryk IV przejeżdżał raz przez małe miasteczko, zkąd naprzeciw niego wyszła miejska deputacyja. Jeden z urzędników przyjął nawet króla długą mową i jeszcze jej nie skończył, kiedy osioł, będący w pobliżu, począł ryczeć z całej siły. „Jeden po drugim, panowie", rzekł król, „jeden po drugim, gdyż nie jestem w stanie was zrozumieć."

* Kiedy Henryk IV pewnego młodzieńca pasował na rycerza, a ten ukląkłszy, zaczął mówić zwyczajną formułę, zaczynającą się od tych słów „Panie! nie jestem jeszcze godzien..." Król przerwał mu, mówiąc: „Wiem o tem dobrze, ale stało się to z polecenia markizy N... Powinieneś za to jej podziękować!"

* Henryk IV, który lubił przygody, zabłąkał się raz w lesie Saint-Germain i spotkał tam uzbrojonego rabusia. Zimna krew królewska onieśmieliła łotra i na zapytanie monarchy, jaki jest jego proceder, odpowiedział—że jest aptekarzem. „Zapewne przyjacielu", zauważył król „czekasz na przejeżdżających, żeby im dać w potrzebie enemę, w takim razie lepiej żebyś się trzymał brzegów strumienia, niż środka lasu."

* Henryk IV, król francuzki, rozgniewał się raz na posła hiszpańskiego, mówiąc: — „Jeżeli monarcha—twój pan—ciągle nowych pretensyi i krzywd będzie dochodził, ja chwytam za broń i wkrótce ujrzycie mnie w Madrycie!" „Czemu nie?" odparł ozięble Hiszpan, „i Franciszek I był tam także!" [1])

[1]) Franciszek I, król francuzki, po krwawej bitwie pod Pawią uwięziony przez Hiszpanów, jako jeniec dostawiony został do Madrytu.

* Tenże król spotkał raz w jednym z salonów Luwru człowieka podejrzanej powierzchowności. „Do kogo należysz?" zapytał król. „Należę do siebie", odpowiedział grubijańsko nieznajomy. „No, to masz źle wychowanego pana, mój przyjacielu," rzekł król spokojnie.

* Kiedy Henryk IV, król Nawarry, będąc w krwawej bitwie, ujrzał, że go swoi odstępują, zawołał gromkim głosem: „Jestem królem dzielnych ludzi, a kto mnie opuści, godzien nazwy tchórza!.." Od tej chwili nikt go nie opuścił...

* Kiedy ktoś przyniósł Henrykowi IV anagram, ułożony z jego nazwiska, za który znaczną odebrał nagrodę, król go zapytał: „Jakie jest twoje zatrudnienie?" „Królu!" odpowiedział tenże, „mojem zajęciem jest układanie anagramów; mimo to jestem bardzo biedny..." „Chyba dlatego", odrzekł dowcipnie król, „oddajesz się bowiem bardzo lichemu rzemiosłu."

Henryk VIII.

* Henryk VIII, król angielski, pamiętny swojemi nieszczęśliwemi żonami, z których dwie kazał ściąć w więzieniu, chcąc się po raz siódmy ożenić, wysłał do siostry króla duńskiego własnoręczny list z propozycyją małżeństwa. Księżniczka również własnoręczną przesłała mu odpowiedź. Brzmiała ona w ten sposób: „Dziękuję za zaszczyt okazany mi przez Waszą Wysokość; przyjęłabym go z radością, gdybym posiadała dwie głowy, że jednak mam tylko jedną i tę pragnęłabym na dłużej zachować, zatem upraszam o wyrozumiałość, iż poważę się odrzucić oświadczyny Waszej Królewskiej Mości!"

* Pomiędzy wielu dziwacznemi prawidłami etykiety dworskiej znalazł miejsce umieszczony ręką Henryka VIII następujący przepis: „Przybywający do zamku nie powinni zatrzymywać się na schodach, żeby rozmawiać z służebnemi dziewczętami, gdyż z tego powodu zauważono wiele potłuczonych naczyń stołowych."

Herbata.

* *Herbata w historyi.*

Wszak znasz trojańskie dzieje — Eneasz przed
[laty,
Zaproszon od Dydona na szklankę herbaty,
Niezrażony przestrzenią i morza ogromem,
Nie sam jeden pojechał, ale z całym domem
I ze wszystkiemi sprzęty własnej gospodarki:
Włożył Jowisza w kieszeń, a ojca na barki,
I przewiesił przez plecy posiłek sowity,
Z Pryamowskiej gorzelni flaszkę okowity.
A kurząc z krótkiej fajki tabakowe liście,
Na tyryjskie salony wkroczył posuwiście.
W dziejach starych i nowych — jeżeliś ich
[świadom —
Przypatrzysz się do syta podobnym przykładom:
Cyrusy, Daryjusze, Likurgi, Perykle,
Których bohaterami nazywają zwykle,
Których sława z przed wieków aż dotąd się
[nie ćmi,
Szli zawsze na herbatę z żonami i dziećmi.
Raz Pompejusz, Rzymianin rozgłośny u świata,
Zaprosił na herbatę króla Mitrydata.
Lecz że nie zawsze środki dobrym chęciom
[służą,
Samowarek maleńki, a gości miał dużo;
Ujrzał, że mu przychodzi wstydzić się wi-
[docznie,
Struchlał rzymski bohater i rozmyślać pocznie:
— „O gdyby się z kłopotu wykręcić zwycięzko!
Dałbym chętnie augurom sto wołów na mięsko;
Uczciłbym olimpijskie Junony, Cerery,
Wypiłbym na cześć Bacha kieliszek madery,
Kazałbym — jeśli w niebie taki ślub przyjęty—
Mojemu fagasowi dać sto kijów w pięty.
Lecz żaden ślub niestety! i żadna ofiara
Nie zwiększy objętości mego samowara!“
Tak gdy biedny Pompejusz w daremnej ra-
[chubie
Gładzi jeno czuprynę i swe wąsy skubie,
Wzywa niebieskie siły i piekieł otchłanie,
Nowy koncept do głowy przyszedł niespo-
[dzianie;
Więc, jak niegdyś Archimed, wykrzyknął:—Eu-
I list do Mitrydata posyła przez Greka, [reka!
A w liście były takie wyrażone myśli:
Chcesz pić u mnie herbatę? to samowar przy-
[szlej!

Syrokomla.

* *Herbata tańcująca.* Obrazek karnawałowy.

Herbata tańcująca!!... Proszą... by się
[zjawić...
Bo „*panny*“ mają „*zamiar*“ — dzisiaj się za-
[bawić...
Iść muszę!.. Choć nie lubię gołych panien
[„*nacyi*;“
Mizdrzy to się i mizdrzy — a nie da kolacyi!!...
No! — lecz ponieważ dzisiaj „*proszony*“ jest
[Wtorek,
To — może jaki bęben złuszczył już fawor ek
I z brzydkich — za to starych — panny Zuzi
[rączek,
Kartoflami nadziany—„*nie wyjedzie*“ pączek!!...
„*Włożę frak*“ — trochę ciasny — bo — od
[kancelisty...
Biorę parę mankietów — i kołnierzyk czysty,
Reguluję „*lakierków*“ zboczenia i wady,
Bujne włosy namaszczam słoikiem pomady.
Robię „*loczki do przodu*“ na angielski spo-
[sób!!...
Bo — pewno zaprosili ze dwadzieścia osób!!...
„*Łapowiczki nadziewam...*“ parę razy prane,
Ale bardzo „*uczciwe...*“ chociaż „*używane*“!!...
„*Włokę się...*“ Trum!... tum!... tum!... tum!...
[Poleczkę „*dryndolą*“ —
„*Włażę...*“ Cóż to u dyjabła?... każda para
[*solo?*
Z „*młodych*“ wszyscy poleźli... każdy w swoją
[stronę!
Przybiegają dwie panny... (troszeczkę spocone),
To córki gospodarza!!... proszą mnie do tańca,
Idę... witam się, kłaniam .. dają mi sztur-
[chańca...
Aż nareszcie „*na siłę*“ puszczamy się walca...
Dalibóg skromny jestem... żaden ze mnie
[chwalca...

Ale tańczę jak „anioł.“ Więc ująwszy kibić,
Chciałem „drobnych“ hołubców kilkanaście [wybić,
Gdy się panna poślizga, właśnie ważną [nogą!!...
Ledwiem wstrzymał „pedały!!...“ Tańczę swoją [drogą,
Ale wszystkie hołubce — z impetu przepadły!..
Bodaj panny poślizgłe... wszystkie czarty [zjadły!!...
Lecz to nic, choć straciłem wdzięk na tym po- [pisie...
W „polce“ albo „ten tego,“ to wydamy my [się!!...
Brawo!... ma być kontredans!... Lubię kontre- [dansa,
W tym tańcu swą budowę pokazać jest [szansa —
A więc jakąś „niewinność“ chwyciwszy za [ziobro —
I obrawszy miejscowość przyzwoicie dobrą,
Zaczynamy wyjeżdżać. — Ja już zapał czuję,
I na honor podłogę z „wdziękiem froteruję.“
Wszystkich się kobiet oczy zwracają przy- [jemnie...
Gospodarz się uśmiecha... widać... kontent ze [mnie...
Bo gdy była — tak sobie — okazyjka dana...
To „ten tego“ — a potem małego „kankana.“
Przyszła piąta figura!... A więc żyj „szu- [fladko!“
Moja panna nogami „zbierała“ dość gładko —
Ale nie wiem „ki dyjabeł“ wlazł mi znów w „pe- [dały...“
Że gdy chciałem pokazać — urok i wdzięk [cały...
(Zwłaszcza, że w progu stały dość przystojne [sługi..)
Kładę się — panie tego — tak jak jestem [długi!!..
Wszyscy w śmiech!... i śmieją się jak gdyby [waryjaci...
Bodaj was z „balami“ — wzięli wszyscy kaci.

Q... ba.

Heyle.

* Doktór Heyle, autor sławnej Kosmografii, zbłąkał się raz na drodze z Londynu do Oxfordu. —Nagle spostrzegł nadjeżdżającego służącego brata, zatrzymał go więc, mówiąc: „Ach jak to dobrze Janie, że cię spotykam, wyprowadź mnie na dobrą drogę, gdyż nie wiem, w którą stronę mam się obrócić, żeby dostać się do Oxfordu“. „Mój Boże! co też pan mówi! —odrzekł zdumiony Jan — opisał pan cały świat, a w takich nędznych krzaczkach drogi znaleźć pan nie umie?“

Hidalgo (szlachcic hiszpański).

* Pewien rycerz hiszpański, szlachetniej urodzony niż sam król—lepszy katolik, niż sam papież—a bardziej goły, niż sam Hiob—zatrzymuje się w nocy przed jakąś oberżą we Francyi i dobija się, aby mu otworzono.

Oberżysta wychyla głowę przez okno i pyta, kto tak kołacze?

„To ja — odpowiada Hiszpan — don Juan-Pedro-Hernandez-Rodriguez de Villa-nova, hrabia de Malapra, caballero de Santiago y d'Alcantara“.

„Panie — rzekł oberżysta — bardzo mi przykro, ale nie mam dość pokojów na pomieszczenie tylu gości. .“ — poczem zamyka okno.

Charpentier.

Hierarchija.

* *Szczególna hierarchija.*

— Powiedz mi Józiek, kto z was najstarszy?

— Pani majstrowa.

— Dla czego?

— Bo bije majstra.

— A potem kto?

— Majster — bo wymyśla czeladnikom, czeladnik bije chłopców, a chłopcy są najmłodsi — bo ich wszyscy biją.

Świąteczny.

High-life.

* Znane u nas towarzystwo, które utworzywszy klub pod mianem angielskiem, przyjęło za prawidło mówić tylko po francuzku, a prowadzić się po chińsku. Interesy klubu stoją bardzo źle, a likwidacyą zająć się ma międzynarodowy bank *postęp* wspólnie z towarzystwem gazowem *oświata*.

Higjena.

* Na tańcującym wieczorku jeden z młodych danserów z całego grona zebranych dam upodobał sobie jedną już nie bardzo młodą i ogromnie korpulentną jejmość, którą raz po raz brał do tańca; po czwartym czy piątym turze walca, gospodyni domu, widząc tego wytrwałego dansera całego oblanego potem i ziejącego zaledwie ze zmęczenia, zbliżywszy się doń, rzekła: „Czemu pan nie wybierzesz sobie lżejszej danserki, nie brakuje tu przecież młodych, ładnych i powiewnych panien“. „O tak pani“, odrzekł zagadnięty, „widzę to, ale doktór, który mnie ma w kuracyi, zalecił, abym o ile można starał się jaknajczęściej i najwięcej pocić, otóż taniec z tą damą jest wybornym na to środkiem i staram się z niego korzystać; o przyjemności myśleć mi nie wolno, higjena przedewszystkiem“.

Hilary.

* *Dla czego pan Hilary nie dostał pieniędzy na weksel.*

Pan Hilary, dzierżawca Głodowic, nie miał ani grosza przy duszy. Zdarza się to najporządniejszym ludziom, nietylko dzierżawcom, ale i właścicielom.

Co gorsza, pan Hilary, nawiedzany kolejno różnemi rozkoszami żywota wiejskiego, jako to: nieurodzajem, gradem, pożarem, księgosuszem, ospą owczą, kradzieżą sześciu koni i t. d.—pożyczał przez parę lat na prawo i na lewo, aż wyczerpał do ostatka najrzód kredyt, a potem cierpliwość krezusów całego powiatu. I to się zdarza najporządniejszym ludziom.

— Co ja pocznę? co ja pocznę? — wołał zrozpaczony pan Hilary, przyciskając kułaki do łysiny, pod którą tłoczyły się czarne myśli, jak nieprzymierzając, pozłacana młodzież do cyrku. Wiosna już się zaczęła... roboty czekają, a tu ani wołu, ani konia, ani czem zapłacić najemnika, ani ziarnka w śpichrzu na ordynaryję... dalibóg, można głowę stracić!

Słowa te były zwrócone do pana Jacentego, dzierżawcy sąsiedniej wioski, który, lubo nie tak przyciśnięty biedą jak pan Hilary, śpiewał jednak cienko i jedyną pomocą, jakiej mógł udzielić, była: dobra rada.

Przyznajcie że i to coś warte.

— Sąsiedzie, odezwał się pan Jacenty, jeżeli chcesz zaryzykować podróż do Warszawy, tobym ci coś powiedział...

— Co takiego?

— Może znalazłby się sposób dostania pieniędzy...

— Ba, gdyby się znalazł, to dla pięciuset rubli nietylko do Warszawy, ale na dno piekła bym pojechał!

— Otóż uważaj. Jest w Warszawie bankier, bardzo bogaty i poczciwy człowiek.

— A zkądże wiesz o tem?

— Słuchaj tylko. To feniks płótnokracyi...

— Chyba plutokracyi...

— Tak, tak... pluciokracyi... tylko mi nie przerywaj. Otóż, pół roku temu Stertkowski był akurat w takich opałach, jak ty dzisiaj... przypomniał sobie, że kiedyś, w Karlsbadzie, poznał się z bankierem. Skoczył tedy po rozum do głowy, i nie namyślając się długo, poszedł do bankiera, przedstawił mu swoje smutne położenie i tak jakoś umiał trafić mu do duszy, że na prosty weksel dostał tysiąc rubli.

— Ale on mnie nie zna...

— A Stertkowski co? ot, prosta znajomość kąpielowa. Zresztą, jedź do Stertkowskiego i nie popuść go, dopóki ci nie da listu rekomendacyjnego.

* * *

W trzy dni potem pan Hilary zadzwonił do podwoi bankiera. Lokaj otworzył, wprowadził gościa do wspaniałego salonu, odebrał od niego bilet wizytowy i wszedł do przyległego gabinetu, zkąd przez drzwi wpółotwarte dolatywały urywki rozmowy.

Pan Hilary usiadł i czekał.

Po chwili lokaj powrócił, oznajmiając, że bankier jest w tej chwili zajęty, ale wkrótce przyjmie gościa.

Pan Hilary został tedy sam jeden w salonie—i znowu czekał.

W gabinecie zapanowało chwilowe milczenie, poczem znowu rozpoczęła się rozmowa, której pan Hilary mimowoli zaczął się przysłuchiwać, najprzód z roztargnieniem, a potem z coraz żywszem zajęciem.

Głos jakiś odezwał się:

— Nie powiem, żeby był zły, ale pan żądasz za dużo.

— Za dużo? pan dobrodziej żartuje; przecie idzie tylko o sześćset rubli—odparł głos drugi.

— Tak... sześćset rubli nie stanowi wielkiej summy, ale jeśli nie wart tyle...

— Jakto nie wart? Wszakże to Vouwermann!

— Co też pan mówisz! któż mi za to poręczy? gdyby to był Vouwermann, to byłby i jego podpis, ot tu, na dole, albo z drugiej strony... przecież ja się znam na tem trochę...

— O! nie wątpię...

— Słuchaj pan—mówił znowu głos pierwszy — gdyby tu był podpis Vouwermanna, to dałbym bez wahania nie sześćset rubli — nie tysiąc, ale trzy tysiące!...

Pan Hilary zerwał się z krzesła.

— Trzy tysiące! za jeden głupi podpis!... A zatem bez podpisu nie mam się co pokazywać... chce podpisu Vouwermana... dobrze, dobrze...

I wziąwszy kapelusz ze stołu, wyniósł się po cichutku ze salonu, nie czekając przybycia bankiera.

* * *

Jeszcze pan Hilary nie zdążył zsiąść z bryczki przed swoim dworkiem, a już wołał na chłopca z kredensu:

— Michałek! Michałek! nie był tu dziś Abramko?

— Był proszę pana, pytał, czy pan nie potrzebuje owsa do siewu.

— I poszedł już?

— Mówił, że posiedzi chwilę w karczmie u Jośka.

— Biegajże co tchu do karczmy i przyprowadź go natychmiast!

W pół godziny potem, Abramko faktor wszedł do kancelaryi pana Hilarego i kłaniając się w pas czapką, zapytał:

— Wielmożny pan czego potrzebuje?

— A tak, mój Abramku...

— Może owsa, jare żyto? mam dobre, tylko nie chcą kredytować...

— Nie, nie, tu idzie o co innego; podpiszesz mi weksel.

— Weksel? ja? albo to ja wielmożnemu panu co winien?

— Ot, pleciesz... masz przecie u mnie jeszcze faktorne za buraki... ale o tem potem... słuchajno: chcesz zarobić trzy ruble?

— Nu, czemu nie?

— No, to mi podpiszesz weksel.

Żyd poskrobał się w głowę.

— Co wielmożnemu panu przyjdzie z mojego podpisu? Ja przecie nie bogacz... ot, żeby chciał podpisać Goldborn albo Silberkopf, to co innego... ale ja, co bez ciężkie prace uzbierał ledwie paręset rubli, to kto co da na mój podpis?

— Już moja w tem głowa... ja wiem, że poczciwy i że ludzie tobie ufają, więc masz kredyt... ot, co jest!

— Nu, to prawda...

— Widzisz... a jak kto ma kredyt, to więcej znaczy niż gotowe pieniądze... albož to ja nie wiem, że jak szepnąłeś jedno słowo Rubinerowi, to pożyczył Stękalskiemu tysiąc rubli na marne dwanaście procent?

— Nu, Stękalski stęka, ale on odda w terminie...

— I ja oddam... pszenica wyszła z pod śniegu jak złoto... żyto niezgorsze... niechno pogoda w żniwa dopisze, zobaczysz, że oddam... widzisz, mnie potrzeba podipsu, ot tu, na drugiej stronie... dostaniesz trzy ruble, a nawet kulawy pies nie zapyta, dla czego się podpisałeś.

Abramko, znęcony zyskiem trzech rubli, rozważył, że jego podpisu nikt nie uzna za ważny, że wekslu nikt nie przyjmie, że mu zatem nie grozi żadne niemiłe zajście z trybunałem handlowym. Usiadł więc, podpisał, wziął trzy ruble, a pan Hilary, chowając weksel do kieszeni, wykrzyknął:

— I ja jestem Archimedesem! i ja mogę zawołać: Eureka!

* * *

— Pan Hilary... zameldował lokaj, otwierając drzwi do salonu.

— Jeżeli się nie mylę, rzekł bankier, witając gościa, to tydzień temu byłeś pan u mnie i odszedłeś nagle, nie czekając...

— Tak jest, szanowny panie, wybąknął nieco zmięszany hreczkosiej; byłem w sprawie pożyczki... na weksel... ale nie miałem poręczyciela i dowiedziawszy się, że ta formalność jest niezbędną, nie chciałem bezużytecznie trudzić pana dobrodzieja...

— A teraz masz pan podpis żyranta?

— Mam, właśnie taki, jakiego pan dobrodziej żądał. Z tego też tytułu ośmieliłem się podnieść summę z pięciuset rubli na trzy tysiące.

— Z jakiego tytułu?

— Pan dobrodziej mówił, że na podpis Wuwermana da pan bez wahania trzy tysiące rubli...

— Ja?

— Tak jest; było to przed tygodniem... słyszałem mimowoli całą rozmowę. Otóż...

I przy tych słowach pan Hilary wyjął z kieszeni pugilares, z pugilaresu weksel i podał go bankierowi. Ten wziął kartę ostemplowaną do ręki, przeczytał i rzekł:

— Wuwerman? cóż to za jeden?

— Poręczyciel, żyrant...

— Ależ ja nie znam żadnego Wuwermana...

— Jakto? przecież na własne uszy słyszałem jak pan mówiłeś, że za podpis Wuwermana dasz trzy tysiące rubli?

— Ja mówiłem? A! a! tydzień temu... przypominam sobie... ale, szanowny panie... ja wtedy kupowałem obraz, który mi przedstawiono jako dzieło Vouwermanna...

— Na moim wekslu jest to samo nazwisko...

— Nie panie... słynny malarz flamandzki nazywał się Vouwermann, a na pańskim wekslu jest podpis: „Abraham Wuwerman“. Za taki podpis nie dam i dziesięciu rubli... ani na obrazie, ani nawet na wekslu.

— Więc to był malarz? — bąknął pan Hilary.

— A ten jest zapewne faktor, dorzucił bankier. *Litera docet, litera nocet*, kochany panie...

* * *

Pan Hilary w rozpaczy wrócił do domu, ale ma jeszcze nadzieję, że się wyratuje, bo Abramko, wdzięczny za trzy ruble, tak łatwo zarobione, wyjednał mu pożyczkę u Rubinera, za skromną opłatą trzech od sta na miesiąc.

Ego.

Hiperbola.

* Podczas wojennych rozruchów jeden z francuzkich gwardzistów narodowych pisał do swego znajomego:

— Piszę do ciebie, kochany przyjacielu, trzymając w jednej ręce szablę, a w drugiej pistolet.

Hipokryzyja.

* Hipokryzyja — to hołd, jaki występek składa na ofiarę cnocie.

La Rochefoucauld.

Hipokondryja.

* *Hipokondryja chirurga.*

Znany chirurg X. popadł w hipokondryję. ‚Niestety,“ żalił się przed swym przyjacielem, „nic już nie jest w stanie mnie zabawić: nawet, gdy mam ucinać rękę albo nogę.“

Hirak.

* Słynny francuzki doktór Hirak na łożu śmierci utracił przytomność, nie poznawał nikogo, a mimo to zachował świadomość swej naukowej wiedzy lekarskiej; na kilka dni przed zgonem wziął się machinalnie prawą ręką za puls lewej i rzekł: „Za późno przyzwaliście mnie; choremu upuszczono krwi niepotrzebnie, zamiast go leczyć czyszczącemi środkami; ale źle się stało i nic go już nie uratuje. Najwyżej ma 3 do 4-ch dni życia.“ Słowa te sprawdziły się co do joty.

Historycy.

„Historyja nie jest niczem innem jak bajką ułożoną za wspólnem porozumieniem.“

Określenie to pewnego francuzkiego autora, jest niestety prawdziwe, jeżeli nie w zupełności, to po części. Historyja ma dwie strony: jedną odkrytą, drugą zatajoną; pierwsza musi często ukrywać prawdę; druga zaś nie chce jej wyjawić, z tej przyczyny największy zwolennik historyi musi dać reszcie za wygranę. Historyja jest powieścią, w którą się nie wierzy. Historycy książkowi sądzą jak ślepy o kolorach, ale ludzie, którzy żyli w świecie i na dworach, myślą inaczej. Barillas chwalił się, że przez lat trzydzieści nigdy nic nie jadł po za domem, tak samo uczeń jego St. Real; czyż tacy mogą być prawdziwymi historykami? Historyja jest w oczach myśliciela wielką tragi-komedyją; zbyt długo bowiem była ona sprzysiężona z możnymi. Historyja natury rozwesela, ale historyja ludzi robi na przyjacielu ludzkości wrażenie smutne i przygnębiające; a ileż to okropności zniknęło, zagrzebane w ciemnościach nocy i grozy, przez wyrzutków społeczeństwa. Zważywszy tylko, co się dzieje z historyją obecnej chwili, jak często jakiś wypadek, którego byliśmy prawie naocznymi świadkami, opowiadany bywa w najrozmaitszy sposób, tak, że trudno dojść wątku, rzetelnej prawdy, cóż można spodziewać się po historyjach, spisywanych z przed wieków? Wielcy ludzie znajdują zawsze czcicieli, którzy ich dzieje mimowoli przeistaczają; znajdujemy przykłady tego u Greków, Rzymian, Arabów, jak i później, np. w pismach Las Cazes'a o Napoleonie, który sam powiedział: „les veritables verités sont bie difficiles à obtenir pour l'histoire“ („Prawdziwe prawdy są bardzo trudne do zdobycia dla historyi“). To też zawsze historyja przybrać musi zwrot inny. Arka Noego, koczowisko izraelitów, świątynie Salomona i t. p. nie będą zawsze stanowić głównego obrazu na tle historyi świata. Wybrany lud boży przestanie być pierwszym narodem na ziemi; państwa greckie i ich królowie, nie będą wyróżniani od kacyków, lub niemieckich książąt; nie będzie się zawsze porównywać zwycięzcy z pod Münden z wodzem Milcyjadesem, Pita z Demostenesem, a żeglarzy naszych z Argonautami; znane są dziś pomniki starsze od podań mojżeszowych; a nawet historycy kościelni pozwalają sobie zmieniać swój święty sposób zapatrywania się i śmiać się z wybryków ludzkiego umysłu. Puffendorf pierwszy wpłynął na to, że historyja zmieniła duch swój hebrajsko-grecko-rzymski, na więcej europejski. Wolter zrobił ją kosmopolityczną, jak on sam. Anglicy dodali jej gustu; a niemiecki Schlötzer traktował ją z innego punktu, uważając historyję jako prawą rękę polityki. Historyja przestała już być spisem nazw i liczb, tak mozolnym i odstręczającym dla wielu; nie jest już owym „Światem w orzechu“ Weigels'a, „Katechizmem“ Klübner'a, albo „Światem obrazowym,“ w którym autor dla łatwiejszego wbicia imion w pamięć uczniów przedstawiał każdą historyczną figurę z dodatkiem, odpowiadającym jej nazwie; ponieważ był niemcem, więc i te jego „obrazy“ mogły się tylko przydać niemcom. I tak: „Sem“

wyobrażony był przez młodzieńca, zajadającego bułkę (*Semmel*), „Ham“ trzymał młotek; (*Hammer*), Eutropius jaje; (Ei), dalej bawi się w lepszą grę słów: więc Ja-ffet (tłusty); wyobrażony jest jako tłuścioch z dużym brzuchem; Kodrus jako Koth-russ (Błoto i sadze) okryty jest błotem i sadzami; Pyrrus, przedstawiony jako patron piwoszów, siedzący zamiast na tronie; na beczce i t. p. Historyja nie jest dziś jedynie prostą, litanją imion królów, książąt i papieży, i łamigłówką chronologiczną; stała się ona powoli podniosłą a praktyczną nauczycielką ludzkości, która za pomocą przeszłości uczy nas zapatrywać się jaśniej na czasy bieżące i czyni nas mądrzejszymi i lepszymi. Bolingbroke mówi o historyi, że powinna być „filozofiją nauczającą za pomocą przykładów; a Mably chce ją mieć „szkołą moralności w czynach;“ taką też staje się ona dzisiaj; a chociaż jeszcze niekiedy brak jej podstawy, zawsze jest gruntowniejszą od hypotez idealizujących filozofów. Pedanci nie chcą zrozumieć, że nie słowa ale czyny przemawiać powinny i wpływać na umysły; jako trofea Milccyjdesa oddziałały na Temistoklesa, a pomnik Aleksandra Macedońskiego na ognisty umysł Cezara. Noty i cytaty—oto co jest najpotrzebniejsze. Życiorysy mogłyby być najużyteczniejszym produktem historyi, gdyby były tylko pisane z sensem, prawdziwie i w duchu filozoficznym. Mogłyby one tworzyć mężów, jak to już czynił Plutarch, niemal fantastyczne postacie, tak jak życiorysy świętych w wiekach średnich. Życiorys słynnego człowieka można zawsze dwustronnie napisać, jakby o dwóch różnych ludziach. Przykładem tego to, co pisano o Fryderyku Wielkim lub Napoleonie. Ale mało który znów historyk zdobędzie się na tak nędzne pochlebstwa, jak Schirald, który za „Życie Karola VI“ obdarzony został szlachectwem; odmalował Karola VI jako wielkiego człowieka, do czego nigdy nie mógł rościć pretensyi; był sobie dobrym człowiekiem w życiu prywatnem, ale nic więcej: księża zabawiali go bigoteryją, praktykami; przepisał on sobie zawczasu cały ceremonijał żałobny, jaki ma być na jego pogrzebie i ilość mszy, jakie mają odprawić za jego duszę; czyż to nie godne śmiechu? A jednak i Köhler, zacny i uczciwy człowiek zkąd inąd, zakończa swoją „Historyję państwa“ z r. 1736 temi słowy: „Po pierwszym i piątym, bogini sławy stworzyła Karola VI, czyż był kiedy większy od niego na świecie?“ Francuzcy historycy Choisy i Mezeray byli już całkiem inni ludzie. „Jak się do tego weźmiesz,“ pytał pierwszego z nich książę Burgundzki, „żeby powiedzieć o Karolu VI, że był głupim?“ „Powiem po prostu, że był głupim,“ odpowiedział Choisy. „Dla czego przedstawiasz Ludwika XI jako tyrana?“ pytał Mezeray'a Ludwik XIV. „Najjaśniejszy Panie,“ odrzekł zapytany, „a dla czegóż on był tyranem?“ Względy należą się żyjącym, ale prawda umarłym. Cyceron zalecał historykom jako pierwsze prawo: „Nie ważyć się pisać fałszu, i nie wahać się pisać prawdy.“ Cóż dopiero mówić o autobijografijach? Są to po większej części ułożone powieści; od Ś-go Augustyna, aż do J. Rousseau, wszyscy chcą się przedstawić w korzystnem świetle. Dziedziczną wadą wszystkich jest miłość własna, ale przechwalanie się plami, nawet najbardziej zasłużoną sławę. Mamy takich autobijografów, dla których każdy szczegół, dotyczący ich osoby, jest nader ważny, chociaż rzeczywiście nikogo interesować nie może. Niektórzy podają nie tylko miejsce swego urodzenia, ale miejsce swego poczęcia, wraz z towarzyszącemi okolicznościami. Przyznać tu trzeba, że Jungs i Stillings stanowią wyjątek: ich własne bijografije są dobroduszne i skromne; najuczciwsza wszakże jest autobijografija Adama Bernd, ale też on był waryjatem! — Wielu historyków czuje się w obowiązku dociekać przyczyn ważniejszych wypadków, ale czyż te mogą być kiedy dokładnie znane? Łamiemy sobie nieraz głowę nad pobudką działań naszych bliźnich, a chcielibyśmy dociec pobudki polityków i wielkich ludzi! „Małe przyczyny sprowadzają często wielkie wypadki,“ jak to już napisał Micher.

Temi drobnemi przyczynami bywają: kobiety, osobista nienawiść, zazdrość, ospałość wodza, lub nudy rządzących, często nawet jedno „bon-mot.“ Miłość dała nam Corneilla i Higerta; złodziej leśny — Szekspira; talent poetycki Szyllera obudził się najprzód z okazyi zsiadłego mleka. Gdy Horacius Kokles umarł na swą ranę w nodze, matka Korjolana trochę wcześniej zeszła z tego świata, i gdyby Maulius Kapitolinus spał był o kwadransik dłużej, nie figurowałoby może wcale w historyi światem rządzące rzymskie państwo. Mały promień wody młynarza Arnolda obalił wielkiego Kondesza, zalał pruski kodeks i zatopił adwokatów. Czyż historyja i wszelkie biedy rodzaju ludzkiego nie zaczęły się od jabłka? A wojna trojańska i założenie rozległego państwa rzymskiego czyż nie powstały z przyczyny jednej Heleny i Lukrecyi? Reformacyja w Niemczech była dziełem prywaty; do Anglii sprowadziła ją miłość, a do Francyi bójka uliczna. Projektowany traktat między Henrykiem VII a Papieżem nie doszedł do skutku z tego powodu, że przy ceremonii całowania pantofla piesek angielskiego ambasadora ukąsił Papieża w wielki palec u nogi. Często herbata lub kawa, tytoń, kartofle lub inne potrawy, zacząwszy od soczewicy Jakóba, dokonały większych rzeczy jak Czenhiskan, a nawet Napoleon; ale historyja straciłaby wiele ze swego poważnego, szlachetnego charakteru, gdyby chciała odkrywać tajniki wszystkich drobnych przyczyn, kierujących wielkiemi sprawami. Prawda zyskałaby wtedy, ale czy byłoby z tem lepiej? Akademija francuzka ogłosiła kiedyś, że nie przyjmuje żadnych rozpraw o kwadraturze koła lub o „perpetuum mobile;“ musiałaby podobny wydać zakaz co do dochodzeń pewnych historyków w niektórych kwestyjach jak np. „w której naprawdę stronie leżał raj?“ albo czy istotnie westfalczycy krzyżowali Chrystusa Pana?“ Orosius dał swojej historyi tytuł: „O nędzy ludzkiej.“ Właściwszą byłaby nazwa: „Mizerne sprawy przeszłości, jako nauka życia i przestroga na przyszłość.“

Historyja.

* Gazeta powszechna o niezliczonej liczbie współpracowników, wychodząca bez ustanku, nie bacząc na to, czy ma lub niema prenumeratorów. Współpracownictwo dostępnem jest dla każdego, kto spłodzi utwór, obchodzący cały świat. Może wtedy być pewnym, iż wydrukują mu po śmierci darmo nekrolog. Według zwyczaju w tym dzienniku i nietylko dzienniku, ale i porannej i nocnej gazecie, podobne nekrologje pomieszczają się w dziale przyjezdnych i odjezdnych. Kierunek pisma energicznie postępowy.

* *Historyja przerażająca.*

Zył sobie w niezbyt oddalonej przeszłości szewc, który chełpił się przed wszystkimi swoją odwagą, dodając, że nic go nigdy nastraszyć nie może. Dwaj młodzi ludzie postanowili przekonać go, że się myli i po wspólnej naradzie jeden z nich zawiadomił szewca, że drugi nie żyje i zarazem prosił go, aby przyszedł czuwać w nocy nad umarłym. Majster zgodził się chętnie oddać tę przysługę, ale ponieważ miał właśnie pilną robotę, wziął z sobą warsztat, skórę, narzędzia i zasiadł do pracy przy trupie.

Około północy przyniesiono mu kubek kawy czarnej, by nie zasnął. Wkrótce potem, orzeźwiony napojem zapomniał, że się w obecności zmarłego znajduje i zaczął wesoło przyśpiewywać, wybijając młotkiem takt o podeszwę.

Wtem raptem podnosi się „trup“ i woła głosem grobowym: „Człowiek, który się znajduje w obliczu śmierci, śpiewać nie powinien.“

„Hm,“ mówi szewc z najzimniejszą krwią, powstając i uderzając parę razy młotkiem po głowie „trupa,“ „człowiek, który umrze, nie powinien rozmawiać.“

Zmarły uciekł co miał sił i nie probował więcej straszyć szewca.

* *Znajomość historyi.*

— Wujaszku, a widział wujaszek kiedy „Pochodnie Nerona?“

— O! ma się rozumieć.

— A kto to ten Neron, wujaszku?

— Ner... Neron? to widzisz ma on wielki skład pochodni na Elektoralnej ulicy...

* *Historyja zawikłana.*

Pewien człowiek wdrapał się na poręcz mostu, by z niego rzucić się w bystry strumień, gdy wtem został silnie w tył pociągnięty przez jakiegoś przechodnia, który go zapytał o przyczynę zamierzonego samobójstwa.

— Przyczyną jest nieszczęśliwe małżeństwo — odpowiedział.

— Tak — wyrzekł przechodzień — rozumiem, zapewne przeniewierstwo.

— Nie, wcale nie — odrzekł uratowany — ona była mi aż nadto wierna. Ale słuchaj, co ci będę mówił i powiedz, czy można to wszystko w głowie pomieścić i żyć jeszcze. Moja żona była wdową, gdym się z nią żenił i miała ośmnastoletnią córkę. Ta podobała się mojemu ojcu, który jako wdowiec mieszkał ze mną, ożenił się więc z nią i tym sposobem został moim zięciem, a moja pasierbica została moją matką. Ale to jeszcze nie dość. Gdy moja żona powiła syna, został on szwagrem mego ojca i jednocześnie, jako brat mojej macochy, moim wujem. Ta moja macocha, która, będąc siostrą mego wuja, była zarazem moją bratową, obdarzyła swego męża synem, który został jednocześnie nietylko bratem moim, ale też synem. Moja żona była mi macochą, gdyż żona mego ojca była jej córką; ja byłem mężem mojej żony, a jej wnuk był moim również; a ponieważ mąż macochy jednej osoby jest również jej ojczymem, wychodzi z tego, że ja jestem swoim własnym ojczymem. Prócz tego jeszcze:

— Dość, dość! — wykrzyknął przerażony słuchacz — słuchając tego najmędrszy musi rozum stracić.

Mówiąc to, wskoczył na poręcz mostu, z którego ściągnął swego bliźniego, i — rzucił się sam w potok.

* *Historyja pouczająca, że loteryja propaguje matrymonijum.*

Pan Piotr Birbancki człek bez gotówki, lubiący hulać wśród tego świata, u pewnej, bardzo przyjemnej wdówki, bywał codziennie przez cztery lata.

I mówił zawsze:

— Kocham cię wdówko, bo jesteś damą bardzo przyjemną.

A wdówka czule wstrząsając główką, odpowiadała:

— To się żeń ze mną!

Pan Piotr jednakże, mimo próśb wdówki, czuł, że uczynić tego nie zdoła, bo potrzebował gwałtem gotówki, a wdówka była okrutnie goła.

Lecz chcąc uniknąć spazmów, hałasu, gdy jej odmową wciąż łamał szyki, wreszcie jej wierność chcąc mieć do czasu, to przyniósł ramkę jej do obrazu, to skromną z lawy dał bižuteryję, a dla odmiany pewnego razu, kupił jej cały los na loteryję.

Lecz ledwie klasę ciągnęli drugą, poczuł, że szkoda tracić gotówkę, i zły że z wdówką zna się za długo... bez ceremonii porzucił wdówkę.

Wdówka płakała, jawiła żale, zostawszy sama wśród wielkiej biedy, lecz pan Piotr o tem nie myślał wcale, żeby miał do niej powrócić kiedy.

Fatalność jednak lubi figielki, więc Piotr aż skoczył do samych pował, gdy się dowiedział że padł los wielki na numer, który wdówce darował.

Wnet tedy poczuł wielkie zapały, pobiegł do wdówki, padł na kolana i krzyknął:

— Przebacz, żem był niestały! i bądź mi żoną wdówko kochana!

Uszczęśliwiona wdówka bez miary, przystała chętnie na projekt nowy.

Wkrótce się odbył ich ślub u Fary i rozpoczęli miesiąc miodowy.

. . . .

Gdy ubiegł tydzień w szczęściu, w radości, Piotr, mając wielkie do złota żądze, zapytał głosem pełnym tkliwości:

— Powiedz mi żonko, gdzie masz pieniądze?

— Jakie pieniądze?

— Z wielkiego losu! Mów! Czy chcesz w mem sercu utopić sztylet?

A żona z dźwiękiem naiwnym głosu, rzekła:

— Jam dawno sprzedała bilet.

Pan Piotr z początku klął co się zmieści; zły, że się złapał, żonki nie cenił, lecz się wyleczył wreszcie z boleści i dziś jest kontent, że się ożenił.

A my, choć całkiem brak nam zapału, żeby na złoto łapać się czule, mówim:

— Jeśli chcecie morału, to go znajdziecie sami w tytule.

Świąteczny.

* *Historyja proroka Noego.*

Nasz praszczur Noe świętym był
I chadzał wciąż przed Panem;
Jak ognia tak się wody bał,
A wino pijał dzbanem;
Za to go też miłował Bóg,
I w wszelkiej strzegł przygodzie.
A gdy potopu nadszedł czas,
Nie dał mu zginąć w wodzie.

Przez dni czterdzieści padał deszcz:
Bóg ziemię wodą raził, —
Przez dni czterdzieści Noe pił:
Z pod beczki nie wyłaził.
Tak ocalona ludzkość trwa
I będzie trwać najwieczniej;
A morał ztąd, że: gdzie jak gdzie,
To w szynku najbezpieczniej.

Gdy toń opadła, Noe dank
Jehowie ofiarował,
I obręcz z próżnej beczki zdjął,
I Panu ją darował, —
A Pan ofiarę przyjął rad
I nakrył tą obręczą
Przepaście chmur w przymierza znak,
A obręcz ta — jest tęczą.

Żył potem Noe mnogie dni
I chadzał wciąż przed Panem,
Gdy trunek mu nie plątał nóg,
Bo pijał wino dzbanem;
Wody się tak jak ognia bał,
I była mu przeklęta,
Za to, że nią poraził Bóg
Lud mnogi i zwierzęta.

Aż raz się strąbił praszczur nasz,
Przebrawszy trochę miarki:
Zrobiło mu się... „jakoś tak,“
I... poszedł spać do arki,
I przyszedł Cham i począł drwić,
Że Noe taki ścięty,
I za to Chama skarał Bóg,
I Cham do dziś przeklęty.

Historyi tej moralny sens
Jakby na dłoni leży,
Że świętym jest Noego cech
I drwić zeń nie należy;
Bo kto ze sprawiedliwych drwi,
Gdy pijąc, aż do spodu,
Potrąbią się jak praszczur nasz,
Ten jest — chamskiego rodu!

Chochlik. (p. str. 322).

* *Historyja w życiu kobiety.*

Kobiecych dziejów gwiazda zanim zblednie,
Ma trzech okresów wyraźne znamiona:
Po dniach najmłodszych wschodzą *wieki* [*średnie*
I *starożytność* chmurą obleczona.

W pierwszych o jej sile i potędze
Bojowych dążeń świadczy mięszanina;
W życiu kobiety, jak w dziejowej księdze,
Od *„reformacyi“* okres ten się wszczyna.

W promiennej dobie, tłumiąc uniesienia,
Dziewczę nie walczy o sam tryumf z światem,
I choć tłum mężczyzn wdzięki jej ocenia,
Tryumfująca nie przestaje na tem.

Drobne jej ramię, niestrudzone niczem,
Do innych celów wtedy się wytęża;
Oto chęć wstaje w serduszku dziewiczem,
By zreformować swe życie przez męża.

Nie zawsze jednak dzieje się to samo;
Często weselnych los zabrania godów,
A *wieki średnie* czynią serce bramą,
Przepuszczającą *wędrówki narodów.*

Kiedy zaś runą nadziei pomosty,
Gdy już nikogo nie wabi wzrok łzawy,
Panna poczyna pokuty i posty
I do *krzyżowej* bierze się *wyprawy.*

Czasem się budzi w niej jeszcze głód życia,
Śnią się jej jacyś wielcy i szlachetni,
Ale napróżno czeka ich przybycia
U schyłku *wojny* swej — *trzydziestoletniej.*

Poczem na grobie laurów i korony,
Na gruzach całej snów budowy szczytnej
Wschodzi, jak księżyc we mgłę otulony
Okres dewocyi, *okres starożytny.*

Innym szczęśliwszym, oznaka królowej
Mirtowy wieniec na czole wykwita,
— Ona już dawno zdjęła dyjadem z głowy
I jest dziś sobie — ot, *rzeczpospolita.*

St. Rossowski. (p. str. 57).

* Kobieta nie zna piękniejszej i ciekawszej historyi nad żywot mężczyzny, którego kocha.

J. P. Richter.

* Historyja miłości jest historyją rodu ludzkiego.

Karol Nodier.

Hiszpanie.

„Lepiej jest wierzyć niż roztrząsać."

* Trudno jest uchwycić ogólny charakter hiszpanów. Kastylijczyk jest poważny i zimny; Andaluzyjczyk fałszywy i natrętny; Biskajczyk piękny i zalotny; Katalończyk sztywny, a mieszkaniec Galicyi najbardziej ordynaryjny i szorstki. Fiszer zaś mówi: „Kto chce poznać dobrego, wolnomyślnego hiszpana, niech zajrzy do Walencyi. Są jednak pewne rysy, wspólne wszystkim mieszkańcom Pirenejskiego półwyspu; mały, chudy, smagławej cery hiszpan, o czarnych włosach i takichże ognistych oczach, w ciemnym płaszczu i kapturze, jest we wszystkich prowincyjach równie poważny, dumny i zabobonny do śmieszności. Hiszpanie znani są, jako naród leniwy i ociężały, ale trzeba mieć wzgląd na klimat, upały ciągłe, które mogą bardzo wpłynąć na ociężałość tak ciała jak umysłu. Hiszpanja wydobyła z Ameryki około sześciu milijonów talarów w złocie i srebrze, co sprowadziło rozpustę i zleniwienie mieszkańców. Karol i Filip II, dumni ze swego złota, wstrząsali całą Europę wojnami, aż roztrwonili te milijony. Piękne słońce Hiszpanii, cudowne powietrze, łatwość wyżywienia się—daje ludziom życie spokojne i miłe bez troski i pracy; Hiszpanija jest istotnie rajem ziemskim co do klimatu i urodzajności; nic też dziwnego, że hiszpanie mają się za naród wybrany od Stwórcy i uprzywilejowany przed innymi. Dla tego też tak na tronie, jak w chacie węglarza, używają nazwy „nobles espagnoles" (szlachetni hiszpanie), a nosiwoda, kłócąc się z oślarzem, nie mówią sobie inaczej jak: „si Sennor" albo „no Sennor" („tak Panie" lub „nie Panie"). We wszystkich jest duch pewnej wyższości, objawiającej się czasem poważnie a częściej komicznie, ale zawsze opierający się na tej pewności, że Hiszpanija jest jedynym krajem na świecie, a hiszpanie pierwszym narodem na ziemi. Szczęśliwe dzieci, które góry, okalające ich siedzibę, biorą za granice świata! Hiszpanie po odkryciu nowego świata upoili się swemi tryumfami i nie wytrzeźwieli jeszcze do-

tąd zupełnie „jak król, który zepchnięty z wysokości tronu, w rysach ślad Majestatu zachował do zgonu.“ Ten majestat hiszpanów, (który, jak u bohatera z Manszy, krył swoją drogą serdeczną uprzejmość i gościnność) robił z nich pajaca prawdziwego na scenie państw europejskich i gaskończyka otulony tragicznie płaszczem, z cytrą lub kastanjetami i elegijnemi pieśniami, w których się lubują. Przed wygnaniem Maurów Hiszpanija liczyła około 30 milijonów mieszkańców; rolnictwo, rękodzielnictwo i sztuki były w kwitnącym stanie, ale gdy hiszpanie tłumnie zaczęli emigrować do nowego świata, zubożyli ojczyznę; liczba mieszkańców spadła do 11 milijonów, a chociaż w kolonijach, zostających pod ich rz dem, znajduje się jakie kilkanaście milijonów, to utrzymanie ich zawsze jest wątpliwe i uciążliwe. Nie na próżno też hiszpańskie zamki na lodzie weszły w przysłowie. Od dawna już hiszpan jeździ na drewnianym koniu, jak jego rodak Sanszo-Pansza, a wierzy uparcie, że ma pod sobą żywe zwierzę; wprawdzie zdarza się to nie samym hiszpanom. Hiszpanów nazwać można zachodnimi turkami. Charakterystyczne jest ich wyrażenie: „Soy alegro que ustedesta sin novedad,“ co dosłownie brzmi: „Kontent jestem, że u pana nie ma nic nowego.“ Jest to rodzajem powitania i komplementu i ma znaczyć np. „cieszę się, widząc pana jednakowo dobrze wyglądającym lub coś podobnego, ale po za tem przebija ich wstręt do nowości i konserwatyzmu. Wielu ma przeciętnego hiszpana za dumnego, nieokrzesanego człowieka, który ledwie odpowiada na zapytania, ale takich ludzi znajduje się daleko więcej w Niemczech, aniżeli w Hiszpanii. Najuboższy południowiec bogatszy jest od bogatego niby mieszkańca północy, który ma wiele niezbędnych potrzeb, bez jakich obchodzi się doskonale syn południa. Owoce i ser, trochę chleba i ryb smażonych, co wszystko nie kosztuje wiele pracy; wieczór pod pięknem niebem, cytra, kastanjety i taniec—wystarczają do szczęścia hiszpana. Oprócz wzrostu, nie ma nic miernego u hiszpanów; mają oni cnoty wielkie, a wady jeszcze większe. Karol V mawiał: „Hiszpan zdaje się mądrzejszy, niżeli jest w samej rzeczy; Francuz jest mądrzejszy, niżeli się wydaje; Włoch wydaje się mądrym i jest nim: a Niemiec ani się nie wydaje ani nie jest mądrym;“ sąd ten nie jest zupełnie bezstronny. Hiszpańska powaga i wyniosłość weszła w przysłowie, objawia się już w ich stroju, w nasuniętym na oczy kapeluszu, w sposobie noszenia płaszcza i szpady, wreszcie w okularach, które wszyscy na nos zakładać muszą; świadczy zaś o pomieszaniu ich krwi europejskiej z arabską, maurytańską i żydowską; przebija się tam także resztka germańskiej nieuległości i hardości rzymskiej. Nawet mowa ich ma w sobie coś uroczystego i bardziej jest zbliżoną do łacińskiej, niż inne tego samego szczepu. Rzymianin nosił w domu swoją *westę* (*), a wychodząc, zarzucał na wierzch togę; hiszpan tak samo w domu chodzi w *wescie*, a do wyjścia obwija się płaszczem. Prości hiszpanie i chłopi nazywają się wzajem „caballeros“ (kawalerami), a najmniejsza osobliwość jest u nich: „famoso“ (sławne, świetne). Niejeden Hidalgo żyje cały tydzień chlebem, cebulą i wodą, w Niedzielę zaś pości lepiej, bo cebuli nie dostanie na targu, ale nie wyjdzie nigdy, żeby nie wlókł za sobą służącego. Najnędzniejszy chłop, prowadzący muła lub osła, mówi o sobie samym w trzeciej osobie i wymaga, żeby tak samo do niego mówiono; nasze „ty“ pobudziłoby go do wściekłości. Jeden hiszpan na łożu śmierci mówi: „Umieram zadowolony tą myślą, że żyłem w Madrycie,“ a pewien szewc umierając, zostawia dzieciom taką regułę: „Żyjcie tak, abyście dosięgli tej wielkości, jakiej jest godna nasza familija.“ Zapytaj ojca, głaszczącego dziecko, czy to jest jego syn? francuz odpowie: „Tak jest, przynajmniej muszę w to wierzyć“ ale hiszpan odpowie poważnie: „Urodził się w moim domu.“ Zapytaj pastuszka

(*) Rodzaj kamizelki lub kaftana.

o owce, które pasie, zkąd pochodzą i jak się je hoduje? odpowie z powagą: „aqui nacen, aqui pacen, aqui moeren“ t. j. „tu się urodziły, tutaj się pasą i tu zakończą życie.“ Jeden z młodych książąt żartował raz z jednego małego wzrostu wieśniaka, nazywając go grandem, a ten powiedział mu z dumą: „W moim domu nazywają mnie „Grande“ („Wielki“ albo „Grand“). Duma arystokratów hiszpańskich równać się może jedynie z dumą angielskich nababów z za Gangesu. Książę d'Aveiro wolał się wyrzec 40,000 talar. renty, przypadającej mu z Portugalii, jak dziękować za nią królowi, którego nazywał księciem Brabancyi, bo królewska korona jemu się należała. Dziś jeszcze spotykać można wśród hiszpanów przykłady odwagi, waleczności, galanteryi, religijności, jak za dawnych rycerskich czasów. Pewien jednooki hiszpan, tracąc w bitwie drugie oko, zawołał tylko: „No, dobranoc.‘, Inny, gdy mu wyszły wszystkie kule, strzelał guzikami od ubrania, a w końcu zębami, które sobie z kolei wyrywał. Hiszpan poważny i powolny trzyma się swego narodowego przysłowia: „Nie spiesz się robić dzisiaj tego, co może być odłożone do jutra.“ Hiszpanie lubią rachować na „reale“ i „marawedi,“ ażeby tym sposobem mówić szumnie o wielkich sumach; ojciec naprzykład mówi, że daje w posagu córce sto tysięcy realów czyli 400,000 marawedi, a znaczy to tyle, co u nas 400,000 kopiejek, lub mało co więcej. Powaga hiszpanów, często do śmieszności posunięta, wpływa jednak korzystnie na gruntowność ich charakteru i zdrowy sąd o rzeczy: nie lubią też błyskotek i lekkiego dowcipu, dla tego więcej sympatyzują z anglikami, aniżeli z sąsiadami z za Pirenejów. Przyznać także trzeba hiszpanom, że są bardzo umiarkowani w piciu i jedzeniu; może to jest zasługą klimatu, ale się prawie wcale nie spotyka pijaków, a najbardziej cenioną potrawą u nich jest „ola podrida“—siekanina z rozmaitego mięsa z przyprawami, coś na kształt pasztetu; ta narodowa potrawa nie jest złą, ale niewystarczającą do nasycenia zgłodniałego mieszkańca północy. Pobożność hiszpanów połączona jest z mnóstwem zabobonów. Wszystko się odnosi do łaski bożej i zbawienia duszy; Najświętsza Panna jest ciągle na ustach wszystkich, a Jej szkaplerze i różańce w powszechnem użyciu; nawet w komedyjach, dyjabła wiążą na scenie różańcem, przy czem nieborak wyje w niebogłosy, a publiczność wychodzi wielce zbudowana i zadowolona.

Hm!

* *A hm!*

Często w życiu tu i tam
Ujrzy się i to i owo —
Lecz że pobłażliwość mam,
Na bok skręcę głową
I nie widzę nigdy nic —
Ale swoje robię.
Uśmiech strącam zręcznie z lic
A hm!.. myślę sobie.

Kiedy panna ta lub ta
Poprawia naturę,
I od przodu gorset ma —
Od tyłu tiurniurę. —
Wiem, że wszystko wydać się
Musi w swojej dobie,
Chwalę kształty, co się zwie —
A hm!.. myślę sobie.

Kiedy stary jaki grat,
Co ma włos już siwy,
Medytryną durzy świat
Kontent i szczęśliwy,
I nie jedną chce na *fis*
Nabrać w tym sposobie,
Znam go — farbowany lis!..
A hm!.. myślę sobie.

Gdy mężulko żonkę swą
Kocha sercem całem,
Gdy swym skarbem mieni ją,
Swoim ideałem —

Jednak często wolny czas
Spędza w garderobie
Koło Zuzi, co bez zmaz...
A hm!.. myślę sobie.

A gdy żonka, cnoty wzór —
Skromna, niby panna,
Wierny tylko męża wtór,
W modłach nieustanna —
Lecz kuzynka w gości wciąż
Sprasza w różnej dobie,
Choć nie podejrzywa mąż,
A hm!... myślę sobie.

Gdy apostoł jaki znów
Prawdy hasło głosi,
Niby orze pługiem słów,
Palcem ludzkość wznosi,
Lecz sam, jak leniwy koń,
Chciałby stać przy żłobie,
Gdy mu inni wieńczą skroń,
A hm!.. myślę sobie.

Ów polityk, co jak Pitt
Opozycyję stawia,
Lecz na końcu walki syt,
Niby kraj wybawia,
Dając mu ministra rad
W swej własnej osobie,
Niech go cały wielbi świat,
A hm!.. myślę sobie.

A ten cały mędrców tłum —
Z wiedzy co łysieje,
Gdy dlań ponad „stność i um"
Nic już nie istnieje,
Gdy pod niebo nosy drze —
W koturn nogi obie
Wsadza i klasycznie dmie...
Hm, hm!.. myślę sobie.

Gawalewicz Maryjan — poeta, nowelista, powieściopisarz i komedyjopisarz. Od kilkunastu lat pracuje na polu literackiem w Warszawie, ma specyjalny swój rodzaj pisania, w pomysłach jest zawsze wdzięczny i oryginalny a często bardzo — głęboki. Poetyczne swoje utwory podznacza literą *n*, fejletony pióra jako *quis*. Literacki jego bagaż przedstawia się bardzo pokaźnie Do najwspanialszych wierszy, jakie mu zjednały sławę literacką, należy wiersz p. t. „*Żyję*". Niema sceny prowincyjonalnej i amatorskiej, któraby nie wystawiała jego małych scenicznych utworów, będących jego specyjalnoscią; w tych ostatnich osobny sobie rodzaj utworzył. Tutaj należą: „*Z rozpaczy*", „*Hannibal atne portas*", „*Dzisiejsi*", „*Preludium Chopina*", „*Barcarola*" (wystawiona na scenie berlińskiej), mnóstwo monologów i t. p. Jest to można powiedzieć, jeden z najpopularniejszych pisarzy w kraju, a popularność ta słusznie mu się należy tak z racyi treści, jak i formy jego utworów, zawsze wykwintnej i eleganckiej. Powieści jego ważniejsze: „*Filistry*", „*Majster do wszystkiego*", „*Chore dusze*", etc.

Hogart.

* Pewne światło na karykatury Hogarta rzuca następująca anegdota, opowiadana przez biskupa Sandforba. Hogart rysował w swej pracowni, otoczony przyjaciółmi; pomiędzy nimi była też matka biskupa i jedna młoda dama. Wyraziła ona życzenie nauczenia się karykatur. „Ach mylady, zawołał Hogart, to jest sztuka nie do zazdrości. Uwierz pani memu zdaniu i nie ucz się tego: przez długą nad karykaturami pracę zatraciłem czyste poczucie piękności, widzę wszystko przeinaczone i wydaje mi się, że boski duch w twarzy ludzkiej nazawsze dla mnie zginął!"

Holandyja.

* Jedno słowo ocaliło rzeczpospolitę holenderską. Ludwik XIV w r. 1672 podszedł pod bramy Amsterdamu, a ponieważ miasto w tej chwili nie mogło stawić żadnego oporu, zapanowało w niem nieopisane zamięszanie. Magistrat zgromadził się celem uradzenia, co czynić w takim stanie rzeczy—jednogłośnie postanowiono oddać królowi klucze miasta. Nagle zauważono, że jeden z radców miejskich zdrzemnął się i nie dał swego głosu. Obudzono go więc i poznajomiono z rezultatem obrad — „Chcemy oddać królowi klucze miasta". „A napierał się o nie!—zapytał stary śpioch. „Nie

szcze" — brzmiała odpowiedź. „Kiedy tak, oi panowie — rzekł staruszek — poczekajcie szcze, dopóki sam się o nie nie upomni". Ta waga ocaliła rzeczpospolitę.

olendrzy.

* Holandyja jest krajem, wydartym rybom żabom, w którym króluje demon złota na tronie z sera, uwieńczony liśćmi tytoniowymi. Ląd cały jest tam niższym od wody, a mieszkańcy palą swoją matkę ziemię (torf) w braku innego paliwa. „W kraju tym", jak mówi Erazmus, sam holender, „żaden z czterech żywiołów nic nie przynosi dobrego, a w jesieni zbierają tylko masło i sery; wielka ta płaszczyzna nie ma wina ani drzewa, ani soli, ani chleba, ani nawet kamieni; ale mieszkańcy jej byli zawsze prostymi, pracowitymi ludźmi i zdobyli sobie bogactwo. Cezar cenił już Batawów; ich żegluga handlowa zjednała sobie szacunek Europy, odwaga i solidarność narodowa uwolniła mieszkańców od despotyzmu Hiszpanii. Holendrzy wszystko zawdzięczają tylko samym sobie, nawet grunt swój, którego fizyjognomiję zmienili, zasadziwszy go wierzbami i lipami, i gdyby nie wylewy, ukazujące im moc wyższą, mogliby się zapytać: „Gdzież jest Bóg i dary jego? wszak wszystko zrobiliśmy sobie sami, własną pracą!" Kraj ten jest prawdziwem arcydziełem ludzkiej pracowitości i cierpliwości, ale najwyżej trzy do czterech tygodni podziwiać go można bez znudzenia się. Nie przyciągnie on podróżnego żadnym z tych powabów, które chwytają za serce w południowych krajach; nikomu też z obcokrajowców nie przyszłaby ochota zamieszkać tu na czas dłuższy jak we Włoszech, we Francyi, w Szwajcaryi lub Austryi południowej. Wśród tych bagien, sprowadzających febry, które wyglądają jak piękne łąki, nawet z wiosną, gdy cała natura się budzi, nie ujrzysz jednego kwiatka, nie usłyszysz śpiewu słowika lub innych ptasząt, tylko zamiast nich skrzeczenie żab w około. Nie widzi się tam nigdy wesołych zabaw i śmiechów wiejskiej młodzieży, nie doleci ucha żadna piosenka pasterska. Słusznie jakiś dowcipniś odpowiedział na zapytanie, czy mu się podoba Holandyja: „Gdybym był krową, chciałbym mieszkać w tym kraju". Istotnie krowy w Holandyi są nie tylko lubianem ale psutem stworzeniem: dogadzają im, jak tylko mogą. Na łąkach widzieć można tu i owdzie szkielety wielorybów, ustawione tam umyślnie, aby to kochane bydlątko miało o co ocierać sobie boki; w lecie okrywają je lekkim pokrowcem dla zabezpieczenia od much; w zimie cieplejszym od zimna; karmią je, poją i czeszą, jak najpiękniejszego konia w Anglii. Starannie także utrzymują wielkie psy robocze; w upały kąpią je codziennie. Największe przysmaki w Holandyi stanowią: soczysta pieczeń cielęca, świeże kartofle, jaja mew morskich z czerwonemi jak krew żółtkami; do tego ser i masło wyborne; nie jest to dostateczne do uprzyjemnienia pobytu cudzoziemcom i zatrzymania ich na czas dłuższy. Wszystko w Holandyi trzyma się linii prostej, jak tamy i kanały, nad brzegiem których stoją w równym szeregu domki wiejskie, niby cele klasztorne; holender siedzi sobie zwykle u okna zatopiony w rozkoszach wiejskiego życia przez pięć, sześć godzin z rzędu lub więcej; nieruchomy, z fajką w ustach, a naprzeciwko niego siedzi żona równie nieruchomie i nie przemówią do siebie ani słówka! Wszystkie miasta są tam do siebie podobne, jedna wieś taka jak i druga, jeden kanał taki jak i drugi; ogrody wszystkie podług jednego wzoru i miary; a tak samo i mieszkańcy podobni do siebie; tworzy to wszystko monotoniję nieznośnie nudną. Jean Paul nazywa holendrów „lichszą edycyą niemców", których oni jednak uważają za coś gorszego, bo znają tylko westfalczyków, przychodzących tam do kopania torfu, gdyż teraźniejsze Batawy są już zabogaci i zaleniwi do takiej roboty. Holendrzy trzymają się zasady, że pośrednia droga jest najpewniejszą; co się też zgadza z ich flegmą narodową. Zawsze chciwi na zysk, jak żydzi, zawsze zapracowani, jak ich

psy; jednostajni, jak ich krajobrazy, urozmaicone jedynie wiatrakami —niderlandczycy są przytem smutni i niezgrabni, tak samo jak żydzi; ich prostota przechodzi często w grubijaństwo, a ich flegma jest nieznośną; holendrzy nie śmieją się prawie nigdy, chyba na widok pieniędzy i ktoby chciał ich widzieć więcej ożywionymi, musi iść przypatrzeć się im na giełdzie. Taniec i muzyka stoją też u nich na bardzo nizkim stopniu; dla oszczędzenia sobie słów kiwają często głową, co na obcych robi wrażenie komiczne, przypominające owe figurki chińczyków lub rabinów z ruchomemi głowami, stawiane na kominkach. Najbardziej automatyczne życie prowadzą mieszkańcy Broeck'u, najwięksi bogacze z całego kraju, którzy nigdzie nie wyjeżdżają z domu, chyba kiedy niekiedy do Amsterdamu; żyją oni tylko dla siebie zesklepieni w swem ciasnem kółku jako najwięksi egoiści z całego świata. Słynna czystość holendrów, zasadzająca się na ustawicznem myciu i czyszczeniu wszystkiego, równa się przez to nieporządkowi; tłómaczy ją jednak potrzeba, gdyż morze, kanały i bagna, nasycają powietrze wilgocią, która pokryłaby wszystko pleśnią, gdyby nie to staranne czyszczenie i mycie. W tym kraju wykwintnie czystym, najczyściejszą jest wieś Broeck, którą każdy podróżny zwiedzić musi, jako godną widzenia osobliwość. Każdy dom ma tam dwoje drzwi, z których jedne do codziennego użytku, a drugie otwierane tylko w dnie chrzcin lub pogrzebów; ulice wysypane są białym piaskiem; wszystkie zwierzęta a nawet i ptaki są wyganiane z tej miejscowości, z obawy aby nie robiły nieporządku; każdy zaś wchodzący musi zdjąć buty a włożyć pantofle, od czego nie chciano zwolnić nawet cesarza Józefa, mówiąc: „Choćby to był sam burmistrz amsterdamski, to musiałby tu zdjąć buty". To przesadne zamiłowanie czystości obok narodowej niezgrabności holendrów robi z nich karykaturę jak i z modnego tamtejszego fanfarona. Damy holenderskie nie są też bynajmniej ponętne, nawet po większych miastach; wszędzie widzisz tylko masy ciała i nic więcej; o utrzymaniu z niemi dłuższej konwersacyi nie ma co i myśleć. Prawdopodobnie także z obawy wilgoci, tak mężczyzni jak i kobiety noszą całkowite spodnie z flaneli (co ich jeszcze grubszymi i niezgrabniejszymi czyni) i używają dla rozgrzewania się fajerek z rozżarzonemi węglami (jak nasze przekupki). Podanie gościowi fajerki jest zwykłą wymaganą zwyczajem grzecznością, tak samo jak mycie nóg u arabów, fajka u turków, a „kalumet" u indyjan. Wszystkie też święte Rubensa, nawet Najświętsza Maryja Panna siedzi na obłoku, jakby na trójnogu, lub jak holenderka na swojej fajerce, opalającej często jej spódnicę. Te rozgrzewaczki, nazwane żartobliwie „podoficerami", przyczyniają się pewnie zarówno z wilgocią do rozszerzenia nóg, bo wszystkie holenderki mają je nadzwyczaj wielkie i gdy która z nich raz przejdzie przez trawnik, zostawi za sobą gotową ścieżkę. Trudno jest cudzoziemcowi zachować powagę ceremonii i nie wybuchnąć śmiechem, gdy wchodzi do holenderskiego salonu i zobaczy naraz z tuzin dam wystrojonych, siedzących na swych wygrzewaczkach, niby kwoki na jajach. Odległość oznaczają holendrzy na fajki tytoniu, i tak np. z Delf do Rotterdamu jest cztery fajki, z Rotterdamu do Hagi siedm fajek i t. d. Bez fajki i bez kanałów holender zanudziłby się chyba nawet i w raju; przekłada on fajkę nad wszelkie towarzystwo i nie tai się z tem. Gdy pewien cudzoziemiec spotkawszy się z holendrem, wyrażał mu żal swój nad tem, że nieumiejąc dobrze po holendersku, nie może z nim porozmawiać, ten odpowiedział mu ze zwykłą sobie flegmą i prostotą, odejmując z widoczną niechęcią fajkę od ust: „A co nam po tem? nie mamy przecież z sobą nic do czynienia". Teatr, muzyka i taniec mało zajmują holendrów; jedyną zabawą, ożywiającą ich, jest ślizgawka i jazda sankami; dla tego też martwa zimowa pora jest im najmilszą; wtedy to zaczynają się ruszać mieszkańcy ze wszystkich stron, jak poruszane

prężyną figury, lód pokrywa się budami, sankami i łyżwiarzami, a prawdziwy holender, który całe kilka miesięcy siedział, nie ruszając się z miejsca z nieodstępną fajką w ustach, przebiega na łyżwach pięć mil w ciągu jednej godziny. To małe państwo wydało jednak takich ludzi, jak: Erazmus, Grotius, Boerhawe, Leuvenhoeck, Ruysch, Ruhnken, Bayle, Descartes, Hemsterhuis, którego nazwać można holenderskim Platonem, i t. d. Benkelschoon, który wynalazł sposób pakowania śledzi, wart także wzmianki, dając przez to sposób do życia milijonom ludzi, a każdy z podróżujących po Niderlandach, powinienby za przykładem Karola V-go spożyć, na znak czci i pamięci, całego śledzia na jego grobie. Gdy z czasem okręty przepływać będą tam, gdzie dziś wznoszą się wsie i miasta, kwitnące handlem, (a co nieodwołalnie stać się kiedyś musi), wtedy jeszcze powiedzą o Holandyi: „Na tem miejscu było niegdyś kwitnące państwo wolnego ludu i wolnego ducha“.

* Pewien niemiec, podróżując po Holandyi wszedł podczas burzy do zajezdnego domu, gdzie kilku już holendrów ogrzewało się przy kominie... I on też stanął wprost ognia, chcąc się rozgrzać i osuszyć i nie zauważył, że płonąca iskra padła mu na surdut, który zaczął się tlić niebawem. Ale jeden z holendrów spostrzegł to i obrócił się do cudzoziemca, pytając: „Mój panie, jak się nazywasz?“ Niemiec, obrażony taką ciekawością, odrzekł, że lepiej niech szuka znajomości z równymi sobie. Holender zamilkł i nie będąc już natrętnym, palił dalej fajkę. Ale znowu obróciwszy się zauważył, że w surducie niemca wytliła się już duża dziura, zapytał więc z naciskiem: „Jakże się pan nazywasz?“ Niemiec, zaciekawiony o co chodzi, odrzekł: „Mam na imię Piotr“. „A więc Piotrze — rzekł spiesznie holender — surdut ci się pali!“

* Pewien stary holender zamieszkał w Tulonie i urządził sobie życie przyjemnie—to jest według swego widzimisię. Codziennie bywał w jednej kawiarni, gdzie z całym spokojem ducha wypalał sobie fajkę i wypijał szklankę herbaty, a chcąc żeby mu i z tem nie przeszkadzano, wybrał sobie kącik przy oknie od zaułka ulicy i tam zwykle siadywał. Pewnego pięknego poranku wszedł do kawiarni stary także człowiek, a obejrzawszy się po sali, skierował swoje mierzone kroki do kącika i pozdrowiwszy lekkiem skinieniem głowy stałego lokatora, zasiadł naprzeciw niego — był to rodak wcześniejszego gościa kawiarni. Kelner przyniósł mu również herbatę i fajkę. Żaden z dwóch panów nie przemówił słówka. Kiedy wypili herbatę i wypalili fajki, wychodzili obaj, kierując się w przeciwne strony. Na drugi dzień to samo— i tak dalej, przez całe sześć lat, nie przemawiając słowa do siebie. Nareszcie jednego poranku nie przyszedł ów późniejszy gość kawiarni, drugiego dnia i tak cały tydzień. Po tygodniu stały gość ów pyta kelnera, wskazując na puste miejsce: „A gdzież on?...“ — „Umarł i pogrzebany, proszę pana“—brzmiała odpowiedź. „Żal mi go—odparł smutnie holender — to był mój najlepszy przyjaciel“.

Hołd pruski.

* *Post p. Kieszkowskiego, napad na planty, nowy sposób wymyślania.*

Rozmyślając nad znikomością rzeczy ludzkich, pragnąłem najmocniej, abym obudziwszy się kiedykolwiek rano, ujrzał z obu stron swego oblicza dwa kręcące się zwoje włosów, zwane pospolicie pejsami, na głowie jarmułkę aksamitną, na nogach pończochy i atłasowe wstydliwości i w ogóle wszystko, co dla porządnego żyda potrzeba. Byłbym się bowiem wówczas dał zabić za to, że lepsza jest jarmułka żydowska niż korona hiszpańska, bezpieczniejsze pejsy niż krew Hohenzollernów, zyskowniejsze pochodzenie od Lejzora, syna Judy, niż prawo używania lilij burbońskich.

Przekonanie moje wkrótce chwiać się zaczęło, a Bałta, dzięki której prawdopodobnie pewna

część „nowych Polaków“ powiększy ludność Galicyi, stanowczo wybiła mi z głowy chęć zapuszczenia pejsów z uszczerbkiem innych składowych części lokalu, zamieszkanego przez moją duszę. Bodaj to! pomyślałem, być lordem angielskim: pieniędzy huk, wolności coniemiara, bakenbardy na łokieć, znaczenie w świecie, w przyszłości wice-królestwo Indyj — słowem, żyć a nie umierać. Tragiczny koniec dwóch angielskich mężów stanu (z których jeden, nawiasem mówiąc, nazywał się Burke, nie Bourke, jak chcą wszystkie nasze gazety), przerwał moje marzenia i kazał z niepokojem obejrzeć się około siebie.

Wszędzie zamachy dynamitowe, sztyletowe i kijowe—a co najgorzej—nieustanne zamachy na nasze żołądki i kieszenie. Oto obecnie dyrektor Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń napisał romans pod tytułem: „Zakupno Hołdu“, w którym proponuje, aby cały naród, a przynajmniej część jego inteligentniejsza, zobowiązała się w jednym oznaczonym dniu niedojeść i nie dopić, a oszczędzony grosz złożyć mistrzowi Matejce za ostatnie jego arcydzieło. Gdyby ta myśl „wysoce praktyczna“ weszła w życie, sądzę, że mistrz opuściłby na ten dzień kraj ojczysty, miałby bowiem wyrzuty sumienia widząc tyle zgłodniałych postaci, pustki u Hawełki, żałośne miny żołądków swoich czcicieli, beczące dzieci za kawałkiem pieczeni, załamane ręce rzeźników i piwowarów, skargę na ustach przekupek, łzy na oczach dam kameljowych, opuszczonych przez poszczących kochanków.

Trudno jednak zaprzeczyć wnioskowi p. dyrektora praktyczności. Oto wyjątek z listu, jaki w tej sprawie otrzymałem od jednego z urzędników miejscowych:

„Pensyja moja wynosi 1800 złr. Mam z łaski Boga i mojej żony dwóch zdrowych chłopaków i córeczkę. Dom mój więc składa sześć osób: ja, żona, troje dzieci i służąca. Trzeba mieszkać i ubierać się skromnie, aby wystarczyło na pożywienie. 2 złr. 50 c. stanowi dzienny wydatek na obiad, śniadanie i kolacyję. W dzień, oznaczony na zdobycie głodem „Hołdu“, mógłbym oszczędzić jednego reńskiego.

„W tym samym domu gdzie ja, mieszkają hrabstwo X. — bezdzietni. Dochód ich wynosi rocznie koło 30 tysięcy złr. Dzienne pożywienie kosztuje ich 6 złr., z których zaoszczędzą w dniu głodu 2 złr.

„Z tego wypadłoby równanie:

$$1 : 1800 = 2 : 30000$$

nie biorąc nawet w rachubę liczby osób, obie rodziny składających.

„Upraszam szanownego pana o zapytanie się za pośrednictwem „Przeglądu“ panów matematyków, czy podobne równanie ma jakiekolwiekbądź logiczne podstawy?“

Szanowny i łaskawy mój panie korespondencie! Ze słów twoich widzę, żeś się zaraził równie jak ja demagogiją. Pozwól przeto, że tak w twojem jak i w swojem imieniu zaproponuję inny sposób zakupienia „Hołdu“, taki mianowicie, który lekkim będzie dla każdego z ofiarodawców, gdyż stosuje się do ich możności.

A więc:

8-miu najgrubszych hrabiów i książąt galicyjskich dadzą po 1000 złr.	8000
40-tu baronów, oraz średniej grubości hrabiów i książąt dadzą po 200 złr.	8000
427 sztuk drobiazgu hrabiowskiego, jako też dyrektorów banku, prezesów dadzą po 50 złr.	21350
1121 adwokatów, radców, majętniejszych lekarzy, kupców i właścicieli średnich posiadłości po 10 złr. . . .	11210
11405 osób należących do biedniejszych inteligentników i przemysłowców po 1 złr.	11405
175 literatów i artystów po 29 centów .	35
Razem	60000

t. j. tyle, ile podobno trzeba na zakupienie „Hołdu“.

Jeżeli wreszcie sam Matejko da ze swej strony 10000 złr., to otrzyma 70000 złr.

Jest to sposób najpewniejszy, niezawodny, gdyby tylko były dobre chęci po stronie osób

wyliczonych w pierwszych trzech pozycyjach, za trzy drugie bowiem można śmiało ręczyć. Przytem nie potrzebowałby nikt odmówić sobie klusek z serem, ani z boleścią w sercu odwrócić się od leguminy lub kieliszka Bordeaux. Nie pokrzywdzonoby straganiarek i dostarczycieli wiktuałów, którzy byliby rzeczywistymi kupcami „Hołdu", ich bowiem tylko kieszeń uczułaby błogie skutki patryjotycznego głodzenia się. A co najgłówniejsza: żadna gruba ryba nie wykpiłaby się funtem mięsa i kwartą mąki, zamienionych na pieniądze.

W ogóle nie jestem zwolennikiem składek, podanych w tej formie: „Panowie! biedny S. potrzebuje wsparcia, złóżmy się po piątce dla niego". Propozycyję tę bowiem podnosi zazwyczaj albo pan hrabia, którego później za to wydrukują, a dla którego „piątka" znaczy tyle, co dla mnie 10 centów, albo też podnosi je człowiek biedniejszy od wielu obecnych, który w zamian za swoją nieproporcyjonalną ofiarność usłyszy często półsłówka o karotowaniu, wyzyskiwaniu i t. d. Niech każdy da, co może, na co go stać i co mu uszczerbku nie przyniesie.

Homeopatyja.

* „Ach, doktorze, ratuj! stało się nieszczęście! moja mała Zosia dobrała się do mojej apteczki homeopatycznej, złożonej z 25-iu pudełek i wszystko pozjadała".

Doktór. A pudełka czy także pozjadała?

Matka. Nie, tylko wszystkie pigułki.

Doktór. No, to bądź pani zupełnie spokojną, nic jej się nie stanie.

* „Powiadam wam, moja pani Franciszkowa, że nie ma jak homeopatyja; niedawno ten mój nic dobrego Janek, założywszy się z drugim urwipołciem, wypił duszkiem całą kwartę gorzałki i zaraz padł jak nieżywy; tak ja w te pędy do doktora, co w tym samym domu mieszka, a jest to homeopata; on tylko przyszedł, obejrzał chłopaka, potem wziął tę flaszkę, którą on wypróżnił, wysączył z niej jeszcze ostatnią kropelkę, umaczał w niej koniec igiełki, którą miał przy sobie i otworzywszy choremu zaciśnięte zęby nożem, ukłuł go w język. „Teraz", powiada, „połóżcie go na łóżku i nie ruszajcie go wcale, aż sam w stanie". „I cóż pani powie, po dziesięciu godzinach mój Janek wstał, jakby nigdy nic i powiada: „A nie macie ta co jeść, bom wygłodniał".

Honor.

* *Ks. Henryk.* Bodajeś przepadł, ospały buldogu! Pomnij, że śmiercią masz spłacić dług Bogu.

Falstaff. Jeszcze nie termin, a przed terminen nie radbym uskuteczniać tej wypłaty. Czego się mam spieszyć, kiedy się wierzyciel nie upomina? Ale prawda: honor jest mi bodźcem do tego. Ba! a jeżeli honor na śmierć mnie zabodzie, cóż wtedy? Potrafiż mi honor nogę przyprawić? Nie, zaiste. — Albo ramię? Nie, zaiste.—Albo uśmierzyć ból rany? I to nie.— Honor więc nie zna się na chirurgii? Nie, zaiste.—Czem-że jest honor? Wyrazem. Czemże jest ten wyraz, honor? Wiatrem, parą ust. Któż go posiada? Ten, co go wczoraj pogrzebano. — Czujeż on, że go posiada? Nie, zaiste. — Wie-ż on o tem, że go posiada? Nie, zaiste. — Honor jest więc rzeczą nie dającą się uczuć? Jest nią—zaiste, dla umarłych.—A żywych nie może-ż być udziałem? Nie, zaiste!— Dla czego? Bo go potwarz nie cierpi. Kiedy tak, nie chcę o nim słyszeć. Honor jest tarczą herbową, niczem więcej; na tem się kończy mój katechizm.

Szekspir. (p. str. 92).

* W dyjamentowej rzece widziałem tonący honor wielu kobiet.

Adolf D'Houdetot.

* *Miejsce honorowe.*

Tyran Denys zaprosił do swego stołu filozofa Arystyppa i przeznaczył dla niego ostatnie miejsce: „Zapewne — rzekł mu Arystyppes „chciałeś zrehabilitować to siedzenie".

Diogène de Laërte.

* *Pański honor.*

Aby o wielkopańskiej dumie każdy wiedział,
Klął pan niemca, co we wsi na kolonii siedział,
Niemiec za to zaś panu starał się dokuczyć,
Że go tenże moresu obiecał nauczyć —
Szły przeto między nimi spory długie lata,
Jeden w drugim nawzajem nie chciał widzieć [brata,
Aby jednak zakończyć wspólne dokuczanie,
Gdzieś tam w krzakach niemiaszek sprawił panu [lanie,
Ale, że *noblesse oblige*, pan więc pełen dumy,
Nie wypchnął niemca ze wsi, lecz go... prosił [w kumy.

Wojtek Trzpień.

* *Pojęcie o honorze.*

Pan Y. straciwszy majątek, wykwalifikował się na szewca. Pewnego razu spotyka go na ulicy dawna jego znajoma.

— A bój się Boga, tyś został szewcem i ty nie wstydzisz się i t. d.

Pan Y. przyznaje swój błąd.

— A prawda, prawda, szkoda, że zostałem szewcem, lepiejbym zrobił, gdybym został bednarzem.

— Co?— wrzaśnie znajoma — ty chciałbyś zostać bednarzem! No i powiedz mi, dla czego byś nim chciał zostać?

— A cóż—odpowiada—miałbym zaraz robotę, wstawiając pani klepkę, której widocznie ci brakuje.

* (*Artykuł nadesłany*).

Szanowny Redaktorze!

W kilku najzupełniej źle poinformowanych pismach warszawskich umieszczoną została wiadomość, jakobym zdefraudował sumę, dochodzącą do tysiąca rubli.

Wszystko to jest najwierutniejszą bajką. — Rzeczywiście, przymuszony okolicznościami, zdefraudowałem niecałe 800 rubli, na co w każdej chwili mogę złożyć wiarogodne dowody.

Uprzedzam więc wszystkie te pisma, które mnie oczerniły, że w obronie mego honoru na drodze karnej poszukiwać będę należnej mi satysfakcyi.

Z szacunkiem
X. X.

* Dzicy mieszkańcy wysp Australii, wypowiadając wojnę, dla zaspokojenia głodu pożerają pokonanych nieprzyjaciół. Obyczaje nasze nie dopuszczają tego rodzaju okrucieństw; zamiast zjadać pobitych wrogów, wyzuwamy ich z honoru. Dzicy może więcej o od nas okazują ludzkości.

Lud. Reyband.

* *Zawielu honorowych.*

W pewnej mieścinie bardzo marnej
I zgoła blizkiej upadku
Chciało się straży pożarnej,
W ognia broń Boże wypadku.
Więc aby taką spełnić missyję
I postępowy mieć epitet,
Wnet wysadziła trzy komissyje,
Cztery ankiety i komitet.
— No, teraz niechaj sobie—rzekła —
Najokrutniejszy ogień parzy,
Chociażby nawet buchnął z piekła,
Nic nam nie zrobi w obec straży!

. . . .

Niedługo jakoś, cóż kto powie?
Mieścinę zniszczył żar ognisty,
Bo wszyscy byli honorowi,
A jeden członek rzeczywisty...

Świąteczny.

Honoraryja.

* Księżna O. znana ze swego skąpstwa, wezwała pewnego znakomitego doktora do swego dziecka, chorego niebezpiecznie na dyfteryt. Doktór wyleczył szczęśliwie małego pacyjenta, a księżna uszczęśliwiona wręczyła lekarzowi pięknie haftowany woreczek, mówiąc: „Zachowaj doktorze na pamiątkę w dowód mojej wdzięczności ten woreczek mojej własnej roboty“. „Oho“, pomyślał doktór, „ta skąpica chce zapewne tą *swoją własną robotą* zastąpić na-

leżne mi honoraryjum“ i rzekł do księżnej, biorąc podany woreczek: „Dziękuję najuniżeniej waszej książęcej mości za ten dar pamiątkowy, ale prosiłbym przytem o 3000 marek honoraryjum, jakie mi z tej okazyi przypada“. ,,Jeżeli tak“, odrzecze księżna urażona, ,,to proszę o zwrot woreczka“, a gdy doktór go jej oddał, wydobyła ukryte w nim 5000 marek banknotami i odliczywszy z nich 3000, podała je zawstydzonemu doktorowi a schowawszy resztę, odeszła.

* Pewien doktór szedł z wizytą do chorego, którego dni były już policzone; doszedłszy do domu zamieszkania pacyjenta, spostrzegł z ulicy, że okno jego było otwarte i zawieszone czarną zasłoną. ,,Aha! umarł już“, rzekł do siebie, ,,nie potrzebuję już sobie zadawać trudu wchodzenia na piętro dla obejrzenia go; ale“, dodaje po chwili, ,,nie mogę pomimo tego przychodzić tutaj darmo“ i odchodząc, notuje sobie: ,,Ostatnia wizyta rs 3“.

* Jeden z berlińskich doktorów, dostawsz jako honoraryjum od pacyenta cztery marki srebrem, upuścił je niby niechcący tak, że się rozsypały po podłodze; pacyjent, schyliwszy się, pozbierał je i oddał doktorowi, ale ten porachowawszy, rzekł: ,,Brakuje jednej sztuki“. ,,Nie, pozbierałem wszystkie“, odpowiada chory. ,,Nie może być“, mówi znów doktór, ,,bądź pan tak dobry poszukać jeszcze, może się zatoczyła dalej, mam tylko cztery marki w ręku, a przecież musiało być pięć“. Pacyjent zrozumiał nareszcie, o co naprawdę chodzi, poszukał piątej marki, ale w kieszeni swojej i oddał ją doktorowi.

* Pewien młody doktór dostał w spadku po stryju między innemi rzeczami obraz, przedstawiający Hipokratesa, gdy ten wzbrania się od przyjęcia darów od króla perskiego. ,,O, co tego obrazu, to nie zawieszę u siebie“, pomyślał lekarz; ,,mógłby który z przybyłych na poradę pacyjentów wziąć to za umyślną z mej strony wskazówkę i nie dać mi wcale należnego honoraryjum“.

Biblijot. humor.

Horoskop.

* Kilku astrologów ciągnęło horoskopy dla Ludwika XIII.

,,Oni tyle nakłamią — rzekł, dowiedziawszy się o tem, Henryk IV — że nareszcie coś w tem będzie i prawdy.

Henriciana.

Hreczkosiej.

* *Z notatek hreczkosieja.*

W bieżącym roku Pańskim 18 . . około Ś-go Jana przypada jarmark na wełnę w mieście Warszawie. Aby z tego źródła jaknajwięcej korzyści wynieść, jaknajwięcej dobrego ludziom zrobić, a wszelkiej lekkomyślności uniknąć, ja, Kalasanty Fasolnicki, wypisuję sobie na wyżej wspomniany jarmark plan czynności i wydatków, do czego obowiązuję się zastosować jaknajskrupulatniej:

P l a n.

Nr. porz.		
1.	Owce moje i baranki moje umyję i ostrzygę.	
2.	Wełnę zapakuję.	
3.	Do Warszawy z takową pojadę.	
4.	Za wełnę wezmę nie mniej jak	Rs. 2560
5.	Utrzymanie moje w Warszawie przez tydzień	„ 21
6.	Utrzymanie ludzi i koni	„ 40
7.	Na cele dobroczynne wydam. .	„ 10
8.	Na książki pożyteczne. . . .	„ 20
9.	Na ulepszenia gospodarskie . .	„ 300
10.	Na spłatę długów	„ 1000
	Razem wydam	Rs. 1391
	Że zaś za wełnę wezmę . . .	„ 2560
	Więc na czysto zyskam	Rs. 1169

P o j a r m a r k u.

Nr. porz.

1. Owce moje i baranki moje ostrzygłem.
2. Wełnę zapakowałem.
3. Do Warszawy z takową pojechałem.

4. Utrzymanie moje w Warszawie przez 20 dni . . . . Rs. 200
5. Utrzymanie ludzi i koni . . . . „ 120
6. Przegrałem do hr. X. . . . . . „ 800
7. Sprawunki do domu . . . . . . „ 50
8. Na przyjęcie sąsiadów i warszawiaków . . . . „ 400
9. Trzem ubogim dziewczynom na kupienie maszyn do szycia . . „ 300

Razem wydałem Rs. 1870
Że zaś za wełnę wziąłem „ 1200
Więc od Mordki musiałem pożyczyć Rs. 670

B. Prus. (p. str. 108).

Hugo.

* *Pośrednictwo Wiktora Hugo.*

Pan Izydor, lubo zmartwiony wieścią, że panna Marya Deryng podała się do dymisyi, cieszył się jednak, że nasza artystka, podobnie jak Sara Bernhardt, nie daje sobie dmuchać w kaszę.

Dwie te dymisyje, prawie jednoczesne i równie zgubne dla losów sztuki, spać nie dawały panu Izydorowi.

Aliści kilka dni temu w gazecie, między Afganistanem i wyspami Samoa wyczytał, że Sara Bernhardt pogodziła się z dyrekcyą teatru francuzkiego.

— Już mam! - zawołał radośnie.

— Co masz?—zapytał przyjaciel.

— Mam sposób, aby panna Deryng cofnęła swoją dymisyę.

— A to jaki?

— Widzisz: między Sarą Bernhardt i dyrekcyą pośredniczył Wiktor Hugo; otóż ja na pośredników w sprawie panny Deryng użyję mojego kasyjera Fenigsona i mojego buchaltera Federkinda.

— A cóż oni mogą?...

— Aha! widzisz, co to mądra głowa. Mój kasyjer ma na imię Wiktor, a buhalter Hugo; jak pójdą obaj razem do panny Deryng, to będzie Wiktor Hugo — i wszystko pójdzie jak po maśle, rozumiesz?

Hulaka.

Pod złe czasy urodzony,
A wesół zawsze i wszędzie,
Dla męczenników śledziony
Pan Szczęsny wzorem niech będzie.
Aby swobodnie się wiodło —
Stronić od głupców oblicza:
Oto dewiza i godło
Szczęsnego Hulakiewicza.

On zwykł przywdziewać od święta
Ojcowski kapelusz duży;
Zawsze go zdobić pamięta
Gałązką bluszczu lub róży;
Jeden płaszcz od lat dwudziestu
Zawsze mu ciepła użycza:
Oto jest ubiór od festu
Szczęsnego Hulakiewicza.

W jego mieszkaniu stół, łoże,
Ze wstęgi przepaską,
I puhar kwartowy może,
Co Bóg napełnia swą łaską,
Pusta skrzynka, a w portrecie
Postać kochanki dziewicza:
Ot wszystkie skarby na świecie
Szczęsnego Hulakiewicza.

Dla dzieci zręcznie i prędko
Wymyślić sztukę i cacko,
Starszych zabawić gawędką,
Spleść jaką powieść cudacką,
Tańczyć, zaśpiewać wśród gości,
Gdy ochota biesiadnicza:
Oto treść całej mądrości
Szczęsnego Hulakiewicza.

Przestawać na swoim losie,
Pić wino, jakie się zdarzy,
Przenosić wierną Małgosię
Nad wdzięki pieszczonych twarzy,
Że każdy dzionek, co mija,
Miłość i radość policza:
To cała filozofija
Szczęsnego Hulakiewicza.

Ludzie, co zawiść was miota,
Nędzni w bogactwa ogromnie,
A których rydwan żywota
U kresu zbacza i chromie!
Wy, których potęga mami,
Lub godność jaka zwodnicza:
Sprostujcie życie wzorami
Szczęsnego Hulakiewicza!

Beranger (tłom. *Syrokomla*).

Hultaj.

* *Z notatek starego hultaja.*

Dobra kolacyja z ładną kobietą — to pół szczęścia, ładna kolacyja z dobrą kobietą — to szczęście, dobra kolacyja z dobrą kobietą — to szczyt szczęścia, ładna kolacyja z ładną kobietą — to nieszczęście.

—o—

Kochać się przez telefon można; aby być kochanym trzeba telegrafu, gdyż tu trudno obejść się bez elektryczności.

—o—

Gdyby tancerka nie nosiła trykotów, robiłaby na szlachcie takie wrażenie jak wiejskie żniwiarki przy pracy w polu.

—o—

Kobieta z natury uważana jest za słabą, gdy się jednak zdarzy, że jest ona mocną, najsilniejszy mężczyzna jest w obec niej słabym.

—o—

Narzekają na niestałość mężczyzn, lecz powodem tego są kobiety. Nawet w gramatyce mężczyzna odmienia się tak jak kobieta; widocznie, gdyby nie było kobiet, mężczyzna wcale by się nie odmieniał.

Humor.

* *Wybryki humoru.*

Pewna paryzka aktorka, posiadająca o wiele więcej wdzięków niż talentu, pisała do pewnego finansisty z prośbą o zasiłek pieniężny. — Odpisał uprzejmie:

„Załączam w tej kopercie tysiąc franków i dziesięć tysięcy komplimentów.“

Odpowiedziała mu na drugi dzień:

„Dziękuję. Ale co prawda wolałabym dziesięć tysięcy franków a tysiąc komplimentów.“

* Wyrzucano pani M. impertynenckie obchodzenie się z jednym z przyjaciół, który wiernie i nieodstępnie asystował jej.

„On jest taki przywiązany, rzuciłby się do wody za panią.“

„Cóż chcecie, kiedy jak na złość ja się nigdy nie topię, a on mnie ciągle nudzi.“

* *Humor zmienny.*

Ludwik XI nie odznaczał się czystością. Zdarzyło się raz, iż jeden z oficerów straży, widząc na ubraniu panującego pewne stworzenie, podszedł, zdjął je ostrożnie i wyrzucił niepostrzeżenie.

Nalegany, aby powiedział co to było, wzdragał się, dopiero na wyraźny rozkaz królewski wyznał prawdę.

„Dowodzi to tylko, że jestem człowiekiem“, rzekł król i kazał mu wypłacić czterdzieści talarów.

Wkrótce potem inny oficer, zachęcony sutą nagrodą, otrzymaną przez pierwszego, zbliża się do monarchy, udaje, że coś zdejmuje i z równąż przezornością wyrzuca.

„Co to jest?“ — pyta Ludwik.

Po pewnem niby wahaniu, oficer odpowiada, że to była pchła.

„Nędzniku jakiś! cóż to, bierzesz mnie za psa?“

I zamiast czterdziestu talarów każe mu wywyliczyć czterdzieści kijów.

Diction. des moeurs de France.

Humorysta.

* Pewien humorysta znalazł się raz na parterze przepełnionego teatru. Kiedy sztuka się rozpoczęła, stanął obok niego gruby, ciężki wieśniak, przygniatając swoją olbrzymią stopą nogę humorysty. Ten zniósł dotkliwy ucisk, nie skrzywiwszy się nawet, ale kiedy pierwszy akt miał się ku końcowi, poklepał grubego sąsiada po ramieniu, dając mu do zrozumienia,

żeby usunął nogę i mówiąc przyjacielskim tonem: „Wybacz pan, chciałem tylko dostać się do cukierni, wypić szklankę ponczu, za chwilę powrócę i znów będę panu służył.“

* *Humorysta na partykularzu.*

„Biada ci, nieszczęśliwy humorysto, biada,
Gdy cię za humorystę uznała gromada.“

Nie chciałeś siedzieć z założonemi rękami, miałeś dosyć czasu, lubiłeś bawić się piórem, napisałeś wreszcie jakiś wierszyk. I oto pierwszy powód, na którym pani opinija ufunduje przeciwko tobie straszny akt oskarżenia. Z porządnego obywatela stajesz się istotą podejrzaną i tracisz zaufanie. Mamy i ojcowie niechętnie widzą cię w swoich domach, sentymentalne aniołki spotykają z obawą, a kanapowy autorament traktuje cię pogardliwie. Poważni mecenasowie i opaśli protektorzy młodych ludzi mierzą cię wzrokiem swoim i nazywają śmiałkiem.

Cóżeś zawinił? Piszesz. Cóż w tem złego? Nic złego — ale kiedy ludzie dobrego urodzenia i porządnego towarzystwa nie piszą — czemuż ty masz pisać?!

Straszna zbrodnia.

Imię twoje znajduje rozgłos. Stajesz się odrazu człowiekiem złym, szyderczym i paszkwilistą. Przypisują ci autorstwo utworów, jakich nie widziałeś i szykanowanie osób, których istnienia nie domyślałeś się wcale. A kiedy najserdeczniejsi postarają się o ustalenie ci takiej reputacyi, wtenczas nazwisko twoje służy za bardzo wygodny parawanik, z po za którego strzela jakaś drobna zemsta, z po za którego rzucają rzeczywisty paszkwil lub szykanę. Zapytany, nie tłomacz się i nie usprawiedliwiaj. Przysięga, dowód piśmienny lub zeznanie świadków, które zadawalniają sądy lub trybunały, dla głosu miasteczka są niczem. Wyrok zapadł.

Areopag składał się przeważnie z przedstawicielek płci niewieściej.

Płeć niewieścia wyrokuje śmiało i stanowczo, chociaż zwykle zaocznie. Apelacyi nie cierpi, opozycyi nienawidzi — rekursu nie znosi. Droga łaski nie istnieje. Bez prawa obrony i ustnego przemówienia się, jesteś pozbawiony wszelkich praw towarzyskich, napiętnowany potwornem mianem zjadliwej gadziny, wreszcie rozstrzelany... najokropniejszemi wejrzeniami twoich współobywatelek w ogrodzie lub na placu publicznym.

Jeżeli ci się zdaje, że przesadzam, weź przed siebię mapę Europy środkowej, odszukaj miejsce, gdzie leży nasza poczciwa Warszawka i jeżeli masz jakie wyobrażenie o biegu rzek i rzeczułek, to nakreśl sobie drogę następującą:

W górę Wisły... z lewej strony znajdziesz rzekę, której nazwa dziwnem zrządzeniem losu ma związek z serdelkami. W górę tej rzeki, znajdziesz rzeczkę, w której się kąpał Wincenty Pol, w górę tej rzeczki, znajdziesz miasteczko, w którem skonał Klonowicz.

Jeżeli nie brak ci odwagi i pieniędzy, przyjedź do tego miasteczka, zamieszkaj w niem czas jakiś — nie przyznawaj się, że piszesz — udawaj kawalera i zamożnego. Uczęszczaj co Niedziela do katedry i obserwuj Piątki, a zjednasz sobie miano porządnego człowieka i zostaniesz zaliczony do kategoryi „dobrych partyj.“

Rusałki zaszczycą cię zaufaniem i każą, abyś się zapisał do „klubu dwunastu.“ Tej propozycyi nie odrzucaj, bo w niej znajdziesz przywileje, o jakich się nie śniło filozofom.

Gdy sobie zjednasz zaufanie rusałek, zacznij utyskiwać na złośliwość ludzką i powiedz, że się stałeś ofiarą paszkwilu.

A, nawiasem powiedziawszy, rusałki słyną z długości języczków i głębokości uczucia.

Ex re pierwszego przymiotu, opowiedzą ci detalicznie przebieg sprawy rozstrzelanego humorysty, z drugiego zaś względu wskażą ci dokładny adres skazańca, abyś go unikał.

Wtenczas na gruntownych podstawach będziesz mógł powiedzieć, że nie przesadzam.

Jeszcze nie wierzysz?

. . . .

Słuchaj.

Wertowałem przed niedawnym czasem pamiętniki takiego skazańca opinii. Miał on nie-

szczęście być etatowym humorystą miasta X. nad Y. Był to człowiek ubogi, jak nieboszczyk Hiob biblijny, a o mieszkańcach X. nad Y. wiedział akurat tyle, ile żaba o logarytmach. Umieścił kiedyś ramotkę w pewnem pisemku i oto przy dźwiękach rżniętych i dętych instrumentów miasto X. nad Y. ogłosiło go za niebezpiecznego humorystę. Z czasem awansował. Zrobiono go pozytywistą, potem nihilistą, wreszcie komunistą. Sypano mu tytuły jak z puszki Pandory. Niezmordowana kongregacyja dewotek i plotkarskie stowarzyszenie akcyjne nie szczędziły prac i starań, aby go unieśmiertelnić. Jednocześnie nazwano go czerwonym demokratą i czarnym literatem, a wydawca najmizerniejszego z mizernych kalendarzy proponował mu mizerny zarobek.

Naturalną koleją rzeczy, jako podejrzany, podlegał ścisłej obserwacyi.

Nareszcie... na spokojnym horyzoncie miasta X. nad Y. zebrała się chmura. Chmurą były *Kolce* i grom wypadł z *Kolców*.

Chciał się usprawiedliwiać, ale widząc próżnemi swoje pod tym względem zachody, dał za wygranę i z pokorą ugiął głowę pod razami obosiecznych,.. języków.

I była znowu cisza.

Aliści w losy nieszczęśliwego humorysty wplątał się, jak Piłat w Credo, *Kuryjer Świąteczny*, który go wcale nie mieści na liście swoich korespondentów, a na ciernistej ścieżce kawalerskiego żywota, jak fenomenalna góra, urosła pretensyja wdowia.

Łzy wdowie!!!

Oh! do pioruna! drżyj piekło! śmiej się Belzebubie, zgrzytajcie szatany i jędze, bo oto przed wami stanie wyklęty zbrodniarz i będzie miał przy sobie sumienie, zbryzgane krwawemi łzami wdowy. To straszny bałwochwalca, który przez całe życie maczał pazur jastrzębi we krwi bazyliszka i na krokodylich skórach spisywał bijografije „sprawiedliwych!!!“

Ciesz się piekło! i przyjmij potępioną ofiarę.

Tytularny humorysta z X. nad Y. zdziwił się niepomiernie, zostawszy pewnej niedzieli zainterpelowany przez plenipotenta pokrzywdzonej wdowy, do której słodkiego imienia ktoś jakiś wierszyk w *Kuryjerze Świątecznym* zamieścił.

O niewytłomaczona i niepojęta fatalności, co miotasz człowiekiem, jak wzburzony ocean łodzią rybacką! Fatalność kazała autorowi wierszyka, aby go dedykował kobiecie, noszącej to samo co strapiona wdowa imię. Fatalność kazała za to wdowie obrazić się na tytularnego humorystę. -- Fatalność wreszcie zaszczepiła w humoryście to przekonanie, że istnieje w Europie owa młoda wdówka — że ma imię — że się obraża i że swojemi wdowiemi łzami podlewa i kropi sumienie człowieka, który nie miał wyobrażenia o jej rozkosznej egzystencyi!

Powiedz mi mój przystojny czytelniku, czyś widział fajerwerk o niezbyt wyszukanym programie? Ponieważ przypuszczam, żeś widział, sądzę, iż wiesz, że podobne ogniste widowiska rozpoczynają się rakietą lub świecą rzymską, poczem idzie burak i szermele, a kończy młyn dyjabelski lub coś podobnego.

Uważ sobie tedy, iż żywot prowincyjonalnego humorysty ma pewne podobieństwo do tego spektaklu.

Jak rakieta strzeliła „panienka z pretensyją“ — jak szermel syczała „strapiona wdowa“, a widowisko, jak zwykle, zakończył młyn dyjabelski.

Ale jakiż to młyn!

Pewien uczony arabski odkrył ze zdumieniem, iż są szerszenie w ulach, a pasożytne próżniaki między ludźmi. Jeżeli X. nad Y. nazwiemy ulem i dobrze poszukamy, znajdziemy tam stos złożony z arystokratycznych elementów, kółko, które jest zarazem stowarzyszeniem „nieustającego bezrobocia“. Właśnie owa liga szerszeni, która koniec końcem nikomu nie przeszkadza i sumiennie spożywa swoje kapitały, dała powód rycerzowi z pod tej samej chorągwi do napisania „plotek“.

Autorem, ma się rozumieć, ogłoszono humorystę z X. nad Y. i rozpoczął się prawdziwie

dyjabelski młyn z samych pretensyj i zarzutów, pękających jak straszne petardy w usteczkach i ustach uprzywilejowanych darmozyjadów i obrzucających ogniem nienawiści człowieka, który, nie znając mieszkańców wysokich progów, miał jakoby wyjawiać światu najskrytsze ich tajemnice.

. . . .

Oto wszystko, co przypominam sobie z pamiętników mojego przyjaciela. Długo rozmyślałem nad tem smutnem położeniem i nie znalazłem punktu wyjścia.

Przyszedłem niestety do przekonania... że nic nie wymyślę i położyłem pióro, ciesząc się tą błogą nadzieją, że Redakcyja *Kolców* wyznaczy ze swego zgromadzenia specyjalną *ad hoc* komisyję, która obmyśli środki zabezpieczające spokojność prowincyjonalnych korespondentów i tych nieszczęśliwych istot, które, będąc współpracownikami pism humorystycznych, muszą zamieszkiwać bardzo jeszcze niestety nieucywilizowane zakątki kraju.

Kl. Junosza. (p. str. 57)

Humorystyka.

* Towarzystwo telefoniczne wyłącznie dla śmiejących się, datujące jeszcze od czasu Diogenesa, który miał swoją stacyję główną w beczce. Filija stacyjna dla Warszawy przy ulicy Marszałkowskiej Nr. 123, zkąd komunikacyja zostaje przeprowadzoną do abonenta natychmiast po zapłaceniu rs. 7.

Humoryści.

* Ludzie z usposobieniem wesołem, ze swoją otwartością, dobrodusznością, pogardzający tem, co się światową konwencyjonalnością zowie, muszą naturalnie stanowić kontrast ze zwykłymi śmiertelnikami. W zwykłem życiu i otoczeniu, gdzie otwartość i oryginalność traktowana bywa jako szorstkość złego wychowania, mianowicie w wieku, w którym powierzchowna ogłada i węgorza ślizkość uważaną jest za wyższą cywilizacyę, a łupina okazała za prawdziwe ziarno, humoryści muszą być nieprzyjemnymi dla przeciętnych ludzi, tak jak wzajem dla nich czczy i nudni ludzie. Wielu też z nich wolą przestawać z prostym ludem i wśród niego szukać materyjału do swych filozoficzno-humorystycznych spostrzeżeń, aniżeli piąć się tam, gdzie pretensyje do wysokiego tonu usiłują pokryć próżnię głowy. Niektórzy humoryści nie nadają się istotnie do towarzyskiego życia, jeżeli przez zwykłą zarozumiałość swój sposób widzenia narzucać chcą innym; podobni są wtedy do owej damy, która zwykła była odzywać się naiwnie do drugich: „Nie wiem, jak się to dzieje, ale ja zawsze mam racyję“. Tacy zawsze w końcu powiedzieć muszą z Arystotelesem: „O przyjaciele! nie ma między wami żadnego przyjaciela!“ Taki humor nie może naturalnie być miłym ani towarzyskim i słusznie świat nazywa takich „oryginałami bez kopii“, którzy nigdy oryginałami być nie przestaną. Oryginalność nie jest dobrze uzasadnioną i wyrozumowaną samodzielnością: jest to po większej części fantazyja, nie troszcząca się o prawdę, a wybierająca sobie różne drogi dla tego tylko, że inni po nich nie chodzą. W wyższych sferach mało się spotyka oryginalności, bo wszyscy trzymają się jednej reguły „dobrego wychowania“, która ludzi urabia na jedną miarę, przez co wszyscy są do siebie podobni i wypolerowani, jak zużyta moneta, co też nie może się podobać prawdziwemu humoryście, badającego ludzi do głębi; musi więc przy nich wyglądać na oryginała i powinien pamiętać na słowa poety: „W nieszczęściu najsłodszą pociechą jest filozofija“; lepiej więc być obserwatorem ludzkości, jak jednym z jej członków. Pomiędzy starożytnymi *Timon* i *Dyjogenes* byli prawdziwymi humorystami. Timon, ściskając Alcybiadesa, mówi mu: „Pójdź, mój synu! daj się ukochać; z czasem staniesz się utrapieniem narodu!“ Innym razem na zebraniu ludowem odezwał się w te słowa: „Ateńczycy! kilku z was powiesiło się już na mojem figowem drzewie; widzę, że macie do niego pewną predylekcyę, oznajmiam więc, że muszę to drzewo ściąć niedługo,

ktoby zatem chciał się jeszcze na niem powiesić, niech się spieszy". Timon był humorystą, ale także po części splennikiem niedostępnym, a jak się Arystofanes o nim wyraża, otaczał się płotem ciernistym, tak, że każdy, chcący dojść do niego, pokłóć się musiał. J. J. Rousseau był mu podobny z tej strony i wszędzie swój spleen wlókł za sobą, a zaczepiony odpowiadał szorstko; gdy pewien podróżujący powitał go uprzejmie, mówiąc: „Jestem sługą pańskim", odwrócił się niegrzecznie i rzekł: „Ale ja pańskim nie jestem wcale". Humor Dyjogenesa był innej natury, bo wesoły i komiczny, a cynizm jego, obrażający więcej zwyczaje światowe aniżeli obyczaje, rozweselał Ateńczyków; gdy np. wpuścił gołego koguta do auli Platona, aby wyśmiać jego definicyję, że człowiek jest dwunożnem zwierzęciem bez pierza; gdy z latarnią w biały dzień szukał po Atenach człowieka; gdy kłaniał się posągom, prosząc ich o wsparcie, aby, jak mówił, przyzwyczaić się do odmowy; gdy nacierał wonnościami nogi, a nie głowę, jak wszyscy, dowodząc, że z głowy wszystko prędko wietrzeje, ale z nóg idzie właśnie zapach wprost do nosa; —było to wszystko komicznie humorystycznem. Inni też są humoryści z głowy, a inni, których humor płynie z serca. Pierwsi więcej myślą i rozważają, drudzy idą za uczuciem i pociągiem. I tak: W. Szandy był humorystą z głowy, a Toby Szandy—z serca. Pewien ksiądz miał kazanie na tekst: „Wszystko co Bóg zrobił, jest dobrze zrobione", ale gdy schodził z kazalnicy, zastąpił mu drogę człowiek z wielkim garbem i rzekł: „Przypatrz mi się, księże proboszczu, czy jestem także dobrze zrobiony?" „Jak na garbatego—to wcale dobrze", odrzekł ksiądz niezmięszany; był to humor z głowy. Humor sercowy okazał ów furman, który wołał na drugiego: „Na bok! bo zobaczysz, co ci zrobię!". Tamten przelękniony zjechał z drogi, ale gdy potem zapytał butnego kolegi: „Cóżbyś mi był zrobił?" ten mu odpowiedział: „Byłbym ci sam ustąpił". Pełen uczucia był humorystyczny wykrzyknik pewnego chirurga, który w uniesieniu sercowem, ściskając swego pacyjenta, zawołał: „O żebyś tylko kiedy złamał rękę lub nogę, zobaczyłbyś, cobym dla ciebie uczynił!" Śmiejcie się czytelnicy, ale czy któremu z was, gdy był mocno rozkochanym, nie przychodziło czasem potajemne życzenie, żeby przedmiot jego miłości znalazł się w groźnem niebezpieczeństwie, w wodzie, lub ogniu, ażeby mógł, ratując tę ukochaną istotę, dać jej poznać całą siłę swego uczucia? W najniższych warstwach społecznych znaleźć można nieraz przykłady prawdziwego humoru. Pewien żebrak, gdy mu ktoś z przechodzących rzucił drobną sztukę monety, a ta potoczyła się daleko, rzekł: „Panie Boże zapłać, jeżeli znajdę". Gdy pewnemu włóczędze sołtys rozgniewany powyrywał włosy z głowy, biedak rzekł z zimną krwią: „Przed rokiem nie moglibyście mi tego zrobić". „A to dla czego? tak samo byłem już sołtysem". „Ale ja nie nosiłem wtedy przyprawionych włosów". W Niemczech złodziej, okradłszy pewnego wysokiego urzędnika, zostawił na stole kartkę z napisem: „Wy kradniecie we dnie, mając więcej mocy, ja, chudy pachołek, kradnę tylko w nocy". Poważnie humorystyczną była sprzeczka przy stole pewnego oficera z księdzem, który powiedział coś złego o jakiejś damie, żywo obchodzącej oficera: „To fałsz!" krzyknął tenże, „potwarz niegodziwa! gdybym siedział bliżej, wymierzyłbym panu porządny policzek, uważaj się więc pan za spoliczkowanego!" „A ja", odrzekł ksiądz spokojnie, „gdybym siedział bliżej, przebiłbym pana jego własną szpadą, uważaj się więc za przebitego". Oficer zaczął wymyślać dalej, ale ksiądz rzekł znów z zimną krwią: „Jesteś przebity, a więc umarły, nie mam tedy do kogo mówić". Powstał śmiech ogólny wśród obecnych, co oddziałało na pogodzenie się tych humorystycznych bohaterów. Galiani, którego filozoficzne towarzystwo Holbacha ustanowiło adwokatem, zaczął mówić w te słowa: „W Neapolu pewien gracz w kości założył się, że wyrzuci sześć oczek i wyrzucił je istotnie. „To jest możebne", rzekłem; drugi raz to samo:

znowu wyrzucił sześć oczek; „No, to jeszcze możebne“, mówię; ale gdy dalej ciągle tak samo trafiał po sześć oczek, rzekłem: „Corpodi Baco! te kości są fałszywe“ i tak było istotnie; otóż, gdy rozważam nad odwiecznym porządkiem natury, nad jej stałemi prawami i zmianami podług reguł, wołam wtedy: „Natura jest sfałszowaną (czyli ułożona)“. Czy może być coś bardziej humorystycznego, jak to porównanie? Komicznie humorystyczny był też stangret Fryderyka, któremu się zdarzyło wywrócić, a gdy król rozgniewany łajać go zaczął, rzekł: „No, no, czy się to królowi nie zdarza czasem bitwy przegrać?“ Temuż królowi schwytany podczas wojny dezerter tłómaczył się tem, że, jak uważa, sprawa królewska źle stoi. „No, mój synu“, rzekł na to Fryderyk, „miej cierpliwość jeszcze z jaki tydzień, a jak się rzeczy nie poprawią, to zdezerterujemy razem“. Fryderyk lubił humor i nagradzał go. Pewien stary pułkownik, przybyły do Berlina po długiej nieobecności, poszedł z królem do dworskiego kościoła na nabożeństwo; zdarzyło się właśnie, że czytano tej niedzieli Ewangeliję o Belzebubie, pułkowniku dyjabłów, a stary pułkownik odezwał się: „Od dwudziestu lat nie byłem w kościele, ale jak słyszę, to w piekle tak samo idzie, jak u nas na ziemi: Belzebub nie awansuje i dotąd jest pułkownikiem“. Król się roześmiał i awansował swego pułkownika na jenerała. Nigdzie nie napotyka się tyle humoru, co w Anglii; wpływa może na to klimat, wychowanie i obyczaje wolne, nierówność wielka stanów, usposobienie w ogóle spleniczne, dosyć, że nigdzie nie spotka się tak humorystycznych scen, jak w Londynie; czysto angielskie jest to spotkanie w ciasnej uliczce dwóch jednokonnych powozów, w których siedzący panowie, jeden młody hulaka a drugi poważny kwakier, nie chcieli jeden drugiemu ustąpić z drogi; przyszło naturalnie do kłótni; hulaka klął, na czem świat stoi, kwakier powoływał się na wiek swój, ale stali w miejscu; wreszcie młody birbant, ochrypły z krzyku, wyjął gazetę z kieszeni i zaczął czytać; kwakier nałożył sobie fajkę i zapalił ją, a po chwili odezwał się z flegmą: „Przyjacielu! jak skończysz czytać, to podaj mi swoją gazetę“. To rozśmieszyło młodzieńca i ustąpił z drogi. Tylko w Londynie zdarzyć się może, żeby dwóch łotrów, skazanych na śmierć, rozmawiało w ten sposób: „Przeklęta szubienica! gdyby nie ona, co za pyszny zarobek, jakie wspaniałe życie!“ „Głupiś! właśnie szubienica utrzymuje nasz proceder, żeby nie ona, ladajaki gałgan zostałby rozbójnikiem; ot powiedzmy sobie, że podlegamy jednej krótkiej chorobie więcej niż inni i tyle!“ Tylko w Londynie chyba słyszeć można taką rozmowę sędziego ze złoczyńcą: *Sędzia*: „Ach to ty! mój dobry, stary kolego szkolny? Co za spotkanie! a co się też stało z innymi? gdzież się obraca Tom, Wiljam, John i reszta?“ *Złoczyńca*: „Wszyscy powywieszani, mylordzie! Wszyscy, prócz ciebie i mnie jeszcze!“ Pewna bogata żydówka z Londynu, umierając, kazała ciało swoje odprowadzić do Jeruzalem; dwunastu izraelitów miało towarzyszyć zwłokom, za co każdy dostawał po 400 funtów sterl. Lord Kamelford kazał się znów pochować w Szwajcaryi, ulubionem swojem ustroniu. Oryginał ten miał 20,000 funt. sterl. dochodu, został jednak żeglarzem, bo jak sam mówił, burze na morzu są dla niego rozkoszą; z każdym nowo-przyjętym służącym musiał się najprzód boksować, a gdy ten mu w tej sztuce dogodził, dostawał 20 funt. sterl. Hogart zwiedzał wszystkie więzienia w Europie i Azyi, aby zrobione tam spostrzeżenia zużytkować w życiu i sztuce. Burney, który nie cierpiał cugów, gdy raz, jadąc nocą, ograbiony został przez rabusiów, którzy mu wszystko zabrali z powozu, zawołał za nimi: „A zamknijcież przecie drzwiczki od karety!“ W innych krajach, gdzie mało kto ośmieli się wyjść po za równo wyciągniętą liniję konwenansu i gdzie wszystkiem kieruje uwaga: „co ludzie powiedzą?“ humor nie może rozwijać się swobodnie; dla tego też Anglija wydała Stern'a i kilku innych wielkich humorystów, którym nie dorów-

nali humoryści innych krajów; prawdziwy humor jest darem natury, a wszyscy naśladowcy są mniej więcej tylko pajacami. Z niemieckich humorystów Hippel stoi najbliżej Sterna; był on przyjacielem Kanta; najprzód teolog, nauczyciel prywatny, dalej adwokat, burmistrz w Królewcu, wreszcie został radcą tajnym; umarł w r. 1796 z opiniją skąpca, umiejącego chodzić koło swoich interesów, bo biedny za młodu, zostawił umierając pokaźny majątek. Po jego śmierci dopiero wyszło na jaw, że był on anonimowym autorem wielu humorystycznych rzeczy *à la Stern*. Najlepsze z jego utworów są: „Życie po coraz wyższej linii“ (w którym zapewne miał na myśli swoją biografiję) i „O małżeństwie“, w którym mówi o wyborze żony j. n. „Jeżeli jest brzydka, to nie może się podobać; jeżeli ładna, to podoba się innym; jeżeli bogata, mąż będzie przy niej ubogim; jeżeli uboga, trudno ją żywić i ubierać; jeśli jest mądra, to chce panować; jeśli głupia, to nic nie rozumie; jeżeli młoda, sprowadzić może ciężką dolę pomnożywszy się do 25-u; jeżeli stara, trzeba ją pielęgnować; ale jakkolwiek by była, zawsze będzie kobietą, a to wystarcza“. Tak mówi panegirysta małżeństwa, który dla tego umarł bezżennym. Lichtenberg był najdowcipniejszym z niemców i przeszedł nawet Hippla, ale pisał niewiele, bo będąc chorowitym, przepędzał większą część życia w łóżku; pisma jego zostały zebrane w jedną księgę. Z dwunastu tomów „Objaśnień rysunków Hogarta“ pięć jest jego dziełem, co mu zabrało wiele czasu, a posłużyło głównie do podniesienia talentu i dowcipu Hogarta; potem nie mógł się opędzić malarzom i narzekał, mówiąc: „Ten Hogart stał się moim krzyżem domowym, jakby piękna żona“. Szyller w ostatnich dniach życia, fantazyjując w malignie, kilkakrotnie wołał: „Lichtenberg! Lichtenberg!“ Thümmel koburgski, radca tajny, urodzony w Schönfeld pod Lipskiem w r. 1738 † 1783, zbliża się najwięcej do Stern'a dowcipem swoim; szczególniej w opisach podróży do Włoch i południowej Francyi, w których połączył, niby trzy gracyje, dobroduszność niemiecką, lekkość francuzką i angielski humor. Jean Paul (urodził się 1763 † 1825) był nauczycielem prywatnym i przenosił się z miejsca na miejsce, ale najwięcej przebywał w Baireuth, gdzie też umarł. Pisma jego tworzą całą biblijotekę, składają się bowiem przeszło z 60-u tomów. Co zawiele, to zawiele! gdyż i humor rozcieńczyć się musiał. Naśladował on także Stern'a, ale anglicy mogliby mu powiedzieć: „Pendzlowanie nie jest malowaniem“. Po tych wymienić tu można wśród humorystów niemieckich Mösera i jego „Arlekina“; Wielanda, który zasłużył na nazwę humorysty przez swego „Dyjogenesa“; wart także wzmianki Pfeffes, który w r. 1754 wzrok postradał, będąc jeszcze bardzo młodym, ale tem jaśniej widział oczyma duszy; umarł w r. 1800, a w jego pismach mieści się wiele prawdziwego humoru. W jednej ze swoich licznych powieści, pod tytułem „Familija Halden“, jest taki np. ustęp: „Kiedy rano idę za moim cieniem, długim wtedy jak wieża, mówię: „kochany mój cieniu! czy nie jesteś ty podobny do młodzieńca, dla którego w zaraniu dni jego ziemia jest zamałą? podnosisz za mną nogę tak wysoko, jak gdybyś miał naraz 10 mórg przesadzić, lecz gdy jąpostawisz, okazuje się, żeś zrobił jedną stopę; ale to się zmieni, mój drogi! niech tylko słońce życia wzniesie się wyżej, to i ty zaraz zmalejesz, a wieczorem przedstawisz illustrowane kazanie na tekst: „Memento mori“ i niknąć będziesz stopniowo, aż słońce zajdzie i ty pogrążysz się w wieczności“. W ogóle jednak humor niemiecki nie może bardzo błyszczeć, a pióro Stern'a jest równie trudnem do naśladowania, jak pendzel Coregia.

Hunter.

* Wielki hygijenista angielski, doktór John Hunter, powiedział raz: „Człowiek tem jest, czem go zrobi jego własny żołądek“, a cała arystokracya angielska święcie wierzy w to zdanie.

Autor „Fizyjologii smaku“ opowiada o pewnym francuzkim emigrancie, który za przyrzą-

dzenie sałaty w Londynie brał 5 gwinei, a zawieziono go i odwieziono do domu wspaniałym powozem. Niemała to rzecz być uznanym kuchmistrzem w Londynie, zwykłą jego pensyą jest 400 funtów sterlingów, równających się summie 4800 guldenów, czasami nawet w miarę udoskonalenia się, płaca wynosi od 500 do 1000 funtów sterl., co połączone z różnemi naddatkami równa się stanowisku radcy stanu.

Huśtawka.

* Kochanka moja okrutna
Dziwną znalazła zabawkę:
Z miłości dla mnie biednego
Zrobiła sobie huśtawkę.

Z nadzieją w sercu wyśnioną
Igra wesoła i drwiąca:
To ją podbija do góry,
To znowu na dół ją strąca.

Kochanko moja, dość tego,
Zakończ tę dziką swawolę.
Bo gdy się wzniosę do góry,
Zasłonię ciebie na dole...

Kotarbiński Józef — znakomity krytyk i artysta dramatyczny, od lat kilkunastu redaktor humorystycznego pisma *Kolce*. Jeden z pierwszych rycerzy nowego prądu w naszej literaturze, który się rozpoczął pod egidą *Przeglądu Tygodniowego*. Studyja Kotarbińskiego literackie, pisane wedle Tain'a, którego jest bezwzględnym wielbicielem, cieszyły się i cieszą zasłużonem uznaniem. Napisał do współki z M. Wołowskim komedyję p. t. *„Nie wypada“*.

Hypnotyzm.

* *Hypnotyzm jako środek podźwignięcia upadających posiadłości ziemskich.*

Publiczne eksperymenta imci pana Donata i sztuki, które ten mąż z panną Lucyllą pokazuje, dobre są dla głodnej wrażeń publiczności; doświadczenia, odbywane w obec ludzi fachowych, przyrodników i lekarzy, mogą mieć pewne znaczenie dla nauki, ale nam, ludziom praktycznym, goniącym za groszem, usiłującym dorobić się na wysilonym zagonie, czego innego potrzeba.

Radzibyśmy z uniesieniem powitać każdy wynalazek, każde odkrycie naukowe, jeżeli po za tem odkryciem odsłania się nam miła perspektywa konkretnych zysków. Nie zapominajmy nigdy, że jesteśmy uczniami znakomitych ekonomistów, którzy nas ciągle *budzą*, *nawoływują* i różne dziwne, na temat wyszukiwania *nowych dróg i nowych źródeł*, prawią nam kazania.

Z tego też względu jesteśmy jak ów tonący, który chwyta się słomki, listka, trawki, byle się tylko czegoś chwytać i łudzić się nadzieją ratunku.

Zdaje się, że hypnotyzm na głębokiem jeziorze, albo lepiej: na bezdennej otchłani gospodarstwa rolnego, odegra rolę słomki, która z czasem zamieni się w prawdziwą tratwę, zdolną wyratować wielu a wielu tonących.

Idzie tylko o to, aby o ile można najszerzej rozprzestrzenić sferę eksperymentów hypnotycznych i wprowadzić w stan hypnozy wszystkich i wszystko, co nam może stać na przeszkodzie.

Wiadomo naprzykład, jak ciężkim jest czas wczesnej wiosny, kiedy w stodole pustki, siana ani kłaczka, słomy ani źdźbła, a na pastwisku jeszcze się trawka nie pokazała, jeśli zaś jakie ździebełko wychyliło się nieco, to je śnieg przyprószył. Wówczas to gospodarz traci głowę, a jego inwentarz traci mięso.

Sąsiedzi również goli, pożyczać paszy nie mogą, pieniędzy nie ma zkąd wyrwać i nie pozostaje nic innego, jak inwentarz sprzedać, lub też pozwolić mu zdychać z głodu w folwarku.

Hypnotyzm daje sposób wyjścia z tego ambarasu, albowiem krowy, wprowadzone w stan hypnotyczny, będą na rozkaz hypnotyzera jadły patyki, trzcinę, sitowie i tym podobne artykuły spożywcze i będą jadły z wielkim smakiem w przekonaniu, że mają do czynienia z amerykańską kukurydzą, szkockim turnipsem, lub przynajmniej z krajaną sieczką, okraszoną krajowym wywarem od krajowej wódki.

Należy też przypuszczać, że w ogóle bydlę w stanie hypnotycznym, może się dłuższy czas bez pożywienia obywać.

Zawsze będzie to lepszy stan od stanu pozornej śmierci, w jakim zdarza mi się widywać co wiosna inwentarze moich przyjaciół i przyjaciół moich przyjaciół.

W ten sam sposób (nie przymierzając ludzi do bydła) można hypnotyzować na przednówku służbę folwarczną, której nie ma co dać jeść.

Jeżeli panna Lucylla jada surowy kartofel w przekonaniu, że to najpyszniejsza bera francuzka — to wolno jest przypuszczać, że panna Magda, Brygida lub Barbara, jako też panowie Bartek, Maciek i Kuba, wprowadzeni w stan hypnotyczny, czuć będą w surowej marchwi najmilszy dla nich smak kiełbasy i wielbić będą jasnego dziedzica, który w dzień powszedni fetuje ludzi, jak w święto wielkanocne.

Trzeba się tylko postarać o specyjalnego hypnotyzera, specyjalistę od poruszania ustami, któryby trzy razy dziennie odbywał z parobkami i dziewkami posiedzenia.

Nie na tem wszakże kończą się zastosowania hypnotyzmu do życia praktycznego.

Wiadomo, że cywilizacyja, tak wymyślna w wynajdywaniu wszelkiego rodzaju utrapień, stworzyła kodeks francuzki i komorników. Ci panowie częste po wsiach odbywają wędrówki i trapią uczciwych ludzi za to, że ci podpisywali swe nazwisko zbyt często pod rewersami i innemi zobowiązaniami.

Smutne to jest—ale jest—i częstokroć trzeba się godzić z losem.

Hypnotyzm nie ratuje wprawdzie zupełnie od zajęcia prawnego—lecz smutną tę ewentualność na jakiś czas oddala, trzeba tylko, aby właściciel upadającej posiadłości ziemskiej stał się chwilowo hypnotyzerem—komornik zaś musi służyć za medyjum.

Można tu użyć pewnego wybiegu dyplomatycznego, wywróciwszy do góry nogami maksymę: *si vis pacem, para bellum.*

Si vis bellum, para pacem.

W tym celu hypnotyzer przybiera najbardziej uległą i najbardziej pokojową postawę i przemawia do medyjum mniej więcej w ten sposób:

— Drogi panie, cóż robić? jest nieszczęście i trzeba je znieść mężnie. Masz pan klucze od wszystkiego, zajmij co uważasz i rób swoją powinność, w tem ci nic a nic nie przeszkadzam. Nie zapominaj jednak, że jesteś moim gościem i zanim przystąpisz do czynności, zjedz z nami, co Bóg dał, bo przejechałeś się kawałek drogi i bezwątpienia jesteś głodny.

Medyjum daje się namówić i zasiada do stołu, a kiedy zaspokoi głód, wówczas hypnotyzer wstaje i powiada:

— Niech tam licho porwie wszelkie smutki! Co się mam martwić!? wzięli dyjabli krowę, niech wezmą i cielę! ot dobrze, że mam gościa, to się trochę rozerwę w moim smutku. Panie komorniku dobrodzieju! mam tu jeszcze po dziadku buteleczkę kordyjału, ale żebyś pękł, to nie zgadniesz, co to jest!

Z temi słowy wychodzi i powraca za chwilę, przynosząc umyślnie do tego przygotowaną małą, okrągłą buteleczkę kryształową, napełnioną płynem przezroczystym, czerwonawym. Buteleczka ta błyszczy i załamuje światło w rżniętym krysztale.

Hypnotyzer, mówiąc: zgaduj! zgaduj! trzyma ją przed oczami medyjum, które, wpatrując się w ten błyszczący przedmiot, wpada w sen hypnotyczny.

Interes skończony. Medyjum kładzie się na bryczkę i odwozi do miasteczka, jako biednego człowieka, który nagle omdlał i potrzebuje porady lekarskiej.

Doktór-przyjaciel trzyma medyjum przez dwa tygodnie w łóżku i prolongata zyskana.

Przychodzimy teraz do najważniejszej części naszej pracy.

Wiadomo, że głównym środkiem podźwignięcia upadających posiadłości ziemskich jest uczciwy a niedrogi i długoterminowy kredyt. W tym względzie nie poradzą tak rychło ani

banki, których nie ma, ani stowarzyszenia, które nie istnieją, ani chętni kapitaliści, którzy jak obecnie chęci nie mają.

Jeden hypnotyzm rozwiązuje kwestyję od razu.

Obaczmyż w jaki sposób...

Do właściciela upadającej posiadłości ziemskiej przyjeżdża jego przyjaciel osobisty i kuzyn po kieszeni, Lejzor Salzman, w celu przypomnienia się delikatnego o jakiejś należności z powodu sprzedanego zboża, które się nie chciało urodzić.

Należy przedewszystkiem zahypnotyzować Salzmana.

W tym celu hypnotyzer prosi Lejzora siedzieć, a sam, biorąc pomiędzy palce prawej ręki nową, błyszczącą, złotą monetę, mówi:

— No, Lejzorku, jak zgadniesz, co to za pieniądz, to ci go daruję dla twoich wnuczków.

Nie potrzeba dowodzić, że tak zachęcone medyjum będzie się wpatrywało w pieniążek tak długo, aż wpadnie w stan hypnotyczny.

Skoro to nastąpi, wówczas rozpoczyna się właściwa czynność.

Wiadomo, że medyjum w stanie hypnozy wykonywa zupełnie takie same ruchy, jakie robi hypnotyzer.

Hypnotyzer więc udaje, że jest proszony o pożyczenie pieniędzy.

Najprzód więc wykonywa kilka ruchów rękami i głową, które mają oznaczać, że nie ma pieniędzy — następnie namyśla się, dalej daje poznać, że dla przyjaciela gotów jest poświęcić się — ale żąda za to znacznego wynagrodzenia. Robi gesta takie, jakby uroczyście wzywał niebo na świadectwo czystości swego serca i uczuć. Chodzi od okna do okna, wskazuje rękami różne punkty w okolicy, jakby chciał pokazać, że niemasz miejsca, w którem by jego kapitały nie niosły pomocy nieszczęśliwym etc. Medyjum wszystkie te ruchy z fotograficzną dokładnością naśladuje.

Dalej hypnotyzer rozkłada rękami i zabiera się do odejścia, jakby uważał interes za niemożliwy, bierze z kąta bicz i czapkę, kłania się przy drzwiach i znów ze słodkim uśmiechem wraca na środek pokoju. Macha wreszcie lewą ręką, jakby chciał powiedzieć:

— Niech ja będę stratny! żeby moje wrogi mieli takie zyski!

Wyciąga prawą rękę w przestrzeń, jakby czyją dłoń ściskał — potem wzdycha. sięga do kieszeni, wydobywa pugilares i zaczyna liczyć.

Medyjum czyni to samo.

Gdy już suma potrzebna jest odliczona, hypnotyzer chowa do kieszeni jaki kawałek papieru, a dla medyjum podaje uczciwie przygotowany rewers, z długim terminem i z procentem 6⁰ rocznie.

Następnie kłania się i wychodzi.

Operacya skończona—pozostaje tylko włożyć medyjum na biedkę, dmuchnąć mu silnie w nos, żeby się obudziło i odesłać je na łono rodziny.

To jest jedyny sposób stworzenia uczciwego kredytu dla upadających posiadłości ziemskich, a tem samem dla podźwignięcia takowych ze smutnego położenia, w jakiem się obecnie znajdują.

Nie rozwodząc się nad znakomitością powyżej podanych środków, gdyż *propria laus sordet* — i podając je bezinteresownie na użytek cierpiącej ludzkości, wnosimy: aby pan Donato chciał osiąść na wsi i uczyć strony interesowane tajemnic swej sztuki, przy tej zaś sposobności i panna Lucylla mogłaby wyjść za mąż za obywatelskiego syna — jeżeli za swoje sztuki zebrała już jaki taki kapitalik.



Icek niegłupi.

* — Może Icku pojedziesz do Ameryki. Rotszyld daje pieniędzy na drogę, a tam dostaniesz ziemi, ile chcesz.

— Za psieprosieniem jasnego pana, jabym tam pojechał, ale żeby mi dali ztąd ze trzy chłopy i choćby jednego obiwatela.

Świąteczny.

Icek przewidujący.

* — Mój Icku, jakże możesz żądać, żebym ci sprzedał drzewo tak tanio; jakkolwiek jesteś pogorzelcem, ale i ja nie jestem tak bogaty, żebym ci oddawał materyjał po cenie drzewa opałowego.

— Na delikatny rozum jasnego pana, albo te kilka podwalinów i te trocha balików i ten odrobina krokwiów, to nie jest opałowe drzewo?

— A to jakim sposobem?

— Co jaśnie pan miszli, te drugie łajdaki znowu za dwa lata całego miasta podpalą, to wszystko będzie opałowe drzewo.

Idealista.

* Zapatrzon w marzeń swych widziadła
Do walki rwał się w życiu,
A choć snów jego jasność bladła,
Jak gwiazdy w chmur spowiciu,
Choć prysła w uczuć poniewierce
Złud jego bańka mglista —
On wiecznie w ludzkie wierzył serce,
— Idealista!
Wierzył, że talent i zasługa
Są powodzenia godłem,
Zaprzągł się więc do pracy pługa,
Pełzaniem wzgardził podłem.
Lecz wnet zbudziła go z snów wątku
Okropność rzeczywista,
Świat przeszedł nad nim do porządku,
— Idealista!
Sam biedny —biedną wziął za żonę
Dziewoję jakby różę,
Ufny, że serca ich złączone
Przetrwają życia burze.
A w rok już do rozpaczy piekła
Los pchnął go humorysta:
Żona od nędzy w świat uciekła.
— Idealista!

Złamany wreszcie w życia boju,
Odpoczął biedak przecie
I w podmogilnym legł spokoju
O lepszym marząc świecie...
A do snów wiecznych wiatr szyderca
Nad grobem pieśń mu śwista:—
Biada! Kto w świecie szuka serca,
— Idealista!

Fran. Konarski. (p. str. 48).

Idealista i świat.

W ogrodzie.

* *Poeta* (monologuje). Ten lazur niebios zaciągnięty chmur welonem!... (depcze nieznajomego). Ach! przepraszam!

Nieznajomy (gniewnie). Nie wiedziałem, że nawet osłów puszczają do miejsc publicznych!...

Poeta (monologuje). Ta cudna zieleń drzew, upajająca kwiatów woń (wpada na psa).

Pies. Aj! aj! oj! oj!

Poeta (staje naprzeciw emeryta). Nieba, cóżem uczynił, o biedne zwierzę!

Emeryt (zirytowany). Zwierzętami ludzi nazywa, patrzcie go!

Poeta (zwracając się do młodej damy). Wybacz czcigodny starcze, ale...

Dama. Ależ panie Ildefonsie, zastanów się, co wyrabiasz!...

Poeta. O Mar...o, to pani... Takem się zadumał.

Dama. Sądzę, że najwłaściwiej byłoby dumać we własnem mieszkaniu.

Poeta. Cały świat jest dla mnie mieszkaniem!

Dama. Aaaach!

Poeta. Ale... ale... jakże szczęśliwy traf, żem panią spotkał! Właśnie miałem zamiar złożyć jej dziś wizytę i zakomunikować bardzo a bardzo ważną wiadomość.

Dama. Słucham pana.

Poeta. Wiadomość, którą... wiadomość, dla której... wiadomość, od której zależy byt i spokojność...

Dama. Miejże pan litość...

Poeta. Jakto? więc posądzasz mię pani o brak litości, o zaparcie się uczuć.

Dama. Panie Ildefonsie, wiadomość, jaką wiadomość miałeś mi pan zakomunikować?...

Poeta. Wiadomość... ja? wiadomość?...

Dama. Miałeś mi pan coś bardzo ważnego powiedzieć.

Poeta. Ważnego... ach prawda... Miałem pani donieść, że dziś po raz pierwszy usłyszałem głos... dzięcioła...

Dama. Tylko to?... Żegnam pana!... (odchodzi z wielką pantominą).

Poeta. O Marrryo!... Panno Marrfyo!...

Przyjaciel (zbliżając się). Zmiłuj się, wyjdź z ogrodu, wszyscy zwracają na ciebie oczy...

Poeta. Zwracać na siebie uwagę bezmyślnej czerni jest przeznaczeniem ludzi niepospolitych (wychodzi).

Zrana w mieszkaniu poety.

Głos I. (z za ściany). Mężu, mężu!

Poeta (leży w łóżku i marzy). Mężu, którego czoło rozbija się o niebios sklepienie.

Głos I. (za ścianą). Mężu wstawaj.

Poeta (przez sen). O tak! powstanę do dzieł wielkich, aż świat się zdumieje.

Głos II. (za ścianą). Do milijona set dyjabłów, nie budź-że mnie.

Poeta (przez sen). O nie budź go wichrze jesienny.

Głos I. (za ścianą). Widzisz go!... a pamiętasz, że masz na dziś skończyć parę butów, co ten pan obstalował?...

Głos II. (za ścianą). A bodaj cię... prawda jest...

Poeta (zrywa się zbudzony). Ja żadnych butów nie obstalowałem. (Słychać pukanie do drzwi). A kto tam?

Głos III. Czy pan już wstał?

Poeta. Aaa! to pan?... na honor jeszcze dziś nie mam.

Głos III. (gniewnie). A dokądże tam tego będzie?... Obiecałeś pan na 15-go, a dziś już 20-ty!

Poeta. Parę dni cierpliwości! na honor oddam pojutrze!.. Dziś kończę właśnie mój wielki liryczny dramat.

Głos III. To się psu na budę nie zdało, trzeba iść do komornika! (słychać kroki odchodzącego).

Poeta. O świecie, przesiąkły materyą!... Ha! trudno!... muszę siadać do dramatu... (ubiera się w szlafrok, siada, pisze i mówi). Hilderyk sam... Jakież uczucia dziwne opanowały moją duszę? serce mi drży... głowa pęka... Co czynić?...

Głos IV. (z podwórza). Drutować!... drutować... drutować!...

Poeta (mówi i pisze) „Lecz gdy ciebie spotkam o moja Elfrydo!... wówczas pierzchną troski... wówczas pełnemi piersiami zawołam...

Głos V. (z podwórza). Handel starzyzną! handel!... handel!... handel!...

Poeta (pisze i mówi). „Słuchaj, zabiłaś mnie, okrutna!... Przez litość! więc już zapominasz, coś mi przed kilkoma dniami przysięgała? (Elfryda do Hilderyka): Ty mylisz się mój luby, ja ci nic nie przysięgałam, tylkom mówiła...

Głos VI. (z podwórza). Kości kupuję, kuchareczki!... kości!... kości!...

Poeta (rzuca pióro). Piekło!... i czy ja mogę coś stworzyć w obec takiego wrzasku!... czy ja mogę zapłacić komorne?...

U św. Ducha.

Poeta (w natchnieniu). O Elfrydo!... umrzeć chcę z twojem imieniem na ustach!... A teraz!... Czego ty chcesz odemnie widmo ponure?...

Głos (z prawej). Ja jestem szatan i przychodzę po twoją grzeszną i głupią duszę!

Poeta. Dusza moja należy do Elwiry.

Głos (z lewej). Cha! cha! cha!...

Poeta. Ha! zwyciężyłeś!... Czuję już twoje straszliwe szpony... Stój... gdzie mnie unosisz?...

Głos (z góry). Od nieba do ziemi jest tak daleko, jak od ziemi do nieba!

Poeta. Litości... litości... O moja Elfrydo, żegnam cię.

Chór. Cha! cha! cha! hejże!... ha!... huzia go ha!...

Doktór (wchodząc z obcym). Jakże się miewa kochany pan Ildefons? cóż porabiamy obecnie?

Poeta. Kończę mój dramat liryczny pod tytułem „Hilderyk i Elfryda". Cudowny pomysł.

Nieznajomy. Widocznie poeta. Szkoda go!

Doktór. Powiedz pan, szczęśliwy! ponieważ doszedł już tam, gdzie podobni mu dążą nieustannie, choć nie zawsze dochodzą.

Mucha.

Idylla.

* Księżyc srebrny sieje promień
Na krajobraz senny wiejski,
Roztkliwiony wielbię siano,
I czczę spokój elizejski;
Spiegelbergów mnóstwo widzę,
Kiedy w lesie ognie świecą —
Tylko czasem jest mi głupio,
To jest tęskno za stolicą!

W nocy śnią się wyobraźni
Nieumyci wciąż anieli,
Słońce wstaje i ja także —
Dawnośmy się nie widzieli!
Do mnie szczerzy białe zęby
Cap z dzikiego skał odłamku —
Czemuż ciebie tutaj nie ma
Ośle z Wysokiego zamku!

Balsamiczne łzy Cherubów
Iskrzą się w wieczornej rosie,
Rano piję z nabożeństwem
Wielkim dzbanem mleko krowie
I zawracam przy tem oczy:
Niechaj będzie mi na zdrowie!

Po-pod ganek jedzie dziewka,
Konno jedzie, daję słowo —
Możebyś tu zajechała,
Chińska z cyrku cesarzowo!

Balsamiczne łzy cherubów
Iskrzą się w wieczornej rosie,
Gęś mi skubie pantalony,
Potem komar siadł na nosie...
W takt do żabich chórów brzęczą
Muchy, osy z poza płota —
Czemuż tu mi nie zabrzęczysz,
Muszko operetki złota?

Wł. Stebelski. (p. str. 159).

Tej, przez którą zmizerniałem... poświęcam.

Autor.

I.

O pani serca mego, ty piękna Najado,
Czy pamiętasz tę chwilę, kiedym serenadą
Witał cię u twych okien z twarzą, jak trup bladą,
Gdyś smacznie zajadała ciastka z czekoladą?

Lub kiedy na kolacyi razem w Eldorado
Syciliśmy się twardą jak kamień sztufadą —
I jam cię roznamiętnił słów moich tyradą,
A tyś mię obsypała całusów kaskadą!

I szczyciłbym się nadal przy tobie posadą,
Lecz tyś tam pojechała, gdzie nie wszyscy jadą,
Uciekłaś mi wieczorem daleko od Rado —

mia. Teraz wszyscy w me uszy kładą,
Żeś sromotnie haniebną okryła mię zdradą!
Więc niech cię, jak kartofel, zje chrząszcz „colorado“!!!

II.

Dzwoń lutnio, dzwoń,
Cudowna woń
Owiała mnie,
Przyjemnie śnię...
Zda mi się już,
Że przy mnie tuż
Kochanka ma,
W jej oku łza;
Wzdycham jak miech,
A głosy ech,
Z dalekich gór
Płyną jak z chmur,
Z podniebnych sfer
Dziewiczy śpiew
Dolata mnie,
Że cały drżę!
Ach spałbym dnie
W tym lubym śnie!
Cudowny kraj,
Jak gdyby raj,
Wśród brzęku harf,
Fijołków barw
I woni róż
Już zniknął, już...
I przyszedł kres:
Przy boku mym
Był tylko... pies,
Kochanka — snem!
Pociekła łza...
Niewarto śnić...
Zbudziła pchła...
Więc idę... pić! —

III.

Jam z rozpaczy włosy rwał,
Bom cię kochać tylko chciał
I pod progiem twoim spał,
Strzegąc cnoty twej, jak wał.
Gdym przy dziurce we drzwiach stał.
Dziwny mnie ogarnął szał,
Nie wiem z czego, cały drżał,
Jakby w serce trafił strzał,
Teraz, gdym twój całus miał,
Powiem, żem się z ciebie śmiał,
Żem komedyję z tobą grał,
I... na kawał tylko brał!...

IV.

Chciałem się topić dla ciebie, pani,
Chciałem się topić, o luba,

By mego trupa znieśli ci w dani...
— Lecz mnie zmyliła rachuba.
I pomyślałem, że na tym świecie,
Śmierć nie przebacza nikomu,
Topiąc się, można utonąć przecie,
Więc się... wróciłem do domu!...
Chciałem się otruć raz ze zmartwienia,
Że już nie ujrzę twej twarzy
I głosu twego nie słyszę drżenia...
— Lecz ludziom różnie się darzy,
I ty daremnie mej śmierci czekasz,
Nikt o nią cię nie obwini,
Bo w miejsce jadu, hultaj aptekarz,
Dał mi... oleum ricini!...

V.

Opowiedziałbym sen świetny
Chociaż raz,
Ale jestem dziś dyskretny
I w sam czas.
Sen-marzenie cudne było,
Uciech kres!
Aż mi mokro się zrobiło,
Od mych łez..!
Ach! widzę, jak z ironią spoglądacie ludy!
Myślicie, gdym ukończył pieśni swoich trudy,
Eteryczna, ma wieszcza postać zapoznana —
Idzie dziś do doliny ciąć z nimfką kankana,
Lub na sutą kolacyję z bachantkami może?
Nie! ja gardzę tem wszystkiem... ja spać się [położę!
Dla czego jeść kolacyi nie będę?... niewiecie!
Bo widzicie... nie powiem... zatrzymam w se- [krecie!...

Iks. Nim. Sok.

* O piękności czarnobrewa!
Ukaż się z wyżyn balkonu,
Usłysz, jak twój wierny śpiewa
Z najczulszego serca tonu.
Patrz, już słońce będzie wschodzić
I ogrzeje świat promieniem,
Pójdź! o pójdź mą pierś nagrodzić
Jednem źrenic twych wejrzeniem.
Cicho... cicho... z poza rolet
Słyszę rzewnych westchnień parę..
Upuściłem z rąk pistolet,
Bukiet wonny i gitarę...
Drzwi balkonu piękna trąca,
Mej miłości zna tajniki. .
Ach! niestety — to służąca
Wyszła trzepać dywaniki!

Świąteczny.

* Chociaż jeszcze wciąż szronek
Bieli dachy i drzewa,
Już przyleciał skowronek,
Drży nieborak a śpiewa!

O czem śpiewasz, maleńki,
Drżąc w powietrzu tak ładnie,
Kto treść twojej piosenki,
Wieszczym duchem odgadnie?

Pewnie śpiewasz, nieboże,
Szlachcicowi w czas brzydki:
— Siej kochanie, siej zboże,
Już kupili je żydki.

Może śpiewasz poecie
Wychudłemu jak patyk,
— Dość już błędów na świecie,
Chwyć się wasan gramatyk.

Może śpiewasz gołemu,
Jako badyl na łące:
— Czemu smucisz się, czemu?
Wszak masz braci tysiące.

I jam goły mój panie,
Jednak śpiewam wciąż ładnie—
Ech! któż ptasie śpiewanie
Zdoła pojąć — odgadnie?

Świąteczny.

* Kochanka mu rodziną,
A złoto było Bogiem,
Chwile potokiem płyną
I ścielą życie głogiem;

Kochanka raz z wieczora
Frunęła mu za morze...
Zaniemógł, wziął doktora
I miał się coraz gorzej.
Gdy z małą tak ochotą,
Ku lepszym światom kroczy,
Przeklął kochankę, złoto...
Och! śmierć ma wielkie oczy!
M. Rodoć. (p. str. 125).

* *Idylle dziewicze.*

1. Pieprzyk.

Była piękna, bladolica,
Modrooka, złotowłosa—
I rzecz miała, co zachwyca,
Czarny punkcik... koło nosa..
Gdym zobaczył punkcik mały,
Tom uczuwał dziwne dreszcze,
Chciałbym patrzeć dzionek cały
I bym wołał: jeszcze! jeszcze!
I marzyłbym szarą chwilką,
Jakby szczęście swe zgotować,
By raz tylko... ah, raz tylko
Ją z miłością... pocałować!
Pocałować nie grzech przecie
Pięknych ustek koraliki —
Bo ja, wyznam wam w sekrecie,
Lubię czarne te... punkciki...

2. „Lala caca“.

Kiedy jeszcze była mała,
Darowałem jej pajaca,
Ona nitkę pociągała
I wołała: „lala caca!“
Dziś zmieniła się w kobietkę,
Jak pajacem mną obraca,
I pociąga mię za nitkę,
I szczebiocze: „lala caca!“

3. Zabawa „w doktora“.

— Niech pan Paweł tu usiędzie,
Będziem bawić się w doktola,
Ja nibyto będę chola,
A pan puls mi macać będzie...
— Dobrze panno Miciu, zgoda,
Plosę, niech Micia pozwoli,
I mnie swoją łąckę poda...
— Wiem jus! Micię głowa boli!...

Gdzież ty możesz się obracać,
Ty dziecięce moje życie???
Czyż dziś która da pomacać
W rączce swojej pulsu bicie?
Dawniej Micia chciała sama,
Bym udawał jej doktora;—
Dziś, gdy Micia seryo chora,
Gdy puls badam — przy niej mama!
Iks. Nim. Sok.

* *Idylla francuzka* (z podlaską melodyją).

Ah! c'est le ton, qui fait la chanson!
Jakież to mądre zdanie,
Przed laty Szmul zdjął myckę swą
I mówił:—„Jaśnie panie,
„Zieby wielmożny pan buł zdrów!
„Jak jego biki zdrowe są.
(A w tem się miejscu kłaniał znów).
„Zieby mi na rok puszczył krów“.
Ah! c'est le ton, qui fait la chanson!
. . . .
Gdy Szmul fortunę mnożył swą,
Pan jasny padł z kretesem,
Szmulowe dzieci rządzić chcą
Akcyjnym interesem...
I oto panicz przyszedł blady
W szmulowych dziatek próg,
Protekcyi żądał i posady
Ten dawny pracy wróg.
A wnuk szmulowy rzekł mu na to:
„Wezmę ja pana w pamięć swą,
„Więc się pan zgłoś na drugie lato“,
Ah! c'est le ton, qui fait la chanson.
Świąteczny.

* *Idylla miłości.*

Rozpromieniony, rozkołysany
Sennem marzeniem,
Do ogrodowej biegłem altany,
By pod jej cieniem

Drżące me usta śpiewały trele:
„O moja luba! o mój aniele“.

A że to było w porannej porze,
A więc chłodnawo —
Wsunąłem szyję jakby w obrożę,
W chustkę dziurawą,
„Gdzieżeście—krzyczę na różne nuty —
„Mój modny fraku i całe buty“.

Lecz mniejsza o to, frak już nie wróci,
Niech go czart bierze,
Dzieje miłości—niechaj pieśń nuci
Na tym papierze,
Niechaj powraca do tej altany,
Dokąd udałem się rozkochany.

Wchodzę i oczom swym wierzyć nie chcę:
Moja kochana,
Ku której miłość serce me łechce,
Siedzi zaspana,
Kibić swą kryjąc w szarej sukience
Mamy—na piersiach złożywszy ręce.

Więc poprawiłem na głowie włosów,
Wąsa musnąłem,
I pieśń dziękczynną śląc do niebiosów,
Przy niej... usnąłem,
Bo nasunęło mi myśl natchnienie:
Jakże rozkosznem będzie złudzenie!

Zanim zasnąłem, zacząłem marzyć
O swej przyszłości,
Jak to będę kiedyś gospodarzyć
Przy swej jejmości,
A tą jejmością wszak nie kto inny,
Jak śpiący przy mnie—anioł niewinny.

Potem marzyłem jako zostanę
Posłem na sejmie,
Więc palnę mówkę -brawo dostanę,
Potem uprzejmie
Szepnę na ucho każdemu bratu,
„Serce! wybierzcie mnie do rajschratu!“

Będąc w rajschracie zagram na giełdzie,
Z zyskiem, bez straty,
A za nim parę lat czasu przejdzie,
Będę bogaty —
A mając złoto—toć wkrótce za nie
Moja osoba hrabią zostanie.

Tymczasem pełniąc swoją powinność,
Pani hrabina
Pokaże dla mnie wielką uczynność,
Rodząc mi syna,
Tego, gdy dojdzie w lata młodzieńcze,
Z księżniczką gołą jaką zaręczę.

Aby zaś sławę mieć uczonego,
Na wzór partaczy,
Coś z angielskiego lub francuzkiego
Człek przetłómaczy,
Poda za swoje z blagierskim szykiem,
Ot... i zostanie akademikiem.

Wreszcie ministrem przyszła ochota
Być choć bez teki,
Gdy mi Morfeusz, wielki niecnota,
Zmrużył powieki,
I niedał więcej myśli młodzieńczej
Snuć złotych marzeń tkanki pajęczej.

Więc mi się dziwne przyśniły czasy
Jak Florka miła
Mnie—wtedy ucznia—coś siódmej klasy
W trąbę puściła,
Jak to czyniły Zosie, Aniele,
Cesie i innych aniołów wiele.

W tem nastąpiły nowe marzenia
O ideale,
Czułem ogniste lubej spojrzenia,
A więc w zapale
Kiedym się zbudził przyszła pokusa —
Śpiącej kochance ukraść całusa.

Więc całowałem, tonąc w rozkoszy,
Usta różane,

Myśląc, że nikt mnie od nich nie spłoszy,
Że tak zostanę
W tej cudnej pozie miesiące, lata,
Do końca świata, po końcu świata.

Aż w tem uczułem „straszliwą zgrozę“,
Kij na mym grzbiecie,
Ten sen straszliwy—okrutną prozę
Sprawił poecie,
A tą zaś prozą, wyrzutkiem świata
Był mojej lubej—najdroższy tata.

Co dalej było, jak dalej było,
Czyż mówić warto?
Wszystko się strasznie głupio skończyło..
A ja z rozdartą
Piersią krzyczałem w wściekłym zapale:
„O—teraz sobie już w łeb wypalę!“

Ale – że strzelać się nie uczyłem,
Mogłem spudłować,
I gdy to życie dość mi jest miłem,
Trza je zachować
Dla żony, dzieci, ludzkości—kraju,
A prawdę mówiąc, chciałbym być w raju...

A księża mówią: kto sobie życie
Własne odbiera,
Temu Pan nieba (wszakże to wiecie)
Bram nie otwiera,
Ale się musi nieborak wściekle
Ujadać z djabły i smarzyć w piekle.

Więc pro i contra ściśle zważywszy,
Wyrok wydałem:
Siedź cicho głupcze, uszy stuliwszy,
I w życiu całem
Nim się zakochasz, spytaj, czy tata
Lubi używać kija lub bata.

C. hr. Ypka (*K. Bartoszewicz*). (p. str. 59)

* *Idylla hygijeniczna*

Od wieczora do poranka
Czeka dziewczę na kochanka.
Od poranka do wieczora
Czeka chory na doktora.
Późno przyszedł już kochanek,
Więc dziewczyna się weseli.
Doktór przyszedł także późno
Więc chorego dyjabli wzięli.

* *Idylla sielska.*

I.

Oj, Tumasie, Tumasie,
Cegoś ścieńcał tak w pasie?!
Cegoś zmarniał na gębie?

Oj, Tumasie, mój kumie,
Bez co chodzis w zadumie?
Łeb zwiesiłeś do ziemi,
Oj, Tumasie, mój kumie!

Oj, Tumasie, sieroto,
Już nie śpiewasz z ochotą,
Ino łazis, jak zmora!
Oj, Tumasie, sieroto!...

Tumas po łbie się skrobie,
Załamał ręce obie,
Jak gdyby mu wilcysko
Skodę zrobił w chudobie....

Spojrzał jeno ku chacie
I rzekł:— „Racyję wy macie..
Marna przyszła mi dola,
Ożeniłem się, bracie.“

II.

Oj siedzi kamień w ziemi,
Oj pływa scupak w rzece,
Oj niema gorsej biedy,
Da jak rządy kobiece.

Oj jedzie chłop na koniu –
A koń kopytem kopie,
Oj jedzie chłop na koniu,
A baba zaś na chłopie ..

Oj pogania chłop konia,
Oj leszczynowym prętem,
A babę zaś gna dyjabeł
I lecą nad odmętem.

III.

— Czegóżeś tak gębę, Maćku,
Rozdziawił?
Czemużeś tak swoje serce
Zakrwawił?
Czemu nie chcesz słuchać skrzypki
Grającej,
Jeno chodzisz wciąż po lesie
Tęskniący?
Takiś cienki, mój Maciusiu,
Jak igła,
Miski-ś nie tknął, kasza w misce
Ostygła!...
Czy cię zmora, nieboraku,
Opadła,
Że się nawet ruszyć nie chcesz
Do jadła?...
— Oj! urzekła ci, urzekła
Mnie zmora...
Co jest córką gumiennego
Ze dwora...
Raz spojrzała jeno na mnie
Z za płota
I urzekła, oj! urzekła,
Niecnota!...
Ni mi jadła, ni roboty,
Ni spania
Od owego okrutnego
Kochania!...
— Oj, Maciusiu, mój Maciusiu,
Nieboże,
Pokłoń-że się gumiennemu
We dworze...
Pokłoń-że się gumiennemu
I Zosi,
Pokłoń księdzu, niech zapowiedź
Ogłosi...
I zakończy się, biedaku,
Twój smutek,
Weźmiesz dziewkę, kiejby orzech,
I skutek!..
— Sprawiedliwe słowo rzekli
Jegomość,
Tylko mam ja jedną kiepską
Wiadomość...
Żwawa ci to owa Zośka
Dziewuszka,
Ale goła, jak naprzykład
Pietruszka...
Ztąd mi przyszedł taki smutek
Do głowy...
Bo jakże się tera żenić
Przez krowy?

* — Oj, miłujes ty mnie, Jantek,
Weźmies mnie za zonę?....
Pseciem młoda, pseciem ładna,
Pyski mam cerwone!....

— Oj, miłuję ja cię, Magda,
I twe pyski zdrowe,
Lecz miłuję jesce więcej
Twą.... cerwoną krowę!
Hu! ha....
H. Ćwiek.

* Magda skrobie rzepę,
Walek drzewo rąbie:
— Daj gamby dziewucho!
— Idź se pusty głąbie!
— Bez cóz takaś dumna
Kiej okumonowa?
— Bo mi się dziś z rana
Ocieliła krowa...

Niesła Magda karafijał,
Na moście ją Bartek mijał...
A że im się ręce spletli,
Karafijał na scęt zgnietli...
Dobrze matka powiadała;
Nie rusz Magda karafijała.

* Wyje kruczek, wyje w budzie,
Zmiłujcie się dobrzy ludzie...
Tak mnie gnębi kobiecisko,
Że już z żalu wyje psisko.
Świąteczny.

* *Idylla kucharska.*

Pafnucy. Brygido! odpasz fartuch i powieś na kołku, pójdź tu do mnie i usiądź na drewnianym stołku; — w wieczór jest czas zabawy dla nas, a w dzień cały musim gościom przyprawiać różne specyjały. — Brygido! na twój widok któż się nie rozczuli... Ach! jak ty jesteś piękna w tej czarnej koszuli! Twe policzki, jak gdyby gotowane raki, twoje ręce przechodzą ćwikłowe buraki!

Brygida. O! Pafnucy! któż może zrównać twej osobie? — i najotylszy żarłok niepodobny tobie. — Kiedy idziesz objedzon różnem mięsem kruchem, jakże pięknie wyglądasz z tym ogromnym brzuchem!

Pafnucy. Nad mój brzuch ja przekładam twe maleńkie oczy, i twój włos, co się w strąki po ramionach toczy.

Brygida. Mniejsza wszystko, chętniebym dała dwa dukaty za twe wąsy sążniste, za twój nos garbaty.

Pafnucy. Gdy ty śpiewasz, sucharek wprzód zjadłszy spalony, głos twój wtenczas brzmi wdzięcznie, jak garnek stłuczony. I w mych uszach drażnienie sprawujesz w tej dobie, takie właśnie, jak gdy kto po szkle nożem skrobie.

Brygida. Ty zaś luby, gdy nucisz wesoły, ochoczy, natenczas ledwie że mnie dusza nie wyskoczy, i swym głosem po sercu (wyznaję ci szczerze), tak mnie głaszczesz przyjemnie, jak tarką po serze.

Pafnucy. Jak ty Brygido zręcznie umiesz dawać prztyczki i jak smagłe kuchcikom wyliczasz policzki!...

Brygida. A tyż drogi Pafnucy, czyliż zapomniałeś, ile im to szturchańców w plecy nadawałeś?...

Pafnucy. Prawda, że nas obojga jednakie zalety, takeśmy smaczni, pulchni, jakby dwa pulpety, tak podobni, jak gdyby dwa harbuzy właśnie. Ale czas nam się rozejść, bo już ogień gaśnie. Idź luba i pod strychem spocznij na barłogu. A ja się tu na słomie położę przy progu.

Brygida. Bądź zdrów rądelku drogi, nakryj łeb szlafmycą.

Pafnucy. Bądź zdrowa warząchewko! moja ciemiężyco!...

Idź precz.

* Baron T. jest nieszczęśliwy, uwielbia bowiem żonę, przez którą jest niecierpiany.

Ta antypatyja jednak nie wychodzi nigdy z granic nieprzyzwoitości: pani T. jest tylko ceremonijalna i chłodna w obejściu.

Dnia jednego, gdy mąż jej robił wyrzuty z powodu tego etykietalnego tonu, który wyziębia serce i zabija uczucia i prosił, żeby choć raz poufalej do niego przemówiła, odpowiedziała porywczo:

— Skoro chcesz poufałości, a więc: Idź precz!

Igła.

* *Z igły widły.*

Dużo mamy różnych cnotek,
Że wyliczać je aż wstyd,
Ale dar robienia plotek
To już przeszedł wszelki szczyt!
Niech się stanie bagatelka,
Która najzwyklejsza jest,
Wnet urośnie plotka wielka —
Gawędziarzom wielki fest;
Wnet plotkarzy rój obrzydły,
Z drobnej igły — robi widły.

Ktoś na moście się poślizgnął,
I nos sobie mocno stłukł,
Jakby ogień w miasto bryznął,
Już słyszeli trzask i huk!

Ba! wiązania wszystkie prysły,
Jeden tylko został słup,
W katastrofie—w nurtach Wisły,
Trzysta ofiar ma już grób.
To plotkarzy rój obrzydły,
Musiał z igły — zrobić widły.

Kupiec miał niepowodzenie,
W handlu zdarza się i tak!
Wnet już trąbią nieskończenie
Och! on chwieje się,—zły znak!
Idzie dalej bałamuctwo,
Coraz nowe wersje są,
Już upadłość, już bankructwo!
Jutro zlicytują go!
To plotkarzy rój obrzydły,
Musiał z igły — zrobić widły.

Raz widziano na spacerze,
Że przy damie siedział brat,
Wnet się z tego plotka bierze
I obiega cały świat.
Ho! to ci jest jejmość płocha
I zdradziecka niby wąż,
W jakimś dandysie się kocha,
O czem nie wie biedny mąż!
To plotkarzy rój obrzydły,
Musiał z igły — zrobić widły.

Kiedyś w bramie wpół pijany
Pobił się ze stróżką stróż.
Już widziano krew i rany
I o zbrodni mówią już.
I olbrzymia plotka leci,
Do salonów sień i bram,
Że stróż zarżnął troje dzieci,
I że się powiesił sam.
To plotkarzy rój obrzydły,
Musiał z igły — zrobić widły.

Na Ryczywół i Pacanów,
Rzucamy o plotki grom,
Lecz gdzie to jest proszę panów,
Bardziej już plotkarski dom?
Tu nie można kichnąć prawie
Żeby zaraz Jaś lub Miś
Nie rozgłosił że w Warszawie
Ktoś w łeb sobie palnął dziś.
Bo plotkarzy rój obrzydły.
Musi z igły zrobić widły.

Świąteczny.

Imiona wielkie.

* Żywot poetów, którzy z oddalenia
Czasu i dziejów idą tu w pieluchach
Sławy — jest drobną cząstką ich istnienia.
Imiona toczą się w chwały podmuchach
Jak grudka śniegu, która się przemienia
W górę, w śniegowych na dół lecąc puchach
I wstaje z gródki góra i mogiła
Duża i biała, lecz zimna, jak była.
Wielkie imiona cóż są? Marne słowa!
A żądza sławy co? Przyjemność mdłego
Smaku, od której zawraca się głowa
Ludziom duszącym się, że się ustrzegą
Ruiny, która wszystko w grobie chowa.
Do czasu przyjścia Syna człowieczego.
Wątpił ktoś, gdym stał na grobie Achila,
O Troi. Przyjdzie i na Rzym ta chwila.
Tak pokolenia w wiekowej ruinie
Znikają;—trumnę na trumnie się składa,
A potem nawet pamięć wieków ginie
I przeznaczeniem swem w grób dzieci spada.
Napisy grobu dziadów—gdzież są ninie?
Ledwie się który zbutwiałym wykrada
Płazom, co kryją bezimiennych kości
Miliony—w spólnej grzebane nicości!

Byron.

Impertynencye.

* Napoleon na balu zatrzymuje się przed hrabiną... która miała opinję lekkiej kobiety i zapytuje ją szorstko, głosem podniesionym:

— Czy pani zawsze tak lubisz mężczyzn?

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie, kiedy są grzeczni... — odpowiada zręczna hrabina z głębokim ukłonem.

Cesarz odwrócił się nic nie rzekłszy, ale wkrótce mąż jej stracił miejsce prefekta.

(M-me de Bassanville, *les Salons d'autrefois*).

* Pan de Rivarol, obecny na jakimś wielkim obiedzie, podczas którego popisywał się ze swoim dowcipem, powiedział, kiedy podano wino reńskie:

— Oh! nie lubię tego wina, ponieważ znajduję, że tak samo jak Niemcy, jest ciężkie i płaskie.

— To, coś pan wyrzekł, jest właśnie podobnem do wina reńskiego — odparł jeden ze współbiesiadników, o którym pan Rivarol nie wiedział, że był niemcem.

(*Paris, Versailles, les provinces etc.*)

Indeferentysta.

I.

* W tych dniach widziałem kilku młodych ludzi z najlepszego towarzystwa i chciałem ich opisać. Ale pomimo woli myślą się przenoszę do Ameryki, prawdopodobnie siłą kontrastu i pióro moje kreśli historyę młodego amerykanina, którego znałem dobrze przed laty.

Mieszkałem podówczas w Nowym Orleanie i kilka razy polowaliśmy z sobą. O zachodzie słońca wsiadaliśmy w łódkę i płynęli wzdłuż kanału aż do jeziora Pontchartrain. Krokodyle w tem miejscu wylegują się na piasku pobrzeżnym; strzelaliśmy do nich w same oczy, bo kule ześlizgują się po gładkiej i twardej skórze; jeżeli leżą do góry brzuchem, co im się często zdarza, można też wybornie celować w tę część ich ciała; strzał jest jeszcze pewniejszym. Są to prawdziwi dżentelmeni co do komfortu i nadewszystko lubią się w tej pozie wylegiwać na słońcu na miękkim piasku, tak jak na sofie. Trafione krokodyle stają się naraz z poważnych komicznymi; skaczą i wyskakują jak baletmistrze w operze i na miejscu wykonywują pewnego rodzaju piruety. Wczoraj pan Mérante w balecie ogromnie mi jednego z nich przypominał, ale nie mógł mu jednak dorównać: krokodyl jest mniej monotonnym w skokach i piruetach.

Było to nasze ulubione zajęcie zwykle po obiedzie, zamiast bilardu. Przyjaciel mój, p. Jonatan Butler, strzelał celnie i rozpromieniał się za każdym strzałem; w codziennem życiu nie śmiał się nigdy i mówił bardzo mało; tutaj stawał się wesołym i wymownym. „Patrz, Tomie — mówił do mnie, zacierając olbrzymie ręce — czy widzisz tam wśród krzaków tego gentelmena z taką wielką paszczą? Czy nie znajdujesz w nim podobieństwa do ojca Broby z Kentuki, który wczoraj śpiewał psalmy u mojej matki? Ta sama paszcza szeroka, takaż nawet biała kamizelka. Dalejże, bierzmy na cel białą kamizelkę wielebnego Ojca! Paff! patrz! Otóż wielebny Ojciec fiknął koziołka, patrz, jak się kręci w kółko, ha! ha! brzuchem do góry teraz! Przepraszam waszą ekscellencyję, żem zafarbował jego białą kamizelkę. Idźmy dalej!“

W podobnych chwilach oczy mu się iskrzyły, nozdrza się poruszały a twarz stawała się purpurową.

Był to yankes czystej krwi, ale z temperamentem angielskim i tem się różnił od młodych ludzi z Nowego Orleanu, którzy są w ogóle pochodzenia francuzkiego, bladzi, słabi i nerwowi jak kreolczycy. Miał lat 28, zbudowany silnie, szeroki w plecach, tłusty ale proporcyjonalny, gdyż miał sześć stóp wysokości. Po większej części siedział spokojny, milczący, chyba że był w złym humorze lub podpity, wtedy usta mu drżały, oddychał głośno i niebezpiecznie było wchodzić mu w drogę. Pewnej nocy podczas burzy i ulewnego deszczu wyszliśmy z klubu o pierwszej rano; głowa mu pałała, oświadczył nam stanowczo, że spać nie myśli, gdyż nie jest psem, żeby się o tym czasie na słomie wylegiwać; w pięć minut był już w przystani, odczepił swą łódkę i puścił się na rzekę, wśród huczących fal i poprzewracanych kłód drzewa.

Mętna woda wlewała się do łódki, maszt skrzypiał, wołaliśmy na niego z całych sił, aby

się darmo nie narażał, ale nas nie słuchał: robił wiosłami jak Herkules. Mieliśmy go za umarłego; gdy powrócił, był przemoczony do nitki, zziębnięty, ale wypoczęty i orzeźwiony jak apoplektyk, któremu krwi upuszczono. Przed moim przyjazdem do Ameryki wybuchła wojna w Meksyku. Jonatan Butler opuścił naraz swój dom, umontowany z angielskim komfortem i kreolskim przepychem; pojechał konno z całą psiarnią swoją, dwoma karabinami, busolą i kołdrą. Przebył niedostępne lasy, sam żyjąc z polowania, śpiąc w nocy w hamaku przywiązanym do drzew, pod strażą psów swoich. W trzy miesiące powrócił, objechawszy siedmset do ośmiuset mil, ubiwszy po drodze porządną porcyję indyjan i meksykanów, zdrów i silny jak nigdy, z wielką blizną na twarzy. Psy jego, karmione mięsem, stały się tak dzikie, że musiał ich wysłać na wieś. Te wycieczki zrobiły go popularnym wśród bogatej młodzieży miejscowej, tembardziej, że był uprzejmym, usłużnym i bez wymagań, nie miał nic z tej nieznośnej pruderyi purytańskiej: idee kreolskie zatarły w tym względzie u niego charakter angielski; jego matka, dumna francuzka, spokrewniona z najstarszymi rodami, wychowała go w ten sposób; trzeba wiedzieć, że w tym świecie eleganckim yankesi uważani są za nadzwyczaj zacofanych. W Cincinati naprzykład, prawo zabrania gry w bilard, sprzedający taliję kart, podlega karze pięćdziesięciu dolarów; wśród lasu tworzą się zgromadzenia nabożne, które trwają dni kilka; jest to rodzaj rekolekcyj, kaznodzieje się zmieniają co godzina i opowiadają ochrypłym głosem o strasznej śmierci grzesznika, o tem, jak ciało jego podlega zgniliznie, a dusza w piekle się smarzy; gdy upadają ze zmęczenia, słuchacze wołają Hosanna, a młode kobiety padają na ziemię i łkają konwulsyjnie. Obyczaje mieszkańców Cincinati są również dziwaczne. Gentelmeni jedzą scyzorykami, plują bezustannie, nawet przy stole i na suknie dam. Jeśliś ciekawy tych pięknych obyczajów, przeczytaj sobie romans Coopera; opisuje on dwoje zakochanych: dziewczyna nie chce iść zamąż za swego narzeczonego, gdyż okazał jej pewne wątpliwości teologiczne; po długich korowodach, młodzieniec udaje się na Ocean Północny, na połów fok. Nos sobie odmraża i to go nawraca; narzeczona jego nie przestaje pełnić obowiązków kucharki; usłyszawszy, że okręt powraca, wychodzi na spotkanie z rondlem w ręku; ujrzawszy go zdaleka, woła: „Czy wierzysz teraz w przemianę prawdziwą, czy tylko w przemianę symboliczną?“ „Wierzę w przemianę prawdziwą“. Uszczęśliwiona, upuszcza rondel na ziemię i wychodzi za niego.

Naturalnie, że ci kaznodzieje — szewcy, nie podobają się bynajmniej ludziom dobrego towarzystwa, dlatego też mój przyjaciel, Jonatan Butler, choć protestant, nie uczęszczał nigdy na podobne zebrania. Podług mody, wziął sobie za przyjaciółkę ładną Metyskę, ale jej nie był zbyt wiernym. Miał nowy powóz i pyszne konie, murzynów, którzy go słuchali na skinienie, bo ich bił bez litości. Ludzie prości nazywali go dumnym, bo nigdy z nimi nie rozmawiał, a gdy przechodził ulicą, przekupki się żegnały, nazywając go dyjabłem Molochem; nikt nie śmie jednak zbliżyć się do niego, nie zdjąwszy czapki, a gdy potrzebował dwudziestu karabinów, niepotrzebował o nie pukać do dwudziestu jeden drzwi. Było to w lipcu, w czasie kanikuły; upał był tak wielki, że tego dnia dwoje ludzi i kilku koni padło na ulicy, rażonych apopleksyą. Mustiki wznosiły się chmurami nad rzeką. Pod wieczór, ciężki, niezdrowy wiatr, działający na nerwy, wznosił tumany kurzu na ulicach. Wszedłem z Butlerem do jednej z tych kawiarni amerykańskich, gdzie się połyka stojący buterszrity, kanapki z homarem i kieliszki whisky. Butler pochmurny był od rana, kilka mustików ukąsiło go jeszcze po drodze, próbowałem żartować, ale mi nic nie odpowiedział, kazał sobie podać wielką szklankę araku i wypił, marszcząc brwi, milczący; zawołałem go, chcąc wyjść, ale mnie nie słyszał; kilku gentelmenów z Kentuki, żując tytuń w

ustach i wykałając sobie zęby nożykami, patrzyło się na niego nazbyt familijarnie: bawił ich widocznie zbyt elegancki krój jego białych spodni. Patrzał i on na nich, ale złem spojrzeniem. Zawołał na kelnera, by mu podał zapałkę. „Zaraz panie“, odpowiedział tenże; w kilka sekund zażądał powtórnie ochrypłym głosem: garson usługiwał kentukijczykom. Zażądał po raz trzeci zapałki, a twarz jego stawała się siną; garson ten usługiwał mu zwykle, dziś mu się zdawało, że kentukijczykowie kradną mu tego chłopca. Za czwartym razem biedny chłopak myślał, że zdąży jeszcze podać ostatni talerz tamtym gościom i pobiegł pędem. Butler podniósł rękę w górę i całą siłą wpakował mu nóż w plecy. Uderzenie było tak straszne, że słychać było w sali chrzęst kości pacierzowej: garson padł na ziemię twarzą; usiłował powstać, podniósł się na łokciach, chciał odetchnąć, ale strumień krwi buchnął mu ustami i wyzionął ducha. Nóż pozostał w trupie, Butler nie ruszył się z miejsca, wzięto go bez oporu.

Nazajutrz całe miasto mówiło tylko o tem. Murzyni znajdowali wprawdzie młodego pana zbyt porywczym, ale skoro cztery razy na garsona wołał, to była wina garsona, nie jego — mówili między sobą. Ciekawi jednak byli, jak się ta sprawa skończy i czy sir Butlera powieszą w białych spodniach i różowym krawacie; wstrząsali głowami niedowierzająco, pokazując białe zęby.

Młodzi ludzie z towarzystwa żałowali, że Butler użył noża nie laski. „Laską mógłby był dać nie jedno, ale dwanaście uderzeń bezkarnie, a tak będzie musiał teraz jechać na jakie pięć lat do Europy“. Rzemieślnicy i kupcy byli wzburzeni. Zbierali meetingi, na których mówiono o arystokratach, utuczonych krwią ludu, wymieniali Jeffersona i oświadczali głośno, że sobie sami sprawiedliwość wymierzą, jeżeli im sądy odmówią. Sprawa przybrała groźny obrót. Sędzia był francuz, stary żołnierz, który nie cierpiał ludu, ale słuchał tylko głosu sprawiedliwości. Oznajmił od razu, że nie ma względu dla nikogo; że szubienica postawioną jest dla wszystkich zbrodniarzy bez wyjątku.

Zaczęto się obawiać i posłano do niego z zapytaniem. Odpowiedział, że wyrok zależy od sądów przysięgłych, ale gdy go wyrzekną, zastosuje się do niego. Ponieważ był biednym, przyniesiono mu sto tysięcy dolarów; wziął plikę papierów i zrzucił ją ze schodów wraz z posłańcem. Udano się do dozorcy więzienia, osobistości mniej srogiej; sędzia odesłał go i zastąpił przez zaciętego purytanina, który dzień i noc wyśpiewywał psalmy, siedząc w swej norze bez wytchnienia. Udano się powtórnie do sędziego, błagając i grożąc utratą życia. Odtąd wychodził uzbrojony w towarzystwie kilku murzynów; pomimo to, strzelono do niego pewnego wieczora i raniono w ramię. Od tej chwili w każdym sklepie stał kupiec z nabitym karabinem, gotów do obrony. Gdy przechodził sędzia, tysiące osób pilnowało jego życia, tysiące rąk gotowych było je pomścić. Wściekłość ludu stał się tak straszną, że bano się na niego targnąć powtórnie. Proces odbył się zwykłym trybem; było dwudziestu świadków, a podsądny nie zapierał się bynajmniej. Obrońca chciał go bronić tem, że był pijany; ale wypił tylko szklankę araku, sam to przyznawał, pogorszając swą sprawę dumną postawą i milczeniem. „Jest to wściekły pies“ — mówiono na sali — „trzeba go się czemprędzej pozbyć“. Sąd przysięgłych, złożony z samych kupców i przemysłowców, przypomniał sobie o kilku już podobnych wypadkach i po długich naradach, sędzia, zakrywszy głowę podług przyjętego zwyczaju, skazał Jonatana Butlera na powieszenie.

Wszyscy młodzi ludzie z towarzystwa poruszyli się bardzo. Naradzano się tłumnie. Przekonani byli, że wyrok nigdy nie będzie spełnionym. Powieszenie jest zbyt hańbiącą śmiercią, dobrą dla yankesa lub murzyna; honor ich wszystkich cierpiał na tem. Pani Butler, matka skazanego, zebrała całą swą rodzinę i pierwszych dni sierpnia ofiarowano dozorcy wię-

zienia 200,000 dolarów—cały majątek jaki posiadano. Co więcej, mieli zaraz wsiąść wszyscy wraz z dozorcą, jego rodziną, Butlerem na statek i wyjechać do Europy. Biedny dozorca pobladł, gdy usłyszał sumę, wstał, podszedł do stołu, wziął z niego biblię i pokazał miejsce, które był podkreślił ołówkiem i które odczytywał od miesiąca codziennie: „Nie daj się przekupić“. Następnie zamknął się w swej izbie i nie chciał rozmawiać z nikim.

We dwa dni potem zaczęto wbijać szubienicę dla Butlera. Przyjaciele jego, zebrawszy się w liczbie stu pięćdziesięciu, uzbrojeni silnie, przybyli pod bramy więzienia o czwartej rano. Dwudziestu żołnierzy nie uczyniło prawie żadnego oporu; wprawdzie był inny oddział, liczniejszy, koło przystani, ale oficerowie, będący w zmowie, porozjeżdżali się na polowanie, wydając rozkaz żołnierzom nieruszania się z miejsca do ich powrotu. Przyjaciele Butlera uzbrojeni w siekiery, drągi i piły, zaczęli szturmować do bramy więziennej; nadaremnie jednak, trzymała się silnie, okuta cała w żelazo; wtenczas podłożono ogień; pół godziny zeszło, zanim się olbrzymia masa kruszyć poczęła i te pół godziny wystarczyło do wzburzenia całego miasta. Kupcy w sklepach naokoło nie śmieli stawiać oporu tym zajadłym i zbrojnym napastnikom, lecz nagle przy skręcie ulicy, ujrzano tłum ludzi w łachmanach obdartych, wyjących jak dzicy, uzbrojonych w kłody, kije i noże. Byli to biedni irlandczycy, robotnicy w porcie. Czekała ich wielka radość — mieli ujrzeć na szubienicy bogatego anglika; nagle dowiedzieli się, że ich ta radość miała ominąć i wściekłość ich z tego powodu wzmogła się niezmiernie. Przyjaciele Butlera strzelili do tego tłumu i kilkanaście bluz obdartych padło na bruku, ale gdy chodzi o gruchotanie kości swoich i cudzych, nie ma jak irlandczycy. Wypili oni już swoją porcyę whisky na śniadanie, to też tak dobrze zaczęli pracować nożami i kijami, że w kwadrans szturm został odparty. Przyjaciele Butlera odeszli, unosząc rannych, a irlandczycy rozgorączkowani rozbiegli się w około, zostawiając kilkuset ludzi przed bramą więzienia. Kupcy i rzemieślnicy połączyli się z nimi i odtąd dniem i nocą zmieniała się ta dobrowolna straż odporna.

Butler dnia tego uczuł się przypartym do muru. Patrzał z za kraty na zachodzące słońce okiem martwem z otwartemi szeroko usty; potem nagle chwycił się oburącz za głowę i padł na kolana. Nie spał noc całą, ale chodził wielkimi krokami po izbie więziennej, a dozorca usłyszał głośno łkanie, był silnym bardzo, nie płakał nigdy, łkanie wydzierające mu się z piersi, podobnem było do ostatniego ryku lwa ranionego. Nad ranem usnął blady i znużony. Znaleziono porozsypywane papierki na ziemi zmięte i pozapisywane. Jeden z nich zawierał te słowa: „Zachodzące słońce było sercem Chrystusa, a promienie jego pożerały moje oczy. Rzuciłem się doń, objąłem je rękoma, potem powstałem i chciałem go pocałować, jak to uczyniłem z moją matką. Spojrzałem na niego, był blady jak liście jesienne, porozrzucane na mokrej ziemi. Omdlałem, a otworzywszy znów oczy, ujrzałem słońce ponad tysiącami głów okrągłych i płomiennych. Zdaje mi się, że mi nóż zatopiono w sercu“.

Dozorca więzienia, odczytawszy te słowa, nabrał otuchy i zapewniał wszystkich, że jego więzień skończy przykładnie.

Ostatniego dnia matka Butlera otrzymała pozwolenie pożegnania się z synem. Przybyła w karecie, czarno odziana; gdy wysiadła z powozu, majestatyczna, dumna, blada, lecz milcząca, wszyscy obecni, nie wyjmując irlandczyków, głowy odkryli. Nie śmiano jej rewidować. W Ameryce bardziej szanują kobiety, niż we Francyi, wreszcie, gdyby nawet przyniosła pilnik, nie na wiele byłby się mu przydał. Sześciu ludzi stało przed jego drzwiami, a pięćdziesięciu pod oknem. Lecz nie przyniosła mu pilnika. Godzinę całą spędzili razem; nie usłyszano ani jednej skargi, ani jednego jęku. Wyszła zimna i dumna, jak przy wejściu, w karecie dopiero zemdlała. W nocy, dozorca

więzienny usłyszał jęk głuchy, następnie ciężkie westchnienia. Zdawało mu się, że więzień gotuje się na śmierć, która miała nastąpić o świcie.

Nad ranem wchodząc do więzienia, zastał Butlera rozciągniętym na ziemi, nieżywym, w piersiach miał trzy rany od uderzenia nożem. Wielka kałuża krwi płynęła przy nim, kilka kropel prysnęło na ścianę. Nóż tkwił w ostatniej ranie. Trzy razy próbował się przebić, a za każtym chybionym razem pisał swe ostatnie wrażenie. Za pierwszym razem rozpiął tylko wierzchnie ubranie; nóż oślizgnął się pod żebrem i skaleczył go w poprzek. Wtenczas zdjął koszulę i namacawszy palcami serce, uderzył powtórnie. Nóż wszedł głęboko, ale zanizko i zanadto na prawo. Krew popłynęła obficie. Butler usiadł, roztwierając ranę, zdawało mu się, że już będzie koniec. Po kwadransie uczuł się nadzwyczaj słabym, ale pojmował jeszcze jasno, zrozumiał więc, że chybił powtórnie. W tej jednak chwili odwaga odstąpiła go zupełnie i uczuł się zbyt słabym do uderzenia po raz trzeci. Rany paliły go strasznie, powlókł się do stołu i wypił pół karafki wody, obmył twarz i ręce; potem stał się znów panem siebie i zdecydował się umrzeć jak dżentelmen, nie zaś jak murzyn na szubienicy. Pół godziny leżał spokojnie, nie poruszając się i tamując krew chustką od nosa „z obawy — pisał — by krew znów płynąć nie rozpoczęła i nie odjęła siły do uderzenia pewniejszego, bo w takim razie powieszą mnie jutro“. Kończył, że teraz jest pewnym śmierci, położy koniec ostry noża na miejscu, gdzie mu serce bije i klęcząc na łóżku, będzie go wpychał w piersi po trochu, aż upadnie; tym sposobem nikt nie usłyszy hałasu. Ostatnie słowa oznaczały godzinę co do minuty. Jedenasta, minuta dwudziesta trzecia i niezapomniał nakręcić na nowo zegarka.

Młody ten człowiek nie miał doświadczenia i nie zastanowił się dosyć; bardzo trudno jest trafić w serce, daleko łatwiej w gardło. Dwa cale pod podbródkiem znajduje się krtań, pokryta w tem miejscu tylko skórą i cienkim muszkułem. Trzeba tylko w tem miejscu zatopić ostrze i skierować je w półkole, tak jak np. przy krajaniu chleba się zwykło postępować. To mózg paraliżuje natychmiast i umiera się, nie czując nawet bólu. Cała rzecz zależy tylko na zręcznem skierowaniu noża najpierw wprost, potem w półkole.

II.

W zeszłą sobotę odwiedziłem mego siostrzeńca, pana Anatola Dower. Młody ten człowiek nadużywa pensyi, jaką mu dobrowolnie daję; lokaj jego wygląda na marszałka dworu. Pan Anatol leżał rozciągnięty na wygodnej kanapie, z nogami opartemi o poręcz, palił cygaro lepsze od mojego. Spojrzałem na niego i znalazłem w nim podobieństwo do nadzianego truflami indyka, leżącego na półmisku. Skłoniłem mu się poważnie, wyskoczył jak z procy, ujrzawszy mnie, zapomniał języka w ustach. Zacząłem wychwalać gust jego w umeblowaniu wszystkich pokoi. W jadalni są przepyszne kredensy z różanego drzewa, zapełnione starą porcelaną sewrską, za którą pan Anatol przepada. Sypialnia urządzona z przepychem, na ścianach kilka obrazów obnażonych piękności; siostrzeniec mój jest widocznie człowiekiem dobrego smaku. Zwiedziwszy mieszkanie, zapaliłem cygaro i rzekłem:

— Anatolu, powiedz mi, czy jest na świecie coś piękniejszego nad cnotę?

— Co wujaszek mówi?

— Mówię, mój drogi, że nie ma nic piękniejszego nad cnotę, np. Montyon albo nieboszczyk pan Bordier, widzisz, jak o nim piszą teraz. Zapisali wielkie sumy na różne dobroczynne cele i za to nazwiska ich są w ustach wszystkich obecnie. Jakże to przyjemnie dojść do takiej sławy, nieprawdaż? Niezawodnie przykład ich znajdzie wielu naśladowców. Pewien baron np., nie wiem już który, zachęcił testamentem panów chirurgów do wydoskonalenia operacyi chorym na kamień. Od czasu ogło-

szenia tego testamentu wymyślono mnóstwo przyrządów, instrumentów wytwornych, można by niemi całe muzeum zapełnić; ludzie dają się krajać bez skrzywienia, tak to delikatnie i zręcznie uskuteczniają teraz. Czyż to nie może zachęcić człowieka do naśladownictwa? Jesteś młody, mój drogi, musisz mieć uczucia szlachetne, powiedz mi, co o tem myślisz; chciałbym uwolnić ludzkość od strasznego cierpienia, trapiącego ją dotkliwie, sam cierpię na ten reumatyzm w dwóch miejscach nawet. Czyż mógłbym lepiej użyć mego majątku, jak przeznaczając jakie parę kroć sto tysięcy franków wynalazcy jakiego uzdrawiającego środka? Młodzieńcze, widzę, że twe oczy błyszczą szlachetnym zapałem! Dobrze, mój drogi, że cię tak ludzkość zajmuje.

Siostrzeniec mój nie miał wcale miny zajmowania się ludzkością w tej chwili, markotny, nie smakowało mu nawet cygaro widocznie, bo je z ust wypuścił. Na pocieszenie dodałem:

— Gdybyś ty wiedział, mój drogi Anatolu, jakie ja mam nieprzyjemności. Cały nasz handel soloną wieprzowiną w Cincinati grozi ruiną. Korespondent mój donosi mi, że profesor Thiscul z akademii *Hog-and-swine-for-the-wortd* wynalazł jakąś piekielną machinę, która za pomocą pary uskutecznia daleko prędzej całą fabrykacyję. Wieprze wpędzają do wielkiego otworu po jednemu; we dwie minuty drugim otworem kanału wychodzą już rozerżnięte; kładą je na małe saneczki i wiozą do pralni; tutaj mechaniczne szczotki myją go i oczyszczają w siedm minut. Inne saneczki odwożą wieprze do innej sali, gdzie nowe maszyny go rozpłatują na ćwierci w sześć minut. Następnie dwie dźwignie podnoszą te ćwierci w powietrzu i układają po sztuce w beczki, przesypując solą: trzy minuty. Beczkę zabijają i nakładają na małe wagony: dwie minuty. Jednem słowem, we 21 minut cały wieprz jest przyrządzony i wysłany do użytku; czyż to nie zachwycające? Przyjdź jutro, pokażę ci rysunki machin i przyrządów. Thikscull niezawodnie zarobi ze trzy miliony dolarów na tym interesie i zrobią go dostawcą wojsk. To mnie gniewa, po pierwsze dla honoru: byłem pierwszym fabrykantem wieprzowiny solonej na Stany Zjednoczone; następnie dla pieniędzy: szynki przynosiły mi dochodu trzydzieści tysięcy dolarów rocznie. Mógłbym wprawdzie nauczyć mojego ajenta, coby zrobić wypadało, jest to uczciwy człowiek: siedm razy dopiero ogłosił bankructwo w swojem życiu; boję się jednak, by Thikscull go nie przekupił, potrzebowałbym mieć tam człowieka całkiem mnie oddanego i dlatego pomyślałem o tobie, Anatolu. We dwadzieścia pięć godzin możesz stanąć w Liwerpoolu. Ztamtąd we dwa tygodnie w New-Yorku. Cóż ty na to?

Twarz mego siostrzeńca przedłużyła się w sposób komiczny. Kąty ust spuściły się na dół, jak u szczupaka. Oczy okrągłe, nad miarę roztwarte, na kształt małych kulek patrzały wytrzeszczone, a na czole z pod upomadowanych i trefionych włosów, wystąpiły dwie duże krople potu.

— Uspokój się, mój przyjacielu — rzekłem do niego. Jesteś zanadto gwałtownym, nie umiesz się hamować, teraz już widzę twój zapał, ale nie trzeba się spieszyć z niczem. Pomówimy o tem później. Tymczasem powiedz mi, na kogo czekasz w tej chwili; salon uprzątnięty świątecznie, ogromny kociołek ponczu w jadalnym pokoju, a lokaj przygotowuje śniadanie. Może ci przeszkadzam?

— Ależ nie, bynajmniej, mój wuju, zaręczam ci, że prowadzę się skromnie, jak panienka. Czekam na kilku przyjaciół, mamy śniadać razem. To mój dzień przyjęcia dzisiaj.

* * *

Mój pan siostrzeniec ma więc swój dzień, tak jak ładna kobieta. Patrzyłem na niego, podczas gdy wydawał rozkazy i kręcił się po pokoju. Naprawdę, czemże się różni od ładnej kobiety? Jest mniej od niej ładnym — oto wszystko, co do reszty, dorównywa jej zupeł-

nie. Tem samem się zajmuje: gdy się namyśli do woli nad swem nowem ubraniem, umeblowaniem, stopie, na jakiej stoi w świecie, nie wie już, o czem myśleć. Ma szafkę z lustrem, pełną bucików i półbucików, przez dwa lata ubierał się raz u Renard'a, drugi raz u Dussautoy, nareszcie zdecydował się na Renard'a. Jest genialny, gdy chodzi o kamizelki; pierwszy krojczy u Renard'a szanuje go z tego powodu, a przymierzający ubranie nie jest mniej dumnym z swej postawy od innego. Przypatrywałem się jego rannemu ubraniu: ślicznie mu było w jasnej rannej żakietce, podobnej kamizelce i w liliowej krawatce na szyi. Podbródek wygolony, faworyty gęste, połączone wąsem, wyraz twarzy zblazowany i zadowolony z siebie. Ręce ma starannie utrzymane, na różowych palcach połyskuje wielki brylant, od czasu do czasu podnosi je w górę, by bielszemi uczynić. Czasem machinalnym gestem drapie się w ucho maleńkie, poprawia kołnierz od koszuli, arcydzieło jego szwaczki, lub odgarnia włosy lekko ufryzowane na skroniach. Na ustach jego błądzi półuśmiech niedbały i znudzony, umie wdzięcznie naginać szyję, zakładać nogę na nogę, opierać podbródek na dłoni, rozkładać się na fotelu, słuchać i mówić o niczem.

— Jesteś przyjemnym młodzieńcem, siostrzeńcze i nie potrzebowałbyś się wiele uczyć, gdybyś naraz stał się kobietą i damą salonową, — czesałbyś się tylko z grzywką na czole, z fałszywemi warkoczami z tyłu, poprawiałbyś nieustannie fałdy bufiastej spódnicy i paplałbyś bez końca wśród luźnego zgromadzenia w dzień twego przyjęcia.

Jakże pan Anatol dzień swój spędza? Wstaje o 9-ej, przywdziewa szlafrok i lokaj mu przynosi czekoladę, pijąc ją, czyta dziennik, pali papierosy, wyciąga się do 11-ej. Następnie się ubiera. Ubranie to jest całą historyją. Gabinet, przeznaczony na ten cel, zawiera stół ogromny, na którym się znajdują trzy miednice, mnóstwo pudełek, puszków, flakoników i lu-ster, ma trzy szczotki do włosów, jednę do bro-dy, jednę do wąsów, szczypczyki do wyrywania niepotrzebnych włosków, gumy do przylepiania odrastających, pomady, perfumy, mydła, etc., wreszcie je śniadanie, pali cygaro, przeczyta kilka kartek romansu najnowszego i jedzie z wizytami. W zeszłym roku kończył jeszcze prawo, to mu zajmowało dwie godziny dziennie, — z umęczeniem dźwigał jednak tę kulę, ostatnie ogniwo łańcucha szkolnego. Obecnie jest wolnym, kontent, że nic nie robi i że nie czyta — widziałem kiedyś, że przerzucał „Życie Chrystusa“, zapewne dla tego, by móc o tem mówić w salonie. W tym roku zrobił wielki wynalazek, mianowicie—nową główkę do laski; zaniósł do Verdi'ego tuzin trzcinek, które mu przysłali z Brazylii i w zamian obstalował sobie tę główkę, co zrobiło pewien rozgłos w jego świecie. Pewnego pięknego poranku zmówił się z dwudziestoma swoimi kolegami z klubu i wyszli na ulicę w białych surdutach, w białych kamizelkach i w białych kapeluszach na głowach. Wyprawa ta zrobiła im sławę. Ubrania i kapelusze białe weszły w modę — Anatol dumnym był ze swego dzieła.

O czwartej po południu przejeżdża się zwykle po lasku; ma dobrego konia, nieźle jeździ i nieźle na koniu wygląda. Obiad je po większej części w klubie. O północy wraca do domu; dwa razy na tydzień chodzi do teatru, najczęściej do Palais-Royal; czasami też spotkać go można pod rękę z jedną z figurantek z Teatru Lirique. Przez sześć miesięcy kochał się kiedyś w jakiejś modystce. Oto wszystko; jest statecznym, jak to mówił przed chwilą: nie posiada ani gwałtownych namiętności, ani zapału; prawie wszyscy młodzi ludzie są takimi dzisiaj: umiarkowani we wszystkiem, nawet w szaleństwie; lękają się nadużycia, unikają nudów, ale nie naraziliby się nigdy. Jedna próżność ich czasem popycha jeszcze, ale i to niewiele. Siostrzeniec mój naprzykład daje bukiety pani X., ale nie pojedzie za nią do Clichy nawet, dla niego kobieta jedna tyle warta co i druga

miłość jest przyjemną, tak jak dobra kuchnia — gdy zamkną jedną restauracyę, dziesięć innych stoi otworem. Gdy się nasyci kolacyami do lat trzydziestu, pomyśli wtedy o dobrym rosole, czyli o małżeństwie; ożeniwszy się, będzie tył na wsi; mógłby się był co prawda ożenić wychodząc ze szkół; urodził się dojrzałym.

Do czegóż jest zdolnym? Nigdy nie miał myśli nauczenia się czegoś podług swej woli. Mów mu o jakiej podróży, nawet przejażdżce dla przyjemności do Jerozolimy lub Kairu, skrzywi ci się okropnie; woli bez porównania patrzyć na wschodnie dekoracye w wielkiej operze.

Wysłałem go do Londynu, męczyły go tam mgły i wizyty; znalazł, że teatry i kluby tamtejsze były dobre dla kupców i powrócił czemprędzej.

Lubi dosyć wycieczki na wieś, życie wiejskie, jest tam nawet poszukiwany, bo nosi zwykle świeże rękawiczki i tańczy nieźle, nadewszystko podobają mu się obfite obiady i olbrzymie staroświeckie krzesła, w których się trawi wygodnie, oddychając świeżem powietrzem wiejskiem i paląc wyborne cygaro. W jego wieku szaleliśmy za polityką i literaturą; ja należałem do towarzystwa, zajmującego się odrodzeniem ludzkości, a „Poezye Wschodnie“ Wiktora Hugo były przedmiotem ustawicznych walk na kułaki w szkołach. Pan Anatol zaś zajmuje się literaturą, jak miłością: to dobre na jeden wieczór, gdy się nie ma nic innego do roboty, trzeba tylko, by romans był zajmującym, nie trudnym do zrozumienia. Przeczytał „Panią Bovary“, ale nie chciałoby mu się jej odczytać powtórnie; gdyby się zjawił jaki Paul de Cock, troszkę czyściejszy od starego, czytałby niezawodnie jego powieści; mówiłem mu niekiedy o zrobieniu karyjery; nie byłby od tego, przyjąłby posadę, ale pod warunkiem, że będzie w Paryżu, że będzie miał wolne wieczory, ranki, niedziele i święta, swój dzień w tygodniu, dwa miesiące wakacyj i żeby wiele pracy od niego nie żądali, od 11-ej do 5-ej, bo to są godziny pomiędzy śniadaniem a obiadem, a on zwykle źle trawi, gdy pracuje.

Cóż w tem dziwnego? Całe jego wychowanie było na to zwrócone, by go ogłupić. W szkole robił zadania, tłómaczył wiersze łacińskie aż do lat dwudziestu, jednem słowem, był jak wiewiórka w klatce. Z kolegami swymi zaglądał przez kraty na bulwary. Życie w takich razach wydaje się zabawką, spacerem w nowych bucikach i rękawiczkach wśród mnóstwa ładnych kobiet, które można lornetować bez obawy profesora. Gdy wrócił do domu, matka go pieściła; przyzwyczaił się do tego. Nie żądano nigdy od niego nic trudnego, powinien się był tylko dobrze ubrać i nie robić szaleństw zbytecznych. „Nie wracaj zbyt późno, zawiąż dobrze krawatkę“, oto wszystko, co go uczono.

Za przykład służył mu ojciec i przyjaciele ojca; myśleli oni tylko o fortunie i swym dobrobycie, o oszczędności, połączonej z wystawą, o dobrym obiedzie; i on to samo czyni; powiedziałem już, że mi przypominał indyka, czyż można więcej od indyka żądać, jak to, żeby się dobrze napuszyć umiał; przypominał mi także młodą kobietę i naprawdę wychowanie jego nie różni się niczem od wychowania panienki. Nauczył się łaciny, jak one gam na fortepianie, jedno i drugie jest mechaniczną nauką.

Siedział zamknięty w kolegium tak, jak ona w klasztorze; tak jak ona przez kraty spoglądał na świat, który im się czarujący wydawał; rodzice go nauczyli jak zachowywać pozory, unikać rozgłosu, umieć się ubrać; on marzy o posadzie tak, jak ona o mężu, tak mąż jak posada, są tylko sposobami do pokazania się i błyszczenia w świecie; nic im więcej do szczęścia nie potrzeba, chyba nowego powozu lub ładnego pałacyku. Kobieta ma nawet może większe wymagania i nic dziwnego: jest kobietą, zatem więcej nerwową i aż do zamążpójścia była zamkniętą w klasztorze, ale po za tem, są oboje równej wartości i tworzą mowoczesne małżeństwa — istna para indyków na grzędzie.

H. Tain.

Indyjanie.

* Indyjanie są prawdopodobnie najdawniejszym narodem na ziemi; a równo z tatarami, persami i armeńczykami pochodzenia irańskiego; tak samo i Egipt, zkąd grecy wzięli swoją cywilizacyję, był o ile się zdaje, kolonija indyjską, o czem świadczą ruiny Theb, eksploatowane przez europejczyków. Indyje podobnie jak Arabija, zdawały się być dostatecznie oszańcowane przez naturę górami. rzekami, morzem i pustyniami; mimo to nie ma drugiego kraju, któryby tak często był zdobywany jak Indostan; łagodny indyjanin był istną piłką w ręku ujarzmicieli, którzy wszyscy, jak Aleksander, Timur i Nadir-Szach, wkraczali przez północno-zachodnie góry, aż póki portugalczycy nie odkryli drogi morskiej, a za nimi anglicy, którzy rządzą obecnie mniej więcej całem ogromnem państwem i w trzydzieści tysięcy, z pomocą 130,000 Sepojów, panują nad 110 milijonmi krajowców nieograniczenie w Bengalu, Modrasie, Bombay'u, Bankulen i t. d. Prawdziwą perłą Indyi jest Kaszemir; romantyczna ta dolina słynie z najpiękniejszych róż na świecie; dlatego nazywaną jest na wschodzie „krainą róż“. u nas zaś więcej znana z przepysznych szalów, noszących nazwę kraju. Pora kwitnięcia róż jest obchodzona uroczyście w Indyjach wesołemi zabawami, na jakie tylko zdobyć się mogą; w innych krajach Azyi, nie ma tego zwyczaju, ale indyjanie, arabowie, persowie, a nawet turcy w porze kwitnięcia róż szaleją prawdziwie; czem dla nich są róże, tem dla dam europejskich szale kaszemirskie, których rocznie wywożą przeszło osiemdziesiąt tysięcy, a sumy niesłychane płyną z Europy do Basony za ten przedmiot zbytku, gdyż za niektóre płacą od 300 do 500 franków i więcej czasem. Korzenie i wonności wschodnie, kawa i herbata kosztowały nas już wiele, ale szale te naprawdę zrujnować mogły niejednych. Bernier i Forster opisują, że narachowali przeszło 16,000 warsztatów, wyrabiających te szale, a każdy zajmuje trzech robotników; niektóre szale wymagają całego roku pracy, a czasem i więcej! Uchowaj nas Boże od takich okazów przynajmniej! Szczęściem, że moda jest zmienna i dziś już ten strój kosztowny jest mniej poszukiwany. Swemi drobnemi, dziecinnemi niemal rękami indyjanie wykonywują roboty, których żaden europejczyk nie potrafi naśladować i to za pomocą bardzo lichych narzędzi: żaden europejczyk nie potrafi być takim nurkiem jak indyjanin, który kazawszy się wprzód zażegnać od hajów morskich, zdolny jest bez żadnych przyrządów, siedzieć kilka minut na dnie morza dla wybierania muszli i pereł; ale za to są najzręczniejszymi złodziejami i mają przysłowie: „wielki złodziej jest największym człowiekiem.“ Małe kradzieże zaś tłomaczą w ten sposób: „co biały człowiek zapomni, to Bóg daje czarnemu“. Pomimo to indyjanie są najłagodniejszym, najlepszym z narodów azyjatyckich, a kraj ich najpiękniejszym w świecie: byłby to prawdziwy raj ziemski, gdyby nie dokuczliwe muskity, mające szczególniejszy pociąg do krwi ludzi białych, tak jak jadowite węże i tygrysy do murzynek; a przytem — straszne upały! Głównem zajęciem europejczyków jest: zabezpieczenie się od gorąca, od owadów i od tłumu czarnych sług, przebiegłych i chytrych jak sam dyjabeł, którego przypominają swą cerą; najruchliwszy europejczyk przemienia się tu wkrótce na ociężałego człowieka wschodu; nawet anglik oducza się tutaj swego porządku i punktualności, jak holender swojej pracowitości i skrzętności; ktoby tam chciał oddać się nauce na seryjo, mógłby dostać łatwo pomięszania zmysłów. Wszyscy. za przykładem bogatych krajowców, dają się tu, jak u nas dzieci, rozbierać, kłaść do łóżka, myć, ubierać i nosić w palankinie, jak umarły na marach. Jenerał gubernator *Hastings* miał 150 słoni i 400 wielbłądów, a książęta krajowi trzymali przy wojsku 67,000 ludzi do posług, nie stawających do boju. Wyspiarze z zachodnich Indyi mają jeszcze więcej zabobonów, jak wschodni indyjanie. Język malajski jest tam w powszechnem użyciu: malajczycy musieli wywierać wpływ

na inne wyspy, będąc narodem najbardziej wojowniczym; boją się oni jednego krokodyla, którego szczególniej czczą na zasadzie rozpowszechnionego u nich przysłowia: „Krokodyle połykają ludzi, ale człowiek krokodyla połknąć nie może.“ Ludzie z ogonami nie są zupełnie bajeczni, bo spotyka się ich dotąd na wyspach Filipińskich; nie są to prawdziwe zwierzęce ogony, ale przedłużenie kości pacierzowej, dosyć znaczne, które łatwo wpada w oczy przy adamowym stroju mieszkańców. Pierwotni mieszkańcy wyspy *Borneo*, nazwani *Badsza* albo *Dajaki*, malują się na niebiesko, złocą zęby i wyciągają sobie uszy tak, że te sięgają często ramion; mają religijny przesąd, że ci, których zabiją na ziemi, służą im jako niewolnicy na tamtym świecie i żaden nie waży się myśleć o ożenieniu, dopóki nie zbierze kilka głów nieprzyjacielskich; ofiarą tych przesądów pada wielu ludzi, a najwięcej europejczyków. Wybrzeża *Jawy*, a więcej jeszcze obok leżąca wyspa *Madura*, otoczona wieczną mgłą, powstającą z bagien, mają powietrze strasznie niezdrowe: panują tam zabójcze febry, a nawet zdrowi wyglądają jak chodzący nieboszczycy; obfituje ona w pieprz, ztąd też musiało powstać przysłowie, a raczej przekleństwo: „Bodajbyś poszedł, gdzie pieprz rośnie.“ Gdy Barrow unosił się nad wspaniałością natury w tych stronach. rzekł na to jeden z holendrów: „Prawda to jest, mój panie, ale niemniej jest to kraj przeklęty!“ O ile wschodni indyjanie są dobrego, łagodnego charakteru, o tyle zachodni wyspiarze dzicy i okrutni i gdyby się dało płody, a mianowicie pieprz i inne korzenie, znajdujące się tam, przenieść na jedną wyspę, możnaby prosić Boga o zatopienie wszystkich resztujących.

Demokritos-Weber.

Indyk.

* Ławnik w małem miasteczku idąc na posiedzenie do ratusza, wziął z sobą służącą i po drodze kupił indyka, którego kazał jej zanieść do domu i powiedzieć żonie, żeby połowę upiekła, a połowę ugotowała. Na posiedzeniu zdrzemnął się. Roztrząsano tam sprawę jakiegoś chłopaka, który ukradł kilkoro indyków. Drzemiący ławnik słyszał, że coś mówiono o indyku, a myśląc właśnie o tym, którego kupił na targu, gdy go nagle zapytano, co sądzi, jak należy postąpić z obwinionym, odpowiedział: „Powiedziałem już przecie, żeby go w połowie upiec, a w połowie ugotować“.

Humorysta Warszawski.

Indyki.

* Osobliwsze ptaki (należą do grzebiących), przynoszą one nieco zysku gospodyni i duże szkody gospodarzowi.

Informacyja.

* *Chłopska informacyja.*

Żyd. Słuchaj no ty chłopie, którędy jechać do Baraniej Wólki.

Chłop. Którędy se miarkujes, ty zydzie!

Żyd. Ny, przez urazy, niech mi pan gospodarz drogę pokaże.

Chłop. A to niech se pan kupiec jedzie najpierw bez grzeczność, a potem od figury na lewo.

Świąteczny.

* *Jasna informacyja.*

— Czy pan w domu?

— Nie, niema go.

— Kiedy powróci?

— Jak jaśnie pan mówi, że go nie ma, to nie wiadomo, kiedy powróci.

Inicyjowany.

* Zjawił się za moich czasów w Warszawie przybyły z prowincyi młody człowiek, którego ojciec świeżo był wszedł w obywatelstwo za przywilejem Stanisława Augusta. Tatko zapaśny, szczodrze na wyjezdnem syna w grosiwo opatrzył, miał się więc z czem i o czem przystojnie w stolicy pokazać; znalazły się sposoby wszrubowania w lepsze towarzystwo, a lubo w nim przebijała się surowizna, ślad zrazu zaniedbanego wychowania nadrabiał jegomość

prezencyą i rdzę pokrywał tem, co tu i owdzie połapawszy, przyswoił sobie ze zwyczajów światowych. Rówieśnicy przybyłego, ludzie wyższego urodzenia, do których przystał, niechętnie znosili poufałość jego i śmiałość, z jaką się do nich posuwał, ale co było począć z natrętem?

Do poniżenia go trafiła się zręczność, którą sam ów jegomość nastręczył. Masonerya szeroko się wówczas rozgałęziła, stowarzyszenie to było w modzie, zachciało się i jemu zostać masonem; zwierzył się tej żądzy gorącej Kazimierzowi Rzewuskiemu, prosząc by mu w tem chciał dopomódz. Rzewuski, który już coś na prędce obmyślił, z początku zaczął wystawiać wielkie trudności, zastraszał koniecznością wyrzeczenia się religii, ceremonijami bluźnierczemi, poprzysiężeniem nienawiści duchowieństwu i t. p. i t. p.

Zawsze jednak gorąco pragnący przypuszczenia kawaler, nie tylko się na to zgodził, ale na piśmie dał na siebie cyrograf, że się wyrzeka wszelkiej wiary i t. d., i tę kartę w ręce Rzewuskiego złożył. Rzewuski jeszcze raz mu wystawił, przez jak wielkie i straszne próby przejść było potrzeba; niezastraszony wszakże niczem inicyjant oświadczył, że na wszystko gotów, poddaje się próbom i znieść się je obowiązuje.

Naznaczono tedy dzień inicyjacyi. Pokój na ten cel osłoniono czarnem suknem, ozdobiono godłami masońskiemi i wprowadzono młodzieńca. Kazano mu najprzód odczytać samemu wyrzeczenie się, zobowiązano przysięgą do największej tajemnicy i przystąpiono do próby.

Drzwi się znienacka otworzyły, weszło sześciu silnych chłopów i dwóch z nahajami egzekutorów, rozciągnięto jegomościa na całunie i wyliczono mu sto basów za wyrzeczenie się Boga i wiary. Na tem skończyła się ceremonija inicyjacyi, po której wybiegł kawaler z łaźni jak oparzony. Tajemnica tej przygody utrzymać się nie mogła, puszczono w obieg awanturę i nim wyszła doba, wszyscy znajomi z kolei winszowali mu inicyjacyi. Nieborak zapóźno poznał się na krwawym żarcie, jaki sobie z niego zrobiono, opuścił spiesznie Warszawę i nigdy w niej więcej nie postał.

Rzewuski, wypłacając się za tak surowe skarcenie płochości, a wiedząc, że mu się tytułu szambelana tak gorąco chciało, jak przypuszczenia do masoneryi, wyrobił później przywilej u króla i na wieś odesłał. Inicyjowany pocieszyć się nim musiał zapewne.

Pamiętniki Jana Duklana Ochockiego.

Inkognito.

* Fryderyk Wielki spotkał raz w ogrodzie królewskim porucznika swojej gwardyi w cywilnem ubraniu; ponieważ to było surowo wzbronionem, król udał, że go nie poznaje i pyta, kim on jest?

— Oficerem — odpowiada porucznik - ale ja tu jestem *inkognito*.

— Odejdź więc ztąd jaknajspieszniej, aby cię król nie zobaczył...—rzekł mu Fryderyk.

(*Choise d'anecdotes*).

* Józef II, cesarz niemiecki, przejeżdżając przez Francyję, wyprzedził swoją świtę i udał się sam jeden do hotelu, który mu przygotowano w miasteczku Bethel. Gospodyni tego hotelu, kobieta o tyle gadatliwa, o ile niedyskretna, zapytała gościa, czy należy do świty?

— Nie—odpowiedział Józef II — ponieważ ją poprzedzam.

Po chwili, kręcąc się w koło cesarza, który się sam golił, pyta go znów, czy zajmuje jaki urząd przy księciu?

— Tak jest — rzecze monarcha — golę go niekiedy.

* Ludwik XIV, powróciwszy z polowania, wszedł do teatru wersalskiego—niby inkognito. Dawano sztukę tak lichą, że nawet najznakomitszy z komików Dominique, nie mógł jej uratować grą swoją.

Po skończonem przedstawieniu król powiada do Dominique'a:

— Cóż za nędzna sztuka!

— Proszę mówić ciszej—ostrzega komik—bo gdyby się król dowiedział o tem, dałby mi niezawodnie odprawę wraz z moją trupą...

(*L'esprit des Ana*).

Intendent w kłopocie.

* *Sforka* (intendent hetmana). Panie Garloszu, zdarza się często na świecie, że ludzie grają w loteryję. Otóż, jeżeli los wielki wygrają, to są wielkimi panami... otóż... cóż to jest los, mości trombonisto—cóż to jest los?—głupstwo i niegłupstwo. Bo jeżeli stawiasz na loteryję a nie wygrasz, to ludzie mówią, żeś głupi. A jeżeli wygrasz, to ludzie mówią, żeś rozumny. Cóż więc jest rozum panie trombonisto? Rozum—to los.

Trombonista. Postaw, panie Sforko, kufel daj pan papier, o którym bajałeś. Obaczymy.

Sforka. Otóż, choćby te pytania do niczenie doprowadziły, to wszelako pij, panie trombinisto. Zdaje się, że łatwo będzie rozwiązać. Czytaj.

Tromb. Ja czytam nuty na trom, bom pisane, ale skoropisu nie łaska...

Sforka. Słuchaj:

Łatwe dla zadania
Ale trudne do rozwiązania
Zapytania.

Tromb. Mówisz, że trudne do rozwiązania?

Sforka. Chcą nas przestraszyć! Odczytajmy i zacznijmy od najłatwiejszych.

Primo — Dla czego kij ma dwa końce?
Secundo — Co ja myślę?

Tromb. Kto myśli, panie Sforka?

Sforka. Nic... Napisano: co ja myślę i... basta... i punkt. Ale posłuchaj dalej:

Tertio — Jak najprędzej świat objechać?
Quarto— Co Bóg pierwej stworzył, kurę czy jajko?
Quinto—Co to ja?

Tromb. To mości Sforko głupie pytanie!

Sforka. Sexto — Co więcej waży: funt piasku czy funt żelaza?
Septimo—Czem byłby człowiek. gdyby nie był człowiekiem?
Octavo — Dla czego mówią: ma ćwieka we łbie?
Nono—Dla czego dziewięć pytań a nie więcej do rozwiązania?

W postskrypcie dodano:

Jeżeli rozwiąże
Quaestiones quae pendent,
Sforka intendent:
To będzie—książe.

Prosimy jeno, aby wynalazł sposób puszczania baniek kwadratowych z mydła i przysłał nam jedną bańkę do Medyjolanu na próbkę, pocztą albo balonem.

Cóż sądzisz acan?

Tromb. Sądzę, że bańkę z mydła trzeba wydmuchać. Inaczej, wszystko będzie jak bańka z mydła.

Sforka. Ale ja sądzę, że ostatek na ostatek... Naprzykład, powiedz acan, dla czego kij ma dwa końce.

Tromb. Dla czego? jakto dla czego?

Sforka. Mnie się to wszystko takiem głupstwem wydaje, że przyznam ci się, mam ochotę plunąć... i basta.

Tromb. Otóż ja przeciwnie... Radzę acanowi nie zrażać się trudnościami.—Ale przejdźmy do drugiego zapytania... Czytaj pan!

Sforka. A z pierwszem co zrobić?

Tromb. Pst!... pierwsze to głupstwo!... Co tam dalej?...

Sforka. Secundo... co ja myślę?

Tromb. To bardzo łatwe do rozwiązania .. co ja myślę. .

Sforka. Ale co ja myślę?

Tromb. Jakto? co acan myślisz? - Czy ja wiem, co acan myśli?

Sforka. Ale kto to ten ja?

Tromb. Ten, co pyta acana... To jasne jak słońce...

Sforka. Może to się jakoś rozwiąże. Idźmy dalej... Jak najprędzej świat objechać?

Tromb. To mości Sforko, rzecz najłatwiejsza. Gdyby na świecie nie było morza, to pocztą... Gdyby nie było ziemi, tylko morze, to okrętem. Ponieważ jest i ziemia i morze na świecie, więc objechać pocztą i okrętem! Pisz, panie Sforka: pocztą i okrętem.

Sforka. No, niech tak będzie! Choć mi się to niebardzo podoba... pocztą i okrętem... Ujdzie!... ujdzie!...

Tromb. A ja mówię acanowi, że to nawet bardzo ujdzie...

Sforka. Winien ci będę, panie trombinista... No basta!... dalej! Pij przyjacielu...

Tromb. Widzisz, że nie tak straszny wilk, jak się wydaje.

Sforka. Hum! hum!... Ale ty wiesz, że to trzeba wszystko wygotować do wieczora, bo jeśli nie... to finfa...

Tromb. Więc spieszmy się, panie Sforcya!

Sforka. To już mnie acan nazywasz panie Sforcya?

Tromb. Ha! wszystko idzie jak z płatka. Czytaj mości Sforko!

Sforka. Co pierwej Bóg stworzył, czy jajko, czy kurę?

Tromb. Jak się acanowi wydaje?

Sforka. Kurę.

Tromb. Mógł wprawdzie stworzyć kurę, ale mógł stworzyć i jajko. Trzeba odpisać z pewnością.

Sforka. Ale gdy stworzył jajko — któżby je wysiedział?

Tromb. Kura.

Sforka. Omyliłem się na acana imaginacyi, mości trombinisto! Jakżeż kura?... to głupia odpowiedź.

Tromb. A ja dowiodę acanowi, że nie głupia. Ja pewny jestem, że jajko stworzył. A naprzykład, gdyby kury nie było, to wiesz acan, że ciepło człowieka może... albo w piecu...

Sforka. Ale kiedy pieców nie było, mości trombonisto.

Tromb. To Ewa mogła wysiedzieć. Więc to rzecz najłatwiejsza do rozwiązania. — Każ acan żonie swojej spróbować. A jeżeli wysiedzi jajko, to Bóg stworzył jajko.

Sforka. Ja nie chcę zaczepiać mojej żony.

Tromb. Więc odpisz prosto: jajko — odpisz: jajko. Ja ci zaręczam, że jajko.

Sforka. Zdaje mi się, że ja to wszystko przemienię, namyśliwszy się głęboko. A teraz do czasu niech tak będzie! — Czytajmy... Quinto: co to ja?

Tromb. Ale to już było to pytanie.

Sforka. Gdzie?

Tromb. Wyżej!... Już rozwiązałem i zapomniałem dawno.

Sforka. Ale ja ci zaręczam, że nie było... Co to ja?

Tromb. Głupie pytanie, co to ja!

Sforka. Ty — trombonista.

Tromb. Ha! więc pisz: trombonista.

Sforka. Za pozwoleniem! Któż wie, że acan byłeś ze mną i pytałeś się mnie, co to ja? Owszem, nie trzeba, aby się domyślili ludzie, że acan pomagałeś mi w skrypturze.

Tromb. Ładu z acanem dojść nie można!

Sforka. O! gdyby tu karła hetmańskiego! On ma więcej rozumu w garnku, niż cała muzyka hetmana.

Tromb. Karzeł by tobie inaczej nie odpowiedział, mości Sforko! Spytaj go: co to ja? a powie: trombonista. A karzeł spyta mnie, to mu powiem: jesteś karzeł. A spytaj mnie panie Sforko, co to ja?

Sforka. Dalibóg, od godziny pytam, co to ja?

Tromb. Ty — intendent Sforka.

Sforka. Ja wiem, żem intendent Sforka.

Tromb. A dla czegoż pytasz acan o takie głupstwo?

Sforka. Ale kiedy to nie ja pytam acana, ale ten papier pyta.

Tromb. Jakto papier?

Sforka. Żegnam ciebie, panie trombonisto. Bałamucisz mnie i potem kłócisz się ze mną,

jak z dzieckiem. Odczytam acanu te pytania, jak sam na nie odpiszę.

Tromb. Nie odpiszesz, panie Sforka—dalibóg nie odpiszesz!

Sforka. Pęknę, a odpiszę.

Tromb. Do dziś wieczora?

Sforka. Do dziś wieczora!

Tromb. Na wszystkie?

Sforka. Co do joty!

Tromb. I na bańkę z mydła odpiszesz?

Sforka. Bańka!... Dalibóg nie pomyślałem o bańce.

Tromb. Otóż jeszcze przez przyjaźń poradzę tobie, panie Sforko, względem bańki. Wszak powinna być kwadratowa?

Sforka. Tak.

Tromb. Otóż trzeba wynaleźć kwadratową słomkę...

Sforka. I ja wiem o tem... ja wiem o tem... Ale jak posłać próbkę... pocztą?...

Tromb. Posłać mydło i kwadratową słomkę, to rzecz jasna. Niech sami Medyjolańczycy puszczają bańki.

Sforka. Prawdziwie! Pójdę na pole szukać słomki... a ty gdzie idziesz?

Tromb. Grać na trombonie.

Sforka. Przyjdź acan zajrzeć wieczorem w pytania.

Tromb. Uniżam się do nóg.

Sforka. Wyjdziemy razem... (Zapomina listu na soliku—wychodzą).

„Horsztyński".

Interes.

* *Ze świata szwindlowego.*

— Słuchaj, Michaś, wytłomacz ty mnie, co to znaczy wizja?

— To pewnie musi być jakiś procent od prowizji.

. . .

— Co też panu zostało w zysku po zwinięciu handlu korzennego?

— Jedna figa.

— Nie może być?

— Właśnie to cała moja pociecha, bo gdybym miał sklep łokciowy, tobym i tego nie mógł uratować

Świąteczny.

* Buchalter czyta pryncypałowi nadesłaną depeszę: „Meyer i Synowie zbankrutowali, płacą 75 za 100 zgodnie." Pryncypał, zrywając się zirytowany: „A to łajdak! gdzież tam! gorzej niż łajdak! to jest prawdziwy osioł! Ten dureń rujnuje się kompletnie, płacąc tyle!"

(Flig. Bl.)

* *Dobry interes.*

Działo się to w Paryżu za panowania króla Ludwika Filipa. Baron James Rothschild siedział dnia jednego, zagrzebany w rachunkach, a drzwi jego gabinetu dla wszystkich bez wyjątku były zamknięte. Wtem ulubiony służący barona wsunął głowę we drzwi i zaanonsował jakieś natrętne odwiedziny.

„Niema mnie w domu," odpowiedział baron.

Służący znikł, po chwili jednak wrócił mówiąc:

„Panie baronie, ten człowiek powiada, że da panu sześć milijonów zarobić."

„Wpuść go natychmiast."

Wchodzi jegomość w mocno świecącem od czyszczenia ubraniu i kłania się możliwie nizko panu Rothschildowi. Ten, zawsze ugrzeczniony, nawet wobec źle odzianych milijonów, podsuwa mu fotel.

Gość przystępuje natychmiast do interesu.

„Panie baronie—mówi—dowiedziałem się, że masz na wydaniu córkę, której przeznaczasz na posag dwanaście milijonów. Otóż przyszedłem panu powiedzieć, że gotów jestem z nią się ożenić, strącając pięćdziesiąt procent. Czysty zysk dla pana: sześć milijonów. Nieprawdaż, że świetny interes?"

Rothschild powstaje z krzesła i odprowadzając dowcipnego aferzystę do drzwi gabinetu, mówi:

„Panie, moja córka za młoda, nie może jeszcze iść za mąż. Zechciej pan mnie jeszcze kie-

dy odwiedzić. Tę świetną propozycyję zanotuję sobie.“

Intermezzo przedwyborcze.

* Proszę o głos, moi panowie!
Poprzednik mój, dając nam rady,
Dotknął fatalnie w swej przemowie
Nie tyle mnie, ile zasady.
Tak, w uniesieniu niesłychanem
Wyrzekł on zdanie, gwałtu pełne:
„Nie chcę obwijać nic w bawełnę,
Że mój kandydat jest baranem!“
Wy oklaskaliście te słowa —
Panowie! byłoby za długo.
Gdybym rozbierał, czy zasługą,
Czy zbrodnią jest otwarta głowa.
Nie jestem żaden demokrata!
Lecz co do mego kandydata,
W czem gorszy jest on od ogółu?
Z podłego ulepion namułu
Świat, czy się z samych mędrców składa?
Czy ogół nie jest nakształt stada?
Wy, co jesteście też ogółem,
Pomyślcie nad tem. Tak, panowie!
Ja sam, co słowa te ogłaszam,
Wyznaję, nieraz w duszy czułem,
Nie tylko w duszy, lecz i w głowie,
Że jestem, jestem, nie, przepraszam,
Że jestem... nie... powiedzieć chciałem:
Nie zawsze jestem ideałem!
Cóż dalej? Czy to fakt logiczny,
By posłów, zamiast brać wśród siebie,
Ten ogół, który jest tak liczny,
Szukał po obcem gdzieś tam niebie?
Dla tego ja, waszej uwadze
Przedkładam i zbadać wam radzę
Przedwstępnie tę kwestyję nie małą:
Czyby nie lepiej nam się działo,
Gdybyśmy na kraju usługi,
Panowie, do krocset szatanów!
Wybrali raz jeden i drugi
Mniej osłów, a więcej baranów.
Kraj to uczuciem przyjmie miłem,
Panowie! Ot co jest! Skończyłem.

M. Rodoć. (p. str. 125).

Intromissyja.

* Gerwazy, od pokojów sędziego odparty,
Ustąpić musiał przez wzgląd dla hrabiowskiej [warty.
Więc, nie mogąc zemścić się na nieprzyjacielu,
Myślał o drugim wielkim tej wyprawy celu.
Jako człek doświadczony i biegły w prawnictwie,
Chce hrabiego osadzić na nowem dziedzictwie
Legalnie i formalnie; więc za woźnym biega,
Aż po długich śledztwach za piecem dostrzega.
Wnet porywa za kołnierz, na dziedziniec wlecze,
I zmierzywszy mu w piersi scyzoryk, tak rzecze:
„Panie woźny, pan hrabia śmie waćpana prosić,
Abyś raczył przed szlachtą bracią wnet ogłosić
Intromissyję hrabi do zamku, do dworu
Sopliców, do wsi, gruntów zasianych, ugoru,
Słowem, cum gais, boris et graniciebus,
Kmetonibus, scultetüs et omnibus rebus,
Et quibusdam aliis. Jak tam wiesz, tak szczekaj,
Nic nie opuszczaj!“ „Panie kluczniku, zaczekaj,“
Rzekł śmiało, ręce za pas włożywszy, Protazy —
„Gotów jestem wypełniać wszelkie stron rozkazy:
Ale ostrzegam, że akt nie będzie miał mocy,
Wymuszony przez gwałty, ogłoszony w nocy.“
„Co za gwałty?—rzekł klucznik —tu nie ma na- [paści:
Wszak proszę pana grzecznie; jeśli ciemno waści,
To scyzorykiem skrzesam ognia, że waszeci
Zaraz w ślepiach jak w siedmiu kościołach za- [świeci.“
„Gerwazeńku — rzekł woźny — po co się tak [dąsać?
Jestem woźny: nie moja rzecz sprawę roztrząsać;
Wszak wiadomo, że strona woźnego zaprasza
I dyktuje mu, co chce, a woźny ogłasza.
Woźny jest posłem prawa, a posłów nie karzą;
Nie wiem tedy, za co mnie trzymacie pod strażą.
Wnet akt spiszę, niech mi kto latarkę przyniesie;
A tymczasem ogłaszam: Bracia, uciszcie się!“
I by donośniej mówić, wstąpił na stos wielki
Belek (pod płotem sadu suszyły się belki);
Wlazł na nie: i zarazem, jakby go wiatr [zdmuchnął,

Zniknął z oczu. Słyszano, jak w kapustę [buchnął;
Widziano, jak po konopiach ciemnych jego biała
Konfederatka niby gołąb przeleciała.
Konewka strzelił w czapkę, ale chybił celu;
Wtem zatrzeszczały tyki: już Protazy w chmielu.
„Protestuję!“ zawołał; pewny był ucieczki,
Bo za sobą miał łozę i bagniska rzeczki.

„Pan Tadeusz“ Mickiewicz.

Intryga.

* *Na pierwszej maskaradzie.*

Maska. Jak się masz, rycerzu z Franciszkańskiej ulicy.

Kantorowicz. Chcesz, żebym cię kazał wyprowadzić, ty... golibrodo!

Maska, oburzona na takie miano, daje nura i już jej więcej nie widać.

Była to najwięcej ożywiona scena maskaradowa.

Inwalid.

* Znałem starego żołnierza z czasów cesarstwa, któremu kula armatnia urwała obie ręce obie nogi; musiał je tedy zastąpić drewnianemi i co wieczór, kładąc się spać, pozbywał się tych zbytecznych części ciała.

Nowo przyjęta służąca, nieświadoma zwyczajów swego pana, przyszła wieczorem posłużyć mu.

— Weź — rzecze do niej, podając rękę — wyciągnij mi ją.

I drewniana ręka została w drżących dłoniach dziewczyny.

Można sobie wyobrazić zdumienie biedaczki, gdy po kolei poszła i druga ręka i obie nogi.

Zaczęła dygotać cała z przerażenia, stojąc wobec tego człowieka z drzewa. Widziała ona wprawdzie kiedyś takie ludzkie kadłuby, przedstawiające starożytnych bożków, ale tamci nie byli żywi.

Jowialny kaleka, rozweselony tą sceną i chcąc komizm do ostateczności posunąć, nadstawia szyję i prosi uprzejmie:

— A teraz, kochanie, wyciągnij mi głowę...

Tego już było za wiele; dziewczyna, krzycząc, co sił uciekła, jak gdyby ją sam dyjabeł gonił.

Inwentarz.

* *Inwentarz martwy.*

Ciekawa kolekcyja archeologiczna starych gratów, połamanych wozów, pługów i radeł, zeschłych rzemieni i niezdatnych do użytku maszyn. Jest to w minijaturze Pociejów, z tą tylko różnicą, że okazów rzeczonych kupować nikt nie chce.

* *Inwentarz żywy.*

Pod tym wyrazem należy rozumieć szkielety końskie, bydlęce i owcze, powleczone poobijaną skórą; stworzenia te są wprawdzie źle żywione w lecie na lichem pastwisku, lecz za to w porze zimowej zwykle bywają na kuracji doktora Tannera.

Ironija.

* Margrabia d'Humières został mianowany marszałkiem Francyi na usilne prośby wice-hrabiego de Turenne, który nie mógł się oprzeć wdziękom i urokowi pani margrabiny.

Tegoż dnia Ludwik XIV, spotkawszy hrabiego de Grammont, zagadnął go:

— Czy wiesz, kogo mianowałem marszałkiem?

— Wiem, Najjaśniejszy Panie, panią d'Humières.

(*Galerie de l'ancienne cour*).

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.